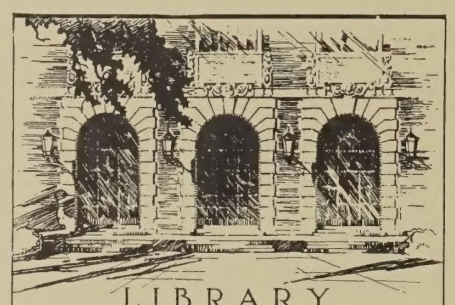

LIBRARY
OF THE
UNIVERSITY
OF ILLINOIS

057.85
TV
1923
no. 27-53

Nr 27 Ogólnego zbioru 3,320 Wydawnictwa rok 64. 1 Lipca 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

DOSTOJNI GOŚCIE POLSKI.

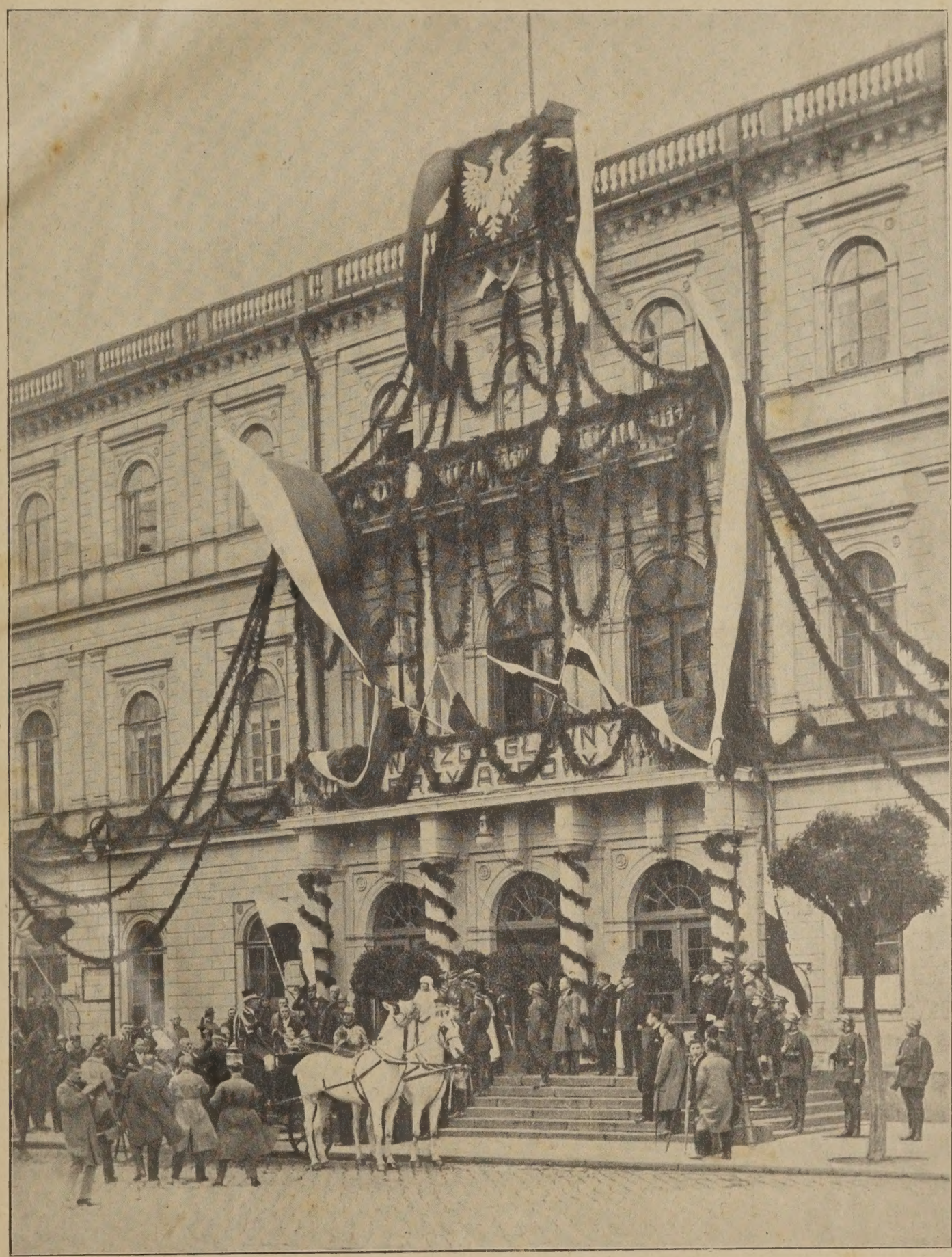

Przybycie Ich Wysokości: królowej rumuńskiej Marji i króla Ferdynanda do stolicy Polski w dniu 24 czerwca r. b.

Fot. Marjan Fuks.

NASZ SĄSIAD RUMUŃSKI.

I.

Pomiędzy środkiem Europy a rosyjskim stepem, pomiędzy mglistemi okolicami Północy a słonecznym półwyspem bałkańskim, ciągnie się kraina, której części północne odznaczają się surowemi, śnieżnemi zimami, podczas gdy w południowych, ciepło jest w marcu i cudne się święcą listopady. Jakżeż odrębnym od płaskiej, jak tafla, Wołoszczyzny, jest Siedmiogród, warowne pasmo płaskowzgórzy, poprzerzynane tu i owdzie dolinami rzek, a nawet pogórze synajskie czy mołdawskie, tak zbliżone donaszych bukowin, dąbrów czy lasów szpilkowych. Jakiż przeskok od sikław czy kosodrzewin Predealu do kanaańskiej iście, mlekiem i miodem płynącej, równiny wołoskiej, a potem od strefy naddunajskiej, wierzbami obrosłej, pełnej ptactwa wodnego i ryb conajrzadszych, aż do „bezpańskiej" Dobrudży, krainy jezior i dunajskiej delty, gdzie bije w niebo minaret, świadectwo tureckiego ucisku.

Mołdawja—o kopułach monasterów, które wynurzają się z olbrzymich zalesień, odgrodzona od płaszczyzny wołoskiej szerokim Seretem, na którego falistych brzegach rozłożyły się najpiękniejsze włości dawnych bojarów; za Prutem—Besarabja, niegdyś Kipczakiem zwana, step typowy, o nieskończonych perspektywach, zorjentowana ku dniestrzańskiemu Limanowi, ku Odessie, kres władztwa hospodarów, rozciągającego się „od góry aż do morza"; Oltenja (północno-zachodnia Wołoszczyzna), zorjentowana nie tyle ku Euksynowi i Bizancjum, co ku Wenecji i Adrjatykowi; bujny step jałomicki (Baragan), ciągnący się na wschód od Bukaresztu—uzupełniają różnolitość i harmonję ogólno-rumuńskiego krajobrazu.

Porównywano nieraz Rumunję z Egiptem, z powodu jej doskonałego nawodnienia. Istotnie: Dunaj, Dniestr, Seret, Prut, Olt, Ardżes, Dębowica, Pruhowa, Jałomica i t. p. uczyniły wszystko, aby dać jej muł złotodajny, podstawę dobrobytu. Większość rzek siedmiogrodzkich: Muresz, Szamos, Krysz należą do dorzecza cisańskiego.

Na Przełęczy pomiędzy dwoma temi dorzeczami rozpostarł się „Las" karpacki, jak ów „Czarny" — w Niemczech, Hercynja Cezara i Tacyta, jak ów „ciągnący się od Białogrodu do Niszu, dobrze znany ze swych niebezpieczeństw Krzyżowcom, jak ów ardeński niegdyś we Francji. Za tym górzystym „lasem" rozciąga się „Transylwanja", niby „Transalpina" Gallo-Rzymian, prawdziwa — jak opiewa średniowieczna tytulatura — „Węgro-wołoszczyzna" (*Ungrovalachia*), prawdziwa macierz i kolebka ludów. Do tejże strefy górskiej należy również północna Mołdawja, jak i chrzczona rozmaicie przez Polaków i Austrjaków — Bukowina.

Z gór się poczęła jedność narodu rumuńskiego. W cieniu niebotycznych sosen i rozłożystych modrzewiów tworzyło się władztwo wojewodów, w pobliżu tych przesmyków i przełęczy, które jeszcze w r. 1916 broniły przystępu wrogowi. Tu się także poczęła cywilizacja rumuńska. W Transylwanji nieraz chroniła się dusza narodu rumuńskiego przed uciskiem; nad górskim Ardżesem, kędy po dziś dzień wznosi się kunsztowna kurtejska królewska nekropola (Curtea de Arges) urodziło się wołoskie księstwo; na Bukowinie i w orlem gnieździe Maramureszu lęgli się multańscy hospodarowie. Nawet w Multanach wschodnich, na oderwanej od macierzy przez cara Aleksandra I Besarabji, grają pagórki dobroczynną rolę protektora i regulatora nizin.

Góry i Dunaj stanowią tedy nietylko oprawę, ale i kręgi czy nerwy sympatyczne właściwej Rumunji. Obok Austrji nosiła ona miano krainy naddunajskiej, *principautés du Danube*. Ten Dunaj, wijący się poprzez góry, ten ośrodek jej kostnonerwowy—jak dla nas Wisła,—wiąże Siedmiogród z Wołoszczyzną, a Wołoszczyznę z Dobrudżą czy nawet Mołdawją, łączy i spaja w jeden amalgamat etniczny, co proszkowało się i rozpryskiwało w odrębności takich np. dolin siedmiogrodzkich, sprzyjających partykularyzmowi i „inorodztwu" *).

Za czasów Herodota zamieszkiwali ten kraj, starożytną Dację, Scytowie, w czwartym wieku przed Chrystusem wtargnęli tam z za Dunaju Trako-Getowie, a równocześnie z górskiej Albanji Trako-Dakowie. Odepchnięci przez pannońskich Sarmatów ku transylwańskiemu płaskowzgórzu, osiedlali się odtąd Dakowie między Karpatami a Cisą, doprowadzając w pierwszym wieku przed Chrystusem do pierwocin formacji ogólno-państwowej. Król ich, Decebal w r. 86-ym po Chr. pobił na głowę legjony Domicjana i nałożył cesarstwu daninę. Dopiero Trajan, ten patron i poniekąd *heros eponymos* nowożytnej Rumunji położył kres haniebnemu dla Rzymu stosunkowi, a mianowicie, kiedy Decebal przekroczył był Dunaj i zburzył kasztele rzymskie na prawym jego brzegu, w dwóch wyprawach opanował Dację w roku 106 po Chr., co uwieczniła w następstwie, jako pomnik zwycięstwa, słynna swemi charakterystycznemi dla podbitego kraju płaskorzeźbami, kolumna na Forum Traianum w Rzymie.

Trajan skolonizował prowincję dacką Hiszpanami, Gallami, Trakami, a przedewszystkiem Latynami. W mniej niż stulecie nowa prowincja uległa latynizacji, nazwano ją „szczęśliwą Dacją". Powstawały miasta, kasztele, drogi, dzieła sztuki, jak zachowane po dziś dzień trofeum z Adamklissi. Otwierały się kopalnie, gromadziły dla Imperjum bogactwa. Ale obfity łup nęcił hordy innych najeźdźców: Gotów, Wandalów, Gepidów, Sarmatów, Kwadów, Słowian, Hunnów, Awarów, Madziarów, Bułgarów, Pieczyngów, Kumanów i Tatarów, niszczących i łupiących wszelkie niemal ślady cywilizacji rzymskiej. Kraj rumuński stawał się w ten sposób coraz podobniejszy do strasznej pustyni, na którą tak skarżył się był niegdyś smutny wygnaniec z tutejszego Tomi, boski Owidjusz.

Pierwszy raz wówczas, pod naporem inwazji, pasterze i rolnicy rumuńscy chronili się w niedostępnych lasach i górach. Gdy niebo się wyjaśniało, między jedną a drugą zawieruchą, wraz z miejscowymi Słowianami wytwarzali Rumuni nowe księstwo, tak długo póki nie podbił ich św. Szczepan (wiek X—XI). Ale i za węgierskiego zwierzchnictwa istnieli tu wojewodowie czy palatyni o szerokiej autonomji. Pod naporem wszelako rosnącego węgierskiego ucisku przechodzi w r. 1290, 50 zatem lat po wielkim najeździe tatarskim, który spustoszył był wschodnią Europę, „czarny wojewoda", Negru-Voda Bassarab Karpaty i w rzymskim Campulungu zakłada wołoskie hospodarstwo. Na południe Rumuni posuwają się aż po Adrjanopol. Podobnie, w r. 1349, współcześnie z naszym Kazimierzem Wielkim, wojewoda Bogdan wykrada się z Maremureszu, przechodzi do później tak nazwanej Bukowiny i kładzie podstawy pod hospodarstwo maltańskie, które niebawem oprze się o Karpaty, Dniestr oraz morze.

Za rządów Mircei Wielkiego, współcześnika Jagiełły (1386—1418) rośnie potęga rumuńska. Leżą już w gruzach posady Serbów i Bułgarów, trzeszczy i wali się Bizancjum. Z północy napierają Węgrzy i Polacy. Mircea poddaje się Turkom, poddaje im Wołoszczyznę na pięć nieomal stuleci, otwierając szeroko wrota wschodnim cywilizacyjnym wpływom. Zachowuje jej na razie szeroką autonomję. Ale zarazem przenikać zaczynają już tutaj także zachodnie impulsy kulturalne z Polski. Pierwszy kanclerz jagiellońskiej wszechnicy, Piotr Wysz z Radolina tworzy w roku 1401 fundację, mającą na celu propagandę wiary katolickiej „u Wołochów" *). Jak Węgrzy, tak i Mołdawianie uczęszczają na uniwersytet krakowski. W Mołdawji zwłaszcza przyjmują się te łacińskie szczepionki, które kiedyś zakwitną tam bujnym pędem poczucia przynależności romańskiej. Ale obok wspólnoty kulturalnej nie brak między obydwoma narodami także i poważnych tarć zbrojnych.

I tak w końcu XIV-go wieku zastawia Jagiełło u Piotra Bassaraba Pokucie z Haliczem. Po śmierci hospodara narzuca tenże Jagiełło Mołdawji swoją suwerenność, Ryngałła Jagiellonka wychodzi za księcia multańskiego Aleksandra Dobrego, ale Polska traci wnet ponownem lecz przejściowem prawem zastawu Pokucie ze Śniatynem i Kołomyją na rzecz Mołdawji. Ze wstąpieniem na tron mołdawski Stefana Cel Mare, Wielkiego „Atlety Chrystusa"—jak nazwał go wdzięczny za walkę z Turkami papież — podziwianego dlatego nawet przez wrogo zresztą usposobionego dlań Długosza (1457—1584), współcześnika Jagiellończyka i Olbrachta, odradza się na dobre siła narodu rumuńskiego. W lasach „Czerwonej Dąbrowy" gromi Stefan Olbrachtową szlachtę (1497), zagarnia Pokucie, aż poza Lwów śle zagony. Jak wyglądają na tem krwawem tle polskie wpływy kulturalne i obyczajowe w lennej Mołdawji? Faktem jest, że działają one wówczas na wołoski język, tak niezmiernie w zwroty polskie bogaty, działają na cerkiewną architekturę, która nam się z czasem wypłaci z procentem taką „cerkwią wołoską" we Lwowie. Polacy (Stryjkowski kronikarz) już wtedy interesują się zaczątkami pięknej poezji rumuńskiego ludu; między Lwowem a Jassami, Czerniowcami, Kilją i Akermanem uwijają się pośrednicy handlowi rumuńscy i żydowscy, łącznik też pewnego rodzaju między obydwoma krajami stanowi pograniczny szczep huculski, przemieszany rumuńskim elementem i gwarą aż do dalszych swoich tatrzańskich odnóg. Ale z krwawych zapasów pozostały w języku rumuńskim ciemne plamy: pozostał „litfak", odpowiadający u nich naszej „zdradzieckiej Wołoszy", pozostała „szljachta", mało się różniąca od „hołoty", pozostał „mocpan" bardzo zbliżony do szui i łagasa. Ale to były osady przejściowych tylko nieporozumień, pokojowych śladów trafia się w obopólnym rozwoju napewno więcej. W XVI-ym stuleciu pracują nad okcydentalizacją zbizantynizowanego tu życia: akademja krakowska, zakłady szkolne lwowskie i równie jak tamte odwiedzane przez synów szlachty mołdawskiej instytuty wychowawcze Jezuitów w Barze, Winnicy i Kamieńcu. Bojarzy żenią się ze szlachciankami i córami możnych, magnaci z uroczemi Mołdawiankami, po polsku rozmawia się w Jassach, jak w dzisiejszym Bukareszcie po francusku, przyjmują się wreszcie z Polski wzory administracyjne, przyjmują kontusze, żupany i delje, szyte przez krawca „croitora", palone czy safjanowe polskie „ciżmy". Mikołaj Brzeski układa (1566) cenną kronikę Mołdawską. Tacy Mohyłowie, Stroicze, hospodar Barnowski adoptują nietylko kulturę, ale również indygenat polski, znane są nawet precedensy polsko-mołdawskich literackich przyjaźni. Uczniem szkół polskich jest znakomity kronikarz Ureche. Innych Rumunów przywabia znów do Polski tradycja jej wolnościowa, prawo azylu przed tureckim czy rodzimym okrutnikiem **).

Kazimierz Marjan Morawski.

*) Por. Jorga: Histoire des Roumains et de leur civilisation. Paris 1921, rozdział I i Comnene: La terre roumaine à travers les âges. Lauzanne-Paris 1919 str. 18—19.

*) Por. Wędkiewicz: Zarys dziejów wpływu polskiego na kulturę umysłową Rumunów.

**) Por. Jorga l. c. 145.

057.85
TV
1923
no. 27-53

RUMUŃSKA PARA KRÓLEWSKA W POLSCE.

Królowa Marja i król Ferdynand w strojach koronacyjnych.

Król Ferdynand w towarzystwie prezydenta Wojciechowskiego i min. wojny, jen. Szeptyckiego, przechodzi wśród szpaleru dyplomacji i jeneralicji z marszałkiem Piłsudskim na czele.

Królowa rumuńska Marja z p. prezydentową Wojciechowską odjeżdżają z przed dworca warszawskiego.

Odjazd króla rumuńskiego Ferdynanda i prezydenta Rzeczypospolitej do przygotowanei dla królewskiej Pary rezydencji w Łazienkach.

Fot. Marjan Fuks.

HR. HENRYK W WALCE Z CZARNOKSIĘŻNIKIEM.

(*Zygmunt Krasiński i Dawid Hume*).

...Był to delikatny, niewielkiego wzrostu blondynek z niebieskiemi oczyma i miał niewiele więcej ponad dwadzieścia lat. Niedawno przywędrował z Ameryki, gdzie jakaś niedobra ciotka wypędziła go z domu. Nazywał się Daniel Douglas Hume, urodził się na wyspach Orknejskich i wcale nie zdradzał na zewnątrz tych przedziwnych właściwości, któremi miał wkrótce olśnić Europę, zdumieć fizyków, cesarzy i filozofów. Patrząc nań, wszystko można było przypuścić: muzyk, poeta, marzyciel, pastor anglikański, ale nigdy — czarnoksiężnik. Ciotka miała zupełną rację, wypędzając go precz z domowego ogniska, ten chłopak bowiem samym wzrokiem, jednem spojrzeniem przesuwał w jej domu łóżka, stoły i naczynia kuchenne. Nie umiał wprawdzie „myślą walić tronów" tak, jak więzień w prologu III-ej części Dziadów, ale i te jego praktyki zupełnie wystarczały do zirytowania ciotki. Kołyska małego Dawidka bujała sama bez ludzkiej pomocy, zabawki fruwały w powietrzu na jego skinienie.

Wyrósłszy na młodziana, Dawidek zaczął sobie poprostu kpić z Archimedesa, Newtona i podstawowych prawideł fizyki, a wkrótce połączył w sobie tajemnice kunsztów, jogów, fakirów i czarnoksiężników.

A więc:

Na oczach wielu ludzi unosił się w powietrze i, przybrawszy pozycję leżącą, wylatywał z pokoju przez otwarte okno na pole, poczem drugiem oknem wracał najspokojniej; ciało jego wydłużało się wówczas o kilka stóp i świeciło dziwnie blaskiem świętojańskich robaczków. Gdy ludzie nie chcieli wierzyć w realną rzeczywistość tego wzlotu, Hume wyfruwał powtórnie do sufitu i tam... podpisywał się węglem, na znak swej bytności. Niektóre damy zaklinały się potem, że widziały, jak go tam pod plafonem podtrzymywało za ręce ośm białutkich jak śnieg duchów, ale temu nikt nie chciał wierzyć.

Więcej jeszcze. W domu, do którego wchodził Dawid Hume, zaczynały z reguły dzwonić wszystkie dzwonki i dzwoneczki, potem zatrzymywały się zegary, by na znak dany przez Hume'a zacząć znowu tykać, zaś instrumenty muzyczne, a więc klawikordy, harmoniki i ulubione w epoce Biedermeiera akordeony grały same przez się jakąś dziwną, nieznaną melodję.

Ogień nie imał się zupełnie Dawida Douglasa; w przytomności wielu osób kładł on głowę w rozpalony żar kominka i wydobywał ją zdrową z niewymuszonym uśmiechem na twarzy. Jedno wyciągnięcie dłoni Hume'a nad wazonem świeżych kwiatów wystarczało, aby wydobyć z nich wszystką woń, która w stężonych kroplach osiadała na jego ręce. Lekkie dotknięcie przedmiotu jednym palcem wywierało nacisk 700 funtów i t. d., i t. d.

Co wszystko wydawało się Hume'owi zupełnie proste i naturalne.

Okrzyknięto Hume'a odrazu Cagliostrem epoki romantyzmu, ale zgoła niesłusznie. Bo nie sprzedawał za dukaty recept na fabrykację złota czy talizmanów na wieczną młodość, ani nie umiał żadnej z magicznych sztuk, któremi słynęli kuglarze i prestidigitatorzy. Był skromny, nieśmiały, lękliwy i naiwny. I wstydził się bardzo ludzi nieznajomych. Napady owej mocy przychodziły nań bezwiednie i niespodzianie i przyprawiały go potem o bolesne kurcze, drżenia, katalepsje. Z całego usposobienia i wyglądu Dawid Hume zdawał się być raczej zaprzeczeniem chytrości i sprytu opasłego Józefa Balsama, który wsławił się pod imieniem hr. Cagliostro. W chudej twarzy, nerwowych oczach i prostem obejściu młodzieńca nie było ani śladu tajemnych, ponadludzkich działań.

Badały tego Hume'a przeróżne znakomitości europejskie. Znakomity fizyk Crookes poświęcił mu długie miesiące obserwacji, studjowali go też uczeni lord Lindsay i Wallace, nareszcie Akademja petersburska odbyła z nim szereg posiedzeń, ale nikt nie umiał wyjaśnić zagadkowego czarodzieja.

Na zapytanie w jaki sposób czyni to wszystko, Hume odpowiadał cytatami z ewangelji, poczem zapewniał, że wszyscy ludzie mogliby dokonywać tego samego, „gdyby znali zakres działania materji".

Nie tylko jednak fenomeny fizjologiczne sprawiały, że młody Szkot, rodem z wysp Orknejskich został uznany w r. 1855 za najdziwniejszego pod słońcem człowieka. Był jeszcze powód drugi, bardziej porywający: Oto Hume siłą wzroku i słowa przywabiał ku sobie demony, wywoływał duchy ludzi dawno zmarłych i ukazywał je przerażonym oczom śmiertelników, on pierwszy dokonał materjalizacji zjaw spirytystycznych!

Ten jasnowłosy fakir z wysp Orknejskich dał się najpierw w Europie poznać we Florencji w r. 1855. Tłumy ludu włoskiego, całe gromady *forrestier'ów* zbiegały się, aby ujrzeć dziwy, wyprawiane przez młodzieńca. W sali, w której usiadł bez ruchu na krześle z założonemi rękoma, zaczęły zaraz snuć się upiorne korowody jakichś tajemniczych, ledwo pochwytnych wzrokiem cieniów, raz po raz padały nagłe błyski niesamowitego świata, coś pisało, coś grało, coś dotykało przerażoną, spotniałą ze strachu gawiedź. Po chwili, na głośne zaklęcie blondynka, defilowały kolejno przez jasno oświetloną salę grupy nieboszczyków. Wszystko to mgliste, spowite w obłok, niewyraźne, ale wyraźnie odczuwane przez obecnych. Ludzie obumierali z przerażenia...

Pewnego razu zażądano, aby wywołał ducha Danta.

Magik zgodził się i wymówił głośno imię kochanka Beatryczy.

I zaraz ujrzeli obecni dwie długie, żółte i chude ręce, wynurzające się z podłogi...

Jedna z tych rąk, płynąc, niby obłok po niebie, zbliżyła się do drzewa pomarańczy, a zerwawszy tam kwitnącą gałązkę, podała ją drugiej, mglistej ręce.

Zaś druga ręka, wibrując w powietrzu, złożyła kwiat na włosach Angielki, miss B... (Jak widać, Dawid Hume pierwszy wprowadził w modę miłe i pachnące niespodzianki kwiatowe, które odtąd stały się nieodłącznym punktem programu seansów spirytystycznych). W r. 1855 atoli były jeszcze rewelacją, ścinającą krew w żyłach.

Angielka, otrzymawszy kwiatek z ręki Danta, zemdlała, Hume zaś dostał gwałtownego ataku nerwowego, począł drżeć na całem ciele, zaczem w oczach wszystkich... uniósł się wysoko w powietrze!...

Widzowie tych niesamowitych doświadczeń popadli także w stan niesłychanego podniecenia nerwów. Co więcej: z niewiadomych powodów nastrój tłumu obrócił się wkrótce przeciw czarnoksiężnikowi. Pewnego dnia otoczył go rozwydrzony czy też zawiedziony tłum i, przybrawszy groźną postawę, zamierzał połamać kości niesamowitemu przybyszowi.

Blademu wywoływaczowi duchów groziła niechybna śmierć...

Wiadomo, że w każdej awanturniczej historji jest zawsze połowa prawdy, a znów co najmniej w połowie dziwnych zdarzeń, jakie zapisuje historja, znajdzie się zawsze ni stąd ni zowąd, jakaś „nimfa z Polski rodem", albo, częściej jeszcze, jakowyś żądny przygód i rozrzutny graf, zakończony na „ski".

Tak było i we Florencji.

Z rąk nacierającego tłumu wydobył Dawida Douglasa hrabia Aleksander Branicki, pan na Suchej i Stawiszczach, wnuk targowickiego hetmana i Engelhardtówny, a najmłodszy brat p. Zygmuntowej Krasińskiej, żony wieszcza „Przedświtu".

Niebieskooki młodzian zainteresował ogromnie pana hrabiego. Sprawy podobne leżały wciąż jeszcze w sferze upodobań błękitnych. Nie tak dawno przecież, w epoce rokoka, p. miecznikowa Humnicka woziła się po świecie z karzełkiem Borusławskim, Stanisław August opiekował się kuglarzem Pinettim, a Fr. Moszyński nie odstępował na krok Cagliostra. A jak alchemja w wieku rokoka, tak obecnie u wysokich sfer wszedł w modę spirytyzm. Z wielkim wtedy zapałem objął hrabia Branicki protektorat nad losami Dawida Douglasa Hume'a, który mógł być słusznie dumny, jego karmazynowy impresarjo uchodził bowiem za jednego z wielkich magnatów europejskich.

Ten protektorat przyniósł szczęście Hume'owi, sława jego obiegła wkrótce cały półwysep Apeniński. Bladego wywoływacza duchów zapragnął nawet ujrzeć sam papież Pius IX. Z drżeniem i w przestrachu poszedł Dawid Douglas na audjencję do Watykanu.

Przywitano go tam nieco zimno: egzorcyzmami i ostrem wezwaniem, aby wyrzekł się natychmiast swych stosunków z szatanem.

Przerażony młodzian próbował usprawiedliwić się, że nie jest wcale winien zjawiskom, które od jego woli nie zależą, że z piekłem nie łączą go żadne stosunki, a duchy, które wywołuje, są, wedle jego najgłębszego przekonania, duchami nawskroś dobrymi. Potem wyznał, że jest człowiekiem głęboko wierzącym, i to szczególnie od chwili, gdy poznał żywoty świętych! Wierzy głęboko w cuda, wizje i stany ekstatyczne dlatego, gdyż sam często to samo czyni i takich samych wzruszeń doświadcza!... Nie można powiedzieć, ażeby to wyznanie Hume'a, przyznającego się do pokrewieństwa ze świętymi, dowodziło wielkiej pokory chrześcijańskiej. Pius IX przyjął je z ust skruszonego, atoli zakazał mu uroczyście jakiegokolwiek kontaktu z duchami, zarówno z dobrymi jak złymi, nakoniec podał mu do ucałowania krucyfiks ze słowami:

— Oto jest nasza laska czarodziejska!

Z Watykanu podążył nawrócony magik do Neapolu i tu stała się znowu rzecz bardzo dziwna. Świat duchów ukorzył się jakoby przed wolą Stolicy Piotrowej. Częściowo przynajmniej. Bo oto w dniu 10 lutego 1856 roku duchy, nawiedziwszy Hume'a, oświadczyły, że dają mu spokój na cały rok, po roku jednak wrócą!

To niezwykłe oświadczenie przyjął Hume bez żalu, a może nawet z cichą radością, że przez rok wolny będzie od kurczów, ataków nerwowych i katalepsji. Natomiast Branicki musiał chyba zmartwić się nie na żarty. Zaniechanie wizyt zaświatowych u Hume'a pokrzyżowały bowiem jego piękne plany!... Już oddawna cieszył się myślą, jak to powiezie dziwnego człowieczka do Paryża i pokaże w Tuillerjach na dworze cesarskim wobec Napoleona III i Eugenji! Pewny był wielkiego wrażenia wśród całej society Paryża, która od dwóch lat poprzestawać musi na zwyczajnych, mało ciekawych stolikach wirujących.

Teraz plany owe na cały rok uległy odwłoce. Dawid Douglas przeczekał okres magicznej impotencji pod lazurowem niebem Włoch, zaś Branicki pojechał z żoną do Badenu.

Nadszedł 10 lutego 1857 r. Nie umiem na pewno powiedzieć, czy właśnie w Tuillerjach i przed parą cesarską znalazł się Branicki z Humem, tak jak planowali, to pewna wszakże, że działo się to w Paryżu i z udziałem dam dworu.

(*Dcn*) *St. Wasylewski.*

ŻYCIE ZAGROBOWE I ŚMIERĆ W SZTUCE GRECKO-RZYMSKIEJ.

Wyobrażenia o Śmierci i istnieniu pozagrobowem są zasadniczą podstawą wszelkiej religji i wykładnikiem wieczystego postępu ludzkości, zwanego cywilizacją. Nawet najwięcej pozytywistyczne etyki muszą uznawać dogmat moralności — ten zaś, nie oparty na myśli o Śmierci, nie może mieć trwałych podstaw. Stąd też badania ludowych wiar, głoszące o pozagrobowem życiu, badania wpływu tych wiar na ukształtowanie stosunków społecznych, stanowią najważniejsze, zdaniem mojem, rozdziały etnologicznych studjów.

W ostatniem ćwierćwieczu przed wielką wojną zmiana metodyki archeologji przyczyniła się do przewartościowania historjozoficznych pojęć o starożytności. Archeologja staje się już nie tylko nauką pomocniczą historji powszechnej, integralną częścią historji sztuki, lecz jako jedna gałąź socjologicznej wiedzy, stara się przeniknąć głębokie tajnie życia człowieka zamierzchłych epok — przedewszystkiem badając jego wiarę, jego religję.

Potęgę niszczącą uosabiają Hellenowie w postaciach bogów jak: Hadesa, Persefony, Thanatosa, Charona, Hekaty z orszakiem Ker, Harpii, Erynji, Dionyzosa etc. Drugą grupę bóstw chtonicznych odnajdujemy w dziełach sztuki o charakterze symboliczno-alegorycznym, przedewszystkiem w rzeźbie i polichromji nagrobkowej, oraz w malarstwie waz. Trzecią grupę, uplastyczniającą Śmierć w ostatnim okresie świata pogańskiego, stanowią wyobrażenia szkieletów.

Grecka religja kultu piękności, według doskonałego określenia A. Chudzińskiego*) „nie zamknęła się nigdy sama w sobie w jakiś system, nie stawiała żadnych zapór twórczości ducha narodowego i stąd pochodzi jej elastyczność i zdolność wchłaniania obcych pierwiastków, aż po ostatnie chwile konania starożytności". Od VII w. następuje pogłębienie uczucia religijnego u Hellenów. Równocześnie z siedmiu mędrcami jońskimi występują myśliciele i reformatorzy jak np. Epimenides z Krety. Wprowadzają oni do religji pojęcie winy grzechowej i konieczność zadosyćuczynienia—misterja orfejskie, eleuzyńskie rozpowszechniają te ideje. Nadzieja lepszego bytu, wiara w indywidualne istnienie zagrobowe, wiara w nagrodę i karę na tamtym świecie, zmieniają w VI w. okrutne Homerowe rysy śmierci. Zmiana pojęć odbija się silnie w poezji Pindara, po wojnach zaś perskich w dramatycznych utworach Aischylosa i Sofoklesa. Bratobójcza wojna peloponeska, prądy filozoficzne Anaxagorasa i Demokryta, subjektywizm sceptyczny sofistów, ironja Arystofanesa, lub Krytjasa, przeciwstawianie nędzy tłumów, bogactwu i zepsuciu jednostek — wprowadza na widownię materjalizm filozoficzny. A gdy równowaga społeczna zachwianą została przy wtórze orgjastycznej muzyki uczt—zasada używania dnia dzisiejszego za wszelką cenę stała się powszechnie przyjętą. Pustkę obumierającej wiary zastępują bakchiczne kulty Wschodu i Południa, w miejsce rodzimych misterjów heleńskich wstępuje cześć obcej Izydy z jej tajemniczemi świętami. Upadek polityczny Grecji pociąga za sobą podbój moralny Rzymu przez kulturę heleńską,równocześnie jednak zepsucie surowego etrusko-latyńskiego wieśniactwa. Napróżno próbują powstrzymać rozkład wewnętrzny—reformy genjalnych Grakchów. Społeczne stosunki coraz więcej wikłają się i przeciwstawiają sobie dwa światopoglądy. Zmęczony republikanizm znalazłszy po dziesiątkach lat walki względny spokój i zabezpieczenie granic pod jednowładztwem Cezarów—zamyka oczy na sprawy społeczne i łaknąc jedynie rozkoszy życia. Neopytagorejska mistyczna teozofja nie zdolna wprowadzić ożywczych soków w więdniejący organizm—przyzbliża nieubłagany koniec świata, gdy „ludzie i bogi szalały. Siły moralne, nękane zwątpieniem, przy pozornym blasku politycznej świetności—powodowały coraz większy upadek obyczajności i religji. Jakkolwiek wiara w zagrobowe istnienie przestaje być kamieniem węgielnym wiary—społeczeństwo ówczesne „wije się ze strachu przed śmiercią", próbując nicość i pustkę wewnętrzną zapełnić zabobonem, nieodłącznym towarzyszem ateizmu. Krwawe magiczne obrządki wszelkich bóstw Orjentu zyskują coraz większe prawo obywatelstwa, aby wreszcie, mimo chwilowego oszołomienia neoplatońską demonologją, ukorzyć się przed znakiem Krzyża.

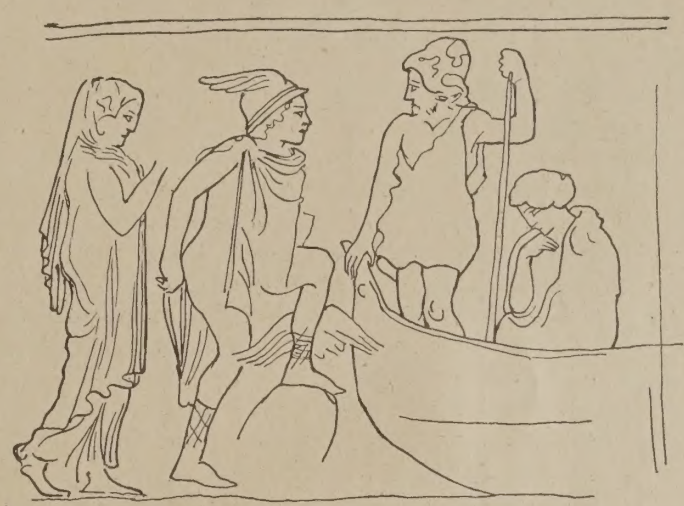

Rys. 1. Charon zabierający na swoją łódź dwie niewiasty, przywiezione mu przez Hermesa Psychopomposa (według prof. P. Bieńkowskiego „O Lekytach greckich").

Na takiem tle występują plastyczne wyobrażenia życia zagrobowego, bóstwa chtoniczne oraz cała symbolika śmierci.

Heleńska epoka Homera nie zna jeszcze zupełnej świadomości ducha odłączonego od ciała. Dusza człowieka ulatuje z ostatnim jego tchnieniem, samowiedza jej wraca wtedy, gdy napije się krwi. Dopiero pohomerowy okres wytwarza pojęcie indywidualistycznego życia pozagrobowego. Zmarły nie może wrócić na ten świat, ukazuje się wyjątkowo podczas snu, aby przerażać, lub ostrzegać. Wywoływania duchów zmarłych drogich osób badanie przyszłości (wyłącznie) przez odpowiednie zaklinania tych duchów — odbywały się w licznych miejscach starożytnej Grecji. Wedle ówczesnych wierzeń, wejście do królestwa cieniów gdzie panował Hades-Pluto i Persefona Prozerpina—jest dla wszystkich otwarte—wyjście jest niemożliwe. Dusze, zmarłych przewiezione przez Charona, gdy staną na sąd Minosa Ajakosa i Rhadamanta, trzech najsprawiedliwszych królów — wrócić już z powrotem nie mogą (Ryc. 1).

Monoteizm przebija się w obrazie tajemniczej, niezbadanej, nie osobistej Mojry-Aissy, wyroki jej krępują nawet samego Ojca-Zeusa. Mojra, występuje jako symbol bezwzględnego Przeznaczenia. Przedstawicielkami jej władzy i wykonawczyniami jej woli są trzy siostry Parki: Klotho, co nić żywota snuje, Lachesis, co nić wyciąga i Athropos, co nić przecina. Są one córami Nocy podobnie jak Sen i Śmierć. Zdaje się, że pierwotne ludowe bóstwo Mojra-Athropos uosabiające zgon później skupione w literacko-plastycznym Thanatosie, było identyczne z Kerą, żeńską boginią śmierci. Metamerfoza nastąpiła, być może, w związku z odwiecznym prawem macierzystym Z czasem łączono pojęcie istoty Kery z poszczególnymi wypadkami śmierci ludzkiej i wytworzono w plastyce bardzo wiele jej postaci. Na tarczy Heraklesa ukazują się straszliwe Kery, kłócące się o krwawą zdobycz. Analogiczny obraz przekazuje nam tradycja skrzynki Kypselosa, gdzie Ker podobna jest do drapieżnej bestji. W końcu Ker nie różni się niczem od Harpji, kiedy wysysa chciwie krew poległych, lub gdy unosi w szponach ciało człowieka, jak to widzimy na słynnym likijskim pomniku w Xanthos. Kery spokrewnione wspólną ideą zagłady z Harpaimi, córkami Tyfona, lub Syrenami przedstawia nam sztuka grecka zazwyczaj w kształcie ptaków o głowach ludzkich. W późniejszel epoce — literatura łagodzi okrutne rysy owych demonów zniszczenia. Rzeźby stell nagrobkowych przedstawiają Syreny, jako kobiety o biuście ludzkim o reszcie korpusu ptaka, grają stosownie do swej roli Muz Śmierci — na lirze, lub fletni — uszeregowane między rytualnemi płaczkami.

Podobnej ewolucji ulega pierwotnie ponura postać Hadesa - Plutona, działalność jego rozszczepia się na wiele funkcyj, przywiązanych do poszczególnych bóstw śmierci. Apollo i Artemis zabijają strzałami, Kery-Harpie porywając gwałtownie, Eos dusi w miłosnym uścisku, Nimfy i Oready mordują bezlitośnie małe dzieci i t. p. Wreszcie i te postacie, zawierające pierwiastki lokalnych prastarych kultów, nikną, zwłaszcza pod wpływem misterjów eleuzyńskich. Znienawidzony ongi tyran Hades, później opiekun dobroczynny kiełkującego życia na powierzchni ziemi, zlewa się z egipskim Serapisem, Dionyzosem, Adonisem czczonym w Biblos wraz z małżonką Baaltis, lub Myilttą, identyczną z grecką Afrodite, której kochankiem był Ares, egipski Tyfon — bóg śmierci.

Do postaci bóstw podziemnych należy również w pierwszym rzędzie żona Hadesa Persefona. Mit o porwaniu jej przez Hadesa w niezliczonych warjantach stanowi niewyczerpaną skarbnicę dla przedstawień nagrobkowych. Za świętą krainę królowej Podziemia i jej matki Demetry uważano Sycylję. Bezdenne pieczary na tle rzec można fantastycznej piękności krajobrazu sprzyjały rozwinięciu się obrzędów i podań o bóstwach podziemnych. Ofiary składane im posiadały często charakter okrutnych kultów.

Panował zresztą zwyczaj wieszania glinianych biustów bóstw chtonicznych, zatem przedewszystkiem Demetry i Kory-Persefony. Statuetki owe miały otwór w górnej części do przymocowywania ich na ścianach grobowców ażeby zapewnienić sobie opiekę bogów podziemnych, co niekiedy ukazywały się ludziom, wychodząc tylko do połowy ciała nad powierzchnię ziemi. [1])

Najważniejsze święto Persefony było obchodzone corocznie około 5 października w mieście Eleuzis. Ponieważ milczenie było obowiązkowem dla wtajemniczonych uczestników, czyli epoptów, skąpe posiadamy szczegóły o owych uroczysto-

*) Antoni Chudziński: „Thanatos. Pojęcia o śmierci i życiu zagrobowem starożytnych Greków". Druk. w Muzeum. Lwów. R. 1886. R. II. S. 2 i t. d. Otto Adamek: „Wie die Alten den Tod gebildet haben". Wien 1890.

[1]) M. Henzey: „Monuments grecs publ. p. l'Asocion d'etudes" grc. 1873. pl. I. porówn. M. Collignon: „Manuel D'Archeologie grc." Paris, S. 242.

ściach. Wiadomo jedynie, że wspaniała procesja z Aten wyprowadzała posąg Jakchosa i stawiała go obok Demetry i Persefony — przechodząc w obrzędowy rytuał dziewicy Kory. Właściwą treścią misterjów eleuzyńskich było symboliczne tłumaczenie przez hierofantów, wśród stosownych korowodów, śpiewów, scen mimicznych — podania o uprowadzeniu Kory - Persefony. Alegoryczne przenośnie były tłem prastarej nauki przemiany przyrody, służyły one za punkt wyjścia nauce o nieśmiertelności duszy [2]). W pierwiastkach Persefony rozpoznać można rysy greckiej Afrodis, egipskiej Izydy, fenicko - syryjskiej Astarte - Mylitty. Niezliczone pomniki monumentalnej rzeźby, gemm, malowideł, waz i t. d. przedstawiają Persefonę jako królowę Nocy z zasłoną (kalathosem na głowie).

Demeter szukając córki spotkała dziesiątego dnia swej podróży Hekatę, nieodłączną towarzyszkę Persefony. Hekata wyrosła na gruncie czci jakiejś potężnej bogini śmierci zapewne obcego pochodzenia. Była bóstwem bezpośrednio stykającem się z ludźmi ze światem zewnętrznym. Za jej pomocą jedynie można było stosownemi zaklęciami zmusić duchy zmarłe i bogów piekła do zjawienia się. Przeczuwa zbliżenie się jej strasznej postaci — wycie psa — zwierzęcia zabijanego przy oczyszczających ofiarach składanych na jej cześć. Księżyc był jej planetą. Ofiarowywano jej dary z ciasta i jaj przed bramami miast i na rozdrożach.

Właściwym wyłącznym wykonawcą aktu śmierci człowieka wedle wiary ludowej był straszliwy Thanatos [1]). Literatura i sztuka plastyczna lubująca się w eufemizmie zastąpiła go postacią genjusza co przykrywał i łagodził przykry obraz zgonu. Ustalenie kształtów Thanatosa, przypada na schyłek VI w. Thanatos wraz ze swym bratem Hypnosem-Snem spoczywając w ramionach. Matki Nocy jest alegorją wiecznego spoczynku Uskrzydleni bliźniacy (skrzydła są symbolem demonicznego charakteru) ilustracja do słów Homera opisującego śmierć Sarpedona, a jak chce Uebel [2]) Memnona [3]) — ukazują się na wielu pomnikach sztuki, zwłaszcza na wazach, zwierciadłach, sharabeuszach, terakotowych płaskorzeźbach i td. Owo zabicie Memnona bylo dla fantazji malarzy waz i szerokich warstw ludowych najbardziej wzruszającym czynem bohaterskiego syna Tetydy. Zagadkowa zaś postać, egzotyczne pochodzenie, stworzyły naokoł Memnona nimbus starożytnego „Księcia z bajki". Artyści podkreślają na wszystkich przedstawieniach plastycznych jego młodzieńczą siłę i niezrównaną piękność.

Zabranie zwłok Memnona-Sorpedona do dalekiej ojczyzny przez Sen i Śmierć przysłanych z rozkazu Zeusa, Pana Chmur malują dosadnie wiersze Iljady:

Hej, miły Fojbie, z czarnej już obmyj posoki
Z pod pocisków uniósłszy Sarpedona zwłoki,
Potem go zdala w rzece wykąp wirowatej
Namaściwszy ambrozją, odziej w boskie szaty
I wypraw z nieboszczykiem, szybkie jak wiatr posły
Sen i Śmierć dwa bliźnięta, iżby go zaniosły
Do rozległej Likijów i żyznej krainy,
Kędy bracia go uczczą i bliscy z rodziny
Kopcem i słupem, czem się umarłe zaszczyca.

. . . . . .

Ryc. 2. Thanatos i Hypnos unoszą zwłoki zmarłej. Malowidło na lekhytosie w British Muzeum.
(Według E. Buschor'a Griech. Vasenmalerei).

Wazy ze scenami Memnona (w liczbie 10) gdzie zaakcentowana jest silna różnica międ Snem a Śmiercią, są pierwszowzorem dla lekythów ateńskich. W naczyniach owych składano popioły wojowników, później zwykłych ludzi, (ryc.2) być może tych co zdala od ojczyzny zmarli. Owe lekytha były naczyniami przeznaczonymi do przechowywania oliwy, lub wonnych olejków i balsamów. W historji ceramiki greckiej stanowią one odzielną grupę nie tylko ze względu na kształty i na dekorację, lecz również ze względu na ich przeznaczenie. Niezwykle trafną charakterystykę lekythów skreślił prof. P. Bieńkowski w cennej swej pracy: „O lekythach greckich w krakowskich zbiorach" [1]) zkąd pozwalam sobie przytoczyć odnośny ustęp: „Lecyty służyły przedewszystkiem żywym, a następnie zostały zastosowane do użytku mogilnego. Pierwsze o technice czerwono i czarnofigurowej (o ile jeszcze w drugiej połowie V w. wegetowała) drugie polichromowane matowymi farbami na białem tle. Lecyty służące żywym, zatem przedewszystkiem jako naczynia dawane w podarunku ślubnym kobietom, zdobne w malowidła najgłośniejszych rysowników, stanowiły część wyprawy, zabieranej po śmierci właścicielki do grobu. Treść dekoracji była zawsze zastosowaną do przeznaczenia lekythosu, zatem sceny toaletowe zdobiły lekytha zawierające pachnidła, lekythy—podarunk ślubne zdobne były w sceny weselne, na lecytach pośmiertnych malowano walki mityczne, lub rzeczywiste, jeśli nieboszczyk poległ na wojnie, łowy (ryc. 6), lub inne sceny z życia domowego—jeśli zmarł śmiercią naturalną. Lekythy przeznaczone aby wraz ze szczątkami nieboszczyka pochowano w grobie—pokryte były rysunkami przedstawiającymi sceny obchodów pogrzebowych „nierzadko widzimy na nich osoby, które niosą lecyty do mogiły, lub ustawiają je na stopniach grobowca, aby spełnić przepisane obrzędy... Również szerokie zastosowanie miały lecyty w kulcie zmarłych, czczonych głównie libacjami, wylewanymi na grób t. z. „hoai", lub „gapotai timai". Panowało mniemanie, że podziemne moce, a więc także dusze nieboszczyków, chłoną chciwie owe płyny, złożone zazwyczaj z wody, miodu, mleka i oliwy, i że przez to łagodnieją i stają się łaskawsze. Zwyczaj utrzymywał się naturalnie i wtedy, gdy prastara wiara w życie zagrobowe oziębła i zwietrzała. Oliwę jaka głównie wchodziła w skład takich libacyj, wylewano z lecyt. Oliwy takiej używano także do pomazywania nagrobków, co jak nasza woda święcona miała je chronić od mściwości złych duchów. Przed pogrzebem, gdy nieboszczyk leżał jeszcze na narach obstawiano je rozmaitymi naczyniami, między niemi lecytami, które nastepnie wkładano do grobu. Jeżeli ciało jego grzebano, lecyty aż do naszych czasów zachować mogły się. cało, bez znaczniejszych uszkodzeń, natomiast jeśli ciało palono, lecyty także okazują ślady ognia, a w dodatku są często pogruchotane. Zwyczaj bowiem bliżej nam nieznany nakazywał naczynia mogilne, przynajmniej niektóre, rozbijać w drobne kawałki, żeby uczynić je niezdolnymi do praktycznego użytku i przerwać związek między nieboszczykiem, a ziemią. W ten sposób lecyty stały się głównym przyborem w obsłudze grobów, tem samem symbolem czci oddawanej zmarłym. W nadnaturalnych rozmiarach, wysokości czasem metrowej i większej, nie z gliny, lecz z marmuru wykute, stoją nieraz na szczycie grobowców atteńskich rysując się zdala na tle błękitnego nieba.

Ryc 3. „Thanatos"—z płaskorzeźby kolumny Efeskiej Skopasa (Britisch Muzeum).
Fotografja z odlewu w Muzeum Archeologicznem Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie.

Thanatos malarzy waz jest wedle legendy okrutnym bogiem odbierającym z rąk snu ofiarę... „Już zaczyna Hypnos swojemu bratu mnie oddawać"—mówi Gorgjas z Leontyny.

Heleńska legenda uwypukla znamiona okrucieństwa Śmierci-Thanatosa, przydając niekiedy sarkazm i ironję. Greckie baśnie Sizyposa, lub Ezopa, gdzie przywiązuje do drzewa silny i odważny człowiek przypomina uderzająco polską bajkę z Sieradzkiego o „Śmierci", którą „Troska" przywiązała do gruszkowych gałęzi. Zresztą mnóstwo jest naszych bajek podobnej treści. Raz udaje się śmiałkowi śmierć schwytać, później ją uwięzić, czasami łapie za język kowal kleszczami, jeśli nie śmierć, to jej prototyp „Jędzę" i związuje ją lipowym łykiem. Zdarza się, że chwyta ją do torby chłopa lub żołnierz, aby nosić, ją przez siedm lat, lub wpycha ją jak „Biedę" do pustej kości, zatkawszy otwór.

W Theogonji Hesioda Thanatos znienawidzony jest przez boga i ludzi, wzroku jego podobnie jak wzroku izraelskiego Anioła Śmierci Hamowath żaden ze śmiertelnych znieść nie może. W patetycznej roli wybawiciela z nieszczęść i klęsk doczesnych ukazuje nam Thanatosa — Aischylos.

Dr. M. Nałecz-Dobrowolski.

(*Dcn*)

---

[2]) Porówn.: Stanisław Schneider: „Wyobrażenia orfickie". Odb. z Eos. T. VI.-Erwin Rohde: „Psyche. Seelenkult Unsterblichkeitsglaube d. Griechen Freiburg i B.)

[1]) D-r M. Nałęcz-Dobrowolski: „Sztuka i Uosobienie Śmierci etc." R. 1908. Str. 287. Tamże podana obszerna literatura.

[2]) Dr. Herman Ubell: Vier Kapitel vom Thanatos-Uber die Darstellung des Todes in der griechischen Kunst. Ein archeol. Versuch. Wien. 1903.

[3]) M. Memnon syn Tithonosa przywódcy Etjopów w Trojańskiej wojnie zabił młodego Achiloosa syna Nestora, śmierć młodzieńca pomścił Achilles.

[1]) Druk. w Pracach Komisji Historji Sztuki. Kraków. 1917. T. I. Z. 1. S. 1 i t. d.

NIEMCY W OBLICZU PRAWDY DZIEJOWEJ.

IV.

Ten raport hr. Tiszy jest niezmiernie ważny, gdyż przyjęty został w dalszym ciągu postępowania dyplomacji austryackiej, ale tylko w części jego drugiej — co do celów wojny. W określeniu ich przemawiał przez hr. Tiszę wzgląd na interes Węgier, nie pragnących powiększenia ilościowego żywiołu słowiańskiego w państwie i uniknięcia kryzysu wewnętrznego—rozbicia dualizmu. W części pierwszej, t. j. samego rozpoczęcia wojny i określenia ultimatum serbskiego — hr. Tisza ustąpił. I mamy na to niezbite dowody, że ustąpił pod presją nie tylko namów, ale nawet gróźb ze strony Berlina.

Tego samego dnia, kiedy hr. Tisza składał swój raport, hr. Berchtold zawiadamia go o treści swej rozmowy z ambasadorem niemieckim. Przed chwilą — mówi—opuścił mnie Tschirschky, który otrzymał depeszę z Berlina. Cesarz kazał mu „z całym naciskiem" oświadczyć, iż oczekuje wystąpienia monarchji przeciwko Serbji. W Niemczech nie zrozumianoby, że taką sposobność opuszcza się „bez zadania ciosu". Z oświadczenia tego hr. Berchtold wnosił, iż sfery berlińskie wszelkie układanie się z Serbją uważałyby za poczucie słabości, co nie pozostałoby bez oddziałania na stanowisko monarchji w trójprzymierzu i na przyszłą politykę niemiecką (Dipl. Akt. str. 39/40). Oto odpowiedź z ust kanclerza austrjackiego na wynurzenie jego kolegi w Berlinie, iż porzucenie w tej sprawie Austrji byłoby równoznaczne z utratą jedynego sprzymierzeńca. Następstwo zdarzeń — po naradzie poczdamskiej — rada ministrów w Wiedniu — mówi, iż obawa ta kierowała nie Berlinem, lecz Wiedniem.

W Berlinie powątpiewano nawet, czy Wiedeń zdecyduje się na ów krok stanowczy, wobec którego Niemcy — niech się stanie, co chce — okażą pomoc swemu sprzymierzeńcowi, mówił podsekretarz stanu Zimmerman, do upełnomocnionego rządu bawarskiego v. Schöna (Bayer. Dok. str. 124). A w urzędzie spraw zagranicznych było mniemanie jeszcze 11 lipca, że Austrjacy woleliby nawet, aby im Niemcy odmówili pomocy przeciwko Serbji i podrwiwano z „braci sprzymierzeńców", iż tak dalece sami nie wiedzą, czego chcą, iż teraz właściwie dopiero zapytują w Berlinie, czego mają żądać od Serbów. To podaje Tirpitz na podstawie urzędowych wieści, które otrzymywał (Einnerungen, str. 225).

Tym razem jednak Wiedeń zakpił z Berlina.

* * *

Ten drugi tydzień po zamachu serajewskim był pełen ciszy — przynajmniej w prasie, ale cisza ta była złowroga. O treści narad, a nawet o samej naradzie ministrów nie było słychać, zato w kołach finansowych czuć było zaniepokojenie. Odczuły je miejscowe giełdy—renta węgierska spadła do wysokości nigdy nie notowanej, a te lokalne wstrząśnienia zanotował sejsmograf giełdowy całego świata — nawet na tak oddalonej giełdzie, jak w New Yorku — powiada Morgenthau—papiery wartościowe zaczęły gwałtownie spadać między 5 a 22 lipca (Memoires, str. 83). Złoto stopniowo rząd rozkazał wycofywać z obiegu, co odbiło się na podrożeniu stopy procentowej.

Zauważono częste przerywanie urlopów i przyjazd do Wiednia ministra wojny Krobatina i szefa sztabu Conrada, który był w nieustannych rozjazdach. Ten ostatni według Jovranovicza, posła serbskiego miał tajne spotkanie z szefem sztabu niemieckiego hr. Moltkiem, bawiącym w Karlsbadzie (Księga błękitna. Serbja nr. 52).

Uderzająca była postawa Ballplatzu. Hr. Berchtold odwołał tygodniowe przyjęcia dyplomatyczne. Unikano wszelkich rozmów o zajściu serajewskim — a ilekrotnie była o nim wzmianka, starano się rozwiać wszystkie, połączone z tym obawy. Mówiono wogóle o pewnych krokach, mających być przedsięwziętymi w Belgradzie, ale o krokach tych podawano urzędowym przedstawicielom obcych państw — zwłaszcza entente'y — jaknajbardziej uspakające zapewnienia. Hr. Szapary, poseł austrjacko-węgierski w Petersburgu, mówił o pojednawczym charakterze noty posłowi rosyjskiemu w Wiedniu, Szebece. W podobny sposób rozwiewał niepokój ambasadora francuskiego Dumaine'a zastępca Bechtolda, hr. Macchio. Powoli nawet w kołach dyplomatycznych entente'y poczęła wytwarzać się opinja, że Austro-Węgry same starają się uniknąć komplikacyj. Większość też ambasadorów wyjechała albo, gotowała się na dłuższy urlop.

Wiadomo było, że wygotowanie noty do Serbji powierzono hr. Forgachowi, b. posłowi austryjackiemu w Belgradzie, znanemu z dostarczenia fałszywych dokumentów prof. Friedjungowi w procesie zagrzebskim. Ale w rzeczywistości zarzuty i żądania,złożone pod adresem Serbji wygotowane, były niezależnie od śledztwa.

Oto dowody. Wydelegowany z ramienia ministerstwa spraw zagranicznych radca sekcyjny von Wiesner depeszował z Serajewa d. 13 lipca: „Współudział władz serbskich w kierownictwie zamachem albo w jego przeprowadzeniu, czy też dostarczeniu broni niczem nie dowiedziony, ani nawet dopuszczalny, istnieją raczej wskazówki, że ta rzecz wykluczona." Punkty żądań na podstawie śledztwa, zdaniem jego, mogą się conajwyżej posuwać do: 1) współdziałania władz serbskich w ściganiu szmuglu osób i rzeczy przez granicę, 2) w uwolnieniu ze służby komendantów pogranicznych i władz celnych w Szabaczu i Łośnicy, 3) w śledztwie dyscyplinarnem przeciwko serbskiemu urzędnikowi Ciganoviczowi i majorowiTankosiczowi (Dipl. Akt. str. 52).

Tymczasem w chwili, kiedy te pierwsze rezultaty śledztwa w Serajewie były formułowane, w Berlinie leżały już główne punkty noty austrjackiej za pośrednictwem Tschirschky'ego telegraficznie przesłane. W wydawnictwie niemieckiem dokumentów do wybuchu wojny tej depeszy brak, ale wykryła ją niedyskrecja v. Tirpitza, który z tytułu swego urzędu sekretarza stanu do spraw marynarki, wiadomość o tej depeszy otrzymał.

Punkty, zakomunikowane z Wiednia do Berlina (13 lipca), choć skrócone, w całości zawierają wszystko, co posiada późniejsza austrjacka nota serbska, a więc 1) proklamacja króla serbskiego do narodu z potępieniem agitacji wielkoserbskiej, 2) udział wyższych władz austrjackich śledczych na terytorjum Serbji, 3) zwolnienie i ukaranie urzędników oraz oficerów, których udział w zamachu został dowiedziony. Otóż, o ile pierwszy i trzeci punkt łatwo spotkał się z aprobatą rządu serbskiego, o tyle drugi w oczach szanującego swą niepodległość, czyli suwerenność państwową męża stanu serbskiego, był niedopuszczalny.

Było to tak jasne i logiczne, że Tirpitz bez wahania oświadcza, iż po otrzymaniu treści tego ultimatum odrazu widział, że przyjęcie jego dla Serbji jest niemożliwe i stąd następstwem jego może być wojna światowa (Erinnerungen, str. 212). Tirpitz zresztą tym wyznaniem pragnie zaatakować urząd spraw zagranicznych, mierząc w swego przeciwnika kanclerza. Urząd ten może nie zdawał sobie całkowicie sprawy, za to był doskonale poinformowany o treści podejmowanego przez Austrję démarche w Belgradzie. I bardzo niedołężnie przedstawia się późniejsza obrona sekretarza stanu dla spraw zagranicznych v. Jagowa, że i w Paryżu przecież istniało bureau de sureté z ramienia władz rosyjskich (DieUrsachen und Ausbruch des Weltkrieges, str. 105) dla usprawiedliwienia żądania analogicznego organu policyjnego dla śledzenia akcji przeciwpaństwowej na gruncie Serbji z ramienia Austrji.

* * *

Jagow w owej obronie późniejszej Niemiec powoływał się na to, że nota do wiadomości rządu berlińskiego doszła 22 lipca (między 7 a 8 wieczór), a więc na dzień przed doręczeniem jej Serbji, i że Niemcy w redagowaniu jej nie współdziałały, jak to oświadczył zresztą w jednym ze swych przemówień w sejmie hr. Tisza, i że nota była postanowiona na trzy dni wcześniej (a więc 19 lipca) w radzie ministrów i przedłożona do aprobaty cesarzowi (Ursachen, j. w. str. 109-110).

Wbrew oczekiwaniu jednak autora tej obrony dokumenty ogłoszone jeszcze za jego życia zadają temu tłumaczeniu kłam. Wręcz przeciwnie, treść noty zasadniczo znana była w Berlinie wprzód jeszcze (13 lipca), zanim ją hr. Berchtold podał do wiadomości swym kolegom—wspólnym ministrom austrjacko-węgierskim (19 lipca).

Bieg przygotowań, według raportu bezpośredniego hr. Berchtolda do cesarza, był następujący. D. 14-go na naradzie z obydwoma prezesami ministrów uzgodniono punkty noty (z wiedzą i zgodą Berlina, jak powiedziano wyżej). Dni następnych miała pójść redakcja ostateczna. Na niedzielę — trzecią po zamachu (19 lipca) wyznaczona została rada wspólnych ministrów. D. 25-go (w sobotę) miało nastąpić wręczenie noty w Belgradzie (faktycznie nastąpiło dwa dni wcześniej). To opóźnienie hr. Berchtold tłumaczy cesarzowi względami na przypadający równocześnie termin wizyty (20—25 lipca) prezydenta republiki francuskiej Poincaré'go i prezesa ministrów Vivianiego w Petersburgu. Doręczenie noty w takiej chwili cesarz rosyjski mógłby przyjąć za osobisty afront, przyczem uniknie się narad między sprzymierzeńcami co do zajęcia stanowiska wobec powyższej noty. Co do jej skutku, to hr. Berchtold nie wątpił, że pociągnie ona za sobą konsekwencje wojenne. Ale nawet w razie jej przyjęcia rezultatem tego byłoby upokorzenie Serbji i upadek znaczenia Rosji na Bałkanach (Dipl. Akt. str. 54). Przy tej sposobności hr. Berchtold donosił cesarzowi, żehr. Tisza zrzekł się swych wątpliwości co do krótko terminowego ultimatum.

O tym nawróceniu hr. Tiszy mamy bezpośrednią wiadomość od ambasadora niemieckiego Tschirschky'ego w postaci depeszy jego z tego samego dnia (14 lipca) do kanclerza. W rozmowie osobistej hr. Tisza oświadczył mu, iż przekonał się o konieczności wojny, przyczem dodał, że w tej sprawie panuje teraz „zupełna jednomyślność i decyzja". Nawet na cesarza mocne stanowisko, zajęte przez Niemcy przy boku Austrji, podziałało w kierunku zajęcia takiego samego mocnego stanowiska. Cesarz Franciszek Józef — według słów hr. Tiszy — patrzy teraz na sytuację całkiem spokojnie i wytrwa do końca. Nota jeszcze nie jest gotowa, ale będzie tak zredagowana, że jej przyjęcie jest prawie wykluczone. Na zakończenie rozmowy hr. Tisza podał ambasadorowi rękę ze słowami: „Teraz, połączeni z wami, będziemy śmiało i spokojnie patrzyli w przyszłość" (D. Dok. I str. 74/75).

Taka była deklaracja wojenna dwuch przyjaciół. Cała akcja zresztą dyplomatyczna szła już w ścisłem porozumieniu ze sferami wojskowemi. Utrzymanie bowiem pokojowego nastroju przy zawiązaniu konfliktu było w interesie wojskowości, która chciała tym spotobem uśpić wroga i nie dać mu czasu doprzygotowań mobilizacyjnych. Tak wyłuszczał pogląd swój na sytuację szef sztabu v. Conrad, doktórego należała pod względem wojskowym decyzja ostateczna.

(*Dcn*) *A. Szelągowski.*

SZTUKA—A ZAGADNIENIE PIĘKNA I BRZYDOTY.

Zagadnienie piękna i brzydoty uważane jest niemal powszechnie za najgłówniejszy i podstawowy problem sztuki, krytyki artystycznej i estetyki wogóle. Wedle utartego mniemania, celem sztuki, zadaniem każdego artysty, jest *realizacja* t. zw. „piękna" w dziele sztuki, we wszystkich gałęziach sztuk, zwanych pięknemi.

Większość estetyków, dawnych i współczesnych, utrzymuje, że jedynem kryterjum utworów artystycznych—jest ich piękno. Rzeczy piękne podobają się pono wszystkim, rzeczy niepiękne, t. zn. brzydkie, podobają się chyba nielicznym jednostkom o zepsutym lub zgoła niewyrobionym smaku.

W imię tego „piękna" rzuca się wyroki potępienia, zazwyczaj na to wszystko zwłaszcza, co w sztuce świeże, nowe, odmienne, odbiegające od form znanych i uznanych aż do przesytu. Nowe kierunki w sztuce spotykają się stale—a wykazuje to wielowiekowy rozwój sztuki—z zarzutem, że propagują kult brzydoty. Tak było w dziedzinie muzyki choćby z Mozartem, Beethovenem, Chopin'em, Wagnerem—dziś i u nas z K. Szymanowskim np., w literaturze naszej nawet z Mickiewiczem, w sztukach plastycznych może najczęściej tak bywa z każdym rzetelnym artystą: przyznaje się nawet i talent czasem, ale dziełom jego odmawia się cechy „piękna"—co działa w opinji ogółu wprost zabójczo.

A czem jest to *piękno?* Jakież jest znaczenie tego wyrazu?

Naogół biorąc, wydaje się ludziom, że piękno jest czemś tak prostem i jasnem, że o właściwem jego znaczeniu mówić nawet nie warto. Panuje ogólne mniemanie, że to, co się wyraża przez pojęcie piękna, jest wszystkim doskonale znane i dla wszystkich zupełnie zrozumiałe. Rzecz tylko dziwna, że choć w ciągu 25 prawie wieków rozwoju filozoficznej myśli ludzkiej najuczeńsi i najgłębiej myślący badacze zajmowali się pięknem, nikt z nich do tej pory nie orzekł ostatecznie, czem ono jest w istocie, nikt nie określił jego cech, nie wytłumaczył, na czem się ono zasadza, dlaczego piękno właśnie stanowić ma główny przedmiot odrębnej nauki filozoficznej, za jaką uważana jest estetyka. Swojego czasu ogłosiła Akademja paryska konkurs na najlepsze określenie piękna—lecz bezskutecznie, bo określenia takiego nikt nie dał.

A wszakże pięknością pono mierzymy wartość dzieł sztuki! Jakżeż tedy posługiwać się można nieoznaczoną ściśle miarą?

Dawno już, bo jeszcze w dziele p. t. „Sztuka i krytyka u nas", zauważył St. Witkiewicz: „Gdyby ludzie postanowili, że będą mierzyć przestrzeń jakąś miarą, której nadaliby nazwę, a nie wiedzieli, gdzie się ta miara zaczyna i gdzie się kończy, czyż mogliby nią zmierzyć cokolwiek? — Tak jest dotąd z pięknem".

Estetycy współcześni doszli do wniosku, że wszystko, co ma działać estetycznie, winno być piękne, gdyż tylko to, co piękne, sprawia nam przyjemność, raduje i uszczęśliwia.

Wedle tego poglądu pięknem byłoby to tylko, co podobając się nam, sprawia przyjemność, daje t. zw. rozkosz estetyczną.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że powszechne doświadczenie najzupełniej temu przeczy.

Czyje reakcje i kiedy mają być dla nauki naszej miarodajne? Przecież nawet jeden i ten sam człowiek, zależnie od mnóstwa warunków ubocznych, może jeden i ten sam przedmiot raz nazwać brzydkim a drugi raz pięknym, w miarę tego, czy mu się coś w danej chwili podoba, czy też przeciwnie.

Jeśli zaś mamy wartość estetyczną mierzyć pięknem, stopniem podobania się, to weźmy pod uwagę same te pojęcia.

Wedle Kanta np. pięknem jest to, co bezpośrednio i u wszystkich ludzi, dzięki tylko samej formie swojej, budzi bezinteresowne upodobanie. Jest to jedno z najściślejszych określeń piękna, jakie wogóle posiadamy.

Otóż, podoba się nam mnóstwo rzeczy: nietylko dzieło sztuki, lub widok natury, twarz jakaś lub postać; podobać się może i stół czysto nakryty i potrawa jakaś, np. pieczeń, barwnie na półmisku jarzynami ugarnirowana, choć nawet jesteśmy nasyceni i ona nie dla nas przygotowana (a zatem „bezinteresowne" upodobanie w pięknie), podoba się i maszyna, podoba się często wzór matematyczny lub chemiczny, lekarzowi podoba się prawidłowy przebieg choroby, chirurgowi podoba się dobrze zoperowane miejsce, rana niezwykła, podobać się nam może nietylko dobroć, lecz i zbrodnia i *złość* nawet czyjaś, jeśli tylko silna, potężna jest w swym przejawie, podoba się i cisza leśna i huragan na morzu, mnóstwo innych przedmiotów i rzeczy. Te same objekty mogą się nam też nie podobać.

Moglibyśmy zadowolić się nawet taką definicją piękna, gdyby nie to, że bardzo często podoba nam się—w sztuce zwłaszcza—rzecz brzydka, że niejednokrotnie odczuwamy przyjemność na widok rzeczy przykrych.

Znaczenie i rola brzydoty w sztuce są tak wielkie, że jeden z estetyków napisał nawet dzieło p. t. „Estetyka brzydoty". Autorem tego dzieła jest Karol Rosenkranz.

Pojęcie brzydoty bruździ wszystkim teoretykom piękna w dotkliwy sposób. Nie wystarczy bowiem *powiedzieć*, na czem niektórzy z nich usiłowali *poprzestać*, że brzydota polega na negacji piękna. Gdyby tak było, to istnienie brzydoty wykluczałoby możność podobania się danego objektu i wykluczałoby wszelką przyjemność. Tak zaś nie jest. Z tego powodu nikt z estetyków nie obywa się już bez pojęcia brzydoty, jakiekolwiek zresztą zajmuje wobec niej stanowisko.

Jeśli pięknem jest to, co się podoba, a wiadomo nam z bezpośredniego doświadczenia naszego, że rzecz, skądinąd brzydka, w sztuce podobać się nam może, to musimy dojść do paradoksu, że brzydota jest rzeczą piękną, albowiem się podoba i może nam sprawić przyjemność. Ponadto wiemy, że w tragedji np. oglądanie sceny nad wyraz przykrej, bolesnej, sprawić nam może przyjemność; może się tedy w wysokim stopniu podobać i coś brzydkiego i nieprzyjemnego. Z drugiej znowu strony często coś, co powszechnie jest uważane za piękne, tak dalece nam się nie podoba, że widoku takiego przedmiotu znieść nie możemy.

Nazywamy np. pięknemi obrazy Rubensa. Są jednak ludzie, którzy bez przykrości, i to dość znacznej, nie mogą patrzeć na rozlewne kształty otyłych kobiet, których akty Rubens z takiem zamiłowaniem malował. Widok „wołu poćwiartowanego" Rembrandta (Paryż, Louvre), wywołuje często u widzów uczucie wstrętu, a tylko u znawcy uczucie estetycznego zadowolenia.

Któż tedy ma rację? Wszak jeśli się nam coś nie podoba, to nie zechcemy tego nazywać pięknem, choćby nas ktoś z nadzwyczajnym nawet darem wymowy do tego nakłaniał. Czyj sąd o rzeczach pięknych ma być w estetyce miarodajny?

Ale, spytajmy — cóż z tego wynika? Jakiż to wszystko związek może mieć ze sztuką, co to wszystko tłumaczy i do czego prowadzi? Jeśli estetyka chce zajmować się upodobaniami naszemi, to pocóż w specjalny sposób traktuje o sztuce?

Estetyk dzisiejszy dzieli zazwyczaj wszystkie przedmioty i zjawiska świata zewnętrznego na podobające się, t. j. piękne i na niepodobające się, t. j. brzydkie — przyczem jednak, jak już widzieliśmy, i brzydota może się czasem podobać, napisano nawet osobną estetykę brzydoty.

Podział taki ma równe uzasadnienie i jednakowe znaczenie dla nauki, jak podział np. roślin i zwierząt na nadające się do jedzenia i nie nadające się do tego celu, na smaczne i niesmaczne, albo podział ludzi na nudnych i ciekawych, sympatycznych i nieznośnych.

I spytać należy, czy to, że podoba mi się przedmiot a i c, świadczy już w jakiś sposób o charakterze i właściwości, o istocie tych przedmiotów a i c, czy też raczej o mojej tylko indywidualności, o moim charakterze, o moim kierunku upodobań?

Czyż to, że z pośród wielu doskonałych dzieł sztuki podobają się mnie i stu tysiącom różnych innych ludzi, tylko dzieła niektóre, pewnej kategorji, a wszystkie inne nie — czy to świadczyć już może samo przez się, że tylko utwory tej kategorji posiadają wartość artystyczną (gdyż są „piękne"), pewną *objektywną* cechę, a wszystkie inne, pominięte, cechy tej i wartości nie posiadają?

Czyż fakt podobania się przedmiotu jakiegoś pewnej liczbie osobników może stanowić już punkt wyjścia dla badania i rozstrząsania istoty, właściwości i wartości tego przedmiotu?

Jeśli tedy pięknem jest to, co się podoba, a miarą podobania się jest przyjemność, tj. suma uczuć i wrażeń przyjemnych, to o jakimkolwiek stałem kryterjum piękna mowy być nie może, gdyż piękno uwarunkowane jest przez czysto subjektywne nasze czynniki, podobnie jak *smakowanie* w pewnych potrawach, a wstręt do innych, żadnego stałego, powszechnego kryterjum posiadać nie może.

Z tego wszystkiego wynika niezbicie, że ani piękno, ani brzydota, ani żadne inne elementy, uwarunkowane i ugruntowane w samych tylko stanach emocjonalnych człowieka, nie mogą stanowić właściwego przedmiotu badań estetycznych.

Przez orzeczenie czyjeś, że dana rzeźba jest piękna, lub brzydka, nic się w rzeźbie tej nie zmienia, a powiedzenie takie określa tylko stan psychiczny pewnego osobnika, jest wyrazem jego upodobania i nastroju, nie mówi zaś nic o cechach i właściwościach istotnych, objektywnych tej rzeźby. Byłoby to stanowisko psycho-gastronomiczne, a nie estetyczne.

Wiadomo, że nie treść jakiegoś utworu sama, lecz przedewszystkiem forma jego decyduje o tem, czy jest on dziełem sztuki, czy też niem nie jest. Najpiękniejszy nawet pomysł, wykonany i przeprowadzony nieudolnie, nie stanowi jeszcze dzieła sztuki.

Estetyka, jeśli ma być odrębną nauką i posiadać swój odrębny przedmiot badań, musi badać przedewszystkiem wartość artystyczną dzieł sztuki, ich formę.

Jest to właściwy jej teren, przedmiot, odmienny od przedmiotów badań wszystkich innych nauk.

Rzeczą estetyki jest wydawać sądy o rodzaju artystycznego wykonania, o oryginalności artysty, o jego indywidualności, sile ekspresji, o pokrewieństwie i różnicy między poszczególnemi gałęziami sztuk pięknych, o racjonalnym sposobie odnoszenia się do dzieł sztuki, o cechach i właściwości twórczości artystycznej.

Do tych celów zdążać może estetyka jedynie na podstawie danych konkretnych, jakiemi są same artystyczne utwory. Przez wzajemne ich porównywanie i zestawienie ze sobą, przez analizowanie ich treści i formy, estetyka może i powinna dążyć do określenia ich wartości.

(*Dcn*) *Dr. Mieczysław Treter.*

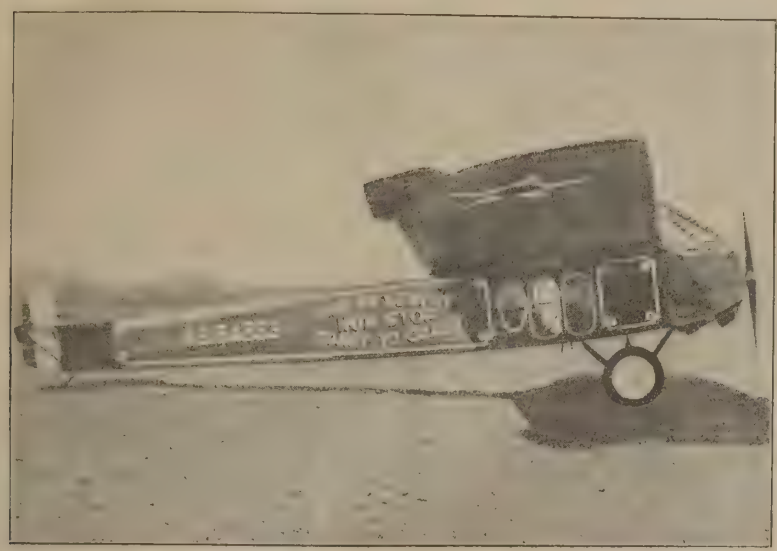

Jednopłatowiec „Fakker T. 2", na którym lotnicy amerykańscy Macready i Kelly przelecieli bez lądowania 4500 kilometrów.

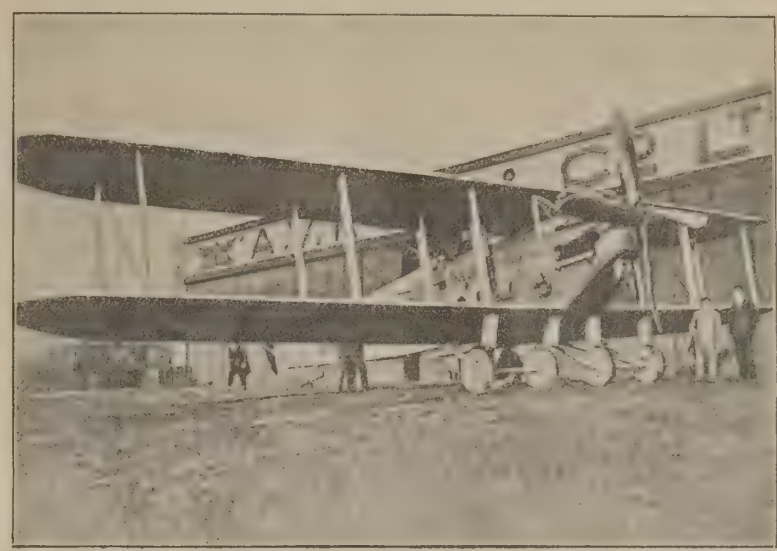

Olbrzymi dwupłatowiec Napiera o silniku 1000-konnym, odbywający podróże między Londynem a Turynem.

POWIETRZNEMI SZLAKAMI.

Dnia 10 maja r. b., na posiedzeniu izby lordów, w czasie rozpraw nad sprawą lotnictwa, lord Birkenhead domagał się takiego wzmocnienia angielskiej floty powietrznej, aby nie ustępowała flocie żadnego innego mocarstwa, a lord Salisbury zaznaczył, że wzmocnienie angielskiej floty powietrznej jest wprost konieczne.

Nacisk ten, z jakim członkowie izby wyższej parlamentu angielskiego zaznaczali nieodzowność gorętszego zajęcia się przez koła rządowe lotnictwem, nie był zgoła wyrazem czczego współzawodnictwa sportowego, tak właściwego rasie anglo-saksońskiej, lecz wprost zaniepokojenia, które musiała wywołać w Anglji gorączkowa działalność na tem polu w sąsiedniej Francji, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Istotnie, takiego współzawodnictwa w opanowaniu przestworza, jakiego świadkami jesteśmy obecnie, nie było od chwili owego wybuchu entuzjazmu, który wywołały loty braci Wrightów na pierwszym płatowcu zaopatrzonym w silnik, dokonane w Dayton (Ohio) w 1905 r., lub w pierwszych chwilach wytchnienia po straszliwej wojnie, kiedy to Alcock i Brown przelatują nad oceanem Atlantyckim, Ross Smith wędruje szlakami powietrznemi z Anglji do Australji, a Vuillemin przekracza Saharę, nie mówiąc już o samej wojnie, w której po raz pierwszy lotnictwo zasłużyło sobie na nazwę „czwartej broni", aeronautyka zaś wogóle uczyniła tak niesłychane postępy.

Zestawienie ważniejszych dat z dziejów lotnictwa w ciągu ostatnich kilku miesięcy jest tego wymownym dowodem.

I tak: 26 sierpnia 1922 r. lotnik włoski, Brackpapa, osiąga na lotnisku Mirafiori pod Turynem, na dwupłatowcu Fiat, o silniku 700-konnym, szybkość średnią 336 kilom. 468 met. na godzinę, na podstawie jednego kilometra, a już 21 września lotnik francuski Sadi Lecointe pobija na lotnisku Etampes rekord powyższy, osiągnąwszy, również na podstawie jednego kilometra, szybkość średnią 341 kilom. 717 metr. na godzinę*).

15 października lotnicy francuscy Bossoutrot i Drouhin, wzbiwszy się w powietrze dnia poprzedniego z lotniska Le Bourget, lądują, po przebywaniu bez przerwy w powietrzu 34 godz. 17 min. 7 sek., na dwupłatowcu Goliath z podwójnemi, 300-konnemi silnikami Regnaulta.

18 października jenerał Mitchell, naczelnik służby lotniczej armji Stanów Zjednoczonych, osiąga nowy rekord szybkości, przelatując na dwupłatowcu Curtissa, o 375-konnym silniku też Curtissa, średnio 358 kilom. 836 m. na godzinę, na podstawie jednego kilometra.

25 października lotnik amerykański, porucznik Leigh Wade, wzbija się na amerykańskim dwupłatowcu wojskowym z trzema pasażerami do wysokości 7,003 metr.

Samolot bez motoru podczas lotu.
Fot. C. Fernstaedt.

15 listopada lotnik francuski, Bossoutrot, zdobywa wielką nagrodę Paryża dla aeroplanów handlowych za lot okrężny na dwupłatowcu transportowym Farmana, obciążonym 300 kilogr. balastu, przeleciawszy 1,200 kilom. w 8 godz. 18 min. 36 sek., t. j. z szybkością średnią 144 kilom. 480 m. na godzinę.

14 lutego 1923 r. lotnik francuski Sadi Lecointe pobija na lotnisku Centre d'Istres pod Marsylją, rekord szybkości, osiągnięty 18 października przez jen. Mitchella, osiągnąwszy na aeroplanie Nieuport-Delage o 300-konnym silniku Hispano-Suiza, szybkość średnią 377 kilom. 657 m. na godzinę, na podstawie jednego kilom.

21 marca lotnik francuski, Jan Casale, osiąga na lotnisku Bue, na aeroplanie Bleriota z silnikiem 400-konnym Jupiter-Gnome-Rhone, rekord wysokości z balastem 250 kilom., wzbijając się na wysokości 8,200 m,

30 marca lotnik francuski, porucznik Batelier, przelatuje z lotniska Villesauvage pod Etampes, na zwykłym dwupłatowcu wojskowym 500 kilom. w 2 godz. 42 min. 51 3/5 sek., t. j. z szybkością 184 kilom. 218 m. na godzinę.

Jednocześnie porucznik Carrié z szeregowcem Bausartem przelatują z tego samego lotniska, również na dwupłatowcu wojskowym 1.000 kilom. w 6 godz. 39 m. 40 2/5 sek., t. j. z szybkością 160 kilom. 122 m. na godzinę.

29 marca w Dayton (Ohio), lotnik amerykański, porucznik Maughan, osiąga szybkość 380 kilom. 702 m. na godzinę, na podstawie jednego kilometra.

Dotychczas, przy lotach współzawodniczących o rekord szybkości, obowiązywała podstawa 1 kilometra, nad którą trzeba było przelecieć czterokrotnie, t. j. po dwa razy w każdą stronę. Doświadczenie wszakże wykazało, że przy zwiększającej się szybkości lotów podstawa ta jest zbyt mała, to też Międzynarodowa Federacja Aeronautyczna (*Fédération Aeronautique Internationale*) uchwaliła nową podstawę trzykilometrową, a średnia z dwukrotnego przelotu nad nią ma orzekać o szybkości aeroplanu.

Nowe to postanowienie zaczęło obowiązywać od dnia 1 kwietnia 1923 r., a zaledwie weszło w życie, już lotnik amerykański, porucznik Lister J. Maitland, osiąga dnia 3 kwietnia, na tej nowej podstawie, na lotnisku w Dayton (Ohio), szybkość 383 kilom. na godzinę.

Rekordu tego dokonywa Maitland na zwykłym amerykańskim dwupłatowcu wojskowym, osiągając nawet przy locie z wiatrem, na przestrzeni trzech kilom., szybkość 436 kilom.

Jednocześnie, na tem samem lotnisku, porucznik Peirson przelatuje na dwupłatowcu wojskowym przestrzeń 500 kilom. w 1 godz. 51 m. 12 sek., pobijając rekord lotnika francuskiego, Bateliera, a porucznik Harris — przestrzeń 1.000 kilom. w 4 godz. 52 min. 35 sek., pobijając rekord Carrié'go.

Tu zwrócić należy uwagę, że rekordy osiągnięte na podstawie jednego lub trzech kilom. i rekordy osiągnięte na przestrzeni kilkuset lub więcej kilom. zaznaczane są oddzielnie z tego względu, że do pierwszych lotów używa się zwykle lekkich samolotów sportowych, a w każdym razie zabiera się ilość benzyny i smarów daleko mniejszą, niż przy lotach na wielką odległość, co umożliwia, przy mniejszej wadze, osiągnięcie większej szybkości.

Ale piękna „performance" porucznika Maitlanda nie wyczerpuje jeszcze szeregu triumfów lotnictwa amerykańskiego, bo oto dnia 17 kwietnia lotnicy: John Macready i Oakley Kelley, wzbiwszy się z lotniska w Dayton (Ohio) w powietrze, na jednopłatowcu Fokkera, o 400 konnym silniku Curtissa, utrzymują się w powietrzu bez lądowania 36 godz. 5 min. 20 sek., przelatując w tym czasie, wzdłuż trójkątnej mety długości 31 3/8 mili ang., 2,541.2 mil. ang. t. j. 4,090 kilom.!

*) Poprzednie, najważniejsze rekordy od chwili budowy pierwszego aeroplanu znajdzie czytelnik w powieści „W osiem dni dokoła świata." (Nakład Gebethnera i Wolffa) na str. 20-ej i następnych.

Samolot bezmotorowy „Phoenix 3", który może wzlatywać z powierzchni wody.

Fot. C. Fernstaedt.

Pierwszy polski samolot bez motoru „Ikub I", zbudowany przez inż. J. Kubickiego w Warszawie.

Fot. J. Wołyński.

Tego samego dnia porucznik Harris przelatuje na dwupłatowcu De Havillanda 4 B., 1,500 kilom. w 8 godz. 9 min., a 2 000 kilom. w 10 godz. 53 min., t. j. niemal dwa razy szybciej, niż lotnicy francuscy: Batelier i Carrié, porucznik zaś Irving osiąga na dwupłatowcu marynarki amerykańskiej, obciążonym balastem *tysiąca* kilogr. a ważącym razem z balastem 6,000 funt. ang., wysokość 11,300 metr.

Prawdziwy wreszcie entuzjazm wywołują nie tylko już w świecie lotniczym wspomniani powyżej odważni lotnicy Macready i Kelley, przylatując dnia 3 maja do San Diego w Kalifornji, po przeleceniu bez lądowania nad całemi Stanami Zjednoczonemi, od wschodu na zachód, z lotniska Roosevelta na Long Island, pod Nowym Jorkiem, w ciągu 26 godz. 50 min. 38 $^{1}/_{5}$ sek. (Według obliczeń urzędowych, po uwzględnieniu różnicy czasu pomiędzy San Diego a Nowym Jorkiem)!

Przestrzeń, którą przelecieli, wynosi około 2,600 mil ang., t. j. 4,500 kilom., lecieli więc z szybkością średnią 175 kilometr., posiłkując się w nocy tylko kompasem.

Użyty przez nich i wypróbowany już podczas lotu z dnia 16 kwietnia jednopłatowiec Fokker T. 2. o płatach grubych, całkowicie z metalu wykonany i zaopatrzony w silnik 400-konny Curtissa, nosi na tułowiu napis: *Army Air Service. Non Stop—Coast to Coast.* (Służba lotnicza armji. Bez zatrzymania od wybrzeża do wybrzeża.

Napis nie zawiódł. Aeroplan, na którym go umieszczono, dotrzymał wspaniale obietnicy.

W 1919 r. lotnicy angielscy Alcock i Brown, przeleciawszy nad oceanem Atlantyckim z Newfoundlandu do Irlandji, przebyli przestrzeń 3,085 kilom., a zatem Macready i Kelly, dokonawszy bez lądowania podróży powietrznej o 1,415 kilom. dłuższej, mogliby obecnie przelecieć nad północnym oceanem Atlantyckim z Newfoundlandu do Brestu, lub nad południowym — z Dakaru w Afryce do Pernambuco w Brazylji.

Wreszcie dnia 28 maja lotnik amerykański, porucznik Harrison G. Crooker, przelatuje 1,400 mil ang. (2,252 kilom.), bez postoju, od zatoki Meksykańskiej do granicy Kanady, a więc nad całemi Stanami Zjednoczonemi od południa na północ, w ciągu 11 godzin 39 min.

Wprawdzie lot ten nie dorównywa lotowi Macready'ego i Kelleya, Crooker jednak odbył tę szaloną podróż sam jeden, nie mając nikogo do pomocy, złożył więc dowód niezwykłej wytrwałości.

W ten sposób w ciągu czterech miesięcy r. b. wszystkie rekordy lotnicze, tak pod względem wysokości „pułapu", jak i szybkości, długości i trwania lotu dostały się w ręce lotników z drugiej półkuli ziemi naszej. Ale właśnie dlatego, jak to już było po pierwszych lotach braci Wrightów, możemy się znów spodziewać zadziwiających rekordów i na kontynencie europejskim.

A skutkiem tego bezpośrednim jest coraz większy rozwój komunikacji lotniczej przez ciągłe udoskonalanie maszyn, jak również panowanie nad niemi.

Lotnik niemiecki Schulz odbywa na swym samolocie bez motoru lot rekordowy około 52 kilometrów, lecąc cały czas na wysokości 35 metrów nad ziemią.

Fot. C. Fernstaedt.

Wprawdzie nie opanowaliśmy jeszcze zupełnie przestworu, to też zdarzają się tragiczne niespodzianki, jak te, o których telegraf przyniósł świeżo wiadomość:

Dnia 13 maja wspaniały dwupłatowiec pasażerski typu Goliath, Farmana, odbywający podróże regularne pomiędzy Paryżem a Londynem, zapala się w powietrzu i ogarnięty płomieniami, spada pod Monsures we Francji, pilot zaś jego i mechanik, tudzież 4 podróżnych, znajdują śmierć w płomieniach, zaraz zaś następnego dnia pod Horten, w Norwegji wskutek oderwania się płatów, norweski hydroplan wojskowy z dwoma oficerami i szeregowcem wpada do morza i wszyscy trzej lotnicy giną w głębinach morskich.

Schulz na swym aparacie bez motoru.

Fot. C. Fernstaedt.

Lotnictwo jednak stało się już tak potrzebnym środkiem komunikacyjnym, że tego rodzaju wypadki, acz bardzo smutne, nie są w stanie odstraszyć ludzi od korzystania z tego nowoczesnego środka skracania czasu i przestrzeni, jak katastrofy kolejowe nie odstraszają od korzystania z kolei.

Dość przypomnieć jedną z najwcześniejszych katastrof takich, bo jeszcze z 1842 r., której ofiarą padł słynny podróżnik i marynarz francuski, admirał Dumont d'Urville, spalony żywcem wraz z żoną i synem w wyklejonym, a szczelnie zamkniętym, według ówczesnego zwyczaju, wagonie kolejowym. Katastrofa ta zgoła nie opóźniła rozwoju znajdujących się wówczas jeszcze w okresie dziecięctwa kolei żelaznych. Tak samo i obecnie odosobnione wypadki lotnicze nie powstrzymają już rozwoju lotnictwa, a wymownym tego dowodem jest choćby to, że zaraz następnego dnia po wypadku w Monsures, z lotniska Le Bourget, pod Paryżem, poleciało, jak zwykle, do Londynu 14 samolotów, unosząc 75 podróżnych i 4,000 kilogr. towarów.

* * *

Gdy z jednej strony lotnictwo rozwija się w kierunku budowy coraz większych samolotów o potężnych silnikach spalinowych, to z drugiej strony ujawnił się niespełna przed rokiem ruch ożywiony w kierunku wręcz przeciwnym, mianowicie budowy małych, lekkich samolotów zupełnie bez silników.

O pierwszych próbach z takimi samolotami bezsilnikowemi, dokonanych w górach Rohn, w pobliżu Fuldy, przez inżynierów niemieckich Hentzena i Martensa, próbach, które wywołały olbrzymie wrażenie w całym świecie lotniczym, pisałem już w swoim czasie na tem miejscu obszernie *), powracać więc do nich tutaj nie będę, zaznaczę tylko, że już wówczas tak słynny lotnik, jak Bleriot, osądził próby owe temi słowy: „Lot bez silników nie może mieć nigdy znaczenia praktycznego. Co najwyżej będzie sportem tak interesującym, jak saneczkowanie. Lot żaglowy niemożliwy jest bez wiatru. Skoro wiatr ustanie, samolot musi runąć, jeżeli nie posiada silnika".

Stefan Barszczewski.

(*Dcn*).

*) Patrz „Tygodnik Ilustrowany" Nr. 43 z dnia 21 października 1922 r. artykuł p. t. „Nowe zdobycze lotnictwa".

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

I.

— Patrz, idzie inżynier z małym Jakóbem—mówiła pani burmistrzowa do swej córki Marjanny—o tej porze już dawno powinien być w fabryce.

Te panie były bardzo elegancko ubrane i na pierwszy rzut oka wyglądały nawet trochę dumnie, szczególniej matka.

Mały Jakób nie ukłonił się jak należy, salutował tylko poprostu, prędko i niedbale. Inżynier zdjął grzecznie kapelusz, ale pani burmistrzowa powiedziała mimo to:

— Ten mały nie ma żadnych manier. To łatwe do zrozumienia; jego rodzice jeżdżą sobie po świecie i pozostawiają wychowanie syna obcym ludziom.

— Mnie się zdaje, że Jakób mamy wcale nie spostrzegł—zauważyła Marjanna—widział tylko mnie i już dalej nie patrzył.

— Ty także nie jesteś jemu równa—odparła krótko matka.

Burmistrzowa miała słuszność. Marjanna wyglądała w jasnem świetle słonecznem ogromnie okazale, prawie jak panna na wydaniu.

Ładna panna z dobrego domu; takie było zewnętrzne wrażenie. Inżynier obejrzał się za nią z przyzwyczajenia, choć w tej chwili miał głowę czem innem zajętą.

— Czy pan jest dzisiaj wolny?—zapytał Jakób.

— Jesteś strasznie ciekawy, mój drogi. Wolny? Wolnym nikt nie jest, takich ludzi nie ma w Europie. Ale jest jeszcze bardzo wcześnie.

— Dziewiąta godzina—stwierdził Jakób.

Inżynier zdawał się nie słyszeć tej uwagi. Ale Jakób pytał dalej.

— Gdzie pan właściwie idzie?

— Gdzie?—powtórzył inżynier lekceważąco — czy ty musisz zawsze wiedzieć gdzie idziesz, jak idziesz na przechadzkę? Doprawdy, nie zasługujesz ani na tę cudną pogodę, ani na twoje długie wakacje.

Ale Jakób choć był jeszcze taki mały, musiał mieć zawsze jakiś cel przed sobą.

— Łódź już jest naprawiona — zauważył po chwili—chciałbym jej spróbować.

Przed nimi pokazał się właśnie mały staw, własność gminy, tak samo jak i wcale niepokaźna łódka, przywiązana na śmiesznie długim sznurze.

— To nie jest twoja własność—odpowiedział inżynier, mimowoli jednak stanął, bo właśnie przed chwilą myślał o podróżach morskich.

— Mam pozwolenie używania jej—utrzymywał Jakób.

— Żadną miarą—powiedział inżynier ostro — ja mam za ciebie odpowiedzialność. Więc spróbujmy, skoro chcesz koniecznie, ale prędko, prędko, ja nie mam czasu na zabawę.

Jakób odwiązał maleńkie czółenko i skoczył zaraz do środka.

— Jeszcze nie—zawołał do inżyniera, który chciał pójść za jego przykładem.

Lecz już było zapóźno. Łódź nie mogła utrzymać ich obu i przewróciła się do góry dnem.

Musieli przepłynąć kilka metrów i przyszło im to łatwo, pomimo ubrania i butów. Kiedy stanęli na brzegu, ściekała z nich woda strugami. Inżynier trząsł się ze śmiechu. W końcu oświadczył:

— Powinniśmy pójść do domu, zmienić bieliznę i ubranie.

Jakób był tego samego zdania.

— Ale—mówił dalej inżynier—po co mamy się narażać na nieprzyjemne pytania i wymówki. Moglibyśmy tu całkiem dobrze przez godzinę biegać po łąkach.

— Niech i tak będzie — rzekł Jakób pobłażliwie i odrazu się puścił.

Biegł tak przez łąki, które się ciągnęły do następnej wsi.

— Jeżeli się pośpieszymy — mówił inżynier, podniecony—jesteśmy tam przed jedenastą i możemy wrócić koleją.

— Ale pan nie ma czasu, niestety—zauważył mały ze smutkiem.

— O, ja zawsze mam czas—odpowiedział opiekuń i kłusował wesoło naprzód.

Bieganie było mu do twarzy. Właściwie był to chart w ludzkiej postaci. Jakób nie mógł go sobie wyobrazić w zupełnym spokoju. Zdarzało się, że rysował—dla siebie, nie dla fabryki—jadł albo spał, ale to nigdy długo nie trwało. Jakób myślał czasem, że inżynier nietylko nie ma wytrwałości, ale że mu nawet nie przechodzą przez głowę żadne poważniejsze myśli. Pewnego razu burmistrz zauważył, że inżynier miewał oryginalne pomysły i dlatego trzymali go w fabryce. Od tego czasu Jakób oczekiwał zawsze, że usłyszy od niego coś pouczającego i dlatego dotrzymywał mu stale towarzystwa.

Ten chłopiec więcej znajdywał przyjemności w poważnych rozmowach, jak w bezcelowem uganianiu po łąkach.

Inyżnier wyczytał mu to naraz z oczu.

— Jeżeli ci się nudzi, to nie potrzebujesz się zmuszać. Do następnej wsi jeszcze daleko.

Naraz przypomniał sobie swoją odpowiedzialność:

— Czy jesteś już suchy?

— W domu się niczego nie domyślą—odpowiedział Jakób wymijająco.

— Dobrze, to biegnij napowrót.

Rozstali się, bo inżyniera nic nie było w stanie zmusić do zaniechania raz rozpoczętego przedsięwzięcia.

— O mnie nic nie mów w domu — zalecał surowo chłopcu—także ani słowa o tej łódce. A gdyby coś spostrzegli, powiesz: Wpadłem do wody, ale o mnie ani mru, mru, rozumiesz?

Jakób spotkał żonę inżyniera odrazu w ogrodzie. Była w szerokim, wyblakłym szlafroku i wyjmowała z gruntu sałatę, czy coś podobnego i zupełnie na niego nie zwracała uwagi. Mógł by był przejść niepostrzeżenie. Lecz w pokojach znajdowała się prawdopodobnie teściowa inżyniera — stara majorowa, która posiadała wprawdzie rodzaj humoru, ale trudniej się dawała oszukać, niż jej córka.

Majorowa była bardzo krótkowidząca; widziała tylko to, o czem w tej chwili myślała. O stanie ubrań Jakóba myślała rzadko. Tylko Jakób sam odczuwał ten wilgotny ciężar, który musiał nieść na sobie.

Słońce paliło, a tylna część ciała inżynierowej, pochylonej nad sałatą; rysowała się dokładnie pod szlafrokiem. Była młoda, ale nie ładna. Zazdrość i oszczędność czyniły ją czasem mało przyjemną dla otoczenia. Przeżywała zdaje się jeszcze miodowe miesiące i roztaczała wokoło siebie woń świeżej miłości małżeńskiej. Ile razy ją Jakób widział, musiał myśleć o wielkiem podwójnem małżeńskiem łożu, które zajmowało największy pokój w domu. Zmysły jego spały, ale wiedział już niejedno o tem i o owem. Inżynierową traktował zimno, ale jak tylko mógł najgrzeczniej.

— Czy może mogę pani pomóc? — zapytał ostrożnie zdaleka.

Nie, tego sobie nie życzyła.

Za to wolno mu było pójść do majorowej i prosić ją o kawałek chleba z masłem. Miał swoje powody do zrezygnowania z tej przyjemności.

— Dziękuję, nie jestem głodny.

— Mój kochany, w szkole jesz zawsze drugie śniadanie, nie potrzebujesz głodzić się podczas wakacji.

Uzbrajał się w cierpliwość. W chłodnym, niskim pokoju, pachnęło zielonymi orzechami. Gruba, czerwona majorowa czytała gazetę. Ale widziała mimo to wszystko, co się naokoło niej dzieje. Jakób stał, wahając się i wsłuchiwał się w brzęczenie much. Wpadło mu na myśl, jak niektórzy ludzie dziwnie długo żyją. Przytem nie miał nic przeciwko majorowej. Tylko wydawało mu się ciekawem, że majorowa miała już zamężną córkę, a mimo to tańczyła zeszłej zimy mazura z panem Teofilem z poczty. Majorowa pozwalała żyć wszystkim ludziom, jak im się podobało i Jakób także nie słyszał od niej nigdy złego słowa, a jednak czułby się o wiele swobodniejszym, gdyby jej tu nie było. Prowadziłoby się wtedy poprostu życie kawalerskie z inżynierem i jego żoną. Innych dzieci też nie było w domu.

— No? — zapytała naraz.

Zaczął wyłuszczać sprawę chleba z masłem, powołując się na inżynierową.

Podniosła się, ale nie natychmiast i zauważyła, zawsze trzymając jeszcze gazetę przed sobą:

— Ty jakoś dziwnie wyglądasz.

— Ja?

— Proszę cię, przyjdź bliżej.

— Bo ja właśnie...

— Bliżej, mój przyjacielu, bliżej.

— Bo ja właśnie... wpadłem do wody — tylko ja sam...

— A, tylko ty sam?

— Tak.

— Widzisz, zaraz to sobie pomyślałam.

Miała swój humorystyczny wyraz twarzy. Nie szyderczy, ale jakby ucieszony i przytem ciekawy. Patrzyła się tak, jakby nosiła okulary, ale ich nie nosiła. Miała właściwie dobre oczy, które były wszystkiego ciekawe.

— Do stawu? — dowiadywała się.

— Do stawu.

(*Dcn*)

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 22)

CZĘŚĆ II.

I.

Powódź słonecznego żaru i blasku letniego dnia zalewała szerokie rozłogi doliny Górnego Kerulenu.

Ale w jurcie książęcej, pokrytej grubym białym wojłokiem, było chłodno i panował łagodny półmrok.

W słupie sinawego światła, wpadającego z góry przez otwór nawpół odsłoniętego dymnika, siedziała na podwiniętych nogach na burym, jak ziemia, kobiercu z wielbłądziej sierści, młoda dziewczyna. Jej pulchne, białe ręce, z krótkiemi, obciążonemi srebrnemi pierścionkami palcami, pracowicie poruszały się nad czerwonym płatem cienkiego sukna, dzieżgając kwiecisty wzór kolorowym jedwabiem. Dookoła jej pochylonej twarzy drżały i dźwięczały cichutko srebrne łańcuszki i blaszki, zwieszające się z wysadzanej koralami i turkusami czapeczki—„poł-ty", zapalały się i gasły srebrne iskry monet na pokrowcach długich warkoczy, wznoszonych miarowo falowaniem wypukłych piersi.

W szarych cieniach jurty, przedziwnie odciętych od blasku i rozgwaru dnia, postać dziewczyny, otulonej miękko w niebieskie jedwabie, chwiała się i gorzała niby barwny kwiat skropiony srebrem i złotem rosy w mrocznych głębinach południowego lasu.

Nagle Mongołka podniosła głowę i nadstawiła uszu, lecz poza dalekim śmiechem i okrzykami dzieci, bawiących się w „Ca-gau te-meu" (Białego wielbłąda), nic nowego nie dobiegło ją z zewnątrz; zwróciła więc oczy za siebie w ciemny kąt, gdzie na wałku nizkiego łoża bielała plama nieruchomej twarzy.

— Czego, Szag-dur?... Gorzej ci?!...—spytała dziewczyna piersiowym głosem.—Może ci dać świeżego kumysu?...

— Nie, Tu-sziur, nie gorzej mi!... Tylko tak mi się... nudzi! Tak mi się strasznie nudzi! —odrzekł chory.—Wiesz co: może jabym wyszedł trochę na słońce, popatrzał...

— Nie wiem, czy wolno? Co powie Ciultum lama? Kazał ci leżeć spokojnie jak najdłużej... A jeżeli cię na dworze zobaczy jaki brzydki „jel-czi"?*)—dodała z żartobliwą zalotnością.

— A niech tam!... Zresztą... skądżeby się wziął w biały dzień!... — uspokajał poważnie dziewczynę, widząc, że ta waha się i choć wstała, nie zbliża się ku niemu.

— Pomóż mi, Tu-siur! Doprawdy, bądź dobra... Słyszysz, jak tam dzieci śmieją się? Ciekaw jestem, kto ukradł „Białego Wielbłąda"!?...

— Napewno mój braciszek, „Ałtyn Chara-ci" **). Nikt inny! Takiego złodzieja niema w całym „choszunie"! Ty go nie znasz, bo on był zupełnie malutki, kiedyś ty raz ostatni był u nas przed wyjazdem na północ...

*) Duch.

**) Złota Jaskółka—przezwisko.

— Właśnie. Chcę go zobaczyć. Dotychczas nie przychodził do mnie.

— Bo go nie było. Gościł u ciotki w A-szen Cha-ra-ule...

— Właśnie, właśnie! Słyszałem... Poszła stamtąd wyprawa nad Wielką Rzekę... Koniecznie chcę wyjść, zobaczyć! Wiele się zmieniło pewnie przez ten czas, wiele się zmieniło...

— Ależ nic się nie zmieniło, doprawdy: śniegi na górach Ken-tej bieleją jak bielały i Kerulen płynie, jak płynął... Tylko... myśmy się trochę... zestarzeli!...

Wstrząsnęła brzękadłami i rozśmiała się, pokazując dwa rzędy białych, jak perły, zębów. Śniada jej twarzyczka z ciemnym rumieńcem na policzkach, z małym nosem o rozdętych nozdrzach, oświetlona czarnemi podłużnemi oczami, rozgorzała na chwilę figlarnym, wesołym ogniem. Chory uniósł się na pościeli i nogi na ziemię opuścił.

— Zaraz, zaraz. Pomogę ci! A niech tam się gniewają! Oto twoje buty!—pośpieszyła mu z pomocą dziewczyna.

Za chwilę młodzieniec, podtrzymywany przez Tu-sziur, stanął przed pstro malowanemi drzwiami, które przewodniczka jego natychmiast otwarła, podnosząc jednocześnie pokrywający je z zewnątrz kawał wojłoku.

Promienie słońca i ciepły wiew wiatru, przesiąknięty aromatem traw, mięty i piołunu, uderzył im w twarze. Chłopak zakrył oczy dłonią i wsparty o kratę namiotu, stał chwilkę jak oszołomiony, nie mając siły przestąpić wysokiego progu...

— A co, nie mówiłam!?...—zwróciła się do niego z czułością i niepokojem dziewczyna. — Jesteś jeszcze zbyt słaby, wrócimy!...

— Nie, nie!... Wszystko będzie dobrze!... — nie zgadzał się chłopak, przemógł się nagle i, odtrąciwszy wyciągniętą ku sobie dłoń przewodniczki, zwycięsko przeszkodę przekroczył, poczem na chwiejących się trochę nogach pomaszerował wprost ku porzuconemu pod ścianą jurty zwitkowi trzcinowych mat.

— A co? — rozśmiał się triumfująco, spoglądając na zatrzymującą się obok niego Tu-sziur.

— Zuch, prawdziwy „ba-tyr" jesteś!... Niedługo na konia siądziesz! I to nie na byle jakiego, ale na na samego „Tar-łan boza" co to, pamiętasz, śpiewają o nim w pieśniach o Edygeju!...

— Ach, ładna pieśń!... Pamiętam... Dlaczegóż bym miał zapomnieć!...

— Bo wy tam, w tych wielkich miastach północy i południa łatwo zapominacie o Mongolji... A ty tam siedziałeś tak długo...—odszepnęła cicho.

Chory wdychał z rozkoszą świeże ciepłe powietrze i wodził zachwyconym wzrokiem po szmaragdowej roztoce doliny, której środkiem wił się srebrny, wąż rzeki a po bokach wznosiły się, przymglone gorącem, różowo-szare skały. Z załomów urwisk i poprzecznych wąwozów wyglądały malachitowe zarośla modrzewiowych i cedrowych lasów, kryjące się tam przed suchemi wiatrami. Djadem wysokich okolicznych gór, równie sinych jak dalekie obłoki, spinał pośrodku doliny wyniosły śnieżny szczyt. Na łące pasły się liczne stada pstrego bydła, tabuny różnomastych koni, oraz wysokie skupiska rudych, kanciastych jak głazy wielbłądów. Na uboczu widać było tu i tam czujne, nieruchome postacie konnych „czaban-ów" *) a na upłazach gór bielały „gurty" owiec, obiegane przez wilczate psy i strzeżone przez czarnych, kołtuniastych owczarzy.

Bliżej „stawki" **) gromada dzieci w krótkich spodeńkach lub całkiem nagich, ogorzałych na miedź, tworzyła ruchliwe, wrzaskliwe koło, po środku którego chodził i krył się przed biegającemi na zewnątrz „złodziejskiemi wilkami", ogorzały i nagi jak oni—„Biały Wielbłąd".

— Ach pięknie tu, pięknie!... Czyż to można zapomnieć?...—mruczał chory, odwracając pobladłą twarz od Tu-sziur, gdyż czuł z przykrością, że mu oczy wilgną.

Zapatrzona w dal dziewczyna nie widziała zresztą tego, nie słyszała nawet, co mówił.

— Jadą...—szepnęła nagle.—Jadą!...

— Kto jedzie?—spytał chory, zwracając oczy w tym samym kierunku.

— Nie wiem. Pewnie ktoś z A-szen Cha-ra-ułu. Może Czi-rin, bo dziś miał wrócić!...

Istotnie jeździec jakiś pędził od śnieżnych gór i rósł w oczach szybko, jak ptak lecący tuż nad ziemią. Już psy, pastuchy, nawet bydło zwróciły głowy w tę stronę.

— Tak to Czi-rin!—rzekła spokojnie Tasziur.

— Poznają jego karego wierzchowca... ale za nim, tam... daleko... jadą jeszcze... i dużo...— dodała zaciekawiona.

Z drugiej jurty, stojącej tuż obok wyszła w tej chwili, piękna wysmukła kobieta w niebieskich jedwabnych sukniach chińskiego kroju, w takiej samej jak u Tu-sziur koralowej „połty" i równie jak dziewczyna suto obwieszona srebrnemi ozdobami na głowie i piersiach. Miała prócz tego na rękach grube srebrne bransolety, a w uszach wielkie kolczyki z bursztynowemi gałkami. Bystro spojrzała w dal, wyjęła z ust małą fajeczkę i schowała ją do kieszeni, poczem podeszła do siedzącego na macie Szagdura. Tu-sziur na jej widok natychmiast spoważniała i cofnęła się pół kroku w tył, kryjąc za chorego.

— Mandu ***), Szag-dur!... — wyrzekła łaskawie.

— Mandu, Ge-ril-tu Cha-num!—odpowiedział młodzieniec, wyciągając przed siebie powitalnie złożone w miseczkę dłonie.

— Widzę, że wracasz do zdrowia. To dobrze, gdyż niedługo odkoczujemy stąd ku miastu... Ale co to jest... Co ten chłopak tak pędzi na złamanie karku? Jeszcze konia zapali.

Zmarszczyła brwi niezwykłej u Mongołki gęstości i skierowała gniewny wzrok na nadlatującego jeźdźca. Wszyscy go już dawno zauważyli i wielu biegło w stronę namiotu księcia. Był to istotnie Czi-rin, rodzony brat Tu-sziur a brat Feril-tu, drugiej żony Na-myń Dor-dżi No-jo-na, księcia choszunu Na-łaj, plemienia Chał-cha, pana tej miejscowości oraz wielu innych, właściciela jurt, tabunów i ludzi ****).

*) Pastuchów. (*Dcn*)

**) Zwykle kilka jurt razem stojących — tworzy „stawkę".

***) Powitanie mongolskie.

****) Chał-cha nazywają sami siebie Mongołowie *Wschodnich* ajmaków (chorągwi). Ajmaki, które odpowiadają księstwom, dzielą się na „choszuny"— coś w rodzaju powiatów. Na czele ajmaków stoją chanowie, na czele choszunów—nojonowie (książęta). „O-löt" zwą się mongołowie *zachodnich* ajmaków.

MISTERJUM WAWELU-ILJONU NA DZIEDZIŃCU KRÓLEWSKIEGO ZAMKU.

„Odprawa posłów greckich" Jana Kochanowskiego wystawiona na Zamku Wawelskim w Krakowie.

By pojąć, jak wielce duszę Krakowa i archaiczny styl wawelskiego dworu pojął i zrozumiał Wyspiański, gdy Akropolem zwał wyniosłe wzgórze królewskiego zamku, i w „Akropolisie", w katakumbach grobów królewskich szukał istoty wielkiej przeszłości narodowej w „długą narodową noc" niewoli, trzeba było zjawić się w ową noc czerwcową w krużgankach dziedzińca królewskiego zamku, gdy in praesentiam J. M. Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na theatrum w arkadowym dziedzińcu dnia 16 czerwca anno Domini MCMXXIII—„Odprawę posłów greckich" Jana Kochanowskiego, „Orfeusza Sarmackiego", godnie reprezentowano.

350 lat temu na takimże theatrum w Jazdowie nad Warszawą na feście u Jego M. Pana Podkanclerzego Koronnego kompanja zacnych aktorów godnie widowisko to odegrała.

I oto po trzystu pięćdziesięciu latach, po zmiennych losu kolejach, po smutnej pamięci śnie zimowym niewoli narodu, na tle zamku, z głębi komnat królewskich, od tej strony, gdzie niegdyś były komnaty mieszkalne Zygmunta Augusta, wyszły na scenę, jak zaklęte w śnie nocy czerwcowej persony „historji trojańskiej", duchy dawnych, dostojnych mieszkańców Troi—Wawelu. Rozegrała się ta piękna sztuka dramatyczna, pisana przez Jana z Czarnolasu jako utwór tendencyjny, aktualny, a nic nie tracący po stuleciach minionych ze swej wartości artystycznej.

Przyznać trzeba, że koncepcja wystawienia utworu Jana Kochanowskiego na tle tak królewskiego i imponującego sztafażu, jakim jest dziedziniec arkadowy wawelskiego zamku, jest przepyszna. Zdało się na moment, że naprawdę wznosimy się przez chwilę na wyżyny sztuki archaicznej o poziomie tragedji greckiej, granej na stokach Akropolu, gdy wśród głuchej ciszy, pod kopułą gwiaździstego, pogodnego lazuru rozległy się fanfary trębaczy, zapowiadające początek reprezentacji.

Wysokie tradycje teatralne wawelskiego grodu zmartwychwstały w tem koturnowem widowisku, odegranem na cześć Najwyższego Dostojnika Państwa, zaszczycającego wraz z reprezentantami rządu swą obecnością piękny spektakl w teatrze na Wawelu.

Choć twórca „Odprawy posłów greckich" Jan z Czarnolasu sztukę swą w skromności niezwykłej, raczej „molom na pokarm, albo na trąbki do apteki" odpowiednią być mniemał, jednak ta pierwsza, oryginalna tragedja renesansowa polskiego piśmiennictwa, wystawiona została z takim pietyzmem i w takich wspaniałych warunkach zewnętrznych, iż poezja lutni Jana Kochanowskiego, acz dźwięcząca tonami 16 stulecia, nic nie straciła ze swego czaru, lecz iskrzyła się wszystkiemi blaskami poetyckich klejnotów, i w tę cichą noc letnią, w oprawie królewskich scenarji, wzniosła się na szczyty koturnowej patetycznej sztuki.

Krakowianie, przywykli do swego królewskiego zamczyska, nie odczuwali tak silnie może tej wyżyny wzruszeń artystycznych, jaką przeżywali obcy. Piszący te słowa był wówczas, w tym dniu, w gronie dziennikarzy rumuńskich, którzy bawili wtedy w przejeździe w Krakowie. Trzeba było obserwować ich zdumienie, ich podziw wobec tego arcydzieła sztuki teatralnej, tych efektów scenicznych, uzyskanych za pomocą środków tak pełnych prostoty, ale tak właśnie przez to posągowych, iż zbliżyły tę tragedję renesansową do idealnych wzorów tragedji greckiej.

A kiedy na tle refleksji chóru panien zamkowych, na tle Parysa z Antenorem i starego króla Troi Pryjama z Antenorem, rozlegał się złowieszczy krzyk wróżki, Kassandry, szalonej z patrjotycznego bólu i jasnowidzenia smutnego jutra klęski narodowej, widzami wstrząsnął najszlachetniejszy, artystyczny dreszcz zgrozy.

Wysnuta z archaicznych wzorów, baśniowa tragedja o płochym, lekkomyślnym Aleksandrze-Parysie, który przez porwanie królowej Heleny ściąga nieszczęście wojny na Trację, ma w sobie przy całej swej tendencji, zastosowanej do ówczesnych trosk narodowych za króla Stefana Batorego, tak świeże tchnienie sztuki współczesnej, iż wprost wierzyć się nie chce, że piękny wiersz Jana z Czarnolasu już skrzy się patyną ubiegłych stuleci, tak sugestywny jest ten problem lekkomyślnej prywaty, zaślepionej w małoduszności i zacietrzewieniu, nad którem panuje posągowa postać Antenora, którego męska, przewidująca postawa dominuje szlachetną wyżyną nad małością obozu Parysów, nad starością i zniedołężnieniem starczych Pryjamów, gdy w spiżowym apelu ozwie się ten rycerz bez skazy: „Radźmy też o wojnie, nie wszystko się brońmy: radźmy jako kogo bić, lepiej niż go czekać".

Sztuka z przed czterech stuleci, rzucona dziś wspaniałą wizją na królewskie arkady starego zamku, wywiera wrażenie niezatarte. Oczywiście, że efekty teatralne zdziałały tu bardzo wiele, a kunszt inscenizacji, wyzyskujący szlachetne kontury wspaniałego gmachu królów polskich, przy doskonale sharmonizowanych efektach świetlnych reflektorów i rampy ukrytej, stworzyły całość o zupełnie niecodziennych walorach artystycznych.

Inscenizację i reżyserję dyr. Trzcińskiego, wspomogła tedy świetnie przez rektora Szyszkę-Bohusza zaprojektowana scena teatru, te schody amfiteatralne, wznoszące się ku komnatom królewskim, zaś całość dramatycznej poezji Jana z Czarnolasu w kształty żywe aktorów przelała ta garść artystów, która pod wodzą Wysockiej (Kassandry) i Brackiego (Antenora) cały wysiłek swej gry włożyła w dzieło renesansowego twórcy.

Wysocka dała całą maestrję swej sztuki dramatycznej, w tych przejawach oszalałej z bólu wróżki, prześladowanej przez Erynie jasnowidzeń, i prorokującej złowróżbne fata ojczyzny, sfinalizowane w okrzyku: „Matko, ty dziatek swych płakać nie będziesz, ale — wyć będziesz!"

W jej grze groza i siła wyrazu tych słów nabiera niezwykłego napięcia, jak skamieniała, w bezruchu publiczność słuchała tych wybuchów przerażonej niebezpieczeństwami wróżki, iż jak ongiś zapewne w królewskiem sercu Stefana Batorego, budził się w piersi polskiej niepokój i obawa urzeczywistnienia się tych wróżb.

Piękna Helena, odtworzona przez p. Pancewiczową, była w pełni stylowa, Antenor Brackiego miał powagę tego czynnika twórczego i przewidującego, na którym opiera się energja kierownicza sternika państwa.

Król trojański Pryjamus grany przez Jednowskiego i Parys—Aleksander Niewiarowicz, byli jak żywi, jak przeniesieni z zamierzchłych stuleci na forum królewskiego zamku, by dać obraz swej małoduszności i prywaty, oraz starczej niedołężności.

Chór panien trojańskich, reprezentowany przez uczenice miejskiej szkoły dramatycznej robił wszystkie wysiłki, by dostroić się do koturnów wielkiej poezji i stylu klasycznej tragedji. Uderzał tu jednak niejednokrotnie brak harmonji fonetycznej w chóralnem przemówieniu trwożnych panien trojańskich.

Impreza misterjum trojańskiego, rzuconego w uroczystej szacie na tło bajecznych zarysów scenicznych królewskiego zamku, pozostawia wrażenie głębokie i o wysokiej skali przeżyć artystycznych.

Symboliczne wiązadła idejowe, wiążące mury Wawelu z bajeczną, mityczną stolicą Tracji—Ilionem, dziwnie uderzają w tem dziele Kochanowskiego, tyle reminiscencji budzącego w zwierciadle twórczości współczesnego nam piewcy Wawelu—Iljonu, Wyspiańskiego.

Akropol Polski, Wawel-Iljon zmartwychwstał w misterjum Jana z Czarnolasu po 350 latach, i wwiódł nas w tę noc czerwcową dziwną mocą w tę świątynię czarów, jaką jest w pogodne noce wawelski Zamek Królewski. *Adam Brzeg.*

Z TEATRU.

Fot. St Brzozowski.

W teatrze Polskim na 25-lecie pracy scenicznej Antoniego Fertnera, wystawiono komedję S. Guitry'ego p. t. „Zdobycie twierdzy", z M. Kamińską, A. Fertnerem i K. Junoszą-Stępowskim w rolach głównych.
Mila Kamińska, Antoni Fertner.

Teatr Mały grał z powodzeniem komedję p. t. „Hau-Hau" z A. Zelwerowiczem, M. Brydzińską i W. Biegańskim.
W. Biegański i M. Brydzińska.

RUMUŃSKA PARA KRÓLEWSKA W POLSCE.

Zdjęć dokonał specjalnie dla „Tygodnika Illustrowan go" Marjan Fuks.

Premjer Wincenty Witos wraz z członkami gabinetu oczekuje na dworcu głównym przybycia dostojnych gości.

Prezydent Wojciechowski wita królowę rumuńską Marję po opuszczeniu przez Nią wagonu dworskiego.

Królestwo rumuńscy w rozmowie z dygnitarzami wojskowymi i cywilnymi na dworcu głównym.

Królewscy Goście w towarzystwie Prezydentostwa Wojciechowskich opuszczają dworzec.

Król rumuński Ferdynand zajeżdża przed Belweder.

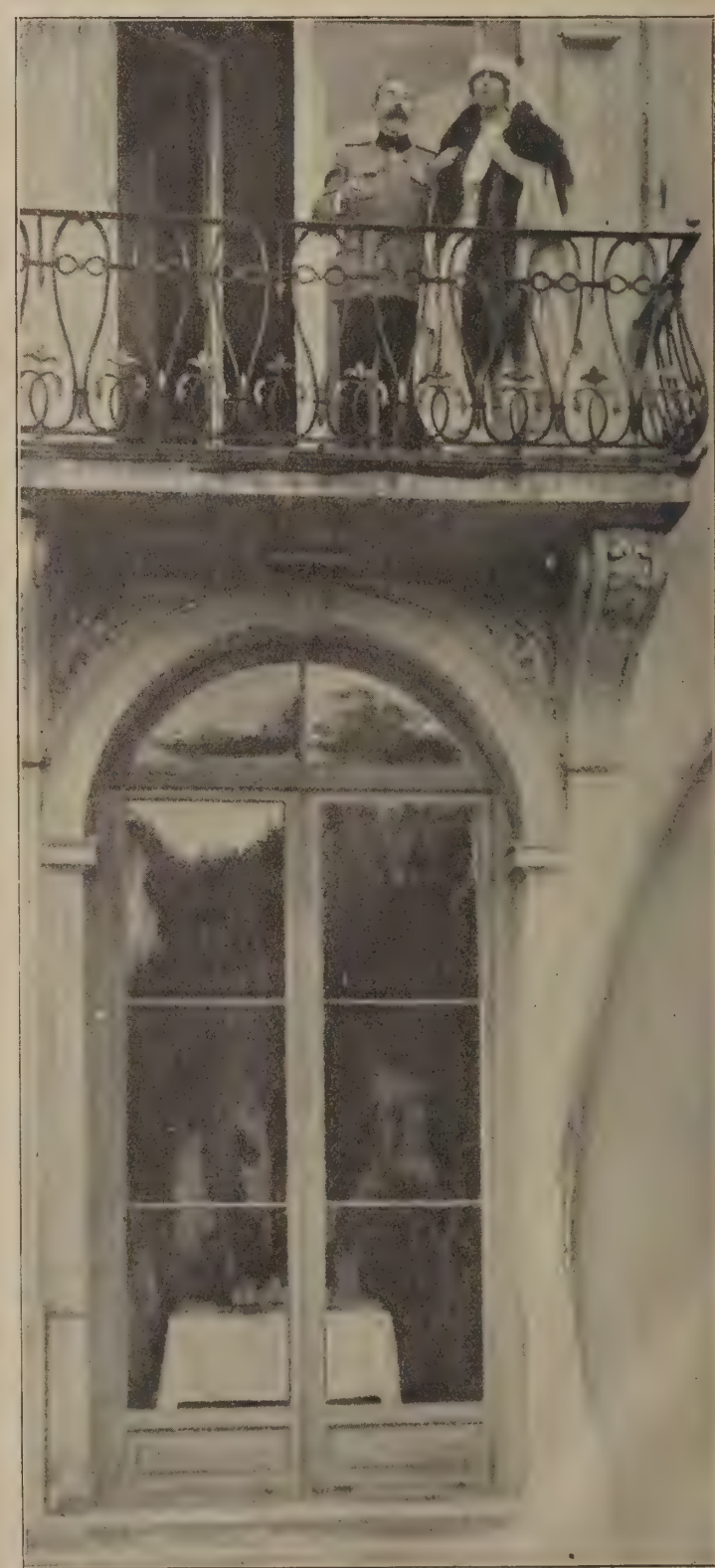

Królestwo rumuńscy dziękują zgromadzonym tłumom za owacyjne przyjęcie z balkonu Swej rezydencji w pałacu Łazienkowskim.

RUMUŃSKA PARA KRÓLEWSKA W POLSCE.

Zdjęć dokonał specjalnie dla „Tyg. Ill." Marjan Fuks.

Królestwo rumuńscy przyglądają się z loży rewji naszych wojsk na polach mokotowskich.

Namiot królewski na polach mokotowskich.

Objazd wojsk ćwiczących na polach mokotowskich.

Korpus dyplomatyczny i attaché's wojskowi śledzą przebieg rewji.

Tanki w defiladzie przed Parą Królewską.

Królestwo rumuńscy na uroczystem przyjęciu wydanem na Ich cześć przez Radę Miejską st. m. Warszawy.

Zwycięzca raidu inż. Liefeldt na automobilu firmy „Austro-Daimler".

Samochód czeskiej firmy „Praga", który zdobył II nagrodę, w próbie szybkości pod Garwolinem.

Fot. W. Rokosz.

2000 KILOMETRÓW POLSKICH SZOS.

(*Wrażenia z raidu automobilowego*).

Ukończony w dniu 22 b. m. raid samochodowy był czemś więcej, jak wybitnem wydarzeniem sportowem: zaczęty startem w Warszawie, przeciął długą linją ziemie Mazowsza, księstwa Łowickiego, Kujaw, Śląska Górnego i Cieszyńskiego... Idąc dalej, przez polskie Podhale, odwiedził zawsze miłe Zakopane, zajrzał do uroczego Morskiego Oka, by potem, drogą na Żywiec, Andrychów, zaprowadzić nas do Stryja, a stamtąd w okolice zgoła dla warszawianina egzotyczne: na Pokucie, w przecudną dolinę Prutu, do Jaremcza i Worochty, aż na sam kraniec ziem polskich, skąd przez Kołomyję, Lwów — powrotną drogą do Lublina i Warszawy.

Była to więc wycieczka krajoznawcza w największym stylu, tem milsza, że obmyślona w każdym szczególe przez rzutki, energiczny i przedsiębiorczy Automobilklub polski

Sprawozdawcy sportowemu cisną się na papier najprzeróżniejsze uwagi, dotyczące sprawności uczestniczących w raidzie maszyn, zalet, czy wad rozmaitych systemów, motorów, jazdy poszczególnych kierowców.

Artysta natomiast może dać folgę natchnieniu i wraca do niezapomnianych perypetji tej jedynej w swoim rodzaju podróży, w której nawarstwiło się tyle barw, tyle kolorów—że wprost niewiadomo, jakimi je oddawać środkami.

Pejzaż zrazu szary, płaski i deszczowy, pejzaż naszej mazowieckiej równi, ustępuje miejsca rozfalowanym niwom łowickim, tłustym szlakom Kujaw...

Jak w kalejdoskopie zmieniają się obrazy: oto patrzymy na Śląsk Cieszyński, pogodny, roześmiany, zda się wygodnie rozparty pod okiem słońca w ramionach miękkiego, puszystego Beskidu.. Dalej—wpadamy w wonne, świerkowe tunele żywieckie, mkniemy, jak strzała, gościńcami Podhala, zażywamy na Obidowej przepysznego widoku Tatr, rozciągniętych długim łańcuchem na horyzoncie.

Zaczem, wpadłszy, jak burza do Zakopanego, jesteśmy po kilkudziesięciu minutach w ciemnym kotle Morskiego Oka, nad którym Rysy, Mięguszowieckie, Mnich, wznoszą swe skaliste turnie, wysrebrzone siatką stromych żlebów.

Błękit przewiewa nad Morskiem Okiem, jak marzenie.

Chwilami kłębią się chmury i tarcza jeziora ciemnieje, niczem stal.

Szumią hen, zdala górskie potoki i ledwo-ledwo widne na zboczach szczytów, drzemią opalone limby, pamiętające dawne czasy...

A oto znów inny kraj, inne obrazy, inni ludzie:

Ruś podkarpacka, lud malowniczy, czarnowłosy, strojny w zgrzebne świty—lud powolny, stateczny, piękny.

Kobiety o brwiach, kreślonych w zagadkowy, cienki łuk—spokojnie wyzywające—i posągowe, jak żywe bóstwa.

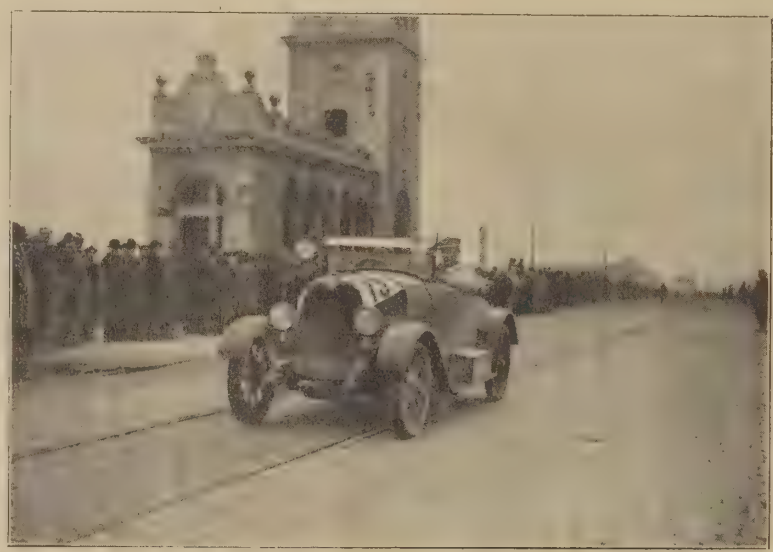

Próba elastyczności motoru, w której najlepszy wynik osiągnął por. Mrajski.

Fot. W. Rokosz.

I ten cud nad cudy—dolina srebrnego Prutu, wijącego się wśród skał i borów, krajem zielonopisanym, pełnym dębów, jaworów, buków, lip, jodeł, świerków i sosen..

Szosa biegnie w dal, automobil oddycha równym, gorączkowym pośpiechem, silnik drży z naprężenia pracy — a kraj precz ucieka, ucieka, aż otwiera nam gościnne ramiona prastary Lwów, miasto obiecane, kolebka jedynego w dziejach naszych patrycjatu, stolica ormiańskich, ruskich i rzymsko-katolickich książąt kościoła...

Lwów, arcypolskie miasto, wiekopomne teatrum wojny, na którem pacholęta i młode panny wznosiły znak Orła Białego przeciwko wrażej sile.

Rozzłocił się wieżycami kościołów i cerkwi, basztami starożytnych, czcigodnych kaszteli—patrzy od Wysokiego Zamku na Żółkiew, na dawny świetny szlak...

* * *

Historja Kolumba powtarzała się już wiele razy. Niejeden śmiały podróżnik wyruszał na podbój Indji — i odkrywał Amerykę.

Tak i my. Nie tyle śmiali—(nie trzeba na to wielkiej śmiałości, żeby pomykać w spaniałym sześciocylindrowym Fiatem, Daimlerem, czy Minerwą...) — ile ciekawi przygód, jakie może nastręczyć raid — wyruszyliśmy w podróż dookoła Polski zachodnio-południowej.

Spotkała nas niespodzianka.

„Odkryliśmy" cuda natury i cuda folkloru, niezupełnie jeszcze wytrzebionego przez wojnę, paskarzy i kunsthändlerów.

Odkrycia nasze nie będą sensacją dla rodaków z Małopolski Wschodniej, którzy znają i cenią dziwa swej pięknej ziemi.

Dla nas natomiast, niewolników Milanówka, Konstancina, ewentualnie Krynicy, czy Żegiestowa — otwarły się nowe, przecudowne perspektywy.

„Cudze chwalicie"... Jest to bardzo banalny i bardzo prawdziwy aforyzm, który trzeba przypomnieć obecnie, gdy coraz więcej osób odczuwa głód wrażeń i spazmuje na myśl, że wysoki kurs franka nie pozwala na wycieczkę do Biarritz, czy Ostendy.

Ależ mamy naprawdę zielone puszcze i słoneczne polany, po których nie stąpał dotychczas żaden z recenzentów warszawskich... Są miejscowości, gdzie nie czytają dotychczas ceduły giełdowej, gdzie karpackie jelenie dają się widzieć o świcie, gdzie szumią srebrne siklawy i pachną kwiaty!...

Jedźcież tam, a nie pożałujecie. Zobaczycie kraj i lud, jakich mało. Przedewszystkiem zaś — dokonacie upragnionego dzieła zniszczenia: albowiem wciąż stoją jeszcze mistyczne słupy graniczne, dzielące dawne zabory—i Polak z pod jarzma rosyjskiego wprost nie może uwierzyć oczywistej prawdzie, że Polska nie kończy się nad Czarną Przemszą...

Z. K.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8.

Nr 28 Ogólnego zbioru 3,321 Wydawnictwa rok 64 7 Lipca 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

GŁOWA RYCERZA T. PRUSZKOWSKI

Z wystawy „Rytmu" w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

NASZ SĄSIAD RUMUŃSKI.

II.

Nadchodzi wiek XVII, ponury wiek tureckiej przewagi w środkowo-wschodniej Europie. Z potopu muzułmańskiego wynurza się teraz, jak gdyby arka warowna, twierdza siedmiogrodzka. Michał Waleczny, hospodar wołoski (1583—1601), współcześnik naszego Batorego, podnosi szczęśliwie chorągiew buntu przeciw Półksiężycowi. Spełnia on na chwilę sen, zrealizowany dopiero za Ferdynanda I, łączy Multany, Wołoszczyznę z Siedmiogrodem i Dobrudżą, wkracza na dwóch stuleci przełomie do historycznego grodu Alba Julja, póki dumna i łaknąca korony jego głowa nie padnie w zasadzce austrjackiego zbira.

Jak zaznacza najlepszy badacz stosunków polsko-rumuńskich, prof. Wędkiewicz, w wieku XVII wpływy polskie w Mołdawji dochodzą do szczytu. Przy boku Żółkiewskiego i Chodkiewicza walczy hospodarowicz Mohyła, późniejszy metropolita kijowski i reformator w duchu łacińskim prawosławnej cerkwi na Ukrainie i w Rumunji. Miron Costin, scholar krakowski a kanclerz mołdawski, należy do naszej literatury, pisze bowiem polski poemat: „Opisanie ziemi mołdawskiej" oraz polską „Kronikę ziem mołdawskich..." Suczawski psalmista, metropolita Dosoftej, stronnik Sobieskiego, wykształcony na „Psałterzu" Kochanowskiego, sam Sobieski, mówiący nieco po rumuńsku i znający wiersze rumuńskie *)—to są dalsi pionierzy polsko-rumuńskich stosunków, lecz potrosze także ich epigoni, gdyż wyprawa Sobieskiego na Suczawę i Jassy w roku 1686, podobnie jak wcześniejsza Olbrachta, nie mówiąc o niedoszłym Batorego projekcie, zdepopularyzowała Polaków na czas dłuższy w Rumunji i odbiła się jak tamta—w literaturze, w poezjach Negruzzego i Alecsandriego, niekorzystnym ujęciem motywu Polski i Polaków **).

Wiek XVIII innych w tych stronach widywał z Polski gości. Widział w Benderach Stanisława Leszczyńskiego, który tu przyszedł odszukać protektora swojego, „szwedzkiego lwa", Karola XII, obok zmarłego na multańskiej ziemi i pochowanego w Galacu towarzysza broni, Mazepy, widywał w Jassach hetmana Branickiego, który w roku 1792 karetą swą ruszył do Jassów.

I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczanów, jak za tą kometą.

Widział w Bukareszcie i na ziemi mołdo-wołoskiej, po Barzanach, jak choćby Panie Kochanku—Radziwiłł, pierwszych polskich powstańców porozbiorowych z pod znaku Ksawerego Dąbrowskiego i Kołyszki, kierowanych przez patrjotyczną organizację polską. Ale wpływy kulturalne słabły w epoce Sasów i greckich w hospodarstwach naddunajskich Fanarjotów, nędznych wysłanników i namiestników sułtana. Tylko Lwów pozostał stale łącznikiem między obiema kulturami i tu kształcił się po dawnemu nowelista Asachi-Asakiewicz, piewca Świdrygiełły i Mazepy, działali: tłumacz Scavin-Skawiński, poeta Budai-Deleanu, Racocea, autor projektu wydawania tygodnika rumuńskiego we Lwowie, równolegle do nich tworzył Tadeusz Hyżdew, polski tłómacz Kotzebuego, później osiadły w Bessarabji.

Epoka rozbiorów zbliżyła bowiem znowu pokolenia rumuńskich i polskich pogrobowców. W roku 1771 rzucała Austrja hasło podziału Polski, w cztery lata później, szukając „wygodnej drogi do połączenia Galicji ze Siedmiogrodem", wymuszała na Turcji odstąpienie składowej mołdawskiej prowincji Bukowiny (r. 1775). Zbiry austrjacko-tureckie mordowały hospodara Ghikę, tak jak rosyjsko-pruskie porwały były nieco wcześniej z Warszawy Rzewuskich, Załuskiego i Sołtyka. A w 37 lat później, w 17 po ostatnim Polski rozbiorze, przyłączyła się do nowego aktu rozbioru Rosja, anektując w roku 1812 inną, odwieczną składową część historyczną Mołdawji, Bessarabję.

Wiek XIX przyniósł wyzwolenie Rumunom, tak jak XX-ty miał je przynieść Polsce. W przedostatnim roku istnienia Królestwa Kongresowego okupowali byli Rosjanie także Mołdo-Wołoszczyznę. Bukareszt i Warszawa znalazły się razem pod rosyjską ferułą: pierwszy—pod łagodniejszą Kisielewa, drugi pod sroższą—Paskiewicza. Tak znowu w niedoli objawiała się obojga narodów wspólnota. Burzyli się Rumunowie przeciw okupacji, jak burzyli się współcześnie u nas i buntowali krwawo tłumieni Konarski albo Zaliwski. Zbiegali z Paskiewiczowskiej odtąd Warszawy, zbiegowie do Kisielewowskiego Bukaresztu. Uciekali również na terytorjum księstw naddunajskich ziemianie galicyjscy, tępieni dłońmi Metternicha i Breindla, dostarczając materjału do współczującej opowieści rumuńskiemu pamiętnikarzowi Sionowi. Mickiewicz z wyżyn *Collège de France* inspirował do boju o wolność braci Bratianów, braci Golesców, pamiętnikarza Jana Ghikę, C. A. Rosettiego, przedewszystkiem zaś Mikołaja Balcescę. Zagrzewał w nich także żywe do Polski sympatje. Nie tylko na Litwę

„myląc strażniki cel
Przemycał Igel żyd tomiki moich dzieł".

przemycał on je również w tłumaczeniu do Siedmiogrodu i do księstw naddunajskich. Smakowali zwłaszcza Rumuni w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa", rozczytywał się w nich historyk Papiu-Ilarian, tłumaczył anonimowy Mołdawianin, pozostawała pod ich wpływem „biblijnym, natchnionym stylem przepojona „Pieśń o Rumunji", głosząca religijną, niemal mesjanistyczną syntezę dziejów Mołdawji i Wołoszczyzny, owianą optymistyczną wiarą w zbliżający się moment wyzwolenia" (około 1847 r.). Współautor tego poematu, wspomniany już przez nas wcześniej Mikołaj Balcescu, należał do gorących Polski przyjaciół. Historyk z zawodu, reinkarnator Michała dzielnego, pisarz typu naszych Szujskich i Szajnochów, rewolucjonista 1848 r., wielbiciel Bema, „dla miłości Polski próbował związać ze sobą interesa Rumunji i Węgier". Dyplomacja Adama Czartoryskiego oraz akcja na Wschodzie Władysława Zamoyskiego i Michała Czaykowskiego wciągały w swe rachuby także księstwa naddunajskie. W lipcu 1863 roku usiłowywał przemaszerować przez terytorjum Księstw oddział powstańczy Teodora Jeża Miłkowskiego. Praca rumuńska z zapartym tchem śledziła przebieg powstania, panujący książę zjednoczonych od stycznia 1859 roku w jego osobie Multan i Wołoszczyzny, Aleksander Kuza, żywił trwałe dla Polski sympatje i przez 7 lat swego panowania przyjmował na terytorjum swojego państwa niezliczonych emigrantów - powstańców polskich, którzy mu dopomagali w wiekopomnem dziele organizacji i kulturalnego podźwignięcia przyszłej Rumunji. Mnożyli się owi Cichoccy, Skupiewscy, Rużyńscy, Górscy Grasowscy, Koźlińscy, Żalplachtowie, Bogdanowicze, Olszewscy, Piekarscy, Rusieccy, Montresorowie—by wymienić tylko niektórych, którzy zasilali w młodem Królestwie kadry inteligencji i dostarczali mu dziennikarzy, uczonych lekarzy, jenerałów, inżynierów, znawców i zbieraczy sztuki, czasem — mimo zrumunizowania się, najuczynniejszych przyjaciół Polski, jak np. były wiceszef sztabu armji rumuńskiej, jenerał Henryk Cichocki. Typ *gente Polonus*, ale rumuńskiego obywatela — to najcenniejszy dług wdzięczności spłacony przez nas gościnnej Rumunji. Tradycja polska żyje oczywiście silniej jeszcze w Mołdawji niż na Wołoszczyźnie: podobieństwo czy bodaj pobratymstwo bije z krajobrazu, z ustroju wsi i pańskiego dworu, z języka, ogłady ba! nawet z uroku kobiet mołdawskich, który jest niepośledni. Muza Sienkiewicza, prace historyka-encyklopedysty Bohdana Hasdeu, wnuka Tadeusza Hyżdewa, jego kolegów po fachu: Kogalniceana, Papiu-Ilariana, Bizana, Bogdana, Jorgi, a po naszej stronie Sokołowskiego, Barwińskiego, Podlachy i przedewszystkiem najzasłużeńszego, a bodaj czy w Rumunji docenianego, jak się należy, Wędkiewicza, wreszcie żywy kontakt polityczny w pięciu ostatnich latach—oto najważniejsze składniki wzajemnego zainteresowania, zbyt może jeszcze skąpego, pomiędzy obydwoma narodami.

Kazimierz Marjan Morawski.

* * *

Obecne stosunki polsko-rumuńskie weszły w fazę blizkiego przymierza. Położenie zarówno naszego kraju, jakoteż Rumunji, zmusza nas do wzajemnego ściślejszego stosunku ze względu na obronę granic wschodnich. Mała ententa, która roztacza coraz dalej swe kręgi—wciąga również i Polskę w swoje orbity, jako czynnik siły militarnej i znaczenia ogólno-europejskiego. Dyplomacja ustali stosunek nasz do tego nowego przymierza państw—tymczasem już jednak przyjaźń Polski z Rumunią mogła się ugruntować, mając dobre tradycje wzajemnej łączności w podanych wyżej dziejach współżycia dwu narodów. Zeszłoroczna wizyta Naczelnika Państwa w Rumunji i obecny pobyt Królewskiej Pary rumuńskiej w Polsce są widomym znakiem jaknajlepszego usposobienia do siebie państw, leżących nad granicą ciągle niepewnej jeszcze Rosji. Linja polityczna zapewne biegnie też równolegle, a wzajemność i wspólność interesów Polski i Rumunji tak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że trwałość dobrych stosunków sąsiedzkich jest zagwarantowana. Najlepszą jednak podstawą wszystkich sojuszów jest dokładne poznanie się obopólne. Dobrze też stało się, że wraz z Królewską Parą przybyli do Polski przedstawiciele wojskowości oraz kierownicy myśli politycznej zaprzyjaźnionego Państwa. W czasie kilku dni bowiem, jakie wśród nas spędzili—mogli zobaczyć nie jedno, a w czasie narad i konferencji poznać nasze wytyczne. Prócz sfer rządzących atoli zetknąć się powinny z naszym sąsiadem i sfery naukowe, z żywszem niż dotychczas zainteresowaniem, winien również świat handlowy i przemysłowy wejść w kontakt ściślejszy. Wówczas przyjaźń państw—stanie się zbliżeniem narodów.

Zadatkiem tego są słowa, które opuszczając granice Polski—Jego Królewska Mość Król Ferdynand skierował do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej:

„Gorące i jednomyślne uczucia, zamanifestowane podczas mego wśród was pobytu, utwierdziły mnie w przeświadczeniu, że siła naszego sojuszu jest potężną gwarancją pokoju, tak potrzebnego dla obu naszych krajów".

Ze swej strony Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, zapewnił, że:

„Pokój, ugruntowany i wzmocniony przez ścisłą współpracę Polski i Rumunji na podstawach sojuszu, który nas łączy, pozwoli obu narodom rozwinąć i kontynuować owocną i solidarną pracę dla dobrobytu i postępu. To też pragnę z serca wyrazić Waszej Królewskiej Mości szczerą wdzięczność, którą podzielam z całym Narodem Polskim, za Jej łaskawą wizytę, która była wybitnym dowodem trwałości naszych węzłów i pozwoliła Polsce powitać entuzjastycznie, wraz z okrytym sławą władcą Rumunji, Jej Królewską Mość Królową, której obecność wśród nas pozostawiła niezatartą pamięć".

*) Jorga l. c. 200.

**) P. Jorga—Gorceix: Antologhie de la littérature roumaine. Paris 1910 r., str. 88—97.

WYSTAWA „RYTMU" W ŁAZIENKACH.

W całym współczesnym wysiłku w plastyce zachodnio-europejskiej czynnik „wola", jako świadome dążenie w pewnym określonym kierunku, gra wybitną rolę.

W grupie „Rytm" dążenie to wyraża się dobitnie w produkcji większości artystów udział w niej biorących. Bardzo dobrym przykładem takich usiłowań są na omawianej wystawie obrazy np. *Wacława Borowskiego*. Świadczą one o wyraźnym jakościowym postępie w sensie, jaki artysta ten obrał świadomie przed kilku laty.

Plastyka Borowskiego ma założenia dekoracyjne, nikłą fabułę literacką, której wybór zdumiewa mnie nieraz swoją niewspółczesnością, swym umyślnym abstrakcjonizmem, natomiast sposób realizowania każdego obrazu jest u niego par excellence modernistyczny i w tem właśnie wykazuje bardzo silne napięcie „woli" i troskę o jakość artyzmu. Ponadto Borowski wrócił znów do materjału „poważnego" jakim jest farba olejna i w operowaniu nią wykazuje instynkt urodzonego, rasowego plastyka. Czuć w jego robocie znaczny inteligentny wysiłek oraz studja nad istotą farby olejnej i jej właściwościami. Lekceważące traktowanie materjału odbiło się fatalnie w ciągu ostatnich dziesiątków lat na plastycznej produkcji współczesnej, lecz ostatnio widzi się u wielu inteligentnych artystów świadome i konsekwentne usiłowanie naprawienia tego stanu rzeczy.

Obraz w sensie kompozycji dekoracyjnej w guście gobelinowej płaszczyzny jest alfą i omegą wysiłku Borowskiego. To właśnie ta konsekwentna „wola" i ucieczka od współczesności w dziennikarskiem znaczeniu wyrazu jest charakterystyczną cechą smaku i talentu Borowskiego.

Podobne cechy posiadają obrazy *E. Zaka*, lecz w jego pracach mniejsze czuć napięcie „woli" niż u Borowskiego. Dla usiłowań Zaka typowym jest jego „Tancerz", jeszcze bardziej „abstrakcyjny" jako negacja realizmu niż prace Borowskiego. Koncepcje kompozycyj dekoracyjnych *Skoczylasa* z ostatnich kilku lat są właściwie transponowane z tematów jego grafiki, z jego drzeworytów, które Skoczylas opracowuje najszczęśliwiej ze wszystkiego, co robi. Wynika to, zdaje mi się, z faktu, że grafika wogóle jest najwłaściwszem polem realizacji talentu tego artysty, w niej bowiem wykazuje zawsze największą prawdę i artyzm kwalitatywny w wypowiadaniu się, w realizowaniu swej wrażliwości. Potwierdza to szereg pięknych drzeworytów na tej wystawie.

W dziale grafiki spotyka się istotnie rzeczy oryginalne i wartościowe. Są niemi ilustracyjne oderwane koncepcje p. *J. Pokrzywnickiej*, które mają dużo oryginalnego wdzięku i doskonale są rysowane. Ilustracje *Gronowskiego* mają we mnie stałego admiratora.

O *T. Pruszkowskim* pisałem niejednokrotnie. Z prac wystawionych w „Rytmie" dziewczynka ze skrzypcami podtrzymuje najsilniej moje dawne opinje o naturze jego żywotnego talentu. Na ostatniej wystawie „Rytmu" w Krakowie przed kilku miesiącami Pruszkowski lepiej był reprezentowany. W pracach obecnie wystawionych wrodzona łatwość w malowaniu, która właściwa jest Pruszkowskiemu, góruje trochę nad innemi, plastycznemi wartościami.

W pracy Kramsztyka, rzeczach przez niego wystawionych, zmian znaczniejszych w sensie rozwoju nie widać. Jego kompozycja, plastyka figuralnai, martwe natury czy pejzaż; świadczą o jednolitem, równem napięciu wysiłku, którego kierunek ustalił Kramsztyk w ostatnich latach i którego trzyma się konsekwentnie. Zaletami tej plastyki są walory zdecydowanie malarskie a głównie dbałość o silną modelację i koloryt, którego Kramsztyk w myśl recepty Cézanowskiej szuka niestrudzenie z wysiłkiem zasługującym na uznanie.

Ślendziński natomiast jest istotnie interesujący. W grupie „Rytm" zasilenie jego pracami jest nabytkiem realnym. To, co mnie w produkcji Ślendzińskiego najbardziej przekonywa do jego talentu, to nie jego niewątpliwa sprawność techniczna, a jego poważny stosunek do farby olejnej, do materjału. Ślendziński lubi farbę olejną, analizuje ją; studjuje możliwości jej zastosowania po przez tradycje włoskiego przedrenesansowego malarstwa. Zarówno w portretach jak i usiłowaniach jego, widzi się, że jest to rasowy malarz figuralny, który według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien zdobyć własne oryginalne „znaki" do wyrażania swej indywidualności.

Prace W. *Wąsowicza* tym razem mniej mi się podobają niż niejednokrotnie przedtem. Tylko dwie jego kompozycje figuralne na tle pejzażu, malowane akwarelą, wyróżniają się jako rzeczy bardziej od innych wartościowe.

Tempery *W. Roguskiego* na gładkich szlifowanych podkładach („Madonny") są zaczątkami, zapowiedzią czegoś, co może dojrzeje do jakiejś organicznej pełni w sensie skończonych artystycznych całości, ale narazie trudno o nich powiedzieć coś zupełnie definitywnego.

„Prymityzm" tkwi bowiem w naturze tego bardzo zdolnego plastyka i wynika z jego indywidualności, — zatem jego obecne usiłowania zrealizowania pewnego nienamalowanego dotąd wizerunku prymitywnej Madonny o charakterze ludowo-polskim, powinny być uwieńczone skutkiem.

Tymon Niesiołowski szuka niestrudzenie, mam jednak wrażenie, że gdyby tym poszukiwaniom za własnym wyrazem, zwłaszcza oryginalnym, po przez gąszcze współczesnych haseł towarzyszyła silniejsza koncentracja *woli*, szukanie to musiałoby znaleźć rezultaty bardziej niż dotąd pozytywne.

W każdym bądź razie, w grupie apostołów jakiejś nowej ewangelji Tymon jest figurą sympatyczną, szczerze łaknącą prawdziwego „światła".

S. Rzecki w pamięciowo traktowanej figurze kobiecej dał warjant swych dawnych poszukiwań z czasów paryskich.

Do zanotowania ponadto kilka prac *S. Zaruby* oraz dobre jako maksimum rzetelnego wysiłku do jakiego jest zdolny ich autor, rzeźby *H. Kuny*, na których kończy się przegląd tej interesującej wystawy.

W. Mitarski.

PO POLOWANIU W. BOROWSKI

ILUSTRACJA DO „LEGENDY" WŁ. REYMONTA WŁ. SKOCZYLAS

HR. HENRYK W WALCE Z CZARNOKSIĘŻNIKIEM.

(*Zygmunt Krasiński i Dawid Hume*).

2)

Wybiła północ, a wraz z ostatniem uderzeniem zegara dziać się poczęły rzeczy niepojęte.

Obietnica została dotrzymana. Rok minął. Duchy wróciły. I niesłychanym łoskotem dały o tem znać. W powietrzu sali rozigrały się wszelakie niesamowitości piekielne.

Jakaś dama dworu uczuła nagle i zupełnie wyraźnie, że zaświatowa ręka ściska jej rękę, a zaświatowe usta zaświatowego mężczyzny składają pocałunek na jej różowych paluszkach i malowanych paznokietkach. Inna dama dworu miała toż samo wrażenie. Hume jednak wyjaśnił jej, że pocałunek pochodzi od ducha jej zmarłej siostry. Na dowód, że tak jest istotnie, ręka zjawy sięgnęła do pierścieni na palcach damy i wśród pięciu rozmaitych wybrała ten właśnie pierścionek, który dama otrzymała od nieboszczki siostry w upominku. Poczem ująwszy pióro, zmaczała je w inkauście i zaczęła pisać w sposób dziwny, mało czytelny, a jeszcze mniej ortograficzny: „Wyznaj swe grzechy! Pokochaj Boga! Bądź dobrą katoliczką!" W dalszym ciągu wieczoru złocone i ciężkie stoły biedermajerowskie wywracały z pasją koziołki, ale tak, że nic z nich nie spadło, ani ołówek, ani najmniejszy bibelot.

Gorzej natomiast było z krynolinami pań. Jakaś tajemna siła wyprężała je najpierw gwałtownie i ciągnęła ku dołowi, potem zaś, o zgrozo, obdzierała je z falban i stelaży i podrywała w sposób dziki i niegodny ku górze, tak, że obecni widzieli na własne oczy *dessous* dam dworu, odsłonięte powyżej kolan!!

W tej samej chwili zegar grający zaczął bić, w ścianie coś pukało gwałtownie, niewidzialna ręka ściskała obecnych za gardło.

Przez cały czas Dawid Douglas Hume siedział nieruchomy na krześle i zdawał się nie brać wcale udziału w tych nadprzyrodzonych zjawiskach. Nawet osoby Imperatora nie uszanowały szalejące duchy. Raz wyrwało mu nagle z rąk batystową chustkę do nosa, potem go dotykało po twarzy i rękach. Zaczął wierzyć Hume'owi i stał się zabobonny.

Dzienniki całego świata powtórzyły wkrótce opis następnego seansu, w którym wzięły udział już tylko cztery osoby: Napoleon III, cesarzowa Eugenja, ks. Montebello i Hume. Na stoliku przygotowano pióra, papier i atrament. Hume wiedział doskonale, gdzie i jakim duchem się popisać. We Florencji Dante, tu zaś, któżby inny, jak nie— Napoleon I. Dobrotliwy duch cesarza Francuzów, od lat trzech stał, jak wiadomo, na usługach wszystkich spirytystów i na każde zawołanie pojawiał się bezzwłocznie w Nowym Jorku, Wrocławiu, Lwowie i Proszowicach. Więc i teraz nie odmówił.

Nagle cesarz i cesarzowa ujrzeli przezroczystą i bladą rękę ducha, wionącą z kątów salonu ku stołowi.

Zatrzymała się... ujęła pióro w palce... zamaczała... i... zaczęła pisać. Wszyscy czworo odczytali na papierze podpis Napoleona I i stwierdzili jego zupełną i niezaprzeczalną autentyczność. Ręka snuła się dalej, jak obłok, po pokoju. Wzruszony i drżący Napoleon III krzyknął, że radby ucałować drogie widmo. Ręka Napoleona I-go zbliżyła się do ust Napoleona III-go. Teraz cesarzowa Eugenja wyraziła to samo życzenie i też zostało spełnione.

Na bulwarach zawrzało. Comtessa Guicciolli, protektorka stolików wirujących, była niepocieszona, jakże błahą zabawką były bowiem wszystkie stolikowe emocje wobec tych upiornych rewelacyj Hume'a? Cesarzowa Eugenja oddała do szkół jego siostrę, a cały dwór z głęboką i trwożną wiarą odnosił się do białowłosego czarodzieja z wysp Orknejskich. I śmiał się w głos z nieśmiertelnej Akademji, która uporczywie zarzucała spirytystom brak piątej klepki i określała rzecz mianem „kollektywnej halucynacji".

Aleksander Branicki był, jak słyszeliśmy, rodzonym bratem p. Zygmuntowej Krasińskiej, więc nic dziwnego, że wieści o tem wszystkiem doszły bardzo rychło do autora „Przedświtu".

Schorzały pożeracz tajemnic bytu zapragnął naturalnie ujrzeć jaknajrychlej dziwo, zwłaszcza, że jeden z bliskich znajomych Krasińskiego, który miał sposobność przepędzić noc w towarzystwie Hume'a zaręczał najuroczyściej, że dzięki czarodziejowi „pozyskał możność rozmowy z dwiema dawno zmarłemi i ukochanemi osobami, których cienie widział najdokładniej".

Wszystko to poruszyło do żywego twórcę „Irydiona".

Nie krył on się wcale ze swem zaciekawieniem dla spirytyzmu i spodziewał się po nim wiele. „Był przekonania — objaśnia bliski przyjaciel poety — że wiele jeszcze sił i tajemnic natury zakrytych jest dotąd grubą zasłoną, że podobną siłą jest między innemi magnetyzm, że jednak z biegiem czasu wiedza ludzka odnajdzie jego własności i potęgę, i że te odkrycia rozszerzą znacznie widnokrąg wiedzy".

Zapomniał o podagrze i ranach w nodze i z całym młodzieńczym zapałem jął obserwować Hume'a. Seanse odbywały się teraz w mieszkaniu Krasińskiego, rue Doupond 8, w zamkniętem kółku najbliższych przyjaciół. Rzecz była tak dalece intrygująca, że nawet w żurnalach paryskich pojawiać się poczęły w jakiś czas biuletyny o doświadczeniach *chez le comte K.*, a to, że akordeon grając biegał po kolanach obecnych, a to, że same dzwonki tam dzwoniły, choć nikt nie ciągnął, z całej siły. Przerażeni przyjaciele poety kiwali z niepokojem głowami, zapytując, do czego to prowadzi. „Czy miewasz czasem wiadomości od Zygmunta — tak pytał brata swego siedzący na wsi w królestwie A. E. Koźmian — on teraz zajęty owym szarlatanem czy magnetyzerem, Humem. Wystawiam sobie, jak te zjawiska nadprzyrodzone rozogniać muszą jego wyobraźnię"! Podobnie trapił się Wł. Małachowski: „Zygmunt zupełnie opętany Humem!! Wierzy w niego i w duchy".

Tak było w istocie. Rozogniona wyobraźnia poety pracowała coraz szybciej i coraz gwałtowniej. Wytężał wszystkie władze swego głębokiego rozumu, kobiecej wrażliwości, genjalnej intuicji...

Kto zacz ten Hume? Skąd bierze się jego moc i jaka ona: fizyczna, nieznana nam jeszcze, czy też naprawdę — nadprzyrodzona?

Bo o tem przekonany był najmocniej, że to ani kuglarstwo, ani szarlatanerja. Toż samo stwierdzili reprezentanci cechu kuglarzy i sztukmistrzów karcianych, zaproszeni do ekspertyzy przez ks. Ludwika Napoleona.

A więc cudotwórca? Już dawno, jeszcze za życia Słowackiego pisał w liście do niego: „Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie, w cudotwórców prawie nigdy"! Miał-że teraz uwierzyć?

Tymczasem niesamowitość Dawida Douglasa rosła a rosła... U ks. Murata np. obecni odczuli bolesne dławienie, brak oddechu i zawrót głowy, odór kostnicy i strach... Jakaś niewysłowiona groza przykuła ludzi do krzeseł. Niewidzialne ręce mary trącały wytwornych gości w sposób niedwuznacznie niegrzeczny. Zdawało się, że podłoga usuwa się z pod nóg, a pałac leci w przepaść... Drzwi otwierały się i zamykały, światła gasły i znów płonęły krwawo.. A wtedy Dawid Hume, nie mówiąc ani słowa, wstał i opuścił towarzystwo — bez pożegnania!...

Problem zadręczał Krasińskiego dalej.

„Tu powstaje straszne pytanie, a jedno z najważniejszych, może i najważniejsze wieku tego— bo jeśli istotnie mediumy ułacniają nam zetknięcie się z duchami, to pytanie, z jakimi?!" (Dzieła, VII. 164).

Z jakimi?!

Tem skwapliwiej szukał odpowiedzi. W liście do Trentowskiego z 30 marca 1857 r. donosił na razie krótko: „Bardzo mnie zatrudnia teraz będące tu *medium* amerykańskie, pełne magnetycznej siły, sprawiającej zjawiska najdziwniejsze w oddali od obrębów jego organizmu i wchodzącej nawet w zetknięcie z duchami. Ten człowiek od trzech tygodni napełnił Paryż rozgłosem swoich cudownych zjawisk.

Śledzę go i badam i pilnuję z krwią zimną i rozwagą ścisłą, nic a nic nie podając się w stronę wyobraźni". (Listy, III. 345).

Jakże reagował na to Hume?

Od pierwszej chwili poznania Krasińskiego jasnowłosy fakir z wysp Orknejskich poczuł instynktownie, że ma w nim adwersarza i wroga. Ta wytężona fanatycznie, śledząca myśl poety maltretowała go sposób bolesny. Uległ wskutek tego jednemu z najgwałtowniejszych w swem życiu atakowi katalepsji, o czem doniosły dzienniki, a też sam Krasiński w liście do Sołtana: „Posiedzenie było u mnie, ale nic a nic nie pokazało się, tylko medium sam dostał strasznego napadu nerwowego i konał długo na mojej kanapie". Objaw ten nie zmartwił bynajmniej Krasińskiego. Przeciwnie. Podniecił go i dodał bodźca do dalszych obserwacyj.

Widocznie on, arcykapłan romantyzmu, jest tu potrzebny, a może i powołany do czynu...

Widocznie kryje się w rzeczy coś niesamowitego...

Inferno—intryga piekeł—koszmar Belzebuba.

Nie wymówił jeszcze słowa, ale miał je na ustach: Antychryst.

O którym przecież wieść ludowa zapowiada, że przyjdzie w piecu żelaznym, a ogień nie będzie się imał go.

A jeśli nie on sam, to w każdym razie jego „przedznak i przesłanka", jego zwiastun i *galopin!*

I tak z właściwą sobie przesadą przypisał biednemu Hume'owi doniosłe, światoburcze posłannictwo.

Wiadomo, jak wielką rolę grał szatan w systemie filozoficznym, zapatrywaniach i dziełach twórcy „Przedświtu". Niczem owe rozszalałe mniszki średniowieczne, szukające powszędy sposobności do walki z czartem,—Krasiński rad „węszył iskry z czarta kuźni", przekonany, jak i one, o nieustannem, aktywnem współdziałaniu księcia piekieł w każdem, choćby drobnem zdarzeniu doczesnem. W odniesieniu do spirytyzmu nie było to wcale nowością. Słyszeliśmy wyżej, że podobnie myślał i Mickiewicz, ale właśnie dlatego, że tak myślał, unikał wszelkiej styczności z tymi zjawiskami, co więcej—właśnie dlatego—bagatelizował je.

Inaczej Krasiński. Ogarnęła go bowiem ta sama żądza, którą ongi, w średniowieczu płonęły świątobliwe damy w klasztorach, zapragnął właśnie poznać to nowe wcielenie czarta, zgłębić jego zakres i moc, a potem „przeciw piekłu podnieść kord!"

Ostatni z trzech wieszczów ruszał na krucjatę już nie duchową tylko, a materjalną.

Hr. Henryk...

Lubił Krasiński powracać do tej roli młodzieńczej, i chętnie wdziewał fałdzisty płaszcz jego pozy.

(*Dcn*) *St. Wasylewski.*

Z WYSTAWY „RYTMU"

w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

W OGRODZIE — W. WĄSOWICZ

PO PRACY — W. BOROWSKI

FLIRT — J. POKRZYWNICKA

MADONNA — W. ROGUSKI

NIEMCY W OBLICZU PRAWDY DZIEJOWEJ.

V.

Conrad na pytanie, czy monarchja wytrzyma wojnę na dwa fronty, odpowiedział przecząco, natomiast na polepszenie się szans wojennych Austro-Węgier w przyszłości nie liczył. Odnośnie do mobilizacji dał zapewnienie cesarzowi, że wszystko jest gotowe. (Nowak. Der Weg zur Katastrophe, str. 96).

Zresztą nie tylko kancelarja dyplomatyczna, ale i sztaby obydwuch sprzymierzeńców działały w zupełnem porozumieniu. Według doniesienia zastępcy szefa sztabu, gen. Hafera — Austrjacy mieli wkroczyć do Serbji z pięcioma korpusami, ale miano wstrzymać akcję natychmiast i przerzucić wojsko na północ odrazu, jeśli wystąpi Rosja. Zdaniem sztabu niemieckiego ten plan miał swoją złą stronę w konieczności zmiany planu operacyjnego w czasie działania, ale z drugiej strony niema wogóle planu operacyjnego bez zarzutu.

Narada ministrów z 19 lipca (trzecia niedziela po zamachu) wypełniła przeznaczone sobie zadanie. Berchtold dodawał ostrogi bojaźliwym, iż nie należy zwlekać, bo w Berlinie zaczynają być nerwowi, do Rzymu już przedostały się alarmy wojenne. Conrad mógł przytoczyć z wojskowych źródeł niepokojące wiadomości o przesuwaniu dywizyj serbskich. Hr. Tisza żąda jeszcze oświadczenia, że monarchja nie toczy wojny zaborczej i niema zamiaru anektować Serbji.

Oświadczenie takie — jak utrzymuje — jest potrzebne ze względu na ewentualność wojny z Rosją i poprawienie sytuacji dyplomatycznej. Hr. Berchtold z ciężkiem sercem ustępuje. Rada oświadczenie to przyjmuje z tem zastrzeżeniem, że nie wykluczone są sprostowania granic i samo się przez się rozumie okrojenie Serbji na rzecz sąsiadów (Dipl. Akt. str. 64/67). Notę ową natychmiast wysłano ambasadorowi austrjackiemu w Belgradzie, bar. von Gieslowi, z tem, że po doręczeniu jej nie ma prawa wdawać się w żadne objaśnienia,lecz żądać przyjęcia jej bezwarunkowego w formie „pure et simple". O postępowaniu w razie odrzucenia jej mówiła mu instrukcja wcześniejsza (z dnia 28 listopada 1912 roku); po wskazówki do niej odsyłano posła. Instrukcja ta właśnie była przygotowana przed zamierzonem zerwaniem z Serbją, na półtora roku przed zamachem serajewskim. Jeszcze jeden dowód, że zabójstwo pary arcyksiążęcej, jako przyczynę wojny Austrji z Serbją, należy uważać za legendę.

* * *

O tem, że Niemcy były inicjatorem konfliktu austro-serbskiego i otwierającej się z nim wojny światowej, było mniemanie powszechne po wybuchu bomby belgradzkiej w postaci noty austro-serbskiej. Ale tego, że Berlin wydawał prawie z zegarkiem w ręku dyplomatyczne rozkazy Wiedniowi,—nie podejrzywał w czasie wojny żaden najzaciętszy nawet wróg mocarstw centralnych. Cała tym sposobem obrona Niemiec przeciw zarzutowi odpowiedzialności za wybuch wojny, prysła w świetle ogłoszonych dokumentów.

A właśnie nie co innego, jak obronę tę Niemiec i zarazem usprawiedliwienie siebie samych przed sądem opinji niemieckiej, a także i światowej, podjęła literatura pamiętnikarska niemiecka tak obfita, że nie zabrakło w niej prawie żadnego z głównych aktorów i winowajców—Tirpitz, Jagow, Helfferich, Bethman Hollweg, w końcu sam cesarz Wilhelm. Sukcesy jej pozostały do dziś dnia tak samo trujące dla opinji publicznej niemieckiej, jak zgubną była rola autorów w polityce Niemiec.

Pierwszy pokusił się zedrzeć maskę z tych kłamstw urzędowych rząd republikański Bawarji w osobie Kurta Eisnera, ogłaszając (23 listopada 1918 r.) raport posła swego w Berlinie, hr. Lerchenfelda, z d. 18 lipca 19 4 r. Odkrycie to było sensacją i przynajmniej w opinji niemieckiej posłużyło za jeden z powodów dla wyroku, ogłoszonego na Niemców w traktacie wersalskim. Wielokrotnie też starano się je osłabić, zarzucając, że przedruk republikański był nieścisły—istotnie właściwym autorem był zastępca posła bawarskiego von Schoen,—miejsca niektóre w nim są opuszczone, ale nie w celu spotęgowania zarzutów, jedynie w celu skrócenia. Umyślnie nie powoływaliśmy się na ten dokument, ponieważ w sensie dowodowym jest on z drugiej ręki—podaje on relację osoby trzeciej na podstawie rozmów z czynnikami miarodajnymi, ale nie jest świadectwem bezpośredniem, z grupy, do jakiej należą dokumenty powyżej przez nas przytoczone.

Za to, jako dowód pośredni wszystkiego, co się już przedtem mówiło, jest ten raport nieoceniony. Pozwala zresztą odtworzyć nastrój sfer politycznych berlińskich i zmieniające się z dnia na dzień odcienie zapatrywań, które w przedstawieniu dokumentowem zazwyczaj zacierają się. (Przytaczamy go według przedruku rządu bawarskiego w wydawnictwie P. Dirra. Bayerische Dokumente). Raport podaje naprzód ustalone punkty 48-godzinnego ultimatum i dodaje na podstawie rozmowy z podsekr. stanu Zimmermanem: „Że Serbja tego rodzaju żądań, sprzecznych z jej godnością, jako samodzielnego państwa, nie może przyjąć, to leży, jak na dłoni. Następstwem przeto będzie wojna." Tu całkowicie pogodzono się z tem, że Austrja, wyzyskując chwilę korzystną, puszcza się na dalsze zawikłania, ale czy się puści, to wydaje się jeszcze samemu Zimmermanowi wątpliwe. A tymczasem Austrja z powodu swego niezdecydowania i z powodu rozpierzchłości swych kroków stała się właściwie tym „chorym człowiekiem w Europie", jakim poprzednio była Turcja". Mowa jest dalej o godzinie dziejowej Austrji. „Teraz albo nigdy". Zimmermann zauważa, iż w Wiedniu aż nieprzyjemnie to uderzyło, iż Berlin nie namawia do rozwagi i do umiarkowania. Dlatego na pytanie z Wiednia, co robić, odrazu dano odpowiedź, iż Niemcy zdecydowani są na każde postawienie kwestji, nawet na niebezpieczeństwo wojny z Rosją.

Co do stanowiska mocarstw wobec konfliktu austro-serbskiego, to według tutejszych zapatrywań będzie zależało ono od tego, czy Austrja zadowolni się samem ukaraniem Serbji, czy też żądać będzie terytorjalnych odszkodowań. W pierwszym wypadku dałoby się może wojnę zlokalizować, w drugim—poważniejsze zawikłania będą nieuniknione.

Dlatego w interesie zlokalizowania wojny, urząd spraw zagranicznych zaraz po doręczeniu noty ma wdrożyć akcję dyplomatyczną u wielkich mocarstw. Akcja ta ma oprzeć się na pozorze, iż Niemcy są tak samo zaskoczone krokiem austrjackim, jak i inne mocarstwa, i zająć stanowisko, iż spór między Austrją a Serbją jest to sprawa tylko dwóch powyższych państw. Z mobilizacji armji w Berlinie zrezygnowano i oddziaływano na Wiedeń za pośrednictwem sfer wojskowych, aby narazie nie mobilizowano całej armji, a zwłaszcza korpusów galicyjskich, gdyż to ostatnie automatycznie pociągnie za sobą przeciwmobilizację Rosji, która zmusi naprzód Niemcy, a później Francję do analogicznych zarządzeń i tem samem wywoła wojnę europejską.

Decydującą kwestją w sprawie lokalizacji wojny było stanowisko Rosji. Jeśli ona nie chce wojny z Austrją i Niemcami, to pozostanie bezczynną, potępiając tem samem Serbów za sposób ich walki przy pomocy bomb i rewolwerów. Zimmerman liczył tutaj na pomoc Anglji i Francji, które będą oddziaływały na Rosję powściągająco. Pocieszał się i tem, że „bluff" należy do najulubieńszych rekwizytów polityki rosyjskiej—Rosjanin chętnie grozi mieczem, ale w decydującej chwili nie wyciąga go w interesie drugich. Anglję krępować będą zamieszki w Irlandji, ale jeżeli przyjdzie do wojny trójprzymierza z dwuprzymierzem, to Anglja znajdzie się po stronie tego ostatniego, ponieważ obawia się, iż Francja w razie porażki zejdzie na stopień drugorzędnego mocarstwa i „balance of power" w Europie zostanie naruszony. Na udział w wojnie Włoch po stronie sprzymierzeńców referent w ministerstwie do spraw trójprzymierza, von Bergen, mało liczył, gdyż stosunek tych ostatnich do Austro-Węgier był jaknajmniej przyjacielski. Dalej była już tylko mowa o rekompensatach dla Włoch w celach ich pozyskania dla akcji dwuch sprzymierzeńców i o przyszłych zmianach terytorjalnych na Bałkanach. Rozumie się, że Włochy mimo iż należały do trójprzymierza, w plan całej akcji narówni z mocarstwami ententy nie były wtajemniczone.

* * *

Po wręczeniu noty austrjackiej w Belgradzie (23 lipca), klucz sytuacji dyplomatycznej był w rękach Rosji, tak jak to już zresztą w Wiedniu i w Berlinie doskonale rozumiano. Życzeniem tych dwóch mocarstw było, aby Rosja pozostała bezczynną, bo od tego zależało powodzenie całej akcji przeciwserbskiej. Ale czy życzenie to jest wystarczającym dowodem chęci lokalizacji wojny?

O stanowisku Rosji w przyszłym konflikcie austro-serbskim Berlin był doskonale poinformowany. Jeszcze na sześć tygodni przed wojną, a na dwa tygodnie przed zamachem serajewskim Bethmann Hollweg w liście poufnym do ks. Lichnowsky'ego (16 czerwca) tak charakteryzował postawę Rosji: Ta ostatnia ze wszystkich mocarstw europejskich jest najbardziej skłonną podjąć ryzyko awantury wojennej. Nie sądził przytem, aby Rosja wojnę tę planowała, ale pragnie w razie przyszłych konfliktów na półwyspie bałkańskim, opierając się na swych rozległych wojskowych zbrojeniach, wystąpić z większą potęgą, jak w ostatnim razem—i nie można jej brać nawet tego za złe. Czy w tym wypadku dojdzie do pożaru europejskiego, będzie to zależało wyłącznie od stanowiska, jakie zajmą Anglja i Niemcy. Jeżeli te dwa państwa wystąpią, jako gwaranci pokoju, to wojny da się uniknąć. W przeciwnym razie byle jaki spór między Austro-Węgrami a Rosją może rozpalić pożar wojenny (Dok. I. str. 4). Tutaj Bethmann Hollweg sam rozsądził kwestję winy przyszłej wojny i to na niekorzyść Niemiec.

Wiadomo zresztą było każdemu, że ten „byle jaki spór Austro-Węgier z Serbami na Bałkanach" jest to przedewszystkiem spór o niezawisłość Serbji. Gdy za ostatniej wizyty cara Mikołaja II w Konstancy (16 czerwca), król rumuński Karol zadał ministrowi spraw zagranicznych, Sazonowowi, pytanie, czy pokój europejski jest zapewniony, ten ostatni odpowiedział: „O ile tylko Austrja nie tknie Serbji („Pourvu que l'Autriche ne touche pas la Serbie"). Czernin, któremu król słowa te powtórzył, depeszował je natychmiast Wiedniowi.

A. Szelągowski.

▼▼

ŻYCIE ZAGROBOWE I ŚMIERĆ W SZTUCE GRECKO-RZYMSKIEJ.

Straszliwy Thanatos w Alkestis*) Eurypidesa zjawia się jako krwi żądny demon, wstępuje do domu Admeta, otulony w czarny płaszcz, patrząc złowrogo, nie wzruszają go ni błagania męża, ni tkliwa ofiara Alkestis, przeciwnie cieszy się, że może przerwać młode pasmo dni królowej — lecz równocześnie lęka się łuku Apollina. W tej formie zbliżał się Thanatos do czarnouskrzydlonego Hadesa, kiedy porywał chłopca, (jak głosi napis attyckiego grobowca), szczegół tem więcej uderzający, gdyż Eurypides w podniosłych ustępach „Alkestis" nazywa Thanatosa—Hadesem; poeta widocznie postępuje w myśl nie oficjalnej mitologji, lecz powszechnej z dawna utrwalonej tradycji ludowej. Doba rozkwitu poezji przydaje Thanatosowi atrybucje wielu bóstw (Hades, Hermes, Charon), nie określając ścisłych granic jego funkcji, natomiast plastyka zbliżona więcej bezpośrednio do wiary ludowej, zwłaszcza malarstwo waz — przedstawia Thanatosa w kształtach odpowiadających grozie popularnych legend. Pod wpływem owej grozy artysta nie umieszcza niejednokrotnie przy figurze Thanatosa jego imienia.

Oprócz waz Memnonowych — południowo-italskie naczynia przedstawiają skrzydlatego Demona-Thanatosa o maszkarowatej głowie z wysuniętym językiem i wężami we włosach. Na niektórych wazach widać jego ciało pokryte piórami, jakgdyby reminiscencja malowidła Polygnota Nekyi, gdzie Thanatos (Pauzanias ukrywa go pod eufeministyczną nazwą Eurymnosa) o barwie żuka żywiącego się padliną — siedzi na skórze sępa, wyszczerzając straszliwie zęby. Rzeźba monumentalna, przedewszystkiem arcydzieło Skopasa na płaskorzeźbie kolumny efeskiej, mimo, że jest niejako ilustracją Eurypidesowej „Alkestis", odchodzi od owej ludowej „grozy", zachowuje jedynie charakterystyczne długie skrzydła i straszliwy miecz, jakim Thanatos ucina włosy ofierze swej na znak wieczystej ze światem rozłąki. (Patrz „Tyg. Ill." № 27).

W malarstwie freskowem na wazach lub reljefach Etrurji, Thanatos przekształca się, czy też wraca do pierwotnych tradycyj. Zaznaczyć należy, że plastyczne wyobrażenia Śmierci w sztuce etruskiej nie posiadają cech dramatu, w którymby akcja ogniskowała się dookoła głównej postaci wysłannika podziemia, są to raczej pochody, lub sceny gdzie śmierć jest tylko jedną z figur kompozycji, podobnie jak w późniejszych włoskich Triumfach „Della Marte". W malowidle np. groty del Cardinale w Corneto spostrzegamy długi szereg postaci ludzkich przeróżnych stanów i zawodów, owiniętych w białe całuny, idących, lub jadących na wozach i konno (Ryc. 4). Widać, że wielu z nich chciałoby ratować się ucieczką. Większość godzi się ze swym losem. Wśród tłumu uwijają się skrzydlate dwóch różnorakich rodzajów genjusze. Jedni, czarni z czerwonemi skrzydłami, wstrząsając groźnie młotami, (niezbędny emblemat Demona Zniszczenia), przynaglają niejako rzesze do pośpiechu, ci bezwątpienia przedstawiają złych wysłanników śmierci; drudzy o czerwonej barwie ciała, o białych skrzydłach, zdają się raczej być dobrymi zagrobowymi duchami, łagodzącymi ludziom ostatnią podróż owem opiekuńczem pośrednictwem. I tutaj zatem spostrzegamy ów dualizm heleńskich lekhytów, gdzie młodzieńczemu efebowi Hypnosowi przeciwstawiony jest ponury starzec Thanatos. Oprócz Demona z młotkiem zjawia się w etruskiem malarstwie kobieta, skrzydlata towarzyszka pozagrobowej wędrówki—jakby prototyp średniowiecznej śmierci w sztuce włoskiej. Wśród mnóstwa scen, opierających się na mitologji greckiej, rzuca się w oczy Demon, zwany Tuculcha, rodzaj heleńskiego Charona, „jedna z najbardziej odrażających koncepcyj demonologji etruskiej (Ryc. 5). Jest to potworna skrzydlata postać: włosy najeżone wężami, ogromny zakrzywiony dziób zastępuje nos i usta, a wielkie oczy rozszerzają przekrzywione oblicze i groźne. Podobny starzec o cerze niebieskiej i krogulczym nosie czatuje na ostatni dech ludzki, trzymając w prawicy dwugłowy młotek, lewą ręką wyciągając nad zdobyczą; opodal duch dobry zwraca się doń z gestem uspokojenia. Scena ta nasuwa na myśl kłótnię Djabła z Aniołem o duszę człowieka, często przedstawianą przez Klejnmajstrów w dobie niemieckiego Renesansu. Malowidła waz, zwłaszcza znalezionych w Orvietto, a nadto płaskorzeźby sarkofagów kłębią się od nagromadzonych demonów, istot fantastycznych, nieprzyjaznych dla rodu ludzkiego. Zmieszane z tłumem śmiertelnych w ich smutnej podróży do podziemia, towarzyszą zmarłym, jadącym najczęściej na rumaku, albo na potworze, albo na dwukonnym rydwanie. Genjusze Śmierci — Charoni etruscy uzbrojeni w miecze, maczugi, lub dwugłowe młotki prowadzą zaprząg za uzdę, kroczą blisko zmarłych, jakgdyby w obawie, że zdobycz mogłaby umknąć. Na dziełach tych ludowych artystów śledzić można dokładnie demonologję Etrurji—ów świat genjuszów, ponurych pełnomocników Śmierci. Charonowie i Furje skrzydlate, zagrażają idącym wężami, trzęsą zapalonemi pochodniami, wypełniają z pasją swe okrutne posłannictwo. Przerywają z niecierpliwością wylewy czułości, lub rozpaczy, przyśpieszają do pośpieszniejszego chodu, schylając się nad wezgłowiem konających, rozrywają najserdeczniejsze uściski. Sztuka stara się sposobem nawskroś przejmującym przedstawić gorycz śmierci, rozdzierające wrażenie rozłąki, gwałtowny cios, jaki trafia ludzi pośród pieszczot i zabaw — ową tajemniczą potęgę, odrywającą człowieka od życia, aby go unieść w krainę ciemnej, zagadkowej nieświadomości. Etruski Demon Śmierci, Charon, lub Furja, postacie nieznane spokojnej plastyce greckiej, pojawiaja się wszędzie, gdzie tylko bohater danej akcji umiera i nadają dziełom, wytworzonym przez helleńską fantazję, w wykonaniu italskiem—piętno ponurego symbolizmu, tak iż całość utworów zyskuje czysto etruski oryginalny charakter *). Okrutna żądza krwi, uwypuklając Śmierć w scenach, co już same przez się budzą grozę — jest wspólnym pierwiastkiem w analogicznych dziełach Wschodu; podnieść należy że i sam układ kompozycji jest niekiedy bardzo podobny.

Ryc. 4. Podróż zagrobowa dusz. Fresk w grobowcu Dell Cardinale w Corneto.
(Według J. Marth'y).

Ryc. 5. Demon śmierci Tuculcha. Fresk w grobowcu Dell Orco.
(Według Paulsena-Etrucan Paintings).

Plastyczne uzmysłowienie wiary w życie zagrobowe podaje nam również sztuka starożytna grecko-rzymska pośrednio w symbolu i alegorji, tego zaś rodzaju przedstawienia stanowią bardzo znaczną grupę. Artyści, tworząc owe alegorje, posługiwali się symboliczną mową, dla niewtajemniczonych zawikłaną nieraz i niezrozumiałą, dla wtajemniczonych pisaną językiem górnym, lecz pięknym zarazem. Atrybut w ich dziełach — znamionujący pewien stan, staje się ustalonym symbolem.

Dr. M. Nałęcz-Dobrowolski.

(*Dcn*)

*) Myt o A. był przez E. użyty do słynnej tragedji p. t.: „Alkestis". Treść następująca: Admetos, król Fere (Tesalja) cieszył się opieką Apollina, ponieważ tego boga przyjął był w gościnę, gdy wygnany z Olimpu przez Zeusa za zabicie Cyklopów przebywał jako pasterz na ziemi. Zyskawszy przebaczenie Zeusa, Apollo wraca do Olimpu. Skoro nadszedł czas śmierci Admeta, Apollo wybłagał u Park oszczędzenia Admeta, jeśli ktokolwiek ofiaruje się umrzeć za niego. Nikt nie chciał poświęcić się, jedynie Alkestis, żona jego, słynna z piękności i cnoty, ofiarowała się pójść zamiast małżonka do Krainy Cieniów. W kilka chwil po dobrowolnej śmierci królowej — do zrozpaczonego Admeta przypadkiem przybywa Herakles, dobry znajomy króla. Gdy Herakles usłyszał o przyczynie smutku, udał się pośpiesznie na grób Alkestis, gdzie zastał Thanatosa zabierającego swą ofiarę do podziemia; tutaj rozpoczął walkę z bogiem Śmierci, pokonał go i wyprowadził z podziemia małżonkę swego przyjaciela.

**) Świątynia należała do cudów architektury starożytnej. Zbudowana przez Nossosa i Metagenesa w VI w. spalona przez Herostratesa w r. 356 przed Chrystusem, odbudowana została przez Demetriosa i Paoniosa między r. 356 — 334. Świątynię zdobiło 127 kolumn t. z. „columnae coelatae" dzieło Skopasa. Podstawy cz. bazy kolumn były zdobne płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny mitologiczne. Wykopaliska Wood'a (r. 1863 — 1875) potwierdzają świadectwa starożytnych autorów (Pliniusza).

[1]) Jules Martha L'art Etrusque. Paris 1889. Str. 356 i t. d.

*) Jules Martha. Ibid. str. 356 i t. d.

SZTUKA—A ZAGADNIENIE PIĘKNA I BRZYDOTY.

2)

Historja sztuki gromadzi fakty, klasyfikuje, układa je krytycznie we wzajemnym do siebie związku, uczy nas, kiedy i gdzie dane dzieła sztuki powstały, kto był ich autorem i t. d.

Estetyka zaś, będąc nauką o sztuce samej, jest filozofją sztuki, filozofją artystycznych wartości, dąży do wytłumaczenia istoty sztuki, do określenia cech artyzmu, stylu i wszelkich cech specyficznych, odróżniających dzieła sztuki od całej reszty danych naszych zmysłowych.

Jako taka, stwarza estetyka na drodze ścisłego badania objektywnych danych, fundamentalne podstawy teorji sztuki i naukowej krytyki artystycznej.

Ocena dzieł sztuki ze względu na ich formę przedewszystkiem, t. j. ze stanowiska czysto artystycznego, odmiennego od wszystkich innych stanowisk, jest właściwą dziedziną badań estetycznych.

Subjektywizm zaś estetyczny niema nic wspólnego z racjonalnem wobec sztuki starożytnej, stanowiskiem gdyż jest teorją uczuć, a nie sztuki i jej cech objektywnych.

Weźmy np. pod uwagę *ekstazę*. Jest to niezwykle podniosły stan psychiczny, który polega na oderwaniu ducha od przedmiotów i wrażeń zmysłowych, tak, że ginie wreszcie wszelka łączność zmysłów z całem otoczeniem. Jest to zarazem szczytowa forma rozkoszy, i jako taka uchodzi w oczach estetyków-psychologistów za jeden z głównych, najciekawszych, najbardziej typowych fenomenów estetycznych.

Oto, co mówi m. in. na ten temat prof. Karol Lange (z Kopenhagi), główny przedstawiciel estetyki sensualistycznej: „...Wszakże jeden rodzaj wzruszeń o własnościach szczególnych musi tu być rozpatrzony bliżej, gdyż w szeregu nastrojów i stanów uczuciowych zajmuje on stanowisko pod względem estetycznym szczególnie ważne. Myślę tu o stanie psychicznym, który stanowi rozkosz najsilniejszą i najbardziej czystą; myślę tu o stanie *ekstatycznym*. Przez *ekstazę* rozumiemy mniej lub więcej rozwinięty stan bezświadomości, niedostępności i niewrażliwości w stosunku do bodźców zewnętrznych, stan, który może być wywołany przez silne wpływy emocjonalne różnego rodzaju. Nie jest wszak niepojętem, że podniesiony do przepotężnej siły nastrój może całkowicie lub prawie zupełnie przerwać wszelką działalność umysłową, albo ściślej mówiąc, że takiemu nastrojowi podobne przerwanie działalności może towarzyszyć"...*) Cechą istotną ekstazy jest wedle Langego „do pewnego stopnia zatrata świadomości i wrażliwości". U ludów wschodnich umieją Derwisze, „którzy nie tylko *dla* ekstazy, lecz z *niej* żyją" wprawiać się w stan ekstatyczny różnymi sposobami; tak np. niektóre sekty „starają się wywołać konieczne dla ekstazy zaburzenia w obiegu krwi w ten sposób, że z szybkością niepojętą —do 400 razów na minutę, rzucają głową z boku na bok, aż do konwulsyj"... **).

Ekstaza tedy—do której dojść można, jak widzimy, i na innej drodze—nie tylko, że nie stanowi istotnej i specyficznej cechy estetycznego odnoszenia się do dzieł sztuki, lecz, co więcej, *wprost je uniemożliwia!* Jest to bowiem stan bierny, stan „bezświadomości, niedostępności i niewrażliwości w stosunku do bodźców zewnętrznych", stan, w którym tracimy z oczu wszystko i w którym nie mają do nas przystępu żadne wrażenia z zewnątrz; poddajemy się w zupełności temu, co się wewnątrz nas samych dzieje. W takich okolicznościach nie może być oczywiście nawet mowy o słuchaniu lub oglądaniu dzieła sztuki.

Także i nawpół rozwinięte formy ekstazy, gdy ktoś np. „tonie w upojeniu" lub „odchodzi od zmysłów" z zachwytu czy podziwu, nie mogą być uważane za coś pozostającego w istotnej łączności ze sztuką, z charakterem i wartością artystycznych utworów. Ze zbadania tych i tym podobnych stanów psychicznych, estetyka, dążąca do ujęcia istotnego charakteru sztuki, wykrycia jej praw i zasad, nader małą tylko odnieść może korzyść. Nie można uważać dzieł sztuki za środki wywoływania rozkoszy, ekstazy i t. p.—nie mówiłoby to wiele o istocie dzieła sztuki—nie można też określać rozkoszy ni ekstazy, jako stanów, będących rezultatem oddziaływania na nas sztuk pięknych.

Lange stwierdza *): „Środek rozkoszy jest *niczem* w sobie i dla siebie; czynniki, wywołujące przyjemność lub radość i stające się w ten sposób środkami rozkoszy, są nimi tylko w stosunku do tego, kto rozkosz odczuwa, są tem przez stan, który w nim wywołują, a nie przez pewne specjalne w nich samych zawarte własności, które wogóle stawiają je w pewien stosunek szczególny do odczuwania rozkoszy".

Tymczasem dla racjonalnie pojętej estetyki jest dzieło sztuki, samo w sobie i dla siebie, *wszystkiem!*

Dzieło sztuki ma swój byt odrębny i nie przestaje niem być i wtedy, gdy nie jest używane za *środek* do wzbudzania w kimś subjektywnych stanów rozkoszy, nastrojów i t. p. Wybujały subjektywizm wprost odwodzi od zgłębienia i poznania istotnych cech artystycznych danego dzieła sztuki.

Jeden przykład rzecz może wyjaśni.

. . . . . .

Maëstoso:

Zaduma, cicha zaduma, miarowo przerywana nagłemi podrzutami duszy — bezkresna melancholja równin, błądzenie stęsknionemi palcami po niebosiężnej harfie cierpienia, a nagle: jakby on wicher, co niewiadomo skąd się rodzi, wyskakuje raptem głośny okrzyk, nawpół nuta triumfu, nawpół smagający ból lęku, by tam gdzieś w głębi ukryte cierpienie zadusić:

Tańcz, moja duszo. tańcz!

Ni stąd ni zowąd, dzika jakaś ochota, jakieś pragnienie wielkiego, szerokiego użycia od bieguna do bieguna — nogi drgają w takt zapamiętałego tańca, silniej, mocniej jeszcze, rwą się krzyki, coraz gwałtowniejsze przyśpiewki w trjolach, w grzmiącym basie — szeroko, coraz szerzej — ale napróżno: przyczajony ból wyczołgał się długi, uparty, zjadliwy, w jakieś niejasne wspomnienie...

I wraz składają się ręce w zbożnej skrusze, płynie słodka modlitwa i tyle błagania o przebaczenie i całowania stóp Ukrzyżowanego — rodzi się bunt duszy, ale wnet upada znowu w bezsilnem kołysaniu rozpacznej głowy, opadniętych rąk, skołatanej duszy... jakieś bolesne kwilenie, jakieś senne, nieświadome bólu nucenie, tak sobie przed się—tak na fale szerokiego wiatru z przeświadczeniem samotnej sierocej doli, powtarzanie jakiejś zabłąkanej myśli, nie! już nie myśli, tylko ostatni oddech chorych, sennych pacierzy — pogwizd wiatru, co złamany osiadł wśród nagich rżysk.

I od nowa potępieńczy taniec:

Na pohybel Bogu i djabłu:

Hulaj, duszo, pókiś cała!

Szerzej, coraz szerzej. Aż pierś pęka od rozparcia, gardło chrypnie, dusza tężeje we wściekłym rozmachu, ale ten wielki, ten ostatni krzyk wyrwać trzeba. I wielka chwila wyzwolenia. Nie krzyk, ale cała kaskada krzyków leje się spieniona w potężnych oktawach w dół, gdyby poodrywane głazy z gór szczytów w głuche usypiska, — leje się, cichnie, gaśnie w zbożnym, najgłębsze tajniki duszy polskiej przenikającem kajaniu się przed niezgłębionemi mocami:

Jedno, jedno ciche, bijące się w piersi:
Stań się wola Twoja, Panie:
Tak i Amen.
Do snu, do wielkiego snu ciszy i ukojenia...

. . . . . .

W ten oto sposób interpretuje St. Przybyszewski *) Mazurek Chopina Op. 41, № 1, pragnąc zapomocą świadomej zresztą parafrazy oddać wewnętrzną psychologję utworu Chopina i określić stosunek jego do narodu. Fragment ten może posłużyć za przykład wybitnie subjektywnego sposobu odnoszenia się do muzyki, jakkolwiek autor nie opisuje tu samych tylko swoich stanów psychicznych, ale raczej to, co dany Mazurek Chopina jakoby „wyraża". W opisie tym kilka zaledwie wyrazów wskazuje, że idzie tu o utwór muzyczny: „Maëstoso, triole, bas, oktawy". Ale nawet po tych nielicznych cechach objektywnych trudno jest wielce rozpoznać, że mamy doczynienia z opisem dzieła muzycznego o zdecydowanej formie „Mazurka"' że to właśnie Mazurek Chopina, a nie czyj inny, i że to Op. 41, № 1.

Tak jednak przemówi ów Mazurek tylko do duszy takiego artysty i takiego miłośnika Chopina, jakim jest Przybyszewski. Dlatego opis ten—jako czysto *subjektywny*, nieuwzględniający ogół artystycznych cech Mazurka Op. 41, № 1, nie może stanowić podstawy dla naukowej klasyfikacji i estetycznej oceny tego utworu, i nie jest wynikiem zajęcia wobec danego dzieła sztuki takiego stanowiska, któreby w całej pełni odpowiadało jego istocie. Jest to tylko przepyszna parafraza, która sama dla siebie stanowi odrębne dzieło sztuki i rozważana być może w zupełnem oderwaniu od utworu, na którego tle powstała.

Ani materjał, ani temat nie stanowi jeszcze sam przez się o tem, czy coś jest dziełem sztuki i posiada wartość artystyczną. Decyduje dopiero i o jednem i o drugiem *sposób* użycia materjału, sposób artystycznego opracowania pewnego tematu lub motywu i ujęcie go w artystyczną *formę*, której właściwości, cechy, można stwierdzić i sprawdzić zawsze w sposób objektywny.

Dzieło sztuki jest zamkniętym w sobie organizmem, w którem panuje zupełna i całkowita harmonja formy i treści. „Forma" i „Treść" są to w istocie rzeczy pojęcia oderwane, któremi posługujemy się, jako abstrakcjami, w badaniu naukowem. W sferze zjawisk estetycznych nie spotykamy bowiem nigdzie formy w oderwaniu od treści, ani odwrotnie. Nawet ornament i czysty utwór muzyczny mają swoją treść, jest nią w pierwszym przypadku „motyw" (roślinny, geometryczny i t.d.), w drugim obrany przez kompozytora „temat".

Idzie o wyszukanie i określenie takiego stanowiska wobec sztuki i jej tworów, któreby, uwzględniając ogół cech objektywnych i organicznych dzieła sztuki, odpowiadało w pełni jego istocie.

(*Dcn*) *Dr. Mieczysław Treter.*

*) *K. Lange*: Rozkosze zmysłów i rozkosze sztuki, przyczynki do sensualistycznej teorji sztuki (przekł. polski M. Muttermilcha), Warszawa, 1905, str. 45 i nast.

**) L. c. 49.

*) L. c. 22.

*) „Szopen a Naród" napisał Stan. Przybyszewski, Sp. nakł. „Książka", Kraków, str. 32 i nast.

POWIETRZNEMI SZLAKAMI.

2)

Sąd ten nie uległ zmianie, chociaż od czasu tych prób lotnicy francuscy: Maneyrol, Thoret i Barbot dokonali na samolotach bezsilnikowych lotów, pozostawiających zupełnie w cieniu rekordy, osiągnięte przez lotników niemieckich, bo gdy dnia 18 sierpnia 1922 r. Martens utrzymuje się na samolocie bezsilnikowym w przestworzu godzinę i 6 minut, a dnia 24 sierpnia — Hentzen 3 godziny i 10 minut, to dnia 21 października lotnik francuski Maneyrol, ubiegając się w Hitford-Hill (Anglja) o nagrodę *Daily Maila*, krąży w powietrzu, również, oczywiście, na samolocie bezsilnikowym, 3 godziny i 22 min.; dnia 3 stycznia 1923 r., podczas konkursu, urządzonego w Biskrze (Algier), przy pomocy francuskiego departamentu lotnictwa, porucznik Thoret utrzymuje się w powietrzu 7 godzin i 3 min.; dnia 29 stycznia Maneyrol pobija w Vauville poprzedni swój rekord angielski, żeglując w przestworzu 8 godz. 4 min. i $5^{3}/_{5}$ sek., i wreszcie dnia 31 stycznia lotnik Georges Barbot, krąży nad pustynią w Biskrze 8 godz. 36 min. i 55 sek.!

Rekordy wprost zdumiewające. Człowiek buja, jak orzeł lub sęp, całemi godzinami w przestworzu. Ale właśnie te loty długotrwałe dały czas do zastanowienia się entuzjastom nowego sportu. Wytrawny, stary Bleriot miał rację. Orzeł lub sęp bujają istotnie całemi godzinami na rozpostartych nieruchomo skrzydłach nad pustynią, albatros, rozpostarłszy swe skrzydła, daje się unosić setki mil wiatrowi nad wzburzonem morzem, ale wszystkie te ptaki posiadają na zawołanie silnik mocny i lekki w potężnie rozwiniętych mięśniach i mogą użyć go natychmiast, gdy wiatr nagle ustanie lub unosi je w niepożądanym kierunku. Kilka lekkich, niedostrzegalnych prawie uderzeń skrzydłami w powietrze wystarczy, aby ptak nie runął na ziemię. To też po wszystkich tak zadziwiających próbach lotu bezsilnikowego, budowniczy aparatów lotniczych w departamencie lotniczym armji francuskiej, p. Pitois, potwierdza zupełnie zdanie, wygłoszone w r. z. przez Bleriota i pisze w broszurze, wydanej w r. b. przez powyższy departament:

„Tylko silnik pozwala ruszyć w drogę kiedy się podoba, dokąd się podoba i podróżować szybko. A są to warunki *sine qua non* transportów, interesujących nas pod względem ekonomicznym.

„W lotnictwie zaś silnik posiada jeszcze jedno znaczenie: jest czynnikiem żywotnym bezpieczeństwa.

„Bez względu na to, jak pociągającą jest sprawa lotu żaglowego, nie wahamy się powiedzieć, że dla lotnictwa zagadnieniem podstawowem doby obecnej jest udoskonalenie silnika" [1]).

A zatem lot bezsilnikowy nie ma znaczenia? Bynajmniej. Próby dotychczasowe wykazały, że samolot bezsilnikowy może być, przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, znakomitą szkołą dla wyrobienia w młodych lotnikach odwagi, przytomności umysłu i pewności w kierowaniu aparatem, tudzież przyjemną rozrywką sportową, przedewszystkiem zaś dowiodły, że dla lekkich aeroplanów turystycznych zbyteczne są tak bardzo kosztowne, wielkie silniki, pochłaniające znaczne ilości benzyny, bo dla wzbicia się w powietrze i bezpiecznego utrzymania się w niem wystarczy, przy obecnem ulepszeniu budowy aeroplanów, daleko mniej energji, niż dotychczas przypuszczano.

[1]) Cytata z paryskiego *Tempsa* z dnia 9 maja 1923 r.

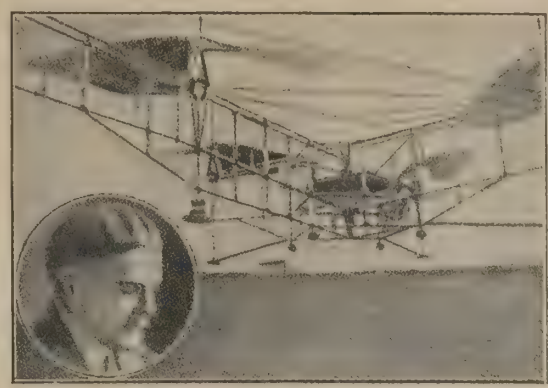

Inż. Oemichen. Helikapter inż. Oemichena.

Od aeroplanów więc bezsilnikowych zwrócono się ku aeroplanom o silnikach jaknajsłabszych.

Sprawa rozwiązania tego zagadnienia znalazła wnet bodziec pod postacią konkursu ogłoszonego w kwietniu r. b. przez zajmujący się bardzo lotnictwem dziennik paryski *Matin*.

Dziennik ten przyrzekł, mianowicie, nagrodę w sumie 25,000 franków temu lotnikowi, który w ciągu maja r. b. przeleci z Saint Inglevert, pod Calais, we Francji, ponad kanałem La Manche, do Lympne, pod Duwrem, w Anglji, i z powrotem (116 kilom.) tego samego dnia na aeroplanie o silniku co najwyżej 15-konnym.

G. Barbot z pilotami francuskimi na pustyni w Biskrze, po dokonaniu nad nią swego słynnego lotu na samolocie bezsilnikowym.

I nie długo czekała redakcja *Matina* na wypłacenie przyobiecanej nagrody, bo oto już w niedzielę, 6 maja, lotnik Barbot, który, jak wspomnieliśmy powyżej, dokonał podczas konkursu w Biskrze najdłuższego lotu na samolocie bezsilnikowym, przeleciał na drobnym jednopłatowcu Dewoitine, o silniku 15 konnym Clergeta, z Saint Inglevert do Lympne i z powrotem w ciągu 2 godz. 25 minut, spędziwszy przytem pół godziny na ziemi angielskiej.

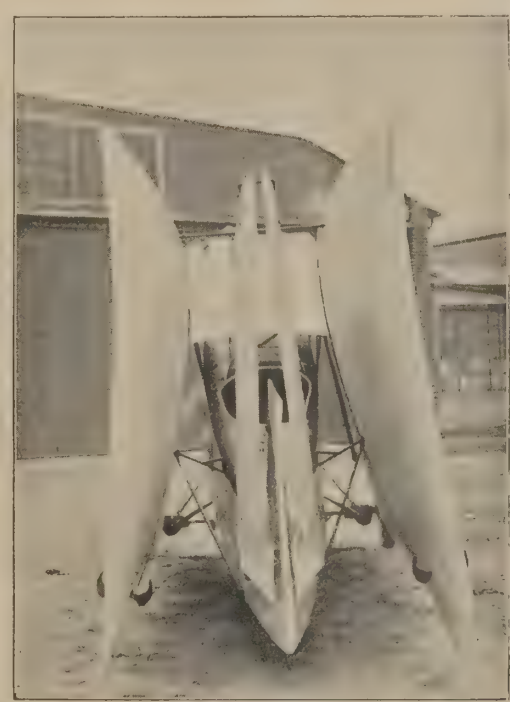

Miniaturowy samolot składany wynalazku niemieckiego, który z łatwością można przenosić jako bagaż ręczny. Fot. C. Fernstaedt.

A dokonał tego na aeroplanie robiącym wrażenie zabawki, o silniku posiadającym cylindry pojemności zaledwie 1,134 centymetrów sześciennych (warunki konkursu dopuszczały pojemność 1,500 cm. sześć.) i tak lekkim, że można go unieść jedną ręką, wreszcie o śmidze miniaturowej, długości około 4 stóp. Nie dziw więc, że zużył na tę podróż zaledwie $4\frac{1}{2}$ litra benzyny i 70 gramów oleju, co kosztowało go razem 18 franków.

Dane te świadczą, jak małym kosztem może dzisiaj lotnik doświadczony odbywać wycieczki powietrzne nawet dalekie, bo dodajmy jeszcze, że po zdobyciu nagrody *Matina*, Barbot powrócił następnego dnia tym samym aeroplanem do Paryża „spacerem", zatrzymując się dwukrotnie po drodze.

I nie skończył się jeszcze maj, gdy lotnik angielski, Lancaster Parker, dokonał nowego rekordu na wprost miniaturowym jednopłatowcu budowy majora Gnospliusa, o silniku zaledwie 5—6-konnym, wzbijając się z Lympne do wysokości 2,500 stóp i lecąc z szybkością 65 mil ang. (około $104\frac{1}{2}$ kilom.) na godzinę.

Tego jednak dokonać można dopiero dziś, przy udoskonalonej budowie samolotów i silników, bo gdy w r. 1909 Bleriot przeleciał pierwszy nad kanałem La Manche, to aeroplan jego, również jednopłatowy i będący na owe czasy maszyną nadzwyczajną, posiadał silniki o cylindrach pojemności przewyższającej trzykrotnie pojemność cylindrów dzisiejszego silnika Clergeta i osiągnął szybkość tylko 58 kilom. na godzinę, gdy Barbot leciał z szybkością przeszło 90 kilom., a pułap (największa wysokość, do jakiej może wzbić się aeroplan) samolotu Bleriota nie przekraczał 800 metrów, gdy tymczasem aeroplan Dewoitine może się wzbić do wysokości 4,000 metr. Choć przytem różnica wagi pomiędzy obu aeroplanami jest niezbyt wielka, gdyż samolot Bleriota, gotowy do drogi, ważył 300 kilogr., samolot zaś Dewoitine—250 kilogr., to jednak spółczynnik wydajności, obliczony według formuły kapitana Hirschauera, wynosił dla samolotu Bleriota 240, a dla samolotu Dewoitine 912! Porównanie to unaocznia olbrzymie postępy w lotnictwie, osiągnięte od 1909 roku.

Słusznie więc wiceprezes francuskiej Ligi aeronautycznej, p. R. Quinton, domaga się, aby loty takie, jak Barbota, nie nazywać „*aviation à faible puissance*" (lotnictwo o słabej sile), bo tem nie są, lecz „*aviation à grande finesse*") lotnictwo o wielkiej sprawności).

Nowy tedy rozdział w dziejach lotnictwa aeroplanowego jest napisany, a i dalsze będą zapewne bardzo ciekawe, lotnictwo bowiem w tym kierunku obiecuje wyniki świetne.

Należy tu jednak wspomnieć jeszcze o ciekawych próbach w nowym kierunku, próbach niezmiernie złożonych, a wprost dążących do nadania samolotowi prawdziwych zmysłów, pozwalających stosować się automatycznie do warunków powietrza, przez które leci.

W ciekawym referacie, wygłoszonym na ostatniem posiedzeniu rocznem Towarzystwa francuskich inżynierów cywilnych, inż. Percheron przedstawił rezultaty osiągnięte już dotychczas, zapewniając, że rozstrzygnięcie tego zagadnienia znajduje się na jaknajlepszej drodze.

(*Dcn*) *Stefan Barszczewski.*

UNIVERSITY OF

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

2)

Wstała i nie dała mu chleba z masłem, tylko wprowadziła do ciemnej izby, której jedno okno było zupełnie zielone i wychodziło do sadu. Tam dała mu bieliznę, suknie, buciki.

— Kiedyż to się stało? Teraz?

— Nie wiem. Przed godziną.

— Powinien byłeś zaraz się przebrać.

Mówiła cicho i pomagała mu w ubieraniu. Robiła tak, jakby brała jego stronę, a inni nie mieli wiedzieć o niczem. Jakób nie był nieczuły na jej uprzejmość, ale ona sama zawadzała mu. Zabierała dużo miejsca w tej małej komórce. Zatrzymał oddech, żeby nie czuć jej bliskości. Przytem oceniał jej przymioty, bez zastrzeżeń.

Lecz majorowa była nieobliczalna.

— A inżynier... — spytała i zaśmiała się.

— Pan inżynier...—wyjąkał Jakób.

Teraz uczuł, że wiedziała wszystko. Przecież on go nie zdradził, nie, na Boga. Tego nikt nie mógł utrzymywać.

Powiedział, że sam wpadł do wody, mimo to wiedziała wszystko, co chciała i spytała tylko:

— Czy poszedł potem do fabryki?

— Zdaje mi się, że nie...

Do tego był poprostu zmuszony. Zastawiła na niego sidła, a jak się raz w nie zaplątał, to nie pozostawało nic, jak mówić prawdę. Taką była majorowa, djabelsko przebiegła i pełna humoru.

Czuł, że do niej nie dorósł.

A inżynier mógłby myśleć, że to on go zdradził. To było nieprzyjemnie. Pozostał mu niesmak. Można by to także nazwać złem sumieniem, chociaż nie był winnym. To był ból, ale taki z powodu którego się nie płacze. Ale wszystko wiedząca majorowa powiedziała:

— Temu nikt nie winien.

Potem powiedziała jeszcze coś, co Jakóba bardzo zastanowiło.

— Teraz się tu długo nie pokaże. Znam to już i wiem dokładnie, jak dalej będzie. W parę dni dostaniemy list, może nawet z zagraniczną marką.

— Co pani mówi! List od niego?

— Z jakiegoś urzędu, przypuszczam. Pewnie nas będą prosić, żeby po niego przyjechać.

— Czyż on nie może sam?

— Nie — zdaje się, że jest znowu słaby. Będę musiała po niego pojechać. To zawsze moja rola — ale Leopoldyna (żona inżyniera) strasznie się znowu strapi. Ona się jeszcze dotąd nie przyzwyczaiła do wszystkich nienormalnych przymiotów swego małżonka. Nic dziwnego. Ja takich mężczyzn dotychczas też nie znałam.

Popatrzała na ścianę, na której wisiały fotografje mężczyzn, których znała. Między nimi był oficer w jasnym mundurze — major— trochę podupadły i pożółkły, bo już umarł przed wielu laty.

— Czy inżynier jest warjatem? — spytał Jakób.

Położyła palec na ustach, tak, jakby chłopiec za głośno krzyczał.

— Nie wiem, moje dziecko. W każdym razie to określenie ubodło by Leopoldynę. Najlepiej z nikim o tem nie mówić... a już na samym ostatku z moją córką. Rozumiesz, ani mru-mru!

Już drugi raz w tym dniu dostawał Jakób rozkaz, żeby o czemś zamilczeć. Ale ta nowa tajemnica nie obciążała zanadto jego sumienia — nawet wracała mu równowagę do pewnego stopnia.

Kiedy później mógł już wyjść z resztką swego chleba, nie czuł się tak niepewny, jak przedtem. Teraz był tylko smutny. Przy murze pod oknem salonu migała znowu poranna suknia inżynierowej. Ale Jakób poszedł dalej — uznał, że mądrzej jest teraz z nią nie mówić. Udał się do sadu. Po drodze dostrzegł w trawie swoim ostrym wzrokiem miedzianego chrząszcza: „Carabus cancelatus". Ale nie schylił się po niego. Tej dziecinnej manji zbierania chrząszczów pozbył się już dawno — najmniej od pół roku.

Teraz tylko fotografował. A pracownię swą miał w opuszczonej chałupie na końcu sadu.

II.

Inżynier był w stanie maszerować w nieskończoność, jeżeli go nic nie zatrzymało. Był jak „perpetuum mobile" raz w ruch puszczone— sam o tem wiedział.

Ale wszyscy zdrowi byli jego nieprzyjaciółmi — to tylko niewyraźnie odczuwał. Tysiące przeszkód otaczało go. Na początku swej pieszej podróży nie zwracał na nic uwagi, był jak pijany po pierwszych kieliszkach wina. Nie wyszukiwał sobie niemożliwych celów, tylko zawsze „aż do następnej wsi" a potem znowu „do następnej". Szosa tańczyła przed nim jak biała wstążka — a on szedł za nią — i więcej nic.

Myślał nieraz nad tem, że gdyby tylko chciał — mógłby wrócić. — Ale nie chciał — przynajmniej na razie. To przekonanie dawało mu wygląd zupełnie normalny. Jak setki innych szedł swoją drogą i nie wpadł w oko. Cieszyło go to. Czuł niewyraźnie, że nie było nic przykrzejszego, jak robić tego rodzaju wrażenie na drugich i miał zamglone wspomnienie o czasach, kiedy mu się nie udawało spokojnie przechodzić obok ludzi.

Powinno by się móc zniknąć bez śladu.— Ale to było trudno. Takiego, który znikł, prędzej się spostrzegło niż takiego, który ciągle był. Bo nic na świecie nie mogło wpaść w wodę. Każdy wędrowiec musiał powiedzieć jak się nazywa i skąd pochodzi. A jeżeli skłamał, to wiedziano o tem w tej chwili: dowód, że pytano tylko ze złośliwości. Codziennie wędrowiec odkrywał nowe rzeczy, ale on sam był dawno odkryty. Znali go skądś obcy ludzie, nawet dzieci i psy.

Dlatego inżynier nie rozmawiał z nikim— a było to tylko w ten sposób możliwe, bo nie używał ani pary, ani koni, tylko własnych nóg.

Aż pewnego dnia doszedł do miasta, które leżało nad szeroką rzeką i aż czarne było od mieszkańców. A w porcie dymił okręt, który prawdopodobnie długą drogę miał przed sobą— pewnie aż do morza. Woń dymu i wody napełniła tęsknotą serce inżyniera. Postanowił pojechać tym okrętem.

Kiedy mu się udało dostać się bez przeszkód na pokład, porwała go wielka radość.— Problem znikania był może bliski rozwiązania. Wszystkie więzy, które go krępowały, musiały być przecięte. Popielaty surdut, który już długo nosił i dlatego nienawidził — zdjął i wrzucił do wody. W sam czas przypomniał sobie jeszcze, że na złotym zegarku, który miał w kieszeni, wyryte były początkowe litery jego nazwiska—i zegarek poszedł tą samą drogą, co surdut. Ale co to? z kieszeni powypadały listy i inne drobiazgi i inżynier schylił się, żeby usunąć także i te zdradliwe rzeczy.

Tę chwilę wykorzystali nieprzyjaciele. Dwóch drabów chwyciło go z tyłu i naraz— nie miał rąk. Jak kufer został zaniesiony napowrót na brzeg. Dopiero wtedy okręt wydał przeciągły gwizd i rozpoczął drogę do morza. Ale inżyniera to już nic nie obchodziło.

Ale i wszystko inne też go nic nie obchodziło. Został zamieniony w nieżyjący przedmiot. Perpetuum mobile stanęło.

Papiery wędrowca oglądała jakaś osoba przy biurku—ta osoba była urzędem—a urząd znajdował się w pokoju, którego ściany zdobiły mapy i obrazy koronowanych głów. Za to popsute Perpetuum mobile leżało porzucone w jakiejś celi bez żadnych ozdób.

A kiedy urząd dowiedział się wszystkiego ze znalezionych papierów, począł zaraz pisać ów list, przewidziany przez majorową.

Majorowa była na wszystko przygotowana, ale że się Leopoldyna więcej tym razem martwiła niż kiedykolwiek, uważała wprost za nierozsądne.

— Że płacz nic nie pomaga, o tem wiesz sama — zauważyła — a wreszcie nie jest to przecież pierwszy raz.

— To nie jest żadna pociecha — to się musi prędzej czy później źle skończyć, mówił doktór. A list tym razem daje długo na siebie czekać.

— Nie uważam tego za zły znak. Widocznie maszeruje wesoło naprzód.

— „Wesoło", w takiej chwili... — płakała jeszcze gwałtowniej Leopoldyna.

Bolało ją to, jak znieważano jej ból.

Majorowa, która mniej uważała na styl— cerowała tymczasem pończochy Jakóba.

Jakób zaś znajdował się na łące poza ratuszem, gdzie fotografował pannę Marjannę, córkę burmistrza.

Marjanna była dwa razy starszą od niego, pomimo to traktował ją surowo i bez najmniejszego respektu.

— Jakże wypadło?—pytała, a szyja jej wydłużała się coraz bardziej z ciekawości.

— Paskudnie — odpowiedział Jakób — bo pani ma ustawicznie te tchórzliwe oczy,

— Ty sobie zawsze coś wymyślisz. Wtedy na urodziny papy uśmiechałam się — i też się nie udało.

— Bo to był uśmiech afektowany.

Starała się być najbardziej jak mogła naturalną. Usta jej drżały, a brwi ściągały się tragicznie — tak gorliwie chciała być jak zwykle wesołą i pogodną.

Ale naraz Jakób zamknął z trzaskiem aparat.

— Koniec — skonstatował.

(*Dcn*)

ECHA POBYTU RUMUŃSKIEJ PARY KRÓLEWSKIEJ W POLSCE.

Fot. Wacław Rokosz.

Rumuńska para królewska podczas pobytu Swego w Polsce zrobiła przegląd wojsk naszych w Rembertowie. Ilustracja powyższa przedstawia Króla rumuńskiego, Ferdynanda, ze świtą, w otoczeniu prezydenta Wojciechowskiego, premiera Witosa i generalicji na wzgórzu pól Rembertowskich.

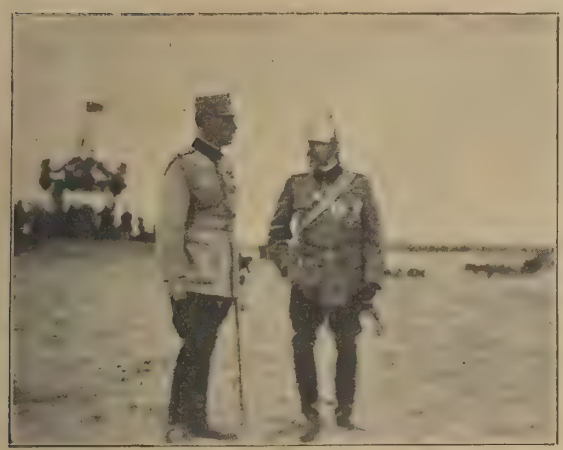

Król rumuński dzieli się wrażeniami odniesionemi z ćwiczeń Rembertowskich z jednym z jenerałów armji rumuńskiej.

Król rumuński, Ferdynand, konno przemierza pola Rembertowskie.

Królowa rumuńska, Marja, przez cały czas ćwiczeń towarzyszyła konno Swemu małżonkowi.

Jen. Suszyński objaśnia Króla rumuńskiego o planie ćwiczeń w Rembertowie.

Prezydent Wojciechowski, marszałek Piłsudski, premier Witos i jen. Żeligowski, śledzą bacznie przebieg sprawnie rozwijających się manewrów wojskowych

Królowa rumuńska Marja, z przydzielonymi do Jej świty. hr. Przeździeckim (z prawej strony) i hr. Sobańskim (z lewej strony).

Premjer Witos i jenerał Żeligowski zwiedzają plac ćwiczeń.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 23)

Na kilka kroków przed namiotem chłopak konia osadził i w mgnieniu oka stoczył się z siodła na ziemię. Przyrodni jego brat Ałtyn-Cha-ra-czi, syn Geril-tu, już stał przy mordzie jego konia wraz z gromadą nagich, jak on towarzyszy i powód wierzchowca od brata odbierał. Czi-rin nie spojrzał nawet na dzieciarnię, biegł ku starszym z rozczerwienioną twarzą, z błyszczącemi oczyma.

— Oczir-meren...[1]) — wołał już zdaleka, łapiąc z trudnością powietrze. — Siedem chińskich głów przywiózł, moc złota, zdobycz na dwunastu koniach... sześciu jeńców „orosów”[2]) i jedną „świętą kobietę”!...

— Jaką „świętą kobietę”? Co ty pleciesz?!...—przerwała mu opryskliwie Geril-tu.

Ale chłopak nie zważał tym razem na okrzyk Chanum (pani) i plótł dalej tak prędko, że zdawało się, iż pogubi wargi.

— Prawdę mówię! Sam widziałem... Przywiozła ze sobą świętą tybetańską książkę i odrazu powiedziała naszym ludziom: om-mani-padme-hum!

— Książkę? Ależ to oni!.. — krzyknął, zrywając się z miejsca Szag-dur.—Oni!.. Gdzie są?.. Ilu ich?.. Mój chłopcze, leć zaraz, pędź!.. Niech jadą tu... Sprowadź ich natychmiast!..

Wszyscy obecni zwrócili się ku mówiącemu, zdziwieni jego silnym głosem i wielkiem podnieceniem. Nagie dzieci, prześliznąwszy się między nogami starszych, w pierwszym rzędzie słuchały go z otwartemi ustami i wytrzeszczonemi ślepkami, a z całego „urge”[3]) zbiegali się już ludzie—kobiety, mężczyźni posłuchać nowin. Wkrótce zebrało się ich spore koło.

— Nic nie rozumiem!—wyrzekła zdziwiona Geril-tu.

— Potem, potem, Chanum!.. Wytłumaczę, wszystko wytłumaczę, a teraz, zaraz... poślijcie po nich najlepsze konie albo lepiej... wóz... najpiękniejszą „arbę”... po tę pannę...—powtarzał gorączkowo Szag-dur.

— Pannę?... — zapytała zdziwiona Tusziur.—Więc ich znasz?!..

— Ależ tak!.. Napewno oni!... Opowiem, opowiem... To cud!... A teraz śpieszcie się!... Czi-rin, siadaj na koń!..

— Wcale to niepotrzebne!..—odrzekł spokojnie chłopak, strzepując „tasziurem”[4]) kurz z poły chałata.—Zaraz sami tu będą! To oni jadą!..—wskazał wdal, gdzie czerniała gromadka jeźdźców.

— W „charaule” nie mogli się dobrze z nimi rozmówić po rosyjsku, więc ich wiozą do ciebie, Szag-dur, który wszystko umiesz!.. — wyjaśniał chłopak.

Spojrzał zwycięsko po słuchaczach, wydął usta, wyjął z za cholewy mosiężną fajeczkę z przywieszonym do niej kapciuszkiem, nabił ją tytoniem i przysiadłszy na piętach pod ścianą jurty, zaczął spokojnie ssać dym, oczekując z powagą dorosłego na bieg „wyprzedzonych” przez siebie wypadków.

Obecni krajowcy już zwrócili się twarzami ku zbliżającej się kalwakadzie. Jedynie stara, czarna mongołka, obwieszona srebrem, lecz odziana w niezmiernie brudną, niegdyś żółtą jedwabną koszulę, rychło przestała patrzeć w tą stronę, a zbliżyła się do chłopca, wyjęła mu bez ceremonji fajkę z ust, otarła jej cybuszek ręką ze śliny, włożyła między swoje zwiędłe szerokie wargi i, nachyliwszy nisko ucho do twarzy chłopca, spytała głośno:

— O co chodzi, moje dziecko?..

— Nic, matko! Tylko... przyjeżdża ruska królewna, piękna jak złotowłosy księżyc wiosenny nad cedrowym borem i przywozi nam świętą księgę tybetańską, która da szczęście całemu ludowi... — odpowiedział głośnym szeptem chłopak.

Wszyscy tak byli zajęci przybyciem jeźdźców, że ku wielkiemu niezadowoleniu Czirina nie zwrócili najmniejszej uwagi na te jego słowa. Tylko Geril-tu zmarszczyła ponownie swoje brwi sobole i rzuciła podejrzliwe spojrzenie na matkę i syna, lecz nie miała czasu na dłuższe badania, gdyż Oczir Meren już osadził konia tuż przed zebranymi. Zwolna, ruchem pełnym niezmiernego szacunku dla samego siebie, zsiadł oficer z siodła. Towarzyszący mu żołnierze już zeskoczyli z koni i służbisto schwycili za uzdę wierzchowca naczelnika, inni przytrzymywali mu strzemiona. Tęgi szaro-gniady koń kręcił się niespokojnie, chrapał i przysiadał na zadzie, potrząsając czerwonem siodłem i utroczonemi z tyłu za nim cuchnącemi szaro-żółtemi głowami chińczyków z wyszczerzonemi zębami. Oczir Meren stanął na ziemi. Ubrany był w swój najwspanialszy błękitny chałat, zapinany na srebrne guziki, a czerwone wstęgi, zwieszające się z jego czarnej aksamitnej czapki, dochodziły mu prawie do pasa. Złożył właśnie dłonie w miseczkę i gotował się podejść z powitaniem do Geril tu Chanum, gdy zdarzył się niesłychany dotychczas w koczowiskach mongołów skandal: szlachetny potomek książąt narodu Bargu[5]), wnuk wnuków opiewanego w pieśniach Sacha-daj Delche-te Zog-dar Batyrja — towarzysza i doradcy samego Czingiza — syn słynnego z bogactw i rozumu Aba-szaj Bad-maj Chana, uczony i powszechnie szanowany, pomimo młodych lat, Szag-dur Bad-maj nojon nagle ozdrowiał, zerwał się z siedzenia, rozepchnął wszystkich na cztery strony świata, potrącił nieprzystojnie czcigodnego Oczir Merena i rzucił się z wyciągniętemi, zupełnie po „zamorsku” ramionami do tylko co przybyłych zsiadających z koni jeźdźców, schwycił jednego z nich w objęcia, uściskał, ucałował, poczem zrobił to samo w obliczu wszystkich z ową „białą królewną”, co to przyniosła „świętą tybetańską księgę” z ziemi „orosów!...”

Mężczyźni aż przysiedli ze zdziwienia, oparłszy ręce na lędźwiach, dzieci podskoczyły w górę na pół łokcia, a kobiety stare i młode zakryły zasromane twarze końcami rękawów i powiedziały: pfhyj!

II.

— Więc to wy... wy?!... Mój Boże!... Jakże się to stało?... Co za szczęśliwy wypadek!... I właśnie tutaj!... A już tyle razy opłakałem was!... Ależ nacierpieliście się pewnie!?... Co znaczy ta szrama na twojej twarzy, Władziu?! A pani?... Jak pani to wszystko wytrzymała... Wprost nie do wiary, nie do wiary!... Jakaś bajka, jakiś sen!...—wołał w uniesieniu Badmajew, szarpiąc to jedno to drugie za ręce.

— Istotnie, jakiś sen... Nie zginąłeś!... Żyjesz!... — powtarzał, wciąż jeszcze osłupiały Korczak.

— Nie zginąłem!... Żyję!... Jak widzisz!...— śmiał się burjat.

— A myśmy pana... porzucili!. .— szepnęła z bolesnym samowyrzutem Hanka.

— I lepiej!... Zginęlibyśmy wszyscy. Opowiem, opowiem, wszystko opowiem... Ale chodźcie do namiotu, tu zaczyna się robić za gorąco i za... tłumno! — zapraszał ich ruchem ręki ku jurcie Badmajew.

Ruszyli ku otwartym drzwiom namiotu, w którego głębi krzątała się już zabiegliwie Tu-sziur ze służebnemi. Za nim ruszył cały tłum mongołów i gromadka jeńców. Przed progiem Badmajew zatrzymał jednak przyjaciół i obejrzawszy się za siebie, zapytał, kiwając znacząco głową na Biełkina z towarzyszami:

— Czy oni też są waszymi przyjaciółmi?

— Nie zupełnie!—rozśmiał się Korczak.— Właśnie z ich powodu o mało nas twoi rodacy nie zabili... Nagadali na nas!...

— Ach, tak!... W takim razie, ja ich każę...

— Nie, nie!... Niech ich już nie męczą, niech ich też uwolnią. Wszak teraz nie są niebezpieczni...

— Męczyć ich nie będę!... Niech się pani nie boi... Mongołowie nigdy nie męczą jeńców: albo ich zabijają, albo traktują po ludzku... Nie mogę ich jednak wprowadzać do książęcego namiotu... Co zaś do uwolnienia, to ani ich, ani nawet was, ja uwolnić nie mogę... nie mam prawa!... Wy jesteście własnością naszego dzisiejszego cesarza, świątobliwego Hu-tuch-ty! Bo Mongolja jest teraz niepodległa!... — dodał z dumą.

— Mogę tylko w waszej sprawie napisać do Urgi... Hutuchta jest bardzo dobry i mądry... Upewniam was, że nic wam nie grozi!...

— Czy jednak nie możnaby tego wielkiego, kudłatego chłopa przyłączyć do nas? — prosiła Hanka wskazując na Maćka.

— Owszem! Można, można... Bardzo chętnie!... — zgodził się Badmajew.

Rzucił kilka słów tłoczącym się z tyłu za nimi krajowcom, wśród nich zrobił się ruch i Maciek, oddzielony od Rosjan, wypchnięty naprzód, znalazł się obok Korczaków. Niebieskie oczki olbrzyma zaświeciły dziecinną radością, manewrował tak wśród wchodzących do namiotu, żeby znaleźć się jak najbliżej Hanki. Ta kiwnęła mu porozumiewawczo głową i ku zdumieniu wszystkich „chanum“ europejskim obyczajem pierwsza przestąpiła próg. (DCN)

[1]) Oczir—nazwisko, meren — ranga odpowiadająca stopniowi rotmistrza. Na pograniczu podlega mu zwykle kilka „charaułów“. — „Charaul” — coś w rodzaju stanicy kozackiej, której ludność męska pełni powinność straży celnej oraz wojskowej za co korzysta bezpłatnie z pastwisk, roli oraz otrzymuje mały żołd towarami chińskiemi od rządu z Pekinu.

[2]) Rosjan.

[3]) Urge—stawka książęca, zwykle kilka jurt razem stojących. Nad namiotem księcia w razie jego obecności powiewa zwykle barwna chorągiew ze znakiem rodowym.

[4]) Mocny kij z klapą rzemienną na końcu, coś w rodzaju nahajki do popędzania koni.

[5]) Kraina Bargu — Zabajbalie, naród Bargu — burjaci.

Fot. St Brzozowski.

Z TEATRU.

Fot. J. Malarski.

W Teatrze Małym odegrali pp. Malicka i Węgierko, bawiący na gościnnych występach w Warszawie, świetną sztukę Niccodemi'ego p. t. „Świt, dzień i noc", zdobywając entuzjastyczne przyjęcie widzów i krytyki.

Teatr im. Bogusławskiego wystawił sztukę Gąsiorowskiego i Nikorowicza p. t. „Pani Walewska" z pp. Kopycińską i Kuncewiczem w rolach głównych.

Z CHWILI.

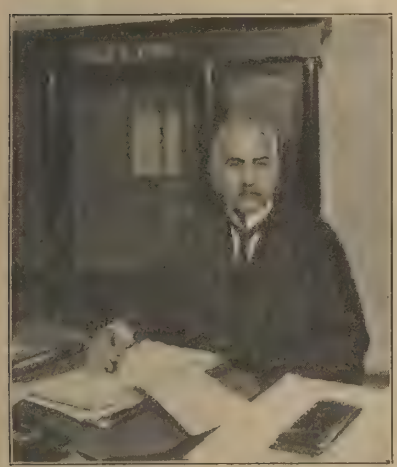

Tekę ministra skarbu, po dr. Wł. Grabskim, objął dotychczasowy dyr. P. K. O. p. Hubert Linde.

Fot. Marjan Fuks.

W Borysławiu spłonął zbiornik ropy o pojemności 400 wagonów, własność Tow. Akc. naft. „Galicja".

ZE SPORTU.

Między „Polonją" a „Warszawianką" rozegrał się match z wynikiem 3:3.

Fot. W. Rokosz.

Moment decydujący o przodownictwo. Napad „Polonii" usiłuje sforsować obronę „Warszawianki".

PORADY KOSMETYCZNE.

Stałej prenumeratorce. Zastosować elektryczne przypalanie, smarować kremem Alpejskim.

Władysławowi z Lidy. Do mycia głowy 2% mydło siarkowe, Eos wcierać co 5-ty dzień, łupież zniknie, włosy wspaniale rosnąć będą. Eos 40,000.

Miłej. Drożdże w suchym stanie 3 łyżeczki dziennie.

F. F. Specjalnych aparatów obecnie brak. Zwrócić się do lekarza chirurga.

Włodzimierzowi, Andzi i innym wyszlę odpowiedź pocztą. Adresować do mnie: Klimecki, Niecała 5, Warszawa.

Klimecki.

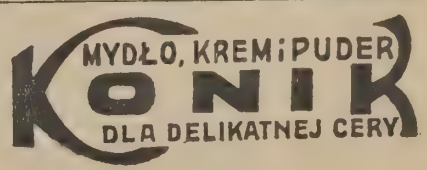

U źródła towarów drogeryjnych...

(Z cyklu: „Bydgosko-pomorski przemysł i handel").

Wiedzieli Niemcy dobrze, czemu tak uparcie nie popierali w Wielkopolsce i na Pomorzu przemysłu chemicznego i czemu tak zaciekle przeszkadzali tu jego powstaniu. Przecie nie było ich zamiarem dać sobie wyrwać tak cennego monopolu z ręki.

Gdy jednak Traktat Wersalski plany te ich wszystkie pokrzyżował, a Polska powstała do samodzielnego bytu—w dziedzinie przemysłu chemicznego wszystko u nas zaczęło rwać się do nowego życia, dążyć do samowystarczalności.

Dzielnice zachodnie naturalnie prym wiodły na tej drodze, a z wielkim zapałem, oraz umiejętną ostrożnością organizowany równocześnie w tym kierunku wielki handel hurtowy artykułów drogeryjnych i aptekarskich, był w tej mierze najszybciej prowadzącym do tak szczytnego celu środkiem.

Przedewszystkiem zabrał się do pracy na tem polu—trzeba mu to przyznać—Poznań. Ale i Bydgoszcz nie pozostała w tyle. Pierwszym rzec można, dzielnym i zwycięskim pionierem usamodzielniania się naszego na polu handlu hurtowego drogeryjnego, okazał się p. Józef Fagiewicz. Młody ten stosunkowo jeszcze kupiec i przemysłowiec pomorski, już pod czujnem okiem Niemców gotował się do spełnienia swych daleko idących zamysłów, a to jako właściciel od 1912 r. niedużej wprawdzie, ale za to bardzo sprawnie przezeń prowadzonej w Świeciu hurtowni drogeryjnej i składu detalicznego w tej branży.

Z chwilą, gdy Dowbor-Muśnicki zajął Bydgoszcz dla Polski, p. Fagiewicz sprzedaje dotychczasowy swój posterunek w Świeciu, gdzie przez lat 9 przygotowywał się po swojemu również do „kampanji rewindykacyjnej", przenosi się do Bydgoszczy i tu nabywa w r. 1919, a więc przed 4 laty, wielką hurtownię, założoną jeszcze w roku 1857 przez Niemca, a znaną pod firmą „Carl Wenzel Comandit-Gesällschaft". Była to w swoim czasie największa hurtownia branży drogeryjnej na Pomorzu.

Nabywszy ten ogromny warsztat gospodarczy za skromne stosunkowo środki, ale których dobił się tylko wytrwałą i systematyczną pracą szeregu lat swego życia, p. Fagiewicz zabiera się z wielkim zapałem do urzeczywistnienia swych umiłowanych planów. A było nimi stworzenie prawdziwie polskiej na wielką skalę hurtowni drogeryjnej w Bydgoszczy.

Szczupłość kapitału, z jakim rozpoczynał swą kampanję, wielka konkurencja Niemców, któ-

Józef Fagiewicz,
właściciel hurtowni drogeryjnej w Bydgoszczy.
Fot. W. Wojucki.

ra jednak wciąż ciążyła nad tym rynkiem zbytu, oraz łatwo zrozumiałe nieobeznanie się odbiorców z nowowprowadzającą się firmą, wszystko to były przeszkody, z któremi się jednak młody hurtownik w niedługim stosunkowo czasie i bardzo dzielnie uporał. Nie zmogły też jego wytrwałości nawet te wszystkie przeszkody, jakie stawiały rozwojowi wielkiego handlu drogeryjnego nasze władze. Wysokie cła na takie importowane surowce, jak chemikalja, oleje, tłuszcze, wina lecznicze i t. d., niezdrowo wyśrubowana akcyza na cukier i spirytus, wszystko to były przeszkody, które bynajmniej nie ułatwiały nowozorganizowanej polskiej hurtowni pracy, ale czyniły ją ciężką i żmudną. Na szczęście p. Fagiewicz dawał sobie z tem wszystkiem doskonale radę i dziś hurtownia jego prowadzona przezeń zawsze sprężyście i ruchliwie pod firmą:

„JÓZEF FAGIEWICZ"

Hurtownia Drogeryjna w Bydgoszczy

ul. Mazowiecka, tel. 92,

wysunęła się na pierwszy plan wśród konkurencyjnych firm hurtowych tej branży i wzięła nawet rekord z konkurencją Poznania, gdy chodzi o opanowanie w tej branży rynku zbytu na Pomorzu i wśród północnych połaci poznańskiego.

W tej chwili jest ona może najpopularniejszem źródłem hurtowego zakupu środków aptecznych i drogeryjnych w zachodnich dzielnicach Polski, pobiwszy ponadto na głowę te hurtownie drogeryjne niemieckie, które tu jeszcze usiłowały wegetować.

Zasadą firmy Fagiewicza jest szybko obsłużyć klijenta, dostarczyć mu towaru po możliwie niewygórowanej cenie i zaopatrzyć go w produkt przedewszystkiem krajowy, dopiero w jego braku w zagraniczny i na samym końcu dopiero, z ostatniej konieczności—w niemiecki.

To też szeroki ogół jego klijenteli, popierający tą hurtownię sprawił, iż dzisiaj byt jej jest doskonale ugruntowany, żadne trudności finansowe, z którymi dziś tak walczą przedsiębiorstwa akcyjne w tej branży, dla niej prawie nie istnieją, a linja rozwojowa firmy w przyszłości zakreśla sobie bardzo dalekie loty.

* * *

Ekspedycja hurtowni drogeryjnej J. Fagiewicza w Bydgoszczy.
Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Widok zewnętrzny hurtowni drogeryjnej J. Fagiewicza w Bydgoszczy.

Składy ekspedycyjne hurtowni J. Fagiewicza w Bydgoszczy.

Sortownia składów hurtowni drogeryjnej Józefa Fagiewicza w Bydgoszczy.

Magazyny hurtowni drogeryjnej J. Fagiewicza w Bydgoszczy.

Zdjęcia fot. W. Wojuckiego w Bydgoszczy.

Kantor fabryki „Avena" w Bydgoszczy.

Magazyn surowców fabryki „Avena" w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Dążąc systematycznie do uniezależnienia naszego rynku chemicznego od importu niemieckiego przynajmniej w dziale przetwórczo-spożywczym, p. Fagiewicz, arcydzielny typ „selfhelpmana", sięgnął także i po laury przemysłowca. Oto przy ulicy Mazowieckiej № 29, gdzie mieszczą się efektowne i na europejską miarę urządzone, bo widne, przewiewne i pod względem technicznych urządzeń każące się podziwiać składy hurtowni, założył właśnie przed rokiem specjalny oddział fabryczny pod firmą:

„AVENA"
Fabryka Płatków Owsianych
Józefa Fagiewicza.

Fabryka ta, która od pierwszego impetu doskonale się rozwinęła, wyrabia z owsa gatunku „Ligowo" płatki owsiane, jako produkt spożywczy dla dokarmiania dzieci, oraz osób chorowitych wogóle. Umiejętnie ten i pod nadzorem lekarskim wyrabiany środek leczniczo-spożywczy, w krótkim stosunkowo czasie niemal wyparł tak zachwalane w tym rodzaju specyfiki niemieckie, za któreśmy ciężki grosz wywozili niebacznie na utuczenie wrogiego sąsiada.

I w tem leży właśnie wielka zasługa p. Fagiewicza. W ten sposób bowiem nietylko przysłużył się przemysłowi polskiemu, ale także odebrał na rynku naszym źródła zbytu przemysłowi wrogiemu i to temu samemu, którego twórcy, jak to widzimy, wciąż chcieliby Polskę w łyżce wody utopić.

Dziś, dzięki pomysłowi i pracy p. Fagiewicza, „Avena" jest ulubionym i bardzo już popularnym środkiem odżywczym dla milusińskich całej Polski, a świat lekarski odzywa się o nim z największemi pochwałami.

Obok zamieszczone zdjęcia fotograficzne ilustrują sposób fabrykacji płatków, za który to specyfik spożywczy, smaczny, niedrogi i swojski wytwórca ich na ostatnich Targach Poznańskich zdobył nietylko dużo pochwał, ale i sporo zamówień na wiele miljonów i to nietylko w kraju, ale także na eksport do Rosji, Rumunji i t. d.

To też tylko z całem uznaniem należy być dla takiej twórczej pracy kupca i przemysłowca polskiego, który nietylko stwarza podwaliny pomyślności materjalnej dla siebie, ale również przyczynia się do utrwalenia potęgi ekonomicznej kraju, tak dotąd gospodarczo na punkcie przemysłu chemicznego poniewieranego przez niemieckiego sąsiada. Takich ludzi obyśmy mieli w kraju jak najwięcej. *G. Połomski.*

Maszyna do łuszczenia owsa w fabryce „Avena" w Bydgoszczy.

Śrótownia fabryki „Avena" J. Fagiewicza w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8.

Nr 29 Ogólnego zbioru 3,322 Wydawnictwa rok 64. 14 Lipca 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

MĘCZEŃSTWO ŚW. JÓZEFATA J. SIMLER

Obraz niniejszy, który przez długie lata przebywał w Rosji, jako „dzieło niebezpieczne dla całości Państwa Rosyjskiego", wrócił obecnie do Polski na mocy traktatu ryskiego.

TRAGEDJE WYBRANYCH.

Zdarzył się niedawno w życiu naszem fakt, który nie raz już zapisały kroniki polskie. Oto w nędzy skrajnej, względnie w przytułku dla starców, zmarło dwu pisarzy. Pomnażają oni tę długą listę, ciągnącą się nieprzerwanie niemal od stu lat z górą, tę listę, na której widnieje nazwisko Antoniego Malczewskiego, Cyprjana Kamila Norwida i wielu, wielu innych, aż do Teodora Jeske-Choińskiego, St. Kozłowskiego, Z. Sarneckiego, Edwarda Lubowskiego, Eugenji Żmijewskiej...

Lista ta—to upokarzający dokument kultury polskiej. Nie dlatego, jakoby u nas ona tylko istniała, bo zdarzają się wypadki, że lekkomyślnie żyjący twórcy i zagranicą żyli i zmarli w ubóstwie, ale dlatego, że w Polsce niemal każdy pisarz, po najdłuższem i najpracowitszem życiu, zostaje na nią wciągnięty. To, co gdzieindziej występuje sporadycznie, u nas jest regułą. I dlatego to sprawą tą należy zająć się bliżej.

Warunki materjalne pisarzy naszych ze względu na ogólny stan czytelnictwa były zawsze opłakane. Książka w dwu lub trzech wydaniach jest wielką rzadkością, do niedawna nakład pierwszego nawet wydania wahał się między 3 a 5 tysiącami. Przy takim popycie na książkę — trudno nawet wymagać, aby mogła ona być podstawą bytu autora. Przed wojną dawała mu ona przeciętnie około 1.500 rubli, obecnie przy procentowych honorarjach, bardzo dużych w stosunku do całej produkcji, około 20.000.000. Jeśli się zważy, że w ciągu lat najwyższej wydajności pisarskiej wypada mniej więcej 1 tom na rok, w takim razie mamy budżet autorski ustalony: sto dwadzieścia pięć rubli na miesiąc przed wojną, względnie miljon sześćset tysięcy marek obecnie! I to, dodać trzeba, przy stałej systematycznej pracy „autora z firmą", który na całą swą produkcję zawsze znajdzie nakładcę.

Jeśli cyfry te porówna się z dochodami najgorzej płatnego wyrobnika — jakże smutne nasunąć się muszą refleksje. Człowiek żyjący z pióra w świetle tych liczb wygląda jak najmarniejsza jednostka społeczeństwa, wynagradzana chyba za samą mechaniczną funkcję spisywania swych myśli. Talent, studja długoletnie — nic tu nie znaczą. A przecież ludzie ci, to elita społeczeństwa, która ma prawo do wygód jakichś, do życia swobodnego, do wywczasów, bo wówczas to, poza codziennym kieratem pracy, najlepsze rodzą się myśli.

Tymczasem przy miljonie sześciuset tysiącach marek miesięcznego dochodu — nie wolno nawet pisarzowi polskiemu myśleć o tem. Musi odejmować sobie od ust, żyć najskromniej, wyrzec się założenia domu własnego i rodziny. Chyba że ze szkodą własnego talentu, eksploatuje go w sposób nadmierny, pisząc więcej niż może. To odbija się na wartości pracy, talenty jaknajlepiej zapowiadające się wypacza i w ten sposób stratę ponosi literatura. Nie rzadko zdarza się też, iż twórca, wypowiedziawszy już wszystko — zmuszony jest nadal naśladować samego siebie, powtarzać się, aby tylko móc zarobić na byt najskromniejszy.

W jeszcze gorszem położeniu niż twórcy, znajdują się pracownicy naukowi. Tu już prawie o honorarjach autorskich, jako pewnym stałym dochodzie, mówić nawet nie można. Pomijając bowiem fakt, iż prace fachowe wychodzą przeważnie nakładem instytucyj naukowych, nie płacących honorarjów według norm księgarskich, podkreślić trzeba ograniczoną liczbę nakładów, dobiegającą dziś, po objęciu całego państwa o dwudziestu kilku miljonach mieszkańców — do 3.000 egzemplarzy. I te trzy tysiące sprzedaje się przez lat kilka, jeśli nie więcej. Nie każdy zaś z naukowców jest pedagogiem, który prócz stałych poborów za nauczanie ma monopol na podręczniki szkolne, złote jabłko piśmiennictwa naszego. Przeważnie więc karjerę swoją naukowiec zaczyna w Polsce od nędzy. Pierwsze książki oddaje nawet bezpłatnie, byle tylko ujrzały światło dzienne, za następne otrzymuje znikome sumy. Chcąc nie chcąc musi wciągnąć się w tok prac uniwersyteckich. O chłodzie i głodzie pisze pracę habilitacyjną, rok przygotowuje się do egzaminów, by potem dostać... bezpłatną docenturę. Książki nic nie przynoszą— docentura również, z czegoż więc ma żyć ten człowiek, który chce nauce rodzimej przysłużyć się według sił swoich i zdolności? Obwiesza się więc najróżnorodniejszemi posadami, bierze „zajęcia do domu" i w ten sposób dwanaście godzin na dobę pracuje dla chleba, aby pozostałe dwie lub trzy godziny poświęcić nauce. Nikt nie pyta o to, jaka w tych warunkach może być wydajność tej pracy, jaka jej wartość. I dopiero po kilku latach takiej walki otrzymuje się wreszcie katedrę uniwersytecką z pensją... 3.000.000 marek (wraz z dodatkami za czerwiec). Naturalnie profesorowi uniwersytetu nie wypada mieć zajęć ubocznych, zresztą wykłady, ćwiczenia seminaryjne, posiedzenia, udział w towarzystwach naukowych etc. zajmują czas najzupełniej. Dwanaście godzin dnia nie zawsze na to wszystko wystarcza. Ośmiogodzinny dzień pracy, obowiązujący każdego robotnika, zarabiającego bez trudu znacznie więcej — profesora uniwersytetu nie obowiązuje.

Ale jeśli mowa o tej elicie naukowców, to już istotnie mówimy o królewsko uposażonych. Nie każdy może być profesorem uniwersytetu mimo studjów, stopni naukowych i długiego szeregu prac, bo katedr w 5 uniwersytetach polskich dla wszystkich pracujących naukowo nie stanie. Pamiętne to czasy, kiedy Piotr Chmielowski udzielał lekcyj na pensjach, a dopiero niemal na łożu śmierci otrzymał nominację na profesora uniwersytetu we Lwowie. A przecie tacy naukowcy jak Kolberg, jak Fedorowski (a możnaby tu wyliczyć ich kilkudziesięciu) zmarli w nędzy. Wiele dzieł dobrze pomyślanych, wskutek niemożności ich realizacji w spokoju — chybia w wykonaniu. Możnaby iść o zakład, że połowa prac naukowych nie została wykończona i ugrzęzła ze szkodą dla piśmiennictwa w lamusach—tylko dlatego, że ludzie nie mieli możności oddać się im całą duszą, wszystkie talenty i cały czas swój im tylko poświęcić.

Jakże inaczej pod tym względem układają się stosunki zagranicą. Tam każdy pisarz poczytniejszy nie tylko żyje dostatnio, ale wprost luksusowo. Loti i France są właścicielami wspaniałych will, urządzonych z przepychem, Thomas Mann i z górą pięciuset jego kolegów po piórze ma rozrzucone po całych Niemczech zaciszne fermy, gdzie mogą pracować tak i wtedy, jak tylko pomyślą. Naturalnie, że sprawia to poczytność ich dzieł, o jakiej u nas w najśmielszych rojeniach nawet nikt nie myślał. Stu lub dwustutysięczny nakład to rzecz, która nikogo nie dziwi. Beletryści mają więc dochody olbrzymie, a naukowcy nie o wiele za nimi zostają w tyle. Pomijając to, że każda prawie książka naukowa ma 3 do 4 wydań, wszyscy zajmują posady rządowe. Wielka ilość uniwersytetów przygarnęła ich sporo, reszta ma dobrze płatne, a nie absorbujące zbyt wiele czasu, posady bibliotekarzy i dyrektorów całych setek bibljotek, muzeów, czytelni, zbiorów państwowych etc. etc. A mimo to związki zawodowe czuwają ciągle nad bytem swoich członków, wyjednywują duże subwencje na dokonanie pewnych prac, bądź to od dobrze uposażonych instytucyj, bądź też od rządu bezpośrednio.

Skoro już o subwencjach dla pisarzy wspomniało się na tem miejscu, niech mi wolno będzie podać kilka cyfr, świadczących o pomocy, czy nagrodach udzielanych w Polsce. Oto i one. Dla uczonych i na badania naukowe w całym roku 1921 dał rząd ogółem 13.000.000 marek, na konkursy i nagrody 1.500.000, na popularyzację nauki... 100.000 (sto tysięcy) marek, na zapomogi dla rodzin po zmarłych uczonych 2.000.000. Akademja Umiejętności za najlepsze dzieło historyczne w r. 1921 udzieliła nagrody... 1.602 mk. 50 fen. (tysiąc sześćset dwie marki 50 fen.), za dzieło z zakresu fizyki 630 mk., zaś w r. 1922 Kasa pomocy im. Mianowskiego jedno z wybitnych dzieł historycznych dużej objętości nagrodziła sumą 156.200 mk. Na udzielenie 150.000 marek „nagrody przeznaczonej dla młodszych pracowników naukowych" rozpisano w r. 1922 aż ankietę. Przyznać jednak trzeba, że w ostatnim okresie nagrody i pomoce, udzielane zwłaszcza przez Departament Sztuki Min. Wyzn. rel. i Ośw. dzięki przychylnemu traktowaniu tych spraw przez dyrektora departamentu p. Skotnickiego dosięgły sum o tyle przynajmniej pokaźnych, że pozwalają one na dokończenie prac większych.

Jeśli w Polsce ma zakwitnąć wielka sztuka i rozwinąć się nauka, która mogłaby godnie reprezentować kulturę naszą przed zagranicą — stosunki dotychczas panujące muszą uledz radykalnej zmianie. Ofiarność społeczeństwa na te cele musi się stać większa, rząd musi subwencjonować nie tylko instytucje, ale jednostki zasługujące na to, sumami, któreby istotnie zabezpieczały byt pracownikom. Dla starszych zaś pisarzy muszą być uchwalone emerytury, aby ludzie ci nie musieli iść do przytułków i ostatnie chwile mieć zatrute myślą o niewdzięczności społeczeństwa, dla którego całe swe życie poświęcili. Jeśli rząd mógł się z szlachetnym gestem zdobyć na dożywocie dla weteranów powstań narodowych za to, iż ocalili honor żołnierski Polski — dlaczegóżby nie miał dać takiego samego dożywocia tym, którzy w długich latach niewoli krzepili umysły swem słowem, budzili iskrę narodowego ducha i ideał Ojczyzny przechowali, jako skarb najwyższy w pismach swoich?

Do Sejmu konstytucyjnego jeszcze wpłynął wniosek p. Sokolnickiej w sprawie emerytur dla pisarzy — do dziś jednak uchwalony nie został. Może to i dobrze, gdyż pochopne uchwalenie go w tej redakcji w jakiej go wniesiono — nie odpowiadałoby celowi. Ustanowiono tam bowiem cyfrę stałą emerytów (bardzo małą) którzy mogą korzystać z dożywotniej pensji. W razie jej przekroczenia, nawet najbardziej zasłużony, a umierający z głodu pisarz, nic nie mógłby otrzymać. Zdarzyćby się zaś mogło, że innym razem będzie mniejsza ilość korzystać z emerytur i wówczas dla dopełnienia cyfry udzieli się ich wcale niepotrzebującym. Otóż należałoby w pięknym projekcie p. Sokolnickiej wprowadzić małą poprawkę: nie ustanawiać ilości miejsc emerytalnych. Niech korzystają wszyscy zasłużeni i to nie na rok lub dwa przed śmiercią, ale po dwudziestu pięciu latach pracy zawodowej. Wówczas będą mogli jeszcze pisać i może nie jeden, nie mając trosk życiowych, obdarzy literaturę dziełem wartościowem.

Tragedja pisarzy polskich dość długo już trwała — aby dwudziestomiljonowy naród, mający wielkie kulturalne tradycje — nie położył jej kresu.

St Lam.

PORTRET RZEŹBIARZA. J. T. PRUSZKOWSKI.

HR. HENRYK W WALCE Z CZARNOKSIĘŻNIKIEM.

(*Zygmunt Krasiński i Dawid Hume*).

3)

Ułożył dramat, nakreślił plan kampanji, wyznaczył role sobie i Pankracemu Hume'owi. „Zapełnił wóz Chrystusem i rozesłał swoje sługi". I podjął nową obronę Okopów św. Trójcy. Nie ziemskich tym razem, a — niebieskich.

Jak św. Jerzy na obrazku, dosiadł rumaka i zamierzył się włócznią: *Apage satanas!*

Nie wiemy, kto był świadkiem tego pojedynku polskiego romantyka z amerykańskim spirytystą, t. zn. kto brał udział w dalszych seansach, które odbywały się w małem kółku przy *rue Dauphot 8*. To pewne, że Dially nie opuściła żadnego z nich. O nią nie bał się hr. Henryk wcale. Może nawet i liczył na jej sukurs. Wszakże już ongi powiedziane było w „Przedświcie":

„Lecz i mnie także biegła w pomoc Pani,
Której się wzroku c z a r n e d u c h y b o j ą".

Paryż śledził tę walkę z ciekawością. W demokratycznym dzienniku *Independance* zanotowano sensację z przekąsem: *Le comte K. a fait de son salon l'auberge de Satan.* Hr. Krasiński przemienił swe salony w oberżę szatana!...

Czytając pilnie w wierszach i między wierszami listów Krasińskiego, możemy wyłowić niektóre szczegóły tego osobliwego starcia. Przedewszystkiem chodziło o to, żeby Hume sam przyznał się do tego, że nie jest zwyczajnym śmiertelnikiem, jeno poprostu... wysłańcem Inferna, emisarjuszem mocy piekielnych A te sabaty i czarne msze, które wśród zachwytu Paryża odprawia, to znowu nic innego, tylko — początek końca świata...

Tak jak przed rokiem Pius IX w Watykanie, tak teraz Krasiński jął zaklinać i namawiać fakira, aby się nawrócił i wyrzekł spółki ze złym duchem.

Daremnie medjum, Bogu ducha winne, tłumaczyło się, że z piekłem nie łączą go żadne stosunki osobiste. Raczej przeciwnie. (Wywody Hume'a zanotował poeta dosłownie).

Mówił, „że wciąż z samymi dobrymi duchami ma do czynienia, a złych tylko kilka oglądał w życiu; że teraz Bóg dlatego zezwolił na te dziwne i dziwaczne obcowania z duchami po salonach, aby zwątpiały ród człowieczy nazad przywieść do wiary w nieśmiertelność duszy. (Dzieła, VII, 161).

Pierwsze *assaut* spirytysty z wieszczem nie dało rezultatu. Poeta chciał go z miejsca porazić wizją zwyciężającego Galilejczyka, ale cóż? Hume wywinął się jak piskorz. Krasiński atakował dalej, odpowiadając na wszystko uporczywie: To nieprawda. „Teorja ta najzręczniejsza w jego (Hume'a) własnym interesie". Już sobie zdawał dokładnie sprawę z istoty tych zjawisk, a Trentowskiemu obiecywał, że wyłoży mu całą teorję za widzeniem się, ale wciąż wytężał siły, aby przecież zdemaskować i przygwoździć niecny hadesowy spisek.

Kiedy mu w tym czasie, w połowie kwietnia 1857 r., St. Koźmian wyrzucał w liście, że pono, jak mówią, hołduje szarlatanowi — żachnął się. „Mój drogi! — tak pisze. — Ja jeden wśród zajętych Hume'm zachowałem, zda mi się, rozwagę i przytomność. Śledziłem go, badałem, podejrzywałem wszystko w nim, krok w krok stąpałem za nim, zawszem się miał obronnie i uorężnionym duchem walczyłem przeciw niemu, ostrzegając drugich, rzucających się w otchłań tych zjawisk lub staczających się w nią, a obałamuconych i upojonych.

A rezultat? O tem pisze dalej:

„Przekonałem się, że kształt objawów tych, *które istotnie z zaświata pochodzą* — lichy; charakter samego pośrednika lichy; wpływ, wywarty na widzów, lichy. Stąd jaki wniosek o pierwiastku rządzącym temi zjawiskami?" (Listy do St. E. Koźmiana, 206).

Nareszcie i cierpliwość czarnoksiężnika wyczerpała się. Miał dosyć tych stąpań krok w krok, podejrzeń i zaklinań. Odwieczne prawo magiczne opiewało przecież, że wystarczy obecność chociażby jednej wrogo usposobionej osoby na seansie, aby sprowadzić zupełną impotencję władzy medjum.

Dlatego Hume, chociaż ryzykował wiele, bo może nawet utratę hojnych subsydjów Branickiego, odważył się na krok stanowczy. Najpierw zbojkotował „oberżę szatana" przy ul. Dauphot 8 i nie pokazał się tam więcej, potem poprosił Krasińskiego, aby raczył zaprzestać zajmować się nim i nie odwiedzał jego seansów. Takiego strachu nabrał nieszczęsny wobec Krasińskiego, że zaczął kryć się i uciekać, aby się tylko nie zetknąć z osobą swego pogromcy, którego samo spojrzenie przyprawiało go o drgawki kataleptyczne.

(*Dcn*) *St. Wasylewski.*

CZESŁAW KOZŁOWSKI:

POEZJE.

MYOSOTIS.

Dałaś mi niezabudki, moja maleńka dziewczynko,
i kazałaś poecie, żeby pamiętał o tobie.
W jak dziwne miejsce weszłaś ze swą niezapominką!
może ci w mojem sercu będzie tak zimno, jak w grobie.

Moje serce jest zimne, bo dziwne rzeczy pamięta —
tak niezbadanie odległe, że samo wydaje się niczem;
moje serce jest smutne, jak ktoś, kto Boga pamięta
i komu wczora jest jutrem, a wszystko inne jest niczem.

Ale ty, słodka dziewczynko, bądź dla mnie dziecinną bajką,
nad którą jeszcze raz uśmiech, od łez rzewniejszy, uronim.
Boć i ty sama jesteś także niezapominajką.
którą mi Wieczny zsyła, ażebym pamiętał o Nim.

MODLITWA.

Nie daj mi, Panie, znienawidzić braci,
że się zanadto worali w padoły.

Nie daj mi, Panie, znienawidzić braci
za płacz ich marny i śmiech niewesoły.

Nie daj mi, Panie, znienawidzić braci,
żem między nimi dziwnie smutnoczoły.

Zaś uczyń, Panie, abym ich miłował,
że biały Chrystus przyszedł ongi wieść ich.

I uczyń, Panie, abym ich miłował,
że głos proroków docna jeszcze nie ścichł.

I uczyń, Panie, abym ich miłował
za kwietną słodycz kilku serc niewieścich.

KSIĘŻNA.

Na spalonej słońcem dżungli, opuszczonej wkrąg pagody,
kiedy ważko na niebiosa luna toczy się mosiężna —
Patrz, samotnie błądzi Czitra, smagły kwiat, hinduska księżna,
W sercu gorzkie niesie żale, oko pełne ma pogody.

A tygrysów cielska rdzawe, jak jętarnych skier jagody,
zaczajone, węszą zdobycz, co już bliska i dosiężna;
oczy palą się zielono, kiedy mimo idzie księżna,
tułów zgina się przewrotnie, pełen kociej złej łagody.

Ale księżyc błysnął jaśniej—i stropiły się tygrysy!
Pokłoniły się jej palmy, do nóg ścielą się irysy
i poznaje nagle dżungla nienazwaną twarz Małżonki.

Lwy przynoszą jej na liściach słodkie miody i korzonki,
tygrys przysiadł i pokornie w boskie jej spogląda rysy,
na jeziorze sznur łabędzi wiezie dla niej srebrne dżonki.

NARCISSUS.

Ponad topazem jeziorowej toni,
ja, biały narcyz, lodowato śnię,
pięcioramienną gwiazdę mojej skroni
hodując z bólu, jak perłową łzę.

Ongi nad wód tych głębokim topazem
Dryjad tańczyły dla mnie srebrne tłumy;
dziś sennie tkwię tu nieruchomym głazem,
ja, narcyz żalny, królewicz zadumy.

Bolesne myśli z płatków moich kapią
na szmaragdową młodej runi ściel,
że wszystkie dusze do celów się kwapią,
a jam przykuty — ja i moja biel.

Bezsilny rozkosz serce moje wyjadł
i pójdę w Ereb z nienawiścią w oku —
...chyba że wrócisz, dobra córko Dryjad,
i przy zranionym moim legniesz boku.

I moim płatkom ze swych piersi mleka,
a mej łodydze dasz swą własną krew:
wtedy się ocknę, królewno daleka,
i wolny pójdę na twój młody zew!

Srebrna kochanko, na włos ci naściebię
mych słów przedziwnych nieśmiałą różowość...
(Czy mi przebaczysz, żem kochał nie ciebie,
jeno mej własnej krasy marmurowość?)

. . . . . .

O duszo moja biedna w kwieciu śnieżnem!
o letargiczna myśli uwięziona!
W jeziorze niebios—pustkowiu bezbrzeżnem—
księżyc... samotny jak ja... księżyc kona.

Wchłaniając zapach malarycznej toni,
jak dziwnie bardzo, dziwnie bardzo śnię,
pięcioramienną gwiazdę mojej skroni
z cierpienia lepiąc, jak perłową łzę.

CHRISTUS MYSTICUS.

Oto kres uciech i kres oto cierpień.
...Z dalekich pastwisk powracają trzody...
z niebios poważnych spłynął złoty sierpień
na mych sąsiadów łany i ogrody...

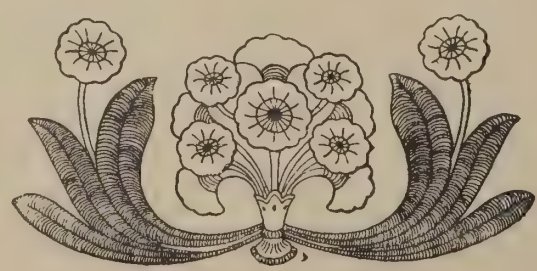

Łagodne woły, ze zburzonym brogiem
ciągną przez pustkę opuszczanych ścierni...
Rola, oddawna leżąca odłogiem,
pod srebrem pługa wkrótce się zaczerni.
W sadzie dojrzały soczyste owoce
i liść niektóry już się w nim czerwieni —
i cichą skargą w wietrze się trzepoce
blada zapowiedź już bliskiej jesieni.

...Liść się niebawem w ogrodach zczerwieni
i nagi stanie łan złoto-pokotny —
i cichym zmierzchem dostojnej jesieni
przez pola Chrystus będzie szedł samotny.

I spyta Chrystus o swoje talenty,
a sąsiad rzeknie na oną godzinę:
Oto mej pracy, Panie, owoc zżęty.
I odda sąsiad Panu dziesięcinę.
A drugi poda półmis plastrów wonny,
a trzeci poda świeże białe płótno;
dziatwa Go będzie chwalić w pieśni dzwonnej,
by zaś na ziemi nie było Mu smutno.

...Nie pomnożyłem Ci twoich talentów,
anim ich, Panie, nie zakopał nawet;
a chociem świadom wszystkich Testamentów,
za krzywdę krzywdą płaciłem wet za wet.
I oto stoję przed Tobą ubogi,
próżne mam dłonie i serce nieczyste:
ale mej duszy otwieram Ci progi,
rzekąc namiętnie: Wnijdź, mistyczny Chryste!

I tuszę: wejdziesz. Boś Ty — nie tym mistrzem,
co kreślił mściwe i ciasne przepisy:
Tyś — każdym zmysłem i chceniem najczystszem,
a w twem obliczu wszystkie widzę rysy.
Pod twoje stopy, obok białych lilij
bez trwóg, bez sromu idzie krwawa róża,
a rój swawolny beztroskich motyli
śniegiem się ściele u twego podnóża.
Jam świąt nie święcił, anim pościł w posty
i wszelkim jestem obarczony grzechem:
lecz Ty, w mądrości ogromnej a prostej,
na winy nasze spoglądasz z uśmiechem.
Głów rozmodlonych miłe ci kobierce
i rozkosz ciała nie ma dla Cię skazy;
— tysiączne szlaki wiodą w twoje serce,
na każdym szlaku — inne drogowskazy.

Męką pologów wielbi Cię samica,
drzewo rosnące — ku tobie się wspina
i każda myśli moich błyskawica
mnie niziutkiego Tobie przypomina!
Jak z mlecznej piersi, jak z bezdennej łagwi,
piję codziennie mojej ziemi tętno.
Niech się w mym duchu twój płomień rozżagwi,
a na mem czole — twoich palców piętno.
Roznieć w mej myśli przepych swych błyskawic,
oczyść mądrością me serce nieczyste —
i zstąp z bezkresu wszechświatowych mgławic
w myśl—w serce—w e m n i e—o Mistyczny Chryste!

ŻYCIE ZAGROBOWE I ŚMIERĆ W SZTUCE GRECKO-RZYMSKIEJ.

3)

Owe symbole, nieraz na pozór dekoracyjne motywy, akcentują swój właściwy charakter zupełnie świadomie i celowo — występując jużto jako „pars prototo", jużto w scenach zbiorowych jako dostateczne wskaźniki alegorycznego nastroju danej kompozycji. Stosunek rozmiarów motywu symbolicznego do otoczenia, jego rysy i umiejscowienie, tłumaczące wyraźnie tendencje artysty, przesuwają i wyjaśniają jednocześnie przed oczyma widza zamglone mitologją obrazy.

Sztuka nagrobkowa, mając ścisły cel, nie była fantastyczną, nie mogła rozszerzać owych znaków — symbolów do nieskończoności, była zatem w porównaniu do sztuki dekoracyjnej — realną. Symbole wprawdzie ulegały przemianom *) i łączeniom poszczególnych motywów — na co pozwalał rozwój samej idei — motywy jednak pozostawały realne, jeśli zaś były idealizowane—rzadko ulegały stylizacji, to zaś w sztuce dekoracyjnej było powszechnym objawem. Szata alegorji w ceramografji, rozumiana przez współczesnych, uwypuklała jedynie charakter symboliczny, tem więcej, że powtarzane cykle, używając stałych typów, zamykały się, rzec można, w jednem kole wyobrażeń. Na nagrobkach rzymskich dadzą się rozróżnić trzy rodzaje symbolów i scen alegorycznych: jedne przedstawiają duszę odłączoną od ciała, drugie drogę zagrobową duszy, trzecie wreszcie przeznaczenie jej na tamtym świecie.

Zapuszczanie się w prastare mroki symbolizmu jest zawsze wielkiem ryzykiem, głębia tej dziedziny pociąga, łatwo przypina skrzydła fantazji, wówczas, kiedy raczej polecony byłby krytycyzm i zimna rozwaga. To też, kiedy po wybuchowych latach gorączkowych odkryć archeologicznych w dobie romantyzmu — druga połowa XIX-stego wieku zbierała, rejestrowała olbrzymi materjał archeologiczny, dopiero wówczas umożliwiona została na podstawie ścisłej analizy, popartej filologicznemi badaniami—synteza ideologji religijnej antyku. Dziś zdaje się nie ulegać wątpliwości, że chtoniczne dyonizalno-afrodyzyjskie symbole związane z boginią Kerą, zatem kogut**), gołąbka, wreszcie wogóle „ptak-dusza", pijąca z naczynia, posiada głęboką tradycję ludową. Pierwotny symbolizm nagrobkowy—dwa ptaki pijące z wazy mistycznej napełnionej wodą Styxu, przechodzą niejednokrotnie do dekoracyj. Zamiast wazy zjawia się kosz z owocami (czasem dla oznaczenia ruchu wywrócony) obok paw, czasem okręt żegluje w bezpowrotnej podróży. Ptaki na brzegach korabia oznaczają dusze podczas ostatniej pielgrzymki. Animistyczne pojęcie ptaka podkreślane jest przez dodanie mu głowy ludzkiej. W ceramografice Koryntu wpływ egipski tworzy z tego ptaka pół-sępa pół-syrenę. Z biegiem wieków dla wyobrażenia plastycznego duszy służy sama głowa ludzka. Głowa kobieca oznaczała Afrodytę, ze skrzydłami zaś motyla, lub ptaka—Psychę, wyradzając się (epoka Cezarów) w szematyczną głowę Gorgony. Kształty ptaka łączyły się z figurami płazów, zwłaszcza jaszczurką—zwykły atrybut Erosa (Hypnosa), śpiącego z makiem w dłoni i psem u nóg,ze świerszczem, lub pszczołą—symbolem nieśmiertelności. Świerszcz —uosobienie życia, bywał w tej roli przedstawiany nie tylko na nagrobkach, lecz na monetach greckich V i III w. przed Chrystusem. Co do pszczoły, to nie można zapomnieć, że miód, dar bogów, był

Ryc. 7. Świat podziemny. Malowidło wazy według Furtwängler-Reicholda (Griech. Vasenmalerei).

związany z osobą Melissy, kapłanki Demetry i Persefony; Arysteusz stał się nieśmiertelnym znajdując go; nimfa Brisea wychowywała Dionyzosa-Bakchusa i nauczyła go wyjmować miód z ula, stąd jej nazwa; Glaukos, napojony miodem—odżył. W obrzędach pogrzebowych miód grał wybitną rolę. Ofiarowywano go bóstwom chtonicznym. W grobach kładziono placki z miodem dla ułagodzenia Cerbera. Pindar nazywa Pytję — pszczołą Delf. Nierzadko ptaki w owej symbolice nagrobkowej występują walcząc ze sobą, podkreślają tem samem pierwiastek dionizalno-erotyczny. Zamiast takiej walki spostrzegamy kiedyindziej—orła (podobnie jak pszczołę—symbol nieśmiertelności) rozszarpującego zająca (symbol płodności), albo też ptaka, wyrzuconego z gniazda, otoczonego przez węża. Wąż należy do najdawniejszej figuracji stell nagrobkowych Sparty, waz czarnofigurowych, skarabeuszów fenickich; pokonuje go niejednokrotnie jako przedstawiciel Hekaty i Hermesa, sheroizowany zmarły w postaci Kadmusa. Widzimy na nagrobkach w obrazach uczt—węża okręconego koło drzewa. Niektóre bóstwa chtoniczne jak np. Ofeltes-Archemoros (Pan Umarłych), Erichtonios, Gozipolis ukazują się pod postacią węża, inne przy pewnych okolicznościach zamieniają się w węże (Zeus,Hades, Harmonia). Wąż był atrybutem Dionyzosa, pod tym kształtem figuruje w rękach Satyrów w scenach bakchicznych na sarkofagach. Często wąż-genjusz wychodzi z czaszy mistycznej; dla swej szybkości (zmienności) ruchów staje się symbolem wieczystej przemiany. Trzy jego typy: chtoniczny, djonizalny i agatodemoniczny (dobroczynny), łączą się w wspólnej idei pozagrobowej. Znaczna jest ilość mitów z zakresu przemian zmarłego w dobrego ducha-węża (agatodemonizm). Ten dobroczynny wpływ wyobrażano przez połączenie człowieka z wężem (Asklepjos, Hyngea) na mnóstwach rzeźb Grecji, Selinuntu i malowidłach Pompei. W Rzymie posiada wysokie znaczenie Wąż-Opiekun, rzeźbią go na płaskorzeźbach domów, lub tabliczkach, ofiarowanych Genjuszowi Opiekuńczemu, zjawiającemu się w ważnych wypadkach życiowych w kształtach węża *).

Ryc. 6. Jeźdźcy tessalscy wyruszają w pole. Malowidło na lekhytosie. (Muz. ks. Czartoryskich w Krakowie).
(Według prof. P. Bieńkowskiego).

Grecy uważali Dionyzosa od najdawniejszych czasów jako boga opiekuna natury, przedewszystkiem człowieka. Istnieje łańcuch genetyczny między kultem Dionyzosa a wiarą w nieśmiertelność duszy. Dionyzos pan ziemi i wszelkich jej rozkoszy staje się patronem idealnych uciech za grobem i z tej właśnie przyczyny jest bogiem chtonicznym. W Delfach nazywano go Esodajtes t. j. przyjmujący na równi wszystkich, przedstawiają go czasem nawpół wychodzącego z ziemi; wywołują go ze źródeł świętych Awerny i Akcionu. Na wazach zjawia się niejednokrotnie zamiast Plutona, jako mąż Prozerpiny. Ofiarowują mu nasienie analogicznie do darów kładzionych przed Hermesem Psychopomposem (Przewodnikiem Dusz). Dionystyczna idea zagrobowa przedstawia Djonizosa-Bakchusa na wozie ciągnionym przez Centaury, przed nim idą Eros i Psyche grając na piszczałce i tamburynie. Eros uosabia sheroizowanego zmarłego (zatem zawsze nagiego), Psyche jest jego kochanką, w idealistycznym znaczeniuDuszą.Zamiast Psyche o skrzydłach motylich występuje nierzadko sam motyl w stosunku do innych figur zazwyczaj znacznych rozmiarów, dla wyrażenia nadnaturalnego znaczenia. Na jednej z rozlicznych gem przedstawiających w rozmaitych epizodach duszę motyla, widnieje napis objaśniający, że śmierć dziewczyny jest podobna do motyla złapanego przez pająka, podobnie Atena darowuje duszę **) człowiekowi pod postacią motyla, gdzieindziej Erosi starają się uchwycić motyla w swe ręce. Motyl bywa również towarzyszem Hermesa Psychopomposa, lub Hypnosa.

(*Dcn*) *Dr. M. Nałęcz-Dobrowolski.*

*) Porówn. Gobler d'Alvida: „La migration des Symboles". Paris. 1890.

**) Zwyczajem było zaszywać w szaty zmarłych złote krążki (monety) z wyobrażeniem koguta.

*) Porówn. Erazm Majewski: „Wąż w mowie i praktykach ludu naszego". „Wisła". Warszawa, T. VI. R. 1892.

**) W okresie kultu „Bona Dea" powstałego z połączenia kultu przybyłej do Rzymu Kybelli, wpływy nauk orficko-pitagorajskich uwidoczniają się w płaskorzeźbach nagrobków, malowidłach waz i t.d., gdzie artyści przedstawiali duszę w Hadesie między dwoma źródłami wytryskającymi z pod cyprysu. Należy rozumieć, że umarły żąda jako syn ziemi i nieba źródlanej wody dla ochłodzenia wewnętrznego żaru. Wedle doktryn Heraklejskich ogień był symbolem plastycznym duszy.

SZTUKA — A ZAGADNIENIE PIĘKNA I BRZYDOTY.

3)

Dzieło sztuki jest produktem ducha twórczego, w którym panuje jedność procesu intelektualnego z uczuciem i jako takie zwraca się zarówno do intelektu, jak i do uczucia widza lub słuchacza, a czyni to za pośrednictwem wrażeń zmysłowych, idei konkretnych, obrazów—w przeciwieństwie do nauki, operującej czystą abstrakcją. Te konkretne wyobrażenia i wrażenia zmysłowe nie mają pozatem żadnego innego celu, jak tylko ten jeden: wypełnić dzieło sztuki w tej formie, jaką mu nadał artysta.

Dzieło sztuki nie jest tedy z istoty swej środkiem do jakiegokolwiek, poza niem leżącego celu, lecz jest celem samo w sobie, ma swój samoistny charakter, nadany mu w chwili powstania przez twórcę i żyje własnem swem życiem, niezależnem po ukończeniu twórczego procesu, ani nawet od artysty, którego ducha jest emanacją.

Dzieło sztuki, jakkolwiek działa drogą wrażeń zmysłowych i wyobraźni, nie jest *środkiem* do wzbudzania nastroju i stwarzania stanu upojenia, ekstazy, słowem t. zw. „rozkoszy" estetycznej, której następnie poświęca się całą uwagę i przypisuje główną wartość, kosztem danego utworu; stany psychiczne, w szczególności uczucia przyjemne widza lub słuchacza, są produktami pochodnymi, *towarzyszącymi* tylko procesom estetycznym.

Przedmiotem uwagi i celem podziwu może być tylko dzieło sztuki, a nie zmiany i procesy psycho fizjologiczne, zachodzące pod jego wpływem i wskutek jego działania w obserwującej jednostce. W przeciwnym razie nie może być mowy o sztuce i o zachowaniu wobec niej stanowiska estetycznego.

Punktem wyjścia i jedynym przedmiotem obserwacji musi być samo dzieło sztuki.

Sztuka wymaga od nas abstrakcji od całej reszty życia wewnętrznego i praktycznego, od całej reszty rzeczywistości, skupienia uwagi na jednym tylko punkcie — którym jest dany utwór artysty, wymaga też rozsądnego i pełnego zrozumienia, wniknięcia w dzieło sztuki, w harmonję jego treści i formy i w ich istotne właściwości.

Jedynem godnem i w pełni sztuce odpowiadającem stanowiskiem jest tedy stanowisko estetyczne, które zasadza się na *kontemplacji*.

Kontemplacja jest to stan psychiczny, polegający na zapomnieniu o własnej jaźni i o jej stanach, na głębokiem pogrążeniu się duchem w pewnym przedmiocie, zwłaszcza natury intelektualnej. Cechą główną kontemplacji jest owo „trwanie w oglądaniu", przy równoczesnem wyłączeniu wszelkich funkcyj woli i czynu, które tak silnie łączą się z osobowem życiem praktycznem jednostki.

Pod wpływem wybujałych uroszczeń subjektywizmu, wniesionego do sztuki przez modernizm, wskutek rozrostu, ba, nawet rozpanoszenia się psychologji, która usiłowała ujarzmić i uzależnić wprost od siebie nie tylko estetykę ale i logikę, zapanowało w sztuce i jej teorji wszechwładnie *uczucie*, jako jedyny wykładnik istoty artyzmu, twórczości i estetycznego napawania się, jako podstawa główna krytyki artystycznej. Wszystko, mniejsza o to, czy w zgodzie, czy w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy, tłumaczono subjektywnymi stanami uczuciowymi, sprowadzano ostatecznie do uczucia, które stało się jakgdyby owym z dawna poszukiwanym kamieniem filozoficznym, jakby uniwersalnym, niezawodnym środkiem, służącym do tłumaczenia wszelkich zagadek i problemów życia duchowego.

Wznowiona przez prof. Teodora Lippsa teorja estetycznego „wczuwania się" (Einfühlung) zyskała sobie największą liczbę zwolenników i może uchodzić za najlepszy wyraz panujących w estetyce współczesnej prądów i poglądów; obudziła się już wprawdzie przeciw niej reakcja, ale słaba jest jeszcze i niedostateczna.

Kontemplacja różna jest zupełnie od „wczuwania się".

Proces estetycznego wczuwania się polega na wkładaniu pewnej oznaczonej treści psychicznej (uczuć, przedstawień, nastrojów) w przedmiot zewnętrzny, w dzieło sztuki. Tak np. wczuwając się w posąg Laokoona, ożywiam bryły marmuru własnym swoim duchem, żyję niejako w postaci Laokoona, powstaje we mnie uczucie bólu, strachu i grozy...

Kontemplacja zaś estetyczna nie ma nic wspólnego ani z objektywacją siebie w przedmiocie, ani z subjektywacją przedmiotu w sobie—są to dwa sposoby wyjaśniania procesu wczuwania—gdyż kontemplacja zasadza się na wyłączeniu swojego ja.

Wczuwając się w przedmiot, ja żyję w nim swojem życiem i przez to go ożywiam. W kontemplacji moje osobiste życie i stany psychiczne są *wyłączone;* wobec dzieła sztuki pozostają sobą t. j. podmiotem oglądającym i rozważającym objekt, ale tak intensywnie, że niema we mnie pozatem żadnych innych stanów psychicznych, którebym mógł mieszać lub identyfikować z artystycznymi elementami dzieła sztuki.

Kontemplacja estetyczna zmusza do zamknięcia się w granicach form, stworzonych w danem dziele sztuki przez artystę, w granicach środków, jakiemi pewna gałąź sztuki rozporządza. Kto *poza* te granice wychodzi, stwarza sobie parafrazę, transpozycję na podstawie tematu zaczerpniętego z dzieła sztuki, a pomija formę, integralny i nieodzowny czynnik każdego utworu, odrywa zwolna uwagę od oglądanego objektu, a skupia ją na własnych wizjach, uczuciach i nastrojach, które stają się wówczas przedmiotem jego rozważań i źródłem rozkosznego upojenia.

Dostojny ton, ów czar tajemny doskonałego dzieła sztuki, nie może swobodnie do nas przemawiać, gdy duch nasz jest wypełniony czysto-osobistemi wrażeniami, chaosem różnorodnych uczuć, pojęć i assocjacji, którym biernie się poddaje.

Istota oddziaływania na nas dzieł sztuki, pełnego dziwnej jakiejś mocy i trudnego do określenia powabu, polega właśnie na tem, że kontemplacja jest życiem odmiennem, oderwanem zupełnie od codziennego nawału pospolitych trosk, toku zwykłych czynności wśród zgiełku otoczenia i ciągłej zmienności własnych naszych stanów psychicznych.

Kto pogrąża się w kontemplacji estetycznego objektu, ten, wychodząc niejako poza siebie, trwa w oglądaniu, patrzy innem okiem, słucha innem uchem, żyje innem, bardziej wysubtelnionem życiem, a duch jego kroczy po tych szczytach zawrotnych, na jakich przebywał twórczy duch artysty.

Kontemplacja *jedyna* umożliwia owo nieodzowne, błyskawiczne ujęcie zewnętrznej i wewnętrznej zawartości dzieła sztuki, świadome z niem obcowanie, prowadzące następnie do rozważenia i zgłębienia jego istoty.

Swoistą cechę dzieła sztuki stanowi realizacja pewnego motywu czy pomysłu w formach konkretnych, *zmysłowych* — bo bez tego nie może być mowy o sztuce; z tego jednak wcale jeszcze nie wynika, by dzieło sztuki żadnych poza tem nie miało i mieć nie mogło walorów, by elementarne wrażenia *zmysłowe* (luźne dźwięki, barwy i t. p.) wypełniały całkowicie jego istotę.

Dzieło artysty jest tworem jego ducha, który z prostych i znanych pierwiastków kształtuje nową organiczną całość; twórczość jego zasadza się właśnie na ułożeniu i uporządkowaniu tych pierwiastków, na wprowadzeniu między nie harmonji i ładu, na logicznem ich powiązaniu.

W konsekwencji tego stanu rzeczy, utwór artystyczny nie daje się ująć, t. j. spostrzec i zrozumieć, samymi tylko zmysłami, ni czysto uczuciowem odnoszeniem się do niego przez pryzmat piękna lub brzydoty. Z takich elementów sztuki, jak temat, t. j. osnowa treści, jak *charakter* formy, proporcja, styl, harmonja, symetrja i wiele in. — można zdać sobie sprawę tylko przy pomocy odpowiednio wyrobionego *intelektu*.

Poza najprostszemi wrażeniami słuchowemi i wzrokowemi, wszystko inne może być w dziele sztuki zauważone i poznane jedynie na drodze rozumowej. Uczucie samo nie wystarcza, jest ono zresztą objawem *towarzyszącym* procesom czysto intelektualnym. Tak np. z sądem logicznym, stwierdzającym pewną zgodność, łączy się zazwyczaj uczucie przyjemne, które jednak bynajmniej nie wpływa ani na wartość, ani na charakter owego sądu.

Rola intelektu jest tedy w życiu estetycznem niesłychanie ważna i mylnie postępują estetycy-psychologiści, wyznaczając jej miejsce podrzędne, na korzyść uczucia i przyjemnego piękna.

Wszak na to, by w bryle pentelijskiego marmuru widzieć nie kamień, lecz smukłą Apollina postać, trzeba mieć także coś z boskich Apollina oczu! „Wszakże człowiek staje przed marmuru bryłą i bóstwem ją swej własnej duszy czyni świętą" (K. Tetmajer).

W analizie więc zjawisk estetycznych trzeba brać pod uwagę zarówno stronę intelektualną, rozumową, jak i uczuciową.

Na intelekt należy nawet położyć pewien nacisk, bo i oglądanie i słuchanie dzieł sztuki jest pewnym—obrazowym—rodzajem poznania; poznajemy mianowicie zawartość, charakter formy i treści tych utworów.

Wszystkim tym postulatom odpowiada w całej pełni kontemplatywny sposób odnoszenia się do dzieł sztuki, bo kontemplacja jest świadomą czynnością intelektu, trwającego w „oglądaniu".

Wszelki utwór artystyczny, dzieło architektury, rzeźby, malarstwa, grafiki, literatury i muzyki, trzeba wprzód poznać w całem bogactwie jego formy i tematu na drodze estetycznej kontemplacji. Na tej jedynie podstawie dojść można do zgłębienia jego istoty i uzyskać następnie — drogą porównania — racjonalne kryterja wartości.

Z fragmentarycznych tych uwag zdaje się wynikać dość jasno pozorny paradoks, a mianowicie, że sztuka i estetyka *nie mają nic wspólnego z pięknem i brzydotą*, gdyż są to kategorje czysto uczuciowe, subjektywne, nie ugruntowane w objektywnych cechach dzieł sztuki.

Tak w sztuce, jak i w nauce o niej, w teorji sztuki, t. j. w estetyce, idzie przedewszystkiem o rozpoznanie *formy* artystycznej, o jej zrozumienie w związku z daną treścią, tematem.

Fakt podobania się lub nie, fakt określania jakiegoś dzieła sztuki mianem piękna lub brzydoty, jest dla sztuki samej i racjonalnej jej teorji całkowicie obojętny, gdyż są to rzeczy poza-estetyczne, ważne chyba ze względów na modę i handlowe warunki powodzenia danego artysty.

To też wszelkie systemy estetyczne, także i współczesne, wszelkie kierunki artystycznej krytyki, żonglujące pojęciem „piękna", jako powszechnem kryterjum dzieł sztuki—pozbawione są wszelkiej wartości tak dla sztuki, jak i dla naukowej estetyki.

Dr. Mieczysław Treter.

PIOTR LOTI

(1850—1923).

Dnia 10 czerwca r. b. zmarł znakomity pisarz francuski, Julja Viaud, znany kulturalnemu światu pod pseudonimem Piotra Lotiego.

Urodzony 14 stycznia 1850 roku w Rochefort-sur-Charente, potomek starego rodu hugonockiego, od wczesnego dzieciństwa marzył o dalekich podróżach, chciał zostać misjonarzem i głosić światło nauki Chrystusowej egzotycznym ludom pogańskim. Doznawszy, w okresie dojrzewania, przełomu duchowego, wyzbył się zasad religijnych i—według określenia swego ulubionego ucznia, Klaudjusza Farrère'a: „zachował jedynie wiarę w wieczność nicości".

Z niezaspokojonych uczuć mistycznych zrodziła się, być może, owa głęboka, pełna swoistego uroku melancholja, owiewająca jego dzieła literackie.

Zrezygnowawszy z misjonarstwa, nie wyrzekł się podróży. W roku 1867 poświęcił się zawodowi marynarskiemu, który pełnił chlubnie. Dalekie morza i lądy dostarczyły mu wątku do powieści, tak samo jak Józefowi Conradowi Korzeniowskiemu.

Wśród tytułów chwały, ten przedewszystkiem wymieniano nad trumną Lotiego: uczestnik wojen 1870—1871 i 1914—1918. Zmarł w ulubionem swojem zaciszu w Handay. Zwłoki przewieziono na kilka dni do rodzinnego Rochefortu, skąd, po oddaniu im należnych honorów, popłynęły na statku Chamois pod eskortą czterech torpedowców na wyspę Oléron, gdzie spoczęły na cichym cmentarzu St. Pierre d'Oléron.

Twórczość literacka Lotiego ściśle związana była z jego życiem. Powieści Lotiego—to rozdziały jego pamiętnika, przysposobione raczej przez skróty, niż przeróbki, do użytku publicznego. Nie ogłaszał ich, rzecz prosta, w porządku chronologicznym: „Le Roman d'un Enfant" i „Prime Jeunesse", opisujące zaranie jego życia, wydał w latach 1890 i 1919, a więc u szczytu i na schyłku swej działalności pisarskiej.

Pierwszą powieść p. t. „Małżeństwo Lotiego" (stąd wybór pseudonimu) ogłosił drukiem, mając lat trzydzieści. Następnie (w roku 1881) wydał „Romans Spahisa", któremu za tło dał po mistrzowsku odmalowane krajobrazy Senegalu, gorejącego w tropikalnem słońcu.

Rok 1876 stanowi ważną datę w życiu Lotiego: datę wielkiej miłości do Aziyadé, poznanej w Stambule heroiny najpiękniejszej jego powieści i najrozkoszniejszego okresu życia. Do kwiatów z mogiłki zmarłej przed laty 43-ema Aziyadé uśmiechał się Loti nieomal w przeddzień swej śmierci. Ponad aromaty najpiękniejszych kwiatów egzotycznych przeniósł woń skromnego pierwiosnka miłości.

Część krytyki z G. Pellisier'em na czele, zarzuca mu nieznajomość psychologji i nadwrażliwość zmysłową. Bohaterki Lotiego: Rarahu, Pasquala, Fatou-Gaye, a nawet Aziyadé nie posiadają, według nich, większej indywidualności, niż zakochane zwierzątka.

W zarzucie tym jest tylko część słuszności. Nie zgłębiając analitycznie natury kobiety ani jej uczuć, Loti umie za to po mistrzowsku odtworzyć atmosferę miłości, tę, że tak powiem, erotyczną aurę, zależną od odrębnych gatunków zmysłowości i stwarzającą wielkie różnice wśród istot, stojących na jednakowo prymitywnym poziomie intelektualnym.

Wiele cudownych krajobrazów zawdzięczamy przecież malarzom, nie mającym pojęcia o geologicznych pokładach odtwarzanych ziem...

Loti był pejzażystą kobiety, nie zaś jej geologiem.

Bankructwo porywów mistycznych popchnęło go ku panteizmowi o epikurejskiem zabarwieniu: — Żyjmy bez troski o jutro — głosił często. Rozkoszujmy się przelotem rzeczami, które nie zawodzą: pięknem kobiet, koni, ogrodów, wonią kwiatów. Lepsze to, niż dociekania filozoficzne. Loti odsłania nam swą „jaźń" nie analizując jej, lecz demonstrując jej wrażliwość z absolutną szczerością.

Ten zapatrzony w prześwietloną jego własnem marzycielstwem rzeczywistość impresjonista, nie był zgoła „artystą", „sztukmistrzem" stylu, lub literackiej konstrukcji. W sztuce jego nie było ani źdźbła sztuczności. Dążąc do absolutnej prostoty, posługiwał się intuicją, rozwiniętą wspaniale.

Piotr Loti.

Claude Farrère zaznacza z zachwytem, że surowe freski z „Mego brata Yves'a", oraz „Rybaka Islandzkiego" wykonała ta sama ręka, która wypieściła słynne w całym świecie z subtelnej dokładności akwarele „Pani Chryzantem" i olśniewające swą misternością opisy Pekinu czy Ispahanu.

Nic fałszywszego, jak zestawienie Lotiego z Chateaubriand'em, albo Flaubert'em. Tego poetę, opisującego fragmenty własnych przeżyć z dziecięcą pierwotnością, żywotnością i śmiałością, raczej możnaby porównywać do malarzy prymitywów, gdyby nie to, że miast pogody mistycznej Fra-Angelica miał w sobie melancholję bezwzględnego zwątpienia.

Loti odczuwał duszę ras niższych, nawet zwierząt i roślin. Miał dla nich tkliwość i współczucie, dla człowieczeństwa zaś żywił braterską cześć. Wynaturzona, perwersyjna litość dla nałogowych zbrodniarzy, zwana we Francji „Pitié russe" była mu jednak obca.

Jako pisarzowi obca mu była również dokładność naturalistyczna. W świecie widzialnym szukał śladów swej „preegzystencji osobistej" i odnajdywał je genjalną intuicją poety.

Literaturę francuską śmierć Lotiego okryła żałobą. Ten akademik, któremu obca była wszelka akademicka kunsztowność, zajmował w piśmiennictwie nowoczesnem stanowisko wybitne i dostojne. Oryginalnością i szczerością porywając tłumy czytelników, zdobył popularność w starym i nowym świecie.

W Polsce należy Loti do najulubieńszych autorów: wszystkie najważniejsze jego dzieła przełożone zostały na nasz język.

St. Miłaszewski.

TEMPO.

Najważniejszą rzeczą, proszę państwa, jest tak w życiu prywatnem, jak i publicznem — właściwe tempo.

To, co masz przedsięwziąć — przedsiębierz à tempo.

Inaczej narazisz się na zarzut, że jesteś tępy.

Tych kilka słów daję zamiast wstępu do serji feljetonów, które będę drukował w „Tygodniku Illustrowanym"; drukować będę je dopóty, dopóki mi nie zbraknie konceptu — redakcji zaś — franków szwajcarskich.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, Szanowni Czytelnicy, że honorarjum będę odbierał w walucie szwajcarskiej.

Postawiłem takie żądanie Wydawnictwu „Tygodnika Illustrowanego" i Wydawnictwo kurtuazyjnie wybaczyło mi ten niewinny snobizm.

. . . . . .

W feljetonach moich zamierzam pisać o miłości, o drożyźnie (oba te tematy są sobie dziwnie bliskie) — o pogodzie, o sztuce, o sprawach wojskowych i o odwadze cywilnej.

Nie będę tylko pisał o polityce, gdyż feljetony moje są przeznaczone dla ludzi dobrze wychowanych.

W osobnych cyklach uwzględnię objawy zdziczenia obyczajów (koleje, tramwaje i restauracje) objawy budzącego się w społeczeństwie zmysłu oszczędności, (Oaza) — tudzież symptomaty rozkwitu rodzimej tężyzny finansowo-ekonomicznej (Weiss, Stueckgold, Gerstenzang).

Traktując wszystkie wymienione powyżej tematy z rozbrajającą szczerością i uczuciowością — niezawodnie popadnę w konflikt z t. zw. opinją.

Zauważyć jednak muszę, że mierzę 1 metr 90 — i to daje miarę mojej fizycznej wielkości.

Co zaś do duchowej wielkości — już powiedziałem: biorę honorarjum we frankach szwajcarskich. Zatem à bon entendeur-salut!

. . . . . .

Niezależnie od ważnych spraw, jakie poruszyłem już w moim prospekcie—nie omieszkam zająć się mniej ważnemi, ale niepozbawionemi znamion aktualności.

Postaram się mianowicie we właściwym czasie złagodzić objawy walki klas, podnieść stan zdrowotny miast, obniżyć analfabetyzm wsi, nadewszystko zaś—wyhodować kwiaty optymizmu tam, gdzie dotychczas zgrzytano zębami.

Proszę tylko nie zrozumieć mnie fałszywie: ostatni passus nie odnosi się specjalnie do lokatorów Pawiaka...

Dotyczy *wogóle lokatorów.*

. . . . . .

Albowiem lokatorami jesteśmy, Kochani Czytelnicy — tylko lokatorami. Nie więcej!

Mimo naszych kurczowych wysiłków i zabiegów — mijają wiosny za wiosnami, zmieniają się zimy, spływają śniegi — a ziemia wciąż wymyka nam się z rąk.

Chodzić po niej umiemy — i to nie wszyscy; kierować nią nie umie nikt.

Byli tacy, którzy ją brali na wędzidło woli — urywała się z wędzidła po pewnym czasie.

Inni brali ją na cugle *głupstwa.* I to się udawało tylko do czasu...

Jako jeden z miljarda lokatorów tej pięknej ziemi, napiszę za tydzień gorącą epistołę do wszystkich, równych mi szarżą.

— Pisać będę, oczywiście, o Ochronie lokatorów.

Zdzisław Kleszczyński.

POWIETRZNEMI SZLAKAMI.

3)

Pilotowi wystarczy wkrótce do podniesienia lub opuszczenia samolotu, do skierowania go w jedną lub drugą stronę nacisnąć odpowiedni guzik elektryczny, resztę zaś spełni już sam mechanizm, pozwalając pilotowi zająć się, jak kapitanowi okrętu, tylko zagadnieniami, tyczącemi się ogólnego kierownictwa samolotem, coraz to zawilszemi i trudniejszemi, przy ciągłem powiększaniu rozmiarów tych statków powietrznych i coraz dłuższemi ich podróżami.

Zagadnienie to łączy się ściśle z innem, mianowicie z telemechanicznem kierowaniem, za pomocą fal hertzowskich, samolotów, puszczonych w przestwór bez pilota.

Próby w tym kierunku, rozpoczęte we Francji w r. 1918, dały wyniki świetne. Już 24 września 1918 r. samolot bez pilota, puszczony z Etampes, przeleciał, kierowany z ziemi, około stu kilometrów, od tego zaś czasu posunięto się już znacznie naprzód.

Próby te, przedsięwzięte początkowo w celach wojskowych, przybrały z czasem charakter pokojowy. Już dzisiaj inżynierowie, zajmujący się niemi, zamyślają używać aeroplanów takich, które mogłyby na znacznych wysokościach pędzić z szybkością 500 kilom. na godzinę, do rozwożenia poczty po świecie, to zaś uprawnia też do widoków, że w niedalekiej przyszłości aeroplan obejdzie się zupełnie bez niebezpiecznych silników, tudzież obciążających go tak bardzo zapasów opału, bo potężne fale hertzowskie z wielkich elektrowni, powstających na ujarzmionych wodospadach i rzekach, dostarczać mu będą energji w dowolnej ilości *).

* * *

Nie tylko wszakże do aeroplanów, albo płatowców ogranicza się obecna działalność nadzwyczajna w świecie lotniczym.

W powieści „W osiem dni dokoła świata" pułk. Fogg dokonywa śmiałej swej podróży powietrznej na maszynie, będącej kombinacją hydroplanu z ortopterem, t. j. skrzydłowcem, naśladującym uderzenia skrzydeł ptaka. Dotychczas wszelako do urzeczywistnienia pomysłu tego jeszcze nie doszło, choć nie wątpię, że i ortoptery mają przyszłość przed sobą, natomiast helikopter, t. j. śmigłowiec **), wzbijający się w przestwór za pomocą śmig poziomych, na podobieństwo tak modnej przed laty zabawki pod postacią modeli papierowych, unoszących się w górę przez nakręcanie sprężynki gumowej, przestał już być marzeniem.

Bodźcem rozstrzygającym stała się i tu myśl o możliwościach przyszłej wojny, łatwo bowiem wyobrazić sobie, jak wielkie znaczenie posiadałby dla wojska, podczas bitwy lub manewrów, samolot nie tylko szybujący w powietrzu, ale także mogący z miejsca wzbić się w przestwór pionowo, a wzbiwszy się na znaczną wysokość, tkwić tam nieruchomo, poczem opadać znów pionowo w punkcie ściśle oznaczonym.

Sprostać tym wymaganiom może tylko helikopter, rzecz więc prosta, że ze względów wojskowych uzyskał pierwszeństwo przed ortopterem.

Nad budową helikopterów pracowali już od lat kilku inżynierowie: Francuz Pescara i Węgier Petroczy, ale ostatniemi czasy przybyły jeszcze

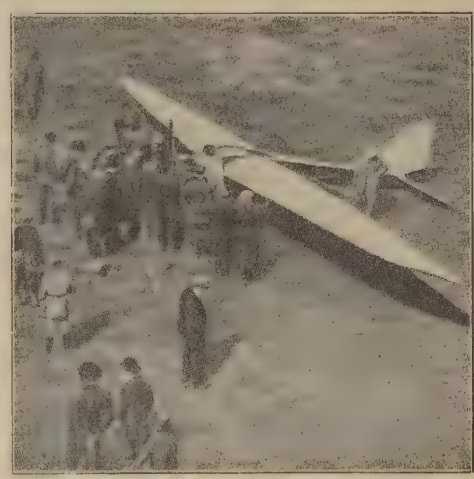

Jednopłatowiec Devoitine'a o silniku 15 konnym, po wylądowaniu w Lympne.

nowe siły w tym kierunku. Na łamach prasy zjawiły się nazwiska również Francuzów: Stefana Oehmichena i Bothezata (pracującego w Ameryce), oraz Anglika Ludwika Brennana.

O wynikach otrzymanych przez ostatniego

Przenoszenie samolotu bezsilnikowego Schulz'a na miejsce startu.
Fot. C. Fernstaedt.

niema wiadomości, gdyż inżynier ten pracuje nad budową swego helikoptera na zlecenie angielskiego ministerjum lotnictwa w warsztatach wojskowych w Farnborouhg, szczegóły zatem, tyczące się jego maszyny, trzymane są w tajemnicy.

Natomiast o próbach Oehmichena i Pescary podaje prasa francuska wiadomości, świadczące, że inżynierowie ci są na drodze do osiągnięcia zupełnego powodzenia.

Już dnia 28 kwietnia r. b. inż. Oehmichen, dokonywując prób z helikopterem Oehmichen-Peugot № 2, w Valentigney (Doubs), zdołał utrzymać się zupełnie nieruchomo w powietrzu w ciągu pięciu minut, dnia zaś 4 maja zdołał na tej samej maszynie przelecieć przestrzeń 120 metrów, na wysokości 2 metrów, zakreślając w powietrzu ósemkę zamkniętą i lądując na tem samem miejscu, z którego wzbił się w powietrze.

Helikopter Oehmichena, na którym dokonane były próby powyższe, posiada 4 śmigi podtrzymujące, 4 ewolucyjne, 1 pionową dla posuwania się naprzód i giroskop, utrzymujący równowagę, całości zaś dopełnia silnik 120-konny.

Tego samego też dnia inż. Pescara dokonał w Issy-les-Moulineux, na helikopterze swego pomysłu, lotu na wysokości 50 centym. do jednego metra nad ziemię, zatoczywszy koło o średnicy około 40 metrów, dnia zaś 7 maja, ubiegając się, również na terenie lotniczym w Issy-les-Moulineux, o nagrodę 10,000 franków, wyznaczoną przez Aèro-Club Francji dla helikoptera, który zdoła pierwszy dokonać lotu zamkniętego długości kilometra, nie zdobył wprawdzie tej nagrody, w każdym jednak razie zdołał przelecieć na wysokości metra przestrzeń 57 metrów w linji prostej, a przytem wylądować pionowo w środku koła, mierzącego 10 metrów średnicy, co było też jednym z warunków konkursu Aèro-Clubu.

Wreszcie dnia 29 maja, korzystając z pięknego poranka, wzbił się w powietrze i, po utrzymaniu się przez 4 minuty w jednem miejscu, przeleciał 250 metrów, krążąc z łatwością dokoła flagi, utkwionej w ziemię.

Dodać należy, iż wszystkie próby odbyły się pod kontrolą przedstawicieli francuskich władz lotniczych, a zatem wyniki ich nie podlegają wątpliwości.

Gdy wiadomość o nich zatelegrafowano do Ameryki, z Nowego Yorku nadeszła depesza, że tam odbywały się już 19 października r. z. próby z helikopterem, zbudowanym przez inż. francuskiego, G. de Bothezata, i że podczas prób, wznowionych 17 kwietnia r. b., helikopter ten zdołał wzbić się na niewielką wysokość w powietrze, choć 4 ludzi uwiesiło się u niego.

Helikopter Bothezata posiada 4 śmigi poziome, pomysłu wynalazcy, o powierzchni ogółem 80 metrów kwadr. i silnik 200-konny, umieszczony na środku maszyny. Całość waży 1,500 kilogr.

Nie jeden może z czytelników uśmiechnie się lekceważąco wobec takich tylko wyników, codziennie bowiem widzi wysoko w powietrzu sylwetki zgrabne aeroplanów, odbywających dalekie podróże. Nie zapominajmy jednak, że Santos Dumont przy pierwszej próbie ze swym aeroplanem o płatach i ogonie wzorowanych na latawcach pudełkowych Hadrave'a, zdołał przelecieć zaledwie *sześć* metrów, a już prawdziwym triumfem było, gdy przeleciał na nim w 1906 r. 50 metrów, zdobywając nagrodę Archdeacona.

Wziąwszy więc pod uwagę trudności, jakie ma do przezwyciężenia budowniczy helikoptera, trzeba przyznać, że wyniki, osiągnięte w ciągu ostatnich kilku tygodni przedstawiają się bardzo obiecująco.

A do dalszych wysiłków w tym kierunku potężnym będzie, niewątpliwie, bodźcem ogłoszony świeżo (11 maja) przez rząd angielski konkurs, wyznaczający nagrodę w olbrzymiej sumie 50,000 funtów ster. (1,250,000 franków złotych) za budowę helikoptera, odpowiadającego następującym warunkom:

Samolot ma być w możności uniesienia pilota, paliwa na lot godzinny i 150 funtów ładunku wojskowego;

Unieść się w powietrzu pionowo do wysokości 2,000 stóp, i opuścić się tak samo na poprzednie miejsce;

Uniósłszy się w powietrze do wysokości 2,000 stóp, pozostać tam pół godziny nieruchomo nad terenem wyznaczonym przez komisję sędziowską, poczem wylądować bez uszkodzenia;

*) W sprawie tej pisze p. Hémardinquer w „La Nature" z 26 maja 1923 r.: „*Des expèriences rècentes semblent prouver que le probléme n'est pas impossible, mais la solution parait lointaine*".

**) Nazwy polskie podaję według pracy inż. G. Mokrzyckiego „Rzut oka na współczesne lotnictwo". Warszawa 1922 r.

Uniósłszy się w powietrze do wysokości 2,000 stóp, zatoczyć koło o obwodzie conajmniej 20 mil angielskich, lecąc z szybkością około 60 mil ang. na godzinę;

Dokonać manewrów nad danym terenem, według wskazówek udzielonych przez komitet sędziów, poczem, opuściwszy się pionowo do wysokości nie mniej niż 500 stóp, opuścić się stamtąd pionowo bez użycia silnika na wskazany teren o promieniu stu stóp.

Za wykonanie każdego z warunków powyższych nagrody wynoszą od 5,000 do 20,000 funtów sterl., ogółem zaś, jak wspomniałem, 50,000 funtów sterlingów.

Prasa angielska przyznaje, że warunki powyższe są niezmiernie trudne i wątpi, aby znalazł się helikopter, który mógłby wypełnić wszystkie, wobec jednak tych olbrzymich postępów techniki, jakich jesteśmy świadkami, nie chce prorokować niemożliwości ich wykonania. Zdanie to podzielam zupełnie. Nikt nie zdoła przewidzieć, czy helikopter nie stanie się z czasem współzawodnikiem aeroplanu.

* * *

Znany francuski budowniczy aeroplanów, Bréguet, wyraził się niedawno, że za jakich lat dwadzieścia człowiek, udający się z Francji do Argentyny parowcem, będzie uważany za takiego dziwaka, za jakiego byłby uważany dzisiaj człowiek, jadący z Paryża do Lugdunu dyliżansem pocztowym, zamiast pociągiem pośpiesznym.

Bréguet uzasadnia to twierdzenie ogromnym postępem w budowie samolotów w trzech kierunkach: sprawności ich w przezwyciężaniu oporu powietrza, użycie do budowy samolotów metali lekkich, zmniejszających znacznie ich wagę, wreszcie udoskonalenia silników, zużywających coraz mniej paliwa.

Postępy w tych kierunkach zaznaczają się tak szybko, że inżynier francuski przewiduje nawet możliwość zwiększenia szybkości samolotu do tego stopnia, iż będzie można okrążyć kulę ziemską samolotem w ciągu doby. A ponieważ ziemia dokonywa obrotu dokoła swej osi właśnie w ciągu 24 godzin, samolot więc, lecący ze wschodu na zachód, leciałby przez cały czas tej podróży dokoła ziemi w blaskach słońca, nie zaznawszy nocy i wzbiwszy się w przestwór o wschodzie słońca, stanąłby na punkcie swego wzlotu znów o wschodzie!

Wszystko to jest możliwe, ale na razie tylko w teorji. Dzisiaj jeszcze samolot nie stał się tak tanim środkiem komunikacji, aby mógł wyrugować koleje żelazne i parowce, co do przewozu znacznej liczby podróżnych lub wielkiej ilości towarów, wchodzi tu bowiem w grę duży koszt i wysiłek dźwignięcia ładunku w powietrze i utrzymania go tam w ciągu podróży.

Myśl więc zwraca się ku aerostatom, t. j. statkom powietrznym lżejszym, niż powietrze, a których silniki mogłyby być użyte tylko do posuwania statku naprzód i kierowania nim w przestworzu.

Statkiem takim jest sterowiec, ów „zeppelin", którego potężną, a złowrogą sylwetkę, podobną do olbrzymiego cygara, nieraz podziwialiśmy podczas wojny, gdy olbrzym wyruszał na wyprawy zbójeckie.

Budowę balonów tych, systemu t. zw. sztywnego, wszystkie bowiem ich części składowe, nie wyłączając kabin i komór silnikowych, tworzą jedną całość sztywną, ściśle zespoloną, gdy tymczasem w balonach pół-sztywnych Parcevala kabiny i komory silnikowe wiszą na linach przyczepionych do tułowia balonu—wynalazca ich, zmarły przed kilku laty hr. Zeppelin, tudzież inżynierowie niemieccy, pracujący w zakładach jego w Friedrichshaven, nad jeziorem Podeńskiem, doprowadzili do takiego stopnia doskonałości technicznej, że przepowiadano im przyszłość świetną.

Nowy wynalazek: śmigi aluminiowe przewyższające znacznie pod względem odporności i siły używane dotychczas śmigi drewniane.
Fot C Fernstaedt.

Jeden z polskich samolotów towarzystwa Aerolloyd, utrzymujących stałą komunikację między większemi miastami kraju.

Ale już podczas wojny entuzjazm, jaki początkowo wywołały, zaczął stygnąć. Przekonano się, że mimo wszelkich ostrożności i zastosowania bardzo pomysłowych środków zapobiegawczych, jak podział wnętrza balonu na oddzielne komory, zawierające szereg odosobnionych balonów, wypełniający je, łatwo zapalny gaz oświetlający przedstawiał zawsze wielkie niebezpieczeństwo. Podczas wojny, na 72 „zeppeliny" użyte przez Niemcy, 12 zginęło wskutek wybuchu wypełniającego je gazu, 14 wskutek burzy, 26 zaś zniszczonych było przez pociski aljantów, a i z pośród tych 26 większość spadała ogarnięta płomieniami, wystarczało bowiem podziurawienie powłoki olbrzyma kilku drobnemi nawet pociskami, aby ulatniający się gaz zapalał się od ognia silników.

Wystarczy tu przypomnieć zniszczenie największego z „zeppelinów" ówczesnych, „L. Z. 76", nad morzem Północnem, dnia 10 sierpnia 1918 r.

Balon ten niepokoił przez czas dłuższy flotę angielską z podstawy swej na wyspie Helgoland, czuwając tam, jak ptak drapieżny. Wreszcie powyższego dnia flota angielska wypłynęła z Harwich, aby wywabić olbrzyma, za nią zaś płynął parowiec holowniczy z ustawionym na pomoście aeroplanem. Gdy flota zbliżyła się na tyle do Helgolandu, że spostrzegły ją niemieckie okręty strażnicze, olbrzymi, „Zeppelin" ruszył przeciwko niej, aby powitać ją bombami. I wnet ze wszystkich okrętów angielskich gruchnęły ogniem działa. Celem ich jednak nie było trafienie sterowca, którego sylwetka zaledwie była widoczna na niebie, lecz odwrócenie jego uwagi i zasłonięcie dymem wystrzałów drobnego aeroplanu, który tymczasem wzbił się z holownika w powietrze.

Upłynęło w ten sposób czterdzieści minut. Nagle ujrzano, że olbrzym zawraca, a w chwilę potem spostrzeżono przez lornety czarną plamkę na jego tułowiu. Plamka ta rozszerzała się niezmiernie szybko i wnet wspaniały „L. Z. 76", ogarnięty dymem i płomieniami, runął, jak kamień, z wysokości 6,000 metrów do morza. Wystarczyło siedem strzałów z małego karabinu maszynowego, umieszczonego na aeroplanie, kierowanym przez osiemnastoletniego pilota Culleya, aby podziurawić balon i wywołać wybuch gazu.

Jak wyżej wspomniałem, z liczby 72 „zeppelinów", zbudowanych przez Niemcy podczas wojny, 14 zginęło też wskutek burz. Bo drugiem niebezpieczeństwem groźnem dla balonów sterowych, przeciwstawiających wielki opór powietrzu, jest, zwłaszcza podczas opuszczania przez nie hangarów lub gdy stoją niezabezpieczone na lądzie, wiatr gwałtowny. Niebezpieczeństwu temu jednak zaradzono już częściowo, bądź to przez udoskonalenie budowy ich szkieletu, bądź to przez budowę odpowiednich przystani lub wreszcie przez obserwacje meteorologiczne.

Główne zaś niebezpieczeństwo stanowi zawsze wypełniający je gaz, złożony z palnego wodoru i również palnych węglowodorów. To to też po strasznych katastrofach zbudowanego w Anglji, na zamówienie rządu amerykańskiego, potężnego „R. 38", który podczas lotu próbnego dnia 24-go sierpnia 1921 r. zapalił się nad miastem Hull i nabytego przez stany Zjednoczone we Włoszech sterowca „Roma", który uległ zniszczeniu, również wskutek wybuchu gazu, lecąc nad Langley Field, w pobliżu Newport News (Wirginja) dnia 21 lutego 1921 r. i wreszcie straty amerykańskiego sterowca wojskowego, który spłonął w ten sam sposób, opuszczając hangar w San Antonio (Teksas) dnia 17 października 1922 roku — zainteresowanie balonami sterowemi znacznie osłabło w Europie. Powodem zaś tego była nietylko częstość tych katastrof i ogromna strata w ludziach, jaką pociągały za sobą, ale i olbrzymie koszty owych prób niebezpiecznych.

Taki np. „R. 34", który przeleciawszy z Anglji do Ameryki i z powrotem w 1919 r., uległ pogruchotaniu przez wicher, gdy, wróciwszy uszkodzony z wycieczki, stanął na kotwicy przed swym hangarem w Howden (Anglja), dnia 28-go stycznia 1920 r.—kosztował 350,000 funt. sterl. a wspomniany powyżej „R. 38" przeszło pół miljona funt. sterl.

(*Dn*) *Stefan Barszczewski.*

NIEMCY W OBLICZU PRAWDY DZIEJOWEJ.

VI.

A czem dla Austrji był spór z Serbją, tem dla Niemiec był spór z sąsiadką ich zachodnią, Francją. Tu był ten węzeł gordyjski dyplomacji europejskiej, który daremnie kusili się rozplątać, przyzwyczajeni do polityki Bismarckowskiej ubezpieczenia się na dwa fronty, albo polityki „dwóch pieczeni na jednym rożnie"—naśladowcy żelaznego kanclerza z Wilhelmstrasse, a który ich wytrwali przyjaciele, pozostali nad Newą, w sposób prosty radzili rozrąbać. „Porzućcie Austrjaków, a my uczynimy to samo z Francuzami", o czem tak naiwnie opowiada sam Helfferich (Die Vorgeschichte des Weltkrieges, str. 172).

Narazie jednak na to drugie wcale się nie zanosiło. Przeciwnie, Delcassé na stanowisku ambasadora w Petersburgu, Izwolski w Paryżu, niweczyli te knowania niemieckie. I gdy jeden z byłych dyplomatów niemieckich w rozmowie z hr. Moltkem obszernie mówił mu o intrygach Izwolskiego w Paryżu, szefowi sztabu generalnego wyrwało się zdanie: „Oby się wreszcie przechytrzyli. My jesteśmy gotowi. Im prędzej, tem lepiej dla nas", przyczem dodał: „największą troskę dla nas stanowi teraz Rosja. Musimy się bardzo pilnować, aby z tej strony nieba nie spotkała nas nagła niespodzianka" (Eckard von Eckardstein. Die Isolierung Deutschlands, str. 184, 186).

„Im prędzej, tem lepiej"—taka była opinja nie tylko sfer wojskowych, ale i dyplomatycznych. Prawda nie wszystkich—nie samego kanclerza, ale za to ministra spraw zagranicznych, von Jagowa. Ten pierwszy za siebie i za cesarza odpowiadał, że nie chcą wojny, tem mniej wojny prewencyjnej. W archiwum zaś spraw zagranicznych znalazł się list Jagowa, pisany do hr. Lichnowsky'ego (18 lipca), w którym jest takie wyrażenie: „Nie chcę wojny prewencyjnej, ale jeśli taka wojna się nastręczy, to nie powinniśmy uchylać się od niej". Jest to wynik przeświadczenia, że Rosja do wojny jest niegotowa, i że „im bardziej zdecydowanie wystąpi Austrja, im energiczniej staną przy jej boku Niemcy, tem pewniej Rosja będzie cicho". List ten opublikował Kautsky w swej książce: „Jak powstała wojna?" („Wie der Krieg entstand?", str. 66). W zbiorze dokumentów, zebranych przez uczonego socjalistę, lecz spreparowanych później do użytku Niemców, listu tego brak. Jest to dowód, że do urzędowych wydawnictw niemieckich, nawet dla wyjaśnienia klęski wojennej służących, jeszcze zupełnego zaufania mieć nie można.

Wystarczy stwierdzić, że jeśli nie w świetle urzędowych oświadczeń, to poufnych zwierzeń—wojna Niemiec z Rosją i Francją była w istocie wojną prewencyjną.

* * *

Postawa Rosji od początku zarysowującego się konfliktu Austrji z Serbją była wyjątkowo jasna i zdecydowana. Już w tydzień po zamachu ambasada rosyjska w Wiedniu poufnie inspirowała redaktora politycznego „Neue freie Presse", że Rosja nie pozostanie w spokoju w razie naruszenia samodzielności Serbji. Wiadomości tej jednak nie pozwoliła ogłaszać. Na depeszy z doniesieniem o tem Tschirschky'ego cesarz Wilhelm umieścił marginesowy wykrzyknik: „aha!" co miało zapewne oznaczać powątpiewanie.

Ale powątpiewanie to zmieniło się w pewność, kiedy po wręczeniu ultimatum Serbji rząd rosyjski wydał oficjalny komunikat (25 lipca) tej treści, że wobec konfliktu dwuch państw na Bałkanach, Rosja nie może pozostać obojętna (Księga pomarańczowa, nr. 10). Przyznał i potwierdził to stanowisko Rosji sam cesarz Wilhelm, ale nie oficjalnie, lecz w swych poufnych wynurzeniach przy czytaniu dokumentu.

Po wręczeniu ultimatum hr. Berchtold wezwał do siebie zastępcę posła rosyjskiego, ks. Kudaszewa, aby mu dać uspokajające objaśnienia co do zamiarów Austro-Węgier, między innymi, że nie chce żadnej zmiany układu sił na Bałkanach. Na depeszy o tem (24 lipca) Tschirschky'ego Wilhelm napisał własnoręczną uwagę: „Austrja musi zająć na Bałkanach przeważające stanowisko wobec drobnych państewek na koszt Rosji, w przeciwnym razie nigdy nie będzie spokoju" (D.Dok. I, str. 167/8). Tego samego dnia w Petersburgu ambasador niemiecki, hr. Pourtalès, po rozmowie z Sazonowem, odniósł wrażenie, iż Rosja nie cofnie się przed ostrym konfliktem, nawet wojną. (Am Scheidewege zwischen Krieg und Frieden, str. 15).

Według ambasadora francuskiego Paléologue'a jedynym zarządzeniem Rosji pierwszego dnia po otrzymaniu wiadomości o ultimatum serbskiem było wycofanie 80 miljonów rubli, złożonych na depozyt w Banku niemieckim (La Russie des tsars pendant la grande guerre, t. I, str. 25). Tego samego dnia na radzie ministrów rozważano zagadnienie wojny pod kątem widzenia stosunków wewnętrznych. Dnia następnego odbyła się rada koronna w obozie krasnosielskim, gdzie, jak doszły słuchy do wiadomości hr. Pourtalèsa, zapadły ważne uchwały co do przygotowań mobilizacyjnych. Manewry zostały odwołane, a wojska ściągano z obozu do garnizonów (Am Scheidewege, str. 15, 18).

Jego kolega francuski, p. Paléologue, lepiej, bo bezpośrednio poinformowany, mówi o uchwaleniu w zasadzie mobilizacji 13 korpusów armji południowych i południowo-wschodnich, jako przeciwzarządzenie mobilizacji Austro-Węgier. Tego samego dnia wieczorem, odprowadzając na dworzec warszawski Izwolskiego, powracającego na swój posterunek do Paryża, określił swe wrażenie z ruchu i podniecenia wśród wojskowych: „Tym razem to już wojna" („cette fois c'est la guerre") (Paléologue, t. I, str. 26, 28).

Na drugi dzień jednak (niedziela) nastąpiło uspokojenie. Sazonow toczył rozmowy z hr. Szaparym, w których punkt po punkcie omawiano żądania Austrji, przyczem ambasador złożył zapewnienie, że Austrja niema żadnych zamiarów agresywnych na Bałkanach. „Il ne s'agit peut-être, que des mots", wyraził się uspokajająco Sazonow, a hr. Pourtalès zaklinał: „Tylko na miłość Boską, nie dajcie dojść do słowa generalnym sztabom". (Am Scheidewege, str. 25).

A równocześnie z Berlina szły do Wiednia rozkazy: „Tu sądzą, że na ewentualną odpowiedź Serbji odmowną nastąpi natychmiast z naszej strony wypowiedzenie wojny, połączone z operacjami wojennemi. Każda zwłoka grozi wmieszaniem się innych mocarstw. Radzę wam najusilniej natychmiast wkroczyć i postawić Europę wobec fait accompli" (depesza hr. Szögyenyi'ego z 25 lipca, Kautsky, str. 85).

To też Wiedeń zlekceważył żądanie Rosji przedłużenia terminu 48 godzinnego ultimatum, Berlin zaś dał odpowiedź odmowną na propozycję Grey'a zwołania konferencji czterech mocarstw, niezainteresowanych w sporze (Niemiec, Anglji, Francji i Włoch) pod jego przewodnictwem w Londynie.

Ostatnia i jedyna chwila zażegnania wojny, będąca w posiadaniu Niemiec, minęła bezpowrotnie. Dnia 28 lipca, Austrja wypowiedziała oficjalnie wojnę Serbji. Cesarz Franciszek Józef, podpisując deklarację wojny, miał się wyrazić: „Jeżeli tak być musi, niech się dzieje wola Boska. Zginiemy, ale z honorem" (Nowak str. 47). Tego samego dnia ambasador francuski pisał w swoim pamiętniku: „Żadna inicjatywa osobista, żadna wola indywidualna obecnie już nie istnieją i nie mogą przeciwstawić się mechanizmowi sił wyzwolonych, autonomicznie działających" („La Russie des tsars" str. 50).

Chwila ta zbiegła się z powrotem nagłym i niespodziewanym cesarza Wilhelma z podróży (26/27 lipca) i objęciem przez niego kierownictwa spraw dyplomatycznych. Na biurku kanclerza leżała już depesza hr. Pourtalèsa, nakłaniająca do interwencji osobistej cesarza u Mikołaja II w celu zapobiegnięcia wojny. Wilhelm II uchwycił się teraz gorączkowo za drut między Berlinem a Petersburgiem i depeszuje raz po raz, przyczem odpowiedzi cesarza krzyżują się z depeszami cara, który także podjął wymianę telegraficzną zdań z przyjacielem z własnej inicjatywy. Na depeszę Mikołaja II, wysłaną w nocy 28 lipca z prośbą o wstrzymanie Austrji od kroków nieprzyjacielskich wobec Serbji (D.Dok. II, str. 48), Wilhelm odpowiada po północy, iż użyje wszelkich środków wpływu na Austrję, aby porozumiała się z Rosją (str. 50).

Co skłoniło Berlin do tej zmiany zapatrywania?

W chwili, gdy Austro-Węgry wypowiadały Serbom wojnę, cesarz pisał do Jagowa (28 lipca): „Po przeczytaniu noty serbskiej, którą otrzymałem dziś rano, przyszedłem do przekonania, że wogóle i w całości spełnia ona życzenie monarchji naddunajskiej. Parę zastrzeżeń, które Serbja czyni w kilku punktach, mogą zdaniem mojem być wyjaśnione w drodze pertraktacyj. Ale kapitulacja, i to jaknajbardziej upokarzająca, ogłoszona jest w niej przed całym światem, „urbi et orbi", a z nią razem odpada wszelka racja wojny". (D.Dok. II, str. 18).

W istocie, Serbja w odpowiedzi na notę austrjacką poczyniła wszelkie ustępstwa żądaniom, dotyczącym zarządzeń czy to względem osób, czy to towarzystw, grożących całości i bezpieczeństwu sąsiedniej monarchji. Kwestjonowała tylko punkt 5-ty ultimatum, żądający w tem udziału władz austrjackich i punkt 6-ty prowadzenia śledztwa przez władze austrjackie przeciw obywatelom serbskim, jako naruszenie prawa jej suwerenności.

Ale i co do tych punktów rząd serbski poddawał je pod decyzję trybunału haskiego albo konferencji mocarstw (Austrja—Księga czerwona, nr. 7. Serbja—Księga błękitna nr. 39).

Jasnem przeto było, że podstawa moralna wypowiedzenia wojny usuwała się sama przez się—ale nie łatwo było tak samo usunąć zarządzenia militarne i zmienić je przy pomocy akcji dyplomatycznej.

A. Szelągowski.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

3)

— Dlaczego?

Była przerażona.

— Pani tego nie rozumie.

I rozpoczął bardzo pouczające wyjaśnienia. Mówił o optyce, świetle i ciemności, o soczewkach i eksponowaniu. Później naprowadziła go asocjacja myśli na astronomję i geografję.

Jakób znał się na wszystkiem, na czem poważnie myślący ludzie powinni się znać. A obcował prawie wyłącznie ze starszymi.

— Ale z młodymi nie umiesz się bawić —mówiła Marjanna.

Wzruszał lekceważąco ramionami, bo nie było nic, czegoby nie umiał.

Wszystko w swoim czasie. Jeżeli był między sobie równymi, obejmował bez wahania stanowisko jenerała, rozbójnika, albo zabawiał się w piłkę nożną. I robił to tak samo poważnie i bez zarzutu, jak wszystko inne. Był zgrabny, stosunkowo silny, miał wyśmienity wzrok, ale uważał na reguły, konsekwencje i porządek. Tyranizował wszystkich swoją pedanterją.

Ale jeżeli było wesoło, to nikt nie potrafił tak się śmiać, jak Jakób. Jego śmiech miał w sobie coś orzeźwiającego. Marjanna nieraz długo czekała na to. Śmiał się przynajmniej o pięć lat niewinniej, niż inni koledzy w jego klasie. Ale Marjanna nie była nigdy w stanie odgadnąć, co go wprawiało w taką wesołość. Jakób wydawał się jej wprost nieobliczalny w swych uczuciach.

Raz udało się jej przyłapać go na płaczu. Prawdziwa rzadkość, za którą koledzy Jakóba byliby wiele dali, jak za jakąś egzotyczną markę. Nikogo przy tem nie było, tylko ona i jej oboje rodzice.

Pani burmistrzowa, dama w wieku przejściowym, wymagała zawsze trochę uczuciowości od ludzi z którymi miała do czynienia. A Jakób był lubianym i częstym gościem w jej domu.

— Czy ty potrafisz się naprawdę do kogo przywiązać, to pytanie—powiedziała raz do niego.

— Niech mię pani weźmie na próbę—zażądał Jakób suchym, profesorskim tonem.

— Ach, co tam „na próbę" — odpowiedziała niecierpliwie burmistrzowa. — Jak długo nie widziałeś już twojej matki? Jakoś bardzo dobrze to znosisz, nie myślisz nawet pewnie nigdy o niej?

Na to Jakób nieoczekiwanie zamilkł. Ale kiedy już wszyscy o tem zapomnieli i burmistrz zaczął rozkładać szachy, żeby grać z Jakóbem, chłopiec począł szlochać.

— Któż może utrzymywać—wył w niebogłosy—któż może utrzymywać, że ja nie myślę o mamie!

Burmistrzowej właśnie nie było wtedy w pokoju, ale ojciec i córka popatrzyli na siebie ze zdziwieniem i zakłopotaniem. Bo cóż można było na to powiedzieć? Oboje nie byli bardzo sprytni, ale też i wypadek był niezwykły.

Było się przyzwyczajonym do Jakóba, który jak dorosły człowiek obcował ze starszymi. A teraz naraz płakał... płakał, jak małe dziecko.

Marjanna chciała już uciekać z pokoju, gdy nagle Jakób przemówił, ku najwyższemu zdziwieniu obojga, spokojnie i rzeczowo:

— Pan zaczyna. Ale proszę, niech pan lepiej uważa dziś niż wczoraj.

Burmistrz grał źle, bo myślał zawsze o czem innem. Miał wiele zaszczytnych urzędów i tysiączne interesy. Jego karjera była niesłychana. Zaczął jako chłopiec w sklepie, a obecnie był miljonerem, tak jakoś niechcący i o czem innem myśląc. A od niedawna był posłem i jeździł często do miasta, zawsze zajęty i roztargniony. Przytem nie zachowywał się jak prawdziwy polityk, ale troszczył się, jak stara baba, o plotki i wszystkie głupstwa w małem miasteczku.

— Mat—oświadczył Jakób.

— Niech będzie mat, dobrze.—Ale powiedz mi, co on robi właściwie? Jak on się tak będzie zachowywał, to sobie bez niego poradzą. To niemożliwe. Ona powinna temu kóniec położyć. Tak nie można. To narobiło hałasu w całem mieście... A on już groził, jak Boga kocham, że groził oddaleniem go z fabryki... No? i co wtedy? Aaa...

— Pan tak mówi, że się słowa nie rozumie—odpowiedział Jakób.—Pan mówi: on, ona, on, ona, i jak się tu w tem połapać?...

Burmistrz zaczerwienił się.

— Tak, tak—irytował się—naturalnie, że mówię o inżynierze, to jasne, wszyscy o nim mówią. A ona? jego żona? Co ona robi? Nic, a majorowa?

— To do mnie nie należy.

— Tu niebezpieczeństwo nadciąga... a on: to do mnie nie należy! Cierpliwość to ładna rzecz... Ale co dyrekcja? Ha?... Przyjdzie wydalenie... a co potem? A mnie się śniło... Tym razem się nie uda... Czy wiecie kto mi się śnił? On! Tak, to do rzeczy nie należy, ale... było niby wielkie pole... były niby manewry jesienne... tak jak zeszłego roku... widziałem wszystko wyraźnie... każdy szczegół. A właśnie koło mnie stała wielka armata i przychodzi żołnierz z palącym się lontem...

— To nieprawda—zawołał Jakób triumfująco.

— Co nieprawda? Co? Mnie się przecież śniło, dziś w nocy...

— Niedorzeczność, to się panu nie mogło śnić. Lont nie egzystuje już dawno.

Burmistrz, wściekły, uderzył pięścią w stół.

— Wszystko wie lepiej! Wszystko! Nawet moje własne sny. Lontów już nie używają... dobrze... ale ja widziałem! I lont, i armatę, i inżyniera związanego.

— Dlaczego związanego?

— Dlaczego, dlaczego?! Zapytaj Pana Boga... Żołnierze go prowadzili. Co zbroił, nie wiem. Ale to rzecz podrzędna... ale to, że mi się śnił, to jest źle. Właśnie teraz, zły znak!...

Jakób uśmiechnął się ironicznie, nie odpowiedział nic. W domu burmistrza był przyzwyczajony obcować z ludźmi, ktorzy byli o wiele dziecinniejsi od niego.

Jeżeliby inżyniera rzeczywiście wydalili, toby było niedobrze. Inżynierowa gotowa umrzeć z przerażenia. Ale toby nic nie pomogło, żeby ją zawczasu na to przygotować. Tylko z jedną osobą można mówić rozsądnie—z majorową.

Kiedy mu to przyszło na myśl, Jakób wstał prędko, nieoczekiwanie. Burmistrzowi wisiało jeszcze jedno zdanie na ustach jak na starych obrazach.

— Do widzenia — rzekł Jakób bezwzględnie.

Mimo to byłby przyszedł prawie za późno. Bo przed domem stał już powóz, w nim majorowa, a ostatnie pakunki przynoszono właśnie. Miał tylko jeszcze czas skoczyć na stopnie.

— Pani do niego jedzie? Czy list przyszedł?

— Tak, mój drogi, czy masz mi coś do powiedzenia?

— Wszyscy już o tem wiedzą.

— To jest nieprzyjemne, ale to było do przewidzenia.

— Oprócz tego mówią o jego wydaleniu. Burmistrz opowiadał.

— Zobaczymy.

— Czy ja mam co robić?

— Ty, nic. Masz się tylko porządnie zachować. A teraz pociesz trochę Leopoldynę.

Jakób pożegnał się prędko, żeby iść pocieszać Leopoldynę. Znalazł ją dopiero po długiem szukaniu, w kuchni. Siedziała tam z dwiema sługami i wszystkie trzy płakały. Jakób czekał jakiś czas na progu cicho i cierpliwie. Ale kiedy jakoś nie kończyły płakać, a oprócz tego czuć było kapustę, odłożył rolę pocieszyciela do następnego dnia.

Poszedł do ciemnej śpiżarni, wywoływać zdjęcie burmistrza.

III.

Rodzice Jakóba byli młodzi. On miał już od pewnego czasu trzydzieści pięć lat, bo jego łysina nie zmieniała się nigdy. A ona była jeszcze o wiele młodszą od niego, szczególniej na estradzie. Śpiewała raz tu, raz tam, i dlatego nie mogli wozić wszędzie Jakóba ze sobą.

Ona nosiła szumne imię cesarzowej. Za to jego nazywano krótko, Lolem, ona i wiele innych. Ale i on był także bardzo znany, nietylko jako mąż Eugenji. Były nawet okolice, gdzie go miano za kawalera i zupełnie nie wiedziano ani przypuszczano, że należał do Eugenji. Także nie było pewnem, kto więcej pieniędzy zarabiał z nich dwojga. Bo jego libretta i słowa do krótkich piosenek też objeżdżały cały świat. A i na innych polach miewał także nieraz nowe i rentujące się pomysły.

Rozumieli się ze sobą doskonale i byli pod każdym względem od siebie zależni. Chwilami zapominali o Jakóbie i wydawało im się, że byli zupełnie wolni i bezdzietni. Przytem każde z nich miało swój tajemniczy szczególniejszy świat i w danym wypadku własną, ukrytą broń do walki. Bywało, że Eugenja tęskniła nieraz boleśnie za swojem jedynem dzieckiem, któremu Lolo czasem zazdrościł. Utrzymywał, że przy jej przeklętem powołaniu musiał zrezygnować raz na zawsze z prawa każdego „męża", posiadania stałego, ciepłego „chez soi".

(*Dcn*)

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 241

— Siadajcie, siadajcie, proszę!... Zaraz podadzą herbatę... — zapraszał przyjaciół Badmajew, wskazując na żółte jedwabne poduszki, rozłożone pośrodku wspaniałego bucharskiego kobierca.

— Natychmiast napiszę do Urgi!...—ciągnął, siadając obok. — Jestem pewny, że odpowiedź przyjdzie przychylna, że się nie rozstaniemy, że zostaniecie tutaj... Tutaj cicho, spokojnie.. Wypoczniecie, a tymczasem minie ta nieszczęsna rewolucja... Mamy stosunki w Urdze... Mój wuj, Namyń Dordżia Nojon cieszy się wielkim wpływem w „Świętym Domu“ a Uń-cyń Dordżi, mój cioteczny brat, którego znacie z gimnazjum, jest jednym z sekretarzy Bogdo-Hutuchty Chana!...

— Co, Dordżi... Dordżiew?...—zdziwił się Korczak.

— Tak, tak!... Ten sam, Dordżiew!... Tu my wszyscy inaczej się nazywamy!...—rozśmiał się Badmajew.

Służebne przyniosły i postawiły przed gośćmi niskie stoliczki chińskie z przyborami do herbaty, talerzyki z ciastkami i słodyczami chińskimi, oraz miseczki porcelanowe z kawałkami suchego żółtego sera i zwitkami suszonych kożuszków śmietankowych.

Wniesiono wreszcie wielki kocioł buchający aromatyczną parą mocnej herbaty, zaprawnej mlekiem, baranim łojem, solą i prażoną mąką. Całem przyjęciem kierowała Tu-sziur; ona też rozlała herbatę z kotła wielką warząchwią do pięknie rzeźbionych drewnianych dzbanów, które własnoręcznie postawiła najpierw przed Władysławem, następnie przed Hanią, Maćkiem, a w końcu przed Badmajewym.

Jurta pełna była Mongołów wszelkiego wieku i płci, którzy, siedząc na ziemi półkolem, śledzili płonącemi ciekawością oczyma, za najmniejszym ruchem rąk, nawet ust niezwykłych gości i silili się choć cokolwiek odgadnąć z potoku niezrozumiałych, wypowiadanych przez nich dźwięków.

— Poran-do!... Poran-do!...*) To jeszcze dalej niż „oros”!...**)—szeptał ten i ów.

— To już na samym końcu świata!

— Dalej niema nic: samo powietrze!

— Zuch ten Szag-dur!...—Nic się nie boi!...

— Przyzwyczaił się w północnych miastach!...

— Skąd tylko ta ich „dari-chu” ***) dostała naszą świętą książkę tybetańską!?

— Eęch!... Ona mówi nawet modlitwę „Om”!... Słyszałeś?...

— Słyszałem. Czyż tchnienie Dobrotliwego nie rozsiewa się po całym wszechświecie!?... Nic dziwnego!...

— Zawsze dziwne, że do nas trafiła... Jest to znak, dobry znak!... Widziałeś jak Szag-dur zaraz ozdrowiał?... Łaska Dobrotliwego z nami!

Szły ciche w tłumie rozmowy.

*) Polak.
**) Rosjanin.
***) Boska dziewica.

Tymczasem Szag-dur wtajemniczał żartobliwie przyjaciół w ceremonję picia herbaty:

— Pierwszą filiżankę na spodeczku musicie unieść do góry na poziom czoła, a potem postawić na miejscu z ukłonem i uśmiechem w moją stronę... Wtedy dopiero możecie pić!

— Doskonale. Już zrobione... Opowiedz jednak nareszcie, jak ocalałeś?... Jakże się to stało?... Doprawdy zaczynam wierzyć w Opatrzność i cuda!...—przerwał mu Władek.

— Niema żadnego cudu!... Nie umarłem i koniec.

— „Kto nam łzy powróci?!” Opłakaliśmy pana tyle razy!...—rozśmiała się Hanka.

— Może dzięki tym łzom właśnie powróciłem z zaziemskiej krainy... Dusza Mongołów wrażliwa jest na wołanie!... Ich uszy wciąż wsłuchują się w step... Są oni wdzięczni i pamiętliwi, jak należy dobrym pasterzom!...— uśmiechnął się Szag-dur, patrząc znacząco na dziewczynę.

— Wiecznie wyrzucać sobie będziemy, żeśmy pana porzucili, ale... — powtórzyła i urwała nagle zmieszana, wspominając ostatnią rozmowę i zimne dotknięcie jego ust.

— Właśnie dobrze się stało, żeście mię porzucili, inaczej zginęlibyście i wy i ja... Przecież strzelalibyście do Chińczyków.

— Rozumie się: bronilibyśmy się!... — wtrącił Władysław, ciągnąc z rozkoszą ze swej filiżanki gorący, pożywny napój.

— No i zabitoby nas wszystkich a tak... wszyscy jesteśmy zdrowi i cali...

— Niezupełnie zdrowi i niezupełnie... cali!...—rozśmiał się Władek.

— Ech, głupstwo!... Ja nie jestem od mówienia! wiecie o tem dobrze! Powiedzcie lepiej wy, gdzie zdobyliście te blizny na twarzy i tego tęgiego towarzysza?... Pewnie też Polak!...—wykręcał się burjat, wskazując głową na jedzącego i pijącego z zapałem Macieja. — Będzie dobrze!... Jedzcie, posilajcie się... Pewnie bardzo wygłodzeni jesteście?! Zaraz będzie obiad. Kazałem zarżnąć barana...

— Nic z tego, nie wykręci się pan!... Musi nam pan przedewszystkiem opowiedzieć, co się z panem działo!... Pan rozumie jak to nas bardzo obchodzi i niepokoi...

— Niepokoi?... Dlaczego?... Owszem, jeżeli pani każe, opowiem, choć doprawdy nic ciekawego. Historja moja jest bardzo prosta i krótka... Kiedyście uciekli, chińscy żołnierze wdarli się do szałasu i wywlekli mnie stamtąd... Byłem omdlały, ale świeże powietrze i szarpanina przywróciły mi przytomność... Jeden z żołnierzy okazał się burjatem z „choszumu” mego ojca, poznał mię i obronił. Zanieśli mię do „chara-ułu”, opatrzyli, napoili wódką i herbatą... Chiński oficer, skoro tylko odzyskałem przytomność, zaczął mię chytrze wybadywać, co to znaczy, że znalazłem się ranny na ich brzegu wraz z „czerwonymi zbójami?”... Rozumie się, że nie mogłem mu powiedzieć prawdy... Wiesz przecie, że Chińczycy trzymają z „czerwonemi”... Zmyśliłem więc, że zostałem przez mego ojca wysłany z raportem do chińskiego „ambania” do Chajlaru, że „bolszewicy” schwytali mię w drodze, raport odebrali, samego skatowali, że następnie udało mi się od nich uciec przy pomocy żołnierzy Chińczyków, lecz że na nieszczęście trafiłem do miasteczka właśnie w czasie bitwy i zostałem raniony przy przeprawie w łodzi na nasz brzeg... Resztę widzieli sami... Uwierzyli mi. Postanowili zaraz, jak tylko będę mógł usiedzieć na koniu, odesłać mię do „ambania”, czego ja sam skwapliwie się domagałem, gdyż wiedziałem, że w Chajlarze dużo zebrało się naszych „uciekinierów”... Miałem nadzieję, że jak raz tam się znajdę, będę uratowany... Tak się też stało... Burjat i Mongoł umierający, skoro siądzie na siodło, ożyje... W parę dni już mogłem jechać, a w drodze zupełnie dobrze się czułem... W Chajlarze pełno było wszelkiego ludu, nietylko Burjatów, Mongołów i Chińczyków, lecz i cudzoziemców: Amerykanów, Rosjan, Anglików, Francuzów, co uciekli z „rosyjskiej strony..” Oddano mię do szpitala. Doktór, Duńczyk czy Niemiec, dobrze nie wiem, wyjął mi kulę i zacząłem szybko przychodzić do zdrowia... Coś tam nagadałem „ambaniowi”—już dobrze nie pamiętam... Wydało mu się to zbyt ważne i chciał mię odesłać do Pekinu, do czego wcale nie miałem ochoty... Znów więc mocno zacząłem chorować a moi krewniacy robili tymczasem gwałt, że umrę w drodze, żeby mię nie ruszać... Jednocześnie dałem przez nich znać wujowi memu, księciu Namyń Dor-dzia Nojonowi—bratu mej matki, w jakich jestem opałach, z prośbą, żeby mię zabrał do siebie... On zrobił odpowiednie starania w „jamynie”, to jest zapłacił co trzeba i gdzie należy, no i... siedzimy w jego jurcie szczęśliwie i pijemy jego gorącą herbatę gościnną... Skończyłem!... Cha, cha!...—rozśmiał się wesoło, mrużąc wąskie oczy i błyskając dwoma rzędami białych, jak śnieg zębów.

Spojrzał wesoło na słuchających wokoło krajowców i ci, jakby nagle zrozumieli, co mówił—odpowiedzieli mu uśmiechami, pochrząkiwaniem i kiwaniami głowy.

— Co? Oni rozumieją po rosyjsku?—spytał z pewną trwogą Korczak.

— Ależ nie!... Gdzie tam!... To tak... przez grzeczność!...—odparł żywo Badmajew. — Teraz na was kolej: opowiedzcie od samego początku, jak to było... i o tem, jakieście wędrowali, i o tej książce, i o modlitwie buddyjskiej... o wszystkiem... Kto was tak dowcipnie nauczył? Natchnienie Dobrotliwego Boga!... Nie prawda?... Po takiem zdarzeniu każdy musi w Niego uwierzyć... Nieprawda?... I trzeba jeszcze wypadku, że trafiliście na naszych ludzi... Co?... Nieprawda?... Wszystkiem kieruje wola Dobrotliwego... Wciąż o tem myślę od chwili, kiedy nawpół umarłego wyciągnął mię z ciemnego grobu mój rodowicz... Czy nie cud?... Wciąż otoczeni jesteśmy cudami... Nieprawda? Co Dobrotliwy zechce, to się stanie!— pytał, spoglądając błyszczącemi oczami na Hankę.

— W tem znowu wielkiego cudu nie widzę, przecież sami szliśmy do was!...—odrzekł Korczak.

— No, tak! Ale zawsze... Wiele w tem jest tajemnicy... Będziemy o tem mówić potem... Dużo będziemy o tem mówić, bo ja wciąż myślę i myślę... Leżałem chory, bezsilny, samotny a myśli płynęły mimo, to jak ciemne chmury, to jak jasne obłoki... Ale o tem potem!... Teraz wy opowiadajcie, słuchamy! Ale nic nie opuszczajcie, czasu mamy dużo i lubimy słuchać... Ja im będę tłumaczył, co ciekawsze... Im też się należy wyjaśnienie... Widzicie jak na nas patrzą?... A więc, jakże to było, kiedy wyszliście z szałasu?

(*Dcn*)

Z TEATRU.

Fot. St. Brzozowski.

Teatr „Komedja" wystawił dowcipną sztukę S. Guitry'ego p. t. „Pokojówka szuka miejsca" z p. M. Brydzińską i A. Zelwerowiczem w rolach głównych.

Pp. Leszczyński i Majdrowiczówna w sztuce „Gość nieznany" T. Bernarda w Teatrze Polskim.

WIESŁAWA CIECHOWICZÓWNA.

Wieczór pieśni w sali Konserwatorjum Wiesławy Ciechowiczówny z Poznania dał możność publiczności warszawskiej zapoznania się z wysoką kulturą i obfitym programem wytwornej śpiewaczki. Oprócz utworów mistrzów zagranicznych, francuskich, włoskich i niemieckich, artystka odśpiewała z pełnem zrozumieniem i wielką subtelnością pieśni Karłowicza, Szopskiego, Różyckiego i Niewiadomskiego, zyskując pełny oklask publiczności i uznanie krytyki.

„Krąg interesów" Benaventa na scenie teatru Rozmaitości. (Akt II).

Fot. J. Malarski.

ZE SPORTU.

Zwycięska osada na regatach międzyklubowych w Krakowie.

Fot. T. Cyprjan.

Wyścigi międzynarodowe na Dynasach. Czterech najlepszych cyklistów polskich: Stankiewicz, Iko, Lange, Szymczyk.

Grupa najlepszych cyklistów łotewskich. Od lewej do prawej: Ukstius, Kepke, Plume, Rinkis.

Fot. W. Rokosz.

Główny budynek fabryczny zakładów Adama w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

„Adama Cygara Bydgoskie"

(z cyklu „Bydgosko pomorski przemysł").

Przemysł tytuniowy w Wielkopolsce dlatego jakby tak bardzo rozwinął się tutaj i na Pomorzu od wielu lat, iż jeszcze za okupacji Niemcy nie stawiali przeszkód jego rozwojowi.

Tytuń i alkohol—były to dwie rzeczy, wyjęte przez Niemców z pod interdyktu prohibicyjnego w Wielkopolsce i na Pomorzu. To też rozkwit obu tych gałęzi przemysł jest tu dziś wprost wspaniały i zastanawiający. Specjalnie też przemysł spirytusowy tutejszych dzielnic stanął tak wysoko, iż p. minister skarbu pragnie dziś, jak słychać, nie na żarty oprzeć na nim swój plon reparacyjny skołatanego skarbu polskiego.

Równolegle także i przemysł przetwórczy surowca tytuniowego stanął tu na tak mocnych nogach, że nawet złowrogi cios monopolu, zaprowadzonego w czerwcu 1922 roku, nie potrafił go z nóg zwalić. Ochłonąwszy po pierwszym wstrząsie, osadził się tu ten przemysł tytuniowy jakby jeszcze mocniej na krzepkich nogach, bo wytrwał, trwa i rozwija się wciąż bardzo pocieszająco. A już bardzo mocno oparło się tym wstrząsom wielkie „przedsiębiorstwo cygar Adama", na które składają się obecnie aż trzy fabryki w Wielkopolsce i na Pomorzu.

T. Adam, właściciel fabryki cygar w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Taki „trójlistek" wart jest szczegółowego opisu już choćby z tego względu, iż fabryki składające się nań są w dzielnicach Wielkopolski jednemi z najwyżej postawionych pod względem urządzeń technicznych zakładów.

Tłumaczyć to sobie należy tem, iż pierwotnie organizowane one były w Niemczech, a mianowicie w Elblągu. Stąd przetransportowano je pod dach Polski. Daleko idący zmysł organizacyjny, jaknajwiększy rozmach w urządzeniu technicznem i umiejętność w zagospodarowaniu się handlowem—oto przymioty, któremi Niemcy, jak wiadomo, szachowali cały świat. Nam tu je w Polsce naśladować tylko należy.

Fabryki cygar Adama czynią to właśnie

Kantor fabryki cygar Adama w Bydgoszczy.

Jerzy Dąbski, dyrektor naczelny fabryki Adama w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Boczne skrzydło zewnętrzne fabryki cygar Adama w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

w całej rozciągłości i z wielkim sukcesem. Z fabryk tych największa, a więc jakby macierzysta znajduje się w Bydgoszczy, której przemysł zaraz po Łodzi promieniuje najbardziej w Polsce całej.

Fabryka ta mieści się przy ul. Dworcowej tuż opodal dworca kolejowego i zwraca na się uwagę wszystkich przybywających do tego miasta swemi rozmiarami i znacznym luksusem w urządzeniu zewnętrznem i wewnętrznem. Pochodzi to stąd, iż była budowana kolejno w latach przedwojennych a wykończona dopiero przed 2 laty. Wszystko więc, co zna luksus i technika przy organizacji tego rodzaju zakładów, znalazło tu zastosowanie. W tych warunkach nic dziwnego, iż władcy monopolowi, przybywający do fabryk Adama na inspekcje, stają w wielkim podziwie, przyznając jednogłośnie, iż inicjatywa prywatna w swym rozmachu, nieskrępowanym przepisami biurokratycznemi, trzyma zawsze prym przed organizacją z etatyzmu poczętą i choćby z najlepszemi chęciami pomyślaną.

Druga z rzędu fabryka cygar tej firmy znajduje się w Inowrocławiu, jako zakład filjalny. Nabyta w r. 1921 od Wolfa Hamburgiera, mieści się, jak to widać na ilustracji, w oryginalnym bu-

Konferencja buchalterów w fabryce cygar Adama w Bydgoszczy.

Wielka hala pracownic w fabryce cygar Adama.

Sortownia w fabryce cygar Adama w Bydgoszczy.

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Filjalna fabryka cygar Adama w Grudziądzu.

Pakownia cygar w fabryce grudziądzkiej.

Fabryka filjalna w Inowrocławiu.

Hala pracownic w fabryce cygar Adama.

Zdjęcia W. Wojuckiego w Bydgoszczy.

dynku po dawnej synagodze, odpowiednio zresztą przerobionym...

Trzecia filja znajduje się w pięknie na ten cel zbudowanym gmachu w Grudziądzu przy ul. Brzeżnej № 4.

Wszystkie te trzy zakłady zatrudniają poważną armję 500 robotników, a pozatem jeszcze około 30 osób personelu administracyjnego.

Szczegółowo biorąc:

Bydgoszcz zatrudnia 180 robotników.
Grudziądz zatrudnia 165 robotników.
Inowrocław zatrudnia 155 robotników.

Naczelnym dyrektorem wszystkich trzech zakładów jest p. Jerzy Dąbski, który pracuje w firmie już lat 20 i zna wszystkie sekrety produkcji oraz jej arkana handlowe. To też rozwój zakładów ma wiele do zawdzięczenia sprężystości jego pracy i pilności.

Założycielem firmy jest Józef Juljusz Adam a rokiem założenia był r. 1878. Po jego śmierci własność przeszła na p. Isperta Adama. Cyfra 25 miljonów cygar, które rocznie trzy połączone jego fabryki wyprodukować potrafią, jeszcze ani jego, ani dyrektora Dąbskiego nie zadawalnia.

W ich zamiarach leży, wobec przesycenia rynku cygar w Polsce, towar ten skierować na eksport zagranicę. Im więcej—twierdzą—zarabia fabrykant, tem większą ma możność okładać go podatkami Skarb. Fabrykant zapłaci je bez szemrania.

Dopóki jednak nie będzie uregulowana współpraca nasza gospodarcza z Gdańskiem i ten zatruwać będzie Polskę „szmuglem" tytuniowym, przenikającym do nas stamtąd, eksport naszych cygar zagranicę jest niemal niemożliwym. Ale ten stan na szczęście nie jest beznadziejny. P. Ispert Adam, właściciel aż trzech fabryk cygar wierzy, że godzina eksportu cygar z Polski zagranicę jest już niedaleka.

A oto spis „marek" fabryki, któremi firma się szczyci:

Patentes	Piccolo
Princesas	Piccolo exstra
Exquisitos	Havanillos

CYGARA

Regalia	Blanco
Präciosas	„
Comme il faut	Mon Plaisir
En tout cas	Biały orzeł 4000
Divinos	Vitalitas
Deliciosas	Blanco
La Fineza	Concordia

Nr 30 Ogólnego zbioru 3,323 Wydawnictwa rok 64. 21 Lipca 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

WYSTAWA JUBILEUSZOWA W GÖTEBORGU.

SZCZĘŚLIWY KRAJ.

Jest taki kraj, jak z bajki. Cieszy się przyjaźnią i szacunkiem wszystkich narodów świata, nie ma wrogów na całej kuli ziemskiej, nie wie od stulecia z górą co to jest wojna, ma bogaty przemysł i handel. Na ulicach jego miast i wsi nie spotyka się inwalidów, młodzież jego jest zdrowa, dzieci uczą się w najładniejszych, jakie są na świecie, i w najlepiej urządzonych szkołach. Wśród dorosłych niema analfabetów. Gazety i książki czytane są tam nie przez dziesiątki, ale przez setki tysięcy czytelników. Średnia skala dobrobytu jest wyższa, niż w wielu krajach zachodnio-europejskich, znacznie bogatszych i hojniej przez naturę uposażonych. Wszyscy są dobrze i schludnie odziani. Wojsko wygląda jak malowane i ubrane jest tak, jak żadna inna dzisiaj armja na świecie. Życie naukowe i literackie rozwinięte jest bardzo wysoko. Sztuka ma swoich wybitnych we wszystkich kierunkach przedstawicieli, a muzea pełne są jej bardzo zajmujących tworów i t. d. i t.d.

Tym krajem jest Szwecja.

Najdalej na północ wysunięta, otoczona morzem, w granicach swoich bezpieczna, stoi ona dzisiaj w pierwszym szeregu państw europejskich, mimo, że liczbą zaludnienia równać się z niemi nie może.

Obszar Szwecji wynosi wprawdzie 448.000 klm. kw., co stanowi 4,7% powierzchni całej Europy, nie wynika jednak z tego bynajmniej potęga państwa, gdyż obszar ten zaludniony jest słabo. Ludność Szwecji liczy zaledwie 5.6 miljona głów. Gęstość zaludnienia waha się od 2 do 97 mieszkańców na 1 klm. kw., przyczem przy wybitnem przeludnieniu prowincyj rolniczych na południu, dochodzi prawie do bezludzia na północy, w prowincjach Jämtland, Västerbotten i Norbotten. Przypada więc w Szwecji średnio 12.5 mieszkańca na 1 klm. kw., podczas gdy dla całej Europy średnia ta wynosi 46 na 1 klm. kw., a dla Europy zachodniej 68.

Ludność Szwecji przeważnie mieszka na wsi. W miastach skupia się jej zaledwie 26 do 27%, gdy średnia ludności miejskiej dla Europy przekracza 36%.

Szwecja posiada tylko dwa miasta z ludnością ponad 100.000 [Stokholm (400.000) i Göteborg (200.000)], jedno miasto z ludnością, dochodzącą do 100.000 (Malmö), 12 miast z ludnością od 20—50 tysięcy i 15 miast z ludnością od 10—20 tysięcy.

Łącznie we wszystkich miastach szwedzkich mieszka 1.502.586 mieszkańców, podczas gdy ludność wsi wynosi 4.135.997 mieszkańców.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę stosunek liczebny ludności kraju do jego obszaru, to zrozumiemy, dlaczego w ciągu wieku XIX-go, po zastosowaniu nowoczesnych zdobyczy naukowych do przemysłu i rolnictwa, dobrobyt tej udności podniósł się znaczniej, niż w jakimkolwiek innym kraju Europy.

Szwecja należy dzisiaj niewątpliwie do najszczęśliwszych pod względem gospodarczym państw. Nie ma nadmiaru, ale ma dosyt. Nawet jej ubogie w porównaniu z innemi krajami rolnictwo może wystarczyć w dobrych latach na zaspokojenie potrzeb ludności. Niedobory zaś niesłychanie łatwo pokrywa wwóz, przy ustalonej komunikacji morskiej z Ameryką i Australją nie nastręczający żadnych trudności.

Bogactwa naturalne Szwecji idą w dwóch kierunkach: drzewo i żelazo. W każdej z tych dziedzin Szwecja posiada więcej, niż potrzebuje, stąd wywozi dużo, co utrzymuje jej bilans handlowy oddawna w stanie czynnym.

Brakiem dotkliwym dla niej jest brak własnego węgla i nafty, co dla kraju o tendencjach wielkoprzemysłowych byłoby klęską, gdyby nie wyjątkowa energja narodu, który potrafił wyzyskać swoje siły wodne i zaprząc je do wytwarzania prądu elektrycznego. Szwecja pracuje dzisiaj „białym węglem".

Na tem polu zajmuje ona jedno z miejsc przodujących na świecie. Ustępuje chyba Stanom Zjednoczonym Ameryki półn., które, dzięki Edisonowi, zdobyły sobie pierwsze sławę „kraju elektryczności. Takim samym „krajem elektryczności" jest jednak i Szwecja, posiadająca największe w Europie stacje siły elektrycznej, wytwarzanej przez wodospady, oraz największe wytwórnie motorów elektrycznych.

Szybko postępująca naprzód w dziedzinie cywilizacji materjalnej, Szwecja należy jednocześnie do najszczęśliwszych krajów pod względem społecznym. Nie znać tam objawów ciężkiej i przewlekłej choroby, którą jest walka klas na Zachodzie. Nie znaczy to bynajmniej, aby nie istniało tam zagadnienie społeczne w tej samej postaci, co gdzieindziej, ale, dzięki wyższemu poziomowi moralnemu i wyższej oświacie ogółu ludności, nie przybiera ono tam form ostrych. Wystarczy powiedzieć, że najsilniejszą partją polityczną w kraju jest partja socjalno-demokratyczna, której przewodzi Hjalmar Branting. Socjaliści jednak szwedzcy wcale nie dążą do obalenia istniejącego stanu rzeczy. Godzą się najzupełniej zmonarchją, co więcej, nie tylko szanują lecz kochają króla Gustawa V-go, który jest wśród nich tak samo popularny, jak wśród warstw arystokratycznych i plutokratycznych. Wskutek tego tron opiera się tam nie tylko na tych warstwach, lecz na uznaniu i aprobacie całego narodu.

Szerokie warstwy ludności rozumieją tam lepiej niż gdzieindziej, że droga do stopniowego podnoszenia się dobrobytu mas, nie prowadzi przez rewolucję, ale przez ewolucję. Tak postawiony w stosunku do państwa i do narodu, socjalizm nie jest wrogiem ani państwa ani narodu, lecz, przeciwnie, ich sojusznikiem w wielkiem dziele postępu.

Również warstwy zachowawcze nie są w Szwecji czynnikiem, hamującym postęp. Silnie przywiązane do monarchji i do starych historycznych tradycyj, umieją one „z żywymi naprzód iść" i tam, gdzie wymaga tego interes państwa i narodu, poddają się dobrowolnie wymaganiom czasu.

Stąd fermentu rewolucyjnego, tak swoistego dzisiaj dla wszystkich państw europejskich, w Szwecji na powierzchni życia społecznego zgoła nie widać.

Układ sił społecznych czyni tam wrażenie harmonji, która gdzieindziej jest jeszcze daleka do osiągnięcia.

Zawdzięczać to należy z jednej strony głębokiemu uczuciu patrjotycznemu całego narodu, niema bowiem Szweda, który przełożyłby czerwoną, międzynarodową chorągiew nad błękitno-żółte barwy ojczyste, z drugiej strony— większej niż gdzieindziej zgodzie pomiędzy kapitałem a pracą.

Szwecja jest klasycznym krajem towarzystw akcyjnych (Actiebolaget). Wszystkie znaczniejsze przedsiębiorstwa oparte są tam na akcjach o wolnym obiegu. Robotnik bardzo rzadko ma więc do czynienia z fabrykantem indywidualnym, dążącym do osiągnięcia jaknajwyższych zysków dla siebie. Rosnące wymagania pracy pokrywane są tedy kosztem dywidendy akcjonarjuszów, to znaczy rozkładane na dziesiątki, setki a nieraz tysiące współwłaścicieli przedsiębiorstw, a ci zwiększonych kosztów produkcji nie odczuwają zbyt silnie na swej kieszeni, gdy właściciela indywidualnego te same koszty mogą łatwo doprowadzić do ruiny.

Dlatego zatargi pomiędzy pracą a kapitałem w Szwecji, przynajmniej obecnie, są rzadsze niż w innych krajach.

Ogół ludności usposobiony jest pokojowo i pracowicie. Średni obywatel. czy to wieśniak czy robotnik, wyznaje świadomie zasady demokratyczne, nie jest jednak materjałem podatnym dla agitacji demagogicznej. I to właśnie, iż idea demokracji zwyciężyła w szerokich masach ludu szwedzkiego pospolity w całej Europie jej surogat — demagogję, stanowi dzisiaj wymowny objaw zdrowia i spoistości wewnętrznej narodu szwedzkiego.

Utrzymują niektórzy, że możliwe to było do osiągnięcia tylko w narodzie tak nielicznym, jak Szwedzi. Tam, gdzie w grę wchodzą dziesiątki miljonów, tarcia pomiędzy warstwami muszą być ostrzejsze.

Zapewne. Wydaje się jednak, że najważniejszym czynnikiem harmonji społecznej w Szwecji jest pozycja w jej budżecie, przedstawiająca wydatki, ponoszone przez Skarb państwa na oświatę i kościół. Pozycja ta opiewa na 38.639.500 koron szw., co przy ludności 5,6 milj. czyni na głowę $6^2/_3$ korony. Stosunkiem takim nie może się pochlubić żadne z państw europejskich, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że korona nie utraciła wcale swojej przedwojennej wartości, ale że wojna wzmocniła ją jeszcze, stawiając w szeregu najsilniejszych walut świata. Gdybyśmy ten sam stosunek mieli w Polsce, to budżet ministerjum wyznań religijnych i oświaty publicznej powinien wyrazić się u nas w kwocie 7.840.000.000.000 mk. polskich. A jakże mu do tego daleko!

Z. Dębicki.

Lwia baszta w Göteborgu.

WYSTAWA JUBILEUSZOWA W GÖTEBORGU.

Wystawa w Göteborgu zwróciła na to miasto uwagę całego świata.

Założone w roku 1619-tym przez Gustawa Adolfa, genjalnego monarchę, który nie tylko sławę oręża szwedzkiego zapisał po wszystkie czasy w dziejach Europy, lecz okazał się także wybornym administratorem, miasto Göteborg odegrało w rozwoju gospodarczym Szwecji nowoczesnej rolę pierwszorzędną. Było ono tem „oknem na świat", którego Gustaw Adolf nie potrzebował wyrąbywać, bo z woli Boskiej posiadała je Szwecja od początku swego historycznego istnienia, które jednak otworzył szeroko, wpuszczając do swego kraju świeży prąd powietrza, idącego z za oceanów.

Wystarczy spojrzeć na mapę Szwecji, aby się przekonać, jak doniosłe znaczenie dla jej życia handlowego posiadać musiała od początku ta wolna droga do Indyj i Ameryki, nieskrępowana przez Sund i Kattegat, jak droga prowadząca ze Stokholmu, lecz wychodząca wprost na Skagerak, a stamtąd bezpośrednio na morze Niemieckie i ku północy na Ocean Atlantycki.

Można śmiało powiedzieć, że połowa bogactw Szwecji współczesnej przeszła przez tę bramę. Nie dziw tedy, że trzechsetlecie miasta uczczone zostało uroczyście przez cały naród, a „jubileuszowa" wystawa göteborska nabrała rozgłosu światowego.

Nabrała zaś go tembardziej, że Komitet wystawy zorganizował w czerwcu r. b. międzynarodową wycieczkę prasy do Göteborga i biorącym w niej udział przedstawicielom 37-iu państw i narodów kuli ziemskiej szczegółowo pokazał wszystko, co wytwarza Szwecja.

Pięknie położone miasto, o uroczych kanałach, obramowanych zielenią drzew, zaroiło się od przybyszów z całego świata. Na placu wystawowym brzmiały wszystkie języki i krzyżowały się uwagi, czynione pod kątem rozmaitych zapatrywań i kultur. Górował jednak nad tem zgodny szacunek dla dzieła, jakiego dokonał naród szwedzki.

Wystawa przedstawia się imponująco. Już sama jej architektura wywiera potężne wrażenie, dzięki niepospolitemu talentowi architektów, Arwida Bierke'go i Sigfrida Ericsona.

Można się tu sprzeczać o wybór stylu, można wyrazić zdziwienie, że naród, który posiada własne motywy architektoniczne o dużych walorach, nie zamanifestował ich tam, gdzie mógł to uczynić z całą swobodą i w skali bardzo szerokiej, można opatrzyć nawet znakiem zapytania te indyjsko - maurytańskie pierwiastki, które mają symbolizować znaczenie Göteborga w nawiązaniu stosunków ze Wschodem, ale — nie można odmówić temu monumentalności.

Port w Göteborgu.

Na szczególną uwagę ze stanowiska sztuki budownictwa zasługuje rozwiązanie architektoniczne głównego wejścia na wystawę, oraz budynek „jubileuszowy" w postaci świątyni. Ma on pozostać jako pamiątka po wystawie i w przyszłości będzie stanowił gmach muzeum sztuki.

Obszerny plac wystawowy zajmuje teren pod względem estetycznym bardzo ponętny. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę naturalne właściwości tego terenu, jego podłoże granitowe i dużą falistość, to staniemy tu oko w oko z niepowszedniemi trudnościami, które architekci wystawy, chcąc stworzyć całość harmonijną, musieli przezwyciężyć i przezwyciężyli bardzo szczęśliwie.

To zapewnia im obu dobre imiona w sztuce nie tylko szwedzkiej.

Również szczęśliwie pokonane zostały przeszkody materjalne. Specjalny, pobierany w ciągu czterech lat „podatek wystawowy" umożliwił kosztowne urzą-

Widok portu dla statków pasażerskich.

Wielki kanał w Göteborgu.

Ratusz i kościół św. Krystyny.

„Kronhuset", jeden z najdawniejszych zabytków architektonicznych Göteborga.

dzenie wystawy, która jest bodaj pierwszem tego rodzaju przedsięwzięciem w Europie, rozpoczynającem swój byt bez długu i przynoszącem od pierwszego dnia zyski.

Świadczy to o zmyśle gospodarczym i organizacyjnym Szwedów.

Istnienie tego zmysłu, jako cechy narodowej, potwierdza wystawa na każdym kroku.

Kto nie zna Szwecji, ten ze zdumieniem przygląda się zdobyczom jej przemysłu i handlu, osiągniętym w ostatnich dziesięcioleciach. Niema dziedziny, w której wytwórczość szwedzka nie zaznaczyłaby się dodatnio. Wszystko to zawdzięczać należy dwom czynnikom, które nas, Polaków, szczególnie zastanowić powinny.

Pierwszym czynnikiem materjalnego rozkwitu Szwecji był niewątpliwie długotrwały pokój, z którego państwo to korzystało na całej przestrzeni XIX-go i XX-go wieku.

Drugim — morze. Dało ono małemu państwu możność nawiązania stosunków na całej kuli ziemskiej. W portach szwedzkich widać okręty wszystkich narodowości. Zabierają one surowiec szwedzki w postaci drzewa i żelaza oraz przetwory szwedzkie, które znajdują szeroki zbyt na świecie.

Dzięki tym dwom czynnikom Szwecja zdobyła sobie trwałe podwaliny do wszechstronnego nowoczesnego rozwoju i należy dzisiaj do kraju o wysokim poziomie cywilizacji.

Przegląd jej bogactw, zgromadzonych na wystawie göteborskiej, jest bardzo pouczający. Świadczy on o niezmożonej energji narodu, o jego świadomym i dużym wysiłku w kierunku nie tylko umiejętnego wyzyskania tego, co dała natura, lecz w równej mierze w kierunku pokrycia braków przyrodzonych.

Kraj o surowym klimacie północnym, o długiej zimie i krótkich bezsłonecznych dniach, położył szczególny nacisk na rozwój przemysłu elektrycznego. Elektryczność dała mu zbawcze światło, tak niezbędne do pracy, i ciepło, które pozwala zapomnieć o podmuchach borealnych. Uniezależniona w ten sposób od węgla, którego nie posiada, Szwecja oparła swój wielki przemysł drzewny, żelazny i stalowy niemal całkowicie o siłę prądu elektrycznego. W dziedzinie tej dokonano rzeczy wprost nieprawdopodobnych, a przegląd najnowszych wynalazków na wystawie otwiera zupełnie nowe perspektywy przed ludzkością. Na szczególną uwagę zasługuje tu zastosowanie elektryczności do rolnictwa. Mały, przenośny motor elektryczny może pracować równie dobrze w stodole, jak w polu. Daje on siłę popędową wszystkim narzędziom rolniczym i uwalnia w ten sposób gospodarstwo rolne od pracy wielu rąk roboczych.

Wejście na plac wystawy.

Niezwykle bogaty jest również na wystawie dział budowy maszyn, świadczący chlubnie o rozwoju sztuki inżynjerskiej w Szwecji.

Niezależnie od tego reprezentowane są na wystawie wszystkie działy produkcji nowoczesnej, więc tkactwo i przędzalnictwo, przemysł spożywczy (konserwy dla okrętów i armji), przemysł chemiczno-techniczny, cementowy i kamieniarski, garbarski i kauczukowy, nadewszystko jednak przemysł drzewny, stanowiący niepospolite bogactwo kraju i przemysł szklarski, który osiągnął wysoki stopień rozwoju artystycznego. Kryształy szwedzkie, pięknie grawerowane, współzawodniczyć mogą skutecznie z najwykwintniejszemi wyrobami Francji i Włoch (słynne szkła weneckie).

Niepowszednio przedstawia się na wystawie także dział, poświęcony kulturze. Mamy tu obok prehistorji i wojskowości znakomicie przedstawioną pracę, jaka została dokonana w Szwecji na polu szkolnictwa elementarnego. Jeżeli uświadomimy sobie, iż kraj ten oddawna już nie ma ani jednego analfabety wśród swoich mieszkańców, to ze szczególną ciekawością oglądać będziemy wszystko, co dotyczy szkoły powszechnej.

Rzeczywiście, są tu zdumiewające urządzenia.

Niech wystarczy fakt, iż w szkołach ludowych zaprowadzono obecnie naświetlanie elektryczne dla dzieci, które podczas długich zimowych miesięcy nie mają dostatecznej ilości słońca, niezbędnego dla ich rozwoju. A co za kąpiele, jakie baseny do pływania, jakie warsztaty dla slöjdu i rzemiosł, jakie szwalnie i kuchnie dla dziewcząt!

Oczywiście, wszystko to mieści się w budynkach pięknych i schludnych, które stanowią ozdobę miast.

Z innych działów wystawy na wyróżnienie zasługuje jeszcze dział rolniczy, dający świadectwo wytężonej pracy w kierunku racjonalnej hodowli bydła, trzody i koni. Zwłaszcza konie szwedzkie przedstawiają się interesująco.

Słowem, jest na wystawie wszystko, co może dać pojęcie o stanie gospodarczym i kulturalnym Szwecji współczesnej.

Dla cudzoziemców zorganizowany został ze szczególną troską dział eksportowy. Szwedzka izba eksportowa, pracująca metodycznie od dłuższego już czasu, złożyła tu dowód zadziwiającej energji w przeprowadzeniu planowej akcji informacyjnej.

Specjalne biuro udziela wyczerpujących wiadomości, które, rozszedłszy się po całym świecie, wpłyną niewątpliwie na ożywienie handlu szwedzkiego.

I to jest celem głównym wystawy, Szwecja bowiem, jako kraj o wysokiej walucie, mimo swojego bogactwa znalazła się obecnie w obliczu przesilenia gospodarczego.

Niedość jest posiadać i wytwarzać, trzeba także umieć i móc sprzedać.

Göteborg, jako miasto portowe, nadał się znakomicie właśnie do zorganizowania takiej wystawy handlowej, obliczonej na wzrost wywozu. Już sama liczba okrętów obcych, przybywających codziennie do jego portu, zapewnia wystawie niemałą ilość gości cudzoziemskich.

Jeżeli zaś uwzględnić szczęśliwe położenie geograficzne miasta, które ma w najbliższem swojem sąsiedztwie Anglję, Niemcy, Holandję, Belgję, Francję, Danję, a nieco dalej, na wschód, Polskę, Łotwę, Estonję i Finlandję, nietrudno zrozumieć, dlaczego tak skwapliwie skorzystano z 300-lecia miasta i dlaczego upamiętniono tę rocznicę obchodem, trwającym od maja do września, taki bowiem termin zakreślono wystawie.

Obliczenia nie zawiodły. Mimo niepomyślnych konjunktur walutowych, gości na wystawie nie brak. Snują się po jej placach przedstawiciele niemal wszystkich narodów północy europejskiej. Coraz to przybywa jakaś wycieczka. W tłumie

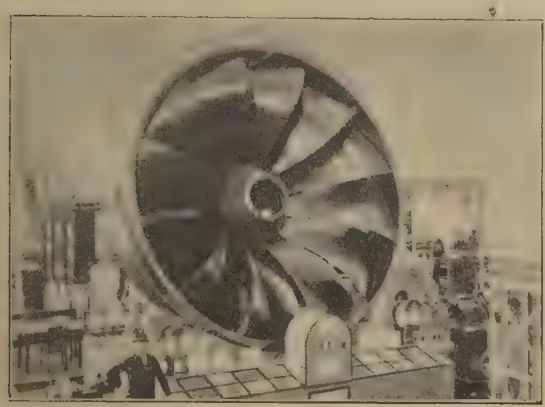

Olbrzymia turbina, obecnie największa w Europie. Dzieło zakładów w Kristinenham.

różnojęzycznym wybitną przewagę osiągają Anglicy i oni są bodaj najpożądańszymi gośćmi dla wystawców szwedzkich, reprezentują bowiem naród, który *może* kupować.

Istotnie, handel z Anglją posiada dla Szwecji znaczenie pierwszorzędne. Naprzód dlatego, że Anglja ma węgiel, produkt dla stalowego przemysłu szwedzkiego niezbędny, powtóre, że ta sama Anglja jest doskonałym rynkiem zbytu dla szwedzkiego budulcu i dla szwedzkich produktów drzewnych o takiej doniosłości, jak celluloza i papier rolowy.

Hala maszyn na wystawie w Göteborgu.

W zacisznych salach biura eksportowego muszą się tedy dokonywać poważne tranzakcje, gdy tymczasem tłum na wystawie nie tylko zwiedza i ogląda, ale bawi się wesoło i hucznie.

Olbrzymie restauracje są przepełnione, co świadczy o dużej zamożności mieszkańców Göteborgu i jego przelotnych gości. Nie brak tu też rozrywek wszelkiego rodzaju dla t. zw. warstw szerszych. Pod wieczór zbiera się na wystawie „cały" Göteborg, a ponieważ obecna ciepła pora roku należy do najmilszych w Szwecji, panują bowiem t. zw. „białe noce", przeto zabawa przeciąga się bardzo długo, trudno powiedzieć „do świtu", bo tego zjawiska, tak swoistego dla naszej szerokości, wobec braku nocy zaobserwować nie można, w każdym jednak razie do godziny 3-ej, 4-ej rano.

Kto widział Szwecję w zimie, ten może ma słuszny powód do uważania Szwedów za naród małomówny, poważny i nieco melancholijny. Na podstawie wrażeń „wiosennych" nabiera się jednak zgoła innego przekonania. Czuć tu raczej swobodę i beztroskę. A jeżeli kto, to chyba Polak, przybywający tu, jako gość, wygląda w tym rozbawionym tłumie melancholijnie, należy bowiem do narodu, który nic w Szwecji „kupić nie może", a i sprzedać niewiele, bo Szwecja posiada prawie wszystko.

Oczywiście, moglibyśmy na rynek göteborski wprowadzić śląski węgiel, polską naftę i benzynę, której spożycie w Szwecji, wobec ogromnego rozwoju przemysłu samochodowego, jest bardzo duże. Ale, podobno, nie wytrzymujemy w tej dziedzinie współzawodnictwa z Anglją (węgiel) i ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej (nafta i benzyna), zwłaszcza, że nie posiadamy własnej marynarki handlowej i nawet drzewo polskie wywożone jest zagranicę na statkach niepolskich.

Tymczasem Göteborg posiada ogromną liczbę okrętów handlowych, które są w nieustannym ruchu. Pouczająca też dla Polaka jest przechadzka po porcie i dokach, gdzie przyjrzeć się można, lepiej nawet niż na wystawie, bogactwu tego niewielkiego miasta, przodującego dzisiaj w handlu całego kraju i posiadającego najzamożniejszą w Szwecji warstwę kupiecką.

Mimowoli też przychodzi wówczas na myśl pytanie, czy nasza, polska Gdynia będzie tak wyglądała za lat 300! Zapewne, wszystko jest możliwe, ale niestety, brak nam dotychczas śmiałego i wielkiego gestu twórczego Gustawa Adolfa, który powiedział sobie: tu założę miasto i założył je istotnie.

Szwecja dzisiejsza ten gest swojego wielkiego monarchy oceniła już dawno właściwie, a w Göteborgu, który powstał, rozwijał się i doszedł do kwitnącego stanu dzięki tej przenikliwej inicjatywie króla, panuje szczególny kult Gustawa Adolfa.

Piękny jego pomnik stanowi ozdobę miasta i jest punktem wszystkich obchodów i manifestacyj narodowych.

Pod względem liczby mieszkańców Göteborg jest drugiem miastem Szwecji. Ludność jego sięga 200,000 głów. Miasto, w stosunku do innych europejskich środowisk handlu i przemysłu, nie jest więc miastem wielkiem, posiada jednak wszystko, co jest niezbędne do życia na wysokim poziomie kultury. Życie umysłowe bije tu ożywionem tętnem. Rozwój prasy stoi bardzo wysoko a gazety miejscowe skutecznie współzawodniczą z gazetami stołecznemi, osiągając po 100,000 i więcej abonentów.

Obecna wystawa przyczyni się niewątpliwie do jeszcze większego wzrostu i rozkwitu miasta. Spodziewać się tedy można, iż w niedalekiej przyszłości Göteborg dorówna Stokholmowi. Wróży to szeroki rozmach życia, opartego o trwałe fundamenty powszechnego dobrobytu ludności.

Przeświadczenie to wywieźć musi z Göteborga każdy, kto przybędzie tu choćby na krótko i uważniej przyjrzy się charakterowi i tętnu powszedniego dnia tego miasta szwedzkich „businessmen'ów", w niejednym kierunku dorównywających swoim amerykańskim pierwowzorom. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że Szwecja współczesna amerykanizuje się szybko, a wykładnikiem tej amerykanizacji jest właśnie Göteborg.

Pawilon „jubileuszowy", w przyszłości Muzeum Sztuki.

Zamek królewski w Stokholmie. Dzieło Nikodema Tessin'a.

STOKHOLM.

Stolica Szwecji ma oddawna ustalone u nas miano „salonu Europy". Kto po raz pierwszy użył tego określenia — to wszystko jedno. Dość, że każdy Polak, przyjeżdżający do Stokholmu, może stwierdzić jego słuszność, szczególnie teraz, po wojnie, która odbiła się niekorzystnie na wszystkich stolicach. Jeden Stokholm wyszedł z tego okresu wzmocniony na siłach i wzbogacony.

W latach 1914—18 odegrał on pierwszorzędną rolę w życiu politycznem Europy, ogarniętej pożarem wojny. Był nie tylko ogniskiem informacyj najbliższych prawdy o jednej i drugiej stronie, był także ogniskiem ogromnych interesów finansowych, które mogły być załatwiane tylko na gruncie neutralnym. Banki szwedzkie pośredniczyły i ułatwiały stosunki nie tylko państwom wojującym, lecz i społeczeństwom, które, wykolejone przez wojnę, musiały szukać, poza granicami własnych krajów, dróg i sposobów regulowania nie cierpiących zwłoki spraw pieniężnych. Jednocześnie przemysł szwedzki przyjmował zamówienia i pracował w równej mierze dla Anglji i Rosji, jak dla Niemiec i Austrji. Nie był skrępowany w wyborze klijenteli.

To wszystko musiało się przyczynić do znaczne o wzrostu zamożności mieszkańców stolicy. Można powiedzieć bez ogródek, że średnia zamożność stokholmczyków przewyższa dzisiaj znacznie średnią zamożność mieszkańców wielu miast europejskich, oczywiście z zachowaniem proporcji, nie należy bowiem zapominać: że ludność Stokholmu nie dochodzi $^1/_2$ miljona głów i że jest on stolicą państwa, liczącego zaledwie 5,6 miljona mieszkańców.

Tembardziej jednak zdumiewać musi zarówno obszar miasta, jak jego architektura monumentalna, jego pomniki i muzea, w których zawarte są prawdziwe skarby sztuki, jego bibljoteki, jego teatry i ich poziom, jego wspaniałe hotele i wogóle to wszystko, co świadczy o materjalnej i duchowej kulturze narodu.

Sądząc po Stokholmie, możnaby przypuszczać, że Szwecja jest wielkiem państwem, które posiada stolicę, zaspokajającą potrzeby dużego narodu.

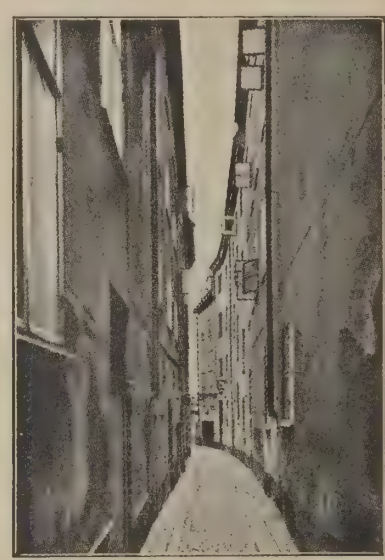

Stare uliczki w Stokholmie.

Tymczasem jest to państwo, którego 50% obszaru pokrywają lasy i jeziora, o zaludnieniu słabem i rzadkiem, skupionem w dwóch tylko większych ośrodkach miejskich — w Stokholmie i Göteborgu. Siłę jego stanowi więc nie masa ludności, lecz jej poziom kulturalny i zamożność.

W Stokholmie i jedno i drugie znać na każdym kroku.

Bystrzejszy obserwator spostrzega w tej chwili, iż ma do czynienia z narodem o starej cywilizacji, umiejącym szanować przeszłość, a jednocześnie z wysiłkiem zdążającym w przyszłość.

Wystarczy spojrzeć na dwa gmachy. Na stary zamek królewski, dzieło Nikodema Tessina, i na nowy, oddany na usługi miasta dopiero w dn. 23 czerwca r. b. wspaniały ratusz (*Stadshus*).

Mury zamku nasycone są tradycją wieków. Czuć tu przywiązanie narodu do monarchji, czuć węzły, łączące pokolenie teraźniejsze z pokoleniami, które już dawno odeszły. Nigdzie konserwatyzm narodu szwedzkiego nie występuje tak wyraźnie, jak tutaj.

Ale jest to wrażenie jednostronne. Szwedzi wcale nie są narodem konserwatywnym. Postęp nowoczesny ma w nich żarliwych zwolenników. Pod względem zdobyczy technicznych należą oni do pierwszych narodów świata. Życie ich przemysłowe i handlowe ma raczej typ amerykański, niż zachodnio-europejski.

I to znów powie nam wyraźnie nowy ratusz, dzieło wspaniałej architektury i sztuki dekoracyjnej, mówiące głośno o wielkich ambicjach narodu. Kosztem 15 miljonów koron szwedzkich dźwignięty został ten gmach, aby zaświadczyć o bogactwie i potędze Stokholmu nowoczesnego, związanego stosunkami handlowemi z całym światem

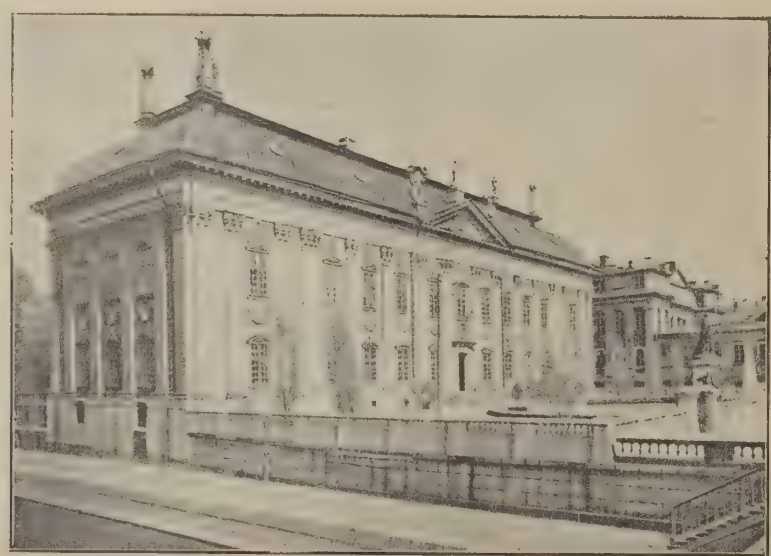

Dom szlachty rycerskiej w Stokholmie. Jeden z najpiękniejszych zabytków stolicy Szwecji.

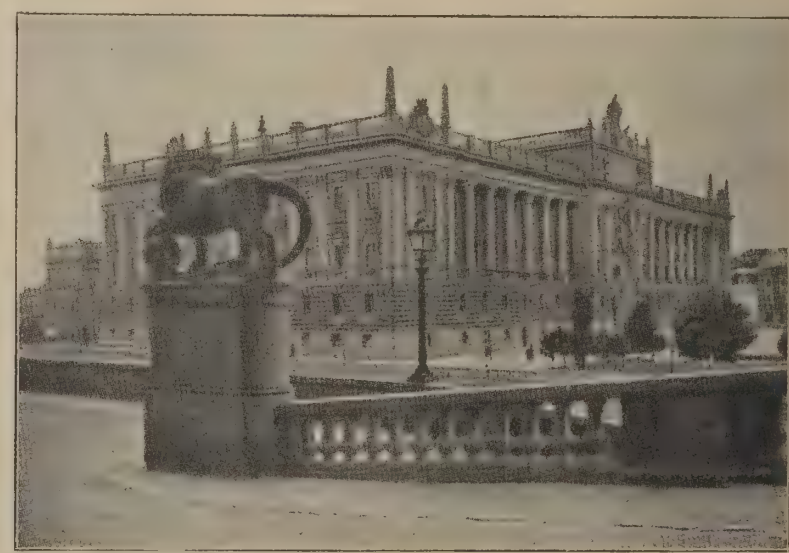

Parlament w Stokholmie (Riksdagshuset). Monumentalny budynek nowoczesny.

Nowy ratusz w Stokholmie.

i mnożącego swój dostatek ku chwale i potędze ojczyzny, z myślą o jutrze, dla którego dzień dzisiejszy będzie tylko świadectwem tego, co było dla Europy klęską wojny, dla Szwecji — błogosławieństwem pokoju i pracy.

Budowę ratusza rozpoczęto w r. 1911-ym, ukończono zaś ją dopiero teraz. Wszystko, na co współczesna sztuka szwedzka mogła się zdobyć, zostało tu zgromadzone. Więc obok wspaniałej, monumentalnej architektury, która z umiarem i smakiem połączyła w sobie najlepsze tradycje średniowiecza i renesansu z nowoczesnemi dążeniami, z ogromną troską przystąpiono do ornamentacji wnętrz. Osiągnięto w tej mierze wyniki, które staną się niewątpliwie przedmiotem głębszych, niż przelotne notatki sprawozdawcze, rozważań estetycznych. Sama tylko sala mozaikowa ze swojemi efektami oświetlenia zasługuje na osobne studjum. Podobnie oba dziedzińce ratuszowe: wewnętrzny i zewnętrzny, pełne swoistego uroku i nastroju, zdolne są zatrzymać na dłużej uwagę każdego estety. Nadto szczególnie wyróżniają się malowidła ścienne (*al fresco*) w krużgankach, wykonane przez ks. Eugenjusza, brata królewskiego, jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy szwedzkich. Niemniej interesuje rzeźba, ma-

jąca dzisiaj w Szwecji kilku świetnych, z Munchem na czele, przedstawicieli.

Nie mając pod ręką materjału fotograficznego, który mógłby dać należyte pojęcie o stronie artystycznej nowego ratusza w Stokholmie, musimy poprzestać na zaznaczeniu, że ogólne wrażenie, jakie wywiera ten gmach, jest potężne i imponujące. Można powiedzieć, iż o ile w dążeniu do wielkości ujawnił się tu duch amerykański, o tyle w zestroju szczegółów architektonicznych, tudzież w przestrzeganiu dobrego smaku zwyciężyły tradycje zachodnio — i południowo europejskie, świadczące wymownie o tem, iż Szwecja, mimo swojego północnego położenia i bliskich związków duchowych i intelektualnych z Niemcami, w dziedzinie sztuki przechyla się wyraźnie ku wzorom łacińskim i pełną ręką czerpie stamtąd motywy, odpowiadające równowadze duchowej i tradycjom cywilizacyjnym narodu.

Dzięki temu, dążąc świadomie do wielkości, uniknięto przesady, w którą tak łatwo wpadają Niemcy.

To też jeżeli prawdą jest, że duch narodu najpełniej i najłacniej wypowiada się w kształcie architektonicznym, to, patrząc nie tylko na nowy

Poseł Zygmunt Michałowski,
minister pełnomocny Rzeczypospolitej
Polskiej w Stokholmie.

ratusz, lecz na całą architekturę Stokholmu, gdzie, obok uroczych starych wąskich uliczek niebrak pięknych nowocześnie zabudowanych obszernych placów z gmachami takiemi, jak opera, parlament, muzeum narodowe i t. p., przy jednoczesnem szerokiem uwzględnieniu lżejszych stylów w budowie willi, rozrzuconych po archipelagu skalistych wysepek, otaczających stolicę Szwecji — dojdziemy do wniosku, że mamy do czynienia z narodem, który głęboko i prawdziwie umiłował wdzięk i har-

Pomnik Karola XII.

monję linji architektonicznej i umie dążyć do jej ucieleśnienia w granicie i cegle. A to nadaje Stokholmowi naprawdę cechy „salonu Europy".

Przytem nie brak jednak stolicy Szwecji starych, pełnych nastroju, wąskich uliczek, ochrzczonych często imieniem tego lub innego „majstra" i przenoszących nas w odległe czasy. Często spotkać się tu można w zaułku z szacowną patyną przeszłości, którą umiano zachować, aby mówiła przechodniom o dostojnych tradycjach miasta.

Wystarczy na głównej dzisiejszej ulicy handlowej (Drotinnghamgatan), pełnej nowoczesnych sklepów, wejść do sieni starego domu, zajrzeć na podwórze lub do piwnic sklepowych, aby przekonać się, że i tutaj pod tynkiem *moderne* drzemią poważne świadectwa epok minionych.

Jeszcze bardziej utwierdzi nas w tem pierwszy lepszy sklep antykwarski. Znajdzie się tam zawsze coś interesującego. Nieraz nawet przez szybę okna wystawowego zobaczyć można przedmiot, po który łakomie wyciągnęłyby się ręce znawcy, gdyby nie nadmiernie wysoki kurs korony...

Artysta i poeta każdego kraju, choćby z najdalszego przybywający tu południa, znajdzie dla siebie zawsze odpowiedni pokarm w Stokholmie i pokocha to miasto całą duszą, pragnąc dla niego jednego tylko: więcej słońca!

Most Norrbro i Norrström.

Dzielnica willi na archipelagu stokholmskim.

NIEMCY W OBLICZU PRAWDY DZIEJOWEJ.

VI.

Wypowiedzenie wojny Serbji przez Austrję Rosja przyjęła wykonaniem zarządzeń mobilizacyjnych, uchwalonych w zasadzie („en principe") 25 lipca. Była to mobilizacja częściowa w czterech okręgach (Odesa, Moskwa, Kijów, Kazań) z pominięciem okręgów, przylegających do Niemiec. Według świadectwa Paléologue'a równocześnie z mobilizacją częściową był podpisany (29 lipca) rozkaz przygotowań do mobilizacji ogólnej. Według bowiem zdania sfer wojskowych, mobilizacja częściowa byłaby zwichnięciem całkowitego planu mobilizacyjnego pod względem technicznym i odsłonięciem się na wypadek ataku niemieckiego w Królestwie Polskiem (La Russie des tsars, I, str. 35, 37). Na skutek jednak depeszy cesarza Wilhelma z obietnicą nawiązania rokowań bezpośrednich między Rosją a Austro-Węgrami car rozkaz mobilizacyjny wstrzymał. Dopiero dnia następnego Sazonow przekonał osobiście cara, iż względy techniczne wojskowe nie dadzą się poświęcić dla dyplomacji, i że „według jego przekonania, ta ostatnia skończyła już swoją rolę". Mikołaj II dał się namówić i po chwili skupienia kazał wykonanie rozkazu telefonicznie polecić szefowi sztabu, gen. Januszkiewiczowi.

Według Paléologue'a, na cesarza miał wpłynąć nowy telegram z Berlina, w którym Wilhelm zrzuca z siebie odpowiedzialność za wybuch wojny i zrzeka się roli pośrednika w razie mobilizacji Rosji przeciw Austro-Węgrom (La Russie des tsars I, str. 39). Telegram ten istotnie wysłał Wilhelm tego samego dnia o g. 5 m. 30 popołudniu, widocznie po otrzymaniu depesz o częściowej mobilizacji przeciw Austrji w Rosji. Mobilizacja ta, według Wilhelma, tylko spowoduje klęskę, której pragnęli obaj uniknąć i przekreśla jego stanowisko medjatora, które przyjął na wezwanie cara w sporze austrjacko-rosyjskim (Dok. II, str. 78/79). Potwierdziło się zatem, iż żadna indywidualna wola nie jest w stanie wstrzymać maszyny wojskowej, automatycznie nakręconej i puszczonej raz w ruch.

Co innego akcja dyplomatyczna. Ta biegła niezależnie od przygotowań mobilizacyjnych, które ogarnęły już prawie wszystkie mocarstwa. Po okresie naglenia Austrji do pośpiechu i do fait accompli, także z Berlina powiał zupełnie inny wiatr w kierunku Wiednia. Już nie o wojnie mówiono, lecz o pokoju między Rosją a Austrją. Tembardziej, że „Serbja napozór poczyniła dalekie ustępstwa", a przeto „sytuacja Niemiec jest tem trudniejsza"; że jedną propozycję pokojową z Londynu Berlin już odrzucił, a więc nie może się zrzekać całkiem roli pośrednika, zwłaszcza że gabinety londyński i paryski stale wywierają nacisk pokojowy w Petersburgu. Tak pisał kanclerz do Tschirschky'ego 27 lipca (Dok. I, str. 267). Jako wyjście podawano zajęcie Belgradu w charakterze zastawu i zadosyćuczynienia dla honoru armji austrjackiej i wdrożenia rokowań z Serbami (D. Dok. II, str. 18).

Kiedy poseł niemiecki przedkładał w Wiedniu te nowe żądania, hr. Berchold zbladł, jak płótno, ale pod presją Niemiec zgodził się na podjęcie rozmów bezpośrednich z Petersburgiem, przerwanych od chwili wypowiedzenia Serbji wojny, a dobry cesarz Franciszek Józef znów ogłaszał wspaniałomyślnie chęć swoją uniknięcia zaognienia ogólnego.

Było to już przecież zapóźno, i w samym Berlinie poczęto zdawać sobie sprawę, jak się wyraził Bethmann Hollweg tego samego dnia do hr. Lerchenfelda, iż wojna może wyniknąć skutkiem działania sił elementarnych i wbrew woli wszystkich państw, które jej nie pragną (Bayer. Dok. str. 164/165).

* * *

Podstawą wszystkich zarządzeń mobilizacyjnych było przeświadczenie czysto techniczne sfer wojskowych, iż mobilizacja jest równoznaczna z wypowiedzeniem wojny. O tem doskonale było wiadomo zarówno po stronie dwu, jak i trójprzymierza. Tak określonego pojęcia mobilizacji w konwencji wojennej, zawartej między Rosją a Francją 17 sierpnia 1892 r. (ogłoszonej przez rząd sowiecki) wprawdzie niema, ale taki komentarz dał autor tej konwencji, gen. Boisdeffre, szef sztabu generalnego francuskiego, w rozmowie z carem Aleksandrem III i uzyskał z ust jego aprobatę tej opinji. Również i niemieckie sfery wojskowe nie taiły, iż rozkaz mobilizacyjny pojmują, jako wypowiedzenie wojny, i takie tłumaczenie dał hr. Pourtalès Sazonowowi już w pierwszych dniach konfliktu (26 lipca). Na pytanie, czy w Niemczech mobilizacja jest równoznaczną z wypowiedzeniem wojny, odpowiedział, że teoretycznie może nie, ale praktycznie tak: „jeżeli się naciśnie guzik i puści w ruch aparat mobilizacyjny, nie można już go powstrzymać" (Am Scheidewege, str. 25). To samo zapatrywanie podzielały i sfery wojskowe rosyjskie z ministrem wojny gen. Suchomlinowem i szefem sztabu, Januszkiewiczem, na czele, jak to wynika z zeznań ich późniejszych w procesie Suchomlinowa. Zresztą za potwierdzenie tego mniemania służy znaleziony już w czasie wojny przez Niemców w Polsce rozkaz ministra wojny wcześniejszy (z daty wrześniowej 1912 r.), który brzmi, iż „najwyżej rozkazano, aby ogłoszenie mobilizacyjne było uważane zarazem za wypowiedzenie wojny przeciwko Niemcom" (Helfferich, str. 193/194).

W tem leżała cała tajemnica chybionej interwencji Wilhelma II w sporze między Austrją i Rosją i wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej.

W czwartek (30 lipca), a więc na drugi dzień po ogłoszeniu mobilizacji częściowej w Rosji, sfery wojskowe prawie przekonały cesarza Wilhelma o konieczności mobilizacji armji niemieckiej. Odpowiednie zarządzenie wstępne było już podpisane i wydrukowane w organach policyjnych, ale nie puszczone w obieg (umieścił je jedynie zbliżony do sfer następcy tronu dziennik „Lokalanzeiger"). Ale Bethmann Hollweg zdołał powstrzymać cesarza (dodatek Lokal-anzeigera został skonfiskowany). Dopiero dnia następnego te same sfery sztabu generalnego oświadczyły, że w razie dalszej zwłoki nie biorą na siebie odpowiedzialności za powodzenie w przyszłej wojnie. Wówczas cesarz podpisał wstęp do mobilizacji czyli t. zw. „stan grożącej wojny" („der drohende Kriegsgefahr"). Jeszcze i wówczas kanclerz próbował odwrócić konflikt, powołując się na telegram Mikołaja II (1 sierpnia), z którym proponował pertraktować z bronią u nogi. Ale było już zapóźno: względy wojskowe przeważyły nad politycznemi. „Wszystkie rządy, włączając w to Rosję, i większość znaczna narodów jest pokojowo nastrojona"— jak wyraził się wówczas Bethmann-Hollweg—„ale ster już wypadł z rąk kierowników i kamień musiał się w dół potoczyć" (Dok. II, str. 178).

W sobotę (d. 1 sierpnia) ambasador niemiecki hr. Pourtalès o g. 7-ej wieczór wręczył Sazonowowi osobiście 12-godzinne ultimatum z żądaniem rozbrojenia. Było to zarazem wypowiedzenie wojny. Takie samo ultimatum, tylko 18-godzinne, wręczył ambasador niemiecki von Schoen już poprzedniego dnia rządowi francuskiemu w Paryżu.

* * *

Wilhelm w swoich „Pamiętnikach" stara się zwalić winę odpowiedzialności wojny na Rosję, czego — jakeśmy widzieli — sfery kierujące niemieckie aż do końca nie dopuszczały. Wręcz przeciwnie, całą akcję, zmierzającą do wojny na Bałkanach, podjęły w przeświadczeniu, iż Rosja do wojny nie gotowa i w razie konfliktu austro-serbskiego pozostanie bezczynną.

Po przegranej wojnie cały ten pogląd został przekręcony naodwrót. Właśnie to Rosja chciała wojny i do niej się przygotowywała, a dowody na to doszły do wiadomości niczego nie podejrzewających Niemców dopiero później. Dowody te w liczbie 11 zebrał Wilhelm i należy im poświęcić słów parę uwagi.

(*Dn*)

OCHRONA LOKATORÓW.

Nie sądźcie, Szanowni Państwo, że t. zw. „Ochrona lokatorów" jest wytworem czasów powojennych.

Wręcz przeciwnie. Zanim Jozue straszliwemi trąbami obalił warowne mury Jeryho — już mawiano i dawniej z rozkoszną dezynwolturą: j'y suis, j'y reste!

„Fenomen psychiczny" jakby to zdefinjował prof. Petrażycki. „Zaistniały stan rzeczy": jakby to zreferował referent ministerjalny, rodem z Małopolski.

Ochroną lokatorów nazywamy taki stosunek prawno-prywatny, kiedy ktoś, kto mieszka u kogoś, odnajmuje swoje mieszkanie komuś, kto mógłby też mieszkać u kogoś, ale kto, nie chcąc mieszkać u kogoś, robi tak, że ten, kto mieszkał u siebie — nie mieszka u siebie; tylko mieszka u kogoś, albo wogóle nie mieszka.

Jak widzimy, jest to stosunek prosty, nieskomplikowany i nawskroś etyczny.

Jeżeli pomimo to da się tu i ówdzie zauważyć jakieś samobójstwo, morderstwo, skok z III piętra, czy inny akt skądinąd gwałtowny — nie należy tego bynajmniej przypisywać działaniu „Ustawy o ochronie lokatorów".

Wręcz przeciwnie. Ustawa ta, nacechowana duchem nawskroś humanitarnym, oddziałała zbawiennie na obyczajowość mas, ożywiając zarazem tętno życia publicznego. Wspaniały rozkwit przemysłu budowlanego, wysoki rozwój architektury monumentalnej, „rozbudowa" wielkich miast — wszystko to są pośrednio skutki zbawiennej ustawy.

Mylne jest również twierdzenie, przypisujące autorstwo rzeczonej ustawy gromadce małych dzieci, która, zamiast butelki z mlekiem, wypiła butelkę Martell'a, trzy gwiazdki, z czego jakoby wynikły komplikacje.

Posiadamy absolutnie wiarogodne informacje, z których wynika, że twórcą ustawy o ochronie lokatorów było grono wybitnych członków T-wa autorów dramatycznych, którym po „Edypie królu" „Hamlecie" i „Berku zapieczętowanym" poprostu zbrakło wątku do dalszej twórczości scenicznej.

Tem, czem jest prawo Mimikry w przyrodzie — jest w życiu społeczeństwa ludzkiego... Ochrona lokatorów.

Nie wahałbym się nazwać jej dodatkowo „Prawem najkrótszego spięcia".

Cudowna symbioza komandora marynarki z divą operetkową, wsparta wydatnym udziałem dwu subjektów branży kolonjalnej, plus jedna wdowa po bolszewickim komisarzu, plus młode małżeństwo bezdzietne, plus pastor anglikański, plus dama od Maxima i obywatel z grójeckiego — oto jest przeciętna formuła współczesnego pięciopokojowego apartamentu w centrum miasta. Suma dochodów tych osób wynosi miesięcznie około dwudziestu miljardów marek polskich.

Suma dochodów właściciela lokalu wynosi miljon marek polskich, suma dochodów właściciela kamienicy, w której mieszka dziesięć, czy sto takich krótko-spiętych rodzin — wynosi około pięciu tysięcy marek polskich. Może się za to trzy razy przejechać tramwajem. Nie więcej. Za to w kamienicy odbywają się seanse z guzikiem.

Zdzisław Kleszczyński.

ŻYCIE ZAGROBOWE I ŚMIERĆ W SZTUCE GRECKO-RZYMSKIEJ.

4)

całym akompanjamentem wspomnianych symbolów ukazuje się niejednokrotnie na nagrobkach scena stworzenia Prometeusza. Pozaświatowa erotyczna podróż w łódce naładowanej owocem odbywa się również w towarzystwie Erosa i Psyche obok Nereid, Hipokampów, Trytonów, przedewszystkiem Delfina. Podróż zagrobową symbolizuje także wóz (Kwadryga) zapewne Plutona ciągniony przez jelenie w towarzystwie Erosów, niekiedy otwierają oni drzwi Hadesa [1]) z których wychodzi człowiek w towarzystwie zająca, lub na progu bram wieczności żegna się ze zmarłym jego żyjący przyjaciel. Drzwi Erebu strzegą lwy, gryfy, Cerber, demony, albo śpiący Eros.

Ostatnim szczeblem sheroizowania rozkoszy pozagrobowego życia są symbole Apoteozy. Umarły staje się tutaj równy bogom. Na niektórych nagrobkach lub malowidłach waz widzimy wojownika zwycięzcę, często razem z koniem, wieńczonego przez Nike. Czasem bywa umieszczona bez organicznego związku sama głowa konia dla oznaczenia symbolicznej pielgrzymki zagrobowej — Rydwan zaprzężony w rumaki— wyobraża śmiertelny zaprząg. Początkowy rzymski zwyczaj heroizowania cesarzy rzymskich) rozszerza się na zwykłych śmiertelników, umarły przedstawiony bywa w postaci Dionizosa, Heraklesa, Apollina, Merkurego, Afrodyty, lub postaci bóstw, będących w pewnym stosunku do nazwy nieboszczyka, później bez widocznej nawet łączności. Stąd epigramaty nagrobkowe wyrażają się o umarłym: „boski, święty, najświętszy i t. d.", nimbus staje się symbolem umarłego jako wykładnik jego wyższej boskiej natury. Wybrażenia rozkoszy życia pozagrobowego uwidoczniają się w przedstawieniach uczty pogrzebowej przemienionej z czasem w scenę rodzajową, gdzie Dionizus - Bakchus siedzi między Satyrami i Menadami w otoczeniu odpowiednich symbolów, z których na pierwszem miejscu należy wymienić winne grono. Śladem owego znaczenia dionizalno-chtonicznego w obrzędach pogrzebowych był zwyczaj kładzenia umarłych na gałązkach wina. Winobranie było niekiedy tematem sztuki nagrobkowej, niekiedy pantera, lub mysz je winne grono. Zamiast winnej latorośli zjawia się również bluszcz.

Emblematami Apoteozy jest wreszcie paw i orzeł. Na sarkofagach i monetach widać postacie cezarów ciągnione przez pawie ku niebu, paw gdzieindziej towarzyszy bankietom pogrzebowym.

Do scen Apoteozy należy przedstawienie Ganimedesa i Heby z orłem, porwanie zmarłego przez Erosów, Fenix na stosie, pochodnie, zapalone świeczniki, trofea, maski tragiczne, syleniczne, lub dionizalne, ołtarz ofiarny, syreny, sfinx i t. d., motywy przekształcone później na zdobnicze upiększenia.

Wazy malowane z przedstawieniami świata podziemnego należą do najpyszniejszych zabytków południowo-italskiej ceramografji. Istnieje około 12 wielkich amfor w rozmaitych muzeach Europy. Niektóre zdobne są wielu scenami złączonemi w jeden obraz, na innych widnieje jedna mityczna scena [1]). Postacie tych symbolicznych dramatów należą do zwykłego personelu bogów, herosów podziemia (Hades, Persefona, Hermes, Psychoperupos, Hekate, Dike Minos, Radamantys, Triptolemos, Erynje, Danaidy, Thantalos, Sizyfos, Pejritoos, Heraklidzi i t. d.): oraz śmiertelni, zatem Eurydyka, Alkestis i t. d. W wazach tych charakterystycznym szczegółem jest przedstawianie takich postaci, które z Hadesu wróciły na ziemię (Adonis, Orfeus, Herakles, Theseus, Protesilaos). Przeznaczenie waz, dawanych do grobu zmarłym, musiało wpłynąć na wybór tematu dekoracyjnego mianowicie zwycięztwa śmierci przez herosów, czyli innemi słowy: alegorji nieśmiertelności. Być może również, że pytagorejska nauka o polignezji, metempsychozie, rozpowszechniona w południowej Italji, nie pozostała bez znacznego wpływu na twórczość artystów. Znamiennemi są sceny z figurami Protesilosa i Danaid, — zestawienie personifikacji największej miłości małżeńskiej, dla której grób nie stanowi zapory, ze straszną karą morderczyni mężów. Artystycznym ośrodkiem w tych scenach był pałac Hadesa o kształtach świątyni, otoczony bóstwami złotniczemi, pozostałe postacie grupowały się w dwóch lub trzech rzędach nad sobą. Ryc. 7 (Patrz Nr. 29). Opanowanie mistrzowskie kształtów poszczególnych figur w mnóstwie odmian, zdecydowane ruchy, pozostawiają daleko w tyle sztywność klasycznego malarstwa waz, znać tutaj ślady pierwowzoru wielkiej rzeźby heleńskiej. W triumfującym Handesie przebija ideał Fejdjasowego Zeusa w postaci mężczyzny opartego na ramieniu ze skrzyżowanemi nogami (Ryc. 8)—typ Praksytelesa i jego szkoły, poza tem nasuwa się wspomnienie Lizyppa. Miękkie, krągłe i pełne formy, połączone z elegancją ruchów, bogaty strój, ciężkie fałdy uwypuklają kształty. Daje się również spostrzegać związek tych malowideł ze scenicznym dramatem i z malowidłami ściennemi epoki rozkwitu polichromji greckiej.

Ryc. 9. Przygotowanie do odwiedzin grobu. Malowidło na lekhytosie. (Muz. ks. Czartoryskich w Krakowie).

(Według prof. A. Bieńkowskiego).

Ryc. 8. Hermes żąda wydania Persefony przez Hadesa w obecności Afrodyty. Malowidło na amforze (British Muzeum).

Według prof. Winklera (Breslauer-Philologische Abhandlungen).

Ostateczne zlanie się i pomieszanie mitów następuje w okresie upadku pogaństwa. Kulty greckich i latyńskich bogów obejmuje w pierwszych wiekach po Chrystusie perski Mithras i egipski Ozyrys wraz z Szydan. Wieczysta i trwała akcja tradycji tłumaczy nam tendencje wzajemnego łączenia motywów — wieczysty proces ewolucyjny sztuki. Przez przenoszenie atrybutów zacierają się różnice między narodowemi a obcemi bóstwami, następuje proces transfiguracyjny, ostatecznym jego wynikiem było zidentyfikowanie dotychczas odrębnych postaci bogów.

Sztukę nagrobkową objaśnia w znacznej mierze literatura epigraficzna, dając świadectwo głębokiego odczuwania i powszechnej znajomości symboliki funeralnej przez współczesnych. Mnóstwo z tych symbolicznych przedstawień życia zagrobowego i śmierci weszło przez rzeźbę i malarstwo średniowieczne i renesansowe (n. p. pies u stóp zmarłego, Erosy z pochodniami), lub przemysł artystyczny, zwłaszcza tkaninę (n. p. gniazdo z ptakami, orzeł walczący z psem) (Patrz Nr. 9. Ryc. 3) do sztuki nowożytnej i ustaliło się w pojęciu nowożytnej ideologji artystycznej jako uosobienie, jeśli nie samej śmierci, to alegorycznego jej wyobrażenia [1]).

Wiara w nieśmiertelność duszy ukształtowała cześć zmarłych. Pamięci zmarłych poświęcano w Grecji dwa święta w roku, w jesieni i na wiosnę, kiedy duchy niewidzialne ojców wstępują na ziemię, by odwiedzić miejsca, gdzie ongi żyły w ludzkiem ciele. Sławnych przodków uznawano za „Półbogów-Herosów", istoty pośrednie między właściwemi bogami, a człowiekiem były one potężnemi demonami, opiekunami rodzaju ludzkiego. Składano im doroczne ofiary przy grobowcach (Ryc. 9). W kaplicach, zwanych heroami, odprawiano igrzyska na ich cześć i libacje. Grobowce, które Grek nie odsuwał zdala od domu, należały wogóle do najświętszych pamiątek rodów i kraju. Zdobiła je zazwyczaj kamienna płyta z stosownym napisem, wyjaśniającym nazwisko zmarłego, jego czyny i dzieła, często wezwanie do przechodnia, aby poświęcił zmarłemu wspomnienie.

(*Dcn*) *Dr. M. Nałęcz-Dobrowolski*

Ryc. 10. Pogrzeb poległego. Malowidło na spartańskiej czaszy. (Muz. Berlińskie).

Według E. Busenora (Griechische Vasenmalerei).

---

[1]) W pomnikach nagrobkowych owe drzwi mają podwójne źródło pochodne: architektoniczne i mitologiczne, architektoniczne, ponieważ od VIII w. przed Chrystusem spotykamy wozy w kształcie chat. W Etrurji często stawiano sarkofagi w kształcie domów. W epoce Antonińskiej ustala się typ świątyni podzielonej kolumnami na 3 części. Później drzwi, odłączając się od całości, same tworzą symbol bramy Hadesu, jaką umarły musi przekroczyć, wstępując do podziemia.

[2]) „Corona radiata" Nerona noszona była pierwotnie przez kapłanki Izydy.

[1]) August Winkler: „Die Darstellungen d.Untenrelt auf unteritalienischen Vasen etc." Breslau. 1818.

[1]) O tradycjach starożytnej mitologji w chrześcijaństwie porówn. autora: „Sztuka i uosob. śmierci" Przegląd Polski. r. 1909, Styczeń 104 itd.

Alf. Maury: „Croyances et Legendes du Moyen Age" Paris. 1896.

M. Sumców „Boginki—Mamuny". Wisła. Warszawa 1-V 1891 S. 572 i t.d.

Lubicz Rafał (Łopaciński) Dtto 1-VII r. 1893. S. 160.

Roman Zawiliński „Mit o Tantalu i Syzyfie w powieściach ludu od Myślenic i Lidy". Dtton Warszawa 1-IV R. 1890. S. 340.

Porówn.: W. Klinger: „Do wpływów Starożytności na folklor". druk Lud..Lwów r. 1909 Z. I-II S. 20.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

4)

W spokojniejszych czasach, zgadzali się jednak oboje, że życie ich odpowiada im zupełnie i omawiali wtedy rozsądnie teraźniejszość i przyszłość Jakóba.

Lolo, który sam posiadał zaledwie najpotrzebniejsze wykształcenie, namiętnie pragnął wyższych studjów dla syna.

— Toby było najmniejsze—mówiła Eugenja — ale dla dzieci, które rosną, potrzebny jest spokój. W przeciwnym razie stają się nerwowe i starzeją przed czasem.

— On musi mieć to, co się nazywa „zawód"—mówi Lolo z naiwną powagą filozofa — a do tego jest potrzebna matura. Przedtem nie powinien lekkomyślnie trwonić czasu i jeździć z miejsca na miejsce. Ja go sobie zawsze wyobrażam jako prokuratora albo profesora uniwersytetu. Taką ma już twarz.

— Może będzie budował mosty w Ameryce — marzyła Eugenja.

— Dlaczego właśnie tam?

— Bo ja marzę o czemś nadzwyczajnem dla niego, tu w Europie wszystko jest takie zwykłe.

— Może zostanie prezydentem jakiejś republiki — mówił Lolo z prawie zmysłowym uśmiechem.

Charakterystycznem dla niego było, że nie miał żadnej specjalnej republiki na myśli. Nikt zresztą nie zdawał się wiedzieć z jakiego kąta świata on sam pochodził. Nawet jego nazwisko było wątpliwe, chociaż pasport znajdowano zazwyczaj w porządku.

Co zaś do amerykańskich mostów, to zostawały one w związku z pierwszą miłością Eugenji, pewnym młodym człowiekiem, którego znała jeszcze jako panna. Zaczęło się to pewną krótką rozmową, przed domem jej rodziców. Niestety, ów młody człowiek, zatrudniony przy budowie kolei w miasteczku, musiał gwałtownie naraz wywędrować do następnej wsi. Mimo to zdołał jej jeszcze opowiedzieć najdziwniejsze ze swoich planów na przyszłość, między innemi o olbrzymim moście, który chciał położyć ponad wielkiem morzem, z jednego końca na drugi. Pieszy wędrowiec musiałby iść lata.

A potem widywali się jeszcze nieraz i bardzo się już zbliżyli do siebie, aż naraz...

— Czy posłałeś już inżynjerowej pieniądze na utrzymanie Jakóba?—spytała nagle.

— Naturalnie—odpowiedział Lolo prawie obrażony.

Nieraz się zdarzało, że zapominał płacić to lub owo, między innemi dawne długi, które go czasem zmuszały do zachowywania surowego incognita. Ale pieniądze za Jakóba odsyłał zawsze punktualnie.

Nieznane pochodzenie Lola bywało źródłem rozmaitych legend. Znał wszystkie bajki, które miały za tło jego przeszłość, ale nie starał się nawet ich prostować. A gdy podobała mu się jakaś pogłoska, w tej chwili sam w nią uwierzył. Doskonale potrafił wżyć się w hrabiego, który poświęcił świetną wojskową karjerę, żeby się ożenić z biedną artystką. Trochę mniej odpowiadało mu stanowisko medjolańskiego niegdyś bankiera, który zbankrutował z hałasem swego czasu i już nigdy nie mógł wrócić do swej ojczyzny. Ale jeżeli kto chciał, to mógłby był urodzić się także—i w Brazylji. Nie miał także nic do zarzucenia synowi rosyjskiego miljonera... W końcu wszystko to były tylko głupstwa, w gruncie rzeczy. Gdzie i w jakich warunkach kto na świat przyszedł, to nie było ważne. Jedno tylko było pewne: jak się już raz tu było, musiało się starać iść naprzód.

Lolo był przemyślny i pilny—pokryjomu. Nie lubił otwarcie przed światem zajmować się interesami. Podczas dnia był niewidzialny, a spotkał go ktoś w południe na ulicy, to z pewnością wstał właśnie przed chwilą. Ręce miał zawsze białe i starannie wypielęgnowane, a cała jego zewnętrzna powłoka wykazywała szlachetnie urodzoną wykwintność. W nocy spotykało się go często w pierwszorzędnych lokalach, zawsze w dobrym humorze, bez troski i w dobrem towarzystwie. Bawić potrafił się zupełnie jak dziecko; kobiety i szampan szły mu tak prędko do głowy, że wszyscy to w tej chwili widzieli. Nad ranem zaczynał cierpieć na „vin triste"— ale tego nikt nigdy nie spostrzegał. Towarzystwo jego nie znajdowało się już w tym stanie, kiedy się podpatruje drugich. Jeżeli była Eugenja, to zawsze wtedy ktoś z nią zawzięcie flirtował.

Sąsiadka Lola była jednak dziwnie zaniepokojona i pytała go ustawicznie:

— Czy panu co brakuje?

Na co stale odpowiadał:

— Tak... kocham panią. Z powodu pani w łeb sobie strzelę!

Przytem zezował zazdrośnie w stronę Eugenji, której szepty i śmiechy z drugiego końca stołu sprawiały mu piekielne męki. Potrafił tak silnie i beznadziejnie cierpieć, jak kochanek w zaraniu życia. Ale panował nad sobą.

Zazdrość ukrywał tak lękliwie, jak we dnie swoją pilność. Właściwie był to spartanin pomimo epikurejskich form życia. Po największych biesiadach pozwalał sobie co najwyżej na trzy godziny snu. O tej samej porze, co urzędnicy i panienki ze sklepów, biegł już załatwiać swoje interesy. A tyczyły się one przedewszystkiem Eugenji, która była ubiegłej nocy powodem jego męczarni.

Biegł, ale wyróżniał się zasadniczo od czarnej masy innych, którzy także biegli. Jego ubranie było niewyszukane i niezbyt nowe, ale takiego kroju, jaki nosili w Europie wszyscy ludzie dobrego tonu. Jego okrągły brzuszek był rasowy. Mógł sobie nawet pozwolić na niektóre oryginalności: nieco rzucające się w oczy kamaszki, rękawiczki, lub kwiat w butonjerce. A jego krótkie, szybkie, a przytem ostrożne ruchy były może śmieszne, ale ich śmieszność była w dobrym tonie.

W biurach i ajenturach koncertowych traktowano go jak kapitalistę, albo cenionego mecenasa sztuki. Nie mówiono mu wprost: „Panie hrabio", ale to leżało w tonie powitania. A i on sam był niemniej grzeczny. Dla całego świata, nawet dla woźnych i liftboyów. Przytem serdeczny, zawsze współczujący, jak ojciec.

— O, pan Gustaw znowu spuchnięty. Sklęsło? Nie, nie sklęsło od wczoraj. Nie był pan u dentysty? Nie? A moich proszków też pan nie zażył!

I mówił tak cicho, ostrożnie i szybko, jak chodził, to graniczyło już prawie ze śmiesznością, z góry zamierzoną. Takie wejście usposabiało odrazu świetnie cały personel, począwszy od szefa, aż do panienki piszącej na maszynie.

Ale trzeba także było uważać, uprzejmość Lola nie była nieszkodliwą dla tych co mieli z nim np. załatwiać kontrakty.

— Ja się zupełnie nie znam na formalnościach—zapewniał swoim dziwnie dźwięcznym głosem—jestem jak nowonarodzone dziecko w prawnych rzeczach. Nie, doprawdy, muszę już panu dyrektorowi uwierzyć na słowo... Wyśmienicie... a jak się ma pani?

Mimo to zauważył zawsze każdy korzystny dla Eugenji szczegół, którego brakowało.

I potrafił wszystko przeprowadzić. Paplał wesoło i niewinnie, aż do zupełnego obezwładnienia przeciwnika. Jego łagodna zaciętość była silniejsza, niż wytrzymałość najprzebieglejszych dyrektorów. Zwyciężonego częstował po bitwie czekoladkami.

— Proszę bardzo, niech pan skosztuje; to z ananasem, a to z chartreuse.

I tak się zwykle kończyła rozmowa, że pobity jeszcze dziękował najuprzejmiej.

Poczem biegł do fotograficznego zakładu, żeby obejrzeć najnowsze zdjęcia Eugenji. Przedtem wstępował do kwiaciarni i kupował przepyszny bukiet róż dla właścicielki zakładu, okrzyczanego za najdroższy.

Była to starsza już i przekwitła Amerykanka. Nikt się nie interesował jej wyglądem, ale Lolo porównywał kolor jej oczu z zatoką morską w Sorrento.

Mówił jej to po angielsku — i przez to uzyskiwał połowę ceny.

Potem biegł do redakcji. Wszędzie były tłumy ludzi, którzy mieli pilne sprawy do załatwienia. A on wchodził z miną taką, jakby miał nieskończenie wiele czasu. Wzbudzał złość kiedy się tylko pokazał w drzwiach rozpromieniony— ale gdy odchodził, to prawie wszystkim było przykro.

Referent dla sztuki i spraw teatralnych dyktował pannie.

— Nie, pan Klinkfuss się przepracowuje. — Pan Klinkfuss nie zważa na swe delikatne zdrowie. Proszę bardzo, niech pani skosztuje— te są z Chartreuse. Niech pani sobie wypocznie.

Dziennikarz stwierdził niechętnie:

— Tu się nikt nie nazywa „Klinkfuss".

Bo Lolo nie miał pamięci do rzeczy, które nazywał powierzchownie. Przekręcał wszystko, zwłaszcza nazwiska.

Ale pannę przecie zwolniono na krótki czas.

— Pan sam jest temu winien, że zawsze przeszkadzam. Pański umysł mnie tu przyciąga. Czy pan myśli, że mam jaki interes? Najmniejszego. Przychodzę, bo czuję poprostu potrzebę serca z panem pomówić. Z takiej jednej rozmowy ma się korzyść na całe życie.

(*Dcn*)

ECHA REWOLUCJI W BUŁGARJI.

Fot. Press-Photo-News-Service.

A. Stambolijskij, b. premjer bułgarski obalony przez rewolucjonistów.

Główny plac miejski w Sofji, po zajęciu miasta przez wojsko rewolucyjne.

Aleksander Zankoff, nowy premjer bułgarski, twórca gabinetu koalicyjnego.

V komisarjat policji, w którym uwięziono aresztowanego premjera A. Stambolijskiego.

Przywódca rewolucji bułgarskiej, komendant wojska, jen. Łazarow, po opanowaniu Sofji udaje się do parlamentu.

Sztandary zdobyte przez rewolucjonistów i aresztowany ordynans Stambolijskiego (klęczy).

Prezydent „Narodnego Sobranja", (parlamentu bułgarskiego), Aleksander Botew, uwięziony przez rewolucjonistów, w drodze do Sofji.

Willa Stambolijskiego, zajęta przez rewolucjonistów.

Kasa wojenna Stambolijskiego, zarekwirowana przez jen. Łazarowa, zawierająca 25.000.000 lew.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 25)

Z początku blado i niechętnie, rozpalając się jednak w miarę opowiadania, jął Korczak opisywać przyjacielowi swoje oraz siostry wypadki i przeżycia. Hanka milczała, pobladła i wzruszona wspomnieniami. Przejęty Badmajew coraz spoglądał na nią błyszczącemi od gorączki oczyma. Niektóre, bardziej uderzające epizody tłumaczył po mongolsku chciwie przysłuchującym się krajowcom. Gdy doszło do przygody z tygrysem ciemna twarz burjata stała się szarozieloną z niepokoju; utkwiony w Hankę wzrok jego zamigotał wilgotnym modlitewno-mistycznym blaskiem... Wydało mu się istotnie, że złote loki dziewczyny zaświeciły nagle jak słoneczna aureola w łagodnym zmroku jurty, w którym jej drobna zmartwiała twarzyczka z opuszczonemi w dół powiekami rysowała się mglisto jak cudne oblicze wiecznie dziewiczej Ca-gan-Dari-chu... Odetchnął swobodnie dopiero, kiedy Władek skończył, jakgdyby walka odbywała się w tej chwili i tuż przed nim...

— Ten-gri!.. — mruknął. — Ten-gri (Bóg)!

Gdy opowiedział wypadek rodakom, święta cisza zaległa na chwilę jurtę.

— Ca-gan Cha-tun Dari-chu!.. — szepnęła wreszcie Tu-sziur, jakby odgadując myśl Badmajewa i innych.

— Nie pleć głupstw!. — przerwała głośno i grubijańsko Ge-ril-tu, marszcząc gęste brwi.— Ca-gan Da-ri-chu siedzi w swoim durbiutskim klasztorze, a nie włóczy się po lasach!..

— Och!.. — podtrzymał księżnę Oczir-Meren, podnosząc chińskim obyczajem zaciśniętą pięść z wystawionym do góry wielkim palcem.

Tłum jednak koczowników nie spuszczał już ani na chwilę oczów z dziewczyny, zmieszanej i onieśmielonej tą zbyt natarczywą uwagą. Coraz głośniejszym szeptem zamieniali z sobą spostrzeżenia, co stwarzało w jurcie wciąż wzrastający szmer, podobny do brzęczenia pszczelego roju. Opowiadanie Korczaka tonęło w nim bez śladu, aż Badmajew przerwał i pokrył nagle hałas głośnem, trochę niecierpliwem pytaniem:

— Źle się stało!.. Dlaczego odrazu nie powiedzieliście mojego nazwiska?.. Albo nazwiska Dor-dżi?.. Byliby was inaczej potraktowali... Mongołowie są na wojnie ostrzy, ale szczędzą swoich przyjaciół...

— Mówiliśmy, wielokroć razy mówiliśmy, ale to nie działało!.. — tłumaczył się Władek.

Badmajew zwrócił się z wyrzutami do Oczir-Merena, opowiedziawszy przedtem, o co chodzi, lecz oficer wydął wargi, wytrzeszczył oczy i kiwał przecząco głową.

— Po mongolsku nic nie mówili!... Nie słyszałem, żeby mówili po mongolsku... Czy nie prawda? — zwrócił się do swoich żołnierzy.

— Nie mówili po mongolsku!.. — potwierdzili ci zgodnie.

— Dopiero kiedy „chatun" powiedziała: „om-mani-padme-hum"!.. pokazała książeczkę, zrozumiałem, iż jest świętą osobą i zaraz ją kazałem rozwiązać!.. — przekładał dalej poważnie Meren.

— Trzeba było i brata posadzić na koń!..— irytował się w dalszym ciągu Badmajew.

— On nic nic mówił!.. Nie wiedziałem, nic nie wiedziałem... Święte słowa mówiła tylko dziewczyna... „Om-mani-padme-hum!". — powtarzał Meren, przymykając powieki.

— Niech „orosi" powtórzą, co mówili!..— pospieszyła z pomocą oficerowi Geril-tu Chanum. — Pewnie przekręcili nazwisko!.. Gulgoczą jak dropie, kto ich zrozumie!...

— Coście im mówili?. — spytał Władka Badmajew.

— Mówiliśmy im: Dordziew, Badmajew... ze sto razy powtórzyliśmy im!..

— Cha, cha! — rozśmiał się burjat, lecz natychmiast spoważniał. — Rzecz prosta, że was nie zrozumieli... Dordzich — dużo!.. A moje nazwisko jest Szag-dur Bad-maj a nie Badmajew... To przekręcone rosyjskie... Przecież napisałem wam i po mongolsku i po rosyjsku?..

— Zapomnieliśmy zupełnie w tym zamęcie, a karteczka zginęła...

— Widzicie, jak mała rzecz duże mogła wywołać nieszczęście, przecież mogli was zarąbać... Ale widocznie Dobrotliwy zechciał, abyście żyli dla spełnienia jego przeznaczeń... Takie są teraz dziwne czasy... Wszystko się z miejsca ruszyło... Nic nie dzieje się jak dawniej... Człowiek nic nie wie!.. Wszystko dokoła wre i kłębi się... Ten tygrys też coś znaczy!.. Trzeba będzie zawołać starego Tabyn Sachała!.. Niechby na łopatce powróżył... I wy posłuchacie naszych mongolskich wróżbitów... Co, dobrze?!.. Będziecie mieli w tej naszej pustyni rozrywkę!.. — zwrócił się do Korczaków.

Wytłumaczył swoją myśl i powody po mongolsku rodakom, a ci powtórzyli mu chóralnem chrząknięciem.

Wkrótce podano w wielkich misach drewnianych gotowanego barana obłożonego podróbkami, pełnemi krwi kiszkami i tłuszczem. Podział i spożycie tych smakołyków zmąciły uroczysty nastrój. Mężczyźni wyciągnęli zza cholew wąskie ostre noże i zabrali się wesoło do jedzenia. Kobiety usunęły się w cień i, obsługując ucztujących, cierpliwie czekały swojej kolei.

III.

Oczir Meren sam osobiście powiózł głowy chińskie i poprowadził jeńców „orosów" panu swemu, księciu Namyń Dor-dżia Nojonowi do Urgi. Zabrał ze sobą też listy Szag-dura, wzamian naznaczonego przez tygrysa „Poran-do" i „Świętej Dziewczyny", których na swoją odpowiedzialność zatrzymał Bad-maj Nojon w stawce Kentej.

Badmaj, choć młody, miał wielkie wpływy i posłuch nie tylko przy dworze w Urdze, ale i wśród burjatów po tamtej stronie rosyjskiej granicy. Trzeba było się z tem liczyć, w dodatku podtrzymała go Geril-tu Chanum, która obiecała w razie żądania sama dostawić obu jeńców mężowi. Oczir Meren niewiele zrozumiał z tych „zbyt uczonych" rozumowań; był trochę obrażony, że go pozbawiono efektu postawienia być może przed samo święte oblicze Bogdo Gegena tak niezwykłych brańców, lecz musiał słuchać. Władek, Hanka i Maciek zostali w stawce księcia na prawach gości.

Hanka zamieszkała w namiocie Geril-tu Chanum razem z Tu-sziur, z którą wkrótce bardzo się zaprzyjaźniła.

Władek z Maćkiem pozostali w jurcie Szag-dura. Zresztą całe dnie zwykle spędzali razem, na otwartem powietrzu poza namiotami, błądząc wśród stad po okolicznych łąkach i górach. Szag-dur ożywił się, powstał, zdawało się, że zapomniał o swoich ranach i szybko powracał do sił, co wszyscy przypisywali modlitwom i pojawieniu się „Świętej Dziewicy" — Hanki. Zacny chłopak wysilał się, żeby uprzyjemnić przyjaciołom pobyt wśród swego narodu, troszczył się o ich wygody, zapoznawał z obyczajami, ostrzegał, uprzedzał. Dla Hanki wystarał się o jedwab na suknie i namówił ją, aby zanim uszyje sobie swoje, przebrała się w kostjum tubylczy.

Często wyjeżdżali konno w stepy na polowanie z sokołami. Wogóle Szag-dur pełnił całkowicie obowiązki gospodarza, ku wielkiemu zdziwieniu Kołczaków, którzy wiedzieli, że sam był tu gościem. Ale dużo tu uderzało ich dziwnych poglądów i obyczajów, o które na razie nie pytali, starając się jednak je przestrzegać.

Zauważyli, że niewolno pluć na ogień, zalewać go wodą, dotykać ostrem żelazem, że kobieta nie powinna nigdy przechodzić między ogniem i ołtarzem z „ongonami" oraz bóstwami buddyjskiemi, jaki stał w każdej jurcie w głębi naprzeciw drzew.

Niewolno było, broń Boże, wylewać na ziemię kumysu, wyjmować nożem z kotła mięsa, stąpać nogą na leżącą na ziemi siekierę, rzucać byle gdzie łopatek baranich i tysiące, tysiące innych rzeczy, o których dowiadywali się zwolna od Szag-dura a których drobiazgowość i surowość przerażała ich.

— Wcale wy nie jesteście wolni, przeciwnie, oplątani jesteście gorzej od nas tysiącem przesądów i zakazów!.. — mówił mu Korczak, gdy Szag-dur próbował wychwalać przed nimi prostotę stepowego życia.

— Musicie nauczyć się po mongolsku. Wtedy zobaczycie jak to wszystko jest zrozumiałe, łatwe i potrzebne! Musicie nauczyć się: bez tego ani rusz! Niewiadomo, jak długo pozostaniecie tu u nas!.. — dowodził.

— Ależ bardzo chętnie, będziemy się uczyć!.. — zgodził się Władek.

— Ja już się uczę od Tu-sziur! — rozśmiała się Hanka.

— Wy musicie się uczyć nie tylko mówić, ale czytać i pisać!.. — gorąco nastawał Szag-dur. — Będę was uczył! Jak to poznacie, źle wam tu u nas nie będzie. My potrzebujemy bardzo uczciwych, inteligentnych ludzi... My tworzymy teraz własne państwo... A lud nasz jest spokojny, łagodny i... wdzięczny... Kraj piękny, życie ciche!.. Czy nie tak?.. Zwolna poznacie i pokochacie nasz dźwięczny język, nasze pieśni, nasze legendy, nasze dążenia... Bo my dążymy do pokoju, do zgody ludów, do łagodności obyczajów, tak potrzebnych dla bezpieczeństwa naszych stad... Cóż kiedy w około są drapieżce, kłamcy i rozbójnicy!.. Wszystko to jest w naszych legendach... o Gesser Chanie, o „Synu Nieba" o Idyge... wszystko to jest w naszych księgach... Jak zbliżycie się do nas i poznacie wielkie znaczenie Mongolji nie tylko dla Azji, ale dla wszechświata, to może zostaniecie z nami!? Przecież myśmy opanowali pół świata: zdobyli Chiny, Indje, Małą Azję, Kaukaz i byli... za Wisłą!..

(*Dcn*)

Ś. P. DR. WITOLD KORYTOWSKI.

W Poznańskiem zmarł b. namiestnik Galicji, b. austrjacki minister skarbu, Witold Korytowski.

Zmarły odgrywał wielką rolę w administracji państwowej Austrji i na wysokich zajmowanych przez się urzędach potrafił zawsze zająć stanowisko godne patrjoty Polaka.

Po powrocie do Polski odrodzonej, stanął na czele licznych instytucyj i stowarzyszeń przemysłowych, poświęcając im wszystkie swoje siły i bogate doświadczenie zupełnie bezinteresownie. Ś. p. Korytowski był założycielem i prezesem Rady Nadzorczej Centrali Spirytusowej, Naczelnej Organizacji Przemysłu Spirytusowego w Polsce, Zachodnio-Polskiego Zjednoczenia Spirytusowego, Lubońskiej Fabryki Drożdży i w. in.

Przemysł i rolnictwo rodzime ponosi przez śmierć swego przewodnika nieodżałowaną stratę.

PROJEKT PORTU W GDYNI.

Odbitka przedstawia perspektywiczny widok z lotu ptaka projektowanego przez Rząd Polski portu morskiego w Gdyni. Port w pokazanym zakresie będzie posiadał zdolność przeładunkową 6—7 miljonów ton rocznie. Port ma być budowany stopniowo, przyczem w pierwszym okresie miałby być wybudowany awanport i pierwszy basen, dalsza zaś budowa postępowałaby w miarę rzeczywistej potrzeby i zdolności finansowej Skarbu.

Ustawa o budowie portu w Gdyni przyjęta została przez Sejm Ustawodawczy dnia 23 września 1922 roku.

„OSTROWIT" Tow. z o. p. Ostrów-Pozn. Zjednoczone Ostrowskie Fabryki Likierów.

Firma „Ostrowit" T. z o. p. założona została w roku 1921.

Na samym początku wykupiła firma z rąk obcych 10-cio morgową posiadłość wraz z tartakiem parowym, położonym przy drodze Pleszewskiej № 10.

Na terenie tym wybudowała firma, według wymagań nowoczesnej techniki i komfortu, fabrykę likierów na obszarze 1400 metrów kwadr. i połączyła ją z głównym torem kolejowym własną bocznicą.

Prócz fabryki likierów oraz tartaku parowego, którego produkcję wysyła się przeważnie zagranicę, — mieszczą się jeszcze na zakupionym terenie wybudowana przez firmę fabryka octu oraz skrzyń, tudzież warsztaty bednarskie i kowalskie, centrala elektryczna dla własnego użytku, sala dla pracowników, garaże, oficyny dla personelu roboczego, tudzież obszerny budynek, w którym urządzone są biura zakładu.

Jeszcze w tym samym roku wykupiła firma „Ostrowit" Tow. z. o. p. jedno z najpoważniejszych przedsiębiorstw na Pomorzu, mianowicie gorzelnię koniaków, założoną w 1858 r. przez firmę „Sultan i Co." w Toruniu, które to później przeszło na własność jednego z ustępujących wspólników.

Ruchliwa firma urządziła też niedawno składnicę hurtową wraz z probiernią w Katowicach, przy ulicy Poprzecznej Nr. 12. Posiada ona również własne reprezentacje nieomal w wszystkich większych miastach w kraju.

Dzięki swej wyborowej jakości, wyroby firmy „Ostrowit" cieszą się wielkim popytem we wszystkich większych centrach handlowych.

Bo też zakład, zatrudniający kilkuset pracowników i przerabiający olbrzymie ilości surowca i spirytusu, produkuje likiery, nie ustępujące co do dobroci wyrobom zagranicznym.

Kierownictwo laboratorjum fabrycznego spoczywa w rękach zdolnych fachowców i pod nadzorem chemików.

Własna wytłocznia owoców dostarcza do wyrobu wódek naturalnych barwników.

Wodę jak i wszelkie surowce przepędza zakład przez nowocześnie skonstruowane przyrządy wyłącznie na drodze gorącej dystylacji.

Ogólna produkcja zakładu wzmaga się bezustannie. Dzięki zaś doskonałej działalności aparatu ekspedycyjnego, jest „Ostrowit" w możności wykonać w krótkim czasie największe zamówienia.

Terenem ekspansji wyrobów firmy „Ostrowit" są przeważnie Kresy Wschodnie, następnie Rosja i Ukraina, a w końcu kraje Zachodu.

Widok gmachu fabrycznego ze strony bocznej.

„OSTROWIT" Tow. z o. p. Ostrów-Poznański

Gmach fabryczny, widok frontowy.

Zewnętrzny widok budynku, w którym mieszczą się kantory.

Dyrekcja Towarzystwa Zjednoczonych Ostrowskich fabryk likierów „Ostrowit".

Zapasy drzewa do fabrykacji skrzyń.

Rozlewnia.

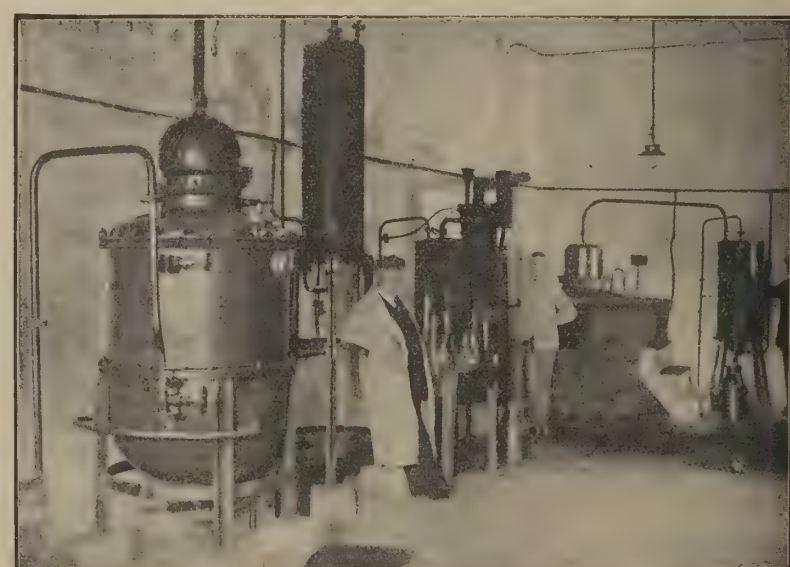

Laboratorjum.

Zjednoczone Ostrowskie Fabryki Likierów.

Ładownica kolejowa wewnątrz fabryki.

Ogólny widok gmachu fabrycznego oraz fabryki skrzyń, wełny drzewnej i fabryki octu.

Korespondencja.

Buchalterja.

Wewnętrzny widok fabryki.

Piwnice pod składem fabrycznym.

Jedna z sal fabryki piecyków „Hekla"

Skład gotowych modeli.

Nowy sposób ogrzewania.

Do zimy wprawdzie jeszcze daleko, ale człowiek przezorny o wszystkiem myśli zawczasu. Niejeden więc zaopatruje się już teraz w węgiel na zimę, myśląc z rozpaczą, ile węgla pochłoną piece w jego mieszkaniu, nie dając w dodatku, niestety, pożądanego rezultatu. Nie każdy może sobie pozwolić w obecnych warunkach na opalanie całego mieszkania tak, aby w każdym pokoju było ciepło. To też większa część ludności, zwłaszcza pracującej inteligencji, przebywa w temperaturze niżej normalnej, co oczywiście zgubnie wpływa na zdrowie.

Jest wszakże na to rada, którą ludzie praktyczni zastosowali już oddawna. Można kupić o połowę mniej węgla i mieć mieszkanie ogrzane do normalnej temperatury. Trzeba tylko pożegnać się z piecami pokojowemi, które zużywają tyle opału, i zastąpić je kaflowemi piecykami przenośnemi. Korzyść z tego będzie podwójna: kolosalna oszczędność na węglu i estetyczny mebel w mieszkaniu — bo takie wrażenie czynią piecyki kaflowe „Hekla".

Zainteresowani kwestją praktyczności tych piecyków — kwestją doniosłą, bo mogącą przynieść ogromną ulgę naszej stolicy w zimie — zwróciliśmy się do p. Henryka Gallasa, współwłaściciela **Polskich Zakładów Ceramicznych**, mających siedzibę na Nowym-Świecie N-r 62.

P. Gallas chętnie udzielił nam wszelkich informacyj.

— Jaką ilość węgla zużywa dziennie średni piecyk „Hekla"?

— Na podstawie ściśle przeprowadzonych prób, z wagą, termometrem, zegarkiem i wyliczeniem objętości pokoju, piecyk „Hekla" średniej wielkości może nagrzać pokój do 15° Reaumura, przy jednorazowem paleniu na dobę zużywając **tylko 6 funtów** węgla. Mamy protokuły z tych wielokrotnych prób.

— Ależ to zdumiewające! I czemże tłumaczy się taka różnica w ilości opału używanego przez zwykły piec pokojowy i piecyk przenośny?

— To bardzo proste—odpowiada p. Gallas. — Piec pokojowy grzeje zaledwie jedną trzecią swej powierzchni, pozostałe $^2/_3$ wchłaniają cieplik, lecz zamało się rozgrzewają. Natomiast piecyk „Hekla" grzeje całą powierzchnią. Po napaleniu i zaśrubowaniu drzwiczek, piecyk „Hekla" nagrzewa się do tego stopnia, że przy dotknięciu parzy, podczas gdy rura łącząca piecyk z kominem jest tylko zlekka ciepła. Naturalnie, gra tu również dużą rolę udoskonalony i zgłoszony obecnie do patentu system wewnętrzny 5-cio kanałowy, a także pierwszorzędne materjały, z których wyrabiamy nasze piecyki.

— Słyszeliśmy, że piecyki „Hekla" wyrabiane są z materjałów krajowych?

— Tak jest, to nasza zasada. Staramy się też stwarzać coraz to nowsze udoskonalone typy piecyków, zwracając również baczną uwagę na zewnętrzny estetyczny, a nawet artystyczny ich wygląd. W robocie są modele, które niebawem ukażą się na wystawie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w wykonaniu jednego ze znanych artystów-rzeźbiarzy.

P. Gallas uprzejmie oprowadzał nas po zakładzie. Istotnie, piecyki, od najtańszych do najdroższych, estetycznym swym wyglądem mogłyby przyczynić się do ozdoby każdego mieszkania.

Model II.

— Czy instalacja takiego piecyka jest kłopotliwa?

— To kwestja $^1/_2$ godziny. W Warszawie piecyki sprzedajemy z dostawą na miejsce i instalacją, na prowincję wagonowo bez opakowania, lub pojedyńcze sztuki z opakowaniem.

Duże zapotrzebowanie mamy w Belgji, Holandji i Francji, z którą firma nasza nawiązała już stosunki.

— Tak, tak — uśmiecha się p. Gallas — piece pokojowe, to dziś przeżytki. Piecyki „Hekla" wypowiedziały im stanowczą wojnę i, zdaje się, zwyciężą. Społeczeństwo nasze coraz lepiej rozumie swoją korzyść. Otrzymujemy masowe zamówienia od kooperatyw mieszkaniowych, osad fabrycznych. Jedne z ostatnich zamówień nadesłały nam fabryka Mirkowska w Jeziornie oraz Stow. Mieszk. Oficerów.

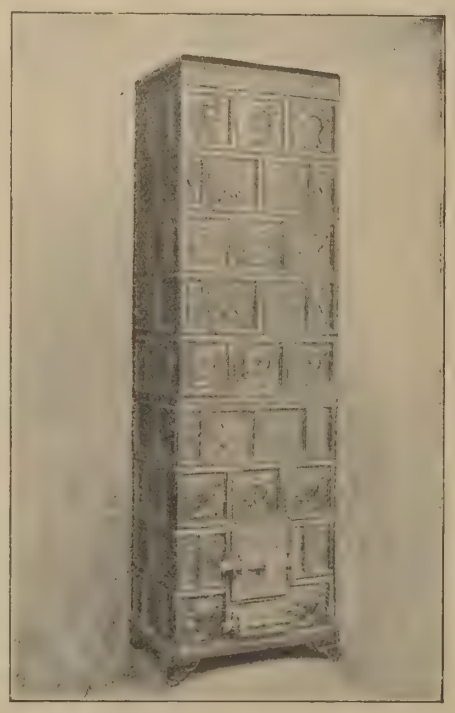

Model III.

Piecyki nie są jedynym artykułem zbytu naszej firmy. Wyrabiamy również w ilościach wagonowych kafle wszelkiego rodzaju, posadzkę terakotową, płytki glazurowane do wykładania ścian, oraz przeprowadzamy wszelkie roboty zduńskie.

Pożegnawszy p. Gallasa, opuściliśmy **Polskie Zakłady Ceramiczne**, wynosząc przyjemne przeświadczenie, że ruch w naszym przemyśle idzie w szybkiem tempie i że tak pożyteczna placówka przemysłowa rozwija się, czyniąc tak wiele dobrego. Życzyć należy, aby społeczeństwo nasze zrozumiało swój pożytek i by piecyk „Hekla" znalazł się w każdym domu polskim.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8.

Nr 31 Ogólnego zbioru 3,324 Wydawnictwa rok 64. 28 Lipca 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

STARY ZAUŁEK W GDAŃSKU. M. TRZEBIŃSKI.

PRAWDA Z NAD RUHRY.

Essen, w Lipcu.

Nawet podczas wojny dzienniki niemieckie nie podawały tylu kłamstw, co w „oryginalnych korespondencjach“ z nad Ruhry. Agencja Wolffa nieustannie nadsyła takie wiadomości, że ten, kto tkwił w Essen dłużej niż kilka dni, przeciera oczy ze zdziwienia i trudno mu uwierzyć, iż takie brednie wogóle drukować można. Jeżeli orgeszowcy zabijają Francuza, to zawsze nasuwane jest przypuszczenie, że zabili go... sami Francuzi. Jeżeli komuniści uczynią krwawe rozruchy, to naturalnie, że namówili ich do tego Francuzi. A jeżeli komunistów postrzelają policjanci, to oczywiście Francuzi dali im broń. Podczas próby rewolucji komunistycznej w maju dzienniki prawicowe pisały, że ranni komuniści znajdują schronienie w koszarach Francuzów i Belgów, a komunistyczne wmawiały w czytelników, że Francuzi rozpędzili strajkujących. Propaganda niemiecka jest tak imienna i niezręczna, że sprzykrzyła się nawet Niemcom. „Welt am Montag“, „General-Anzeiger“ z Dortmundu, pisma socjalistyczne i nawet „Vossische Zeitung“ z oburzeniem wielokrotnie prostowały całkowicie od *a* do *z* wymyślone „fakty“ półurzędówki berlińskiej, której najgorliwszym interpretatorem jest „liberalny i demokratyczny“ a zupełnie żydowski „Berliner Tageblatt.“ Dziennik ten nieraz prześciga czysto prawicowe organy w puszczaniu w obieg fantastycznych bajek o „okrucieństwach okupantów.“ Według niego—według „Deutsche Tageszeitung“ i t. d. i t. d.—Francuzi strzelają do ludzi jak do zajęcy, zabijają dzieci i kobiety, „pastwią się“ nad rannymi, ogładzają cały kraj, niszczą co mogą i t. d. Ostatecznie niewartoby o tem wspominać, gdyby nie to, że do nas przychodzi tyle pism niemieckich i tylu ludzi je czyta!—i chociaż niejeden na głupstwa „blattów“ berlińskich wzrusza ramionami, to przecież nie może mieć wyobrażenia o rozmiarach ordynarnych zmyśleń prasowych biur niemieckich.

Podam jeden tylko maleńki przykładzik. W Essen jakiś orgeszowiec zabił Francuza nazwiskiem Schmidt, który siedział w pokoju na parterze w gmachu dworca kolejowego. Strzał dano przez okno, późnym wieczorem. Przez kilka dni w prasie niemieckiej cisza. Miastu grożą kary, jeżeli sprawca się nie znajdzie. Mija jeszcze z dziesięć dni. Nareszcie w najpoważniejszym dzienniku prawicowym „Rheinisch-Westfälische Zeitung“ ukazuje się ogromny artykuł p. t. „Wykrycie mordercy.“ Tytuł, wybity tłustym drukiem, zajmuje pół stronicy. A co za treść? Posłuchajcie: Był sobie Niemiec, który widział przebieg morderstwa. Niemiec ten późnym wieczorem przyszedł w towarzystwie Francuza na dworzec kolejowy w Essen. Obydwaj (co za rozczulająca przyjaźń) „wstąpili“ do Francuza Schmidta, który jadł wieczerzę. Jakiś czas u niego rozmawiano (?), poczem Francuz, towarzyszący Niemcowi, wyszedł. Niemiec pozostał. W chwilę później Francuz, który był wyszedł, ukazał się w otwartem oknie. Miał w ręku rewolwer. Bawiąc się bronią, wymierzył do Schmidta. Wtem padł strzał. Schmidt runął śmiertelnie raniony. Francuz uciekł...

A Niemiec?

Niemiec także uciekł i długi czas się ukrywał, obawiając się „wyjawić prawdy“...

Jakie to śliczne opowiadanie! — może zawołać czytelnik, zachwycony bezradną głupotą najpoważniejszego dziennika prawicowo-niemieckiego nad Ruhrą. Wistocie — niewiadomo co tu więcej podziwiać—czy ubóstwo wyobraźni, czy naiwność, że taki niezdarny idjotyzm może znaleźć wiarę u kogokolwiek. I rzecz ciekawa: żadne pismo niemieckie—nawet sama „Rheinisch-Westfäliche Zeitung“ nigdy już nie poruszyła tematu powyższej „rewelacji.“

Sądzę, że po tym przykładzie każdy czytelnik pism niemieckich w Warszawie z innem uczuciem będzie je brał do ręki. W każdym razie radzę, ażeby zawsze po „Berliner Tageblacie“ przejrzał sobie „Welt am Montag“—lub choćby „Rothe Fahne.“ Wówczas napewno przestanie widzieć nad Ruhrą „żywiołowy opór ludności“ i „okrucieństwa Francuzów.“

* * *

Lloyd George, pisząc o propozycjach niemieckich, które rząd Cuno'a wystosował do sprzymierzonych za zachętą Curzona, wyraził się, że w dokumencie tym „widać wybitnie skutki odżywiania się kartoflami.“ Lloyd George jest przyjacielem Niemiec... Inne pisma angielskie wyraziły sąd prościej: nazwały ofertę niemiecką „stupid“, stwierdziły, że rząd niemiecki „nawet nie rozumie, co się do niego mówi.“ Prasa angielska, nawet najprzyjaźniejsza Niemcom, nawet mocno przeciwna okupacji Zagłębia Ruhry, nie może wyjść ze zdziwienia, w jaki sposób Cuno doszedł do przekonania, że, aby nie zapłacić pewnej sumy, najmądrzej jest stracić dwa razy tyle, ile ta suma wynosi.

Zdrowy rozum robotników nad Ruhrą odrazu uznał już pierwsze zarządzenia berlińskie, zapowiadające „bierny opór“ za „sprzeczne z interesami ludu“, za „szkodliwe“ i ostrzegał przed polityką kanclerza, „związanego z wielkim przemysłem“ i pragnącego „uprawiać politykę katastrofy.“

Tak pisał w styczniu najpoważniejszy organ robotniczy nad Ruhrą „Essener Arbeiter Zeitung“, pismo, będące własnością wielkich związków zawodowych i redagowane przez socjalistów większościowych.

Jakto? A czemu wciąż tyle słychać o „rezolucjach robotniczych”, zapowiadających, że biernego oporu Niemcy nie porzucą?

Stwierdźmy tu przedewszystkiem, że rezolucje robotnicze (górnicze), które do połowy maja (od połowy lutego) istotnie zapowiadały wytrwale bierny opór, już w maju zaczęły głosić konieczność nawiązania bezpośrednich rokowań z Francją. Potem uznały, że bierny opór „może się stać przedmiotem obrad” i w końcu przypuściły gwałtowny atak na Cuno'a. „Żaden rząd nie był tak zły, jak rząd Cuno'a — pisała „Essener Arbeiter Zeitung”. Rząd Cuno'a obiecywał mnóstwo, wzbogacił jednak tylko przedsiębiorców i wielkich posiadaczy ziemskich. Pomagał ich kombinacjom walutowym, dawał subsydja, a dla klas pracujących nie zrobił nic—przeciwnie, wtrącił je w rozpacz i nędzę. „Jeżeli rząd Cuno'a nie zmieni tej taktyki, to robotnicy bardzo poważnie się z nim rozmówią”.

A na mieście (w Essen) kupcy niemieccy mówią: „Dosyć mamy tych „Käseköpfe von Berlin”! Jeżeli ma tak iść dalej, to założymy sobie tutaj republikę nadreńską!”

Bierny opór?

Wchodzimy do sklepu: właściciel uśmiechnięty, uprzejmy zachwala towary Francuzowi, który z nonszalancją je ogląda. Ma taką walutę! Wie, że jemu drożej sprzedają — ale to i tak bardzo tanio! Sto franków! To przecież więcej niż miljon marek!

Wchodzimy do restauracji. Niebieskie mundury francuskie rozsiane wszędzie — słychać rozmowę francuską, włoską, niemiecką, polską, rosyjską...

Wchodzimy na dworzec kolejowy. Kilka kas oblężonych. Długie ogonki kupujących. Prawie wszyscy rozmawiają po niemiecku. A to jest kolej francusko-belgijska! Nie pomaga nawet strach przed zamachami organizacyj morderczych — nie wszyscy Niemcy zadawalają się tramwajami! Nie pomagają aresztowania podróżnych, wychodzących z kolei francuskich, skoro policjanci przyłapią ich na terenie nieokupowanym. Dochodziło do bijatyk podczas tych aresztowań, aż wreszcie przestano prześladować „niepatrjotów”.

Skąd się wziął bierny opór i kto go jeszcze uprawia?

Odpowiedzmy odrazu: bierny opór istnieje wyłącznie wśród mas urzędników, bezpośrednio zależnych od rządu. Kolejarze „nie chcą” pracować z Francuzami, bo tak brzmiały liczne rozkazy ministra kolei, Grolnera. Zgrzytając zębami, są posłuszni zwierzchności swojej — znoszą cierpliwie, że okupanci wypędzają ich z mieszkań, nieraz usuwają poza teren okupowany i w nagrodę za to przesiedlenie otrzymują nazwę bohaterów... z konieczności. Otrzymują płacę — a robią niewiele, albo nic. Za pracę z Francuzami grozi im dymisja — a jednak zgłasza się do zakazanej pracy coraz większa ich liczba...

„Opór żywiołowy” nigdy nad Ruhrą nie istniał. Jest to bajka propagandy niemieckiej.

* * *

„Nie będziemy pracowali pod bagnetami francuskiemi” — głosiło mnóstwo rezolucyj robotników-górników...

Jak się to stało, że to, co uważano w styczniu za szkodliwe, zgubne, katastrofalne, w ciągu następnych miesięcy stało się hasłem?

Czyjem hasłem?

Nie mas robotniczych, nie ludu pracującego, nie „żywiołu” — ale *przywódców robotniczych*. Oni to przeprowadzali, uchwalali rezolucje. Oni ponoszą odpowiedzialność za postawę górników, oni zmuszali masy do porzucania pracy, skoro Francuzi zajmowali kopalnię, oni doprowadzili do zupełnej demoralizacji setki tysięcy ludzi, którym się płaci za udawaną lub zmniejszoną do piątej, do dziesiątej części pracę. Dzięki ich taktyce powstały teraz nad Ruhrą hasła sześcio, pięcio, a nawet czterogodzinnego dnia pracy... Materjał robotniczy w swej wartości spada coraz niżej...

A mogli przywódcy sprawować taką władzę—ponieważ są pośrednikami pomiędzy kapitałem i pracą. Kapitał zaś ten—to pieniądze rządu niemieckiego.

Wytworzyła się taka sytuacja, że ktoby „pod bagnetami” pracował, tenby zarobku nie otrzymał. A kto nic nie będzie robił, ten dostanie pieniądze i jeszcze będzie miał czas i siły na zarobki uboczne... u Francuzów.

Czy masy ludzi mogą się oprzeć takiej perspektywie? Czy można wstrzymać kogoś od brania pieniędzy za nic, skoro jeszcze w dodatku takie postępowanie, czyli takie próżnowanie sławione jest potem jako patrjotyzm i męczeństwo przez całą prasę niemiecką?

Wśród robotników (górników) bierny opór trwał przez kilka miesięcy dlatego, że rząd niemiecki pewnością siebie, obietnicami, groźbami, pomocą Anglji i Rosji, zawikłaniami sprzymierzonych z Turcją, niezgodą między Francją i Anglją, pożyczką amerykańską, propagandą, wywoływaniem nienawiści do Francuzów i Belgów, fałszywemi wiadomościami o postawie Włoch i Papieża, przypominaniem wojny wyzwoleńczej z r. 1813, szantażem ukrytej mocy wojennej, dążnością do przekreślenia traktatu wersalskiego — wreszcie zaś osobistemi wpływami — jakiemi? — zamilczmy o tem — oszukiwał przywódców gwarectw i partyj robotniczych, ci zaś oszukiwali świadomie lub nieświadomie — masy robotnicze.

Ale to długo trwać nie mogło.

Robotnicy stracili zaufanie do swoich przywódców. Partje lojalne wobec rządu topnieją. Wyraz „zdrajca” coraz częściej przyczepia się do nazwisk przywódców robotniczych.

(dn) *K.*

STARY DOM W PUŁAWACH. M. TRZEBIŃSKI.

PUŁAWY.

Zbyteczna jest opisywać Puławy, opiewać ich urok i objaśniać jaką rolę odegrały w naszej epoce porozbiorowej. Wszyscy również wiemy, że w pałacu XX. Czartoryskich, gruntownie przez Rosjan oszpeconym, mieścił się przez dłuższy czas Instytut Rolniczy i że wojska rosyjskie, ustępując, spaliły to miasto.

Minęło już dobre siedem lat od tej chwili a Puławy nie odbudowują się wcale. Na rynku i głównej ulicy obok niewielu ocalałych budynków, rumowiska spalonych domów połatano deskami i w tych budach rozwija się spokojnie handel miejscowy, bogacąc w niepomierny sposób kupców tutejszych wyznania mojżeszowego.

Sam Instytut podczas wojny nie ucierpiał wcale. Władze austrjackie przemieniły uczelnię rosyjską na Instytut Doświadczalny, trwający dotąd Placówka ta polskiej wiedzy stosowanej, będąc przez rząd nasz słabo uposażoną a przez ziemiaństwo niedocenianą, choć z trudem—rozwija się jednak dość skutecznie.

Piękny park pałacowy bez należytego dozoru i ogrodzenia, oddały losy na pastwę miejscowego żydostwa a stylowe budynki dworskie, pomimo dachów dziurawych i ścian od wody zmurszałych świadczą godnie o kulturze dawnych dziedziców tej uroczej siedziby.

Przez Puławy rok rocznie przewija się mnóstwo turystów, wielu letników przejeżdża tędy, zdążając do sąsiedniego Kazimierza. Jadąc szerokim gościńcem, ocienionym poczwórnym szeregiem prastarych lip, topol i kasztanów, mija się nad „głęboką drogą" wiszący most wenecki, bramy oranżerje w klasycznym stylu budowane.

Wyrosłe do niebotycznych rozmiarów drzewa pięknie harmonizują z architektonicznemi upiększeniami drogi i parku.

A gdy jesień nastanie, gdy te drzewa olbrzymy zagrają całą orgją przecudnych barw żółtych lub ognisto czerwonych, gdy murawa i drogi przytroją się złotemi liśćmi, opadłemi z wijących się jak czarne węże obnażonych gałęzi, wówczas stary park święci triumf takiego życia i blasku, jest tak odmienny i oderwany od życia codziennego, że mimowoli wprowadza w dziedzinę marzeń, wspomnień i fantazji.

Nie widzi się więc wzorowych obór i stajen, zapomina się o księgosuszu, sztucznych wylęgarniach i pszczelarstwie, natomiast postacie historyczne wraz z otoczeniem jak żywe powstają przed oczami.

Pałac, brutalnie okaleczony, zdaje się nabierać dawnych kształtów a podwójne schody zewnętrzne prowadzą na obszerny taras górnego piętra.

— „Tu mieszkał Kościuszko", przypomina świeżo wmurowana tablica, oto znowu empirowy pałacyk, w którym cesarzowie rosyjscy Aleksander i Mikołaj kolejno rezydowali, wreszcie „Świątynia Sybilli" i „Domek Gotycki"—podwaliny polskiego muzealnictwa. Tu bowiem Izabella z Flemingów Czartoryska, wieszczym duchem tknięta, gorączkowo gromadziła pamiątki po ginącej ojczyźnie, aby Polska, zabita politycznie, mogła wkrótce odżyć w pieśni i przetrwać w sztuce najcięższe lata niewoli.

M. Trzebiński

DOMEK GOTYCKI W PUŁAWACH. M. TRZEBIŃSKI.

NIEMCY W OBLICZU PRAWDY DZIEJOWEJ.

VII.

Niestety, większość ich nie ma charakteru dowodów bezpośrednich. Są to jedynie wersje, czerpane z różnych ust i to osób drugorzędnych na stanowiskach pośledniejszych. Jakaś pogłoska o opinji powszechnej w Tokio, przesłana za pośrednictwem attaché marynarki (jeszcze w kwietniu 1914 r.), jakieś przemówienie dyrektora akademji wojskowej do oficerów w Petersburgu (marzec 1914 r.).

Inne wersje czerpane są z późniejszych relacyj ambasadora francuskiego Paléologue'a i posła serbskiego Bogiczewicza na tle rozmów osób dworskich lub należących do świata dyplomatycznego.

Opowiadanie ks. Tundutowa, który przypadkowo podsłuchał telefon gen. Januszkiewicza z carem i rozmowę jego z Sazonowem, odpowiada znanym faktom — rozkazowi wstrzymania mobilizacji przez cara, cofnięciu tego rozkazu na skutek drugiej depeszy ces. Wilhelma oraz interwencji Sazonowa dnia następnego.

Rzekome odezwanie się cara do ministra dworu hr. Friedericksa (na wiosnę 1914 r.) z powodu pytania o program zajęć letnich: „Je resterai chez moi cette année, parce que nous aurons la guerre" (Ereignisse, str. 211) ma charakter takiego jasnowidzenia politycznego, o które nikt za życia nie podejrzewał Mikołaja II, a może i on sam nie troszczył się.

Większą wartość posiadają zeznania jeńców rosyjskich, zebrane w czasie wojny przez sztab niemiecki.

Tak więc, według nich, korpusy syberyjskie posuwane były na zachód już od lata r. 1913. Naprzód przewieziono je koleją pod Moskwę rzekomo dla odbycia manewrów — później przesuwano je piechotą ku granicy zachodniej w kierunku Wilna. Tu rozdano żołnierzom ostre naboje i powiedziano im, że idą na wojnę z Niemcami. Dlaczego i po co, żołnierze sami nie wiedzieli (Ereignisse, str. 215). Te szczegóły są ważne i wskazują na przygotowania wojenne Rosji, ale w jakim kierunku — czy przeciw Niemcom lub Austrji — nie powiadają. W sferach kierujących austrjackich, do samego cesarza włącznie, było zaniepokojenie już zdawna z powodu zapowiedzianej na jesień w r. 1914 mobilizacji próbnej w Rosji.

Jedno tylko, co przytacza cesarz Wilhelm, zasługuje na wiarę, jako dowód historyczny, to wiadomość, skądinąd także potwierdzona, o naradzie cesarskiej w Petersburgu z lutego 1914 r. Na naradzie tej Sazonow wystąpił z projektem zajęcia Konstantynopola. Ponieważ trójprzymierze temu się sprzeciwi, wybuchnie — jak motywował — wojna z Austrją i Niemcami. Włochy wówczas odpadną od trójprzymierza; na Francję może Rosja napewno liczyć, na Anglję—według wszelkiego prawdopodobieństwa. Car dał swą zgodę na ten projekt i kazał poczynić odpowiednie zarządzenia. Na to Kokowcew, ówczesny minister finansów, wystąpił do cesarza z memorjałem, w którym doradzał współdziałanie z Niemcami, w przeciwnym bowiem razie wojna pociągnie za sobą rewolucję i upadek dynastji. Pismo to Kokowcewa zostało doręczone Wilhelmowi już w czasie wojny za pośrednictwem hr. Mirbacha, bawiącego w Moskwie (po traktacie brzesko-litewskim). Ale, dodaje Wilhelm, car nie poszedł za tą radą, wolał raczej gotować wojnę (Ereignisse, str. 214).

I owa narada 22 lutego i pismo Kokowcewa są to fakta historycznie stwierdzone. Ex-cesarz Wilhelm daje im tylko fałszywe oświetlenie. W rzeczywistości sprawa cieśnin czyli zajęcia Konstantynopola była na porządku dziennym dyplomacji europejskiej od półtorasta lat. Witte opowiada w swoich pamiętnikach, że ekspedycja morska w celu zajęcia Bosforu była już zdecydowana w pierwszych latach panowania Mikołaja II i sam ją rozbił swoim wpływem ministra skarbu. Na tem tle nastąpiło zbliżenie między Rosją a Włochami i traktat tajny w Racconigi (1908 r.), który gwarantował Rosji swobodę działania w sprawie cieśnin, Włochom zaś zajęcie Trypolitanji i Cyrenajki (tekst ogłoszony z archiwum rosyjskiego w zbiorze p. t. „Un livre noir" z ramienia rządu sowietów).

Kiedy Włochy wszczęły wojnę libijską, dyplomacja rosyjska — głównie Izwolskij w Paryżu— zaczęła pracować nad zrealizowaniem tej idei. Ale natrafiła, jak zawsze zresztą, na opór ze strony Anglji. Minister angielski, lord Grey, był zawsze zdania, iż kwestja cieśnin może być rozwiązana tylko w zgodzie ze wszystkiemi państwami, które podpisały traktat londyński z r. 1871. Mimo życzliwego stanowiska Francji Rosja musiała usunąć sprawę z pod dyskusji dyplomatycznej, aby nie narazić wręcz na rozbicie samego trójporozmienia.

Oto jakie były szanse wojny między trójprzymierzem a trójporozumieniem na tle sprawy wschodniej (na jesieni r. 1912). Do lutego r. 1914 sytuacja dyplomatyczna pod tym względem wcale się nie zmieniła.

To nie sprzeciwia się temu, że na poprawę szans swoich dyplomatycznych w kwestji wschodniej Rosja stale liczyła i nie zawiodła się w czasie wojny. Tem się tłumaczyły też jej zbrojenia, na których ukończenie Rosja potrzebowała — według ambasadora włoskiego w Paryżu, markiza Carlottiego — przynajmniej lat trzech. Według opinji znawców rozkład stale postępujący Turcji przygotowywał kryzys wschodni. Na ten wypadek Rosja chciała być gotowa, ale nie do walki przeciw Niemcom o otwarcie cieśnin.

Na jeszcze jeden szczegół, podany przez Wilhelma w króciutkim rozdzialiku o wybuchu wojny, należy zwrócić uwagę. Wilhelm powiada, że za powrotem do domu zastał konflikt między kanclerzem a generalnym sztabem. Sztab opierał się na zapewnieniach kanclerza, że konflikt da się ograniczyć do Serbji i do Austrji i w tym duchu utrzymywał odpowiednie zarządzenia. Armja natomiast i sztab generalny przewidywały wojnę i ostrzegały przed nią.

Jest to szczegół, o tyle nieścisły, że nie tylko dyplomacja, ale i sam cesarz, podejmując inicjatywę, przewidywali konflikt w całej jego rozciągłości, aż do wojny światowej, a pewne sfery niemieckie, zwłaszcza wojskowe, choć i dyplomatyczne (jak minister spraw zagr., von Jagow) życzyły go sobie pod pewnemi względami w charakterze wojny prewencyjnej. Do chwili też wypowiedzenia wojny Serbji przez Austrję obie strony szły sobie na rękę i nawzajem współdziałały.

Dopiero po ogłoszeniu mobilizacji rosyjskiej nastąpił rozdźwięk między dyplomacją a armją. Sztab generalny jest za wojną natychmiastową, podczas gdy kanclerz ją powstrzymywał. Te sfery wojenne nie mogły darować kanclerzowi, że przez swą interwencję u cesarza opóźnił mobilizację przynajmniej o dwa dni, i jeszcze w czasie wojny wymawiał mu to autor bezimiennej broszury pod pseudonimem Alter Junius, zwalając nań winę klęski. Odtąd między polityką pokojową kanclerza a wojenną sfer sztabowych trwał konflikt aż do chwili upadku Bethmana Hollwega.

Wilhelm, zapominając o tem wszystkiem, zwala całą odpowiedzialność na urząd ministerstwa spraw zagranicznych, któremu sam bezpośrednio wydawał rozkazy. „Cała maszyna dyplomatyczna okazała się u nas do niczego"—apostrofuje po przegranej wojnie: „ponieważ ministerstwo spraw zagranicznych, wychodząc z założenia „surtout pas d'histoires" tak było zahipnotyzowane dążeniem do pokoju „à tout prix", iż ewentualność wojny, jako możliwego środka sztuki dyplomatycznej ententy, całkowicie wypuściło z pod uwagi". Chwali natomiast armję, która nie mogła darować urzędowi spraw zagranicznych, iż z jego winy wojna ją zaskoczyła, gdy tymczasem dyplomacja czuła się dotkniętą, iż mimo jej sztuki przyszło do wojny (Ereignisse, str. 212).

I to pisze ten sam Wilhelm, który wyraźnie nakazywał sojuszniczce swej, monarchji austrjackiej, krwawą rozprawę z Serbami nawet na ryzyko wojny z Rosją! Dodaje jeszcze, zachwycony sam swoją argumentacją: „także i w tem leży zresztą dowód pokojowych zamiarów Niemiec".

Jakież to szczęście, że taki histrjon zeszedł po r. 1918 z widowni światła i sam się jeszcze odmalowywał dla potomności. *A. Szelągowski.*

INTELIGENCJA.

Inteligencja — jakby wskazywał źródłosłów łaciński — jest to grupa społeczna rozumiejąca, przenikająca, obejmująca...

Obserwujemy dziwne zjawisko: to, co się da zastosować do t. zw. inteligencji wogóle — żadną miarą nie da się zastosować w szczególe do inteligencji polskiej.

Inteligent polski bowiem — *obejmuje* często, *przenika* — rzadziej — i *nie rozumie nic.*

Przykłady:

Przykłady bywają dwojakiego rodzaju: męskiego i żeńskiego...

W danym wypadku możemy przytoczyć wyłącznie te drugie, bo *męski* przykład dla inteligenta polskiego nie jest wogóle przykładem.

Zatem żeński!

Abstrakcyjny: cnota.

Cnotę każdy rasowy inteligent polski obejmuje chętnie. Powiem więcej: radośnie! (Połaniecki, Judym), z przenikaniami jest gorzej: (tylko Połaniecki).

Ze zrozumieniem... (—)

Przykład realny: drożyzna.

Obejmujemy ją doskonale.

— Kelner, proszę mi podać jadłospis.

— Wyszedł.

— Co macie?

— Pstrąg wiślany, łosoś stawowy, majonez z pulardy à la Rossini, raki po żydowsku, Melba Pompadour, Parfait z ananasów —

— Nie, ja proszę o bułeczkę z szynką.

. . . . . .

— Ile, proszę pana dobrodzieja, te kamasze?

— Boks amerykański, czysta gemza, szpilkowe, niech pan zwróci uwagę, czysta robota ręczna, podeszwy, bric à-brac, patent amerykański — 750,000 marek. Zadarmo.

— Nie, uważa pan. Jabym chciał coś takiego, letniego... Może sandały?... Tylko płócienne, drogi panie, płócienne... Albo, może szanowny pan ma skorochody z juty? — Bo papier, istotnie, przemaka...

. . . . . .

Z przenikaniami, jak się rzekło, jest gorzej.

— No i co, Karolku? Dotarłeś do — samego —

— Dotarłem. Ale nie przeniknąłem do środka, bo, uważasz, tam stoi taki brodaty szwajcar, więc, rozumiesz mnie, duszko, nie wypadało mniej niż dziesięć tysięcy a ja miałem tylko tysiąc marek i w dodatku sklejony — —

Zrozumienia wogóle niema.

— I powiedzcie mi, przyjaciele, co się właściwie stało? O Polskę, nie wymawiając, czynem, piórem, pieśnią, tęsknotą — walczyliśmy prawie wyłącznie my, inteligencja! W latach niewoli, ucisku, nauczaliśmy potajemnie, spiskowali, brali wilcze bilety, wyroki, zesłania, udręczenia, — walczyliśmy z caratem, z krzyżactwem, z lokajstwem... także my!

I Polskie państwo wspomagamy: orząc, urzędując, służąc, tworząc, pisząc, malując, rzeźbiąc — jeszcze raz my!

A oto nie mamy zaco żyć, niewolno nam kupować książek i chodzić do teatrów, niewolno wytchnąć, ani wyjechać na słońce... — Dlaczego?

Zdzisław Kleszczyński.

PANI Z KSIĄŻKĄ. A. MARKOWSKI.

WNĘTRZE KOŚCIOŁA. A. MARKOWSKI.

WYSTAWA OBRAZÓW MARKOWSKIEGO.

Niedawno odbyła się w lwowskiem Towarz. Przyjaciół Sztuk Pięknych zbiorowa wystawa obrazów prof. Markowskiego, przyjęta bardzo życzliwie przez publiczność i krytykę. Artysta wystawił cały szereg dzieł z zakresu pejzażu, martwej natury oraz dzieł figuralnych. Stwierdzić należy, że istotnie skala twórczości Markowskiego jest bardzo rozległa i we wszystkich tych dziedzinach artysta osiąga zamierzone wyniki. Najbardziej zdaje się odpowiadać Markowskiemu pejzaż, gdzie dochodzi do tak świetnych rezultatów jak w widokach tatrzańskich, które były ozdobą tej interesującej wystawy. Odczucie przyrody, specjalny kąt patrzenia na nią, umiejętność dobierania motywów oraz doskonały koloryt i rysunek, wszystko to składa się na całość pod względem artystycznym bardzo poważną. I jeszcze jeden obraz zwracał powszechną uwagę: wnętrze kościoła ze świetnie uchwyconym nastrojem oraz doskonałem oddaniem monumentalności architektury. W dziełach figuralnych w pierwszym rzędzie dominuje świetny rysunek i próba oddania psychicznej treści portretowanego.

FRAGMENT HALI GĄSIENICOWEJ. A. MARKOWSKI.

MARTWA NATURA. A. MARKOWSKI.

MORSKIE OKO. A. MARKOWSKI.

HR. HENRYK W WALCE Z CZARNOKSIĘŻNIKIEM.

(*Zygmunt Krasiński i Dawid Hume*). (4)

Z pewną satysfakcją donosił o tem Krasiński przyjacielowi swemu: „Nareszcie *medium* wykluczył mnie ze swoich posiedzeń! Wygnał mnie z grona swych wiernych, unikał mnie, wystrzegał się mnie, oświadczając, że mu przeszkadzam ciągłą myślą, iż złe duchy ukryte pod tem wszystkiem. Widzisz więc, że nietylko pod wpływ jego się nie oddałem, alem wystąpił przeciw niemu do walki!" (j. w. 207).

I ostatecznie nie wiedział, czy udało mu się istotnie trafić na ślad „intrygi piekielnej?..."

Ten jasnowłosy czarnoksiężnik był mimowoli jeszcze jedną kroplą w owej czarze goryczy, którą życie podawało do ust znękanego poety „Przedświtu".

Epilog tej walki rozegrał się już w literaturze. Na podstawie swych denerwujących badań, stąpań i śledzeń, osnuł Krasiński całą rozprawkę, w której, podobnie jak p. Georges Sand w tym czasie, usiłował skontruować swojego chowu teoryjkę spirytystyczną.

Rozprawka, napisana wkrótce potem, ogłoszona dopiero po śmierci (Dzieła t. VII, str. 101—165), starała się raz jeszcze dać odpowiedź na pytanie, jaka jest natura zjawisk spirytystycznych, skąd one pochodzą i co mają oznaczać. Infernalność ich nie ulegała nadal kwestji w przekonaniu Krasińskiego.

Któż bowiem puka w stolikach, z jakiemi duchami ułatwiają nam zetknięcie te jakieś „medjumy" i ten ich herszt, Hume?

„Oczywiście — odpowiadał — że nie ze zbawionymi, chyba z miernymi lub obojętnymi...

„Lecz sąż takowe obojętne, ni złe ni dobre poza światem. A jakżeż przypuścić, że bolejące i wyczyszczające się, zatem ciążące już ku Bogu, mogą przyjść, dzwonkami poruszać, chustki na węzły zawiązywać, na akordeonach przegrywać? Jakżeżby ich powaga boleści uroczystej w tej chwili odpoważniała?..."

„Chybaby należało przypuścić, że one bezwładne, biedne, niemocne tem, że pozbawione ciała duchy... omacnie, błędnie działają..."

„Możnaż na takim domyśle się oprzeć?..."

„A jeźli te same *złe* duchy tak mnogo i publicznie, tak demokratycznie, że tak powiem, wszędzie za lada dotknięciem stolika przybiegające i obcujące z rodem ludzkim, z którym dawniej wyjątkowo tylko i za pośrednictwem piekielnych obrzędów obcowały, cóż za straszny znak?..."

„Czyż nie dowód, iż zapsucie rozpowszechniło się nad miarę wszelką i że wkrótce w dziejach ukażą się klęski, równie jako ono szerokie i powszechne? Wtedy, jak sępy do ciał, mających wkrótce skonać, zlatywałyby się do nas duchy one—".

„— Hume byłby, sam nie wiedząc o tem, zapowiedzią, poręką, przesłańcem apokaliptycznych podrzutów historji!"

Tak pisał wieszcz „Nieboskiej" na krótko przed śmiercią. Czarne przewidywania nie spełniły się naturalnie. Czarodziej z wysp Orknejskich chodził jeszcze długo po świecie († 1886), przejechał wszerz i wzdłuż Europę, stawał przed uczonymi, wprawiał ludzi w zdumienie. I nie sprowadził żadnego z nieszczęść, przepowiadanych przez Krasińskiego.

Stała się natomiast rzecz inna. Oto z czatem gwiazda jego zaczęła blednąć. Duchy odwiedzały go coraz rzadziej. Produkcje przed Akademją petersburską dały rezultat ujemny. Daremnie tłumaczył się, że jak śpiewak traci głos, a malarz talent, tak i w nim obumierać zaczęły owe przedziwne właściwości, które zdumiewały fizyków, cesarzy i filozofów.

To dziwne. Moc Dawida Douglasa Hume'a skończyła się razem z epoką romantyzmu.

St. Wasylewski.

ŻYCIE ZAGROBOWE I ŚMIERĆ W SZTUCE GRECKO-RZYMSKIEJ.

(5)

sobom zmarłym ku pamięci zamiast płyty grobowej stawiano również symboliczne posągi, lub słup zakończony wyobrażeniem świątyni. Ludzi sławnych grzebano (Ryc. 10) w wysokich mogiłach w grobowcach wykutych w skale, lub budynkach ciosowych, przykrytych kopułą w t. z. „tolosach", jak tego przykładem są słynne grobowce Mykeńskie. W dobie klasycznej (V w.) budują Grecy groby w kształcie zbytkownych świątyń. Do wielu grobów przywiązywano moc cudowną. Stosunkowo mało pozostało z owych architektonicznych zabytków. Wojny Greków z sąsiadami i z Rzymem zniszczyły miasta i osady, spustoszenia zaś czynione przez łupiezców, szukających skarbów—dopełniały zagłady.

Plastyczne wyobrażenia śmierci Rzymian w postaci skieletu, lub larw przypadają na epokę aleksandryjską. Są to albo wypukłe rzeźby, (często części sarkofagów), albo figurki z bronzu, srebra, kości słoniowej. Skielety, niekiedy czaszki, dekorują również liczne przedmioty przemysłu artystycznego. Interesujące zwłaszcza są lampy zdobne w wyobrażenia czaszek, z odpowiedniemi napisami greckiemi (pochodzą najprawdopodobniej z jednego ogniska warsztatowego, mianowicie z Aleksandrji), oraz naczynia przeznaczone do wina.

Wazy, na których widnieje uosobienie śmierci w postaci skieletów, znaleziono w większej ilości w Arezzo. Są to ceramiczne reprodukcje przemysłu metalowego (waz srebrnych i złotych). Wiele tych kubków zdobnych jest w sceny bakchiczne, natchnione interpretacją doktryn epikurejskich. Kompozycje otoczone gerlandami najczęściej uwitymi z róż. Ruchy skieletów—rozmaite. Widzimy je niejednokrotnie w towarzystwie innych figur (np. amora), gdy mówią, gestykulują, spoczywają.

Z pomiędzy naczyń, o jakich wspominamy, dwa kubki znaleziono w wykopaliskach z Bosco Reale [1]), datujące z czasów panowania Augusta są najpiękniejszym i najwięcej interesującym zabytkiem tego rodzaju w całej rzymsko-greckiej starożytności tak pod względem materjału (srebro pozłacane) jak również pod względem oryginalności pomysłu i kunsztownej techniki artystycznej. Kubki tworzą pendant. Są to wazy do picia, szersze u góry niż u dołu (modiulus) zwane przez Włochów „vasi a mortaio". Każdy z nich na swoim kręgu przedstawia 4 sceny. Widać tu w żywym ruchu 26 skieletów (16 dużych, 10 małych). Z 16-stu głównych aktorów, 9 osób oznaczonych jest napisem objaśniającym dokładnie charakter ich i zajęcie. 4 sceny pierwszego kubka (Ryc. 11 i 12) ukazują jako bohaterów Sofoklesa, Moschiona i grajka z lirą, Zenona, Epikura, a nadto 3 anonimowe skielety. Widzimy tutaj obok nieznanych larw, uosabiających ludzkość — osobistości, co w sztuce, literaturze, w studjach nad zagadkami życia zajmowały wybitne stanowisko. Każda z owych figur, scharakteryzowana odpowiednim atrybutem, umieszczona jest na swojem miejscu, według z góry zakreślonego planu artystycznego. Ważniejsze postacie wysunięte naprzód, mniej znaczące traktowane pobieżnie. Filozofowie umieszczeni po dwóch jeden naprzeciw drugiego personifikują doktryny wręcz siebie wyłączające. Osobliwie żywą jest scena między Zenonem a Epikurem, gesty obu wskazują bez wątpienia, iż uczeni rozchodzą się w zupełnym rozdźwięku. Niedaleko Epikura świnia podnosząca ryj swój do placka, leżącego na stole i napis „to telos hedone", „rozkosz jest ostatecznym celem" wyraźnie tłumaczą sens całej sceny; podobnie psy związane są z osobą cynika Monimosa. Na drugim kubku analogicznie dwaj uczeni: Ateńczyk Monimos cynik i Demetrius z Falery perypatetyk, należący do sekt filozoficznych o przeciwnych poglądach łają się nawzajemnie. Psy biorą udział w niezgodzie swych panów. Wąż oznacza Demetriusa. Uczony przy końcu życia usunął się na pustynię w górnym Egipcie i tu ukąszony przez żmiję umarł. Jak Sofokles odznacza się szlachetnością postawy, tak Zenon jest prosty i zimny, rzuca spojrzenie ostre, pełne gniewu i z energicznym gestem wzgardy zwraca się do swego rywala — Epikura, człowieka wulgarnego, gotowego chwycić przysmak opodal stojącej świni.

Oba kubki posiadają podobny układ scen, spostrzegamy zatem na drugim kubku (Ryc. 13 i 14) libację przy zwłokach człowieka, obecni nie zdają się być zmartwieni, więc przedewszystkiem ani Menander, wskazujący zapaloną pochodnią bezczelną maskę jednej ze swych heroin, ani Archilok. Maska Moschiona o przyjemnym wyrazie różni się w zupełności od maski przy Menandrze, również znamienną jest różnica między zapaloną i wzniesioną przez niego pochodnią, zgaszoną i spuszczoną na dół pochodnią Moschiona. Napisy „zoe" [1]) pod pochodniami wyrażają symboliczną treść sceny, mianowicie: rozświetlanie przez poetów najbardziej nieraz tajnych, a zarazem najbardziej namiętnych uczuć człowieka, jakie rodzi miłość—od wieków najsilniejszy bodziec życia. Maski są symbolem bohaterek utworów poetyckich, są reprezentantkami obyczajów i serca kobiecego danej epoki. Gerlandy róż ze wstęgami otaczając szyję kubka tworzą dziwny kontrast z żałobnemi scenami i odbijają rażąco od skieletów, umieszczonych na ścianach kubków. Kwiaty trwające jeden zaledwie poranek wskazują swym uroczym, przemijającym kształtem — na krótkość życia. W Rzymie różami wieńczono ciała zmarłych [2]), róże kładziono w oznaczone dnie na grobowcach, rodzice i przyjaciele zmarłego pokrywali gerlandami róż głowy biesiadników podczas uczt żałobnych. Święta żałobne róż znane były pod nazwą „rosalia". W niektórych okolicach owe ceremonje róż żałobnych były organizowane przez stowarzyszenia (bractwa) dionizalne i bezwątpienia jest niezmiernie ciekawym—związek opisywanych kubków zdobnych różami z rytuałem owych uroczystości. Ażeby oznaczyć początek kompozycji, artysta rzeźbi kolumienkę, na szczycie zaś tejże stojący zawoalowany skielet z wyciągniętemi przed siebie rękoma, oznaczony imieniem „Klotho"—wyobraża Śmierć. Bezlitosna Parka Klotho-Śmierć, czy fatalne „Przeznaczenie", dla wszystkich ludzi jest jednakowe, ludzkość uosobiona przez 3 anonimowe skielety wobec niej jest masą bezimienną, bez wagi i znaczenia. O tem samem śpiewa poeta [3]):

---

[1]) Fondation Eugene Piot: „Monuments et Memoires publ. p. l'Academie I. Inscriptions et Belles Lettres d. l. dirct. d. Georges Perrot et Robert de Lasteyrie etc. Paris 1899. T. V. S. 31 etc.

[1]) Wyraz „zoe", albo „vita", ryte nieraz na gemmach, były słowami zaklęć miłosnych.

[2]) Na wazie z Ruvo-Karlsrue przedstawiony jest młodzieniec z wieńcem we włosach, który to szczegół oznacza zmarłego (zheroizowanego) bohatera danej kompozycji. Równocześnie ów wieniec wyjaśnia stosunek do Demetry, bogini podziemia i śmierci. W Atenach zmarli bywali wieńczeni kwiatami. Zmarłych nazywano ze względu na poddaństwo Demetry: „Demetrioi". A. Winkler. „Die Darstellungen d. Unterwelt auf unteritalienischen Vasen". Breslauer philologische Abhandlungen, Breslau. B. III. H. 5. s. 48.

[3]) Horacjusz.: „Ody" IV. tłum. Lucjana Siemieńskiego. Kraków 1869. s. 14.

Ryc. 11.

Ryc. 12.

Ryc. 13.

Ryc. 14.

Kubki z Bosco Reale (Muz. Louvre'u w Paryżu).

Według E. Piot'a „Monuments et Mémoires".

Blada śmierć depce obojętną nogą
Królewskie dwory, jak chaty —
Pomnij Sestjuszu bogaty!
Że życie krótką wymierzone drogą...

Z dużą dozą ironji rzeźbiarz rozmieścił i określił poszczególne emblematy zatem np. worek [4]) z napisem „Sophia" (mądrość) w myśl słów Petronjusza (Satyre. CXXXVII):

„Kto pieniądz ma—w bezpiecznej aurze żegluje
I wolą własną kaprysem losu kieruje.

i wielu nie tylko starożytnych aleksandryjskich, lecz po dziś dzień nieprzestarzałych przysłów i maksym. Pieniądze jednak nie oszukają śmierci. Drugi charakterystyczny przedmiot—zwój pergaminu zapełniony wskazówkami filozoficznemi t. z. „doxai", uczącemi jak należy żyć, aby być szczęśliwym. Dwie czaszki reprezentują dwie ofiary ogólnego przeznaczenia, ludzi, co szukali zapomnienia w zbieraniu bogactw i w nauce — śmierć jednak pozostała dla nich bezlitosną, los ich nie przedstawia teraz żadnej różnicy. Poza tą wstępną alegorją, dwie analogiczne kompozycje ukazują nam 3 bezimienne skielety. Środkowy wkłada na głowę wieniec z kwiatów, ten sam na drugiej wazie przedstawiony jest jako bezduszny kościotrup rozciągnięty na ziemi, towarzysze jego oddają mu honory pogrzebowe, jeden z nich stara się ukryć worek z dodanym wyrazem „phtonoi" t. j. zazdrość [5]), co bez wątpienia rozumieć należy, iż pieniądz rodzi zazdrość, drugi bada uważnie czaszkę trzymaną w dłoni — jakgdyby prototyp Hamleta. Dopełnieniem figur są napisy i sentencje w rodzaju: „Baw się kiedy żyjesz, gdyż jutro jest niepewne", „Roskosz jest najwyższem szczęściem", „Bądź wesoły jak długo żyjesz", „Rozkosz jest ostatecznym celem" równoznaczne z łacińskiem zdaniem „Voluptas sumum bonum" (Rozkosz jest największem dobrem). Inna maksyma: „życie jest teatrem" nasuwa nam na myśl słynne wyrazy umierającego Augusta: „Czy dobrze wypełniłem komedję życia"?... Przy scenie libacji wyryte słowa: „Czcij pobożnie to plugastwo", opodal skieletu badającego czaszkę: „Oto człowiek", motyw zbliżony do sceny rzeźbionej na lampie z kolekcji Oppermana, gdzie filozof zamyślony nad tajemnicą życia umieszczony jest między noworodkiem a skieletem, nadto zbliżone są treścią fragmenty z Arezzo [6]), ilustracje wiersza Apulejusa „Rozmyślanie nad śmiercią jest podwaliną życia".

Analogicznie i wielce pogodnie problem śmierci traktował Cycero [7]) skłaniając się do uznania nieśmiertelności duszy, gdy mówi, że „wychodzić należy z tego świata jak z popasu, a nie jak z domu", w przeciwstawieniu ministyczno-pozytywistycznych zapatrywań Lucreciusa [8]) skłaniającego się raczej ku Epikurejskim zapatrywaniom o śmierci. Talent poety i wewnętrzny niepokój nie pozwalają jednak poddać się kwietyzmowi „chce on" jak świetnie wyraża się prof. K. Morawski „Śmierć rozbroić, a mimo tego ta śmierć zagląda mu ciągle w oczy" — widząc zaś, jak wszystko na ziemi powleka żałoba, woła:

I nie zejdzie noc po dniu, ani świt po nocy,
Z której obok kwilenia dziecka nie usłyszy
Łkań zgonu i pogrzebnych kirów towarzyszy.

Zwyczaj egipski przy końcu uczt pokazywania figury skieletu, o czem wspomina Herodot, musiał przyjąć się u Rzymian w dobie upadającego cesarstwa, zresztą godził on się znakomicie z popularną maksymą współczesną, która radzi: „Przypatrz się tym zwłokom, pij i używaj, bo będziesz takim jak umrzesz". Uczta Trimalchiona skreślona mistrzowsko przez Petronius'a była jedną z tych orgij, gdzie niewolnik przynosił na stół mały rozczłonkowany skielet, ustawiany na stole w rozmaitych pozycjach za pomocą sprężyny. W tym samym celu, dla tej samej idei krążyły wśród biesiadników kubki z rzeźbionemi scenami, gdzie ożywione ruchami skielety wskazywały konieczność użycia za wszelką cenę rozkoszy doczesnej. Najwyraźniejszym przykładem używania podobnych naczyń i panujących zapatrywań epikurejskich są właśnie opisane kubki z Bosco Reale, na których jakiś wysoce subtelny artysta z wielkim zasobem ironji pomieszał w kompozycji reljefowej—największych filozofów z gromadą bezimiennych skieletów. Owa ironja kierowała również ręką artysty, gdy rzeźbił na ścianach kubków—uczonych, a na pokrywie naczyń te same osoby wśród wyrafinowanej rozpusty. Podczas gdy Juwenal i Lucjan chłostali wady rzekomych moralizatorów, artyści plastycy w formach znacznie brutalniejszych podkreślali tę pruderję. Zmysł satyryczny ludowy mścił się za sukcesy osiągane przez uczonych, co mądre głosili doktryny. Sądzę, że tutaj odnaleźć można pierwiastki owego galijskiego humoru, jaki wybucha żywiołowo w satyrze łatyńskiego średniowiecza, osiągając swój punkt zwrotny w wierszach misterjów, rodzących genjalnego Szekspira, czy Bakona i w malowanych „Tańcach Śmierci" od prymitywnych fresków Kermarji począwszy, aż do niezrównanych kompozycyj Holbeina.

W końcu o czci duchów zmarłych—słów kilka.

Starożytność nie określa ściśle granic między czcią bogów a zabobonem, obie formy kultu były treścią wiary, przesąd bywał częstokroć wypływem potężnych ludowych wierzeń, jakie dopiero po przejściu wielu przekształceń, wyłaniały z pierwotnej formy — urzędowy mit. Punktem wyjścia guseł i zabobonu była wiara w życie zagrobowe, w duchy wyższe, co musiało w następstwie pociągnąć za sobą wiarę we wpływ tych duchów na losy ludzkie. Oficjalne niejako uznanie herosów przez Hesioda było już końcowym etapem wielowiekowego okresu kształtowania się oficjalnej religji z włączonym organicznie kultem zmarłych przodków. Zmierzch polityczny Hellady jest epoką rozsadzania kultury rodzimej wpływami Wschodu. Grecki kult zmarłych zamienia się w magiczne orgje i teurgiczne obrządki. Wśród nich pierwsze miejsce zajmują zaklinania duchów, by przepowiadały przyszłość. Ceremonje tego rodzaju odbywały się zazwyczaj w pobliżu pieczar, uważanych za bramy świata podziemnego. Z pośród owych nekromanteji najgłośniejsze były Delfy. Duchy zmarłych objawiały się najczęściej we śnie, lub w zwierciedle wód. Zaklinanie magiczne duchów w Rzymie za cesarstwa staje się powszechnym obłędem. Wedle ówczesnej wiary najłatwiej można było zaklinać duchy osób, zmarłych nagłą i gwałtowną śmiercią, ponieważ zaś krew człowieka grała w ofiarach magicznych główną rolę, przeto dla tych celów mordowano przedewszystkiem małe dzieci.

Ze świata przyrody wiele zwierząt i kamieni pozostawało w łączności z kultem zmarłych, z roślin: topola, dzika oliwa, granat, sosna, złotogłów, ślaz, narcyz, hiacynt, bluszcz są najważniejszymi przedstawicielami tej żałobnej flory. Wiele z nich przez średniowiecze weszło do legend, obrzędów i praktyk medycyny ludowej nowoczesnych społeczeństw.

Dr. M. Nałęcz-Dobrowolski.

---

[4]) Podobny skielet widzimy na wazie Hendoboville. (E. Piot. „Monuments et Memoires" etc. s. 225 etc.).

[5]) Słowo „phtonoi" znaczy także: czary, zgubny wpływ złego oka i zło wypływające z uroków. Dtto.

[6]) Porówn. E. Caetani-Lovatelli: „Thanatos" Roma. 1888. Tamże obszerna literatura odnośnego przedmiotu. Autor. s. 48 podaje wiadomość o mozaice pompejańskiej, przedstawia ona głowę kościotrupa, pod głową koło, nad nią perpendykuł, oznaczający równość wszystkich wobec śmierci—prastare pojęcie o śmierci, wyrażane niezliczoną ilość razy przez poetów, prozaików i artystów plastyków. W dalszym ciągu podaje autor interesujące szczegóły o skieletach wykonywanych w malarstwie i rzeźbie, jako plastyczne tłumaczenie zdania; „gnoti seauton" t. j. „poznaj siebie samego".

Porówn.: Vittorio Macchioro „Simbolismo nelle figurazioni sepolcrale romane studi di ermeneutica". Napoli. R. 1909.

[7]) Prof. K. Morawski, M. Tulius Cicero: „Życie i Dzieła". Kraków 1911. S. 207, 233.

[8]) Tenże: „Historja Literatury Rzymskiej za Rzplitej". Kraków 1909. S. 305.

Zakłady w Skoghall należące do Tow. Akc. „Uddeholm". Jeden z głównych ośrodków przemysłu drzewnego w Szwecji.

BOGACTWA SZWECJI.

Największem bogactwem Szwecji, które uderzyć musi przybysza z innych krajów, są jej lasy. Zajmują one 52% powierzchni królestwa szwedzkiego, pokrywają wszystkie stoki gór, gęstemi ścianami oplatają wybrzeża jezior i rzek, rosną bujnie na niewdzięcznem, granitowem podłożu. Świerk i brzoza panują tu niemal wyłącznie i docierają do najdalszych krańców północy, aż tam, gdzie wszelka roślinność karłowacieje i rozpościera się bagnista „tundra".

Aby dać miarę tego bogactwa, wystarczy powiedzieć, że w Szwecji na każdych 100 mieszkańców przypada 392 hekt. lasu, podczas gdy w słynnej ze swoich bogactw leśnych i zajmującej olbrzymie obszary Rosji przypadało przed wojną tylko 168 hekt. na 100 mieszkańców, w Niemczech zaś przypada tylko 22 hekt. a na wyspach Brytyjskich zaledwie 3 hekt. na 100 mieszkańców.

Nie dziw też, że przemysł leśny należy w Szwecji do najstarszych i że w zamierzchłej już przeszłości wywóz materjału drzewnego stanowił jedną z podstaw gospodarstwa narodowego.

Rąbane w górach zimą, „spuszczane" wiosną wezbranemi łożyskami potoków, potem spławiane rzekami do morza, drzewo szwedzkie, jako pożądany na wszystkich rynkach budulec, docierało do najdalszych krańców zachodniej i południowej Europy (Hiszpanja, Wenecja), w miarę zaś rozwoju stosunków handlowych zdobywało sobie inne kontynenty (Afryka).

Sprawiło to, że już oddawna powstawały w Szwecji towarzystwa, trudniące się eksploatacją lasów. Wielki jednak, na nowoczesnych podstawach oparty przemysł drzewny jest dopiero dziełem XIX-go wieku, a zwłaszcza drugiej jego połowy. Maszyna parowa a później motor elektryczny w połączeniu z wielkiemi wynalazkami chemji uczyniły tu przewrót.

Powstały wówczas liczne towarzystwa akcyjne, które zakupiły ogromne przestrzenie leśne i rozpoczęły prowadzić tam racjonalną gospodarkę, opartą na 30-letnich porębach. Jednocześnie powstały w punktach przeważnie nadmorskich liczne tartaki, a w ostatnich czasach liczne fabryki papieru, papy drzewnej, cellulozy i bawełny strzelniczej.

Do największych tego rodzaju fabryk należą wielkie zakłady *Uddeholms Actiebolag* w Skoghall. Zdobyły one sobie rynek światowy. Pochodząca stamtąd celluloza, niezbędna dzisiaj do wyrobu papieru, ceniona i pożądana jest wszędzie. Zwłaszcza Anglja nabywa jej dużo.

Siły wodne Szwecji. Wodospad Tännforsen.

Drzewo i przetwory drzewne szwedzkie nie obawiają się współzawodnictwa. Są one stosunkowo tanie, a to dzięki sile wodnej, która, zaprzęgnięta do pracy, przewozi bezpłatnie miljony stóp sześciennych drzewa rocznie, oraz obraca piły tartaków lub turbiny dynamomaszyn.

Gdyby szwedzki przemysł drzewny oparty był na przewozie materjału kolejami, oraz pracował węglem, jak to się dzieje w innych krajach, stanąłby rychło w obliczu przesilenia. Dzisiaj rozwija się i rozwijać będzie coraz pomyślniej, dzięki coraz nowym ulepszeniom technicznym i coraz szerszemu zastosowaniu sił wodnych,

Siły te są drugiem niezmiernem bogactwem Szwecji. Niezliczone rzeki, jeziora, wodospady i fjordy, głęboko wrzynające się w ląd, przy rozgałęzionej sieci kanałów, dają łatwe połączenie najodleglejszych punktów kraju z ośrodkami głównemi przemysłu i handlu.

Pod tym względem natura hojnie uposażyła ten kraj. Według ostatnich obliczeń siły wodne Szwecji reprezentują 10 miljonów HP, co przy ludności 5.6 mil. daje prawie 2 konie parowe na 1 mieszkańca.

Na tej podstawie rozwinął się w Szwecji wspaniale przemysł elektryczny. Takie zakłady, jak w Trollhättan (stacja siły elektrycznej) i w Västerås przedstawiają się imponująco. Szczególnie Västerås, siedziba A. S. E. A. (*Allmänna Svenska Elektriska Aktiebolaget*), potężnego i znanego w całym świecie towarzystwa, zasługuje na uwagę turysty. Jest to główny ośrodek wytwórczości szwedzkiej w dziedzinie maszyn elektrycznych. Nie brak tu niczego, a wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju muzeum, znajdujące się przy fabryce, daje przegląd wszystkich wynalazków i zastosowań, jakie zostały dokonane w ostatnich dziesięcioleciach.

Zwiedzający zakłady w Västerås odnosi wrażenie, że zostawił za sobą daleko „starą Europę" a przeniósł się w świat nowy, gdzie siłę mięśni ludzkich wraz z całą kwestją robotniczą i socjalną zastąpił już prąd elektryczny.

Na czele tych zakładów stoi jeden z najwybitniejszych dzisiaj inżynjerów szwedzkich, inż. J. S. Edström, prezes Tow. A. S. E. A.

Rozwój przemysłu elektrycznego nie byłby jednak możliwy w Szwecji na taką skalę, gdyby nie jej trzecie bogactwo w postaci żelaza.

I tu natura okazała się dla tego małego kraju hojną. Szwedzka ruda żelazna, procentowo najwyższa w Europie, nie tylko pokrywa w zupeł-

Olbrzymie składy drzewa w fabryce celulozy w Skoghall (Uddeholm).

Wnętrze tartaku w Skoghall.
Przygotowywanie materjału do wyrobu papy drzewnej, celulozy i bawełny strzelniczej.

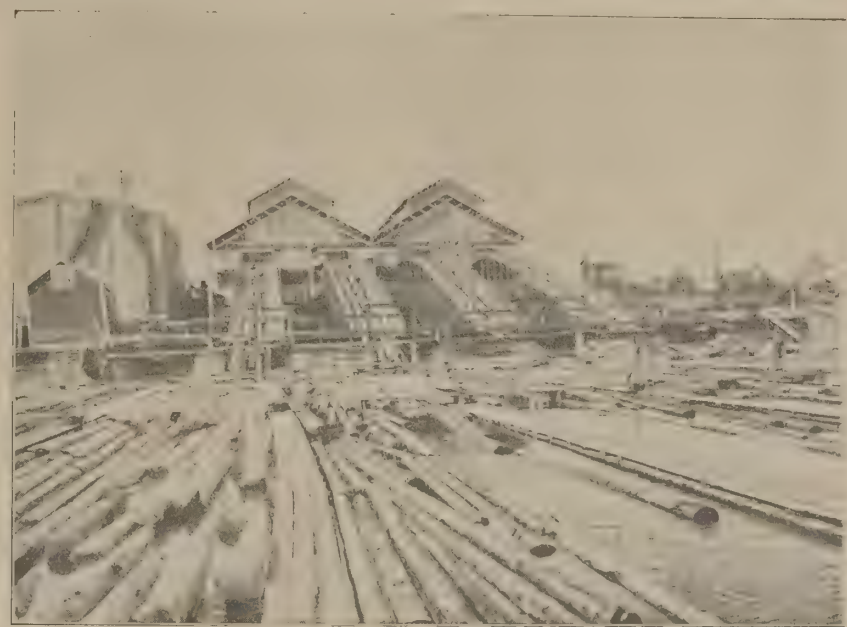

Tartak od strony jeziora. Drzewo, podprowadzone w tratwach do brzegu, za pomocą urządzeń elektrycznych dostaje się do tartaku prawie bez współudziału ludzi.

ności potrzeby krajowego przemysłu żelaznego i stalowego (ogromnie rozwinięty dział budowy maszyn), lecz stanowi zarazem jedną z najpoważniejszych pozycyj w wywozie Szwecji. Pozycja ta stale wzrasta i przekracza obecnie 7.000.000 ton rocznie.

Stal szwedzka ma sławę wszechświatową a niektóre z gałęzi przemysłu stalowego są bez współzawodnictwa.

Należy tu przedewszystkiem wyrób łożysk kulkowych przez göteborską fabrykę *Actiebolaget Svenska Kullagerfabriken*, znaną w całej Europie, Ameryce, Azji, Australji, a nawet Afryce.

Fabryka ta, postawiona na imponującej stopie, posiada liczne filje na wszystkich kontynentach i we wszystkich krajach. Między innemi S. K. F. posiada także filję swoją w Warszawie.

Precyzyjne, samoustawne jedno i dwurzędowe łożyska kulkowe, storcowe, sferyczne, cylindryczne, rolkowe, ze stożkowym prześwitem oraz nagwintowniki i wały korbowe dla samochodów są chlubą techniki szwedzkiej.

Technika ta w zakresie żelaza i stali ma za sobą długi szereg wynalazków, udoskonaleń i zastosowań. Można śmiało powiedzieć, że od czasów Ericsona, który udoskonalił śrubę okrętową, inżynjerowie szwedzcy kroczą na czele współczesnego postępu technicznego i, jeżeli nie są sami wynalazcami, to umieją szybko przeszczepić obce wynalazki na swój grunt i odpowiednio je wyzyskać.

Międzynarodowa wycieczka prasy w siedzibie głównej towarzystwa A. S. E. A. w Västeräs.

Słusznie też Szwecja nazywana jest „krajem inżynjerów". Ich energji, pomysłowości i pracy zawdzięcza ona swój obecny rozkwit przemysłowy, który nie pozostawił odłogiem żadnego pola i sięgnął po wszystkie bogactwa naturalne kraju, po wszystkie jego kruszce i siły, eksploatując je w nowoczesny, na zdobyczach nauki oparty sposób.

Przedewszystkiem jednak na wymienionych trzech podstawach — na drzewie, na sile wodnej i na żelazie — urosła pomyślność gospodarcza Szwecji.

Jest to bardzo pouczające dla nas, którzy posiadamy również znaczne bogactwa leśne i również znaczne zasoby sił wodnych na Podkarpaciu, a wzamian żelaza mamy skarby równie cenne w postaci węgla i nafty.

Brak nam tylko szwedzkiego zmysłu organizacyjnego i szwedzkiego ładu i porządku w pracy.

Zdobyć to — jest pierwszym warunkiem pomyślności Polski, jako państwa.

Hala motorów elektrycznych w Västeräs.

Wielkie turbiny w Trollhätten, reprezentujące siłę 175.000 H.P.
Dzieło zakładów w Västeräs.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

5)

I Lolo rzeczywiście zyskiwał wiele — więcej, niż pan redaktor myślał. Eugenja była przez niego poprostu skomponowaną, była jego dziełem. Jej kierunek, jak styl, jej repertuar, wszystko—nawet jej suknia, jej fryzura. Ale niezliczony zastęp przedstawicieli internacjonalnej inteligencji brał bezwiednie udział w tej kompozycji.

Jako impresarjo swojej żony, Lolo omawiał z dziennikarzami zagadnienia sztuki. Ale wszystko było w jakimś tajemniczym związku z Eugenją, i on tylko o tem wiedział. Kiedy się już nasłuchał dosyć głębokich i ciekawych rzeczy—skręcił naraz rozmowę:

— Żeby pana redaktora nie nudzić zbytnio jednym i tym samym tematem: Czy pan redaktor będzie łaskaw dać notatkę w wieczornej gazecie, że mojej żonie skradziono wczoraj perły?

Dziennikarz zauważył bez współczucia:

— Ale, ale, kochany panie, cóż to znowu za pomysły! To dobre dla prowincji. I wogóle...

Ale Lolo przysięgał, bił się w piersi.

— Ależ to najświętsza prawda, słowo honoru!

Redaktor spoglądał bezradnie.

— Myślałem — zaczął w końcu zmęczonym głosem — że notatka o wtorkowym koncercie odpowiadałaby raczej pani Eugenji.

— Naturalnie, to swoją drogą. — bezwątpienia — genjalny pomysł, ale to, niech pan da dopiero jutro do porannej gazety. Byłoby lekkomyślną rozrzutnością wystrzelać odrazu wszystkie...

Ale człowiek przy biurku podskoczył oburzony. Na szczęście Lolo zaczął właśnie rozmowę o starych francuskich piosenkach.

A w końcu uzyskiwał i tu także wszystko, czego chciał.

Teraz musiał jeszcze załatwić krawcową.

Po drodze zdawało mu się, jakby usłyszał gdzieś jakąś wdzięczną melodję. Ładne błyszczące słowa tańczyły w jego mózgu wesołą sarabandę.

I, wzruszony, podniósł swe jasne, jak u dziecka, oczy ku niebu — i podziękował Bogu za tę niespodziankę. Poczem wstąpił prędko do kawiarni, żeby znaleźć refren, jakiego jeszcze nigdy nie było.

— Proszę bardzo — obstalowywał uprzejmie—o czarną kawę i koniak.

To był jego wypoczynek. Ołówkiem notował szybko śpiewające w nim rytmy. Niedługo znalazła się do tego i treść, i—zrobił się kuplet.

Pracował w kilku językach, ale żaden nie był mu bliższy niż tamte. Lekkomyślnie używał wszystkich, ale w chwilach namysłu był zgubiony. Słowa patrzyły nań wtedy zimno i obojętnie, jak zupełnie obcy ludzie. Bo w zasadzie nigdy nie był — w domu.

Do wieczora załatwił dla Eugenji wszystko, co nazywał najważniejszem. Dla niej zostawała już łatwiejsza część — sam koncert. Wtedy mógł spokojnie siedzieć gdzieś w pluszowym fotelu i śnić z otwartemi oczyma.

Podczas ostatniej pauzy, opowiedziała mu naraz ważne nowiny. Chodziło o inżynjera, a wobec tego i o Jakóba. W liście majorowej, która pojechała do chorego i wzięła go pod swoją opiekę, były bardzo ważne i wzruszające szczegóły. Inżynjer zbudził się znowu do życia i można go było uważać za uzdrowionego— ale o powrocie do małego plotkarskiego miasteczka—nie mogło być mowy obecnie. Zamierzali sprowadzić się do stołecznego miasta, gdzie dla głowy rodziny znaleziono stosowne stanowisko.

— A Jakób? — spytał Lolo strapiony.

— O tem my mamy rozstrzygnąć — mówiła Eugenja — proszą nas o natychmiastową decyzję.

— Czy nie mogą go zabrać ze sobą? Stolica byłaby dla niego sto razy korzystniejszą. Najlepsze szkoły — wybitni ludzie! Prędzej się na nim poznają.

— Ale powietrze.

— Jakób jest zdrów i jest moim synem— więc najlepiej mu się będzie powodziło na asfaltowym bruku i przy elektrycznem oświetleniu.

W sekundę potem Eugenja wybiegła znowu na estradę. Lolo usadowił się wygodnie w pluszowym fotelu i układał depeszę do majorowej. Ale sama rzecz zajmowała go i potem jeszcze w restauracji.

Jego sąsiadka pytała zaniepokojona:

— Czy panu co brakuje?

Wlepił w nią nieprzytomny wzrok i oświadczył:

— Tak, kocham panią. Z pani powodu w łeb sobie strzelę.

IV.

Mylili się bardzo ludzie, oceniając Jakóba podług jego wzrostu. — Profesorowie w gimnazjum, które sobie sam wybrał, myśleli z początku, że będzie to nieśmiałe stworzenie z miasteczka, którego wielkomiejskie stosunki powinny były zdruzgotać odrazu. Ale już po kilku dniach powiedział nauczyciel matematyki do inżynjera:

— Ten chłopiec posiada godną uwagi, powiedziałbym agresywną inteligencję.

Przytem westchnął, bo był także gospodarzem klasy. A Jakób nie był wygodnym uczniem. W zasadzie wymagano od klasy spokoju i uważnego trzymania głowy. Jeżeli się uczniowie stosowali do tego, to godzina przechodziła gładko i bez przeszkód. Ale Jakób robił więcej. Jeżeli ktoś miał wykład, musiał ogromnie uważać, bo Jakób był zawsze gotów go poprawiać. A pytano go — to się miało nieprzyjemne uczucie jakby się samemu było pytanym.

Dlatego Jakób nie bywał za często wywoływanym.

— Ale — dodał profesor, a fizjonomja jego rozradowała się najwidoczniej — jego pilność jest nierówna. Gdyby się zawsze uczył, mógłby być pierwszym celującym.

To były te rzadkie, jasne chwile w życiu człowieka, który był skazany na uczenie Jakóba. Chwile, w których Jakób, wywołany, podnosił się wprawdzie ze swego miejsca, ale tylko na to, żeby głośno i wyraźnie oświadczyć:

— Nie jestem przygotowany.

— A... zadziwił się profesor, kiedy mu się to po raz pierwszy zdarzyło.

Prawie zapomniał zapytać: dlaczego?

Cała klasa otworzyła z podziwu usta.

Oto był jeden, który, gdy nie umiał, nie czerwienił się jak inny na jego miejscu, nie jąkał się i nie wykręcał, ale całkiem poprostu oznajmiał, że „nie był przygotowany".

To znaczyło działać po męsku a przytem nadzwyczaj praktycznie.

Ale inżynjer robił konwulsyjnie poważną twarz.

— Musi się go w domu więcej do nauki nakłaniać — zauważył możliwie zaniepokojonym głosem.

Marszczył czoło jak zawsze, kiedy musiał grać rolę, którą mu narzucono.

Tak, tak — oto stali sobie dwaj starsi panowie i omawiali cicho rozmaite pedagogiczne kwestje.

Jakób czekał cierpliwie na zakończenie rozmowy. Zbliżył się do inżynjera i spytał:

— Czego ten jeszcze chce?

W końcu profesor uznał za stosowne pożegnać ich.

Na ulicy Jakób zauważył:

— To była tylko strata czasu — czy pan już nie musi być w biurze o tej porze?

Inżynjer się irytował.

— Wszędzie musisz swój nos wścibić. Przecież dla ciebie musiałem się dziś uwolnić. Wszyscy rodzice dowiadują się niekiedy o swoich synów u gospodarza klasy.

— To było zupełnie zbyteczne — mruknął Jakób.

— Mylisz się, jestem za ciebie odpowiedzialny. A ten profesor całkiem nie był tobą zachwycony. Jesteś leniwy.

— Wiem o tem.

— Ostatniego czwartku...

— Tak, tak, nie byłem przygotowany. Ale to się później wyrówna. Kiedy się uporam z oglądaniem miasta, będę się znowu uczył. Będę jeszcze trzy razy pytany w tem półroczu i dostanę trzy „bardzo dobrze".

Zdawał się wiedzieć to dokładnie naprzód. A inżynjer wierzył mu na słowo. Kiedy się chciał zwrócić na prawo, Jakób zawołał:

— Dokąd pan idzie?

— Do domu. Do biura już się nie opłaci.

— W takim razie idźmy na lewo.

Inżynjer przeczuwał już, że Jakób ma rację, ale mimo to zauważył:

— To wcale nie jest pewne.

— Ale ja mam kompas. Chce pan zobaczyć?

Nie, inżynjer był już przekonany. Jakób orjentował się lepiej niż on sam, pomimo swojej namiętności do wędrówek po obcych krajach.

Zresztą inżynjer już dawno zaniechał swoich podróży. Teraz miał zatrudnienie, przy którem był zmuszony siedzieć. To było trudne do zniesienia.

Swego czasu w fabryce mógł biegać, rozkazywać, nadzorować. Jego obecna czynność wymagała cierpliwości i była bez najmniejszego scenicznego wdzięku, bez ruchów i głośnych słów.

(*Dcn*)

WYCIECZKA ROLNICZA FRANCUSKA W POLSCE.

Margr. de Vogué.

Misja francuska pod przewodnictwem Senatora Noulens'a i margr. de Vogué przybyła do Polski 10 czerwca r. b. i zabawiła do dnia 22 czerwca.

Francja delegowała do Polski najwybitniejszych przedstawicieli swego rolnictwa. Wycieczka miała możność zapoznać się z gospodarstwami większej i mniejszej własności we wszystkich dzielnicach Polski. Między innemi zwiedziła: stadninę w Janowie, cukrownię i gospodarstwo rolne w Przeworsku, Mikulice p. Turnau, Sobieszyn, Puławy i kilka osad małorolnych w Małopolsce, rybne gospodarstwo w Osieku, folwarki Studjum Rolniczego w Krakowie. W Wielkopolsce zwiedziła gospodarstwa rolne w Bonikowie, Pawłowicach; cukrownie w Kościanie i Chełmży, fabrykę nawozów sztucznych w Lubani, większą stadninę w Posadowie i cały szereg osadniczych gospodarstw w Wielkopolsce.

Miała możność wycieczka zapoznać się z naszą własną hodowlą i uprawą i niejednokrotnie zaznaczała, że rolnictwo nasze stoi wysoko, mając świetną przyszłość przed sobą, z tem wrażeniem goście francuscy opuścili Polskę.

Przy niniejszem załączamy kilka zdjęć fotograficznych ze zbioru fotografij zrobionych w czasie wycieczki przez jednego z uczestników, p. Ryszarda Kiewlicza.

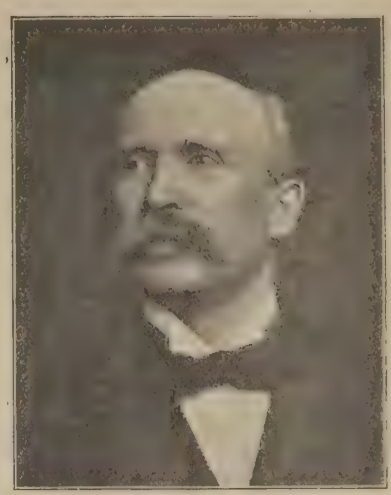

Senator de Noulens.

Zwiedzanie pól doświadczalnych w maj. Mikulice p. Turnau w Małopolsce. Właściciel majątku p. Turnau udziela objaśnień gościom francuskim.

Stary kilkusetletni dworek modrzewiowy w maj. Łękach p. Czarnockiego w Kutnowskiem.

Oryginalny syryjski arab ze stadnin Janowskich.

Jeden z wielu „małych" karpi rybnego gospodarstwa p. Rudzińskich w Osieku (Małopolska).

Krowa rasy polskiej czerwonej z folwarku Mydlniki, wł. Studjum Rolniczego w Krakowie.

ZE SPORTU.

W biegu pań p. Rocznicka ustaliła nowy rekord polski, przebiegając 60 metr. w 8,5 sek.

Start w wyścigu turystów W. T. C. na przestrzeni 50 klm.

Fot. W. Rokosz.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 26)

Marko Polo, bogaty wykształcony wenecjanin w trzynastym wieku, bawił na dworze naszego cesarza Kubłaj Chana dwadzieścia lat!.. I bardzo był zadowolony. Teraz wiele rzeczy zmieniło się na lepsze... Buddyzm złagodził obyczaje!.. My jesteśmy teraz najbardziej sprawiedliwym i ludzkim narodem na świecie!.. Co ja zresztą będę dowodził!.. Sami zobaczycie... Tylko myślę, że się przekonacie... Ty, Władek, lubisz konie i polowanie, a gdzie znajdziesz lepsze konie i lepszą zwierzynę... dzikie barany, antylopy, dzikie osły i konie, niedźwiedzie, kury i jaki... Co? Hę!.. A pani... — zwrócił się do Hanki. — Pani tak pięknie haftuje... Tusziur nachwalić się nie może zręczności palców pani... I tak ładnie pani w naszem ubraniu!.. Tu cicho, spokojnie — a tam: gwałty, rozboje, mordy, okrucieństwo!..

Hanka poprawiła na sobie niepostrzeżenie ślicznie wyszywany chiński szlafroczek, zarumieniła się, lecz oczów nie podniosła. Zato Tasziur, siedząca obok niej również z haftem w ręku, choć nie rozumiała ani słowa, podniosła nagle oczy i obrzuciła bystrem, trochę smutnem spojrzeniem z początku Szag-dura, a potem cudzoziemkę.

— Owszem uczyć się twej mowy chętnie będziemy!... Wszystko, co się ciebie tyczy, żywo nas zajmuje... Lecz, zostać tu na zawsze... byłoby nam trudno... Czy tybyś zgodził się naprzykład przenieść zupełnie do naszego kraju...? — żywo zapytał Korczak.

— Kto to wie!... Zależy od powodu — odrzekł ostrożnie Badmajew.

— Nie wyobrażam sobie! — dowodził Korczak. Rozumie się, są okoliczności silniejsze nad wszystko, lecz dobrowolnie zostać... przenieść się do tak odmiennego środowiska...—poprawił się — Nie wyobrażam sobie... Tymczasem jednak będziemy uczyli się po mongolsku nie tylko mówić, ale i żyć!... To się zawsze przyda!... Liczymy na twoją pomoc i życzliwość w tym względzie!

— Nasze życie jest bardzo ciekawe i rozmaite... — przekonywał ich z pewnym uporem Szag-dur.

— Wciąż w ruchu, z miejsca na miejsce... Idziemy za wodą, za zieloną trawą, za kwiatami... Na wiosnę, kiedy w górach jeszcze zimno, przebywamy na płaszczyznach najniższych... Wody wtedy tam dużo i step zieleni się i kwitnie cały... W lecie, kiedy słońce i piaski wypiją wodę tających śniegów... Posuwamy się ku górom bliżej lodowców, skąd wypływają potoki... Tam chłodno i trawy zielone i dużo zwierzyny... Jesienią uchodzimy od górskiego zimna, zamieci i wichrów znowu na doliny, pokrywające się ponownie otawą... Wolni błądzimy wciąż z naszemi stadami, jak te chmurki srebrne po niebie... Nad nami niema pana, prócz Boga, błękitnego nieba, słońca i wichrów... Kto nam rozkazać co może?... Nie posłuchamy go, jeżeli nie spodoba się nam, co mówi... Odejdziemy precz od niego i władzy jego z dobytkiem naszym w step, w pustynie... Czy może to uczynić mieszkaniec miast? Albo nawet waszych wsi?... Chroniąc życia i mienia, musi słuchać rozkazu każdego jak niewolnik...

— I wy macie władze: książąt, lamów, Bogdogagena, których słuchacie... Kogoś słuchać trzeba!... Chodzi o to, kogo?

— Właśnie słuchamy ich, o ile to dla nas jest korzystne, z wolnego przekonania... To wielka różnica... My jesteśmy wolni!...—dowodził Szag-dur.

Częste ich lekcje mongolskiego zamieniały się na podobne długie dyskusje, przerywane często głośnem chrapaniem Maćka. Hanka zwykle nie brała w nich udziału, lecz pilnie słuchała. Po zaczerwienionych jej uszach, po zarumienionych policzkach odgadywał nawet Badmajew, że spory te bardzo ją interesują, a milczenie jej podniecało w nim ostrą ciekawość i słodki niepokój... Lubił Korczaka, jego jasny umysł, prostotę i szczerość, lecz właściwie zdanie dziewczyny było dlań tysiąckroć razy droższe i ważniejsze...

— Nie, nie zostawić!... Nigdy nie zostawić!... Taka złota księżniczka... — myślał ze smutkiem... A przecież miewali mongolscy Manowie białe żony i chińskie królewny, wypieszczone w pałacach, podobne do różowego kwiatu południowego lotosu!... Ale to były — branki!... — odpowiadał sam sobie.

Kiedy po gorącym dniu, po wesoło i gwarnie spędzonym wieczorze na przyglądaniu się grom i zabawom młodzieży lub na słuchaniu rapsodów, które Szag-dur starannie tłumaczył przyjaciołom, rozchodzili się wszyscy do swoich namiotów, znużeni zdrowym ruchem i obfitym posiłkiem — Szag-dur długo nieraz stał samotny przed drzwiami jurty i, wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, rozmyślał o tajemnicach duszy ludzkiej, zupełnie tak samo, jak to lubią czynić jego bracia, mongolscy paskarze.

— Dlaczego człowiek woli to a nie tamto?... Dlaczego serce moje bije mocno dla tej złotowłosej, a nie zwraca uwagi na słodką Tusziw, której oczy tak często szukają moich?!... I wiem, że nadaremno, że to się nie zmieni!... Chyba, że stanie się coś niezwykłego, jakieś wielkie szczęście, albo nieszczęście!... Patrzał na pociemniałą dolinę, nad którą wdali świecił wśród gwiazd diadem lodowców Ken-teju, słuchał szumu rzeki lejącej się krętą wstęgą wśród łąk i ławic piaszczystych, śledził pilnem okiem bezruch białych gurtów baranich zapędzonych na noc do ogrodzeń „stawku", ciemnemi złomy leżących na ziemi wielbłądów, pstre kupy bydła rozsiane, jak polne głazy w około w pobliżu namiotów. Senny szmer wypoczywającego życia wśród cichej nocy stepowej napełniał serce pasterza dziwną tkliwością; poczuł, że mu oczy wilgną i modlitewnie wyszeptał, patrząc w stronę namiotu Hanki:

— Niech opieka Dobrotliwego strzeże cię od wszelkiego złego, niech oddala od ciebie cierpienie i łzy!... Nie bądź moją, jeżeli to nie sądzono, lecz nie odchodź dopóki oczy moje łakną twego widoku!

Był jej wdzięczny, jak tylko może być wdzięczny „dobry pasterz", gdyż rozumiał, że przez nią tylko szare jego życie wypełniło się światłem, ciepłem i radością. Przypominał sobie jaką rozkoszą napełniało jego serce proste przyglądanie się z oddali wdzięcznym ruchom dziewczyny, bawiącej się lub pracującej w gronie dziewcząt krajowych, jak wstrząsające uczucie wywoływała w nim zamiana z nią przelotnych nawet spojrzeń. Chwycić ją w objęcia i utonąć wzrokiem w otwartych jej źrenicach wydawało mu się niedostępnem, jakiemś zawrotnem marzeniem, które nawet odpychało od siebie, jak nierealne, niedopuszczalne...

IV.

O, tak: Szag-dur nie nudził się od czasu przyjazdu Hani. Nie nudziła się również Tusziw, gdyż cierpiała, ani Geril-tu, pilnie słuchająca znoszonych zewsząd o cudzoziemcach plotek.

— Cagan Chotun (Biała Pani), tak nazywali mongołowie Hankę... — wyszła sama dziś na łąkę i rwała kwiaty... Poco ona rwała kwiaty, nie wiemy... Ot, tak: trzymała je w garści! Wtem przychodzi Szag-dur i bierze od niej kwiaty i nosi za nią, niewiadomo poco, jak stary osieł gałązkę keragany!... — opowiadał z ożywieniem Ałtyn-Cha-ra-ci.

— O, tak, nosił za nią cały czas! I wciąż mówił bez końca... A ona się śmiała... — dogadywały inne dzieci.

— Ty, Geriltu Chatun, zwróciłabyś uwagę na Tu-sziw. Ten „oros" „Śmierć Tygrysa" wciąż się koło niej kręci i trzymał jej sukno, kiedy rysowała na niem wzór do haftu!... Słychana rzecz!... mężczyzna kobiecie?!

— Ostrzegała księżnę żona starszego pastucha.

— Dobrze! Już wiem!... A co robi „Gruby Oros?" — pytała o Macieja.

— Ten wciąż śpi i pije kumys...

— Ach, ach!... Kiedyż się ich wszystkich pozbędziemy... Nie cierpię tych „czerwonomordych!... — wzdychała księżna, marszcząc gęste brwi.

— Do Urgi droga daleka, ale wysłaniec już powinien wrócić niedługo... — pocieszała ją sąsiadka.

Nie tylko Geriltu Chatun wyglądała z niecierpliwością wysłańca od męża: czekali go z wzrastającym niepokojem również Hanka i Władek a głównie Maciej...

— Ani chybił, zapiszą nas w „mungały" panienko... Czuje serce moje! I będziemy łowić konie na stryczki, jak te hycle!... Widzi panienka jak oni to robią!... — mówił smętnie do Hanki, ukazując jej uwijających się w oddali na koniach pastuchów.

— Nie bój się, Maćku, nie bój!... Nie zapiszą nas w „mungały", nie damy się!... — pocieszała go dziewczyna, śledząc z figlarnem zaciekawieniem zgrabne ruchy jeźdźców mongolskich.

— Łatwo pani mówić, bo pani nie widzi jak ten *Szaga-Dura* wytrzeszcza na panią gały!...

Hanka rozśmiała się.

— A jednak... wrócimy do Polski!... Macieju, wrócimy! — rzekła niespodzianie.

— Pewnie, że wrócimy, ale kiedy?... Jak ten szpik w kościach a mózg w głowie wyschnie nam do cna od tutejszego wiatru i żaru!...

(*Dcn*)

Nowoodbudowany most przez rzekę Horyń.

Nowoodbudowany dworzec w Baranowiczach.

NASZE KRESY WSCHODNIE.

Cywilizacja i postęp każdego kraju jest zawisły od dróg komunikacyjnych i oświaty (szkolnictwo). Sieć dróg żelaznych polskich przed wojną miał charakter tranzytowy. Rozwój dróg żelaznych musiał pociągnąć za sobą budowę dróg gruntowych, osuszenie błot, zatem uzdrowotnienie okolic, co umożliwiało osiedlanie się ludności i podniosło gospodarczo (rolnictwo, przemysł kraj.).

Jeżeli np. w r. 1885 na Polesiu było 6 tartaków, w r. 1909 (ostateczne zreorganizowanie dróg nastąpiło przez rząd rosyjski w r. 1910) było już 56. Terpentyniarń i smolarń w r. 1885 było 1, w roku 1908—20. Analogicznie wzmógł się wywóz spirytusu, papieru, skór.

Ponieważ Polesie cały niedobór gospodarczy, stosunkowo dosyć znaczny, pokrywać musi przez przywóz, oczywiście z Polski i wymianę płodów rolniczo-leśnych lub wywóz bydła, możemy przeto zrozumieć jak wielką dla Polesia wagę ma *rozwinięcie systemu komunikacyjnego*. Oczywiście przedewszystkiem należy nacisk położyć na poprawę istniejących dróg wodnych i na wprowadzenie systemu meljoracyjnego. Któż może te prace wykonać i kto może jedynie nie eksploatując, a wkładając swój znój i swoje ukochanie, spodziewać się skutków błogosławionych dla tego kraju i dla całej Polski, jeżeli nie Polak, boć żydzi, których jest tutaj 18%, bynajmniej do rozwoju gospodarczego nie przyczynili się i nieprzyczynią się.. Otóż chcąc pójść po linji zamiast uzyskiwań należy wziąć się do czynu, należy zaraz obok postulatów komunikacyjnych postawić sprawę *wzorowego szkolnictwa polskiego* i natychmiastowego *zorganizowania placówek handlowych*. Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy na węzłowe punkty, zatem w pierwszym rzędzie na Pińsk z racji jego wyjątkowego położenia geograficznego już obecnie odgrywającego rolę centrali przewozowej polsko-rosyjskiej. Nader skąpe wiadomości o Polesiu w prasie stołecznej (żadnych szerszych korespondencyj) sprawiają wrażenie, że w Warszawie mało interesują się tak żywotnemi kwestjmi jak zcalenie drogocennych kresów nieodzownych dla rozwoju mocarstwowego Polski — a przecież tak może źle nie jest. Należy dodać, że dotychczas przez rząd nasz po macoszemu niestety traktowane nasze kresy wschodnie zwłaszcza ziemia *Brzesko-Pińska* dźwigać się musiała z ruin po większej części na barkach miejscowego społeczeństwa. Zresztą jedynym tutaj kulturalnym społecznym czynnikiem, jaki był przed wojną i jaki jest obecnie, jest czynnik polski, ten tylko pragnie szczerze leczyć rany wojenne. Ponieważ rola tego czynnika nie była przez odpowiedzialne jednostki rządowe zrozumiana i należycie oceniona, musiała nastąpić kilkuletnia tragedja tych krain—oddanie ich na pastwę eksperymentów lewicowej kliki, czerpiącej swe siły w tych prowincjach z bezwładu Polaków, a z wrogiego Polsce stanowiska litwaków i innych mniejszości narodowych. To też każdy przejaw samoobrony, polegający na skupieniu sił kulturalnych i ekonomicznych, jako podłoża ruchów politycznych, należy podnieść i wzmocnić. Ogniskiem takich poczynań jest w wspomnianym okręgu *Brzeska Poddyrekcja Kolei Państwowych z dyr. inż. Nelardem* na czele. Dzięki jego staraniu i dopilnowaniu przeprowadzono szereg znacznych prac w tempie przyśpieszonem, świadczą zaś one chlubnie o energji polskiego urzędnika i o zrozumieniu przez tegoż urzędnika roli obywatela-pionjera cywilizacji na wschodnich rubieżach.

Otwarcie szkoły kolejowej w Mikaszewiczach nad granicą.

Jako jeden z bardzo ważnych pod każdym względem punktów łącznikowych—wysadzony podczas wojennych operacyj *most na Horyniu* zostaje odbudowany, wskutek czego skraca się znacznie i ułatwia komunikację między Pińskiem i Sarnami. Również krańcowa *stacja Baranowicze* odnowiona po katastrofach wojennych oddana zostaje do publicznego użytku. Poza tem w odludnem Polesiu w nizinie rzeki Wołchy w *Mikaszewiczach* jest zbudowana stacja kolejowa, tamże założona zostaje szkoła kolejowa.

Energja inż. Nelarda dąży do zapobieżenia klęski mieszkaniowej i w tym celu zawiązana przez niego kooperatywa pracowników kolejowych szczycić się może szeregiem schludnie wystawionych domków obecnie już zamieszkanych, dalsze wysiłki w tym kierunku realizują się.

Sądzimy, że zwrócenie uwagi stolicy w ostatnich miesiącach na kresy, zmiana rządu—przyczynią się i dopomogą miejscowym działaczom narodowym w ich zbożnej pracy.

Dr. N. D

Dworzec w Mikaszewiczach, odbudowany po zniszczeniach wojennych.

Domki kooperatywy mieszkaniowej w Brześciu nad Bugiem.

Słynna na cały świat fabryka łożysk kulkowych (SKF) w Göteborgu w Szwecji. (Patrz art. na str. 498).

Kazimierz Pomian.

POPIS KLASY DRAMATYCZNEJ PROF. KAZIM. POMIANA.

W dniu 30 czerwca i 1 b. m. odbył się w teatrze „Stańczyk" doroczny popis klasy dramatycznej przy szkole Muzycznej Zofji Iwanowskiej. Klasa, prowadzona przez prof. Kazimierza Pomiana, wystąpiła z całym szeregiem fragmentów dramatycznych o szerokiej skali od „Zazdrośnicy" Bissona aż do „Romeo i Julji" Szekspira. Zbytecznem jest stwierdzać już oddawna uznaną prawdę, że światłe i pełne głębokiego doświadczenia kierownictwo prof. Pomiana wydobyło z uczniów maximum indywidualności artystycznej przy doskonałem wdrożeniu zasad deklamacji, dykcji i gry scenicznej. Cały zespół pań: Konecka-Jaworska, Wielhorska, Billerówna, Pilecka, Sternicka i Kamieniecka, grał z zacięciem szczerze-aktorskiem trudne role, z panów z temperamentem towarzyszyli im Ebert, Karo, Dobrowolny, Koziołkiewicz. Rezultaty pracy 1-go kursu uznać należy również za zadawalające, tak iż szczerze możemy powinszować prof. Pomianowi wysokiego poziomu jego metody pedagogicznej, która doprowadziła do tak chlubnych rezultatów, jak popis ubiegły, należący, jak i zeszłoroczny, do najlepszych w bieżącym sezonie.

„GALWANA" Tow. Akc. Bydgoszcz, ul. Mazowiecka.

„Articles de Pologne"

(Z cyklu: „Bydgosko-pomorski przemysł i handel").

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Szeroki świat Europy znał t. zw. „articles de Paris", oswoił się już z artykułami norymberskiemi a oto z nader wielkim podziwem poznaje niedawno — a poznawszy uznaje bez zastrzeżeń — istnienie produkcji tak oryginalnej pod względem inwencji a równocześnie o tak nieodpartej prostocie i artystycznym wdzięku, że chrzci je mianem kraju, pod którego niebem produkcja ta powstała i gdzie się odbywa...

Oto skąd się wzięła nazwa „Articles de Pologne". Obejmuje ona ogółem łącznie a równocześnie i każdy przedmiot z osobna to wszystko, co wyrabiają zakłady, prowadzone pod firmą:

„Galwana" Tow. Akc.

Bydgoszcz, ul. Mazowiecka.

Produkcja tej fabryki jest klasycznym dowodem, że jeśli sumienny wykonawca techniczny potrafi połączyć swój trud z wysiłkiem artysty, zdobiącego dany produkt, powstaje stąd przedmiot, nieraz najniezbędniejszego codziennego użytku a równocześnie umilający nam życie polotem piękna i czyniący je tem samem powabnem i cennem...

Wszystko to, co wyrabia się w bydgoskich zakładach Tow. Akc. „Galwana" udowadnia właśnie niezbicie, jak element trwałości i praktyczności oraz artystycznego piękna mogą iść razem z sobą ręka w rękę, by wspólnie służyć człowiekowi ku jego wygodzie i artystycznemu zadowoleniu...

Filiżanka, pudełeczko do pudru, podstawka, flakon do kwiatów, popielniczka czy bonbonierka, wyrabiane dotąd ze szkła, porcelany czy fajansu, jakże łatwo i często ulegały żałosnemu stłuczeniu. Aż oto pomysł „Galwany" zaopatrzył je w płaszcz metalowy, czyniąc je tem samem niemal „wiecznemi" a co więcej równocześnie przyozdobił je artystycznie tak, iż uczynił z nich przedmiot często wysokiej wartości artystycznej.

Cały ten proces utrwalenia kruchego naczynia z porcelany czy szkła przy równoczesnem przyozdobieniu go, jest pomysłem i dziełem braci Baranowskich, którzy obaj właśnie są nie tylko inicjatorami „Galwany" ale i tymi, którzy inicjatywę swą w jak najszerszym zakresie z kolei wykonali a dziś są duszą całego tego imponującego przedsiębiorstwa.

Samo Tow. Akcyjne, które podjęło się produkcji artystycznej w ramach pomysłu braci Baranowskich, zawiązało się w lutym 1920 r. poczem po długiej i mozolnej pracy urządzenia fabryki, zakłady te otwarto w marcu 1922 r.

Bolesław Baranowski, dyrektor administracyjny „Galwany".

Kazimierz Baranowski, dyrektor techniczny „Galwany".

Widok ogólny zakładów „Galwana" w Bydgoszczy.

Mniejszy oddział zdobnictwa artystycznego.

Już we wrześniu tegoż roku wyroby „Galwany" wystawione poraz pierwszy na II Targach Wschodnich zrobiły tam furorę. To samo powtórzyło się na III Targach Poznańskich. Zachwytom a co ważniejsza zamówieniom nie było końca. Zarząd fabryki nawet nie mógł ich wszystkich przyjąć.

Że te zachwyty były rzetelnie zasłużone, tego dowodzi wystawa w Ljonie w kwietniu b. r. a z kolei w marcu 1923 r. w Królewcu. Obie one rozsławiły szeroko produkcję bydgoskiej „Galwany", a tem samem i kraju naszego. Zachwyty te osiągnęły swój rekord, gdy francuscy kapitaliści zaofiarowali się dostarczyć funduszów potrzebnych, byle im stworzyć w Paryżu filję podobnej produkcji, która wyrabia się w „Galwanie" bydgoskiej. Pertraktacje zostały pomyślnie ukończone i dziś filja taka w Paryżu istotnie się organizuje. Oto jak się dokonywa propaganda polskiego przemysłu w świecie zagranicznym, gdy nawet Paryż, owa „stolica świata" złożył mu cześć i uznanie w postaci tak trwałego faktu.

Bardzo ciekawą jest przechadzka po efektownych salach fabryki „Galwana." Zatrudnia ona dziś około 175 robotników, nie licząc około 40 wysoko uzdolnionych artystów i artystek-malarek, którzy ofiarowują swój talent dla upiększenia produkcji „Galwany."

Obok zamieszczone ilustracje dają pewne pojęcie, w jakich ramach odbywa się ta wielce ciekawa produkcja „Galwany." Więc pierwszy z brzegu dajmy na to flakon szklany czy porcelanowy czajnik, przeszedłszy tu przez ręce artystycznego

T. zw. szlifiernia, gdzie wykończa się naczynia pod względem technicznym.

Główna hala elektro-chemicznego utrwalania naczyń.

Proces niklowania, złocenia i srebrzenia produkcji Tow. Akc. „Galwana".

Oddział polerowni naczyń „Galwana".

Mniejszy oddział artystycznego zdobnictwa.

Sztuka stosowana na usługach Tow. Akc. „Galwana".

„wzorzysty" obrobiony jest potem przez szlifierza, poczem idzie z kolei do oddziału chemicznego, gdzie praca obu zostaje w sposób wprost niezniszczalny utrwaloną w niklu, mosiądzu, miedzi, złocie lub srebrze...

Warte jest podkreślenia, iż całe urządzenie techniczne zakładów, a więc każda niemal maszyna poza „dynamo" i motorami jest dziełem projektu pp. Baranowskich, wykonanem we własnych warsztatach fabryki. Tow. Akc. „Galwana" posiada też własną elektrownię na 150 HP., własną odlewnię metali, stolarnię, szczotkarnię i t. d.

Nie sposób wyliczyć i opisać tu wszystkich przepięknych modeli, które produkuje „Galwana". Zresztą zmieniają się one i wciąż przetwarzają w rękach artysty, wiecznie twórczego i pomysłowego, jako że źródło natchnienia jego z natury swej bije nieustannie i wiecznie jest świeże.

Wspomnieliśmy już, iż inicjatorami i duszą fabryki są bracia Baranowscy. Z nich p. Bolesław jest dyrektorem handlowym zakładów, p. Kazimierz zaś technicznym. Wysoce uzdolnieni w swym zawodzie, a przytem ludzie o wykwintnym smaku i artystycznej pomysłowości—co jest całym sekretem tego przedsiębiorstwa — obaj oni doskonale się wzajem uzupełniają, gwarantując swą pracą i zapałem coraz to większy i nie dający się dziś wprost przewidzieć rozwój tych zakładów. Już dziś produkcja roczna przedstawia wartość przeszło 2 miljardów.

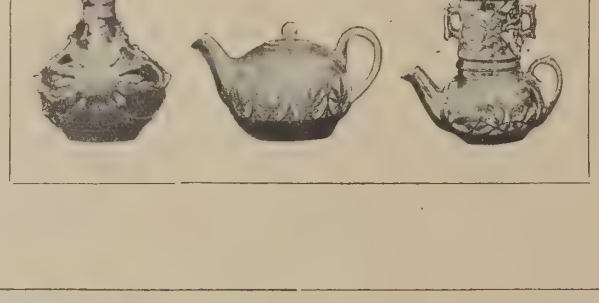

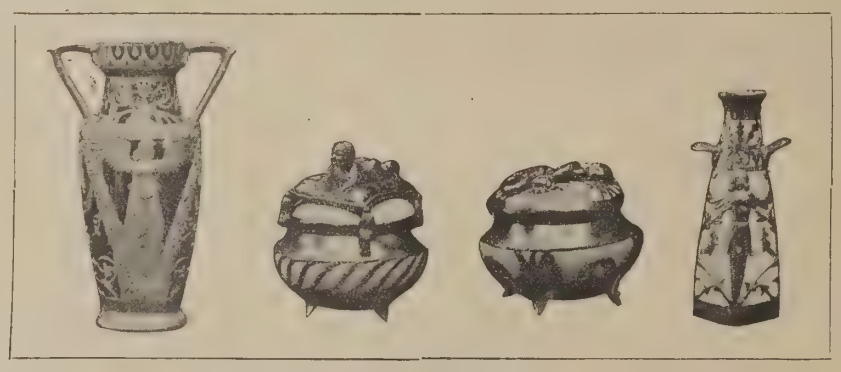

Wyroby Tow. Akc. „Galwana".

Nawiasowo dodajemy, iż „Galwana" finansowana jest przez Bank Zw. Spółek Zarobkowych, Polski Bank Krajowy i Bank Stadthagena w Bydgoszczy. Dziś akcje jej są już tylko bardzo trudne do zdobycia.

Jest to zrozumiałe, gdy się zważy, że „Galwana" ze swą produkcją zamówieniom wprost nadążyć nie może, a w tem, co wytwarza, jest wprost bez konkurencji na całym rynku ogólnoświatowym.

Dr. M...ski.

Czerwiec, 1923.

Warsztaty zakładów „Galwana".

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8.

Nr 32 Ogólnego zbioru 3,325 Wydawnictwa rok 64. 4 Sierpnia 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Z PAMIĄTEK POLSKICH W TURCJI.

Broń polsko-węgierska z muzeum historyczno-wojskowego w Konstantynopolu.

POLSKA A TURCJA.

Na mocy zawartych ostatnio umów Polska odnowiła z Turcją traktat „wieczystej przyjaźni". W ten sposób oba państwa, które już w końcu XVII-go wieku (traktat karłowicki z roku 1699) umiały położyć kres wzajemnym zatargom i ślubowały sobie trwały i niezamącony pokój, wchodzą obecnie w nowy okres dziejów, ożywione uczuciem wzajemnej dla siebie sympatji, opartej nie tylko o interesy gospodarcze, lecz, w stopniu niemniej silnym, o szacowne tradycje dziejowe.

Tradycje te są natury rycerskiej. W okresie długich i krwawych bojów, które Polska toczyła niegdyś z Turcją w obronie cywilizacji chrześcijańskiej, zagrożonej przez półksiężyc, nauczyliśmy się szanować Turków, jako nieprzyjaciół. Bohaterstwo żołnierza tureckiego i szlachetność jego wodzów wspominane są niejednokrotnie na kartach naszej historji. Niemniej Turcy umieli zawsze uznać w Polakach rycerskich przeciwników i nieraz zdarzało się, że zawierali z nimi przymierze na polu bitwy, lejąc ówczesnym zwyczajem „wodę na szable".

To też kiedy po potrzebie wiedeńskiej, która niemierzchnącą nigdy chwałą opromieniła oręż polski, potęga turecka została skruszona, a Porta, zagrożona jednocześnie przez Austrję i Wenecję, a niebawem potem przez Rosję Piotra Wielkiego, musiała szukać dla siebie zabezpieczenia w umowach sąsiedzkich — najtrwalszą z nich zawarła z Polską, odstępując jej na „wieczne czasy" Podole i Ukrainę i ślubując jednocześnie przyjaźń.

Tak stanął traktat karłowicki, który, nienaruszony ani przez Turcję ani przez Polskę, przetrwał do dzisiaj, bo według pięknej interpretacji Turków „nie przestał ich obowiązywać" w okresie niewoli narodu polskiego.

Istotnie, w okresie tym Turcja stała zawsze po stronie polskiej. Już sam fakt, że obok Hiszpanji, była ona jedynem państwem, które nie sankcjonowało swoim podpisem aktów 3-go rozbioru Polski, świadczy o wysokiem poczuciu moralnem rządu i narodu tureckiego. Znany powszechnie jest przechowywany przez ciąg całego wieku XIX-go na dworze sułtańskim zwyczaj meldowania posła Rzeczypospolitej polskiej, jako tego, który wskutek przeszkód nieprzezwyciężonych przybyć nie mógł.

Że to uczucie sympatji dla narodu, którego wolność została zdeptana przez zaborców, nie było tylko uczuciem platonicznem, o tem mówi nam szereg faktów, zaczerpniętych z dziejów naszej emigracji politycznej.

Polacy doznawali zawsze w Turcji dobrego przyjęcia, a już to jedno, że Mickiewicz obrał Konstantynopol za punkt oparcia dla tworzenia legjonu polskiego w czasie wojny krymskiej, wiąże nas trwałem wspomnieniem z potomkami Osmanidów.

Jednocześnie Polska patrzyła zawsze ze współczuciem na dzieje najnowsze Turcji. Zwłaszcza wojny jej z Rosją budziły w Polsce szczerą sympatję w połączeniu z nadzieją, że niepowodzenie Rosji może wpłynąć na zmianę układu sił politycznych na Wschodzie Europy a tem samem zbliży chwilę odzyskania przez naród polski niepodległości.

Nadzieje te zawodziły. Istniały one jednak i w latach 1768 — 1774 i w roku 1809 i w roku 1828, w przeddzień wybuchu powstania listopadowego, kiedy Paskiewicz-Erywański w Azji a Dybicz-Zabałkański w Europie przygotowywali grunt dla hańbiącego Turcję pokoju w Adrjanopolu (14 września 1828 r.) i w r. 1854/6, wreszcie, nawet w r. 1877-ym, podczas ostatniej wojny turecko-rosyjskiej, kiedy garść młodzieży polskiej marzyła zgoła już nierealnie o wywołaniu w Polsce ruchawki przy pomocy Turcji.

Stwierdzić tedy łatwo, że Polska, walcząca o wolność lub zrywająca się do tej walki, liczyła zawsze na Turcję, jako na swojego naturalnego sprzymierzeńca i sojusznika.

Niejednokrotnie też w publicystyce historycznej polskiej, która szukała przyczyn upadku Rzeczypospolitej i wynikających stąd późniejszych klęsk narodu, wyrażano żal z powodu, iż do porozumienia i przyjaźni polsko-tureckiej przyszło za późno.

Gdyby traktat karłowicki zawarty był o lat 50 wcześniej, kto wie, czy Europa końca XVIII-go wieku nie wyglądałaby zupełnie inaczej. Gdyby na tronie polskim nie było Augusta II-go, sprzymierzonego z Piotrem Wielkim, gdyby berło polskie miał w ręku dłużej Stanisław Leszczyński, zaprzyjaźniony osobiście i popierany gorliwie przez walecznego króla Szwedów, Karola XII-go, gdyby doszło wówczas do zjednoczenia sił szwedzkich, polskich i tureckich przeciw Rosji — wynik bitwy połtawskiej w roku 1709 byłby inny, potęga Rosji w rozwoju swoim byłaby powstrzymana, Austrja nie byłaby się wzmogła przez przyłączenie Węgier i Siedmiogrodu, a tem samem sojusz rozbiorowy prusko-rosyjsko-austrjacki nie miałby szans na dojście do skutku.

Bieg historji był inny. Klęskę poniosła naprzód Szwecja, zmuszona do zamknięcia się odtąd już na stałe na swoim półwyspie i do zrezygnowania z panowania na Bałtyku, potem Polska, rozszarpana przez trzech sąsiadów, wreszcie Turcja, która, broniąc się, obficie krwawiła przez cały XIX i początek XX-go stulecia, a bliska już zupełnej zguby, odzyskuje dopiero dzisiaj swoje prawa do bytu i wchodzi, jako równa i wolna, w okrojonych tylko granicach, do rodziny równych i wolnych narodów.

Fakt ten w całej Polsce powitany został radośnie. Niema bowiem powodów, dla których mie mielibyśmy cieszyć się razem z Turcją z odniesionych przez nią ostatnio orężnych i dyplomatycznych triumfów, będących jednocześnie triumfami sprzymierzonej z nami Francji, której polityka na wschodzie europejskim okazała się znacznie bystrzejszą i bardziej przewidującą od polityki niemieckiej przed wojną i podczas wojny, tudzież od polityki angielskiej po wojnie.

Niema też i nie może być w Polsce nikogo, kto nie wyciągnąłby dzisiaj z całą przyjaźnią ręki do Turcji, zarówno w imię przeszłości jak i w imię przyszłości, która niewątpliwie drogi nasze zbliży.

Polska musi od tej chwili uważnie patrzeć na Turcję.

Naprzód z uwagi na swoje interesy ekonomiczne, potem, w drugiej już linji, z uwagi na rozpoczynający się wielki proces konsolidacji narodów Wschodu, wyznających religję Mahometa.

W pierwszym kierunku handel nasz z Turcją ma zupełne widoki rozwoju. Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. Turcja jest doskonałym rynkiem dla wielu naszych towarów, jednocześnie zaś może nam dostarczać surowców, których potrzebujemy, jeżeli nie bezpośrednio z własnego kraju, to pośrednio z t. zw. krajów zakaukaskich, przez morze Czarne, z którego portami prędzej czy później musimy wejść w stały kontakt.

Stąd „klauzula największego uprzywilejowania" ma dla naszego handlu z Turcją duże znaczenie praktyczne. Niewątpliwie, w niedalekiej już przyszłości wyłoni się dla nas potrzeba poszukania na morzu Czarnem oparcia (t. zw. bazy) dla polskiej marynarki handlowej. Oparcie to możemy pozyskać tylko dzięki przyjaznym stosunkom z Rumunją i z Turcją. Wówczas żegluga nasza na morzu Czarnem będzie miała szanse rozwoju, a przy odpowiedniem połączeniu za pomocą systemu kanałów Dniestru z Wisłą, otrzymamy kiedyś to, o czem marzy dzisiaj każdy ekonomista polski — połączenie Bałtyku z zatoką Akermańską, czyli północy z południem.

Dla handlu polskiego, a w dużej mierze także i dla handlu tureckiego ma to znaczenie niepospolite. Oba sprzymierzone i współdziałające zgodnie wielkiemu dziełu cywilizacji narody mogą osiągnąć na tej drodze dobrobyt, gwarantujący im wszechstronny rozwój cywilizacyjny i kulturalny.

Z drugiej strony, z politycznego punktu widzenia, nie jest i nie może być dla nas nigdy obojętny proces nacjonalizacji Wschodu, który posiada wielomiljonową ludność, rozbitą dzisiaj pomiędzy różne państwa, ale coraz świadomiej gromadzącą się pod chorągwią Mahometa.

Zagadnienie islamu należy niewątpliwie do największych zagadnień przyszłości i to niezbyt oddalonej.

Zagadnienie to musimy badać i przyglądać mu się bardzo troskliwie, wciąga ono bowiem w swoją orbitę znaczny odłam ludności b. państwa rosyjskiego, które znajduje się obecnie i zapewne przez czas dłuższy znajdować się jeszcze będzie w stanie rozkładu.

Doświadczenie dziejowe uczy nas, iż wielkie imperjalizmy nie giną odrazu, ale i nie odradzają się nigdy w tej samej postaci, w jakiej zaskoczyła je katastrofa dziejowa. Mało też jest widoków na „odrodzenie" Rosji w tym kształcie i w tej potędze, w jakich pragnęliby ją widzieć jedni tylko Czesi w całej Europie. Daleko więcej widoków jest na to, że dawne imperjum rosyjskie odradzać się będzie niejednolicie, to znaczy nie centralistycznie, lecz decentralistycznie, poszczególnemi obszarami, które potrafią się skupić i zorganizować prędzej od innych. Do takich skupień i organizacyj niezbędne są jednak silne idee moralne. Nie da się zaś zaprzeczyć, że taką właśnie ideą dla tatarów krymskich i kazańskich, nawet dla kirgizów rosyjskich, nie mówiąc już o Turkiestanie, Bucharze i Chiwie, jest islam, potężna dźwignia nacjonalizmu turecko-tatarskiego, z którym Europa Wschodnia może mieć niejeden kłopot — i nie tylko wschodnia, gdyż kwestja ta niemniej interesować musi Anglję z uwagi na Egipt, oraz Włochy z uwagi na Trypolitanję i Cyrenaikę. Jedna Francja, która swoją politykę kolonjalną w Afryce północnej oparła na nowoczesnych zasadach, może spokojnie patrzeć w jutro.

Rola Polski jest tu oczywiście tylko rolą stojącego na uboczu obserwatora. Bezpośrednio z islamem nie mamy do czynienia. Nie obawiamy się też wcale jego triumfów. Przeciwnie, o ile idzie o Rosję, będą nam one zawsze na rękę.

Jesteśmy jednak państwem, które w układzie politycznym Europy zajmuje już dzisiaj miejsce poważne a zajmować powinno w miarę rozwoju stosunków pokojowych—coraz poważniejsze. Misja nasza dziejowa nie jest jeszcze spełniona. I dlatego, jako mocarstwo, musimy ogarniać wszystko, co się dokoła nas dzieje i bacznie przyglądać się temu, co jest nam bliskie. A Turcja niewątpliwie, chociaż nie mamy z nią granic bezpośrednich, należy do państw bliskich nam położeniem geograficznem i rozwojem stosunków historycznych.

W historji bywają dziwne analogje. W XVI wieku Turcja była potęgą i w tym samym okresie Polska osiągnęła szczyt swojego rozkwitu mocarstwowego.

Nie przesądzając, czy podobny układ stosunków w Europie może się jeszcze powtórzyć, możemy jednak stwierdzić, iż nie mamy najmniejszego powodu obawiać się rozwoju Turcji, przeciwnie, możemy jej życzyć jaknajwszechstronniejszego odrodzenia w błogosławionem słońcu pokoju, który okupiła krwią swoich walecznych synów.

Z. Dębicki.

Widok ogólny zakładów Kruppa w Essen.

PRAWDA Z NAD RUHRY.

2)

Robotnicy w Niemczech nieokupowanych i nad Ruhrą zdzierają ostatnie swoje ubrania przedwojenne. Dzieci chodzą boso i bez koszuli. Stwierdzono to w urzędowej statystyce. Organizacje robotnicze nie mają żadnych pieniędzy, żadnych oszczędności. Są wobec przemysłowców bezsilne. Kasy ich nie wystarczają nawet na dwie godziny strajku... zdane są na łaskę i niełaskę przedsiębiorców, którzy celowo taki stan rzeczy wywołali. Robotnicy mają do wyboru: albo bezwzględne posłuszeństwo wobec rządu i pracodawców, albo rewolucję.

A marka niemiecka wciąż leci, leci w przepaść—drożyzna szaleje—i wszystko to sprzyja rozwojowi komunizmu.

* * *

W końcu roku ubiegłego toczyły się narady pomiędzy przedstawicielami francuskiego i niemieckiego przemysłu węglowo-żelaznego. Chodziło o stworzenie wspólnej organizacji, trustu lub koncernu, któryby skupił w sobie kapitały tak olbrzymie, jakich nie bywało dotychczas ani na starym ani na nowym kontynencie. Francuzi chcieli mieć w tej kombinacji 60% akcyj, Niemcy się na to nie zgodzili, proponując dla siebie 50%. Narady rozbiły się o tych 10%. Jest to najpoważniejsza z przyczyn okupacji nad Ruhrą... Niemcy nazywają teraz swoich wielkich przedsiębiorców—Stinnesa, Wolffa i t. d.—„10% Patrioten"... jako że stali się powodem okupowania Zagłębia, w którem sami posiadają 65% całego majątku niemieckiego. Sprawa odszkodowań na inneby wstąpiła tory, gdyby nie 10% „patrjotów" niemieckich...

Jakież było późniejsze postępowanie ich?

Cuno, który był głównym kierownikiem jednej z najpotężniejszych firm żeglugi („Hapag"), prowadzi politykę „10% Patrioten." Udziela firmom okrętowym pożyczek, które, pomimo, iż firmy te wykazały—jedyne wśród europejskich—zyski setek miljonów—dosięgły rozmiarów 80 miljardów. Udziela pomocy wielkim przedsiębiorcom węglowym, żelaznym i innym, pozwalając im co pewien czas na sprzedaż walut mocnych, kiedy kurs ich był wysoki oraz na kupowanie tych walut, kiedy kursy ich się obniżą. Przedsiębiorcy zarabiają na tem miljardy. Tak było podczas pierwszej katastrofy walutowej w styczniu i lutym i przy następnej „stabilizacji marki." Tak było potem w kwietniu, potem w czerwcu. Dalej rząd niemiecki opłaca 80% wynagrodzeń górnikom, „żywiołowo strajkującym" nad Ruhrą.

Rząd Cuno'a „idącego na pasku wielkich przemysłowców" (wyrażenie pism robotniczych), pozwala na sprzedawanie towarów według wartości obliczonej w markach złotych—a więc po cenach tak wysokich, że równają się wartościom przedwojennym, robotników zaś pozwala wynagradzać według wartości marki papierowej, wskutek czego robotnik w Niemczech zarabiał do czerwca pięć, sześć a w niektórych działach przemysłu do 15 razy mniej, niż przed wojną. (Wiadomo powszechnie, że podczas ostatnich strajków na Śląsku Opolskim hasłem robotników niemieckich było: chcemy do Polski, bo nie chcemy umrzeć z głodu. Na Śląsku, należącym do Polski, wynagrodzenia robotnicze były trzy razy większe, niż na Śląsku należącym do Niemiec).

Skutek taktyki rządowej był bardzo prosty: Nieliczni kapitaliści skupili w swych rękach majątek całych Niemiec—i dążą do wytworzenia jednolitej organizacji tych bogactw w koncernach i trustach, obejmujących w przemyśle węglowo-żelaznym nie tylko Niemcy, ale też Austrję—(sięgają także do Polski, o czem świadczą zakupy Stinnesa)—dążą do wzajemnych umów pomiędzy firmami, dotychczas jeszcze wytwarzającemi sobie konkurencję—chcą stworzyć obecnie sami podobny związek, który nie doszedł do skutku podczas narad z przemysłem francusko-belgijskim — a robotnicy zeszli na ostatni stopień nędzy.

Polityka Cuno'a i „10% Patrioten" przedewszystkiem obniżyła markę niemiecką do poziomu, od którego niższy jest tylko poziom rubla sowieckiego. Łatwo sobie wyobrazić, co się stało z kasami organizacyj robotniczych, gdzie latami zbierano krwawym trudem oszczędzane papierowe marki niemieckie. Pieniądze te odrazu straciły wszelką wartość. Miljony stały się tysiącami, a potem spadły do znaczenia setek. Potęga związków robotniczych runęła, a ponieważ w stosunku do tego spadku marki zarobki wzrastały śmiesznie mało—bo rząd niemiecki nie chciał wynagrodzeń robotniczych podnosić, jako że to „osłabi postawę Niemiec wobec Francji"—więc robotnicy przestali w znacznej liczbie nawet płacić wkładki do swoich związków — i nikt dziś już nie jest w stanie obliczyć, ilu członków posiada dana organizacja robotnicza. Żaden przywódca nie wie, ilu robotników reprezentuje, robotnicy przechodzą od socjalistów i związków chrześcijańskich do komunistów, kiedy ci robią strajki przeciwko przedsiębiorcom, a potem wracają do socjalistów i chrześcijan, skoro rząd za ten strajk, niepodyktowany przezeń, nie chce płacić zarobków... Tak było po rozruchach w maju. Komuniści zmuszali wtedy siłą do porzucania pracy za pomocą zorganizowanych „setek zbrojnych." Jednakże tych setek nie było tyle, żeby mogły one wywołać bezrobocie około 250.000 ludzi. Wielu niekomunistów sympatyzowało z tą próbą rewolucji, a gazety socjalistyczne przez kilka dni straciły głowę, bo właśni ludzie ich wchodzili do komitetów strajkowych. Dopiero gdy resztki policji i straż ogniowa stłumiły w potokach krwi ten wybuch, organy prasy gwareckiej i socjalistycznej odzyskały mowę i zapomniały, że były rozruchom przeciwne. Postanowiono na naradach z przedstawicielem rządu niemieckiego w Dortmundzie, że ten tylko otrzyma wynagrodzenie za czas strajku, kto dowiedzie lub przysięgnie, że był zmuszony do strajku. I cóż się okazało? W fabrykach, które całkowicie nie były czynne, otrzymało wynagrodzenie 95% robotników! Za marne pieniądze tysiącami wyrzekali się robotnicy współdziałania w tym strajku, wywołanym głodem i rozpaczą.

Tymczasem „10% Patrioten" w dalszym ciągu zdawali egzamin ze swego poświęcenia dla ojczyzny. Najpierw, po odrzuceniu „stupid" propozycyj niemieckich, ogłosili, oczywiście w porozumieniu z rządem „warunki" (!), na których raczą się zgodzić na wzięcie na siebie części odszkodowań. Słynną tę ofertę przyjęto nawet w organach centrowych z pełnemi zakłopotania zastrzeżeniami, a na lewicy — śmiechem i wybuchami wściekłości. Przemysłowcy, jak się okazało, ofiarowali formalnie 500 miljonów marek złotych (które przecież musieliby zapłacić, gdyby takie na nich nałożono podatki), ale „zato" chcieli zniesienia opłat wywozowych (co już wynosi około połowy tej sumy) oraz... swobody w traktowaniu ośmiogodzinnego dnia pracy—a zyski stąd płynące wymykają się całkowicie obliczeniom. Propozycja przemysłowców była próbą oszukania Niemiec, oszukania komisji odszkodowań i dokonania gwałtu nad robotnikami. Przyjęto ją jednak,..

A w nagrodę za to „10% Patrioten" zaczęli fikcyjnie, lub nie, wyprzedawać swoje olbrzymie majątki zagranicę—otrzymując zapłatę w walucie obcej, która pozostaje w bankach zagranicznych, a więc zmniejszając w ten sposób zasoby mocnej waluty w Niemczech—i—i—unikając płacenia swo-

jej części w przyrzeczonych 500 miljonach marek złotych—na odszkodowania dla Francji, Belgji, Anglji i t. d...

Czy może być wybitniejszy dowód „patrjotyzmu?"

„Tranzakcje" powyższe ostatecznie i stanowczo zdjęły bielmo z oczu robotników nad Ruhrą. Prasa robotnicza nie ma słów oburzenia dla tych, którzy wywołali okupację Ruhry, aby się wzbogacić i wtrącić masy robotnicze całych Niemiec na dno nędzy.

W czerwcu robotnicy otrzymali nareszcie dość znaczne podwyżki. Fala niezadowolenia na razie przycichła pod suggestją „cyfr astronomicznych" — ale brak koszul i butów szybko przypomniał, czem są te cyfry wobec zarobków przedwojennych. Mówię tu oczywiście nietyle o robotniku nad Ruhrą — bo jego położenie jest względnie lepsze, niż w Niemczech — ale o robotniku z Niemiec nieokupowanych—gdzie niedawno właśnie strajkowali masowo metalowcy—najciężej pracujący i najbardziej upośledzeni przez nierównomierność pomiędzy ceną wyrabianych przez siebie towarów i własnemi, kilkakrotnie zmniejszonemi (w stosunku do zarobków przedwojennych) wynagrodzeniami.

* * *

Co Niemcy tracą wskutek okupacji zagłębia Ruhry?

Oprócz miljardów, a raczej biljonów, koniecznych do opłacania niczego nie produkujących robotników i urzędników nad Ruhrą, Niemcy pozbawione są węgla z nad Ruhry oraz produkcji fabryk nad Ruhrą.

Zagłębie okupowane produkuje około 85% całego węgla, wydobywanego w państwie niemieckiem.

Państwo niemieckie potrzebowało z nad Ruhry tyle węgla, ile go pozostawało po zaspokojeniu fabryk miejscowych. Wynosi to około 34% całej produkcji—i tę ilość muszą Niemcy sprowadzać z zagranicy, za walutę obcą, przeważnie za funty sterlingi. Jak to wpływa na markę niemiecką, to widać z jej wartości na giełdzie.

Wartość produkcji fabryk nad Ruhrą nie da się obliczyć. Francuzi nałożyli na nią cło wywozowe, którego przez czas jakiś rząd niemiecki zabraniał opłacać — a wskutek tego wywóz się całkowicie zatrzymał — i wiele fabryk stanęło. Aby obejść własny zakaz, rząd Cuno'a pozwolił na opłacanie Francuzom cła od przedmiotów zamówionych przez firmy zagraniczne — tak, żeby sprawa wyglądała tak, że to nie Niemcy, ale owe firmy zagraniczne cło opłacają... (Podobny wybieg, naruszający bierny opór, wydano w sprawie wiz francuskich na pasportach Niemców, chcących się udać na teren okupowany: zakazano zwracać się bezpośrednio przez pocztę do Francuzów, ale pozwolono, aby sprawę załatwiali „krewni i znajomi" nad Ruhrą... i to się nazywa „nieprzełamany opór").

Francuzi posiadają jednak kontrolę nad tym wywozem, a skutek zarządzeń rządu niemieckiego i rządów francuskiego i belgijskiego jest taki, że firmy, które zawarły z sowietami rosyjskiemi umowy handlowo-przemysłowe, nie mogą tej umowy dotrzymać. Dzienniki fachowe niemieckie zatrąbiły w tej sprawie na alarm. Firmy te — Krupp, Wolff i inne — najpotężniejsze w Niemczech, nie spełniają też swej misji polityczno-przemysłowej, zaopatrywania Rosji i pomagania jej do wydobycia się z marazmu bolszewickiej anarchji. Kto wie czy ustępliwość sowietów w różnych sprawach przemysłowo-handlowych wobec krajów, które dotychczas traktowano w Moskwie jak wrogów, nie w tej właśnie okoliczności posiada swe źródło. Przemysł polski i polityka francuska mogą stąd ciągnąć poważne korzyści...

Polityka francuska posiada na celu nie tylko bezpośrednią eksploatację węgla i koksu w Zagłębiu Ruhry, ale przedewszystkiem trzymanie w ręku zastawu, stanowiącego, jak już zaznaczyłem, 65% bogactwa narodowego całych Niemiec. Niemcy, o ile nie porzucą swej polityki katastrofy, trwając dalej w swym uporze, dojdą do zupełnego bankructwa.

Co zaś do wywożenia węgla, to Francuzi i Belgowie, opanowawszy koleje i zajmując stopniowo kopalnie, wywożą zapasy, nagromadzone na zwałach w kopalniach i koksowniach nad Ruhrą. Mają do wywiezienia jeszcze około $1\frac{1}{2}$ miljona tonn. Zanim je wywiozą, zapewne resztki biernego oporu ustaną. Przywódcy robotników głośno wyrażają przekonanie, że „Notarbeiten" i „Scheinarbeiten" doprowadzą robotników do ostatecznej demoralizacji. Rozumie to również rząd niemiecki, co wywoływało już zabawne konflikty, świadczące, że przekonania o potrzebie pracy wywróciły się już nad Ruhrą podszewką do góry.

Różni agitatorowie, głównie komuniści, dla doprowadzenia idei oporu do absurdu i dla wywoływania zamętu i wichrzeń, zaczęli propagować ideę, że jeżeli bierny opór ma być rzeczywisty, to robotnicy powinni porzucić wszelką pracę, a więc zaprzestać nawet robót, koniecznych dla utrzymania kopalni — i naturalnie takich, które mają cel na przyszłość — a więc wykopywanie nowych szybów, galeryj i t. p. Sprzeciwił się temu rząd i zagroził, że nie będzie płacił za taki „absolutny bierny opór". Komuniści odpowiadają na tę agitację o „zmowie przemysłowców niemieckich z kapitalizmem francuskim" i grożą... całkowitym biernym oporem, czyli strajkiem generalnym...

I rząd zwalcza tę patrjotyczną agitację... choć sam udzielał komunistom zasiłków... po cichu.

K.

WACŁAW SZELĄŻEK:

POEZJE.

MORSKIE OKO.

Źrenico ziemi naszej, słońc i gwiazd zwierciadle,
białych śniegów bezdenny, wiecznie zimny grobie!
W dusznem mieście, zmęczony, stęskniony ku tobie
W marzeniu twoje śniegi znów nartami radlę.

O zaklęta głębino! Czaro tajemnicza,
mieniąca się barwami niebios i ścian skalnych!
Spieniona białą pianą wichrów triumfalnych,
czy spokojna błękitem toń twoja dziewicza —

zawsze jesteś potężna i źrenicą swoją
sięgasz w głąb pielgrzymiego serca nieszczęśnika,
co przyszedł cię podziwiać, bo czar twój przenika
duszy ludzkiej tęsknicę i jest jej ostoją.

Pamiętam Morskie Oko z pierwszego poznania
gdy spragniony i głodny, z krwawiącemi stopy,
ujrzałem w niem odbite ciemne niebios stropy
i bezmiar gwiazd na toni i mgławic błyskania.

Pamiętam Morskie Oko w słoneczne południe
gdym z pod Mnicha wskazywał całych Tatr urodę,
zaszczepiając ich miłość w serce dziecka młode,
jak krokus w białych śniegach rozkwitnięte cudnie.

Pamiętam Morskie Oko w noc burzliwą, ciemną,
gdy wichr halny straszliwie kosił lasy całe.
Folgowałem rozkoszy... zmysły rozszalałe
niosły mnie w inne światy, halny grzmiał nademną.

I pomnę Morskie Oko w czas zawiei śnieżnej
i pustki odczuwanej bezmiernej wokoło...
Wówczas wichrom dawałem zachmurzone czoło
i leczyłem swą duszę z tęsknoty bezbrzeżnej.

Ach, gdyby można kiedyś z międzyszczytnej deski
na polskich Rysach spłynąć ku Oku Morskiemu
i dać początek końcu i koniec wszystkiemu
i przestać liczyć życia dni i godzin kreski.

WIECZORNE ZORZE.

Błogosławiona bądź pogodna ciszy
przedwieczerz letni kojąca spokojem...
ziemia oddechem woniejącym dyszy,
jakby zmęczona dnia upalnym znojem.

W bezruchu stoi łan kwitnący żyta
I polna grusza zastygła w milczeniu,
ziemia słoneczną purpurą okryta
w wieczornym tonie spokoju i cieniu.

Jeszcze skowronek raz wzbija się w górę,
by słońca żegnać ostatnie promienie,
żałosne czajki gdzieś słychać kwilenie
a zresztą cisza... W gasnącą purpurę

tonęło morze myśli, pragnień morze
i zamierało, jak gasnące zorze.

PORTRET.

STUDJUM.

OBRAZY SŁUPSKIEGO.

Słupskiego znamy wszyscy, znamy nie od dziś.

Początkowo pojętny i najlepszy w owych czasach uczeń Wojciecha Gersona, potem w Paryżu, jako stypendysta towarzystwa Zachęty, pilnie pracujący nad dalszem zdobyciem wiedzy malarskiej młody artysta.

Talent refleksyjny, realista z przekonania, idącego z głębi duchowej jego istoty. Umie tylko to, odczuwa tylko tyle, ile może w rzeczywistości sprawdzić. Jestto może zacieśniony w swoim rodzaju zakres możliwości, ale — przewyższa wiele innych — tem: że tam niema pola do zawodów, do straty czasu, do efemeryd. Realistyczne podłoże prac Słupskiego pozwala mu osiągnąć maximum dobrego wyniku pracy— przy minimum eksperymentów.

Słupski nie jest Edisonem malarskim, nie sili się na nowe odkrycia, na próby, na poszukiwania. On pragnie tylko wyników możliwie dobrych, w zakresie już wiadomym — nie kusi nowości, nie sięga po tajemnice. Jeśli maluje portret, nie stara się o jakiś styl, — jego zadaniem, pierwszem i ostatniem, zrobić osobę portretowaną *podobną* do ostatnich możliwości.

To osiąga.

Kto widział konterfekt Wojciecha Gersona, musi przyznać, że trudno o większe podobieństwo— Gerson najlepiej zcharakteryzował sam ten obraz:

„To nie mój portret — to raczej ja sam jestem".

Tak samo było z podobizną Radziwiłła, podobieństwo zastanawiające — zupełne.

Majster formy— którą z Francji przyniósł— aby ją młodszym w swej szkole, od wielu lat prowadzonej, zaszczepiać.

Smakosz, rozkoszujący się najdrobniejszą subtelnością odkrytą w naturze, dla siebie surowy i wymagający, umie w każdem dziele zawsze dać *coś osobistego.*

Poza tem malarz świetnych minjatur, jest on od lat kilkunastu wznowicielem tego arcy subtelnego rodzaju—gdzie właściwości natury artysty świetnie się nadają. Te małe arcydzieła, których tyle widywaliśmy na naszych wystawach — stanowią jego działalności dużą część i część bodaj że najtęższą.

Słupski malarstwo minjatury u nas odnowił, przypomniał sztukę: Isabeyów i Kosswayów, małe przesubtelne cacka znów pojawiły się na ścianach naszych zbieraczy.

Brutalna podobizna fotograficzna może na *stałe* cieszyć tylko bardzo jeszcze młode gusta, ludziom dobrego smaku nigdy nie przypadała do przekonania, bezduszna to tylko i mechaniczna reprodukcja osoby utrwalonej przez szklaną soczewkę aparatu.

Naturalnie, człowiek, który lat tyle poświęcił kształceniu młodych malarzy, musiał posiąść i w sprawach pedagogiki artystycznej wielkie doświadczenie, tak też jest. Całe szeregi artystów, dziś już samodzielnie pracujących, Słupskiemu zawdzięczają to, czego się nauczyli.

Główną podstawową zasadą nauczyciela: *niczego nie uczyć*, a wszystko tylko *wskazywać w naturze.*

Tą doskonałą metodą ucząc, omija kardynalną wadę akademizmu, nie narzuca żadnych kierunków, nie podsuwa żadnych rodzajów, ani stylów, otwiera tylko oczy uczniowi na *piękno przyrody.*

Indywidualizm ucznia zostaje zachowany, po owładnięciu trudności technicznych znajdzie swą drogę osobistą — niedotkniętą stopą rutyny.

Władysław Wankie.

GŁÓWKA.

WESOŁA KUMOSZKA.

Z LITERATURY OBCEJ.

Paolo-Emilio Giusti.

Od kilku miesięcy przebywa na stanowisku konsula włoskiego w Krakowie znany pisarz włoski i poeta, Paweł-Emil Giusti. Zajęty swą pracą dyplomatyczną, niedbały, a nawet gardzący wszelką reklamą, pozostał dotąd nieznanym dla ogółu Polaków, którzy widzą w nim jedynie światowca i dyplomatę, a nie odkryli jeszcze jego głębszego, prawdziwego oblicza—literackiego.

Dwa tygodnie temu wyszło w Medjolanie za staraniem towarzystwa literackiego „Bottega di Poesia" ostatnie dziełko Giusti'ego, zatytułowane „Wyjazdy i Powroty" [1]), ale twórczość literacka jego datuje się już z dawniejszych czasów.

Pierwsza jego praca, z r. 1910, to zbiorek poezyj zatytułowany „Rozdźwięki"[2]). Widać w nich odbicie przeżyć młodzieńczych autora o zmiennych nastrojach wrażliwej duszy, pełnej przytem prostoty uczuć i szczerości. Choć wrażenia zbierane w różnych momentach życia, dominuje wszędzie ton smutku, który niekiedy przechodzi nawet w gorycz, ale bez sarkazmu, jaki później coraz bardziej staje się widocznym.

Paolo Emilio Giusti.

Poezje z tego czasu cechuje przedewszystkiem młode, szczere natchnienie, któremu brak jeszcze kierownictwa wytrawnej, cyzelerskiej ręki artysty, jakim później dopiero staje się Giusti. To też nie tu szukajmy jeszcze zdecydowanej i jednolitej jego formy poetyckiej.

Poezja jest tylko przelotną próbą w twórczości literackiej Giusti'ego. Porzuca ją niebawem prawie nagle, lub się o nią nie troszczy dalej, gdyż wszystkie wydawnictwa jego, następujące po „Rozdźwiękach" t. j. zbiorek z 1911 r. „Poematy prozą" [3]) zarzucają już formę wierszowaną.

Toż samo, zbiory myśli z około 1917 r., zatytułowane „Widoki w kilku linjach" [4]) i „Znaczenia" [5]) wydane w 1921 r. w Rzymie.

We wszystkich utworach Giusti'ego ujawnia się żywo i silnie jego indywidualność, maluje jego dusza człowieka i artysty. Widzimy w nim niepokoje i walki marzeń nieziszczalnych, pragnień nienasyconych, a niekiedy i niezdrowych. Znać w nim ciągłe, nieustanne szarpanie Istoty Wyższej, która się zmaga z Demonem człowieka i niezawsze umie pokonać jego ziemskie pożądania, ciężkim łańcuchem ciągnące go do ziemi.

Walka ta jest znamieniem wszystkich jego utworów, postępy jej są widoczne z biegiem czasu, dlatego tak różne zabarwienia przybiera jego późniejsza twórczość.

Kobiecie poświęca Giusti w swych dziełach wogóle miejsce pokaźne, a stosownie do tego w jakiej epoce życia o niej pisał, zmienia ona w jego myśli swój wygląd. Z istoty idealnej i czystej (patrz „Rozdźwięki, Ewokacja") nabiera w jego pojęciu wiele cech bardziej ziemskich („Podróże i Powroty, do Brazylijki").

Cała twórczość Giusti'ego nie ma linji wytycznej. Utwory jego, przeważnie zbiory rozmyślań i wrażeń, to odbicia jego indywidualnych przeżyć, których prawdę zabija jednak niekiedy zbytnia dbałość o formę.

Jest przecież obserwatorem subtelnym i głębokim, słodkim, choć i sarkastycznym, tułacze bowiem, często samotne, życie położyło na nim swe piętno.

Styl Giusti'ego, dobrze już znany we Włoszech, jest modernistyczny, zbliża się nieco formą do d'Annunzia, lecz z koncepcji literackiej widać na nim wpływ klasyków, szczególniej zaś prozy Leopardi'ego (Zibaldone). Znane są również jego przekłady Ejschilosa.

Aby dać poznać czytelnikom rodzaj tej twórczości, cytujemy parę drobnych utworów Giusti'ego, w których on sam o sobie tak jasno się wypowiada:

„Kiedy doszedłem do pełni życia, do wieku męskiego, przyjaciele, którzy mi chcieli pochlebić, i uprzejme kobiety, sądząc, że zrobią mi tem przyjemność, mówią, że jestem przeżyty. Powiedzenia te mogą mi się wydawać niezupełnie bezpodstawnemi, o ile porównam siebie z tym, jakim byłem, zaś nie wydają mi się prawdziwemi, jeżeli badam swą istotę obecną. Gdy się zastanowię nad sobą i widzę wyniki rzeczywiste tylu mych przeżyć, to spostrzegam w mej duszy słabe ich ślady. Odbicie moje obecne jest wiosenne jak za pierwszych dni mojego życia, ale są w niem i mroki dnia ostatniego, są jednolite przezroczystości ciemnych opali, podobne do głębi morskich, lub powietrza z nad Pól Elizejskich.

Doświadczenia życia nie dodały mi nic do tego, co przewidziałem.

Czas dla mnie nie przeszedł...

Mogę dowoli przechylać klepsydrę, życie me jest niewzruszone i niepodzielne.

Wydarzenia, miejsca, zwyczaje i formy myślenia mogą swobodnie zmienić swój bieg dokoła mnie. Jestem zawsze ten sam, dlatego więc, by zauważyć, że żyję, muszę spojrzeć w siebie—z zewnątrz.

Zachowałem świadomość przeżyć mych od siódmego roku mego życia. O nieznośny ciężarze pamięci jasnej i skoncentrowanej! Ileż razy porywałem się do pracy z jedynem pragnieniem przerwania tego łańcucha ciągłości, zmiażdżenia szaleńczo całego gmachu mego stanu wewnętrznego! Zmierzywszy dostatecznie me siły, walcząc z wszelkiemi trudnościami, osiągnąłem przypadkiem wszystkie cele — ale znalazłem się oto jak Kajus Marius — płaczący nad ruinami zdarzeń, których zapomnieć nie mogę".

(Z książki Rozdźwięki „Życie").

„Ojczyzną moją jest podróż.

Jedynem powietrzem, jakie mi odpowiada, jest to, które zawiera w stosownej ilości tysiące cząsteczek węgla, smoły, wody morskiej.

W wagonie, lub na pokładzie statku, jaźń moja kształtuje się nareszcie w nierozdzielną, brzemienną całość.

Jedynemi krajobrazami duszy mojej są te, które się widzi przez okno pędzącego pociągu.

Jedynemi kobietami, które kocham, są te, co nocną porą, na jakiejś małej stacyjce, wsiadają do naszego wagonu, osłonięte tajemnicą, a po krótkiej chwili jazdy wysiadają nietknięte i niedostępne.

Przyjaciółmi mymi są ci, których porzucam, aby ich nie zobaczyć więcej. Moje wylewy serca są dla nieznanych. Moje zaciekawienia są dalekie, a moje upodobania—krańcowe.

Dlatego lubię odjazdy i przyjazdy, gdyż to są granice, na których po śnie dusza moja żyje zrównoważona, drga jak sztandar.

Lubię ruch i ciągle zwodzące nadzieje spoczynku. Lubię hałas i głęboką ciszę, złożoną z rozlicznych hałasów, które w równym huku układają się w ukojonej duszy. Poza cień uciekającego drzewa często rzucałem najbardziej tęskne pragnienie ukojenia: w krótkiej smudze słońca i widnokręgu, pojawiającej się nagle w przerwie tunelu, widywałem z zawrotem w głowie, jak budził się niejeden sen szczęśliwy.

Lubię ulice: nie dlatego, że prowadzą do celu, ale dlatego, że idą przez świat.

Moje manatki zawierają tylko stosy bezładnych nadziei: wyciągam z nich nie więcej jak jedną tylko z moich nowych dusz.

Niektóre pokoje hotelowe, gdzie nocowałem, były mi droższe, niż dom, w którym się urodziłem: o innych, w których przeżyłem kilka dni, zachowam wieczyste wspomnienie.

Ale tym pokojem, w którym wyśnię moje najpogodniejsze sny, będzie pokój jutrzejszy, w podróży jutrzejszej, do kraju jutra.

Gdyż „jutro" jest hasłem mego zwodniczego życia!"

(Z książki „Znaczenia" przekład Z. Jachimeckiej).

Halina Wolffówna.

[1]) „Viaggi e Ritorni".
[2]) „Discordie".
[3]) „Poemetti in prose".
[4]) Paessaggi lincari".
[5]) „Significati".

PRZYCZYNKI DO HISTORJI SZTUKI POLSKIEJ.

ZWIERCIADLARNIA URZECKA.

Już w pierwszej trzynastego wieku połowie znane były w Polsce szklane do picia naczynia. Początkowo nieozdobne i nietrwałe. Wiek XVI zapoczątkowuje wytworne kryształy rżnięte i misternie cyzelowane. Sapieżyńskie „puhary złotowieczne", zwane „Iwan" i „Iwanicha" mają rysunek nader kunsztowny i kształt wazy ozdobnej, mieszczą w sobie każdy przedni garniec i przy muzyce a setnem daniu ognia z armat światło dzienne oglądają. Asysta ustrojona w liberję paradną je otacza. Za Sasów nastają „kielichy kolejne" w formie waltorni, armaty, trzewika, oraz „kujawki." Ta bez podstawy, wzięta raz do ręki, wychyloną być winna, bo ustać sama nie może.

Liczne po całej Polsce rozsiane fabryki kryształów od czasów niepamiętnych kwitną.

Kraków, Gdańsk, Krasnystaw, Podhorce, Bielany, Barcząca, Wilno, Naliboki w spisach i lustracjach ośrodków wytwórni ozdobnych kryształów widnieją. Lecz nadewszystko Urzecz Radziwiłłowski wsławia się znamienicie.

Nad rzeczką Berezdenką, przy gościńcu słucko-bobrujskim, w Nowogródzkiem województwie, Urzecz, dawnego słuckiego księstwa miasto, niegdyś dyzunickich Olelkowiczów kniaziów władanie.

Do Radziwiłłów w wianie przechodzi.

A Ludwika Karolina, Radziwiłła Bogusława córka, Karolowi ks. Neuburskiemu, Urzecz i księstwo całe Słucko-Kopylskie wraz z ręką w wianie wnosi.

Obrotny Neuburczyk ku końcowi stulecia siedemnastego stwarza tu wytwórnię kryształów.

Później Radziwiłłowie znowuż spadkobiercami Kopylskiego księstwa są i Urzecką szlifiernię udoskonalają znakomicie.

Siedzibami magnackiemi na Litwie władając obszernie, sztukę krajową podnoszą i zdobią.

W Urzeczu zatrudnienie mają jeno ludzie miejscowi, co charakter krajowy fabryce nadaje.

Kinkiety i puhary z kryształów urzeckich.

Huta Urzecka prym trzyma przed innemi, udoskonalenie szlifierskie prześciga częstokroć obcokrajowe wyroby.

Istnieje wielka huta zwierciadlana, huta do wytwarzania okiennych szkieł i do zastaw biesiadnych, tudzież polerownia i szlifiernia.

Kunszt zwierciadeł ozdobnych, z Wenecji pochodzący, nabiera w Urzeczu sławy. Zwierciadła odznaczają się pięknym tafel blaskiem, mają ramy kryształowe, w zagięciach stylowo weneckich, czasem kolorowe. Cyzeler je rylcem artystycznie zdobi. Nieświeski zamek całą salę lustrzaną posiada. Sale takie częstokroć na Litwie całej spotkać można było.

Sławne również były stylowe gotowalnie urzeckie, na podstawach z kolumnami, ozdobione rzeźbami, scenami mitologicznemi, delikatnemi cyzelowaniami, oraz kinkiety z misternie wyrobionemi bukietami kwiatów i listowia, a także pająki wiszące wieloramienne, apliki, kandelabry, świeczniki.

Ozdobne szkła biesiadne przedstawiają „puzderka“ podróżne, kielichy, flety, szampanki, puhary, roztruchany, flasze, lampki, „butliki.“

Napisy niezmiernie ciekawe szkła ozdabiają:

„Vivat Gościnność, Wieczna Przyjaźń stateczna.“

„Raymund i Tekla są to Dzierżanoscy y Radzi przyjąć w domu swoim Goszczy.“

„Kochaj o nic niedbaj, a będziesz szczęśliwie pić”.

Kryształy Henryka Weyssenhoffa.

„Ludzie mi nogę wzięli dogadzając sobie; Ja im lepiej dogodzę gdy odbiorę obie” (na kielichu bez podstawy).

„Ja brat starszy wypij ze mnie — Ja brat młodszy bardzo proszę” (dwustronny kielich).

„Chatka porządna, żonka rozrządna — Wina kieliszek dla naszych kiszek”.

„Nikt nie wie mojej biedy” (wyobrażona niewiasta, goniona przez strzały Amora).

Często na ogromnej dwugarncowej szklanicy figuruje lakonicznie słowo „niewinność”.

Ozdoby na szkle i napisy wykonywane były tylko od ręki rylcem i diamentem — piękna to rytownictwa hutniczego pamiątka. Natomiast dziś wzorzyste upiększenia na kryształach są bardziej mechanicznem dziełem, wytrawia się desenie kwasami gryzącemi.

Barwy przeróżne i odcienia Urzeckie ozdabiają. Odcień biały o połysku matowym, odcień różowawy, niebieskawy, opalowy, zielonkawy, żółtawy, lecz nadewszystko na okazach najprzedniejszych fjoletowy. Fjolet iście niebywały, godowy.

Ornamenty i obwódki, złociste, srebrne, matowe.

Odróżnienie kryształów Urzeckich bynajmniej łatwem nie jest. Gdy porcelana, fajans, majolika, emalja marki lub signum posiadają, kryształ sygnowanym nie jest. Jedna tylko z fabryk kresowych, przez Rzewuskich na Wołyniu w Cudnowie założona, dawała niekiedy gwiazdy u spodu okazów dla marki odróżnienia. Urzecz natomiast marek nie stawiało. Wobec tego odróżniamy szkła Urzeckie przedewszystkiem po wyrobach nader przednich, po połysku szkła, po niektórych ornamentach wreszcie.

Kryształy te mają bardzo często u brzegu, czyli górnego szlaku, szlifowane lub cyzelowane festony w kształcie delikatnej koronki. Filary puharów i kielichów szlifowane bywają w drobne płaszczyzny lub ścianki. Kolor fjoletu często oznaką jest wytwórni Urzeckiej. I jeszcze ornament kwiatu i listowia. Z rodzinnych łąk pochodzi. Polskie bławatki, stokrotki, koniczyny, głogi, dzwonki, róże polne, osty, niezapominajki.

Tak się wytwórnia Urzecka przedstawia.

W latach czterdziestych stulecia minionego tworzy jeszcze zwierciadła i szkła, już tylko gładkie bez ornamentu i ku upadkowi się chyli.

Ówczesny właściciel, Wittgenstein Leon, spadkobierca Radziwiłłowskiej fortuny, nie chce się wytwórnią opiekować. Istnienie jej zanika.

Okazów Urzeckich zachowanych mamy ilość nieznaczną. Muzea i zbiory prywatne posiadają trochę wytwórni tej pamiątek. Słynne były zbiory kryształów rodzin Lipskich, Bukatych, Weyssenhoffów, Bykowskich, Radziwiłłów.

Antoni Urbański.

Kinkiety z kryształów urzeckich.

Pająk z kryształów urzeckich.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Przemiana Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski odbyła się bez wstrząśnień, całkiem spokojnie. Przygnębienie społeczeństwa było tak wielkie, że z rezygnacją przyjęło cios wymierzony polskiej nauce. Zbrodnia ta nie znalazła nawet echa w publicystyce. Prasa warszawska nie mogła o niej pisać tak jakby chciała, a nie chciała pisać tak, jakby mogła — poprzestawała więc na przedruku wzmianek i komunikatów urzędowego *Dniewnika Warszawskiego*, podawanych w przekładzie przez bliźniaczy mu *Dziennik Warszawski*. Jeżeli stanowisko prasy warszawskiej jest całkiem zrozumiałe, to natomiast mocno razi zachowanie się prasy zakordonowej. Daremnie w niej szukałem artykułów lub korespondencyj, poświęconych tej sprawie — nic nie znalazłem oprócz drobnych kronikarskich wzmianek. Obojętność niektórych perjodyków była wprost zdumiewająca. Tak np. *Przegląd Polski*, wydawany przez Stan. Tarnowskiego, organ t. zw. Stańczyków, nie tylko nie omówił tak doniosłego faktu, ale go nawet nie zanotował.

Dopiero w naszych czasach drobny przyczynek do jego dziejów podał dr. Stanisław Estreicher w broszurze: „Z ostatnich chwil Szkoły Głównej“ (Kraków, 1916, odbitka z *Czasu*). Tytuł jej jednak nie odpowiada treści. Autor z luźnych notat i z listów swego ojca wyjął ustępy, mające pośredni związek ze zniesieniem Szkoły Głównej, ponieważ jednak Karol Estreicher opuścił Warszawę w r. 1868, a egzekucji wyroku na Szkołę Główną dokonano dopiero w drugiej połowie r. 1869, przeto zapiski Estreichera (1865—1868) odnoszą się do lat rozwoju Szkoły Głównej, a dopiero przy końcu do jej chwil... przedostatnich.

Nawet uczniowie Szkoły Głównej, którzy poświęcili obszerne monografje siedmioletniemu jej istnieniu, bardzo pobieżnie przedstawiają dzieje jej przeistoczenia na uniwersytet rosyjski. Po wzmiance w r. 1868 o wprowadzeniu wykładów historji Rosji, jako też języka i literatury rosyjskiej, których obowiązkowo słuchać musieli uczniowie wszystkich wydziałów, i to w języku rosyjskim, czytamy dalej dosłownie:

„Przeobrażenie to, jak również radykalniejsze jeszcze w całym zarządzie, a mianowicie też w systemie wychowania średniego, stale przeprowadzane, wzmacniały wiarę w głucho krążące wieści, że Szkoła ulegnie przekształceniu gruntownemu w duchu uniwersytetów rosyjskich. Jakoż wieści te sprawdziły się niedługo. Albowiem w d. 25 września 1868 r. i dniach następnych minister oświecenia Dymitry Tołstoj, zwiedziwszy Szkołę Główną i jej pomocnicze zakłady naukowe, podczas przedstawienia sobie ciała nauczycielskiego zapowiedział urzędownie nieodwołalną przemianę Szkoły Głównej na uniwersytet, przyczem wyraził nadzieję, że zwierzchnicy i profesorowie okażą żywy współudział w ważnej sprawie narodowej oświaty“. Zapowiedź zamieniła się w czyn po skończeniu roku akademickiego 1868/9. („Szkoła Główna“, Kraków 1900, t. I str. 66).

Oto i wszystko. A z tego krótkiego przedstawienia rzeczy zdawaćby się mogło, że przemiana Szkoły na uniwersytet spadła nagle, poprzedzona jedynie „głuchemi wieściami.“ Tymczasem miała ona już swoją kilkoletnią historję.

Natychmiast po powstaniu 1863 zamierzano już ustawę Szkoły Głównej dostosować do ogólnej rosyjskiej ustawy uniwersyteckiej i nazwać Szkołę uniwersytetem. Ale miał to być jeszcze uniwersytet polski. Omawiał tę sprawę słynny Komitet Urządzający. Milutin w memorjale o szkolnictwie w Królestwie oświadczył się za polskością uniwersytetu, żądając jedynie „miejsca honorowego dla języka rosyjskiego” i życząc sobie, aby przyszli profesorowie po odbyciu studjów w Warszawie, przygotowywali się do katedr na uniwersytetach rosyjskich. Zgodnie z poglądami Milutina był „najwyższy” reskrypt wydany 11 września r. 1864 do namiestnika Berga. „Uznałem za potrzebne — pisał car — skorzystać z pierwszych dni odradzającego się w Polsce pokoju, ażeby odnowić przerwane przez zamieszki starania moje względem lepszego i prawidłowego urządzenia wydziału naukowego w Królestwie”. Car rozkazywał między innemi wziąć pod rozwagę „jaknajrychlejsze przekształcenie Szkoły Głównej na Uniwersytet warszawski, z rozciągnięciem na takowy, stosownie do warunków miejscowych, przywilejów udzielanych przez ogólną ustawę uniwersytetów rosyjskich”.

Na wspólnem posiedzeniu Komitetu Urządzającego i Rady Administracyjnej, oddano przeprowadzenie woli „najwyższej” w ręce Wittego, wówczas dyrektora głównego prezydującego w Komisji Rządowej Oświecenia. Witte zwrócił się do profesorów Szkoły Głównej, aby wystąpili z opracowaniem projektu nowej ustawy. Projekt ten przedłożony 5 stycznia 1865 nie pozyskał aprobaty Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego, choć pod pewnym względem był nawet „wstrzemięźliwszy” od projektu ułożonego przez Milutina z radcą stanu Hilferdingiem. Komisja przychylała się raczej do opinji Kniazia Czerkasskiego, który twierdził, że „w Warszawie może z pożytkiem dla Rosji i dla kraju przywiślańskiego istnieć jedynie uniwersytet rosyjski, oparty na szerokich zasadach, gdzie w systemie wykładowym byłby zachowany obszar dostateczny dla powszechno-słowiańskich i czysto polskich gałęzi wiedzy. Taki uniwersytet mógłby na brzegach Wisły mieć samodzielne znaczenie naukowe”. Witte, w memorjale z roku 1866 o przeobrażeniach w dziale naukowym od od 1 sierpnia 1864, dowodził szkodliwości utrzymania Szkoły Głównej w charakterze czysto polskiego zakładu naukowego. Memorjał jego wraz z opinją Czerkasskiego stał się przedmiotem obrad petersburskiego Komitetu dla spraw Królestwa Polskiego. Minister Tołstoj podzielił zupełnie zapatrywania Czerkasskiego. Przekształcenie Szkoły Głównej, według jego zdania, wtedy byłoby jedynie owocne, gdyby to był uniwersytet rosyjski w kierunku słowiańskim z uwzględnieniem specjalnych katedr polskich. Oświadczył się następnie za tem, aby obok profesorów Polaków byli i Rosjanie, co „uchroni uniwersytet od wrogich dla rządu postępków”. Takie urządzenie uniwersytetu warszawskiego bodaj czy będzie wzbudzało obawy pod względem politycznym”. Protokółowi posiedzenia komitetu, z powyższem oświadczeniem Tołstoja, udzielił car aprobaty d. 8 marca 1867 r., czem mu nadawał moc prawa. Estreicher notował pod 17 marca: „W zeszłym tygodniu wrócił Witte z planami reorganizacji z Petersburga” a pod d. 24 marca: „około w. nocy ma zjechać Tołstoj i inaugurować uniwersytet...”

Rzecz więc była dawno zdecydowana przed „głuchemi wieściami”. Ale minął rok 1867, a nie przystępowano do przeprowadzenia projektu. Może był przeszkodą ów słynny zjazd słowiański w Moskwie z Palackym i Riegerem na czele, możeby się wstydzono mówić braciom Słowianom „o rosyjskiej” miłości wszechsłowiańskiej w chwili gaszenia głównego ogniska oświaty polskiej w Warszawie. Dopiero w końcu r. 1868 Tołstoj wygłosił przytoczoną powyżej zapowiedź, o której tak w notach swoich pisze Estreicher:

„Tołstoj mówił do nas po rosyjsku. Porównywał nas do kuczerów wiozących dorożki. Mówił, że nie ścierpi, by na krańcach cesarstwa była instytucja wroga cesarstwu. Że dziś nie mamy przywilejów żadnych, ale że wyjedna, by nas zmieniono na uniwersytet. Ale powinniśmy „w każdej lekcji” ideę słowiańską rozszerzać. „Powinniście być *prodannyje* cesarzowi, jeżeli chcecie egzystować. Mówił, aby nie wierzyć, co piszą iż „russcy są nieprzyjaciółmi Polaków”. On sam, nawskroś ruski — ale kocha Polaków, byleby ci byli Słowianami... Daty reorganizacji stanowczo nie zapowiedziano”.

Dopiero w połowie r. 1869 przystąpiono do dzieła.

„Warszawskij Dniewnik” w numerze z d. 11 lipca n. s. przyniósł ukaz, podpisany przez cara w d. 8 czerwca. „Uznawszy za pożyteczne — są jego słowa — w zamian obecnie istniejącej w Warszawie Szkoły Głównej założyć tam Cesarski Uniwersytet, z rozciągnięciem na niego, zgodnie z miejscowemi warunkami, przepisów prawnych, na których opiera się organizacja innych ruskich uniwersytetów, zatwierdziliśmy ułożone w wykonaniu tego przez Ministra oświecenia publicznego, a w Komitecie do spraw Królestwa Polskiego rozstrząśnięte projekta ustawy i etatu warszawskiego uniwersytetu, a komunikując takowe Rządzącemu Senatowi, rozkazujemy”...*) Rozkaz składał się z 4 punktów. Pierwszy polecał założyć uniwersytet od początku roku szkolnego 1869-70, dwa drugie tyczyły się wyposażenia materjalnego uniwersytetu, czwarty „wszystkie rozporządzenia” co do zamiany Szkoły Głównej na uniwersytet powierzał ministrowi oświecenia.

W ogłoszonym tekście ustawy uniwersytetu warszawskiego zniknęły całkiem owe Czerkasskiego „czysto-polskie gałęzie wiedzy”, nie było już mowy o „specjalnych katedrach polskich”, jakich uwzględnienia domagał się niedawno Tołstoj. Dopuszczono jedynie lektorat języka polskiego na równi z lektoratami języków nowożytnych, oraz czeskiego i serbskiego. Było jednak i ogromne ustępstwo: „Lekcje języka polskiego i literatury, jak również języków nowożytnych, mogą być wykładane przez lektorów w ich języku rodowitym”...

W dalsze szczegóły nie wchodzę, szło mi bowiem tylko o krótki komentarz do tych ustępów z pamiętnika Juljana Bartoszewicza, które się odnoszą do dni ostatnich Szkoły Głównej, a dają obraz tego jak przyjęto w Warszawie założenie uniwersytetu rosyjskiego, co o tym fakcie mówiono, jak wobec niego zachowali się profesorowie Szkoły Głównej, jak przedostawały się do wiadomości ogółu szczegóły o organizacji uniwersytetu.

O tem wszystkiem darmo szukalibyśmy gdzieindziej wzmianki. Może z czasem ukaże się jaki inny pamiętnik, lub ogłoszona zostanie jaka korespondencja naukowo-literacka, tycząca się ostatnich dni Szkoły Głównej. Na razie jednak pamiętnik Bartoszewicza, a raczej wyjątki, jakie z niego podajemy, będzie jedynem większem żywem echem tych czasów. I w tem spoczywa ich wartość.

Ogłoszone w lat kilka lub kilkanaście po śmierci autora, a choćby nawet przed 10 laty, wywołałyby może namiętne spory i protesty. Szkołę Główną przechowywano u nas we wdzięcznej pamięci, również jak „czasy Wielopolskiego.“ W dusznej atmosferze coraz bezwzględniejszej rusyfikacji przypominano sobie te „złote czasy“ małej dawki samorządu i pełni praw języka polskiego w urzędzie, sądach i szkole. Uzyskane wówczas „ustępstwa“ rosły w oczach potomnych. Sam margrabia, niegdyś znienawidzony i przeklinany, odsądzany od polskości, z każdym rokiem zyskiwał na uznaniu, a kiedy wreszcie pojawił się prąd „ugodowy“ ogłoszono go największym polskim mężem stanu, ideałem obywatela i patrjoty.

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

*) Podług tekstu polskiego ogłoszonego w „Dzienniku Warsz.“ z d. z d. 13 lipca.

MUZYCY WŁOSCY.

Arrigo Boito.

W przededniu wystawienia „Nerona".

Już kilka dobrych lat minęło od śmierci największego, po Verdim, muzyka Włoch współczesnych. Ustępuje on genjuszowi Verdiego tylko w ilości produkcji artystycznej, w jakości jednak dzieła swego nie stoi niżej od nikogo. Dosięga szczytów.

Dziwnie tragiczne było życie mistrza, dziwnie tragiczne były jego losy!

Urodził się on z ojca Włocha, zdolnego malarza minjaturzysty i z matki Polki, Józefy Radolińskiej. Od dziecka wychował się w atmosferze trosk i smutku. Ojciec jego opuścił domowe ognisko, opuścił żonę z dwoma synkami i nie dbał o nich. Matka musiała walczyć z kłopotami, aby zapewnić synom należyte wykształcenie.

Arrigo od najwcześniejszych lat ujawniał usposobienie i zdolności artystyczne. Pisze wiersze i z zapałem oddaje się muzyce. Wierszuje z nadzwyczajną łatwością. Wydaje się, czytając jego utwory, że igra on słowami; wyrazy i sylaby plącze i rozplątuje według swego kaprysu; sypie niemi, jak iskrami, lub bryzga, jak kroplami o tafle szklane; odczuwa się w tem przelewaniu srebrzystych dźwięków, że poeta wsłuchuje się w nie z lubością; że jest to u niego nie sztuką, lecz instynktem, jak trel w gardziołku słowika.

Ale młoda dusza Arriga nie zadawalnia się tem, śnią mu się rzeczy wielkie. — Chce zostać kompozytorem.

„Śnię o sztuce nadziemskiej, poczętej w niebiosach, wyzwolonej z pod surowego jarzma miary i formy; śnię o sztuce, jako o wcieleniu ideału i czuję, że zrywam się do lotu ku niemu, ale nie potrafię iść za natchnieniem".

(„Io sogno un'arte eterea
Che forse in cielo ha norma,
Franca dei rudi vincoli
Del metro e della forma,
Piena dell' ideale
Che mi fa batter l'ale
E che seguir non so.")

Rozpaczliwy i nieśmiertelny okrzyk duszy rozkochanej w pięknie i prawdzie i niezadawalającej się temi, które w cielesnem życiu, na ziemi znaleźć może.

Tych kilka zacytowanych tu wierszy zamyka w sobie historję i wytłumaczenie całego życia Arriga Boita.

Szczupłe fundusze matki stają na przeszkodzie do urzeczywistnienia pragnień młodzieńca. Podaje więc matka prośbę do kuratora medjolańskiego konserwatorjum o otrzymanie jednego z licznych rządowych stypendjów. Stypendjum zostaje przyznane. Arrigo wstępuje na drogę swych losów. Studjom oddaje się z zapałem. Umysł ma jednak dziwny: na to, żeby umieć, musi rozumieć i to rozumieć, po swojemu, do głębi. Waha się więc wciąż, błądzi, szuka, próbuje; profesorowie nie są zadowoleni z ucznia; profesorowie lubią uczniów, co po wytkniętej przez nich drodze idą śmiało i bez wahania; wolą nawet takich, co po wskazanej drodze ślizgają się tylko; co im to szkodzi, że to bieg posuwisty, prawda, ale powierzchowny; za to takim uczniom publika przygląda się z podziwem i takich oklaskuje: „Jakże biegną szybko i zgrabnie!" — wykrzykuje — „Cóż to za świetny profesor, co takich uczniów wykształcił"! — dodaje.

Tymczasem Arrigo zahacza się ciągle. Jego rozwiązania harmonicznych tematów uznane są za błędne. Przytem brak mu poczucia rytmu. Profesor Mazuccato nie wróży mu żadnej przyszłości muzycznej. Ale Arrigo nie wierzy profesorowi, zacina zęby, milczy i idzie dalej. Chce być kompozytorem, wie, że nim będzie i nim zostanie.

Obok muzyki nie zaniedbuje studjów i nad poezją. Szlifuje strofy, szlifuje sylaby, żeby dźwięczały i lśniły. Marzy o połączeniu melodji i słowa, marzy o wizjach poetycznych, gdzie piękno architektoniczne, rzeźbiarskie, malarskie i muzyczne zlałoby się w jedną całość z najwyższem napięciem słowa poetyckiego, z dramatem. Słowem, marzy o teatrze. Marzy o sztuce, do której sam sobie stworzy libretto i muzykę. Tymczasem kończy konserwatorjum. Kantata „Na piąty czerwca" i misterjum „Siostry Włoch" zwracają na niego uwagę znawców. Wszyscy przyznają mu górność natchnienia i szczerość wyrazu. Dwudziestoletni zaledwie młodzieniec otrzymuje od rządu subsydjum na wyjazd zagranicę dla dalszego kształcenia się.

Arrigo Boito.

Boito udaje się naprzód do Paryża. Zawiązuje tam stosunki ze znakomitymi artystami, stara się zrozumieć nowe prądy w sztuce i bogaty we wskazówki opuszcza Francję, jedzie do krewnych matki do Polski (1862). Pobyt w zaciszu wiejskiem, odpoczynek, wpływ środowiska inteligentnego nie mogą nie pozostawić śladu na młodzieńcu, ale dusza jego w zetknięciu z Polską, chociaż ją ukochała, nie zaczerpnęła stamtąd leitmotiv'ów do dzieł swoich, nie znalazła karmi dla siebie — może sama szukać jej nie umiała, a nikt jej za sobą nie pociągnął, nikt jej nie umiał porwać; a może też, że Arrigo, gorąco czując miłość ku ojczyznie swojej włoskiej, bronił swej duszy umyślnie od wszystkich wpływów, które za obce uważał.

Tam, w Polsce, podczas długich samotnych przechadzek i w zaciszu bibljoteki domowej oddaje się z zapałem lekturze. Czyta dzieła Tacyta — rozmyśla — i niewiadomo skąd właśnie tam, na piachach i moczarach krainy północnej, przychodzi mu do głowy zaródź pomysłu do opery „Neron": dziełu temu odrazu oddaje całą swą duszę i pracuje nad niem stale i zawsze w ciągu całego życia, wreszcie... umiera, nie ukończywszy go!...

Po powrocie do Włoch — gorączkowo szuka w bibljotekach śladów prawdziwej postaci Nerona. Zbiera całe tomy notatek o nim — układa w myśli libretto. Lecz trzeźwa rzeczywistość życia wciąż go od snów jego odciąga. Trzeba zarabiać, trzeba żyć!... Nie cierpi lekcyj, woli zarabiać piórem. Sypie więc, jak z rękawa, krytyki muzyczne, pełne dowcipu i „brio", choć zawsze w szlachetnym utrzymane tonie; pisze artykuły z dziedziny innych sztuk pięknych; układa libretta operowe na zamówienia wydawców; tłumaczy z polskiego. Artykuły swoje drukuje w różnych ówczesnych pismach i przeglądach, wreszcie decyduje się na wydawanie tygodnika „Figaro" do współki z jednym z przyjaciół. Z tymże samym przyjacielem (Emilio Praga) układa komedjo-dramat „Le madri galanti" — wystawia i nie zyskuje powodzenia.

Życiu światowemu, we właściwem tego słowa znaczeniu, oddaje się mało. Szczupły, bladawy blondyn o oczach jasnych, zamyślonych, nie ma wielkiego powodzenia u kobiet, zwłaszcza, że jest nieśmiały i zbyt poważny. Doznaje zawodów serca; krwawi długo, boleje. Ucieka coraz głębiej przed życiem realnem w krainę życia wewnętrznego, w krainę rozmyślań i marzeń. Zagadnienia istnienia ludzkiego przejmują go do głębi:

„Jam światłem i mrokiem — mówi w jednej ze swych poezyj (oda „Dualizm" 1864) — motylem niebiańskim i pełzającym ziemskim robakiem; cherubem jestem upadłym, skazanym na błądzenie po świecie, lecz i demonem, co z trudem dźwiga swe skrzydła w locie ku dalekiemu niebu".

(„Son luce ed ombra; angelica
Farfalla o verme immondo,
Sono un caduto cherubo
Dannato a errar sul mondo,
O un demone che sale,
Affaticando l'ale
Verso un lontano ciel".)

W pogoni za prawdą religijną, zagłębiając się w pisma Platona i Konfucjusza; Woltera i Rousseau; Schopenhauera i najsłynniejszych filozofów włoskich, gubi wiarę prostą. Staje się umysłowym ateuszem, choć w duszy jednak wiara w nim żyje jeszcze. Objawia się ona ciągłem niespokojnem krążeniem około problematu dobra i zła — nagrody i kary. Około istności Boga, lub Jego nieistnienia.

„....z błota i ognia, jako pustą igraszkę Bóg nieznany nas stworzył i rzucił nas na wilgną ziemię, w której zagrzęźliśmy, a On, patrząc na nas z wysokości nieba, śmieje się z tego widowiska i kiedyś, znudzony ciągłą swą szczęśliwością, zdepce nas nogą dla rozrywki".

(„....di fango e foco
per ozioso gioco
un bujo Iddio ci fè;
E ci scaglió sull'umida
gleba che ci incatena,
poi dal suo ciel guardandoci
rise alla pazza scena,
e un di, a distrar la noia
della sua lunga gioia,
ci schiaccierà col piè!")

Wśród tych strasznych myśli, wątpić zaczyna nawet o swoim talencie, wątpić zaczyna o szlachetnem zadaniu i wysokości sztuki.

— „Marność nad marnościami — woła za Salomonem — marnością jest marzenie o sławie— złudzenia rozwiane!"

(....Vanità! vanità! glorie sognate,
perdute illusioni!)

Potrosze jednak, z biegiem czasu i cierpienia, burza wewnętrzna przycicha. Bierze górę znowu potrzeba upojenia się pięknem:

„O góry i wichry śniegiem ubielone, w pogodnem Paro, powiewy morza i błyski chybotliwe morskiej latarni."

(O monti! o cime candide
della serena Paro!
Brezze marine! tremulo
irradiar del faro!)

E. De. Andreis.

(*dn*)

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ. 6)

Miał, pomimo, że był technikiem z powołania, zupełnie zwykłą biurową robotę. Układał fachowe opinje — przy nudnem biurku. Był niezawisłym rzeczoznawcą, ale — przy urzędzie.

Przy jednym z tych urzędów, które mu podczas jego dawnych wędrówek robiły trudności. Było to coś w rodzaju zadosyćuczynienia — ale czasem trochę niepokojące.

Czy inżynjer przypominał sobie swoją ostatnią podróż? Jakób chciał to koniecznie zbadać z punktu widzenia czysto naukowego. Naturalnie najmożliwiej podstępnie i zgrabnie. Eksperymenta nie były dla niego niczem nowem — chociaż wolał je robić na przedmiotach martwych. Ludziom można stawiać pytania, ale to nie była najkrótsza droga. Jakób czuł, że musiał w tym wypadku ostrożnie lawirować i nie mógł iść wprost do celu jak zawsze.

A celem była owa jazda łódką podczas minionego lata; jeżeli inżynjer przypominał sobie ten dzień, w którym się jego ucieczka zaczęła — to wiedział może i to, co mu się później zdarzyło.

— Takie wielkie miasto ma wiele za sobą — zaczął Jakób pomału i spokojnie — ale przedtem też nam było nieźle...

— Tak sobie — zauważył inżynjer sucho.

— Można było robić ładne wycieczki, — ciągnął Jakób dalej — a tu nic, tylko kamienice, pomniki...

— Mój kochany, ty jeszcze nie masz pojęcia o okolicy. Ty widzisz tylko bruk, szyny tramwajowe, pięciopiętrowe domy i myślisz, że to idzie tak w nieskończoność. Ale jak tylko półgodziny pójdziesz n. p. w tym kierunku, to jesteś naraz w najpiękniejszym lesie szpilkowym. Wiewiórki, ptaki, poziomki.. A jak wyjdziesz z lasu to wiesz co stoi przed tobą? Góry, słowo honoru, góry, osiemset metrów wysokie, śniegiem pokryte...

— A jest tam także woda?—zapytał Jakób naraz.

Ale inżynjer nie dawał sobą kierować, tego o wodzie nie dosłyszał, tylko pokazywał na ulicę, która zaczynała się przy giełdzie i prowadziła w południowo zachodnim kierunku i oświadczył uroczyście:

— Tu się zaczyna piesza wędrówka, którą najchętniejbym chciał zrobić. Jak tak pójdziesz prosto, zawsze naprzód siebie, to dojdziesz..

— Wiem, do anatomicznego instytutu — przerwał mu Jakób niecierpliwie.

— Ty zawsze swoje. Ja mówię o wielkich przestrzeniach. Tu się rozchodzi o tygodnie, miesiące. Ale w końcu przychodzisz do Włoch. To jest ta droga, tu się zaczyna i prowadzi do Wenecji.

Aha, Wenecja, doskonale — pomyślał Jakób i mówił dalej:

— Mówią, że to miasto pływa w wodzie, jak wielki okręt...

Inżynjer pokiwał głową.

— Jak wielki okręt.

Teraz Jakób przypuścił szturm do zaatakowanej twierdzy:

— A pamięta pan, jak wpadliśmy obydwaj do stawu?

I wytężył słuch.

— Do stawu? — powtórzył inżynjer, nie rozumiejąc—my.. do stawu?

Nie, o tem nic nie wiedział.

Dziwne—myślał Jakób i aż go to zabolało Ale w nauce były wszystkie wyniki jednakowo ważne, nawet negatywne.

I pomyśleć, że żył sobie człowiek z wielką dziurą w mózgu. Unikat poprostu. A ten kawałek pamięci, którego mu brakło, nawet mu nie przeszkadzał. Jak to było możliwe? Taki człowiek mógł jeść, spać i mówić o podróży do Wenecji, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Od tego czasu inżynjer nie zdawał się być Jakóbowi człowiekiem, tylko jakąś muzealną rzadkością.

Jakbym ja sam potrafił znieść taką plamę atramentową na moich wspomnieniach? zapytywał się Jakób sam siebie.

Ale jemu nie mogło się zdarzyć nic podobnego. Wiedział o tem. Jego silna wola stała w jego mózgu na straży, jak żołnierz z wyciągniętym bagnetem. A żołnierz ten nigdy nie spał. Nawet wtedy jak noc była i Jakóba oczy były zamknięte. Nic nie mogło zaginąć z rzeczy, które były nagromadzone w jego głowie. Nawet wtedy jak miewał sny, to wiedział o tem, że śni. Ani przez chwilę nie dawał się oszukać. Jak burmistrz, który w swoje nocne zwidywania wierzył jak w prawdziwe zdarzenia.

O burmistrzu wiele mówiono od dłuższego czasu. Jego partja w parlamencie wybrała go na prezesa. Jakób nie mógł sobie tego logicznie wytłumaczyć i postanowił przestudjować to przy sposobności. Dotychczas nie miał jednak czasu odwiedzić burmistrza w stolicy. Zamierzał połączyć to ze zwiedzaniem historycznych zbiorów, umieszczonych w wschodniej części miasta. Narazie był zajęty jeszcze zachodnią stroną.

Miał wiele wolnego czasu. Było wprost zdumiewającem, jak się nic nie uczył i tylko w ostatecznym razie brał się do książki. Gimnazjum nie imponowało mu zupełnie; pogardzał klasyczną filozofją, której nie potrzebował w swoim późniejszym zawodzie. Ulegał jednak woli ojca, który miał słabość do nauk humanistycznych.

Pomimo, że rozporządzał ogromną ilością wolnego czasu, był dopiero na 25 stronie przewodnika po stolicy. A pochodziło to z jego wrodzonej dziwnej pedanterji, z jaką traktował wszystkie kwestje. Śliczny kościół Marjacki w stylu romańskim nie wprawiał go w taki zachwyt jak rzekomo autora przewodnika, ale „brał“ wszystko po kolei, obrazy, pomniki i historyczne daty. I tak samo postępował sobie z gotyckim ratuszem, ze staremi patrycjuszowskiemi domami na tak zwanym placu rybim, i wszystkiemi innemi rzeczami godnemi widzenia.

Jakób miał szczęście, bo kiedy przyszli do parlamentu, właśnie burmistrz miał swoją wielką mowę. Jakób wykombinował sobie, że był za mały, żeby go samego puszczono do sali posiedzeń. Inżynjer miał wstręt wrodzony przed każdym urzędem a Leopoldyna była teraz zajęta swoim aż nadto błogosławionym stanem. Wszystko wiedzący Jakób widział to oddawna.

Jedna majorowa nie dawała się długo prosić, miała tyle młodzieńczej ciekawości na wszystko, a oprócz tego także i zrozumienia dla publicznych rzeczy. Widocznem było także, że korzystała z czytania gazet, bo kiedy już siedzieli na galerji, powiedziała naraz:

— Sprawa podatkowa.

Jakób wskazał na dół.

— Widzi pani burmistrza? Kręci się między ławkami, jak zgubiona owca i nie wie co z sobą począć.

A majorowa zauważyła:

— Będzie mówił w imieniu swego klubu i jako reprezentant przemysłowców.

— Zblamuje się, — zapewnił Jakób.

Tak był swego pewny, że już zawczasu wstydził się za burmistrza. Było to karygodne zuchwalstwo ze strony tego człowieka. Trzeba się tylko popatrzeć na tych bożków greckich, zdobiących olbrzymią salę i przypomnieć sobie jąkanie się burmistrza: on—ona—on—ona i taka figura odważa się tu mówić publicznie.

Dzwonek prezydenta zadźwięczał.

Nazwisko burmistrza podleciało w górę, jak mały, nędzny motylek i zginęło gdzieś w przestrzeni zanim je Jakób dosłyszał.

Ja na jego miejscu — pomyślał Jakób — powiedziałbym, że nie jestem przygotowany.

Ale burmistz tego nie uczynił.

Zaczął krótkiemi, urywanemi zdaniami, które nie brzmiały inaczej, niż to, swego czasu niejasne i bałamutne opowiadanie o śnie z armatami. A przecież wydawało się, że go we wszystkich kątach sali doskonale rozumiano. Bo zewsząd nadciągali ludzie, gromadzili się koło mównicy i słuchali. I właściwie były to naprawdę zdania dobrze się przedstawiające, gładkie i okrągłe, jakby je kto inny wypowiadał.

I coraz rozumniej mówił i coraz lepiej. A greccy bogowie w marmurowych framugach nie nudzili się wcale i spoglądali coraz uprzejmiej.

Nie, z burmistrzem stanowczo nastąpiła zmiana. Mówił rzeczowo o najrozmaitszych trudnych ekonomicznych rzeczach, o imporcie, eksporcie i statystyce.

W jednem miejscu przemówienia zawołali ci, co go otaczali:

— Dobrze mówi — dobrze mówi.

A w końcu były oklaski, które nie miały końca.

— Jakoś się nie zblamował — stwierdziła majorowa.

— On — nie, pomyślał Jakób i bardzo już był milczący tego dnia.

(*Dcn*)

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 27)

— Nie mrucz, nie mrucz, stary niedźwiedziu!...

Przecież bliżej jesteśmy od Polski niż przed miesiącem!

— Oj, paniusiu!... Taka bliskość to jest jak kochanie *bez* mur!... „Już bliżej! Już blisko... Jeszcze troszkę wysilcie się!" powtarzały też nam wciąż oficery, kiedy żyły z nas wyciągnąć chciały... I co z tego?—Polski jak niema tak niema!... Żeby choć iść, ale to człowiek siedzi a serce w nim wyje jak pies!... Już idzie ten Szaga-Dura!... Słowa do panienki powiedzieć nie można na osobności!... Zaraz przybiega!...

Hanka chciała się cofnąć pod namiot, gdyż spostrzegła, że z Badmajewym idzie jeszcze kilku nieznanych Mongołów, lecz młodzieniec dał jej znak rękę i krzyknął z daleka:

— Gdzie Władek!? Przyszedł list z Urgi. Jedziecie!.. Musicie jechać za parę dni!... Gdy podszedł blisko, Hanka zauważyła, że wymachuje długim zwitkiem papieru upstrzonym czarnemi mongolskiemi znakami i opatrzonym wielką czerwoną pieczęcią.

— Koniec naszych lekcyj!... Musicie zaraz jechać... Sam Bogdo-gegen żąda, żeby pani stawiła się niezwłocznie u dworu!—dodał wzburzonym głosem...

— Jak?... Kto ma stawić się? — Spytała ze zdziwieniem Hanka.

— Pani — odparł Badmajew, zaglądając ponownie w papier. — Musiał ten głupiec, Oczir Meren, nagadać o książce tybetańskiej, o pani modlitwie buddyjskiej i napadzie tygrysa na Władka!... Ha, cóż robić!... Niech się pani nie boi, nic złego tam pani nie zrobią... Owszem, może pani wielkich dostąpić zaszczytów...

— Wolałabym jednak jeszcze tu czas jakiś pozostać... Jeszcze nie skończyłam szyć sobie ubrania.

— Nie można, żadną miarą nie można... Rozkaz wyraźny!... A w dodatku ten Niemiec „Dziańdziuń" też podpisany na rozkazie, a on nie żartuje!...

— Jaki Niemiec? — spytał Władek, który podszedł właśnie ku rozmawiającym wraz z Maćkiem. Mieli fuzje na ramionach i torby myśliwskie, gdyż przez umyślnego wrócono ich z drogi na polowanie.

— Ach, dobrze, że jesteś!... Mam dużo z tobą do pomówienia!... — zwrócił się do niego Badmajew...

— Mówiłeś o jakimś Niemcu!?

— To ty nie wiesz? Nasz główno dowodzący — po chińsku „Dzian-dziuń" jest Niemcem Baron Ungaru von Szternberg... Niezwykły człowiek... Niezwyciężony... On to zorganizował nasze wojsko, z początku z burjatów Zabajkalskich i rosyjskich dezerterów, potem przyłączył Mongołów Chał-cha, zdobył Urgę, oswobodził z rąk Chińczyków Bogdo-Gegena i ogłosił go cesarzem niepodległej Mongolji... Dzięki jemu jesteśmy wolni! A on, chociaż Niemiec, jest naszym z wiary buddystą!... Modli się w naszych świątyniach i ma w swym namiocie ołtarz z posągiem Dobrotliwego...— opowiadał z uniesieniem Szag-Dur.

Widząc jednak, że uniesienie jego nie udziela się wcale ani Władkowi, ani Hani, dodał przekonywająco:

— Nie bójcie się!... Nic wam się złego nie stanie!... Poprostu zaiateresowali się tam w stolicy waszym losem, tembardziej, że ja też napisałem do wuja, że jesteście Polacy, a baron bardzo lubi Polaków i ma straż przyboczną wyłącznie z Polaków...

— Tak, tak!... Bardzo być może, ale ja wyznaję, myślałem, że pozwolą nam odjechać w stronę Chajlaru... W każdym razie tam byłoby bliżej do kolei i Pekinu.

— Do Pekinu z Urgi wcale nie dalej i droga lepsza przez Kałgan... Ale ja nie wiedziałem, że wy chcecie do Pekinu... Nie radziłbym jednak, gdyż tam w Chinach byłoby wam gorzej... Tam nie znają Polaków, tam traktowaliby was jak dezerterów rosyjskich! Najlepiej, powtarzam, tu u nas w Mongolji przeczekać... Tu u nas są jeszcze ciche kąty, jak widzicie!... — dorzucił, wskazując oczami na zalaną słońcem dolinę.

— Jak widać — niezupełnie!... — odrzekła smutno Hania.

— Jak najzupełniej... Jak nie tu, to odbozujemy jeszcze dalej... Nie brak górskich dolin mało komu znanych... Wrócicie, jeżeli zechcecie!... To od was zależy... Moja już w tem głowa!... Zresztą jadę z wami!... — dorzucił stanowczo.

— Dziękuję ci, Szag-Dur!... Wyznaję, że byłoby to dla nas niezmiernie, niezmiernie dogodne i... ważne... Ale — wtrącił Władysław.

— Żadne „ale..." Jadę! to już postanowione...

— Nie wiem, czy to możliwe? Czy pan wytrzyma taką drogę... Przecież to powiadają stąd kilkaset kilometrów... Pan zbyt jeszcze jest słaby...

— Głupstwo!... Mongoł lepiej się czuje na koniu niż na ziemi!... Koczowaniem leczymy wszystkie nasze choroby... To już postanowione... jadę! Muszę jednak pomówić o tem jeszcze z Ge-ril-tu. Ona tu pani... Od niej zależy jakie da nam konie i wielbłądy i... kiedy... Chwilę potem Szag-dur wszedł do książęcego namiotu. Geril-tu Chanum częstowała właśnie herbatą posłańca, który przywiózł był do niej listy. Na widok burjata, księżna odsunęła się trochę od swego gościa i przerwała poufną z nim pogawędkę:

— Siadaj, Szag-dur!... Będziesz gościem!... — zaprosiła uprzejmie młodzieńca, robiąc mu miejsce obok siebie. — Ciekawe wiadomości przywiózł Gu-nyn. — Wykryto spisek „czerwonych orosów" i Chińczyków w Ulaxutaju... „Czerwone djabły" zajęły znowu Khathyl nad Kosogołem, a Chińczycy mieli w tym czasie wyrznąć prawowiernych Mongołów i ruszyć znowu na Urgę... Książę Czułkun-Bejle zamieszany... Co będzie, co będzie niewiadomo!... Nasze wojska mają iść na Ulasutaj!... Nie wiem, czy książę nasz zostanie w Urdze czy też pójdzie z nimi...

— Napewno zostanie!... Przynajmniej tak pisze w tym liście... — tłumaczył jej Szag-dur, podając list z rozkazem, wiedział jednak, że Geril-tu jest niepiśmienna, więc papier od niej odebrał i zaczął głośno czytać. Księżna uważnie słuchała, zmarszczywszy gęste brwi. Gdy doszło do rozporządzenia o natychmiastowem dostarczeniu do Urgi Hanki wraz z bratem, w oczach jej zamigotały niepewne ogniki.

— Że tego żołnierza wzywają, rozumiem, ale poco dziewczynę?...

— Sam Gegen zainteresował się nią... sam Gegen! — powtórzył pośpiesznie Szag-dur.

— Sam Gegen!... Cały klasztor huczy od opowieści — przytwierdził Gu-nyn.

— Jakiej opowieści?... — spytała z rozdrażnieniem księżna.

— A no z powodu tej książki i modlitwy i cudownego ocalenia Szag-dur Bad-maj Nojona!...

Księżna jeszcze silniej zmarszczyła brwi,

— Rozumiem, ale co to ma wspólnego z dziewczyną... Mogli ich wezwać, poco ona... Chyba, że prawdą jest... co tam o tej Urdze... gadają!... — wybuchnęła nieostrożnie.

Gu-nyn aż się poruszył na siedzeniu i rzucił na nią z ukosa wylękłe spojrzenie.

— Nic wielkiego!... Wzywają ją przez ciekawość, to się wyjaśni... Ja wszystko wytłumaczę!... — uspakajał ich Szag-dur.

— Więc jedziesz? — spytała Geril-tu.

— Jadę i przyszedłem prosić o konie i wielbłądy!...

— Pomyślimy o tem, pomyślimy!... Jeszcze czas. Wieczorem dam odpowiedź!... Muszę rozliczyć, które ze zwierząt są wolne a które nam potrzebne — odrzekła po chwili zastanowienia.

— Ty, Gu-nyn, zostań, mam z tobą jeszcze do pomówienia! — zwróciła się do kurjera, który wstał i zamierzał był wyjść razem z Szag-durem.

V.

Szag-dur siedział w swoim namiocie pochylony nad małym stoliczkiem z pendzelkiem w ręku i pisał pilnie listy do Urgi, które miał zamiar wysłać z powracającym tam dziś jeszcze Gu-ny-nem, gdy wpadła Tu-sziur z radosnym okrzykiem:

— Szag-Dur, wszyscy jedziemy!... Geril-tu Chanum kazała na noc zwijać namioty. Już kobiety pracują!...

— Jakto wszyscy?... Cała stawka?

— Niezupełnie. Część tabunów zostanie z moją matką, ale ja i Czirin Senge jedziemy... Tak się bałam, tak się bałam, że mnie zostawią... Jużem ciebie prosić chciała o wstawienie się... Jednak sama mnie wzięła... Będę jej potrzebna!... Wszystko dla niej zrobię... Nigdy nie widziałam Urgi!

— I ja nie widziałem Urgi!... Zobaczymy ją razem!... — rozśmiał się chłopak.

— Tam, powiadają, jest posąg Buddy cały złoty i wysoki jak góra Munku Sardyle!... W klasztorze z purpurowemi ścianami mieszka podobno dziesięć tysięcy lam? Modlą się dzień i noc, grają na długich trąbach, a kto z grzesznych spojrzy na boskiego Gegena lub dotknie czerwonego sznura, który ten trzyma w ręku, ten zbawion będzie po śmierci od stu złych wcieleń!... — trzepała dziewczyna.

(*Dcn*)

ECHA UROCZYSTOŚCI 14-go LIPCA W WARSZAWIE.

Fot. W Rokosz.

Przedstawiciele Sejmu, rządu, wojska i państw sojuszniczych zebrani na Placu Saskim.

Minister wojny jen. Szeptycki dekoruje orderem Polonia Restituta oficerów francuskich.

UROCZYSTOŚĆ PODNIESIENIA BANDERY NA O. R. P. „ŚLĄZAK".

„Ślązak" w porcie puckim.

W dniu 10 czerwca odbyła się radosna dla naszej floty uroczystość podniesienia bandery na torpedowcu „Ślązak". Z Angji okręt ten przywieziono do Polski w r. 1921. Ponieważ był bardzo zniszczony, wymagał długiego i gruntownego remontu, którego dokonały warsztaty portu wojennego w Pucku.

Dużą zasługę w doprowadzeniu „Ślązaka" do należytego stanu ma załoga tego okrętu z komendantem kapitanem Staszkiewiczem na czele. Na uroczystość przybyli delegaci ze Śląska: wicemarszałek sejmu dr. Kazimierz Rakowski i redaktor - poseł Rybarz.

Wicemarszałek w swem przemówieniu do marynarzy za wzór wytrwania stawiał śląską dzielnicę, pocieszając ich tem, że i dla naszej floty pomyślniejsze czasy nastaną.

Załoga „Ślązaka" wraz z gośćmi na pokładzie okrętu. Pośrodku grupy p. p.: redaktor Rybarz, komendant kap. Staszkiewicz i wicemarszałek Dr. Rakowski.

Z „PAŃSTWA BOJAŹNI BOŻEJ"

Press—Photo—News—Service

Niemieckie składy państwowe, w których złożono część zarekwirowanych u przemytników przedmiotów użytku domowego, oraz wyrobów luksusowych. Ilość nagromadzonego materjału świadczy o szerokiej skali przemytnictwa w dzisiejszych Niemczech.

KRYNICA.

Dyrektor zdrojowy inż. Nowotarski.

Wśród zdrojowisk polskich jednem z najpiękniejszych jest bezwzględnie Krynica. Położona wśród czarownej okolicy, obfitująca w źródła wód leczniczo-mineralnych, oraz zaopatrzona w kąpiele borowinowe, nadaje się, jak żadna inna miejscowość, do przeprowadzenia racjonalnych kuracyj. Jeżeli doda się do tego nadzwyczajny, niespotykany gdzieindziej porządek i czystość oraz świetną organizację Zakładu zdrojowego, dzieło Dyrektora inż. Nowotarskiego — można śmiało powiedzieć, że Krynica jest pierwszorzędną miejscowością leczniczą, mogącą rywalizować z zagranicznemi.

WZNOWIENIE „WIELKIEGO FRYDERYKA".

Teatr „Rozmaitości" wystawił ostatnio znakomitą sztukę historyczną Adolfa Nowaczyńskiego pt.: „Wielki Fryderyk".

Adolf Nowaczyński.

Sztuka ta, mająca swą chlubną kartę w polskiem piśmiennictwie dramatycznem, ożywiona nadzwyczajną wprost grą dyr. Solskiego, który z prawdziwem mistrzostwem kreował postać tytułową— spotkała się z entuzjastycznem przyjęciem publiczności. „Wielki Fryderyk" przypomniał wszystkim, że cięty publicysta i polityk Nowaczyński, jako twórca, jest indywidualnością silną oraz pisarzem o bujnym i wszechstronnym talencie.

ADRES SPÓŁDZIELCÓW DLA P. PREZYDENTA.

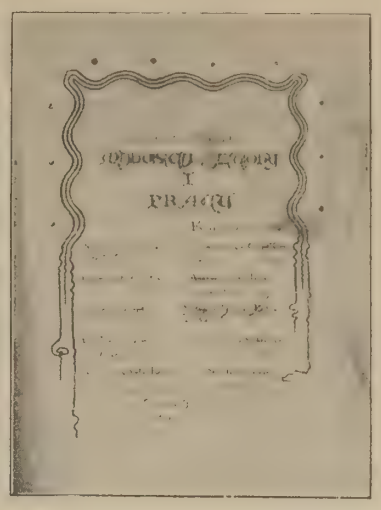

Deleg. współdzielców roln. wręczyła P. Prez. Wojciechowskiemu adres hołdowniczy.

KOLONJE NADMORSKIE W GDYNI.

W Grabówku obok Gdyni zbudowano trzy baraki, służące na pomieszczenie kolonij letnich dla młodzieży. Dzieło to doszło do skutku dzięki zabiegom komitetu organizacyjnego, na którego czele stoi St. Żeromski, Ign. H. Modzelewski i p. M. Kleniewska.

Centrala Olejów Mineralnych i produktów naftowych W. Wichrowski, Poznań.

Z cyklu „Handel i przemysł poznański".

Kantor sprzedaży w śródmieściu, plac Wolności nr. 17 (dom frontowy).

Trudne koleje przechodziły przedsiębiorstwa polskie w b. zaborze pruskim. Przed wojną tamowane w swym rozwoju przez ciemięzców, podczas wojny przez niesprzyjające warunki ekonomiczne, musiały mieć olbrzymi zapas sił żywotnych, żeby przetrwać te czasy zwycięsko.

Do przedsiębiorstw polskich, które te próby szczęśliwie przetrwały, należy *Centrala Olejów mineralnych i produktów naftowych W. Wichrowskiego w Poznaniu*, najstarsza polska firma naftowa w b. zaborze pruskim.

A przecież od chwili swego założenia walczyła z samemi niemal trudnościami. Po wybuchu wojny światowej konsorcjum firm niemiecko-żydowskich założyło przy pomocy znacznych subwencyj rządowych trust p. f. „Kriegsschmieröl-Gesellschaft m. b/H", w Berlinie. Spółka ta szykanowała umyślnie nasze ziemiaństwo i utrudniała świadomie firmie W. Wichrowski przywóz olejów mineralnych i produktów naftowych z Krosna w Małopolsce, gdzie istnieje najstarsza *polska* rafinerja, związana ściśle z firmą.

W dziejach powstania wielkopolskiego firma Wichrowskiego ma swą piękną kartę.

Zaopatrywała bowiem — wówczas często bezinteresownie — oddziały powstańcze w artykuły tak potrzebne, a tak trudne wówczas do zdobycia w b. zaborze pruskim, jak: benzyna, nafta, oliwa i t. d.

W tem leży wielka zasługa tej polskiej placówki przemysłowej, której właściciel sam, jako były oficer pruski, natychmiast wstąpił, jako ochotnik, do wojska wielkopolskiego.

Obecnie, gdy minęła już burza dziejowa, firma Wichrowski wszystkie siły skierowuje na jaknajintensywniejszą produkcję, tak pod względem jakości, jak ilości. Znane powszechnie są oryginalne krośnieńskie *oliwy motorowe Vacuum Adhaesine Ia.* rafinowane oraz lekka *eteryzowana* benzyna, nie podlega-

Kantor ekspedyc. i Magazyny na dworcu (ul. Przemysłowa 21).

jąca żadnym wpływom atmosferycznym, co jest szczególnie ważne w zastosowaniu do samochodów.

Prócz tego firma dostarcza wszelkich produktów naftowych, a więc: ropa naftowa, olej gazowy, parafina biała, świece, asfalt twardy i miękki, tłuszcz stały Tovotte'a, smary na osie i t. d.

Wobec stałego stosunku z rafinerją w Krośnie, firma *W. Wichrowski* jest jej przedstawicielką wyłączną na województwa: pomorskie, poznańskie i górnośląskie.

Firma W. Wichrowskiego jest przeto nie tylko najstarszą, lecz i jedyną *czysto-polską* firmą naftową w b. zaborze pruskim. Dziś już społeczeństwo nasze zdaje się coraz więcej zdawać sobie sprawę z konieczności popierania polskiego przemysłu a zwalczania żydowskiego. Może ta właśnie świadomość obrony własnych interesów narodowych ułatwia firmie zbyt towaru w ręce polskie.

Personel kantoru ekspedycyjnego.

Fabrykacja i skład beczek.

Cysterny do przewożenia olejów mineralnych.

Hala z rezerwoarami do odpełniania.

Jan Ebertowski
właściciel poznańskiej fabryki bielizny
i hurtowni bławatów.

Gmach fabryki bielizny i hurtowni bławatów J. Ebertowskiego.

Poznańska Fabryka Bielizny i Hurtownia Bławatów

Jan Ebertowski, Poznań, ul. Wroniecka 6/8. Tel. 2160.

Pawilon firmy J. Ebertowski na 3-ch Targach Poznańskich.

Biura fabryki bielizny i hurtowni bławatów J. Ebertowskiego.

Składnica i ekspedycja w fabryce bielizny i hurtowni bławatów J. Ebertowskiego.

Poznańska Fabryka Bielizny powstała w czasach dla przemysłu polskiego trudnych, kiedy to handel i przemysł w Poznańskiem znajdował się prawie wyłącznie w rękach żydowskich i niemieckich. Mimo to, założona w r. 1911, fabryka rozwijała się szybko pod sprężystem kierownictwem jej właściciela, p. Jana Ebertowskiego, znajdując poparcie w szerokich warstwach naszego społeczeństwa. Wojna światowa przerwała jednak wydajną pracę placówki polskiej, która musiała przerwać produkcję aż do r. 1919. Ta przerwa, która, rzecz prosta, wpłynęła fatalnie na rozwój wszystkich przedsiębiorstw, firmy Jana Ebertowskiego nie złamała. Podźwignąwszy się, fabryka poczęła pracować ze wzmożoną energją, wysuwając się na widownię jako pierwsza polska i chrześcijańska fabryka bielizny w Wielkopolsce.

Po wojnie, kiedy w społeczeństwie dal się zau-

Gabinet właściciela fabryki bielizny.

Przykrawalnia i fabryka bielizny hurtowni bławatów J. Ebertowskiego.

Oddział maszynowy fabryki bielizny pędzony siłą elektryczną i zatrudniający 500 pracownic.

ważyć ogólny pęd do zastępowania artykułów importowanych z zagranicy wyrobami własnemi, fabryka bielizny J. Ebertowskiego znalazła olbrzymi rynek zbytu, tembardziej, iż coraz szersze koła odbiorców przekonywały się, że wyroby tej fabryki nie tylko w niczem nie ustępują zagranicznym, ale pod wieloma względami je przewyższają.

Poznańska Fabryka Bielizny, zwana w skróceniu „P. F. B." zaopatruje dziś wszystkie najpoważniejsze firmy w Wielkopolsce, na Pomorzu, Górnym Śląsku oraz Gdańsku, w bieliznę damską, męską i dziecinną. Wyroby „P. F. B." wystawione na Targach Poznańskich spotkały się z ogólnem uznaniem.

Powodzenie swe wyroby Poznańskiej Fabryki Bielizny zawdzięczają oczywiście swej wykwintnej, a trwałej i sumiennej robocie.

Sprawia to solidność roboty i przedsiębiorstwa — dwa najważniejsze sekrety powodzenia każdej placówki przemysłowej.

Prasowalnia w fabryce bielizny i hurtowni bławatów.

Oddział dziergania dziurek w fabryce bielizny i hurtowni bławatów J. Ebertowskiego.

Nr 33 Ogólnego zbioru 3,326 Wydawnictwa rok 64. 11 Sierpnia 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

KAPLICA ZYGMUNTA NA WAWELU.
(Z teki autolitografij Józefa Klussa)

OD BIAŁEGO CARATU DO CZERWONEGO.

Psychologiczno-polityczny problemat Rosji zajmuje dziś uwagę całego świata. Przedewszystkiem jednak zajmować on musi nas, Polaków, jako bezpośrednich sąsiadów tej Rosji, która jest obecnie, i tej, która będzie jutro.

Badania w tym kierunku są jednym z naczelnych obowiązków naszej publicystyki i naszej nauki. Badania te są jednak dopiero w zaczątku.

Przed wojną, w okresie naszej niewoli, która wytworzyła specyficzny stosunek Polski do Rosji, oparty wśród oświeconego ogółu polskiego na pozornej znajomości państwa, kraju i narodu, w istocie zaś na starannem unikaniu wszystkiego, co rosyjskie, uczyniliśmy bardzo mało dla uświadomienia sobie, czem jest *Psyche* rosyjska.

Dopiero rewolucja 1905/6 roku otworzyła nam oczy na ogrom tego zagadnienia, które nie potrafiło zainteresować — mimo stuletnich relacyj narodu podbitego z państwem podbojowem — w dostatecznym stopniu ani naszych historyków ani naszych socjologów.

O Rosji mieliśmy tylko „wyobrażenie". Tworzyło się ono w dwojaki sposób. Naprzód na podstawie legend sybirskich, przekazanych nam przez więcej i mniej odległą przeszłość. Była to Rosja z dopisków Mickiewicza do „Dziadów", z „Anhellego", z dość licznych pamiętników, pisanych przez naszych wygnańców, wreszcie z wstrząsającej wizji grotgerowskiej. Później, kiedy do Rosji i na Sybir zaczęliśmy już iść falą z własnej woli, „za chlebem", informatorami Polski o Rosji stali się urzędnicy, przemysłowcy i kupcy, którzy tam osiadali, przyzwyczajali się do miejscowych warunków i zatracali zdolność bystrzejszego obserwowania. Informacje ich były powierzchowne, często fałszywe, oparte na złudzeniach, rzadko kiedy realne mimo pozorów realizmu.

Znamienną jest rzeczą, iż w jednym i drugim okresie piśmiennictwo polskie nie może wykazać się żadną książką o Rosji, która byłaby świadectwem tego, że zrozumieliśmy, czem jest dla nas Rosja, czem jest ona wogóle dla Europy i że przestrzegliśmy przed tem Zachód, otwierając mu oczy na zbliżające się od strony Wschodu niebezpieczeństwo.

Pierwszą taką książką, która ujmowała zagadnienie rosyjskie głębiej i z właściwego rozstrząsała je stanowiska, była książka Wł. Jabłonowskiego p. t. „Dookoła Sfinksa", poświęcona studjom „o życiu i twórczości narodu rosyjskiego". Wślad za nią zjawiła się druga praca tegoż autora p. t. „Dwie kultury", przeciwstawiająca w bardzo bystrych i trafnych uogólnieniach Zachód Wschodowi.

W ten sposób czujność intelektualnej elity polskiej została obudzona.

Trzeba było jednak jeszcze wojny europejskiej i przewrotu bolszewickiego w Rosji, aby postawić u nas zagadnienie rosyjskie na właściwej platformie, to znaczy, aby zabrać się poważnie do studjów nad „duszą rosyjską".

Młodzieńcze złudzenia Tadeusza Nalepińskiego o idącym „Królu Duchu" Rosji rozwiała rzeczywistość, przerastająca nawet genjalną wizję Dostojewskiego.

Czysto literacki i przez pryzmat wielkiej literatury rosyjskiej brany stosunek nasz do zagadnienia rosyjskiego musiał ulec rewizji. Należało mu dać podstawę naukową.

I tu zjawiła się niedoceniona dotychczas praca prof. Koniecznego, dająca nam w całokształcie dzieje Rosji.

Ta pierwsza przez uczonego polskiego napisana historja Rosji będzie kiedyś miała epokowe znaczenie w ukształtowaniu się naszego intelektualnego stosunku do państwa carów, którego istoty nie mógł znać Polak, wychowany w szkole rosyjskiej na fałszach Iłowajskiego, wbijanych mu codziennie w głowę, z takim skutkiem, że po opuszczeniu tej szkoły odwracał się on ze wstrętem od wszystkiego, co rosyjskie, nie chciał mieć z tem nic wspólnego, a nie badając na własną rękę, nieraz padał w życiu ofiarą tych samych fałszów, któremi go nakarmiono za młodu i które za fałsze był uznał. Poprostu dlatego, że nie umiał przeciwstawić im prawdy, bo jej nie znał.

Dzisiaj, kiedy jesteśmy już narodem wolnym, narodem, który musi na wszystkie fronty zabezpieczać swoje istnienie i strzec się wszystkich niebezpieczeństw, znajomość tej prawdy jest dla nas jeszcze konieczniejsza.

Rosję, jej ducha, jej charakter musimy znać dobrze, na tej bowiem podstawie możemy tylko określić i ustalić nasz do niej stosunek. Musimy wiedzieć, na co i w jakich okolicznościach możemy z jej strony liczyć. Żadne złudzenia są tu niedopuszczalne. Trzeba brać rzeczy realnie, takiemi, jakiemi one są i będą prawdopodobnie zawsze, bo dusze narodów nie zmieniają się tak łatwo.

Dlatego zagadnienie Rosji, najwszechstronniej postawione, jako zagadnienie psychologiczne, polityczne i kulturalno-cywilizacyjne obchodzić nas musi bardzo blisko.

To zagadnienie podjął właśnie w nowej swojej książce znany pisarz historyczny, prof. Jan Kucharzewski. Jego praca p. t. „Od białego caratu do czerwonego", *) oparta na bardzo sumiennych badaniach źródeł historyczno-literackich, dotychczas znanych u nas bardzo powierzchownie, jak cała rosyjska literatura rewolucyjna, od Hercena i Czaadajewa począwszy aż do publicystyki bolszewickiej Lenina i Trockiego, wprowadza nas w sam rdzeń zagadnienia „duszy" rosyjskiej.

Nie jest to jeszcze praca ukończona. Mamy dopiero pierwszą część szerzej zakrojonej całości. Już jednak z pierwszego tomu, który opuścił prasę, wnosić można, że będziemy tu mieli umotywowany pogląd na całokształt obchodzącego nas zagadnienia i że książka ta odegra dużą rolę w wychowaniu intelektualnem młodego pokolenia, kształcącego się w szkołach i uniwersytetach polskich.

Autor stoi na stanowisku jedynie uzasadnionem, że Rosja przeszła, obecna i przyszła jest jedną i tą samą Rosją. Zmianom ulegają tylko dekoracje historyczne. Istota rzeczy pozostaje niezmienna. Carat „biały" czy carat „czerwony" są bardzo do siebie zbliżone, wyrosły bowiem z jednego podłoża, mają za podstawę jedne i te same wartości narodu rosyjskiego, więc przedewszystkiem jego bierność, jego „heroizm niewoli", jak to najtrafniej ujął i określił Mickiewicz.

Psyche rosyjska z czasów absolutyzmu Mikołaja I-go i z czasów „dyktatury proletarjatu" to dwie rodzone siostry. Niema pomiędzy niemi różnic zasadniczych. Idą one i iść będą dalej przez dzieje pod rękę, to bowiem, co wieki urobiły, jest wieczne i nie da się przekreślić za jednym zamachem.

Duszę rosyjską znieprawiał carat przez stulecia. Jest ona do dna przeżarta przez łańcuchy niewoli, a chociaż łańcuchy te opadły dzisiaj „teoretycznie", to jednak pozostały po nich stygmaty niezatarte, co „praktycznie" zostało wyzyskane przez twórców bolszewizmu. I to stanowi kapitalną różnicę, jaka istniała zawsze i istnieje dzisiaj pomiędzy „wolnym" Europejczykiem a „wolnym Rosjaninem", a tem samem pomiędzy Europą a Rosją.

Jak człowiek wolny nie rozumie niewolnika, a niewolnik nie rozumie człowieka wolnego, tak samo Europa nie rozumie Rosji a Rosja nie rozumie Europy.

Na jednym kontynencie istnieją dwa odrębne światy—świat Wschodu i świat Zachodu, rozdzielone przepaścią nie do wyrównania.

Przepaść ta istniała zawsze, genjusz cywilizacji usiłował jednak przerzucić przez nią most porozumienia. Budowano ten most od czasów Piotra Wielkiego do czasów Mikołaja II-go i kiedy zdawało się, iż był już na ukończeniu, zburzyło go barbarzyństwo bolszewików od jednego zamachu. Przepaść ukazała się na nowo zdumionym oczom, ziejąc swoją pierwotną głębią, której wieki nie zasypały. I kto wie, czy wieki zasypią.

Rosja nie żałuje tego „mostu", bo Rosja wogóle niczego nie żałuje.

Rosja—wyznawał już dawno Hercen — nie ma tych wspomnień, tradycyj, nawyknień i tych pomników cywilizacji, któreby tamowały pochód ku mocom przewrotu, a które powstrzymują dzisiaj starą Europę przed rewolucją.

„Na naszych (rosyjskich) gmachach—mówi—nie zaschło jeszcze wapno, nasze ruiny postarzały nie od lat, lecz od braku fundamentów. Zaprawdę, jakiego kamienia, jakiej ulicy mamy żałować? Czy Pałacu Zimowego? Czy błonia Carycy (Carycyn Ług), gdzie przez półtora wieku codziennie pałkami bito żołnierzy, czy Starej Rusi, gdzie ich zasiekano dziesiątkami? Czy izb czeladnych, tych pajęczyn, w których opadały z sił, ginęły z wycieńczenia całe pokolenia, gdzie ćwiczono do śmierci starców i gwałcono dzieci jeszcze rok temu a może i potem. Nie, już o *naszą* Europę nie potkniemy się!"

I w samej rzeczy nie potknęła się rewolucja rosyjska o przesąd cywilizacji europejskiej. Splunęła na nią i wykonała swój śmiertelny skok w jutro.

Kucharzewski bardzo trafnie analizuje to zjawisko i motywuje, dlaczego charakter przewrotu rosyjskiego był taki a nie inny, dlaczego dokonał się on w imię zniszczenia a nie w imię tworzenia.

„Rosjanin—pisze on — odczytawszy dzieła socjalistów Zachodu, ujrzał w narodach cywilizowanych burżuazję ludzkości. Ludzkość zachodnia —to kapitalista cywilizacji, który wziął spadek po świecie starożytnym i wzniósł się pysznie ponad narody biedniejsze. Jego wyższość cywilizacyjna jest *niesprawiedliwością*, przywilejem położenia geograficznego. Ztąd „pokój chatom rosyjskim, wojna pałacom Zachodu" — istotne hasło założycieli socjalizmu rosyjskiego. Socjalizm dla Rosjan ma więc podobne znaczenie, jak dla żydów. Jedni i drudzy lgną do niego, widząc w nim nadchodzącą erę odwetu za rzeczywiste czy urojone krzywdy, wyrządzone ich narodowi przez historję, gospodarczą zaś stronę doktryny stawiają na drugim planie. Ta analogja stanowi przyczynę spotkania się i przodowania dwóch tych szczepów na terenie komunizmu międzynarodowego. Socjalizm musiał stać się namiętnością inteligencji rosyjskiej, był dla niej „dobrą nowiną" o nadchodzącej równości narodów w cywilizacji. Narody oświeceńsze panują nad ciemniejszemi i wyzyskują je — rozumowano; gdy zaś dla narodu ciemnego i w niewoli będącego niepodobieństwem jest dopędzenie narodów oświeconych i wolnych — pozostaje jako jedyna droga do równości — zniszczenie dorobku możniejszych, *niwelacja*."

Taki owoc wydała szczepionka doktryny socjalistycznej na drzewie rosyjskiem.

Warto zastanowić się nad tem głębiej. Warto przeczytać i przemyśleć samodzielnie to, co mówi Kucharzewski o Rosji i duszy rosyjskiej. Dla umysłów dzisiejszych jest to busola na wzburzonych fluktach teraźniejszości.

*) Jan Kucharzewski: „Od białego caratu do czerwonego". Wydawnictwo Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. J. Mianowskiego. Waszawa 1923. Str. 432.

PIASTOWSKI KLEJNOT NAD WISŁĄ.

Obok Krakowa na ziemiach polskich, chyba jednym z najciekawszych a już bezwątpienia jednym z najpiękniej położonych miast jest—*Kazimierz nad Wisłą*.

Z Puław wije się wśród łąk zieleni i pagórków „ozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem" biały gościniec wężowemi skręty nad brzegiem modrej jak chabry — Wisły — rzek polskich królowej. Wjeżdżając do miasta, leżącego w kotlinie, odczuwa się niewymowny czar minionej epoki sławy i świetności Piastowskiej. Odczuć musi to każdy patrzący na dzisiejszy Kazimierz, pełen mizerji, oczyma ukochania krajobrazu polskiego, rodzimej sztuki i jej bezcennych pomników. Wtulone w bujne gaje i ogrody jarzące jasnością, otynkowane mury domów, szczyty wysokich dachów kościołów, zamek prastary i strażnicza wieża, dumająca o śnie przeszłych dni, a dalej wstęga Wisły i różowo-żółte, barwne łachy rzeczne, wreszcie dalsze wzgórza już po tamtym brzegu z zielenią niesłychanie malowniczych wsi napawają oko rozkoszą tonów, gamą miękkich słonecznych plam, rozrzuconych z wspaniałą hojnością przez Stwórcę.

Tradycja odnosi nazwę Kazimierza do zamierzchłej epoki Kazimierza Sprawiedliwego; historycznie biorąc zdaje się nie ulega wątpliwości, że właściwie twórcą to znaczy odnowicielem już dawno istniejącej osady był Kazimierz Wielki. Ten potężny Piast obdarzył miasto prawem magdeburskiem, pobudował słynne spichlerze, zamek warowny i wzniósł wieżyce. Po nim każdy z królów polskich obdarowywał gród i miasto jakimś darem, przywilejem, roztaczając troskliwą opiekę nad tym drugim naszym Gdańskiem. Tutaj bowiem krzyżowały się drogi handlowe, szedł ważny trakt ze Lwowa i dalej z południa od Carogrodu samego, na Lublin do Gdańska. W porcie nad Wisłą, gdzie ładowano galary zbożem, wrzał ruch i życie, zjeżdżali się tu kupcy z wschodnich rubieży, Ormjanie bogaci i Grecy przebiegli, z hanzeatyckich miast północy przybywały po odbiór towarów rzesze agentów, z Albjonu mglistego i tajemnych fiordów Norwegji.

Wiek XVII, podcinając bogactwo miast naszych, był zabójczym i dla Kazimierza. Morowa zaraza w 1705 r. była straszną klęską. Przywileje nadane żydom przez Stan. Augusta (1777) uchyliły dotychczasowe zapory, przez które wdarł się zalew żydowski. Wojna ostatnia dokonała reszty zniszczenia. Wykupione przez starozakonnych prawie wszystkie domy i zagarnięty w zupełności handel i przemysł zamieniły owo bogate niegdyś polskie miasto na brudną kolonję Izraela. Poprostu nie można spokojnie pomyśleć o tem, ażeby taki klejnot, opisywany w każdym podręczniku historji sztuki, był marnowany przez niedbalstwo, brak jakiegokolwiek zainteresowania się już nie tylko stroną archeologiczną, artystyczną, ale stroną praktyczną — przez społeczeństwo polskie.

Wszak tutaj jest urocze miejsce, przeznaczone od wieków przez naturę i przeszłe pokolenia na pokrzepienie serc, dla nabrania sił do ciężkiej walki o życie wśród rozkosznych sadów na olbrzymiej plaży wiślanej — tymczasem oprócz kłębiących się chałatów i brudnych dzieci żydowskich zaledwie widać gromadkę artystów malarzy—lub przygodnego wędrowca... zresztą zapomnienie, czy nieświadomość społeczeństwa naszego?...

Kiedyż znów na brzegach Wisły zabrzmi odgłos polskiej szkuty, wiozącej ładunek do naszego portu morskiego—kiedyż zamiast ruin i malowniczego pustkowia zabrzmi pieśń młodzieży naszej:

Hej, Wisła, nasza Wisła,
nasza Polska rzeka!...

Dr. N. D.

Fot. J. Wołyński.

Widok z podwórca klasztornego w Kazimierzu.

Zaułek w Kazimierzu.

Rynek w Kazimierzu w dzień targowy.

WARREN G. HARDING.

Dnia 2 Sierpnia r. b. zmarł w San Francisco prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, Warren G. Harding.

Następca Wilsona, wybrany dn. 4 listopada 1920-go roku, był Harding prezydentem z ramienia partji republikańskiej, która w ten sposób odniosła walne zwycięstwo nad demokratami.

Kandydat demokratyczny, James M. Cox otrzymał tylko 127 głosów, podczas gdy na Hardinga padły 404 głosy.

Urodzony w r. 1865-ym, z zawodu był zmarły prezydent dziennikarzem i wydawcą. Przyszedł na świat w Stanie Ohio, który jest ojczyzną polityków amerykańskich, i tam wcześnie, bo już w 19-ym roku życia, rozpoczął karjerę, przeszedłszy ją „o własnych siłach" od najniższych do najwyższych szczebli.

Posiadał tedy wszystkie dane, niezbędne do tego, aby stać się popularnym w społeczeństwie, które ceni nadewszystko samopomoc i samodzielnie zdobytą niezależność ekonomiczną.

Jako polityk, odznaczał się umiarkowaniem i taktem, czego złożył dowody natychmiast po wejściu do „Białego Domu."

Moment objęcia przez niego prezydentury był momentem rozdrażnienia w stosunkach wewnętrznych Stanów. Opinja publiczna, niezadowolona z polityki Wilsona i z jego „awantury europejskiej" żądała zupełnego „wycofania się z Europy." Na to właśnie kładli nacisk republikanie, wyborcy Hardinga, w których gronie znajdowały się niemal całe wielkie finanse, wielki przemysł i wielki handel. Nacisk z tej strony był niedwuznaczny i duży.

Prezydent umiał jednak znaleźć „złoty środek." Nie zerwał z Europą, lecz i nie naraził się również wszechwładnej opinji amerykańskiej. Szedł powoli własną drogą i zdobywał sobie coraz szersze uznanie zarówno w Ameryce jak i na lądzie europejskim. Konferencja waszyngtońska, inicjatywa w sprawie trybunału sprawiedliwości w Hadze, delegowanie „obserwatora" amerykańskiego na narady pokojowe turecko-europejskie, wreszcie szybka decyzja, uznająca granice wschodnie Polski, za co naród polski będzie mu zawsze wdzięczny — to niewątpliwe jego sukcesy polityczne.

Niezależnie jednak od tego życie nadało okresowi jego prezydentury charakter, który pozwoli kiedyś historykowi nazwać te trzy lata okresem „przebudzenia narodowego" Stanów Zjednoczonych. Był to wynik wojny europejskiej. „Naród" amerykański z chwilą, kiedy rozstrzygał o swoim udziale w wojnie, spostrzegł, że nie jest narodem jednolitym, że pod gwiaździstą chorągwią nagromadziło się tyle różnonarodowych elementów, że o ich wspólnem uczuciu i poczuciu „narodowem" mowy być nie może.

Przekonano się wówczas, że Niemcy amerykańscy, manifestujący zawsze swoją lojalność w stosunku do państwa amerykańskiego, używają jednak wszelkich wpływów, ażeby do zbrojnej interwencji Stanów nie dopuścić. To samo Irlandczycy, jako wrogowie Anglji. To samo Węgrzy, jako sprzymierzeni z Niemcami. To samo Szwedzi jako sympatycy Niemców i t. d. Wyjątek stanowili jedynie Włosi i Polacy, którzy gorąco popierali wojnę, również jednak nie jako „Amerykanie", lecz jako członkowie swoich narodów.

Ta niejednolitość opinji w „narodzie", wychodząca poza ramy partyjnych różnic w zapatrywaniach, istniejących wówczas pomiędzy rządzącem stronnictwem demokratycznem z Wilsonem, jako prezydentem, na czele, a zwalczającem jego politykę stronnictwem republikańskiem, nie mogła nie obudzić czujności zmysłu narodowego wśród tych, którzy poczuwali się bez żadnych zastrzeżeń do „narodowości amerykańskiej", jako *natives* i mieli za sobą już jedną tylko amerykańską tradycję, bez żadnych domieszek uczuciowych, będących reminiscencjami „starych krajów".

W ten sposób sprawa „narodu amerykańskiego" weszła na porządek dzienny jeszcze za Wilsona. W Stanach Zjednoczonych zaczęto mówić głośno i wyraźnie o potrzebie „zamerykanizowania" przychodztwa obcokrajowego.

Ś. p. Prezydent Harding.

Dotychczas amerykanizacja odbywała się sama przez się, z biegiem lat, pod wpływem kulturalnej przewagi, jaką posiadał żywioł anglosaski nad żywiołami o innej krwi i innym języku macierzystym. Oczywiście, amerykanizacji takiej opierały się skutecznie liczniejsze skupienia narodowe, bronione przez kościół i szkołę.

Po wojnie zaczęto stawiać sobie pytanie, czy to jest dla przyszłości Stanów Zjednoczonych dobre i czy procesu „amerykanizacji" nie należy przyspieszyć?

Pytanie to zastąpiło drogę i Hardingowi w chwili objęcia przez niego prezydentury.

Nie mógł on uchylić się od jego podjęcia. Był to postulat życia amerykańskiego.

Hasła „amerykanizacji" zaczęły też powoli wchodzić do programu polityki wewnętrznej Stanów.

Żądała tego opinja publiczna i pod jej naciskiem należało czynić pewne zarządzenia.

Zarządzenia te odbiły się także i na wychodztwie polskiem.

Dotychczas wychodztwo to, zgrupowane dokoła kościoła z polskim proboszczem i szkoły parafjalnej, w której nauczycielką była polska siostra zakonna, zachowywało z łatwością swoją wiarę i swój język w środowisku obcem. „Amerykanizacja" Polaków rozpoczynała się dopiero na wyższych szczeblach życia społecznego i to jednak najczęściej nie prędzej niż w drugiem pokoleniu.

Żywioły „nacjonalistyczne", które podniosły w Stanach głowę, uznały, że to „uprzywilejowanie" Polaków połączone jest z krzywdą Ameryki i całą siłą popierały „amerykanizację" przez kościół i szkołę.

Znane jest w tym kierunku stanowisko biskupów amerykańskich, wyciągających łakome ręce po z górą 500 kościołów, zbudowanych przez lud polski własną jego krwawicą. Znane są także zamachy na te skromne, biedne szkółki polskie, w których, pod osłoną konstytucji amerykańskiej, uczono dzieci wychodźców czytać i pisać po polsku.

Prezydent Harding osobistemi wpływami swojemi łagodził obustronnie zadrażniające się stosunki. Liczył się on z zasadą „amerykanizacji", jako z zasadą „państwa narodowego", liczył się jednak także jednocześnie z konstytucją i z poczuciem sprawiedliwości.

Pełen sympatji dla Polaków, których głosy przyczyniły się także do jego wyboru, ogromna bowiem większość wychodźtwa polskiego znajduje się w szeregach republikańskich, nie dopuszczał do jaskrawszych zamachów ani na kościół ani na szkołę polską. Prądu jednak „amerykanizacji" powstrzymać nie mógł.

Prąd ten po jego śmierci niewątpliwie się wzmoże i dlatego rodacy nasi za Oceanem przedwczesną śmierć prezydenta Hardinga uważać będą niewątpliwie za ciężką dla siebie stratę.

Prezydent Harding był 26 z kolei prezydentem Stanów Zjednoczonych.

W tym długim poczcie, w którym są tylko trzy prawdziwie wielkie nazwiska: Washingtona, Jeffersona i Lincolna, nazwisko Hardinga, acz nieopromienione chwałą wielkiego czynu, świeci blaskiem prawdziwej cnoty obywatelskiej, dojrzałej w słońcu wolności, równości i sprawiedliwości, tych trzech wielkich zasad, na których opiera się demokracja amerykańska.

Szczery jej przedstawiciel, od poprzedników swoich, Roosevelta, Tafta i Wilsona, nie większy, ale i nie mniejszy od nich, schodzi Warren Harding do grobu żałowany powszechnie, nie tylko przez swoich współobywateli, lecz w równej mierze przez wszystkie narody, miłujące wolność, równość i sprawiedliwość.

Polska, która dla Stanów Zjednoczonych ma szczególniejsze uczucie wdzięczności i przyjaźni, pochyla dzisiaj ze czcią głowę nad spowiniętą w żałobną krepę gwiaździstą chorągwią i kładzie wieniec nie więdnącej pamięci na trumnie zmarłego Prezydenta.

Z KAZIMIERZA NAD WISŁĄ

Rys. J. Wołyński.

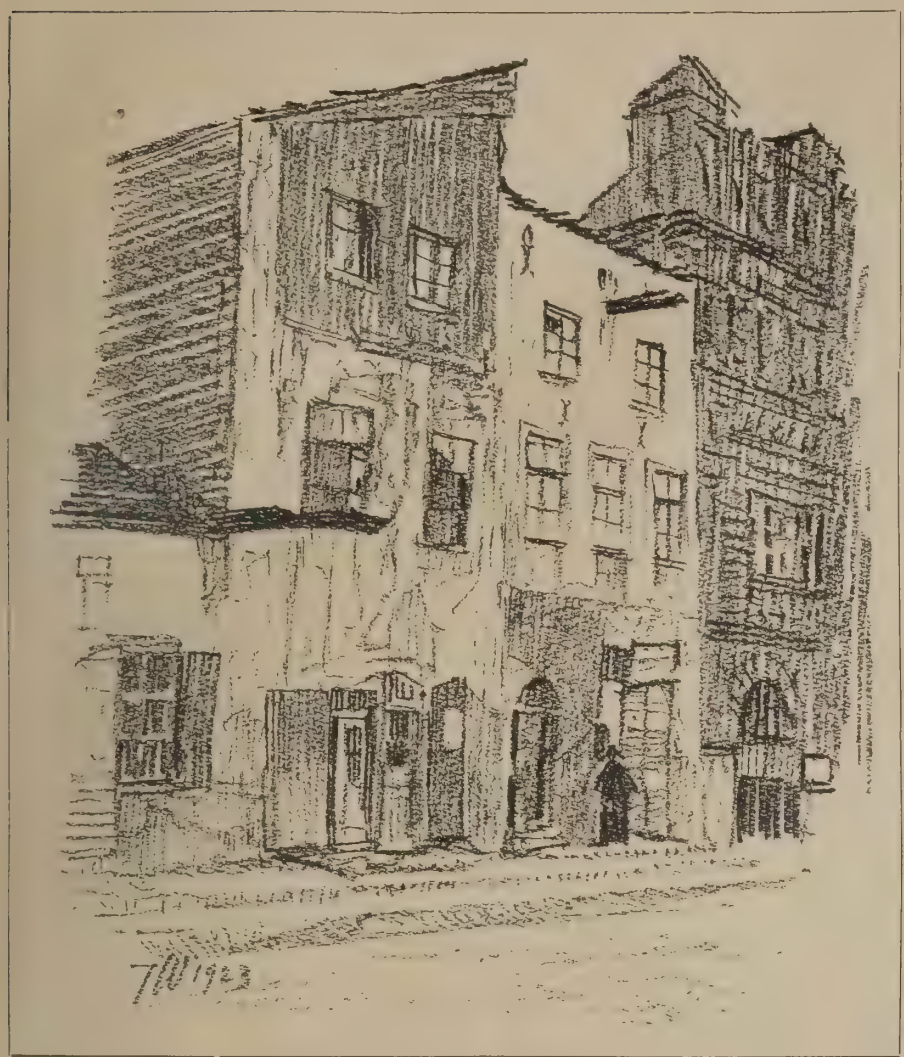

DOMY STARE NA RYNKU.

ZAUŁEK.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Również potrzebą chwili, obowiązkiem patrjotycznym poniekąd, stało się chwalenie omal nie wszystkiego, co nam „historja dwóch lat" przyniosła. Wobec uniwersytetu, który był ogniskiem rusyfikacji, a pod względem naukowym staczał się z biegiem lat coraz niżej, olbrzymiały dodatnie strony Szkoły Głównej. Zapominano natomiast o ujemnych.

A było ich niestety sporo.

Już na „kursach przygotowawczych" do Szkoły Głównej spotykamy dziwny dobór nauczycieli. Sam chwalca tych kursów (Przyborowski, Historja dwóch lat) przyznaje, że „wybór był niekoniecznie dobry." Wykładający logikę i psychologję Kaszewski „był pozbawiony wymowy i lotności umysłu." Wykład historji literatury powierzono „młodemu literatowi" Siwińskiemu, któremu „brakowało rutyny" i wykład jego wyglądał raczej na „improwizację, niż na ścisłe naukowe badania." Matematyk Pęczarski był „uczony, ale zużyty." Przyborowski pomija, że połowa wykładających składała się z najlojalniejszych między lojalnymi, bo z „muchanowczyków."

Było to wielce charakterystyczne. Dymisję, udzieloną Muchanowowi, uważało społeczeństwo za pierwsze walne zwycięstwo, za początek upadku systemu. Satrapa ten, który pod niedołężnym Gorczakowem w rękach swoich skupił prawie całą władzę, a w sprawach oświaty był dyktatorem, musiał chyłkiem uciekać z Warszawy przez Prusy do Petersburga, żegnany na drogę kocią muzyką, a w niespełna pół roku później, tych, którzy byli narzędziami jego systemu, którzy byli w jego łaskach i o te łaski się ubiegali, najbliższych jego zauszników, powołał Wielopolski na przodowników młodzieży, mającej wstąpić do Szkoły Głównej.

„Nalepszym nabytkiem" według Przyborowskiego był Kazimierz Plebański, sprowadzony do Warszawy z Leszna nauczyciel gimnazjalny polskiego, łaciny i francuskiego. Wielkie pochwały oddaje mu i Kraushar, autor „Siedmiolecia Szkoły Głównej." Ale wśród tych pochwał dla „uczonego", którego naukowa spuścizna jest niezmiernie mała i całkiem drugorzędnej wartości, spotykamy i cały szereg bardzo ciężkich zarzutów. Przyborowski mówi o „tonie szyderczym" jego wykładów, o „pewności siebie" (powiedzmy właściwie: zarozumiałości), o sarkazmie „z jakim młody profesor traktował nietylko współczesne sobie wielkości, ale i prądy przebiegające społeczeństwo polskie". Zarzuca mu „język z wielu względów opłakany." Zresztą, zdaje się, Przyborowski jest tylko echem charakterystyki podanej przez Kraushara. Zasłużony ten badacz podnosi „bezwzględność poglądów" Plebańskiego, jego „pewność siebie", „tendencyjność". Wykłady jego były nieraz „traktatami polemicznemi, pojedynkiem z frazeologją i pojęciami utartemi co do pewnych zasad" (Kraushar, pisząc to w r. 1883 pod obuchem cenzury, musiał się wyrażać oględnie, ogólnikowo). Były w tych wykładach „aluzje do wypadków współczesnych z kierunkiem konserwatywnym, przeciwnym wszelkim gorącym porywom." Plebański wzywał do unikania „wygórowanych pragnień", drwił sobie z „apostolstwa Polski", z uważania jej „za przedmurze cywilizacji." „Mówił ciężko, złym językiem, pełnym niemieckich filozoficznych terminów". Edward Bogusławski zaznacza jeszcze, że powtarzał „twierdzenia przestarzałe lub niedowiedzione" i „nie uwzględniał źródeł nowych", a redaktorzy monografji o Szkole Głównej dodają w przypisku, że „nie zdołał wyrobić szkoły i historyków nie stworzył"—„nie obznajmił nawet swych uczniów z czytaniem źródeł rękopiśmiennych i z krytycznem ich traktowaniem" (Szkoła Główna I 198). Ale, że ostro sądził przeszłość, że obalał autorytety, że wreszcie w wykładach jego było pełno wycieczek przeciw Rzymowi—więc miał wpływ na młodzież. Dodatni, czy szkodliwy?—wolno sądzić jak się komu podoba[1]). Jeden z żyjących uczniów Szkoły Głównej, którego zasługom naukowym świeżo hołd publiczny oddano, opowiadał mi, że mimo zamiłowania do historji przeniósł się na inny wydział, zrażony wykładami Plebańskiego.

Zapomniano, pisząc o Szkole Głównej, że jedynym jej wydziałem, stojącym na wyżynie nauki, był wydział lekarski, gdyż istniejąca już od lat pięciu w Warszawie Akademja medyczno-chirurgiczna dostarczyła mu gotowego zastępu profesorów. Inne wydziały, z małym wyjątkiem (Dutkiewicz, Wołowski, Baranowski, Frączkiewicz) były słabo obsadzone, najgorzej z nich jednak przedstawiał się wydział historyczno-filologiczny. Weszli do niego i owi „zausznicy" Muchanowa, z których dwaj piastowali stanowiska... cenzorów (Lewestam i Papłoński). Na katedrę historji powszechnej ściągnięto niedołężnego i zupełnie zmoskwiczonego Kowalewskiego—żonaty z Rosjanką, synów wychowywał na „ruskich" i prawosławnych. Katedra literatury polskiej przez cztery lata nie miała profesora. Katedra historji polskiej pozostała tylko na papierze. Doktorowi medycyny za to, że przełożył nieudolnie latopis Nestora, kazano wykładać język starosłowiański. Katedrę języka czeskiego powierzono Choroszewskiemu na tej zasadzie, że wysłany kosztem rządu za granicę, przebywał przez pół roku w Pradze—nawiasem mówiąc „uczony" ten stał się później jako dyrektor gimnazjum[2]) najzajadlejszym rusyfikatorem, przyjął prawosławie i dopuszczał się wybryków, graniczących z niepoczytalnością. Historycy Szkoły Głównej tłumaczą to bardzo grzecznie „psychozą" i „brakiem praktyczności i umiejętności przystosowania się do warunków życia". Tej psychozie widocznie uległ i drugi z profesorów tego wydziału, bo naprzód całkiem nie wykładał, choć był mianowany profesorem, a następnie, rzuciwszy katedrę dla posady dyrektora gimnazjum, w trzy lata po powstaniu... zapomniał języka polskiego. Za największe „światło" wydziału hist.-filologicznego uważany był Plebański—jego jedynie z tego wydziału wymienia poważny uczony wśród ośmiu „wielkich świateł" Szkoły Głównej. Dla tej właśnie opinji poświęciłem mu obszerniejszą wzmiankę. Ale tak źle znowu nie było. Stanowczo nawet na tym wydziale już na początku istnienia Szkoły Głównej byli lepsi i uczeńsi od Plebańskiego. Dość wymienić Przyborowskiego lub Węclewskiego.

Sami historycy Szkoły Głównej, odnoszący się do niej, jako uczniowie, z głębokim pietyzmem, przyznają przecie, choć bardzo delikatnie, że nie wszystko było w niej najlepsze. Spotykamy się z ich zdaniem, że „uzdolnienie pedagogiczne dużo zostawiało do życzenia", że była „nierównomierność kwalifikacyj naukowych", że pewne wykłady były „mało pouczające." Narzekają na słabe „rozwinięcie instytucji docentów" i wyrażają przekonanie, że przy dalszem istnieniu Szkoły „nastąpiłaby wymiana mierności na zdolności."

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

[1]) Historycy roku 1863 jednogłośnie stwierdzają, że za wpływem Plebańskiego i Struvego młodzież Szkoły Głównej uchwaliła olbrzymią większością nie brać udziału w powstaniu. Podnosił za to gorącą „czystość jej serca i umysłu" w urzędowym *Dzienniku Powszechnym* zasztyletowany wkrótce Miniszewski. Przez długi czas było w modzie chwalić ową trzeźwość młodzieży. Inne zapatrywanie miała młodzież uniwersytetu Jagiellońskiego, która prawie cała poszła do powstania (z uczniów drugiego roku prawa w Krakowie zjawił się na wykładzie jedyny Kazimierz Badeni) a młodzieży warszawskiej przesłała „babskie wrzeciono". W szeregach powstańczych znalazła się również prawie cała młodzież uniwersytetu lwowskiego (niemieckiego) i cała polska młodzież uniwersytetu kijowskiego. — Sprawiedliwość każe przyznać, że i wśród młodzieży Szkoły Głównej byli tacy, co na polu walki życie swe nieśli ojczyźnie w ofierze, ale było ich niewielu.

[2]) W Warszawie, gimnazjum V, po nim był Kański.

□□

REWOLUCJA, EWOLUCJA, STAN POSIADANIA.

— Coby tak było, przyjaciele, gdybyśmy zrobili rewolucję?

— Broń Boże! Rewolucja — to krew. A krew niczego nie leczy — wszystko plami. Rewolucja niszczy. Rewolucja krzywdzi. Rewolucja stępia swe ostrze wcześniej, nim skrzyżuje broń z przeciwnikiem... Rewolucyi znamy sto — wszystkie skończyły się fiaskiem. W zamęcie walki zawsze tracono z oczu istotny cel! — Rewolucja jest klęską. Klęska jałową!

. . . . . .

— Ewolucja?

Hm... stopniowa przemiana stosunków i form współżycia? Łańcuch syllogizmów... Wolny, wolniutki postęp dookoła zegarowej tarczy? Wychodzimy z domu o godzinie 0, wracamy do domu o godzinie 24 — ile też drogi uszliśmy? Niewiele...

. . . . . .

— A gdyby się tak rozejrzeć dookoła: jaki też jest nasz *stan posiadania?* Bo ostatecznie, narzekamy, biadamy, krytykujemy — a może się okazać po dokładnem zbadaniu kwesji, że nasz stan posiadania nie pozostawia znów tak wiele do życzenia.

Rolnik skarży się, że saletrę otrzymuje zapóźno.

Wielkie rzeczy!... Przez pięć lat gospodarowało się zupełnie bez saletry — a niepodległość jest.

Kupiec twierdzi, że nie może sprowadzać towarów z zagranicy, bo niema gdzie kupić legalnie walut obcych.

— A pocóż ma sprowadzać z zagranicy. Niech kupuje wyroby krajowe: im mniejszy będzie import, tem dla nas lepiej.

— Kiedy to jest dobre w zastosowaniu do rzodkiewki albo kartofla: szkła otrzymujemy z Jeny, akkumulatory z Berlina... Nie sposób mieć wszystko u siebie.

— Panie, co się pan martwisz. Zdrowie, to grunt.

Literat utyskuje na niemożność wyjazdu zagranicę.

— I poco pan masz wyjeżdżać?

— Dla rozszerzenia horyzontów, dla odpoczynku, dla nowych wrażeń, dla —

— Ee, panie, wszystko głupstwo.

Krzywą wieżę niekoniecznie trzeba oglądać w Pizie: w byle miasteczku prowincjonalnem zobaczy pan krzywą wieżę strażacką.

— Ruiny Cyrku w Rzymie?

Toż mamy cyrk Mroczkowskiego, w najlepszym punkcie miasta, przytem, nie w ruinie, ale odświeżony, jak się patrzy.

— Bibljoteka w Londynie?

— Pan ma rzeczywiście wyborne dowcipy! Mało w Warszawie czytelni publicznych? Nawet do domu dają: Mniszkównę, Germana, Sobczykowskiego, Tomasika, i tego... Asnyka. Tylko mało kaucji trzeba dać.

— Optymistą trzeba być, ot, co!

— Że jest duszno, ciasno, brudno!

Nie odrazu Kraków zbudowany, nie odrazu. Cudze chwalicie, swego nie znacie. Taki Ojców, proszę pana... — Był pan w Ojcowie? A widzi pan!

Albo filtry warszawskie... To jest, proszę pana, wysoki wyraz techniki... Albo restauracja „Niespodzianka". Na ósmem piętrze podają panu kotlet z widokiem na wyścigi. Czy to mało?

Zdzisław Kleszczyński.

MUZYCY WŁOSCY.

Arrigo Boito.

W przededniu wystawienia „Nerona".

Dokończenie.

I zaczyna znów wierzyć, że nieuchwytne uchwyci, że niepojęte pojmie, że, jak Prometeusz, ogień ukradnie z nieba i żywy płomień, grzejący dusze, przyniesie zziębniętej rzeszy.

Zaczyna wierzyć w swe wysokie posłannictwo i w najwyższem napięciu całego swego jestestwa porzuca wszystkie inne prace i w samotności i skupieniu tworzy tragedję ducha, tworzy swego „Mefista". Chce w niej dźwiękami dopowiedzieć to, czego Goethe nie zdołał wypowiedzieć słowami ludzkiemi. W swoim „Mefiście" chce zamknąć piękno nieba, grozę piekieł, wrzące pragnienia, radości i zawody ziemi.

„Bądź pozdrowiony, o Panie aniołów i świętych".

(Ave, Signor, degli angelie dei santi!)

Piękno nieba odsłania nam muzyka, lejąca się z piersi mistrza zdrojem żywego genjalnego natchnienia.

W prologu, poprzedzającym „Mefistofelesa" Boito stanął na wyżynach obok największych kompozytorów świata i przewyższył ich nie tyle głębią wyrazu, ile szczególnie przedziwną prostotą środków. Jest to utwór tak w swej prostej piękności oryginalny, że w literaturze muzycznej nie ma sobie równego.

Inne części tej opery a mianowicie część: „La notte del Sabba classico" także są piękne i nowe w formie, ale nie wytrzymują porównania z prologiem, bo nie uderzają taką niezwykłością i wprost jakąś wyjątkową szczytnością natchnienia.

A jednak opera ta przy pierwszem przedstawieniu haniebnie upadła (5/III 1868). Publika medjolańska nie wytrzymała takiej dozy nowości. Czuła się zdezorjentowana. Nie wiedziała, czy oklaskiwać, czy wygwizdać. Dzieło tak śmiałe drażniło, niepokoiło, porywało, ale i przygniatało. W połowie przedstawienia pękły tamy i publika tak się zachowała, że zaledwie można było sztuki dokończyć.

Przy pulpicie stał sam Boito i dyrygował; słyszał wszystko, ale ani drgnął i doprowadził ze spokojem przedstawienie do końca.

Wyszedł na pozór zimny i niewzruszony, dopiero w domu poddał się rozpaczy; nie zwątpił o wartości swego dzieła, ale stracił zaufanie w swoją szczęśliwą gwiazdę. Odtąd rdza pesymizmu wgryza mu się coraz głębiej w duszę. Walczyć? Po co! Jego snów i tak nikt nie zrozumie! I nie miał nic na pociechę. Matka jego najdroższa już była w grobie; był sam smutny i złamany. To tak dziwne niepowodzenie na progu karjery artystycznej na wielką skalę było tragedją, co przeszła po duszy artysty i złamała ją. Po tej burzy Boito całych siedem lat milczy.

Wśród muzyków, krytyków muzycznych i wogóle znawców muzyki toczyły się o „Mefistofelesa" niezliczone polemiki. Sprawiły one to, że publika, czytając je, zaczęła dojrzewać muzycznie; zaczęła zdawać sobie potrosze sprawę z tego, na czem polegała piękność, nowość i niezwykła wartość tej opery.

Przyjaciele Boita zaczęli nalegać na niego, aby, dokonawszy pewnych zmian i skróceń, wystawił znów swego „Mefista". Tymczasem Boito w zaciszy swego gabinetu, zabliźniwszy, jak mógł, rany zadane jego duszy, pracował już nad czem innem, a mianowicie nad owym swoim tak dawno już rozpoczętym „Neronem."

Aby żyć, tłumaczy libretta oper Wagnera, Lecocqu'a, Meyerbeera, tłumaczy słowa do pieśni Raffa, Rubinsteina. Pracuje nad librettami do oper Ponchiellego. Pisze nowele.

Ulega wreszcie namowom przyjaciół: przerabia „Mefistofelesa"; kasuje cały jeden akt, wyrzuca jedno „intermezzo"; dodaje śpiew: „Jeśli mi dasz choć chwilę odetchnienia" (w drugiej części pierwszego aktu); dodaje „andante": „Budzi się blada jutrzenka" (w końcu sceny więziennej) i duet: „Daleko, daleko, daleko". Przytem transponuje rolę Fausta z barytonu na tenor.

Jedna z licznych karykatur Arrigo Boito w epoce pierwszego wystawienia „Mefistofelesa".

Tak przerobiona opera została wystawiona w Bolonji (4/X 1875) pod dyrekcją zacnego Luigi Mancinelli. Publika przyjęła utwór wyczekująco, bo, wiedząc o historji pierwszego przedstawienia, bała się skompromitować, wykazując brak znawstwa: ale wkrótce zmieniło się usposobienie publiczności, bo krytyka tym razem nie miała dosyć słów uznania dla wystawionego dzieła.

„Mefistofeles" obiega inne sceny we Włoszech i zagranicą, sukces za każdem przedstawieniem rośnie. „Mefistofeles" zdobywa miejsce wśród najsłynniejszych oper świata. Teatry przygotowują się do wystawienia tego dzieła z jakiemś szczególnem specjalnem namaszczeniem i odtąd opera ta w triumfalnym pochodzie staje się ulubioną i pożądaną wszędzie.

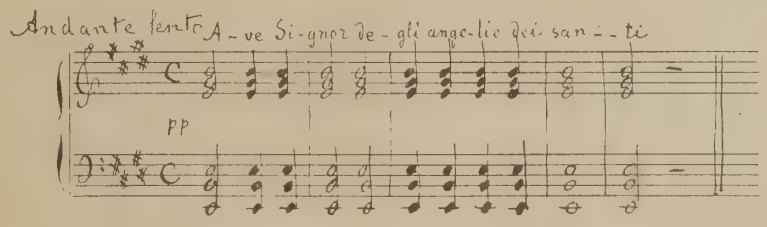

„Mefistofeles" jest dziełem tak nawskroś oryginalnem, że nie przestarzeje się nigdy. Zwolennicy obecnej mody przeładowywania instrumentacji zarzucają mu zbyt ubogą harmonję. Ale ona to właśnie sprawia, że dzieło to zawsze wyda się pięknem.

Jakże często, przeglądając dawne albumy z fotografjami i widząc strojne staromodne damy, dziwacznie obwieszone falbankami i strzępkami, doznajemy uczucia niesmaku, podczas gdy postacie kobiece, fotografowane w skromnych gładkich ubiorach, zawsze wydają się jednakowo ładne. Coś podobnego zachodzi i z dziełami sztuki, a zwłaszcza z utworami muzycznemi: im są prostsze, powiedzmy nawet, ubogie w fakturze, a mimo to ubóstwo, piękne, tem dłużej piękność ich przetrwa, tem dłużej będą się podobały.

Powodzenie „Mefistofelesa" zapewnia mistrzowi dobrobyt, daje mu możność spokojnej nad „Neronem" pracy. Walka dwóch światów: wschodzącej zorzy chrześcijaństwa i zachodzącego słońca pogańskiej Romy, oto treść utworu. Skomplikowana dusza Nerona: zuchwalstwo i tchórzostwo jego, czułość i okrucieństwo, jego zbrodnie, namiętności, fałsze i komedje, pochlebcy i wrogowie, ludzie i duchy mściwe, wreszcie postać kobiety, co mimo wszystkie upadki Nerona, mimo wszystkie jego nikczemności, kocha go dla niego samego, tak jak tylko prawdziwa kobiecość to potrafi.

Boito pracuje nad tą operą z całą namiętnością swej przepaścistej duszy. „Neron" prawdopodobnie byłby już wkrótce wykończony, ale w tym właśnie czasie zachodzi dziwny fakt, choć pozornie bardzo zwykły. Z powodu przeróbki libretta do „Simon Boccanegra" Verdi zbliża się do Boita i jego potężna osobowość literalnie pochłania tego ostatniego. Boito, który przedtem nieraz ostro krytykował Verdiego i prześmiewał „zacofane" sposoby jego kompozycyj, naraz, przy zbliżeniu ze starym mistrzem zostaje przezeń jakby ujarzmiony. Od tej chwili Boito przestaje żyć dla siebie, służąc tylko sławie Verdiego, pracując dla niego. I tak trwa aż do śmierci autora Rigoletta, Trubadura, Violetty, Otella, Falstaffa i całego szeregu innych oper. Wpływ Verdiego na Boita był szkodliwy. Nie tylko, że wytrącił tego ostatniego z orbity jego własnej pracy muzycznej, ale i na punkcie religijnym pchnął wahającego się jeszcze ducha do zimnej niewiary, do indyferentyzmu, w którym Boito wytrwał i umarł.

Po śmierci Verdiego (27/I 1901) długo Boito czuł się, jak osłupiały, potem, uspokoiwszy się, nabrał znów po jakimś czasie chęci do pracy i wrócił do wykończenia „Nerona", ale po tylu latach przerwy, praca dawna wydała mu się niedostateczną, jakby niedociągniętą do tego, co marzyło mu się w duszy, począł więc nanowo czynić zmiany w partycji, ale mimo to dzieło było już tak daleko posunięte, iż Boito dał się namówić do zrobienia kontraktu z teatrem „La Scala" w Medjolanie, co prawda na to tylko, by zaraz prawie potem znowuż go cofnąć.

Nie przestał jednak pracować nad wielkiem dziełem, można powiedzieć śmiało i bez przenośni: dziełem całego życia. Umyślnie dla tego dzieła zaczął zgłębiać nową, a nawet futurystyczną harmonję, chcąc w niej dopatrzyć jakichś istotnie nowych i prawdziwych podstaw, aby je zużytkować. Śmierć zaskoczyła go, gdy owego wymarzonego dzieła jeszcze nie skończył. Umarł Boito. Mamy jednak wkrótce ujrzeć „Nerona"; dano nam już oficjalną zapowiedź o tem wielkiem artystycznem wydarzeniu.

Słynny Artur Toscanini ma zwierzoną sobie partycję „Nerona" i wszystkie bardzo liczne notatki zmarłego Mistrza. W sezonie powakacyjnym ukaże się więc to dzieło na widowni teatru „La Scala." Ci szczęśliwi, co słyszeli przegrywane na fortepianie przez samego jeszcze Boito szkice i ustępy tej opery, opowiadają dziwy o potędze, sile i polocie dzieła.

E. de Andreis.

KRAJOBRAZ (autolitografja). J. KLUSS.

LITOGRAFJE WSPÓŁCZESNE POLSKIE.

Litografja wynaleziona przez Senefeldera w pierwszych latach przeszłego stulecia, tak szybko spopularyzowała się w Polsce jak żadna inna technika graficzna. Jeszcze Aleksander Orłowski lwią część swej spuścizny zostawił w litografjach. Naturalnie ochoczość Orłowskiego do tej sztuki powstała z łatwości wynikającej z rodzaju uzdolnienia malarza.

Orłowski nie umiał kończyć, opracowywać, doskonalić swe prace, co powstało prima vista, to było często bardzo dobre — zwykle dobre—a nie znosiło przeróbek i dopełniań.

W tem bardzo podobny do późniejszego Franciszka Kostrzewskiego — który obdarzony podobnemi zdolnościami, jako „technik" pozostał całe życie dyletantem — co najwięcej razi w malarstwie olejnem, tego skąd inąd znakomitego artysty. Litografja dla ludzi tej kategorji uzdolnienia jest niezrównanym sposobem wypowiadania się.

Co się improwizuje momentalnie— to z niesłychaną wiernością oddaje płyta kamienia litograficznego — nie ulegając przeróbkom ani zmianom.

Żadną inną techniką nie zdołałby Orłowski wykonać tych tysięcy sztuk plansz, rozrzuconych po zbiorach całego świata.

Jeśli musimy Orłowskiego uznać za Ojca naszej litografji, to następcą jego bardzo znakomitym w swoim rodzaju był tak popularny Jan Feliks Piwarski.

Pracownik niestrudzony, nie tak genjalny jak Orłowski, ale technik wyższy od swego poprzednika, jego kapitalne prace widzimy po dziś dzień, w starszych rodzinach rozwieszone na ścianach — osobliwie karty: z „Kramu malowniczego warszawskiego" budziły i budzą do dziś zajęcie.

Typy owoczesnej ludności, chwytane umiejętnie, żywo, choć z przymieszką niepotrzebnej poprawności stylistycznej—co sprawia, że w większych ilościach oglądane nużą, ale mimo te usterki są dziełami w naszej sztuce ogromnego znaczenia, *bez tych rzeczy* nie powstałoby nasze rodzajowe malarstwo, tak jakby różdżką czarodziejską wywołane w drugiej połowie przeszłego wieku.

Piwarski był doskonałym pedagogiem, umiał, tworząc swe dzieła, wywierać wpływ na otoczenie i artystów swego czasu. Za to winniśmy mu wdzięczność i pamięć.

Litografja *reprodukcyjna* była dawniej u nas w ogromnem użyciu: któż nie pamięta owych doskonałych reprodukcyj z klasyków naszego malarstwa, wydawanych jako roczne premja przez Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych. Te wzorowo wykonywane prace w zakładach Fajansa zostaną na zawsze pamiątką epoki, wnosząc styl i gust owoczesnego pokolenia do skarbnicy drogich nam wspomnień. Któż nie pamięta „Zygmunta przy łożu Barbary" — jednej z najlepszych litograficznych reprodukcyj Simlerowskiego arcydzieła. Albo „Otrucia Królowej Bony" Matejki, te rzeczy weszły w krew popowstaniowego pokolenia: *dały* tym ludziom wiele rozkoszy; kołysały ich w dzieciństwie i cieszyły w późnym wieku życia. Spełniły zadanie!

Jakżeż warjacko, jakżeż jałowo, pusto wyglądają przy tych dziełach, przy *ich zasługach*— teorje o bezwzględnem posłannictwie istotnej sztuki służenia tylko *sobie??*

Kłamstwo skoncypowane przez tych, którzy służyć mogli i umieli tylko dla swych osobistych celów.

Sztuka służąca tylko sobie — zamrze, gdyż nikt jej potrzebować nie będzie, z wyjątkiem kilkunastu lub kilkudziesięciu doktrynerów-wyznawców idei nam zgoła obcej i zbytecznej.

Sztuka dawniejsza opowiadała wiele, obecna tak *wyzbyła się* wszelkiego kontaktu ze społeczeństwem, że jej nikt nie jest w stanie zrozumieć, ani fachowiec, ani profan. Czy to jest rozwojem i postępem?

* * *

W latach ostatnich autolitografja polska zajęła pierwszorzędne miejsce w grafice świata, dzięki Wyczółkowskiemu.

Sam jeden wyniósł u nas ten rodzaj na wyżyny—dotąd nam niedostępne. Oglądając szeregi tek artysty, — widzimy ciągłe zmiany, ciągłe doskonalenie techniczne, zupełne opanowanie zadania i bezgraniczna miłość przedmiotu.

Wyczółkowskiemu zawdzięczamy cały szereg wysoce uzdolnionych uczniów. Krakowska Akademja w szczególnej pieczy miała litografję — osobliwie dział tak zwanej autolitografji. Podajemy właśnie w dzisiejszym Tygodniku reprodukcje jednego z najmłodszych majstrów tej sztuki.

Józef Kluss był uczniem Mehoffera; skończywszy kursa, za tekę swych prac został wyróżniony przez rząd francuski jednorocznem stypendjum na pobyt w Paryżu—dla dalszego wydoskonalenia się w swym zawodzie.

Naturalnie tak wysokie wyróżnienie miało swe powody. Sądząc z tych prac, osnutych na tematach wawelskich, wróżymy młodemu artyście dużą przyszłość, wierząc, że spełni nadzieje w nim położone.

Władysław Wankie.

BRAMA WJAZDOWA NA WAWELU (autolitografja). J. KLUSS.

Z TEKI AUTOLITOGRAFIJ J. KLUSSA

WAWEL Z KOPUŁY ŚW. PIOTRA.

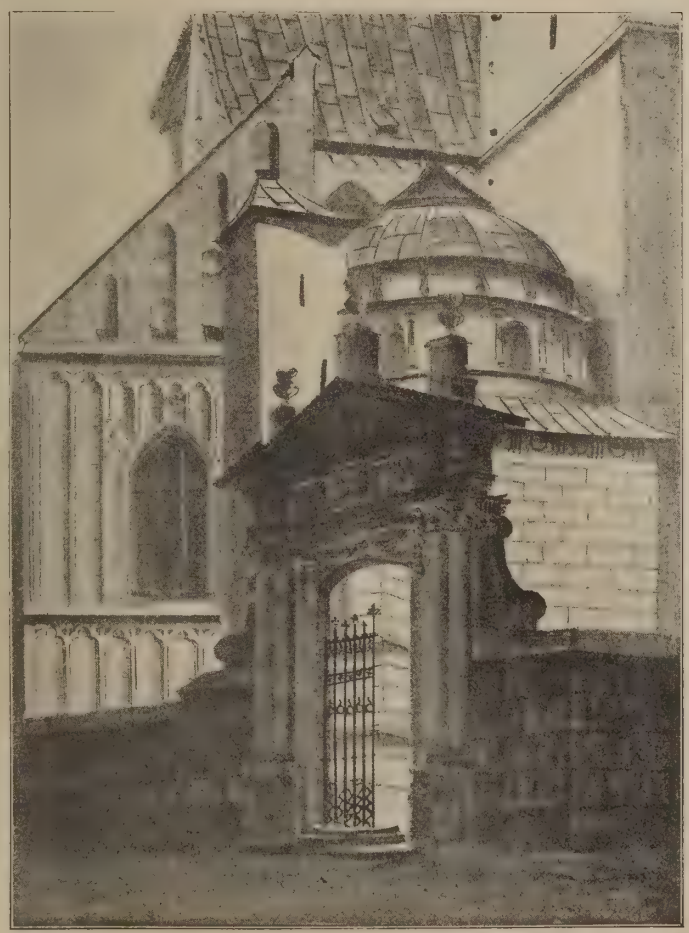

BRAMA BAROKOWA NA WAWELU.

FRAGMENT KRUŻGANKÓW WAWELSKICH.

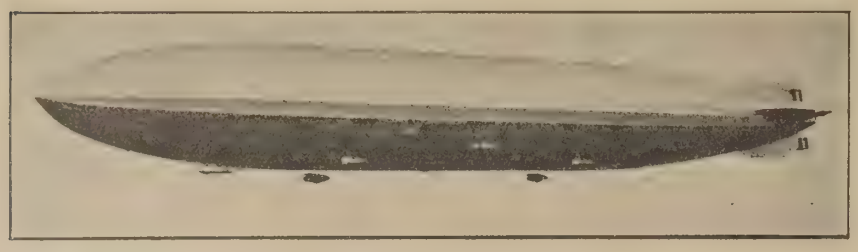

Największy sterowiec R 38, który uległ zniszczeniu podczas pamiętnej katastrofy nad miastem Hull w 1921 r. W katastrofie tej zginęło czterdzieści kilka osób.

POWIETRZNEMI SZLAKAMI

(Dokończenie).

W Ameryce jednak nie stracono wiary w przyszłość balonów sterowych. Stało się to nie tyle dzięki niespożytej energji, tak charakterystycznej u Amerykanów północnych, ich bogactwu i zmysłowi handlowemu, lecz głównie wskutek zdobycia źródeł gazu lżejszego, niż powietrze, a przytem niepalnego zupełnie, co, oczywiście, zwiększa ogromnie bezpieczeństwo sterowców.

W r. 1868 fizyk angielski, Lockyer, badając widmo słoneczne, odkrył w niem linję, nie odpowiadającą żadnemu z pierwiastków znanych na ziemi, nazwał więc ów pierwiastek słoneczny *helium* (Helios—bóg słońca). Dopiero w r. 1895 sir William Ramsay, przy badaniu gazów, oswobodzonych z kleweitu, przekonał się, że jednym z tych gazów jest właśnie ów pierwiastek, odkryty przez Lockyera, a nazwany przez niego helium (po polsku hel), oraz, że jest to gaz lekki, najlżejszy po wodorze, tudzież najzupełniej niepalny. Ostatnia ta własność helu naprowadziła słynnego uczonego angielskiego jeszcze podczas wojny, gdy tyle sterowców padało ofiarą wybuchu napełniającego je gazu oświetlającego, na myśl używania helu do napełniania takich balonów. Trudność jednak urzeczywistnienie myśli sira Williama Ramsaya polegała na tem, że znane wówczas źródła, z których możnaby była czerpać hel, były bardzo rzadkie i dostarczające cenny gaz w nieznacznych tylko ilościach. Lecz Amerykanie podchwycili myśl uczonego angielskiego i, rozpocząwszy badania na wielką skalę, doszli w końcu do odkrycia, że hel znajduje się w ilościach stosunkowo znacznych na wielu punktach naszej ziemi, mianowicie w gazach, dobywających się z gruntów naftodajnych.

W r. 1918 powstały kosztem rządu Stanów Zjednoczonych, na gruntach takich w Fort Worth i w Petrolji (Texas), zakłady doświadczalne dla dobywania helu z gazów ziemnych, a po kilku miesiącach doświadczeń, inżynierowie amerykańscy doszli ostatecznie do sposobów, pozwalających na fabryczny wyrób helu, rozpoczęto więc natychmiast budowę wielkiej fabryki. Fabrykę ową, jedyną dotychczas na świecie, ukończono w połowie tego samego roku, a już pod koniec roku puszczona była w ruch. Od tego czasu fabryka pracuje regularnie, wyrabiając dziennie około 420 metrów sześciennych helu, zawierającego tylko od 4 do 5 % zanieczyszczeń. Z czasem jednak produkcja jej dzienna podniesiona ma być do tysiąca lub tysiąca stu metr. sześć.

To też już w grudniu 1921 r. pierwszy amerykański balon sterowy, „C. 7", całkowicie napełniony helem, mógł manewrować bezpiecznie nad Waszyngtonem, przelatując nawet nad pałacem prezydenta.

W ten sposób Amerykanie uzyskali możność rozwoju żeglugi powietrznej balonami sterowemi, a ponieważ, zdaniem rzeczoznawców, zbyt rozrzutne szafowanie cennym gazem może doprowadzić do wyczerpania jego źródeł w ciągu paru dziesiątków lat, komisja, wydelegowana przez departamenty wojny, marynarki i górnictwa dla zbadania tej sprawy, przedstawiła rządowi Stanów Zjednoczonych konieczność zmonopolizowania tych źródeł i eksploatowania ich tylko w miarę istotnej potrzeby.

Dziś Stany Zjednoczone są jedynem państwem, posiadającem dostateczną i zapewnioną ilość helu nie tylko dla celów wojskowych, lecz handlowych, to też zamierzają rozwinąć wkrótce komunikację szlakami powietrznemi w szerokich rozmiarach.

Olbrzymi sterowiec niemiecki, zbudowany w r. 1911 w warsztatach Siemensa i Schuckerta w Biesdorfie pod Berlinem.

W sprawie tej Amerykanom przedstawiały się dwie alternatywy: albo rozpocząć u siebie budowę wielkich sterowców, narażając się przytem na żmudne badania i doświadczenia, albo też korzystać z ogromnego zasobu danych, nabytych podczas wojny przez inżynjerów niemieckich zakładów Zeppelina w Friedrichshaven i do nich zwrócić się z zamówieniami przy pomocy swoich kapitanów i pod kontrolą własnych inżynjerów.

Wybrali tę drugą drogę i już w roku 1919 rozpoczęli rokowania z zakładami Zeppelina, ale dopiero w r. 1922 doszło do ostatecznego porozumieni pomiędzy konsorcjum niemieckiem Schütte-Lanz a *General Air Service Corporation*, znajdującą się pod kontrolą rządu Stanów Zjednoczonych i rozpoczęto, za specjalnem pozwoleniem konferencji ambasadorów, potrzebnem ze względu na to, że traktat wersalski zabraniał Niemcom budowy wielkich balonów sterowych, tudzież przywozu i wywozu materjałów potrzebnych do budowy statków powietrznych—pracę nad pierwszym balonem sterowym, przeznaczonym dla Ameryki.

Sterowiec ten, noszący nazwę „Z. R I.", już zupełnie ukończony, jest największym ze wszystkich dotychczas wybudowanych. Długość jego wynosi 275 metr., średnica 35 metr., a wysokość od spodniego kantu gondol do wierzchniego kantu balonu—39 metr. Wreszcie dla wypełnienia go potrzeba będzie przeszło stu tysięcy metrów sześciennych gazu.

Kilka tych liczb może dać pojęcie o olbrzymich rozmiarach tego statku powietrznego. A rozmiary te nie są bynajmniej skutkiem chęci prześcignięcia wszystkiego, co już zdziałano w tym kierunku, lecz wynikiem obliczeń, które wykazały, że statki średnich rozmiarów o pojemności 60 do 70 tysięcy metr. sześć. gazu, nie opłacały się handlowo, mogłyby więc tylko zdyskredytować całą sprawę.

Oczywiście, że dla manewrowania takim kolosem w powietrzu potrzeba nie lada siły, to też pierwszy ten sterowiec pocztowo-osobowy rozporządzać będzie pięciu silnikami 800-konnemi, umieszczonemi w różnych jego punktach. Ogółem więc — siłą 4,000 koni parowych t. j. taką, jakiej potrzebuje towarowy parowiec morski o 10,000 ton pojemności.

Załogę jego normalną stanowić ma 50 osób. Po odliczeniu zaś jej wagi, jak również wagi opału, smarów i innych materjałów technicznych, posiadać będzie jeszcze sterowiec do rozporządzenia wagę użytkową 50,000 kilogramów, co pozwoli mu zabrać łatwo w przestwór stu podróżnych z bagażem, tudzież pocztę i pewną ilość towarów. A że, jak obliczają, wystarczy mu 50 do 60 godzin na przelecenie nad oceanem, nie brak mu więc będzie z pewnością dobrze płatnej klijenteli, potrzebującej szybkiej komunikacji pomiędzy Starym a Nowym lądem, gdyby wypadł pomyślnie pierwszy jego zapowiedziany na koniec czerwca r. b. przelot z lotniska Tempelhoff pod Berlinem, dokąd przelecieć ma z warsztatów w Friedrichshaven, do Chicago, gdzie budowana jest przystań dla tych statków.

Amerykanie wszakże nie wątpią, że postępy wiedzy muszą zapewnić człowiekowi zwycięstwo nad materją, to też już 6 marca r. b. wiceadmirał Moffet, szef amerykańskiego biura aeronautycznego, nie wahał się rozgłosić światu sposobem nowoczesnym, mianowicie przez radiotelefon, że „Z. R. I." odbędzie jeszcze w r. b. „wycieczki" do bieguna północnego, południowego i dokoła świata, w charakterze herolda, zwiastującego ludziom nowy sposób komunikacji szlakami powietrznemi.

Bodajby sprawdziły się te przewidywania. Bądź co bądź jednak dojdziemy do celu, działając w myśl pięknego hasła lotników angielskich: *Per ardua ad astra*, które przytoczyłem na początku tego artykułu.

Tak. Tylko przez trud, ciężki i uporczywy, sięgniemy gwiazd.

Stefan Barszczewski.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 28)

— A głównie, że Urga jest teraz sercem Mongolji... Tam zobaczę mongolską artylerję i piechotę, której dotychczas nie mieliśmy... i radjotelegraf, którym przez powietrze rozmawiać można o tysiące mil... Wszystko to urządził Dzian-Dziuń Ugron!.. Niech mu będzie chwała do końca życia na ziemi i święte wcielenie po śmierci!.. Wszystko zobaczymy, Tasziur... Ale teraz czegóż chcesz ode mnie!

— Ge-ril-tu Chanum wzywa cię a zarazem chciałam cię uprzedzić, że zaraz zaczniemy zwijać twój namiot...

— A gdzie są Korczaki?..

— Nie wiem. Odeszli gdzieś razem z Maciejem... Ale Ge-ril-tu Chanum kazała ich mieć na oku, więc pewnie sługi wiedzą, gdzie oni są!..

— Mniejsza o to; trzeba ich zawiadomić, że namiot zwijamy, że jutro odkoczujemy, że spać będą nie w jurcie, lecz pod małem płótnem... żeby swoje rzeczy tam przenieśli!

— To już ty im wytłumaczysz. Nikt z nas tego nie zrobi; za mało jeszcze umieją po mongolsku... ale najpierw chodź do Geriltu... kazała ci zaraz przyjść!..

Stawka gotowała się istotnie do koczowania; jurty rozbierano i ładowano na wielkie dwukołowe „arby", na których również ustawiano skrzynie i wozy z rzeczami, drewniane naczynia i metalowe kotły. Wrzał ruch, latały z krzykiem dzieci i szczekały psy w radosnem podnieceniu, a zdala z doliny sunęły już ku stawce stada, pomimo że słońce stało jeszcze dość wysoko na horyzoncie...

— Jutro o świcie ruszamy. Ale Gu-nyn pojedzie przodem dziś jeszcze. Siadaj i pisz ode mnie list do księcia!.. — powiedziała Geriltu do Szag-dura, gdy ten wszedł do jej ogołoconego już ze sprzętów namiotu. Burjat ukląkł obok księżny przed małym stoliczkiem, na którym stała chińska porcelanowa tafelka z roztartym tuszem, wziął pendzelek, umoczył go i przysunął sobie bliżej skrawek papieru:

— Co mam pisać?..

— Pisz mu... — zaczęła z namysłem księżna... przedewszystkiem, że go polecam błogosławieństwu Dobrotliwego... jak zwykle, wszystko to co wiesz..., co się pisze w listach... Potem napisz mu, że po rozważeniu wszystkiego, co mi powiedział Gu-nyn, postanowiłam zbliżyć się do Urgi, aby być pod opieką świętego miasta oraz silną dłonią księcia mego i pana. Pisz mu, że chodzą rozmaite pogłoski, o których mu powiem osobiście... Również dlatego postanowiłam odkoczować stąd, że jak mi donieśli z Ononu [1]), tam pojawiła się zaraza na bydło, a również bandy czerwonych zbójów, więc chociaż pora jeszcze wczesna dla wyjścia z gór, lecz w obawie...

— Ależ to nieprawda!.. — zauważył Szag-dur, przestając pisać.

— Nie twoja rzecz!.. Co ty wiesz?!.. Pisz skoro ci mówią! Bydło rozdzieliłam na dwie części: większą, z którą Dur-szim-bel Chatun odejdzie ku Muka-tu na południe a ja z mniejszą idę ku świętemu miejscu i zatrzymam się niedaleko miasta w górach na północy, gdzie znajdę dobre pastwiska... Poza tem pisz mu... — dyktowała Geril-tu, ciągnąc poważnie dym ze swej srebrnej fajeczki.

Szag-dur kręcił głową i kiwał nią powątpiewająco, lecz pisał posłusznie, popędzany spojrzeniem stanowczem błyszczących oczu księżny oraz chmurnem zmarszczeniem jej pańskich brwi. Skończył w sam czas, kiedy zaczęto z drewnianego skieletu jurty odwiązywać płaty pokrywającego ją wojłoku.

Większość mieszkańców „stawki" szykowała się do spędzenia nocy przy ogniskach, której przedtem ukryte wewnątrz jurt, teraz po ich rozebraniu, rozbłysły licznemi gwiazdami wśród mrowia spędzonych razem stad. Gwar, śmiech, pieśni, okrzyki kobiet, dojących krowy, nawoływania pastuchów, ujadanie psów, wrzawa głosów bawiących się dzieci i młodzieży ogromnie ożywiły krajobraz. Hania, Władek i nawet Maciej przyglądali się ciekawie powszechnemu ruchowi i nie szli spać, chociaż dla nich, jako gości, urządzono narówni z księżną „małe płótno" to jest namiot dwuskrzydły z niebieskiego taniego nankinu, tuż niedaleko od szeregów przygotowanych do wyruszenia nazajutrz „arb". Szag-dura nie było; z polecenia księżny przyjmował raporty od pastuchów, odbierał od nich drewniane „birti" z nacięciami, wykazującemi ilość bydła oraz zapisywał ich sprawozdania na skrawku papieru. Czirin Senge towarzyszył mu, pilnie przysłuchując się odpowiedziom i wstawiając swoje poprawki. Tu-sziur również była zajęta pakowaniem i układaniem na wozy resztek rzeczy. Polacy poczuli się zupełnie obcy i osamotnieni w tym wirze powszechnego ruchu i ożywienia.

— Żeby tak się włóczyć całe życie jak cygan!.. Zdechnąć można!.. — zauważył Maciek. I co to za porządek: onegdaj cap wpadł do naszej jurty i położył się mi na głowie, kiedym spał... Nie mogłem go zrzucić, omałom się nie udusił... Wczoraj krowy, czochając się, obaliły część siatki... A smród taki nocami, kiedy te owce, krowy i wielbłądy układą się dookoła namiotu, że wytrzymać nie można... Pchły skaczą po człowieku duże jak konie... To z tych bydląt... Wyjść w nocy za próg — Boże uchowaj!.. Zaraz psy rzucają się a złe jak wilki... A i krowa jak z małem cielęciem zaraz rogami grozi... Nie podchodź!.. Tfu, takie życie!.. Lubię i ja bydło... dlaczego nie!.. ale jakieś ludzkie a nie takie... niewiadomo jakie!..

— Cicho, cicho, Macieju!.. Skończy się niedługo, słyszałeś: jedziemy do miasta!.. — pocieszała go Hanka.

— Już ja, panienko, w to ich miasto niebardzo wierzę... Pewnie takie samo jak to ich bydło!.. Jedno mnie raduje, co mówił *Szag-dura*, że tam są nasi żołnierze... Choć wyznaję, że mi się już nie chce żadnym narodom służyć!..

— Jak nie będziem chcieli, to nikt nas nie zmusi. Ale co tam zawczasu zgadywać!.. Choćmy lepiej spać, bo jutro powiadają w drogę przed świtem!..— wmieszał się Władek.

Wpełzli pod zwisające ze szczytowego drążka płaty nankinu i ułożyli się na rozpostartym tam wojłoku. Usnąć jednak długo nie mogli, budzeni gwarem bardzo powoli ucichającego obozu.

Obudził ich skrzyp wozów. Ciemna gwiaździsta noc patrzała w trójkąt płóciennego wylotu. Mimo to skrzyp, który rozbrzmiał w jednym końcu stawki, powtórzył się natychmiast w drugim, i do niego niezadługo dołączył się trzeci, czwarty... Skrzypy to były urywane, widocznie szykowano wozy i zaprzęgano do nich woły, ale brzmiały one coraz liczniej, w różnych końcach, przechodząc stopniowo całą linję stawki, aż z tego przerywanego różańca dźwięków oddzielił się skrzyp głośniejszy, wielogłosy, ciągły i zaczął się oddalać, cichnąc stopniowo.. Odchodziła widocznie pierwsza partja „arb".

Maciek, który obudził się pierwszy, wypełzł z namiotu, usiadł i ciekawie śledził ciemniejsze od nocy sylwetki wozów, ludzi, koni, migających niewyraźnie w mrocznem powietrzu, ledwie rozświetlonem blaskiem gwiazd. Tu i tam na ziemi z poza garbów śpiących pokotem bydląt, słabo biła koralowa łuna dawno przygasłych ognisk. Ludzie z rzadka zamieniali krótkie okrzyki, zwierzęta stękały, sapały, wzdychały... Coraz od obozowiska oddzielały się długie czarne sznury taborów i uchodziły w pokryty nocą step, skrzypiąc wielkiemi tarczami zbitych z desek i obracających się wraz z osiami kół.

Wreszcie granat nieba zwolna zaczął przechodzić nad szczytami wschodnich gór w odcień siny, rozpuszczając blask niknących gwiazd. Siwa światłość przelewała się stamtąd przez wręby skał do doliny, spędzając wszędzie i łagodząc ciemności. Różowy blask cieniuchną niteczką wybłysnął na gzemsach przeciwległych jutrzence wiszarów. Coraz wyraźniej rysowały się na obszernej międzygórskiej równinie tabory wozów, sunące wolno dwoma rozbieżnemi szlakami. Nareszcie ruszyły ze stawki stada: ogromne gurty owiec, białych, jak mgły poranne, popłynęły z lewej strony karawany wozów, za niemi bydło rogate pilnowane i popędzane przez konnych czabanów. Stada koni, od których już wczoraj oddzielono przeznaczonych dla ludzi wierzchowców, wciąż jeszcze tkwiły ciemną, zwartą masą na majdanie. Nakoniec ruszyły i one, kierowane gwizdaniem i klaskaniem batów z tyłu przez koniuchów na prawo od linji taborów... Wszystko odbywało się w niezmiernym porządku, choć z wielkiem ożywieniem...

I ta radość sprawnego olbrzymiego ruchu udzielała się pozostającym na miejscu w oczekiwaniu swej kolei kobietom, dzieciom, starcom...

Karawany malały, zamieniały się w czarne kreski i punkciki, wreszcie nikły w bezkresnej pustyni.

Na majdanie pozostała jedynie kupka posiodłanych i powiązanych z sobą wierzchowców oraz parę „arb" lżejszych, lepszych, przeznaczonych dla starych kobiet i zupełnie małych dzieci.

Usadzono ich na wojłokach i pościelach, wyściełających twarde pudła niezgrabnych wozów a gdy ruszyli śladem oddalających się taborów, pozostali dosiedli koni.

— Tak na głodno! — mruczał Maciek. — To ci dopiero koczowanie!

— Nic takiego — wytrzymamy!.. Takie pewnie tu obyczaje. A pamiętasz jak niedawno nas pędzili piechotą i nic nie dawali cały dzień!— przypomniał mu Władek.

— To była niewola, a tu gościna! (*Dcn*)

[1]) Onon—dopływ Szyłki.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

7)

V.

Inżynjerowa nie wybrała sobie stosownego czasu, bo właśnie zapowiedzieli się rodzice Jakóba. Eugenja miała wprawdzie dać tylko trzy koncerta i na cały czas pobytu mieli wynajęte pokoje w hotelu, ale u inżynjera musieli być raz przynajmniej z wizytą.

A Leopoldyna wyglądała strasznie. Jak tłusty nieforemny potwór z ptasim dziobem. Nie można było nawet mieć nad nią litości, bo jej spiczasta szara twarz miała taki wyraz, jakby z samej złośliwości była taka brzydka. Siedziała jak jakaś przedpotopowa kura na olbrzymich jajach, a jej tępy wzrok zdawał się radośnie błyszczeć za każdym razem, kiedy się ktoś od niej ze wstrętem odwracał.

Ale Jakób się nie odwracał.

O, Jakób był prawdziwą perłą w tych ciężkich dla inżynjerowej czasach. Jeżeli go zagadnęła, to odpowiadał jej tak uprzejmie, jak gdyby nie miał nic do zarzucenia jej dziwnemu wyglądowi.

Tylko raz w drugim pokoju zauważył do majorowej:

— Jabym na jej miejscu nie nosił tego żółtego szlafroka. Wygląda w nim zanadto rozpaczliwie.

Majorowa była najzupełniej tego samego zdania.

— Tak — w czerwonym jej stanowczo lepiej do twarzy, ale próżno byłoby proponować jej coś weselszego; ona lubuje się w kolorach, które malują jej obecne usposobienie.

— A jakie jest jej usposobienie? — dowiadywał się chciwie Jakób, który chciał dokładnie wszystko wiedzieć, co dotyczyło zjawisk natury.

Ale Majorowa nie miała czasu.

— Leopoldyna — ma nudności — odpowiedziała sucho.

Jakób był dobrym chłopcem. Nikt nie miał czasu w domu — przedewszystkiem inżynjer, który z obawy przed „urzędem" spędzał nawet poobiednie godziny w biurze. Ale Jakób czekał cierpliwie na rozkazy Leopoldyny, która, nie mogąc już sama wychodzić, często go posyłała do miasta.

Jakób przypatrywał się jej z naukowem zaciekawieniem.

— Czy można już teraz wnioskować z rozmaitych symptomów, czy będzie chłopiec czy dziewczyna? — pytał całkiem niewinnie.

Nieoczekiwanie Leopoldyna się oburzyła.

— Co za chłopiec? co za dziewczyna? — złościła się tak, że aż łzy miała w oczach.

Mimo to Jakób spełniał dalej sumiennie rolę Samarytanina. Ale jeżeli inżynjerowa wyraziła zdziwienie, że musi teraz zawsze myśleć o niedojrzałych śliwkach — Jakób znikał i zjawiał się potem naraz z niedojrzałemi śliwkami, zawiniętemi w gazetę.

Raz biegł tak przez ulicę jakoś przed wieczorem i usłyszał za sobą szczególne wołania.

— Jakóbie, Jakóbie! Czy to ty? Jakóbie!

Stanął i odwrócił się.

Dwoje elegancko ubranych ludzi, wzruszonych i bez tchu stało przed nim — jego rodzice.

Dał się najpierw przez nich całować i odpowiadał potem spokojnie i po kolei na ich pytania.

— Tak, to ja, Jakób — idę po ogóreczki w musztardzie dla inżynjerowej.

Ale widocznie się ucieszył. Lolo śmiał się cały czas, że syn tak wyrósł i chciał go zaraz brać ze sobą.

— Chodź, pojedziemy razem do hotelu.

Ale Jakób obstawał przy ogórkach, musiał je najpierw kupić i zanieść na górę.

— My i tak musimy iść do inżynjera z wizytą — powiedziała Eugenja — czy on jest teraz w domu?

— Nie, tylko ona.

— Ach, prawda — rzekła Eugenja trochę rozczarowana.

Naraz przeszła jej ochota do tej wizyty.

— Nie mamy już czasu, prawda, Lolu?

Ale w końcu zdecydowali się przecie pójść zaraz.

Cały czteropiętrowy dom zawonili perfumami i wypełnili swym gwarem. Inżynjerowa przyjęła ich uprzejmie, ale śmiertelnie przerażona w duszy. Lolo rozpoczął zaraz nad wyraz grzeczną, ale chaotyczną rozmowę, w której dziękował pani domu za wszystko dobre, co wyświadczyła jego synowi i oświadczał co drugie słowo swą najgłębszą wdzięczność.

Podczas tego inżynjerowa przyglądała się uważnie Eugenji, od bucików aż do kapelusza, z tym pewnym zezem właściwym kobietom, jeżeli poddają egzaminowi toaletę przyjaciółki. Eugenja znowu lornetowała Jakóba, który się jej coraz więcej podobał.

Kiedy już w trójkę siedzieli w dorożce, powiedziała po angielsku:

— On jest podobny do tego pięknego Lorda, któregośmy poznali w Manchester.

— Znacznie ładniejszy — poprawił ją Lolo w tym samym języku — ale oprócz tego ma w sobie coś norweskiego.

— Ja jestem przecież Szwajcarem, — oświadczył Jakób ku ogólnemu zdziwieniu. Eugenja pocałowała go po raz piętnasty, tym razem za to, że umiał po angielsku. A Lolo powtórzył trochę zdziwiony:

— Szwajcarem?

Ale prędko się z tem pogodził. Wyciągnął dokumenta osobiste, które zawsze nosił ze sobą, przejrzał je i stwierdził:

— Tak, naturalnie — tak samo jak ja... i Eugenja.

— Eugenja przedewszystkiem — oświadczył Jakób, który matki nigdy inaczej nie nazywał.

A ona patrzyła cały czas na syna, musiała już znać miasto, bo ją jego widok nic nie obchodził.

Ale Lolo mówił do Jakóba:

— Jesteśmy tu zupełnie obcy, musisz nas oprowadzać.

— Dobrze, ale tylko po wschodniej stronie miasta, bo zachodniej jeszcze sam nie znam.

A przed hotelem stało kilku muzyków i dziennikarzy, którzy widocznie już długo czekali.

— Nareszcie pani przychodzi, nareszcie— wołali, a jeden z nich roztworzył ramiona przed Eugenją, jakby ją chciał uściskać.

Eugenja uśmiechała się prześlicznie.

— Sami dobrzy przyjaciele — mówiła żywo i ściskała ich za ręce.

— Znakomici, kochani... — dodawał Lolo.

Dwóch, albo trzech mówiło jednocześnie do Eugenji, tak, że nie wiedziała, któremu najpierw odpowiadać. Ale Lolo jej pomagał. Objął niejako kierunek nad całą rozmową i sam odpowiadał na wszystkie pytania.

Jakób nie zważał, że mówiono o sztuce, na której się nie znał, tylko pouczał ojca o rozkładzie miasta:

— Widzisz, to jest ulica Długa — popatrz, Lolu, tu stoi całkiem stary dom, zbudowany w r. 1830.

— Ślicznie — cieszył się Lolo.

Potem jedli razem w hotelu, a Jakób, który siedział koło Eugenji, zawijał aż mu się uszy trzęsły.

— Homara nie jadłem jeszcze nigdy u inżynjera — zauważył.

— Wyobrażam sobie — rzekła Eugenja, uśmiechając się z politowaniem.

— Ale głodny nie jestem nigdy.

— Tego jeszcze brakowało—rzekła krótko Eugenja. — Ta twoja „pani inżynjerowa" mogłaby trochę więcej uważać na siebie, strasznie jest zaniedbana.

Jakób przypomniał sobie miodowe miesiące Leopoldyny w lecie na wsi i zrobiło mu się jej żal.

— Ona ma jeszcze inny, czerwony szlafrok — bronił jej trochę lękliwie.

Jakób dostał potem francuskiego wina i po niejakim czasie powiedział z uczuciem:

— Musicie tu długo zostać.

— Do czwartku, duszko. Śpiewam dziś i pojutrze.

— Jeden dzień masz wolny?

— Tak, jutro chciałabym pojechać do St. Paul.

— Co to jest?

— Mała miejscowość w górach niedaleko stąd. Tam mieszka Hermina, moja najlepsza przyjaciółka. Ciebie chciałabym zabrać ze sobą.

— Wasze miasto jest prześliczne—mówił Lolo do jednego pana, który z nimi siedział przy stole — co za przepyszne stare budynki...

— Kiedy je oglądałeś? — dziwił się Jakób.

Ale Lolo w zapale nie dosłyszał pytania.

— Pasjami lubię stare domy — zapewniał — dlatego mieszkam w tym hotelu. Zaraz obok stoi tu taki cudowny złoty dom zbudowany w r. 1730.

— W 1830 — poprawił go Jakób.

— Ty dużo wiesz, mój synu — zauważyła Eugenja — ale tę krawatkę, to ci z pewnością kupiła inżynjerowa. Jest trochę za zielona. Czy może znasz i tych panów po nazwisku, którzy siedzą przy naszym stole?

— Nie — odpowiedział Jakób — właśnie chciałem cię o to zapytać. Ale czy być może? Ty także nie wiesz?

— Ciszej, Jakóbie!

— Przecież się bardzo cieszyłaś, gdy się z tobą witali...?

(*Dcn*)

PODPISANIE TRAKTATU POLSKO-TURECK. W LOZANNIE.

Ismet Pasza, minister spraw zagranicznych w Turcji, przewodniczący delegacji tureckiej w Lozannie i Dr. Jan Modzelewski, poseł polski w Bernie, przewodniczący delegacji polskiej na konferencji Lozańskiej.

JAN TOMCSÁNYI.

Bawi obecnie w Warszawie p. Jan Tomcsányi z Budapesztu, szczery przyjaciel Polaków, który oddawna zajmuje się sprawami polskiemi. Jeszcze przed wojną w latach 1911 — 1912 zwiedzał Polskę, o której potem wygłosił wiele odczytów. Podczas wojny dużo pisał o potrzebie wielkiej niepodległej Polski i niejednokrotnie zabierał głos w prasie węgierskiej w sprawie śląskiej, wykazując słuszność żądań polskich.

Przetłumaczył na język węgierski kilka powieści polskich, między innemi „Byli i będą" i „Dewajtis" Rodziewiczówny. Obecnie pracuje nad nowemi przekładami.

Jan Tomcsányi.

ZE SPORTU.

Fot W. Rokosz

Start 6-o godzinnego wyścigu cyklistów na Dynasach.

Zwycięzca wyścigu 6-o godzinnego St. Gronczewski podczas masażu po ukończonym wyścigu.

Ś. P. JÓZEF KARPOWICZ.

Nieubłagane żniwo śmierci, w okresie powojennym wciąż zabiera najlepsze jednostki. Jest to tem dotkliwsza strata, że przy budowie podwalin nowego życia w odzyskanem po stu latach niewoli państwie potrzebni są ludzie czynu, doświadczenia i wiedzy. Do takich należał zmarły w dniu 6 maja r. b. ś. p. Józef Karpowicz, wybitny finansista, dzielny i zacny obywatel kraju. Dominującym rysem charakteru jego była pracowitość. Czy to w Rosji, czy to w kraju, czy pod zaborem rosyjskim, czy w jarzmie bolszewickiem, czy podczas okupacji niemieckiej, czy wreszcie w Wolnej Niepodległej Polsce nie ustawał nigdy w pracy. W tak znamiennych i różnorodnych warunkach różne być musiały metody i drogi pracy i postępowania. Pracował jednak zawsze z jedną myślą, dla jednego celu—dla dobra umiłowanej Ojczyzny.

W zaraniu swej młodości, po ukończeniu nauk i studjów handlowo-ekonomicznych osiada na roli, lecz jednocześnie żywo interesuje się życiem społeczno-ekonomicznem najbliższej okolicy — ziemi Grodzieńskiej i czas wolny poświęca pracy na tem polu. Później w roku 1885 przy otwarciu Oddziału Banku Państwa w Białymstoku zostaję członkiem Komitetu Dyskontowego i od tej chwili rozpoczyna się okres jego pracy w bankowości. Przechodząc kolejno różne szczeble, poznaje coraz dokładniej potrzeby gospodarcze kraju, co da mu możność później stać się pionjerem rozwoju różnych gałęzi przemysłu. Od tej chwili widzimy go wszędzie, już to jako czynnego członka prac organizacyjnych w dziedzinie społeczno-ekonomicznej, już to jako kierownika poważnych instytucyj finansowych. W roku 1892 organizuje w Białymstoku Oddział Prywatnego Banku Handlowego w Wilnie, później w roku 1897 tworzy Handlowy Bank w Białymstoku. Jednocześnie pod firmą Karpowicz i S-ka otwiera w Białymstoku pierwszą ziemiańską spółkę mleczarską, zakłada wraz z innymi ziemianami w r. 1899 Syndykat Rolniczy w Grodnie, bierze współudział jako delegat Ziemi Grodzieńskiej w opracowaniu statutu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na 9 gubernij litewskich, a jednocześnie jako radny i prezes Komisji Finansowej Zarządu miasta przyczynia się na tem stanowisku do uzdrowienia i uregulowania finansów miejskich. W roku 1902 obejmuje w Petersburgu stanowisko Inspektora w Ruskim Banku dla Handlu Zewnętrznego. Już w następnym roku widzimy go w Odesie, a później w Chersoniu na czele Oddziałów tego Banku, organizującego wielki handel zbożem z Ukrainy. Wkrótce jednak tęsknota do kraju skłania go do objęcia kierownictwa Oddziału Wołżańsko-Kamskiego Banku Handlowego w Łodzi, a od r. 1910 w Warszawie. Jednocześnie jest członkiem Komitetu Giełdowego w Łodzi, od r. 1906 prezesem Rady Handlowo-Przemysłowego Tow. Wzajemnego Kredytu w Warszawie. Dzięki swym wpływom i stosunkom w Petersburgu oddaje bezpośrednio lub pośrednio duże przysługi krajowi. W następstwie wojny ewakuowany z Bankiem Wołżańsko-Kamskim do Moskwy, bierze tam czynny udział w życiu ekonomiczno-społecznem Kolonji Polskiej. Lecz gdy powrót do kraju staje się możliwy, jest znowu w Warszawie i w roku 1918 otrzymuje stanowisko dyrektora Urzędu Pożyczek Państwowych i Skarbu Narodowego, a w roku 1920 członka zarządu i dyrektora Banku Małopolskiego w Warszawie.

W tym ostatnim okresie swego życia ś. p. Józef Karpowicz, nie szczędząc sił i zdrowia, poświęcił całą swą wiedzę i nabyte przez pracowite lata dotychczasowej działalności, doświadczenie dla dobra Ojczyzny. Cały szereg poważnych instytucyj starych i nowoutworzonych korzysta z jego światłej rady i wybiera na członka lub prezesa zarządów i rad nadzorczych.

Ś. p. Józef Karpowicz nie zrażał się żadnemi przeciwnościami — przeciwnie, zwalczał wszelkie trudności—one zachęcały go do dalszej wytrwałej pracy — miał silną wiarę w lepsze jutro.

Niepełne byłoby to wspomnienie, gdyby nie zwrócić uwagi na jeden jeszcze obok pracowitości dominujący rys charakteru Ś. p. Józef Karpowicz był człowiekiem uczynnym i dobrym, a przedewszystkiem miał wielkie zrozumienie i poczucie potrzeb społecznych, dążenie ulżenia biedzie i nędzy, szerzenia oświaty, utrwalania ładu społecznego. Jako umysł wybitnie ścisły, pragnął jednak zawsze akcję w tym kierunku oprzeć na trwałych podstawach. W części urzeczywistnia to w pracach Komitetu Fundacji Ojca Św. Piusa XI dla polskich inwalidów, a pod sam koniec życia organizuje Komitet Podniesienia Kultury Polskiej o szerokim zakresie działania.

Wyczerpujące prace a często i troska przedwcześnie zużyły siły i zdrowie.

Padł na posterunku, zostawiając piękne dziedzictwo czynów i myśli.

Umarł, gdy mógł jeszcze z dużym pożytkiem pracować dla dobra Ojczyzny. Cześć Jego zacnej pamięci. *W.*

Złożone przez p Witolda Moritza Dyr. B-ku Zw. Ziemian pieniądze (miljon mk.) do uznania red. Tyg. Illustr., celem uczczenia ś. p. Józefa Karpowicza, przesłaliśmy Ak. Br. Pom. w Warszawie (500 tys. mrk.) oraz Związkowi Inwalidów (500 tys. mrk.).

Z cyklu „Handel i przemysł poznański".

Poznańska Fabryka Automobilów.

Fot. Marjan Fuks.

Hala konstrukcyjna.

Jeżeli przemysł nasz krajowy szybkiemi krokami postępuje naprzód, to największe bodaj zasługi położyła tu Wielkopolska. Tam bowiem przy najlepszem zagospodarowaniu najwięcej jest ludzi energji i pracy, „businessman'ów", którzy każdą pracę wyzyskują umiejętnie i celowo, z pożytkiem jednej gałęzi przemysłu dla drugiej. Często też parę przedsiębiorstw łączy się w jedno, tam, gdzie można z tego wyciągnąć korzyść dla przemysłu rodzimego i podnieść w ten sposób poziom produkcji.

W ostatnich czasach właśnie nastąpiło takie połączenie dwóch przedsiębiorstw — Poznańskiej Fabryki Automobilów i Górnośląskiego Tow. Naftowego.

Ponieważ oba te wymienione towarzystwa należą do najpoważniejszych w Polsce, przeto, interesując się żywo rozwojem przemysłowym naszego kraju, pozwoliliśmy sobie zwrócić się po informacje do jednego z kierowników Poznańskiej Fabryki Automobilów. Założycielem tej fabryki jest p. Walery Hempowicz, młody, 33-letni człowiek, rzutki, pełen energji i zapału. Po ukończeniu wydziału inżynjerji elektrotechnicznej w Stuttgardzie, powrócił do kraju, aby służyć przemysłowi rodzimemu.

Wydzierżawił w tym celu plac Prezydenta Drwęskiego w Poznaniu i założył tam warsztaty reparacyjne, zajmując 20—30 ludzi. Znajomość rzeczy, energja, uczciwa i szybka obsługa dały impuls do dalszego rozwoju przedsiębiorstwa. Wybudowano więc garaż samochodowy z 10-ma boxami, który rozwinął się tak szybko, że w przeciągu roku powiększono go do 40 boxów, planując dalszą budowę.

W międzyczasie wybudowano halę konstrukcyjną, jedną z największych w Poznaniu, w której może pracować do 100 monterów.

Inż. Walenty Władysław Hempowicz, założyciel i kierownik techniczny Poznańskiej Fabryki Automobilów.

— Jaka jest główna specjalność Pozn. Fabryki Automobilów? — zapytaliśmy p. inż. Hempowicza.

— Staramy się obsłużyć wszystkie potrzeby rozwoju automobilnictwa w Polsce i dlatego musimy być wszechstronni — odparł p. inż. Hempowicz. — A więc: wyrabiamy wszelkie części do samochodów wszystkich marek krajowych i zagranicznych. W tym celu założyliśmy obszerne warsztaty ślusarskie, mechaniczne, kuźnie, gdzie te części się wyrabiają i posiadamy obficie zaopatrzone magazyny. Warsztaty te obecnie zatrudniają 100 ludzi. Wykonywamy także generalne remonty samochodów wszystkich systemów bez wyjątku i zajmujemy się garażowaniem.

— Słyszeliśmy jednak, że firma zajmuje się także poza tem budową karoserji?

— Tak jest, to także jedna z naszych głównych specjalności. Była to gałąź przemysłu bardzo w naszym kraju zaniedbana. Postanowiliśmy ją podnieść i obecnie wyrabiamy karoserję od najskromniejszej do najbardziej luksusowych, aby zadowolić potrzebę każdego odbiorcy.

— Podobno z materjałów wyłącznie krajowych?

— To nasza zasada, od której nie odstępujemy nigdy, choć nieraz drogo nas to kosztuje. Niedawno zrobiliśmy ciekawy eksperyment wyrobu samochodów krajowych w Polsce z materjałów wyłącznie naszych. Skonstruowaliśmy typ samochodów pod marką PFA, wykonany w specjalnie utworzonych na ten cel warsztatach naszych w Gdańsku. Samochody okazały się doskonałe i zupełnie zadawalające wymagania sportsmenów, niestety jednak, wobec szalonej zmiany warunków celnych przywozowych i wywozowych, samochody nasze, mimo całkowicie polskiej produkcji, musiały być kilkakrotnie droższe od niemieckich. Wobec tego wyrobu ich trzeba było zaprzestać i sprzedać wszystko zagranicę. Obecnie zajmujemy się więc tylko handlem automobilami innych marek. W tym dziale firmie naszej udało się uzyskać jeneralne przedstawicielstwo na Poznańskie, Pomorze i Śląsk jednej z najpoważniejszych firm Czechosłowackich, mianowicie Laurens et Clément. Przy ul. Gwarnej 12 w Poznaniu posiadamy własny salon samochodowy z obszernym magazynem i wielkiemi oknami wystawowemi, gdzie odbywa się sprzedaż. Tamże mieszczą się i biura handlowe, biuro zaś techniczne znajduje się przy fabryce.

— A więc fabryka rozwija się pomyślnie i ma licznych odbiorców?

— Rozwój posuwał się tak szybko, że powodzenie to zmusiło nas do stworzenia Tow. Akcyjnego. W tym celu połączyła się firma dawna z jedną z najlepszych firm kraju—*Górnośląskiem Towarzystwem Naftowem.* W połączeniu tem stworzyliśmy towarzystwo pod firmą: *Poznańska fabryka Automobilów i Górnośląskie Towarzystwo Naftowe, S-ka Akc. w Poznaniu.* Finansowaniem zajął się Bank Przemysłowców w Poznaniu i jego filja w Katowicach, założycielem jest Górnośląskie Towarzystwo Naftowe. Zarząd stanowią: jen. dyrektor obydwóch połączonych firm inż. Alfons Kobyliński, ja zaś objąłem kierownictwo techniczne działu automobilowego.

— Czy połączenie tych dwóch przedsiębiorstw jest dla rozwoju fabryki korzystne?

— Z połączenia tego dział automobilowy odnosi kolosalne korzyści, zyskując przedewszystkiem na doskonałej benzynie, którą otrzymuje z pierwszej ręki od Górn. Tow. Naftowego, jako właściciela najlepszej benzyny, oliwy i smarów zapędowych. Jest to oczywiście wielki plus dla naszej fabryki.

— Obecnie połączone firmy budują na pl. Prez. Drwęskiego w Poznaniu kolosalnych rozmiarów najnowszej konstrukcji cysterny podziemne dla benzyny i tłuszczów.

Opuściliśmy fabrykę z tem przyjemnem przeświadczeniem, że ruch w naszym przemyśle wielkopolskim nie jest fikcją i że połączenie przedsiębiorstw, opartych na solidnej produkcji i pracy, może przynieść naprawdę wydatne rezultaty w przemyśle rodzimym.

POZNAŃSKA FABRYKA AUTOMOBILÓW.

Garaż wschodni.

Garaż zachodni.

Warsztaty.

Fragment hali konstrukcyjnej.

Część warsztatów reparacyjnych.

Widok ogólny fabryki „Kabel Polski" Tow. Akc. w Bydgoszczy.

PIERWSZE POLSKIE KABLE.

(Z cyklu: „Bydgosko-pomorski przemysł i handel").

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Cały i ważny proces elektryfikacji Polski drogą uzyskania tanich sił wodnych opóźniał się u nas wciąż z powodu braku dostatecznej ilości oraz drożyzny przewodników do elektryczności, które musieliśmy sprowadzać z zagranicy, a głównie z wrogich Niemiec.

W tym kierunku potężny wyłom zrobiło powstanie w Bydgoszczy wspaniałej wprost fabryki, postawionej kosztem z górą miljarda mkp. pod firmą:

„KABEL POLSKI"
Tow. Akc. w Bydgoszczy.

Zakłady te budowane z wielkim trudem lat przeszło 2 poświęcono w dniu 4 czerwca r. b. Przedsiębiorstwo sfinansował głównie Bank Spółek Zarobkowych i pod koniec Tow. Akc. „Siła i Światło" które też posiada jeneralną reprezentację produkcji „Kabla Polskiego".

Dzięki uprzejmości naczelnego dyrektora Towarzystwa p. inż. Wdziękońskiego piszący te słowa miał możność zwiedzić dokładnie w tych dniach ten wielki warsztat pracy, którego powstanie na peryferji właśnie Bydgoszczy świadczy jeszcze raz dowodnie, jak ważnem środowiskiem przemysłowem jest to miasto.

A oto wrażenia, zebrane podczas tej niezwykle zajmującej przechadzki.

Wspaniałe widne hale, jasno bielone i doskonale oświetlone od góry, stanowią niezwykle higjeniczne środowisko pracy dla zajętego tam personelu.

Budynki, zajmujące ogółem przestrzeni zabudowanej 6000 metrów kwadratowych, tworzą jako całość istotnie imponujący kompleks, którego prawdziwą ozdobą jest efektownie pod względem architektonicznym pomyślana wieża ciśnień.

Fabryka posiada też własną elektrownię. Ogólny obszar, będący własnością fabryki, wynosi 17 hektarów przestrzeni, skutkiem czego fabryka w miarę rozwoju może się w przyszłości dowolnie rozszerzyć na rozległej przestrzeni pomiędzy szosą fordońską a lewym brzegiem Brdy.

Warte podkreślenia, iż „Kabel Polski" rozporządza własną bocznicą kolejową, ponadto ma do dyspozycji tuż obok położoną szosę fordońską oraz doskonałą komunikację wodną. Świadczy to, że teren został wybrany przez inicjatorów wprost idealnie.

„Kabel Polski" jest naprawdę pierwszą na punkcie swej produkcji placówką przemysłową, pomyślaną w wielkim stylu i mającą nas choć w części uniezależnić od Niemiec, gdy chodzi o wytwórczość przewodników elektrycznych. Wyrabia też je od najcieńszych do takich, których przekrój wynosi 120 mm. t. j. prawdziwych już „kabli".

Produkcja sama odbywa się w trzech ogromnych halach.

W pierwszej pomieszczono t. zw. „ciągarki" t. j. maszyny, które ciągną drut. W hali tej ogląda się poza tem imponujących rozmiarów dwa prawdziwe kolosy. Pierwszym z nich to „prasa" ołowiowa t. j. maszyna, otaczająca szczelnie przewodnik ołowiem. Imponujący ten kolos przedstawia dziś wartość 2 miljardów.

Równy cel podziwu dla zwiedzającego stanowi pomieszczony w tej samej hali drugi kolos żelazny, którym jest olbrzymia „suszarnia—vacuum". Olbrzymie talerze żelazne, ruchomo się wysuwające z jej wnętrza, przypominają macki legendowego olbrzyma—owada, którym niańki straszyły dzieci. Dziś macki te straszne są naprawdę dla Niemców, bo pomagają do produkcji artykułu, którym oni właśnie zalewali nasz kraj za nasze ciężkie pieniądze.

Przejdziemy z kolei do drugiej środkowej hali. Tu pracuje sprawnie cały legjon t. zw. „oplatarek". Ustawione jedna obok drugiej w liczbie, wynoszącej z górą dwie setki, tworzą one jakby karne kohorty, doglądane przez skromną stosunkowo ilość robotnic — nadzorczyń. Precyzyjnie

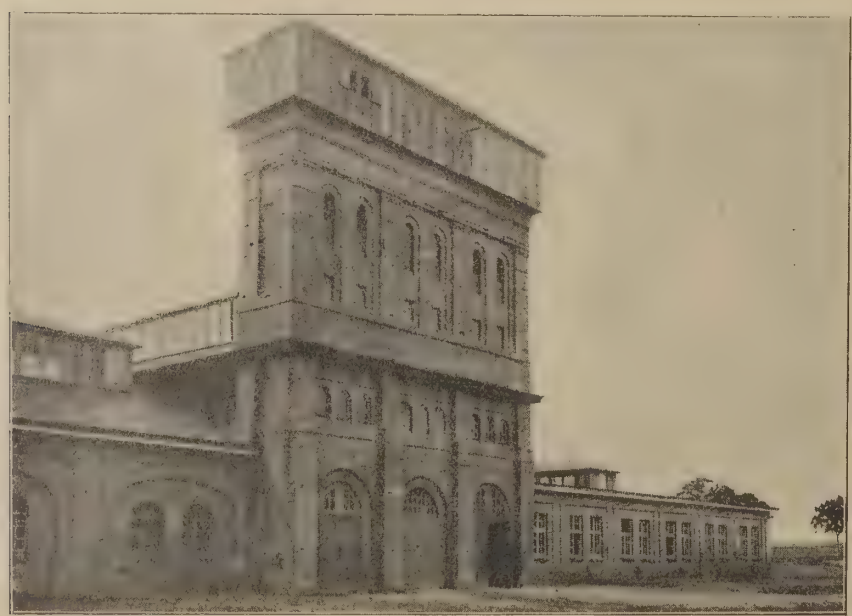

Efektowna wieża ciśnień fabryki „Kabel Polski".

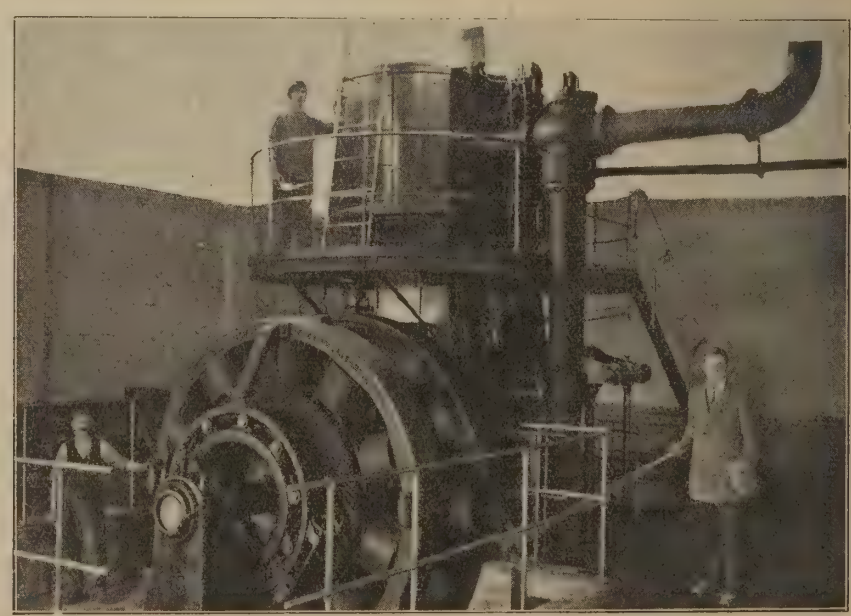

Dynamomaszyna własnej elektrowni.

Część „oddziału gumowego" fabr. „Kabel Polski".

zbudowane, niby przyrządy zegarowe, „oplatarki" te odziewają drut we właściwą izolację z różnego materjału stosownie do celu przeznaczenia, a więc z papieru specjalnego, o ile chodzi o „druty telefoniczne", albo też z juty, bawełny, lub tasiemki. Niektóre z tych przewodników otrzymują na samym końcu jeszcze płaszcz z ołowiu, inne tylko z gumy.

W tych warunkach proces produkcji przewodnika rozpada się na kilka głównych faz. Są niemi ciągnienie drutu, następnie cynowanie go, potem ewentualnie skręcenie z kilku w jeden, z kolei oplatanie i izolacja gumowa, impregnowanie i t. p. Niepodobna wyliczyć ściśle wszystkich kombinacyj w wyliczonych tu fazach. Przy pewnych przewodnikach np., które się oplata bawełną, cynowanie jest niepotrzebne, przy innych zaś gumowanie zastąpione jest izolacją papierową i płaszczem z ołowiu i t. d. W pewnych wypadkach znów przed ogumowaniem druty, już oplecione zostają skręcone z kilku w jedną żyłę. Nad wszystkiem tem czuwa bacznie oko inż. Bernaczka, który jest kierownikiem fabryki.

Równie ciekawa jest hala trzecia, która mieści specjalny oddział fabrykacji potrzebnych gatunków gumy.

Praca w poszczególnych oddziałach odbywa się jeszcze tymczasem pod okiem fachowców, specjalnie sprowadzonych z najpoważniejszych firm zagranicznych tej branży, a to dla wyszkolenia miejscowego personelu.

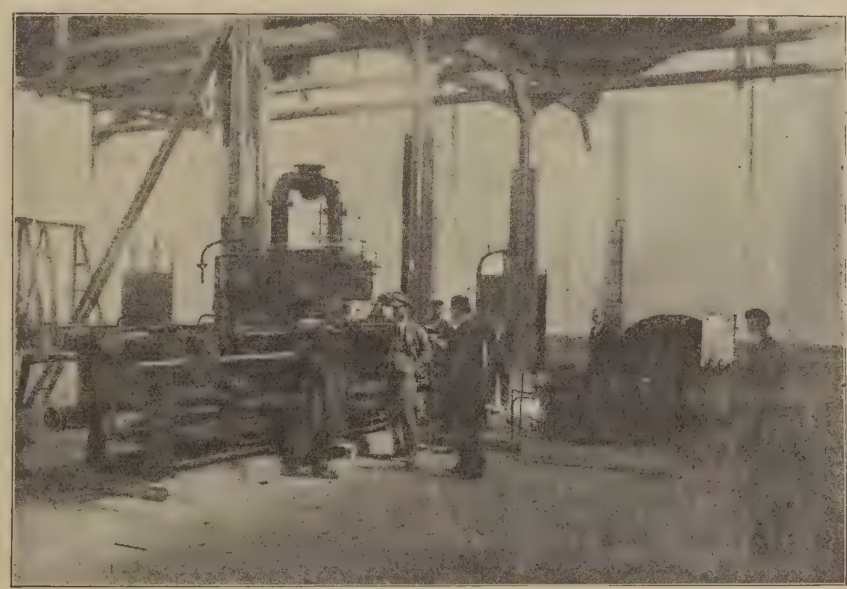

Prasa „ołowiowa" pokrywa kabel płaszczem ołowiowym.

Na produkcję „Kabla Polskiego" czekają dziś bardzo niecierpliwie przedewszystkiem nasze władze wojskowe, potrzebujące jej już w ilości, sięgającej wielu tysięcy kilometrów.

Równie tęsknie czeka na nią i Polska cała, która, rozporządzając produkcją „Kabla Polskiego", może nareszcie pomyśleć o szerszej akcji elektryfikacji kraju, dzięki czemu przez wyzyskanie sił wodnych możemy zapewnić naszemu przemysłowi o wiele tańsze i bardziej dogodne źródło siły niż kosztowny węgiel.

To też wdzięczność należy mieć dla inicjatorów fabryki oraz tych wszystkich, którzy do ostatecznego zrealizowania tej idei dopomogli. Banki i instytucje, które sfinansowanie tej placówki zrealizowały, zasłużyły się dobrze strukturze gospodarczej kraju a obecny dyrektor „Kabla Polskiego" p. inż. Wdziękoński daje pełną rękojmię, iż „Kabel Polski" spełni w całej rozciągłości te nadzieje, jakie całe społeczeństwo do tej nowej imponującej placówki przemysłowej przywiązuje.

Osobno podkreślić warto, iż imponujący ten warsztat przemysłowy, który swą produkcją ma nas w wielkiej mierze uniezależnić od zagranicy, został uruchomiony jedynie dzięki kapitałowi polskiemu.

Em—win.

„Suszarnia — vacuum" Tow. Akc. „Kabel Polski" w Bydgoszczy.

Oddział „oplatarek" Tow. Akc. „Kabel Polski" w Bydgoszczy.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8.

ZARZĄD GŁÓWNY, ORAZ DZIAŁY: WYDAWNICZY I KOMISOWO-HURTOWY w WARSZAWIE, ZGODA N-r 12. KONTO POCZ. KASY OSZCZĘD. 100.

№ 33. D. 11-VIII-1923.

KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT MUZYCZNYCH
GEBETHNER i WOLFF

SKLEPY: WARSZAWA, I-y KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 15. II-gi ul. SIENKIEWICZA 9. KRAKÓW, RYNEK 23. LUBLIN, KRAK.-PRZEDM. 31 ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 87. POZNAŃ, RATAJCZAKA 36 WILNO, MICKIEWICZA 6. ZAKOPANE.

Kasa im. Mianowskiego cenę wszystkich wydawnictw swoich, za wyjątkiem: Nauki Polskiej T. IV i Goursat E. Kurs analizy — podniosła o 50%.

Polecają nowości z ostatniego tygodnia: Mkp.

Heyse P. L'Arrabbiata. Nowele włoskie. Przełożył F. Mirandola . . . 126000
Rodziewiczówna M. Był i będą. Powieść z niedawnej przeszłości 72000
+*Sienkiewicz H. Listy z Afryki. Wyd. nowe . . . 54000
Steuert L. dr. Zwierzę domowe w stanie zdrowia i choroby. Praktyczny podręcznik dla właścicieli i chodowców . . . 324000

Publications editées par le Bureau International du Travail.
Bulletin Oficiel. Vol. VII. № 18 . . . 1500
„ „ „ „ „ 19 . . . 1500
„ „ „ „ „ 20 . . . 1500
„ „ „ „ „ 21—22 . . . 1500
„ „ „ „ „ 23 . . . 1500
„ „ „ „ „ 24 . . . 1500
Informations Sociales Vol. VI № 7 . . . 2000
„ „ „ „ „ 8 . . . 2000
„ „ „ „ „ 9 . . . 2000
„ „ „ „ „ 10 . . . 2000
„ „ „ „ „ 11 . . . 2000
„ „ „ „ „ 12 . . . 2000
Revue internationale du Travail Vol. VII № 5 (mai 1923) . . . 7500

Publications editées par la Société des Nations: Fr. Szw.
Autriche. Progrès réalisés dans Reconstruction financière . . 2.50
Autriche. Quatrième Rapport du Commissaire général de la Societe des Nations a Vienne . . . 1.50
Conférence internationale sur les Formalités douanières . . . 1.50
Ordre du Jour de la quatrieme Session de l'Assemblée . . . 0.25
Commission Consultative du Trafic de l'opium:
Application de la partie II de la Convention de l'opium . . . 1.—
Exposé relatif a la fabrication de la morphine, d'autres dérivés de l'opium et de la cocaïne . . . 0,75
Proces-verbal de la troisieme session . . . 1.—
Preces-verbal de la quatriéme session . . . 7.—
Recueil des Traités et des engagements internationaux enregistrés par le Secretariat de la Societé des Nations. Volume XII. 1922. № 1, 2, 3 et 4 . . . 15 —
Résumé mensuel de Travaux de la Sociète des Nations. Vol. III. № 5 Mkp. 75

Posiadają na składzie:

Birnbaum Ed. Prof. O szacowaniu dóbr ziemskich. Z niem. przełoż. Włodz. Gałecki . . . 8000
Chmielowski A. ks. Historja biblijna starego testamentu dla szkół . . . 10000
— Kapłan i cnota czystości . . . 7500
— Kazania na niedziele i święta całego roku miane w kościele św. Krzyża (2 tomy) . . . tom I 30000
tom II 20000
— Kazania na uroczystości św. apostołów i ewangelistów miane w kościele N. Marji Panny w Łęczycy . . . 10000
— Kazania o dobrych uczynkach miane w kollegjacie Łowickiej 10000
— Kazania o rzeczach ostatecznych miane w kościele św. Krzyża w Warszawie . . . 10000
— Koferencje o cnotach teologicznych . . . 7500
— Konferencje o sprawie zbawienia miane w kościele N. Marji Panny w Łęczycy . . . 18000
— Krótki rys historji kościelnej dla szkół . . . 10000
— Nauki na niedziele i święta calego roku miane w kollegjacie Łowickiej T. I . . . 12000
— Nauki na niedziele i święta całego roku miane w kollegjacie Łowickiej. Tom II. Czas wielkiego postu . . . 20000
— Nauki na niedzielę i święta całego roku miane w kollegjacie Łowickiej. Tom III. Czas po Zielonych Świątkach . . 28000
— Pokuta i jej warunki (konferencje) . . . 7500
— Rozmyślania o cnotach teologicznych . . . 5000
— Rozmyślania o pokucie i jej warunkach . . . 7500
Chmielowski A. ks. Życie według wiary i rozumu. . . . 15000
— Życiorys księdza Stanisława Karnkowskiego arcybiskupa Gnieźnieńskiego . . . 10000
Czapski-Hutten E. hr. Catalogue de la collection des médailles et monnais polonaises. Vol. V. 1916 . . . 150000
Czarnowski K. Popularny podręcznik chowu bydła. Z licznemi rysunkami w tekście oraz dodaniem tabelek Kühna . . . 8000
Diessel O. i A. Bierbaum. Kazania pasyjne słynnych Redemptorystów. Z niemieckidgo na język polski przełożył ksiądz T. Wrzesiński . . . 15000
Drewnowski S. K. inż. Rząd i przemysł. Dwa odczyty. Warszawa 1921 . . . 7500
Eisbein C. I. dr. Chwasty i ich tępienie. Przełożył z niemieckiego K. W. . . . 10000
Gall J. 150 pieśni i piosenek na chór męski i mieszany. Cz. I. Chóry męskie . . . 36000
Gawroński Fr. Szkodniki i choroby buraków cukrowych. Z 24 rysunkami w tekście. . . . 5000
— Uprawa roślin przemysłowych. Z 94 drzeworytami w tekście. 18000
Górski L. (junior). W sprawie reformy rolnej w Polsce. . . . 10000
Grabski Wł. Dokumenty poselskie . . . 20000
— Działalność państwowa wobec potrzeb rolniczych Królestwa Polskiego . . . 3000
— Ekonomja rolnicza gospodarstw mniejszych. . . . 5000
— Koło polskie, sprawa agrarna i ruch wolnościowy w Rosji. 3000
— Koło polskie w drugiej izbie państwowej rosyjskiej wobec potrzeb ludu wiejskiego. . . . 1000
— Komasacja i praca kulturalna u nas . . . 6000
— Materjały w sprawie włościańskiej I . . . 16000
II . . . 12000
III Studja nad systemem polskiej polityki agrarnej. . . . 12000
— Stosunki służbowo-robotnicze rolne w Król. Polskiem. . . 10000
— Pogląd na politykę i prace parlamentarną posłów polskich w III Izbie . . . 6000
— Wywłaszczenie folwarków i program reform rolnych w Królestwie Polskiem. Przemowa do włościan. . . . 3000
— Ze statystyki rolniczej Królestwa Polskiego w zestawieniu z innemi dzielnicami P. R. . . . 3000
Jarmund St. Zasady budowy i utrzymania kolei żelaznych. T. I. 30000
Jaworski T. Krótki rys dziejów m. Warszawy z ilustracjami oraz monografje rodzin: Baryczków, Fukierów i Gizów. Część I. 1313—1848 . . . 9000
Karnkowski Stanisław ks. Kazania o dwojakim kościele Chrześcijańskim. Przejrzał i wydał ks. A. Chmielowski. . . . 10000
Karwatowa A. Kwiaty i kolce. Obraz sceniczny w 5 aktach . 15000
— Ś. p. Franciszek Schroeder. Profesor gimnazjum Chełmińskiego. Wspomnienie pośmiertne . . . 5000
— Z mojej teki II. Nastroje . . . 25000
— Z mojej teki I. Utwory ulotne . . . 20000
Kempner St. A. Prawda o walucie polskiej . . . 3000
+Koreywo B. inż. Analiza robocizny. Roboty stolarskie . . . 5000
Kosmowska I. W. Lud z nad Wisły ludowi z nad Odry. Wysłuchała, zebrała i spisała. . . . 4000
— Nasza stuletnia walka o niepodległość w portretach i życiorysach . . . 5000
Kostyczew P. Czarnoziem, jego uprawa i nawożenie. Tłumaczył B. Smolski. . . . 15000
— O walce z posuchą w pasie czarnoziemnym za pomocą uprawy roli i nagromadzenia na niej śniegu. Z rosyjskiego przełożył dr. S. Kudelka . . . 4000
Kotłubaj H. Torf i jego zastosowanie w rolnictwie. Z 32 drzeworytami w tekście. . . . 10000
Księga jubileuszowa „Rolnika i Hodowcy". XXV-lecie Rolnictwa Polskiego 1883—1907. Wydaw. pod red. H. Kotłubaja. Z licznemi ilustracjami. . . . 15000
Lambl J. B. dr. prof. Dochód z ziemi. Przyczynek do reformy błędnych zasad organizacji taksacji dochodów. Z języka czeskiego przełożył S. Jankowski . . . 10000

Do cen książek nieszkolnych dolicza się 20% dodatku drożyźnianego.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO".

W WARSZAWIE: miesięcznie mkp. 51000. odnoszenie „ 2000.
NA PROWINCJI: miesięcz. z przesył. 53000.
Przesyłka numeru pojedyńczego mkp. 500.
ZAGRANICĄ: miesięcznie . . . . 4 fr. szw.
W AMERYCE: rocznie . . . . 9 dolarów.

WARSZAWA ul. ZGODA N-r 12 Telefon N-r 414
KRAKÓW, Gebethner i Wolff, Rynek 23
LWÓW, E. SOKOŁOWSKA Jagielońska 7,
PARYŻ, „POLONIA" 3-bis, rue La Bruyère

Ceny numerów poszczególnych z kwartału I-go i II-go normują się według cen z miesiąca lipca.

Agentury „Tygodnika Illustrowanego": w Lublinie, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Krak.-Przedmieście; w Łodzi, Księgarnie Gebethnera i Wolffa Piotrkowska 87, oraz Biuro „Promień", Piotrkowska 81; w Krakowie, Księgarnie Gebethnera i Wolffa, Rynek 23; w Wilnie Gebethner & Wolff i S-ka, ul. Mickiewicza 4 w Zakopanem, Gebethner i Wolff; we Lwowie E. Sokołowska, Jagielońska l. 7; w Poznaniu, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Rycerska 36, Księgarnia Polska W. Templowicz, Fiszer i Majewski, Plac Wolności 5; w Warszawie, kantor redakcji „Tygodnika Illustrowanego", Zgoda 12.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą.

Ogłoszenia przyjmują wszelkie ajentury oraz: Tow. Akc. „Reklama Polska" w Warszawie, ul. Jasna 10; Biuro dzienników Ungra, Senatorska 12, L. i E. Metzl i S-ka Marszałkowska 130; T. Pietraszek Marszałkowska 115.

Rękopisów nadesłanych redakcja nie zwraca.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera, w Warszawie, Marjensztad 8.

Nr 34 Ogólnego zbioru 3,327 Wydawnictwa rok 64. 18 Sierpnia 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

IN HOC SIGNO. Fragment szczytowy pomnika ku czci Polaków, poległych za Ojczyznę w latach 1914—1921, według projektu arch. Stefana Szyllera.
Pomnik ten ma stanąć w Katedrze Ś-go Jana w Warszawie.

W ROCZNICĘ ZWYCIĘSTWA.

Po raz trzeci obchodzona uroczyście w całej Polsce rocznica „cudu nad Wisłą" jest dla nas nie tylko radosnem przypomnieniem odniesionego nad wrogiem zwycięstwa. Jest ona także przypomnieniem tego niebezpieczeństwa, w jakiem znalazło się państwo polskie, nie wyłącznie wskutek najazdu nieprzyjacielskiego, lecz w równej mierze wskutek panującego wówczas w Sejmie i w narodzie rozłamu i rozjątrzonej walki politycznej pomiędzy stronnictwami.

Pogodzenie nastąpiło dopiero w chwili, kiedy fala czerwonego barbarzyństwa podstępowała już niemal pod próg stolicy. Nie zapóźno jeszcze, aby wydobyć z narodu *maximum* wysiłku, ale już dostatecznie późno, aby dać historji prawo do uczynienia naszemu pokoleniu ciężkiego zarzutu, że nie umiało ono odwrócić od ojczyzny upokorzenia, przez jakie musiała ona przejść w okresie odwrotu armji z pod Kijowa.

Koalicyjny gabinet Witosa, utworzony pod hasłem pojednania, ocalił nas wówczas, dowodząc raz jeszcze, jak niezbędna jest dla państwa zgoda i solidarne działanie jego obywateli. Armja ochotnicza wniosła do szeregów zdemoralizowanego klęską wojska ducha wytrwania, oporu i wiary w zwycięstwo i zwycięstwo to zostało osiągnięte. Okupiliśmy je atoli krwawo. Wiele rodzin opłakuje do dzisiaj swoich bliskich, a ziemia polska, pokryta na szerokiej przestrzeni żołnierskiemi mogiłami, pozostanie na zawsze świadectwem nie tylko bohaterskiego porywu narodu, lecz i nieopatrzności tych, co nie umieli liczby ofiar tej wojny zmniejszyć, prowadząc pod kule niewyćwiczonych ochotników, z których wielu nie umiało się zgoła z bronią obchodzić. Był to nieunikniony akt samoobrony, którego konieczność odsunąłby jednak wcześniej zawarty pakt pomiędzy stronnictwami i jednolity ich front polityczny w kraju, w momencie, kiedy wojna stała się faktem. Tymczasem dopiero w trzecim miesiącu jej trwania Sejm Konstytucyjny zdobył się na ustalenie swojego do niej stosunku i wyłonił z siebie gabinet „ratowania ojczyzny". Gorzka płynąca stąd nauka powinna więc towarzyszyć temu podniesieniu serc, jakie w nas dzisiaj budzi przypomnienie zwycięstwa.

Oddając hołd pamięci poległych, przyklękając na grobach naszych braci i synów, musimy jednocześnie uświadomić sobie, że niejeden z nich padł ofiarą niezgody, panującej w narodzie i że właściwym „cudem", który stał się wówczas „nad Wisłą", był cud *pojednania*. Z niego powstała siła, o której puklerz rozbił się najazd, czego następstwem było ocalenie Polski, a z nią razem całej zachodnio-europejskiej cywilizacji od zagłady.

O tym związku, jaki zachodzi pomiędzy naszem zwycięstwem w r. 1920-tym a układem sił wewnętrznych w państwie, powinniśmy pamiętać szczególnie dzisiaj, kiedy od zewnątrz zagrożeni jesteśmy już nie z jednej tylko, lecz z dwu stron.

Jesteśmy pomiędzy zbolszewizowaną Rosją a zanarchizowanemi Niemcami, które, związane z sobą przez traktat w Rapallo, przy pierwszej możliwości naruszenia pokoju europejskiego zwrócą się przeciw nam.

Gdyby jednak nawet do tego nie doszło, to sam fakt, iż tuż za naszą granicą rozwijają się stosunki w sposób patologiczny, będący objawem rozkładu państwa i społeczeństwa, musi obudzić w nas przezorność i czujność.

Na płonący dom sąsiada nie należy nigdy patrzeć obojętnie, bo pierwszy lepszy podmuch wiatru może przenieść iskry na naszą strzechę, bynajmniej nie ogniotrwałą. Z uwagi na to, położenie dzisiejsze Polski nie jest wcale bezpieczniejsze od położenia, jakie wytworzyło się w roku 1920-ym. Jest ono conajmniej równie groźne. I dlatego „pokój obywatelski" ma dla nas to samo doniosłe znaczenie, jakie miał wówczas.

Nie posiadamy go jednak. Walka pomiędzy stronnictwami politycznemi, zawieszona podczas inwazji bolszewickiej, nazajutrz po zażegnaniu niebezpieczeństwa, została wznowiona, a z biegiem lat, zamiast przycichnąć, rozpętała się i dzisiaj jesteśmy w fazie ostrego jej zaognienia.

Wprawdzie mamy rząd „większości sejmowej", więc rząd, na który w państwie demokratycznem, szanującem „wolę ludu", której wyrazicielką może być tylko większość, owa połowa +1, która rozstrzyga o wszystkiem, to jednak stanowisko stronnictw opozycyjnych wobec tego rządu jest tak nieprzejednane, iż jesteśmy ciągle jakby w stanie wojny domowej.

Wyczerpuje to siły państwa, rozstraja życie społeczne i gospodarcze narodu i stawia nas w obliczu nieprzewidzianych klęsk w przypadku pierwszego lepszego naruszenia równowagi w kraju.

A bądźmy pewni, że nad naruszeniem tej równowagi pracują gorliwie nasi nieprzyjaciele od Wschodu i Zachodu, którzy nie szczędzą środków na to, aby Polskę osłabiać i wciągać ją niepostrzeżenie w wir, z którego trudno się będzie wydobyć państwu raz ogarniętemu przez rozstrój wewnętrzny.

Ład i porządek w Polsce są solą w oku Rosji i Niemiec, tem bardziej drażniącą, im bardziej osuwają się one same na dno przepaści.

Nie ulega więc wątpliwości, że z tej strony będzie czynione wszystko, aby podtrzymać naszą „domową anarchję", a, jeśli się da, przerzucić chorobę rosyjską i niemiecką na nasz grunt i rozpętać w kraju burzę.

Musimy zdawać sobie z tego jasno sprawę i z całym wysiłkiem bronić się przed podcinającym od korzenia siły państwa rozkładem. Obrona ta może być przeprowadzona skutecznie, nie inaczej jednak, jak w zgodnem współdziałaniu wszystkich sił narodowych i społecznych.

Niezgoda, która nas rozbija, rozbija także te siły. Zamiast je pomnażać, uszczuplamy je tedy dobrowolnie.

Nie czas dzisiaj na porachunki partyjne, na walkę o władzę, na wzajemne oskarżanie się o popełnione i niepopełnione winy, na ciskanie sobie w twarz zarzutu: „tyś winien, że skarb jest pusty, że państwo ma złą walutę", bo i skarb napełnić i walutę poprawić może tylko zgoda. Wszelkie uzdrawiające w tym kierunku reformy mogą być podejmowane tylko wspólnie, bo tylko wspólne ich wykonanie da odpowiednie wyniki.

Polska, jako państwo, nie zna ani prawicy ani lewicy, ona zna tylko *naród*, który to państwo polskie utworzył i ma święty obowiązek stania na straży jego niepodległości. Apeluje też ona do *narodu*, jako do całości, i żąda od niego ofiary materjalnej i moralnej tam, gdzie jej potrzeba. Kto tej ofiary odmawia, kto zamyka czy swoją kieszeń czy swoje serce na ten głos, ten stawia się dzisiaj sam po za obręb narodu. Czy bowiem może nazywać się w sumieniu swojem „Polakiem" ten, kto nie chce ojczyźnie nic ustąpić ze swojej doktryny, kto twierdzi, że nie zawrze nigdy z „przeciwnikiem politycznym" kompromisu, a jednocześnie zawiera najniebezpieczniejszy kompromis ze swojemi uczuciami dla ojczyzny, na której szkodę działa w imię interesu jednej tylko warstwy lub jednej tylko klasy, którą demagogicznie podnieca i prowadzi do walki przeciw narodowi, a więc także przeciw państwu?

Gdyby w roku 1920-ym nie było doszło do „kompromisu", gdyby socjaliści i wyzwoleńcy nie zeszli byli ze stanowiska walki klas i nie połączyli się we wspólnej akcji obronnej z całym „narodem polskim", który chwycił za broń, aby odeprzeć wroga, zwycięstwo nasze, gdybyśmy je byli nawet osiągnęli, nie byłoby zwycięstwem pełnem. Rocznicy jego nie obchodzilibyśmy wszyscy, pod jedną „narodową" skupieni chorągwią. A kto wie, czy zamiast orła białego nie powiewałby dzisiaj nad Polską czerwony, komunistyczny sztandar?

Uniknęliśmy wówczas niebezpieczeństwa. Państwo polskie zostało nie tylko ocalone, lecz zdobyło sobie świetną kartę w historji, niedość może jeszcze dzisiaj docenianą przez Europę, niemniej jednak mówiącą tej Europie wyraźnie o potrzebie istnienia Polski niepodległej i silnej. Rok 1920-ty stał się też kamieniem węgielnym naszej niepodległości i jemu zawdzięczamy wszystko to, co stało się w następstwie naszym udziałem, a przedewszystkiem—ustalenie naszych granic. Tem samem wszystko to zawdzięczamy *zgodzie*, ona bowiem była matką naszego zwycięstwa, a *mater semper certa est*. Żadnych co do tego wątpliwości być nie może.

Jest też rzeczą pewną, iż gdybyśmy podobną zgodę osiągnęli dzisiaj, gdyby *lewica* zamiast przeszkadzać *prawicy* a *prawica* zamiast odsuwać się bezwzględnie od *lewicy*, przestały myśleć o tem, co je dzieli w programach społecznych, a poszukały tego, co je łączy w programie państwowo-twórczym—w krótkim przeciągu czasu zdobylibyśmy dość sił moralnych i materjalnych na to, aby odeprzeć wszelkie niebezpieczeństwo i spokojnie patrzeć w jutro.

Dzisiaj żaden obóz nie jest spokojny o to jutro. Obawia się go *prawica*, obawia go się także *lewica*. Pomiędzy obu ugrupowaniami niema zaufania, jedna strona pomawia drugą o spiski i knowania przeciw państwu. *Lewicy* zarzuca się komunizm i dążenie do rewolucji społecznej, *prawicy* zarzuca się faszyzm i dążenie do reakcji. Polska stoi pośrodku tych powaśnionych obozów i czeka próżno na chwilę, kiedy z jednej i drugiej strony wymówione zostanie jej imię czystym i bezinteresownym głosem serca.

Godzina opamiętania bije dla nas poraz drugi i to właśnie w rocznicę „cudu nad Wisłą", który nas zjednoczył i dał nam zwycięstwo przed trzema laty.

FRAGMENT Z PERUGJI. WŁ. SKOCZYLAS.

Z wystawy T. Z. Sz. P. w Warszawie.

GABRIELE D'ANNUNZIO
(1863)

Wezwanie do wierności.

(Invito alla fedettá)

Z „Poema Paradisiaco" (1891—93)

Tak oto do niej mówił
z uśmiechem (w półmroku
widać było uśmiech w jego oku
dwuznaczny), on do niej tak mówił:

— Pocóż po latach tak wielu
zrywać ten łańcuch mamy?
Stare troski zmieniamy
na nowe — w jakimże celu?

Żadne już życia dary
nie będą nowością nam pewnie.
Co niegdyś wzruszało rzewnie
to przecie wciąż ma swoje czary.

Miłości, co życia fali
się oprze i w nas zostaje,
najsłodszem to się wydaje,
co w czaru zginęło oddali.

W łagodne popołudnie
niech miłość nam zmienią niebiosy!
W powietrzu cichem twe włosy
ach jakże spływają cudnie;

różane niosły je wonie
ku słońcu złotemu falami.
Ręka moja fiołkami
przystroiła ci skronie;

a gdy ubraną kwiatem
pochylasz głowę w rozterce
wszystkie zgaduje me serce
smutki, które ukrywasz przed światem.

Nic nie mówię. Znam przecie
mroki znużenia, przesytu
i cały ciężar bytu
i smutne rzeczy na świecie,
co w szpony swe biorą duszę
na długie dnie i tygodnie
i zabraniają swobodnie
myśleć i marzyć; ja też muszę

tak cierpieć! Gdy na nic nie zważam
i mówię, to wiem, że zdaleka
twe serce nie słucha, nie czeka,
kiedy ci „słuchaj" powtarzam.

Pocóż po latach tak wielu
zrywać ten łańcuch mamy?
Stare troski zmieniamy
na nowe — w jakimże celu?

Kochać, ach, kochać, miłować,
kochać, jak dotąd, to słowo
mówić i słuchać i mówić na nowo
i na godzinę czatować

z tem pragnieniem żarliwem,
a między gestami niskiemi
westchnieniem ulatać z ziemi
pod niebo i snów przędziwem

połączyć gwiazdy z różami,
i mieć uczucie odrazy,
i wiedzieć, że tyle razy
byliśmy już zmysłami

na krańcach wszystkiego... Chceszli
los nasz zawrócić w biegu?
Z wyjątkiem wieczności brzegu
przez wszystko jużeśmy przeszli.

Bądźmy więc na dalsze lata
wiernymi starej miłości!
Dziewiczej twej wstydliwości
już się stargała szata;

i nie są ci nieznane
żadne już więcej pieszczoty.
Po słońce, po księżyc złoty
sięgały szaty pijane.

W opustoszonym tym lesie
wspomnień, jakiż głęboki czasami
czar panuje nad nami,
gdy się zeń wzniesie

marzenie nasze łagodne:
łagodniejsze od lekkiego
dymu kadzielnicowego,
gdy jest powietrze pogodne.

Więc wierność chowajmy dla siebie,
gdyśmy się tyle naśmiali,
gdyśmy już tyle płakali,
zapominając o niebie.

Miłości co życia fali
się oprze i w nas zostaje,
najsłodszem to się wydaje
co w czaru zginęło oddali.

Ja kocham te w oddali
w oczach twych przesłonięte,
jak w jeziorach przesłonięte,
te zjawiska w oddali.

A ty, więc zostawisz ty,
w smutnem osamotnieniu,
rzeczy, co już są w cieniu,
co się rozwiały jak mgły.

Przekład Zdzisława Jachimeckiego.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Powołanego jednomyślnie przez Wydział lekarski Stan. Janikowskiego, odsunęła od katedry „nieprawomyślność polityczna.“ Sam Krzywicki przedstawił Wielopolskiemu na profesora prawa kryminalnego Włodzimierza Spasowicza, ale cofnął się, skoro mu zwrócono uwagę, że to „liberał i czerwieniec“; miejsce Spasowicza zajął na katedrze Franciszek Maciejowski, starzec zupełnie niedołężny [1]). Krzywicki był winien, że nie obsadzono katedr historji i literatury polskiej; opinja na pierwszą wskazywała Juljana Bartoszowicza, na drugą Kraszewskiego. Krzywicki prowadził z Bartoszewiczem „sławne rozmowy“ usiłując wybadać go, czyby umiał zachować się na katedrze „błagonadiożno”; badania wypadły niepomyślnie, a ponieważ nie było innego kandydata, więc katedra historji polskiej pozostała martwą literą. Kraszewskiemu nie pomogło nawet to, że w chwili otwarcia Szkoły Głównej, jako redaktor „Gazety Polskiej” okazał skłonność do popierania polityki Wielopolskiego. Krzywicki stwarzał sobie i inne trudności. Tak np. Antoni Stanisławski, tłumacz „Komedji Boskiej“, profesor prawa na uniwersytecie charkowskim, z chęcią chciał ponieść ofiarę i pewne, lepiej płatne stanowisko zamienić na niepewne i gorzej płatne, ale choć Krzywicki mile przyjął jego propozycję, nie chciał policzyć mu do emerytury lat na uniwersytecie charkowskim spędzonych. Dodajmy do tego, że Krzywicki jako doktor uniwersytetu dorpackiego (niemieckiego) wysoce cenił doktoraty niemieckie, tak łatwe do osiągnięcia i nic jeszcze nie mówiące o naukowych kwalifikacjach ich posiadaczy, a stąd świeżo upieczonych doktorków silnie protegował (jeden z nich został profesorem Szkoły Głównej w 23 roku życia) — a będziemy mieli już dostateczne pojęcie co, oprócz rzeczywistych trudności, wpłynęło na to, że w Szkole Głównej, obok „właściwych ludzi na właściwem stanowisku“, znajdowali się i... niewłaściwi.

Rok 1863 poczynił w tym składzie poważne szczerby. Znaleźli się na wygnaniu: Wołowski w Penzie, Dybek w Ufie, Dybowski na Kamczatce... Prażmowski emigrował.

Z czasem jednak Szkoła Główna zaczęła się krzepić. Przybywały jej nowe siły, a wśród jej profesorów, na poczet przyszłych zasług zasiadających na katedrach, znalazło się kilku, którzy usprawiedliwili położone w nich na kredyt zaufanie. Prawda jednak i tu każe wyznać, że zdobyli sobie oni lub ustalili poważne imię w nauce przeważnie dopiero jako profesorowie uniwersytetu rosyjskiego. Za Szkoły Głównej zamało mieli czasu rozwinąć swą naukową i pedagogiczną działalność. Ale to właśnie wskazuje, że Szkoła Główna była na drodze do rozwoju, kiedy barbarzyńskie dłonie Czerkaskich, Wittów i Tołstojów położyły koniec jej istnieniu.

Braków jej ukrywać dziś nie potrzebujemy. Z odzyskaniem niepodległości musi nastąpić rewizja wielu poglądów i „ustalonych“ opinij o wypadkach, instytucjach i ludziach. Mogły te opinje stanowić niegdyś broń skuteczną,—dziś, na szczęście, stały się zwietrzałe i bezpożyteczne. Dlatego też i podane poniżej wyjątki z pamiętnika Juljana Bartoszewicza nikogo już dziś zapewne razić nie mogą i nie będą.

Ale dość o tem, szło bowiem jedynie o wykazanie, że Szkoła Główna, obok stron dodatnich, miała i ujemne, że przedewszystkiem w składzie ciała nauczycielskiego wykazywała poważne braki. Przyznać należy, że skompletowanie go przedstawiało niemałe trudności. Kraj był pozbawiony przez lat 30 uniwersytetu, a więc mało posiadał ludzi oddających się pracy naukowej. Znaczną liczbę profesorów musiano sprowadzić z innych zaborów, ale i o nich nie było łatwo. Jedni z wielu upatrzonych mieli już wyrobione stanowiska, których porzucać nie chcieli, inni wahali się z przyjęciem niepewnych, arcyśliskich posad, dość skąpo zresztą uposażonych. A trzeba było szybko działać, aby Szkołę na czas zmontować. Wszystko to należy uwzględnić, ale z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że była wina i ze strony założycieli. Nieszczęśliwą rękę miał np. Wielopolski, sprowadzając z Petersburga Kazimierza Krzywickiego na dyrektora komisji rządowej wyznań i oświecenia, a tem samem i na organizatora Szkoły Głównej. Nie posiadał on najmniejszych ku temu kwalifikacyj. Niedość, że ten wychowaniec uniwersytetu dorpackiego, autor dwóch broszur niemieckich, poświęconych statystyce i skarbowości, długoletni urzędnik min. spraw wewnętrznych w Petersburgu (w wydziale gospodarczym), a potem urzędnik do szczególnych poruczeń w kancelarji J. C. Mości, nie zajmował się nigdy szkolnictwem— ale nie znał *zupełnie* kraju, nigdy w Królestwie nie przebywał, nie miał najmniejszego wyobrażenia o ludziach i stosunkach; całkiem wreszcie były mu obce dążności narodowe. Ten „chłodny typ Polaka“, jak go arcygrzecznie nazwano, miał wartość dla Wielopolskiego jako ślepe narzędzie jego woli i jako przedstawiciel lojalności wiernopoddańczej, która go w końcu doprowadziła do zaprzaństwa narodowego[2]). Ta lojalność właśnie kazała mu szukać profesorów w sferach pachnących „muchanowszczyzną“ i indyferentyzmem narodowym. On to sprowadził z Kazania Kowalewskiego. Z jego polecenia wyjechał Papłoński, muchanowczyk I klasy, do Wielkopolski, aby szukać kandydatów „niezarażonych polityką“.

13 lipca 1869, wtorek. Mówią już dziś wiele o reorganizacji Szkoły Głównej. Moskale niby chcą dać coś lepszego, bo uniwersytet. Rektorem ma być Leontjew, alter ego Katkowa. W świeżo ogłoszonej organizacji Szkoły rzemieślniczej w Łodzi czytamy, że inspektorem jej ma być ruskiego pochodzenia mąż. Ten sam warunek co do rektora włożył Witte do programu przyszłego uniwersytetu, podczas pobytu ostatniego w Warszawie Tołstoja, podobno z dodatkiem, że ma być rektor i prawosławnym. Pan Tołstoj rozsądniejszy od Wittego usunął ten warunek, że to niby będzie wyłącznością. Po co się kompromitować napróżno? Moskale swoje zrobią, nie pisząc w ukazach dla Europy, że ma być Moskal. Poprzednio na ostatnich wyborach agitował Witte za Papłońskim przeciw Mianowskiemu [3]). Teraz za nowej ustawy rząd wybierze rektora, a kiedy inspektor szkoły w Łodzi ma być prawosławny, warunek taki będzie i dla rektora uniwersytetu. Inni jednak mówią, że rektorem będzie von Hübbenet z Kijowa.

Pensje profesorskie będą po 20.000. Ale wykład ma być moskiewski. Dla tych, powiedziano w ustawie, którzy mają stopnie naukowe zagraniczne utrzymuje się pół pensje, to jest 10.000 dotychczasowe, niecałkowite, na dwa lata, ale po dwóch latach mają oni egzamina na stopnie uczone składać w uniwersytetach moskiewskich. To się znaczy wypędzają ich, bo poznańczyki, galicjanie pewno nie będą mogli po moskiewsku doktoryzować się, magistrować ani dziś, ani po dwóch latach, ani po dziesięciu. A sądzę, że im jeszcze zapowiedzą już teraz wykłady w języku moskiewskim, to jest, że nawet i na pół pensji teraz nikt się nie utrzyma, kto po moskiewski goworyt' nie będzie. Jestto najście barbarzyństwa na Europę...

Biedny to będzie uniwersytet. Moskale do katedr na własnych uniwersytetach nie mają profesorów. Mają siedm katedr swojej historji literatury, a połowa ich nieobsadzona. Nie mówię już o tem, że wypadałoby do takich katedr zawsze mieć w zapasie adjunktów. Do łaciny i greczyzny tylko nie zbędzie u nich Niemców. Ale do innych nauk niema profesorów. W uniwersytecie kijowskim w obecnej chwili cały wydział historyczno-literacki został „bez ruki“, zachorował—jest jeden tylko profesor zwyczajny, dwóch adjunktów, trzech docentów. Ten stan rzeczy bywa podobno i po innych uniwersytetach, na tym lub na drugim wydziale. Odeski, założony od lat czterech czy pięciu, niema połowy katedr, a profesory Pan Bóg wie jakie. Taki stan rzeczy dał powód Tołstojowi do przedstawienia zmiany pewnych warunków ustaw uniwersytetów, tyczących się wyboru przez uniwersytet profesorów. Chce pan minister być nieco wolniejszym w tym względzie. Oto jak idzie w cudownej Rassiji: ustawa dopiero zatwierdzona, jeszcze nie zastygła, a już poprawioną być musi, już doświadczenie wykryło w niej głupotę[4]).

Gdzieś wydrukowane było, że na ten pierwszy raz niekoniecznie wymagać ma prawo patentów, stopni, że byle kto, mając rozgłos w literaturze, może być profesorem uniwersytetu warszawskiego. Pyszne pole dla samozwańców wszelkiego rodzaju. To ocenienie sławy w literaturze będzie zupełnie dowolne. Na tej zasadzie wlazł jeszcze do Szkoły Głównej Berg na wykład języka moskiewskiego, belletrysta i poeta, który pojęcia niema o filologji i uczniowie jego więcej są wykształceni, cenzurują go też niemiłosiernie, a pan Berg znosi co chwila gramatyki moskiewskie i niemi się popiera. „Co dziwnego (powiada), że oto złapałem się wczoraj tak a tak, kiedy Durakow mówi to, a Świnin tamto.“

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

---

[1]) „Wykłady jego były niepoętne i mało uczęszczane” pisze monografista wydziału prawnego.

[2]) Krzywicki, urodzony na Wołyniu w roku 1820, ukończył gimnazjum w Żytomierzu, a uniwersytet w Dorpacie, gdzie się ożenił z Niemką. Umarł w roku 1883 w Heidelbergu.

Po r. 1863 Krzywicki osiadł w Dreznie przy boku Wielopolskiego. Jego jedynie margrabia dopuszczał do siebie, jego jednego darzył swem zaufaniem, z nim długie prowadził rozmowy. W r. 1872 wydał Krzywicki broszurę „Polska i Rosja w roku 1872”, w której radził Polakom zlać się zupełnie z Rosją, wyrzec się narodowości i języka („wyzbyć się nałogu polskiej mowy”). Na razie byłaby dla nas Rosja „ojczyzną pracy” zanim nie stałaby się „ojczyzną serca”. Twierdził, że „z najszlachetniejszych pierwiastków rozbitej polskiej społeczności” utworzy się stronnictwo „konserwacyjno-słowiańskie” — głównym punktem jego programu będzie „wierność Monarsze i Dynastji, jako rękojmia i podstawa wszystkiego”. Powinniśmy „bez skargi przebyć konieczną agonję”. Broszura wywołała oburzenie i protesty. Nawet Spasowicz, zwolennik połączenia z Rosją, napisał na nią odpowiedź p. t. „Polityka samobójstwa”, a Kraszewski nazwał ją *Ars moriendi ad usum Polonorum.*

[3]) Mianowski był zrazu przez rząd mianowany, bo ustawa Szkoły Głównej pierwszy wybór rektora powierzała Radzie administracyjnej Królestwa, następnie co trzy lata odbywał się wybór rektora przez Radę ogólną profesorów zwyczajnych Szkoły. Rada dwukrotnie w r. 1865 i 1868 oświadczyła się za Mianowskim.

[4]) Ten brak kandydatów w Rosji na katedry uniwersyteckie był prawdopodobnie jedynym powodem dlaczego w pierwszej chwili nie zalano uniwersytetu warszawskiego moskalami. Jeszcze w r. 1903, a więc w 34 lata po stwierdzeniu przez autora pamiętnika, że moskalom brak sił naukowych, minister oświaty stwierdzał w raporcie, że wakowało katedr na uniwersytecie petersburskim 5, na moskiewskim 7, na kazańskim 21, na charkowskim 23...

„Baranówka". Wyroby porcelanowe.

PRZYCZYNKI DO HISTORJI SZTUKI POLSKIEJ.

PORCELANA KORECKA I BARANOWIECKA.

Stara porcelana polska z dniem każdym coraz rzadszą i coraz więcej poszukiwaną się staje. Stanisław August pod swoim patronatem miał w Warszawie fabrykę farfurów Belwederską. Herkulańskie, w stylu starożytnym, wazony i dzbany do kwiatów w niej wytwarzano. W ornamentowaniu za model brano pospolicie motywy japońskie i chińskie. W naśladownictwie Belwederu książę Józef Czartoryski-Stolnik zapoczątkowuje na Wołyniu w Korcu fabrykę farfurów i porcelany roku 1789. Porcelana Korecka znaczenia narodowej nabiera. Ozdabiają ją znakomici w kunszcie wsławieni artyści malarze Sobiński, Chomicki, Gajewski, Bluman, wreszcie z Sèvres przybyły Mérault. Książę sprowadza na dyrektorów dwóch braci Mezerów Franciszka i Michała. W cztery lata po założeniu wsławia się i saskiej oraz sewrskiej dorównywa. Porcelana delikatna, przezroczysta o ulubionym niebieskim we wszystkich odcieniach kolorze. Malowidło, łagodnie stonowane, troskliwe, minjaturowe. Pozłota z odcieniem zieleni lub czerwieni. Przeważają krajobrazy z niw wołyńskich wysnute, stare zamczyska, wizerunki zasłużonych krajowi mężów, minjaturowe portrety różnych dam. Często ornament grecki, meandry, rozety, palmety. Wszystko pełne wdzięku i kolorytu subtelnego. W stylu, układzie, charakterze ogólnym o cechach wybitnie francuskich Ludwika XVI, po przez epokę przejściową Dyrektorjatu, ku empirowi klasycznemu. Stanisława króla układ i porządek tu jasną pozostawia kartę i przyczynek przedni do Stanisławowego zdobnictwa wnosi. Lecz też Wedgwood angielski z delikatną płaskorzeźbą, o jasnożółtej barwie, przedstawiany bywa. Lub też gałęzie modrzewia, koloru liljowego, angielskie Derby oznaczające. Kształty przedmiotów zbytkowych początkowo naśladują zagraniczne wzory, następnie przypominają wyroby krajowe. Wazy, urny, czary, dzbany, zastawy stołowe. Figurynek na wzór saskich Korzec nie wytwarzał.

Porcelana korecka.

Znakiem fabrycznym wytwórni jest napis „Korzec" lub oko Opatrzności. Początkowo tylko napis, potem oko, następnie oko z promieniami, oko z napisem. Napisy polskie, ku końcowi rosyjskie, często z dodaniem roku. Marki koloru szafirowego, czerwonego, czarnego, a niekiedy złote. Znaki na polewie malowane, tylko szafirowe pod polewą. Złoty znak różnoczasowo najprzedniejsze okazy zdobi.

Tak trwało długo, bo do roku 1831. Z biegiem wypadków świetność Korca poczęła gasnąć. Czartoryski wyjeżdża do Drezna, Mezer, od Zamojskich wezwany, do Tomaszowa się przenosi. Najświetniejsze więc wytwórni czasy były do początków ubiegłego stulecia. Wytwórnia się znamienicie rodzinnemu zdobnictwu zasłużyła.

W pobliskiej Baranówce, nad Słuczą, tenże Mezer Michał w majątku Lubomirskiego Adama roku 1803 fabrykę porcelany zakłada. Wyroby koreckim nie ustępują. Baranówka ma moc doskonałą, ma matę oryginalną, ziarnistą. Słynie z piękności malowania, z pozłoty trwałości. Daje gorące granatowe kolory, niekiedy w matowe złote palmety zdobne. Daje mozajkowe motywy. W miękkich seledynowych barwach się kocha. Minjatury maluje miękko, jakby gazą owiane. Wytwarza ozdobne zastawy, niekiedy zwierzęta. Proces wyrabiania taki sam jak w Korcu z potrójnem wypalaniem, z malowaniem przed ostatniem w ogień włożeniem. Znaki początkowo trzy gwiazdki tylko, potem napis Baranówka, potem napis i gwiazdki, wreszcie napis rosyjski i orzeł z dwiema głowami. Barwy znaków czerwone, czarne, niebieskie. Kolejno przechodzi Baranówka od Lubomirskich do Walewskich i do Gagarina. A zwykłą losu zmiennością, w wytwórczości słabnie i ku końcowi 1833 roku istnieć przestaje. Miała początkowe lata najświetniejsze.

Okazy z Korca i Baranówki do najsłynniejszych należą i są bardzo poszukiwane przez najlepszych znawców.

Antoni Urbański.

Okazy porcelany koreckiej.

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA.

Niebawem ma się ukazać wybór poezyj Kazimiery Zawistowskiej z przedmową znanego poety, St. Wyrzykowskiego. Przedmowę tę, najlepszą dotychczas charakterystykę przedwcześnie zmarłej poetki — podajemy jako ciekawe studjum krytyczne. (*Red. Tyg. Il.*)

Przed dwudziestu laty zmarła nagle w Krakowie młoda, niezwykłej urody kobieta, w której naturze kojarzyła się przedziwnie kresowa pierwotność bujnych łanów podolskich z subtelnym wdziękiem szlachetnej kobiecości i wytwornem dostojeństwem starodawnej, szlacheckiej kultury. Kiedyś gdy, wciąż jeszcze zmącony naleciałościami niewoli, strumień ducha narodowego odzyska swą kryształną czystość i w rozkwieconych, wiśniowych sadach Podola i Wołynia trysną nowe źródła twórczego Piękna, może wdzięczna pamięć ludzka zapisze imię tej, co tak krótko żyła i tak cicho odeszła, obok poetów, którzy opiewali ukrainne kresy Rzeczypospolitej — obok Słowackiego, Malczeskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego, Gosławskiego i zapomnianego dziś niesłusznie T. Zaborowskiego. Ale wówczas, przed dwudziestu laty, poza nielicznem gronem pisarzy, którzy ogłaszali swe utwory w „Życiu" krakowskiem i warszawskiej „Chimerze", mało kto zauważył, iż w potężnie rozbrzmiewającym chórze poezji polskiej zabrakło nieoczekiwanie najmelodyjniejszego i najsrebrzystszego głosu. Dopiero w rok później wydany, niewielki tomik poezyj melancholijnym blaskiem pośmiertnej chwały otoczył imię Kazimiery Zawistowskiej i, jak złote ogniwo, włączył je do drogocennego łańcucha twórczości, co z pokolenia przewija się na pokolenie, wiążąc je wszystkie w nieśmiertelny całokształt bytu narodowego.

Kazimiera Zawistowska.

Poetka wyszła ze środowiska, którego najcenniejszym klejnotem rodowym była niewygasła pamięć walk o niepodległość. Ojciec jej, dr. Henryk Jasieński, zbrojny współudział w powstaniu 1863 r. przypłacił więzieniem i utratą stopnia uniwersyteckiego. Odzyskawszy wolność, rychło dał się poznać jako świetny publicysta i nieustraszony szermierz polskości. Pracował zrazu pod kierownictwem Smolki i Ziemiałkowskiego w *Dzienniku Lwowskim*, później, pospołu z K. Gromanem redagował *Gazetę Narodową*, Poślubiwszy słynną z urody i niepospolitych zalet umysłu Albertynę Tarasiewiczównę, został właścicielem rozległej włości podolskiej, Rasztowce, położonej u podnóża Wzgórz Miodoborskich, opiewanych ongi w *Dumach Podolskich* przez T. Zaborowskiego. W tej to kresowej siedzibie nieugiętego przeciwnościami gorącego poczucia narodowego i wykwintnej kultury obyczajowej urodziła się w r. 1870 przyszła poetka polska.

Wrażliwa dusza marzycielskiego dziecka wcześnie poddała się melancholijnemu urokowi ziemi stepowej, bezleśnej, uwieńczonej kurhanami, pełnej legendarnych wspomnień i nieokreślonych przeczuć. Pierwsze zachwyty tęsknej zadumy wykołysały się wśród szmeru rzek i strumieni, płynących głębokiemi jarami, wzdłuż których nieprzerwanym niemal rzędem rozłożyły się białe wsie podolskie. Od wschodu, na sinym, od skier słonecznych rozmigotanym widnokręgu wyłaniały się miękko zaciszne, wonne gąszcze „Puszczy" Miodoborskiej. Osnuwało ją zaklęcie niewysłowionego czarodziejstwa. W mrocznych, leśnych ustroniach taiły się „Skałki", co podobno pamiętały jeszcze czasy pogańskie i miały być ołtarzyskami, wzniesionemi ku czci Baby i Światowida. Największe z tych prasłowiańskich uroczysk, uświęcone przez Kościół, stało się z czasem miejscem odpustowych pielgrzymek, dokąd rokrocznie podążały gromady rozśpiewanego ludu, ustrojonego w barwne, podolskie opończe i czerwone „pojasy". Na niedalekiem wzgórzu widniały szczęty warownego ongi Dźwinogrodu, a okoliczne jaskinie od niepamiętnych czasów bywały schronieniem pobożnych pustelników. Wspomnienie ostatniego z nich zapisało się głęboko w pamięci poetki. Był to mnich z Zakonu Franciszkanów, półznachor, półświęty, otoczony powszechną czcią i uwielbieniem. Pustelnik polubił młodą dziewczynę, która latem odwiedzała go często w towarzystwie swego młodszego brata, oprowadzał dzieci po jaskiniach, gdzie stały nieudolnie wyrzeźbione posągi Świętych, opowiadał im swe wizje i cudowne legendy. Nie zapomniał o niej nawet w chwili zgonu, gdyż, umierając, polecił jej oddać swą ulubioną księgę, *Żywoty Świętych*, które z kolei miały stać się dla niej źródłem mistycznych uniesień i obok piękności przyrody bodaj najpotężniejszym bodźcem późniejszej twórczości poetyckiej.

Marzenia dziewczęce, podsycane ognistą uczuciowością i uskrzydlone plastyczną, gibką wyobraźnią, rychło jęły przyoblekać się w kształty utworów wierszem i prozą. Poetka od najwcześniejszych lat posiadała łatwość i barwność wysłowienia. Wszelako te pierwociny, zamieszczane po czasopismach lwowskich, były raczej zapowiedzią na przyszłość niż istotnemi dziełami poetyckiego artyzmu. Przejawiała się w nich wprawdzie wiosenna świeżość i bezpośredniość młodzieńczości, posiadały już miękką pieściwość i śpiewną słodycz słowa—ale nie było w nich jeszcze owej tajemniczej pełni rozżalonego uczucia, owych słowiczych łkań nieukojonej tęsknoty, owego rozmodlonego zachwytu, który stanowi najprzedziwniejszy urok poezyj późniejszych. Nie znała jeszcze dusza zaklętych ogrójców Miłości i drapieżnej potęgi Przeznaczenia, nie przeczuwała, iż lęk życia może być straszniejszy od grozy śmierci. Dopiero w „żarze niszczących słońc", na „zżętym łanie snów" miał rozkwitnąć jej liryczny talent. Niby „pocałunki słane z zaświatów", niby zwiewne marzenia o jakiejś upajającej a nieziemskiej woni, niby zabłąkane z najwcześniejszego dzieciństwa rytmy dawno zapomnianej ballady są jej najlepsze wiersze. Niewiele ich pozostało, ale jak w łzach przeczystych odbiło się w nich słońce pięknej i szlachetnej duszy.

Późniejsze życie poetki było w zdarzenia zewnętrzne nader ubogie. Ukończywszy wcześnie nauki, przebywała czas jakiś w Szwajcarji i Włoszech. Podróż ta przyczyniła się wielce do rozbudzenia jej wrażliwości artystycznej. Po powrocie do kraju poślubiła zamożnego ziemianina podolskiego, Stanisława Zawistowskiego. Okoliczności rodzinne nieczęsto pozwalały jej na wyjazdy do Krakowa, gdzie śród pisarzy, którzy tworzyli podówczas bojową falangę „Życia", spotykała się z zachętą i uznaniem dla swej twórczości. Zmarła w 1902 r. osierocając troje nieletnich dzieci.

Wszelako nie w zmienności powierzchownych zdarzeń życiowych skrywał się tajemniczy urok jej poezji, lecz w niezmiernie bujnem i bogatem podłożu jej ustroju psychicznego. Niema tęsknoty, z której nie kiełkowałoby marzenie, niema marzenia, z którego nie rozkwitałaby myśl i niema myśli, z której nie dojrzewałby czyn. Poeci liryczni nie wychodzą w swej twórczości poza okres kiełkowania i rozkwitu. Zawistowska była również poetką tęsknoty i marzenia. Twórcze życie jej duszy rozwijało się na tle przejść i zdarzeń, których nie zaznaczają godziny, bijące na zegarach dnia powszedniego.

Śród rozległych łanów podolskich, na cichym wiejskim cmentarzu wznosi się kamienny obelisk, którym rodzina uczciła miejsce wiekuistego spoczynku młodej poetki. Na głazie obelisku widnieje jej własny dwuwiersz:

Pan na Jej duszę, jak na harfę złotą,
Dłonie położył i rzekł: „Moją będzie"...

Stanisław Wyrzykowski.

GDYBYM BYŁ MINISTREM SKARBU...

Gdybym był ministrem skarbu, powiedziałbym rodakom mniejwięcej tak:

— Rodacy! Nie do mnie należy, oczywiście, ocena własnych zdolności... Być może, że, jak niektórzy z was twierdzą, mam wodę w głowie, co jest podobno w rodzinie mojej dziedziczne...

— Być może, że, jak twierdzą inni, zaćmiewam inteligencją Szerloka Holmes'a i posiadam siłę woli Napoleona I-go! Dajcie mi jednak pożyć przez chwilę własnym rozumem!

. . . . . .

Gdybym był ministrem skarbu, powiedziałbym jeszcze do moich współobywateli co następuje:

— Obywatele! Żądacie odemnie *naprawy skarbu?*

Zapewne jest Wam wiadome, że każda naprawa wymaga pewnego czasu? Nawet naprawa widelca.

Otóż, raczcie zważyć, szanowni Obywatele, że skarb jest rzeczą nierównie więcej złożoną od widelca i że wyregulowanie skomplikowanych części jego mechanizmu musi potrwać troszkę dłużej, niż trwa proces „budzącego się krytycyzmu".

. . . . . .

W szczególności, co do fenomenu „Krytycyzmu" zauważyłbym nieśmiało:

— Krytycyzm jest tem w społeczności, czem jest, przypuśćmy, oko starszego przodownika P. P. na jarmarku końskim.

Niezawodnie, bez pana przodownika bułany mierzynek tak samo pobiegnie, jak i przy panu przodowniku — uwydatni się natomiast szereg faktów pobocznych, których bez pomocy policji nie zauważyliby zaaferowani kupujący...

A więc fakt, że gniada kobyłka ma przyprawiony ogon... I fakt, że znakomity hodowca koni, pan Aron Pferdeschinder, traktuje swoje folbluty pieprzem, w dosyć oryginalny sposób... Te fakty i wiele innych.

Krytycyzm jest zbawienną rzeczą, jak widzimy.

. . . . . .

Ale między *krytycyzmem a kretynizmem* zachodzi jednak znaczna, bardzo znaczna różnica.

Tak, jak niepodobna żądać od młodej mężatki, żeby na trzeci dzień po ślubie miała dorosłego syna—niepodobna żądać od ministra prestidigitatorskich pokazów w dziedzinie naprawy skarbu. Tylko osobnik, zniekształcony wolem, może żądać od krowy gotowych gomółek z kminkiem!

. . . . . .

— Gdybym był ministrem skarbu, powiedziałbym jeszcze moim przyjaciołom politycznym:

— Przyjaciele! Zaprzestańcie reklamy. Dajcie mi przeprowadzić do końca bodaj jeden, jedyny punkt mojego programu. Obawiam się bowiem, że gdy pierwszy nakaz płatniczy muśnie Was po kieszeni — obwołacie mnie Wrogiem Narodu i pójdziecie bić brawo człowiekowi, który mnie jutro zastąpi, aby pojutrze dowiedzieć się, że rujnuje Polskę...

Zdzisław Kleszczyński.

NOWY TOM MONOGRAFJI O SŁOWACKIM *)

Po pierwszych dwu tomach dzieła profesora Kleinera mogło trzeciemu grozić to, że się go po przeczytaniu zamknie — jeżeli nie zupełnie, to mniej więcej — obojętnie. Bo z twórczością wybitnego pisarza, nawet naukową, bywa tak jak z dramatem. Gdy pierwszemi dwoma aktami wywoła zainteresowanie mocne, to źle jest, gdy trzeci i czwarty stoją tylko na tym samym poziomie; wywołuje to już pewne rozczarowanie, bo spodziewaliśmy się, nieświadomie choćby, poziomu wyższego. Widz zepsuty już przez autora, oswojony z jego artyzmem, nie widząc nowych dla siebie ujawnień tego artyzmu, zaczyna nieznacznie poziewać. Tymczasem już w rok po ukazaniu się pierwszych tomów, wiedziało się z góry już, że tutaj tak nie będzie. Wyszło bowiem *w Bibljotece Narodowej* opracowane przez ich autora wydanie *Beniowskiego*, które było prawdziwą rewelacją. Nadzwyczajne zorjentowanie się w gruzach olbrzymiego poematu, rekonstrukcja tych gruzów najzupełniej przekonywająca, odsłonięcie wszystkich ewolucyj planów twórczych poety (choć może nie każdy ich warjant zasługuje na miano odrębnej redakcji), w rezultacie zaś wyprowadzenie zwycięskie czytelnika z chaosu, w którym grzęznął dotychczas niemal beznadziejnie—wszystko to stanowiło taki nowy triumf uwagi badawczej, *trainingu* filologicznego, nie mówiąc już o inteligencji i talencie autora, że tom, poświęcony temu okresowi twórczości Słowackiego, którego Beniowski właśnie jest głównym pomnikiem i zarazem ośrodkiem, miał w owem wydaniu tego utworu zapowiedź bardzo podniecającą.

Czekało się go też niecierpliwie i okazuje się, że zupełnie słusznie. Wolno powiedzieć, że nawet bardzo optymistyczne oczekiwania przewyższył. Na początku tomu analiza *Mazepy* dorównywa najlepszym w poprzednich tomach — pod koniec: studjum *Fantazego* może służyć za klasyczny wzór literackiego rozbioru sztuki teatralnej. Największe jednak, bo najtrudniejsze zwycięstwo nad przedmiotem odniósł autor przy Beniowskim. Zapanować naukowo i pisarsko nad ogromem materjału myślowego i literackiego, który ten poemat roztacza, pojąć go w całości i w szczegółach i w całości też oraz w szczegółach genetycznie objaśnić i estetycznie odczuć, a wykładając to wszystko czytelnikowi, zachować w tym wykładzie ład i skład, nie zgubić się w masie tego wszystkiego, co się ma do powiedzenia — na to trzeba prócz ogromnej erudycji i pamięci, doskonałego dowództwa nad szykami swoich myśli, trzeba być takim wirtuozem literatury, jakim się prof. Kleiner okazuje coraz pełniej.

Okres twórczości Słowackiego, którym się nowy tom monografji zajmuje, jest okresem, w którym ta twórczość jest najbardziej różnolita, gdzie zarówno w motywach treści jak w kompozycji i formie do trwających zdobyczy artystycznych okresów poprzednich przybywa mnóstwo nowych usiłowań. Autor monografji wszystkie je rozróżnił i wszystkim wykrył właściwy rodowód, przyczem wobec większego bogactwa literackiego materjału większe jeszcze znalazł pole do erudycyjnego popisu, niż w tomach poprzednich. Świetniej jeszcze niż tam pokazał, że nie tylko zna całą europejską literaturę nowoczesną, ale tak ją ma w pamięci, iż nie tylko koncepcja każda kojarzy się w niej zaraz z analogicznemi koncepcjami innych pisarzy, ale najdrobniejszy niemal motyw, mnóstwo nawet poszczególnych wyrażeń. Ta sama też fenomenalna pamięć pozwala autorowi na tem łatwiejsze skojarzenia w obrębie samej twórczości Słowackiego. Każde jej zjawisko łączy z innemi (na prawie podobieństwa lub kontrastu) zawsze na *całym* jej obszarze.

W ten sposób wyraźniej niż w jakiejkolwiek innej książce o Słowackim uwydatniają się tutaj rysy jego poezji stałe w odróżnieniu od przypadkowych, i to uwydatniają się już nie w impresjonistycznej charakterystyce, tylko w naukowem unaocznieniu. Dzieje się to zaś bez jakiejś widocznie do tego skierowanej usilności badacza; dzieje się jakby od niechcenia, siłą samej naturalnej kojarzliwości wciąż obecnego w jego umyśle materjału. Bo zresztą zjawiska rzadsze, lub jednorazowe tylko zajmują jego uwagę mocniej nawet niż stałe lub częste. Poszukuje on natychmiast przyczyny tego „przypadku" czy to w twórczości cudzej, czy w duszy poety, czy w okolicznościach zewnętrznych jego życia i mają te poszukiwania wynik z reguły prawie przekonywający, jasno uzasadniony, bądź literacko na gruncie lektury Słowackiego, bądź psychologicznie na gruncie jego psychiki.

Że ta ostatnia, przy całem swojem skomplikowaniu, jest terenem, z którym prof. Kleiner jest obeznany znakomicie—to rzecz wszystkim jego czytelnikom dobrze wiadoma. W żaden osobisto-uczuciowy stosunek do poety jako człowieka nie wchodząc, posiada on w każdej chwili doskonały spokój badawczy, pozwalający mu cały podkład psychiczny, z którego wyrastają w danym momencie dzieła sztuki, brać w rachubę czysto intelektualnie, tak jak się w naukach przyrodniczych bierze w rachubę wszystkie możliwe warunki powstawania takiego, czy innego zjawiska przyrody. Idzie przedewszystkiem o to, żeby o żadnym przypuszczalnym czynniku nie zapomnieć, zawsze mieć przed sobą wszystkie alternatywy, a wybierając z nich te, które są najprawdopodobniejsze, umieć ten wybór przekonywająco uzasadnić.

To zupełne nieledwie przytłumienie strun uczuciowych przez intelekt odbiera może dziełu prof. Kleinera ów koloryt, który nawet bardzo ściśle naukowe książki miewają dla czytelnika wówczas, gdy odczuwa on w nich żywe ciepło krwi ich ojca-autora; ale za to nadaje temu dziełu charakter wyjątkowej zupełnie objektywności.

Ta, w połączeniu z największą dotychczas wszechstronnością badania czyni książkę prof. Kleinera arcydziełem zrozumienia Słowackiego—przynajmniej w sensie ściśle intelektualnym. Ponieważ zaś Słowacki może być śmiało uważany za arcytyp gatunku psychicznego, zwanego *poeta*, więc monografja taka o nim staje się przez swoją objektywność i ogromne bogactwo ścisłych spostrzeżeń nie tylko świetną kartą historji literatury, ale nadto daje pierwszorzędny materjał psychologowi twórczości literackiej wogóle. Tak pewnego i obfitego nie da mu żadna inna monografja historyczno-literacka w Polsce a mało która także i za granicą.

Pewność ową, solidność (jeśli tu wolno użyć takiego słowa) zapewnia temu materjałowi zarówno nadzwyczaj objektywne jego zbieranie jak i drobiazgowa wprost dokładność badania. Jest rzeczą dla każdego widoczną, że prócz talentu, inteligencji, wiedzy i metody, które go na znakomitego badacza kwalifikują, włożył autor w tę książkę niezmiernie wiele żmudnej nieraz i ogromnie cierpliwej pracy. Przytem jednak osobną jej zaletę w oczach czytelnika musi stanowić fakt, że kiedy się tutaj mówi: „jest rzeczą widoczną" — to się ma na myśli nie spostrzeżenie, czy wrażenie bezpośrednie, ale wniosek. Bynajmniej nie dzieli się prof. Kleiner z czytelnikiem ciężarem swego mozołu; dzieli się tylko samemi jego owocami, które możemy spożywać bez żadnego już własnego wysiłku, bez najmniejszego zmęczenia. Lektura to oczywiście nie dla wszystkich. Żeby czytać tę książkę z godnem jej wartości zajęciem, trzeba kultury literackiej i estetycznej wcale znacznej. Kto ją jednak posiada, ten się napewno ani nie znudzi, ani nie znuży żadną stronicą. I oprócz naukowego będzie miał równocześnie także duże zadowolenie estetyczne. Wykład swój bowiem tak w całości, jak w każdej jego części skomponował autor nadzwyczaj starannie — przejrzyście i proporcjonalnie. Idzie cały czas jednym tokiem, wszelkie konieczne zboczenia i wyjaśnienia dodatkowe przenosi rozmyślnie do przypisów. Nie wypada przytem nigdy z raz ustalonej melodji stylu, melodji lekkiej, przystępnej a zupełnie indywidualnej, charakterystycznej specjalnie dla niego. Wogóle stara się, żeby ta książka o najpiękniejszej poezji była nie tylko w najpełniejszem znaczeniu dziełem naukowem — stara się i o to, żeby była zarazem książką piękną. Oczywiście odnosi się to do wszystkich trzech tomów monografji jednakowo. Trzeci jest częścią wykonania jednolicie obmyślonego planu architektonicznego, obejmującego całość tematu i zarówno linjami kompozycji, jak rozmiarami i stylem szaty zewnętrznej jest przedłużeniem pierwszych dwu tomów zupełnie konsekwentnem i harmonijnem.

Jest zarazem doprowadzeniem budowy już prawie pod sam dach. Ale konstrukcja tego dachu — skoro materjałem ma tu być twórczość Słowackiego w okresie mistyki—będzie zadaniem niewątpliwie najtrudniejszem, tak jak najtrudniejszą do czytania, najmniej przystępną jest ta twórczość. Trudność zaś będzie jeszcze mocno spotęgowana faktem, że sam materjał przedstawia w tym wypadku jeszcze rozleglejsze rumowiska niż *Beniowski* i że uporządkowanie tego rumowiska samo dla siebie już będzie pracą iście Heraklesową.

Po doświadczeniu z *Beniowskim* jesteśmy pewni, że jej prof Kleiner podoła. Niemniej jednak uświadomienie sobie pomienionych trudności będzie obecnie czynnikiem na nowo podniecającym ciekawość i sprawi, że będzie się oczekiwało czwartego tomu z równą niecierpliwością jak trzeciego.

Oby się czekało jaknajkrócej!

Józef Ujejski.

*) Juljusz Kleiner.— Juljusz Słowacki, dzieje twórczości Tom III, okres Beniowskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa 1923, str. 419.

PAŹ KRÓLOWEJ i ŻAŁOBNIK.

BAJKA.

Radosny Paź Królowej opowiadał, ile
szczęścia ponad kwiatami zaznają motyle.
Usłyszał to Żałobnik i rzekł: „Radzę tobie
zamiast się cieszyć życiem—chodzić wciąż
w żałobie,
albowiem śmierć nas wszystkich czeka
w ptasim dziobie".

Odparł mu Paź Królowej: „W dobroci bez
końca
nam, motylom, dał dobry Bóg Królestwo
słońca.
Dla nas obu świat cały jest kwietnym
ogrodem.
Obaj bujamy w niebie i żyjemy miodem.

JULJAN EJSMOND.

Siedlisko maj. Koszelów margr. Milewskiej Umiastowskiej pod Nowogródkiem, zajętego pod osadnictwo wojskowe.

Pierwsze zabudowania w „Osadzie Krechowieckiej" (pow. Równe).

U OSADNIKÓW WOJSKOWYCH NA KRESACH.

Powróciłem niedawno z Kresów Wschodnich, gdzie miałem za zadanie przekonać się na miejscu o stosunkach, panujących wśród osadnictwa wojskowego.

Chodziło o to, czy osadnicy rozpoczęli pracę swoją racjonalnie? Czy nie potrzebują pomocy i kierunku zawodowego, którego mogłoby im udzielić Centralne Towarzystwo Rolnicze, rozporządzające na Kresach Wschodnich siecią Towarzystw Okręgowych, ożywiających już po trochu swoją działalność, po strasznych przejściach wojennych tych stron.

Wreszcie C. T. R. ustala sobie pogląd, że operowanie na Kresach pośledniem aparatem wykonawczym, czy to w działalności państwowej, czy gospodarczej, czy społecznej — to polityka krótkowzroczna i całkiem opaczna, która nie zwiąże Kresów z Macierzą w dostatecznie krótkim czasie i nie wyrwie też tych nieszczęsnych obszarów nareszcie z atmosfery upadku powojennego. Dlatego winniśmy być gotowi do ofiar w tym sensie, aby zachowując na urządzonych już jako tako po wojnie ziemiach Polski etnograficznej nawet gorszych wykonawców—na Kresy posyłać ludzi pierwszorzędnych.

Taki ma zamiar Centralne Towarzystwo Rolnicze.

Osadnictwo wojskowe zasługuje w tym względzie na szczególną uwagę. Na szczególną opiekę.

Można było w krytycznych dla tej akcji latach 1921 i 1922 (po wejściu w życie ustawy z 17.XII 1920 r., zaprowadzającej w Polsce XX wieku osadnictwo wojskowe) rozmaicie ją sądzić. Gdyby nie nasze rządy dyletantów, mogła i powinna była ta akcja być w porę wstrzymaną, bo dla nikogo, świadomego rzeczy, nie mogła rokować niczego prócz niepowodzeń. W warunkach ówczesnego rozbicia społeczno-gospodarczego na ziemiach wschodnich, wprowadzenie nowego, potężnego czynnika, piekielnego chaosu, zapewne nie było wskazane. Przywrócono wojnę — w czasie pokoju, w czasie, kiedy tamtejsza ludność — jak spieczona ziemia dżdżu — pragnęła pokoju.

Ziemiaństwo polskie najmniej spodziewało się, że polskie rządy będą je rugowały z odwiecznych jego siedzib—placówek kresowych. Spodziewało się, że dziś nareszcie odetchnie po wieku niewoli, że rola jego zyska odtąd na znaczeniu. Dla każdego rozumnego administratora ten czynnik społeczny miejscowy, rozporządzający wyborną znajomością stosunków, byłby siłą pierwszorzędną w polityce, siłą, którąby starannie szanował. Szerokie zaś masy ludności, przeważnie białoruskie, zostały przez gwałty osadniczych „kolumn roboczych" również niesłychanie zrażone do polskości i polskich rządów, do obnoszonej uroczyście, ale snać nieszczerze — „idei polskiej na Kresach".

Powiedzmy otwarcie — była to zbrodnia.

Zbrodnia w sensie pojęć o godziwości w postępowaniu ludzkiem zarówno, jak — i to jeszcze bardziej — ze stanowiska państwowości polskiej.

Akcja osadnictwa wojskowego pod względem gospodarczym znowu była całkowicie nieprzemyślana, cechowały ją w tym względzie naiwność bez granic, karygodna lekkomyślność, niedbalstwo. Personel wykonawczy (porwały się na to zadanie niepowołane dziś najzupełniej władze wojskowe) o technice osadniczej nie miał i nie nabrał dotąd pojęcia. Minęło już parę lat — nikomu do głowy nie przyszło zorganizować dla tego personelu poważniejszych kursów instrukcyjnych.

Grupa osadników w Grzybowie pod Słonimem; dwaj stojący z Małopolski, para siedząca z miejscowej szlachty zagrodowej poleskiej. Cieszą się nadzieją bliskiej budowy—drzewo już zwiezione.

„Mały osadnik". Osada Strzelce Wielkie. (Zdołbica, p w. Równe).

Ale tłumaczenie tej tragicznej pomyłki nieznajomością rzeczy, naiwnością, niedbalstwem i t. p. nie wystarcza.

Społeczeństwo nasze i opinja publiczna winny dzisiaj gorąco przejąć się losem osadników, wprowadzonych cynicznie w błąd przez wykonawców ustawy z 17.XII 1920 r., oszukanych wprost szumnemi, a bezmyślnemi zapowiedziami 1920 r.

Aliści winni muszą ponieść karę. Życie państwowe posiada, pomimo wszystko, pewne zasady moralne, wedle których ma kształcić poczucie odpowiedzialności przedewszystkiem wśród swoich narzędzi, inaczej o szanowaniu prawa ze strony obywateli nie może być mowy *).

* * *

Osadnictwo wojskowe na Kresach Wschodnich poprowadzono w szalonem tempie. W ciągu 2 lat nadzielono ziemią około 7.000 osadników. Nadzielono ziemią i — pozostawiono swemu losowi.

Owszem — większość znakomita, może wszyscy nawet podostawali z „demobilu" na „skrypty dłużne" po jednym czy po parze koni niewiele wartych, wóz zniszczony i po 1 czy 2 najniezbędniejsze narzędzia rolnicze. Pomoc gotówkowa nie miała żadnego znaczenia, gdyż nie tylko że późno o niej pomyślano w Sejmie, ale zbyt późno—w bezwartościowej walucie — wypłacano. Ziarno siewne — najczęściej za późno dostarczano.

Z tegorocznego kredytu 50-miljardowego (przeznaczonego zresztą także dla osadników cywilnych) przypadnie, przy indywidualnej kwalifikacji, po parę do dziesięciu miljonów, ale wypłaty przyjdą zapewne znowu spóźnione. Zresztą jest to pomoc najzupełniej niedostateczna: nie należało tak forsować osadnictwa, skoro się nie obliczyło zawczasu jego kosztów. Obecnie postawienie domu osadniczego z materjału, oddanego na spłaty długoletnie, kosztuje 6 miljonów; dokupno konia czy bydlęcia — miljony. Ta pomoc więc — to wsparcie, ale nie racjonalny kredyt osadniczy.

A nie zapominajmy, że wywłaszczonym właścicielom ziemskim państwo jeszcze nic nie zapłaciło do tej pory!

To się nazywa robota z planem i rozsądkiem, z poczuciem odpowiedzialności. A wzorów w osadnictwie naszych zachodnich sąsiadów, prowadzonem w „marchjach wschodnich" do czasu samej wojny — nie brakło... Zresztą posiadaliśmy i własne wzory, własne doświadczenie — w Małopolsce wschodniej.

* * *

Aleć osadnikowi polskiemu nie pierwszyzna borykać się z biedą, trudnościami technicznemi i przeciwnościami losu!

*) Przypominamy wniosek nagły w Izbie Poselskiej z 3 czerwca 1920 r. i publiczną odezwę z d. 4.VI 1920 Rady Naczelnej organizacyj Ziemiańskich. (*Przyp. aut.*).

Właściciel maj. Kołdyczewo w pow. Nowogródzkim p. T. Szalewicz, prezes Tow. Roln. Baranowickiego przed swojem mieszkaniem w blindażu niemieckim.

Szczyt „ziemlanki" we wsi Sinkowce. W okienku widać firanki i kwiaty; ludność przystosowuje się do tych powojennych warunków bytu, zanim pobuduje się na stałe.

Osadnicy nasi zorganizowali się w „Związek Centralny os. w." z oddziałami powiatowemi i choć nie doznają i tutaj dostatecznej pomocy kredytowej ze strony rządu dla swych współdzielni i innych przedsięwzięć — czerpią z samopomocy pewne korzyści, choć głównie otuchę. Zjazd lutowy „Związku Centralnego" w Warszawie dowiódł, że ciężkie 2 pierwsze lata ducha w osadniku nie złamały.

O inteligencji osadniczej (oficerach) można powiedzieć z całem przekonaniem, że jest przejęta nawskroś szlachetnym zapałem do dzieła, do swej roli, jako kierowniczki masy osadniczej. A ta masa przedstawia się coraz lepiej. Żywioły ujemne są konsekwentnie usuwane. Często słyszy się osadników-szeregowców, poważnie mówiących o misji kulturalno-politycznej, którą im powierzono, której się nie sprzeniewierza.

Dzisiaj jednak i społeczeństwo polskie powinno się policzyć z faktem dokonanym. Skompromitowali się inicjatorzy, zarazem kompromitacją obarczyli rząd i polską państwowość. Nie dajmyż zmarnieć osadnikom samym, a uratujemy jeszcze ideę.

Najcięższe jest położenie inteligencji osadniczej. Ona wymaga najspieszniej poparcia moralnego i materjalnego, gdyż od jej energji zawisło w pierwszym rzędzie powodzenie całej akcji. Wielu oficerów otrzymało zwykłe, kilkunastohektarowe działki, z których się żadną miarą utrzymać nie będą mogli. To jest nasze najgłębsze przekonanie. Nawet t. zw. „wzorówka" 45-hektarowa tylko wyjątkowo będzie stanowiła źródło dostatniego utrzymania dla inteligenta, który nie ma obniżyć poziomu swojej kultury, a przeciwnie promieniować nią na otoczenie. Oficerowie powinni mieć daną sposobność dorabiania jako instruktorzy etatowi w samorządzie, w organizacjach społeczno-zawodowych, jako nauczyciele szkół powszechnych, na pomniejszych urzędach choćby, aby nie byli zmuszeni, jak dotąd, do terania się w pracy fizycznej, w sytuacji, właściwie beznadziejnej.

Dwór zajętego pod osadnictwo wojskowe maj. Grzybowo pod Słonimem.

Dodajmy, że osadnictwo nie ominęło i dawnego kilkomilowej szerokości pasa przyfrontowego. Jest to dotąd najczęściej pustynia, warunki niesłychanie ciężkie tam panują. Jak wskazują nasze ryciny, widuje się tam dotąd jeszcze ziemianina, od lat mieszkającego w blindażu wojennym, a wioski z „ziemlanek." W innych stronach osadnicy pozajmowali dawne dwory, zanim się sami pobudują, a te „resztówki" z dawnemi osiedlami obrócone zostaną na „ogniska kultury rolniczej."

Na razie oto widujemy rodziny osadnicze (część żeni się na miejscu z rusinkami, inni znajdują żony w okolicznych chutorach drobnoszlacheckich polskich), odpoczywające po pracy na pięknych sosnach, pozwożonych już przeważnie wszędzie tej wiosny z lasów rządowych czy prywatnych: to materjał na budowę przyszłych osiedli osadniczych, do której wszyscy tęsknią.

Dotąd, choć osadnictwo to trwa już przeszło 2 lata, prawie nikt z osadników w żadnym z 30 powiatów, objętych osadnictwem wojskowem na Kresach Wsch., nie pobudował się. Gnieżdżą się po dawnych dworach i czworakach, lub po wsiach okolicznych, cierpiąc najczęściej ogromne, dokuczliwe niewygody, narażeni często na wynarodowienie i poniewierkę.

Ale dotąd ducha nie tracą, pogodnie patrząc w przyszłość. Ukąsili tej ziemi i nie opuszczą jej więcej — na to są zdecydowani. Początkowo wielu działki porzucało — nie mogli wytrzymać. Ta autoselekcja dała wreszcie jednostki odporne, które — miejmy nadzieję — wytrwają. Twardy, piękny materjał żołnierski.

Od nas to w wielkiej mierze zależy: załóżmy „Towarzystwo Przyjaciół Osadnictwa Kresowego", pogarnijmy się na razie ławą do Towarzystwa Opieki nad Kresami (Kredytowa 16, tel. 10-92), przekonajmy osadników, że społeczeństwo ich doli współczuje, z ich misją współdziała — a inaczej wezmą się jeszcze do pracy, niż dotąd, i wraz z nami zwycięsko zmyją plamę z początkowych rządów polskich na tych niedocenionych, tak pięknych i bogatych Kresach naszych.

Jan Lutosławski.

(Zdjęcia fot. R. Kiewlicza).

Na rubieżach Rzeczypospolitej. Pomnik zwycięstwa w Baranowiczach z napisem: „Cześć zdobywcom! Chwała poległym! 18/IV. 1919 r.

Dworek w Korzeniowszczyźnie w baranowickiem na pograniczu rosyjskiem, ostatnio często niepokojony przez napady głośnego bandyty Muchy, komisarza bolszewickiego. Przetrwał wszystkie koleje wojny pod wierną opieką właścicielki, sędziwej p. Łopottowej.

J. BOLESŁAW RYCHLIŃSKI:

W PODMORSKIM MŁYNIE.

WIZJA OPJUMOWA.

Ciągnąc Haumena za wygalowany rękaw, właściciel palarni zachwalał mu natrętnie swój towar:

— Kapitanie, eh, kapitanie! Mam prawdziwą sól morską. Szczypta tej soli, domieszana do perły czystego Benaryjskiego opjum, zdradza palaczowi tajemnice morza. Prawdziwa sól morska! Żebym tak zdrów był!

Kapitan Ralf Hanumen podniósł na Knispela swe piękne jeszcze, choć zmęczone i zaognione oczy. Pod wpływem opjum utraciły one płynność i barwę morskiej wody, stężały, stały się nieruchome i stalowe, robiły wrażenie dwu minjaturowych krążków lustrzanych. Obok na macie siedział Knispel. Zwężające się stopniowo pole widzenia Kapitana Hanumena obejmowało jeszcze parę metrów wyłożonej matami posadzki. Tak, to Knispel! Drobny i ruchliwy Knispel, właściciel palarni. Do niedawna Hanumen o jej istnieniu nic nie wiedział. Dopuszczono go do tajemnicy dopiero po powrocie do Baltiki. Długą, jałową odbył stary kapitan wędrówkę po Bałtyku, wodach, nawiedzonych przez *Latającego Holendra*. Fantazje, legendę brał za rzeczywistość. *Latający Holender?* Śmiechu warte! Długą chwilę myśl Hanumena, niby czarna mewa, polatała nad łachami, wyspami i skałami bałtyckiego wybrzeża, potem zwinęła skrzydła i kamieniem wpadła mu do czaszki z powrotem. Coś go tupnęło w głowie. Drgnął. Przy nim na macie siedział Knispel.

Czemuś Hanumenowi się wydało, że Knispel ma na sobie chińskie, żółte jedwabie. Cały jest kremowy. To Chińczyk. Twarz ma suchą, wyschłą, żółtą, jak pergamin, rysy ostre, oczy skośne, brwi w kątach podniesione. Ależ to Wan-Cze-Tsing, handlarz cudowności z Szanghaju.

Jedyny rzetelny handlarz cudowności, jakiego spotkał w życiu. On to sprzedał mu emaljowany wazon, który, jakoby, przeleżał na dnie morskiem w ciągu całego panowania mandżurskiej dynastji. Fakt faktem, ilekroć miał wiać tajfun, w wazonie na dobę przedtem jęki słychać było.

Tsing, czy Knispel, wszystko jedno. Cóż może to wzruszać jego, Ralfa Hanumena? Kapitan Ralf Hanumen ma duszę bonzy...

— To prawdziwa sól morska... i zdradza tajemnice morza... żebym tak zdrów był — zaklinał się handlarz cudowności—wąskiemi, sinemi usty. Ręka, w której sól trzymał, trzęsła mu się jak w febrze. Miał, snać, rzetelną ochotę uraczyć kapitana tym specyfikiem.

— Ostatnia szczypta — szeptał tajemniczo tonem poufnego zwierzenia. — Jedyna okazja! Zobaczy pan jak trawa w morzu rośnie...

— He? — przemknęło przez myśl Hanumenowi.

— Gratis! Przypraw do opjum nie sprzedaję, dodaję gratis.

— Musi w tem mieć swój cel, interes jakiś — pomyślał Hanumen. W tejże chwili uczuł jednak taką w głowie pustkę, jakgdyby już była czerepem. Ostre łaknienie cudowności rozlało mu się po żyłach.

Tymczasem Knispel zamanipulował nad lampą swemi chińskiemi szponami. Wymieszał gałkę benaryjskiego opjum ze szczyptą morskiej soli. W płomieniu lampy opjum stało się wkrótce przezroczystym topazem.

Hanumen nieledwie wyrwał mu z rąk fajkę i odurzający opar chciwie wciągnął. Pole widzenia palacza poczęło się kurczyć, kurczyć z nieprawdopodobną prawie szybkością; oczy mu zaszły mgłą subtelną, lecz gęstniejącą coraz. We mgle tej, rzecz niepojęta, uczuł, że traci na wadze. Miał wrażenie, że staje się coraz lżejszy, ba, nietyle lżejszy, co swobodniejszy, wolniejszy w ruchach. Coś go najwidoczniej opuszczało, opuszczał go ciężar ciała. Miał tedy ciało, pozbawione ciężaru. Uczucie boskie, boskie! Ruszył głową i słaby ten odruch wystarczył do poderwania z maty całej jego wiotkiej, eterycznej postaci. I znów to nieopisane, niepojęte wrażenie opuszczania czegoś, tracenia na wadze, porzucania brzemienia, wychodzenia z siebie! Czuł się zawieszonym w materji płynnej, znacznie gęstszej od jego własnej substancji. Popływał w niej. Ruszył ręką prawą i posunął się na prawo; ruszył lewą — i popłynął na lewo. Kolistym zamachem, nieuchwytnym, lekkim, jak w tańcu cieni, wyciągnął przed siebie ręce i—pomknął. Wychynął z mgły. Olśniło go morze blasku. Naokół było tak jasno, że wydał się sobie prawie czarny, do księżycowego cienia podobny, Czuł, jak tężeje, jak ten bijący zewsząd, oślepiający blask zagęszcza go w sobie, konkretyzuje. Był sylwetką, obrysowaną światłem. Stopami dotykał powierzchni bez fałdy, zmarszczki, czy cienia. Po takiej powierzchni można się było tylko ślizgać. Nie odbijała nic, była mętna. Oswoił się już z blaskiem i otworzył oczy. Przed nim, z boków, z tyłu, prostopadle piętrzyły się tafle lustrzane. Był w lustrzanym labiryncie. Czarna jego sylwetka odbijała się w zwierciadłach niezliczoną ilość razy. Pierwsze lustro drugiemu ją podawało drugie — trzeciemu... Gdziekolwiek rzucił okiem, wyrastało uszeregowane i malejące w dalekości wojsko jego własnych sylwetek. Miał iść naprzód! którędy? Wyciągnął rękę w lewo — lustro; cofnął się — natrafił na lustro; pomknął naprzód—na lustro wpadł prawie. Wreszcie, prawą ręką trafiwszy w próżnię, przesunął się w tę stronę. Zezem oka pochwycił w zwierciadłach olbrzymi marsz swych własnych czarnych sylwetek. Roiło się od nich w całej ozwierciadlonej nieskończoności. Uczuł, że blednie. Czyżby i cienie bladły z przerażenia? Przecież był swoim własnym cieniem. Ale którym? Tym na prawo, czy tym na lewo, a może tym trzecim z rzędu, który tak sceptycznie się uśmiecha? Uślizg w prawą stronę nic mu nie pomógł. Znowu jest w lustrzanem więzieniu. Cofa się w tył — za nim wyrosło zwierciadło! Targnął się. Uczuł dreszcz, jakgdyby mu włosy stawały na głowie. Jakie włosy? Od ćwierć wieku świeci już łysą czaszką. Spojrzał przed siebie. Coraz to rosnąc w oczach, wprost na niego wojsko łysych czaszek maszerowało. W panice odskoczył od dwu lśniących zwierciadeł. Trzecie miał poza sobą. Ułudą mogło być tylko wojsko łysych czaszek, które nań maszerowało. Gdy stanął bezradnie, sylwetki o łysych czaszkach zatrzymały się również. Zebrał się w sobie i pięścią zamachnął na przednie zwierciadło. Musi przejść. Tędy wypada mu droga. O dziwo, pięść przemknęła przez lśniącą powierzchnię. Przecisnął się przez nią ramieniem, potem głową. Zwierciadło było płynne, zimne jak woda morska. Ależ tak, to poprostu tafla morskiej wody. Znalazł się w głębiach — wyszedł w morze. Handlarz cudowności nie kłamał.

Naokół rosły kępy skrzypów, nie skrzypów, potwornych alg czerwonawych. Ruszały się, wiały w zielonym zmierzchu. Las schodził gdzieś w głąb zupełnie ciemną, w otchłań. Tędy, snać, wypadła mu droga. Widzi przecie, jak trawa w morzu rośnie. Spojrzał w górę. Prostopadle nad głową, niby ogromna tarcza szmaragdowa świeciła pełnia księżyca. Była zamazana i bardzo blada. Ach, więc stąd ten olśniewający blask w lustrzanym labiryncie. Tuż pod powierzchnią musiało być jasno, tu na kilkosążniowej głębokości panował mrok zielony. Podmorski krajobraz ginął w ciemnościach. W lesie prąd płynął, unosił pięciopromienne, świecące brizingi, wiał czerwonemi algami. Pięć, sześć, siedem węzłów, mało! — ten prąd robił conajmniej osiem węzłów. Kto wie, może więcej? Wartko unosił Hanumena, który ani się spostrzegł, jak wypadł na obszerną polanę. Z przeciwnej strony czerwonego lasu majaczyło podobne łożysko. Pośrodku polany stał młyn, wąski w pasie młyn-osa, typowy młyn bałtycki. Olbrzymie skrzydliska młyna warczały w ciemnościach. Przed młynem tworzył się lej olbrzymi, potworny, wydrążony stożek, spiral z rozpędzonej rtęci. Hanumen zetknął się z krawędzią stożka i zakołował. Prędzej, wciąż prędzej, gwałtowniej, zawrotniej kołował, wirował, pędził, migał po lustrzanej posadzce leju. Coraz wściekleje wirując, mniejsze i mniejsze opisywał koła, nieledwie dokoła swej własnej osi się obracał. Był frygą, derwiszem tańczącym! Nagle zionęła nań otchłań czarna — czeluść w osi młyńskich skrzydeł. Wpadł w paszczę podmorskiego młyna...

Gdyby nie był sylwetką tylko, istotą bezcielesną, nie wyszedłby cało. Powoli ochłonął. Dwa cienie w marynarskich bluzach prowadziły go pod ręce. Wąsko było, ciemno, ślisko jak w lochu. Przewodnicy świecili w nim swemi upiornemi topielczemi twarzami. Potem loch się skończył i Hanumen osłupiał do reszty. W ogromnym fosforyzującym, lazurowym basenie kręciły się, zgrzytały, warczały żarna. Drobno, na pył diamentowy mielona sól sypała się skroś błękitną wodę. Marynarze-topielcy zsypywali sól morską do woreczków z rybiej łuski. Upiorne ciała, czyniąc męt w lazurowej toni, opalizowały i chwiejnie płomieniały. Cudowny, niezapomniany widok! Lecz dwaj przewodnicy nie dali Hanumenowi się zatrzymać. Prowadzili go dalej, w głąb młyna. Tu przy stoliku z Kion-sień-skiej porcelany siedział Chińczyk w żółtych cesarskich jedwabiach. Nawet skroś płynny lazur Hanumen poznał go od pierwszego wejrzenia. Ta twarz kremowa o rysach ostrych, drapieżnych na sposób mandaryński, brwi podniesione w kątach i niby pendzlem malowane, wreszcie oczka czarne, biegające mogły należeć tylko do Wan-Cze-Tsinga, handlarza cudowności. Wybijając ceremonjalne pokłony, Chińczyk kiwa się do pół ciała.

— Wan-Cze-Tsing, czemużeś mnie tu sprowadził?

— Czcigodny kapetano, Ha-me-ne — wy-

mawia handlarz z chińska. — Niechaj twoja starcza dłoń złoży podpis pod skryptem tym oto mizernym, a wypłacać ci będę gażę morską solą.

Hanumen porwał skrypt, zapisany misterną chińszczyzną. Był to, z zachowaniem obowiązujących ceremonij, kontrakt pomiędzy armatorem a kapitanem *Latającego Holendra.*

— Top! Tsing, dobijmy targu! — bez namysłu zawołał Hanumen.

Najpiękniejszym tuszem skreślili pod skryptem swe imiona. Wówczas Tsing podał kapitanowi woreczek z rybiej łuski. Wypielęgnowane, oprawne w złoto szpony Chińczyka załaskotały Hanumena po dłoni...

...Hanumen ocknął się. Leżał na macie. W ręku ściskał kurczowo woreczek z rybiej łuski. Latającemi, sztywnemi palcami począł go odwiązywać.

— A nie rozsyp, kapitanie, soli — ozwał się doń warujący obok Knispel. Oczy starego handlarza do dna djabelstwem były nalane.

KONIEC.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

8)

— Tak, ja muszę być zawsze dla wszystkich uprzejmą... Ale nie znam nikogo. Mnie się zawsze wydaje, jakby wszędzie byli ci sami ludzie, którzy mnie we wszystkich miastach przyjmują. Co tobie jest, Jakóbie?

Lolo mówił ciągle jeszcze o złotym domu i Jakób był zmuszony mu znowu przerwać:

— Ależ nie, — zawołał — ten dom nie jest z czasów trzydziestoletniej wojny... przecież w r. 1830 nie było...

— Dobrze, nie jest z czasów trzydziestoletniej wojny — ale ja go bardzo lubię, bardzo. To pewne.

— Wiele lat ma pana syn? — zapytał ktoś.

Lolo się namyślał.

— Trzynaście — oświadczył Jakób.

Eugenja nie była zadowolona z tej odpowiedzi. Zaczerwieniła się i mruknęła:

— Nie mieszaj się do wszystkiego, mój kochany... Daj ojcu spokojnie mówić z panami.

Lolo trząsł głową i zapytał:

— Już trzynaście?... nie może być.

— I znowu wyciągnął swe dokumenta z kieszeni.

— Ja przecież wiem na pewno — zapewniał Jakób wytrwale.

Wtem powiedziała Eugenja:

— Lolu, mnie się zdaje, że ty musisz iść do filharmonji?

Ale goście długo jeszcze nie chcieli się pożegnać; kiedy Lolo poszedł, siedli sobie wszyscy wygodniej w fotelach i patrzyli z przyjemnością wyczekująco na piękną gospodynię.

Eugenja szepnęła cicho:

— Jakóbie, popatrz na zegarek, bo o wpół do szóstej muszę się zacząć ubierać.

Uśmiechała się ciągle tak samo, jak przedtem. Jednak w pokoju atmosfera zrobiła się mniej ciepła i ożywiona. Może dlatego, że Lola nie było.

— Czy pani ma tremę? — zapytał jeden z panów.

— Nigdy — odpowiedziała śpiewaczka.

A kiedy naraz pokojowa zaanonsowała nowego gościa, Eugenja wstała i przywitała go wesoło.

Był to inżynjer.

Jakóbowi zdawało się, że Eugenja nie ucieszy się wcale na widok inżynjera, bo przecież nie lubiła tak jego żony. Zresztą ubranie jego nie było zupełnie stosowne w tem towarzystwie. Zjawił się jak zwykle w tużurku w kratkę, a wszyscy inni byli czarno ubrani, bo mieli wieczorem być na koncercie.

Ale Eugenja powitała go jak brata, lub najlepszego przyjaciela.

— Ach, jakże się cieszę — powiedziała, a w brzmieniu jej głosu słychać było łzy.

Zdawało się, że zrobiła się naraz mniej wytworną i błyszczącą, żeby stać się więcej podobną do swego gościa.

Mogliby zupełnie dobrze razem tańczyć. Inżynjer miał jak zwykle kołnierzyk, którego wcale nie było widać, ale wyglądał mimo to prawie korzystnie.

Kiedy tak stali oboje koło siebie, przypominali młodą parę na obrazie zatytułowanym „Pożegnanie", który wisiał w pokoju majorowej. Chłopiec z długą szyją i szczupła dziewczyna, na tle jakiegoś fantastycznego krajobrazu, całowali się oczami, po raz ostatni.

Wtem Jakób zawołał głośno:

— Eugenjo, już jest wpół do szóstej — musisz się ubierać.

VI.

Najlepsza przyjaciółka Eugenji wydawała się wprost starą, jeżeli sobie pozwalała na chwilę wytchnienia, ale to się zdarzało bardzo rzadko.

Lubiła zawsze wiele trudów i odmiany. Jeżeli życie jej się układało gładko, sama sobie wymyślała przeszkody i była w tem artystką, jak i w wielu innych rzeczach. Pani Hermina nie miała stałego miejsca pobytu, jak wogóle stałą nie była w żadnym kierunku. Nie znała ani lenistwa ani tysiącznych, małych przykrości życiowych, które psuły życie jej bliźnim.

Pochodziła z bardzo poważnej rodziny burżuazyjnej i była w dodatku wdową po prezydencie sądu.

Przed wielu laty prowadziła tak zwany „duży dom" i oprócz dzieci i sług miała także rozliczne meble w najrozmaitszych stylach. Ale po śmierci męża pożegnała się ze swą przeszłością, ze swemi córkami i synami, którzy już byli zanadto dorośli i zaopatrzeni na życie. I poszukała sobie innego miejsca, ażeby rozpocząć zupełnie nowe życie, możliwie niewygodne i nieodpowiednie dla swego stanowiska.

Po wielu rozczarowaniach i kosztownych omyłkach znalazła wreszcie St. Paul, małą górską miejscowość, wysoko położoną, zamieszkaną tylko przez chłopów i dość oddaloną od kolei, gdzie było takie bajecznie rzadkie powietrze, tak młode i tak warjackie, jak jej natura. Tam wytrzymywała już prawie od pięciu lat. Wzięła obce dziecko na wychowanie, bo jej własne były za wielkie i zanadto samodzielne. Przytem tęskniła ustawicznie za swoją rodziną i nawet bardzo dalecy krewni sprawiali jej wiele trosk w bezsennych nocach. Za światem położone St. Paul odpowiadało dziwnym potrzebom jej miłości, którą wielkie odległości pobudzały i żywiły.

Tak, w St. Paul była na szczęście poczta, a stosunki pani prezydentowej z pocztą były zawsze nadzwyczaj żywe i gorące. Pani „urzędniczka" przynosiła jej zwykle listy dla niej przeznaczone i nowiny, których nie było w gazetach.

Opowiadała np.:

— Moja siostra była w mieście i miała szczęście słyszeć sławną przyjaciółkę pani.

— Nie może być, Eugenję?

— Tak, wczoraj był jej pierwszy koncert, a jutro daje drugi.

— W takim razie dziś tu przyjedzie — odgadła pani Hermina.

— Masz babo redutę — powiedziała w tej chwili mała Ewa, która się u niej wychowywała i naśladowała we wszystkiem styl swej przybranej matki — gdzież ją umieścimy? Już dziś Mila ma przyjechać na noc.

— Że też u nas nic się nie dzieje tak jak u innych ludzi — irytowała się pozornie pani Hermina.

— Niech pani wybaczy, ale musimy wstąpić zaraz do Agaty Schleier — powiedziała do „urzędniczki" i w sekundę potem biegła już z pośpiechem na dół, ciągnąc dziecko za sobą.

I w tej samej chwili podniósł się szalony wiatr halny. Była to już właściwość St. Paul, że we wszystkich krytycznych i dramatycznych momentach życia wiało ze świstem i wyciem w całej okolicy, jakby miał przyjść koniec świata.

I zawsze trzeba było biec na dół, jeżeli się miało coś do załatwienia, bo na najwyższym punkcie, wyżej niż kościół, stał mały domek prezydentowej; pod kościołem leżała maleńka miejscowość, a jeszcze niżej „sklep" Agaty Schleier, gdzie można było dostać potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy.

Po drodze dziecko zauważyło:

— Po co my właściwie idziemy do pani Schleier? O wiele ważniejszy jest przecie rzeźnik.

Pani Hermina uderzyła się w czoło i zaraz trzeba się było wracać i piąć się pod górę.

— Ty jesteś mądre dziecko — powiedziała prezydentowa.

Mała Ewa, czyli „mądre dziecko", miała zaledwie dziewięć lat, wyglądała jednak na więcej, silna i odważna, przy tym szalonym wichrze, któremu się opierała, żeby jej jak świstek papieru nie podniósł w górę.

Niegdyś rodzice jej zginęli w górach i przyniesiono ich nieżywych na stację ratunkową w St. Paul. Oboje naraz. Pani Hermina, która tam właśnie wtedy przybyła, zauważyła, że była to ładna śmierć dla młodych i kochających się ludzi. Mała Ewa, zostawiona dzień przedtem w jedynej oberży w St. Paul, podobała się jej także.

Całe St. Paul wydawało jej się cudowne i powiedziała:

— Tu chcę pozostać — i dziecko wezmę do siebie.

— Ale to dziecko pochodzi z protestanckich rodziców — zauważyła oberżystka.

(*Dcn*)

Flaga polska w kanale Kilońskim. Most koło Levensau.

Angielski pałac królewski: „Sandringham".

NA HANDLOWYM STATKU POLSKIM DO ANGLJI.

Korzystając z uprzejmości Tow. Żeglugi Morskiej „Sarmacja", spędziłem prawie cały miesiąc czerwiec na jej sprawnym okręcie „Wisła", stalowym parowcu, o pojemności około 900 ton.

Pod ładunkiem 240 standartów (po 165 stóp sześciennych) tartego drzewa polskiego, dnia 1-go czerwca, w południe, w śliczną pogodę „Wisła" wypłynęła z Gdańska, zanurzając się głęboko w fali Bałtyku.

Minęliśmy przylądek „Hel" i „Jastarnię polską" a niebawem potem ląd zniknął z widnokręgu. Na horyzoncie ukazywały się tylko czasem smugi dymu lub żagle przejeżdżających statków. Rankiem dnia następnego zarysowała się na widnokręgu szwedzka wyspa Bornholm, a koło południa mijaliśmy już malownicze, skaliste wybrzeża Rugji.

3 czerwca o świcie weszliśmy do zatoki Kilońskiej. Potężne forty i baterje, które strzegły niegdyś wejścia do kanału, obecnie, na mocy Traktatu Wersalskiego, są zburzone. Gruzy ich świadczą naocznie o złamaniu potęgi morskiej Niemiec.

Kanał Kiloński służy dzisiaj celom żeglugi międzynarodowej, oszczędzając statkom w drodze z portów Bałtyckich do Anglji przebycie conajmniej 300 mil morskich.

Przejazd przez kanał trwał 8 godzin. Tymczasem piękna pogoda, która sprzyjała nam na Bałtyku, stopniowo się pogarszała. Wyjeżdżając wieczorem z kanału pod Brunsbüttel do wezbranego przypływem estuarjum Elby, zostaliśmy powitani widokiem wzburzonego silnym wichrem Morza Niemieckiego. Przez dwie doby następne „Wisła" walczyła dzielnie z rozhukanym żywiołem i z stosunkowo małem opóźnieniem przybyła dnia 5-go czerwca do Harwich, niewielkiego portu na wschodniem wybrzeżu Anglji, służącego obok celów wojennych także pospiesznemu ruchowi pasażerskiemu London-Harwich-Rotterdam.

Nasz ładunek drzewny przeznaczony był do Mistley, malutkiego portu położonego w górze ujścia rzeki Stour, wpadającej do morza koło Harwich, a dostępnego tylko podczas przypływu dla statków morskich. Po kilku godzinach, poświęconych załatwieniu formalności celnych, korzystając z przypływu, puściliśmy się w głąb zatoki rzecznej. Zielenią pokryte wybrzeża bardzo sympatyczne i miłe robią wrażenie. Krajobraz falisty przypomina nasz lubelski, różni się od niego jednak obfitszem zadrzewieniem i solidnością osad ludzkich, krytych czerwoną dachówką.

Po 5-cio godzinnej, bardzo ostrożnej jeździe dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Miasteczko Mistley posiada rozwinięty handel zbożowy, fabrykę słodu oraz fabrykę stolarską, dla której ładunek „Wisły" był przeznaczony. Wyładowanie, wobec braku urządzeń w małym porcie, trwało sześć dni. Czas ten spędzałem w miłem towarzystwie wolnych od służby oficerów okrętowych na wycieczkach w okolicę. Tak zwiedziłem m. in. Colchester, założone przez Rzymian w r. 60 po nar. Chr., jako Camolodunum, słynne z zabytków rzymskich i swego „castle" z czasów normańskich.

Dnia 12 czerwca „Wisła" wyruszyła, korzystając z odpływu, przez Harwich do Kingo-Lynn, portu angielskiego w zatoce Wash nad ujściem rzeki Ouse. I tym razem morze było wzburzone. Mały nasz statek ciężko musiał walczyć przeciw wiatrowi, prądom i fali. Ale bądź co bądź, właśnie walka z żywiołem posiada niewypowiedziany urok, który marynarzowi w ciężkim jego zawodzie daje zadowolenie zwycięstwa, pewność siebie i hart nerwów.

Oficerowie „Wisły" na pomoście.

W Kingo-Lynn na naszą kolejkę w ładowaniu węgla czekaliśmy dwa dni, które zyskałem, studjując miasteczko, posiadające resztki fortyfikacyj średniowiecznych, dwa starożytne kościoły i naturalnie, jak wszystkie prawie miasta Anglji, swój „czołg" (tank), ustawiony w parku publicznym, jako pamiątka wojny.

Zwiedzałem również położoną w pobliżu Kingo-Lynn letnią rezydencję rodziny królewskiej „Sandringham". Przepyszny to pałac z czasów odrodzenia, otoczony parkiem i zwierzyńcem o rozległych trawnikach i wspaniałych grupach stuletnich rozłożystych dębów, lip i klonów o słynnej soczystej zieleni, jaką wytwarza wilgotny, umiarkowany klimat Anglji.

Czas ładowania węgla nie jest dla marynarza czasem przyjemnym. Całe wagony, przewracane w wieży ładowniczej, wysypują swą zawartość po równi pochyłej do wnętrza okrętu, wywołując wysokie tumany kurzu, który pokrywa na okręcie wszystko grubą warstwą i wnika przez najdrobniejsze szczeliny do kajut. Ładowanie węgla odbywa się jednak bardzo szybko. Przeszło 700 ton załadowaliśmy w niespełna 8 godzin.

Węgiel przeznaczony był do Emden, najbardziej na Zachód położonego portu niemieckiego na granicy holenderskiej.

Port Emden, specjalnie urządzony do wwozu rudy szwedzkiej i norweskiej, przeznaczonej dla Zagłębia Ruhry, a wywozu węgla z tego Zagłębia do krajów zamorskich, dziś, wobec okupacji Ruhry, służy importowi węgla angielskiego dla Niemiec.

Z powodu strajku robotników portowych straciliśmy w Emden 2 dni czasu.

O ładunek powrotny do Gdańska w czerwcu trudno, bo dopiero od lipca, po rozpoczęciu połowu śledzi, rozpoczyna się z portów szkockich transport tego towaru do portów bałtyckich. Wracaliśmy więc z Emden do Gdańska, dokąd przybyliśmy wspierani silnym wichrem zachodnim 24 czerwca, bez ładunku, pod balastem wodnym.

Wrażenia, które odniosłem w Anglji, studjując obyczaje jej mieszkańców, krótko dadzą się streścić w następujących uwagach. Kultura i cywilizacja są tam wysoko rozwinięte, lecz w odrębnym niż w reszcie cywilizowanej Europy kierunku. Wszystko, bez zbytecznej fantazji, dostosowane jest do realnych potrzeb życia i skrojone w sposób choć solidny, jednak nadzwyczaj oszczędny. Siłą Anglji jest głęboko zakorzeniony w każdej jednostce patrjotyzm, wydoskonalony do bezwzględnego egoizmu politycznego. Patrjotyzm ten nie jest jednak reklamowy, papierowy, o jaki i u nas nietrudno, ale jest to patrjotyzm czynu.

Obywatel angielski wie, że ojczyzna jego na wojnie dużo zarobiła, bez szemrania jednak ponosi dla kraju i rządu swego uznane za potrzebne ofiary, płaci 30% swego dochodu jako podatek państwowy, lecz ma też za to zupełną pewność, że i rząd obietnic swoich dotrzyma i wykona równie ściśle swe obowiązki względem obywatela jak tenże wobec rządu. To też np. drożyzna powojenna w Anglji stale od roku 1919 zmniejsza się w miarę wzrastania wartości walorów państwowych.

Podróż na „Wiśle" będzie mi przez całe życie miłem wspomnieniem. Sympatyczni oficerowie i marynarze załogi, choć nie wszyscy jeszcze narodowości polskiej, zawsze byli weseli i, żyjąc między sobą we wzorowej, przykładnej zgodzie, starali się uprzyjemnić gościowi w każdej chwili pobyt na swym schludnym statku.

Kończę tedy życzeniem, by flota Handlowo-Polska, przez zainteresowanie sobą wszystkich sfer społeczeństwa, wzrastała szybko i by jej w najkrótszym czasie przybyło dużo równie dzielnych jednostek jak „Wisła". *J. N.*

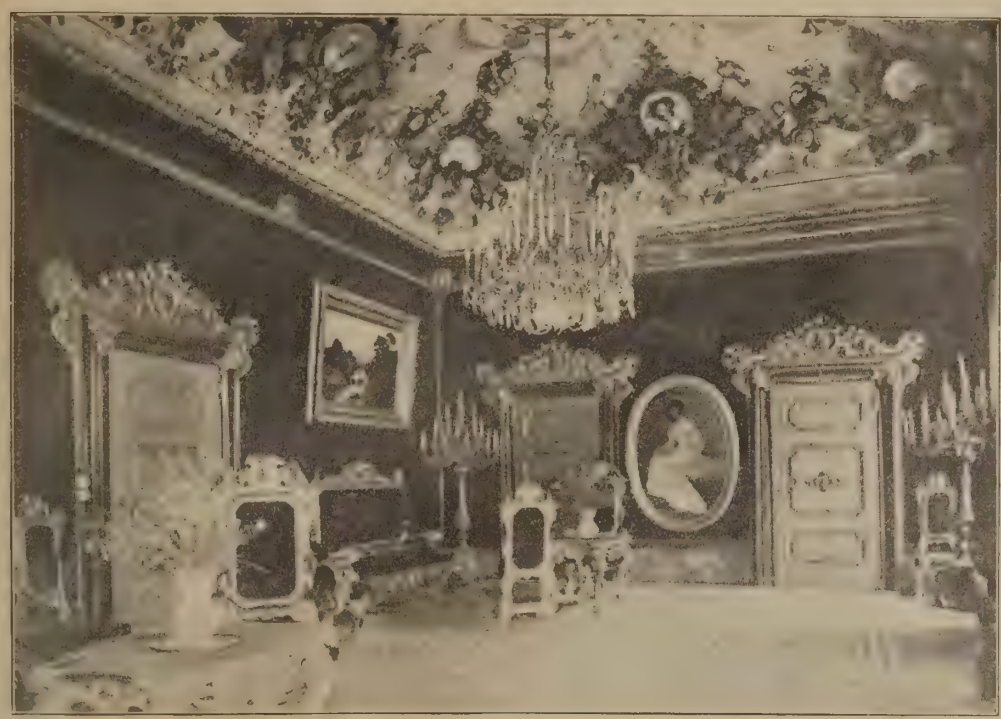

Sala dei „Promessi Sposi".

STEZZANO

(koło Bergamo).

Czerwiec, 1923.

W tym cichym kącie lombardzkiej prowincji, gdzie patrycjusze bergameńscy budowali sobie rezydencje letnie, jedną z najwspanialszych jest zbudowana około 1840 r., otoczona pięknemi ogrodami willa Carolich. Z tego domu wyszedł 60 lat temu adjutant Nulla, Ludwik Caroli, na polską wyprawę. Znany jest smutny jej koniec. Caroli, wzięty pod Krzykawką do niewoli, zmarł w katordze sybirskiej w r. 1865.

Dnia 17 czerwca pod surowym portalem pałacu (należącego obecnie do pp. Zamchi) odsłonięto przy udziale licznych gości tablicę pamiątkową, dzieło utalentowanego rzeźbiarza Avogardi'ego (którego rzeźba: kobieta w kąpieli, niedawno otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie w Brera). — Czy dobrze pojąłem Polskę?—pyta, wskazując na maskę kobiecą u góry tablicy—jakby budzącą się z bolesnego snu. „Una eroina, che a alfine spezzato le sue catene..." A ponieważ Luigi Caroli szedł po to, aby Polskę uwolnić..." — Pokazuje nam swój pierwszy pomysł, szkic do płaskorzeźby: Caroli, budzący się w swoim sybirskim grobie i patrzący z radosnem zdziwieniem na zjawę zmartwychwstałej Polski — pomysł zupełnie w rodzaju Malczewskiego.

Napis brzmi:

W tym domu — zbudowanym przez jego rodziców — żył —Luigi Caroli—bohater wyprawy polskiej — ofiara — umiłowania swobody — narodów uciemiężonych. — W 60-tą rocznicę wyprawy—1923.

Wokoło tablicy sztandary włoskie i polskie i wieńce o szarfach trójbarwnych i amarantowo białych. Gdy opadła zasłona, nastąpiło kilka minut wzruszonego milczenia. A potem na przemówienia polskie (konsul z Medjolanu, Marski, inż. Kołtoński im. Zw. literatów i pisząca te słowa im. komitetu pod przew. Żeromskiego dla uczczenia poległych cudzoziemców) odpowiedzieli mocnemi i świetnemi słowy: Minister wojny eksc. Bonardi, i Arnoldo Musolini, brat prezydenta, redaktor Popolo d'Italia. Okrzykowi na cześć Polski przywtórzył tłum zebrany na dziedzińcu entuzjastycznem: Eja, eja per Polonia! Ten starolatyński okrzyk wprowadził Gabrjel d'Annunzio*) i on dziś przesłał listownie w tejże formie swoje powitanie, łącząc zapewnienie, że nosi się z myślą o utrwaleniu tragicznych losów młodego Bergamaska, tak mało znanych dotąd.

Caroli w garybaldyjskiej koszuli.

Tablica pamiątkowa na domu L. Caroli'ego.

*) W liście udzielonym mi uprzejmie przez plk. Mazzuchelli'ego, d'Annunzio mówi, że tym antycznym okrzykiem chciałby zastąpić barbarzyńskie hurra!—„Wykrzyknęliśmy go raz pierwszy nad Polą. Rzuciwszy ostatnią bombę, zgasiwszy motor w swobodnym locie ponad intensywnym ogniem, cała załoga rzuciła go w twarz wrogowi. Był to moment przepiękny. Odtąd okrzyk ten jest nam drogi." — Było to 7-go sierpnia 1917 r.

„Około postaci Ludwika Carolego—pisze L. Vajanao, redaktor „Rivista di Bergamo" w numerze znajdującym się pod prasą a poświęconym Nullowi i obchodowi w Olkuszu oraz pamięci Carolego—utworzyły się cienie, które nie dały dotąd zabłysnąć, jak się godziło, piękności jego czynu i jego męczeńskiej ofiary.

Sprawił to nieszczęsny epizod, który związał nazwisko zmarłego z imieniem bohatera narodowego, Garibaldiego i bolesnym romansem jego drugiego małżeństwa, dotąd niewyjaśnionym. Ale teraz owa niesprawiedliwość zaczyna się naprawiać..."

Echa przeszłości idą za nami, gdy zwiedzamy dom, gdzie, zdaje się, snuje się jeszcze cień młodego gospodarza, który napełniał go niegdyś weselem swego śmiechu i swoją szaloną fantazją. Amfilady sal, zdobionych swego czasu przez najpierwszych artystów w stylu „romantycznym": sala balowa o subtelnym blado liljowym tonie, sala „dei promessi Sposi", salon turecki z fontanną szemrzącą w środku i t. d. a przez okna cudny widok na park, dyszący wonią róż i magnolij, wielkie cedry libańskie, czarne Wellihgtonje sadzone ręką nieboszczyka.

W „Sala di conversazione" stoi jeszcze stół, przy którym odbywały się za czasów austrjackich narady konspiratorów patrjotów, dla których ta ustronna willa była wygodnym punktem zboru. „Giglo" Caroli przywoził z Londynu nie tylko ośmiokonne zaprzęgi, budzące sensację na medjolańskiem Corso i zazdrość oficerów austrjackich, ale i wieści od naczelników emigracji.

Potem zaczęły się na tym stole rozkładać mapy Polski. A potem dom został pusty.

A kiedy młody pan skonał na dalekiem wygnaniu, majacząc do ostatniej chwili o swoim domu —w pałacu dusza zamarła. Zamknięto drzwi, zapuszczono czarne „tendy" u okien. Brat Bernard, pogrążając się z latami w melancholję, zamknął się w skrzydle przeznaczonem dla służby, żył i zmarł samotny, pozostawiając pamięć dobroczynnego oryginała. Pałac przechodził z rąk do rąk, aż nabyła go rodzina pp. Zamchich i otoczyła pamiątki po zmarłym należną czcią.

Ale najbardziej przejmującą pamiątką jest na cmentarzyku w Stezzano, skąd cudny widok na błękitne pasmo Alp, w kaplicy rodzinnej Carolich jeden grobowiec — pusty a na nim napis prosty i smutny, jak werset Anhellego:

Pamięci
Ludwika Caroli'ego
porucznika szwoleżerów z Saluzzo
który pośpieszył z garstką towarzyszy
w r. 1863
na sprawy polskiej obronę
i przypłacił tak szlachetne męstwo
więzieniem i śmiercią
w lodach Sybiru
tam legł bez grobowca
w dniu ósmego czerwca 1865
w wieku lat 31.
Niechaj mu wynagrodzi przecierpianą mękę
spokój wiekuisty.

Od kaplicy ciągnie się aleja zwana: Viale di Luigi Caroli — aż do świeżo zasadzonego „parku pamięci", w którym każdy świerk nosi nazwisko żołnierza poległego gdzieś na świecie w wojnie ostatniej, który tak jak Luigi Caroli „bez grobowca" leży.

Karolina Bielańska.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

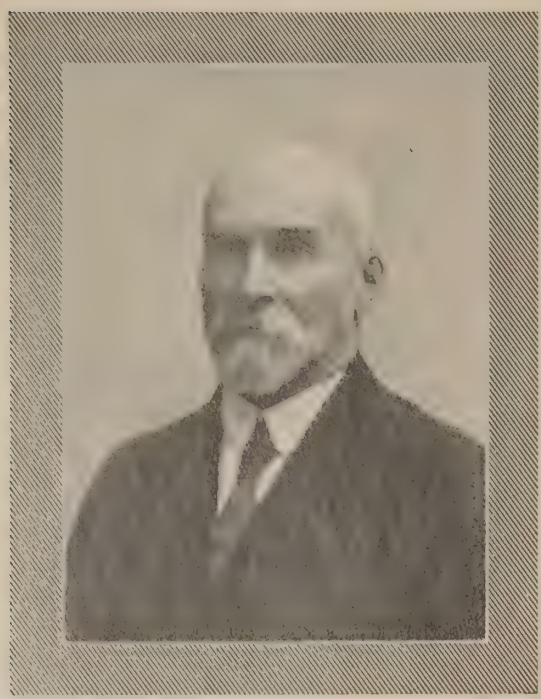

Ś. P. DR. WALENTY KAMOCKI.

20 czerwca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. dr. Walenty Kamocki, znany i ceniony okulista

Urodzony w r. 1858 w ziemi rawskiej, ukończył wydział lekarski w Warszawie. Praktykę rozpoczął w r. 1881, jako pomocnik prosektora w instytucie oftalmicznym pod kierunkiem prof. Szokalskiego i prof. Hoyera. Jako specjalność obrał sobie choroby oczne i z czasem objął naczelne stanowisko w instytucie oftalmicznym po prof. Szokalskim i dr. Gepnerze. Ogłaszał liczne prace naukowe w prasie lekarskiej. Pracował z zamiłowaniem na niwie społecznej, oraz politycznej. Był jednym z założycieli Ligi obrony konstytucyi w Polsce niepodległej.

Opiekował się „Latarnią", powstałą w Polsce po wielkiej wojnie instytucją opieki nad ociemniałymi. Był przez pewien czas prezesem Tow. lekarskiego i pierwszym prezesem Stowarzyszenia lekarzy polskich. Brał udział w stworzeniu polsko-francuskiego Towarz. lekarskiego, którego był wiceprezesem. Był kawalerem Legji honorowej.

Jako lekarz wybitnie zdolny i obywatel gorąco miłujący swój kraj zostawił po sobie pamięć wdzięczną kolegów i spółtowarzyszy pracy.

Ś. P. MAJOR OTTON GLOEH.

Dnia 11 z. m. w Poznaniu zmarł nagle na udar serca podczas kąpieli jeden z najdzielniejszych oficerów sztabowych armji polskiej, gorący i rozumny patrjota, b. dowódca bataljonu, a potem całego VII pułku saperów wielkopolskich, kawaler orderu „Virtuti Militari" i dwóch „Krzyżów walecznych", uczestnik bitew i ataków pod Bobrujskiem, Swisłoczą, Dobrosinem, Okuniewem, Radzyminem i innych, ś. p. major w. p. Otton Gloeh.

Przeszedł całą kampanję wojny światowej, gdy zaś zaczęły się nadarzać okazje powrotu do kraju, zorganizował kilkuset Polaków i na ich czele morzem Czarnem przez Rumunję pod koniec roku 1918 wrócił do Warszawy, opiekując się gorliwie nimi dopóki wszyscy nie opuścili baraków na Powązkach.

Po utworzeniu się samodzielnego i niepodległego państwa polskiego wstąpił do wojska w grudniu 1918 r. jako organizator i dowódca 3-go szwadronu straży granicznej, w którym przebywał kolejno na granicy w Mławie, Przasnyszu, a potem w Lubiczu i Służewie.

Przeniesiony na własną prośbę do 14-ej dywizji strzelców wielkopolskich do Poznania, brał gorący udział we wszystkich jej wojennych wyprawach. Lwów, Bobrujsk, Swisłocz, Dobrosin, Okuniew, Radzymin—to są bitwy i ataki, w których okrywał chwałą wojenną cały bataljon saperów, któremu dowodził, a który jedyny z pośród 30 wówczas istniejących za te czyny odznaczony został orderem „Virtuti Militari". Sam też po każdym przez siebie prowadzonym ataku otrzymywał w rozkazach pochwały i podziękowania, w końcu sam zdobył sobie „Virtuti Militari", a w walkach słynnych pod Radzyminem za powstrzymanie naporu nieprzyjacielskiego na Warszawę — dwa „Krzyże walecznych".

Po powrocie z placu boju pragnął kontynuować studja techniczne. Przeszedł kurs pontonjerski w Modlinie, kurs uzupełniający dla oficerów sztabowych w Warszawie, a następnie zapisał się na uniwersytet Poznański na wydział matematyczny. Gdy zaś departament V M. S. W. postanowił wysłać dwu oficerów saperów do szkoły

Ś. p. Marjan Otton Gloeh.

inżynjeryjnej w Wersalu, a potem w Fontainebleau, jako jeden z najzdolniejszych w tej dziedzinie, usilnie popierany przez swą bezpośrednią zwierzchność, miał nadzieję ostatecznego zrealizowania swoich tyloletnich dążeń dotychczasowych.

I oto śmierć nieubłagana, śmierć nagła przecięła to piękne młode życie. Zmarł w kwiecie wieku lat 33.

Zwłoki wyprowadzono po nabożeństwie z kościoła staroluterskiego w Poznaniu na dworzec przy udziale wojskowego kapelana, ks. pastora Mamicy, wszystkich władz wojskowych z jen Raszewskim i jen Milewskim na czele, 7-go pułku saperów, którego zmarły był czasowo dowódcą, całego korpusu oficerskiego i przyjaciół, aby przewieźć je do Warszawy do grobu rodzinnego. W niedzielę, d. 15 z. m., o g. 4 po poł. odbył się na cmentarzu ewangelickim w Warszawie, pogrzeb również z udziałem władz wojskowych i obozu kościuszkowskiego saperów. Delegacja oficerów, wysłana specjalnie z Poznania na pogrzeb, trumnę na barkach poniosła do grobu. Szczery, serdeczny żal wszystkich, którzy choć cokolwiek zmarłego znali, towarzyszył mu do mogiły.

Cześć jego dobrze zasłużonej pamięci!

Ś. P. KPT. KAROL WĄDOŁKOWSKI.

(W 3-ią rocznicę zgonu).

W dniu 4 sierpnia 1920 r. na polach wsi Pęchratka i Srebrna Paproć (pod Ostrowiem Łomż.) poległ ś.. p. kapitan Karol Wądołkowski, dowódca II baonu 201 pułku ochotn. Wypełnił on trudny obowiązek tych oficerów polskich, którym powierzone było stać się kośćcem i mózgiem porywu narodowego, rzucającego tysiące niedoświadczonych i niewyszkolonych ochotników, często dzieci, na pole rozstrzygających zmagań się z wrogiem.

17 lipca 1920 r. kpt. Wądołkowski otrzymuje rozkaz sformowania II baonu 201 pułku.

Już w kilka dni potem z baonem tym wyrusza w pole i bierze udział w całym szeregu walk odwrotowych za Grodnem. 4 sierpnia, osłaniając odwrót pułku, zostaje zaatakowany przez bolszewicką kawalerję ze skrzydła i od tyłu, zaś z drugiej strony przez piechotę. W podobnie ciężkim momencie jedynie żywy przykład osobistego męstwa dowódców może utrzymać ducha młodych i niedoświadczonych żołnierzy. Gdy giną znajdujący się w pobliżu swego d-cy oficerowie, ciężko ranny ppor. Czamowski — górnoślązak, marzący o walce na swej ukochanej ziemi — nie chcąc oddać się do niewoli, odbiera sobie życie wystrzałem z rewolweru. Koło dowódcy baonu skupia się już tylko garstka ochotników, która wnet zostaje roztratowana przez nieprzyjacielską jazdę. Ś. p. kpt. Wądołkowski ginie z głową, rozciętą szablą, obok niego pada, broniąc swego dowódcy ś. p. Bajer—ochotnik, z zawodu nauczyciel. Ciało ś. p. kpt. Wądołkowskiego, odarte z munduru, pokłóte bagnetami, wraz z ciałem poległych jego towarzyszów broni kilka dni leżało na polu, zanim ludności okolicznej pozwolono złożyć je we wspólnej mogile 22 ochotników.

Ś. p. Wądołkowski, wychowaniec szkoły W. Górskiego w Warszawie, student uniwersytetu w Dorpacie, kończący swe studja na uniwersytecie warszawskim, należał do najczynniejszych i najpopularniejszych przywódców młodzieży niepodległościowej przed wielką wojną i w czasie okupacji niemieckiej. W r. 1915 wyrusza z Warszawy z bataljonem Warszawskim do I Bryg. Leg. Pol. W 1918 r., w chwili rozbrajania Niemców, na czele oddziału ochotników zdobywa fabrykę Gerlacha na Woli, biorąc 500 karabinów maszynowych. Odbywa następnie kampanję w I p. p. Leg. Po śmierci odznaczony został orderem „Virtuti Militari" V-kl. oraz 4-rokrotnie „Krzyżem Walecznych."

Jeżeli przykład Jego życia stanie się źródłem dumy dla żyjących, a wzorem dla tych, co przyjdą budować dalszą przyszłość Rzeczypospolitej, będzie to najlepszym hołdem Jego cieniom i największem pocieszeniem Jego bliskich.

S. S.

Ś. P. DR. MED. STANISŁAWA POPŁAWSKA.

Ś. p. dr. med. Stanisława Popławska, urodz. w Ostrołęce w 1862 r., skończyła 4 gimnazjum żeńskie w Warszawie ze złotym medalem, mając 15 lat; z powodu młodocianego wieku z trudnością mogła zarobkować jako nauczycielka, początkowo na pensji Paprockiej, następnie w gimnazjum. Wyszedłszy zamąż za inż. Artura Popławskiego, wyjechała do Szwajcarji, gdzie studjowała w Bernie i Zurichu. Po otrzymaniu doktoratu za pracę z dziedziny okulistyki, w drodze powrotnej do Warszawy została aresztowana na granicy i wywieziona do Petersburga. Po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu przekonano się o omyłce, polegającej na tożsamości nazwiska. Powróciwszy do kraju, nie mogła powtórzyć egzaminów, gdyż uniwersytet był wówczas dla kobiet niedostępny, wskutek czego zamknięta była dla niej droga do szpitala i do praktyki. Tak przebiedowała lat parę, oddając się pracy nauczycielskiej. Przypadek zetknął ją z dr. Zygmuntem Kramsztykiem, ordynatorem szpitala na Czystem. Ponieważ szpital należał do gminy żydowskiej, a ta miała samorząd, dr. Kr., widząc wybitne zdolności ś. p. Popławskiej, zaryzykował i przyjął ją na asystentkę. Po latach pracy została ordynatorką i na tem stanowisku po 20 latach pracy lekarskiej zmarła.

Cześć jej zacnej duszy!

COOLIDGE, NOWY PREZYDENT STANÓW ZJEDN. AM. PÓŁN.

Po śmierci prezydenta Hardinga, zgodnie z konstytucją Stanów Zjedn. objął władzę dotychczasowy wiceprezydent Coolidge. Będzie on prezydentem Stanów do nowych wyborów, t. j. do listopada 1924 r. Prezydent Coolidge ma opinję gorącego przyjaciela Polaków i opiekuna naszego wychodźtwa amerykańskiego. O stosunku jego do Polski i Polaków świadczy jego mowa wypowiedziana w swoim czasie podczas uroczystości doręczenia w Nowym Jorku medalu zasługi naszej znakomitej rodaczce p. Curie-Skłodowskiej. P. Coolidge m. in. mówił wówczas:

„Amerykanie pamiętać będą i wówczas jeszcze, gdy cały świat o tem zapomni, że w chwili, gdy samo istnienie Polski, jako narodu, było zagrożone, nasze kolonje zrewolucjonizowane znalazły poparcie nie tylko w sympatji ludu, lecz także w pomocy czynnej dwu mężnych oficerów, z których jeden

zginął za naszą sprawę, drugi zaś przyczynił się potężnie do naszego zwycięstwa wojskowego. Oto fakt, który powinien górować nad zwykłemi wyrazami uwielbienia.

Nasz naród uważał sobie za obowiązek popierać praktycznie wszelkie wysiłki usprawiedliwione Polski do zmartwychwstania, jako naród wśród innych narodów świata. Zawdzięczamy to pamięci jenerała Pułaskiego, który walczył u boku Waszyngtona i poległ pod Savannah, pozostawiając po sobie tradycje ideału, które nadały imię jego wielu miastom i stowarzyszeniom, aby świeciło przykładem służby wiernie spełnianej. Zawdzięczamy to w znacznej mierze pamięci jenerała Kościuszki, syna Polski, patrjoty i obrońcy praw ludów, którego talent inżynjerski wzniósł fortyfikacje West-Point, będące tak wielką pomocą w powodzeniu sił amerykańskich pod Saratogą i zajmujące nie jedną kartę w dziejach czynów, rozstrzygających o powodzeniu ostatecznem życia kolonji".

KU CZCI POLEGŁYCH ZA OJCZYZNĘ.

ZE SPORTU.

Zwycięzca w locie „okrężnym" Warszawa—Poznań—Kraków—Lwów—Warszawa pilot, por. J. Giedgow.

Fot. 1 p. lotn.

Z TEATRU.

Marja Gella, artystka teatru Polskiego, kreowała ostatnio doskonale szereg ról. („Ósma żona Sinobrodego", „Głuszec" i „Baccarat").

Helena Hałacińska-Garlikowska, dotychczasowa artystka teatru Polskiego, przeszła do teatrów krakowskich.

Marja Malicka, która z powodzeniem występowała w sztuce „Świt, dzień i noc", została zaangażowana do teatru Polskiego w Warszawie.

Z DZISIEJSZEGO BERLINA.

Fot. J. Graudenz.

Nr 35 Ogólnego zbioru 3,328 Wydawnictwa rok 64. 25 Sierpnia 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

NIEBIESKA CHUSTA TADEUSZ PRUSZKOWSKI

CUDZOZIEMCY O POLSCE.

Wśród przychylnych głosów cudzoziemskich o Polsce i Polakach są dwa, które na szczególną z naszej strony zasługują uwagę.

Jeden z nich — to głos prof. Karola Sarolei, autora słynnych „Listów o Polsce", pisanych w czasie wojny i w pierwszym okresie powojennym, a dopiero teraz na język polski przełożonych [1]). Drugi — to garść wrażeń porównawczych, spisanych przez Amerykanina, Harolda H. Mac Gregora, i wydanych p. t. „Amerykanin o Polsce i Ameryce [2]).

Posłuchajmy ich kolejno.

Prof. Sarolea jest Belgijczykiem. Od r. 1894-go zajmuje on stanowisko profesora języka i literatury francuskiej w Edynburgu, gdzie osiadł już na stałe. Badawczy jego umysł nie poprzestał jednak na studjach w zakresie specjalności, której poświęcił się od młodu. Szukał on wytchnienia na szerokich polach zagadnień cywilizacyjnych, kulturalnych i politycznych, które pod koniec wieku XIX-go i w początkach stulecia bieżącego narzucały się wszystkim głębszym i dalej patrzącym umysłom europejskim. To zbliżyło go do sprawy polskiej. Przewidując nieunikniony wybuch wojny, już w roku 1907 nawoływał on do wspólnej akcji Anglji i Francji, a w roku 1912, w okresie nienaruszonej jeszcze potęgi Rosji i Prus, uzasadnia potrzebę i konieczność wskrzeszenia niepodległej Polski. „Naród—pisał on wówczas — który w czasach nowożytnych wydał takiego myśliciela, jak Kopernik, takiego bohatera, jak Sobieski, takiego artystę, jak Chopin, takiego wieszcza, jak Mickiewicz, wreszcie uczoną tej miary, co p. Curie-Skłodowska, naród, który posiada najpiękniejsze i najrozumniejsze kobiety w Europie, nie może być rasą bezwzględnie „niższą" od ociężałego prusaka i *nie może pozostawać dłużej ofiarą brutalnej przemocy*".

Kiedy przepowiednia ta zaczęła się sprawdzać i kiedy w wyniku wielkiej wojny narodów Polska z dnia na dzień stawała się faktem coraz oczywistszym dla wszystkich i kiedy jednocześnie nie zabrakło jej na świecie nieprzyjaciół, ciskających kamienie pod nogi wstającemu do nowego życia narodowi, prof. Sarolea wziął ten naród bezinteresownie w obronę, aby, przemawiając w imię prawdy, prawa i sprawiedliwości, ustalić o nim opinję przedewszystkiem w Anglji. Tak powstały jego „Listy", które niewątpliwie przyczyniły się w dużym stopniu do tego, że pomimo wytężonej akcji przeciwpolskiej Niemców i żydów, pozyskaliśmy jednak wśród Anglików sporą garść przyjaciół.

Do takich przyjaciół Polski należy w pierwszym szeregu słynny pisarz, G. K. Chesterton, którego przedmowa jest cennem uzupełnieniem polskiego przekładu książki prof. Sarolei.

„Jakkolwiek daleki jestem — pisze Chesterton — od głębokiej znajomości rzeczy, jaką wykazuje autor tej książki, a którą niewielu historyków może się poszczycić, to jednak czuję się uprawnionym do zabrania głosu, a to z tej przyczyny, że zawsze byłem stronnikiem polskiej idei, nawet wtedy, kiedy moje sympatje opierały się wyłącznie na instynkcie. Mój instynkt nie wynikał z uprzedzenia ani z „sentymentu". Nie był również skażony stronniczością, choćby dlatego, że prawie wcale nie czerpałem informacyj z polskich źródeł. Nie wyrobił się wreszcie pod wpływem przesadnych pochwał, gdyż, jak to prof. Sarolea wykazał, pochlebne sądy o Polsce są niezwykłą rzadkością w naszym kraju. Wprost odwrotnie. Moja instynktowna sympatja do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń, miotanych przeciwko niej i, rzec mogę, wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie sądów o niej jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa.

Ilekroć zdarzyło mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult teroru, grzęznącego przytem w bagnie materjalistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwość: namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów i metoda ta okazała się niezawodną".

Nic szacowniejszego ponad to wyznanie! Podobnej metody trzymał się i prof. Sarolea. Nie kierował się on sentymentem, ale poszukiwał prawdy i prawdę tę swoim bystrym umysłem umiał odnaleźć zawsze na tej drodze, na której leży wewnętrzne poczucie sprawiedliwości.

Jego „Listy o Polsce" — trafnie zaznacza tłumaczka — nie zawierają pod względem rzeczowego materjału nic dla nas nowego. Szlachetny obrońca polskiej sprawy nie zwraca się do nas, lecz do Europy, i w świetnych artykułach polemicznych odpiera napaści na Polskę. A jednak, zwalczając niewiarę w polskie siły, nawołując do wyrozumiałości dla nieuniknionych błędów, popełnianych przez młodą administrację polską, wykazując wreszcie czystość intencyj i istotne zasługi pewnych nadmiernie zwalczanych stronnictw politycznych, poucza nie tylko obcych, zdaje się także przemawiać i do tych Polaków, których możnaby nazwać „ludźmi małej wiary".

Również treściwym sądem i poczuciem prawdy odznacza się to, co pisze o Polsce i Polakach Amerykanin, Harold H. Mac. Gregor. O autorze wiemy niewiele. Z jego własnych wyznań dowiadujemy się, że był podczas wielkiej wojny majorem artylerji w armji amerykańskiej. Po zawarciu pokoju „głos szczerej sympatji" zwrócił go nad brzegi Wisły, przed „cudem" zaś „nad Wisłą" stanął w szeregach armji polskiej i bił się za Polskę.

Z tego już widać, że zainteresowanie się jego Polską było szczere i głębokie. Jeżeli się za kraj jakiś przelewa krew, należącą do innego kraju, do innej ojczyzny, to muszą być ku temu powody poważne i w sercu i w umyśle.

Istotnie, major Harold H. Mac Gregor miał te powody. Poprostu, pokochał Polskę tem uczuciem, na jakie tylko Amerykanin umie się zdobyć odrazu, bez zbytniego filozofowania i dręczenia się pytaniami, na co i dlaczego? Syn narodu, który ma w swojej konstytucji trzy święte wyrazy: wolność, równość i sprawiedliwość (*liberty, equality and justice*), widząc, że w Polsce zmartwychwstającej urzeczywistniają się wolność i sprawiedliwość dziejowa, przyszedł patrzeć na ich narodziny.

Jak każdy Amerykanin, który uważa, że wszystko amerykańskie jest najlepsze i pragnąłby życie całego świata upodobnić do życia Stanów Zjednoczonych, nie dla jakichś ambicyj imperjalistycznych, lecz dla szczęścia tego świata, podobnie i autor uwag o Polsce i Ameryce, zestawiając życie polskie z amerykańskiem, spostrzegł, że wiele rzeczy w Polsce należałoby według metody amerykańskiej „naprawić". Uwagi jego są na ogół słuszne i nacechowane tą życzliwością, którą należy bardzo cenić: „skoro stwierdzam—mówi autor — braki w Polsce współczesnej i konieczność zmian w postępowaniu Polaków, to nie ma to być uważane za wyrok sędziego, karcić bowiem społeczeństwa polskiego nie pragnę. Przecież do osądzenia potrzebny jest winowajca, działający z własnej woli i zamiaru, tymczasem Polska, jarzmiona przez zaborców, demoralizowana była przez nich przez całe pięć pokoleń aż do końca wojny światowej, oraz, jako niewolna, pełnej woli na zewnątrz nie miała. Również Polska odradzająca się w dobie obecnej, dźwigająca się z ruin i zgliszcz materjalnych i moralnych, pozostałych po okrutnej wojnie, do wyrobienia swojej narodowej woli w krótkim czasie swobody dojrzeć jeszcze nie mogła". Widać z tego, że major Mac Gregor odrazu stanął na właściwej drodze.

Wszystko to, co mówi o wychowaniu dzieci w Polsce i w Ameryce, o młodzieży żeńskiej i męskiej, o wzajemnym stosunku dwu płci, o szkołach, o życiu religijnem, o alkoholizmie, o wartości wzorów anglosaskich dla Polski, o wojsku polskiem, o konieczności strategji obronnej dla Polski, o socjalizmie polskim i amerykańskim, o żydach i o wychodztwie polskiem w Ameryce, nacechowane jest zupełną przedmiotowością sądu.

Dla nas, Polaków, jest bardzo ciekawą, a jednocześnie i bardzo pożyteczną rzeczą ten sąd obcego obserwatora poznać.

Przytem należy zaznaczyć, że obserwacje Amerykanina nie są bynajmniej powierzchowne. Spędził on w Polsce czas dłuższy i miał sposobność przyjrzeć się życiu polskiemu i w mieście i na wsi, podczas pokoju i podczas wojny. Musiał posiadać liczne znajomości, przyjrzał się bowiem uważnie naszemu życiu towarzyskiemu, oceniając trafnie jego dodatnie i ujemne strony.

Inteligentny samorodną amerykańską inteligencją, to znaczy pozbawiony balastu literackiego i filozoficznego, jaki każdemu Europejczykowi przeszkadza do wydania sądu własnego, niezależnego od cudzych opinij, zapatrywania swoje wygłasza Mac Gregor w formie niesłychanie prostej, bez żadnych ambicyj pięknotwórczych. Styl jego jest stylem żołnierza, który pisze raport z pola bitwy. Tu i owdzie zastanawia jednak w tej książce pogłębienie psychologiczne, świadczące o umiejętności metodycznego badania społeczeństwa i narodu obcego.

Nie brak także i ustępów, nacechowanych pewnym humorem np. pogląd na nasz zwyczaj podawania sobie rąk na powitanie.

Tonem zasadniczym książki Mac Gregora jest pragnienie, aby Polacy zbliżyli się do narodów rasy i kultury anglosaskiej i nabrali tej *dzielności*, którą się Anglicy i Amerykanie wyróżniają na świecie, oraz cech tej *demokracji prawdziwej*, która nie ma nic wspólnego z dzisiejszym radykalizmem społecznym polskim, a która jedynie może umocnić podstawy naszego państwa.

„Polska dzisiejsza — przestrzega nas Amerykanin — jest tylko według swej konstytucji państwem demokratycznem. Ale to jest tylko forma, nie treść. Demokracja prawdziwa jest pracą, jest panowaniem umiejętności nad ciemnotą, jest przewagą solidnych fachowców nad mnóstwem ministrów „bez teki", jest wyższością czynu skutecznego nad huczącą a pustą dialektyką. W demokracji powinna tkwić potężna siła, bo czerpie ona z zasobów całego narodu."

Warto jest pomyśleć nad tem głębiej.

---

[1]) Prof. Karol Sarolea. Listy o Polsce. Poprzedzone listem kard. Merciera oraz przedmową C. K. Chestertona i autora. Z wydania angielskiego, rozszerzonego dla przekładu polskiego, przetłumaczyła Jadwiga Sienkiewiczówna. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Wilno, Zakopane.

[2]) Harold H. Mac Gregor. Amerykanin o Polsce i Ameryce. Wrażenia porównawcze. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Wilno, Zakopane.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA.

Przegląd wojska na Placu Saskim w dn. 15 sierpnia r. b.

Przedstawiciele rządu, wojskowości i dyplomacji przed pomnikiem księcia Józefa w czasie defilady wojska.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Pan profesor ani się domyśla, że ludzie mogą się spierać w sprawach naukowych, ale coś umieją, są specjaliści. Teraz się może już domyśla, bo z doświadczenia wie, że gramatyka jest nauką, nic go to jednak nie wzrusza, bo warto za durnia uchodzić wśród uczniów, kiedy rząd płaci 2000 rs. Pan Berg podobno pobiera mniej pensji tytułem, że ma pracować nad historją powstania polskiego, za co miał pobierać nawet 5000 rs. To pewna, że na katedrę wszedł z cytadeli, w której jako amator, historyk przyszły, przysłuchiwał się zeznaniom i przypatrywał się męczarniom. Sławni też ludzie w literaturze są Kopyłow, Weinberg, Polewoj, o których nikt nic nie wie [1])... Posady będą rozdane według systematu moskiewskiego, to jest: „doktorom budiesz — co ci każą tego będziesz uczył". Próbki już mieliśmy tego w Szkole Głównej. Była katedra literatury czeskiej, zajmował ją Kwiet, ale umarł. Osieroconą posadę wziął Choroszewski, Czech aż z samego... Kurska; uczył się dopiero po czesku, mając iść na katedrę. Był nauczycielem któregoś z gimnazjów petersburskich, Polak, ale moskiewski panslawista, mówca nad grobem Szewczenki. Pan Choroszewski pojechał potem na zwierzchnika gimnazjum w Radomiu [2]), a jednocześnie Berg mianowany był lektorem języka moskiewskiego, na posadę, którą zajmował Sawinicz. Pogodzono jedno z drugiem. Berg wziął miejsce Sawinicza, Sawinicz po Choroszewskim przemianowany w Czecha, chociaż po czesku nie umiał. Inna rzecz z językiem starosłowiańskim. Miał posadę Kotkowski, mianowany był na nią Polewoj. Aby to pogodzić, tworzą się dwie posady: Kotkowski będzie uczył języka starosłowiańskiego, wykładać Nestora, Polewoj języka starosłowiańskiego, cerkiewnego, liturgicznego. Pomiarkowali, że i to nie zgodzi się. Więc Polewoj został na placu, Kotkowski zaś ma objaśniać i tłomaczyć gramatycznie język staropolskich pomników, Psałterza Małgorzaty, Statutu Wiślickiego i t. d. Ależ przez to Kotkowski wjechał na głowę Przyborowskiego, który zna i historję języka i gramatykę polską. Sławnymi ludźmi przepełni się ten biedny uniwersytet warszawski...

28 lipca, środa. Rektorem naszej Szkoły Głównej ma być arcypodlec Ławrowski z Charkowa [3]).

2 sierpnia, poniedziałek. Dzisiaj, ciężkość czują profesorowie Szkoły Głównej. Przerażenie pomiędzy nimi. Powiedziano im przed kilku dniami, że jest rozkaz kuratora nie płacić nikomu pensji od 1 sierpnia. To się znaczy, że wszyscy spadli *en masse* z etatu. Wszyscy nominowani jeszcze raz być muszą, żeby mogli być czynni: *coup d'etat* na uniwersytecie. Obiecywali, że dzisiejsi profesorowie będą mieli 2—3 lata dla uzyskania stopnia w Rosji i za to zostaną przy swojej pensji, która dziś jest półpensją. Więc po co zrzucać ich z etatu? Wisłocki mówi sprawiedliwie, że to jest zamach aby razem pozbyć się wszystkich i potem *personas gratas* wybierać. Gdyby tymczasowo zostawali na pół pensji wszyscy, nie trzeba byłoby ich nominacji. Wisłocki powiada, że nikt nie wróci z tych, co dzisiaj są zawieszeni, to jest nikt z tych, którzy nie potrafią wykładać po moskiewsku [4]).

Wczoraj Kryszkę [5]), naszego doktora, wzywał do siebie Witte i kazał mu albo się usunąć, albo zaraz rozpocząć wykład po moskiewsku. Kryszka z Chałubińskim razem zaczęli w Wilnie. Kiedy podczas ich tam pobytu Akademję zniesiono, pojechali do Dorpatu. Kryszka dostał tam stopień doktorski, Chałubiński wymknął się z Dorpatu i doktoryzował się w Würzburgu. Wittemu kazano na kwie kategorje podzielić profesorów: na tych co mają stopień moskiewski i zagraniczny. Ci co moskiewski, mają odrazu wykładać po moskiewsku; ci, co zagraniczny otrzymają ulgi. Jeżeli jednak spadają z etatu wszyscy, to ulgi okazują się szachrajstwem prostem jak jest słuszny domysł Wisłockiego. Kryszka, że dorpacki, musiałby zacząć teraz. Po wysłuchaniu rozkazu, Kryszka zażądał urlopu na dwa miesiące do Moskwy dla nauczenia się naukowego języka. Opowiadał mi dzisiaj swoją marszrutę. Jedzie od tej soboty za tydzień. Zabawi kilka dni w Wilnie, zobaczyć jak dziś wygląda. Z dni dziesięć posiedzi w Petersburgu, aby zobaczyć miasto. Potem do Moskwy i wróci. Właśnie przed laty w roku 1843 wracał z Dorpatu i przyjechał do Warszawy 1-go listopada. Odnowi datę. Trudno mi było z Kryszką o tem mówić, bo serdeczny jest dla nas i w każdej chorobie w domu naszym był na pierwsze zawołanie i pracował z niezmordowaną pieczołowitością. Wszyscyśmy mu wiele winni. Dlatego właśnie, że mu dobrze życzę, nie radbym, żeby się skompromitował. A widocznie kompromituje się. Nie potrzebuje tego. Rzuciłby Moskali i zasłużyłby na dobre słowo. Ma pensji ze Szkoły 20,000 złotych, ze szpitala z 1000 rubli. Za lat 20 służby, jak powiada, mógłby mieć część emerytury. Praktykę ma ogromną. Zresztą nie potrzebuje rzucać służby w szpitalu, może na większą emeryturę pracować. Prawda, miła to rzecz mieć na starsze lata grosz wysłużony i do tego dobry grosz. Ale czyż takie ofiary robili ludzie dla przekonań swoich? Kryszka jest bezżenny, ma darmo piękne mieszkanie przy podwójnej pensji. Na co ją wyda? Prawda, że dobrze żyje, że rodzinie dużo świadczy. Ale to nie wymówka. Niema prawa wymagać tego po nikim rodzina, żeby dla niej lazł w błoto. Kryszka rachuje dzisiaj tylko od pensji ze Szkoły emerytury 2500 złp. Mówi, że za rok, kiedy się utrzyma, od dwa razy większej pensji będzie miał 5000 złp. i że chce dosłużyć do 2000 rs., to jest chce mieć $^2/_3$ pensji dzisiejszej profesorów uniwersytetu. Otóż to co ich zaślepia: ładna pensja, a przytem mogą wyjść rychło i na Radców Stanu. Kryszka jednakże miał dobre natchnienie. Przed tygodniem mówił mi, że się waha czy ma się na starość uczyć po moskiewsku, czy też rzucić służbę uniwersytecką i poświęcić się tylko praktyce. Myślał o praktyce, lecz nagły wypadek śmierci Leona Sosnowskiego, który w pół godziny umarł, a był do niego wezwany, zraził go od praktyki i postanowił lepiej po moskiewsku się uczyć. Ale to sobie było ot tak powiedziane, może specjalnie dla mnie wymyślone. Kryszka dobrze wie co o tem sądzę. Mieliśmy już nieraz sposobność mówić o tem, nawet i sprzeczać się, ale to nam na dobre nie wychodziło, bośmy obaj gorączki. Ja nie chcę Kryszki obrażać i on mnie boi się obrazić. Dlatego, że się znamy, wiedziałem dobrze, że to wahanie się niby było dla oczu ludzkich, a postanowienie powzięte niezmienne. Szkoda jednak Kryszki. Mógł wyjść z honorem, nie chciał tego [6]).

28 września, wtorek. Ławrowskij przyjechał i stanął w hotelu Europejskim. Podobno ma ze sobą czterech profesorów i dziesięciu docentów. Popłoch między naszymi z Poznańskiego wielki. Węclewski i Plebański, jak wieści głoszą, dostają się do Lwowa, Mierzyński do Krakowa. Wieści to przedwczesne. Uniwersytet lwowski jeszcze zupełnie jest niemieckim; świeży projekt Pietruskiego na sejmie w to godzi, żeby go zrobić polskim. Smutno też byłoby, żeby niedobitki warszawskie, pościągane od lasa i sasa, bez zasług, bez zdolności, obsiadały katedry polskie. Dosyć już farsy Krzywickiego w Warszawie. Wieleby zyskał uniwersytet krakowski czy lwowski, przybierając Plebańskich i Mierzyńskich! Co do Węclewskiego, to ten przynajmniej po grecku i po łacinie umie, a w rządy się nie wdaje. Plebański zaraża zuchwalstwem, a Mierzyński blagierją [7]).

1 października, piątek... Kaszewski dostał dymisję jako sekretarz Szkoły Głównej. To było do przewidzenia, bo profesorowie od sierpnia pensji nie biorą.

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

---

[1]) Mikołaj Berg, późniejszy autor „Zapisków o polskich spiskach i powstaniach" i tłumacz „Pana Tadeusza", był urzędnikiem w filji banku państwowego w Moskwie. Przybył do Warszawy w r. 1863. Mianowany w r. 1868 lektorem, zastępującym prof. Sawinicza, choć nie posiadał żadnych kwalifikacyj. Wykłady jego stały na poziomie gimnazjalnym. Brał np. powieść Rzewuskiego „Listopad", tłumaczył ją i objaśniał gramatycznie. Mniej więcej jednocześnie (1867—8) lektorami do historji i literatury rosyjskiej mianowano Piotra Polewoja, który, jak się wyrażają historycy Szkoły Głównej, „nie był przygotowany do katedry", Piotra Weinberga, syna Izaaka i Adrjana Kopyłowa, inspektora gimnazjum lubelskiego.

[2]) Wład. Choroszewski, urodzony w Rosji. Po ukończeniu uniwersytetu petersburskiego wysłany był kosztem rządu za granicę. Między innemi przebywał kilka miesięcy w Pradze. Po powrocie został nauczycielem gimnazjum w Petersburgu. Witte zaproponował mu naprzód katedrę historji rosyjskiej, a gdy jej nie przyjął, lektorat języka czeskiego. Wkrótce go porzucił dla posady dyrektora gimnazjum w Radomiu. Przeszedł potem na prawosławie i jako dyrektor gimnazjów w Kielcach i w Warszawie zasłynął z gorliwości rusyfikacyjnej.

[3]) Piotr Ławrowskij (ur. 1827 † 1886) był pierwszym rektorem uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie do r. 1873, poczem został kuratorem okręgów naukowych naprzód w Orenburgu, a następnie w Odessie. Poświęcał się slawistyce. Do Warszawy przybył z Charkowa, gdzie zajmował katedrę języków słowiańskich. Wśród licznych jego prac znajdowały się „Zamieczanja ob etimologiczeskich osobiennostiach starinnawo jazyka polskawo" (1858) oraz: „Izwiestje o sostojanji uniatskoj cerkwi u russkich (?!) w Galicji" (1862). Prawdopodobnie tą drogą praca, dowodząca jego uczuć patrjotycznych, poparła w ministerjum oświaty kandydaturę jego na pierwszego rektora najdalej posuniętego na Zachód „ogniska wiedzy rosyjskiej".

[4]) Teofil Wisłocki, prof. patologji, próbował różnych zawodów: był gospodarzem, dziennikarzem. Przyjechał z Galicji do Warszawy, kiedy w niej zakładano Akademję chir.-medyczną i zgłosił się do jej prezydenta Czyczerina, który „bez wahania postarał się o jego nominację, czego później żałował", pokazało się bowiem, że swą działalnością naukową i nauczycielską nie ziścił oczekiwań (dr. Bortkiewicz w dziele: „Szkoła Główna", tom II. 52).

[5]) Antoni Kryszka, w r. 1858 mianowany profesorem fizjologji w Akademji med. chir. Później wykładał terapję i materję medyczną. W Szkole Głównej objął katedrę materji lekarskiej i uczył receptury.

[6]) Tu następuje w pamiętniku dłuższa przerwa w notatach tyczących się przemiany Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski. Autor bowiem 10 sierpnia wyjechał z Zygmuntem Glogerem do Jeżowa, majątku rodziców Glogera. Bawił tam do 17 września. W tym czasie nie dochodziły go wiadomości z Warszawy o sprawach przyszłego uniwersytetu. K. B.

[7]) Antoni Mierzyński, filolog, sprowadzony z Poznańskiego przez Krzywickiego za pośrednictwem Papłońskiego. Objął katedrę języka greckiego. Lojalny, bardzo lojalny, pisał kilka rozpraw po rosyjsku. Wykłady jego „nie były opracowane ze starannością" (Enc. ill.). „Poświęcał wiele czasu na szczegóły drugorzędne" (Stołągiewicz w II t. „Szkoły Głównej") K. B.

Z FOTOGRAFJI ARTYSTYCZNEJ.

Fot. prof. J. Bułhak.

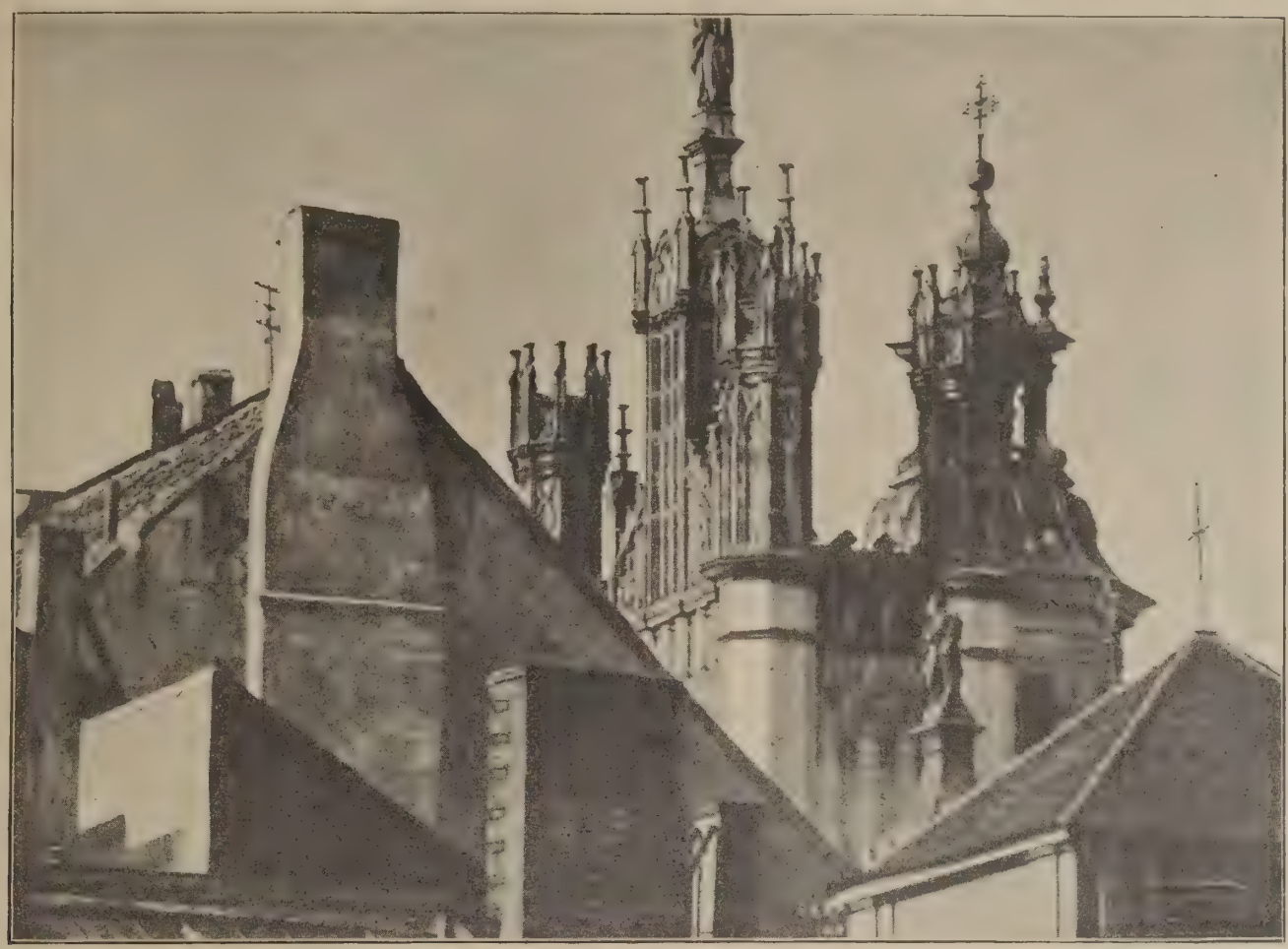

Szczyty Katedry i domów Starego Miasta.

Fragment z Belwederu.

Motyw z Placu Zamkowego.

Z liryki rosyjskiej.

BUDISZCZEW:

W BUDUARZE.

Masz wdzięk dziecka, jasne oczy szare.
Rok upływa, jak dano ci ślub.
Na błękitnych pantofelków parę
elektryczność spływa do twych stóp.
Sznur złocisty na dziewczęcym stanie
spięłaś mocno, aż peniuar mnie.
Młody huzar w błyszczącym dolmanie
cały wieczór przed tobą się gnie.
Lecz, na zdradne nie zważając słówka,
ty na męża czekasz znany krok,
i zazdrością pała twoja główka.
Joujou nawet znudziła ci wzrok.
Męża niema... Twe palce nerwowo,
lśniąc w brylantach, przebierają sznur.
Gdzie mąż—nie wiesz, a ja daję słowo,
że wiem dobrze. C'est simple, comme bonjour.
W kabarecie szykownym dziewczynki
spleen *mu leczą. Tancerka Ninon*
bursztynową mu krew mandarynki
smukłą ręką wyciska w cruchon.
...A i ty stracisz rychło wdzięk czysty,
choć słodyczą i kwiatem nam tyś,
i rozwiążesz swój sznur pozłocisty
za rok może... czy jutro... czy dziś...

AGNIWCEW:

KRÓL O SZARYCH OCZACH.

Niech pozdrowiony będzie wielki ból!—
...O szarych oczach umarł wczoraj król.

W gorącej zorzy zmierzch jesienny legł.
Mąż mój, wróciwszy, spokojnie mi rzekł:

—Wiesz? Do dąbrowy król jechał na łów.
Ciało pod dębem znalazł dworski huf.

Szkoda królowej! Młodziutka, jak on,
a włos w noc jedną ubielił jej szron.—

Zdjął fajkę z pieca, wziął tytuniu liść
i do roboty znowu musiał iść.

Zbudzę ja ze snu dzieciąteczko me:
w szare mu oczki popatrzeć się chcę.

Za oknem szumi krzak uwiędłych róż:
—Twojego króla nie zobaczysz już!

SZCZEPKINA—KUPERNIK:

MYCH WIERSZY CHCESZ.

Mych wierszy chcesz... I na cóż wiersz ci mój?—
Kunsztownych zdań w nim znajdziesz próżne sploty,
półsłówek dym, niejasne me tęsknoty,
i mglistych słów pięknego kłamstwa rój.

Cóż ci da wiersz?... Jest piękna głębszy świat,
gdy wnijdziesz weń, upoisz się radością.
Weź moich ust ponsowy kwiat,
jak rymy dwa, dyszące namiętnością.
Weź sobie oczu moich toń,
dwa poematy, których dłoń
nie śmiała ludzka tknąć, rozkoszy dwie skarbnice.
I swoją wreszcie nazwać chciej
najpierwszych księgę snów i natchnień tajemnicę
miłości mej!—

SZCZEPKINA—KUPERNIK:

MIŁUJCIE WROGI WASZE.

„Miłujcie wrogi wasze!"—wyrzekł Chrystus słowa—
i dlatego ja kocham cię tak!
Czyż nie wrogiem mi jesteś? O, ileż się chowa
łez i cierpień w mem sercu, odkąd twoja głowa
życia mego przesłania mi szlak!
Tobą żyję, dla ciebie cała ogniem płonę,
tyś mi wydarł dziecięce me sny.
W duszy mojej—tęsknota, a gdy w niej utonę,
w myślach moich, w marzeniach—wciąż ty!
Noc mi całą bez końca pytanie się snowa:
Kochasz mnie czy żartujesz—bo nie kochasz wszak!...
„Miłujcie wrogi wasze!"—wyrzekł Chrystus słowa—
i dlatego ja kocham cię tak!

AL. TOŁSTOJ:

WILKI.

Kiedy puste już sioła,
kiedy zmilknie w nich śpiew,
gdy na bagna dokoła
siwe mgły padną z drzew,
wówczas z leśnej rubieży
wilk za wilkiem pobieży,
na żer ciągną polami pocichu.

Siedem wilków gna śmiało
Wiedzie cały ten chór
ósmy wilk z siercią białą,
tajemniczy zaś sznur
wilk dziewiąty zamyka,
co na piętę utyka:
za wilkami, śnieg krwawiąc, się wlecze.

Żaden z nich nie uciecze
Kiedy suną przez wieś,
głosy milkną człowiecze,
psy zakopią się gdzieś.
Poza chatą swą biedną
chłopi w strachu drżą, bledną,
o ziemią biją żarliwie pokłony.

Wilki cerkiew obchodzą
lekko, cicho, jak strach,
pod dom popi podchodzą,
ogonami szach-mach,
a pod karczmy oknami
strzygą pilnie uszami,
czy kto grzesznej nie wiedzie rozmowy.

Świeczki błyszczą im z głowy,
zęby ostre, jak nóż.
Weźmij kartacz polowy,
koziej sierci doń włóż,
w wilki wymierz strzał śmiały.
Pierwszy padnie wilk biały,
za nim reszta upadnie na ziemię.

Rano zaś, kiedy śpiących
kogut wygna już z chat,
wiedźm zobaczysz leżących
dziewięć, starych, jak świat.
A na czele ich siwa,
w końcu chroma — nieżywa,
cała w krwi.
Bądź miłościw nam grzesznym!

NIKITIN:

PORANEK.

Jasny ranek. Muska w ciszy
wiatru ciepły wiew.
Aksamitna łąka dyszy.
Gorze wschód, jak krew.

Lśni jezioro, rokiciną
otoczone wkrąg.
Drżą na fali, drżą i giną
błyski świetlnych wstąg.

I łabędzi stado płynie
przez obszary wód,
na przejrzystej wód głębinie
słońca wielbiąc cud.

Brać rybacza ciągnie społem
sieci mokry zwój.
Wnet się w piasku trzepie kołem
linów, karpi rój.

FET:

BRZOZA.

Samotna brzoza stoi
u okien smutnie mych,
i mróz ją siwy stroi
w wyłśniony srebra szych.

Zwisa, jak winne grono,
gałązek cienki zwój.
Weselem oczy płoną,
ten martwy widząc strój.

Lubię, gdy zorzy szlaki
na szkliwie niecą żar,
i żal mi, jeśli ptaki
z gałązek strącą czar.

Tłumaczył ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Budowle historyczne w starej części Bergamo.

W KRAJU „PROMESSI SPOSI".

Bergamo.

Fala uroczystości narodowych idzie przez kraj. Pierwsze miejsce zajęły uroczystości Manzniańskie: stulecie słynnego romansu — epopei: *I promessi Sposi* i pięćdziesięciolecie śmierci poety. W Lecco, rodzinnem jego miasteczku i jego poetycznej ojczyźnie, położonem tak cudownie nad brzegiem błękitnego jeziora w otoce diademu różowych dolomitów, mamy dziwny obraz kraju, który żyje — fikcją. Jak Kmicic z Częstochową, a Skrzetuski ze Zbarażem, tak sprzęgły się postacie Lucji i Renza, don Rodryga i Fra Christofora z uroczą doliną Lecco — dwie wioseczki Acquate i Olate sprzeczają się całkiem serjo o zaszczyt posiadania domku Lucji, zbójecki kasztel don Rodryga straszy dziś jeszcze wrażliwe turystki, pielgrymujące drogą „Bezimiennego" i na „Piazza padre Christoforo" oglądające w klasztorku krzesło, na którem siadywał świątobliwy starzec. W maju odbyły się tu uroczystości, uświetnione przybyciem następcy tronu, pochody kostjumowe etc., a do dziś odbywają się wszędzie niezliczone „konferencje". Biedny Manzoni, który—jak głosi napis na domu niegdyś jego rodziny — w dziele swem „rodzinne strony, ich dzieje, obyczaje *i siebie samego unieśmiertelnił*" — sam stracił dom rodzinny przez spekulację nieuczciwych zarządców i, wyszedłszy z niego w r. 1818 w wieku lat 33, już więcej nogą nie stąpił w rodzinnem, tak bardzo ukochanem miejscu. Cóżbym tam robił? Płakałbym — mówił, starcem już. Teraz w spiż posągu zakuty, patrzy siedzący w krześle na szczyty Alp, zamykające horyzont. Zaś obrazki, kartki, broszury i najróżniejsze wydania „Narzeczonych" obok zawsze popularnego Quo Vadis zasypują okna księgarni nie tylko w Lecco, ale w całej Lombardji.

Jadąc z Lecco do Bergamo, mamy, tak jak ją opisywał Manzoni, wspaniałą panoramę miasta średniowiecznego, najeżonego wieżycami, basztami, campanilami. Miasto Colleoni'ego: *Citta alta* mało zmieniło się od tej pory, kiedy wielki kondotjer na przedśmiertne wywczasy do swej bergamskiej powracał ojczyzny. Jego surową postać, która zdaje się zawiera w sobie energję całej epoki i całej rasy, stawia przed oczy książka, wspaniale wydana w r. b. przez Instytut włoski Sztuk Graficznych w Bergamo, dzieło posła i polityka b. ministra E. Belotti'ego nie jest to przypadek, że obecnie, gdy energja narodowa wzmożonem bije tętnem, Włochy wracają do tej postaci rycerza spiżowego, który dzielił losy wojny ze swym narodem. Jego przepyszny pomnik, zabrany z Wenecji do Rzymu, powrócił w triumfie na swój piedestał. „*Bartolomeo, grifagno come Dante*", podług słów d'Annunzia, wychodzi z kart książki żywo i wyraziście, nie wyidealizowany wcale, drapieżny i chciwy, żądny zarówno skarbów jak sławy — jednak nie pozbawiony cech ludzkich i sympatycznych zwłaszcza w starości, gdy wraca do swojej „terra murata". Malpaga otacza się uczonymi i wzbogaca rodzinne miasto świetnem dziełem sztuki: kaplicą, gdzie grób godny przygotowuje sobie i swoim.

Aleksander Manzoni.

Cezar Battisti, idący na śmierć.

(Fot. zdjęta przez komendę austrjacką w Trydencie 1917 r.)

„*Cień osędziały mocarnego męża*".

W Malpaga błądzi przez zamku krużganki „d'Annunzio" przepyszny kasztel o parę mil od Bergamo, stoi dotąd jak zaklęta bajka. Tak samo w sąsiednim Glenezzo czujemy się daleko, tak bardzo daleko od współczesnego świata, nad szumiącem Brembo ciągnie się długi most, przez który według tradycji uciekała cesarzowa Teodolinda, na przyczółku owym bronił się wódz gwelfów Beltram przeciw napaści gibellinów—ruiny, wpółzatarte napisy opowiadają dzieje prastare — od czasów kiedy Rudobrody, zrównawszy Medjolan z ziemią, kazał plac zasypać solą (mówią, że dlatego Medjolan tak obecnie prosperuje) aż do r. 48 i 59 „gdy z stolicy uciekał precz Niemiec" (Manzoni).

A w muzeum Bergamskiem łączą się z pamiątkami odwiecznemi trofea wielkiej wojny, która znów nas przywołuje do aktualności i zarazem do poczucia jak jednolita, jak odwiecznie długa jest owa walka żywiołu germańskiego z latyńskim, tu na lombardzkich polach. Rudobrody i „sette comune", znienawidzony Cecco (Franciszek I i głuchy opór manzonjańskich kół (w *Narzeczonych* wiadomo, że mówi się o hiszpańskim najeździe a myśli o Austrjakach). A dziś jeszcze rozlepione wszędzie afisze głoszą o pielgrzymce, urządzanej w b. m. dla uczczenia „ostatnich męczenników" padłych z ręki „wieszającej" Austrji, Nazarjusza Sauro i Cezara Battisti, b. posła ziemi Trydenckiej, organizatora Irredenty. Obydwaj po wybuchu wojny przeszli na stronę włoską. Sauro był słynnym lotnikiem, Battisti kapitanem Alpinów. Wzięci do niewoli, straceni zostali na szubienicy. Pamięć Battisti'ego, niepospolitego pod każdym względem człowieka, jest tu bardzo żywa. W Bergamo w domu starego przyjaciela Polski, p. Józefa Locatelli-Milesi, gdzie mieści się zbiór pamiątek polsko-włoskich, teraz przybyła nad drzwiami nowa „targa" wspominająca, że w tych progach bawił w r. 1814 Cesare Battisti „felice e fiero", organizując cykl odczytów o włoskim Tyrolu. Dzieła jego ekonomiczne i polityczne wyszły obecnie w pięknem wydaniu nakładem rządu. Do domu jego wdowy w Padwie, do celi, gdzie przepędził dni ostatnie w kasztelu Trydenckim, pielgrzymują ludzie jak do świętego miejsca.

Karolina Bielańska.

Kaplica Colleonich w Bergamo.

Wejście do kościoła S. Maggiore w Bergamo.

ECHA EMIGRACJI POLSKIEJ W PARYŻU Z ROKU 1861.

Z papierów, ocalałych po grabieży domów Andrzeja hr. Zamoyskiego, dokonanej z rozkazu ostatniego namiestnika najazdu rosyjskiego w b. Królestwie Polskiem w roku 1863, część ich niewielka przechowuje się obecnie w Archiwum akt dawnych przy ulicy Jezuickiej, dostępna badaniom historyków.

Są to zaledwie strzępy zasobnego ongi zbioru, nagromadzonego w ciągu szeregu lat dziesiątków po upadku powstania listopadowego 1830 roku przez obrońcę polskości kraju w czasach srogiego ucisku rządów paskiewiczowskich, wielkiego obywatela i patrjotę — Andrzeja hr. Zamoyskiego.

Wiadomo, że 19 września 1863 r. po zamachu na hr. Berga, dano rozkaz żołdactwu, by wszelkie ruchomości mieszkańców wielkiego domu dochodowego hr. Zamoyskiego Nr. 69 przy ulicy Nowy-Świat, oraz pałacu sąsiedniego, zniszczyło lub rozgrabiło. Dobytek mieszkańców owych domów, o ile nie padł ofiarą grabieżców, spalony został na placu przed pałacem Staszica. Z cennej bibljoteki pana Andrzeja, zamienionej na popiół, zachowano jedynie bezładnie nagromadzone papiery, nieco listów i rękopis pamiętnika Zamoyskiego z roku 1831. Resztki owe oddano na przechowanie do archiwum namiestnictwa, poddawszy je uprzednio troskliwej perlustracji cenzury wojskowej. Uwagę cenzorów zajęły przedewszystkiem listy poufne przesłane w roku 1861 z Paryża Zamoyskiemu, głównie zaś listy Władysława księcia Czartoryskiego pisane po zgonie sędziwego jego ojca, niedoszłego króla polskiego. Na kopertach owych listów ręką cenzora uczyniono zastrzeżenie: „*weśma ważnyja piśma*".

W rzeczy samej nawet po upływie lat kilkudziesięciu od ich napisania nie utraciła korespondencja księcia Władysława Czartoryskiego doniosłości dokumentu historycznego. Stwierdza ona, oprócz powagi stanowiska politycznego w sprawie ówczesnej Polski ich autora i wielki autorytet Andrzeja hr. Zamoyskiego, poczytywanego słusznie przez emigrację paryską za przedstawiciela polskości i dążeń narodu obudzonego po długoletnim letargu do odzyskania upragnionej niezawisłości.

Szczęśliwie ocalone resztki listów księcia Władysława, po odrodzeniu państwa polskiego, przekazano do archiwum akt dawnych. Korzystając z dostępu do cennej spuścizny historycznej, dozwolonego dla celów naukowych, przytaczam tu osnowę dwóch listów z roku 1861, zawierających wiele uwag, a nawet faktów dotychczas mniej znanych, które rzucają promień światła na stosunek emigracji polskiej w pamiętnym roku odrodzenia dążeń narodowych Polski, do najzacniejszego jej ówczesnego przedstawiciela i szermierza, Andrzeja hr. Zamoyskiego.

Al. Kraushar.

I

Paryż, 26 sierpnia 1861 r.

Szanowny i kochany Andrzeju.

Wezwany wolą Ojca mego do prowadzenia dalej służby zagranicznej polskiej i przekonany o potrzebie tej pracy, nie byłbym przecież się podjął tego zadania, tak trudnego, gdybym nie był pewny współudziału Twego brata*) i tych wszystkich, którzy pracując pod kierunkiem mego Ojca, złożyli już dowody gruntownej znajomości sprawy publicznej i nieograniczonego oddania się dla niej. Upewniony co do pomocy tutejszej, gdy myśl moją zwracam dziś do kraju, przedewszystkiem do Ciebie odezwać się muszę. Ciebie Naród swą ufnością otacza, od Ciebie wygląda kierunku, Ciebie i Ojciec mój miał głównie na pamięci, kiedy błagał mężów krajowych, aby postawili Emigrację w możności dopełnienia swego obowiązku.

Znam Twoje stanowisko, kochany Andrzeju, wiem, z jakiemi trudnościami masz do walczenia, do jakiej zatem zmuszony jesteś oględności. Chciej wierzyć, że sobie nigdy niczego nie pozwolę, coby mogło Ciebie w czemkolwiek narazić, lub w Twoich czynnościach krępować. Ale, z drugiej strony, i Tobie także nie tajno, że działanie nasze na tutejszym polu o tyle jedynie przydatnem i użytecznem być może, o ile jest zgodnem z naszym kierunkiem i z waszem rzeczy widzeniem. Potrzebuję przeto stałych i ciągłych od Ciebie informacyj i poleceń: potrzebuję, aby Królestwo przez Ciebie wyobrażane, równie jak inne prowincje, uważały mnie za swego pełnomocnika i, jako takiego, swemi instrukcjami i funduszami nieprzerwanie opatrywało.

Mamże wyznać, iż pod tym ostatnim zwłaszcza względem, czuję się poniekąd opuszczony, że gdy mnie prawie żadna nie dochodzi pomoc, ludzie tutejsi, na innem wcale pracujący polu, daleko dzielniejszego doznają poparcia. Oddawca biletu, który zawierał rekomendację do Twego brata, wyznał mi sam, iż *przywiózł zasiłki pieniężne p.p. Gałęzowskiemu i Mierosławskiemu*; nie przywiózł zaś żadnych na prace, któremi sprawie narodowej służyć usiłujemy. Dodał jednak, że obywatele czują pożytek tej pracy, że jej skutek widzą w kraju, *na rządzie moskiewskim*, że jej dopomódz byliby gotowi, skoroby tylko się przekonali, iż takiej z ich strony pomocy uznajesz konieczność.

Proszę Cię więc, kochany Andrzeju, i w imię mego Ojca, który mi Ciebie zawsze za wzór wskazywał, i w imię sprawy, której służymy — nie odmawiaj nam pod tym względem Twego poparcia.

Tobie jednemu wiadomo, w jakiej mierze, jaką drogą, możesz obywatelom krajowym zdanie swe objawić tak dobrze co do funduszów, które przysyłają p. Mierosławskiemu, jak co do opuszczenia, w jakiem mnie pozostawiają. Ale jakiegokolwiek środka w tym celu użyjesz, to pewna, że *bez Twego przychylenia się, niepodobna nam liczyć na współdziałanie kraju.*

Bóg widzi, nie brak mi woli do pełnienia powinności, jaką na mnie włożono, w pracy którą podjąłem nie oszczędzam ani sił, ani czasu, ani grosza, o ile mogę. Bez pretensji, bez marzeń, chciałbym służyć Ojczyźnie tam, gdzie mnie okoliczności postawiły, gdzie najskuteczniej dla niej pracować potrafię. Jeśli więc sądzisz, że my tu na coś możemy przydać się krajowi, że sprawa zyskać może na naszej obronie, *że szkoda byłoby dać zmarnieć tylu środkom, które tu dla sprawy publicznej są już zgromadzone, to pomyśl, kochany Andrzeju, w jaki sposób kraj ma nas wesprzeć*, a obywatele Królestwa pójdą, mam w Bogu nadzieję, za Twoją wskazówką.

Muszę Ci donieść, że Moskale zaczynają sypać tu pieniędzmi w dziennikarstwie i nie szczędzą starań, by je na swoją przechylić stronę. Jak nasza praca brakiem pomocy ustanie, to prassa nietylko życzliwie zajmować się nie będzie Polską, ale przeciwko niej pocznie pisać.

Prócz naszych tych politycznych prac są inne, których utrzymanie mój Ojciec mnie powierzył. Są, jak wiesz, zakłady, jako szkoła wyższa, biblioteka etc. I na to potrzebuję waszego współudziału i pomocy. Zechciej i o tem pomyśleć. Nie chcę już dłużej do Ciebie o tem pisać. Znam Twój gorący i zacny patrjotyzm, znam i Twoją dla nas przyjaźń, wiem nareszcie, że nas *znasz*. Za natchnieniem Boskiem przyjdziecie nam w pomoc, i nasza praca nie ustanie, ale rozwinie się.

Racz przyjąć szanowny i kochany Andrzeju wyraz prawdziwego poważania i rodzinnego przywiązania.

Władysław C.

*) Władysława hr. Zamoyskiego. p. W.

APORTY.

Ilekroć czytywałem sprawozdania z seansów spirytystycznych, tylekroć ogarniał mnie cichy żal, pomieszany z odrobinką zdziwienia:

— Jakto? Więc duchy niematerjalne, przewyższające nas podobno inteligencją i mocą, obowiązane są zjawiać się na każde wezwanie zwykłego śmiertelnika?

— Ależ to straszne! To upakarzające! Bo pomyślcie tylko: Aleksander Macedoński wali piorunem z którejś tam strefy, śpieszy, jak szalony, dlatego tylko, że go wezwała żona sekretarza powiatowego sejmiku w Kłodawie, zabawiająca się spirytyzmem z pomocnikiem komendanta straży ogniowej???

Wyobrażałem sobie tedy świat pozagrobowy, jako olbrzymią halę, podobną do pokoju dyżurnych w którymkolwiek z komisarjatów.

— Trrrr... Dzwonek. — Allo, komisarjat? — Tak, komisarjat. — Mordują? Kogo mordują? — Nic, omyłka. — Allo, komisarjat. — Tak. — Powiesił się? — Doskonale, zaraz...

. . . . . .

— Allo, dyżurny? — Tak, dyżurny.

— Zaraz na ziemię: Aleksander Macedoński, Spinoza, Napoleon, Marjanna Skublińska, Władysław Jagiełło, Cezar Borgia... — Allo, allo: do Łomży: Katarzyna Aragońska... Allo! Do Kowla: Homer...

. . . . . .

Tak. To jest bardzo przykre. Ale jeszcze bardziej przykre, wręcz upokarzające muszą być dla mieszkańców tamtego świata — *aporty*.

Seansuje sobie niegodny praprawnuk godnego prapradziada, kasztelana, dajmy na to, Zakroczymskiego, — Henio Zakroczymski.

Przy stoliku obok niego siedzą: Gogo Złotnicki, sportsman, Żorż Tuchendler, waluciarz, Stefa Pęczakówna, gwiazda — i Erna Buzdygan, filmowa naiwna. Taszczą pradziadzię na seans.

— Cóż — jak mus, to mus!

. . . . . .

— Duchu, jesteś?

— Jestem (puk-puk).

— Czy to kasztelan?

— Tak (puk).

— Kasztelanie, prosimy o aport... (— Czego mnie szczypiesz, Erna?) — dobrze?

— Tak (puk).

— (Erna, co on ma przynieść?)

(— Buzdygan).

— Kasztelanie, przynieś buzdygan...

. . . . . .

Wyobraźcie sobie teraz kłopot kasztelana. Dlatego tylko, że filmowej naiwnej zachciało się buzdygana... Skąd pradziadzio weźmie ten instrument?

Wali do wojewody! — Wojewoda na seansie w Kołomyi. Do ducha Skrzetuskiego. Ba! Skrzetuski na seansie u panny Plater. Do Wołodyjowskiego. Wołodyjowski wezwany do Krynicy. Do Podbipięty...

. . . . . .

Nie należy zmuszać starszych do aportowania. To nieładnie.

Zdzisław Kleszczyński.

Pawilony, w których mieszczą się klasy.

SZKOŁA W PARKU.

Stara maksyma łacińska „mens sana in corpore sano" została wreszcie przez pokolenie współczesne odgrzebana z kurzu zapomnienia i powoli wcielana w życie. Coś, co było jeszcze wczoraj martwą formułką, bardzo piękną i mądrą — ale martwą, dziś nabrało wyrazu, mocy, świeżości, znaczenia dzięki temu tylko, że zapłodnione zostało przez życie.

Zdrowy duch w zdrowem ciele — oto hasło, które się stało naczelnem wskazaniem dla współczesnego szkolnictwa na całym świecie. Pod wpływem tego wskazania dokonał się więc zasadniczy przełom w poglądach na metody wychowawcze. Zrozumiano nareszcie, że szkoła, jeśli ma wypełnić należycie swoje zadanie—musi dbać o wszechstronny rozwój młodzieży, nie ograniczając się tylko do czynności mechanicznej czysto faszerowania młodocianych mózgów wiadomościami mniej lub więcej potrzebnemi. Zrozumiano, że szkoła—to również warsztat przygotowujący młodzież do życia, przekuwający ją w mocnych, tęgich, energicznych, mądrych i zdrowych obywateli kraju.

Najwcześniej zrozumiano to w Anglji, gdzie jeszcze przed wojną powstał cały szereg szkół, kładących nacisk nie tylko na rozwój umysłowy, lecz uwzględniających w równej mierze wychowanie fizyczne młodzieży.

U nas w Polsce, aczkolwiek zrobiono już w tym kierunku wiele — jednak sprawa ta jeszcze nie ma dostatecznego zrozumienia w szerokich sferach społeczeństwa. Za mało jeszcze mamy szkół, któreby odpowiadały wymogom racjonalnego wychowania. Naturalnie jest to w znacznej mierze winą niekorzystnych warunków zewnętrznych, braku odpowiednich pomieszczeń szkolnych, środków potrzebnych i t. p.

Wykład w sali kinematograficznej.

W kuźni.

Gabinet fizyczny i sala kinematograficzna.

To też, każda w tym kierunku podjęta inicjatywa, każdy wysiłek, aby stworzyć wzorowy zakład wychowawczy — powinien u nas tem większem cieszyć się poparciem, na tem większe zasługiwać uznanie.

Mam tu na myśli inicjatywę twórczą i czyn p. Władysława Giżyckiego, dyrektora gimnazjum matematyczno-przyrodniczego w Wierzbnie za Mokotowem.

P. Giżycki jest to człowiek o żelaznej woli, znakomity organizator, typ działacza społecznego na wielką skalę. Dzięki swej niestrudzonej energji, stworzył on w bardzo krótkim czasie bo w ciągu 3-ch lat, zakład naukowy, który można za wzór postawić i który jest naprawdę jedynym zakładem nie tylko w Warszawie, lecz w Polsce, dostosowanym do wymagań współczesnego szkolnictwa.

Zakład ten powstał z niczego.

W wydzierżawionym, opuszczonym pałacu, okolonym 60 morgowym parkiem, w ciągu 3-ch lat powstała szkoła, licząca już obecnie przeszło 400 uczniów, posiadająca bogaty gabinet fizyczny, własny kinematograf, boisko sportowe, szkółkę rolniczą, warsztaty introligatorski, stolarski i ślusarski.

W wymarzonych higjenicznych warunkach—młodzież, uczęszczająca do gimnazjum Giżyckiego—kształci się tam zarówno umysłowo jak fizycznie.

Zadaniem szkoły — jak to w rozmowie ze mną oświadczył dyrektor Giżycki — jest dać jaknajwiększy zasób wiadomości przy najmniejszem zużyciu siły nerwowej. Szkoła dąży do wzmocnienia energji życiowej, do przygotowania młodzieńca do życia rzeczywistego. Mniej subtelności w ideach, jaknajmniej erudycji pamięciowej, mniej teorji — a jaknajwięcej idei moralnych. Szkoła dąży do wyrobienia tężyzny charakterów, sprawności, sprężystości w działaniu, energji, woli, praktyczności i wynalazczości. W tym celu szkoła szkoła posiłkuje się najnowszemi środkami technicznemi, jak kinematograf, epidjoskop, mikroskop projekcyjny, posiada pracownie i laboratorja, w których uczniowie pod kierownictwem doświadczonych nauczycieli pracują samodzielnie.

W roku bieżącym p. Giżycki nosi się z zamiarem pobudowania na terenie szkolnym internatu, obliczonego na mieszkanie dla 40 uczniów.

Już ta wątła garść szczegółów podanych o szkole p. Giżyckiego—powinna wzbudzić ciekawość i chęć zapoznania się z tym wzorowym zakładem naukowym licznych rzesz zarówno wychowawców jak rodziców. Wstyd, aby o szkole, która się cieszy uznaniem Ministerstwa Oświecenia, tak mało wiedziano nawet w samej Warszawie, a tak łatwo przecież siąść w 19-tkę lub 1-kę, znaleźć się w Wierzbnie i naocznie przekonać się jak wielkie zasługi położył niezmordowany dyrektor Giżycki w dziedzinie skierowania wychowania młodzieży na właściwe tory.

K. G.

W warsztacie ślusarskim.

W introligatorni.

Raport.

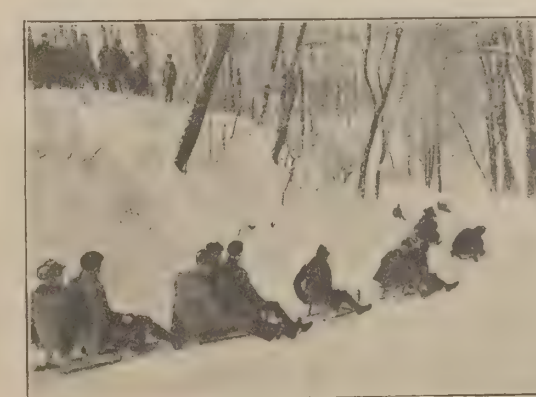

Na torze saneczkowym w parku.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 29)

— Za parę godzin staniemy na popas!... Krzywda nam się nie dzieje!... Nie grzesz...

— Juściż, że się nie dzieje, ale wolałbym już iść samemu na swój strach byle do Polski!..

— Pójdziemy, pójdziemy... Jeszcze troszkę cierpliwości!... — uspokajała go Hanka.

Jechali kupą, nie wyprzedzając taborów i starców, oraz parę „arb" lepszych, lżejszych przeznaczonych dla starszych kobiet i zupełnie małych dzieci...

Usadzono ich na wojłokach i pościelach wyściełających twarde pudła niezgrabnych wozów, a gdy ruszyli śladem oddalających się taborów, pozostali dosiedli koni...

— Tak, na głodno!.. — mruczał Maciek.

— To ci dopiero koczowanie!..

— Nic takiego — wytrzymasz!.. Pamiętasz jak niedawno nas pędzili — nic nie dawali...

— Za parę godzin staniemy na popas! — pocieszał go Korczak.

Hania na ślicznym białym wierzchowcu jechała w świcie księżnej razem z Tu-sziw. Obok na bułanku uwijał się Szag-dur, dając pilne baczenie na dziewczynę i jej wierzchowca, a przewodził im najstarszy wiekiem krewny Namyń Dor-dżi Nojana, siwowłosy Dum-ba Dor-dżi.

Hania na ślicznym białym wierzchowcu, uśmiechnięta i ożywiona nowością tego wszystkiego, co się dookoła niej działo, jechała razem z Tu-sziw oraz innemi Mongołkami w świcie księżnej, która, odświętnie odziana, z rozwiewającemi się z czapki czerwonemi wstęgami dumnie toczyła pięknym skaro-gniadym wierzchowcem, przystrojonym w suto srebrem nabijany rynsztunek i siodło o szerokim równie srebrnym łęku.

Gerilka Chanum rzucała wciąż szybkie, badawcze spojrzenia przed siebie i dookoła siebie i nic nie uniknęło jej uwagi. Od czasu do czasu rzucała rozkazy, nie zważając wcale na czcigodnego Dum-ba Dor-dżi... który przecież z wieku był naczelnikiem pochodu...

Obok Hani zwijał się na zwięzłym bułanku Szagdur, dając pilne baczenie na bezpieczeństwo dziewczyny.

— Ostrożnie, ostrożnie!.. Tu na drodze trafiają się często całe kolonje nór suślich!... Nie można ominąć, gdyż ciągną się na dziesiątki wiorst... Trzeba uważać, koń łatwo może się potknąć... Niech pani nie zdziera wierzchowca, trzeba mu uzdę puścić wolno, on sam znajdzie drogę,.. on doświadczony!.. — pouczał dziewczynę co chwila.

Pogodna zorza tymczasem rozpaliła się już nad doliną, barwiąc ogniem, złotem i sinemi cieniami powietrze, skały i wody... Na szmaragdzie łąk zabłysła perlisto — tęczowa powłoka rosy.

Głośniej zaświegotały skowronki w lazurowych wyżynach a na stepie wybiegły z pod jeźdźców i poszły z nimi długie blade cienie.

VI.

Choć była druga połowa lata, we dnie dokuczały jeszcze upały. Za to noce były chłodne, gwiaździste, rosiste.

Wyruszali zwykle z obozowiska przed świtaniem i zatrzymywali się na nowym postoju przed południem. W ten sposób ani bydło ani ludzie nie cierpieli od gorąca, nie czuli się zmęczeni. Przeciwnie na świeżych żeremiach stada wypasały się doskonale, a ludzi podniecał i ożywiał upadek w czasie podróży wszelkich społecznych i obyczajowych podziałów i przegródek.

Na noc nie rozbijano wielkich namiotów, lecz stawiano małe z drewnianych, pokrytych naprędce wojłokami jurtowych krat, zestawianych jak domki karciane. Zresztą tam nocowały tylko starsze kobiety, małe dzieci i księżna Geril-tu Chanum. Służba i młodzież spędzały cały czas pod otwartem niebem, to na koniu, to przy ognisku, to gawędząc, to zabawiając się w igrzyska, to polując z sokołami na drobne czworonogi stepowe, lub ptactwo wodne, którego mnóstwo spotykali na przydrożnych błotach i jeziorach.

Mimo to już w parę dni Hania czuła się dziwnie znużoną.

— Kiedy nareszcie przybędziemy do tej Urgi?—pytała z kwaśną miną Szag-dura.

— O, jeszcze daleko! Co się pani tak śpieszy?... Czy pani tak źle z nami?...

— Bynajmniej!... Bardzo mi nawet przyjemnie... — odpowiedziała z uśmiechem. — Ale nie mogę tak długo... obchodzić się bez własnego kąta. Nie jestem stworzona na koczowniczkę. Zresztą i wy nie jeździcie przecież tak ciągle!... — dodała, spostrzegłszy, że Szagdur nagle posmutniał.

— Rozumie się, że nie. W czasie zimy miesiące nieraz całe stoimy na jednem miejscu. Ale wtedy o wiele mniej wesoło, wszyscy siedzą w swoich jurtach daleko od siebie...

— Przecież odwiedzają się...

— Tak, to tak!... Ale nie można ani swobodnie pogadać, ani zobaczyć się z kim się chce... Wszystko na oczach starszych, książąt... pod dozorem... To samo w Urdze! Niewiadomo co nas tam czeka!...

— Po co mamy zatrzymywać się w samej Urdze... Możemy stanąć pod miastem... Mam jednak przeczucie, pewność nawet, że tam dopiero dowiemy się wszystkiego... Urwała, gdyż instynkt podpowiedział jej, żeby nie mówiła zbyt wiele z nikim o zamierzonej ucieczce do Polski.

Burjat jednak zrozumiał i posmutniał jeszcze więcej.

— My zatrzymamy się pod miastem, bo przecież z bydłem w mieście nie wyżyjesz, niema paszy. Ale wy będziecie musieli udać się zaraz do miasta. Jest wyraźny rozkaz. Zresztą Geriltu Chanum nie zechce, żeby pani została w stawce *) księcia.

— Dlaczego?

Szag-dur zakłopotany patrzał w dal i nie odpowiadał. Hanka obrzuciła go zdziwionem i podejrzliwem spojrzeniem. Wyjechali jak zwykle, daleko przed karawan. Śliczna porosła wysoką trawą, usiana kwiatami dolina słała się dokoła nich, środkiem niej płynął potok, nad nią sklepiły się szafirowe niebiosa, pozłocone słońcem, wsparte na silnych łańcuchach okolicznych wzgórz. Byli zupełnie sami, jedynie koniki polne strekotały pod nogami ich wierzchowców i od czasu do czasu stukały kopyta koni, uderzając o ukryte wśród ziół kamienie.

— Dlaczego? — powtórzyła z naciskiem Hanka, nie spuszczając oka z Szag-dura.

— Ech! co ci to, Garudi? zwrócił się ten, zamiast odpowiedzi, do trzymanego na zapięściu lewej ręki berkuta.

— Co ci to? tropisz zwierzynę?...

Istotnie ptak niepokoił się, wyciągał zakapturzony łeb i stroszył pióra, wierzchowce również zaczęły strzyc uszami i wyciągać przed siebie szyję. Ale ani ani Hanka ani nawet Szag-dur nic nie dostrzegali na stepie. Nagle doleciał ich głos, jak brzęczenie dalekiego bąka. Konie przystanęły, jeźdźcy mimowoli ściągnęli je cuglami.

(*Dcn*)

*) Miejsce postoju jurt.

REMY DE GOURMONT.

KOŚCIÓŁ.

A więc dobrze, Simono. Poszepty wieczoru
Jak litanje dziecinne słodko, cicho dzwonią,—
Ciemny tum jest podobny do starego dworu,
A róże tchną kadzideł i miłości wonią.

Dobrze—pójdziemy zwolna, przez pola, przez rosę,
Żeńcy, z pól wracający, skłonią nam się nisko,
Szlaban na twojej drodze sam w górę uniosę,
Smętnym wzrokiem nas wierne odprowadzi psisko.

I będę myślał podczas twojego pacierza
O ludziach, co ten kościół budowali stary,
Ciężką nawę, podobną do jucznego zwierza,
Co dźwiga grzechów naszych powszednich ciężary;

Będę myślał o ludziach, co w natchnienia żarze
Ciosali portyk, oraz chrzcielnicę we wnęce,—
Co królów w kolorowe zaklęli witraże
I maleńkie Dzieciątko, uśpione w stajence.

I pomyślę o trudzie artystów-ślusarzy,
Co kuli krzyż żelazny i rygle portali,
O tych, którzy Madonnę z uśmiechem na twarzy,
Z złożonemi rączkami w drzewie wyciosali.

Będę myślał o ludziach, którzy leli dzwony,
Ryjąc w bronzie baranka płaskorzeźbę małą,
Którzy w wieku trzynastym, w głąb krypty [święconej,
Jak skarb cenny złożyli Rocha święte ciało.

O tych, którzy utkali komży białej płótno,
Wiszącej przy ołtarzu, z boku, pod kotarą,
Co śpiewali nad mszałem niegdyś pieśń pokutną,
I o tych, co złocili mszałów klamrę starą.

Będę myślał o Hostji w księdza białej dłoni,
Błogosławiącej ludzi na śmierć i na życie,
O pierścieniach, gromnicach i długiej agonji,
O oczach smutnych kobiet, płaczących tu skrycie.

Pomyślę o umarłych w drzew cmentarnych cieniu,
Których ziemia z kwiatami przytula, jak matka,
O tych, których imiona starł Czas na kamieniu,
Pod krzyżem, co nad nimi czuwa do ostatka.

Gdy, Simono, wrócimy, łącząc w zmierzchu dłonie,
Zabłąkani, jak duchy, wśród świerków, o chłodzie,
Dumać będziem o Bogu, o życiu, o zgonie,
O psie, co na nas czeka... o różach w ogrodzie...

Tłum. *Zuzanna Rabska.*

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

9)

— To narazie nikogo nie obchodzi — odpowiedziała prezydentowa — w każdym razie chcę ją wychować na porządną panienkę — jeżeli będę tylko miała na to czas i spokój.

Ale o spokój było jakoś najtrudniej. Od czasu przyjazdu do St. Paul, pani Hermina była ustawicznie zajęta. Od rana do wieczora badała okolicę, szukała sługi, wynajmowała i wymawiała mieszkania i miała zawsze ogromnie dużo do roboty. Jednakże Ewa przyzwyczaiła się dziwnie prędko do swej nowej matki. I pomimo wszystko plan pedagogiczny pani Herminy nie uległ zmianie.

Plan ten był bardzo prosty. Ewa powinna być taką, żeby jej rodzice, gdyby żyli, nie mogli mieć nic do zarzucenia jej wychowaniu.

Dlatego pani Hermina powiedziała raz po ciężkiej walce ze sobą:

— Niema rady, muszę ją wychować w wierze ewangelickiej.

Powtarzała to coraz energiczniej wszystkim, czy chcieli czy nie chcieli, a przedewszystkiem swojej siostrze, Mili, która dawała w stolicy lekcje francuskiego.

— Jeżeli wogóle jesteś zdolna wychować kogoś — zaznaczyła słodko Mila, która miała ten nieszczęsny zwyczaj, że mówiła zawsze to, co myślała — niestety, nie posiadasz ani zimnej krwi, ani spokojnego usposobienia.

Pani Hermina zaśmiała się ostro i szyderczo.

— Nie, takim wzorem, jak ty, nie jestem, taką spokojną, wyrównaną — nie, Bóg widzi — taką... dziecko nawet być nie powinno.

Mila nie zauważyła tego wybuchu swej siostry, tylko ciągnęła tak słodko jak przedtem:

— A co do protestantyzmu, to wiesz, zdaje mi się zamało o tem, żeby odważyć się wychowywać dziecko w wierze...

— Od tego jest zięć sklepikarki — oświadczyła pani Hermina triumfująco i zaczęła opowiadać długo i szeroko o wiadomościach tego protestanckiego zięcia Agaty Schleier, tak, że biedna Mila onieśmielona zamilkła zupełnie.

Ale, kiedy Mila w następny wolny dzień znowu z miasta do siostry przyjechała, było wielkie święto i procesja w St. Paul.

A Ewa była tego dnia niesłychanie grzeczna i uśmiechała się jak aniołek na obrazku, bo wystrojono ją w białą sukienkę i włożono śliczny wianuszek na ciemne, krótko obcięte włosy.

— Ewa wygląda jak cherubin, nieprawdaż? — pytała pani Hermina z dumą.

— Tak, tak — mówiła Mila pomału i z namysłem — ale ona przecież nie idzie z procesją?

— Naturalnie, że idzie, dlaczego nie miałaby iść, moja kochana, dlaczego, pytam się?

— Bo toby nie było logiczne, przecież Ewa jest protestantką — a cóż mówi na to zięć sklepikarki?

— Daj mi spokój! Ty tak mówisz jakbyś z tą swoją logiką los wygrała na loterji. Teraz dajesz już trzydzieści godzin tygodniowo, wyglądasz, jak kulawa szkapa... i chcesz mi jeszcze dawać nauki! A ten zięć sklepikarki to także ananas, czy wiesz, że on ma stosunek z kucharką proboszcza?

Mila milczała zawstydzona porównaniem ze szkapą.

Ale pani Hermina oświadczyła naraz zupełnie uspokojona:

— Ewa nie potrzebuje żadnego wychowania. Co to dziecko ma za przymioty! Przedewszystkiem dobre serce tak samo, jak jej rodzice.

O tak, pani prezydentowa miała dużo fantazji i wiedziała niesłychanie wiele o rodzicach Ewy, których nie znała.

Nie przypuszczała jednak, że największy wpływ na Ewę wywierała sama. Na wychowywanie nie miała ani czasu, ani zdolności. Ale posiadała dużo silnej woli. A dziecko, jak to zwykle dzieci, było doskonałem medjum. Pani Hermina litowała się nad ludźmi, którzy jej nic nie obchodzili. Nie, broń Boże, z moralnych względów, ale takie już miała usposobienie. Zajmowała się żywo i namiętnie choremi i zgłodniałemi dziećmi chłopów i wędrownych cyganów, lub rannymi turystami, których często z gór znoszono. I w tem także naśladowała ją Ewa.

Ta mała znała wszystkich mieszkańców z St. Paul i okolicy. Była popularną, bo zawsze witała ich grzecznie i rozmawiała ze staremi chłopkami o pogodzie. Była usłużną dla wszystkich obcych stworzeń, tak jakby była winna wdzięczność nie tylko prezydentowej, ale całemu światu.

Najwięcej miała do czynienia z początku tylko w oddawaniu drobnych posług przy tak częstych w okolicy wypadkach w górach. Później pomagała naprawdę lub w urojeniu przewodnikom i lekarzom przy robocie. A zawsze, kiedy była sama, bawiła się w „stację ratunkową".

Prezydentowa, która się temu z daleka przypatrywała, znajdowała to trochę niestosownem i zapytywała się w duszy czy mała wiedziała o tragicznym końcu swoich rodziców. Ale nie przeszkadzała jej.

Ewa udawała, że przewiązuje rannych, kładzie ich do łóżka i rosół dla nich gotuje. Przytem mówiła bezustannie i często zdaniami, posłyszanemi z ust pani Herminy.

— A mój kochany, kiedy nie chcesz jeść, to ja umywam ręce. Z głupotą bogowie walczą napróżno. Chcesz się sam zabić? Proszę, nie przeszkadzam. Cóż ty sobie myślisz, że ja czas kradnę?

Ale niedługo potem biegła znowu na dół z prezydentową na dworzec po Milę i po śpiewaczkę. I rozmawiały ze sobą poważnie i cicho, jak dwoje starych ludzi ze zmarszczkami na twarzy, obarczeni kłopotami.

Głównie namyślały się nad tem, czy Mila zechce spać razem z Ewą w ciemnej komórce i czy śpiewaczce trzeba dać drób na kolację, czy wystarczy zwykła pieczeń.

Podczas tego Eugenja prowadziła poprostu prawie sentymentalną rozmowę z Jakóbem, w pustym przedziale pociągu pnącego się z sapaniem i zgrzytem w górę.

— Jakże dawno tęskniłam za taką chwilą z tobą, moje dziecko! Twój ojciec jest bardzo dobry człowiek i robi wszystko, żeby mnie uszczęśliwić, ale nie wie czego ja potrzebuję właściwie. Sławy? Ach, nie. Sława jest jak szampan, tylko na krótką chwilę... A zarabiać pieniądze?... Na to życie, które prowadzimy w tych wszystkich wielkich miastach Europy, żadne dochody nie wystarczają, moje dziecko. Ja tęsknię za tobą, za spokojem, za naturą... Patrz na te cudowne góry!

— Tu się kończą Alpy — zauważył Jakób.

— Ach, co Alpy. Ty musisz pojechać ze mną w Pireneje. Lolo projektuje, że jeżeli będziemy mieli czas na przyszłą jesień, wtedy pojedziemy razem na południe. Gdzieś, gdzie można się we wrześniu kąpać na wolnem powietrzu. Lolo chciałby jakiś czas tylko pisać, a my dwoje będziemy cały dzień pływać w morzu...

— Cały dzień nie jest zdrowo — myślał Jakób.

— Ty, moje dziecko, nie potrzebujesz chwała Bogu myśleć o zdrowiu — jesteś taki młody. Miło popatrzeć na ciebie. Otwórzmy trochę okno. Taka jestem szczęśliwa, jakbym była w twoim wieku i czekały mnie wielkie wakacje!

Jakób śmiał się.

— To dobrze. Ha, ha, wielkie wakacje! To dobrze, że jesteś wesoła.

— Czy czujesz to powietrze? Nie wiem co to jest, Jakóbie, ale w głowie mi się mąci... To mi przypomina takie dobre czasy...

— To dlatego, że jesteśmy teraz 900 metrów nad powierzchnią morza — oświadczył Jakób.

I jechali jeszcze wyżej. Z szumem i trzaskiem przebyli błyskawicznie kilka dłuższych i krótszych tuneli, ujrzeli dzikie przepaści po prawej i po lewej stronie, aż naraz stanęli w St. Paul.

Pani Hermina wyglądała o wiele starzej niż śpiewaczka, ale mimo to Eugenja poznała ją w tej chwili, głównie po uśmiechu.

— Tu jesteśmy—wołała Eugenja radośnie.

Przy dźwięku tych słów w sercu prezydentowej coś się poruszyło, jakby usłyszała głos swej własnej młodości.

— A to jest mój syn — chwaliła się z dumą Eugenja.

— Ten chłopiec tu także potrzebny, — pomyślała Ewa, ciekawam gdzie on będzie spał?

I szepnęła do prezydentowej cicho:

— Ja umywam ręce.

Właśnie w tej chwili przedstawiano śpiewaczce Milę, która wysiadła z tego samego wagonu. Była mniejsza i szczuplejsza od prezydentowej i wyglądała na pensjonarkę, choć była właściwie starą panną. Ale Eugenja zauważyła, że przedstawianie było zbyteczne, bo czyż nie miała przyjemności już raz... przed laty?...

A Mila kiwnęła kilkakroć głową z entuzjazmem.

— Naturalnie, naturalnie, kto panią raz widział, nigdy tego nie zapomni... Pani postać... oczy... ach i... głos!...

Wtem pani Hermina spojrzała na nią groźnie, prezydentowa nienawidziła takich wybuchów zachwytu, i Mila zamilkła odrazu.

Ewa myślała:

Prawdziwy krzyż z tą Milą.

(*Dcn*)

Szczątki samolotu wojskowego, który uległ katastrofie pod Lublinem. Fot. L. Hartwig.

KATASTROFA LOTNICZA POD LUBLINEM.

Dnia 20 ubiegłego miesiąca między Lublinem a Kraśnikiem spadł samolot wojskowy z wysokości 1000 metrów, grzebiąc pod swemi szczątkami dwóch lotników: kpt. obserwatora S. Esztela i por.-pilota H. Strzałkowskiego, oficerów 2-go p. lotniczego w Krakowie.

Lotnicy obaj wylecieli z Krakowa w celu odbycia lotu okrężnego Kraków—Warszawa—Lwów—Kraków.

Samolot ten lekkiego typu wyścigowego zbudowany został niestety w polskiej fabryce samolotów „Plage i Laśkiewicz" w Lublinie.

Dochodzenie władz wojskowych ustali, czy winą katastrofy były wady w konstrukcji aparatu, czy też lekkomyślność lub niedostateczne opanowanie przyrządu przez lotników.

□□

REGATY MIĘDZYKLUBOWE W BYDGOSZCZY.

Fot. W. Rokosz.

Zwycięska osada Akademickiego Związku Sportowego, która zdobyła mistrzostwo Polski na r. 1923.

Po otrzymaniu nagród w Warszawie, zwycięska osada A. Z. S. odbyła przejażdżkę po Wiśle w towarzystwie p. p. ministrów Szeptyckiego i Głąbińskiego.

Z REGAT MORSKICH W GDYNI.

Fot. Dr. T. Cyprian.

Bieg żaglowych łodzi sportowych.

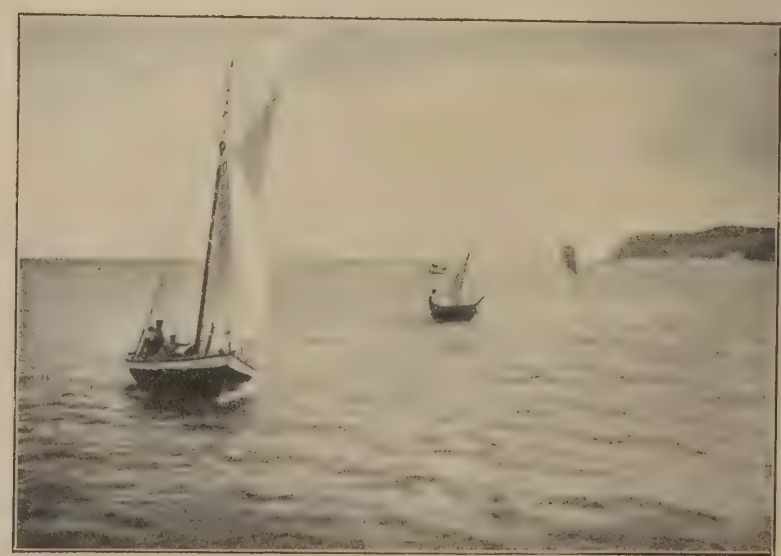

Łodzie rybackie podczas biegu.

W KAMIENICY BARYCZKÓW.

W dziejach starej Warszawy ród Baryczków przez długi okres czasu cieszył się niemałem uznaniem dla wielu swych zalet i cnót, w dziejach zaś ostatnich lat kilkunastu, dziedzictwo po Baryczkach w postaci ich kamienicy na rynku Starego Miasta stało się głośne, ponieważ jest siedzibą i własnością znanego już dzisiaj w całej Polsce Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Z tego też powodu, nazwa kamienicy Baryczków w gwarze codziennej bywa synonimem nazwy Towarzystwa, jako obecnego jej właściciela.

Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości, powołane do życia przez ś. p. Adama hr. Krasińskiego, rozpoczęło działalność swą w roku 1906.

Już nazwa sama jasno określiła cel główny istnienia Towarzystwa, na które Rosjanie z początku kosem spoglądali okiem, podejrzewając w niem „prądy antypaństwowe", jak zresztą w każdej wogóle akcji zbiorowej Polaków.

Tymczasem Towarzystwo dla prac swych nabierało powoli coraz większego rozgłosu, zakładało w różnych miastach swe oddziały, powiększało stopniowo swe zbiory, gromadziło dokumenty i zdjęcia fotograficzne z zabytków, zawsze chętnie współpracując z poszczególnymi badaczami przeszłości, jak i różnemi instytucjami naukowemi w kraju i zagranicą.

Prace i zabiegi Towarzystwa w dwojakim szły kierunku. Jeden dział pracy — to badania naukowe, skupiające się w Wydziale Konserwatorskim, dział drugi — to propaganda, szerzona przez różne wydawnictwa, odczyty, przez urządzanie wystaw, wreszcie przez utworzenie w siedzibie Towarzystwa stałej pracowni fotograficznej, gromadzącej dziś jedną z najbogatszych u nas kolekcyj klisz z dokonanych zdjęć zabytków historycznych.

Pomimo bardzo trudnych nieraz warunków egzystencji, Towarzystwo stało zawsze na wysokości swego zadania, a zwłaszcza podczas wojny nie tylko nic nie uroniło z wytycznych swych celów, lecz owszem stało się ośrodkiem, około którego na szerszą skalę rozwijały się debaty nad sprawą rewindykacji skradzionych przez Rosjan zabytków polskich. Debaty te i prace, poparte potem oficjalnie przez rząd polski, uwieńczone są dzisiaj, aczkolwiek niezupełnym, ale dosyć już wybitnym rezultatem. Odzyskaliśmy bowiem z Rosji wiele przedmiotów pierwszorzędnej dla nas wartości pamiątkowej i historycznej. Dalsze z Sowdepją pertraktacje w tym kierunku idą, jak wiadomo, bardzo opornie.

Na czele Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości stoi złożony z osób kilkunastu Zarząd, którego prezesem jest Edward hr. Krasiński, poświęcający Towarzystwu wiele czasu i środków materjalnych. Wydział konserwatorski stanowi jednostkę autonomiczną, której uchwały, po przyjęciu przez Zarząd, podlegają możliwie rychłej egzekutywie.

Duszą całej instytucji i stałym łącznikiem pomiędzy Wydziałem Konserwatorskim a Zarządem jest dr. Władysław Kłyszewski, od lat dziesięciu jest on kierownikiem głównym Sekretarjatu Towarzystwa i nie tylko ma pieczę nad biegiem ogólnym spraw wszystkich, wchodzących w zakres działalności Towarzystwa, ale jednocześnie jest najczęściej i inicjatorem w urządzaniu zwłaszcza wystaw rozmaitych, nad których wartością wewnętrzną i okazałością zewnętrzną łącznie z Komitetem Wystawowym czuwa z całą precyzją, gruntowną znajomością rzeczy i niezwykłem zamiłowaniem.

To też wszystkie urządzane w kamienicy Baryczków wystawy, których dotąd było piętnaście, cieszyły się zawsze niezwykłą popularnością i zyskiwały rozgłos zasłużony.

Z powodu przyjazdu do Polski wielkiego zwycięzcy i bohatera, marszałka Focha, na tegoroczne nasze święto 3-go maja, połączone z odsłonięciem w stolicy pomnika księcia Józefa Poniatowskiego, Towarzystwo Opieki nad zabytkami przeszłości urządziło w siedzibie swej wystawę specjalną, poświęconą malarstwu francuskiemu.

Pod patronatem Romanowej hr. Potockiej zawiązał się Komitet wystawowy, który wystąpił z odpowiednią odezwą, pragnąc zgromadzić na Wystawie dzieła najlepszych mistrzów Francji, znajdujące się w Polsce w zbiorach prywatnych.

Posiadacze tych dzieł chętnie stanęli do apelu.

W kamienicy Baryczków zawrzała praca intensywna nad urządzeniem wystawy, trwająca kilka tygodni.

W dniu 9 maja, ostatnim pobytu swego w naszej stolicy, marszałek Foch zwiedził wystawę, wypowiadając o niej najżywsze swe uznanie.

Uroczyste otwarcie wystawy, dokonane przez prezydenta Rzeczypospolitej p. Stanisława Wojciechowskiego, nastąpiło w dniu 12 maja.

Wybitnie doniosła wystawa ta — jak słusznie zaznacza odezwa Komitetu Wystawowego — wymownie zaświadczyła przed Europą o nie dającem się w rachunku dyplomatycznym pominąć stałem i bezpośredniem naszem współżyciu z wielką sztuką bohaterskiej Francji.

Ks. H. Skimborowicz

WCZORAJSI I DZISIEJSI GOSPODARZE NIEMIEC.

Fot. J. Graudenc.

Były kanclerz Cuno (z lewej strony) ściska dłoń prezydenta Eberta u wejścia do parlamentu Rzeszy.

Fot. K. Fernstaedt.

Nowy Kanclerz Rzeszy Dr. Stresemann, dotychczasowy poseł niem. partji ludowej.

SUKCES ŚPIEWACZKI POLSKIEJ ZAGRANICĄ.

P. Stefanja Jankowska, artystka o pięknym głosie koloraturowym, zamieszkująca stale w Paryżu, została w tych dniach zaangażowana do Wielkiej Opery w San-Sebastian w Hiszpanji, gdzie śpiewać będzie, przed królem Alfonsem XIII, rolę Gildy z Rigoletto (po włosku) i Manon Massenet'a (po francusku). Jest to bardzo poważny sukces, przynoszący zaszczyt naszej utalentowanej rodaczce i wogóle sztuce wokalnej polskiej.

SPROSTOWANIE.

Autorem noweli p. t. „W podmorskim młynie" drukowanej w № 34 Tyg. Ilustr. jest p. Jerzy Bohdan Rychliński (mylnie podano: Bolesław).

MYDŁO, KREM i PUDER
KONIK
DLA DELIKATNEJ CERY

DOLLFUS-MIEG & Cie, SOCIÉTÉ ANONYME
BAWEŁNA, JEDWAB I LEN
DO HAFTU, ROBÓT SZYDEŁKOWYCH I NA DRUTACH
D·M·C
ZATWIERDZONA MARKA FABRYCZNA
TRWAŁE KOLORY
MATERJAŁ PIERWSZORZĘDNY
DO ROBÓT RĘCZNYCH
MULHOUSE-BELFORT-PARIS.
Nici i taśmy D·M·C są do nabycia we wszystkich sklepach galanteryjnych i robót ręcznych.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
FABRYKI
OBIĆ PAPIEROWYCH
i PAPIERÓW KOLOR.
„J. FRANASZEK"
WARSZAWA
Fabryka: ul. Wolska Nr. 41/43,
Tel. 1-71, 203 27.
Skład obić: Krak. Przedmieście Nr. 15,
Tel. 1-72.
Obicia papierowe (tapety)
od najwykwintniejszych do najtańszych.

Widok ogólny fabryki „Lewandowski i Janiak" w Bydgoszczy.

ZŁOTO Z DRZEWA.

(z cyklu „Bydgosko Pomorski przemysł").

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Najgłówniejszym surowcem naturalnym, którym Bóg obdarzył Polskę, to obfitość drzewa. To drzewo jakże nietrudno jest zmienić na... złoto!.. Ale niech też to będzie prawdziwe złoto. Nie to, które otrzymujemy z zagranicy, za nasz eksport drzewa w surowym stanie. Jedynie bowiem racjonalną zasadą naszego eksportu winno być wywozić za granicę nie surowiec, lecz już gotowy fabrykat. Tę to właśnie zasadę stosuje bydgoska firma

Lewandowski i Janiak
FABRYKA WYROBÓW DRZEWNYCH
Bydgoszcz,
róg ul. Dworcowej i Unji Lubelskiej.

Właściciele jej odkryli jakby sztukę, nad której wynalezieniem łamali sobie tyle lat głowę średniowieczni alchemicy. Drogą przemysłowego przetwarzania potrafią oni dobywać z drzewa niejako złoto naturalne a to w postaci ceny, którą osiągają za gotowy fabrykat, jako produkt swego warsztatu przemysłowego.

Urzędową datą powstania tej firmy jest czerwiec 1921 r. Wykupiona z rąk niemieckich fabryka ta początkowo mieściła się przy ul. Sienkiewicza, skąd ją w celach bardzo wydatnego rozszerzenia jej przeniesiono kolejno do obecnych jej i specjalnie obranych pomieszczeń przy rogu Dworcowej i Unji Lubelskiej.

Współwłaściciel fabryki „Lewandowski i Janiak" oraz „Pasamonu" p. Lewandowski.

Zaopatrzona we wszelkiego rodzaju obrabiarki, produkuje ona z drzewa rozmaitego rodzaju artykuły masowe, jako to statki kuchenne, trzonki do noży i pilników i wszelkie półfabrykaty dla stolarzy, jako to: nogi do stołów, biurek, bilardów etc.

Z szczególną starannością produkują pp. Lewandowski i Janiak t. zw. „sztelarze" salonowe do elektryczności, t. j. stojące kinkiety, z których każdy okryty „batikiem" stanowi piękną ozdobę salonu...

Osobny dział fabrykacji przedstawiają szpulki do nawijania nici, które, niestety, dotąd sprowadzaliśmy ku naszemu wstydowi z zagranicy. Obecnie cały nasz przemysł niciany może być nareszcie dzięki bydgoskiej firmie „Lewandowski i Janiak" w wystarczającym zupełnie stopniu obsłużony w kraju.

Obecnie fabryka ta znajduje się wciąż w stanie bardzo intensywnego rozwoju i zatrudnia już

Hala główna fabryki wyrobów drzewnych „Lewandowski i Janiak" w Bydgoszczy.

Oddział tokarni w fabr. wyrobów drzewnych „Lewandowski i Janiak" w Bydgoszczy.

około 50 robotników. Duszą przedsiębiorstwa i wyłącznym jej faktycznie kierownikiem jest p. Eligjusz Franciszek Lewandowski, który w tej chwili zajęty jest wykończaniem budowy oddziału wielkiej suszarni drzewa, zbudowanej według wszelkich prawideł najnowszej techniki, bo zaopatrzonej w t. zw. „ekshaustor" i t. d. Dzięki temu bydgoska fabryka wyrobów drzewnych „Lewandowski i Janiak" przystąpić może już teraz do rozszerzenia nowego swego działu, jakim jest fabrykacja mebli, a specjalnie zaś do produkcji łóżek drewnianych „Celeritas", na które p. Lewandowski otrzymał właśnie ochronny patent.

Łóżko „Celeritas" zbudowane jest bez wszelkich śrub i okuć metalowych. Błogosławić je będą wszyscy przeprowadzający się. Konstrukcja jego jest tego rodzaju, iż daje się ono bez żadnego trudu ustawić wprost w okamgnieniu.

Nietrudno przewidzieć, iż będą te łóżka niedługo modne w całej Polsce. Zasługują na to ze wszech miar, gdyż mają jeszcze jeden godny pochwały sekret. Oto dadzą się doskonale, jak w kajucie okrętowej, ponad sobą zawieszać. W dzisiejszym czasie wobec braku mieszkań i ciasnoty naszych skutkiem tego pomieszczeń stanowią wynalazek niesłychanie popularny. Już dziś przewidzieć można, iż spopularyzuje się on zagranicą, rozsławiając tam zasłużenie imię przemysłu polskiego.

Ig.

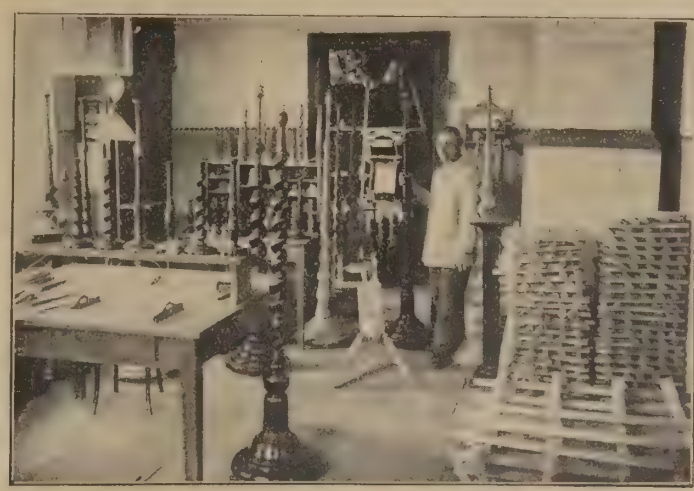

Wystawa modeli fabryki „Lewandowski i Janiak" w Bydgoszczy.

Część zapasów drzewa przy ulicy Dworcowej.

Skład główny zapasów surowca.

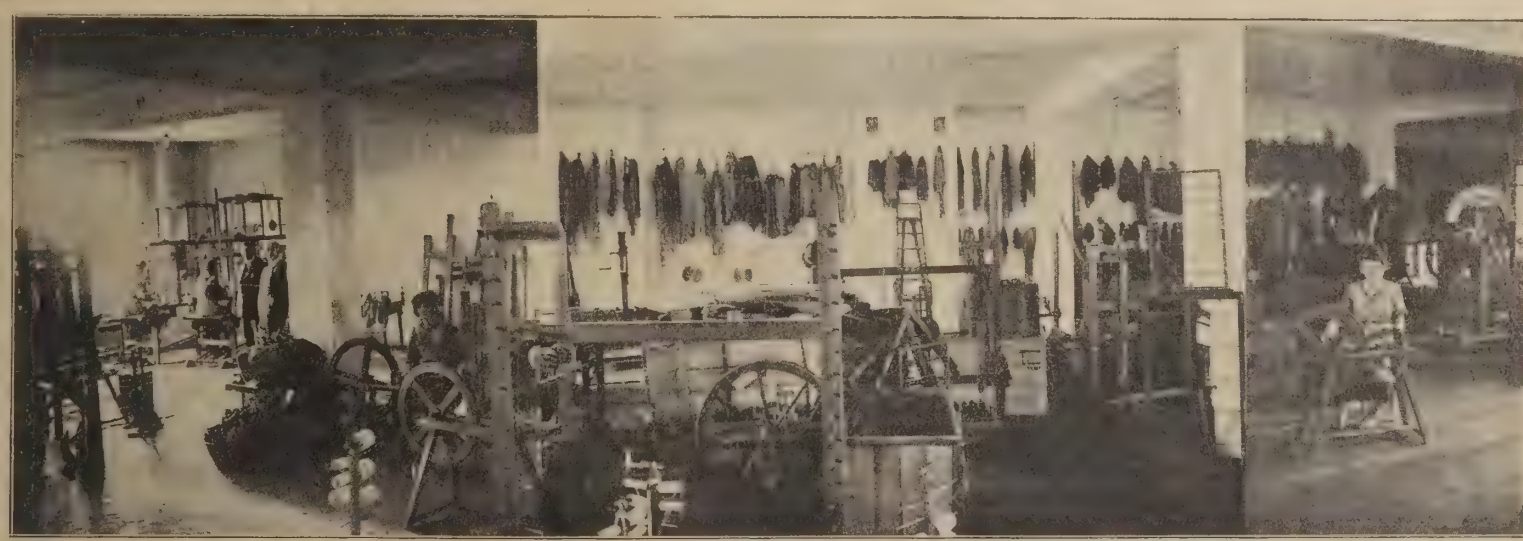

Hala główna fabryki „Pasamon" w Bydgoszczy.

„PASAMON"

(Z cyklu: „Bydgosko-Pomorski przemysł").

Każdy, kto choćby w sposób przypadkowy i bardzo powierzchowny przypatrywał się sztuce tapicerskiej, ten nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak w dziedzinie tego wszystkiego, co potrzebne jest tapicerowi i dekoratorowi mieszkania, zdani byliśmy na łaskę i niełaskę Niemców i .... nalewkowskich żydków.

Z tej ubliżającej przemysłowi polskiemu zależności wyrwała nas dopiero firma polska, mieszcząca się w obrębie tak bardzo uprzemysłowionej Bydgoszczy. Już obecnie rozmiar produkcji tej firmy pozwala stwierdzić, że i w tej gałęzi zaczynamy się zdobywać na taką samodzielność, o której wolno mówić nie bez pewnego odcienia dumy.

Właściciele firmy bydgoskiej, o której tu mowa, potrafili w czerwcu roku 1921-go wyrwać ją z rąk niemiecko - żydowskich niejakiego Sandmana, odpowiednio przebudować i rozszerzyć. Dzięki temu wszystko to, co w sztuce zdobniczej dekoratorowi i tapicerowi potrzebne, jest już dziełem polskiego przemysłu i śmiało świadczyć może o naszej i na tem, lekceważonem dotąd, polu samowystarczalności.

Przepiękne i wzorzyste pasmanterje, tak potrzebne do zdobienia mebli, portjer i t. p. a któreśmy dotąd za słone pieniądze sprowadzali z Niemiec, dziś już wyrabiamy wyłącznie u siebie w kraju. W ten sposób zdobyliśmy się nie tylko na kompletne zaspokojenie w tym kierunku naszego rynku wewnętrznego, ale, co ważniejsza, już niedługo będziemy eks-

Krosna, wyrabiające „maźnice" na użytek kolei państwowych.

Aparaty, produkujące pasmanterje wzorzyste.

portowali i w tej dziedzinie naszą nadprodukcję zagranicę.

Zasługa to wyłączna firmy:

„PASAMON"

FABRYKA PASMANTERJI

BYDGOSZCZ, PLAC TEATRALNY.

której współwłaściciel p. E. F. Lewandowski (p. Janiak, właściciel tartaku, mieszka stale w Pleszewie) potrafi z wielką umiejętnością czas swój podzielić w ten sposób, iż nie tylko zarządza znaną fabryką wyrobów drzewnych przy rogu Dworcowej i Unji Lubelskiej w Bydgoszczy, ale jeszcze potrafi dużo swej energji życiowej i to w zupełnie dostatecznej mierze poświęcić rozwojowi tej placówki, o której tu mowa...

Dziś bydgoski „PASAMON" swą produkcją nie tylko zaspakaja Wielkopolskę, Pomorze, Gdańsk i Prusy wschodnie, ale obsługuje nią bardzo sprawnie już całą Polskę, ba, tylko patrzeć, jak zacznie wysyłać swe wyroby do Rosji i na daleki Wschód.

Wszelkie taśmy tapicerskie, sznury, borty, pompony, w najrozmaitszych i najbardziej efektownych wzorach, wszystko to jest dziełem fabryki „Pasamon", której liczba robotników już dziś przekracza cyfrę 30. Do tej chwili praca ich jest ręczna, ale stopniowo wzorem Niemiec będzie ona zmechanizowana za pomocą maszyn, które już są zamówione. Miesięczna wartość produkcji „Pasamon" już dziś wynosi 200 milj. miesięcznie, a rocznie dochodzi do $1^1/_2$ miljarda.

Zapas wełny wartości 300 miljonów.
Na pierwszym planie Dyrektor Zarządzający fabryki.

Osobno wspomnieć należy o dziale fabrykacji bortów powozowych na potrzeby fabryk powozowych, które w ten sposób nie potrzebują oczekiwać już obecnie na import z zagranicy tak potrzebnego im artykułu.

Modystkom warszawskim również jest znany bydgoski „Pasamon", gdyż stąd czerpią one bardzo wytworne sznury jedwabne do konfekcji damskiej, odznaczające się zawsze pięknem wykończeniem i arcywytworną pomysłowością.

Specjalnością firmy „Pasamon" jest też produkcja masowa t. zw. „poduszek maźniczych" dla wagonów kolejowych. Sporządzone według specjalnej recepty p. E. Lewandowskiego z pewnego gatunku wełny (autor pomysłu sam jest wykształconym chemikiem...), stanowią one unikat w swoim rodzaju i jako produkt są bez konkurencji, gdyż nasiąkają pod gwarancją w ciągu 20 minut. To też cenione bardzo wysoko przez znawców, zaspokajają w dostatecznej ilości zapotrzebowanie naszych kolei polskich, zyskując stale pełne uznanie ze strony ich Zarządu.

W tej chwili toczą się układy o dostarczanie tych „poduszek maźniczych" także i kolejom rumuńskim i jugosłowiańskim. O tym szczególe warto pamiętać i mówić o nim zawsze wtedy, gdy toczy się dyskusja, czy polski przemysł potrzebny jest światu, i jakie *już* ma on zasługi wobec ruchu nawet europejskiego.

Ignotus.

Oddział krosien fabryki „Pasamon" w Bydgoszczy.

Aparat, produkujący jedwabne „pompony".

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 36 Ogólnego zbioru 3,329 Wydawnictwa rok 64. 1 Września 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

ZWYCIĘSTWO. MICHAŁ ANIOŁ.

PO WAKACJACH.

Kończy się okres wakacyj letnich. Do Warszawy powrócą niebawem nie tylko rzesze młodzieży szkolnej i akademickiej. Powrócą także nauczyciele, profesorowie i ta część inteligencji pracującej, która miała możność spędzenia chociaż kilku tygodni zdala od gwaru wielkomiejskiego i od tych codziennych trucizn, któremi nasiąkło nasze życie polityczne. Powrót tej fali ludzi wypoczętych, o zdrowych i uspokojonych nerwach, o jaśniejszym światopoglądzie jest bardzo dla nas w tej chwili pożądany.

Chcielibyśmy widzieć w tem nowy przypływ energji, a co za tem idzie wzrost w społeczeństwie wiary we własne siły, nadziei i tego optymizmu, który jest niezbędny, jako atmosfera wychowawcza dla młodszych pokoleń.

Na to szczególną należy zwrócić uwagę. Nastrój Warszawy jest w tej chwili pesymistyczny. Złożyło się na to wiele przyczyn. Zewsząd słychać narzekania. Jedne z nich są słuszne, inne niesłuszne. Nikt jednak już nie zastanawia się nad tem, czy w czarnych barwach nie przeholował, ale bez zastanowienia mówi na prawo i na lewo, że jest źle. Szczególnie ton adherentów opozycji jest taki, iż zdawać się może, że bez ratunku pogrążamy się w jakąś przepaść, z której już wyjścia nie będzie, o ile rząd większości narodowej nie ustąpi znów miejsca rządowi lewicy, połączonej z mniejszościami narodowemi. W kotle politycznym wre i kipi od ciężkich inwektyw, a na pytanie: kto winien? odpowiada się stereotypowo: *rząd*, oczywiście, mając na myśli ten rząd, który w tej chwili siedzi na „ławie oskarżonych", bo tamte, poprzednie rządy, które w sam czas z tej ławy zeszły, naturalnie żadnej odpowiedzialności za obecny stan rzeczy nie ponoszą.

Średni obywatel, któremu prasa opozycyjna maluje codziennie w najczarniejszych kolorach stan państwa, nie może być w takich warunkach optymistą, gorzknieje, biada i staje się przez prosty nałóg narzekania krzewicielem dokoła siebie małej wiary w jutro.

Lasecznik tej „małej wiary" jest największym nieprzyjacielem czynnego i twórczego życia. On to sprawia, że ludziom „ręce opadają" i że rezygnują oni nawet z tego, co ani nie jest niemożliwe ani trudne do osiągnięcia. On wytwarza to poczucie bezradności i lenistwa woli,których objawy spotykamy dzisiaj na każdym kroku.

Dla społeczeństwa, jako całości, a zwłaszcza dla młodzieży niema większego niebezpieczeństwa ponad ten stan psychiczny. W takiej atmosferze życia zbiorowego trudno jest liczyć na przyrost silnych charakterów, mądrych głów i gorąco kochających serc. Natomiast bardzo łatwo jest przewidywać, iż rychło wrócimy do typu apatycznego i obojętnego na wszystko obywatela, z którym tak często mieliśmy do czynienia przed wojną, w okresie naszej niewoli narodowej, kiedy pełno było ludzi, wzdychających po kątach i narzekających na rządy obce, a tak mało tych, którzy westchnieniom i narzekaniom umieli przeciwstawić program walki o prawa narodu i o swobodniejszy oddech społeczeństwa.

Otóż do tego w żaden sposób dopuścić nie można. Nasza młodzież szkolna i akademicka, ta młodzież, która w ogromnej swojej części przyczyniła się bądź do odzyskania niepodległości, bądź do jej utrwalenia, nie może wejść w ślimaczą skorupę narzekającego filisterstwa, zasklepić się w ciasnem kole swoich spraw osobistych, najczęściej wyłącznie materjalnych, i zrezygnować z tej wielkiej idei, pod której gwiazdą weszła w życie.

Idei tej na imię—odrodzone państwo polskie. To państwo potrzebuje ludzi zdrowych, mocnych, zwartych w sobie, psychicznie zrównoważonych, którzy potrafią wziąć się za bary ze wszystkiemi przeciwnościami i, nie upadając na duchu, dążyć do zwycięstwa dobra nad złem, do opanowania obecnego rozprzężenia, do wykreślenia narodowi zabezpieczonych przed wszystkiemi niespodziankami dróg rozwoju.

Urobienie i wychowanie typu nowoczesnego wolnego Polaka jest naczelnem zadaniem wszystkich wychowawców, a więc w równej mierze rodziny i szkoły. I jedna i druga muszą wytężyć wszystkie siły, aby przedewszystkiem uchronić młodzież przed rozkładowem działaniem pesymizmu, wskazać jej natomiast źródła żywej wiary w jutro.

Zły jest wychowawca, który, sam ogarnięty chorobą pesymizmu, przesącza ten pesymizm w duszę wychowańca.

Niedobry to obywatel, który w zetknięciu z młodszym od siebie obywatelem, z tym, co niebawem stanie na jego miejscu, zajmie jego placówkę, zamiast wpajać w niego przekonanie: „ty zrobisz, czego ja nie zrobiłem, ty dokonasz, czego ja nie mogłem dokonać", podcina skrzydła jego ufności, ukazując mu na ciele Polski odrodzonej same tylko rany chwili dzisiejszej a nic nie mówiąc o tych, które już wolność zabliźniła, a których było daleko więcej i daleko dotkliwszych.

Juvat miminnisse praeteritorum malorum. Tylko przez porównanie przeszłości naszej z teraźniejszością dochodzi się do słusznej i sprawiedliwej oceny tego, na co patrzą nasze oczy i co przeżywają nasze umysły i serca. Zapewne, daleko jesteśmy jeszcze od ideału, który powinien wypełniać każdą duszę polską. Jeżeli jednak cofniemy się do lat, poprzedzających wojnę a choćby tylko do lat, w których ciągu ta wojna oswobodzicielska na ziemiach naszych trwała i porównamy to, co było wówczas, z tem, co jest obecnie, to spostrzeżemy, jak mało mamy praw do narzekania a jak wiele powodów do dziękczynienia za to, co stało się naszym udziałem.

Zburzona wiekowa Bastylja polskiego więzienia, trzy rozbiorowe potęgi w gruzach, trzy wielkie imperjalizmy w rozkładzie, rozdarta ziemia polska połączona w jedną całość, stan gospodarczy kraju, pomimo katastrofy walutowej, na drodze do rozkwitu, rolnictwo i przemysł odrodzone, stosunki handlowe z obcemi krajami nawiązane, dobrobyt szerokich mas na ogół wyższy, niż przed laty 8—10, włościanin i robotnik lepiej ubrany i lepiej odżywiony, potrzeby jego kulturalne znaczniejsze, uświadomienie narodowe i społeczne głębsze, głód oświaty powszechniejszy, wychodźtwo na obczyznę coraz mniej liczne i t. d. i t. d. Wszystko to są dowody, że nie upadamy, ale podnosimy się. A jeżeli do tego dodamy zorganizowaną armję i funkcjonującą może niedość sprawnie ale już zmontowaną machinę państwową—ów *rząd*, na który najbardziej narzekamy, bo to czynić najłatwiej, jak najłatwiej jest strzelać do przybitego na widocznem miejscu i nieruchomego celu, to przekonamy się, że wcale nam nie brak podstaw — i to zupełnie usprawiedliwionych — do wiary w naród, do wiary we własne siły, a więc do nadziei na jutro.

Trzeba tylko sądzić spokojnie, *sine ira et studio*, nie powodując się podnieconemi nerwami, nie ulegając rozdrażnieniu, nie nastawiając żagli wyobraźni na podmuch każdego wiatru.

Temu spokojnemu sądowi o rzeczach i o ludziach powinny być jaknajszerzej otwarte wrota naszych domów rodzinnych i szkół w chwili, kiedy wkroczy w nie powracająca z wakacyjnych czasów młodzież.

Przywiezie ona z sobą niewątpliwie ową równowagę duchową, którą daje obcowanie z przyrodą, owo czyste serce i czystą duszę, w których budzą się utajone ich wartości w zetknięciu, jakby Prus powiedział, „z Bogiem, z ziemią i z prostym człowiekiem", t. j. z tem, ku czemu sposobność większą niż miasto daje wieś, a więc wakacje. Nie dopuśćmy zatem trucizny pesymizmu do tych odświeżonych serc i dusz. Niech zachowają one nie tylko jaknajdłużej świeżość „wakacyjną", ale niech jednocześnie wniosą do atmosfery wielkiego miasta, które ma ich wychowywać, swoją młodą ochotę od życia i wiarę w to życie, niech szerzą dokoła siebie zdrowie i tę pewność, że trawiąca nas dzisiaj choroba społeczna nie rzuci się na te zdrowe organizmy i nie zaszczepi im swojego jadu.

Zdala od polityki i waśni partyjnej, jaknajbliżej narodu i prawdy o nim.

Oto hasło, jakie po wakacjach powinno być wypisane czytelnemi głoskami w każdym domu rodzinnym i w każdej szkole.

LAS. ST. ŻUKOWSKI.

STANISŁAW ŻUKOWSKI.

(*Sylweta artysty*).

Ze wszystkich działów malarstwa najbardziej kardynalnej przemianie uległ krajobraz. Gdy malarstwo figuralne posiada po przez wieki snującą się linję wytyczną, idąc wciąż drogą studjów z natury, które, dzięki genjalnym jednostkom, subtelniały coraz bardziej, bogacąc skarbnicę dorobku artystycznego wyrazem coraz to innych indywidualności, pejzaż w epokach największego rozkwitu twórczości malarskiej leżał odłogiem, służąc przeważnie za tło obrazom, pozbawiony duszy natury. I Ruysdaal i Hobbema i Salvator Rosa i wielu innych mistrzów odrodzenia i następnych etapów rozwoju sztuki tworzyli pejzaże sztuczne, komponowane, dając refleks przyrody przyćmiony brakiem wniknięcia w jej tajnie pobieżnem traktowaniem i bez wyzyskania tak ważnych czynników, nań oddziaływających jak: powietrze, blask i kolor.

Jeszcze początek XIX wieku szedł bez przerwy drogą urobionej tradycji, bliższym będąc Ruysdaalowi niż skąpanej w świetlnej przezroczy a słońcem oświetlonej naturze, ostatni z szeregu słynny Calame, posiłkując się naturą, podporządkowywał jej wyraz zbyt silnie oddziaływającej na jego twórczość akademickiej tradycji.

Malarstwo polskie, jedno z najmłodszych w zespole sztuki europejskiej, ma tę w historji zasługę, że równocześnie z zasadniczą zmianą pojęć o pejzażu, jaka zabłysła w genjalnych wysiłkach szkoły barbizońskiej we Francji, stworzyło swe własne, intuicyjnie odczute pojęcie rodzimego krajobrazu. I gdy Francuzi, jak Rousseaux, Français, Millet, Corot, Daubigny pierwsi rzucili w świat hasło plein-air'u, kąpiąc swą produkcję w potokach światła i blasku, nasza młodzież ówczesna—uczniowie Piwarskiego—tąż samą szli drogą, a lubo w początkach nie były to jeszcze dzieła równe mistrzowstwem wykonania mistrzom francuskim, miały tę zaletę, że szczerze odzwierciadlały naturę w tem, czem ona charakteryzowała przyrodę polską.

Krajobraz polski — choć początkami swemi sięga zaledwie trzech ćwierci wieku i niedawno jeszcze w naszym artystycznym świecie reprezentowany był przez żyjących pierwszych jego twórców — ma niezwykle piękną już historję. Na kartach rozwoju tej gałęzi malarstwa, może najbardziej samoistnej, widnieją nazwiska Gersona, Szermentowskiego, Maksa Gierymskiego, wreszcie Chełmońskiego w otoczeniu niezwykle licznej plejady pierwszorzędnych talentów.

Krajobraz polski ma w sobie tę siłę żywotną, która mu pozwala najgłębiej manifestować uczucia rdzenne, samoistne, bo płynące z głębi duszy artystów skojarzonych miłością kraju rodzinnego. To też nie traci on na znaczeniu, istnieje, trwa i bez przerwy — w twórczości najznakomitszych artystów następujących po sobie generacyj — idzie drogą postępu. Ze śmiercią genjalnej jednostki, jaką był Matejko, odczuć się wnet dał zanik historycznego malarstwa, ze śmiercią Chełmońskiego—krajobraz coraz to nowych, coraz to doskonalszych ma przedstawicieli.

Stanisław Żukowski.

O jednym z takim mam mówić.

Zadanie, które podejmuję, daje mi możność przedstawić szerszemu ogółowi postać artysty nieznanego u nas, artysty, który zmuszony okolicznościami opuścił kraj w samym zarodku swej karjery, aby na obczyźnie wyrobić swój niepospolity talent i stanąć w rzędzie mistrzów pierwszorzędnych, aby zdobyć uznanie w najznakomitszych centrach sztuki europejskiej, pracując wciąż bez przerwy z myślą, że czyni to wszystko na chlubę Polski i jej sztuki.

Stanisław Żukowski, który wkrótce zawita do Warszawy, przynosi z sobą sławę zdobytą wśród obcych, tak samo, jak to przed nim uczynili: Brandt, Siemiradzki, Czachórski, Kowalski, Chełmoński i tylu innych koryfeuszów malarstwa polskiego. Przybywa po latach, aby odetchnąć w atmosferze, do której tęsknił bez przerwy, aby rozpocząć na nowo swą pracę wśród swoich i dla swoich. Wynik jego dotychczasowej działalności jest olbrzymi. Jest to przedewszystkiem silna, pewna siebie, w pełni skrystalizowana indywidualność wielkiej miary artysty. Zasadniczą cechą talentu Żukowskiego jest wirtuozowski rozmach, terenem rozwoju — umiłowanie natury przy równoczesnem odczuciu jej duszy. Krajobrazy jego zastanawiają jako znakomite dzieło sztuki, przemawiają wyrazem uczuć i refleksem wrażeń malarza, który widzi w przyrodzie źródło najwznioślejszego natchnienia.

Tak szlachetne pojęcie zadań malarza czynią z Żukowskiego syntetyka ukrytej w przyrodzie harmonji—malując składowe części pejzażu, dąży do tego, aby dzieło przezeń stworzone żyło własną swą mocą, aby wyrażało to, co w samej rzeczy wyraża. Jego kresowe przeważnie motywy, które czerpał z Litwy i Białorusi, noszą na sobie stygmat prawdy tak silnie uzmysłowiony, że musi porwać każdego jako czerpany z pierwszej ręki materjał życiowy. Rosjanie, wśród których przebywał, uznali w nim mistrza, typowo uosabiającego kierunek realno-uczuciowy.

Stanisław Żukowski pochodzi z rodziny ziemiańskiej, osiadłej w starostwie wołkowyskiem w Grodzieńszczyźnie—urodził się w rodzinnym majątku Jędrychowice dnia 13 maja 1873 r. Jak tylu synów kresowych obywateli rozpoczął nauki w Warszawie, gdzie uczęszczał do szkoły prywatnej Łagowskiego—gimnazjum ukończył w Białymstoku. Czując powołanie do malarstwa, w 1892 r. wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Moskwie, którą ukończył pod bezpośrednim kierunkiem słynnego rosyjskiego pejzażysty, Lewitana. W 1897 otrzymał trzy akademickie medale, w tymże roku zaczął wystawiać na wystawie okrężnej Tow. art. (peredwiżniki) i wkrótce został członkiem tej wielce ruchliwej naówczas instytucji. Dzieła jego coraz bardziej ceniono, następnie zakupione zostały do Zbiorów akademji, do muzeum Tretjakowa. W 1910 r. przyznano mu za obraz „Młyn" nagrodę Kuindżi jako za najlepszą pracę ze wszystkich wystaw. Kilka obrazów a wśród nich „W szlacheckim dworze" zakupiło muzeum Aleksandra III—został też obdarzony tytułem „Honorowego akademika" w 1907 r. W 1913 r. na powszechnej wystawie w Monachjum miał nastrojowy: „Jesienny wieczór", za który otrzymał złoty medal, równocześnie z Lentzem i K. Krzyżanowskim.

W Warszawie znakomity artysta wystawiał parę razy zaledwie—w Salonie 1922 r. przyznano mu za obraz „Wnętrze pałacu" nagrodę. Dzięki salonowi Richlinga, który wszedł w kontakt z artystą uchodzącym powszechnie za rosyjskiego malarza, a znanego na szerokim świecie z pominięciem ojczyzny—Tow. Zachęty miało możność wystawić prace Żukowskiego, których również kilka znajduje się w Salonie Richlinga.

Po za swą pracą twórczą Żukowski prowadził prywatną szkołę, w której kształciło się też wielu Polaków, między innymi młody pejzażysta, Stefan Domaradzki.

Nasza kolonja malarska z przybyciem na stałe Żukowskiego zyska wybitną siłę, która niewątpliwie dodatnio wpłynie na podniesienie poziomu artystycznego naszej stolicy.

efer.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza).

Szkoła Główna jest skasowaną, nie zamienia się na uniwersytet, ale po prostu umiera; narodzi się druga instytucja czysto moskiewska, uniwersytet...[1]).

Kiedyś mi powiedziała pani Mirosława Kaszewska: „Pan Witte dla nas wszystko zrobi, co zechcemy, sam nam tak oświadczył...“ Kaszewski raz nawet w mojej obecności niezmiernie chwalił Wittego. Oburzyło mnie to. Jakto? człowieka bez sumienia, z mongolską twarzą, pół mongoła, pół niemca, który moskiewski patrjotyzm udaje, wściekły jest w swoich zapałach carskich, tego mongoła chwalić? Kaszewski porównywał go z Czerkarsskim i nie znalazł dosyć dla niego pochwał. Zapewne, jest różnica między zwierzem a zwierzem. Ale moskale wszyscy w gruncie rzeczy jednakowi. To najpodlejsi ludzie, bez żadnych zalet serca i rozumu. Dlaczego chwalił Wittego Kaszewski? Za to, powiadał, że „jest grzeczny, że za niego dobrze dziać się będzie ludziom.“—

„Więc cóż z tego?—zapytałem się—ludziom dobrze, narodowi źle.“ —„Ale ludzie stanowią naród.“ — „Nie wszyscy“ — odpowiedziałem znowu. A kiedy dalej się rozwodził, rzuciłem mu w oczy: „Do tegośmy już doszli, takeśmy upadli, że znosimy i chwalimy ludzi, którzy nas urządzać i prawosławić przyjechali. Wstyd!“

...Ledwie Kaszewski dostał dymisję, rozpuszczają oboje wieść, że wezwany jest do Krakowa. Na co? po co? Czy ma jaką specjalność Kaszewski? W Krakowie nawet jeszcze nie wiedzą o tem, że dostał dymisję. Co najgorzej, że musi się wyprowadzać zaraz. Mieszkanie jego zajmie pan Szerszeniewicz, mianowany inspektorem, to jest szpiegiem uniwersytetu[2]).

Kaszewski zemdlał przy stole, kiedy się dowiedział, że dostał dymisję. Tak rozpowiadały o nim matka jego żony i panny. Afektacja, żeby pozór był mielenia językiem. Uczuł niby swoją klęskę tak boleśnie przez patrjotyzm. Ale ten patrjotyzm krzykliwy na to, aby ludzie o nim gadali... Dziwna rzecz, że kiedy dla mnie jego dymisja była spodziewana, to sam bohater jej się nie spodziewał...

10 października, niedziela. Odbyło się wielkie przyjęcie u Ławrowskiego z mową, w której ten moskal powiedział, że dla wiernych poddanych pierwszym jest obowiązkiem spełnić rozkaz monarchy, to jest wykładać po moskiewsku i postarać się o stopień doktorski w Rassii, a łaską monarchy, jakiej drugiej niema, jest właśnie ułatwienie uzyskania tego stopnia, bo każdemu służy przywilej tylko rozprawę napisać i posłać. Następnie pan Ławrowskij kazał się podpisywać wszystkim, że w ciągu dwóch lat nauczą się po moskiewsku tyle, żeby mogli wykładać. W ciągu lat trzech mają pozyskać stopień.

Smutno pomyśleć, ale nie znalazło się grona ludzi godnych, którzyby odpowiedzieli oczekiwaniom kraju i swemu sumieniu. Owczym pędem podpisywali się wszyscy. Nie spodziewałem się znaleźć jednomyślności, nie spodziewałem się znaleźć połowy „bohaterów“, trzeciej, czwartej nawet części, ale sądziłem, że zawsze przynajmniej poważna jakaś mniejszość zaprotestuje przeciw gwałtowi. Tymczasem w opozycji trzech się tylko znalazło: Frączkiewicz, Baranowski astronom i Werner farmaceuta, ludzie starzy, wysłużeni. Młodsi wszyscy poszli w niewolę. Pan Witte podobno do Baranowskiego powiedział, że ma dwa lata przed sobą. „Ani dziesięć“ odpowiedział. Witte dziękował mu za szczerość. Frączkiewicz i Baranowski zacni ludzie, patrjoci, Werner exniemiec, półniemiec, uczyć się po prostu nie chce, bo ma dość pieniędzy ze swojej apteki. Prawda, że i tamci uczyć się może nie chcą, ale w nich prócz tego i godność narodowa się odezwała.

Nie spodziewałem się szczególniej oporu ze strony poznańczyków... Już przed trzema, czterema laty kierunek dzisiejszy przewidując, uczyli się na łeb, na szyję po moskiewsku pan Plebański, Mierzyński, Przyborowski[3]). Są to ludzie tak naiwni, że nawet nie rozumieją swego postępowania. U siebie przedtem uczyli się po niemiecku, i zdawało się im, że w Warszawie zrobią to samo co w Poznaniu, ucząc w języku państwa. Ale językiem naszego państwa, urzędowym językiem królestwa, był polski. Przyjmując moskiewski, faktycznie usuwają język polski, prawnie gwałt uznają. U siebie nie byli winni, że po niemiecku uczyli, tu wszystkiemu stają się winni. Najnaiwniejszy między nimi Mierzyński, bo z pobudkami swemi się wynurzał; tamci milczeli, a pan Plebański uderzał czasami w patrjotyczną strunę, w propagandę wolności, której idee na katedrze głosił pokpiwając z kościoła. Pan Mierzyński na zapytanie swoich uczniów odpowiadał: „Panowie to macie zupełnie dziwne wyobrażenia o tem co wypada, co przystoi. Ja nie mam żadnych illuzyj. Wszystko to jedno słuchać wykładów po polsku, po niemiecku, czy po rosyjsku. Trzeba być człowiekiem praktycznym—ojczyzna to marzenie...“

Jednakże oprócz tych trzech, co nie podpisali, nie potrzebowali podpisywać i ci, których usuwano. Jest w tejże liczbie pan Mierzyński. Przed dwoma tygodniami jeszcze, przed tygodniem może, gorąco się uczył po moskiewsku, wszystkie chwile tą nauką zajął, inne zajęcia swoje na bok odrzucił. Teraz dowiedziawszy się, że mu się to na nic nie zdało, przestaje się uczyć. Wogóle usuwają wszystkich trzech filologów. Węclewski może dostanie się do Lwowa, Wolfram i Mierzyński siądą na koszu. Profesorem zostaje pan Szmurło, moskal arcyznakomity. Drugi raz wraca do uniwersytetu. Był mianowany w r. 1862 adjunktem i wyszedł, dzisiaj z dyrektora gimnazjum wraca na profesora z pensją 20.000.[4]) Zapewne pociągnie za sobą dawnych pierwszej nominacji adjunktów: Jezierskiego i Skupiewskiego.

Kasznica nie podpisał się i jedzie podobno do Krakowa[5]), Popiel do Lwowa, ale nie będą mieli z niego tam pociechy, bo próżniak. Zna swój przedmiot, ale nie pracował nad nim. Dziwi mnie, że tak się wszyscy wybierają do Lwowa. Przecie uniwersytet tamtejszy jeszcze zupełnie jest niemiecki; dopiero na sejmie dzisiaj nasi nacierają, żeby go spolszczyć. Że cierpieliśmy to dotąd, sama Galicja winna. Każdy szukał służby, więc jeżeli w Galicji jej nie znalazł, spodziewał się dostać posadę na Morawach, w Tyrolu. Dla tej nadziei potrzeba było umieć po niemiecku. Tak rozumujący niewidzieli, że dawny centralizm zwykle Polaków osadzał po prowincjach niemieckich, jak po Galicji osadzał Czechów i Niemców. Kiedy kraj wraca do normalnego porządku nie zabraknie dla Polaków nauczycielskich miejsc w Galicji. Gdyby nie ci ludzie, co dla ojczyzny serca nie mieli, gdyby nie ich uprzedzenie, już by dawno uniwersytet lwowski był polskim.

Usuwają Przyborowskiego z katedry języka polskiego, chociaż Przyborowski był mężem legalności, chciał pogodzić miłość ojczyzny z miłością dla matuszki Rassiji. Nie pomogły mu kontrakta, któremi opisał rząd wtenczas, kiedy się na dwie posady wybierał. Już kontrakt złamany dzisiaj, bo został przy jednej, przy bibliotece; ze szkoły, a raczej uniwersytetu usunięty. Moskale uznają, że nie potrzeba dwóch profesorów dla języka polskiego. W uniwersytecie cesarsko-russkim byłby to niepotrzebny zbytek, zatrzymali więc tylko Tyszyńskiego. Zresztą sam Przyborowski najznamieniciej przedstawił się do usunięcia, a to w taki sposób. Kiedy utworzono przy katedrze historji literatury polskiej lektorję języka, prawodawcy uczeni w rodzaju pana Krzywickiego nie powiedzieli czem się ma zająć lektor. Wszyscy rozumieli, że będzie to adjunkt katedry literatury. Ustanowiono lektorje do języków słowiańskich, jakże polski opuścić? Przyborowski bez wskazówki, bez instrukcji, co ma robić ze swoją lektorją, nie wdał się w historję literatury, choć katedry literatury polskiej nie obsadzono, a że pracował nad gramatyką, wziął się do wykładu gramatyki—i nikt mu na to ani słowa nie pisnął. Pan Witte, u którego Przyborowski miał łaski, posunął go z lektora na profesora nadzwyczajnego[6]). Otóż moskale, którzy na swoich uniwersytetach nie mają katedry gramatyki swojego języka, nie rozumieją tej potrzeby, — mieliżby na gramatykę polską pozwolić na swym russkim warszawskim uniwersytecie? Nie trzymaliby i tak dwóch posad, ale nie nastręczyłby im Przybor tak zręcznej, jaką dziś mają sposobności, usunięcia jednej.

Niektórzy starali się pochwalić się przed panem Ławrowskim swoją znajomością języka moskiewskiego, żeby prędzej się dosłużyć grubszej pensji. Ale jak mówi pan Korzeniowski, syn niegdyś dyrektora, sam profesor medycyny, „zbajali się“ Lewestam i Białecki. Lewestam, człowiek moralnie bardzo marny. Ale co się zrobiło z Białeckiego, jednego z redaktorów Słowa w Petersburgu, korektora Voluminów Legum Ohryzki?

(Dcn) *K. Bartoszewicz.*

---

[1]) W tem miejscu podaje pamiętnik obszerniejszą charakterystykę Kaszewskiego. Zostawiamy z niej tylko urywek, mający związek ze Szkołą Główną. K. B.

[2]) Do zarządu administracyjnego uniwersytetu powołano samych moskali. Pomocnikami inspektora Szerszeniewicza zostali Serno-Sołowiewicz i Włodzimierz Dubrowskij, urzędnikami kancelarji Kowaniec, Prokopenko, Jankowski i Sergjusz Korecki. Tylko co do Jankowskiego może zachodzić wątpliwość jakiej był narodowości.

[3]) Nauczycielem ich był Jan Sulima Sawinicz, syn księdza unickiego, urodzony w Witebsku. W Szkole Głównej objął lektorat języka i literatury rosyjskiej. Był współpracownikiem wielkiej Encyklopedji Orgelbranda.

[4]) Informacje były mylne. Ławrowskij nie mógł znaleźć na razie między moskalami amatorów na katedry w Warszawie. Była wzmianka już wyżej jak trudno było obsadzić katedry na uniwersytetach rosyjskich z braku ludzi ukwalifikowanych. Z konieczności musiał więc Ławrowskij starać się zatrzymać tych, których miano usunąć. Utrzymali się zatem Mierzyński i Wolfram. Szmurło wolał zostać na posadzie dyrektorskiej, która nie wymagała pracy przygotowawczej do wykładów.

[5]) Też wiadomość mylna. Kasznica złożył deklarację i napisał rozprawę doktorską „O suszczności prawa.“ Korzystając z „ulgi“ wykładał przez rok po polsku—potem jednak przez lat 15 w języku rosyjskim, aż do r. 1885, kiedy został wybalotowany, gdyż podług ustawy uniwersyteckiej, profesorowie co 5 lat balotowali, kogo zostawić, a kogo usunąć z katedry. W r. 1845 była już taka większość moskali na katedrach, że usunęli i Kasznicę, mimo jego zasług naukowych i mimo, że był dziekanem wydziału prawa.

[6]) Dowodem tej łaski był świeżo udzielony Przyborowskiemu order św. Anny III klasy (ogłoszenie w Dzien. Warsz. z d. 20 lutego 1869 r.). Z profesorów Szkoły Głównej otrzymał go jednocześnie i Mierzyński. Łaska była tem większa, że obaj ci jedynie udekorowani profesorowie nie mieli rangi, więc, jak się w innem miejscu wyraża autor pamiętnika „według wszelkich zwyczajów moskiewskich każdy z nich jako *niedorośl* niczem być nie mógł.“ Razem z nimi otrzymał ordery cały szereg samych moskali, gorliwych „obrusitieli.“ Czwartym od końca w spisie odznaczonych był „nieposiadający rangi prof. nadzw. Szkoły Głównej i bibljotekarz Józef Przyborowski.“

PRZEDWIOŚNIE. STANISŁAW ŻUKOWSKI.

WNĘTRZE PAŁACU. STANISŁAW ŻUKOWSKI.

W połowie drogi żywota

(Symfonja).

Nel mezzo del cammin di nostra vita...
(Dante: Inferno, Canto 1-o)

Część I (Andante cantabile)

O lipo rozłożysta,
Kochanie wierne moje,
Znów miodnych kwiatów winem
Huczące poisz roje.

Takaś ty, lipo, moja,
Radosna i weselna,
Tak cudnie ci przygrywa
Kapela twoja pszczelna.

Choć tyle lat widziałaś,
— Dziad mój cię sadził przecie —
A jednak zawsze młoda
Co lato stroisz się w kwiecie.

Wkrótce i mnie już nie będzie,
— Czeka nas, lipo, rozłąka —
A może pod twoje konary
Mój syn się kiedy zabłąka.

Niech pachną mu twoje kwiaty,
Niech grają mu twoje pszczoły,
Niech i on pozna twój pacierz
Słoneczny, prosty, wesoły.

Część II (Adagio)

Zdeptałem wiele ścieżek,
Przeszedłem życia połowę,
A nie mam własnego kąta,
Gdzie mógłbym skłonić głowę.

Mieszkałem w wielu miastach,
Do innych może podążę,
Ale dotychczas mnie z żadnem
Nic szczególnego nie wiąże.

Znam różne pola i góry,
Różne jeziora i zdroje,
Lecz z miejsc tych wszystkich o żadnem
Nie mogę powiedzieć: to moje!

Kochałem też nieraz w życiu,
Bywałem nawet kochany,
A dzisiaj ze mną gwarzą
Tylko te cztery ściany.

Ach, byłoż mi obrać sobie
Wieś jaką, czy miasteczko
I tam „na własnych śmieciach"
Własne uwić gniazdeczko.

Jak kret zbudować swą norę
I siedzieć w niej cichutko,
A jeśli czasem wyłazić
To tylko na bardzo krótko.

Lub jak ta lipa cienista
Wrość korzeniami w ziemię
I wonnem kwieciem wabić
Brzęczące pszczelne plemię.

Na jednem utkwić miejscu
Tu żyć, tu spróchnieć wreszcie,
A nie być tym wiecznym tułaczem
W gwarliwem obcem mieście.

Część III (Scherzo)

Bodaj to mieć los taki,
— Tak czasem sobie marzę —
Jak w małych gdzieś miasteczkach
Miewają aptekarze.

Miałbym z ogródkiem dworek
W nim żonę, synów, córki,
W ogródku zaś sałatę,
Szparagi i ogórki.

Hodowałbym groszek pachnący,
Nasturcje, róże i bratki
I byłbym z tego znany,
Że mam takie piękne kwiatki.

Wiedziałbym o mych sąsiadach,
Gdy kogo brzuch zaboli
I za rzetelną zapłatę
Sprzedawałbym senes i olej.

Z proboszczem grałbym w pikietę,
Mówił o polityce,
Lub o tem, że trzeba wreszcie
Brukować główną ulicę.

W niedzielę zaś do kościoła
Szedłbym z poważną miną
I słyszał szepty za sobą:
„Patrz, patrz! aptekarz z rodziną"!

W kościele siadałbym w ławce
Przed samym wielkim ołtarzem...
Niestety! ach czemuż nie jestem
W miasteczku aptekarzem!

Część IV (Allegretto. Finale).

Tak lekko mi na duszy,
Cieszę się nie wiem czemu,
Koniec wzdychaniom moim,
Koniec wszystkiemu złemu.

Gdy widzę, jak się ludzie
Wszyscy z troskami noszą,
To myśl, żem swoją zgubił,
Napawa mię rozkoszą.

Gdzieś na rozstajnych drogach
Zgubiłem worek z troską
I od tej chwili jest mi
Na świecie całkiem bosko.

Patrzę, jak sobie ze mnie
Los jakieś figle stroi
I śmieję się jak z doli
Tak też z niedoli swojej.

Nie lękam się burz groźnych
O teatralnym huku
Gdy piorun wali we mnie,
Ja wołam doń: a kuku!

Więc, gdy tak obojętnie
Przyjmuję losu strzały,
Sądzę, że mu obrzydną
Niesmaczne te kawały.

I wielki jak słonecznik
Spokoju kwiat zakwita
Nel mezzo del cammin
Di mia porca vita.

Artur Chojecki.

PRZYCZYNKI DO HISTORJI SZTUKI POLSKIEJ. WYROBY ZŁOTNICZE.

Złotnictwo najdawniejszych sięga czasów. Egipcjanie wyzłacali obeliski, Babilończycy ustawiali złote w świątyniach ołtarze, Fenicjanie, Persowie, Grecy zwyczaj wykładania zbroi złotem i srebrem mieli.

W Polsce już około r. 1190 braciszek zakonu, kościelny Konrad, w Kaliszu kunszt złotniczy uprawia. Patyna srebrna wyzłacana w kolegjacie Kaliskiej to po nim pamiątka. Rytowanie przedstawia Mieczysława króla w chwili ofiary kielicha i patyny św. Mikołajowi.

W Krakowie i Płocku najdawniej złotnictwo kwitnie. Roztruchany, puhary, do obrzędów kościelnych naczynia, bogate rzędy tam wytwarzają. W Trzemesznie kielichy Dąbrówki, w Płocku czara obrządkowa to najdawniejsze złotnictwa w Polsce zabytki. Najstarsze księgi krakowskie i lustracje przechowują nam nazwiska kilkunastu krakowskich złotników z XIV wieku: Rolle, Arnold, Czech i inni. Jagiełło każe złotnikom krakowskim wyrabiać naczynia stołowe, by czynić niekiedy najdostojniejszym osobom upominki. Zygmunt August podobnież miał wielkie w klejnotach upodobanie i nieoszacowane w nich bogactwo wyrobów krakowskich posiadał. Spisy sreber z wyprawy Barbary przedstawiają świetny obraz smaku, bogactwa i okazałości. Kobiety nosiły podówczas z wyrobów miejscowych naramienniki, diademy, zausznice. Mężczyzni wytworne guzy do żupanów, rękojeście z kruszcu do karabel, zapony. Ba, nawet posadzki blachą srebrną zdobiono. W skarbcach dawnych możnych Polaków znajdowały się szacowne krakowskiego złotnictwa przedmioty.

We Lwowie również złotnictwo rozwija się świetnie. Już za Kazimierza Wielkiego złotnicy swą basztę obronną posiadają. Wspomina się o Leonardzie i Grünwaldzie złotnikach.

W Warszawie miejsce poczesne zajmuje niejaki złotnik nadworny Grotkau. Sławne są jego monstrancje szczerozłote. Również Gosławski i Bojanowski tworzą w Warszawie kielichy, krucyfiksy, figurki emaljowane ze srebra.

Lecz przedewszystkiem w poszanowaniu wielkiem złotnicy gdańscy byli. Już w XIV wieku imię na całą Europę mieli. Magnaci i szlachta sprowadzają złote z Gdańska wyroby. Biskupi zamawiają naczynia kościelne. Srebrna trumna w kaplicy św. Stanisława w katedrze krakowskiej jest gdańskiej roboty. Trumna gnieźnieńska św. Wojciecha, ozdobiona 10 obrazami w płaskorzeźbie, również z Gdańska pochodzi. Wykonał je złotnik Van Renen. Znane są gdańskie wyroby złote i srebrne, wykuwane, z obrazami wypukłemi, z medaljonami, z ornamentem misternym w arabeski. Sarkofagi, wazony srebrne, czasze z pokrywami. Imiona mistrzów gdańskich Oswalda, Scherera, Ulricha dobrze w sztuce krajowej zapisane.

Srebra roboty warszawskiej.

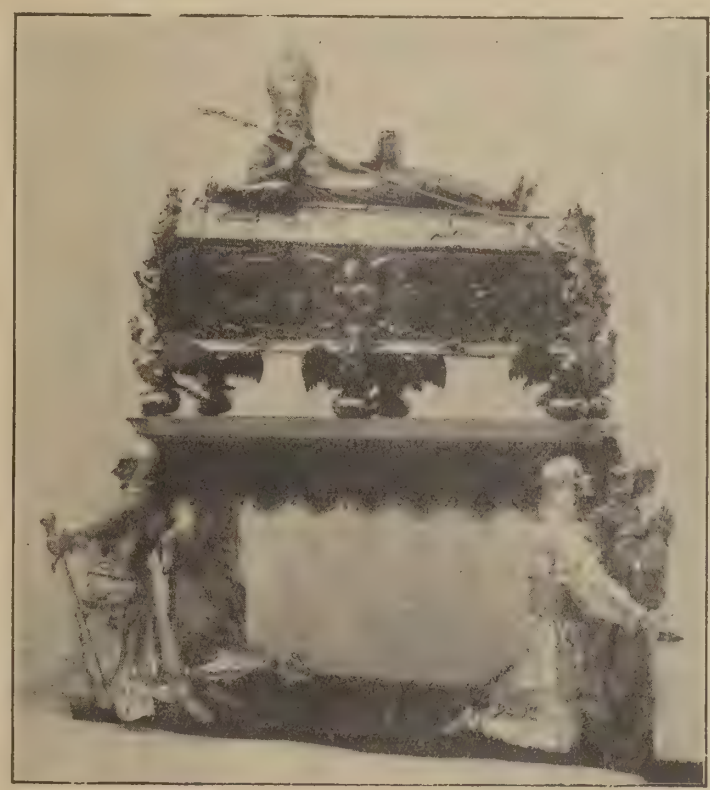

Trumna św. Wojciecha w Gnieźnie, roboty gdańskiej.

Wrocław posiada w katedrze ołtarz z trybowanego srebra, w renesansu stylu, roboty polskiej. Tamże pracował niejaki Marcin Bruner w XIV w.

Szczególnej dobroci wyroby złotnicze Grodzieńskie były. Wytwórnia Tyzenhauza zwana „złotą" wyrabiała w drugiej połowie XVIII wieku siatki na konie, sznury złote, zastawy stołowe. Sam król dla Tyzenhauza fabryki wzory dawał. Z planów Tyzenhauza bije myśl świetna i jedna mu uznanie. Plany runęły w chwili bujnego rozwoju.

Kapituła gnieźnieńska poleca w Poznaniu wykonanie świeczników i krzyżów ołtarzowych. Odznacza się tam niejaki Kamyn złotnik i rytownik.

I jeszcze kwitnie złotnictwo w Opatowie, Nowym Sączu, Łucku, Lublinie.

Cechy złotnicze zostają pod szczególną opieką podskarbiego koronnego. Pozostałe do dziś pomniki świadczą o nierównie wyższym stopniu doskonałości dawniejszych robót złotniczych. Wnukowie przemieniali często przedmioty na monetę bieżącą. Niewiele też z dawnych czasów spuścizny złotniczej pozostało. Zagranicą po muzeach z polskiemi wyrobami niekiedy spotkać się można.

I jeszcze cechy lub marki złotnicze.

Wyroby gdańskie mają dwa krzyże pod koroną, wyroby poznańskie mają znak dwa klucze, wyroby krakowskie literę E, wyroby lwowskie literę D, wyroby wrocławskie głowę św. Jana i literę W, wyroby toruńskie literę T, wyroby ruskie mają znak św. Jerzego.

Podanie niesie, iż Zygmunt I i Zygmunt III z upodobaniem złotnictwem się zajmowali. Lipski kardynał, bliżej zatrudnień domowych Wazy świadomy, wspomina o rzeźbiarskich i rytowniczych króla robotach.

Przechowały się monstrancje, umbracula, relikwiarze Zygmuntowi III przypisywane.

Antoni Urbański.

Monstrancje srebrne. Wyrób polski.

Relikwiarz srebrny roboty gdańskiej.

Solniczka srebrna z fabryki grodzieńskiej.

MORSKIE OKO. ALFRED TERLECKI.

WNĘTRZE KOŚCIOŁA NA PODHALU Z XIV W. A. PODGÓRSKI.

NA PODHALU. GUSTAW PILLATI.

TATRY.

(Z powodu pięćdziesięciolecia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego).

Poeci, pisarze i malarze złożyli hołd swój najcudniejszemu skrawkowi ziemi polskiej: Podhalu i Tatrom. Twórczość polska ma swojego świętego Graala i swoich rycerzy śpiących wśród gór, ma tę przyrodę, która wykrzesać zdoła z każdego, kto się z nią zetknie— najtajniejsze pokłady wewnętrznej wartości. Od Nowickiego poprzez Orkana, Jedlicza, aż po Tetmajera, twórcy najwspanialszej epopei życia i obyczaju „Na skalnem podhalu" przeszli wszyscy po przez tę ziemię niezwykłą, pełną dziwów i arcytworów natury, aby opiewać ją rymem i prozą. Józef Kantor całą antologję poświęcił „Tatrom w poezji polskiej", a Ferdynand Hoesick zebrał w jedność wszystko, co uczeni i wielbiciele Podhala powiedzieli o „Tatrach i Zakopanem." St. Witkiewicz dał barwny opis Tatr w księdze swojej: „Na Przełęczy." Wkrótce od literatury nastąpił zwrot do czynu twórczego. Myśl stworzenia Tow. Tatrzańskiego powziął kap. Feliks Pławicki w r. 1873, od tej chwili też datuje się działalność Tow., które w roku bieżącym obchodziło 50-lecie swego istnienia. Zadaniem Tow. jest opieka nad ludem i krajem tatrzańskim, badania naukowe gór polskich i utrzymanie ich piękna pierwotnego. Do r. 1918 owocna działalność Tow. była skrępowana warunkami politycznemi, obecnie Tow. wkracza w nowy okres istnienia, w wolnym kraju i pragnie powołać do współdziałania jaknajszersze warstwy społeczne w myśl wskazań, jakie pozostawili czciciele Tatr, dr. Chałubiński i St. Witkiewicz. Uroczystości jubileuszowe trwały w Zakopanem od 5—11 sierpnia. Uświetnił je swoją obecnością Prezydent Wojciechowski.

Zebranie Tow. wobec licznie zgromadzonej publiczności zagaił prezes Tow. p. Czerwiński, podkreślając 2 podstawowe cele Towarzystwa: obronę Tatr i pomnożenie korzyści, jakie dać mogą szerokiemu ogółowi. Poruszana też była sprawa Jaworzyny, Beskidów i Karpat wschodnich.

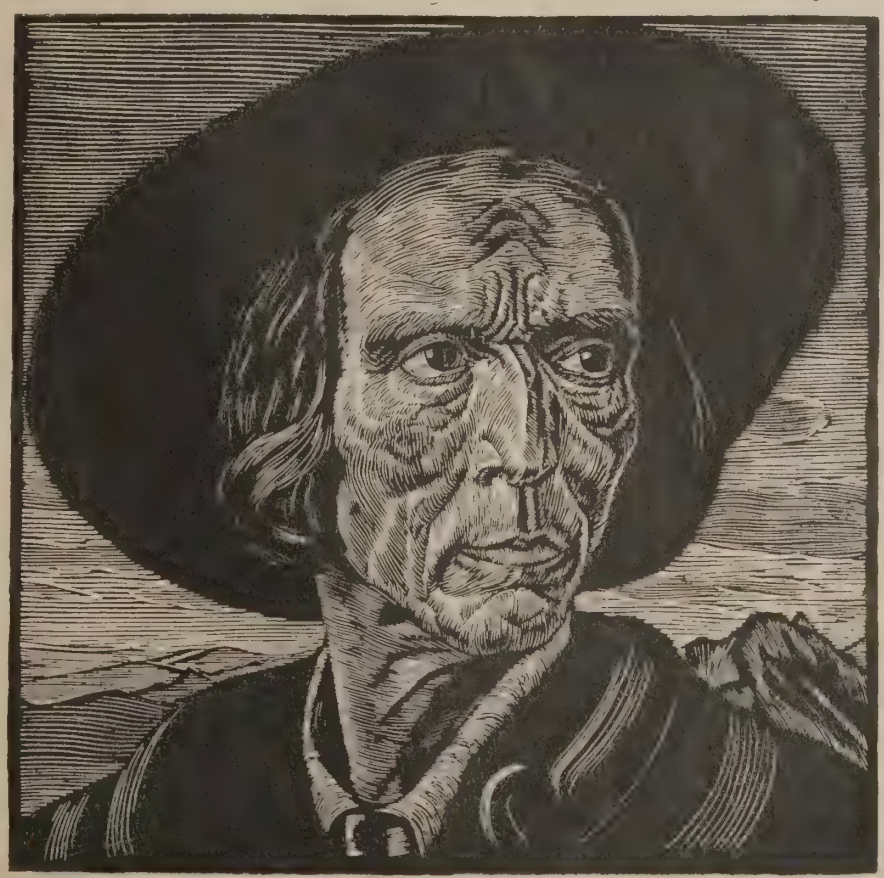

GŁOWA GÓRALA. WŁ. SKOCZYLAS.

CHMURY. FR. SIEDLECKI.

ECHA EMIGRACJI POLSKIEJ W PARYŻU Z ROKU 1861.

II.

Paryż, 22 października 1861.

Kochany Andrzeju.

Nie mam odwagi długo czasu Ci zabierać w chwilach tak ważnych i tak gorączkowych, w jakich znajdować się musisz.

Nie mało Ci musi dodawać niespokojności co twego syna spotkało. Jednak korzystam z kurjera by Ci powtórzyć, jak dalece my wszyscy tu dzielimy z Tobą twe uczucia smutku i myśli i że nasze serca są z wami.

Posyłam Ci moje odezwanie się z powodu ostatniej woli mego ojca. Nie śmiem Cię prosić o Twe zdanie i rady o tem piśmie, proszę Cię tylko o pobłażliwe odczytanie. Dołączam słówko do naszego przyjaciela S. (Edmunda Stawiskiego, autora tekstu adresu do Cara z marca 1861 r. p. W.). Zechciej mu go wręczyć. Doniósł nam, że się z Tobą widział, że miał z Tobą rozmowę, która nam dodaje otuchy i nadziei. Nie wątpiłem nigdy o Twych uczuciach, chęciach, poparciu. Pojmiesz łatwo, jak one są mnie i moim przyjaciołom drogocenne w naszych pracach. Pojmiesz, żem uważał za obowiązek do Ciebie udać się najprzód i do Ciebie przedewszystkiem przesłać moje pierwsze publiczne odezwanie się. Niech Ci Pan Bóg da siłę, wyjść z tych wszystkich bolesnych przepraw i dalej postępować tak zacnie, tak odważnie, z takim użytkiem dla sprawy, *w Twym naczelnym* stanowisku, jak to dotąd czyniłeś. Te są me gorące życzenia. Serdecznie Cię żegnam i ściskam.

Twój *W. C.*

Dopisek Władysława Zamoyskiego:

Ja Ci z duszy winszuję, że jeden z synów Twoich dziś może do głośniejszych już należy między cierpiącymi za sprawę *prawdziwie świętą*. Zasyłam przecież całe i najserdeczniejsze dla Twojej żony spółczucie, ale pewny jestem że i ona krwi swojej Ojczyźnie nie żałuje. Niech Was Bóg oświeca swą łaską i zasila. *W. Z.*

III.

List Wład. Ks. Czartoryskiego do E. Stawiskiego.

Paryż, 22 października 1861.

Szanowny Panie.

Mam sobie za miły obowiązek Panu przesłać moje odezwanie się, jako odpowiedź na ostatnią wolę mego Ojca. Starałem się wytłómaczyć zarazem moje dzisiejsze stanowisko i jak z pomocą Boską będę się starał służyć sprawie. Mam nadzieję, że kraj mnie zrozumie, z pobłażaniem osądzi i poparcia swego nie odmówi.

Listy i dokumenta dochodzą nas; dzięki temu możemy oświecać opinję publiczną zupełnie, względem tego, co się u was dzieje. Bez tego, ani my, ani zagranica wcale by nic nie wiedziała, lub zupełnie fałszywo byłaby zawiadomioną. Zresztą może będzie miło wiedzieć, bo niewiem czy dzienniki dochodzą, że ani jedno słówko z tego wszystkiego co nadesłanem jest straconem nie jest i że wszelki możebny użytek zrobiony, wszelki rozgłos dany. Niech mi wolno będzie tu powiedzieć, że te same komunikacje, co nam Pan posyłasz, podobno i innym adresujesz. Ten brak jedności krzyżuje pracę i szkodzi. My wiemy jak przez wszystkie organa puścić nowiny, ale jak jeden dziennik wcześniej ma, drugie już niechcą przyjmować i to nie dobrze. Prosimy więc, by nam jednym wiadomości były dosyłane, bo inaczej będziemy osłabieni i służba nie dobrze pójdzie.

Nastraszyła nas mocno wiadomość: w ostatnim liście że X (?) może być przytrzymanem. Byłaby to prawdziwa klęska dla sprawy. Tuszymy sobie, że to nie nastąpi.

Wiadomości ztąd wiele nie ma. Wizyta króla pruskiego nic nie sprowadziła, jak można się było spodziewać. Świta królewska najgłupiej się znalazła i złe zostawia wrażenie. *Dziś, wysoko i nisko umysły zajęte są stanem Warszawy. Ogromne sprawił wrażenie stan oblężenia.* Wszystkie rozkazy władz moskiewskich to wrażenie dla nich niekorzystne powiększają. Niechęć ku Moskwie rozszerza się we wszystkich sferach. *Telle chose qui arrive, la question polonaise est posée.* To wszyscy tu mówią i ostatnie wypadki coraz silniej stawiają tę kwestję. Przytem nasz rozum, spokój, nie mało dają do myślenia, szczególniej przy wypadkach gotujących się w samej Rosji. Nasi przyjaciele winszują nam ale błagają i radzą, byśmy wolno postępowali i nie śpieszyli się. Dziś może zapóźno radzić o kościelnych ceremonjach, ale radzą, by ich zaprzestać. Stan ogólny Europy, tutejsza krisis finansowa, drożyzna żywności i wojna amerykańska powiększają niedobry stan wewnętrzny Francji.

To wszystko może pójść na naszą korzyść, byleśmy wytrwali spokojnie. Wysoko są nami zajęci i są nam chętni, dzienniki nam otwarte, wszyscy o nas mówią. Taki jest stan dzisiejszy.

Dziwnie mi może pisać to, co piszę, w chwili, gdy tak boleśnie i okropnie cierpicie, ale uważałem, za obowiązek donieść to. My również niespokojni i w gorączce. Daj Boże, by nasze zabiegi mogły was choć trochę ochronić. Robimy, co możemy.

Pozwolę sobie jeszcze powtórzyć: zasilajcie nas ciągle, ile możności. Tem jedynie dajecie nam możność przyjścia wam w pomoc. Więc nie zasypiajcie tego, a niech Bóg nad nami wszystkimi się zlituje i nam pobłogosławi. *Władysław C.*

KATAKLIZM.

(Feljeton ten został napisany na specjalne zamówienie Czytelniczek „Tygodnika Illustrowanego").

Niech Szanowne Panie raczą się uzbroić w maximum determinacji..! Proszę wytężyć całą siłę woli..! Proszę usiąść głęboko w fotelach, chwycić się rękami poręczy, mocno... Tak, tak. Zupełnie, jak u dentysty...

— Mocno się Panie trzymają? — doskonale. Proszę się przygotować na wysłuchanie nowiny wstrząsającej. Raz, dwa, trzy! Już.

— *Takt C jest zachwiany!!!*

Co, proszę? że panie mnie nie zrozumiały? Mówię przecież: Zachwiany jest takt C! *Cały takt.* Podział na: raz, dwa, trzy, cztery... Ach, jak można być tak niemuzykalną! Będąc tak muzykalną... Pani mnie nie pojęła? I Pani? I Pani też..? Więc, innemi słowy: Shimmy i Fox-trot mają się ku końcowi!

— A co? Zbladły Panie? Może wody..! Nie potrzeba! Już przeszło..! Chwała Bogu!

. . . . . .

Tak jest. Zwykłą losów koleją, to co było na dole idzie w górę—i odwrotnie zmierzcha się dyktatura $^4/_4$ i $^2/_4$ ... zbliża się odwet — źle mówię!— Rehabilitacja: $^3/_4$.

. . . . . .

Walc, stary, zasłużony walc, owity bluszczami wspomnień, powleczony mgłą słodkiej melancholji— ożył. Strauss i Lanner zacierają ręce w niebie. Wiedeń się budzi... Idzie jakiś powiew przez Europę, przez cały świat... Szum, jakby—skrzydeł!

. . . . . .

Jeszcze się zaciekle bronią Cali.

Ale zatajeni od lat po piwnicach, po lochach konspiracji,Trzyczwarci — wylegają tłumnie na ulice. Dwuczwarci, którzy są właściwie tylko nędznymi bastardami Całych, przybywają na pomoc.

Ale i Sześćóśmi śpieszą z całych sił, by sekundować Trzyczwartym, walczącym z supremacją znienawidzonego taktu C!

Roją się ulice miast. Stawiają pierwsze barykady. Padają pierwsze strzały... Paryż, Londyn,Wiedeń, Berlin, Kopenhaga, Warszawa, New-York, Chicago, Buenos-Ayros, Ateny, Sofja, Bombaj, Pekin, Nagasaki, Kalkutta, Teheran, Kowno, Kutno, Końskie, Szczawnica, Zakopane, Gdynia—a nawet, nawet Milanówek!—rozbrzmiewają szałem walki!

Z jednej strony szturmują Trzyczwarci, walczący o rehabilitację dawnej sławy — z drugiej bronią się Cali, oparci o żelazny hufiec Jazz-band'ów.

Przy jazz-band'ach tłoczą się, opanowane furją walki na śmierć i życie: —Tustepistki, Uanstepistki, Fokstrocistki, Szimistki, Stenotypistki, Telefonistki... Egzystencje, zachwiane w najistotniejszych racjach bytu! jednostki, szalone rozpaczą!

Zapomniały tańczyć walca — jakaż przyszłość czeka je w razie klęski? Kompromitacja? Nie, raczej śmierć!

. . . . . .

Mulaty, murzyny, żydy i cygany, skoalicjonowane w międzynarodowym związku Jazz-band'zistów (Mzjazz) bronią się smykami, gryfami skrzypiec i altówek, fagotami, trombonami, tubami, dzwonkami, ksylofonami, gwizdkami, klekotkami, młotkami, pedałami...

Trzyczwarci nacierają bezbronni. Niosą tylko transparent z podobiznami Straussa, Lannera, Ziehrera, Suppé'go, (a jakże, i Karasińskiego!)—Wizerunki Loïe Fuller i sióstr Wiesenthal...

W misternej kasetce relikwje: minjatura Fanny Elonu...

. . . . . .

Krew płynie rzekami. Walą się w gruzy dancingi...

Na gruzach kultury 1923 roku zakwita wieczyście młody walc Straussa „Nad modrym Dunajem".

. . . . . .

Proszę Pań! To apokaliptyczne widzenie miałem z powodu dwu tańców: fox-trota i shimmy „Stumbling" wydanego w Ameryce — i „Jawy" tańczonej w Paryżu.

Pierwszy napisany w tekście C. Nosi w łonie wszystkie urocze toksyny walca — a drugi, już całkiem otwarcie, napisany jest w $^3/_4$.

Z dniem każdym nadchodzą coraz bardziej alarmujące wieści. Rewolucja u samych drzwi. Uczcie się walca! *Zdzisław Kleszczyński.*

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 30

— Co to? — spytał Szag-dur, nadstawiając ucha.

— Nie wiem!... — odszepnęła Hanka, obszukując step strwożonym wzrokiem.

Brzęczenie potężniało szybko i miarowo, stawało się podobne do szumu olbrzymiego roju.

— Szarańcza!... — mruknął Szag-dur. Ale nigdzie nie widać chmury. — Acha, już widzę: ptak! Jaki ogromny! Boże dobrotliwy!

Już nie spuszczał przerażonych oczu ze skrzydlatego potwora, zbliżającego z szybkością pocisku. Brzęczenie zamieniło się w ryk i łoskot bijących skrzydeł. Berkut rozpostarł mu na ręku loty i zaczął kwilić, wierzchowiec przysiadł na zadzie i zjeżył grzywę.

— Aeroplan!... — krzyknęła Hanka, daremnie walcząc ze swoim koniem dziko chrapiącym, stającym dęba i wierzgającym naprzemian.

— Aeroplan!... — powtórzyła.

W tej chwili jej wierzchowiec obrócił się na tylnych nogach, wziął na kieł i pomknął szalonym galopem w step przed nadlatującym aeroplanem. Zdążyła dostrzec, że koń Szag-dura zrobił to samo, że pędzą na oszalałych zwierzętach, nad któremi wzięło całkowitą władzę przerażenie. Sadzili na oślep przed siebie; zdyszane piersi koni pruły z poświstem wysokie fale traw, pod któremi kryły się niewiadome przeszkody: głazy, jary, krzewy... Przesadzali je w skok, pochyleni nad grzywami koni, starając się jedynie utrzymać za wszelką cenę na siodłach. Samolot był jednak coraz bliżej, nagle burczenie jego umilkło, wielki cień przemknął nad nimi i ujrzeli wspaniałego ptaka tuż przed sobą, jak łagodnie zniżał lot.

Udało im się nareszcie opanować swe konie, które rozbiegły się nagle w dwie strony i stanęły, chrapiąc, spienione i drżące. Samolot powoli zsuwał się z błękitów ku ziemi... Wreszcie spadł w odległości dwóch stajań. Lecz tu stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Aparat pobiegł chwilkę po łące jak wielki drop, gniotąc rozpostartemi skrzydłami trawy i krzewy, widzieli już doskonale figury, nawet twarze siedzących w nim ludzi, gdy nagle potężny odwłok maszyny podniósł się w górę, wynurzył z traw jak wyskakujący z wody trafiony harpunem wieloryb, stanął przez chwilę nieruchomo dęba i runął koziołkując na wznak.

Szag-dur i Hanka już pędzili ku maszynie, trzymając mocno w garści strachające się wciąż konie. Lekki błękitnawy dymek unosił się nad miejscem upadku i mdły zapach gazoliny uderzył ich nozdrza.

— Zabili się, zab[illegible]!.. Wody!—powtarzała Hanka, zeskakując z konia tuż koło aparatu.

Szag-dur już był na ziemi, już spętał powrozem konia, berkuta posadził na siodle i pośpieszył dziewczynie z pomocą. Spętał i jej konia, poczem oboje zbliżyli się ostrożnie ku leżącemu nieruchomo płatowcowi. Z pod odwróconego kołami ku górze kadłuba wydobywał się cichy jęk i gdy pochylili się, dostrzegli pod nim zbluzganego krwią człowieka. Sina, wyrzucona w bok ręka nieszczęśliwego kurczyła się i drgała. Sprobowali unieść do góry maszynę, by wyciągnąć stamtąd rannego, lecz ciężar był ponad ich siły. Za każdem poruszeniem jęki wzmagały się. Na szczęście wkrótce rozległ się tętent koni pozostałych w tyle koczowników, pędzących na miejsce wypadku. Spostrzegłszy Szag-dura i Hankę bezpiecznie stojących w pobliżu spadłego z nieba potwora, galopem dopadli do nich i zeskoczyli na ziemię.

— Co to jest?

— Człowiek!.. Ranny... Pomóżcie... prędzej!..

Wahali się, spoglądając osłupiałemi oczami to na olbrzymie cielsko maszyny, to na siną, broczącą krwią rękę, wysuniętą z pod niej.

— No, słyszeliście!.. podnoście zaraz!.. To pewnie wysłany od Dziań-dziunia *) do nas umyślny z Urgi! — krzyknął niecierpliwie Szag-dur.

Mongołowie ruszyli ostrożnie ku maszynie.

— A tu jeszcze jest jeden!.. Patrzcie, patrzcie... Rusza się!.. zawołał nagle Czi-rin, kierując się ku kępie trawy opodal.

Koczownicy znów odskoczyli płochliwie ku swoim koniom. Jedna Hanka pobiegła w tę stronę i, rozchyliwszy badyle, dostrzegła młodego lotnika, leżącego twarzą do góry z rozrzuconemi szeroko rękami. Był śmiertelnie blady i wydawał się martwy... Z pod przymkniętych, długich ciemnych rzęs szkliły się mętne nieruchome oczy; w otwartych, przysłoniętych ciemnym wąsikiem ustach bielały zaciśnięte zęby. Podczas gdy Szag-dur wymyślał Mongołom i rozkazywał im dźwigać samolot, z pod którego Korczak usiłował ostrożnie wyciągnąć rannego, Tu-sziur i Geril-tu Chanum z resztą kobiet zbliżyły się lękliwie do Hanki.

— Zabity! — szepnęła Tu-sziur z odrazą i żalem.

— Jaki młody i piękny!.. Zupełne dziecko — zauważyła Geril-tu Chanum, pochylając się nad ciałem.

Hanka przyklękła obok i przyłożyła ucho do piersi...

— Bije!.. Wody, Tu-sziur!.. Wody! Prędko!

— Wody! — krzyknęła Tu-sziur. — Leć Czirin do rzeczki.

— Z czem? Z czapką? Czy nie lepiej dać mu kumysu?

— Wody!.. — powtórzyła Hanka. — Masz moją manjerkę! Chłopak w skok popędził do płynącej blisko rzeczułki. Hanka zręcznie rozpinała kurtkę lotnika, rozluźniała mu kołnierze od bluzy i koszuli, starając się dostać do piersi.

— Może trochę „arki" przyda się! Ja tu mam parę łyków... Wlać mu do ust!... To dobrze robi, jeśli on jest człowiekiem z tej ziemi!... — radził ostrożnie Dumba Dor-dżii, podając Hance płaską drewnianą flaszkę z wódką chińskiego wyrobu. Hanka sprobowała wlać omdlałemu płyn w usta, lecz wódka wyciekła po ściśniętych zębach; natarła mu więc tylko skronie i piersi... Zdawało jej się, że lotnik odetchnął. W tej chwili wrócił Czi-rin z wodą i cucenie poszło zwykłą koleją.

Wśród zbiorowych stękań i gromkich okrzyków podnieśli nareszcie Mongołowie cokolwiek aparat, i Korczakowi przy pomocy Maćka udało się wyciągnąć na wolne miejsce poszarpane członki pilota. Mieli wielkie trudności z nogami nieszczęśnika, które tkwiły jeszcze w kojcu siedzenia, i które wyplątać stamtąd udało się jedynie dzięki śmiałości Maćka. Chłop wpełzł pod aparat, dygocący w rękach ciężko sapiących ze strachu i wysiłku Mongołów i stopy pilota uwolnił. Poświęcenie jednak okazało się daremne. Ranny już nie jęczał i nie ruszał się; przedstawiał kupę szarych, zbroczonych krwią łachmanów, z których wystawała okropnie nawpół zmiażdżona głowa, a tu i tam przez dziury ubrania wypływało poszarpane ciało i wystawały białe, pogruchotane kości. Widok był tak straszny, że Mongołowie cofnęli się w panicznem przerażeniu. Szag-dur i Korczak krzątali się chwilkę jeszcze koło żałosnych szczątków, zlewając je wodą i probując wykrzesać iskrę życia. Wysiłki okazały się daremne. Powstali więc przejęci, wzruszeni i mimowoli zwrócili głowy w stronę, gdzie już gapił się Maciek, gdzie skupili się zwolna wszyscy krajowcy, zachowując jednak wciąż przyzwoity dystans. Tam na zmiętej trawie, podtrzymywany za ramiona przez Hankę, siedział ocucony lotnik. Chwilę wodził po otaczających błędnem spojrzeniem, wreszcie spytał po polsku:

— Gdzie jestem?...

VII.

Na progu niedużego chińskiego domu, krytego ciężkim zielonym dachem z wywiniętemi zalotnie ku górze okapami, stanął rosyjski oficer w polowym mundurze koloru khaki, w czapce z zielonym lampasem i ze skórzaną teczką w ręku. Miał szarą, ołowianą twarz i szare ołowiane oczy w czerwonej, króliczej oprawie. Obwiódł uważnie spojrzeniem podwórze i zatrzymał je z wyrazem zniecierpliwienia na rozbitych w głębi dworu trzech jurtach mongolskich, krytych pięknym granatowym wojłokiem. W dwóch dalszych, przez otwarte drzwi widać było migające postacie ludzkie i dochodziły stamtąd głosy. Zasłona wejściowa trzeciej była opuszczona, wylot dymnika zakryty a z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, choć już zbliżało się południe. Jedynie wojenny sztandar mongolski, z żółtego jedwabiu z czarną swastyką Dżingisidów pośrodku cicho trzepotał się ponad nią, mienił złotem w podmuchach ciepłego wietrzyka i blaskach słońca. Oficer zmierzył pogardliwem spojrzeniem sztandar i przeniósł wzrok na przeciwległe wzgórze, gdzie wśród zieleni ogrodów, za białym murem lśniły się krzywe dachy świątyń, widać było skupiska domów: szarych, białych, rudych, czerwonych. Wyżej wśród zieleni parku bielały pasiaste mury ogrodzenia i spiczaste, niebieskawe dachy pałacu Urgińskiego Dalaj-Lamy. Okrągłe brunatne kopuły niezliczonych jurt mongolskich otaczały miasto półkolem. Nad wszystkiem zaś wznosiła się ciężko w błękity szkarłatna wieża głównej twierdzy, kryjącej wewnątrz olbrzymi złocony posąg dobrotliwego Buddy. Nad budowlami; namiotami, wieżami trzepotały się roje flag, chorągwi, barwnych wstążek, różnokolorowych znaków mongolskich książąt i dostojników, chińskich kupców, burjackich, tybetańskich, sojockich i tanguckich gości, wreszcie sztandary cudzoziemskich konsulatów, wśród których na naczelnem miejscu powiewał gwiaździsty błękit Stanów Zjednoczonych, Lew brytyjski oraz wschodzące słońce Japonji.

(*Dcn*)

*) Generał-Gubernator, głównodowodzący wojsk.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

10)

Śpiewaczka powiedziała do dziecka:

— To ty jesteś Ewa? Twoja mama pisała do mnie o tobie. Nie masz pojęcia jak mama ciebie kocha...

— O tak — przyznała Ewa — kocha mnie, ale to nie jest moja mama.

Prezydentowa rozkazała jej:

— Idź naprzód z tym kawalerem.

„Kawaler" uśmiechnął się do niej — miał słabość do głupich dzieci — wziął ją nawet za rękę i stwierdził z satysfakcją o ile jest mniejszą od niego.

Szli tak razem z godzinę, bo do wsi było daleko — tylko rzeczy pojechały przedtem wozem. A że Ewa zbierała po drodze rozmaite kwiatki — pani Hermina nazywała to „zielskiem" — więc Jakób miał sposobność wyjaśnić jej coś niecoś z botaniki.

— To wprawdzie nie jest moja specjalność, ale ten kwiatek, który teraz zerwałaś, należy do roślin cebulkowatych, — zauważył tonem profesorskim.

— A co jest twoją specjalnością?

— Elektrotechnika.

Spojrzała na niego przestraszona i już o nic więcej nie pytała.

A po obiedzie bawili się oboje w „stację ratunkową".

— Ale nie widzę tu ani karbolu ani jodoformu — stwierdził Jakób pogardliwie. A Ewa zaczęła udawać, że to wszystko przedtem miała, tylko właśnie teraz się gdzieś zapodziało.

— Gdzież to może być? — mruczała głosem pani Herminy — przed minutą miałam to w ręce... Dziś wszystko jak zaklęte. Jeżeli się bez przerwy nie uważa jak policjant...

Naraz rzuciła się w tył na trawę.

— Teraz ja spadłam z góry.

Jakób popatrzył na nią jakby przez coś wyprowadzony z równowagi i wyszeptał:

— Jakie ty masz śmiesznie czarne oczy...

Potem ukląkł przy niej i pocałował ją prędko w same usta.

VII.

Zdawało się prawie, że Jakób zapóźno wybrał się do burmistrzów. Bo pani burmistrzowa przyjęła go tak zimno, przypatrywała mu się tak wyniośle, mrużąc oczy jakby go wcale nie znała. A jej mąż, ów wielki mówca, zagrał na poczekaniu całą scenę z komedji; dąsał się jak dziecko i robił takie miny, że Jakób nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Ko pan jesteś? — pytał. — Z kim mam przyjemność? Czem mogę służyć wielmożnemu panu?

Tańczył po pokoju, składał dworskie ukłony i tak dokazywał, że nie można było jednego słowa z nim pomówić.

Kiedy się w końcu uspokoił i zapalił cygaro, mówił spokojnie, kiwając głową:

— Nie, mój kochany, tak się nie robi. Byłem bardzo markotny, bardzo. Dlaczego ty już nas nie chcesz znać? Dlaczego? Ja wiem jaki powód, ale nie powiem. Anno, daj mu czekolady i chleba z masłem, tak, tak czekolady, nie herbaty. Niech widzi, że... Niech sobie nie wyobraża.. Bo, że jego matka jest sławną, to jeszcze niczego nie... Nie przeczę, nie przeczę, ale...

W domu jeszcze ciągle nie umie mówić— myślał Jakób.

Oglądał się ciekawie. Urządzenie pokoju było mu zupełnie nieznane.

W kącie wisiało weneckie lustro, którego sobie nie przypominał. Nad kanapą portret burmistrza, naturalnej wielkości, we fraku...

— Czy... to jest własne mieszkanie państwa? — pytał zdziwiony.

Burmistrz śmiał się szyderczo.

— Widzisz, Anno, on nie wierzy, że sobie możemy pozwolić na takie mieszkanie. Bo ja nie jestem sławny, nie. Gazety pisały wprawdzie długo i szeroko o moich mowach w parlamencie — ale on o tem nic nie słyszał. Nie, on myśli, że ja ciągle jeszcze jestem burmistrzem w małem miasteczku. Czego szukasz?

— Marjanny niema?

— Panna Marjanna się ubiera — Panna Marjanna idzie dziś do opery. Tak, mój kochany, a jakże. Panna Marjanna idzie dziś do loży ministra dla handlu i przemysłu, naszego wielkiego przyjaciela. A matka ministra, która jest hrabiną z domu, idzie także do loży... a jakże...

Jakób milczał, trochę oszołomiony.

— Ja wiem, że pan miał mowę kiedyś w parlamencie, sam ją nawet słyszałem.

— Co, ty? Dlaczegoż nic nie mówisz?

— Bo pan ciągle mówi, mówi i nie można przyjść do słowa. Byłem na galerji.

— No, no, opowiadaj! Jakże było? Dobrze? Weź te ciastka, bierz, proszę cię. No i bądźmy ze sobą znowu w zgodzie. Ja wiem, że ty masz dużo do nauki i że twoi rodzice tu byli, wiem. Ja tylko tak żartem... Nie, że ty słyszałeś mowę... proszę ja kogo! Bierz ciastka, bierz... O, idzie Marjanna — widzisz, jest syn marnotrawny.

— Jakób, doprawdy! Marjanna weszła a za nią wsunął się jakiś cień niepozorny.

Nie była tak wytwornie ubrana jak Eugenja, ale bardzo była ładna, stwierdził Jakób, i zaskoczony tem nie mógł wymówić słowa ze zdziwienia.

Miała jasną suknię i kwiaty przy staniku a z pod krótkich rękawków widać było zdrowe i czerwone ramiona.

Niby jest tęga, a mimo to korzystnie wygląda — myślał Jakób, ale ciągle jeszcze nie mógł mówić.

Dopiero kiedy się odwróciła, żeby spojrzeć w lustro, zauważył ze zwykłą otwartością:

— Słuchaj, Marjanno, masz niezapiętą suknię.

W tej chwili rzuciła się na nią pani burmistrzowa, a podczas tego kiedy uporządkowywała jej toaletę, przemówił naraz ów cień:

— Servus, Jakób — wyjąkał chrypliwie— Był to Hipolit, jeden z kolegów Jakóba z trzeciej C.

— Co ty tu robisz? — zapytał Jakób surowo, bo Hipolit nie należał do ulubionych uczniów.

— Nic, ja tu mieszkam.

— Odkąd? — indagował Jakób dalej.

— To jest mój siostrzeniec — oświadczył burmistrz.

— Tak... nic o tem nie wiedziałem — mruknął Jakób, zawsze jeszcze dość cierpko, prawie zazdrośnie.

Chłopiec był mały i miał twarz jak zeszłoroczne jabłko, albo jak karzeł. Jego włosy świeciły się z nadmiernego używania pomady, a oczy unikały wzroku mówiącego. Nosił długie spodnie i czarny surdut jak dorosły.

— Czy ty także do teatru? — dowiadywał się Jakób.

— Ja? — Hipolit śmiał się zakłopotany i zaprzeczał głową.

— Tego jeszcze brakowało — powiedział burmistrz. I opowiadał pobłażliwie, ale jakby z pogardą:

— Sam nie wiem co on cały dzień robi. Mnie się zdaje, że ciągle tylko biega za kimś z nas — jak mały piesek — nigdy nie widziałem, żeby się uczył.

Pokazało się, że burmistrzowa miała iść z Marjanną. Nie spostrzegało się żadnej zmiany w jej toalecie, aż naraz zaczęła naciągać długie czarne rękawiczki.

— Hipolitku, idź i sprowadź dorożkę.

— Ach tak — pomyślał Jakób, kiedy mały pobiegł — to on na to tu jest.

— Z niego nic nie będzie — zaczął burmistrz — on nie ma duszy... To jest... chciałem coś innego powiedzieć, ale ty mnie rozumiesz? Przy stole siedzi cicho i słowa nie piśnie — może sobie coś myśli, ale może i nie. Nigdy się nie kłóci tak jak ty.

— Ja? Ja się tylko wtedy kłócę, jeżeli coś wiem na pewno.

— No tak, dobrze, on nic nie wie na pewno. To już tak jest. Mojej żonie się to podoba... Ja nie mam nic przeciwko niemu. A oni prowadzą warjackie życie; on tylko na nartach...

— Aha, znowu przychodzą znane „on" „ona". Co to znaczy? Kto prowadzi warjackie życie? Kto jeździ na nartach?

— Kto? kto? — złościł się wielki mówca— naturalnie jego rodzice, rodzice Hipolita. Ona jest moją siostrą. Gertruda jej na imię. Ty jesteś przepyszny z tą swoją pedanterją. Ona mogła była wyjść za księcia. A teraz ma ośmioro dzieci... A on niczem nie jest, nic nie robi. On jest tylko, jak tu mówią: „fesch". Gimnastykuje się, boksuje, jeździ na nartach. To tak nie uchodzi. Cóż ty sobie myślisz? Co rok dziecko... na nartach?!... Hipolit!...

Aż się zasapał.

— To dziwne — zaczął Jakób prawie ze smutkiem — gdy się pana słyszy w parlamencie, ma się jak najlepsze wrażenie.

— Aha! Widzisz: Podobało ci się?

— Muszę przyznać, myślałem sobie, że pan może daleko zajść.

— Widzisz. Inni także to mówią. Niezliczona ilość innych, wysoko położonych, nie takich jak ty... Otoczyli mnie... ręce mi ściskali...

— No tak, ja wiem. Ale na co się to zda?

— Jakto? to ci wszystko za mało? Ekselencje przychodzą do mnie, ministrowie...

— No i co z tego?

(*Dcn*)

Prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski i ksiądz biskup Tarnowski Walęga, dokonują aktu poświęcenia kamienia węgielnego pod nowe łazienki mineralne w Krynicy.

NOWE ŁAZIENKI MINERALNE W KRYNICY.

W obecności Prezydenta Rzeczypospolitej odbyło się niedawno poświęcenie kamienia węgielnego pod nowe Łazienki mineralne w Krynicy. Dzieło to, doprowadzone do skutku dzięki zabiegom Komisji Zdrojowej— bardzo pożądanem jest ze względu na szybki obecnie rozwój uzdrowiska. Setki kuracjuszy będzie miało w ten sposób ułatwione korzystanie z cudotwórczych wprost kąpieli — a Krynica przygarnie tysiące nowych letników, stęsknionych spokoju i wód leczniczych.

Krynicka komisja zdrojowa.

Inż. Nowotarski, przewodniczący komisii dyrektor zakładu; Dr. Witold Skórczewski, zastępca przewodniczącego; Antoni Kmietowicz, skarbnik; Jan Pudło, sekretarz; Dr. Ksawery Gorski; Dr. Franciszek Kmietowicz; ks. Roman Duchiewicz, miejscowy proboszcz.

Ogólny widok portu w Gdyni. Na końcu mola okręt francuski „Kentucky".

URUCHOMIENIE PORTU W GDYNI.

Załadowanie w porcie w Gdyni francuskiego okrętu „Kentucky" o tonażu 7,000 tonn, wywołało wielkie wrażenie w kołach morskich. Mimo trudności finansowych roboty w porcie postępują naprzód, tak, iż w ciągu 2 miesięcy dokończone będzie zasypywanie kamieniami mola i ułożenie na niem szyn normalno-torowych, jak również przeprowadzona zostanie do końca mola elektryczności, wodociągi. W ten sposób w jesieni będzie port gdyński uruchomiony dla okrętów oceanicznych o tonaży 10,000 ton, zaś pociągi kolejowe będą mogły dochodzić do końca mola, wybiegającego na 600 metrów w głąb morza.

Wielki parowiec oceaniczny francuski „Kentucky" o tonnażu 7,000 tonn podczas załadowywania w porcie Gdyni.

NA SAO VICENTE

(z podróży „Lwowa").

Mindello, dn. 26 lipca 1923 r.

Opuściliśmy Hawr dn. 27-go czerwca wieczorem. W kanale La Manche „Lwów" rozwinął wszystkie żagle. Pogoda była dobra, wiatr sprzyjający. Po czterech dniach żeglugi weszliśmy na zatokę Biskajską. Jest ona znana z wielkich prawidłowych fal, niebezpiecznych dla statków, gdyż mogą one wprawić je w t. zw. *rezonans* (zdarza się to, gdy okres fali równa się okresowi wahań statku). Tym razem jednak i słynna Biskaja przypominała taflę zwierciadlaną. Wiadomo zresztą, że tam, gdzie panują wiatry zachodnie — „Lwów" spotykał właśnie wiatr wschodni, w najcichszych okolicach trafiał na szkwały, teraz więc „wypadało" poprostu „dostać ciszę". Obawialiśmy się nawet, aby za naszem zbliżeniem się passat nie zmienił kierunku na południowo-zachodni.

Tydzień cały straciliśmy na przebycie całej szerokości zatoki. W tym czasie mieliśmy wiatr co kilka godzin inny, tak, że chwilami jechaliśmy nawet wprost na północ.

Któregoś dnia spotkaliśmy niewielki francuski kuter rybacki, zabłąkany tutaj i szukający od kilku dni lądu. Podano im pozycję, a rybacy, jak się okazało, nawet nie przypuszczali, że znajdują się około 300 mil od brzegu.

Po 10-ciu dniach wreszcie wiatr się zmienił na korzystny, a 12 lipca przeszedł w passat. Szybkość nasza, która dotychczas wynosiła około dwu węzłów*) wzrosła teraz do 9-ciu. Czternastego minęliśmy Gibraltar, szesnastego Maderę, a osiemnastego Wyspy Kanaryjskie.

Tymczasem temperatura stale wzrasta, dzień robi się coraz krótszy. Zbliżamy się do zwrotnika Raka, który mijamy w nocy z 20-go na 21-szy. Teraz w dzień mamy upały, dochodzące do 40° Cels. Temp. wody wynosi 23 stopnie.

Słońce praży nas prawie prostopadle, przyczem rano nagle wysuwa się z za horyzontu, wieczorem równie nagle ginie, poczem momentalnie prawie zapada czarna, gorąca, przesiąknięta wilgocią noc. Morze jasno fosforyzuje, na świecących grzebieniach fal migają zielone

*) 1 węzeł = 1 mila na godzinę. Mila morska = 1853 mtr.

Kapitan Ziółkowski.
Komendant statku szkolnego „Lwów".

i błękitne ogniki. Na niebie jarzą się nieznane nam dotąd konstelacje, a nad północną częścią horyzontu błyszczy nisko gwiazda polarna.

Na morzu spotykamy dużo nowych dla nas rzeczy. Oto mijają nas dwa kaszaloty, wyrzucając z siebie fontanny wody. Oto trzymetrowy rekin płynie jakiś czas za statkiem, pokazując co chwila swój biały brzuch. To znów stadko kilkuset ryb latających wyrwało się z pod burty i lecą nieraz duży kawał nad wodą, odbijając się co jakiś czas od fali, a potem wszystkie nagle znikają pod powierzchnią, która pryska jak gdyby rzucono w tem miejscu garść kamyków.

Czasem w nocy jakaś ryba zwabiona światłem wpadnie na pokład i już się z niego podnieść nie może. Wtedy jej „właściciel" sporządza sobie z niej śniadanie, a piękne delikatne pletwy suszy i zachowuje na pamiątkę.

Tymczasem zbliżamy się już do Wysp Zielonego Przylądka, na których mamy zatrzymać się na jeden dzień, aby podociągać zluźniony takelunek,*)

Dnia 22 lipca słońce mamy już dokładnie w zenicie. Po raz pierwszy nie możemy ujrzeć swego cienia. Białe hełmy chronią nas przed palącemi promieniami, ciało jednak jest tak opalone, że lekkie dotknięcie sprawia ból. Jedyną przyjemnością jest codzienna kilkakrotna kąpiel, a raczej prysznic pod wężem do zmywania pokładu.

Wreszcie dnia 25 lipca stajemy na kotwicy. Wyspy Cap-Verde czyli Zielonego Przylądka zawdzięczają swą nazwę najbliższemu punktowi wybrzeża Afrykańskiego, Zielonemu Przylądkowi, odległemu od nich mniejwięcej o 300 mil. Od Wysp Kanaryjskich są odległe o 700 mil. Należą do Portugalji. Odkryte zostały w roku 1460, przez żeglarza portugalskiego Diogo Gomez'a i genueńczyka Antonio de Nolle.

Wyspy składają się z 10-u większych i 4-ch mniejszych. Siedzibą gubernatora jest Sao Thiago albo Santiago. Pod względem handlowym najważniejsza jest Sao Vicente, posiadająca największy i najdogodniejszy port: Mindello, położony w zatoce Porto Grande. Ludność tego miasta, w liczbie około ośmiu tysięcy, składa się w większej części z murzynów.

Wyspy są pochodzenia wulkanicznego, przeważnie nieurodzajne, pokryte warstwą piasku lub lawy i ubogie w wodę. W miejscach jednak, gdzie uprawa jest możliwa, bardzo dobrze udają się produkty tropikalne, jak: trzcina cukrowa, kawa, kukurydza, bawełna, tytuń, maniok, słodkie kartofle i t. d., poza tem kokosy, banany i inne. Na wybrzeżach znajduje się dużo ryb i żółwi.

Na eksport składają się: cukier, rum, sól, wydobywana z morza w wielkich ilościach na wyspach Sal i Boavista, dalej orchilla, z której wyrabia się karmin i wreszcie czerwone korale.

Klimat wysp jest dość zdrowy, jednak w deszczowej porze roku, która tu trwa od lipca do września, zdarzają się wypadki febry i innych chorób podzwrotnikowych.

Oprócz stałego passatu północno-wschodniego wieje tu od stycznia do marca t. zw. „harmattan", który przynosi z lądu afrykańskiego lotny piasek, pokrywając nim brzeg i przechodzące okręty. Najwyższym szczytem Wysp Zielonego Przylądka jest wulkan Pico na wyspie Fogo (2850 mtr.).

Niestety, nie mieliśmy czasu na bliższe zaznajomienie się z tym ciekawym lądem.

W chwili, kiedy kończę ten list, „Lwów" gotów już jest do dalszej drogi. Leży jeszcze przed nami szeroka przestrzeń Oceanu, dzielącego nas od Rio Janeiro, celu naszej podróży. Za godzinę będziemy się znów kołysali na wielkiej wodzie i potrwa to prawdopodobnie do końca sierpnia. Powrót zaś nasz do Polski nastąpi nie prędzej, jak pod zimę.

T. D.

*) Takelunek=oliwowanie.

POLACY WE FRANCJI.

Na uroczystości 3 maja w Bruay, konsul polski p. Rembiszewski przemawia pod pomnikiem poległych do wychodźców.

Ćwiczenia sokołów polskich na zlocie w Bruay w północnej Francji.

Konsul polski w Lille, p. Rembiszewski z małżonką i kapelan wychodźców ks. prałat Helenowski, na uroczystości 3 maja w Bruay.

Dnia 15 lipca r. b. odbył się zlot I okręgu sokołów polskich w północnej Francji w Bruay pod protektoratem francuskiego senatora p. Elby, dyrektora miejscowego Towarzystwa Kopalnianego i p. Rembiszewskiego, konsula z Lille. Zlot udał się jaknajlepiej; 500 sokołów i 60 sokolic stanęło do ćwiczeń na boisku.

Grano w piłkę nożną, ćwiczono się na przyrządach, a w występach poszczególnych gniazd były nawet ćwiczenia górali tatrzańskich.

Podczas nabożeństwa poświęcono dwa sztandary sokolskie z Mazingarb i Bruay. Pomimo przeszkód materjalnych, z jakiemi walczyć musi miejscowe sokolstwo, zlot ten był największym z dotychczasowych we Francji i pozostawił wśród wychodźców bardzo miłe wspomnienie.

Ze zlotu sokołów w Bruay.
Od lewej do prawej (rząd górny) ks. dr. Wetmański, inż. Didier, ks. Kaczmarek, ks. prałat Helenowski, konsul Rembiszewski, senator Elby i dr. Guermonprez. W rzędzie pierwszym prezes i naczelnik I-go okręgu „Sokoła" druhowie Grzona i Dobrowolski.

Z PAŃSTWA „BOJAŹNI BOŻEJ" I CZERWONEJ REPUBLIKI.

Fot. J. Graudenz.

Niemcy czczą czwartą rocznicę ogłoszenia Rzeczypospolitej, choć ta Rzeczpospolita szczęścia im nie przyniosła.

Gmach giełdy berlińskiej, gdzie codzień spada kurs marki z zawrotną szybkością.

Najnowszy banknot niemiecki: 50,000,000.

Zamiast w kasach ogniotrwałych — przechowują banki niemieckie miljardy i biljony marek w workach plombowanych.

Rekord giełdowy ogłoszony za pomocą wywieszki na jednym z banków berlińskich.

Nad Moskwą szalała niedawno burza połączona z niebywałą ulewą. Z powodu źle utrzymanych kanałów nastąpił zalew ulic. Woda wyczyściła miasto — od długich lat nie czyszczone przez bolszewików.

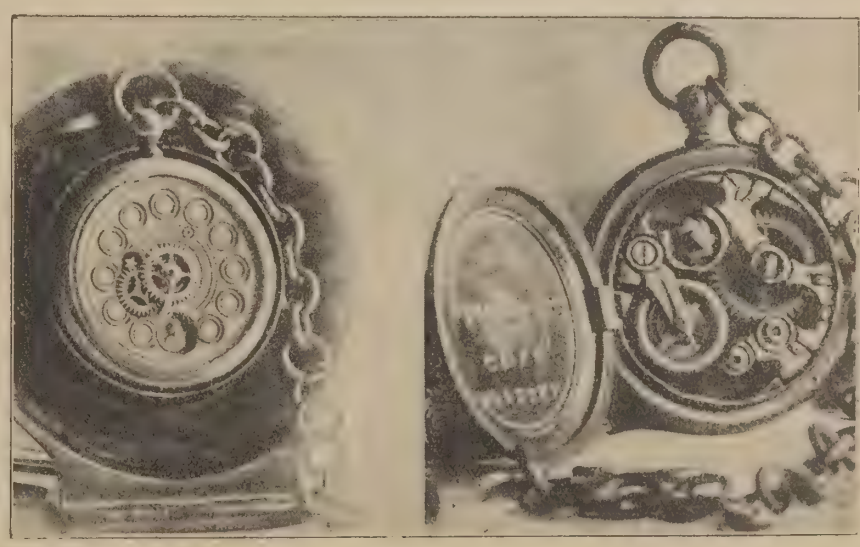

Lenin otrzymał od jednego z chłopów rosyjskich zegarek, sporządzony z drzewa. Niewiadomo czy to znak wdzięczności za „opiekę" rządową, czy chęć, aby jaknajszybciej przestał iść zegarek władcy Rosji.

Zwycięzca w biegu na 100 m. por. Sośnicki dobiega do taśmy.

Po zawodach pływackich. Zwycięzcy pięcioboju nowoczesnego.
Od lewej do prawej: por. Bilich (II nagr.), kap. Żarski (III nagr.), ppułk. Lecewicz (I nagr.) i kap. Hut (IV nagr.)

OFICERSKIE ZAWODY STRZELECKIE.

Uroczystość wręczenia przez ministra Spraw Wojskowych jen. Szeptyckiego nagrody przechodniej delegacji 31 p. Strz. Kan.

Nagroda przechodnia za zdobycie Mistrzostwa W. P. w oficerskich zawodach strzeleckich zespołami, którą zdobył w tym roku zespół 31 p. Strzelców Kaniowskich.

Z TEATRU.

Fot. St. Brzozowski.

Teatr Polski wystawił ostatnio komedję Shawa „Nigdy nie można przewidzieć" z pp. Leszczyńską, Słubicką, Umińską, Zelwerowiczem, Stanisławskim i Samborskim w rolach głównych.

CEGIEŁKI WAWELSKIE.

3310. Pracown. dyr. warsz. okr. dróg wodnych w dniu imienin dyr. I. Stanisława Ćwikla 8/V—1922.
3311. W dniu imienin przełożonej—uczennice gimnaz. Zofji Kurmanowej.
3312. Koło zjednocz. młodych ziemianek.
3313. Koło inżyn. uniw. leodyjskiego przy Stow. techników w Warszawie.
3314. Jen. por. W. P. Wiktorowi Gawrońskiemu oficer. i urzędn. wojsk. wydz. woj. Kolei dep. VI M. S. W. 17/V—1922.
3315. Lotnictwo morskie w Pucku.
3316. W dniu imienin Zofji Kudasiewicz Kołtoniakowej nauczycielki i uczennice.
3317. Ku czci ś. p. Zofji Applówny— koleżanki i koledzy min. spraw zagr.
3318. Tow. „Agrinkom", Kijów—Warszawa 1918—1921 r.
3319. Pamięci Marji z Bartoszewickich Pierożyńskiej 1854—1915 — dzieci.
3320. Pamięci Jana Nepomucena Żołędziowskiego — rodzeństwo.
3321. Zjazd słuchaczek wyższ. kursów handl. J. Siemiradzki, Warszawa.
3322. Dr. Bolesław Łapowski z New-Yorku.
3323. D-rowa Bolesławowa Łapowska z New-Yorku.
3324. Zbyszko Czarnowski 17/V 1908—4/X 1920.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
FABRYKI
OBIĆ PAPIEROWYCH
i PAPIERÓW KOLOR.
„J. FRANASZEK"
WARSZAWA
Fabryka: ul. Wolska Nr. 41/43,
Tel. 1-71, 203-27.
Skład obić: Krak. Przedmieście Nr. 15,
Tel. 1-72.
Obicia papierowe (tapety)
od najwykwintniejszych do najtańszych.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 37 Ogólnego zbioru 3,330 Wydawnictwa rok 64. 8 Września 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

NAD POLSKIEM MORZEM.

NAPRAWIANIE SIECI WŁADYSŁAW JAROCKI

Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie.

BANDERA POLSKA NA RÓWNIKU.

Nie mamy jeszcze do tej chwili wiadomości o przybyciu statku szkolnego „Lwów" do Rio Janeiro. Opierając się jednak na wiadomościach, które nadeszły dn. 25 lipca z Wysp Zielonego Przylądka (Cabo Verde), należy przypuszczać, że mniej więcej w połowie Sierpnia statek nasz przeszedł przez równik.

Data powyższa, po jej ustaleniu, powinna być zapisana nie tylko w pamięci naszych marynarzy, lecz także w pamięci całego narodu polskiego. Po raz to pierwszy bowiem w dziejach Polski bandera Rzeczypospolitej przeszła z półkuli północnej na południową.

Jest to moment zwrotny w dziejach naszej dotychczasowej żeglugi, moment, od którego kiedyś zaczynać się będzie nowoczesna historja odrodzonej marynarki polskiej.

W przeszłości, kiedy Polska posiadała zawiązek floty własnej na Bałtyku, statki, pływające pod jej czy pod gdańską banderą, rzadko kiedy wychodziły poza obręb Bałtyku i Morza Niemieckiego. Najdalszemi, o jakich wiemy i jakie przypuszczać można portami, do których zawijały okręty polskie, były porty Holandji, Francji i Anglji. Być może, docierały one jeszcze do Hiszpanji i do Włoch, wiadomo bowiem, iż Gdańsk handlował z Wenecją i wywoził tam drzewo i pszenicę polską. Na tem jednak kończyły się zamorskie stosunki Polski.

Słynna wyprawa Jana z Kolna, domniemanego odkrywcy Ameryki przed Kolumbem, trzymała się szlaku północnego. O fladze polskiej na Atlantyku nie wiemy tedy nic zgoła. I dzisiaj, po odzyskanym przez nas dostępie do morza, „Lwów" jest pierwszym okrętem polskim, który ma za sobą daleką żeglugę.

Wyprawiony z ładunkiem cementu do Santos w Brazylji, mając na pokładzie kilkudziesięciu uczniów szkoły morskiej w Tczewie z jej dyrektorem, inż. Antonim Garnuszewskim, na czele, tudzież dowódcę statku, kpt. Ziółkowskiego, profesorów: Stankiewicza, Ancutę, Maciejewicza, poruczników: Szczygielskiego i Borkowskiego oraz lekarza szkolnego, D-ra Wilkansa, „Lwów", po trzechmiesięcznej żegludze dopływa obecnie do portu swego przeznaczenia, zapisując się tem samem po wszystkie czasy w dziejach żeglugi polskiej.

Fakt ten, dla wielu Polaków może jeszcze dzisiaj obojętny, niewątpliwie zaliczony kiedyś będzie do najważniejszych wydarzeń w pięcioletnim okresie naszego istnienia niepodległego. Daje on nam bowiem dyplom „obywatelstwa na morzu". Odtąd bandera polska na równi z banderami państw innych nabiera znaczenia światowego.

Z tego tytułu fakt ten powinien być upamiętniony. Jeżeli przejście przez równik jest „świętem marynarskiem", obchodzonem tradycyjnie na pokładzie każdego statku, to dla Polski przejście jej pierwszego okrętu przez tę linję demarkacyjną, rozgraniczającą dwie półkule, jest świętem nierównie większem.

Ufamy też, iż Departament marynarki handlowej ministerjum przemysłu i handlu, z którego inicjatywy „Lwów" tę swoją daleką podróż odbywa, po szczęśliwym powrocie okrętu i jego załogi do portu Ojczystego, w odpowiedni sposób zaznaczy ten chlubny dla polskiej bandery handlowej moment, choćby przez wybicie pamiątkowego żetonu dla uczestników tej wyprawy.

Wydaje nam się jednak rzeczą słuszną, aby nie tylko rząd zwrócił na to uwagę i nie tylko rząd uczcił powracających z za równika marynarzy.

„Lwów" powinien być powitany przez całą Polskę, nie szumnemi obchodami, ale gorącemi sercami wszystkich obywateli, rozumiejących, czem jest morze dla Polski.

Będzie to moment nadający się doskonale do rozpoczęcia wśród społeczeństwa szerszej akcji agitacyjnej na rzecz floty polskiej, której dotychczas posiadamy nikły tylko zawiązek.

Jesteśmy pod tym względem najuboższem państwem na kuli ziemskiej. Podczas kiedy wszędzie budują się okręty, my stoimy w miejscu. Francja biada z trwogą o swoje jutro, iż w roku bieżącym spuściła na wodę tylko kilkanaście statków, my nie spuścimy ani jednego. Tonnaż niemiecki wzrasta pod naszym bokiem zawrotnie szybko. Niemieckie linje okrętowe wznowiły ruch pomiędzy Hamburgiem a Rio-Janeiro i Argentyną i wszelkiemi sposobami starają się ściągnąć ku sobie wychodźtwo polskie. Mając znaczny ruch emigracyjny, który powinien być wyłącznie kierowany na Gdańsk, ewentualnie na Gdynię, ustępujemy rocznie 20.000 pasażerów linjom obcym, przeważnie niemieckim, lubo pracującym nieraz pod maską nie niemiecką.

To samo jest z naszym wywozem. Polskie drzewo, węgiel, nafta i zboże wychodzą z portu gdańskiego pod flagami Gdańska, Niemiec, Szwecji, Norwegji, Danji, Wielkiej Brytanji, nawet Rosji— najrzadziej zaś pod flagą polską, bo polski tonnaż handlowy prawie że nie istnieje. Ba! nawet okręty, pływające pod banderą polską, nie zawsze są polskie, bo należą do towarzystw o kapitałach mieszanych.

Nie trudno obliczyć, jak olbrzymie straty ponosimy wskutek tego, ile pieniędzy, które powinny pozostać w rękach polskich, wędruje do kas obcych armatorów.

Tymczasem armatorowie polscy nie mogą się narodzić. Nie mamy dotychczas ani jednego większego przedsiębiorstwa żeglugowego. Rząd, który jest właścicielem „Lwowa", żaglowca o pojemności niespełna 3000 tonn, oddanego na użytek Szkole morskiej i zabierającego ładunek tylko raz do roku i to w charakterze niezbędnego balastu, nie posiada poza tem ani jednego statku handlowego, pomimo, że statek taki miałby już wystarczającą pracę, kursując pomiędzy Polską a Francją i służąc tylko rządowemu eksportowi i importowi. Dalej rząd nie zainicjował dotychczas utworzenia przy swoim współudziale towarzystwa prywatnego, które przy jego poparciu mogłoby ująć w swe ręce wywóz i wwóz polski, przynajmniej w granicach Bałtyku i morza Niemieckiego.

Nie mówimy już o linji transatlantyckiej, kalkulowanej na wychodźtwie polskiem, chociaż i taka linja bynajmniej nie jest niemożliwością.

Na razie jednak iść nam musi przedewszystkiem o odpowiadającą naszym najelementarniejszym potrzebom drobną flotyllę handlową, złożoną z małych żaglowców i statków motorowych o pojemności 1000 — 2000 tonn, któreby ruchem swoim zaznaczyły obecność Polski na morzu, dotychczas jeszcze tak niedostrzegalną, że w roku zeszłym „Lwów" w Anglji został wzięty za statek „bolszewicki".

Dowodzi to, że ambicje nasze morskie są minimalne. Właściwie niema ich wcale. Ani rząd, ani handlowo-przemysłowe czynniki społeczne nie obudziły się jeszcze do działania w tym kierunku.

Obudzenie to jednak musi nastąpić, jeżeli chcemy być narodem i państwem nowoczesnem, zdolnem do wypełnienia wszystkich funkcyj, związanych z normalnem istnieniem narodu i państwa. A normalne istnienie Polski bez morza i żeglugi morskiej nie da się pomyśleć na najbliższe jutro.

Mamy więc do wyboru albo życie kalekie, pozbawione szerszego oddechu ekonomicznego lub posiłkujące się dla tego oddechu obcemi płucami, albo własne, pełne życie, które zapewni nam wszechstronny rozwój.

Naród, który zdaje sobie z tego sprawę, powinien wytężyć wszystkie siły, aby jaknajrychlej posiąść flotę handlową i wojenną i w ten sposób stanąć mocną nogą na morzu.

Budujmy okręty! Oto hasło, które dzisiaj brzmieć powinno w całej Polsce, hasło ponadpartyjne, ogólno polskie, którego popularność wzrastać powinna z każdym dniem na całym obszarze naszej ojczyzny, aż przerodzi się w lawinę, porywającą wszystkich i toczącą się siłą inercji ku wspólnemu dla wszystkich celowi.

Rzucenie tego hasła w społeczeństwo będzie najlepszem uczczeniem historycznego momentu przejścia naszej bandery przez równik, a kto wie, czy naród, rozgrzany wielką ideą, skoro uświadomi sobie całą jej doniosłość, nie zdobędzie się na to, aby, idąc za wzorem innych narodów, zbudować własnemi środkami pierwszy okręt wojenny i pierwszy statek handlowy o pojemności kilku tysięcy tonn dla Rzeczypospolitej, której skarb jest za ubogi, aby mógł ponieść miljardowe dzisiaj na ten cel wydatki.

I znów moment przejścia pierwszego statku polskiego przez równik, o ile odbije się dość szerokiem echem w granicach całej naszej Ojczyzny i poruszy wszystkie serca polskie, może być znakomicie wyzyskany nie tylko moralnie lecz i materjalnie na rzecz idei floty polskiej.

Liga żeglugi polskiej, jako stowarzyszenie o pokrewnych słynnym niemieckim *Flottenverein'om* zadaniach, ma tu przed sobą szerokie i wdzięczne pole do pracy. Niezależnie od tego jednak organizacje samorządowe, miejskie i wiejskie, oraz organizacje społeczne, powinny zawczasu wziąć tę sprawę do serca.

Przedewszystkiem oczekiwać tu będziemy inicjatywy od Rady miejskiej m. st. Warszawy, jako stolicy państwa i do niej apelujemy o opracowanie programu należytego uczczenia przejścia bandery polskiej przez równik.

Wyobrażamy sobie, że istniejący a precyzyjnie wykonany model „Lwowa" zostanie uroczyście, na wieczną pamiątkę rzeczy oddany do Muzeum narodowego i że obok tego znajdzie się tam „Dziennik podróży *Lwowa*", jako dokument historyczny pierwszorzędnej wagi dla historji naszej marynarki. Oczywiście, na uroczystość tę powinien przybyć dowódzca „Lwowa" wraz z oficerami, załogą i uczniami szkoły morskiej w Tczewie, którzy, przeszedłszy równik, pasowani zostali na *pierwszych* marynarzy Rzeczypospolitej, przez nią i pod jej biało-czerwoną flagą wychowanych na pożytek i chwałę floty polskiej.

Czasu do obmyślenia tej uroczystości jest jeszcze dużo, „Lwów" nie wróci bowiem ze swojej podróży zamorskiej wcześniej, niż w grudniu, ale, da Bóg, wróci szczęśliwie, przywożąc nam w dobrem zdrowiu ogorzałych na słońcu południa i ochłostanych wiatrami oceanu młodych żeglarzy, którzy swoim trudem, znojami i narażeniem się na niebezpieczeństwa zapisali nową, nieznaną jeszcze kartę w księdze dziejów odrodzonej Ojczyzny. Powrót ich musi nas zastać przygotowanych nie tylko do powitania, lecz i do tej akcji, jaka z powitaniem tem powinna być związana.

Dla tego poruszamy tę sprawę już dzisiaj, w przekonaniu, że służymy rzeczy ważnej i dobrej, obok której polska opinja publiczna nie może przejść obojętnie.

Każdy Polak powinien wiedzieć dzisiaj, że polska bandera przeszła przez równik i fakt ten należycie ocenić. A data tego przejścia powinna być wciągnięta do podręczników geograficznych i zapamiętana przez uczniów wszystkich szkół polskich, narówni z najważniejszemi datami z naszej historji.

Z. Dębicki.

NAD POLSKIEM MORZEM.

PRZY PRACY. WŁADYSŁAW JAROCKI.

Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie.

Antoni Bogusławski:

Poezje.

(Z Cyklu „Morze i Ty").

Przystań.

Było mi dziwnie smutno owego wieczora.
Miałaś przyjść, a nie przyszłaś. Usiadłem na brzegu
i patrzyłem na barki, płynące w szeregu.
Pokochała tęsknota moja białe żagle,
ciągnące ku wieczornej przystani — i nagle
przystani zapragnęła dusza moja chora.

Przystani jasnej, cichej — konchy w białej skale,
do którejby zbiegały stopnie z malachitu,
misterną rzeźbą kraty zamknięte u szczytu.
I tylko jedna, wiecznie wracająca fala
niosłaby mi swe pieśni, urodzone zdala
od brzegu, na ławicach, gdzie rosną korale.

Tam łódź moją na złotym przykułbym łańcuchu
i wejśćbym nie pozwolił żadnej innej łodzi,
lecz wpatrzyłbym się w słońce, jak zwolna zachodzi,
krwią zalewając morze. A wówczas tęsknica
zerwałaby się z piersi lotem, jak orlica
morska, kiedy przepada w wichrowym podmuchu.

Było mi dziwnie smutno. Dusza moja chora
przystani zapragnęła owego wieczora.

List.

Jak morska mewa, spadła mi dziś rano
karta od pani. A deszcz był na dworze.
Zdawało mi się, że to samo morze
mi ją przyniosło, ptaszynę zbłąkaną,
i że mi z szarych chmur spadła na ręce,
swe białe skrzydła stulając ptaszęce.

Pani nad morzem — szczęśliwa, bo ono
jest miłościwe zawsze, czy gdy burza
grzebienie piany w fal szmaragdy nurza,
czy gdy toń wzdycha piersią ukojoną.
Zawsze ukoi i zawsze, tęsknotę
ludzką kołysząc, rozpyla pieszczotę.

Byłem tak kiedyś szczęśliwy, jak pani,
nad południowych mórz błękitnym brzegiem.
Pinje nad lazur schodziły szeregiem
aż do mej łódki, co stała w przystani.
Gdy chciałem, żagiel stawiałem lub wiosła
chwytałem w dłonie, — i fala mnie niosła.

Niosła, gdzie chciała... Gdym się zbłąkał w morzu
i nie do swego powróciłem brzegu,
nigdy mi wówczas nie zbrakło noclegu
w rybackiej chacie, na traw morskich łożu,
lub pod magnolji krzewem, gdzie dziewczyna
włoska mi nocą fiaskę niosła wina.

Dziś tylko marzyć mi wolno o fali,
o łódce mojej, o obcej dziewczynie.
Lecz kiedy mewa skrzydła swe rozwinie
w moich marzeniach — to dusza się żali,
że to już było, przeszło i nie wróci...
Chociaż się śmieje z siebie, lecz się smuci.

Dziękuję pani, żeś we mnie wskrzesiła
tęsknoty mojej umarłego ptaka.
Bo kiedy w życiu zalśni chwila taka,
dusza się budzi i jest, jaką była.
I gdyby mogła unieść się w przestworza,
to poleciałaby nad jasne morza.

Kanonierka „Jenerał Haller".

Fot. W. Filanowicz.

Monitor „Warszawa".

KONIECZNOŚĆ MARYNARKI WOJENNEJ DLA POLSKI.

Narody, broniące swych żywotnych interesów, rzucają do walki zbrojnej w dobie obecnej wszystko, co posiadają. Wojna zwykle przybiera charakter zaciekłej walki o samoistnienie, ekonomiczną lub polityczną niezależność całego narodu. Przeciwnicy walczą wszędzie, gdzie mogą i wszystkiem, czem mogą. Cała potęga wewnętrzna narodu, jego kredyt zagraniczny, przyjaźń sąsiadów, wszystko rzuca się na szalę wojny, ażeby skruszyć potęgę przeciwnika.

Oczywiście, w takich warunkach obydwie strony nie zaprzestaną walczyć, dopóki środki walki nie będą doszczętnie wyczerpane.

Z powyższego wyłania się naturalny cel działalności sił zbrojnych walczących: narzucenie swej woli przeciwnikowi przez zniszczenie jego siły zbrojnej. Jasne jest, że, przygotowując w czasie pokoju siłę zbrojną do osiągnięcia powyższego celu, dążyć należy wszelkiemi środkami do zwiększenia jej potęgi. Pierwszym krokiem w tym kierunku był od dawnych czasów przeprowadzony zasadniczy podział narodowej siły zbrojnej na armję lądową i marynarkę wojenną, podział według terenów, na których obydwie części składowe siły zbrojnej powołane są do walki zwycięskiej.

Teraźniejsza organizacja, zarówno armji lądowej, jak i marynarki wojennej, przewiduje ich podział na szereg broni, przystosowanych dla różnego rodzaju działalności bojowej.

Podstawą tego podziału jest zasada oszczędności, za pomocą specjalizacji broni, mającej na widoku osiągnięcie z poszczególnych jednostek bojowych największej korzyści na polu walki.

Stosunek ilościowy obydwóch gałęzi siły zbrojnej do siebie, tak samo, jak stosunek elementów w każdej z tych gałęzi, zależy od sytuacji geograficznej i politycznej państwa, organizacji i składu sił zbrojnych ewentualnych przeciwników oraz przewidywanych operacyj.

Każda siła zbrojna musi posiadać, jako minimum, wszystkie elementy, które posiada ewentualnie przeciwnik i to pod strachem znalezienia się już w początku walki w trudnej sytuacji. Brak odpowiednika na jeden tylko z elementów siły zbrojnej wroga wyprowadzić może z równowagi daną siłę zbrojną, zmuszając pewną jej część do stawiania czoła przeciwnikowi w walce, do której nie była przygotowana. Do wykonania tego zadania, zużyje się naturalnie więcej sił, niż w rzeczywistości ich potrzeba.

Skutki braków tego rodzaju najlepiej

Strzelanie z dział na monitorze.
Fot W. Filanowicz.

dadzą się zauważyć przy posunięciu przyczyny do jej szczytu, a więc do nieposiadania całej części składowej siły zbrojnej, w danym przypadku marynarki wojennej.

Jeżeli z dwu przeciwników, mających dostęp do morza, tylko jeden posiada marynarkę wojenną, chociażby nawet bardzo małą, to zaraz w pierwszych dniach wojny strona przeciwna nie tylko zostanie odciągnięta od morza, czyli pozbawiona łatwej komunikacji ze światem, ale zostanie nadto zmuszona do stworzenia odpowiedniej zasłony przeciw ewentualnym operacjom od strony morza. Zasłona ta naturalnie zmniejszy liczbę wojsk, które mogą być użyte na głównym teatrze wojny i będzie nieproporcjonalnie wielką w stosunku do floty przeciwnika, której istnienie około wybrzeża, zagrożonego przez jej akcję, stwarza niebezpieczną strefę, na całej swej przestrzeni otwartą na działanie ze strony floty. Jedna tylko ewentualność wylądowania przeciwnika na skrzydle lub w tyle głównych sił utrzymywać musi część wojsk lądowych w pogotowiu na jego odparcie. W ten sposób nawet szczupła marynarka wojenna będzie mogła odciągnąć nieproporcjonalnie wielkie oddziały wojsk lądowych, przyczyniając się małemi środkami do rozproszenia sił przeciwnika.

Niezależnie od tego nieposiadanie marynarki odbiera jednej ze stron walczących możność używania morza, jako terenu dla celów wojskowych, stwarzając w ten sposób pewną strefę, gdzie tylko jeden z przeciwników tanim kosztem ma zupełną wolność ruchów, co niezmiernie wzmacnia jego potęgę.

W wojnie 1781-go r., o wyzwolenie Stanów Zjednoczonych, operacje armji Waszyngtona i Rochambeau, przeciwko Yorktown, które zakończyły się kapitulacją angielskiej armji Cornwallis'a, co było niewątpliwie punktem zwrotnym całej wojny, nie mogłyby się udać, gdyby nie pomoc czynna eskadry francuskiej de Grass'a, która po bitwie pod Chesapeak'iem, odcięła Cornwallis'a od New-Yorku. Jeżeli przypuścimy, że jeden z przeciwników, mianowicie Amerykanie, popierany przez Francuzów, nie miałby pomocy marynarki, to armja Cornwaliss'a nie tylko mogłaby być w porę wzmocniona posiłkami z New-Yorku, lecz przy pomocy swej floty Anglicy mogliby zagrozić linji komunikacyjnej armji francusko-amerykańskiej, co mogłoby unicestwić całą akcję.

W czasach obecnych, kiedy każdy naród, rozpoczynając wojnę, nie zrezygnuje z walki po wyczerpaniu własnych środków materjalnych, ale będzie się starał wydostać z zagranicy, za wszelką cenę, materjał niezbędny dla podtrzymania swej zdolności do obrony, posiadanie linij komunikacyjnych jest najważniejszym problematem wojny. Kraj, odcięty od świata lub skrępowany w swej z nim łączności, można porównać do oblężonej twierdzy, która wcześniej czy później, niezależnie od waleczności jej obrońców, paść musi, z powodu braku materjałów niezbędnych dla prowadzenia walki.

Widzimy więc przedewszystkiem, iż skład sił zbrojnych ewentualnych przeciwników musi wpłynąć na organizację własnej siły zbrojnej, która tylko wtedy będzie miała szanse powodzenia, kiedy będzie posiadała niezbędne elementy dla zwalczenia nieprzyjaciela na wszystkich terenach i w każdych warunkach.

Wyławiacz min (trawler) „Czajka".
Fot. W. Filanowicz.

Ponieważ w zależności od warunków lokalnych natury strategiczno-politycznej w żadnym kraju siła zbrojna nie będzie się składała z dwu równych ilościowo części: armji lądowej i marynarki wojennej, przeto operacje wykonane zawsze będą miały charakter decydujący na jednym z terenów, a pomocniczy na drugim. W zależności od kraju, to armja lądowa, to flota może być brana pod uwagę, jako samodzielny korpus, wysłany w łączności strategicznej z głównemi siłami, dla wykonania zadania potrzebnego do ostatecznego zwycięstwa na głównym froncie. Patrząc więc na marynarkę wojenną pod kątem widzenia naczelnego dowództwa, widzącego w całej pełni łączność strategiczną między oddzielnemi ugrupowaniami swych sił, widzimy naturalne miejsce marynarki wojennej w gronie narodowej siły zbrojnej, w której działalność obydwóch jej części składowych będzie dążyła do wykonania jednego celu, zgniecenia potęgi zbrojnej nieprzyjaciela przez skombinowaną akcję na właściwych terenach według jednego planu operacyjnego. Stąd zadaniem marynarki wojennej jest udział w ogólnych operacjach siły zbrojnej, w których będzie ona miała do czynienia ze swym odpowiednikiem siły zbrojnej przeciwnika, t. j. z jego marynarką wojenną. Walka z nią jest głównym celem marynarki.

Marynarka wojenna jest tedy stworzona do walki: „raison d'être" jej istnienia powstaje jako funkcja zależna od: 1) sił morskich ewentualnych przeciwników, którym będzie miała tak czy owak stawić czoło. 2) sytuacji strategicznej danego narodu, 3) jego polityki zagranicznej.

Jak widzimy, na tworzenie marynarki nie wywiera zasadniczego wpływu ta lub inna długość posiadanego wybrzeża, a to z tego powodu, że głównem zadaniem marynarki nie jest bezpośrednia obrona wybrzeża, lecz walka z marynarką przeciwnika, która jest główną przeszkodą w korzystaniu z morza i z własnego wybrzeża oraz ważnym czynnikiem, zwiększającym potęgę armji nieprzyjaciela i zabezpieczającym jego swobodę ruchów. Dopóki marynarka przeciwnika istnieje i może swobodnie działać, nic nie jest zrobione, bo faktyczny stan posiadania wybrzeża w czasie wojny, bez posiadania swobodnego ruchu na morzu, nic nie daje ani z punktu widzenia strategicznego, ani ekonomicznego.

Powyższa koncepcja naturalnie ma bardzo mało wspólnego z popularnym „cywilnym" poglądem na zadanie marynarki wojennej, według którego główna rola tej marynarki polega na obronie własnego wybrzeża i własnej marynarki handlowej. Pogląd ten w swej zasadzie, ignorując same podstawy sztuki wojennej, uważa za najwyższy cel marynarki ochronę punktów geograficznych, t. j. zwalczenie skutków bez próby zniszczenia źródła niebezpieczeństwa — marynarki nieprzyjaciela. Jest on równorzędny twierdzeniu, że armja lądowa musi być wyciągnięta sznurkiem, wzdłuż granic, ażeby każdego punktu z jednakową uporczywością bronić przed najazdem wroga. Obydwa te popularne poglądy, mające tylko zrozumiałą i pociągająco łatwą formę rozwiązania skomplikowanego zadania obrony państwa, naturalnie nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Prawdziwem więc zadaniem marynarki wojennej, jak i każdej jednostki bojowej, jest walka z marynarką nieprzyjaciela. Własne wybrzeże jest jednym z elementów potrzebnych dla jej organizacji i utrzymania na należytym poziomie. Na powstanie zaś marynarki wpływa nie długość wybrzeża, ale sytuacja strategiczna państwa i organizacja sił zbrojnych ewentualnych jego przeciwników. Dla niej obrona wybrzeża ma takie samo znaczenie, jak obrona lub atak objektów geograficznych dla armji lądowej, które same w sobie „a priori" bez związku z sytuacją strategiczną danej chwili, nie mają żadnego znaczenia.

S.

Mycie okrętu. Fot. Z. Marcinkowski.

Na morzu Bałtyckiem. Fot. W. A. F.

Pranie bielizny. Fot. Z. Marcinkowski.

POLSKA MUSI MIEĆ WŁASNY PORT MORSKI.

Dnia 13 sierpnia przybył do Gdyni pierwszy duży statek oceaniczny „Kentucky" (7.100 tonn rejestrowych brutto) i pomyślnie wyładował w budującym się porcie pierwszy ładunek oraz przyjął 1764 pasażerów i załadował 2 barki bagażu.

Wiadomość ta powinna, zdawałoby się, napełnić nam serca otuchą, że nareszcie nasz polski port ma gości z dalekich mórz. Nasuwa ona jednak smutne refleksje, gdy uświadomimy sobie, że było to zdarzenie czysto przypadkowe i że daleka jeszcze jest chwila, kiedy nareszcie Gdynia stanie się portem właściwym i naprawdę otworzy gościnne podwoje gościom zamorskim.

Trudno uwierzyć, lecz niestety jest to smutną rzeczywistością, że już kilka lat upłynęło od czasu uzyskania przez nas własnego wybrzeża morskiego, lecz do dziś dnia nie widać ani ze strony czynników rządowych, ani ze strony społeczeństwa dostatecznego zrozumienia doniosłości posiadania własnego dostępu do morza oraz obowiązków, jakie to posiadanie nakłada. Gdy inne narody, bardziej świadome wartości morza, wiekami prowadziły wojny dla zdobycia na morzu nowych placówek, my tymczasem do dziś dnia nie potrafiliśmy zdobyć się na nieznaczny choćby wysiłek—nadanie już posiadanemu przez nas dostępowi do morza realnej wartości przez budowę własnego portu.

Prawda, po inwazji bolszewickiej, kiedy brak portu omal się nie stał przyczyną klęsk niepowetowanych, M-stwo Spr. Wojskowych dość energicznie przystąpiło do budowy portu w Gdyni i w roku 1921 wybudowało molo portowe z poprzecznym łamaczem fal, lecz od tego czasu sprawa ta prawie nie ruszyła z miejsca i do dziś dnia wciąż jeszcze tylko wykończamy molo, poza tem zaś jedyną nową realną wartością dla portu będzie wodociąg, oraz maleńkie warsztaty reparacyjne Kierownictwa budowy portu, które będą mogły w pewnej mierze wykonywać remont statków rybackich.

Zdawałoby się, iż przyjęcie przez Sejm Ustawodawczy ustawy z dnia 23/IX 1922 r. o budowie portu w Gdyni stworzy nareszcie mocną podstawę do szybszej i planowej akcji budowy portu, tembardziej, że budową portu zainteresowały się kapitały zagraniczne i na początku roku bieżącego złożona została zupełnie konkretna i dogodna oferta na budowę portu przez konsorcjum potężnych firm budowlanych: francuskiej, duńskiej i holenderskiej, przy udziale jednego z banków polskich, przyczem port o zdolności przeładunkowej 2,5 miljona tonn rocznego obrotu miał być częściowo uruchomiony już po 2 latach, ukończony w 4—5 lat, spłata zaś należności za roboty rozłożona na 10 do 15 lat, czyli że budowa miała być wykonana na kredyt. Sprawa ta widocznie jednak utknęła, bo widzimy, że i nadal M-stwo Przemysłu i Handlu prowadzi roboty w takiem tempie, że spodziewać się utworzenia jakiego takiego niewielkiego portu można dopiero za 30—40 lat, jeżeli kredyty na budowę portu będą udzielane i nadal w takich dozach, jak dotychczas.

Taki stan rzeczy nie może nie budzić niepokoju wśród społeczeństwa, zdającej sobie sprawę z tego, jak konieczny jest dla Polski port własny i jakie straty ponosi handel polski, zmuszony do korzystania z przestarzałego, niedogodnego i najdroższego na kontynencie portu Gdańskiego lub też z portów cudzych, w pierwszej mierze Hamburga i Bremy. Nie mówiąc o stałych przeszkodach i szykanach, jakie spotyka w Gdańsku kupiec polski, musimy corocznie przepłacać olbrzymie sumy firmom obcym za pośrednictwo, ponosić straty na zmianie waluty i wreszcie, co najważniejsze, dyskredytować handel polski przez niedotrzymanie terminu dostaw wskutek przeciążenia portu gdańskiego i ciągłych strajków w porcie, nie zawsze na gruncie ekonomicznym. Cierpi na tem konsument, zmuszony płacić haracz obcym pośrednikom, cierpi polski handel zamorski, nie mogący stanąć na stopie samodzielnej i wyrobić sobie sił potrzebnych do współzawodnictwa, cierpi wreszcie i skarb państwa, gdyż olbrzymie tranzakcje, wynikające z portowych obrotów handlowych, odbywają się poza granicami państwa i opodatkowują się na rzecz państw obcych, nie mówiąc już o tem, że nasz handel zagraniczny nie może osiągnąć całkowitej ekspansji, gdyż dzięki wysokim kosztom spedycyjnym wiele gałęzi produkcji krajowej nie może wytrzymać konkurencji na rynku światowym.

Przy całem zrozumieniu potrzeby jak najdalej idącej oszczędności w wydatkach, ze względu na politykę naprawy skarbu, oszczędność ta nie powinna i nie może być posunięta zadaleko, co narażałoby na szkodę żywotne interesy państwa. Wszak nie zważając na trudności finansowe zdobyliśmy się na odbudowę naszych kolei żelaznych, gdyż było to koniecznością państwową, którą potrafiliśmy zrozumieć, nie umieliśmy jednak widocznie uświadomić sobie, że posiadanie własnych portów i żeglugi dla państwa, mającego dostęp do morza, jest zupełnie równorzędną koniecznością państwową, która musi być zaspokojona za wszelką cenę, gdyż stanowi o gospodarczym rozwoju kraju. Nawet państwa kontynentalne, nie posiadające wyjścia na morze, nie będąc w możności posiadania własnego portu morskiego, usiłują uzyskać koncesje w portach obcych i stworzyć własną żeglugę, tak np. Szwajcarja w czasie wojny założyła własną flotę handlową, opierając się o francuski port Cette, Czechy uzyskały koncesje w porcie Hamburskim i wykonywają wielkie roboty portowe w Bratysławie i t. p. Wszystkie państwa nadmorskie podjęły szereg poważnych robót portowych w przewidywaniu wzmożonego ruchu i w celu przystosowania portów do nowoczesnych wymagań.

Tylko my nie zrobiliśmy jeszcze nic (bo to, co dotychczas zrobiono w Gdyni, nie może wchodzić w rachubę) i co gorzej, nie uświadomiliśmy jeszcze sobie naszych obowiązków w tej mierze ze względu na przyszłość ojczyzny, bo, raz zdecydowawszy budowę portu w Gdyni, zamiast organizować budowę na serjo, zaczynamy znów jałowe spory o to, gdzie ma być ostatecznie „wielki port morski", czy w Gdyni, czy w Tczewie, a sejm i czynniki rządowe, zdezorjentowane rozbieżnością zdań adeptów Gdyni i Tczewa, nie znajdują w sobie dość stanowczości, aby zacząć wreszcie realnie coś tworzyć. Tymczasem, jeżeli w kołach technicznych jest rozbieżność w poglądach na rolę Gdyni i Tczewa na dalszą metę t. j. który z tych punktów ma się stać w dalszej przyszłości głównym portem Polski, to co do programu na czas bliższy opinja obu obozów jest zupełnie jednolita i jednogłośnie wymaga energicznej i szybkiej budowy narazie niewielkiego portu w Gdyni; przytem jedna, najbardziej fachowa część opinji oblicza wymaganą od tego małego portu zdolność przeładunkową na 2,5 miljona tonn rocznego obrotu, druga zaś, ogarniająca zwolenników portu w Tczewie,—na 1 miljon tonn obrotu.

Ponieważ projekt rządowy portu w Gdyni sporządzony jest w ten sposób, że przewiduje jego stopniową budowę, zaczynając od małych rozmiarów, ze stopniową dalszą budową w miarę rzeczywistej tego potrzeby, i w ten sam sposób ujęta jest sprawa budowy w ustawie o budowie portu w Gdyni, przeto program działania wydaje się być zupełnie wyraźnym. Przedewszystkiem należy zdać sobie sprawę, że budowa portu w Gdyni jest koniecznością państwową, tak samo jak odbudowa kolei żelaznych, poza tem określić trzeba najkrótszy możliwy technicznie termin dla wykończenia urządzeń portowych chociażby na bezsporny obrót 1.000.000 tonn rocznie (termin ten wyniesie 2 do 3 lat), wreszcie oddać wykonanie robót portowych drogą ograniczonej konkurencji jednej ze znanych firm zagranicznych, która zaofiaruje najdogodniejsze warunki budowy oraz swem doświadczeniem w budowlach morskich i posiadaniem niezbędnych urządzeń dla budowy zapewni dobre i terminowe wykonanie robót. Przypuszczalny koszt tych robót wyniósłby około 15 miljonów złotych polskich, gdyż kosztem skarbu wystarczy wydobywać tylko urządzenia ochronne, nadbrzeża i tory kolejowe, reszta zaś niezbędnych dla portu inwestycyj, jak magazyny, składy, uposażenie mechaniczne i t. p. natychmiast zostanie wykonana przez kapitały prywatne, jako przedsiębiorstwa, same przez się dobrze rentujące. Już obecnie tak ze strony poważnych firm polskich eksportowo-handlowych, jak i zagranicznych przedsiębiorstw okrętowych, w głównej mierze francuskich i duńskich, daje się zauważyć chęć założenia swych placówek w Gdyni, lecz niezdecydowana pozycja władz państwowych w stosunku do realnej budowy portu czyni niemożliwem wkładanie kapitałów prywatnych w jakiekolwiek poważniejsze inwestycje w Gdyni.

Jednakowoż właśnie w Gdyni i tylko w Gdyni, jako porcie czysto polskim, można liczyć na poważny udział kapitałów zagranicznych w inwestycjach portowych. W porównaniu z portem Gdańskim bowiem port w Gdyni będzie miał jedną olbrzymią zaletę, a mianowicie jasno określoną i jedną władzę: rząd polski, gdy tymczasem kontrahent, ubiegający się o koncesje w porcie Gdańskim, ma do czynienia w najlepszym razie z trzema władzami: Radą portu, rządem polskim i rządem gdańskim, do których często doliczyć trzeba: prezesa Rady portu, Wysokiego Komisarza i ewentualnie Ligę Narodów. Przy obecnym stosunku Gdańska do Polski, takie pomieszanie władz w porcie gdańskim nie może zachęcać poważnych kapitałów zagranicznych do zaangażowania się w tym porcie. Dopiero po powstaniu portu własnego, a nawet po stanowczem i zdecydowanem postawieniu sprawy budowy portu przez rząd na porządek dzienny można liczyć na realną współpracę w budowie portu kapitałów prywatnych, współpracę tembardziej cenną, że koszt niezbędnych dla portu inwestycyj, jakie są wymagane dla portów nowoczesnych, znacznie przewyższy koszt samych budowli wodnych, a więc w trudnem finansowem położeniu państwa jest ta pomoc rzeczą nie do pogardzenia.

Że jest tak właśnie, a nie inaczej, twierdzić można na podstawie zupełnie konkretnych oświadczeń przedstawicieli tych kapitałów, którzy z uwagą śledzą sprawę budowy portu i czekają tylko realnego postawienia sprawy budowy, aby ze swej strony poczynić w porcie poważne inwestycje.

Trzeba mieć nadzieję, że sprawa budowy portu ruszy nareszcie z martwego punktu i do budżetu na rok 1924, który właśnie obecnie jest przez organy rządowe układany, wstawiona zostanie nareszcie dostateczna suma, odpowiadająca znaczeniu tej sprawy i pozwalająca liczyć na wykonanie budowy chociażby awanportu w przeciągu 2—3 lat. Dotychczasowy sposób wykonania budowy, przy którym nie widać jej końca, kompromituje nas w oczach państw zaprzyjaźnionych i daje słuszny, niestety, powód do szyderstwa prasy niemieckiej i gdańskiej, gdyż świadczy o braku zrozumienia najelementarniejszych potrzeb państwowych i o naszej nieudolności gospodarczej.

inż. P. B.

OBRAZY JÓZEFA UNIERZYSKIEGO

CHRYSTUS I JAWNOGRZESZNICA.

CHRYSTUS.

ARCHANIOŁ.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Wszystkie prawie te wielkości, które stworzył Krzywicki, upokorzone. Będąc bez godności, nie wytrzymały próby. Nie szukał Krzywicki ludzi nauki, ale niemieckich doktorskich tytułów i postawił tak sprawę, że w chwili ciężkiego przesilenia dzisiejszego nie było komu zachować się z godnością. Pokazali ją tylko starzy, dawni inwalidzi uniwersytetu przedrewolucyjnego.

Pan Papłoński jeden miał odwagę żądać, żeby o doktorstwo wolno się było starać profesorom na cesarskim uniwersytecie warszawskim. Oczywiście nie zdało się to na nic.

Mówią, że do wydziału matematycznego wejdzie Pankiewicz. Tę nowinę jeszcze mi powiedział w Tykocinie Karol Piotrowski ze Złotorji, kolega mój i Pankiewicza z uniwersytetu.

Pan Kowalewski, *grata persona*, zachowa swoje stanowisko. Byłby może rektorem, gdyby nie ten grzech pierworodny, że się urodził Polakiem. Z uczuć Polakiem oddawna nie jest, ale w dzisiejszej dobie nawet samo urodzenie przeszkadza. Ten mąż będzie pomagał moskalom tak, jak nie pomagał zacnym uniesieniom patryjotyzmu, dla których poparcia był ściągnięty aż z Kazania jako kolega szkolny Mickiewicza. Kowalewski nawskroś przesiąkł moskiewszczyzną. Wpływu nie wywrze, bo to nie jego natura! Ale pod Ławrowskim będzie sto razy stosowniejszy, niż pod Mianowskim [1]).

Wielkie zmiany i w gmachach Kazimirowskich. Pan Ławrowskij rozsiadł się tam w mieszkaniach. Mianowski najmował sobie lokal na ulicy Świętokrzyskiej. Samowładny pan zabiera wszystkie gmachy na rzecz uniwersytetu. A jest ich dosyć! Wypędza kuratora Wittego, nawet Bibliotekę. Wszędzie porobi audytorja, każdy wydział musi mieć swoje osobne pomieszczenie. Zatrzymał tylko w gmachach służbę i kancelarje. Sam jeden chce być wyłącznie gospodarzem w gmachu Kazimirowskim. Mają Moskale po skasowaniu władz centralnych aż nadto gmachów na mieście i pan Witte ustąpi Ławrowskiemu i przeniesie się z biurem swojem do którego z nich. Bibliotekę mają przenieść do pałacu Namiestnikowskiego, w którym teraz gromadzą się także wszystkie archiwa Królestwa powolnie zabijanego. Przeniesienie zagraża bytowi samej Biblioteki. Podobno naradzają się co z nią zrobić. Dotąd jest główną, publiczną, więc cesarską, bo wszystkie publiczne biblioteki są cesarskie. Jeżeli ma nadal zostać publiczną, to jako część całości może utonąć w bibliotece petersburskiej. Mogą z niej moskale wydzielić osobną bibliotekę uniwersytecką Moskal nie dlatego zabierał nasze biblioteki, żeby z nich korzystał, ale żeby w Warszawie nic nie zostało...

Mówią, że Tyszyński biegał do Wittego i płakał, że go usuwają, mówił mu, że niema utrzymania innego. Witte go pocieszał, że nie usuną go, lecz będzie wykładał literaturę polską w języku moskiewskim. Jeżeli to prawda, to okropne. Po Tyszyńskim spodziewałem się tego, co po Baranowskim i Frączkiewiczu. Człowiekowi z jego zasługami i nazwiskiem słabym być nie wypadało. Nie, nie mogę w to uwierzyć. Jeżeli się z nim zetknę wprost się go zapytam czy wie jakie rzucają na niego kalumnje. [2])

Struvemu nie kazano nawet przyjść na egzamin. Pan Ławrowski uprzedził go, że fatygować się nie potrzebuje, że ma swego filozofa. Chyba że ma swego, bo Struve dogodniejszy był od wielu innych moskalom na swojej katedrze: wywracał kościół, wywodził swoje pojęcia o nieśmiertelności duszy, w żadną powagę nie wierzył. Co moskale robią gwałtem, to Struve po cichu: obalał u nas koloryt katolicki nawet, cóż wiarę? [3]).

24 października. Dziś otwarcie moskiewskiego uniwersytetu w Warszawie. Okropności z góry gadają.

25 października, poniedziałek. Wieści latały, że wystąpią popy na otwarcie uniwersytetu, że arcypop Joannikij będzie święcił, że pierwszy raz stanowczo kościół usuną i będą się rozporządzać jak u siebie w kraju schizmatyckim. Były wieści, że w tym celu ceremonja odbędzie się za biletami. Miało być zaproszonych osób 600, najwięcej oczywiście moskali i tylko 200 studentów. Uniwersytet jest dla młodzieży, więc ona tu powinna być pierwszą. Tymczasem usuwają ją w kąt. Po mieście mówiono, że nie chcą wiele młodzieży, aby czasem nie było jakich manifestacyj, gdy popy zaczną swoje nabożeństwa. Bilety dla studentów rozebrali profesorowie; mieli rozdawać oczywiście tym, za których ręczyli.

Ale pozapraszali i moc Polaków. Kto poszedł, poszedł z musu, ze strachu. Zaproszono między innymi i kapitułę warszawską. Kanonicy byli w kłopocie: iść, czy nie iść? Pójdą, jeżeli popów nie będzie, ale jeżeli popy będą i mają kropić, to nie pójdą. Szukali języka po mieście i znaleźć go nie mogli, bo ceremonjał był tajemnicą, zachowaną najściślej. To zdaje się dowód, że miało być wystąpienie popów i że do ostatniej chwili wahano się, czy nie śmiano. Rzeczywiście we wczorajszej ceremonji nie było wielkiego występowania popów, znalazło się ich trzech, ale jako goście. Tak samo i nasi księża byli gośćmi: Zwoliński na czele, Sieklucki, Dziaszkowski, Dietrich i Sotkiewicz. Nie wiem, czy tutaj nie przeważył rozsądek arcypopa Joannikija, ale to pewna, że nie gustuje w wystąpieniach drażniących. Opowiadają, że w czasie pogrzebu pięciu ofiar ubolewał: „wszyscy tam, tylko nas niema." Jest też fakt drugi, że nie ciśnie na unję. Poprzednik jego Arsenij, dziś metropolita kijowski, był wściekły fanatyk, typ archireja prawosławnego. Ten zaglądał często do unji naszej, za Czerkaskiego okropnie na nią nastawał. Joannikij usuwa się. Dawno też mówiono, że on w Warszawie nie na miejscu, że go wezmą, tylko niema co z nim zrobić. Być może więc, że rozum Joannikija usunął nowe niebezpieczeństwo.

Ceremonja odbyła się z ostentacją. Pełno nawet było podobno przed pałacem. Witte przeczytał ukaz, potem wystąpił Ławrowski z medalikiem sebastopolskim na piersi. Jeszcze więc niema orderów. Zdziwiło to ludzi przywykłych do moskiewskich zwyczajów. Ale mnie się zdaje że Ławrowski spekulował inaczej, szukał rang przedewszystkiem, po tem odrazu dostanie ordery. Musi być jeszcze młody człowiek, że tylko rangi Radcy Stanu się dosłużył. Mały, nikłego wzrostu, prawił coś, ale nie mam jeszcze relacji co i jak. Zapewne Dziennik Warszawski Pawliszczewowski ogłosi nam mowę znakomitego rektora. [4]).

„Boże carja chrani" śpiewali „piewcy" z soboru więc i bez cerkwi zupełnie się nie obyło.

Studenci starsi nie chcieli brać biletów. Kto miał rozum nie był na tem, co jest manifestacją moskiewską przeciw Polsce. Ale w tłumie są różni ludzie: są i głupcy, są i źli; ci byli.

Nie dają już studentom, którzy skończyli w tym roku, patentów na stopień magistra. Dają tylko każdemu świadectwo, że skończył, że się może o magistraturę ubiegać. Oczywiście trzeba będzie złożyć egzamin moskiewski.

Pan Ławrowskij w Charkowie żegnał młodzież, moskali, zapewnieniem że jedzie do kraju przesądów, więc ciemnego, ale go uleczy. Tutaj pokazuje się zbyt grzecznym, popularnym. Z najwyższą radością wita uczniów chełmskich. „Russkij czeławiek!" woła do nich. W sali konferencyjnej uniwersytetu stoi krzyż moskiewski, syzmatycki. Głupi moskal pokazuje czem jest zawczasu i przymilając się prawi do studentów: „Ogadali tu mnie; nie taki ja zły, jestem słowianin"...

Dymisje dostali: Węclewski, Plebański, Tyszyński, Przyborowski, Kotkowski i t. d. Węclewski podobno dostał całą pensję jako emeryturę. Poznańczycy chcą procesować rząd, że przyjechali za kontraktami. Naiwni! Siedzieli tu lat siedm i jeszcze się niczego nie nauczyli. Przyborowski jeden przycupnął ze strachu, aby mu jeszcze i biblioteki nie odebrali.

Dziekanami zostali: wydziału prawnego Budziński, matematycznego Przystański, obaj zgrabni ludzie, tylko Budziński nie udaje, nie robi cnoty z potrzeby. Przystański wszystkie kolory przybiera, wcielona to zgrabność, hipokryzja. Jeden dziekan lekarzy jest człowiekiem porządnym, został nim Brodowski. Patrjota dobry, człowiek nauki i zdolności wielkiej. Już przy ostatnich wyborach stronnictwo Girsztowta parło go do dziekaństwa. Przepadł intrygą Korzeniowskiego, który rektora Mianowskiego uwiódł. [5]). Obrany więc był Tyrchowski nędzny intrygant, mąż rang i orderów, mąż tysiąca formalności i drobiazgów, plaga dla studentów, którym utrudniał naukę, nie ułatwiał. Dziekanem filologiczno-historycznym został po staremu Kowalewski, *persona grata*, owszem *gratissima*. Błazny wiele go wynosili ztąd, że był kolegą Mickiewicza. Lecz kolegą co do ciała, nie co do duszy. Kowalewski rektorem by został, jak już mówiłem, gdyby nie grzech pierworodny, że się urodził Polakiem. Bo urodził się tylko, od r. 1824 już nim być przestał, a poźniej zupełnym został moskalem.

27 października, środa. Mieli być wypędzeni z uniwersytesu Szokalski, Kasznica, Mierzyński, Struve. Wszyscy zostali. Jeden tylko wydział literacko-historyczny obcięto, z matematycznego wyszli starsi Frąckiewicz i Baranowski. Ma być wykładów moskiewskich 42, polskich 17. Moskali profesorów przybywa 10 nowych, oprócz już zamianowanego docentem botaniki Vischera von Waldheim. Będzie więc wykładów moskiewskich 52.

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

---

[1]) W innem miejscu pamiętnika znajduje się obszerna charakterystyka Kowalewskiego.

[2]) Tyszyński ustąpił, a więc przypuszczać można i należy, że ktoś mu nieprzyjazny rozgłaszał uwłaczające mu pogłoski.

[3]) Co do Struvego pogłoska była mylna. Ze wszystkich Polaków profesorów Szkoły Głównej był on najdłużej profesorem uniwersytetu warszawskiego. Zawsze z balotu wychodził zwycięsko.

[4]) Rzeczywiście mowę tę *Dziennik* wydrukował. Znajduje się w niej jedna rzecz niesłychanie charakterystyczna. Ławrowskij „pożyczał" sobie zdania i poglądy skąd się dało. Między innemi parafrazował żywcem i podał za swoje ustępy z mowy X. Szwejkowskiego rektora uniw. warsz. przed rewolucją r. 1831. „W rzeczach naukowych — mówił np. Szwejkowski — nie zna uniwersytet wyższego nad własny sądu, chyba sąd świata uczonego, a i od tego mu się jeszcze wolno do potomności odwołać... Takie jest wyobrażenie uniwersytetu z natury, takie jest z naszego ustanowienia" (ustawy). A pan Ławrowskij oświadczał: „W sprawach nauki nie zna uniwersytet wyższego wyroku nad wyrok świata uczonego, lecz i ten wyrok nie jest dlań jeszcze wydanym w ostatniej instancji; istnieje sąd potomności który wagę i moc dla uniwersytetu posiada. Takie moi panowie, jest znaczenie uniwersytetu z jego istoty; takie jest ono również z woli i rozporządzenia władzy"...

[5]) Hipolit Korzeniowski, syn powieściopisarza, był potem profesorem Akademji med. w Petersburgu. Rosjanie umieszczają go w rzędzie wybitnych rosyjskich chirurgów. Nielubiany, intrygant. Zarzucano mu, że, lekceważąc stan chorych, miał nieraz ich śmierć na sumieniu (Tyg. illustr.)

UZDROWIENIE. JÓZEF UNIERZYSKI.

JÓZEF UNIERZYSKI.

Dawne dzieje! Byliśmy razem w szkole rysunkowej warszawskiej, którą wtedy prowadzili Kamiński i Gerson.

Jako jeszcze bardzo młody chłopiec, Unierzyski zdobył to, co jest ważnym bodźcem do dalszej pracy—zyskał *uznanie kolegów*.

Jego pierwsze prace zadziwiały profesorów, zachwycały uczniów. Gerson ze spokojem druida oświadczył wszystkim, że Unierzyski jest bardzo zdolnym uczniem i że będzie z niego malarz, naturalnie jeśli ściśle będzie przestrzegał nauki, jego, Gersona...

Młode smyki, trochę lekko braliśmy te tyrady zwierzchnika, nie umiejącego trafiać nam do serc. Zawsze namaszczony, zawsze chrząkający—zagadkowy i sztuczny, mniej nam przemawiał do serca od Kamińskiego, który czasem pogderał, że oczko *źle siedzi*, i że „jarzębowa" kość niedość uwyraźniona. Kamiński był typem niezależnego artysty; długie czasy przepędziwszy za granicami kraju, nabrał wiele wprawy w ocenianiu życia i ludzi, tak jak *na to zasługują*.

Ani krzty zato nie było w nim fachowca „pedagoga", uczył swoim własnym instynktem, każdego inaczej—a był to system wzorowy.

Dawał on nam temperament, olśniewał, wyobraźnią porywał—Gerson mroził i—chrząkał majestatycznie.

* * *

Unierzyski rozwijał się szybko, co kwartał zdobywał to nagrody, to awanse, słowem należał do uczniów pierwszego stopnia.

Szambelan Lachnicki, opiekun i dyrektor szkoły, nauczył się wszystkich jego rysunków na pamięć i zawsze je nam jako wzory zalecał. Nawet sekretarz szkoły, Chrzanowski, miał respekt dla ucznia, co było najwyższym sukcesem, Chrzanowski bowiem szczędził swego uznania.

W dwa lata po ukończeniu klasy malowania Unierzyski znalazł się w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych. Tam nie opuszczała go sława szkolna warszawska — Matejko wyróżniał go wielokrotnie, często używał do pomocy koleżeńskiej —z czasem stosunek ten stał się tak bliskim i serdecznym, że córkę swą dał Unierzyskiemu za żonę. Oczywiście wypadek podobny w życiu młodego malarza stać się musiał linją wytyczną przyszłości. Unierzyski już z Krakowa nie wyjechał dalej zagranicę, tam pod okiem wielkiego teścia rozwijał się dalej i kształcił.

Ale o ile inni młodsi uczniowie Matejki przejmowali, wiednie—czy bez wiedzy, przymioty stylu i formy mistrza, o tyle Unierzyski, niczego nie naśladując, *został sobą*,—podkreślam ten przymiot dzielnego malarza, bo jest to bardzo znamienne i rzadkie zjawisko.

Malując własny świat wyobraźni i treści, nigdy nie wpadał w styl czyjkolwiek, umiał zachować indywidualność własną przez cały czas karjery malarskiej.

Młody malarz, jeszcze za życia Matejki, objął posadę profesora szkoły i tam spędził część swego życia, wychowując szeregi miłe go wspominających uczniów.

Obrazy Unierzyskiego, których parę podajemy w reprodukcjach, powszechnie są znane w kraju—i cenione, nie będziemy się przeto o nich rozpisywać specjalnie, podkreślimy tylko największą ich zaletę, to jest: komponowanie jasne i wykonanie bez zarzutu.

Władysław Wankie.

LIST CZŁOWIEKA SMUTNEGO.

POŻEGNANIE Z WARSZAWĄ.

Żegnam się dziś z Warszawą, Przyjaciele! Ze starą, miłą Warszawą, która drwiła sobie z kacapów, Niemców, drwiła z wojny, z głodu, nędzy — a teraz oto ginie w oczach, umiera pod obuchem Rzeczywistego, jaśniewielmożnego Chamstwa...

Miastem zawładnął homo novus, paskarz. Panoszy się butnie spekulant-waluciarz. Setki kombinatorów z pod najciemniejszej gwiazdy szpecą fiziognomię warszawskiej ulicy, niesamowitem lśnieniem sytych, obżartych policzków...

Finis Varsoviae!

. . . . . .

Żegnaj, miasto kochane... Żegnaj, Stare Miasto... I wy, strome ulice Powiśla, zbiegające ku szarej rzece... I wy, wspaniale szumne a tak zawsze ciche — Aleje!

Z atakiem melancholji bywa tak samo, jak z atakiem kaszlu: gdy trwa zadługo, człowiek krztusi się czasem do łez...

To też przerywam melancholję pożegnania w samą porę. Niepodobna tak daleko posuwać się w czułości dla Warszawy, żeby aż szeptać na odchodnem: żegnajcie, stare poczciwe knajpy, gdzie człek tanio zjadł i setnie pogwarzył... Stępku niezapomniany... Natchniony twórco najlepszego na świecie bigosu... Mistrzu sałat, niewinnych, jak wiosna... Autorze pasztetów, mrożonych w winie... Bywaj!

Albowiem takim trybem odprawując nasze żegnania — moglibyśmy snadnie rozkołysać tęsknoty nietyle poetów — ile smakoszów — nietyle przyjaciół Syreniego grodu — ile jego pożeraczy!

. . . . . .

Więc jeszcze dwa słowa, wyszeptane tam przed starym wodotryskiem w ogrodzie Saskim, gdzie dawniej pląsali młodzi Arjowie — dziś zasię tańczą młodzi Machabeusze...

Łzawe: au révoir! ostatnim mohikanom, schylonym nad płachtami wiadomości politycznych, marzącym o tem, że sczeźnie przecież kiedyś zatruty fuzel kiepskich polemik, wyschną źródła paszkwilów i inwektyw... wrócą czasy „Wieku", „Słowa" — ekscytującego, zakonspirowanego „Robotnika"...

O, nie do niewoli wzdycham, drodzy emeryci. To pewna!

Wzdycham do czasów, gdy mimo trujących wyziewów Matuszki-Rosji, gwałtem pchającej się do Warszawy, brudni byli jakoś czystsi, brat bratu bratem, a nie...

Pardon, pardon!

...Świekrem, chciałem powiedzieć.

. . . . . .

Żegnaj, Warszawo.

Obrzydły mi twe cukiernie, zapchane tałałajstwem najpośledniejszego gatunku; twoje hotele, zamieszkiwane przez Bóg wie kogo; twoje ogrody, zaśmiecone i niepewne; twoje dwuznaczne restauracje, obskurne kina — i zgoła wyłamujące się z zasad dobrego smaku — typy i typki...

Żegnaj!

Okropne cienie wojny upadły na twe urodziwe, radosne oblicze.

Tysiączne zarazki unoszą się w powietrzu.

Miast kwitnąć w słońcu Wolności, staczasz się, Warszawo, coraz niżej... Jeszcze krok — a staniesz się międzynarodowym śmietnikiem, na którym będą żerowały duże i małe szczury...

. . . . . .

Nie!

Po stokroć nie!

Będziesz inną, stolico. Wrócę do ciebie, skoro tylko usłyszę najlżejsze drgnienia twego serca. Wrócę napewno.

— Widzisz, Warszawo. Chciałem napisać elegję — napisałem pamflet.

Takie już czasy..

Ocknij się — a napiszę Ci poemat!

Zdzisław Kleszczyński.

NIEZNANE LISTY K. UJEJSKIEGO.

W spuściźnie po redaktorze lwowskiej „Gazety narodowej", Platonie Kosteckim, została spora korespondencja literacka, a wśród niej kilka listów Kornela Ujejskiego, które w setną rocznicę urodzin poety (*12. IX. 1823 †17. IX. 1897) wydobywamy z zapomnienia. Pisma te mówią o kłopotach literackich i jasnych chwilach, jakich zawód ten rzadko użycza tym, którzy mu służą, mówią prosto i szczerze, a przez to odsłaniają charakter ich autora. Odkrywają one kilka rysów szlachetnych, są dowodem prawości i skromności poety, dają świadectwo zainteresowań twórcy „Chorału", w ostatnich latach jego życia. Tem samem może staną się skromnym przyczynkiem dla przyszłego biografa, a wskazówką dla wydawcy pism K. Ujejskiego.

St. Lam.

A) *Pawłów p. Chołojów 18/II 889.*

Szanowny i Kochany Panie Platonie!

Niestety, jeszcze 1-go październ. 1888 podpisałem kontrakt z Księgarnią Łukaszewicza o nowe wydanie pism moich — i wlazłem w krętactwa, z których niewiem czy wyjdę i jak wyjdę. Chciałem przed śmiercią, a liczę już lat 65 skończonych, uporządkować moje pisma i wydać je w bardzo taniej, popularnej edycji. Zaczepieni księgarze wzruszyli ramionami, a jeden z nich odezwać się miał: Trzebaby warjata, aby dziś ryzykować pieniądze na wydanie jakich poezji. Zgłosiła się p. Łukaszewiczowa, przyjechała nawet do Pawłowa — i układ nasz stanął. Oddawałem jej do druku 8 tomików (60 arkuszy). Siedm tomików dawałem darmo, za ósmy, w którym nowy, obszerny ludowy poemat miała mi zapłacić 600 zlr. Trzysta zlr. zapłaciła przy podpisie kontraktu; na resztę miała dać akcept *„tego rodzaju, aby przed terminem (1 kwiet. 1889) mógł być eskontowany w Banku hipotecznym"*. I dała mi akcept, ale taki, którego Bank eskontować niechce. W te 8 tomików miały wejść: a) *Skargi Jeremiego* — w nich nowa druga część, obszerniejsza od pierwszej; b) *Melodje biblijne*, pomnożone; c) *Drobne poemata i urywki*; d) *Wiersze różne* — znacznie pomnożone; e) *Słowa do Szopena i Beethovena* — pomnożone; f) *Rzeczy dramatyczne*; g) *Przemówienia publiczne* — znacznie pomnożone; h) *Poemat ludowy p. t. Grzela*. Najgłówniejszym punktem kontraktu było to, że wszystkie 8 tomików (w 5000 egzempl.) mają być sprzedawane za 1 zlr., a pojedyncze w cenie 2 centów za arkusz druku. Ustnie umówiliśmy się o to, że 1-o księgarnia przez ciąg października postara się o papier; 2-o że z początkiem listopada druk się rozpocznie, a ja nadsyłać będę częściami moje manuskrypty, i tak, aby druk niebył zahamowany; 3-o że do ostatniej korekty ma być mi przysłany każdy arkusz do Pawłowa; 4-o że papier, druk i format tej edycji ma być taki, jak w wydaniu pism Mickiewicza, dokonanem przez tą samą księgarnię w drukarni „Gazety narodowej".

Mija październik, dobiega do końca listopad a księgarnia milczy. Zapytuję. Na to odpowiedź, abym przysłał wszystkie manuskrypty dla obrachowania ilości arkuszy druku (co już stało się przy zawieraniu umowy) „bo muszę postarać się o papier". Odpisują, że ilość arkuszy druku już została wspólnie obrachowaną, a ja tylko częściami obowiązałem się posyłać manuskrypty. I znowu cisza przez grudzień i przez większą połowę stycznia. Więc udaję się do jednego z przyjaciół z prośbą o rozmówienie się z Księgarnią. „Ależ my czekamy! niech tylko p. U. przesyła, i instrukcją dla drukarza; druk zaraz się rozpocznie". — Posyłam natychmiast jeden tomik i instrukcję. Posłałem 22 stycznia. Mijają dwa tygodnie a o druku niesłychać. Tymczasem księgarnia szerzy między ludźmi skargi na mnie, że robię jej zawód, wziąłem pieniądze a zatrzymuję u siebie manuskrypty, że księgarnia wielką z tego powodu ponosi stratę i t. p. — Nakoniec 6 lutego otrzymuję z księgarni pismo, w którym skargi już wprost do mnie, że z mojej winy ponosi ona znaczne straty, i znowu żądania, abym przesyłał wszystkie manuskrypty, bo drukarnia inaczej niechce rozpoczynać roboty. Tu już cynizm szachrajski przeszedł wszelką miarę. Odpisałem to, co łatwo dało się domyśleć: Niemacie ani funduszu, ani kredytu — ani zamiaru teraz drukować. Chcecie wymęczyć odemnie wszystkie manuskrypty, aby trzymać je w swem ręku, w końcu może zaprzepaścić. Albo, co prawdopodobniejsza, chcecie wybrać ze wszystkich moich pism rzeczy nowe, nieznane i te tylko wydać i pokryć tym sposobem zapłacone mi 300 zlr. — a radzę, abyście szukali spólnika z pieniędzmi dla tego wydawnictwa.— W taką wlazłem kabałę. A chciałem dobrze, chciałem pracę mego ducha oddać najuboższym rodakom za cenę niepraktykowaną w handlu księgarskim dla żyjącego autora.

Teraz mój projekt, z którym odnoszę się, Kochany Panie Platonie, do Twego pośrednictwa. Czyby drukarnia Gazety Narodowej lub drukarnia Dziennika polskiego niechciała dać druk Księgarni Łukaszewicza, a należytość otrzymać exemplarzami pism moich, które przez ogłoszenia odnośnych dzienników, wprost z bióra redakcji dałyby się może łatwo rozsprzedać, rachując głównie na prenumeratorów tych dzienników. Niesłychana taniość powinna być zachęcającą dla kupujących [1]). Przepraszam Cię i z góry serdecznie dziękuję za każdą fatygę w tej sprawie. Załączam dla Ciebie znakomite tłumaczenie moich słów do Szopena. Niemcy, jak zobaczysz z bibliograficznego spisu moich tłumaczów, chętnie interesują się tem, co napisałem. We własnej ojczyźnie dla nas polskich poetów miejsca niema. Dlatego schowałem się w ciche lasy. Ściskam i całuję Cię najserdeczniej mój drogi przyjacielu.

Twój *K. Ujejski.*

B) *21/III 893.*

Upraszam szanowną Redakcyę o umieszczenie w „Gazecie" co następuje.

Wyczytałem w ostatnim numerze dwutygodnika „Życie" wychodzącego we Lwowie podziękowanie dla mnie za to, że posyłając prenumeratę dołączyłem życzenie: Niech Bóg pomaga; a w tym samym i poprzedzającym numerze znajdują się artykuły mocno drażniące, bo nie szanujące religijnych uczuć przeważnej większości naszego narodu. Oświadczam, że prenumeratę na czasopismo „Życie" posłałem do redakcji wraz z zachęcającem słowem nie teraz, ale jeszcze w pierwszej połowie lutego, po otrzymaniu okazowego numeru, w którym zdawało się, że bije żywsze tętno patriotyczne. Zawiodłem się. Nie pragnie szczęścia narodu, kto mu zaprzecza wolności sumienia.

Kornel Ujejski.

C)

Od Kornela Ujejskiego

otrzymujemy następujące pismo:

Autor „Skarg Jeremiego" wyczytawszy w gazetach o zamiarze publicznego uczczenia jego 70 lat życia prosi pokornie a stanowczo o zaniechanie tej myśli; prosiłby o to nawet wtedy, gdyby bieżący rok nie był straszną rocznicą najboleśniejszego z naszych pogromów, bo nie krwią oblanego ale wstydem i hańbą traktatu grodzieńskiego.

Jeremiaszem on się nazwał a rodacy przyznali mu ten tytuł. Nie jemu więc tu tryumfować.

Chory jest i prawdopodobnie niedaleko mu do grobu, a odejdzie z wielkim bolem w duszy, bo zostawia Ojczyznę może skazaną na długie ciężkie losy, a naród w upadku, poniżeniu, ach, ze znacznym ubytkiem energji i patriotyzmu. Nie pora Waszemu Jeremiemu radować się.

Niech zaginie żałobna choralna pieśń i pamięć o jej śpiewaku niech zaginie! A Ty miła, droga Ojczyzno odżyj najrychlej w weselu i szczęściu.

D) *Strzeliska 16/IX 893.*

Drogi mój bracie Platonie.

Najserdeczniejsze dzięki za list, za Twój współudział w jubileuszowym Komitecie, za przepiękny Twój wiersz do mnie, za wszystko, czem objawiło się w wiernej dla mnie przyjaźni Twoje serce gorące.

Przeczytawszy to co załączone, pojmiesz co czuję, jak jestem do głębi poruszony. Lud polski dziękuje mi za Chorał! I z tego powiatu, gdzie najsrożej rzeź grasowała. Przygniótł mnie Bóg swą łaską i nagrodą. Trzeba, aby ta odezwa rozniosła się przez pisma ludowe. Zróbcie kopją, a oryginał odeszlij mi najrychlej. Pani Twojej przesyłam podziękę za życzenia i wyrazy uszanowania. Ciebie ściskam najserdeczniej [1]).

Kochający Cię

K. Ujejski.

P. S.

Czekam na przesyłkę blankietów telegramowych, które Tow. Szkoły ludowej na moją korzyść wymyśliło, i zabiorę się do wysyłania odpowiedzi na wszystkie otrzymane pisma.

E) *Do polskiej młodzieży szkolnej.*

W 70 rocznicę moich urodzin, z wielu miast w naszym kraju, odezwaliście się do mnie, ukochani młodzi przyjaciele. Cicho, skromnie, z ogólnym podpisem „młodzież polska" zebraliście się przy mnie i otoczyli mnie jakby wieńcem. Czułem Wasze serca bijące miłością ojczyzny, a i dla mnie, jej sługi. Zdawało mi się, że kładłem kolejno usta na Wasze głowy i całowałem je gorąco, po ojcowsku. Musieliście odczuć ten pocałunek. I pytałem Was: Czy chcecie być wiernymi synami nieszczęśliwej Polski? Odrzekliście: Chcemy. I mówiłem jeszcze: Bez miłości Boga, bez pilnowania Jego przykazań nie wyzwolicie ojczyzny, bo jałową stanie się każda Wasza praca dla niej i poświęcenie—czy przyrzekacie być wiernemi, pokornemi dziećmi Wszechstwórcy? Powiedzieliście: Będziemy.—Ślubujecie to?... I podniosły się Wasze ręce z okrzykiem: Ślubujemy!

Takie w duchu miałem widzenie. Byłaż to złuda rozradowanej duszy mojej?... Nie.

Wierzę silnie, że teraz i później, teraz, kiedy Wasze młode dusze płoną dla ideałów, i później, kiedy chłodna rzeczywistość, walka o byt, nie jedno przygnębienie, próbować zaczną łamać Was i zniżać, że teraz, związanych i zrównanych ze sobą szkolną ławą, później, rozprószonych na stanowiskach różnego losu, zawsze i wszędzie stać będziecie pod jedną, jedyną chorągwią, która podobna do namiotu niebieskiego sklepienia, osłoni Was wszystkich, a temsamem zwiąże znowu razem—pod chorągwią, której ognie nie zniszczą, burze nie poszarpią, pod chorągwią: Miłość Boga i Ojczyzny!

Kochacie mnie. O moi drodzy, ja Was kocham oddawna, kochałem Was jeszcze w kolebkach Waszych, Was, co jesteście przyszłością narodową — i dziś stary, może blizki grobu, ręką, z której chciałbym aby szły umacniające promienie na Was—błogosławię Was

Żyj Polsko,

Kornel Ujejski.

F) *Pawłów, 4 kwietnia 1894.*

Drogi Bracie, stary mój Przyjacielu!

Stała mi się wielka krzywda. Przykro mi, że w dzisiejszym dniu uroczystym zająć się nią zmuszony jestem — ale rzecz nie cierpi zwłoki. Moje wiersze do kantaty Kościuszkowskiej, którą ogłosiłeś w swojej Gazecie, pokaleczył p. Niewiadomski najokropniej i najzuchwalej i wydrukował ze swoją muzyką podpisując pod wierszami moje nazwisko. Mam to wydanie przed oczyma. Coś podobnego chy-

[1]) Wydanie Łukaszewicza nie ukazało się; dopiero w r. 1893 pojawiło się zbiorowe wydanie pism poety nakładem Jelenia i Langa w Przemyślu w układzie odmiennym, niż ten, który wyżej podał sam autor.

[1]) Mimo życzenia wyrażonego w piśmie umieszczonem pod C, grono przyjaciół Ujejskiego nie zaniechało projektu urządzenia poecie jubileuszu. W komitecie najbardziej czynny był Platon Kostecki, który w Gazecie narodowej stale nawoływał do uczczenia poety. Odzewem tego apelu był adres włościan z okolic Tarnowa, na który Ujejski odpowiedział płomienną odezwą. Również młodzież szkół średnich wystosowała adres hołdowniczy do Jeremiego polskiego. Odpowiedź poety pomieszczamy pod E).

ba tylko u nas stać się może, gdzie, jak już mówił Kościuszko: „Grzeszymy pobłażaniem". Załączam mój protest i pokiereszowany tekst p. Niewiadomskiego z prośbą, abyś protest razem z tym tekstem umieścił w najbliższym numerze Gazety Narodowej. Cieszyłbym się gdyby jaki inny głos, nie tylko mój własny ujął się za mną. Sądzę że ta sprawa wchodzi w zakres spraw publicznych. Takie nieposzanowanie cudzej własności oburzyć musi każdego.

Jak Twoje zdrowie? Moje coraz lichsze. Wszystko mnie nuży i męczy. Może z wiosną będzie lepiej. Chciałbym widzieć w lecie Wystawę[1]). W tym razie zobaczymy się we Lwowie. Czekam na przesyłkę 3-go tomu pism moich[2]), aby razem z 2-gim przesłać je Tobie.

Ściskam Cię, mój kochany Platonie, najserdeczniej. Pani Twojej łączę wyraz uszanowania.

K. Ujejski.

UJEJSKI W WYGNANCE.

1890 — 1893.

Właścicielem Wygnanki Górnej (wioski położonej tuż obok Czortkowa, miasteczka powiatowego w Galicji Wschodniej) był stryjeczny brat poety: Zdzisław, ożeniony z Heleną Horodyską. W tym miłym dworze gościł nieraz Kornel, a po opustoszeniu Pawłowa przez tragiczną śmierć synowej, zmarłej wraz z dzieckiem na dyfteryt i wyjeździe zrozpaczonego syna Romana do Australji, zadomowił się w Wygnance na dobre. Sprowadził bibljotekę i część zbiorów. Dworek był niewielki, a poeta chciał mieć mieszkanie ciche i oddzielne, więc urządził sobie w oficynie pokój nieduży, który niebawem przepełnił się jego bogatemi zbiorami.

Kazał go sobie pomalować na pompejański czerwony kolor. Sufit był biały. Szafa bibljoteczna, tworząca niby drzwi, maskowała wejście, tworząc rodzaj przedpokoju. Naprzeciw drzwi, pod oknem, rozpierał się fortepjan, zajmujący lwią część pokoiku ale zato spełniający podwójną funkcję, bo był zarazem i biurkiem. Krzesło było do niego specjalne, z przysztukowanemi nogami i pan Kornel dumny był ze swego wynalazku, choć wątpić można czy wygodnie było siedzieć na tem wysokiem nadmiernie krześle. Ale właściciel mało go używał, bo wkrótce po przybyciu do Wygnanki zasłabł na nogi i najwięcej leżał w łóżku, które stało po prawej stronie od wejścia wpół zasłonięte szafą. Nad łóżkiem na dywanie wisiał, jakby wykrojony z jakiego starego sztandaru: orzeł biały.

Pisał o tym orle kiedyś:

Moje zaciszne mieszkanie
Przed okiem wroga zamknięte
A w niem na jednej ścianie
Powiesiłem godło święte
I samotny patrzę w ciebie
Na krwawem rozpięty niebie
Ptaku czystości i chwały:
Orle nasz biały!

Nad orłem krucyfiks. U góry ponad dywanem wielki stary obraz Chrystusa w cierniowej koronie, obok portrety rodzinne. W głowach łóżka św. Augustyn z matką Moniką Ary Szeffera. Na czarnej dość wysokiej a wąskiej szafeczce obok łóżka: zegar. Z lewej strony wciśnięta między fortepjan a ścianę, stała sofeczka pokryta dywanikiem, haftowanym ręką matki poety. Na tej sofeczce siedząc, grało się na fortepjanie. Także niezwykłe siedzenie — znowu dla oszczędności miejsca. W kącie na postumencie hebanowym, gdzie złoty rzymski orzeł rozpościerał skrzydła, waza pochodząca z mauzoleum Hadrjana. Na ścianie obok fortepjanu królowali muzycy: patrzył bronzowy Beethowen, nad nim wisiał duży sztych Danhausera: Liszt, grający w salonie pani d'Agoult, u dołu szkic głowy Chopina na łożu śmierci i odlew gipsowy jego ręki.

Na ścianie ponad kanapką dwie konsole, na jednej smukła waza etruska, na drugiej popielnica z cmentarzyska słowiańskiego gdzieś z pod Gniezna, akwarelka własnoręczna Słowackiego, wizerunek jego grobu i jego medaljon bronzowy, Oleszczyńskiego. W owalnych czarnych ramkach wisiał portrecik Emilji Plater, z puklem włosów heroiny, darowanym poecie przez jakiegoś starego emigranta. A wreszcie cały tłum biustów, medaljonów, posążków. Na szafach, na piecu, na postumentach: Wielka Trójca wieszczów, dalej rówieśni i przyjaciele Romanowski, Pol, Kraszewski... od czerwonych pompejańskich ścian pięknie odbijały „twarzą białą".

Kornel Ujejski.

Dużo książek. Na biurku - fortepjanie, na krzesłach, na podłodze nawet, nuty, papiery...

W salonie dworu wygnanieckiego stała kolumna hebanowa z okruchami różnych kamieni ze sławnych miejsc w Rzymie, misternie ugrupowanemi.

W jadalni znalazła miejsce zbrojownia: piękne pancerze husarskie, bogaty zbiór broni palnej.

W pokoju brata Zdzisława: większa część bibljoteki w sześciu szafach (przepadłej niestety podczas ostatniej wojny). Ale w swoim pokoiku miał Ujejski najcenniejszą część swych zbiorów: autografy—relikwje.

Pamiętam z jakim dreszczem wyjmowało się z koperty pożółkłe arkusiki: list Juljusza Słowackiego, kartki rękopisu Króla-Ducha, zabrane na pamiątkę z biurka Słowackiego przez młodziutkiego wówczas Felińskiego i rozdane kilku wiernym wielbicielom na pamiątkę. Tym arkusikiem obdzielił potem Ujejski swoje bratanice, Marylę Młodnicką (Wolską), swoją córkę chrzestną i mnie — jak opłatkiem.

* * *

W Wygnance Ujejski, nawet zanim go choroba obezwładniła, prowadził życie bardzo ciche. Oprócz rodziny, mało kogo widywał — wychodził „do gości" chyba jak był kto sympatyczny, od ludzi obojętnych stronił. Pragnął ciszy. W roku przeniesienia prochów Mickiewicza na Wawel proszono go, aby wziął udział w obchodzie, jaki urządzało miasteczko. Odmówił, tłumaczył się, że do występów publicznych nie czuje się usposobionym i dzień ten pragnie spędzić w ciszy i skupieniu w rodzinnych swoich Beremianach (w gościnie u swojej siostry ciotecznej, bar. Heydlowej) i „tam gdzie pierwszą książkę Mickiewicza przeczytał", połączyć się duszą i myślą z wielkiem świętem narodowem. Z tej wycieczki przywiózł wiersz, spisany w Wygnance (4/7 1890) p. t. „*On mówi:*

— Wam co w pogrzebie tym idziecie tłumnie
To wam powiadam: niema mnie w tej trumnie...

Tak samo nie chciał przyjąć ofiarowanej mu godności prezesa Zarządu Kółek rolniczych. „Sobie samemu nie umiałem być dobrym gospodarzem" — mówił. Ale należał do Zarządu Towarzystwa nauczycieli ludowych i 2 listopada 92 r. wygłosił w Czortkowie na posiedzeniu Zarządu wspaniałą mowę.

Całą swą społeczną pracę i całą nadzieję skupił w cichej, skromnej robocie dla oświaty ludowej. Gdzie był, zakładał czytelnie. Przedziwnie umiał trafiać do serca prostych ludzi.

Pisał mało. Na rocznicę 3 maja 1891, głęboki mądry wiersz, a w r. 92 wiersz do Albumu międzynarodowego na cześć Krzysztofa Kolumba, oto co wyszło z Wygnanki. I jeszcze czterowiersz, który wpisał do mego pamiętnika (choć wogóle do albumów pisać nie lubił), a który daje piękną charakterystykę samego poety w jego dostojnej starości:

Na wirującym tym ciemnym okruchu
Ten śmierć zwycięży, kto urośnie w duchu
Wiarą w ideał swą dolę ozłoci
Z gorzkich zawodów wyssie miód dobroci.

23 lutego 1892.

Czytywał dużo, interesował się ruchem umysłowym i—co było bardzo piękne—co świadczyło o wielkiej świeżości umysłu siedemdziesięcioletniego prawie starca — cieszył się „Młodą Polską". Nie zapomnę jak spotkałam go raz między domem a oficyną, niosącego ogromny stos Tygodnika „Życie" (wydawanego przez Miriama w Warszawie). — Czytaj! — mówił z radością. — Jak ci młodzi ślicznie piszą! A były to pierwsze poezje Tetmajera, Niemojewskiego, Rydla...

Gdy poruszono myśl obchodu Jego 70-tych urodzin w r. 1893, napisał do Gazety Narodowej (w jesieni 1892 r.), prosząc, aby tego zaniechano. „Nie pora waszemu Jeremiemu radować się. — Chory jest i niedaleko mu do grobu a odejdzie ze smutkiem w sercu..."—Ale ten smutek nie wyłączał nadziei o przyszłości. „Niech zginie żałobna choralna pieśń i pamięć o jej śpiewaku niech zginie! A Ty, miła Ojczyzno, odródź się w szczęściu i chwale!" —

Mimo sprzeciwu poety, obchód odbył się we Lwowie i przyczynił starcowi wiele radości. Już po nim do Wygnanki nie wrócił. Syn Roman przyjechał z dalekiej podróży i ojciec zamieszkał z nim znowu w Pawłowie. Niebawem jednak powaliła go choroba, a we wrześniu 1897 złożono Go na wieczny spoczynek, tak jak rozporządził, na wiejskim cmentarzu, w trumnie drewnianej, bez murowanego grobowca, w cieniu sosen.

Karolina Bielańska.

[1]) Mowa o wielkiej wystawie Krajowej z r. 1894 urządzonej we Lwowie.

[2]) W r. 1894 ukazała się tylko dwutomowa edycja poezyj U. w Lipku u Brockhausa. Pięciotomowe wydanie przemyskie wyszło z datą 1893.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 31)

Oficer chwilę popatrzał na te cokolwiek na uboczu falujące chorągwie, wsłuchał się w szum miasta głucho dolatujący tutaj i jakby tam nagle coś szczególnego usłyszał, wstrząsnął głową i ruszył krokiem stanowczym ku zamkniętej furcie. Odsunął wojłok, otworzył drzwi i znalazł się w głębokim zmroku zamkniętej jurty, ledwie rozświetlonym bladym płomykiem lampy, palącym się w głębi na domowym ołtarzu przed złotym posążkiem Buddy.

— Ekselencjo!.. szepnął — Ekselencjo!.. Pilne sprawy!

Nikt nie odpowiadał; wtedy postąpił jeszcze parę kroków ku leżącej na niskiem łożu, odwróconej plecami do wejścia postaci w żółtym jedwabnym chałacie i, nachyliwszy się nad nią, powtórzył:

— Pilne sprawy!..

— Do djabła!.. Ani chwili nie zostawiacie mię w spokoju! — mruknęła postać, nie ruszając się i nie odwracając głowy.

— Przyprowadzono z nad granicy jeńców bolszewickich!..

— Zatłuc!.. Sam wiesz..

— Możeby jednak... wybadać!

— Zatłuc!.. — powtórzył ostrzej.

— Jest wśród nich dwóch komisarzy!

— Do licha! Choćby trzech!.. Zatłuc!.. powiedziałem.

— Rozkaz!.. — zakończył oficer. — Więc wybadać i zatłuc.

Postać w jedwabiach nie odpowiedziała i nie ruszyła się.

Oficer przygryzł wargi, pomyślał chwilkę, poczem przysiadł na krawędzi łóżka w nogach śpiącego, wyjął papierosa i zapalił.

— Widzę, baronie, że znowu... humorek!.. Coś coraz częściej! Na szczęście dziś na wieczór... wszystko... gotowe. Będzie dobrze!.. — zaczął cichym, łaszczącym się głosem.

Baron trwał dalej nieruchomo na swojem łożu z odwróconą twarzą.

— Tym razem inteligentka...

— Wynoś się!.. — mruknął baron...

— Dobrze, dobrze!.. Już idę! Ale, ale: Dordża Nojon od rana czeka, powiada, że ma niezmiernie ważne nowiny. Pytałem jakie, ale Mongoł zaciął się tym razem i nie chce powiedzieć... Mówi, że tylko tobie, baronie!.. Pewnie znowu bzdury o tej „Świętej Dziewczynie". Myślę, że i na nią przyjdzie kolej, ale nie zaraz! — rozśmiał się oficer. Usunął się pospiesznie na koniec łóżka, gdyż baron nagle ruszył się i, siadając, nogi na ziemię opuścił.

— Jesteś kanalja! Wołaj Mongoła! I każ... otworzyć dymnik.

— Ha, cóż robić! Kanalją każdy wcześniej czy później zostaje na wojnie, gdzie cenią łotrów i zabijaczy ludzi. Jestem o tyle lepszy, że cenię prócz tego rozkosz życia—żartował już na progu Wołkow.

Za chwilę zsunął się ze szczytu jurty pokrowiec i łagodne światło wraz z falą świeżego, ciepłego powietrza zalało wnętrze. Na progu ukazał się Mongoł, średniego wzrostu, tęgi, prawie kwadratowy, w pięknym jedwabnym szafirowym chałacie z czerwonem obszyciem, w czerwonych safjanowych butach z ostremi końcami i czarnej aksamitnej czapce z czerwonem dnem, na której czubie błyszczała wspaniała ametystowa gałka. Zbliżył się, kiwając uniżenie głową i składając powitalnie dłonie. Sępia, ogorzała i chuda twarz barona, upiększona dwoma wiechciami rudych wąsów, rozjaśniła się sztucznym uśmiechem.

— Witaj, Dordża-Nojon — rzekł łaskawie, dość płynnie po mongolsku.

— Co powiesz? Jakże tam mają się twoje stada i twoje zdrowie! Siadaj, proszę, o, tu!— wskazał poduszkę, leżącą na kobiercu, niedaleko ołtarza.

Dordżi-Nojon zerknął na poduszkę a widząc, że jest jedwabna i żółta, uśmiechnął się dumnie i usiadł, podwinąwszy nogi.

— Dzięki Dobrotliwemu, mamy się wszyscy dobrze — począł spokojnie... Niepokoję cię, miłościwy chanie nasz i wodzu, gdyż otrzymałem list od żony i synowca, w którym piszą jakieś dziwne rzeczy, że przyleciało dwóch ludzi na żelaznym ptaku..., że ptak spadł na drodze moich stad..., że jeden z tych ludzi zabił się a drugi żyje... Nie wiedzą co robić, więc zatrzymali się przy tym ptaku całym taborem i pchnęli gońca... Czekają na rozkaz... Ta „Biała Darichu", którą kazałeś niezwłocznie tu dostawić, została z nimi... Lud mówi, że ten żelazny ptak przyleciał do niej... Wszyscy zjeżdżają się, żeby zobaczyć ptaka i oddać boskiej „Darichu" pokłon... Wielkie poruszenie w ułusach... Mówiono mi, że doszły wieści już do Diurbiutów i że chcą wysłać swoich lam i książąt do Ciebie Panie i prosić o zwrot Białej Dziewicy, gdyż twierdzą, że „Biała Darichu" im się należy, że ma od wieków swój klasztor koło gór Gelbyn-ola...

— Czy to prawda? — spytał żywo baron, powstając z łóżka.

— Prawda! — odpowiedział po chwili wahania książę...

— Ale ona pojawiła się na naszej ziemi, ziemi Chał-cha..., w moim „choszunie" ptak też spadł!... — Taka, jak widać, wola Wysokiego Nieba!—dodał z naciskiem.

— Mówisz, że jeden z tych ludzi, co przyleciał, żyje?

— Tak, żyje... pisze o tem synowiec mój Szag-dur a on zawsze dobrze pisze...

— Wołkow!.. — zwrócił się baron do oficera po rosyjsku — Jedziemy!.. każ przygotować automobil!..

— Nie dziś, baronie, nie dziś — jutro!.. Dziś nie można! — Wszystko przygotowane!..— odkładać niepodobna!.. — odszepnął tajemniczo Wołkow. Baron milczał chwilkę, zachmurzony. Mongoł, który coś nie coś rozumiał po rosyjsku, wstawił prosząco:

— Jutro, wtedy i jabym zdążył!..

— Książę pojedzie z nami automobilem!?... A to co nowego?... Nie boi się? W takim razie zgoda! Niech będzie jutro!... Wszak już dobiega południe... Nie bylibyśmy na miejscu wcześniej jak w nocy... — dodał po rosyjsku baron.

— I nawet dość późno! Nicbyśmy nie mogli obejrzeć... Lepiej jutro raniutko! — podchwycił skwapliwie Wołkow.

— Gdzież ci bolszewicy? — przerwał niecierpliwie baron.

— Są przed bramą na ulicy. Każę ich przyprowadzić! — odpowiedział Wołkow, kierując się ku drzewom.

Niemiec i Mongoł zostali sami w jurcie. Baron przysunął się nagle do Dordżi-Nojona i przesiadł obok niego na sąsiednią poduszkę.

— A co będzie, książę, — zagadał, opierając poufale rękę na ramieniu Mongoła — co będzie, jeżeli Oloty skorzystają z okazji z powodu tej Białej Darichu, podburzą Diurbiutów i razem z nimi rzucą się na was... Dawno mają na to ochotę!..

— O tak!.. Oloty zawsze żyli zdradą.., Jak daleko myśl ludzka sięga w przeszłość, skłaniali się ku Chińczykom. Są wrogami Mongolji i Twoimi, Panie! Wola Twoja, wodzu, ale radzę uprzedź ich, skończ z nimi!..

— Teraz byłoby trudno! Pora niedogodna... Mam i tak zbyt dużo kłopotu z Ulassutajem!..— ciągnął baron, zerkając na wejście. W tej chwili we drzwiach ukazał się Wołkow.

— Już są, ekselencyo! — raportował wyciągnięty przy progu. Baron i Dordżi podnieśli się jednocześnie.

Przed jurtą pod strażą kilku żołnierzy mongolskich stał szereg bolszewickich jeńców, brudnych, oberwanych i ponurych. Baron z progu jurty przyglądał im się dłuższy czas uważnie. W powietrzu wiało grozą; po twarzach jeńców przepływały z trudem wstrzymywane drgania nerwowe, podczas gdy bronzowe oblicza uzbrojonych w karabiny i szable, pilnujących ich Mongołów miały wyraz kamiennej obojętności.

— Tego, tego i tego obszukać dobrze... i zatłuc!—wycedził wreszcie przez zęby baron.— Resztę wcielić do mojej tybetańskiej piechoty.

— Rozkaz!... odwarknął ochoczo Wołkow, salutując.

— Pomyślności i zdrowia życzymy Waszej Wysokiej Ekselencji! Będziem wiernie służyć!... krzyknęli chórem ułaskawieni bolszewicy.

Baron znikł w głębi jurty, uprowadzając ze sobą Dordżi Nojona.

Mongoł usiadł znowu na tej samej żółtej poduszce, obok niego znowu usadowił się baron. Ordynans postawił przed księciem niewielki, niziuchny hebanowy, ślicznie rzeźbiony stoliczek, a na nim mosiężny imbryk z grzaną chińską wódką a przed baronem taki sam stoliczek ze szklanką mleka. Baron zaczął się szczegółowo wypytywać o spadły areoplan i musiał mu Dordżi drugi raz odczytywać zdanie po zdaniu otrzymany list, przyczem baron, choć czytać po mongolsku nie umiał, śledził pilnie gruby palec koczownika, wodzony po papierze od znaku do znaku.

Przerwał im to zajęcie nagły telefon, którego baron długo słuchał, ale krótko nań odpowiedział. Potem zaczęli wchodzić jeden po drugim z raportami oficerowie z sąsiednich namiotów, zajętych przez sztab i poczekalnię. Mówili po rosyjsku, w pewnych jednak momentach baron bez ceremonji przechodził na niemiecki lub francuski. Dordżi zdawał się na nic nie zważać, palił swą króciuchną fajeczkę i ciągnął małemi łykami wódkę z srebrnej czareczki. Ale małe jego, bystre skośne oczka obrzucały każdego wchodzącego uważnem spojrzeniem.

(Dcn)

NOWA LINJA TRAMWAJOWA.

W. A. F.

Uroczystość przecięcia wstęgi podczas otwarcia pierwszej podmiejskiej linji tramwajów od ul. Opaczewskiej do Okęcia na szosie Grójeckiej.

Budowa francusko-polskiej fabryki samochodów i aparatów lotniczych w Okęciu, dokąd nowo otwarta linja tramwajowa dochodzi.

Z UROCZYSTOŚCI KU CZCI STANISŁAWA KONARSKIEGO W SANDOMIERZU.

Uczestnicy zjazdu naukowego, w dniu 3 sierpnia 1923 r. w Sandomierzu, poświęconego sprawom badania potrzeb na polu poznania przeszłości i teraźniejszości dawnego województwa Sandomierskiego.

Z inicjatywy Oddziału Sandomierskiego Związku Polsk. Nauczycieli Szkół Powszechnych powołany Komitet obchodu 150-ej rocznicy zgonu Konarskiego zwołał na dzień 3-go sierpnia do stolicy województwa, które wydało „najmędrszego z Polaków", zjazd naukowy, poświęcony sprawom badania przeszłości i teraźniejszości dawnego województwa Sandomierskiego.

Na zjeździe zebrało się sto kilkadziesiąt osób z powiatów: Iłżeckiego, Jędrzejowskiego, Kieleckiego, Opatowskiego, Opoczyńskiego, Sandomierskiego, Tarnobrzeskiego i Tarnowskiego. Przybyli delegaci kuratorjum Okr. Szk. Warszawskiego, Wydziału Oświaty Pozaszkoln. Minister. W. R. i O. P., Rady krajoznawczej, Komitetu obchodu 150-ej rocznicy ustanowienia Komisji Edukacji Narodowej i skonu Stanisława Konarskiego.

Zjazd pod przewodnictwem p. dr. Józefa Świeżyńskiego, prezesa Polskiej Macierzy Szkolnej, przy asesorach pp. Aleksandrze Janowskim, prof. J. Bojasińskim, dyr. dr. Kazimierzu Konarskim i sekretarzach: pp.: J. Łopatyńskim i Al. Patkowskim, po referatach p. dr. Seweryna Dziubałtowskiego: „O ochronie przyrody i rezerwatach w ziemi Sandomierskiej", p. Stefana Jacobsona: „O pracy nad podniesieniem kultury rolnej", p. Aleksandra Janowskiego: „O zadaniach i programie badań nad historją i kulturą regjonalną", powziął szereg uchwał, dotyczących rezerwatów roślinności, muzeów wojewódzkich, szkolnych, zwalczania analfabetyzmu.

Po zjeździe odbyła się wieczorem uroczysta Akademja ku czci Stanisława Konarskiego pod przewodnictwem p. Juljusza Targowskiego z Winiar, w asystencji ks. prałata Stanisława Puławskiego i p. Teodora Skaleckiego, insp. szk. z Tarnobrzega. Przemówienia wygłosili: w imieniu Komitetu Obchodu 150 ej Rocznicy Ustanowienia Komisji Edukacji Narodowej i Stan. Konarskiego, prof. J. Bojasiński z Warszawy, o zasługach Konarskiego na polu szkolnictwa, ks. Andrzej Wyrzykowski, o Konarskim, jako obywatelu p. Józef Świeżyński, o idei życia i pracy Konarskiego prof. Al. Patkowski.

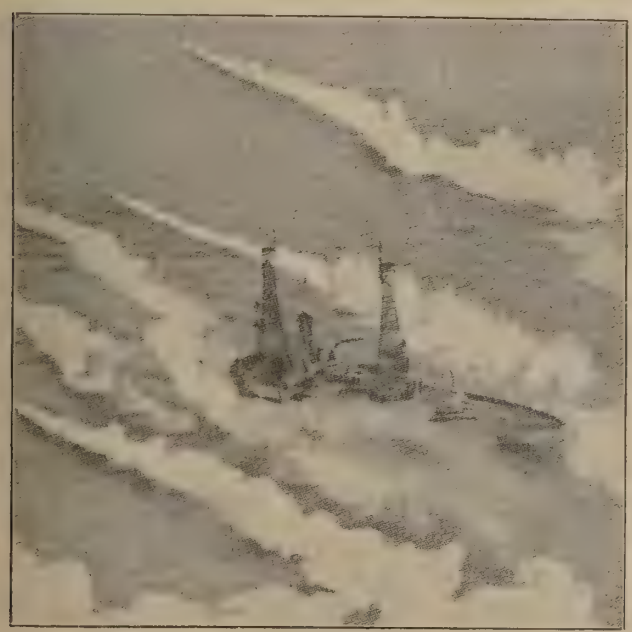

Pancernik otoczony przez nieprzyjaciela obłokami dymu, który nie pozwala mu strzelać.

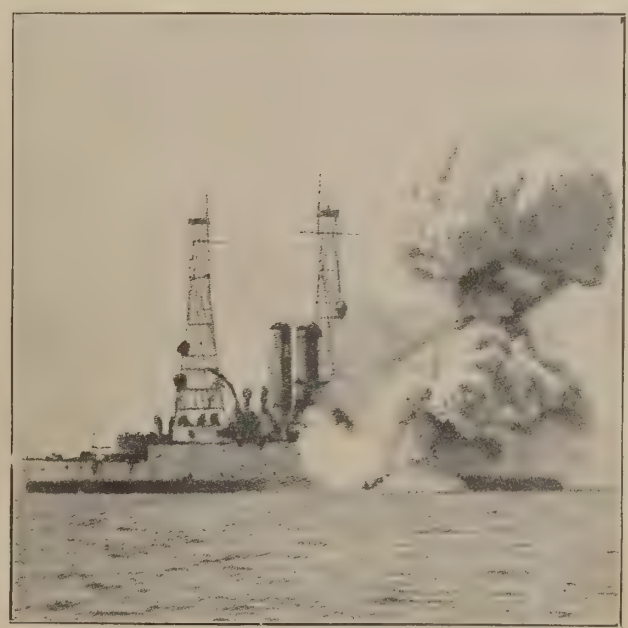

Wybuch bomby burzącej.

OBRONA BRZEGÓW I PORTÓW.

Doświadczenie wojny światowej wykazało, że dotychczasowa obrona brzegów, polegająca na fortach uzbrojonych w ciężkie działa, i gromadzenie wojsk— nie odpowiada swemu przeznaczeniu — nie może zapobiec desantowi nieprzyjacielskiemu. Obecnie obrona brzegów polega na minach, łodziach podwodnych i awiacji.

W Dardanelach flota anglo-francuska zdołała znieść fortyfikacje tureckie, a jednak została wstrzymana i częściowo zniszczona przez miny pływające. Morze Adrjatyckie i morze Niemieckie podczas wojny były obronione od potężnych flot angielskich i francuskich przez miny, łodzie podwodne, hidroplany i zepeliny. Również cała potęga flot i fortów nie mogła zagrodzić drogi niemieckim łodziom podwodnym, które rozrzucały miny i torpedowały okręty czę-

sto przed portami nieprzyjacielskiemi i na oceanie.

Te fakty skłoniły Anglję i Amerykę do wypróbo·ania innego systemu obrony, w którym armaty odgrywają rolę drugorzędną, zaledwie rezerwową. Bo obecnie obrona brzegów polega nie na powstrzymaniu floty nieprzyjacielskiej, gdy już nadpłynęła, ale na atakowaniu jej w odległości 100 do 200 mil morskich od brzegów, gdyż donośność nowych dział oblicza się już na 20 do 30 kilometrów, a obrona łączy działalność podmorską, morską i powietrzną.

Pola min i patrolujące przed niemi łodzie podwodne wraz z szybkiemi torpedowcami i kontrtorpedowcami — to pierwszy etap tej obrony — drugi i, powiedzmy, najważniejszy to flota powietrzna, która atakuje nieprzyjaciela na 100 do 250 klm. od brzegów i bombami niszczy flotę najezdnika, a przynajmniej gnębi ją i zmusza do odwrotu, nawet wtedy, gdy nie zdoła floty zwyciężyć.

Ostatnie doświadczenia amerykańskie, wykonane na miarę niepojętą dla stosunków europejskich, są wielce interesujące. Poświęcone zostały do atakowania następujące okręty wojenne: pancernik amerykański Indiana, łódź podwodna exniemiecka W 117, kontr-torpedowiec exniemiecki Frankfurt, pancernik exniemiecki Ostfriedland, pancerniki amerykańskie Yowa i Alabama. Bombardowane one były przez aeroplany, a pancernik Arkanzas przez hidroplany.

Rezultaty zadziwiły największych nawet zwolenników awiacji w Ameryce. Łódź podwodna w ruchu otrzymała 8 uderzeń torpedy na 100 wyrzuconych; pancernik Ostfrisland 25 na 100 i zatopiony jak i Frankfurt przez bomby z 900 kgr. masy wybuchowej, które upadły w morze w odległości około 10 metrów od okrętów, co dowodzi jak straszne jest działanie zniszczenia przez uderzenie wody pod wpływem eksplozji. Arkanzas, płynący zygzakiem z szybkością 17 węzłów, bombardowany przez hidroplany, został trafiony 9 razy na 17, czyli rzutów trafnych było 55%.

Pociski rzucane w dzień i w nocy o wadze 1,100, 2,000 i 4,000 funtów różnych typów, dymiące, fosforowe, gazowe i niszczycielskie.

Ataki prowadzone były przez aeroplany pojedyńcze i przez grupy z wysokości od 250 do 1,200 metrów.

Pancernik Alabama zaatakowany przez 7 aparatów, pierwsza bomba 2,000 funtowa zniszczyła pokład i wywołała silne pochylenie; 4 następne bomby 1 000 i 2,000 funtowe zagłębiły pancernik na 20 do 30 stóp, szósta zatopiła go. W tym ataku trafiły wszystkie rzuty.

Jenerał Mitchell wyraził się o tych doświadczeniach, że obronę brzegów można spokojnie powierzyć aeroplanom.

Zamieszczamy kilka fotografij z tych manewrów:

1. Pancernik Alabama uderzony przez bombę z gazami trującemi o wadze 300 funtów.

2. Uderzenie bomby fosforowej na tenże pancernik o wadze 100 funtów. Płonąca masa i gazy niszczą bezwzględnie wszelkie życie na okręcie.

3. Tenże pancernik Alabama otoczony dymem bomb oślepiających. Dym otaczający pancernik oślepia kanonjerów, którzy nie mogą strzelać, gdy sam pancernik nie przestał być widoczny dla atakujących go aeroplanów.

4. Wybuch ognistego wulkanu na tymże pancerniku. Strumienie ognia płynnego i gazów bezwzględnie trujących pokrywają pokład, przenikają do wnętrza.

5. Tenże pancernik uderzony w przednią wieżę obrotową przez bombę 4,000 funtową. Wieża, posterunek komendanta i pokład zostały literalnie zmiażdżone.

H. Gebethner.

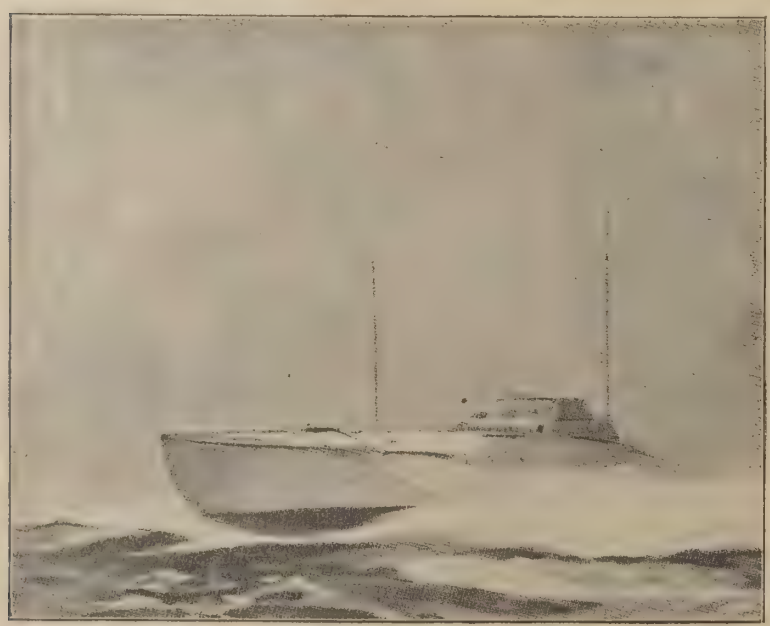

OKRĘT BEZ ZAŁOGI.

Już 2 marca 1917 r., przed portem Newport zjawiła się łódź niemiecka, płynąca z wielką szybkością, ale u wejścia do portu skierowała się ku brzegowi i rozbiła się z gwałtowną eksplozją. Z ocalałych resztek sprawdzowo, że była ona kierowana z daleka, zapewne z brzegów niemieckich przez przewody elektryczne, nawinięte na bęben. Przeznaczona była do wywołania eksplozji w porcie, zapewne kierowana z aeroplanu, ale w ostatniej chwili źle skierowana rozbiła się o brzeg. — Obecnie w Portsmouth przeprowadzono manewry z łodzią bez załogi, kierowaną przez statek wojenny za pomocą fal Hertza, podług wskazówek aeroplanu. Łódź ta, płynąca z chyżością 75 klm. na godzinę, kierowana była zupełnie dowolnie z nadzwyczajną dokładnością.

We Francji doświadczenia podobne czynione były na rzekach. Łódź bez załogi, kierowana zdala za pomocą fal Hertza, przy wielkiej szybkości, wymijała wszelkie przeszkody z dokładnością zdumiewającą.

Są to nowe sposoby obrony wybrzeży, uzupełnienie aeroplanów bez załogi, kierowanych w ten sam sposób, a jak straszna byłaby ta broń przeciw flocie napastniczej, można łatwo sobie przedstawić, bo gdy bomba wagi 3 do 4 tysięcy funtów może zatopić pancernik, jak straszna musi być eksplozja takiej łodzi, która nieść może znacznie większe ilości masy wybuchowej, przytem pewność uderzenia jest zupełna, gdyż, oślepiony przez bomby dymowe pancernik, zupełnie bronić się nie może i wystawiony byłby jak baran na rzeź.

To kierowanie z odległości jest już sprawą dokładnie zbadaną. W tegorocznych manewrach amerykańskich bombardowano pancernik z aeroplanów bez załogi z dobrym skutkiem. W Anglji próby z kierowaniem pancernika za pomocą fal Hertza dały rezultaty zadowalające.

KURSY DLA NAUCZYCIELI ŚPIEWU.

Grupa uczestników kursów dokształcających dla nauczycieli śpiewu w szkołach średnich w Tucholi na Pomorzu, pod kierunkiem dr. W. Piotrowskiego z Poznania, zorganizowanych przez ministerjum W. R. i O. P.

CEGIEŁKI WAWELSKIE.

3325. Prof. Józef Bobiński z Paryża.
3326. Uczestnicy 1-go zjazdu botaniczn. 9 i 10/IV—1922.
3327. Imienia maturz. 1907 r. szkoły zrzeszenia naucz. w Warszawie.
3328. Jadźce idealistce 8/5 1922 — Stefanowie Kaluscha.
3329. Członkowie Tow. wzaj. kredytu w Kobryniu.
3330. Pamięci Witolda Dąbrowskiego zm. 26/V 1919 — rodzice i brat.
3331. Urzędnicy minist. spraw wewnętrznych.
3332. Koło wawelberczyków przy Stowarzyszeniu techników w Warszawie.
3333. Pierwszemu swemu dowódcy ś. p. majorowi Janowi Rylke — baon maszyn. saperów.
3334. Zebrane przez urzędników warsz. okręgu izby kontroli.
3335. Pamięci jedynej córeczki Marysi Szaniorówny—rodzice.
3336. Ku czci ś. p. Wład. Kwapiszewskiego z Lublina — Karolina z Kossowskich Kwapiszewska w r. 1922.
3337. Pamięci Elizy Orzeszkowej—Towarzystwo jej imienia.
3338. Stefan Górski i Sp. w Warszawie.
3339. Lekarze współwłaściciele lecznicy dla niezamożnych chorych.
3340. Ku czci ś. p. Joanny Rongier — Adamostwo Osuchowscy, Stefanja Schwarzenberg Czernowa, Stefanostwo Kryńscy.
3341. Ku uczczeniu im. ś. p. Wiktora Wittyga.
3342. Tow. akc. „Bławat".
3343. Sztab jener. oddz. IV wojsk. komisarze kolejowi.
3344. Pamięci dr. Stefanji Suszczyńskiej—siostra.
3345. Pamięci pułk. Władysława Ściborr-Rylskiego ur. 1882 w Bukowsku, zm. 1922 w Warszawie — żona Julja.

Składy firmy „Ignacy Radoszewski" w Bydgoszczy.

BIURO HANDLOWE
p. f. „IGNACY RADOSZEWSKI" w Bydgoszczy

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Ważność i znakomite położenie geograficzne Bydgoszczy, jako węzła tranzytowego, zrozumieli doskonale ci kupcy polscy, którzy tu zorganizowali swe biura i dążą do ujęcia całego tego ruchu tranzytowego z Zachodu Europy na Wschód— w swoje ręce.

Wśród tych firm przodujące miejsce z wielkiem jak dotąd powodzeniem zająć się stara firma

„IGNACY RADOSZEWSKI"
Biuro handlowe i składy w Bydgoszczy,
ulica Jagiellońska nr. 35e.

Kantor firmy „Ignacy Radoszewski" w Bydgoszczy (w głębi właściciel firmy).

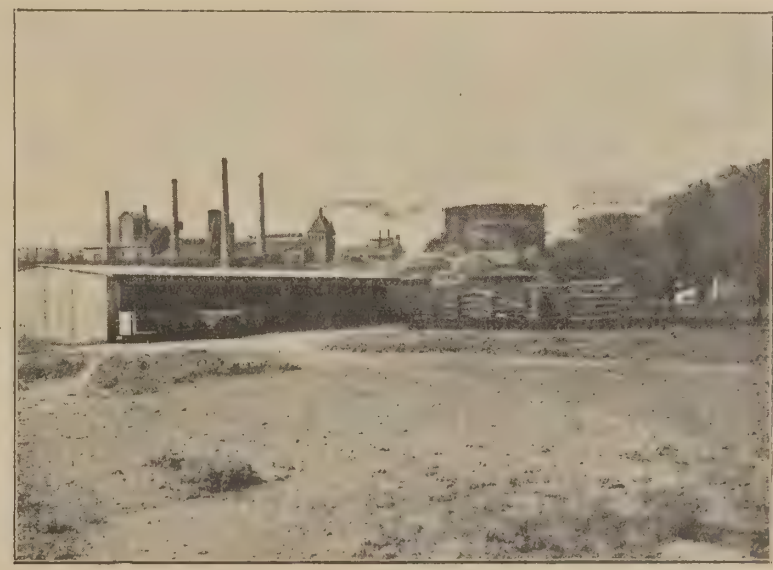

Widok składów od strony podwórza.

Właściciel jego, młody i obrotny kupiec, znający doskonale nie tylko ważniejsze centra handlowe Europy, ale też i dalekie rynki Wschodu, założył je w r. 1920 początkowo przy ul. Gdańskiej, nr. 132.

Wytrwałą pracą i doskonałem obsłużeniem swej coraz to bardziej rosnącej klienteli dokonał tego, iż dziś biuro jego rozporządza imponującemi stosunkowo składami, które p. Radoszewski pobudował własnym kapitałem na obszernych gruntach miejskich wzdłuż ulicy Jagiellońskiej, tuż przy bocznicy kolejowej.

Specjalnością firmy jest dostawa dla kolejek wąskotorowych i to począwszy od kompletu parowozów aż do najdrobniejszych dlań części składowych.

Wnętrze składów firmy „Ignacy Radoszewski" w Bydgoszczy.

Także z upoważnienia władz prowadzi firma specjalnie koncesjonowany dział wag decymalnych i potrzebnych dla nich ciężarków.

Poza tem w obszernych składach firmy znajdują się wszelkiej kategorji maszyny rolnicze i mleczarskie, dalej tłuszcze, smary, pasy transmisyjne i t.d.

Terminowość w dostawie a dążenie do jak największych obrotów (firma prowadzi wszelkie objekty hurtowo) przy zadawalaniu się skromnym zyskiem, oto dewizy firmy. To też świat handlowy i przemysłowy wróży jej bezspornie jak największy rozwój i powodzenie...

Będzie ono w zupełności zasłużone.

Ignis.

W. Ramisz, właściciel firmy.

Szlakiem słodyczy...

(z cyklu „Złota serja nadnotecka")

(Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy)

Buraki, to piękna rzecz — jak mówiła pewna warszawianka, tylko co ukończywszy pensję — ale ileż piękniejszym i smakowitszym jest produkt tych buraków, a mianowicie, słusznie tak zwany, dla swej słodyczy, cukier.

— Lecz ileż piękniejszym i bardziej ponętnym— dorzuciła na to koleżanka — jest marcepan z tego cukru wyrobiony, albo landrynka, karmelek i t. d.

Ów nietyle głęboki, ile popularny przez owe panienki wyrażony światopogląd podziela w rzeczy samej cała ludzkość i to nie tylko składająca się z publiczności t. zw. dorastającej, ale i tej, której już wyrosły wąsy.

Tem się tłumaczy, że przemysł, przetwarzający cukier w najprzeróżniejsze łakocie, od czekoladek począwszy, a skończywszy na najwykwintniejszej pomadce, ma jednak swą bardzo ugruntowaną rację istnienia. Jego produkt jest nie tylko przemiłym środkiem odżywczym ale równocześnie codziennego życia wykwintem, a smaku ludzkiego jakby pewnego rodzaju poezją.

Na jej zaspokojenie pracuje w Polsce cały szereg wysoko rozwiniętych fabryk, dostarczających swej produkcji doskonale prosperującym magazynom pięknie urządzonym i wyszukanie udekorowanym.

Do takich magazynów należy dobrze renomowana firma

W. RAMISZ

Skład cukrów i wyrobów czekolady

w Bydgoszczy ul. Gdańska 5, tel. 1017.

Położony w najruchliwszym punkcie miasta zaopatrzony w asortyment najprzepyszniejszych wyrobów działu cukrowego i przerobów czekolady, magazyn ten jest doskonale zapisany w pamięci nie tylko najwytworniejszej publiczności Bydgoszczy, ale też przyjezdnych, którzy tam śpieszą nie tylko z ochotą, ale wprost z nałogu, wiedząc z góry, że znajdą tam towar w najlepszym gatunku i po niewygórowanej cenie.

Obecny właściciel firmy, p. Wincenty Ramisz, nader dzielny kupiec, a także znany w bydgoskim świecie sportowym, jako bardzo sprawny wioślarz, nabył ten interes w roku 1920 — od Niemca Reicharda, z Hamburga. Nabywszy, rozszerzył go i z wielkim smakiem udekorował, tak, iż dziś magazyn ten jest prawdziwą ozdobą tej części ulicy Gdańskiej, która biegnie tuż naprzeciw Klarysek.

Niedawno nabył p. Ramisz, również od Niemca, sporych rozmiarów fabrykę cukrów i łakoci, którą po odpowiedniem rozszerzeniu będzie prowadził z tą energją, która mu dotąd, jako kupcowi, tylko zaszczyt przynosi. O samem otwarciu fabryki i jej urządzeniu napiszemy kiedyś osobno. Tymczasem życzymy jej właścicielowi serdeczne „Szczęść Boże" w pracy.

Gnom.

Widok zewnętrzny magazynu W. Ramisz.

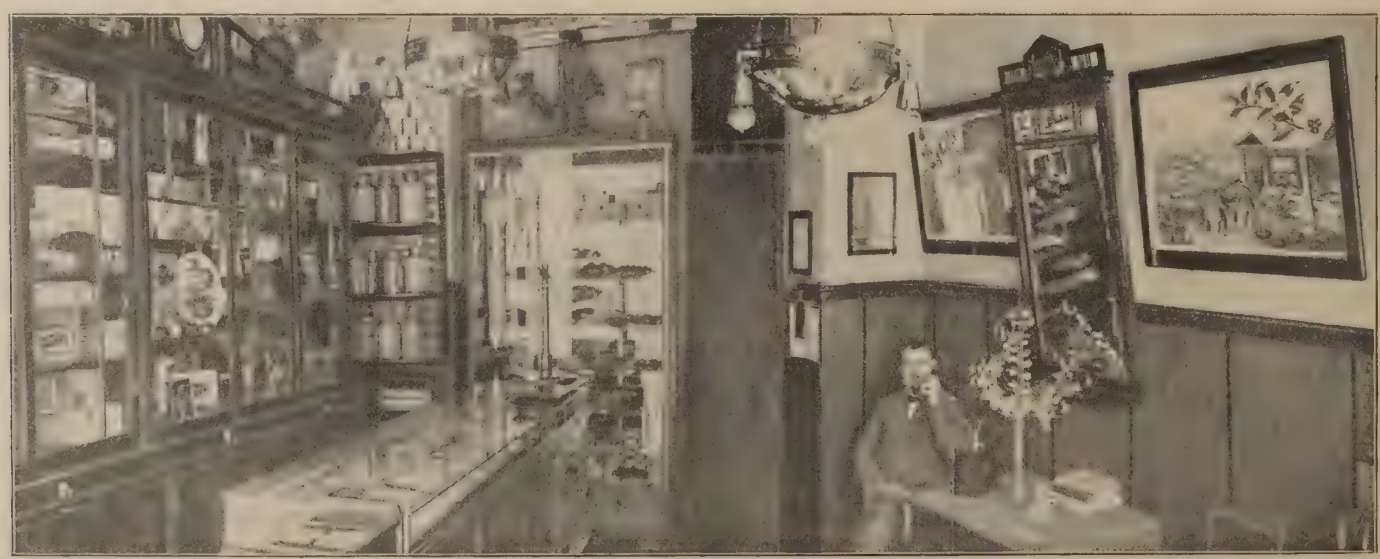

Widok wewnętrzny składów firmy W. Ramisz.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 38 Ogólnego zbioru 3,331 Wydawnictwa rok 64. 15 Września 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

BIAŁA SALA W BIBLJOTECE UNIWERSYTECKIEJ W WILNIE.

Fot. J. Bułhak.

TRAGICZNA ZIEMIA.

Ze wszystkich określeń stosowanych do Japonji — to jedno będzie bodaj że najtrafniejszem, gdyż zawiera w sobie najwięcej z głębokiej treści życia narodu japońskiego.

Tragiczną jest historja Japonji, przeładowana upiornemi walkami wewnętrznemi, w których w pień wycinały się całe klany i plemiona, tragiczną jest ciągła jej walka z żywiołem wstrząsającym bezustannie czterema tysiącami wysp, wysepek i skał tej krainy wschodzącego słońca i dwustu przeszło wulkanów.

Kto głębiej wmyślił się w wiosenny krajobraz japoński z białem widmem Fuji-yama wiecznie zawisłem nad tonącemi w różowej powodzi wiśniowych sadów brzegami morskich zatok—ten musiał odczuć grozę ciągłego niebezpieczeństwa, wszędzie i zawsze obecnej możliwości najstraszniejszych kataklizmów, która przenika całą powierzchownię śmiejącą się, szczęśliwą i tak czarownie piękną ziemię.

Często przebiega pod nią ostrzegawczy dreszcz; budzi ludzi w nocy, wypędzając ich w trwodze na ulice z trzeszczących drewnianych domków, przygania z bezmiarów pacyfiku niespodziane wodne wały, wdzierające się na ląd i znoszące całe osady rybackie, obsuwa namokłe podczas nyubaï *) wzgórza z czerwonej glinki i grzebie w ich żyznych trzewiach ciche wsie pracowitych rolników, ich pola ryżowe i herbaciane krzaki.

Pod Japończykiem ziemia żyje w bezlitosnych i niespodziewanie raptownych skurczach.

Cały ten ląd obraca się jak wzdłuż osi dokoła centralnego pasma górskiego, podnosząc wschodnie swoje brzegi, a zatapiając zachodnie, jakgdyby nachylając się w stronę Chin.

Ruch ten stały i powolny nie odbywa się spokojnie.

Seismografy japońskiego towarzystwa seismicznego notują rocznie około 1500 uderzeń podziemnych, czyli 4—5 dziennie.

W okresie 21 lat (od 1905 roku wstecz) wyczuła Japonja 30,680 wstrząśnień, pomijając zupełnie drobne drgania powierzchni.

Coprawda częstość słabych trzęsień do pewnego stopnia zabezpiecza przed silnemi uderzeniami, wzmacniając skorupę ziemi, likwidując słabsze miejsca i szczeliny, wiążąc warstwy między sobą.

Jednakowoż każdy Japończyk w swojem życiu musi przeżyć przynajmniej jedną, jeżeli nie dwie wielkie katastrofy.

W przeciągu ostatnich pięciuset lat Japonja miała 9 katastrof, w których *tylko* od trzęsienia ziemi i jego bezpośrednich skutków zginęło ponad 5,000 ludzi **).

Obecna katastrofa jest największą ze znanych w historji i dziesiątą z rzędu wielkich w przeciągu 500 lat (nie licząc trzęsień, które w skutkach swych miały poniżej 5000 ofiar w ludziach).

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę, że w Tokjo przeciętnie najmniej raz na tydzień trzęsienie ziemi jest na tyle mocnem, że wyraźnie bez przyrządów da się odczuć, i że każde wstrząśnienie, nawet najlżejsze może być zwiastunem poprzedzającym cios silny i nieobliczalny w skutkach — możemy sobie wyobrazić pod jaką grozą ustawicznie żyje, Japończyk, który przynajmniej raz na tydzień musi przygotować się na najgorszy kataklizm.

To też cała papierowo drewniana architektura japońska jest obliczona na najwyższą możliwą odporność na wstrząśnienia i lekkość.

Dopiero ostatniemi laty zaczęła Japonja budować się po amerykańsku. W Tokjo i Yokohamie jak grzyby po deszczu rosły 10—15 piętrowe kolosy—klatki żelazne, obrzucone żelazo betonem.

To też uderzenia podziemne, które z Warszawy nie zostawiłyby kamienia na kamieniu — tam przechodziły z małemi względnie stratami.

Japonja posiada trzy łańcuchy wulkaniczne: Kurylski, Fuji i Kirishima. Te dwa ostatnie działają na zmianę. Za trudno byłoby wdawać się tutaj w opisy tych łańcuchów, które mają z górą 200 wulkanów, z tego 50 przeszło czynnych, a niezliczone fumasole i gorące źródła pokrywają podnóża dziś wygasłych.

Sam wulkan Fuji-yama, dziś uważany za wygasły—ostatni raz wybuchł w 1707 roku, niszcząc 22,900 domów i zabijając 5,000 ludzi w trzęsieniu ziemi, jakie towarzyszyło erupcji.

Najwspanialszym czynnym wulkanem Japonji jest wulkan Asama, koło 140 kilometrów na północ od Tokjo, stale ginący w ponurych obłokach olbrzymiej ilości rudego dymu.

Choć dotychczas jasnego związku między działalnością wulkanów japońskich a trzęsieniami ziemi nie ustalono — jednak wydaje się prawdopodobnem, że wulkany czynne odgrywają rolę klap bezpieczeństwa, gdyż miejscowości w pobliżu ich położone stosunkowo do innych mniej ulegają wstrząśnieniom.

Źródłem sił sejsmicznych, które wywołały dzisiejszą katastrofę, zdaje się być olbrzymia depresja, która ciągnie się wzdłuż wschodnich wybrzeży Japonji.

Głębie oceanu Spokojnego bardzo blisko — brzegów wysp Nippon i Jezo sięgają z górą 8,000 metrów. Różnica poziomów tej przepaści wodnej z Fuji-yama wznoszącej się prawie tuż nad brzegami na 4,000 metrów wynosi przeszło 12 kilometrów!

Pod dnem tej otchłani przewalają się trzewia ziemi, potęgując niszczące działanie swoich trzęsień przez olbrzymie fale wodne, uderzające z furją na bezpośrednio bliską Japonję i przebywające bezmiary Pacyfiku, ażeby dotrzeć na Hawaï i do brzegów Ameryki północnej. Biada statkom, zaskoczonym przez nie w portach!

Z dzielnic Japonji nabardziej nawiedzane przez trzęsienia ziemi i fale morskie są własnie wielka równina Musashi, na której stoi Tokjo i rejon Sagami, obie leżące na wschodzie.

Zachodnie prowincje podlegają tylko lokalnym wstrząsom i najspokojniejszemi pod tym względem są dzielnice Katsuké, Hida, Tajima i niektóre centralne.

Samo Tokjo w ostatnich 30 latach doznawało przeciętnie 96 uderzeń rocznie, wyczuwalnych bez przyrządów.

Ostatnie trzęsienie, które pociągnęło za sobą ofiary w mieście, było w 1894 roku, kiedy zginęło w Tokjo 25 ludzi.

Rozmiary i charakter obecnej katastrofy są jeszcze dokładnie nieznane, jednakowoż wiadomości, które już nadeszły, są wystarczające w swej okropności, ażeby spędzić sen z powiek najobojętniejszych ludzi.

Przecież Tokjo, według ostatnich planów połączenia zlanych już faktycznie przedmieść z centrum miasta w jedną administracyjną całość pod nazwą „Wielkiego Tokjo" — miało być *trzeciem* co do obszaru i ludności miastem na kuli ziemskiej po New-Yorku i Londynie. Stolica kraju o 74,000,000 mieszkańców, pierwszej potęgi Wschodu!

Yokohama—port, odgrywający dla Japonji rolę większą niż Szanchaj dla Chin. Port, w którym zbiegały się wszystkie drogi z Azji, Ameryki i Australji! Gdzie oprócz niezliczonej ilości japońskich statków zawsze stało kilka oceanowych lewjatanów Cunarda, Canadian Pacific, Oriental Steamship, Messageries Mantimes, Blue Funnel i t. d.

Yokosuka—Najpierwsze i największe doki wojenne Japonji, z których wyszły takie morskie potwory, jak pancerniki Yamashiro, Kawachi, Hiyei...

A niezliczone pomniejsze miasta, porty i techniczne urządzenia?

Ile trupów kryją pod sobą gruzy domostw, ilu pochłonęło morze, ilu zginęło w pędzących pociągach, wyrzuconych z szyn gwałtownym podrzutem ziemi?

Jakie skarby nieprzeliczone w dziełach sztuki zginęły na zawsze.

Jak straszny moralny cios dla państwa i jak ciężkie materjalne straty?

Straty większe od strat kilkunastu miesięcy wojny—w przeciągu kilku minut.

Nic dziwnego, że w prasie rosyjskiej i amerykańskiej przebłysnął grymas „Schadenfreude" w notatkach o zejściu Japonji do rzędu państw trzeciej kategorji, o dezorganizacji władzy, o bandach koreańskich...

Ale na to trzeba nie znać Japonji i nie orjentować się w psychice jej ludności.

Naród, który w przeciągu pięćdziesięciu lat potrafił drogą świadomego wysiłku wyrwać się z feudalnego średniowiecza i, przeskoczywszy wszystkie szczeble drabiny cywilizacji, stanąć mocno w szeregu potęg światowych, jako jeden z pierwszych,—prędko zleczy swoje rany.

Państwo, które żywi w sobie ideę nowej Azji, które nie tylko wygrało wojnę z Chinami i z Rosją, ale zwyciężało w konkurencji z białymi o Azję i które jest panem wód Dalekiego Wschodu—wyjdzie zwycięsko i z tej próby.

„Morale" Japończyka, potomka samurajów, wychowanego na zasadach Bushido, nie złamie się od jednego uderzenia, nawet z powodu takiej katastrofy.

W chwili pełnej grozy, wobec największych niebezpieczeństw—każdy Japończyk zna tylko jedno hasło:—Banzai!

Starożytna, bohaterska kraina Yamato—niech żyje!

* * *

Kolonja polska w Japonji jest bardzo nieliczna. Oprócz ministra p. St. Patka, sekretarzy pp. Zaniewskiego z żoną i Mościckiego, konsula p. Hubickiego z żoną, kierownika kancelarji poselstwa polskiego, p. Zdanowicza z żoną i dziećmi oraz p. Czaji, poza poselstwem są w Tokjo pp. Łubieńscy, mieszkający tam od dwóch lat, których dom jest jednym z najbardziej znanych ośrodków życia artystycznego w Tokjo, p. T. Haertle poznańczyk, student uniwersytetu tokijskiego, i p. X. dyrygent orkiestry symfonicznej w Tokjo.

Poselstwo mieści się w dzielnicy Arabu-ku, na zachodnim krańcu miasta. W pobliżu mieszkają wszyscy pracownicy. Pp. Łubieńscy mieszkają na Aoyama Rokuchome—na północno zachodnim krańcu Tokjo.

Ponieważ katastrofa, jak to można wywnioskować z danych o budynkach zniszczonych i dzielnicach ogranicza się głównie do dzielnic południowej, wschodniej i centralnej—możemy mieć nadzieję, że rozmiary katastrofy w dzielnicy naszego poselstwa nie były tak bezwzględne, tembardziej, że dzielnica ta w miejscu, gdzie stoi poselstwo, jest stosunkowo słabo zaludniona i ma dużo ogrodów.

J. K.

*) Nyubai—okres letnich deszczów.

**) 1505 rok w Tokaido—20.000 ludzi.
31/I 1596 rok Brzegi Pacyfiku—5,000 ludzi.
30/XII 1703 rok Tokjo—5,233 ludzi.
28/X 1707 rok Shikoku—5,000 ludzi.
10/II 1792 rok Hizen, Higo—15,000 ludzi.
8/V 1844 rok Shinano—12,000 ludzi.
11/XI 1855 rok Tokjo—6,500 ludzi.
28/X 1891 rok Mino, Owari 7,223 ludzi.
15/VI 1896 rok Sanriku 27,122 ludzi.

ŚWIT Fot. J. BUŁHAK

FOTOGRAFJA ARTYSTYCZNA JANA BUŁHAKA.

Jan Bułhak udostępnił publiczności przed rokiem około pięciu tysięcy swych świetnych zdjęć, obejmujących zabytki architektury świeckiej i duchownej z naszych miast i wsi, odtwarzających krajobraz polski w rozległej jego różnorodności. Słowem uskładał i otworzył nieprzebrany skarbiec, z którego dziś może obficie czerpać obficie nauka nasza i obca, którego bogato urozmaiconą treścią syci się oko wrażliwe, a krzepi się w czci i umiłowaniu Ojczyzny serce Polaka.

KOŚCIÓŁ OO. DOMINIKANÓW I WIEŻA WOŁOSKA WE LWOWIE.
Fot. J. Bułhak.

Z tej olbrzymiej skarbnicy wyjmijmy tylko kilka plansz, niby szczyptę ziarn z całego korca, i przypatrzmy się im w skupieniu: *ab uno nosce omnes.*

Z przeglądu dzieł Bułhaka trzy cechy wysuwają się na plan pierwszy: fenomenalna zdolność ujmowania motywów w zamknięte, doskonałe całości, dalej znakomite dostosowanie techniki fotograficznej do artystycznego celu, wreszcie zupełnie niezwykła obfitość dzieł.

Jako kompozytor obrazów jest Bułhak, zdawałoby się, cudotwórcą, który umie rozkazywać ludziom i zwierzętom, drzewom i kwiatom, domom i kościołom, i mgle, i chmurom, i wodom, a przedewszystkiem słońcu, składając z nich niby bez trudu, harmonijne, doskonałe, a niemal dowolne całości. Nie widać w jego dziełach większego skrępowania realną rzeczywistością, niż u malarza, który z wielką dozą indywidualnej swobody przetwarza przyrodę w swych obrazach.

Dla przykładu spojrzyjmy na jedno zdjęcie z „Litwy". Na łagodny stok pagórka gramoli się wprost ku widzowi zwał chmur, pełzając wręcz po czarnej ziemi. Z jednej chmury wyłania się świetnym, posuwistym ruchem jasna, niby alegoryczna postać kobiety z otwartemi, w tył podanemi rękoma, których dłonie wtapiają się w masę mgły. Fotografja ta, symbol sztuki Bułhaka, jako kompozycja wygląda raczej na fantastyczny obraz Ruszczyca, niż na zdjęcie z natury. Jak je nasz artysta uzyskał i to bez żadnych retuszów, to prawdziwa zagadka.

Albo z serji plansz Uniwersytetu Wileńskiego: „Biała Sala" w widoku z kurytarza. Na pierwszym planie klasyczny portal ozdobiony w metopach zwierzętami zodjakalnemi, a w tympanonie medaljonem z epoki Stanisławowskiej. Drzwi otwarte ku wnętrzu sali. W głębi, widać sklepienie, a na osi drzwi ostro od dworu oświetlone okno. Na tle szyb zarysowuje się sylweta mężczyzny, siedzącego w wysokim fotelu, a pochylonego nad foljantami, które się piętrzą obok niego na stołach i na parapecie okiennym. Niejednemu się przypomni może Dürera św. Hieronim, albo jaki sztych Norblina, czy postać Fausta.

Bułhakowskie widoki ulic i placów miejskich warto dokładnie studjować, aby zrozumieć jak to Bułhak umie wysuwać jakiś motyw i czynić go w obrazie szczególniej ważnym a resztę traktować jako akompanjament.

Sztafażu ludzkiego używa Bułhak w miarę

MURY ŚWIĘTOMICHALSKIE W WILNIE.
Fot. J. Bułhak.

potrzeby i nadaje mu cechy indywidualnego życia. Należy on implicite do kompozycji samej. Niema w nim nic sztucznego, nic przygotowanego, ani znów przypadkowego. Zespala się on z kompozycją w organiczną całość, żyje z nią razem. Będą to dwie kumoszki w wąskiej ulicy, komunikujące sobie ostatnie ploteczki, albo grupka robotników idących do pracy, albo kilkoro dzieci hałasujących na ulicy, lub chłopak zbijający bąki na podwórzu, albo samotny starzec wrosły we wnękę muru, lub woźnica drzemiący na furze w czasie jazdy w skwar po kopnej „polskiej" drodze. Nie znajdziemy tu owej masy gapiów, którzy tak unieszczęśliwiają każdego, kto się z aparatem fotograficznym pojawi w uliczce o małym ruchu kołowym, a dużej produkcji dzieci.

Na widoku części kościoła Dominikańskiego i wieży Wołoskiej we Lwowie można popatrzeć jakto Bułhak potrafi nie widzieć tych części obrazu, których widzieć nie chce. W prawym rogu planszy można się doszukać wielkiej hałdy rumowiska, na którem się tłuką ulicznicy. Śmietnik ten jednak jest przez artystę tak potraktowany, tak ciemno i nieostro, że go prawie nie widać. I, co dziwniejsza, partja ta retuszem nie tknięta. Widok, o którym mowa, świadczy też, że Bułhak jest mistrzem w zestawianiu elementów kompozycyjnych. Zmienić punkt zdjęcia o metr w prawo lub w lewo, a już ulegnie zniszczeniu to cudne zazębianie się dwu odmiennych architektur. Artysta zna też tajemnicę gigantycznego powiększania się architektury przez umieszczanie przed nią budynków o drobnych dyn.ensjach.

Równie wybitnym, jak w zespołach architektonicznych, jest Bułhak w zdjęciach poszczególnych budynków i ich części. I tu tworzy on cuda. Nie idzie nigdy wydeptaną drogą szablonu. Znajdzie zawsze punkt, z którego dany budynek wygląda najkorzystniej, często nawet odmiennie, niż to ogół widzi. Weźmy np. pałac biskupi w Wilnie. Z poprzecznego, silnie ocienionego portyku doryckiego, żelaznemi kratami odciętego od podwórca, patrzy artysta na w słońcu skąpany fronton rezydencji, z silnie wysuniętym rezalitem głównym o ośmiu jońskich kolumnach, ukoronowanych bogatym, klasycznie uformowanym gzemsem. Oczu niepodobna oderwać od tej cudownej gry linij perspektywicznie się przenikających, od żywych kontrastów i bogatego ustosunkowania tonów w skali między aksamitną czernią kolumn portyku, a nasiąkłemi światłem ścianami korpusu pałacowego. Tu słowo opisywacza jest bezsilne. Trzeba wziąć planszę do ręki i samemu przeanalizować kompozycję i wchłonąć jej skomplikowaną treść.

Na jedną jeszcze cechę Bułhaka chcę tu osobno zwrócić uwagę: jest to zdolność użytkowania, powiedziałbym, posługiwania się słońcem do wywoływania cudownych, a tak naturalnych efektów. Ma się wrażenie, że słońce posłuszne intencjom artysty dostosowuje się do jego potrzeb i pomysłów. Oto schody rokokowej katedry św. Jura we Lwowie. Widziane od dołu. Kamienna balustrada i roztańczone putty rysują się rytmiczną sylwetą na niebie o zachodzie. Wychodzone podesty schodów w cieniu. Promienie słońca muskają pieszczotliwie tylko same ich krawędzie górne. Powstaje stąd całość tak przedziwnie dekoracyjna, tak poetycznie nastrojona, że kto raz ten obrazek miał przed oczyma, nie zapomni go nigdy.

Kiedy padł wyraz „poezja", wypada uzupełnić tę notatkę wiadomością czy przypomnieniem, że Bułhak wydał tom utworów poetycznych p. t. „M ja Ziemia" (Wilno 1919) Jest to zbiór 10 pieśni, o charakterze naprzemian lirycznym i opisowo lub satyrycznie epickim. Autor potrąca struny, które u nas dawno nie brzmiały. W pieśniach jego jest coś z ducha Krasickiego i z gawęd Pola, jest jednak i Weyssenhoffowska ironja, zwracająca się do braci szlachty, kołtuniejącej na zapadłej wsi i do żydów, którzy obsiedli miasteczka kresowe. Z licznych strof, wypływających z gorącego umiłowania Matki-Ziemi, przytaczam jedną charakterystyczną:

Mówisz do mnie, jak ta matka
dobra, wierna do ostatka,
i w nieszczęściu, i w rozłące:
mówisz słowa kochające,
takiej pełne świętej ciszy
i powagi i słodyczy,
że przez wszystkie skargi łzawe
i brzęk kajdan niewolniczy,
przez tę nienawiści wrzawę,
którą świat obłędnie dyszy,
poprzez zmory snów najkrwawsze,
serce moje ciebie słyszy
ziemio—zawsze...

Plansze swoje uzyskuje Bułhak przez kopjowanie klisz wprost na matowy papier srebrowy o miłym bronzowanym szarym, lub czarniawym tonie. Odbitki są na ogół znakomite. Dla niektórych wprost nie umiem sobie wyobrazić trafniejszej, bardziej skończonej formy, zarówno co do zespołu tonów, jak barwy i samego formatu. I tu wzbudza podziw szeroka skala umiejętności i subtelności artysty. Tym dziełom jego nic dodać, ani ująć nie można. Są to niby cenne minjatury, właśnie w tych wymiarach (około 13×18 cm.) doskonałe. Np. chata litewska o przedświcie. Słońce nie zdołało jeszcze przebić mgły jesiennej, w którą się była ziemia otulila do snu nocnego. Toteż niby za białym welonem roztapiają się miękko zarysy drzew, płotu i chaty w wąskiej skali najsubtelniejszych odcieni. Na tem przedziwnem tle rysują się ostrzej i silniej się cieniują okwitające osty, które wysuwają na wszystkie strony swe liście kolące, osrebrzone poświatą wschodzącego słońca i sadzone drobniutkiemi perełkami rosy porannej, a pospinane białemi nitkami pajęczyn „babiego lata". Jest to dzieło niesłychanej, japońskiej delikatności. Inne plansze są pełnym ekwiwalentem starego dobrego sztychu. Tamte działają niby pomniejszenie obrazów olejnych, lub nasuwają porównanie z przejrzystą akwarelą. A wszędzie dominuje jedna wspólna cecha, a tą jest indywidualność wykonawcy, który w każdej planszy cząstkę swej duszy zostawił.

Do działalności Bułhaka przykładam wielką miarę nie tylko z powodów artystycznej natury. Obok całej malowniczości ma wiele jego plansz walor dokumentów historycznych. Ba, niektóre z nich są tak szczegółowe i plastyczne, że doskonalszych i pomyśleć niepodobna.

Typy chłopskie to są jedyne figury ludzi żywych, które wzbudzają zajęcie w naszym artyście. Aby się Bułhak mógł zainteresować postacią ludzką, musi ona być z kamienia, bronzu lub drzewa i czekać na niego przynajmniej lat sto. Dzisiejsi ludzie występują na płycie Bułhaka tylko jako sztafaż dla ożywienia obrazu lub dania mu pomiarki, wyjątkowo jako personifikacje mocy wyższych.

Sprobujmy jeszcze przedsięwziąć próbę klasyfikacji artystycznej Bułhaka.

Można wzruszać ramionami, gdy historja sztuki usiłuje przeprowadzić podział malarstwa na szkoły, kierunki, epoki. Można w obronie indywidualności twórcy przeciw owemu tworzeniu klas i szufladek ostro protestować, jednak nikt nie zaprzeczy, że opatrzenie danego artysty etykietą krytyczną, wskazującą na przynależność jego sztuki, nie jest bez pożytku dla szerokiej publiczności, bo jej ułatwia punkt wyjścia w dostosowaniu się do nowej jednostki twórczej, wskazuje drogę do jej zrozumienia. Oczywiście komentarz do etykiety i dyskusja ograniczą walor etykiety i pogłębią znajomość psychy danego artysty.

Sztuka Bułhaka idzie niewątpliwie w kierunku idealizowania świata, wysłoneczniania życia. Niewątpliwie podłoże tych tendencyj leży po części w istocie techniki fotograficznej, która, nie posiadając tęczowej palety farb, obraca się za światłem błękitów, jak słonecznik, i szuka sobie przedmiotów rozjaśnionych, rozweselonych słońcem. Jednak główne źródło owej radosności, która aż bije z plansz Bułhaka, owego umiłowania przyrody, roztapiania się w otaczającym świecie, to naszego artysty własny ustrój duchowy. Wygrał on widocznie wielki bilet na loterji życia, przez to, że się bez reszty oddał tej dziedzinie twórczości, do której jest predestynowany, w której się cały wypowiedzieć może. A dzieła ludzi szczęśliwych, nie wiedzących, czem jest trud i zmuda obowiązku, bo praca im tylko zabawą najmilszą, mają ten przymiot, że nasiąkają optymizmem swego autora, że wypromieniowują z siebie ową radość życia, z której powstały, że się stają źródłem pokrzepienia dla pokoleń. Tem są też i plansze Bułhaka.

Na etykietce naszej trzeba jeszcze napisać wtórą notę oceny: romantyzm, w znaczeniu płomiennego umiłowania architektury minionych wieków i budownictwa ludowego i umiejętności ożywiania ich własnym tchem.

I podobnie, jak poezja romantyczna przemyka się naprzemian od tematów zapełnie prostych do bardzo powikłanych, tak też czyni i Bułhak. A komplikacje jego tematów są przedziwne i jego własne. Nie w tem się on kocha, co się samo narzuca oku przechodnia, choćby nawet było wybitnie piękne. Nie. Bułhak układa sam cuda i niespodzianki, o których się nikomu nie śniło. Wynajduje zawsze jakiś zakamarek, jakieś okno, jakąś uliczkę lub podwórze, gdzie zastawiona cała uczta dla oka i im bardziej złożona, tem mu milsza, żeby tylko przypomnieć pałac biskupi. Na niewątpliwego romantyka wskazują też liczne plansze typu zbliżonego do „Murów Świętomichalskich" w Wilnie, które Bułhak widzi, jako idealne tło tajemniczego dramatu lub wstrząsającej noweli o typie Edgara Poe'go.

Inną jeszcze cechę Bułhaka chcę podkreślić, a tą jest jego silna *indywidualność*, którąśmy obserwowali na jego licznych plansach. Podobnie jak malarz lub rzeźbiarz o kierunku nierealistycznym odczuwa akt ludzki w zdecydowanych formach swego indywidualnego przekształcenia, tak też to, co na fotografjach Bułhaka oglądamy, to jest *jego świat*, takim go nam do widzenia podaje. Jest on świetnym dowodem prawdziwości Wilde'owskiego aforyzmu: „Natura naśladuje sztukę". To też kto zżył się nieco z pięknem plansz Bułhaka, łatwo może zacząć jego oczyma patrzeć na świat, przedewszystkiem na architekturę. I jak często ludzie, obcujący ze sztuką, określają dany pejzaż w naturze nazwą krajobrazu Stanisławkiego lub zwą go bohaterskim lasem Ruisdaela, czy widokiem Turnera, tak już dziś często spotyka się ludzi, którzy przy zwiedzaniu zaułków miasta odczuwają, że dany zespół architektoniczny jest jakby stworzony na to, by go Bułhak fotografował i że nikt tego tak świetnie nie zrobi, jak on właśnie. Już się im zarysowuje przed oczyma ducha kontur fotograficzny, już patrzą oczyma naszego artysty.

W ten sposób staje się Bułhak wychowawcą estetycznym społeczeństwa, uczy nas patrzeć szeroko otwartemi oczyma na piękno otaczającego nas świata i spostrzegać w starych rzeczach coraz nowe wdzięki.

Jak jedni lemieszem, drudzy szablą, a inni piórem, tak nasz artysta pracuje aparatem fotograficznym, odkrywając i uwieczniając piękno w doskonałych planszach. Wraca się do nich zawsze chętnie, jak do ulubionej książki, jak do pieśni z lat dziecięcych. Tyle w nich jest sentymentu i przejmującego nastroju. *Ignacy Drexler.*

Z TEKI ARTYSTYCZNEJ J. BUŁHAKA.

PAŁAC BISKUPI W WILNIE.

SCHODY KATEDRY Św. JURA WE LWOWIE.

VICTOR HUGO:

Na śmierć córki

w Villequier.

Dziś, kiedy Paryż, jego bruki i marmury
I jego mgły i dachy są zdala mych oczu,
Dziś, gdy mam drzew konary nad sobą u góry
I mogę śnić o pięknych niebiosów przezroczu;

Dziś, gdym wyszedł z żałoby swej duszy ponurej,
Pobladły, lecz z obroną
I kiedy czuję spokój tej wielkiej natury,
Co wnika w moje łono;

Dzisiaj, kiedy, usiadłszy na brzegu, nad zdrojem,
Poruszony wspaniałą ciszą nieboskłonu,
Mogę badać głębokie prawdy w sercu swojem
I spoglądać na kwiaty pośrodku gazonu;

Dziś, mój Boże, gdy w swojem smutnem ukojeniu
Źrenice me najłzawsze
Mogą patrzeć na kamień, pod którym, wiem, w cieniu
Ona śpi już na zawsze;

Dziś, kiedy, rozczulony przez twe boskie twory,
Przez równie, lasy, skały, rzekę w fal srebrności,
Widząc twe cuda, pełen maluczkiej pokory,
Odzyskuję swój rozum wobec bezkresności:

Przychodzę do Cię, Ojcze, wiarą w Tobie cały,
I niosę ci poddanie,
Szczątki swojego serca, pełnego Twej chwały,
które strzaskałeś, Panie;

Przychodzę do Cię, Ojcze, i wyznaję ninie,
Żeś dobry, pobłażliwy, słodki, Boże żywy!
Przyznaję, że, co czynisz, ty sam wiesz jedynie,
A człowiek to sit jeno, na wiew wiatru tkliwy.

Powiadam, że za zmarłym zwarte śmierci bramy
To do niebiosów wrota,
A to, co na padole za kres uważamy,
Początkiem jest żywota.

Przyznaję, klęcząc, Panie, że li w Tobie żywie
Rzeczywistość, istotność, bezkresności morze,
Przyznaję, że jest dobrze, że jest sprawiedliwie,
Iż serce me krwawiło, boś Ty tak chciał, Boże!

Nie staję już oporem wobec zdarzeń biegu,
Co z woli twej wynika.
Dusza z żalu do żalu, człek z brzegu do brzegu
W wieczności dal pomyka.

Widzimy zawsze tylka jedną rzeczy stronę;
Drugą noc tajemnicy straszliwej powleka.
Jarzmo, bez wiedzy przyczyn, jest ludziom znaczone
Wszystko, co widzim, krótkie, próżne, w dal ucieka.

Zawsze powracać każesz znowu samotności
Wkrąg kroków ludzkich koła.
Postanowiłeś bowiem nie dać nam pewności,
Wesela śród padoła.

Gdy człek posiędzie dobro, los mu je odbierze;
Nic nie jest mu tu dane śród dni pierzchliwości,
Aby mógł w niem zamieszkać i rzec sobie szczerze:
„Tutaj mój dom, me pole, skarb mojej miłości!"

Krótko ogląda to, co widzą jego oczy;
Starzeje w bezwspomodze,
Bo wszystko tak, jak musi, dzieje się i toczy;
Ja godzę się z tem, godzę!

Świat smutny; na niezmienną, o Boże! harmonję
Równo się płacze, jako i śpiewy składają;
Człek jest atomem w cienia bezbrzeżnego łonie,
W nocy, gdzie dobrzy wznoszą się, a źli padają.

Wiem, że masz inne, Panie, do działania sprawy,
Niż płakać nas w potrzebie,
Że jęk dziecka, ni matki rozpacznej jęk łzawy
Nie tyka zgoła ciebie!

Wiem, że owoc opada pod wiatru podmuchem,
Że ptak traci swe pióra i kwiat swoje wonie,
Że stworzenie jest wielkiem kołem, co swym ruchem
Niejednego koniecznie druzgoce i chłonie.

Miesiące, dnie, mórz fale, łzy, co z oczu płyną,
Pod niebem mkną w przestworze;
Z konieczności kiełkują źdźbła i dzieci giną;
Ja o tem wiem, mój Boże!

W twem niebie, zawieszonem ponad obłokami,
W nieruchomo sennego błękitu powodzi,
Zajęty-ś nieznanemi snadź dla nas rzeczami,
W które człowiecza boleść jako żywioł wchodzi.

Może trzeba dla mnóstwa Twych celów wyrocznych,
By pełne wdzięku duchy
Odchodziły, porwane przez wypadków mrocznych
Posępne zawieruchy.

Losy nasze pod praw mkną ogromnych władaniem,
Których nic nie rozczuli, nie wytrąci z ruchu.
Nie możesz się unosić nagłem folgowaniem,
Co zakłóci świat, Boże, ty spokojny duchu!

Błagam Ciebie, na duszę mą spójrz, Boże żywy!
I zważ, że w swojej drodze
Pokorny, jako dziecko, jak kobieta tkliwy,
Uwielbić Cię przychodzę!

Zważ także, że od świtu, od samego rana,
Pracowałem, myślałem, walczyłem przebojem,
Ucząc ludzi przyrody, co im jest nieznana,
I każdą wyjaśniając im rzecz światłem Twojem;

Żem głuchy na zawiści, gniewy i przeszkody,
Spełniał tu swe zadanie,
Że oczekiwać takiej nie mogłem nagrody,
Ani przewidzieć, Panie,

Iż także Twoje ramię swoją siłą całą
Zwycięsko moją głowę ugiętą przygniecie,
I że Ty, który widzisz, jak mam uciech mało,
Odbierzesz mi tak rychło moje drogie dziecię!

Że dusza ugodzona tak skargą utyska,
Żem bluźnić ci mógł, Boże,
I miotać przeciw Tobie krzyki me; jak ciska
Dziecię kamienie w morze!

Zważ, Boże, że się wątpi, gdy cierpienie rani,
Że oko, co zbyt płacze, zagasa w ślepocie,
Że człek, gdy żałość w czarnej grąży go otchłani,
Nie widząc Ciebie, myślą nie wzbija się do Cię;

I niemożliwa, aby człekowi, co pada
Pośród nieszczęścia ciosów,
Rozpromieniała duszy głąb pogoda blada
Gwiazd, co lśnią śród niebiosów!

Dziś ja, com był, jak matka w żałobie niewieściej,
Do stóp Twoich pod niebem padam otworzonem.
Czuję się oświecony śród gorzkiej boleści
Lepszem spojrzeniem w wszechświat ogromny
rzuconem.

Widząc, Panie, że człowiek poczyna szalenie,
Gdy szemrać śmie w oporze,
Przestaję się uskarżać, tłumię złorzeczenie;
Lecz daj mi płakać, Boże!

Pozwól z pod moich powiek łzom płynąć strumieniem,
Skoro poto człowieka utworzyłeś przecie!
Pozwól mi się nad zimnym tym schylić kamieniem
I powiedzieć: „Czy czujesz, że jestem tu, dziecię"?

Daj mówić mi, zgiętemu na jego popiele,
Wieczorem, w cisz otoczy,
Jakby mnie śród swej nocy słuchało, aniele
Swe otwierając oczy!

Niestety, gdy stęsknione oczy w przeszłość biegą,
Bo pociechy mi tutaj żadnej nie zostało,
Widuję zawsze chwilę tę życia swojego,
Gdy otwarto swe skrzydła i precz uleciało!

Będę tę chwilę widział po kres dni na świecie,
Gdy pośród łez tysięcy
Próżnom wołał: „Dopiero co miałem to dziecię,
I nie mam go już więcej!"

Nie gniewaj się, że tonę tak cały w katuszy,
Ta rana tak krwawiła długo, o mój Boże!
Cierpienie jest silniejsze zawsze w mojej duszy,
Serce me jest uległe, lecz siebie nie zmoże.

Nie gniewaj się! Żałobą mając skryte czoła,
Śmiertelni, łzom poddani,
Nie możemy wydobyć naszej duszy zgoła
Z tych wielkich mąk otchłani.

Widzisz! bardzo potrzebne są nam nasze dzieci,
O Panie; gdy się ujrzy w swem życiu, raz z rana,
Pośród nudy, męczarni i zgryzot zamieci,
Wśród cienia, którym nasza dola jest owiana,

Zjawiające się dziecię, święte nowem życiem,
Drogą istotkę miłą,
Tak piękną, iż wydaje się, że z jej przybyciem
Niebo drzwi otworzyło;

Kiedy przez lat szesnaście to „drugie ja" własne
W miłym wdzięku, w rozumie wyrasta widomie,
Gdy widzisz, że to drogie dziecię światło jasne
Dnia rozpromienia w duszy twej i w twoim domie,

Że radość to jedyna, co zostaje wiernie
Z całego marzeń świata:
To racz zważyć, że rzeczą jest smutną niezmiernie
Widzieć, że nas odlata.

Tłum. Leopold Staff.

PRZYCZYNKI DO HISTORJI SZTUKI POLSKIEJ.

MEBLE.

Polskiego snycerstwa dzieła od czasów najdawniejszych słynęły. Pocieja kronika wspomina o wyrobach z XIII wieku, częstochowski skarbiec przechowuje Kazimierza W. siedzisko przy statutu Wiślickiego nadaniu.

Zamek krakowski ma ów pułap sławny z płaskorzeźbami w izbie poselskiej. Z drzewa wyrobiony, mieści w sobie ludzkie głowy, z różnym twarzy wyrazem, misternie cyzelowane.

Organy domowe gdańskie z drzewa orzechowego.

Kościół Marjacki, posiada Wita Stwosza ołtarz, najznakomitsze snycerstwa polskiego dzieło. A i ławy radzieckie świątyni, wedle kronik, są Stwoszowi przypisywane.

Niepołomickie wyroby już w wieku XVI słyną. Kraków ma mnóstwo stamtąd pamiątek w stallach, gankach rzeźbionych, meblach.

Krakowskie kroniki mówią o snycerzach i stolarzach Piotrze Fischerze, Jaroszu, Przybysławczyku, Gruszczynie.

Kościoły krakowskie Franciszkanów, Dominikanów wskazują, że sztuka snycerska licznych w Krakowie musiała mieć mistrzów.

Sławne są również wyroby lwowskie. Ubiegają się o pierwszeństwo z najszacowniejszemi wyrobami. Ołtarze, kazalnice, stalle. Bernardyńska świątynia ma tych pamiątek ilość przednią. Imiona snycerzy Harasimowicza, Bentkowskiego, Teszerowicza dobrze są zapisane.

Najciekawsze jednak gdańskie wyroby. Słyną oddawna jako najlepsze w Polsce. Poszukiwane, przerłacane, cenione nader. Wieki XVI i XVII dają mistrzów znanych. Wielki ołtarz u Panny Marji w Gdańsku przez mistrza Michała rzeźbiony. Sam Dürer Albrecht projektował rycinę. Wielki ołtarz o wielu figurach w kościele Św. Trójcy w Oliwie roboty gdańskiej snycerza Wolfganga Sporera. Krucyfiksy i stalle gdańskie robi niejaki Ketting. Sam wielki astronom Heweliusz wykonuje w Gdańsku stolarskie roboty. Pozostawia słynną hebanową skrzynię, wykładaną płaskorzeźbą, ze srebra ze srebrną figurką na wierzchu. Doskonałe to dłuta i rylca dzieło. Sygnowane „Gewelke Gedani."

Ołtarz hebanowy w kaplicy cudownego obrazu w Częstochowie również częściowo gdańskiej roboty. Kapitele i gzymsy dolne, pyszne antepedjum, posągi aniołów i herb fundatora Ossolińskiego, wszystko to w Gdańsku wypracowane.

Gdańskie szafy, skrzynie, meble wszelakie, całkowite buazerje do sal jadalnych, pułapy kasetonowe różycami zdobne, ramy, posadzki wyfloresowane ślicznie, poręcze rzeźbione — wszystko dębowe lub orzechowe, w dobrym barocco siedemnastego wieku stylu, lub trochę późniejsze—spuścizna to nader cenna.

Niemcy nam tego zazdroszczą.

Przyswajają sobie inwencji pierwszeństwo. Nauka jednak już swe wypowiedziała zdanie. Polskie to zabytki bezsprzecznie. Są niektóre motywy z Holandji poczęte, całość wszelako nasza rodzima.

W Gdańsku samym, Krakowie, Warszawie, Krzeszowicach, po dworach polskich wreszcie, kunsztu snycerstwa gdańskiego pamiątek wiele.

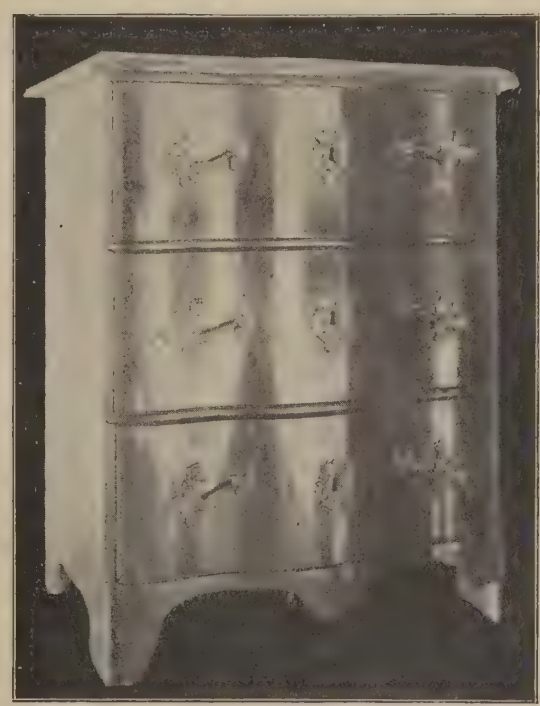

Komoda roboty warszawskiej czasów stanisławowskich.

Z gdańskiemi rywalizują warszawskie wyroby.

W kościele św. Jana stalle pięknej snycerskiej roboty, z herbami Sobieskich, dla duchowieństwa wyższego.

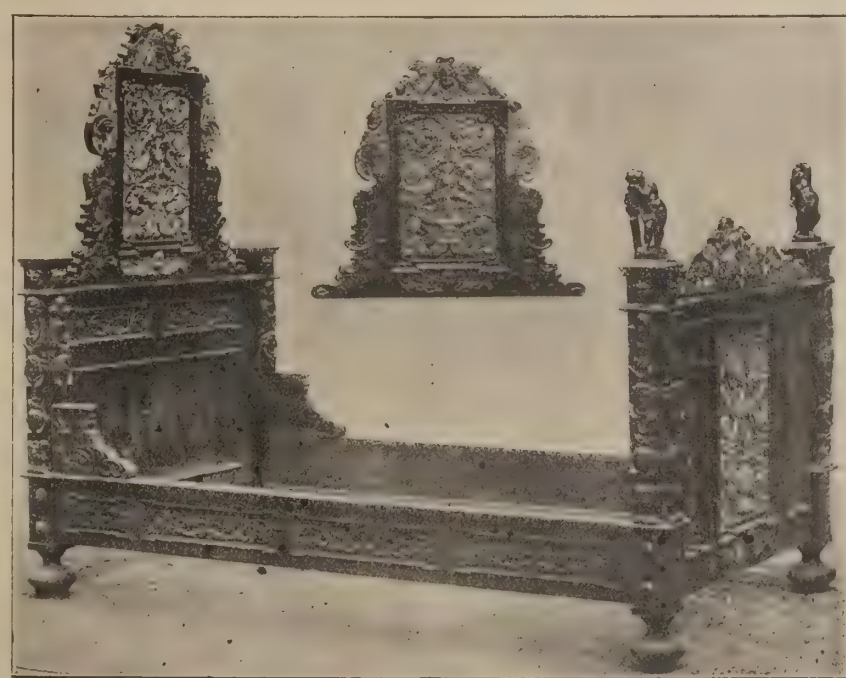

Łoże dębowe z w. XVII, rzadki okaz snycerskiej roboty gdańskiej.

W kościele Bernardynów warszawskim, różnobarwnem drzewem wykładane konfesjonały, ławki, szafy, drzwi. Dzieło braciszka zakonnego tamtejszego, Paschalisa Fischera.

Słynne medaljony z drzewa rzeźbi artysta z czasów Stanisława Augusta, Konarski niejaki. Przedstawiają znakomitości polskie i niegdyś bibljotekę Załuskich zdobiły.

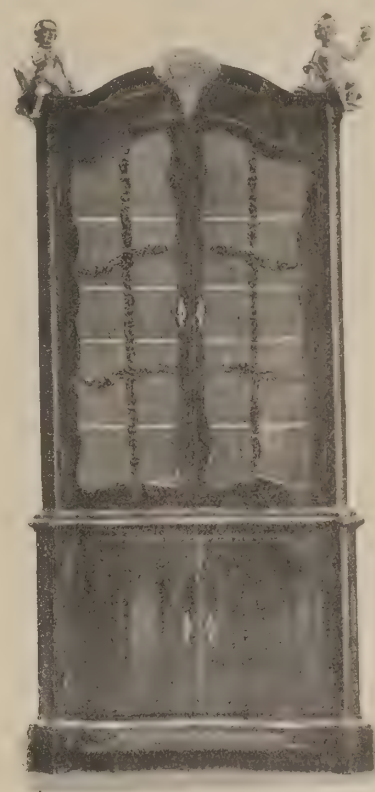

Szafa gdańska orzechowa z w. XVIII.

Stanisław August w sztuce snycerskiej piętno niezatarte pozostawia.

Były to czasy końca Ludwików we Francji. Epoka po stylu rococo wypieszczonym. Epoka przeczucia empiru. Klasycyzm już swe władanie oznajmia. Europa greckie reminiscencje wnet przejmuje. Król, intuicją wiedzion, poczucie wyborne piękna ma w sztuce. Kieruje, rysuje, wzory daje. Swój własny styl stwarza. Architektura, malarstwo, rzeźba, sztuka zdobnicza wreszcie — Stanisławowską cechę mają. Jest w niej spokój, umiar, żywość.

Król się otacza mistrzami w sztuce sławnymi. Są i snycerze, ebeniści. Simmler, protoplasta rodziny w kunszcie wsławionej, Romer, Fries, później Kurtz, Szpilarewicz.

Meble epoki króla Ciołka to szacowne wspomnienie.

I jeszcze mamy snycerstwo w Kolbuszowej w Tarnowskiem, w Brzeżanach, w Nowogródku, w Poznaniu, w Wilnie, w Grodnie, w Berdyczowie.

Kościuszko z zamiłowaniem się tokarstwu i snycerstwu oddawał. Przechowuje się ołtarzyk w Częstochowie jego roboty.

W Puławach znajdowała się jego waza z kości słoniowej. Są świeczniki, cukiernice przez Kościuszkę misternie wykonane. Posiada je Muzeum Rapperswilskie.

Antoni Urbański.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Z polskich jeden po drugim będą upadały. Np. pan Struve, który teraz wraca z Moskwy, będzie po moskiewsku wykładał. Pojechał do Moskwy pierwszy z profesorów warszawskich postarać się o stopień doktora, którego mu zaprzeczono. W tym celu już tutaj w Warszawie pod koniec się doktoryzował, kiedy powiedziano, że trzeba mieć krajowe stopnie. Panowie profesorowie, co nie robi im zaszczytu, zaczynali się powtórnie doktoryzować w Warszawie, Moskalom tłomaczyli, że stopnie krajowe, warszawskie, są moskiewskie. Hasło dał bibliograf Estreicher, któremu się zachciało zostać doktorem, chociaż i bez stopnia może mieć imię. Po nim Struve, Miklaszewski, Okęcki, Okolski. Sądzili, że oszukali Moskwę. Pan Struve trzeci się raz doktoryzuje tedy w Moskwie. Zarzucał „Kronikę rodzinną" Odyńca artykułami pół-estetycznemi, pół-filozoficznemi, nie mogło się od niego pismo odkaraskać. Brało za to cięgi, bo w ćwiczeniach stylowych Struvego odkrył „Przegląd katolicki" luterskie na świat poglądy. I oczywiście pastor filozof nie mógł być Polakiem i katolikiem *). Ale chciał być sławnym literatem. Więc pisał. Więc rozbierał książkę Bądzkiewicza o teorji poezji i wywoływał zgorszenie, które się aż o sądy oparło. Pierwszy raz spór literacki poszedł u nas przed sądy. Mąż uczony chciał sędziom przekazywać autora, że nie umie tego, czego uczy. Jednocześnie pan Struve patrjota dostał się do Szkoły Głównej niemieckiej... Wittemu się pochlebiał, mówił, że będzie się uczyć po moskiewsku.

Teraz robi sobie z tego zasługę, że dawno już wołał na moskiewski wykład. Ale jak mu się powiedzie w Moskwie? Gdyby był pojechał do Petersburga, lepiejby wyszedł. W Moskwie Katkowy, Leontjewy, Lubimowy mając go za Polaka, zechcą w nim może szykanować Szkołę Główną. Ale sądził, że najdzielniej zaimponuje Wittemu, jeżeli w jądrze moskiewskich zapałów skąpie się po uszy.

Nie czekając dwóch lat ma p. Białecki rozpocząć wykłady po moskiewsku **). Słychać o nim, że na posiedzeniu nowego uniwersytetu, kiedy obradowano nad sposobami utrzymania karności młodzieży, odezwał się, że można sprobować kozy. Moskale sami śmieli się, mówiąc, że w dalszym ciągu trzeba będzie może użyć rózgi.

Ludzie ogromnie podleją, to jest raczej podli oddawna, pokazują czem są, czem byli. Pan Budziński, dziekan prawny robił wniosek, żeby nie pozwalać na egzamina powakacyjne; chciał utrudniać młodzieży naukę, bo sądził, że to Moskalom na rękę. Istotnie na rękę ***).

Od dwóch lat, czy od roku podniesiono opłaty. Nowowstępujący mieli płacić po 50 rubli, kiedy dawniejsi, według ustawy Szkoły Głównej tylko po 20. Teraz w uniwersytecie niema różnicy, wszyscy płacą po 50. I pan rektor nową trudność stworzył pilnem przestrzeganiem terminów. Kto w czasie właściwym nie złoży opłaty, nie będzie przyjęty. Inna trudność egzamin moskiewski, który gubi wielu z młodzieży, tak jest ostry.

Pan Ławrowskij nie chciał słuchać nic o tych co w r. z. skończyli Szkołę Główną, lub kończąc nie pokończyli egzaminów. „Czort ich pobery!"—wołał. Ledwie *persona grata* p. Kowalewski wymógł, że dadzą mu jakie takie świadectwa.

Że Moskale bali się manifestacji młodzieży w dniu otwarcia, na to coraz więcej dowodów. Professorowie dostali po 4—5 biletów do rozdania studentom. Ale każdy z nich miał wybierać spokojnych, wyrozumiałych, „błagonadiożnych". Każdy miał spisać nazwiska wybranych. Tak więc była kontrola. Młodzieży dopuścili dlatego 200 tylko. Młodzież ta zasiadła z brzegu ławy. Kiedy gości przybywało, pan Witte, czy który inny mąż wielki, kazał się młodzieży w kąt usunąć pod ścianę, brzegi ław zostawić wolne. Ruszyła się młodzież i to spowodowało oczywiście hałas. Gieneral Krasnokutskij rzekł do X. Zwolińskiego, obok którego siedział: „Otóż mamy! Młodzież niekontenta, ładny mamy początek!" Nie wiedział co spowodowało hałas; sądził, że już dojrzewa rewolucja. Ale młodzież była „błagonadiożną".

Z księży nie był Dietrych. Wolał za niego Zwoliński wziąć z kapituły Metelskiego. Osobno widać był proszony Jakóbowski*). Księża byli, a ceremonja jednak bądź co bądź była moskiewska. Za przybyciem Joannikija, którego oprowadzał Berg, zaczęła się uroczystość. Obaj ci mężowie razem przyszli. Po ich wejściu zaraz djaki cerkiewni śpiewali moskiewskie, syzmatyckie pieśni.

Z profesorów prawnych usunięci Okęcki i Popiel, żywioł obywatelsko-szlachecki.

Pan Papłoński jest dzisiaj profesorem polszczyzny. Nie polszczyzny wyłącznie, ale słowiańszczyzny. Wykładać ma język polski, czeski, serbski i bułgarski z ich literaturami. Ma na to cztery godziny tygodniowo, więc po godzinie na jeden język. Ale „główny" słowiański język będzie miał trzy katedry sam dla siebie. „Nauka granic niema" powiedział pan Ławrowskij**). Tak jest, niema granic nauki języka moskiewskiego...

7 listopada, niedziela. W zeszłą sobotę pan Ławrowskij zaprosił studentów do auli i rozdawał im bilety. Nikt bez biletu do uniwersytetu chodzić nie może. Zalecał też im z kolei wszystkich urzędników kancelarji. Wprowadzał każdego na estradę, zacząwszy od Szerszeniewicza, aż do Jankowskiego, Kowańca, Potapenki. Wykazał ich ordery, rangi, honory. Mówił, że to służba uniwersytetu, że to słudzy studentów. Śmieli się ci biedni studenci. Co chwila dawał im nowy powód do śmiechu. Udają, że śmieją się, ale serce boli, że ich trąd oblazł. Ta służba kancelaryjna, to zakazane podłe figury. Kpią z nich przy każdem zdarzeniu. Po moskiewsku gadają, a młodzież im w oczy po polsku się śmieje, urąga. Będą zajścia, bez nich być nie może.

(*Dcn*) *K. Bartoszewicz.*

*) Struve, syn Niemców protestantów, po ukończeniu gimnazjum w Piotrkowie, jako kandydat na pastora udał się na protestancki wydział teologiczny do uniwersytetu w Tybindze. Słuchał przytem filozofji i w Jenie się doktoryzował. Mając lat 22, został adjunktem, a po roku profesorem nadzw. filozofji w Szkole Głównej. Dopiero później, już za uniwersytetu rosyjskiego, zajął wybitne stanowisko naukowe.

**) Antoni Białecki, o którym już było wyżej i będzie jeszcze szerzej, rzeczywiście odrazu zaczął wykładać po rosyjsku. Napisał rozprawę doktorską: „Mieżdunarodnoje prawo i jewo materjały". Jako kurator głośnego zapisu Kickiego dla Tow. Dobr. ściągnął na siebie poważne zarzuty.

***) Budziński Stanisław, prof. prawa karnego, znany w literaturze pod pseudonimem Bolesława Wiktora, pisywał też i po rosyjsku. Jednocześnie z profesurą piastował urzędy sądowe i doszedł do wysokiego stanowiska prokuratora przy X departamencie senatu.

*) Ks. Adam Jakóbowski ex-pijar, proboszcz kościoła św. Krzyża, „wszechstronnie uczony" jak się o nim wyrażał dr. J. Majer prezes Akademji Um. — był wielce zasłużony na polu oświaty. Postać to w Krakowie i w Warszawie b. popularna, ogólnie poważna i znana z ofiarności na cele publiczne. Był jakiś czas podskarbim Tow. Nauk. Krak. — Ks. Zwoliński, narzucony na administratora diecezji, sługus rządowy.

**) W przemowie przy otwarciu uniwersytetu.

AKADEMJA.

Cywilizacja nie jest taką druzgocąco wspaniałą rzeczą, jakby się zdawało.

Z tego, że za czasów Cezara Borgji nie było maszyn do pisania, nie wynika jeszcze powód do zbytniej chełpliwości.

Zwłaszcza, gdy się zważy, że Stueckgoldowie rozbijali dawniej z narażeniem własnego życia, dzisiaj zaś narażają tylko siedzenie... na siedzenie.

Ekstrawagancja traci polot. Karmazynowość czynu szarzeje. Zasługa bywa nagradzana orderkiem. „Triumfów" na rydwanach, liktorskich toporków i wawrzynowych wieńców nie znamy, niestety!

Solenność obyczajowa także wyblakła. Drzewiej urządzano turnieje, kalecząc się bardzo intensywnie w oczach pięknych dam: dziś cała rzecz sprowadza się do herbatki z ciastkami. I to zresztą przechodzi powoli do tradycji. Herbatkę podają wprawdzie tu i owdzie—ciasteczek coraz mniej.

Dawniej... Ba!—dawniej było inaczej: gonili do pierścienia, ścinali się w palcaty, pojedynkowali, ujeżdżali jakieś nieprawdopodobnie dzikie araby, czy nawet perskie dzianety—dziś? Grają w bridge'a i tańczą shimmy do znudzenia...

. . . . . .

Na przyjęcie dostojnych gości rzezano dawniej wielką moc baranów, wołów, wieprzy... Bito indory, perlice, pawie, kapłony,—już nie wiem co.

Dziś uroczystość witania i żegnania odbywa się naczczo.

Nazywają to *Akademją.*

. . . . . .

— Co ma wspólnego z Akademją (jeżeli źródłosłów jest grecki?)—smutna zabawa w cenzurowanego, pospolicie uprawiana podczas t. zw. uroczystości narodowych, czy też politycznych oczepin, albo obłóczyn?

Nic zgoła.

Siedzą jedni i ci sami zawsze, przeraźliwie uroczyści ludzie—i słuchają konwencjonalnych przemówień swoich dobrych znajomych.

Do tego czasami kantata.

— Gdybyż choć gorąca przekąska!...

Nic. Uwzięli się.

I ten nieznośny, tombakowy patos:

„— Panowie, panie... W chwili, która... Naród, który... Czasu wojny, kiedy... Wiekopomna, zwłaszcza... Świetna, zważywszy... Bicie serc, uniesionych..." i t. d., i t. d.

— Stanowczo wzywamy Rząd i społeczeństwo do zaniechania tak zwanych „Akademij".

Jednocześnie, niechby Najwyższy Trybunał orzekł, że osoby, winne—organizowania t. zw. „Akademij", albo podejrzane o udział w organizowaniu tychże „Akademij", względnie, osoby, podżegające do organizowania „Akademij", albo popierające „Akademje" —

bez względu na to, czy ich występna działalność wyda owoce, czy też nie wyda —

jakoteż bez względu na to, czy będą działały pojedyńczo, czy w grupie, albo szajce, czyli bandzie (drużynie, zastępie, komisji, komitecie)—t. zw. „Komitadżi —

następnie: osoby, występujące gwałtownie i usiłujące pod niegodziwym a nawet pod godziwym pretekstem — mową, namową, przemową, a nadewszystko: *wymową* —

skłonić współobywateli do zorganizowania „Akademji" —

powinny być karane śmiercią.

. . . . . .

Jakby to było ładnie!...

Zdzisław Kleszczyński.

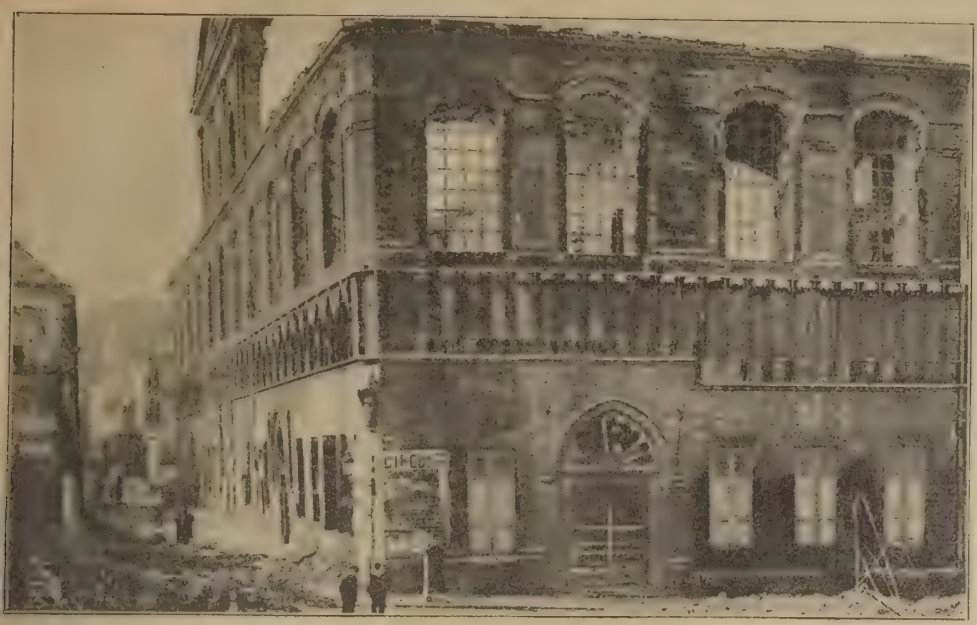

Gmach uniwersytetu w Louvain, spalony przez Niemców w 1914 r.

Model plastyczny nowej bibljoteki uniwersyteckiej w Louvain.

BIBLJOTEKA W LOUVAIN.

Podnosząca się z popiołów i zgliszcz bibljoteka uniwersytecka w Louvain, spalona przez Niemców w nocy z 25—26 sierpnia 1914 roku, jest dowodem niewyczerpanej i nieugiętej, mimo wszelkich klęsk, żywotności narodu belgijskiego.

Po zbrodni lovańskiej, dokonanej na duszy narodu, tak jak rzezie cywilne były mordem, dokonanym na ciele i krwi, cały świat cywilizowany wyraził swe oburzenie. Apel rzucony przez uczonych, artystów i pisarzy do społeczeństw całego świata, aby dopomogły do odbudowania spalonej książnicy, znalazł oddźwięk powszechny. Zawiązał się „Międzynarodowy komitet rekonstrukcji bibljoteki w Louvain", który specjalne zainteresowanie obudził w Ameryce. Na czele tej instytucji stanął rektor uniwersytetu w Kolumbji, profesor Murray Buttler. „National commitee of the United States for the restauration of the University of Louvain" działał najsprawniej. Poza tem, w poszczególnych krajach i miastach, zawiązywały się komitety, mające na celu wynagrodzenie Belgji choć w części poniesioną stratę.

Zniszczenie uniwersytetu wraz z jego bibljoteką w Louvain było stratą nie tylko dla Belgji, ale dla całego cywilizowanego świata. Uniwersytet w Louvain posiadał piękne tradycje. Założony w roku 1426 przez księcia Jana IV, przechodził najrozmaitsze koleje losu i miał okresy takiego rozkwitu, iż wspomnienia o nim nie zniszczą żadne pożary. Około sześciu tysięcy studentów, przybyłych z obcych krajów, czerpało tam wiedzę. Fakultet teologiczny nie miał równego sobie w całej Europie. Wykłady Justusa Lipsiusa przyciągały tłumy słuchaczów. W wieku XIX uniwersytet ten pod patronatem episkopatu belgijskiego, składający się z pięciu fakultetów, ze szkołą rolniczą i górniczą i szkołą sztuki, słynący wykładami księdza Mercier, który od 1882 roku prowadził w nim kurs filozofji, zyskał sławę i rozgłos. Bibljoteka jego należała do najprzedniejszych bibljotek w Europie. Wśród 250 tysięcy spalonych ksiąg, znajdowały się cenne rękopisy i inkunabuły, których nic nie będzie w stanie zastąpić, i choć dziś już ilość ksiąg przesłanych Belgji z Francji, Anglji, Włoch, Ameryki, Polski, a nawet z Grecji, przewyższyła ilość ksiąg, zawartych w starej bibljotece, straty są niepowetowane i miał słuszność jeden z profesorów zniszczonej wszechnicy, mówiąc, iż „żadne skarby bibljofilskie nie zastąpią skarbów bibljoteki, stworzonej przez wieki, której każda księga spalona jest wydartą kartą historji!"

Jak wielki żal ogarnął miłośników książek na wieść o spaleniu bibljoteki w Louvain i jak gorący był entuzjazm w celu jej odbudowania, świadczy czyn panny Zuzanny Minns z Bostonu. Znana ta zbieraczka posiadała jedyną w swoim rodzaju kollekcję ksiąg, rycin, medali, dotyczących zagadnienia śmierci i mających za treść krótkotrwałość życia. Znajdowały się wśród niej psałterze z XV-go wieku i bezcenny sztych epoki, przedstawiający Savonarolę. Doszedłszy do lat 84, postanowiła sprzedać swe kollekcje i w tym celu zwróciła się z prośbą o pośrednictwo do „American art association." Dowiedziawszy się o tragedji lovańskiej, poruszona nią do głębi, chciała cofnąć swój zamiar. Było na to jednak za późno i aukcja „zbiorów śmierci" musiała się odbyć. Zapalona miłośniczka ksiąg stanęła w rzędzie nabywców i za 12 tysięcy dolarów nabyła najcenniejsze przedmioty ze swej kollekcji, aby przesłać je w darze bibljotece w Louvain.

BIBLIOTHECAE
UNIVERSITATIS LOVANIENSIS
A BARBARIS EXUSTAE
NUNC VERO RENASCENTI
DONO DATUM

Ex-libris bibljoteki uniwersyteckiej w Louvain.

W Polsce sprawa odbudowy bibljoteki lovańskiej specjalne zainteresowanie obudziła w Poznaniu. Dzięki inicjatywie ks. Edmunda Majkowskiego wysłano cenną partję ksiąg, liczącą około 100 tomów, wybranych z pośród dubletów Bibljoteki Diecezjalnej w Seminarjum poznańskiem. Były to dzieła słynnych autorów z dziedziny historji i prawa kanonicznego. Każde z tych dzieł opatrzone zostało ex-libris'em ze specjalnie w tym celu skomponowanym napisem, który brzmiał: „*archieppale seminarium posnaniense bibliothecae universitatis lovaniensis a barbaris exustae nunc sera renascenti dono datum.*"

Poza tem posłała swe nakłady Akademja Umiejętności w Krakowie.

Instytucja rekonstrukcji bibljoteki pracuje po dziś dzień i wydaje co dwa miesiące biuletyn pod tyt.: „L'oeuvre internationale de Louvain", w którym powiadamia o postępach swej pracy.

Po zawieszeniu broni architekt amerykański, Whitney Warren, skreślił plany budowy i przybył do Louvain, aby rozpocząć pracę. Dnia 28 lipca 1921 roku, w obecności króla belgijskiego, królowej, młodych książąt i kardynała Mercier, prof. Buttler położył kamień węgielny pod budowę nowej bibljoteki, a w dwa lata później, 17 lipca r. b. ukończono jedno jej skrzydło, które w dniu tym uroczyście zostało poświęcone. Jednocześnie młody królewicz belgijski Leopold złożył własnoręcznie na półkach odrodzonej książnicy pierwszą księgę. Tą *liber memorialis* była księga, zawierająca nazwiska studentów starej wszechnicy w Louvain, poległych za wolność ojczyzny, z krótkim życiorysem każdego z nich i opisem jego karjery wojskowej. Następne księgi pamiątkowe złożyli: Amerykanin i Francuz, a są to cennie oprawne księgi, zawierające nazwiska ofiarodawców na rzecz bibljoteki.

Te dwie uroczystości stanowią jeden z najszlachetniejszych epilogów krwawej tragedji, którą była wojna wszechświatowa. Podstępne i potworne zniszczenie tego sanktuarjum nauki, jaką była bibljoteka w Louvain, odsłoniło przed światem istotne cele prusaka, który chciał dla swych korzyści zniszczyć i splugawić cały świat. Palenie miast i wiosek, niszczenie magazynów, gwałcenie kobiet, znęcanie się nad dziećmi, były to sposoby znane światu od czasu Atylli i Abdul-Hamida. Ale zniszczenie jednej z najcenniejszych bibljotek świata i spalenie jednego z najsłynniejszych uniwersytetów jest zbrodnią, o którą nie podejrzewano nawet prusaka.

Louvain nie czekało długo, aby dlań wybiła godzina zemsty. Może istotnie zniszczenie „Aten belgijskich" według określenia słynnego filologa Lipsiusa, przyczyniło się do ściślejszego zespolenia koalicji, która wreszcie obaliła na ziemię germańskiego potwora.

Poeta William Watson twierdzi, iż na grobie Wilhelma Hohenzollerna powinno być wyryte jedno jedyne słowo: „*Louvain*", jako najwyższe oskarżenie barbarzyńcy.

Tragedja Louvain jest skończona. Feniks odradza się już z popiołów. W zabitych gwoździami pakach i skrzyniach, złożonych czasowo w kilkunastu lokalach odbudowującego się uniwersyteckiego miasteczka, spoczywa 263 tysiące tomów, przysłanych w darze z wszystkich części świata i 300 tys. tomów, zebranych w Belgji. Książka bezużyteczna jest książką umarłą. Ale wybije godzina — jak twierdził podczas uroczystości 17 lipca mgr. Ladeuze, rektor uniwersytetu — iż te martwe księgi, jak kości rozsypane na pustyni, na które spoglądał Ezechiel, zbliżą się do siebie i staną obok siebie na półkach książnicy, aby stanowić jedno ciało, żywą krwią tętniące. A wtedy ożyje duch starej, flamandzkiej *Alma mater*, aby rzucić światu hasło wiecznotrwałej miłości wiedzy i sztuki.

Z. Rabska.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

11)

— Dla ciebie, naturalnie. Ileż ty masz lat? Czternaście — co? Gdybyś miał pojęcie o polityce...

— Niechże mi się pan da wygadać. Już mi pan znowu wszystko popsuł.

— Co? jak?

— Z panem nie sposób mówić logicznie— pan jest taki dziecinny.

— Bo to prawda.

Burmistrz patrzył jakiś czas na Jakóba, zdumiony i wściekły. Poczem rzekł cicho, jakby wyczerpany wielkiem wzburzeniem:

— Ty jesteś źle wychowany—ot co jest. Jesteś zuchwały i wścibski. Mówisz, że ja się nie umiem zachować.—A ty? czy ty się umiesz zachować? Chciałem z tobą mówić o społecznych kwestjach. Jak z poważnym człowiekiem.

— Zgadzam się, ja sam chciałbym usłyszeć od pana coś rozumnego.

— Nie masz pojęcia — rzekł na to burmistrz — jak mnie wszyscy kochają. Jestem ulubieńcem całego miasta. Nie wierzysz?

— Myślałem, że mi pan coś ciekawego opowie... o polityce! O tem rzeczywiście nic nie wiem, o partjach w parlamencie...

— A o czem że ja mówię? Mnie wszystkie partje lubią, to bardzo ważne... a także i rząd... O tem później... Ja jestem sam już prawie... no zostawmy to na razie. Ale stosunki z ludźmi są bardzo ważne. Zanotuj to sobie na drogę życia. Nie mów nikomu, pamiętaj, słowo honoru! Ale gdyby minister dla handlu i przemysłu ożenił się z Marjanną...

Co?!

— Myślisz może, że to stary człowiek? Ani mu się śni. Jak się go zdaleka widzi... W twoim wieku myśli się, że wszyscy dorośli są starzy. Popatrz np. na mnie. Kiedy tak stoję... kiedy tak chodzę po pokoju...

— No, no, już dobrze...

— Czy ja jestem stary?

— Tak.

— Co?

— No tak—nie mogę inaczej powiedzieć.

Burmistrz naraz usiadł. Tak jakby mu się już jego młodość sprzykrzyła. Oparł głowę na rękach i patrzył ponuro przed siebie.

— Czy twoi rodzice już wyjechali? zapytał całkiem innem tonem.

— Tak, przedwczoraj.

— Gdzie śpiewa teraz twoja matka?

— W Rzymie.

— No dobrze, w Rzymie — a wiesz co ja sobie myślę? Myślę sobie: Sława jego matki zawróciła mu w głowie.

— Komu?

— Tobie. Ty sobie wyobrażasz, że tylko wtedy się jest sławnym, kiedy się ma ładny głos. Ty mianowicie masz rodziców, którzy się zajmują tylko muzyką... ty nie rozumiesz, że i na innych polach... Ja wprawdzie jestem tylko przemysłowcem i politykiem... ale mimo to... pogardzać mną nie powinieneś, mój kochany...

— Czy ja może powiedziałem, że panem pogardzam?

— Nie złożyłeś nam wizyty...

— Że też pan ma czas zajmować się takiemi rzeczami. Nie byłem u państwa, bo musiałem się uczyć.

W tej chwili przypomniał sobie, że nie odrobił jeszcze zadania na drugi dzień.

— Do widzenia — powiedział nagle.

Burmistrz spojrzał osłupiały.

— Co ty masz za sposób... Najpierw się nie pokazujesz wieki... a potem naraz...

Ale Jakób już był za drzwiami.

— Będę się zajmował teraz tylko książkami — myślał sobie na ulicy — książki są zawsze te same, a ludzie mają widocznie tylko kiedy niekiedy mądre chwile, poprostu czas się traci, zadając się z nimi. Cóż ja np. korzystam z rozmowy z burmistrzem? On umie mówić tylko w parlamencie i to tylko wtedy, kiedy mu prezydent udzieli głosu.

VIII.

A więc Jakób przestawał teraz tylko z książkami. Elektrotechnika była zawsze jeszcze jego specjalnością, a trudne i niebezpieczne eksperymenta, które robił w swoim pokoju, napędzały niemało strachu inżynjerowej i innym domownikom. Ale także i inne naukowe zagadnienia drażniły jego zdrowy apetyt.

Nie rezygnował z żadnego źródła wiadomości — z każdego chciał coś skorzystać i okazywał w tem wiele odwagi, zamiłowania i wytrwałości.

Profesor matematyki i historji naturalnej, któremu przy każdej sposobności stawiał pytania, popadał przez niego nieraz w ciężkie tarapaty.

Skarżył się swemu koledze — profesorowi klasycznej filologji: — Ten chłopiec jest najtrudniejszem zadaniem mojego życia. Wykład w klasie mogę sobie przygotować, ale Jakób jest nieobliczalny. Jakże mogę przewidzieć z czego mnie wyrwie następnego dnia?

— Kolega bierze to zanadto tragicznie — odpowiedział filolog — trzeba trochę oszukiwać. Jakżeby nam było możliwem utrzymać się zawsze na stanowisku — kiedy czterdziestu chłopców uważa nas za nieomylnych.

— Obawiam się, że ten hultaj nie uważa mnie już dawno za nieomylnego. Nie zniechęca się wprawdzie i egzaminuje mnie ostro jak dawniej...

— A widzi kolega.

— ...ale to już długo trwać nie może. Pewnego dnia będę zmuszony kapitulować... i odpowiem mu: Nie wiem.

— To niemożliwe. To byłoby samobójstwem. Niech mu kolega odpowie cośkolwiek.

— Cośkolwiek — o, to łatwo powiedzieć. Jakób ma niemożliwą pamięć.

— Podobno pamięta wszystko, czego się raz nauczył?

— Ależ, on pamięta wszystko, co mu się powiedziało tylko tak, mimochodem. Jakże ja go mogę „oszukiwać" skoro moja pamięć jest słabsza niż jego. Tacy ludzie wymagają konsekwencji — i niema z nim rozmowy, któraby nie zobowiązywała.

— Ludzie! Jakób jest przecież dzieckiem.

Filolog miał rację. Jakób pomimo swej śmiałości—niektórzy nazywali to bezczelnością, nie czuł się jeszcze dorosłym. Wierzył zawsze jeszcze w „starszych", którzy mieli może więcej rozumu, niż uważali za stosowne pokazywać mu.

Wierzył nawet w inżynjera i stawiał mu czasem bardzo trudne pytania na wspólnych przechadzkach.

Inżynjer brał te rzeczy lżej, niż profesor matematyki. Jeżeli czegoś nie rozumiał, to odpowiadał niezawodnie:

— O tem ani słowa, mój kochany. To mi przypomina największe nieszczęście w mojem życiu i pozostaje w związku z jednym problemem, który mnie zajmował w moich najstraszniejszych czasach.

A Jakób brał to dosłownie. W życiu inżynjera było dużo zagadek i ciemnych punktów. Przytem był nerwowy i trzeba było uważać, żeby nie poruszać niemiłych mu tematów. Do takich tematów należała także niestety i elektrotechnika.

Było jeszcze najrozsądniej pozwolić mu mówić o czemś, co go chwilowo zajmowało, a były to przeważnie mosty, które kiedyś rysował lub budował.

Raz Jakób przerwał mu nagle.

— Prawda, że pan chciał raz budować most tak długi, że potrzebaby lat do przebycia go.

Zaraz potem dodał:

— Naturalnie piechotą.

A potem dorzucił prędko, bardzo zawstydzony:

— Nie, to jest niedorzeczność. Musiałem to gdzieś czytać albo mi się śniło.

Inżynjer zapytał:

— Czy ci to twoja matka opowiadała?

— Ach, tak, rzeczywiście Eugenja mi opowiadała.

I dodał:

— Naturalnie, ja sam nigdy takich rzeczy nie czytam—z zasady. Może kiedyś dzieckiem. Ale — nie. Bajki mnie zawsze nudziły. Tak, Eugenja mi opowiadała. Ale może pan sobie wyobrazić, że nie była sama taka głupia, żeby w to wierzyć?

— Wyobrażam sobie — rzekł inżynjer, ale głos jego brzmiał trochę dziwnie, prawie ironicznie.

Teraz się zasypałem — pomyślał Jakób — on przecież myśli, że ja w to wierzyłem.

W dodatku, ku swemu największemu zmartwieniu, czuł, że robi się coraz czerwieńszy.

— Ha, ha—śmiał się głośno z zakłopotania—dziecinna myśl! Po pierwsze technicznie niemożliwa — taki most — a oprócz tego — bezcelowa, prawda?

Naraz przestał się śmiać i krzyknął kilka razy:

— Niech mię djabli wezmą, niech mię djabli...

Inżynjer rzekł spokojnie:

— Mnie się zdaje, że zwarjowałeś, ale nie — ty teraz jesteś w tym wieku...

Jakób nie wiedział co „w tym wieku" miało oznaczać. Ale nie pytał się tym razem.

Myślał:

Od pewnego czasu każda drobnostka wyprowadza mnie z równowagi. To i owo przeszkadza mi w myśleniu. Błaźnię się na każdym kroku. Mówię o wiele głupiej niż jestem w istocie.

(Dcn)

Widok ogólny miasta i wejście do portu w Hawrze.

WYCHOWAŃCY POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ W HAWRZE I ROUEN.

Le Havre, w sierpniu.

We Francji bawiła niedawno wycieczka 20 studentów Politechniki warszawskiej, z profesorami Geysztorem i Kurnatowskim na czele. Wycieczka spędziła cztery dni w Paryżu, zwiedzając wszystko, co było godnem dla techników widzenia. Ekskursjonistów naszych wzięło pod pieczę Stowarzyszenie *France-Pologne*, którego sekretarz generalny, p. Andrzej Menaleréa oprowadzał po Paryżu. Zadanie zwiedzenia prowincji francuskiej wzdłuż i wszerz wziął na siebie p. Aleksander Merlot, dyrektor Izby handlowej francusko-polskiej w Paryżu. Pierwsza wycieczka na prowincję odbyła się w portach północno-zachodnich Francji, Le Havre i Rouen, dokąd zaproszono także i niżej podpisanego. Nie tyle więc jako uczestnik, ile jako świadek, poczuwam się do obowiązku napisać parę słów, jak młodzież naszą przyjmowali przedstawiciele bogatej i kwitnącej Normandji.

Zwiedziliśmy dwa największe porty francuskie, widzieliśmy cały szereg urządzeń technicznych, które świadczą, że Francja kroczy na czele nie tylko wolności i kultury intelektualnej, ale także i cywilizacji materjalnej, to znaczy postępu technicznego. Nowe urządzenia portowe w Hawrze uczynią z miasta tego pierwszy port w Europie. Buduje się tam obecnie magazyny, doki, składy towarów, chłodnie i inne instalacje portowe w tak olbrzymich rozmiarach, że niektóre z nich liczą 350,000 metrów kwadratowych. Przytem wszystko jest tak urządzone, że siła mechaniczna zastępuje siłę ludzką. Zwiedzaliśmy również fabryki a między innemi takie, jakich w Polsce wcale niema np. fabrykę kabli morskich. Jedną z najciekawszych była wizyta w miejscowości Radicatel, położonej o 30 kilometrów od Hawru. Tutaj zbudowano elewatory, które dostarczają miastu wody do picia. Funkcjonują tu maszyny nadzwyczaj pomysłowe, a rzecz cała była dla nas o tyle ciekawsza, że instalację tę zbudował inżynjer Polak, p. K. Sosnowski, który przyjechał z nami do Hawru i osobiście udzielił nam wszelkich wyjaśnień. Młodzi nasi inżynjerowie przyglądali się temu wszystkiemu z wielkiem zainteresowaniem i pożytkiem.

Zarówno w Hawrze jak i w Rouen przyjmowano nas z zapałem, z serdecznością. Izba Handlowa w Hawrze podejmowała naszych studentów śniadaniem, wieczorem rada miejska wydała bankiet w przecudnym Palais des Fregates; siedząc za stołem, mieliśmy przed sobą wspaniały pejzaż morski, cudowny zachód słońca, widzieliśmy z daleka rzęsiście oświetlone Trouville i Deauville. Dopiero tutaj zrozumieliśmy w całej pełni tęsknotę za morzem, gdyż przekonaliśmy się, do jak imponujących rezultatów dochodzą kraje, mające wyjście na morze. Refleksje te znalazły echo w przemówieniach toastowych, przepełnionych, z polskiej strony, melancholją i nadzieją rozszerzenia wybrzeży morza polskiego, a z francuskiej strony gorącem życzeniem zrealizowania naszych nadziei.

Aleksander Merlot, redaktor „La Pologne", organu towarzystwa „Polsko-Francuskiego" i Izby Handlowej Francusko-Polskiej.

W Rouen zwiedziliśmy fabryki, rafinerję naftową, wybrzeża Sekwany na łaskawie oddanym do naszej dyspozycji statku, wreszcie katedrę Notre-Dame tudzież kościoły Saint-Macloud i St.-Ouen, tak ściśle związane ze śmiercią Dziewicy Orleańskiej. Kościoły te są prawdziwemi bryłantami architektoniki średniowiecza, a majestat ich jest tak uroczy, że pozostawia wrażenia niezatarte.

Jeszcze raz chcę podkreślić serdeczność, z jaką przyjmowano naszą młodzież w Hawrze i w Rouen. Nasze najentuzjastyczniejsze podziękowania nie będą wcale równe tej przyjaźni, jaką nam okazano w Hawrze. Niechaj mi więc wolno będzie—w imieniu naszych studentów, którzy mnie o to prosili usilnie — złożyć wdzięczność panu H. Du Pasquier, profesorowi Izby Handlowej w Hawrze, inżynjerom pp. Corbeaux i Jacquey, inżynjerom pp. Lefebvre, Godet i Cody i wreszcie p. konsulowi Stempowskiemu (Francuz pochodzenia polskiego), którzy przez cały dzień oprowadzali nas i otaczali najgorętszą, bratnią opieką.

W Rouen mer miasta i sekretarz jeneralny prefektury departamentu Seine Inférieure wręczyli profesorowi Geysztorowi medale pamiątkowe i wygłosili serdeczne przemówienia na powitanie gości polskich. Prezes Izby Handlowej w Rouen, p. Glorja wydał śniadanie, wyraził radość z powodu wizyty naszej w dawnej stolicy Normandji, oprowadzał nas przez cały dzień i opuścił dopiero, kiedyśmy wsiadali do pociągu.

Należy się wreszcie podziękowanie p. Aleksandrowi Merlot, który podjął trudy towarzyszenia młodzieży naszej we wszystkich jej peregrynacjach po Francji i wszystko zorganizował po mistrzowsku.

Młodzież nasza czuje się wyśmienicie.

Jest nie tylko zachwycona, ale i wzruszona przyjęciem, zgotowanem jej we Francji. Mimo upały 30-to i 35-cio stopniowe wszyscy czują się dobrze.

Młodzież nasza przekonała się, że przyjaźń Francji dla Polski ma korzenie głęboko zaryte w całej Francji i przy każdej okazji wybucha z żywiołową serdecznością.

Wizyta w Hawrze i Rouen pozostawiła w naszych sercach wspomnienia, które nigdy nie zagasną.

Stefan Aubac.

Bankiet wydany przez Stowarzyszenie France-Pologne na cześć studentów politechniki warszawskiej.

Olbrzymie składy cukru w porcie Hawru, liczące trzy piętra, każde o powierzchni 80 tysięcy metrów kwadratowych.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 32)

Naraz na progu pojawił się tęgi, siwy już krajowiec w żółtej szacie lamy wyższego rzędu. Baron przerwał natychmiast posłuchanie i pośpieszył na przeciw niemu. Dordżi-Nojon wstał i pochylił się przed dygnitarzem do samej ziemi. Wśród powitań i grzeczności baron poprowadził gościa na honorowe miejsce pod ołtarz Buddy i posadził na dwóch ślicznie haftowanych poduszkach. Natychmiast pojawił się przed nim niski hebanowy stoliczek, zastawiony słodyczami i ordynans zaczął roznosić obecnym na tacy filiżanki z herbatą. Na znak barona ostatni oficer sztabowy zabrał papiery, włożył je z powrotem do teki i wycofał się dyskretnie. Baron i dwaj dygnitarze mongolscy pozostali sami.

— Diurbiuci przysłali delegację!... — zaczął ostrożnie lama.

— Już mówiłem o tem Dziań-dziu-niowi. Błogosławiony Chań-Cy!—oznajmił pośpiesznie Dordżi z niskim ukłonem.

— Acha! Więc jakże?... — zwrócił się lama do barona.

Ten milczał chwilę, nie podnosząc oczu.

— To się da zrobić!... Naradzimy się, rozważymy—odrzekł wreszcie wolno — Na razie pilniejsze mam sprawy. Wiadomo wam pewnie, czcigodny Dżoł-Chań-Cy—zwrócił się do lamy—że w Choszunie Dordżi Nojona spadł aeroplan. Już wielekroć razy zwracałem uwagę Radzie Najwyższej, jak ważną, jak konieczną dla nas rzeczą jest posiadanie aeroplanów!...

Dżoł Chań Cy kiwnął głową.

— Zanim tej rzeczy nie załatwimy, nie chcę o niczem myśleć i radzić! Jutro rano wyjeżdżamy z Dordżi Nojonem, aby aeroplan obejrzeć i lotnika zbadać. Zobaczę, jak to wszystko wygląda, raport i projekt swój przedstawię Radzie Ministrów!...—zakończył szybko i stanowczo baron.

Dżoł Chań Cy słuchał uważnie i przebierał paciorki różańca.

— Dam-bo Bog-do Ge-gen interesuje się bardzo sprawą „Białej Darichu"... Diurbiuci trafili już do niego... do Bogdo-Gegen. Najświątobliwszy uważa, że byłoby rzeczą bardzo niepożądaną wzniecać obecnie jakiekolwiek religijne waśnie!...

— Sam to myślę!...—przerwał żywo baron.—I przypuszczam, że mi uda się przekonać Dordżi Nojona...

Rzucił z ukosa spojrzenie na księcia, którego nieruchoma figura i kamienna twarz z grubemi powiekami, opuszczonemi na małe ukośne oczka, wyrażała obecnie czujną wstrzemięźliwość.

— Naród Chał-cha jest liczny, jak gwiazdy na niebie... Każdy tam ma swoją myśl i język... Dordżi Nojon, choć książę, jest jeden... Ale stanie się co postanowi Najświątobliwszy Pan nasz, Dżep-sun Dam-bo Bog-do Ge-gen!...—zakończył uroczyście.

Dżoł Chań Cy skłonił pobożnie głowę. Czas jakiś rozmawiał jeszcze z baronem o rozmaitych drobiazgach, wreszcie podniósł się, a z nim razem wstał i zaczął z gospodarzem również żegnać się Dordżi Nojon.

VIII.

Stary dom chiński, na którego podwórzu stał namiot barona, miał grube mury i podzielony był wewnątrz na dziesiątki małych pokoików, połączonych zgodnie ze zwyczajem miejscowym krętemi korytarzykami i przemyślnemi przejściami. Dawniej służył za chiński „jamyń" *), obecnie mieściły się w nim biura Ministerjum Wojny Niepodległej Mongolji.

W jednym z bardziej ustronnych pokoików tego budynku, w blasku światła zwisającej z niskiego pułapu elektrycznej lampy z czerwonym abażurem, stał europejski stół, powleczony białym europejskim obrusem i zastawiony bogatą europejską zastawą. Pośrodku w ślicznym chińskim wazonie żółcił się, ziejąc, duszący aromat, wielki bukiet herbacianych róż. Obok z dwóch stron stały szklanne czary z owocami. Nakryć, lśniących srebrem przyborów, śniegiem porcelany, opalami różnokształtnych kieliszków, było trzy. Troje poręczy niskich, obszernych jak sofy, wykładanych skórą foteli, czerniało za każdym z nich. Nie tylko zawarte okiennicami okna, ale i ściany zawieszone były ciemnemi turkmeńskiemi kobiercami z krwawemi wzorami. Gruby, perski dywan zaścielał całą podłogę. Szczelne zamknięcie stwarzało duszną atmosferę, którą z trudem odświeżał świegocący w górze wentylator. Zapach kwiatów mieszał się z zapachem wina, potraw i jakichś mdłych, drażniących, wschodnich perfum. Pokój był pusty, lecz gdzieś obok za ścianą rozlegały się kroki żołnierzy, stukały kolby karabinów i zgrzytały zasuwane rygle. Nagle wszystko ucichło; jednocześnie niskie drzwi z tej strony otwarły się i do pokoju wszedł Wołkow. Miał na sobie elegancki biały kitel oficerski i granatowe, długie spodnie z wąziutkim czerwonym lampasem. Obejrzał bystrem okiem liczne przekąski, stojące na osobnym stoliczku pod ścianą, poczem nachylił się do wielkiego srebrnego wiadra umieszczonego na podłodze, gdzie z brył lodu wystawały szyjki butelek szampana.

Potworna jego czukocka głowa wypłynęła nagle w tym ruchu z cienia abażuru i zalśniła łysiną w jaskrawem świetle elektrycznem, jak czerep kościotrupa. Zadowolony był z przeglądu, zmrużył oczy i uśmiechnął się; sprobował nawet zagwizdać z cicha wesołą aryjkę, gdy wtem drzwi otwarły się powtórnie i na progu ukazał się Baron. Miał na sobie żółty, złotem tkany chałat, przewiązany w pasie błękitnym, jedwabnym „chadakiem" **). Nim wszedł, obszukał pokój bystrem, podejrzliwem spojrzeniem.

Wołkow już go zauważył i obrócił się ku niemu żołnierskim ruchem.

— Wszystko w porządku: butelka czystej-ojczystej, koniaku—dwie, burgundu dwie, szampana pięć... nie licząc likierów...— meldował żartobliwie.

— Napewno jakie licho znowu kogoś przyniesie!...—mruknął posępnie baron.

— Niema obawy! Asekurowałem się!... „Ekscelencja już wyjechał"... Samochód ostentacyjnie przedefilował przez miasto z podniesioną budą, a wewnątrz siedział... Dordżi... Będą czekali za miastem!... Cha, cha!... Co? sztuka—rozśmiał się Wołkow śmiechem podobnym do krakania wrony.

Baron wykrzywił usta i opadł ciężko na fotel.

— Przedewszystkiem posilimy się sami. Nieprawda?... Co? Wódki czy koniaku?—pytał Wołkow, wyciągając rękę do butelek. — Wspaniały kawior... polecam... I cytrynę mam!... Więc co: czystej-ojczystej, czy koniaku?

— Wszystko jedno. Dawaj wódki!...—odmruknął baron.

Wychylił kieliszek wódki i wziął bułkę z kawiorem, podaną mu przez Wołkowa na talerzyku.

— A może... baron... nie w usposobieniu?... Może odłożymy na później „divertissement" a przedewszystkiem powieczerzamy, nabierzemy sił... — drażnił pytaniami Wołkow, wpatrując się badawczo w chudą, ogorzałą, pomarszczoną twarz Niemca z blado niebieskiemi, kaprawemi oczyma.

Baron żuł wolno bułkę, nie patrzał na oficera i nie odpowiadał.

— A niczego sobie!... Dość zgrabna. Kazałem ją wykąpać!...—ciągnął cichym, wpełzliwym głosem oficer.

— Daj jeszcze wódki!...—szepnął baron.

— No, jakże?.. Czy zaraz?... kurtyna do góry, czy potem?... Czasu mamy niewiele... Musimy wyjechać przed świtem dopóki ciemno, a nie wiemy jak z nią pójdzie... W każdej babie inne drzemie licho...

Baron wypił kieliszek wódki i kiwnął wreszcie przyzwalająco głową.

— Doskonale!... Raz, dwa, trzy... Trzeci i ostatni dzwonek!...—krzyknął radośnie Wołkow.

Kto piękną Wenus czci,
Ten nie zna co to łzy!

nucił cichutko, przeglądając się w wielkiem, wiszącem między oknami lustrze. Pogładził łysinę, obciągnął mundur i kociemi krokami podszedł do małych drzwi, ukrytych w rogu za kotarą.

Otworzył je i przez chwilę nasłuchiwał, patrząc w ciemną głębię.

— Dlaczego pani nie zapaliła światła? — spytał nagle głosem uprzejmym.

Dłuższy czas nikt mu nie odpowiadał; wreszcie w oddali zaszemrał cicho głos kobiecy:

— Nie wiedziałam, że jest!...

— Ależ tak! Nawet elektryczne!—odrzekł wesoło, znikając za progiem.

Baron utkwił posępne spojrzenie w fałdy zasłony, poza którą rozbłysła nagle seledynowa łuna.

— Widzi pani—przekładał miodowo głos Wołkowa.—Zupełnie niepotrzebnie pani męczyła się...

(*Dcn*)

*) Biura rządowe.

**) Długa do ręcznika podobna sztuka tkaniny, używana w Mongolji na podarunki przyjaciołom i ofiary bogom.

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH.

Fot. J. Malarski.

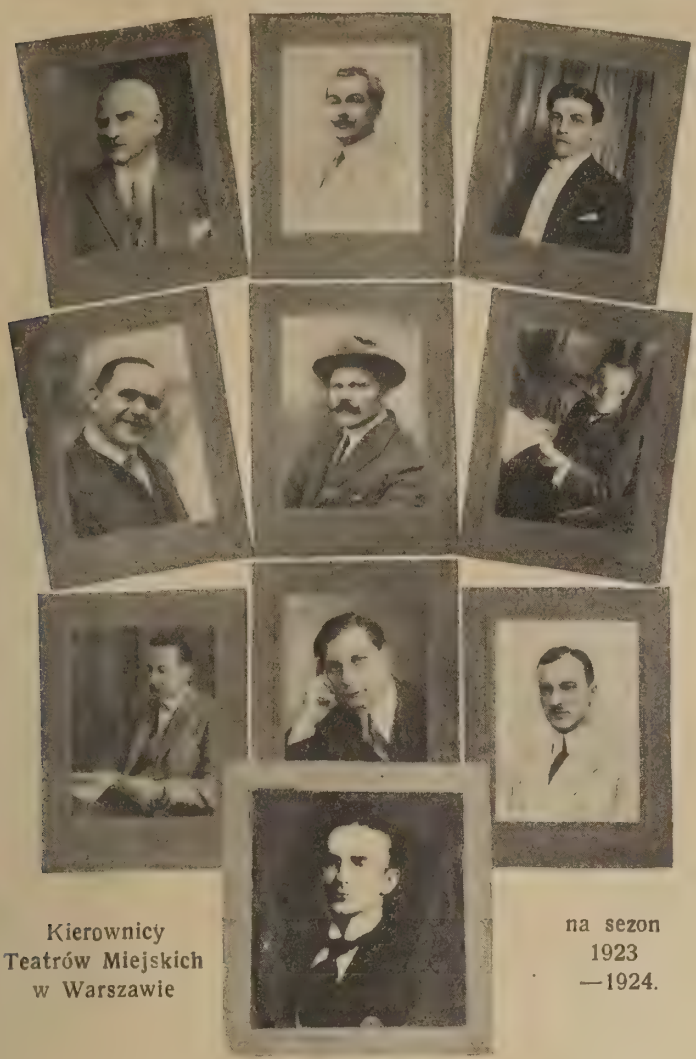

Kierownicy Teatrów Miejskich w Warszawie na sezon 1923—1924.

Od lewej ku prawej. Rząd pierwszy: E. Młynarski, dyrektor opery, J. Trojanowski, dyr. administracyjny, J. Osterwa, dyrektor artystyczny teatrów miejskich dramatycznych. Rząd drugi: A. Fertner, dyrektor teatru Letniego, Bron. Rostkowski, intendent teatrów miejskich, L. Solski, dyr. „Rozmaitości". Rząd trzeci: St. Milaszewski, kierownik literacki teatrów miejskich, W. Drabik, gł. kier. art. prac. dekoracjnych, H. Górecki, sekretarz jeneralny i kierownik kancelarji, Eug. Świerczewski, sekretarz literacko-artystyczny i referent prasowy.

Fot. St. Brzozowski.

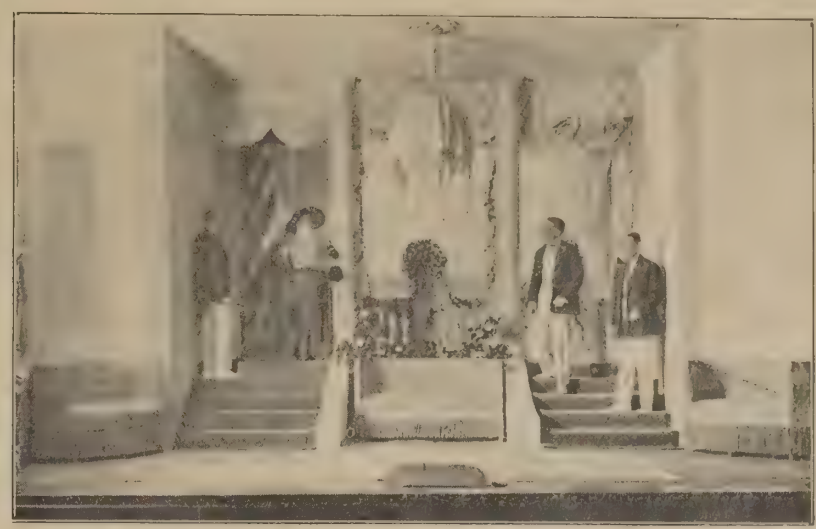

Teatr Mały gra obecnie z powodzeniem świetną sztukę „Ostatni pocałunek". Triumfy święcą p. Ćwiklińska i Węgierko.

W teatrze „Komedja" bawi widzów od szeregu tygodni „Pani prezesowa" z pp. Macherską, Czaplińską i Orwidem w rolach głównych,

ECHA WYSTAWIENIA „ODPRAWY POSŁÓW" NA WAWELU.

Kilka tygodni temu wystawiono na Wawelu „Odprawę posłów greckich", o czem pomieściliśmy obszerny artykuł pióra dr. Brzega. Sceny z tego przedstawienia zdjął „Central European Press Syndicate" do filmu p. t. „Miesiąc podróży po Polsce". Pierwsza z nich przedstawia scenę do „Odprawy posłów", dobudowaną przy południowej ścianie dziedzińca Wawelskiego. Druga podaje podobizny inicjatora i wykonawców tego wspaniałego widziadła: od lewej ku prawej: rektor Szyszko-Bohusz, dyr. T. Trzciński, p. Wysocka w stroju Kassandry, siedzi zaś arch. Mozer, projektodawca sceny i urządzenia theatrum.

KATASTROFA W JAPONJI.

W szeregu ilustracyj, które podajemy obok, przesuwają się przed widzem najcharakterystyczniejsze fragmenty architektury, krajobrazu i życia Japonji, nawiedzonej ostatnio klęską, jakiej nie zanotowały dotychczas dzieje. Najbliższy numer *Tygodnika* poświęcimy w znacznej części nieszczęsnemu krajowi, z którym łączą Polskę węzły szczerej przyjaźni. Musimy być wdzięczni Japonji, prócz jej wystąpień politycznych, za jej filantropijną działalność wobec dzieci polskich. Setki tych małych istot ocalało dzięki ofiarności i opiece stowarzyszeń japońskich. Cała ta akcja znajdzie oświetlenie wyczerpujące w artykule p. Bilkiewiczowej, która w Tokjo i innych miastach miała sposobność zapoznać się z wysiłkami Japończyków, ich życzliwością i przyjaźnią dla nas. Ponadto nasz numer specjalny przyniesie utwory pióra rozgłośnych podróżników naszych i znawców Japonji: Wacława Sieroszewskiego, Jerzego Bandrowskiego, St. Walickiego i in. obok kilkudziesięciu ilustracyj, wykonanych według zdjęć, użyczonych nam przez jen. dr. Gurbski, który kilka lat spędził w Tokjo.

Most „Ni-jiu-bashi" prowadzący do dzielnicy pałaców cesarskich, został zburzony doszczętnie.

Wulkan Fudżijama, główny sprawca klęski.

Sklep bławatny japoński.

Most „Azuma" w Tokjo zniszczony podczas ostatniej katastrofy.

Dworzec główny w Tokjo legł także w gruzach.

Widok na zatokę Tokijską, z dziś już nieistniejącego Grand-Hotelu w Yokohamie.

Grand-Hotel w Yokohamie, obecnie zupełnie zniszczony.

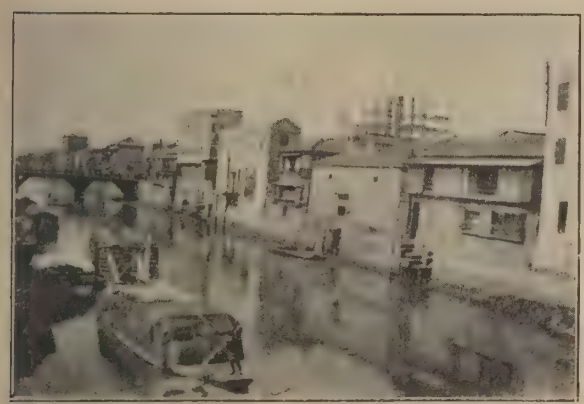

Kanały w dzielnicy Tsukiji w Tokjo, która ucierpiała bardzo znacznie.

W poselstwie polskiem w Tokjo. Min. St. Patek; za nim siedzą: kpt. Kowalewski i sekretarze Zaniewski i Mościcki.

Widok na handlową dzielnicę Tokjo z tarasu magazynów Mitsukoshi, dziś spalonych.

Asakusa—dzielnica teatrów i kinematografów w Tokjo—dziś stosy zgliszcz i trupów.

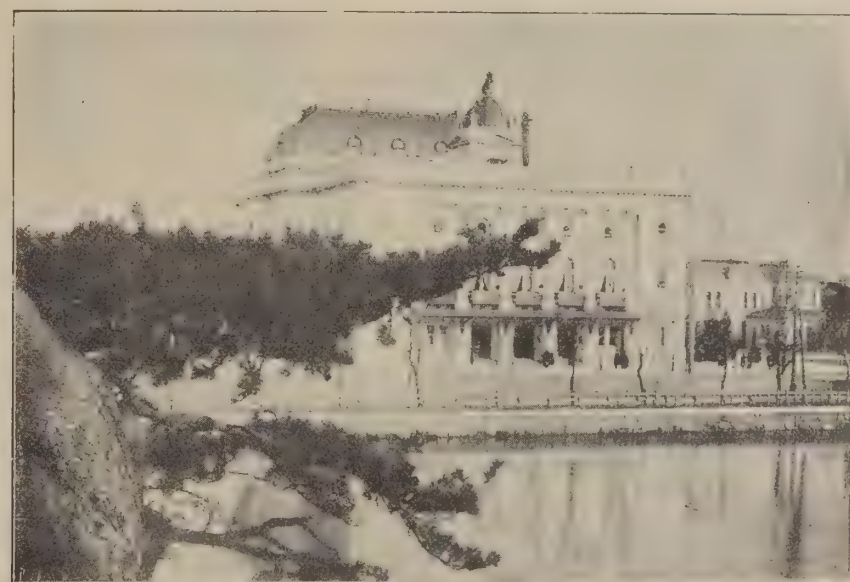

Teatr cesarski w Tokjo obecnie w gruzach.

Dziewczęta japońskie.

Mali chłopcy japońscy.

ZE ZJAZDU METAPSYCHICZNEGO W WARSZAWIE.

Grupa uczestników zjazdu. Stoją w I rzędzie: Verciole, prof. Sidnay Alrutz, pani Ossowiecka, prof. Sudre, dr. Mackenzie, dr. Schrenck Notzing, dr. Geley, Gravier, pani Wodzyńska, inż. Lebiedziński i ks. St. Lubomirski; w II rzędzie: 1. prof. Witwicki, 2. inż. Ossowiecki, 3. Cheik Abdul Vehab, 4. Hynek, 5. inż. Grunewald, 6. prof. Haraldur Nielsson, 7. E. J. Dingwall, 8. dr. Sokołowski, 9. prof. Chojecki.

CEREMONJA KONSEKRACJI W KOŚCIELE HELSINGFORSKIM.

Dnia 15 sierpnia r. b. odbyła się w Helsingforsie ceremonja konsekracji dotychczasowego kierownika diecezji, Monsignora Buckx, na biskupa. Konsekracji dokonał kardynał van Rossum.

OBCHÓD 700-ej ROCZNICY ŚMIERCI BŁ. WINCENTEGO KADŁUBKA W JĘDRZEJOWIE.

Księża biskupi z duchowieństwem na uroczystościach jubileuszowych w Jędrzejowie.
Fot. Badzian z Kielc.

Uroczysty pochód na ul. Klasztornej w Jędrzejowie.
Fot. Gajewski w Jędrzejowie.

JUBILEUSZ KSIĘGARZA.

Zdzisław Budziszewski księgarz-jubilat wśród darów otrzymanych od firmy i kolegów, którzy ponadto ufundowali cegiełkę wawelską jego imienia, przeznaczyli 700,000 mk. na cele Tow. Naukowego oraz 3.200,000 mk. zebrali na rzecz ofiar katastrofy w Japonji. Od woźnych firmy jubilat otrzymał wraz z życzeniami wspaniały kosz kwiatów.

W ubiegłym tygodniu wypadła 25-ta rocznica pracy zawodowej kierownika księgarni sortymentowej filji Gebethnera i Wolffa przy ul. Sienkiewicza, p. Zdzisława Budziszewskiego.

Jubilat pracę w księgarstwie rozpoczął w 1898 roku w nieistniejącej dziś, a znanej dobrze starszemu pokoleniu księgarni M. Orgelbranda (M. Machwitza), poczem widzimy go w dziale wydawniczym firmy T. Paprocki i S-ka.

Stamtąd w roku 1903 wstąpił do księgarni Jana Fiszera, a następnie już w roku 1907 przeszedł do firmy Gebethnera i Wolffa. Po kilku latach, oceniając osobiste kwalifikacje tak odpowiedzialnego pracownika, firma powierzyła mu kierownictwo księgarni sortymentowej.

Jako dzielny fachowiec, p. Z. Budziszewski, zdołał postawić sortyment księgarni na wysokim poziomie, a uprzejmością i miłem obejściem pozyskał zaufanie licznej klijenteli tej starej i zasłużonej firmy.

OBCHÓD 700-ej ROCZNICY

śmierci bł. Wincentego Kadłubka.

W końcu sierpnia b. r. Jędrzejów, miasto powiatowe w kieleckiem, był świadkiem niezwykłych uroczystości. W prastarym kościele po-cysterskim, gdzie umarł bł. Wincenty Kadłubek, pierwszy historyk polski, obchodzono 700 tą rocznicę jego śmierci. Dzięki niestrudzonym zabiegom dzielnego proboszcza miejscowego, M. St. Marchewkiego, znanego działacza na polu narodowo-społecznem oraz poparciu ks. biskupa kieleckiego, A. Łozińskiego, cała uroczystość wypadła imponująco. Na dzień 25, 26, 27 sierpnia nadciągnęły tu liczne drużyny pątnicze w liczbie około 120 kompanij. Przybyło około 200 kapłanów: książę biskup Sapieha z Krakowa, ksiądz arcyb. Teodorowicz ze Lwowa, ks biskup Ryx z Sandomierza, ks. biskup A. Łoziński z Kielc, ks. biskup sufragan Nowak z Krakowa, ks. biskup suf. Kubicki z Sandomierza i ks. biskup suf. Fischer z Przemyśla.

Telegramy gratulacyjne przysłali na ręce komitetu obchodu: Marszałkowie Sejmu i Senatu, Ministrowie Spraw Wewnętrznych i Oświaty, Rektorowie uniwersytetów: Krakowskiego i Warszawskiego.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 39 Ogólnego zbioru 3,332 Wydawnictwa rok 64. 22 Września 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

ZE SZTUKI JAPOŃSKIEJ.

DAMA JAPOŃSKA (według kolorowego drzeworytu japońskiego).

Ze zbiorów p. W. Wankiego.

WULKAN FUDŻI-JAMA OD STRONY POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ.

FUDŻI-NO-JAMA.*)

Dużo jest gór stożkowatych na świecie, mniej lub więcej potężnych i malowniczych, a jednakże wszystkie je zaćmiewa sławą swej piękności Fudżi-jama. Przedziwne zarysy jej szczytu, pełne umiaru i wdzięku, wsławiła sztuka japońska, umiejąca powtórzyć setki tysięcy razy obraz umiłowanej góry, nie budząc nudy i przesytu w duszy widza. Sam Hokusajo „sto posiedzeń" dał tej ślicznej górze, odtwarzając ją w stu różnych oświetleniach ze stu różnych stron.

Mówią o niej Japończycy: *Fudżi-mi jusan-szu*, co znaczy: *Fudżi widoczna z trzynastu prowincyj*. Istotnie sąsiednie góry, jak gdyby pragnąc odsłonić piękność swej królewny, obniżają się i rozstępują dookoła niej i widać ją z wielu miejsc całą od ciemnych podgórzy aż do srebrnego szczytu. Widok ten nabiera niezrównanego czaru, kiedy patrzeć nań z morza, z lazurowej zatoki Suruga.

„Stacja I-dzi-ri **). Pociąg wybiegł niespodzianie nad sam brzeg morza. Za modrą, cichą zatoką nagle w promieniach wschodzącego słońca zarysował się wysoko w powietrzu, utkany jakby z blasku srebra i różowych płatków wiśniowego kwiecia, cudny szczyt górski na blado-ametystowym oparty cokóle. Wypełniał on cały przestwór, gdyż nic prócz niego nie chciały widzieć zachwycone oczy. Cały dzień już nie odchodziłem od okna, śledząc czarowne zjawisko, gdyż kolej, wymijając górskie łańcuchy Hakona i wulkan Komaga-take, zatacza tu wielkie półkole dookoła doliny Fudżi. Sadyb ludzkich, wsi, miast bez liku... Wszedzie z podnóża góry opadają tarasami złociste pola, kołyszą się lasy jasnolistnych bambusów, pomieszanych z ciemną zielenią tuj, palm, cypryso-cedrów (hinoki)... Bliżej widzę w ogrodach ajwy i szerokie liście bananów a dalej na wzgórzach wełnią się w regularnych szeregach krzewy herbaty... Wszystko spowite w mgły kwitnących gajów wiśniowych i złocistych oparów, unoszących się z nawodnionych pól ryżowych i niezliczonej ilości przepasanych krzywemi mostami rzeczek. Tłumy ludzi, mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, z parasolami w ręku lub robotników w niebieskich koszulach, objuczonych noszami, idzie po szerokiej pięknej drodze Tokaido, biegnącej długi czas równolegle do płótna kolei. Co za rozmaitość typów? co za ubiory?... Wieśniacy w olbrzymich, podobnych do grzybów, słomianych kapeluszach i słomianych płaszczach kosmatych jak strzecha. Zamożniejsi Japończycy w ciemnych jedwabnych kimonach z długiemi, workowatemi rękawami. Młode kobiety z barwnemi „obi" wokół bioder. Dziewczęta w jasnych sukniach różowych, błękitnych, żółtych lub czerwonych. Wszędzie migają okrągłe tarcze kolorowych parasoli i niemniej kolorowych wachlarzy. Toczą się „riksze"—minjaturowe wózki, ciągnione przez szybkobiegaczy (kuruma), pełne wystrojonych dam i dzieci. Tu i owdzie widzę grupy biało ubranych pątników w dziwnych długich kapeluszach. Mówią mi, że są to pielgrzymi, wybierający się na szczyt świętej Fudżi, lecz że tam jeszcze zawcześnie, że dopiero od 15 czerwca, kiedy stają śniegi, będzie otwarty dostęp.

Tymczasem odwiedzają oni inne sąsiednie święte miejsca. Opowiedziano mi również, że pielgrzymów tych wchodzi co rok na szczyt do 20,000, że wszyscy muszą być w białej odzieży, gdyż na ludzi, odzianych ciemno, napadają wielkie orły, gnieżdżące się na urwiskach Świętej Góry, że cała droga podzielona jest na osiem stacyj, że wejście jest niezmiernie trudne, że są miejsca tak straszne iż zwą je „Oja szirazu Ko szirazu"—„Obojętność dla rodziców i dzieci", że pobyt dłuższy na szczycie jest niemożliwy i kończy się śmiercią...

Wszystko to było niegdyś, dziś jest zupełnie inaczej. Wszędzie dojazd do stóp góry ułatwiony jest tramwajem elektrycznym, na stokach przeprowadzone są wygodne ścieżki, pobudowane schroniska, zorganizowana pomoc z przewodników i tragarzy. Górę tysiącami odwiedzają już nie tylko pielgrzymi japońscy, lecz turyści całego świata, aby lubować się na brzegu podwójnego krateru ślicznym widokiem wschodu i zachodu słońca. Szczyt nawet nie jest bardzo wysoki, ogółem 3769 metrów i pobyt na nim wcale nie jest niebezpieczny, jak tego dowiódł geolog Knipping, który w r. 1873 spędził dwa tygodnie na brzegu krateru. Wprawdzie w dwadzieścia lat potem meteorolog japoński Nonaka, który wraz z żoną odważył się spędzić zimę na Świętej Górze, przypłacił to życiem, ale od tego czasu wiele się zmieniło. Ilość pątników, którzy pili wodę z „Srebrnego" i „Złotego Źródła" wzrasta z roku na rok i coraz bardziej człowiek poufali się z olbrzymem, który usnął zdaje się na wieki".

Tak pisałem w roku 1903.

Przed kilkoma dniami dowiedziałem się z gazet o straszliwem trzęsieniu ziemi, jakie zdarzyło się we wschodniej części japońskiego Morza Śródziemnego, donoszono jednocześnie, że ośrodkiem groźnego zjawiska miał być Fudżi.

Wtedy przypomniałem sobie, że ta śliczna góra przerażającą ma w przeszłości legendę.

Sama nazwa „Fudżi", według lingwistów, ainoskiego jest pochodzenia i przytaczana jest jako dowód, że to kosmate, tak różne od Japończyków plemię, zamieszkiwało niegdyś cały

*) *Fudżi-no-jama* — skrócone *Fudżi-jama* albo *Fudżi-san*, znaczy góra Fudżi. *No* — w tym wypadku jest wyrazem czci, który możnaby przetłumaczyć — wyniosłość.

**) W pisowni angielskiej:—Ejiri.

archipelag japoński, a przynajmniej całą północną i środkową jego część. Jakże silną musiała być działalność wulkanu Fudżi, jeżeli zalew późniejszy kultury japońskiej spłókał i pokrył bez śladu wszystkie zabytki pobytu tutaj aborigenów i zostawił tę jedną, która zwie się: „ogień"?!

Druga legenda, już historyczna, twierdzi, że szczyt Fudżi-jamy w jego obecnym kształcie powstał dopiero w 285 roku przed Narodzeniem Chrystusa „tej samej nocy, kiedy utworzyło się słynne jezioro Biwa, wprawdzie odległe o setki kilometrów od Fudżi, lecz jako kolebka kultury japońskiej związane w jedną całość uczuciem narodu, ze wspaniałym świętym wulkanem. Jezioro Biwa, porównywane często z szwajcarskim Lemanem, różni się od jezior alpejskich tem, że powierzchnia jego leży nie wyżej, lecz o sto metrów niżej od powierzchni morza, oraz tem, że nad przedziwnie uprawnemi i gęsto zaludnionemi stokami gór nadbrzeżnych wznosi się posępny, spowity dymem wulkan Ibuki-san („Zionący żółcią"). Przed strasznemi jego wybuchami, aż do połowy XVI stulecia zastęp 3,000 mnichów buddyjskich bronił nieustannemi modłami świętego miasta Ki-joto, leżącego na południu jeziora— starożytną stolicę a następnie więzienie boskich Mikadów, przeznaczone im przez szogunów, panujących w Jedo (Tokjo) od XIII wieku, aż po XIX.

JAPOŃSKIE „MORZE ŚRÓDZIEMNE".

Ta właśnie, środkowa część Niponu (Hondo), gdzie rozkwitła i rozwijała się najbardziej samodzielnie kultura japońska, gdzie rozgrywały się najbardziej wstrząsające dramaty jej historji, jest jednocześnie najbardziej podległą trzęsieniom ziemi i katastrofom wulkanicznym częścią Japonji. Otacza ją wieniec potężnych gór ognistych, działających stale lub czasowo przygasłych, z których wymienię, licząc od wschodu: Ibuki-jama (1,370 m.), Habu-san (2,700 metr. wys.), Norikura-jama (2,900 m.), On-take (3,000 m.), Asama-jama (2,600 m.), Nan-tai-san (2.500 m.), wreszcie na południu Fudżi (3,769 m.) i niedaleko odeń leżące: Komaga-take (1,350 m.), oraz Amagi-san (1,380 m.) już na półwyspie I-dzu.

JEDNA Z GŁÓWNYCH ULIC TOKJO.

Wszystkie te góry są czczone przez lud japoński, gdyż, jak twierdzi legenda, „w łunie ich ogni na chmurach mieni się odblask krwi bohaterów poległych za ojczyznę, krwi zebranej i wiecznie kipiącej na dnie straszliwych kraterów...

Lecz za władzcę tych gór uważany jest Fudżi.

Fudżi wybucha rzadko, ale wybuchy jego są przeraźliwe. Od 799 roku wybuchał on ogółem *sześć razy*. Ostatni wybuch w 1707 roku trwał cały miesiąc. Wówczas to na południowym stoku góry utworzył się nowy stożek o 1,000 m. niższy od dodatkowego krateru, nazwanego Hoej-zan, na pamiątkę, iż powstał w okresie czasu imienia Ho-ei (1704—1711 r.).

Wejście na ten krater jest trudne wskutek świeżości jego law i popiołów. Wejście na właściwy szczyt Fudżi-jamy przez ciągłe pielgrzymki bardziej uporządkowane. W każdym razie strumienie lawy, zwały pumeksu, warstwy popiołu nie uległy i tam dostatecznemu rozmyciu i spulchnieniu. Gardziel krateru, mająca 825 metrów w przecięciu, wyłożona jest czerwonemi lawami, żółtemi tufami, pierścieniami szarego pumeksu, zastygłego jak brudna piana. Kroniki opisują, że wybuch, który je zrodził, dosięgnął olbrzymich rozmiarów. Sąsiednie doliny pokrył popiół na grubość *trzech metrów*, wsie i miasteczka w szerokim promieniu poznikały z po-

„TORI"—WROTA, PROWADZĄCE DO ŚWIĄTYNI W OKOLICACH YOKOHAMY.

Z ARCHITEKTURY JAPONJI.

WIADUKT W TOKJO.

GROBY TOKUGAWÓW W TOKJO.

HALE MITSUKOSCHI W TOKJO.

wierzchni ziemi. Do samego Jedo (Tokjo) odległego 96 kilometrów, dosięgły obłoki wulkanicznego pyłu i siarczanych gazów. Trzęsienie ziemi wywołało wylew morza na brzegi, pożary i ruinę ogromnej ilości budowli... Sto tysięcy mieszkańców zginęło w samem Tokjo, setki statków zostało wyrzuconych na brzeg i rozbitych...

Obraz mniej więcej podobny do tego, który podają nam obecnie gazety...

A jednak... ja wciąż mam przed oczyma jedynie kwitnący, śliczny, zaludniony kraj u stóp przepięknej góry i nie mogę jej sobie wyobrazić okropną, nie mogę jej nie lubić, nie ulegać jej czarowi...

Zupełnie rozumiem dobrotliwy uśmiech Japończyków, wysłuchujących wyrazy zgrozy i zdumienia od turystów, którzy nasłuchali się lub naczytali opowiadań o trzęsieniach ziemi...

Jakże można mieszkać w takim kraju okropnym?... Jakże można go upiększać i uprawiać?...

— Czyż śmierć nie krąży wciąż wśród żyjących?... A przecie nikt od życia nie ucieka!... My mamy wśród siebie o jedną zaledwie śmierć więcej... Czyż dlatego mamy rzucić naszą cudowną ojczyznę, usłaną kośćmi naszych przodków, zamienioną w ogród wesela wysiłkiem ich woli?... Nic nie jest wieczne! Radujmy się więc radością istnienia i pamiętajmy, że śmierć jest tylko jednym z momentów życia!...—odpowiada mi ten ich uśmiech spokojny.

Zaprawdę nigdzie może jak w Japonji nie ujawnia się tak silnie prawda, że charakter każdego narodu nosi w sobie zawsze odbicie cech kraju, jaki go wychował...

Zaprawdę-pod subtelnemi formami grzeczności japońskiej, pod obowiązkowym życzliwym uśmiechem, z jakim spotykają każdego nowego człowieka i nawet każdy wypadek swego życia, pod dziecinną wesołością, z jaką umieją się bawić, pod niezrównanemi barwami ich sztuki malarskiej i pod przedziwnemi efektami starodawnego teatru, pod ich wyrozumiałą, głęboko ludzką i poetyczną filozofją religijnych kultów, pod ich rycerską powściągliwością i wspaniałomyślnością względem pokonanego w krwawej walce przeciwnika — jak pod cudnym, jasnym krajobrazem japońskim śpią wielkie moce głębokich i potężnych jak ich wulkany namiętności... Dawniej wybuchały one od czasu do czasu jako wstrząsające i bezlitosne wojny domowe; one to wiodły „40 roninów" w ich szlachetnej zemście i zgubie, one to kierują ostrzem „harakiri" we wnętrznościach ludzi, dotkniętych na honorze, one powtórzyły żałosną historję Tristana i Izoldy w romansie Sirai Gompaci i Komuzaraki,— córki kupca z Mikawy—one odepchnęły zwycięskie hordy Dżingisa od brzegów Japonji i utrąciły wyciągniętą ku nim rękę Rosji, one wreszcie stwarzają ten niezwyciężony strumień śmiałej, przedsiębiorczej energji i wiary w swe siły, która nie pozwala zatriumfować nad duchem Japonji żadnej klęsce...

Dlatego przed dwoma zaledwie tygodniami czytaliśmy opisy strasznej klęski Japonji, a dziś czytamy, że powstają już z gruzów wczoraj obrócone w perzynę miasta...

Gdyż... śmierć jest tylko jednym z momentów życia!...

Wacław Sieroszewski.

ZE SZTUKI JAPOŃSKIEJ.

KOT WAKANA-UTAGAWA

PIESKI WAKANA-UTAGAWA

DAMA JAPOŃSKA WAKANA-UTAGAWA

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI:

Narodziny chryzantemu

(Saga miłości).

Z japońskiego.

Był piękny, bardzo piękny sad,
gdzie nocą księżyc srebro kładł,
i wychyliwszy żółty rąb,
w poświacie kąpał każdy klomb.
Zawrotna woń buchała w krąg,
gdy się rozchylał jaki pąk,
a taka była ich tam moc,
że ani zliczyć w jedną noc.
Sinych strumyków szmer i szum
nawiewał urok słodkich dum,
a nocnych świerszczy lśniący chór
ksykał do rana dzwonny wtór.
Wiele do sadu wiodło dróg,
i wszedłby każdy, byle mógł,
lecz groźne bogi strzegły wrót,
od ludzkich nóg i ludzkich szkód...

. . . . . .

A jednak się zdarzyło raz,
że pewna dziewa, krasa kras,
weszła do sadu...
Za boginię
wzięły ją bogi, i dziewczynie
rozwarły bramę wzdłuż i wszerz:
— Wejdź, boska córo, jeśli chcesz!

. . . . . .

Była cudownie piękna noc...
Dokoła kwiatów taka moc,
że się zanosił aż sad cały
od aromatów, co buchały.
Księżyc wychylił żółty rąb,
w poświacie kąpiąc każdy klomb,
i przeglądając się w strumieniu,
całował wodę w upojeniu.
I sadu urok, dziw i czar
rozniecał w piersi młodej żar
i tęskne myśli, czy jej luby
zachowa wiernie serca śluby.
I marząc o nim, idzie wprost
pod bambusowy w sadzie most
tam, kędy pstrzył się klomb bogaty
i najwonniejsze rosły kwiaty.
Tu szybko zrywa jeden pąk,
lecz ledwie wzięła go do rąk,
by wróżyć sobie, czy ją kocha
jej luby bardzo, czy też trocha,
zjawił się przy niej młody bóg,
w srebrzystej pomgle aż do nóg
i tak jej rzecze:
— Nie rwij kwiatów,
by wróżyć miłość z wonnych płatów,
wiernie cię luby kocha wciąż
i zdwoi zapał, jako mąż.
Pozwalam jeden zerwać kwiat,
który ci powie, ile lat
razem będziecie spędzać życie
w kochaniu, szczęściu i zachwycie...
I gdy to wyrzekł młody bóg
w srebrzystej omgle aż do nóg,
odszedł i skrył się w kwietnej dali,
gdzie wrót bogowie pilnowali...

. . . . . .

I ze wzruszenia dziewie aż,
jak łuna, płonie ogniem twarz,
ale, niestety, każdy z kwiatów
zbyt krótkie szczęście wróży z płatów.
Ten kilkadziesiąt ma, ten sto,
(zamało, jeśli kocha kto)
więc smutek sępi lica dziewie,
który kwiat wybrać, sama nie wie.
Wreszcie do drżących, jak liść, rąk
chwyta gwoździka duży pąk
i szpilkę z pukli swych odpina
i każdy płatek nią rozcina.
I szybko w sadzie czas jej mknie,
bo coraz węziej płatki tnie.
i lata szczęścia sobie mnoży
przez całą noc do rannej zorzy...

. . . . . .

I zanim księżyc z nieba zszedł,
miała już płatków kilka set
i do dom poszła, by z krużganku
lubego witać o poranku,
szczęsna, że tyle, tyle lat
wywróżył jej zerwany kwiat...

. . . . . .

Tak się zrodziły chryzantemy,
o czem w Japonji tylko wiemy...

Aforyzmy o kimonie.

Z japońskiego.

Zdejm kimono do połowy,
a będziesz ciekawy,
sednem staniesz się rozmowy
zdejm kimono do połowy...

Gdyś goły od stóp do głowy,
nie przysporzysz sławy —
zdejm kimono do połowy
a będziesz ciekawy.

Nie nagabaj, żabo, kraba,
bo obedrze cię z kimona,
źle, gdy która go nagaba,
nie nagabaj, żabo, kraba...

Brudas bowiem i niezgraba
de łba aż do ogona —
nie nagabaj, żabo, kraba,
bo obedrze cię z kimona.

Kto jedwabne ma kimono,
nie lęka się błota,
choćby go niem obrzucono,
że jedwabne ma kimono...

Tą czy inną pójdzie stroną,
znać, że nie hołota —
kto jedwabne ma kimono,
nie lęka się błota.

Odjazd dzieci polskich z Czyty do Japonji. Pośrodku przedstawiciele władz sowieckich: pp. Kobuziew i Matwiejew.

PRACA KOMITETU RATUNKOWEGO DLA DZIECI POLSKICH Z SYBERJI.

Na Dalekim Wschodzie Syberji pozostało jeszcze dotąd przeszło 30 tysięcy Polaków w warunkach bardzo ciężkich. Brak zarobków doprowadził wielu do nędzy. Naturalnie, że jeżeli nie można było dać pomocy ludności wogóle, ograniczając ją do pomocy doraźnej na miejscu—należało przynajmniej ocalić dzieci. Polski Komitet Ratunkowy zaczął pracować w tym kierunku od roku 1919. Najpierw centrum roboty stanowił Władywostok. P. K. R. czynił wszelkie wysiłki ku zorganizowaniu pomocy, jednak na miejscu niepodobna było zdobyć potrzebnych funduszów.

Obraz dokładny ogromu potrzeby przedstawił Komitetowi dr. Józef Jakóbkiewicz po powrocie swym z Syberji, dokąd jeździł dla zorganizowania przewozu pierwszego transportu sierot do Władywostoku. Pomimo nadzwyczajnych przeszkód w drodze, gdyż było to podczas odwrotu wojsk Kołczaka, kiedy w popłochu uciekały oddziały wojsk i ludność cywilna, a ruch kolejowy był zatamowany, dr. J. Jakóbkiewicz dotarł jednak do Czyty i przywiózł pierwszy transport dzieci.

Dla uzyskania szerszej pomocy Komitet zadecydował wysłać delegata do Ameryki, by osobiście przedstawił rozpaczliwą sytuację na Syberji i prosił o przyjęcie przynajmniej 300 dzieci na pewien czas, t. j. do czasu przewiezienia ich do Polski.

Dzieci Komitet postanowił wywieźć do kraju, uważając to za jedynie słuszne rozstrzygnięcie sprawy ich dalszych losów. Na ten też cel Komitet postanowił użyć zdobyte w Ameryce środki. Komitet uprosił d-ra Jakóbkiewicza o przyjęcie na siebie misji wyjednania pomocy, doktor zgodził się na to i wyjechał do Ameryki.

Ja ze swej strony jednocześnie pojechałam do Japonji, by uzyskać pomoc w przewożeniu dzieci z Syberji pociągami wojennemi do Władywostoku, a stamtąd statkami wojennemi do Japonji, oraz gotowość Japończyków udzielenia dzieciom pomocy i gościny na czas ich pobytu w Japonji.

Japonja wszystkie moje prośby spełniła. W Ameryce organizacje społeczne, do których dr. J. Jakóbkiewicz się zwrócił, okazały też życzliwe poparcie naszym zamiarom. Wydział Narodowy Polski wyasygnował fundusze na koszta przewozu dzieci do Ameryki, które wystarczyły nie tylko na podróż, ale i na doraźną pomoc, którą mogliśmy dać w postaci opłacania nauczycieli w szkółkach, wpisów uczącej się młodzieży i t. d.

Dzięki tej pomocy praca na Syberji posuwała się szybko. Zebrane z Syberji dzieci przewoziłam do Władywostoku i następnie do Japonji, gdzie korzystały z nadzwyczajnej uprzejmości Japońskiego Czerwonego Krzyża i całego społeczeństwa japońskiego.

Po doprowadzeniu zdrowia dzieci do należytego stanu i wyekwipowaniu ich kolejno wysyłałam transporty przez Ocean Spokojny do Ameryki, gdzie oczekiwały na nie w porcie Seattle dr. Jakóbkiewicz, przedstawiciele Wydziału Narodowego Polskiego, oraz organizacyj społecznych, które po uważnem wysłuchaniu sprawozdania d-ra Jakóbkiewicza przychyliły się do niesienia tej niezapomnianej w dziejach losu Polaków na Syberji pomocy.

Dzięki pomocy społeczeństwa i przedstawicieli polskich w Ameryce dalszy ciąg pracy w Japonji rozwijał się pomyślnie. Przejazd 370 dzieci przez Japonję i Amerykę spowodował zapoczątkowanie pięknej pomocy dzieciom polskim danej już całkowicie przez Japończyków. Silnym bodźcem w dążeniu osiągnięcia zamierzonego celu był łaskawie przyjęty przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego protektorat nad pracą Komitetu Ratunkowego. Dla zyskania pomocy w Japonji musiałam w ciągu kilku miesięcy przeprowadzić odpowiednią informacyjną pracę. Wydaliśmy więc historję Polski po japońsku, szereg tłumaczeń utworów polskich, wydawałam miesięcznik:„Echo Dalekiego Wschodu", zdobywając tą drogą sympatję dla naszego narodu i jego dziejów. Praca ta była z tego powodu trudna, że ani podręczników ani ilustracyj polskich narazie nie miałam w Japonji, na żadną znikąd pomoc rachować nie mogłam, więc korzystałam jedynie z materjału, którym mnie zasilał dr. Jakóbkiewicz, przesyłając z Ameryki pisma polskie, albumy Grottgera i inne. Ja zaś wy-

S. Hirayama, obecny prezes japońskiego Czerwonego Krzyża, sekretarz J. C. M. Mikada, dzięki któremu wysłano 400 dzieci z Syberji do Polski na koszt jap. Czerwonego Krzyża.

Wicehrabia T. Ishiguro, b. prezes Czerwonego Krzyża, udzielił gościny pierwszemu transportowi dzieci syberyjskich, jadących do Polski.

Senator S. Sakamoto, wiceprezes jap. Czerwonego Krzyża, który serdeczną opieką otaczał dzieci polskie.

Markiz Tokugawa, wiceprezes japońskiego Czerwonego Krzyża, senator.

Prof. J. Okakura, attaché jap. Czerw. Krzyża, niezmordowany w pracy dla dobra dzieci polskich.

Baron C. Omori, szambelan dworu, pośrednik między dziećmi polskiemi a Jej Cesarską Mością.

Hr. Macudaira, dyr. dep. Min. Spraw Zagranicznych w Tokjo, okazał wielką i wydajną pomoc dziatwie polskiej.

P. Inouye, prezes japońskiego Czerw. Krzyża w Yokohamie, obdarzała obficie na drogę każdy transport dzieci polskich.

Markiza Nabeshima, dama dworu Jej Ces. mości, stojąca na czele organizacyj kobiecych w Japonji. Dzięki niej urządzono dla dzieci polskich szereg rozrywek.

Jen. dr. Sato, dyr. szpitala jap. Czerw. Krzyża, stanął do walki z epidemją tyfusu, która wybuchła wśród transportu dzieci, i wytrwałą pieczołowitością uratował wszystkich chorych.

Dzieci polskie z Syberji w przejeździe przez Japonję, obdarowane przez społeczeństwo miejscowe.

syłałam d-r Jakóbkiewiczowi materjały informacyjne o Syberji i pracy naszej, potrzebne mu dla prowadzenia akcji zdobycia pomocy dla Syberji w Ameryce i naturalnie wysyłałam transporty dzieci.

Praca nasza uwieńczona została powodzeniem. Rozlokowywanie dzieci w Ameryce i Japonji odbywało się pomyślnie. Prócz tego Jap. Czerw. Krzyż zdecydował się wyasygnować fundusz potrzebny dla przewiezienia 400 dzieci i 40 opiekunów bezpośrednio statkami do Polski.

Musiałam więc jechać na Syberję, zebrać dzieci i wysyłać je do Japonji, a następnie do Polski. Na Syberji okazał mi pomoc w pracy wicekonsul w Charbinie p. K. Symonolewicz, który gorliwie niesie pomoc ludności polskiej i specjalną opieką otacza młodzież polską na obczyźnie. W Japonji nie było nikogo, ktoby mógł mię zastąpić. Telegrafowałam więc do d-ra Jakóbkiewicza do Ameryki, by na ten czas przyjmowania i wysyłania transportów przyjechał do Japonji i następnie by kierował transportami w Londynie przy zmianie okrętów.

Pobyt dzieci polskich w Japonji należy do najpiękniejszych ich wspomnień. Japończycy uczynili wszystko, by uprzyjemnić i ułatwić życie dzieciom. Niepodobna jest opisać w paru słowach tego nadzwyczajnego pełnego serca i troskliwości stosunku Japończyków do dzieci naszych.

Kiedyś, kiedy zabezpieczymy należytą opiekę dzieciom syberyjskim w Polsce, będę mogła dać szczegółowy opis pobytu dzieci w Japonji, spłacając tą drogą cząstkę niewygasłego długu wdzięczności, jaki zaciągnęliśmy wobec szlachetnego narodu japońskiego.

Po wyjeździe ostatniego transportu dzieci z Ja-

Siostra Matsuzawa, która życiem przypłaciła swe poświęcenie dla dzieci polskich: umarła, zaraziwszy się tyfusem przy pielęgnowaniu chorych dzieci.

Wicehrabia Mushakoji, obecny chargé d'affaires w Belgji—pierwszy dygnitarz w Japonji, który czynnie zajął się akcją pomocy dla dzieci polskich.

Konsul R. Watanabe w Tokjo okazywał niezwykłą troskliwość i serdeczność w stosunku do dzieci polskich.

Wicehrabina Motono, wiele czasu i sił poświęciła zorganizowaniu pomocy dzieciom polskim w Tokjo.

P. prezydentowa Wojciechowska objęła protektorat nad dalszą pracą w kraju około zabezpieczenia bytu dziatwy syberyjskiej.

ponji, udałam się do Pekinu do Misji sowieckiej i tam uzyskałam pozwolenie przewiezienia nowej grupy dzieci i ich opiekunów już przez sowiecką Rosję bezpośrednio. W Czycie dzięki prezesowi Dalniewostocznej Republiki p. Kobeziew, wice-prezesowi p. Matwiejew i ministrowi komunikacji p. Milejew, przywiozłam expressem 117 dzieci i 14 dorosłych do Moskwy.

W Moskwie pp. Marchlewscy i p. Hanecki, jak również kierownik biura repatrjacji p. Celmerowski okazał życzliwość jadącym dzieciom. Poselstwo Polskie w Moskwie serdecznie powitało dziatwę naszą. Pan poseł Knoll zarządził wszelką możliwą pomoc, pp. Balińscy, p. Załuskowa i pp. Korsak często odwiedzali dzieci, robiąc im różne niespodzianki. Dzięki doznanej uprzejmości wywiozłam z Moskwy niezatarte wspomnienia wraz z serdecznem uczuciem wdzięczności.

Jan Smulski, prez. Wydz. Nar. w Chicago, który po zbadaniu sytuacji Polaków na Dalekim Wschodzie udzielił im jaknajszerszej pomocy.

Tymczasem dr. J. Jakóbkiewicz, przybywszy do Polski z poprzedniemi transportami, wystarał się o umieszczenie syberyjskich dzieci w gmachach Zakładów Krajowych w Wejherowie na Pomorzu, gdzie dziatwie pod każdym względem jest dobrze.

Dalszy ciąg pracy naszej w Polsce ma na celu zabezpieczenie dziatwie należytego wychowania i wykształcenia w duchu obywatelskim i narodowym.

Do tej pracy stajemy z całą świadomością ciążących na nas obowiązków, a jednocześnie z ufnością i wiarą patrzymy w przyszłość tembardziej, że protektorat nad dalszą pracą w kraju raczyła przyjąć na siebie Pani Prezydentowa Stanisławowa Wojciechowska. *Anna Bielkiewiczowa.*

Z KRAJOBRAZU JAPOŃSKIEGO.

Plac Kudan w Tokjo.

Świątynia w Yokohamie.

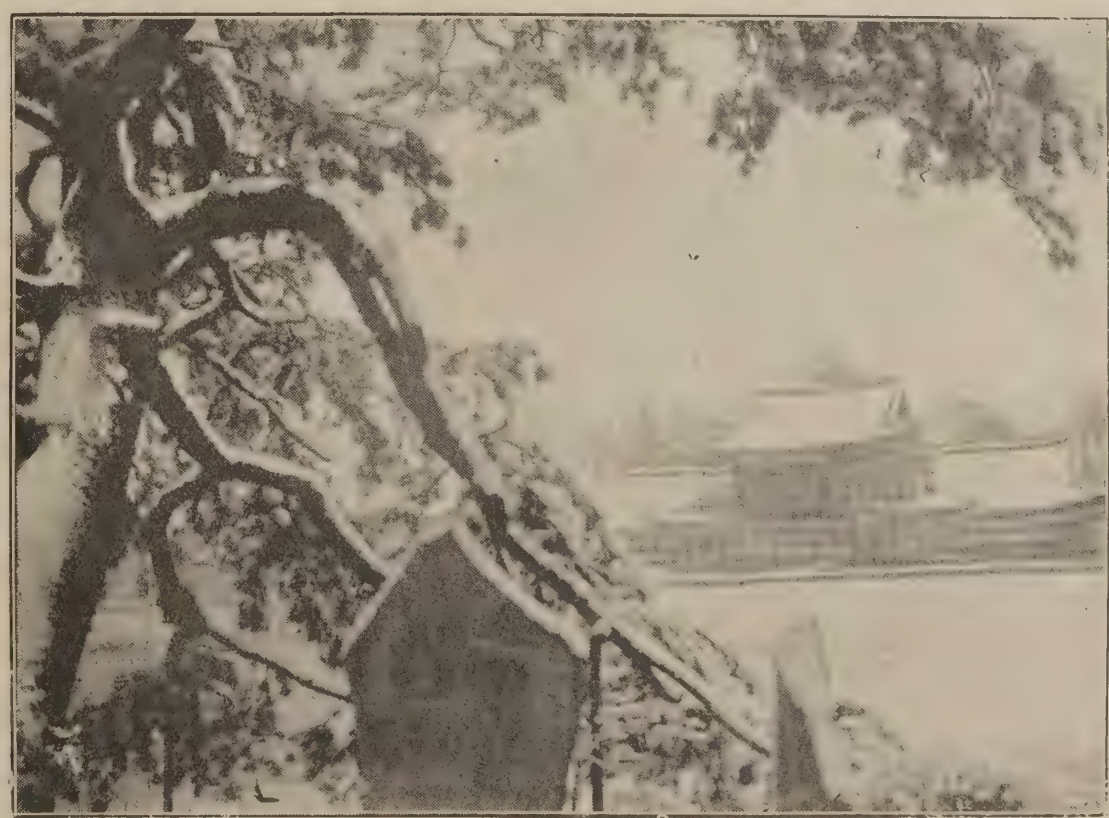

Motyw świątyni Hibya.

Sakae Shitaya, jedna z najpiękniejszych gejsz japońskich.

Mori Ricks, art. dram. teatru cesarskiego.

Młoda dziewczyna japońska.

JAPONKI.

Wśród ras kolorowych świata Japonka należy do najpiękniejszych okazów, zaś bezspornie jest najpiękniejszą kobietą wśród ras żółtych.

Ani Chinka, ani spokrewniona z nią rasowo Annamitka nie dorównywa bogactwem zalet fizycznych, wdzięku i uroku pięknej córze słonecznego Nipponu. Kraina wschodzącego słońca ma ładne kobiety, a urok, jaki one roztaczają, potęguje się jeszcze dzięki wyjątkowej malowniczości ich stroju „kimono".

Barwny, a ściślej mówiąc wielobarwny ten strój, ukrywając zręcznie pod fałdami pewne braki budowy ciała, stanowi wymarzone tło dla pięknej główki, wynurzającej się w swem tradycyjnie kunsztownem uczesaniu jak lotos z wodnej toni. Japonkę zdobi poza tem słodycz jej wyrazu, rozlana na twarzy. W tej tradycyjnej u Japończyków słodyczy wyrazu i miękkości form obcowania badacze orjentaliści dopatrują się skutków specjalnego układu życia japońskiego, które upływa im wśród czarująco pięknej przyrody, a także skutek nieprzechodzenia Japończyków w swej historji przez okres życia myśliwskiego. Jako państwo wyspiarskie, oparte o wyspy wulkanicznego pochodzenia, Japonja była prawie zupełnie pozbawiona na większości swych terenów dzikich zwierząt i nie miała prawie żadnych warunków do większej hodowli zwierząt domowych. To wszystko uchroniło Japończyków od pewnej tak właściwej innym ludom szorstkości.

Piękna, w kimono wtulona, z wiecznie pogodnym na twarzy uśmiechem Japonka nie jest jednak lekką. Nie zajmując wzorem kobiet Europy przodującego w społeczeństwie stanowiska, Japonka coraz częściej występuje w obronie swych praw, kategorycznie żąda równouprawnienia i pełnego udziału w życiu państwowem, woła o wstęp do parlamentu, zaś przedewszystkiem kształci się na równi z mężczyzną. W tym względzie pomaga jej znakomicie Francja, ta przodowniczka postępu na świecie, która w Japonji ma szereg kongregacyj zakonnych poświęconych szkolnictwu.

W Tokjo jest wspaniała uczelnia przy klasztorze Serca Jezusowego (Sacré Coeur), mieszcząca w sobie przeszło 500 uczennic Japonek obok stukilkudziesięciu dziewcząt rasy białej. W Jokohamie jest pięknie prowadzona szkoła przy klasztorze St. Maur. Poza tem

Śpiewaczka japońska w stroju orjentalnym.

Japonja ma całą sieć swych własnych szkół żeńskich i coś w rodzaju uniwersytetu dla kobiet.

To też Japonkę można coraz częściej zauważyć przy pracy obok mężczyzny. Nie tylko w polu przy uprawie roli, gdzie praca kobieca jest równorzędną pracy mężczyzny, nie tylko w fabrykach w charakterze robotnicy, lecz i w biurach prywatnych i rządowych, w bankach, w okienkach kas kolejowych i w redakcjach pism, gdzie panna Jamada, śliczna brunetka o przymieszce krwi francuskiej po matce, niepoślednią odegrywa rolę.

Wielką i świętą jest praca Japonki w szpitalach w zaszczytnej roli siostry miłosierdzia. W tej roli, w wielkim czepcu białym, obramującym pogodną zawsze twarzyczkę, poznały japońską siostrę miłosierdzia polskie siostry długo goszczone w Japonji w sierocińcu Fukudenkaj w Tokjo.

Japonka jest piękna, a wyższy stopień napięcia fizycznego wdzięku spotyka się w „Gejszy" tem specyficznie japońskiem zjawisku.

Kto to jest Gejsza?... Można ją postawić obok znanej nam w historji hetery greckiej, tej wykształconej i wpływowej kurtyzany. Między temi dwiema wyzwolonemi córami jest dużo cech wspólnych. Grecy byli urodzonymi estetami. Takimi są u siebie jeszcze dziś Japończycy. Możliwa, że tęsknota do piękna, powstała w duszy japońskiej pod wpływem wyjątkowo pięknej natury, wywołała ukazanie się na horyzoncie życia japońskiego, nieskrępowanej przepisowym dla kobiet japońskich konwenansem, wolnej w swej ekspansji piękna i uczuć japońskiej hetery — Gejszy, również często wpływowej i władnej jak jej dawna siostrzyca z Hellady. Gejsza jest spełnieniem snu Japończyka o pięknie fizycznem człowieka i syntezą rozkoszy fizycznych i duchowych. To też Gejsza nieświadomie dla siebie i ogółu była zawsze pierwszorzędnym co do siły czynnikiem i w walce o równouprawnienie kobiety.

W skomplikowanem co do etykiety życiu dworskiem Japonji kobieta-Japonka występuje coraz częściej, stając się powoli nieodłącznym momentem ceremonjału, a zajmująca w państwie słońca i chryzantem najwyższą godność kobiecą cesarzowa Japonji, małżonka Mikada jest przedmiotem ogólnej czci swego narodu. Zalety jej serca i duszy są powszechnie cenione, a jej wielkie miłosierdzie i wielką wrażliwość na niedolę bliźniego poznały doskonale sieroty polskie zbierane po puszczach niegościnnej Syberji, która właśnie dzięki tej miłosiernej, a dobrej, na najwyższe stanowisko w państwie wyniesionej Córze Japonji miały tak pięknie ułatwiony powrót do kraju.

Japonka w stroju kąpielowym.

Stanisław Walicki.

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ. 12)

Raz w szkole powiedział do niego Hipolit:

— Mam bardzo ciekawą książkę pod ławką: Ma tytuł: „Pamiętnik pięknej kobiety".

— To musi być ostatni idjotyzm — odparł lekceważąco Jakób.

— Ale, bo ty nie wiesz o co tam chodzi —zauważył Hipolit—są tam niesłychane miłosne awantury. Jakby to nauczyciel znalazł u mnie, to mnie w tej chwili wyleją. Tylko tyle ci powiem, że: od strony osiemdziesiątej do sto jedenastej są oboje zupełnie nadzy.

— Kto?—spytał Jakób.

— Piękna kobieta i jeden pan. Jest wszystko opisane jak najdokładniej. Są i obrazki...

Jakób milczał.

— Nie mogę ci pożyczyć, niestety—ciągnął Hipolit dalej— bo trzeba być ostrożnym. Nie można się narażać na nieprzyjemności.

— Czy cię o to prosiłem? — irytował się Jakób.—Ty mi się chcesz tylko przypochlebić, bo nie możesz sobie sam dać rady z rachunkowem zadaniem.

Hipolit zrobił obrażoną minę.

— Trzy ostatnie zadania i tak odpisałem od Ferdynanda, a nie od ciebie. Nie jesteś przecież jedynym. Zresztą musisz przyznać, że jeżeli ci chcę dać takie dzieło, gdzie ludzie są poprostu cały czas w łóżku...

— Nie potrzebuję—odburknął Jakób.

Hipolit oddalił się. Ale podczas następnej pauzy przyszedł znowu. Jeżeli się raz wdało z nim w rozmowę, to nie można się go było pozbyć. Był jak pluskwa.

— Zdradzę ci wielką tajemnicę — zaczął.

— Jest mi to teraz bardzo nie na rękę— odpowiedział Jakób—bo muszę się teraz przygotować na następną godzinę.

Ale Hipolit mówił:

— Widziałem Marjannę, tak jak ją Pan Bóg stworzył.

— Jakto?

— W kąpieli. Wiesz, jak starcy i Zuzanna w biblji.

Uśmiechnął się dowcipnie.

— „Marjanna w kąpieli".

Jakób otworzył Juljusza Cezara i powiedział pogardliwie:

— Nie masz się znowu czem tak bardzo chwalić. Marjanna! I cóż to wielkiego? Ja się z nią dzieckiem w piasku bawiłem. I co z tego?

Wszedł profesor i krzyknął wściekłym głosem na Hipolita:

— W tej chwili napowrót do ławki.

Lekcja się zaczęła. Jakób zapytywał się w duchu: Marjanna? Cóż to może kogo obchodzić? Ale ta myśl przeszkadzała mu długo, prawie przez całą godzinę.

O piątej był koniec nauki. Wszyscy wybiegli na ulicę. Ale w bramie Jakób zderzył się znowu z Hipolitem, uporczywa pluskwa wyszła z nim razem na ulicę, jakby się to samo przez się rozumiało. A Jakób się nie sprzeciwiał, bo był już zatruty.

Teraz on był pierwszym, który zaczął mówić o Marjannie.

— Czy ona się nie zamyka?—pytał.

— Owszem—zapewnił Hipolit—o tem nigdy nie zapomina.

— No, widzisz więc, jak ty kłamiesz! Jakże mogłeś ją widzieć?

— Jak odprowadzisz mnie kawałek, to ci wszystko wytłumaczę.

— Niech tam — odpowiedział Jakób możliwie z pogardą.

A Hipolit opowiadał:

— Czy wiesz gdzie u burmistrzów stoi wanna? Nie, nie wiesz, ale ja u nich mieszkam. Okno z tego pokoiku wychodzi na korytarz. A kiedy Marjanna się kąpie, to okno to jest jasne. Jeżeli jesteś przypadkiem na schodach, możesz być pewnym, że teraz jest tam Marjanna i kąpie się.

— Szyba w oknie musi być przecież z mlecznego szkła?

— Tak, ale całkiem maleńkie miejsce jest przezroczyste. Odkryłem to.

— Co ty jesteś za szelma — powiedział Jakób.

Ale Hipolit się nie obraził. Kiedy się po jakiejś chwili rozchodzili, Jakób zauważył na pożegnanie:

— Nie myślałem, że jesteś taki...

Ale i teraz także Hipolit zdawał się nie słyszeć, był jak w zachwyceniu.

— Moje oczy są upite jej widokiem — mówił.

Potem Jakób miał wyrzuty sumienia:

Powinienem był dać mu w pysk.

Nie—myślał zaraz potem—to nie jest sposób, żeby się od niego uwolnić. On wróci zawsze. Wróci i będzie się słodko uśmiechał i utrzymywał, że go to wcale nie bolało.

W tym wypadku był tylko jeden sposób: Schodzić mu z drogi.

A zacznie mi znowu mówić o Marjannie, każę mu milczeć i zakażę mu raz na zawsze o tem mówić, bo mnie to złości i nudzi.

Ale niestety Jakób już miał duszę zatrutą. I następnego dnia, kiedy szedł z Hipolitem do domu, sam zaczął mówić o Marjannie.

— Nie wiem, jak się to dzieje—mówił — ale twoja obrzydliwa historja chodzi mi ciągle po głowie.

— Ja to znam — odpowiedział Hipolit— w Marjannie można się łatwo zakochać. I wiem nawet dlaczego mnie odprowadzasz do domu— ciągnie cię do niej.

Świnia—myślał Jakób — ale panował nad sobą.

Hipolit powiedział:

— Raz pocałowałem ścianę jej pokoju.

Jakób i to wytrzymał. I szedł dalej z Hipolitem. Milczeli, ale obydwaj myśleli o tem samem. Obydwaj czekali na coś i nadsłuchiwali.

Hipolit zaczął pierwszy:

— Sam się nie potrafisz tam zorjentować.

— Gdzie?—spytał Jakób przestraszony.

— Myślałem, że ty nie wiesz gdzie jest łazienka. Nie znajdziesz także właściwego okna... Ale jeżeli mi obiecasz, że mi dasz twoje zadanie rachunkowe...

— Ach, ty świnio—przerwał mu Jakób— ale brzmiało to więcej boleśnie niż gniewnie.

Hipolit wziął to za przyzwolenie.

— Wieczorem—powiedział—będę na ciebie czekał w bramie.

Jakób był blady.

— Nie pójdę, nie pójdę—powtarzał sobie przez kilka godzin.

Ale potem przecież spotkali się w bramie. Najwięcej zawstydzającem dla Jakóba było to uczucie, że jego przewodnik miał przewagę nad nim, że był chwilowo o wiele pewniejszym, spokojniejszym od niego.

— Tu.

Hipolit wskazał jedno miejsce na drażniąco jaśniejącej szybie okienka.

Czekał w ciemności.

— Czy widzisz ją?—spytał cicho.

Teraz stało się coś strasznego—Jakób widział już zdaje się za dużo, bo w końcu wybuchnął. To znaczy obrócił się, złapał Hipolita za kołnierz i rzucił nim o ziemię, tak że jak piłka potoczył się po schodach.

IX.

Z Lolem działo się coś niezwykłego. Jego wzrok był dziwnie niespokojny. Zdawało się, że cierpi na rodzaj moralnej choroby morskiej. I do niczego nie miał ochoty, ani przedsięwziąć coś, ani nic nie robić.

Wojna, którą Bóg, albo djabeł sprowadził na ziemię, nic go osobiście nie obchodziła.

— Jestem Szwajcarem — mówił często przy rozmaitych sposobnościach.

W każdym razie za często. Nikt nie zwracał uwagi na jego oświadczenia. Wogóle mniej uważnie słuchano go teraz, jeżeli miał coś do powiedzenia. Odczuwał to boleśnie.

Zaczynał zdanie słowami: — Moja żona Eugenja...

I w tej chwili przerywał mu ktoś, który miał coś ważniejszego do powiedzenia.

Mnie się zdaje, że ja mówię niewyraźnie. Dłuższy czas trapiło go to przekonanie.

— Ja cię doskonale rozumiem—uspokajała go Eugenja.

Ale to nic nie pomagało. Było mu coraz ciężej porozumiewać się z innymi.

I było to zupełnie naturalnem. Wszyscy myśleli teraz tylko o jednej rzeczy, o której nawet kobiety i dzieci zdawały się coś rozumieć i wszyscy chcieli tylko o tem mówić.

Nie, teraz nikt nie miał czasu zajmować się Eugenją. Lolo był dość rozsądnym, żeby to zrozumieć, ale w swej biedzie i zamieszaniu zachowywał się tak, jakby świat był jeszcze taki jak dawniej. Biegał tak jak przedtem do biura koncertowego, do kwiaciarki, od niej do redakcji i modniarki i głosikiem, który stał się tak słodkim, jak tryl słowika, zapewniał wszystkich:

— Przyszły koncert mojej żony będzie prześliczny...

Ale ludzie byli głuchoniemi, roztargnieni, bez czucia, byli wszystkiem, tylko nie ludźmi, znającymi się na sztuce.

(*Dcn*)

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 331

— Wszystko jedno!... Wszak zaraz mam umrzeć... Dobrze, dobrze!... Ale pamiętajcie, że mnie pomszczą, pomszczą... — odszepnął głucho głos kobiecy.

— Skąd taka pewność, że pani zaraz umrze?... Ja nic o tem nie wiem!... Następnie: któż to ma być ten mściciel? Jeżeli narzeczony, to pani bardzo się myli, — dawno go już niema!... Wysłaliśmy do niego tę kartkę. co ją pani dała dozorcy... On przybył posłusznie... My go „cap"!... Wbiliśmy go na pal i po kłopocie!...

— Łotry, łotry!... zajęczała kobieta... — Nie wierzę, umyślnie mówicie, żeby mię dręczyć!...

— „Łotry" i „nie wierzę"!... Gdzież tu logika?... Och, kobiety, kobiety!... Przypuśćmy zresztą, że tym razem nie jesteśmy łotrami, nie wbiliśmy go na pal, na co on zupełnie zasłużył, lecz że on bohatersko zabił znowu jednego z naszych... Co z tego?... Czy sytuacja pani przez to polepsza się?!... Bynajmniej!... Przeciwnie mamy więcej jeszcze powodów trzymać panią... Niech więc pani lepiej porzuci dąsy i spojrzy na rzeczy trzeźwo... Albo dobrze pani znajomy, pan Włodzimierz Kalenkin, nie żyje, więc mu już nic nie zaszkodzi, albo żyje, to znaczy nie jest w naszych ręku... W obu wypadkach może pani bez najmniejszych wyrzutów sumienia powiedzieć nam o nim całą prawdę...

— Kiedy ja nic nie wiem!... Nie pojmuję nawet czego odemnie chcecie!... Nie rozumiem jak to się stało... Trzymaliśmy się zupełnie na uboczu, unikaliśmy nawet pozorów... — tłumaczyła się gorączkowo i bezładnie kobieta.

— Właśnie, właśnie!... I to was zdradziło... Ocho, my na wszystko mamy oko!... A co znaczy ten szyfr, który znaleźliśmy wszyty w rąbek stanika pani?...

— Nie wiem nic, nie mam pojęcia!... Ubranie było nie moje, pożyczyłam go od koleżanki... Mówiłam już...

— Od tej, która uciekła!... Właśnie!... Ja też pani już mówiłem, że ona była bolszewicką ajentką i kierowała tutaj wywiadem...

— Nie wiem, może była, może kierowała.. Cóż to ma do mnie!... Ja tego nie robiłam... Tyle mej winy, że z nią mieszkałam... Nie domyślałam się nawet.. Dopiero od panów dowiedziałam się po aresztowaniu... Włodzimierz to samo... Przysięgam panu, że tak jest!... Przysięgam!... Nienawidzę polityki...

— Nienawidzieć polityki też niewolno!... To sabotaż. Pani powinna była kochać naszą politykę!... Ale mniejsza o to... To się da jeszcze naprawić!...

— Pragnęłam jedynie na ustroniu przeczekać całą tę burzę... Dlatego uciekliśmy z Włodzimierzem aż tu, do Mongolji...

— Chętnie temu wierzę!... Ale pani, Tatjano Markówno, rozumie, że my musimy mieć dowody... Pani musi dowieść, że pani nas woli...

— Jakże ja tego mogę dowieść?...Nie rozumiem!...

— Rzecz bardzo prosta: w tym tylko celu sprowadziliśmy panią tutaj, żeby pani wykazała... złożyła dowody namacalne, że pani nie jest naszym wrogiem...

— Nie jestem niczyim wrogiem!... Polityka mię nie obchodzi!...—powtarzała uparcie.

Tem lepiej, tem lepiej!... Narazie chodzi nam o drobnostkę: Naczelny Wódz bardzo zainteresował się sprawą pani i pani osobą. Chce panią poznać osobiście i pomówić. Najzręczniej to zrobić... przy kolacji... Prosimy więc panią o wzięcie udziału w naszym skromnym posiłku...

Zapanowało dość długie milczenie.

— No, jakżeż? — spytał wreszcie Wołkow.

— Gdzież to ma być?... — odpowiedział zdławiony głos kobiecy.

— Tutaj obok.

— I wtedy... skoro przekonacie się, że jestem niewinna... puścicie mię, pozwolicie odjechać do Charbina... do brata... — ciągnęła rwącym głosem.

— Ależ tak!... Skoro tylko przekonamy się, że pani niewinna!... — przerwał z naciskiem Wołkow. — Odwiozę panią choćby jutro własnym samochodem do granicy... Nie tylko pani będzie wolna, ale przestaniemy ścigać pani narzeczonego... Jeden warunek: musi pani być zupełnie powolną... zupełnie!... Rozumie pani?...

Znowu zapanowało milczenie, następnie rozległy się ciche kroki kobiety, chodzącej wielokrotnie tam i napowrót, tam i napowrót po małym pokoiku.

— Pani się namyśla?... Dziwaczka z pani. Przecież pani jest całkowicie w naszej mocy, przecież my możemy w każdej chwili oddać panią żołnierzom?!... Jeżeli nie robimy tego, to znaczy, że wyróżniamy panią, że pragniemy istotnie ulżyć doli pani!... Baron bardzo się zainteresował panią...

— Baron to ten... ten... Ungwu... — zabrzmiało ciche pytanie.

— Tak, tak!... Krwawy Ungwu von Sternberg... Słyszała pewnie pani o nim... On oswobodził Mongolję od chińskiego jarzma!...

— O tak, słyszałam!... przerwała nerwowo kobieta.

Nie jest to więc żaden azjata...—przekładał dalej Wołkow,—ale europejczyk, arystokrata, magnat, potomek dawnych Rycerzy Mieczowych... Już widzę, że pani ustąpi. Zje pani z nami spokojnie kolację, będzie wesoło i nikt się nie dowie!... Odleci pani od nas o świcie wolna jak ptaszek!...

Znowu milczenie i ciche kroki.

— Słowo oficerskie?...—zaszemrało wreszcie cichutkie pytanie.

— Słowo, słowo!... Tysiąc słów, tysiąc przysiąg... Nawet na piśmie... Ile tylko sobie pani życzy... Jaki interes mielibyśmy zatrzymywać panią lub robić jakieś wstręty, jeżeli wszystko pójdzie gładko... A to od pani zależy...

Wesoła noc, szalona noc
Przemknie jak błyskawica burzy.
Oddamy się w rozkoszy moc,
Całując listki róży...

— zadeklamował.

— Jestem przekonany, że rozstaniemy się jako wielcy przyjaciele... Baron bardzo miły i ...bardzo przystojny... A ja, choć niepozorny, ale mam... ukryte zalety... Przekona się pani... Zresztą pani mię zna: pułkownik...

— O tak, znam!... — westchnęła.

— Kawaler, lat trzydzieści sześć!... Do usług!... Cha, cha!

— Więc to baron pana przysłał? Pan mówi w jego imieniu?

— On już czeka na panią. Ot, tam!... Raz, dwa, trzy... Tylko śmiało!... Przejdźmy Rubikon!... O tak, doskonale...—gadał Wołkow coraz bliżej portjery.

Zaszeleściły suknie kobiece, zachwiała się kotara, biała ręka podniosła jej kraj. Światło w pokoiku zgasło. Jednocześnie w ciemnej ramie drzwi ukazała się młoda kobieta, średniego wzrostu o zgrabnej kibici obciągniętej w skromną czarną suknię. Jej świeża, okrągła twarz, otoczona puklami przystrzyżonych ciemno-blond włosów, była blada, duże szafirowe oczy patrzały z przerażeniem przed siebie.

— Niech pani postara się tylko nas oczarować, co dla pani nie będzie trudno z pani urodą...—szeptał z tyłu za nią Wołkow, popychając z lekka dziewczynę przed sobą.

Baron ukłonił się wchodzącej, nie wstając z miejsca.

— Tatjana Markowna, Nowikowa!... — przedstawiał dziewczynę Wołkow.

— Proszę, niech pani siada!...—rzekł głucho baron, wskazując na fotel w końcu stołu. Chłodne, spokojne przyjęcie dodało dziewczynie otuchy. Usiadła dość swobodnie na wskazanem miejscu.

— Tak, tak! Tu będzie doskonale!... Między mną i baronem. Żaden z nas nie będzie skrzywdzony. Co pani życzy sobie: wódeczki czy koniaku?... — gadał Wołkow, uwijając się przy butelkach.

— Dziękuję. Nie będę piła! Nie piję!...

— O, tak niewolno!... Przed chwilą obiecywała pani: wiarę, miłość i posłuszeństwo... Musi pani przypieczętować umowę i trącić się z nami. Prawda, baronie?... Tylko do świtu... Potem wolna pani jak ptak!... Sam odwiozę do granicy!...

— Radzę koniak!... — rzucił baron, rozpierając się w fotelu.

— Wołkow! mnie też daj koniaku!...

— Służę, służę! Ale pani musi nas dopędzić!... My już piliśmy... Pani musi wypić dwa!... —nastawał Wołkow, rozlewając w kieliszki złoty napój.

— Nie śpiesz się, pułkowniku!... Chyba, że pani ma mocną głowę!... — zauważył baron.

— Mówiła przed chwilą, że nie pije. Takie świeże, nieprzepite głowy są najmocniejsze!

— Już dobrze!...—przerwała młoda kobieta. — Skoro ma być, co ma być, niech będzie jak najprędzej! Niech pan naleje dwa!...

Porwała drżącą ręką podane kieliszki i wychyliła jeden za drugim.

— Ee-e!... Tak, to na nic!... Nie trąciła się pani z nami... Musi się pani trącić!... Pijemy bruderszaft!... Bez tego ani rusz!... Nalewam pani trzeci!... — nastawał Wołkow.

Dziewczyna po krótkiem wahaniu trąciła się z nim i wypiła trzeci kieliszek, marszcząc się i krztusząc.

(*Dcn*)

KRÓL POLSKI NA RATUSZU W GDAŃSKU.

Mało jest pamiątek polskich, któreby tak ważną rolę odgrywały, a mimo to tak zapomnieniem pokryte były, jak niektóre zabytki gdańskie. W ich rzędzie na pierwszem miejscu bez wahania postawić można całe zwieńczenie wieży Domu Radnego na Prawomieściu. Z dala w słońcu pobłyskuje postać królewska suto złocona, nad nią na trzpieniu śmigłym chorągiewka z dwoma krzyżami, pod nią kula potężna a najwyżej okręt trójmasztowy. Mylnie twierdzą, jakoby *krzyże gdańskie* pochodzić miały dopiero z doby chrześcijaństwa. Są one pozostałością czasów pogańskich, jak dwa krzyże takie same na tarczy—na szczycie—pogoni litewskiej. Są one związane z wiarą Światowida czterotwarzowego, bo cztery ich ramiona, sobie ściśle równe, oznaczają cztery strony świata. W Kordjanie Słowacki (w akcie III) wprowadza cesarza, który w obrzędzie koronacyjnym uderza mieczem w cztery strony świata. Jest to pozostałość czasów bardzo odległych. Nic przeto silniej nie świadczy o starożytności ściśle słowiańskiej Pomorza i Gdańska, jak ten właśnie herb dwukrzyżowy wedle pojęć wiary starolechickiej. — Duch polski zaznaczał się pomnikami sztuki z wieku na wiek, czasem silniej, czasem słabiej, a zawsze jednako wiernie.

Postać króla Zygmunta Augusta na wieży ratusza w Gdańsku.

Bez przesady do arcydzieł najcelniejszych Gdańska zaliczyć można całe zwieńczenie wieży wspomniane, zwłaszcza, iż więcej ono udowadnia jak dzieła pisane i trwalej w przyszłość przenosi prawa nasze do tego miasta, aniżeli wszelkie wywody słowne.

Ponad kończyną ostatnią dachu wieżowego o kształtach baniastych unosi się piękna postać króla Zygmunta Augusta, który stoi na kuli i trzyma ręką kopję polską bardzo strzelistą, na wierzchołku której unosi się w błękity obraz okrętu trójżaglowego o pięciu chorągiewkach. Król ma na głowie koronę a z ramion spada mu płaszcz suty, powiewny, który przyczynia się do wzbogacenia linij zarysowych. Górna połowa kuli obraca się za podmuchem wiatru a z nią i cały obraz króla, patrzącego od wieków na wszystkie strony miasta, przypominając mieszkańcom troskliwą a łagodną opiekę Polski.

Niemcewicz w podróżach, mówiąc o Gdańsku, powiada wyraźnie, iż przed dwudziestu laty gdańszczanie wszyscy mówili po polsku. Duch polski przejawiał się od wieków na każdym kroku aż do rozbioru Polski, zanim potem Niemcy nie poniszczyli z nienawiścią, co tylko przypominało Ojczyznę naszą. W sali ratusza były „posągi królów polskich misterną sztuką podnoszące się na tronie", lecz wszystko to powyrzucali najeźdcy.— Wiedząc o tem, nietrudno sobie wyobrazić, jak sztuka piękna w Gdańsku krzewiła się pod ciepłem poczucia serdecznego, jakie i tutaj promieniowało szczególnie z ogniska duszy szczerze polskiej.

Zwieńczenie wieży ratusza w Gdańsku ukończono w r. 1561, zatem w czasie, kiedy u nas kwitła najpiękniejsza sztuka Zygmuntowska. To też umieszczenie postaci Zygmunta Augusta w wysokości 80 m. ponad miastem stało się wyrazem bardzo silnym dla Gdańska, tak że po dzień dzisiejszy my, Polacy, z dumą to podnosić powinniśmy, co oznacza panowanie ponad grodem polskości mimo wszystkich ucisków wrogich. Z odległości kilku mil dookoła miasta świeci korona polska z obrazem króla, aby nam przypominać, iż w Gdańsku oddawna była myśl polska przeważającą i w sztuce pięknej tętni ona najwięcej, choć wrogowie wytężają siły ostatnie, aby nas zgnębić i wytępić.

Nic to wszystko nie pomoże, ponieważ duch Polski unosi się nad Pomorzem i ponad Gdańskiem tak samo, jak blask słoneczny, bijący ze złota króla ukoronowanego ponad wieżą ratusza gdańskiego. *Prof. dr. Zubrzycki.*

Lwów, wrzesień 1923.

Z TEATRU.

Fot. J. Malarski.

Pp. W. Rapacki i M. Frenkiel.

Pp. Majdrowiczówna i Osterwa.

Sezon teatralny w „Rozmaitościach" otwarto Fredrowską „Zemstą" w nadzwyczajnej obsadzie. Role główne grali M. Frenkiel, W. Rapacki, L. Solski, J. Osterwa, pp. Majdrowiczówna i Pichorówna.

BUDOWA WIADUKTU KOLEJOWEGO W WARSZAWIE.

Dla skrócenia linji obwodowej Ministerstwo kolei przystąpiło do budowy nowego mostu przez Wisłę i tunelu podziemnego, który łączyć będzie przyszły dworzec za pomocą tunelu pod alejami Jerozolimskiemi z nowym wiaduktem. Dwie klisze powyższe przedstawiają obecny stan robót przy nasypie oraz budowie wiaduktu.

War. Aj. Fot.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. P. HORTENSJA LEWENTALOWA

† 12 września 1923 r.,

wdowa po b. wydawcy i redaktorze „Kłosów", wydawczyni „Kurjera Warszawskiego", gorąca patrjotka polska, opiekunka i prezesowa zakładu dla biednych suchotników w Rudce, fundatorka ochrony dla biednej dziatwy, ofiarna filantropka, umysł wysoko wykształcony rozległem oczytaniem, znawstwem literatury ojczystej i piśmiennictw europejskiego Zachodu. Pozostawiła po sobie głęboki żal w sercach rodziny i życzliwą pamięć w kołach naszej inteligencji, które się w jej gościnnych salonach gromadziły.

NOWI MINISTROWIE.

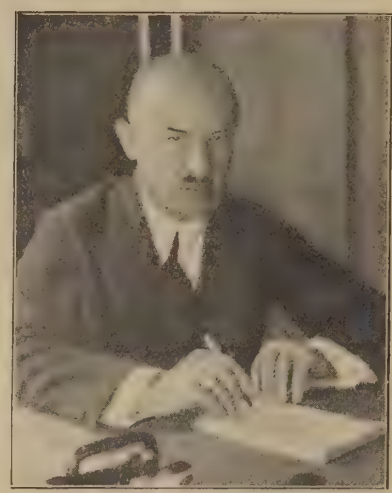

Minister przemysłu i handlu M. Szydłowski.

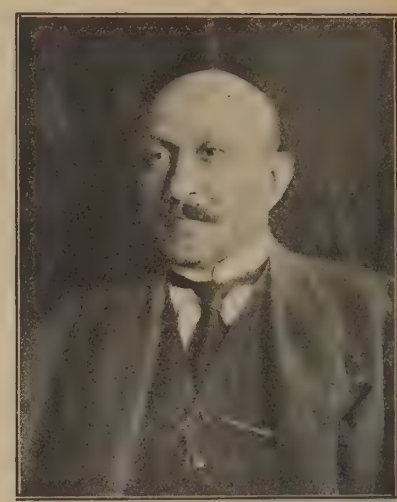

Minister pracy i Op. Sp. St. Smólski.

Z CHWILI.

Mr. W. Gleaves Doyle F. R. G. S., specjalny reprezentant w Europie Stow. Ligi Narodów w Kanadzie, bawił ostatnio w Warszawie.

Przedstawiciele floty amerykańskiej w Gdańsku. (Od lewej ku prawej: Major Moore, attaché wojsk ameryk., por. H. O. Hunter, admirał Philip Andrews, P. H. Kleeman, kapitan statku wojennego, „Pittsburg", por. Powell i komandor Frankowski, oficer łącznikowy).

Akad. Ajencja Fotograficzna. Fot. dostarczona przez Amerykańsko-Polską Izbę Handlowo-Przemysłową w Polsce.

Celem uczczenia opuszczającego służbę czynną zasłużonego organizatora oddziałów balonowych W. P. pułkownika Aleksandra Wańkowicza, korpus oficerski wojska balonowego ufundował przechodnią konkursową nagrodę dla pilotów balonu wolnego w postaci srebrnego puharu imienia swego byłego szefa.

Puhar został wykonany, podług projektu jednego z oficerów, przez warszawską firmę „Gontarczyk".

WYCIECZKA NAUCZYCIELI ŁOTEWSKICH.

Dnia 31-go sierpnia wyjechała z Warszawy do Wilna bawiąca w Polsce od 16-go sierpnia b. r. wycieczka nauczycieli z Latgalji złożona z 13 osób, subsydjowana przez rząd łotewski. Wycieczce towarzyszył z ramienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych p. Bogatkiewicz. Goście łotewscy zwiedzili dokładnie Warszawę, Zamek, Muzeum Narodowe, Muzeum Wojska, kościoły, uniwersytet, niektóre szkoły, Wystawę Zachęty Sztuk Pięknych i t. d. Wycieczka była też w Krakowie, gdzie zwiedziła Wawel, kościoły i inne zabytki. Po zwiedzeniu kopalni w Wieliczce, wyjechała do Pragi Czeskiej i Wiednia. Z Wiednia powróciła wycieczka do Warszawy, a po zwiedzeniu pałacu Łazienkowskiego i teatrów Warszawskich wyjechała do Wilna. Goście łotewscy odjechali, żegnając serdecznie Polskę i wyrażając swe uznanie i podziw dla rozwoju szkół polskich i poziomu polskiego nauczycielstwa.

Ś. P. JÓZEF SIECZKOWSKI.

W dniu 3 sierpnia r. b. zakończył życie skutkiem nieszczęśliwego wypadku ś. p. Józef Sieczkowski, porucznik pilot. Urodzony w Warszawie 5 stycznia 1899 roku, po ukończeniu Szkoły Handlowej z zamiłowaniem i entuzjazmem poświęcił się służbie w wojskach lotniczych. Całą kampanję bolszewicką przebył na froncie w 2-gim pułku lotniczym, odznaczając się niezwykłą odwagą i męstwem. Odznaczony krzyżem „Virtuti Militari" został w roku 1922 odkomenderowany na studja do Wyższej Szkoły pilotów w Grudziądzu, gdzie podczas lata, skutkiem zapalenia się płatowca, doznał śmiertelnych obrażeń. Zwłoki por. Józefa Sieczkowskiego przewieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu Powązkowskim w grobie rodzinnym.

W zmarłym traci wojsko zdolnego oficera i człowieka prawych zasad i charakteru. Cześć Jego pamięci!

TAM, GDZIE SIĘ KARBID WYRABIA...

(Z cyklu „Bydgosko-pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Widok zewnętrzny fabryki Tow. Akc. „Karbid Wielkopolski".

Jedną z najpiękniejszych wycieczek, jakie odbyć można w okolicę Bydgoszczy, jest wycieczka do Smukały, położonej o 12 kilometrów w stronę Koronowa, nad brzegiem Brdy. Kolejką wąskotorową drogę tę odbywa się w ciągu pół godziny, poczem jeszcze pozostaje dwa kilometry przejść pieszo i to wśród prześlicznego lasu sosnowego.

Obejrzenie niesłychanie ciekawej fabryki karbidu, która tu się znajduje i zaspokaja zapotrzebowanie dosłownie całej Polski, wynagradza obficie trudy poniesione w ciągu tej, niezbyt zresztą uciążliwej, wycieczki.

Fabrykę tę pobudowali w 1906 r. Niemcy, ani przypuszczając wtedy, iż wypadnie im to naprawdę kolosalnej wiedzy, pracowitości i nakładu kapitałów dzieło zostawić znienawidzonej przez się Polsce, jakby królewski i z monarszą rozrzutnością porzucony dar.

Zakłady te w Smukale, wyrabiające karbid, składają się z całego kompleksu budynków, rozrzuconych malowniczo wśród ślicznych skwerów i obramowania zielonych drzew nad brzegami Brdy, stosownie ujarzmionej imponujących rozmiarów tamą i całym szeregiem niesłychanie ciekawych urządzeń wodnych.

Trzebaby specjalnego pióra fachowego hidrologa, żeby zdać dokładnie sprawę z olbrzymiego nakładu pracy i kapitałów, jakiego tu dokonano, ażeby imponujące to dzieło doprowadzić do skutku.

Z udzielonych nam uprzejmie przez naczelnego dyrektora „Karbidu Wielkopolskiego" (tak brzmi oficjalna nazwa tego obecnie Towarzystwa Akcyjnego) inżynjera, p. radcy Stanisława Rolbieskiego, wyjaśnień cytuję najważniejsze:

Z wszystkich rzek, jakiemi Niemcy w 1904 roku rozporządzali, a których spad wody, jako siła pędna, był brany w rachubę, jedynie polska Brda nadawała się do tego, a to z tego względu, iż pojemność jej wód z powodu niezamarzania jest niemal identyczna o każdej porze roku. Poza tem w tem właśnie miejscu pod Bygdoszczą spad jej wód wynosi w pionie 6.00 m., przyczem różnica powierzchni wy- 46,542 qkm.

By zdobyć powierzchnię około 150 morgów, potrzebnych do pobudowania całego kompleksu urządzeń i budynków, trzeba było skupić i skomasować własność około 48 drobniejszych posiadaczów rolnych. A jednak rząd niemiecki wszystkie te trudności przezwyciężył i w 1906 r. zakłady zaczęły działać.

Dwie ogromne turbiny o sile 2400 Hp. wytwarzają tu prąd, który przepuszczony przez

Antoni Rolbieski,
dyrektor naczelny zarządu Tow. Akc.
„Karbid Wielkopolski".

olbrzymich rozmiarów z Szwecji w tym celu sprowadzane węglowe „elektrody", daje jakby przy olbrzymiej lampie łukowej żar, dochodzący do 3600 stopni C. Przy tak wysokiej temperaturze łączy się właśnie wapno palone z wę-

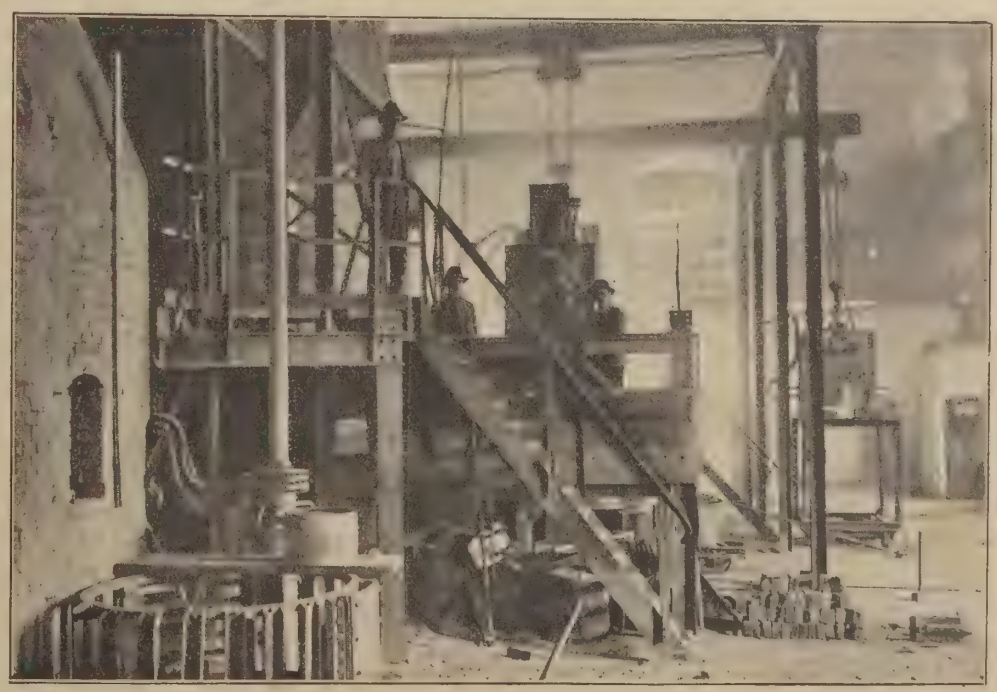

Wnętrze fabryki Tow. Akc. „Karbid Wielkopolski".

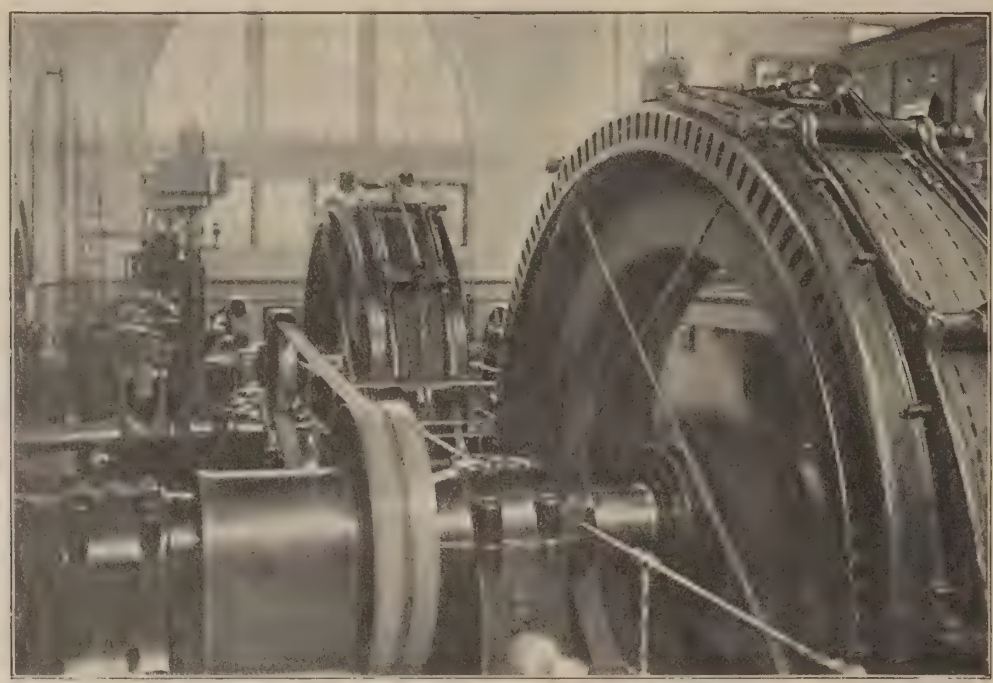

Wnętrze hali z turbinami w fabryce „Karbid Wielkopolski".

glikiem, tworząc płynną masę, chemicznie oznaczoną ($Ca\ C_2$), który to produkt, wlany następnie do żelaznych form i stosownie ostudzony, jest oto znany na rynku handlowym, jako karbid.

Karbidu tego zakłady w Smukale dostarczają dziennie około 7 tysięcy kg. t. j. $^3/_4$ wagonu.

Sekret cały produkcji karbidu w zakładach smukalskich leży w jej stosunkowej taniości z uwagi na to, iż produkcja ta odbywa się bez pomocy kosztownego węgla, a jedynie przy wykorzystaniu spadku wody, jako siły pędnej. Dzięki sile tego spadku wody, którąby można nazwać słusznie „białym węglem", oszczędzają zakłady w Smukale na godzinę około 3600 kg. węgla. Łatwo obliczyć wartość tej kolosalnej oszczędności w walucie bieżącej.

Dzięki energji i nieustannym dążeniom naczelnego dyrektora zarządu, p. radcy Rolbieskiego, do rozszerzenia jeszcze więcej zakresu działalności tych zakładów, w niedalekiej przyszłości ustawione tu będą dwie nowe turbiny wodne, dzięki którym dzienna produkcja karbidu powiększona będzie do wydajności 1 wagonu.

Już dziś produkcja ta zaspakaja potrzeby niemal całej Polski, t. j. dostarcza karbidu kolejom państwowym, kopalniom naszym, wojskowości i t. d., ale jeszcze ponad to eksportuje się karbid smukalski w bardzo poważnych ilościach zagranicę.

Fakty te mówią bardzo dobitnie, czem są zakłady „Karbidu Wielkopolskiego", w Smukale podbydgoskiej się znajdujące i jaką grają rolę w naszym bilansie handlowym.

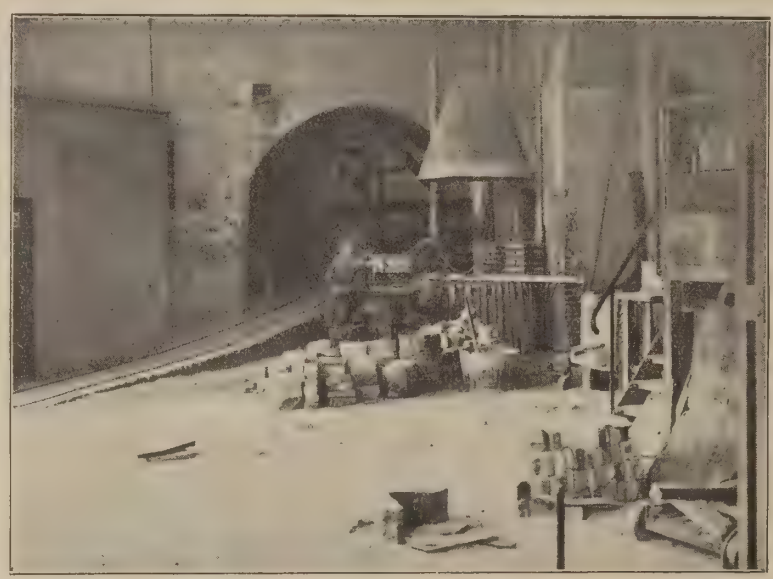

Fragment wnętrza fabryki „Karbid Wielkopolski".

Jak się informujemy, rada nadzorcza „Karbidu Wielkopolskiego", na czele której stoi dobrze zapisany w dziele spolszczenia przemysłu bydgoskiego radca sprawiedliwości, Melchjor Wierzbicki, idąc na rękę rozumnie pomyślanym planom naczelnego dyrektora Rolbieskiego, zamierza przystąpić niedługo do budowy nowej tamy wodnej. W tym wypadku produkcja „Karbidu Wielkopolskiego" podwoiłaby się.

Oto jak pracują Polacy, którym, jako narodowi, zawistni i puszący się swą rzekomą kulturalno-przemysłową wyższością Niemcy, w zestawieniu z sobą, śmieli zarzucić „Minderwärtigkeit".

Dzieła, pozostawionego przez nich, Polacy oto nie tylko nie zmarnowali, ale utrzymali wzorowo na dawnym poziomie, a ponadto prowadzą je stale po drodze coraz to bardziej imponującego rozwoju.

W podróży powrotnej z tej zajmującej wycieczki zwiedziliśmy po drodze wzorowo pobudowane w Smukale sanatorjum dla chorób gruźlicznych, którem się opiekuje specjalny komitet ze starostą bydgoskim, p. Niesiołowskim, na czele.

Warte jest nadmienienia, iż sanatorjum temu zakłady karbidu w Smukale dostarczają prądu do oświetlenia za $^1/_4$ kosztów normalnych, t. j. prawie darmo.

Dr. M. Win.

Olbrzymia tama, regulująca spad wody Brdy.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 40 Ogólnego zbioru 3,333 Wydawnictwa rok 64. 29 Września 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

RUINY MECZETU BIBI-CHANYM W SAMARKANDZIE.

Do artykułu na str 640.

O WOLNOŚCI WOLI.*)

Jaźń jest istotą rzeczywistą i jako taka może być samoistną przyczyną zmian swoich wewnętrznych, lub zmian zewnętrznych w jej otoczeniu. Wśród działań jaźni jedne są przygotowane i powodowane, inne zaś stanowią nowe początki szeregu przyczyn. Tylko te ostatnie stały się źródłem pojęcia przyczyny. Gdybym nie był sam rzeczywistą oryginalną przyczyną niektórych moich działań, to nie znałbym przyczynowości, tylko kolejność zjawisk lub zdarzeń.

Żadne z rozumowań deterministów nie obala pewności, jaką mam co do mojej wolności. Sami determiniści postępują i działają jako istoty świadome swej wolności i dążą do rozszerzania tej wolności. Wolność jest wyrazem samoistnego bytu jaźni, więc jest najściślej związana z nieśmiertelnością duszy. Zaprzeczenie wolności prowadzi do zaprzeczenia nieśmiertelności, a przez to do zaprzeczenia osobistego Boga i do panteizmu.

Trzy dogmaty wolności, nieśmiertelności i istnienia Boga są z sobą ściśle połączone i stanowią podstawę spirytualizmu, jako naturalnego poglądu na świat, rozwiniętego w aryjskiem chrześcijaństwie, a przeciwległego trzem sztucznym poglądom na świat, materjalizmowi, idealizmowi i panteizmowi, które prowadzą do determinizmu lub fatalizmu i są właściwe szczególniej rasie semickiej nomadów, u których jednostka nie dochodzi do pełnej świadomości odrębnego swego istnienia.

Stopień wolności woli bywa różny. Na najniższym stopniu trzody ludzkiej, w której nie zróżniczkowały się jednostki, mamy najrzadsze objawy istotnej wolnej woli. Wszystko się dzieje według przepisów gromady i za wszystko odpowiada gromada. Im wyższy poziom istotnego uspołecznienia, polegającego na świadomem obywatelstwie, tem więcej działa wolna twórcza wola jednostek. Despotyzm jest ograniczeniem wolności do jednej osoby w społeczeństwie, a cała kultura grecko-rzymska jest walką z despotyzmem o wolność społeczną i polityczną, która jest odpowiednikiem wolności psychologicznej.

Polski mesjanizm, jako najdalej idący spirytualizm mistyczny, uznaje w najwyższym stopniu wolność woli i nawet tę wolność określa jako wszechmoc. Wszechmoc polega na zgodności woli z możnością, więc wszechmocnym jest ten, co chce tylko to, co może, a przez to może wszystko, co chce. Stąd wynika, że i wszechmoc ma różne szczeble, a celem rozwoju woli jest stopniowe zbliżanie wszechmocy ludzkiej do wszechmocy Bożej, przez dobrowolne świadome uzgodnienie woli ludzkiej z wolą Bożą, co daje moc czynienia cudów i naruszania mechanicznej konieczności, panującej w przyrodzie.

Niewolnik nie jest w stanie pojąć wolności i żadne rozumowe dowodzenia mu jej nie uprzystępnią. Ogromna większość ludzi jest jeszcze w niewoli, w zupełnej biernej zależności od doktryn im zewnętrznie narzuconych, i to tłumaczy rozpowszechnienie determinizmu, który usprawiedliwia powszechną niewolę i ułatwia znoszenie jarzma, lecz zarazem to jarzmo utrwala.

Szerzenie determinizmu w nauczaniu filozofji w Polsce jest zbrodnią, popełnianą na młodzieży, bo pod pretekstem subtelnej dyskusji psychologicznej pozbawia młodzież podstaw wiary religijnej. Owa rzekoma subtelność pociąga—i młodzież, wyzwolona się czując od wszelkich moralnych hamulców, jakie nakłada poczucie odpowiedzialności osobistej, staje się skłonną do wszelkich społecznych i politycznych radykalizmów.

Lecz budzenie się świadomości narodowej i bunt wszechludzki przeciwko jarzmu, jakie ruchowi narodowemu narzucić usiłują różne organizacje międzynarodowe semickie, (masonerja, wielkie finanse, socjalizm, bolszewizm) jest aryjsko-chrześcijańską reakcją przeciwko fałszywej doktrynie determinizmu, w nowszych czasach głównie pochodzącej od żyda Spinozy, a najskuteczniej szerzonej przez żyda Marxa.

W Polsce najwięksi nasi wieszczowie i mędrcy wyznawali wolność woli i dążenie do wszechmocy. To samo cechuje wielką szkołę francuskiego spirytualizmu, pochodzącą od Kartezjusza i Maine de Biran, a uosobioną w ostatnich dziesięcioleciach przez Boutroux, Ravaisson, Lachelier i wielu innych. Zaprzeczenie wolności cechuje Niemców i żydów, jako ludy mające skłonność do trzodnego bytu, cechującego nomadów. Lud polski, od tysiącoleci osiadły na roli przodków, ma silne poczucie indywidualnej woli i odpowiedzialności i nie różni się pod tym względem od polskiej szlachty.

Co do istoty czynu wolnego, czyli jakiegoś nowego zupełnie początku w łańcuchu wydarzeń, to nie okazuje się ona najjaśniej w dowolnych ruchach cielesnych, które nie mają doniosłych skutków, lecz występuje najjaśniej w ważnych postanowieniach, gdy wybieramy jedną z kilku alternatyw, po długiem rozważaniu skutków. Szczególniej ważnym przykładem wolnego czynu są postanowienia, które ograniczają przyszłą wolność, jak np. śluby zakonne lub małżeńskie. Ten użytek woli, która sama siebie wiąże i krępuje, jest jednym z najwięcej przekonywających dowodów jej wolności. Samobójstwo tylko w bardzo rzadkich wypadkach może być aktem prawdziwie wolnej woli, a najczęściej bywa skutkiem fizycznej niemożności życia, wynikającej z ukrytych dolegliwości cielesnych.

Najwyższym typem człowieka wolnego jest prawdziwy artysta, który wolą rozumem oświeconą zupełnie opanuje natchnienie i zdoła je doskonale wcielić w życie. Najwyższym typem wolnego artysty jest prawdziwy wychowawca, który rzeźbi dusze ludzkie i umie pokierować przeznaczeniami swych uczniów. Gdy wychowawca wywiera swój wpływ na całe społeczeństwo, staje się idealnym wodzem społecznym lub politycznym, który z ludzi wolnych tworzy arcydzieło państwa narodowego, zapewniającego swym obywatelom większą wolność, nie tylko niż państwo despotyczne, lecz także niż państwo współczesne demokratyczne.

Najwyższa wolność woli ludzkiej, wiodąca ku cudotwórczej mocy, jest możliwa jedynie w zupełnej zgodności z wolą Bożą, i nie polega bynajmniej na rezygnacji, lecz na natchnieniu i twórczości. Umiejętność systematycznego dążenia do tego celu prowadzi do psychofizyki integralnej i syntetycznej, przeciwległej niemieckiej psychofizyce dyferencjalnej i analitycznej. Ostatecznym środkiem udowodnienia doświadczalnego wolności i twórczości woli byłoby obalenie dogmatów niezniszczalności materji i zachowania energji fizycznej przez doświadczenie zasadnicze, sprawdzające w warunkach naukowej kontroli możliwość wpływu woli ascety na materję i energję w zupełnie izolowanej przestrzeni.

Wincenty Lutosławski.

*) Streszczenie wykładu, wygłoszonego na zjeździe filozofów we Lwowie.

Pierwsze posiedzenie ogólne czwartego zgromadzenia Ligi Narodów.
Delegaci polscy zasiadają w piątym rzędzie na prawo (×) w porządku następującym: Pp. Skirmunt, Strasburger, Modzelewski, Czetwertyński.

CZWARTE OGÓLNE ZGROMADZENIE LIGI NARODÓW.

Genewa, we wrześniu.

Na tegorocznem ogólnem Zgromadzeniu Ligi Narodów delegacja polska zajmuje wybitne miejsce. P. Skirmunt zasiada, jako wiceprezes, w prezydjum Zgromadzenia i przewodniczy 3-ej Komisji: rozbrojenie i pakt gwarancyjny. Jest to najważniejsza komisja ze wszystkich; zasiadają w niej przeważnie szefowie delegacji, jak Hanotaux, lord Robert Cecil, Quinonès de Léon, hr. Ishii, Salandra, Hymas, Motta etc.

Dotychczas delegacja polska wypowiedziała się w całym szeregu spraw, zabierając głos z autorytetem i kompetencją, wyróżniając się poważnem traktowaniem spraw, będących na porządku dziennym obrad Ligi.

Wybitną mowę wygłosił p. Skirmunt podczas inauguracji 3-ej Komisji (rozbrojeniowej), następnie przemawiał w sprawie przyjęcia Irlandji do Ligi Narodów, gratulując młodemu państwu w słowach mocnych i serdeczny i składając zarazem hołd Anglji za jej liberalizm i tolerancję. P. Skirmunt przemawiał także z powodzeniem w komisji do spraw mniejszości narodowych. W poszczególnych komisjach i podkomisjach, w których zasiadają delegaci polscy lub ich zastępcy, zabierali głos pp.: Antoni Wieniawski i Henryk Strasburger (w sprawach ekonomiczno-finansowych), książę Czetwertyński (w komisji rozbrojeniowej), p. Winiarski, (w sprawie protestu Litwy przeciwko uznaniu granic wschodnich Polski przez Radę Ambasadorów); p. Modzelewski, poseł nasz w Bernie, bierze czynny udział i odgrywa wybitną rolę w całym szeregu zagadnień, związanych z obecnem Zgromadzeniem Ligi.

Delegaci polscy opuszczają pierwsze posiedzenie Ligi.
Od lewej do prawej pp. Strasburger, Skirmunt, Modzelewski.

P. dr. Mieczysław Marchlewski, radca prawny Delegacji w Genewie, umiejętnie pracuje w sprawie Gdańska, jednając tezie polskiej coraz więcej adherentów. Jako najbliższy współpracownik p. Plucińskiego, p. Marchlewski, wielce przyczynił się — nie mówiąc naturalnie o olbrzymiej wprost zasłudze p. Plucińskiego — do szczęśliwego zakończenia pertraktacyj polsko-gdańskich w Genewie.

Należy się wreszcie specjalne uznanie p. Fr. Sokalowi, delegatowi Rządu polskiego w Międzynarodowem Biurze Prasy. Dzięki swej wielkiej pracowitości i niepowszedniej inteligencji p. Sokal, — jak mi to osobiście oświadczył Albert Thomas, — wysuwa się na czołowe stanowisko w M. B. P. Jako członek komisji do zwalczania wydawnictw niemoralnych, p. Sokal opracował raport, który mu zjednał publiczne uznanie wszystkich członków Komisji.

Muszę wreszcie wymienić sekretarzy Delegacji, pp. Arciszewskiego i Gwiazdowskiego, którzy stale przebywają w Genewie i znają na wylot wszystkie zagadnienia i subtelności związane z posiedzeniami Rady Ligi i Zgromadzenia Ligi.

Tyle o początkach działalności naszej Delegacji w Genewie. Sprawy nasze wejdą pod obrady dopiero na końcu sesji obecnej i wtenczas będzie można zreferować je bardziej rzeczowo. Początki zaś są takie, że powinny nas w zupełności zadowolić.

Stefan Aubac.

Komisja szósta: pod przewodnictwem p. Skirmunta (rozbrojenie i pakt gwarancyjny).
1. Skirmunt, 2. Winiarski, 3. Arciszewski, 4. Cecil, 5. Czetwertyński, 6. Branting, 7. Benesz, 8. Senator Lebrun.

ROZMOWY Z ALMAŻENNĄ.

„Wiedz naprzód, iż gdzie stąpisz,
Jest wszędzie nad tobą
„Pewna istota. .
Dziady, cz. I.

Almażenna jest zjawą bezcielesną, obdarzoną sercem. Otulona woalami mgły, cierpi i drży w zaświatach. Drży, bo jej zimno w przestworzu, cierpi, bo jest w niewoli u anioła. U białego i dobrego anioła, ale zawsze w niewoli. Dopiero wtedy, gdy ludzie zapragną jej obecności przy sobie, gdy wspólnym wysiłkiem woli zawezwą ją—Almażenna wyzwala się z pęt anielskich i zaczyna istnieć. Tylko przy ludziach i dzięki ludziom odczuwa świadomość bytu, rozkosz istnienia.

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

Kim jest zresztą Almażenna, określić niełatwo. Być może, że jej wogóle niema. Możnaby ją ostatecznie uważać za rodzoną siostrę tego robaczka-kołatka, którego Gustaw z „Dziadów" wywoływał w domku księdza, gdyby nie to, że ów robaczek zjawiał się w uchwytnej postaci materjalnej, Almażenna zaś,—jak sama twierdzi i zaraz powie—jest „przemijającą jak myśl i nieuchwytną jak obłok, a jeszcze mniej dostrzegalną, niż dostrzec da się zimny promyczek najmniejszej gwiazdy nieba". „Ja jestem cieniem—powiada dalej o sobie—a każdy wysiłek łamie mię".

Cieniem jest, a raczej była... Bo tylko przez dziesięć lat, od roku 1854—1863 pozwalała ludziom odczuwać swe istnienie. Trojgu, zawsze jednym i tym samym ludziom. Władała ich myślą, sterowała marzeniem, tuż przy nich obecna, często nawet w nich samych. Świadomość, że jest tym ludziom potrzebną, nieraz pomocną, sprawiała jej niewysłowioną rozkosz. Więcej nawet: stała się tak, jak powietrze człowiekowi, nieodzownym współczynnikiem jej bytu.

O istnieniu Almażenny dowiedziałem się z kart starego sztambucha, którego blade litery drżą do dziś, gdy przyjdzie im opowiadać tę arcydziwną historję. Lecz kimże jest ostatecznie tajemnicza istotka?... Czy bohaterką fantastycznego poematu, żyjącą wśród miłodźwięku romantycznych strof? Nie. Więc heroiną feerji scenicznej? I to nie. Ani też dziełem sztuki plastycznej. Świtezianka wyłania się zawsze z głębin litewskiego jeziora. Chochliki ze Skierką zwijają tęczę na wrzecionie, rusałki igrają na srebrno-rosej łące, Almażenna inaczej. Prościej i dziwniej...

Pojawia się zazwyczaj wówczas, gdy trzy osoby, znane jej i przyjazne, zasiądą w uroczystem skupieniu naokół mahoniowego stolika. Niekoniecznie mahoniowego, ale koniecznie w skupieniu. Na stoliku leży biały arkusz papieru, a jedna z osób winna ująć ołówek...

Te trzy osoby już siedzą. Znamy nawet ich nazwiska. Gustaw hr. Olizar (lat 58), ostatni z rodu pan na Korościeszowie, wytworny, siwy gentleman, światły krzemieńczanin, przyjaciel Mickiewicza i wielu orłów wysokiego lotu, autor pamiętników, niezłych wierszy, rozpraw i t. d. Dalej córka Olizara, p. Lili Chodkiewiczowa i kuzynka p. Wiktorja z Modzelewskich Olizarowa, dwie damy z high-life'u, wcale kulturalne, trochę egzaltowane, kobiety typu *incompromise & abandonnée*, trapione jakąś nieznaną bliżej tragedją życiową. Więcej nikt. Almażenna nie znosi nowych znajomości.

Rzecz dzieje się w pałacu pp. Olizarów w Dreźnie, wieczorem dnia 1 października 1854, a więc w chwili, gdy wojna krymska zaczęła rozpalać umysły.

Pani Lili z p. Wiktorją trzymają razem ołówek w ręku, który zaczyna wkrótce kreślić znaki na papierze, wbrew ich woli (*indépendamment de la volonté des personnes qui le tiennent*). Hr. Olizar zadaje pytania głośno lub tylko po cichu w myśli.

Ołówek zaczyna nagle pisać i powtarza trzykrotnie, z naciskiem:

— *Almagenna! almagenna! almagenna!*

Hr. Olizar głośno:

— Co to jest? cóż to za imię?

Ołówek pisze:

— Nie jestem z waszego horyzontu, imię mam inne... swoje...

Dalsza część odpowiedzi nieczytelna, zygzaki.

P. Wiktorja mówi:

— *Ecris lisiblement, qui es-tu?*

Odpowiedź:

— *Je suis à l'une le souvenir... à l'autre l'occupation.* Dla jednych pamiątką, dla innych niewolą. — Z dalszych wynurzeń okazuje się, że

Stanisław Wasylewski.

owa zjawa już dawniej, ale bez skutku usiłowała uzyskać kontakt z Olizarami.

— A czy daleko od nas przebywasz?—woła hr. Gustaw z ożywieniem.

Ołówek w ręku pani Lili pisze najwyraźniej:

— Czasem tuż obok was, często nawet w was samych! Szczególnie wówczas, gdy słowo moje działa jak rosa i rzeźwi rozpaloną suszę waszych dusz!...

— Czy będziesz chętnie porozumiewała się z nami?

— Ciepło słońca jest słodyczą dla dusz marznących. Cierpię i drżę!...

— A czemu drżysz?

— Przygniata mnie moc, która usiłuje mnie zniszczyć. Kochajcie mnie, bo cierpię i drżę...

— Czy masz jaki wpływ na mnie? — pyta dalej Olizar, ołówek zaś odpisuje „wbrew woli osób, które go trzymają".

— Kieruję twojem marzeniem.

— Wytłumacz się jaśniej!...

— Lubisz spokój, więc będę tem jeziorem, w którem się twa dusza pogrąży.

Tu obecni odczuli nagle, w jakiś nieokreślony sposób, że tajemnicze zjawisko ma zamiar zniknąć.

— Powiedz coś jeszcze, zanim odejdziesz!...

— Chciałabym otulić was mem słodkiem, powietrznem słowem..., ale czuję woal mgły, który mi przesłania duszę.

— Mów wyraźniej, prosimy!

— Męczycie mnie! Potrzeba wam słów pospolitych, a łączy nas przecież nić napowietrzna... Proszę, nie każcie mi mówić dalej... skrzydła mi opadają... jasno... niebiesko... nie mogę.

* * *

Tej nocy nikt nie zmrużył oka w drezdeńskim pałacu. Któżby się bowiem spodziewał był, że tak niesamowity obrót przyjmie ta zabawa towarzyska i postawi pp. Olizarów w bezpośredni kontakt z poetyczną mieszkanką zaświatów, która, co ważniejsze, okazała się ich najserdeczniejszą, wylaną przyjaciółką. Pan Olizar z córką zasiedli tylko dlatego do stolika, gdyż weszło to w modę od niedawna w najlepszych towarzystwach Europy. Spodziewali się jakichś pukań i wirowań, tymczasem objawiła im się nagle tajemnicza, bardzo poetyczna istota o dziwnem, niespotykanem w kalendarzu brzmieniu imienia. Nadomiar przypomniało się nagle p. Wiktorji, że tego samego dnia rano dwie pierwsze sylaby niezwykłego słowa uparcie kołowały w jej myślach. I co jeszcze ciekawsze: Zaraz później w południe dzienniki przyniosły wiadomość z placu boju na Krymie o rozpoczętej świeżo bitwie nad rzeką Almą, gdzie Mieńszykow stanął do walnej bitwy z wojskami Francji. Z niecierpliwością czekał hrabia i obie panie wieczoru następnego dnia. Seans rozpoczyna się naturalnie od pytania:

— Czemu nazywasz się Almażenną?

Ołówek odpisuje bezzwłocznie:

— *L'âme...* a więc... dusza... kieruje myślami waszemi... *gêne* oznacza przeszkodę.

— Skąd jednak *alma?*

Ołówek dobitnie i z mocą:

— Bo... to... słowo... otwiera... nowe... horyzonty... dla... waszej... przyszłości!...

Wobec tak oczywistego zbiegu nadprzyrodzonych okoliczności, siwy i mądry hrabia uwierzył w prawdę zaziemskiego zjawiska, które dla jednych jest pamiątką, dla innych niewolą. *Sois relevéel* powiedział anioł, władca Almażenny. Zaczęła istnieć, odczuwać rozkosz bytu i przez długie lata miała trzymać troje ludzi na uwięzi.

Oni zaś od owego jesiennego wieczoru popadli w stan gorączkowej ekstazy i robić będą odtąd wrażenie ludzi śniących, odurzonych.

Śnią i budzą się.

Popadają w trans somnambuliczny i znowu przecierają oczy.

Na przemiany poddają się kornie urokowi tajemnicy, lub też pragną gwałtownie zedrzeć z niej zasłonę. Kim jesteś, Almażenno?

Nie śmiejcie się z nich wcale. Bo nigdy, aż do końca przez całych dziewięć lat, nie nasycą swej ciekawości. Ostatnia rozmowa z Almażenną, na rok przed śmiercią Olizara, utonie w takich samych odmętach zagadki, jak i ta pierwsza.

* * *

„Odpowiedzi Almażenny, które dawał ołówek, trzymany przez mą córkę i bratanicę—opowiada hr. Olizar na pierwszej karcie złocistego sztambuchu—wydały mi się tak ciekawe i zajmujące, że postanowiłem je spisać w systematycznym protokule wedle porządku seansów".

Później p. Lili wyręczała ojca w skrupulatnem zapisywaniu rozmów. I tak urosła spora księga, dokument przyjaźni trojga śmiertelników z duchem, pierwszy podobno protokuł spirytystyczny w języku polskim. Zapisano w niej dokładnie wszystkie „almaidy" t. z. owe radosne, choć krótkie chwile kontaktu z Almażenną, uwieczniono pytania i zagadkowe odpowiedzi, zanotowano żale, przestrogi i westchnienia zjawy, nawet sprzeczki i kłótnie, które czasem mąciły idyllę zaświatowej przyjaźni.

(*Dcn*) *Stanisław Wasylewski.*

EDWARD SŁOŃSKI:

Z mojego lata.

PRZEPOŁOWIŁEM SERCE...

Przepołowiłem serce,
przez pół rozdarłem duszę —
i dziś podwójnie żyjąc,
podwójnie cierpieć muszę.

Dwie są tęsknoty we mnie,
i dwa są we mnie smutki,
a jeden mi już tylko
dzień życia został krótki.

RÓŻE.

A kiedy w złotej purpurze
zgaśnie dziś słońce na niebie,
niech padną tobie te róże
tęsknotą moją do ciebie...

A kiedy cień mój na murze
noc wyczaruje gwiazdami,
niech na twych ustach te róże
mojemi zamrą ustami.

A kiedy świt za górami
przyczai się srebrną ciszą,
niech cię mojemi rękami
te róże do snu kołyszą.

GWOŹDZIE DO TRUMNY.

A gdy już wszyscy odeszli,
zmęczony życiem śmiertelnie,
na mocne rygle i zamki
zamknąłem moją pustelnię.

Nikt nie zapłakał, odchodząc,
kiedym z tęsknoty umierał,
nikt do mnie rąk nie wyciągał,
nikt do mnie ust nie otwierał...

Jak grób, zabite deskami,
szły lata smutne ogromnie,
a, jak świat wielki, nikt zgoła
nie płakał z żałości po mnie.

Stygło żelazo czerwone,
zardzewiał młot zapomniany —
i nagle ktoś gdzieś zapłakał,
ktoś bliski mi i kochany.

Świat cały stanął w płomieniach,
zadrżał purpurą i złotem...
Niech się rozpala żelazo,
niech się czerwieni pod młotem!

Z pustelni mojej odludnej
na świat wybiegłem szeroki,
do rytmu serca, szalony,
dostosowałem swe kroki,

Drogami i bezdrożami
goniłem po ziemskim globie
swój sen o wiośnie i słońcu,
swój sen o Bogu i tobie.

I dogoniłem nareszcie
swe szczęście niedoścignione!
zaraz zadzwoni pod młotem
żelazo moje czerwone.

Jęknęły echa zbudzone,
iskier rozbiegły się smugi...
Jeszcze raz jeden uderzę,
jeszcze raz jeden i drugi!

O, ludzie! Patrzę przed siebie
wyzywający i dumny —
jeszcze wystarczy żelaza
na gwoździe dla mnie do trumny!

W PIESKOWEJ SKALE.

Dzień się od dnia nie różni —
wszystkie są równe sobie...
Ginie w zielonej próżni
każdy mój sen o tobie.

Słońce po skałach schodzi
pić wodę z chłodnych krynic,
księżyc wpełza, jak złodziej,
na zamkowy dziedziniec.

Po skarpach, po wykuszach
pocichutku się skrada
i, dzwoniąc ciszą w uszach,
na łożu mojem siada.

Modlę się i sam nie wiem,
co słowa moje znaczą...
W parku gdzieś pod modrzewiem
widma, jak dzieci, płaczą.

Ktoś bary swe olbrzymie
wsparł na zamkowych wrotach...
Wołam — lecz twoje imię
ginie gdzieś w skalnych grotach.

PAN BÓG PRZYDROŻNY.

Skarży się cisza leśna
Panu Bogu przy drodze:
— Jakiż niepokój wielki
wciąż mnie zakłóca srodze.

— Coś wciąż po jarach wzdycha
i w grotach skalnych huczy...
Ktoś się przez noc do świtu
po czarnym lesie włóczy.

— Szuka, czego nie zgubił
i senne budzi zmory...
Patrz — pożółkły paprocie
i zbladły muchomory.

Słucha Pan Bóg przydrożny
cały z gipsu i drzewa,
tego, co, dzwoniąc w uszach,
cisza leśna mu śpiewa.

Patrzy na mnie z wyrzutem
swą twarzą pobielaną
i na serce me chore
kładzie rękę drewnianą.

ZABYTKI STOLICY TIMURA NA TLE DZIEJÓW.

Każde stare miasto, mające za sobą kilkuwiekową przeszłość, budzi zainteresowanie uczonych, ściąga w mury swoje tłumy obcych. Otóż miastem takiem najciekawszem, bezsprzecznie, ze wszystkich miast Azji Środkowej, ze względu zarówno na bogactwo zabytków, jak i na treść swoich dziejów, jest prastara stolica Wielkiego Timura (Tamerlana)—Samarkanda.

Starodawny gród ten, ze względu na swe korzystne położenie geograficzne na skrzyżowaniu dróg do Kaszgaru i Chin przez dzisiejszy Osz, do Indyj przez dolinę Kabułu, do Persji i dalej na Zachód przez Herat lub przełęcz Gaudańską i wreszcie przez stepy Siedmiorzecza i Ałmatę (dziś Wiernyj) do Mongolji, jak twierdzą podania ludowe, odgrywał wielką rolę już przed 3 — 4 tysiącami lat przed naszą erą. Za czasów Aleksandra Macedońskiego Samarkanda jest dużem miastem, jednym z ważniejszych punktów handlowych w Azji—w pierwszych wiekach po Chrystusie wreszcie stolicą olbrzymiej monarchji, przybytkiem nauki i sztuki, Paryżem Azji—od drugiej połowy XV w. do końca XVI w.

W szkicu niniejszym chcemy zapoznać czytelnika z zabytkami Samarkandy, w najogólniejszych naturalnie zarysach podając dzieje tego „ogrodu świętych Boga", jak nazywają Samarkandę historycy muzułmańscy.

* * *

Samarkanda (Marakanda—u Greków, Semasygan—u Chińczyków) została założona, jak mówią podania, 3—4 tysiące lat przed Chr. przez króla Kajkausa, nazywanego czasem Afrosiabem.

W 2—3 kilometrach na wschód od dzisiejszej Samarkandy leżą pod ziemią ruiny jakiegoś miasta, które tubylcy nazywają Afrosiabem.

Niestety, poszukiwań archeologicznych na tem miejscu prawie nie przeprowadzono, gdyż rząd rosyjski na takie badania pieniędzy nie dawał, a za te 300 rubli rocznie, które przeznaczało na ten cel petersburskie Towarzystwo geograficzne, niewiele, naturalnie, można było zrobić. I jeżeli odkopano parę gmachów, nauka zawdzięcza to jedynie prywatnej inicjatywie wybitnego znawcy historji i języków Turkiestanu B. L. Wjatkinów, korzystającego ze wskazówek znakomitego orjentologa, prof. Bartolda, autora kilku większych prac o przeszłości Turkiestanu. Wykopaliska te,—monety z czasów grecko-baktryjskich, lustra z bronzu, szkło, urny, gliniane posążki ludzi i zwierząt, ruiny wreszcie meczetu katedralnego, spalonego przez Dżyngiz-chana i obserwatorjum astronomiczne wnuka Timura-Uług-Beka, każą przypuszczać, że na tem miejscu, chroniącem w ziemi tajemnicę kilku epok, być może późniejsze poszukiwania odnajdą ślady stolicy Kajkausa-Afrosiaba.

W 329 roku przed Chr. zdobywa Samarkandę po drodze do Indyj Aleksander Wielki. W tych czasach Samarkanda była już dużem miastem, skoro, jak twierdzi Quincius Curtius, mury jej miały w obwodzie 70 stadjów (około 15 kilometrów). Zabytków po Aleksandrze nie zostało, za krótko zresztą był w tych stronach. Pamięć jednak po nim została w podaniach ludowych i niektórych nazwach, jak naprzykład piękne jezioro, położone w górach w 200 kilometrach od Samarkandy na wysokości 6800 stóp nad poziomem morza, nosi nazwę jeziora Aleksandra — Iskander-kul.

O późniejszych losach Samarkandy wiemy niewiele. Podobno odgrywała w przeciągu pierwszych wieków po Chr. rolę centrum handlowego dla całej Azji środkowej, często zmieniała władców, wśród mieszkańców spotykamy w tych czasach wyznawców prastarej religji Aryjczyków, religji Zoroastra, wyznawców Buddy i wreszcie od końca V w. wyznawców religji „tarso", chrześcijańskiej, obrządku nestorjańskiego. Wkrótce zostaje nawet stolicą biskupią.

Na początku ery muzułmańskiej (1 rok nedirу—622 r. po Chr.), jak twierdzi historyk Narszahi, Samarkanda wchodzi w skład państwa Benduna, stolicą którego był Bejkend w pobliżu Bu-

Hur-Emir—mauzoleum Emira Tamerlana (Timura), wybudowane przez niego samego w r. 1404.

chary. Po śmierci Benduna sprawuje rządy za nieletniego syna żona jego, Chatun, za panowania której Arabowie w 672 r. zajmują Bejkerd, Samarkandę, Karszy, Kesz (dzisiejszy Szachrisjabs lub Szaarszauz w chanacie Bucharskim) i wreszcie w r. 709 Bucharę. Na czele Arabów miał stać stryjeczny brat samego proroka Mahometa—Kusam-ibu-Abas, za pierwszych kalifów — Makim (namiestnik) Mekki. Kalif Moawija wysyła go na wschód na czele wojsk dla szerzenia islamu.

Wnętrze mauzoleum Tamerlana.

W okolicach Samarkandy Kusam-ibn-Abas zwycięża w zaciętej bitwie wyznawców religji „tarso" (chrześcijan), którzy dwukrotnie jeszcze powstają przeciwko muzułmanom, chwilowo nawet mają przewagę, zabijają w jednej z bitew samego Kusama-ibn-Abasa, ale w końcu muszą ulec. Arabowie są panami Samarkandy do r. 889, kiedy zostaje ona stolicą potężnego państwa Mawaranagru („Mawera-un-nehr" po arabsku—„to, co jest za rzeką", za Oksusem (Amu-Darją), stąd inna nazwa Mawaranagru-Transoksiana).

W XI wieku panują w Samarkandzie Seldiucy, którzy na krótki przeciąg czasu tracą władzę na korzyść dynastji irańskiej Chorezmitów. W 1221 r. nie potrafiła obronić Samarkandy 110 tysięczna armja przed najazdem Mongołów. Dżyngiz-chan, chcąc ukarać mieszkańców za rozpaczliwą obronę, każe miasto zrównać z ziemią.

Mongołowie jednak wkrótce stają się wyznawcami Mahometa i ulegają wpływom wyższej kultury mieszkańców Mawaranagru. Z czasem Mongołowie asymilują się zupełnie z miejscową ludnością pochodzenia turkskiego—w ten sposób powstają Sartowie, którzy obok tadżyków (pochodzenia turksko-irańskiego) i uzbaków, Mongołów, których przyprowadził do Turkiestanu w r. 1499 r. Szejbani-chan, stanowią główną masę ludności dzisiejszego Turkiestanu.

Na drugą połowę XIV w. i pierwszą XV przypada najbujniejszy rozkwit Samarkandy, która zawdzięcza to jednemu z największych wodzów Azji—Timurowi (Tamerlanowi) i najbliższym jego potomkom.

Życie tego wielkiego człowieka było tak zmiennem, a zarazem tak ciekawem, że nie możemy nie podać kolei jego, chociażby w najkrótszych zarysach.

Timur, pochodzący z plemienia turksko-mongolskiego Barułas, przyszedł na świat w marcu 1336 r. w mieście Kesz (dzisiejszy Szachrisjabs). Występuje ten nowy Dżyngiz-chan, który miał zdobyć świat cały, bo „cały zaludniony obszar świata nie wart jest tego, by mieć dwóch władców" (Słowa T.), występuje początkowo w więcej niż skromnej roli herszta bandy zbójeckiej, by wkrótce przejść razem z bandą na żołd do władcy Keszu. Gdy władca ten w roku 1360 uchodzi z kraju swego przed wrogiem, Timur zajmuje jego miejsce.

W następnym już roku zostaje wielkorządcą całego Mawaranagru przy boku królewicza mongolskiego—Iljasa-chodży. Niedługo jednak jest wielkorządcą, zdradza bowiem Mongołów i staje po stronie ich wroga Hussejna, z którym musi uciekać przed zwycięskim przeciwnikiem i prowadzić życie, pełne przygód, na obczyźnie. W Seistanie (poł.-wsch. Persja) w jednej potyczce Timur zostaje ciężko ranny w prawą nogę. Od tego czasu kuleje i dlatego dostaje przezwisko „kulawego". Aksak-Timur—po turksku, Timur-long—po persku, stąd Tamerlan.

Krótko trwa to życie wędrownego rycerza, szukającego przygód i sławy, gdyż już w r. 1364 Hussejn zdobywa Mawaranagru i osadza w Keszu towarzysza swej niedoli.

Timur jednak, nie chcąc się pogodzić z drugorzędną rolą księcia dzielnicowego, powstaje kilkakrotnie przeciwko Hussejnowi, w końcu bierze go do niewoli i każe zamordować.

Spełniają się, zdawałoby się, wreszcie śmiałe marzenia niedawnego herszta bandy rozbójników—10 kwietnia 1370 roku składają mu przysięgę lenniczą wielkorządcy całego Mawaranagru. Timur nie przyjmuje jednak tytułu chana, zadawalając się skromniejszym — „wielkiego emira" (wódz po arabsku), bowiem zatrzymuje przy sobie w roli tytularnego chana potomka Dżyngiz-

Jezioro Iskander-Kul.

chana-Sujurtgamysza, później syna jego Machmuda.

Po poskromieniu wrogów domowych może Timur już myśleć o podboju świata.

W roku 1379 zagarnia Chorezm (Chiwa), w dwa lata później zdobywa Herat (druga stolica dzisiejszego Afganistanu), w r. 1382 zajmuje Chorosan (wschodnia prowincja Persji), w r. 1383—Seistan, a w r. 1389 rozszerza granice swego już olbrzymiego państwa aż do Irtyszu kosztem Mongołów, w r. 1391 bije chana Złotej hordy Tochtamysza na brzegach Wołgi, w r. 1393 jest już panem całej Persji i nawet Bagdad wpada w jego ręce. W roku 1395 zajmuje cały Kaukaz i po zwycięstwie nad rzeką Terekiem nad Tochtamyszem wodzowie jego Timur-kut-luk i Edygej wkraczają do południowej Rosji, gdzie nad brzegami Worskli w r. 1399 zadają straszną klęskę sojusznikowi Tochtamysza — wielkiemu księciu litewskiemu, Witoldowi.

Tymczasem sam Timur w roku 1396 wraca do Samarkandy, by już w roku 1398 wyruszyć na podbój Indyj, gdzie pod Deli zwycięża sułtana indyjskiego i z hordami swemi dochodzi aż do Gangesu. W następnym roku wraca z olbrzymiemi łupami do Samarkandy.

Na Zachodzie powstaje w międzyczasie potężna koalicja przeciwko Timurowi, do której należą sułtan egipski, Faradż i sułtan Turków otomańskich, Bajazet. Timur kilkakrotnie bije koaljantów i wreszcie w pamiętnej bitwie pod Angorą w r. 1402 bierze do niewoli Bajazeta. Przedtem jeszcze zdobywa Damaszek, a po zwycięstwie pod Angorą staje się panem całej Azji Mniejszej.

Cały rok 1404 upływa Timurowi w Samarkandzie na przygotowaniach do wyprawy na Chiny. W styczniu 1405 roku wyrusza ze stolicy do Otraru (nad Syr-Darją), gdzie 14 lutego umiera.

Olbrzymia monarchja Timura rozpada się po jego śmierci, chociaż w Persji (Chorooanie) i Indjach przez jakiś jeszcze czas panują potomkowie jego.

W Samarkandzie wstępuje na tron syn Timura—Szachrud, który wkrótce dobiera do rządów syna swego Uług-beka-Muchammada-ibn-Szoch-rucha (1393—1449), znakomitego uczonego, protektora ludzi nauki i sztuki, autora słynnych tablic astronomicznych i nowego katalogu gwiazd. Po śmierci Uług-beka, zamordowanego przez syna, potomkowie Timura panują w Samarkandzie do roku 1499, kiedy Mongołowie-urbacy pod wodzą Szejbani-chana zdobywają Samarkandę i przenoszą stolicę do Buchary.

W następnych wiekach Samarkanda raz wraz zmienia władców, przechodząc do chanów Kokanu i wracając znowu pod panowanie Buchary. Ostatecznie chanowie Buchary z dynastji Mangyt w r. 1784 wcielają Samarkandę z powrotem do granic swego państwa. 2 maja 1868 roku wojska rosyjskie zajmują po zwycięstwie na górach Czupan-Ała piękną Samarkandę, tworząc nową administracyjną jednostkę—obwód Samarkandzki z miastem gubernjalnem—Samarkandą.

* * *

Mahomet, bojąc się powrotu bałwochwalstwa, któremu musiał jednak złożyć hołd, zgadzając się uznać za rzecz świętą słynny „kamień, spadły z nieba"—kaabę, zabronił swoim wyznawcom odtwarzać w obrazach lub rzeźbach nie tylko Ałłacha, lecz wogóle jakiekolwiek bądź istoty żyjące. Tem się jedynie tłumaczy, że w krajach mahometańskich malarstwo i rzeźba są prawie nieznane.

Początkowo nie rozwija się architektura, dopiero z biegiem czasu pod wpływem architektury bizantyjskiej, perskiej i egipskiej powstaje zupełnie odrębny styl muzułmański, który ma pewne, czasem daleko idące, lokalne cechy w różnych krajach, dlatego odróżniamy jeszcze style: maurytański, egipski, arabski, perski i indyjski.

Wznoszą muzułmanowie początkowo budowle, przeznaczone dla celów religijnych, dopiero później powstają budowle świeckie, zresztą ostatnie nie we wszystkich krajach muzułmańskich, np. w Turkiestanie nie pozostało ani jednej budowli świeckiej.

W pierwszych czasach dom modlitwy mahometan odznaczał się wielką prostotą, — był to bowiem wielki dziedziniec (goram), mający w murze, zwróconym w stronę Mekki t. zw. mischrab lub kibła (drzwi fałszywe), nieopodal od którego znajdowała się katedra (minbar) dla mułły kaznodziei lub mułły, czytającego koran (kur-an). W obrębie dziedzińca, rzadziej poza nim, wznosił się jeden, czasem kilka minaretów—wież, z których muedzinowie zwoływali wiernych na namaz (modlitwę). Z biegiem czasu dookoła dziedzińca staje galerja, pod dachem której wierni znajdowali ochronę od słońca, wreszcie na środku dziedzińca wykopują basen, który nie tylko ochładzał powietrze, lecz służył dla przepisanych przez koran obmywań.

Takie prymitywne meczety spotykamy w dzisiejszych czasach niemal w każdym kiszłaku (wsi) Turkiestanu, z tą tylko różnicą, iż mułła i część modlących się znajduje się pod dachem werendy, mającej dwie, rzadziej trzy, ściany.

Po pierwszych podbojach Arabowie obracają cudze świątynie w meczety. Niebawem, już za pierwszych kalifów, stają własne świątynie.

Powstają wówczas wspaniałe meczety i inne pomniki architektury muzułmańskiej w Arabji, Palestynie, Egipcie, na Sycylji i półwyspie Pirenejskim, później w Azji Mniejszej, Konstantynopolu, Turkiestanie, Persji i Indjach.

Otóż wspaniałe budowle w Turkiestanie, Persji a nawet Indjach zawdzięczamy czy to bezpośrednio samemu Timurowi, czy to jego potomkom—Timurydom.

Ten dziki najeźdźca, niemal barbarzyńca, który burzył i równał z ziemią całe miasta, niszczył piękne zabytki dawnej kultury, ten analfabeta, który władał tylko ojczystym — turkskim i perskim językami, kochał sztukę i naukę.

(*Dn*) *Antonin Puzyński.*

Meczet Bibi-Chanym, wybudowany w r. 1403 przez emira Tamerlana.

SZTAMBUCH MARYLI.

Dotychczasowe nasze informacje o sztambuchu Maryli są więcej niż fragmentaryczne; nie doczekał on się opisu szczegółowego, tak naprzykład sumiennego, jaki mamy o sztambuchu pani Kostrowickiej, czy też samej pani Szymanowskiej. Tymczasem już wprost z natury rzeczy wynika, że ten właśnie sztambuch z pośród romantycznych zaciekawiać musi wszystkich najbardziej. W orbicie uwagi Mickiewicza ten był przecież najbliższy,

Z pomiędzy tych, co przemiłą tę pamiątkę mieli w ręku, jeden tylko dotąd L. Meyet myślał, by się wiadomością o nim podzielić z publicznością drukiem. Ale jak to smakoszom-zbieraczom często się przytrafia, wyłuskał z całości jedynie trzy rodzynki, o resztę pieczywa nie troszcząc się bynajmniej. W *Księdze pamiątkowej na uczczenie 100 rocznicy urodzin A. Mickiewicza* (Warszawa 1898) ogłosił on stamtąd trzy inskrypcje: wiersze Czeczota, Zana, Mickiewicza; tamte dwa w odbitkach fotograficznych, wiersz Mickiewicza tylko drukiem. Przy tej sposobności omówił on stosunek redakcji rękopiśmiennej tego wiersza sztambuchowego do odmiennej nieco, ogłoszonej przez syna w wydaniu paryskiem z r. 1880. O samym sztambuchu zato nie powiedział Meyet ani słówka, nie podał ani jego reprodukcji, ani opisu. Stronica z autografem Mickiewicza odtworzona została poza tem, — tym razem w podobiźnie fotograficznej — w wydawanym przez M. Gawalewicza *Tygodniku Polskim* (Warszawa 1899, str.57). To już wszystko, co o sztambuchu Maryli znaleźć można dotąd w druku. Prawda, że niewiele.

Aliści sztambuch sam dochował się do dzisiaj w oryginale; przetrwał burzę wojenną, szczęśliwszy w tem od sekretarzyków, od buduarku, w którym go ongiś pieczołowicie przechowywano. Dworu tuhanowickiego niema. Nie tylko jego „skarby", ale nawet cegły podwalin „mieczowi" rozkradli „złodzieje"; rdestem i pokrzywą bujną zarosły miejsca, gdzie niegdyś „Russa czytaliśmy razem". Sztambuch ocalał jako pamiątka tamtych, wiekom przekazanych, spraw i czasów — prawie ostatnia.

Pamiątka jakże żywa! W załamaniach kart tuli się w nim do teraz jeszcze wiotki zapach perfum z przed wieku. Tak musiały pachnąć sukienki Maryli. Dzięki uczynności p. Tadeusza Rychlewicza, po kądzieli wnuka Maryli, dzisiejszego właściciela sztambucha, możemy z pamiątką tą zaznajomić bliżej czytelnika. Jestto książeczka formatu podłużnego (10×17 cm.), oprawna w zielony safjan; oprawa zdobna u brzegu złoconym złotym ornamentem stylizowanych niezapominajek. W środku okładki wierzchniej osadzona ozdoba metalowa złocona, motyw półksiężycowej jakby nawy okrętowej, zakończonej na obu dziobach orlemi głowami. Sztambuch zamykał się ongiś na klamerkę złoconą, dziś oderwaną.

Wewnątrz 61 kart welinowych, zlekka żółtawych, ze znakiem wodnym FELLOWS, poprzekładanych zrzadka kartkami kolorowemi. Na karcie welinowej naczelnej wykaligrafowane wśród ozdobnych wykrętasów nazwisko właścicielki: Marie Wereszczaka.

Spora ta książeczka zużyta jest stosunkowo niewiele: zapisano w niej ogółem (przeważnie na jednej stronie) kartek 16, poza tem na 2 kartach naklejono pamiątkowe okazy botaniczne: liść dębu i liść paproci, a 3 stronice zajęto pod rysunki. Poza tem w paru miejscach widoczne, że kartki wyrywano.

Pomieszczone tu okazy flory okolicznej miały niegdyś zapewne jakąś wartość uczuciową; dziś ją już straciły: nie wiemy, czem były pamiętne miejsca, gdzie owe liście uszczknięto. Z trzech ołówkowych rysunków jeden również bezimowny: nie podpisany, nie wiemy więc, czyim kunsztem uwidoczniony i kogoby przedstawiał ten młody smukły elegant w kusym mundurze z huzarskiemi szamerowaniami. Czyżby to był strój cywilny? Wiemy z *Pamiętników* Ewy Felińskiej (ser I, t. II, str. 198), że właśnie eleganci z Nowogródzkiego

Sztambuch Maryli—okładka wierzchnia.

wyróżniali się podobnym nieco strojem z pośród młodzieży innych powiatów okolicznych. „Każden miał kamizelkę huzarską ze złotemi potrzebami i pąsowym kołnierzem przy ciemnym fraku". Może więc rysunek nasz przedstawia poprostu szablon takiego eleganta powiatowego?

Natomiast dwa dalsze rysunki objaśnione są w sztambuchu przez samą pierwszą właścicielkę. Od Maryli więc wiemy, że są to portrety, oba tej samej roboty, rysowane mianowicie przez Rafała Śliźnia. Pod jednym z rysunków czytamy napis ołówkiem: „Moja Matka p[rzez] R. Śliźnia"; obok tego dodała ręka późniejsza: „Z Ancutów Franciszka Wereszczakowa — 1920 Rychlewicz".

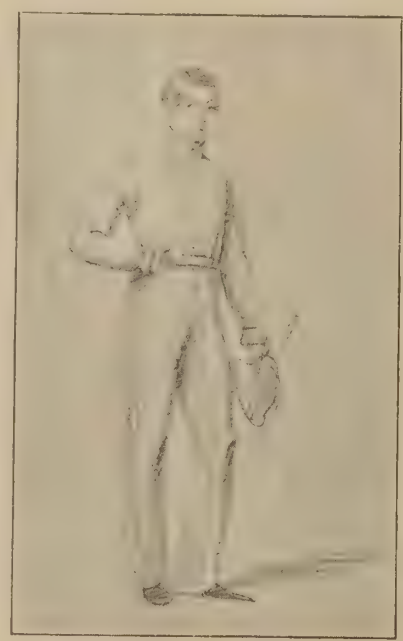

Ze sztambucha Maryli.
Rysunek niewiadomego autora.

Pod drugim rysunkiem dopisała Maryla: „Mój Brat Michał W. p. P. R. Śliźnia".

Oba rysunki niewątpliwie współczesne i robione z natury. Rafał Ślizień, razem z bratem swym Ottonem członek filaretów, znany później malarz i rzeźbiarz (Gawalewicz reprodukował w *Tygodniku Polskim* 1898 r. medaljon młodego Tomasza Zana — jego rylca), jako niedaleki sąsiad Wereszczaków bywał częstym gościem u pana Michała w Płużynach; z całą rodziną tuhanowicką musiała go wiązać bliska zażyłość.

Interes wszelako najżywszy budzą w nas dzisiaj zachowane w sztambuchu inskrypcje. Jest ich obecnie—jak się wspomniało—tylko 16; nie da się stwierdzić, czy wśród wydartych kart nie było zapisanych. Teksty zachowane to — jak przystało na miejsce przeznaczenia i na epokę—przedewszystkiem wiersze; a jak przystało na generację i środowisko: wiersze francuskie i polskie; co więcej:— francuskie przedewszystkiem, a potem dopiero polskie, w stosunku 10:7.

O ile ze skąpo zanotowanych dat wnosić można,—żywy był ten sztambuch w latach 1819—1823; wtedy kursował najwięcej i z tego czasu pochodzi największa w nim ilość napisów. Potem poszedł zapewne już między pamiątki — szacowne, ale nieco zarzucone. Raz go jeszcze wyciągnięto jako czcigodny zabytek, 6 marca 1825 r., kiedy to zjechały do Bolcienik dwie bliskie krewne pani Wereszczakowej: Marja Stryjeńska i W. ze Stryjeńskich Koźmianowa (babka powieściopisarki Zofji Kowerskiej). Ta wpisała w sztambuch „dla kochanych Kuzynów" dość banalny polski czterowiersz o nieśmiertelności przyjaźni, tamta komplement francuski.

Obok sentymentów rodzinnych — sentyment przyjaźni zapisał się na tych kartach najliczniej— oczywiście! W pierwszym rzędzie uwidoczniło pracowicie swe afekta spore grono przyjaciółek, bliżej nie znanych, bo popodpisywanych tylko imionami. Jest tu więc Josephine, Valerie, i — jakżeby inaczej! — Olympie. Mitologja olimpijska odbiła się zresztą także i w treści. Oto jak skończyła swój poemat panna Valerie:

Chére Marie, si j'allois Vous écrir
Tout ce que l'attachement m'inspire
Je ne finirois pas sitot.
Ainsi je vous souhaite en peu de mots
Que la Parque vous file d'heureux jours
Au sein du bonheur et de l'amour.

Ni głębią myśli ni formą nie przewyższają powyższego utworu wynurzenia innych przyjaciółek i można zaoszczędzić na papierze, powściągając się od przytoczeń. Wyjątek trzeba co najwyżej zrobić jeden: dla dostojeństwa autorki. Wpisała się w ten sztambuch także pani Antonina Jurahowa, z książąt Radziwiłłów, siostra księcia Konstantego z Połoneczki. Zatem — miejsca dla tych książęcych (Bóg je tam zresztą wie, czyje one naprawdę!) rymów i sentymentów!

Douce Amitié source des plaisirs vrais,
Bien precieux Divinité du Sage.
Flambeau sacré que ne s'éteins jamais,
Douce Amitié! je t'offre mon hommage.

Ton culte est fait pour les coeurs vertueux,
Au fol amour la raison te prefére:
De son bandeau l'amour couvre nos yeux,
Douce amitié nous plaint et nous éclaire.

L'amour viellit sur les ailles du tems,
L'enfant léger nous échappe et s'envole;
Mais l'amitié toujours en son printems
Reste avec nous, nous plaint et nous console.

Chére Marie, tous sentiment véritable se sent mieux qu'il ne s'éxprime; voilà, pourquoi je me casserais vainement la tête, pour vous dire quelque chose d'aimable, tandis que je vous porte l'attachement le plus sincère.

Antoinette Juraha.

Wszystko, jak widzimy, po francusku. Idjomem rodzinnym jedna tylko przyjaciółka wyraziła swe uczucia, ale Boże się pożal jego poprawności.

Gdy w tym Album Przyjaźń Szczera
rada swe miejsce zabiera,
Pozwól niech ja w krutkim rymie
Umieszcze także swe Imie

Anna Jakubowska

Takie to afekty i w takie ubierane formy stanowią plon główny naszego sztambucha. Nie mamy złudzeń! Oneby żadnemu zbiorowi nie zyska-

ły tej czcigodności, jaka—mimo wszystko—tchnie z rzeczonej książeczki. Zapewne, odtwarzają nam epokę i otoczenie właścicielki sztambucha wszystkie te francusko-(licho)polskie westchnienia i wykrzykniki są mocno banalnem, ale wiernem zapewne malowidłem. Wszelako nie malowidło jest rzeczą główną w tym obrazie, ale—nie wspomniane dotąd—jego ramy. Te są dopiero prawdziwie godne uwagi, są wartością w całym zbiorze jedynie rzeczywistą. Tamtą wiązankę banalnego kwiecia suchych nieśmiertelników obejmują z obu stron kwiaty żywe, zapachem uczuć i barwą krwi do dziś dnia wymowne. Warto przyjrzeć im się bliżej.

Tak już osobliwie, wprost symbolicznie, los zdarzył, że na czele, u bramy tego ogródka figuruje „pan Lorenc", oficjalny narzeczony i przyszły mąż Maryli, Wawrzyniec Puttkamer, a w odległych, tylnych kwaterach, na ostatnich kartach sztambucha pierzchliwie wpisali jakoś i nieśmiało swe imiona dwaj przyjaciele wileńscy: ten, co miłością swą nieszczęśliwą przekazał pamięć Maryli nieśmiertelności i drugi, który miłości tamtej był ojcem chrzestnym i wiernym opiekunem.

Czterowierszowy komplement Tomasza Zana wraz z konceptem sztambuchowym znamy dobrze. Więcej nas obchodzą dwa utwory pozostałe.

Jakże są znamienne formą zarówno, tonem i treścią napisy obu rywali odrzuconych od siebie na całą rozciągłość objętości szambucha! Jakże wymownie odtwarzają sytuację życiową obydwu!

Pewny swego, choć pewność tę dyskretnie matujący, pan Lorenc zajął kartę 6, pierwszą wogóle kartę zapisaną i czwórką takich oto rymów zajechał dufnie w pamiętnik narzeczonej:

Myśleć nie będę nad słów doborem,
Ani w rym skupiać wiele myśli razem;
Ten kolor moim jest wzorem,
Ten moich uczuć wyrazem
1819 2/14 Julii. *W. Puttkamer*

Sens wiersza tłumaczy się tem, że wpisany on został na karcie koloru błękitnego, symbolizującego, jak wiadomo, stałość — w terminologji erotycznej.

Natomiast z wiersza drugiego, własnowolnie schowanego w szarym końcu, na ostatnich stronicach imionnika, już od pierwszych słów począwszy, już z samego motta, tchnie cierpienie, *dolore*, nad które niemasz większego: błysk wspomnienia o szczęściu przed oczyma zapadłemi już w głuche lochy beznadziei. Niemy krzyk rany serdecznej, rozrywanej oto dla konwenansu salonowego przez niebaczną jej sprawczynię. Trzeba zapełnić kartę sztambucha, więc wspominaj poeto *del tempo felice alla miseria!* Odnów boleść!

Na stronicy 60 sztambucha widnieje napis:

Nessun maggior dolore che ricor
darsi del tempo felice nella miseria!

Jak te imiona błogi los spotyka
Ktore Marya w swój imionnik przyimie
Kto Maryą do swego wpisze imionnika
Wpisze tylko J e d n o imie—
A. Mickiewicz

Przy wierszu tym nastręcza parę uwag przedewszystkiem sam tekst; wysuwa się tutaj coś jakby zagadka wydawnicza. Przed udostępnieniem badaczom samego sztambucha z autografem wiersz ów mianowicie był, ściśle biorąc, już znany. Wydanie paryskie z r. 1880, sporządzone przez syna poety, pomieściło z mottem z Dantego czterowiersz p. t. „W sztambuchu Maryli" i odtąd powtarza się on we wszystkich następnych wydaniach kompletnych. Cóż, kiedy ogłoszono go i powtarzano w formie innej:

Bolesne mię dni błogich wspomnienie spotyka,
Chociaż mię dziś Maryja w swój imionnik przyjmie,
Bo gdym do swego Maryją wpisał imionnika,
Wpisałem tylko jej imię.

Niewiadomo, na jakiej podstawie tekstualnej oparło się wydanie paryskie, skąd wzięta jest ta redakcja utworu. To w każdym razie pewna, że w tej formie Mickiewicz go w imionniku Maryli nie wpisał. A też niema śladu w spuściźnie rękopiśmiennej po poecie, żeby on sam zanotował go gdzie w tym kształcie i że niema innego sztambucha Maryli, pozostaje tylko jedno przypuszczenie: Wiersz powyższy ogłoszono drukiem na podstawie odpisu dokonanego z czyjejś pamięci, a pamięć ta okazała się nie ze wszystkiem ostra i dokładna. Redakcja autografu została w ten sposób zniekształcona i w tej nieautentycznej formie przechodzi do dzisiaj z wydania w wydanie. Co dziwniejsza: przechodzi mimo ogłoszenia już w r. 1898 tekstu, a w r. 1899 podobizny fotograficznej tekstu opartego o autograf. Rzecz jasna, że ten stan rzeczy musi ulec zmianie, redakcja autentyczna utworu odzyskać musi miejsce sobie przynależne w wydaniu najbliższem, musi wyrugować do przypisków powyższy częściowy apokryf.

Franciszka z Ancutów Wereszczakowa, matka Maryli.

Michał Wereszczaka, brat Maryli.

(Rysował ołówkiem w sztambuchu Maryli Rafał Ślizień).

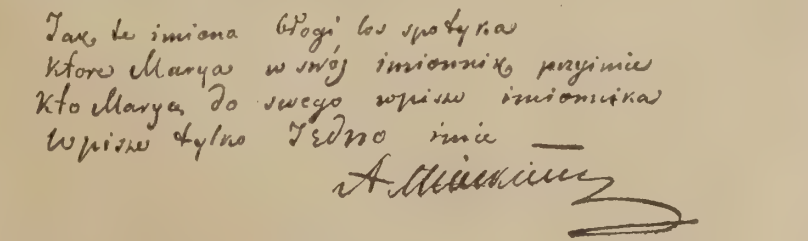

Autograf Mickiewicza w sztambuchu Maryli.

Stanie się to z wyraźną korzyścią dla sensu utworu. Boć na dobrą sprawę redakcja drukowana z r. 1880—pomijając już nawet zniekształcenie formy—wyraźny sens inskrypcji zastępuje dość oczywistym bezsensem. Cóż bowiem mają znaczyć dwa ostatnie wiersze zwrotki? Przecież, jeżeli je pojąć dosłownie, poeta do s w e g o imionnika nie mógł wpisywać imienia czy nazwiska osoby obcej, bo imionnik właśnie jest na to, żeby owa osoba wpisała się sama. W tem dopiero wartość napisu. Jeśli zaś przyjmiemy, jak należy, że „imionnik" jest tutaj wyrażeniem przenośnem i oznacza wogóle pamięć, to wtenczas dwuwiersz nie daje sensu zupełnie jasnego, boć w pamięci zachował Mickiewicz po Maryli ani jedynie imię, ani nazwisko, tylko osobę, duchową zarówno jak i fizyczną.

Natomiast z tekstu autograficznego widzimy odrazu i niedwuznacznie, co chciał poeta tutaj wyrazić. Odtwórzmy sobie tylko życiową sytuację wypadku. Niedawny kochanek idealny, teraz już odarty ze złudzeń, po ślubie Maryli, otrzymuje od niej sztambuch z prośbą o wpisanie się. To oczywiście rozkrwawia mu serce przypomnieniem minionych niestety bezwzględnie i niepowrotnie chwil szczęśliwych; stąd nawija się motto z *Boskiej Komedji*. Przeglądając zaś sztambuch, widzi on, że, wpisawszy się, nie będzie tam sam jeden, że są już przekazane pamięci imiona inne; że jest zwłaszcza inne imię, *to imię*, że na czele szeregu zwerbowanych do pamiętnika stoi zwycięski, dufny „pan Lorenc". Pocóż więc jej, pani Puttkamerowej, do tego zbioru jeszcze imion więcej, pocóż jej zwłaszcza imię nieszczęśliwego kochanka? Najwyraźniej — m o ż e ona mieścić w pamięci obok siebie o b u rywali, podobnie jak imionnik przyjmie i pomieści spokojnie napis Mickiewicza obok napisu Puttkamera. Widocznie może.

Ale są inni, którzy nie mogą. Jest jeden taki, którego pamięć jest mniej pojemna, serce bardziej wyłączne. Gdy on „Maryją do swego" wpisał „imionnika", nie znalazł w nim miejsca na dwa,— wpisał „tylko J e d n o imię". Ostry, bolesny wyrzut wymykający się ku Maryli z poza wpisanego czterowiersza pojmujemy teraz najoczywiściej. Wiersz zyskuje na wymowie i sensie, zyskuje na barwie uczuciowej i przewyższa pod tym względem najwyraźniej redakcję nieautentyczną. Więc i ten wzgląd mówi za jego rewindykacją.

Jeszcze słówko na temat chronologji. Żeby poprzeć prawdopodobieństwo zaznaczonej powyżej sytuacji życiowej poety w momencie wpisywania się w sztambuch, trzebaby wiedzieć, kiedy wiersz został wpisany. Nie jesteśmy tutaj bez pomocy. Drugie z rzędu wydanie, mieszczące wiersz nasz (nb. w formie spaczonej), paryskie wydanie Pism z r. 1888, podaje przy nim datę 22-go października 1824 r. t. zn. z przedednia wyjazdu Mickiewicza z Litwy. Dlaczego podano tę datę, a nie inną, tego się z wydania nie dowiemy.

To też krytyczny wydawca młodocianych poezyj, J. Tretiak w I tomie wydania Tow. Liter. im. Mickiewicza, powątpiewa o ścisłości tej daty, zaznaczając, że treść utworu za nią w sposób oczywisty nie przemawia i że ustalona „niewiadomo na jakiej podstawie". Wszelako przy całym swym krytycyzmie dał się on przecież zasugestjonować apodyktyczności tamtego twierdzenia i wydrukował w objaśnieniach takie zdanie: „W każdym razie wiersz ten należy do ostatnich czasów pobytu Mickiewicza w Wilnie" (I 302). Niestety i o tem twierdzeniu musi się powiedzieć, że zbudowane ono „niewiadomo na jakiej podstawie".

Zobaczmy, czy jakąkolwiek podstawę dostateczną przynosi nam w tej sprawie autograf. Przyjrzawszy się dokładnie podobiźnie karty sztambuchowej, dostrzeżemy po lewej stronie u dołu jakiś napis. Było tam istotnie parę słów wpisanych atramentem, zapewne współcześnie, ręką wszelako bodajże nie Mickiewicza. Potem ten napis bardzo gruntownie, również atramentem przekreślono. Z wielkim tylko trudem i, niestety, z cząstkowem jedynie prawdopodobieństwem można go dzisiaj odczytać. Oznaczał on właśnie datę i brzmiał być może tak: „An. 1821 d. 17 Aout"; ostatecznie rok mógłby być 1822, a dzień 27. Z francuskiej nazwy miesiąca możnaby wnosić, że datę wpisała Maryla, — ona też zapewne ją także wykreśliła.

Czy data odpowiadała faktycznie czasowi wpisania wiersza, — niewiadomo. W każdym jednak razie była mu co najmniej bardzo bliska. Fizycznie biorąc, jedna i druga z możliwości odczytania mogłaby być dopuszczalna; życie wątpliwości między niemi nie rozstrzygnie, tylko lupa. Ślub Maryli odbył się w lutym 1821 r. W sierpniu zaś jednego i drugiego roku bawił poeta w Płużynach u Michała Wereszczaki i mógł tam sztambuch łatwo otrzymać do rąk. Jak wiadomo, 12-go sierpnia 1821 r. powstała w Płużynach *Świtezianka*, z korespondencji zaś wiemy, że około 20 sierpnia 1822 r. wraca poeta z Płużyn do Wilna. Te względy nam więc nic decydującego nie powiedzą. Biorąc na rozum, możnaby się przechylać raczej ku rokowi 1821: Czas szczęśliwy (*tempo felice*) był bliższy, więc i boleść (*dolore, miseria*) żywsza i żal do ukochanej mniej utulony, ostrzejszy, dotkliwość wyrzutu bardziej zrozumiała. Pod słowami wyczuwamy szloch poety, spowodowany naruszeniem żywej jeszcze i krwawiącej rany. W roku 1824 była ona już dobrze zasklepiona, odruch urazy nie byłby tak żywy. W ten tedy sposób przekonywamy się, że tak czy owak ustalenie chronologiczne dla tego utworu, uczynione przez wydawcę z r. 1888 i przez J. Tretiaka, musimy odrzucić, a wiersz sam w kolei czasu pomknąć nieco wstecz, na sierpień roku najprawdopodobniej 1821.

Taki oto diament, iskrzący się odbiciem prawdziwego cierpienia, błyszczy w oprawie konwencjonalnej i mocno istotnie przeciętnej, wśród reszty zawartości sztambucha Maryli.

Stanisław Pigoń.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*).

Lekcje rozpoczęły się wczoraj. Pan Kowalewski prezydował i zaczął: „Miłostiwyje hosudary! Preżdie w Gławnoj Szkole my czytali pa polski, tiepier w uniwersytetie budiem czytat' pa ruski..." Dla Kowalewskiego zrobiono podwójny wyjątek. Profesorom służy odrazu prawo zostać doktorem za posłaniem rozprawy—Kowalewski nawet tego nie potrzebuje, a jest sobie i profesorem i dziekanem. Ale skąd jego specjalność historja? Nigdy jej się nie uczył, nie miał na to czasu mongolstwem zajęty. Tymczasem on profesorem, Pawiński jego docentem *). Niema pojęcia o nauce, co zatem biedna młodzież od niego skorzysta? W głowach tylko pomąci, bo jest człowiekiem bez wiary. W dawniejszych latach po trzy, cztery prelekcje poświęcał na wymysły przeciw kościołowi.

16 listopada, wtorek.... W Szkole Głównej, czyli jak dzisiaj w uniwersytecie nowe zmiany. Kopyłow usunięty, bo się już spolaczył, to jest do studentów mówi po polsku. Na jego miejsce jest jakiś uczony Arystow. Na katedrę filozofji wezwany jakiś Troickij.

„Dziennik Warszawski" powiada: „znakomity myśliciel". Moskale coraz większemi dobrodziejstwami nas obsypują. Zamiast wielkiem światłem Troickiego sami się rozkoszować, nam go udzielają. „Wielki myśliciel" ten prawosławia, jest popowiczem, co widać z samego nazwiska. Pójdziem wysoko! Chałubiński zażądał dymisji. Wejdzie na jego miejsce pewno jaki Moskal. Wolfram powiada, że przyjaciele mu radzą zacząć wykład po moskiewsku od Bożego Narodzenia,—choć mówić nie umie, jak jest w istocie, po moskiewsku! Jakże tu przyjąć radę takich przyjaciół? Mierzyński (Antosiem go nazywają studenci) nie poprawia się: próżniak, blagier, niedouk, zbywa lekcje, jak to mówią, psim swędem; nie wykłada, ale gawędzi. Przyznaje się bez ceremonji, że nie umie tego i owego. Opowiadał niedawno, że lat trzynaście chodził na uniwersytet, przeplatając ten pobyt guwernerką gdzieś nad Renem i romansem ze swoją żoną. Węclewski i Wolfram mieli go za osła i kpili z niego. A ten mąż ma młodzież naszą uczyć po grecku. Horrendum!

28 listopada, niedziela. Węclewski i Plebański wypędzeni, chociaż podpisali doklarację, że w ciągu dwóch lat będą wykładać po moskiewsku. Do ostatniej chwili nic o tem nie wiedzieli. Przyszedł Węclewski do Szkoły i pytał się gdzie profesorowie, bo żadnego nie widział. Odpowiedziano mu, że na sesji. „Na jakiej sesji, kiedy ja o tem nie wiem." Powiedziano mu wtedy, że go nie zaproszono. Pobiegł zaraz do Wittego, który zarzekał się, że nic zrobić nie może i odsyłał go do Ławrowskiego. Węclewski probował po moskiewsku mówić z Wittem, lecz skończyło się na niemczyźnie. Witte go ostrzegał, że do Ławrowskiego koniecznie trzeba mówić po moskiewsku. Pobiegł i pan rektor pozwolił mu po polsku do siebie mówić. Obiecywał mu, że posadę jaką dostanie. Węclewski boi się być mianowanym na młodszego pomocnika starszego cenzoza.

Z profesorów wielu nie musi wykładać po moskiewsku — termin lat dwóch dla nich służy. Jednak papla po moskiewsku, nie umiejąc, mąż znakomity pan Białecki, blagier koronny. Ni ztąd ni zowąd dostał się do Szkoły Głównej. Miał 10.000 pensji i osobno 6000 jako sędzia Szkoły Głównej.

Teraz chce mu się 20,000 i dlatego wykłada po moskiewsku, aby nie brać tylko 10,000. Bodaj wszyscy panowie profesorowie nie pójdą za tym przykładem, zasłaniając się tem, że muszą się starać o doktorstwa na uniwersytetach moskiewskich*). Będą mówili: „nie dadzą nam stopni, będą szykanowali." Więc pozostanie na sumieniu Białeckiego potrójna podłość. Naprzód podpisuje deklarację, że będzie wykładać po latach dwóch. Powtóre uprzedzając termin, żeby się przypochlebić, wykłada po moskiewsku, aż uszy bolą, bo nie umie. Nareszcie postara się o doktorstwo i utrzyma się, jeżeli w ciągu dwóch lat nie odpędzą go dla jakiego Moskala.

Antoś (Mierzyński) został dlatego, że się lizał (nazwisko nieczytelne). Ten go poparł u Wittego. Antoś bardzo jest zręczny. Antoś przy swojej zręczności wyjdzie i na feldmarszałka — mógłby tak dowodzić wojskiem, jak umie po grecku.

Jenerał Papłoński popisywał się przed metropolitą serbskim Michałem**). Ten słowiański nędzarz jeździł do Kijowa na obchód 50-lecia akademji duchownej, w której pobierał nauki. Potem Petersburg zwiedzał, a wracając do siebie do Warszawy zajrzał. Ci słowiańscy bracia podli są. Metropolita kraju dobijającego się o wolność nie rozumie czem jest biedna Polska? Toż urągać się nam przyjechał do Warszawy. Odwiedzał prelekcje słowiańsko-południowych języków. Siedział jak głąb razem z Joannikijem, tylko spoglądając to w górę, to na dół. Pan jenerał prawił coś o Rassii. W końcu prelekcji czułą wypalił apostrofę jak to zacnie, poczciwie dzieje się u nas. Ledwie otworzono uniwersytet, łączą się plemiona, wyznania bratnie podają sobie ręce. Wszystkich Słowian interesuje powodzenie uniwersytetu warszawskiego. Pan jenerał jest człowiek zręczny, jak Antoś, ale przerachował się, bo apostrofa była wcale niezręczna. Mógł całować metropolitę, kłaniać się mu, ale nie kłamać w żywe oczy w imieniu własnem i młodzieży polskiej. Hołd jego pozostałby hołdem osobistym, ale przemowy z katedry są od uniwersytetu. Czy Michał i Joannikij nie pomyślą sobie, że Polacy są podli? Bez przemowy doskonale byłoby się obeszło. Zręcznością jest budować teraz przytułek dla ociemniałych *), niezręcznością deklamować podle.

Przybył też osławiony Jezbera, podły Czech i miał już prelekcję wstępną w języku czeskim. Autor to abecadła wszechsłowiańskiego, to jest uczony, który dowodzi, że graždanka wystarczy wszystkim Słowianom i powinni ją przyjąć dla swego zbawienia **).

12 grudnia, niedziela. Do uniwersytetu zapisywał się jakiś Zan i Zaleski, obadwaj z gubernij zachodnich. Mieli pozwolenie swoich gubernatorów, że tutaj kształcić się mogą. Pan Szerszeniewicz pyta się Zana o nazwisko, potem o otczestwo, to jest o imię ojca. — „Fomicz" (syn Tomasza) — „niema pan miejsca u nas..." Zaleski nie przyjęty, że się nazwał krewnym Bohdana. Zanowie, Zalescy, kształcić się nie mogą. A jednak jest przy Aleksandrze jenerał Rylejew i zawsze go z sobą Aleksander po wszystkich stronach wozi, żeby się przechwalać, że ma republikanina na służbie. Ten Rylejew nikczemny jest synem powieszonego przez Mikołaja. Każdy car ma inne swoje zgryzoty. Pokazuje się jednak, że synowie buntowników mogą być „błagonadiożni." Mimo to Zan i Zaleski przepadli.

(*Dn*) *K. Bartoszewicz.*

*) Pawiński został docentem dopiero w r. 1868, trudno go więc zaliczać do profesorów Szkoły Głównej. Dopiero w uniwersytecie zajął wybitne stanowisko i położył wielkie zasługi na polu historjografji.

*) Obawy autora pamiętnika sprawdziły się — będzie o tem przy końcu.

**) Ten metropolita był wielkim wielbicielem kobiet. Opowiadał mi Aleksander Jabłonowski z jaką rozkoszą (aż mu się oczy zaiskrzyły) wspominał słynną piękność, panią Kellerową, kochankę Bibikowa, muzę Kraszewskiego, Egerję Wielopolskiego na którą i car Aleksander był bardzo łaskawy. O niej broszura K. Bartoszewicza p. t. „Muza margrabiego."

*) Papłoński jako dyrektor Instytutu dla głuchoniemych i ociemniałych uzyskał fundusz na rozszerzenie zakładu.

**) Franc. Jezbera, panslawista, agitował za odrzuceniem przez słowian alfabetu łacińskiego. Drukował w języku czeskim graždanką kilka broszur. W jednej z nich: „Kiryl a Method ...ne psali nikdy hlaholsky než kirylsky" (1858) wyraża się znawca, że jest pozbawiona wszelkich podstaw naukowych." Jezbera odbył podróż po Rosji w roku 1865. Na uniw. warsz. otrzymał katedrę filologji słowiańskiej.

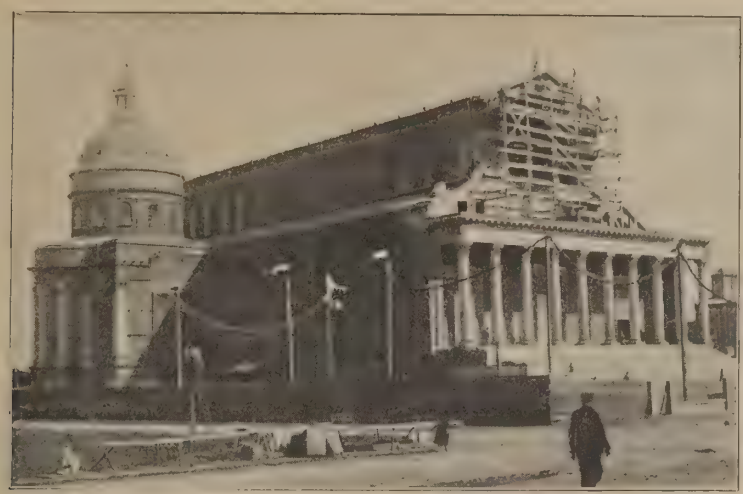

Bazylika Serca Jezusowego — widok ogólny.

Fot. J. Wołyński.

Nawa główna i ołtarz w bazylice Serca Jezusowego.

BAZYLIKA SERCA JEZUSOWEGO.

Stolicy naszej przybył Dom Boży największy pod względem rozmiarów i jeden z najpiękniejszych pod względem architektonicznym. Zbudowane na wzór bazyliki Rzymskiej monumentalne to dzieło wzbudzało zachwyt gości francuskich i włoskich, a monsignor Ratti podniósł świątynię do godności bazyliki jeszcze przed jej konsekracją.

Bazylika, dzieło arch. H. Kudra, wznosi się na placu przy zbiegu ulic Kawęczyńskiej i Otwockiej na Szmulowiźnie. Aczkolwiek niewykończone, wnętrze świątyni przedstawia się imponująco.

Nawa główna, długości 60 metrów, oddzielona jest od bocznych dwoma szeregami po 12 kolumn o kapitelach korynckich z kararyjskiego szlifowanego marmuru, sprowadzonego z Włoch. Wielki ołtarz zbudowany jest z czarnego marmuru kieleckiego. Strop bazyliki ma być ozdobiony polichromją, gdzie odtworzone będą epizody z dziejów Polski i życia jej świętych.

J. E. Arcybiskup Kakowski; ks. prob. J. Poskrobko, arch. budowniczy H. Kuder po konsekracji kościoła.
Fot. Sarjusz-Wolski.

Hojną fundatorką świątyni jest Marja z Zawiszów księżna Michałowa Radziwiłłowa, która rozpoczęła budowę w roku 1907, składając na ten cel 3 miljony rubli.

Po odzyskaniu niepodległości Polski księżna złożyła na cel budowy cały swój majątek. Z wielką energją i zapałem oddawał się sprawie wznoszenia domu Bożego ks. J. Poskrobko, który od 1919 roku został proboszczem parafji.

Konsekracja świątyni, która odbyła się w niedzielę dn. 16 września r. b., zgromadziła tłumy wiernych i była prawdziwą uroczystością dla świata katolickiego i tych wszystkich, którym drogi jest wygląd artystyczny naszej stolicy.

Szybowiec studentów w locie.

W oczekiwaniu otwarcia konkursu. Samoloty od lewej ku prawej: Dziaba, Łabuś, Plage-Leśkiewicz, studentów pol. warsz., Ikub I-a.

„Ikub" w locie (startuje).

KONKURS SZYBOWCÓW.

Konkursy szybowców nie są już obecnie rzadkością zagranicą—u nas jednak konkurs tego rodzaju odbył się po raz pierwszy na początku września. Być może, że pierwsze te próby wzbudzą zainteresowanie w szerszych kołach naszego społeczeństwa, które, niestety, dotychczas bardzo obojętnie przyjmuje wysiłki naszych lotników. Tymczasem, o ile aeroplan, maszyna z potężnym silnikiem, jest dla szerokiego ogółu prawie niedostępny, o tyle szybowiec, bez porównania tańszy, daje możność prawie każdemu z nas wzbić się w powietrze. Dotychczas jednak potrzebne są do tego pewne warunki atmosferyczne, dlatego też szybowce obecnie mają zastosowanie tylko w okolicach górskich. To też konkurs nasz odbył się w Białce o 12 klm. od Nowego Targu.

Grupa uczestników konkursu.

Komisję sędziowską tworzyli: pułk. Łossowski, dyr. dep. min. kolei inż. Czapski, ppułk. Grzędziński i inż Pietraszek.

Miejscem startu była Czarna Góra, wysokości 903 m. nad poziomem morza.

Do konkursu zgłosiło się 9 aparatów, wszystkie konstrukcji polskich wynalazców.

Najdłuższy lot trwał 3 min. i 3 sek. bez lądowania. — Dokonał tego samolot sekcji lotniczej studentów politechniki warszawskiej. Zamknięcie konkursu nastąpiło 12 września b. r.

□□

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ. 13)

— Czyż ja nie jestem towarzyskim człowiekiem?—zapytywał się Lolo—czyż nie byłem przed dwoma tygodniami w całej Europie, jak w domu?

Teraz był obcym w najsympatyczniejszych kawiarniach i ulicach, gdzie go dawniej wszyscy znali.

Teraz nie był to już ten sam człowiek co przedtem.

Dawni znajomi, którzy go nie widzieli od dłuższego czasu, poznawali go dopiero po dłuższym namyśle.

To straszne—myśleli sobie—nawet i Lolo się zmienił.

Pewna włoska śpiewaczka, której w lepszych czasach się oświadczał, krzyknęła ze zdumieniem na jego widok.

— Lolu! Czy to ty?

Jej głos był także taki szlochający jak jego, bo i ona należała do tych, którzy dawniejsze życie znajdowali piękniejszem. Bezwątpienia była dawniej młodszą i więcej pożądaną i z tej minionej wspaniałości zostały jej tylko gesty kobiety niegdyś pociągającej. Recenzenci mieli właściwy melancholijny ton, kiedy pisali o niej, jako o jednej z ostatnich reprezentantek „bel canto".

— Czy wie pan co sobie w tej chwili myślałam?

Śpiewaczka miała zwyczaj długo i szeroko tłumaczyć swoje uczucia.

— Oto idzie ktoś, którego się człowiek czepia, wtedy, kiedy życie staje się tak smutnem, jak dzień przed wieczorem. Niech mnie pan źle nie zrozumie, Lolu, na miłość Boską, ja nie chcę pana prosić o pożyczenie pieniędzy... Nie, moje finanse są jeszcze wcale, wcale...

— Moje także—narazie—wtrącił Lolo trochę drżącym głosem.

— Tak, „narazie" to jest właśnie straszne, że teraz wszystko stało się tymczasowem. A my już dziś nie jesteśmy przygotowani na potopy i tem podobne przyjemności. Ach, Lolu, co tu mówić, to ogólne trzęsienie ziemi działa mi na nerwy...

Lolo automatycznie wyjął różową bombonierkę.

— Proszę, niech pani skosztuje, te są...

— ...Z Chartereuse, albo z ananasem... Dziękuję—właśnie tego się po panu spodziewałam... Kiedy zdaleka zobaczyłam białą kamizelkę pana i czerwony gwoździk w butonjerce...

— Hm, tak, czerwony gwoździk jest może trochę nie na miejscu — powiedział i oglądnął się—przy obecnie panujących stosunkach... Nie myśli pani?

— Nie, ale chciałam zaproponować, żebyśmy poszli tam do parku i usiedli na ławce pod lipami... Ach, Lolu, nie patrz na zegarek...

— Patrzę dlatego, bo Eugenja...

— A, prawda, Eugenja. Jak jej się powodzi? — zapytała z przesadną trochę uprzejmością.

— Dziękuję, koncert jej jest odłożony do następnej soboty... narazie—odpowiedział Lolo, a głos jego drżał trochę.

— Tak, narazie—mówiła dalej Włoszka—a potem będzie znowu odłożony... Czy wie pan co mi mówiono w biurze koncertowem?... W tym roku, a może i w przyszłym zimowym sezonie... nie będzie żadnych koncertów... nie będzie... nic.

— Nic—powtórzył Lolo i uśmiechnął się bezradnie.

— Niech pan nie rozpacza, carrissimo, bo i ja także... Lolu, rozpacz nie jest nam do twarzy... ale cóż robić... nastały takie czasy...

— Ale ja wcale nie i owszem, przeciwnie, jestem taki szczęśliwy, że panią widzę...

— Ale ja jadę dziś wieczór do domu—w tej chwili się zdecydowałam.

— W tej chwili?

— Bo nie jestem z pana zadowolona, panie Lolu — szalenie się pan zmienił. Pojadę dziś expresem dziewiąta czterdzieści. I oczekuję, że pan przyjdzie na dworzec z wspaniałym bukietem róż?... ostatnie wrażenie powinno być dla pana charakterystyczne.

— Ostatnie wrażenie?...—spytał Lolo podejrzliwie.

I, Bóg wie o czem myśląc w tej chwili, dodał prędko:

— Ja jestem Szwajcarem.

— Nie, doprawdy? Szwajcarja także może się zapaść... Cały świat...—paplała i patrzyła na małe dziewczątka, które skakały przez obręcze.

Lolo zanotował sobie:

Express, dziewiąta czterdzieści, bukiet róż.

— Czy to jest jeszcze zawsze ten stary notesik pański? Ach, to mi przypomina Nizzę!

Oddał jej w tej chwili ozdobny notesik, a róże i express zanotował w innym. Jego galanterja funkcjonowała automatycznie.

Pogładziła go po ramieniu.

— Lolu, pan jesteś jedynym człowiekiem, któregobym potrafiła znieść w chwili śmierci. Dlatego, że pan ma takt i dobre manjery. Wiem, żeby mnie pan ani nie pocieszał, ani nie mówił o przyszłem życiu. Panby się zachowywał z pewnością normalnie i nie zastosowywał się w tym wypadku do sytuacji, tylko palił jak zawsze swoje cieniutkie papierosiki... i wszystko byłoby jak zawsze. Elektryczne światło, pańska łysina, biała kamizelka... Lolu! pan mnie nie słucha, co panu jest?

Odpowiedział prawie nieprzytomnie z dziwnie bezmyślnym i uprzedzającym uśmiechem:

— Kocham panią. Z pani powodu w...

Przerwała mu.

— Dobrze już, dobrze.

Wstała.

— Postarzałam się, jeszcze nigdy nie powiedział tego o miłości i samobójstwie w takiem rozdrażnieniu.

Ale później na ulicy jej złość zamieniła się w litość.

— To on się postarzał, nie ja—stwierdziła z zadowoleniem.

Bo Lolo dreptał przy niej tak beznadziejnie smutny i działał tak, jak wspomnienie gdzieś dawniej istniejących Lolów.

(*Dcn*)

BOGACTWO.

Mylnie mniemają socjologowie i ekonomiści, że bogactwo jest fenomenem materjalnym. Bogactwo jest stanem duszy. Zanim ukazało się na księgarskich półkach dziełko niejakiego Karola Marxa p.t. „Kapitał", ujmujące dosyć trafnie problem tworzenia się i nawarstwiania bogactw—pisał na ten sam temat, tylko nierównie weselej, pewien młody perypatetyk, Idzi Pęczykowski z Opatówka.

Przed nim zaś, znacznie wcześniej, pisała o bogactwie panna Aldona Woyszwiłłówna, nie tyle może myślicielka, ile poprostu młodziutka i wiosenna istotka.

Zbiór niezwykle trafnych spostrzeżeń panny Aldony, zawarty w listach do Ciotki, Czcigodnej pani Eustachowej Kupść, nie został, niestety, do tychczas ogłoszony drukiem.

Wszelako strzępy tej arcyciekawej korespondencji, niedostrzeżonej przez Stanisława Wasylewskiego, znawcę empire'u, senników, czeczotek, panieńskich rumieńców i niesamowitych, lwowskich coctail'ów—dziś już możemy podać do wiadomości szerokiego ogółu.

. . . . . .

„...Cioteczka. Wczoraj był bal u pani Marszałkowej. Byłam i tańczyłam. Duże miałam powodzenie a i młodzieży ślicznej poznałam coniemiara".

„Cioteczka. Wyjeżdżamy z Wilna nieraniej, jak w Popielec. Pan Witold Porażycki, sąsiad nasz, zaproponował pojechać kuligiem do Werek. Mamuńcia — nie, żeby była zachwycona — ale pozwoliła.

Wybralim się sanną w zeszły wtorek, dwanaście osób. Tańczyłam z panem Porażyckim kadryla, oba mazury i kotyljona. Powrót był o księżycu"...

„Kochana Ciotuńciu. Zaręczyłam się! Sama niewiem jak to się stało... Pan Witold przyszedł do nas wczoraj, o drugiej, ale we fraku i w białym krawacie, sama niewiem, co pomyślałam, ale zaraz uciekłam, bo mi się na płacz zbierało a i śmiech mnie chwilami łapał, że ot, byłam, jak durna! Rozmawiał z Mamą dobre dziesięć minut a potym Mama do mnie przysłała, żebym wyszła. Wyszłam, ale poczekawszy, wpierw musiałam się trochę upudrować, choć tego nie robię nigdy, ale miałam zabardzo czerwone oczy...

Wtedy pan Witold mnie pocałował w rękę i Mama, cała zapłakana, uścisnęła mocno i zapytała — już dobrze niewiem o co, tylko na to wyszło, żeśmy się zaręczyli!

Jestem strasznie szczęśliwa" —

„Najdroższa Ciotuńcik! Na wiosnę nasz ślub. Znajome panienki mówią, że majowe małżeństwa nieszczęśliwe — niewierzę! Coś mi mówi, że będziemy ze sobą bardzo, bardzo szczęśliwi.

Witold jest dobry, jak anioł i piękny, jak prawdziwy rycerz. Po nocach całuję zaręczynowy pierścionek, z szafirem, choć to wstyd.

A we dnie chodzę, jak warjatka i tańczę i śpiewam i czuję się taka radosna, taka bogata, jakby do mnie pół Litwy należało i Nalibocka puszcza, i Trockie jezioro!...

Przy tym i bzy zaczynają kwitnąć a słowiki na Antokolu nocami śpiewają, jak szalone"...

. . . . . .

Ostatecznie, bardzo śmieszni są ludzie, którzy się smucą z powodu zniżki Starachowic...

Zdzisław Kleszczyński.

ECHA ZATARGU GRECKO-WŁOSKIEGO.

ot. Porry-Past rel.

Okręty włoskie podpływają do Korfu. Załoga gotuje się do wylądowania.

Sztandar włoski powiewa na „Fortezza Vecchia" na Korfu.

Z CHWILI.

Królowa holenderska, Wilhelmina, obchodziła niedawno 25-lecie swoich rządów.

W Warszawie bawił niedawno kanclerz rzeczpospolitej austrjackiej, ks. dr. Seipel, wraz z min. skarbu Grünbergerem, celem nawiązania stosunków handlowych z Polską.
Od lewej ku prawej: min. pełn. Lasocki, ks. dr. Seipel, min. Grünberger.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ.

Dnia 15 b. m. odbył się ślub p. Anny córki Bogósława i Emilji Hersów z p. Jerzym Houvalt.

NAGROBEK LEONA PAPIESKIEGO.

Dnia 17 b. m. odbyło się poświęcenie pomnika na grobie ś. p. Leona Papieskiego, głośnego obrońcy-kryminologa i pierwszego vice-prezesa polskiego Sądu Apelacyjnego. Z okazji tej zamieszczamy małe przypomnienie o człowieku niepospolicie utalentowanym i miłującym kraj swój nad wszystko. Ś. p. Leon Papieski poświęcał swoje siły, życie i mienie dla wprowadzenia w czyn swych górnych ideałów narodowych, społecznych i kulturalnych. Zmarł nagle na anewryzm serca, skutkiem wzruszenia przy wygłoszeniu mowy powitalnej dla przybywającego do Warszawy Wojciecha Trąmpczyńskiego w roku 1917.

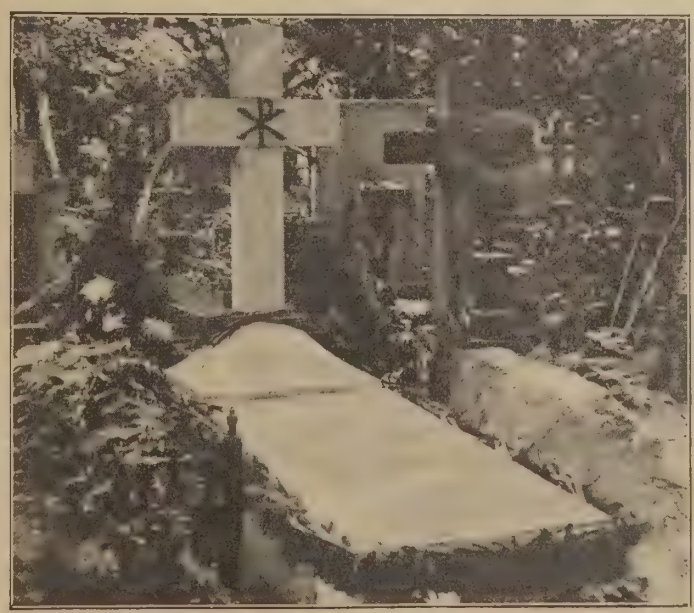

Nagrobek ś. p. Leona Papieskiego.
Według projektu A. Madeyskiego.

Bracia Jabłkowscy
Warszawa Bracka 25 Wilno Mickiewicza 15

Okrycia, Futra, Kostjumy, Suknie, Bluzki, Szlafroczki, Kapelusze, Bielizna.

Sprobujcie wyśmienitą
HERBATĘ
Nr 103. Fels Tea Co.

Hermetyczne zamykanie puszek automatami maszynowemi.

AKT ROZUMNEJ PRZEZORNOŚCI.

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

W ciągu miesiąca czerwca i lipca r. b. armja nasza zaopatrzona została w bardzo poważny zapas konserw mięsnych. Złożony w magazynach Intendentury Wojskowej, zapas ten, idący w wielekroć tysięcy sztuk puszek, stanowi już dzisiaj dostateczną asekurację żołnierza polskiego przed klęską głodu, a to na wypadek większych działań strategicznych w szczerem polu.

Ważnem jest to, że konserwy te wyrobiono u nas w kraju. Zamówienie wykonała według najlepszych prawideł (jak to stwierdza urzędowy protokuł odbiorczy) techniki gastronomicznej Fabryka Konserw Mięsnych w Bydgoszczy, a wykonała je pod okiem bezpośredniej kontroli władz wojskowych.

Jest istotnie poważnym sukcesem natury moralnej, iż wspomniana Komisja Odbiorcza do wykonanego zamówienia odniosła się z wszelkiemi pochwałami. Bo też, gdy dotąd konserwy mięsne na potrzeby armji importowaliśmy z zagranicy, to przy okazji niniejszej okazało się dowodnie, iż i na polu produkcji konserw mięsnych możemy pochwalić się naszą w tej mierze zupełną samowystarczalnością gospodarczą.

Armję tedy polską w niezbędne jej na bieżące potrzeby konserwy zaopatrzyła:

1) fabryka krajowa, a zaopatrzyła
2) z surowca krajowego i
3) dzięki poparciu kapitału czysto polskiego.

A stało się to wszystko dzięki naprawdę patrjotycznej trosce i wielkiej energji polskiego sztabu generalnego, którego celowa decyzja w tej sprawie jest tylko najwyższej pochwały godną.

Dzięki temu tedy żołnierz nasz nie tylko już jest dziś pewny na wypadek potrzeby swej puszki mięsnej — a syty żołnierz to połowa zwycięstwa—mawiał Napoleon—ale ponadto w gospodarce naszej krajowej wypełniona została dotkliwa luka, przez którą dotąd marka polska najzupełniej niepotrzebnie wypływała w miljardowych ilościach zagranicę.

W tych warunkach przekonano się również i o tem, iż fabryka krajowa, która potrafiła wyprzeć z kraju produkt importowany tu dotąd za drogie dolary, może się śmiało pokusić o możliwie najszerszą dostawę konserw mięsnych do Francji, która je dotąd—excusez le mot — czerpała od wrogich jej i nam Niemców.

Odebranie tych dostaw germańskiej industrji przez firmę polską—a dziś jest to już rzeczą niemal pewną—stanowi jedno z tych zwycięstw ekonomicznych, o których wolno mówić nie bez odcienia dumy.

Słów tedy kilka o firmie, która wykonała wspomniane zamówienie dla armji.

Jest nią jedyna w Polsce na tak wielką skalę wytwórnia pod firmą:

Fabryka Konserw Mięsnych
Tow. Akc.
Bydgoszcz.

Oto z czego robią się konserwy...

Higjeniczne hale uboju bydła.

Obory fabryki konserw.

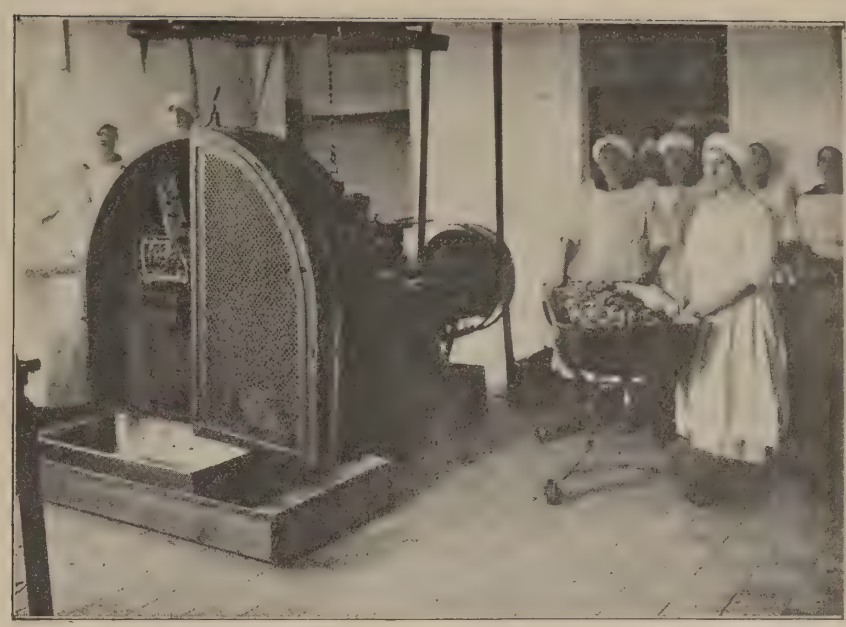

Jedna z elektrycznych krajalni mięsa.

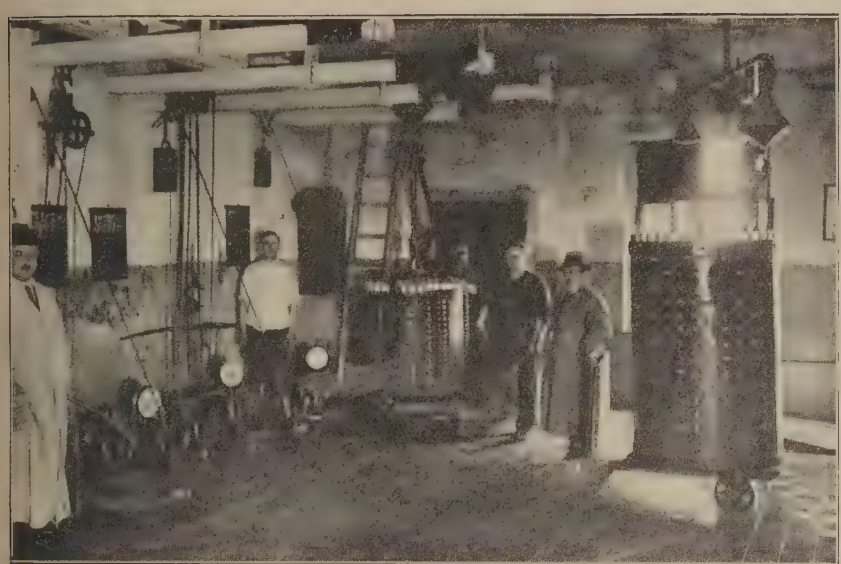

Oddział specjalnej sterylizacji puszek z konserwami.

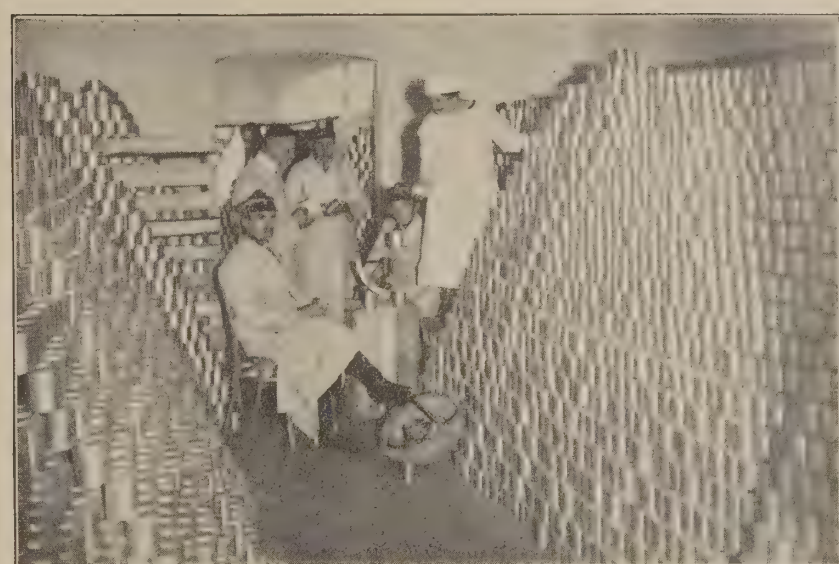

Odbiór gotowych puszek z konserwami.

Zamówienie to wykonała firma, dzięki skutecznemu poparciu finansowemu tak poważnych instytucyj finansowych jak:

BANK PRZEMYSŁOWCÓW W POZNANIU,
POLSKI BANK HANDLOWY W POZNANIU i
BANK STADTHAGEN W BYDGOSZCZY.

Jak poważną była dostawa, wystarczy wspomnieć, iż dzienna produkcja podczas tej próbnej jeszcze niejako kampanji wynosiła do 20,000 puszek; ażeby sobie zapewnić surowiec pomocniczy, sprowadzono 25 wagonów specjalnej blachy arkuszowej, cynowanej—z Anglji.

Nieporównane w smaku i doskonale wykonane pod względem higjeny i samej techniki fabrykacji konserw—dziś puszki te w imponującej ilości, jako produkcja pierwszej w tym kierunku kampanji, zmobilizowane w chłodniach magazynów wojskowych, czekają spokojnie apelu, ażeby w każdym momencie służyć obrońcy granic i spokoju Polski.

Cały trud sprawnego zorganizowania tej pierwszej zwycięskiej kampanji dostawowej i jej kompletnego sukcesu jest dziełem obu dyrektorów Tow. Akc. Fabryka Konserw Mięsnych w Bydgoszczy, a są nimi pp. Leon Idźkowski oraz Jan Piotrowski.

Przy samem wykonaniu tu omawianego zamówienia pracowało ogółem około 300 robotników, nie wliczając tych, którzy wykonywali metalowe puszki, hermetycznie specjalnym przyrządem po napełnieniu ich nitowane oraz licznego personelu administracyjnego, który wraz z Komisją Odbiorczą dochodził do 100 osób.

Po dokonaniu tego pierwszego zamówienia Fabryka Konserw Mięsnych Tow. Akc. w Bydgoszczy, korzystając z dłuższej przerwy letniej

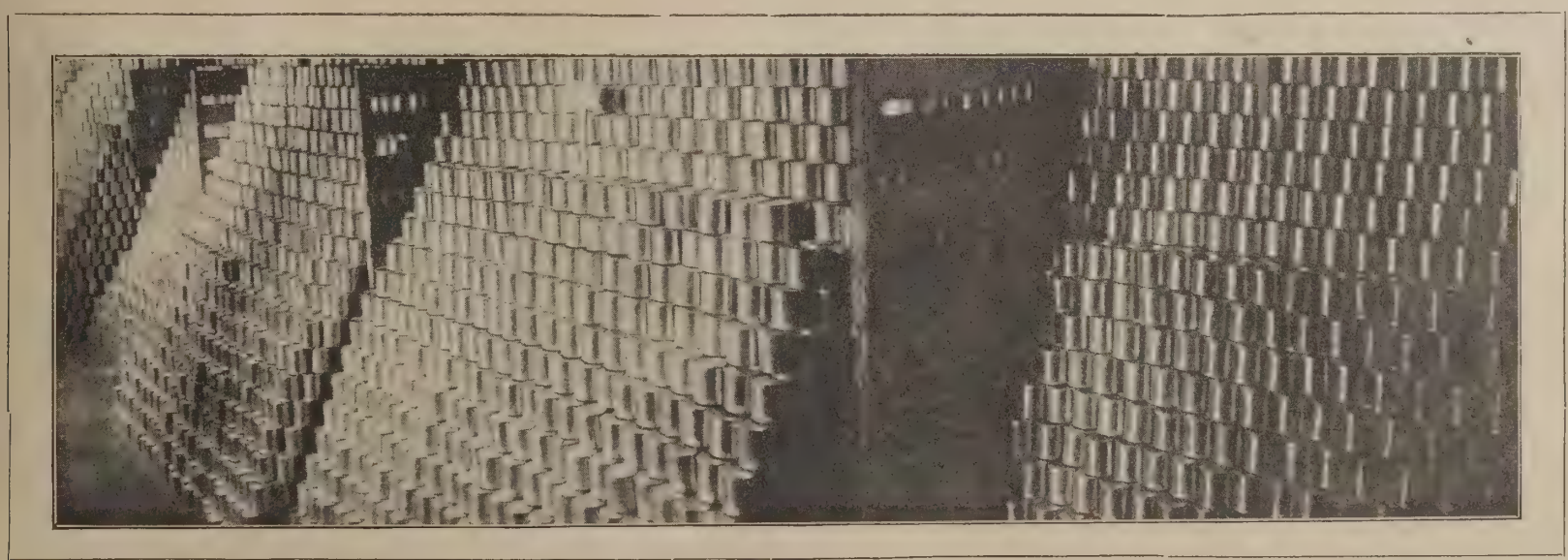

Konserwy zmagazynowane w składach.

Skrzynie skuwa się bardzo starannie.

w produkcji, przystępuje właśnie w tym czasie do budowy na zakupionych w tym celu wielkich terenach tuż przy rzeźni miejskiej w Bydgoszczy nowych wielkich hal fabrycznych, a więc olbrzymiej chłodni, specjalnych magazynów, wielkiej hali maszyn, osobnej ekspedycji i t. d.

Materjały budowlane potrzebne, oraz komplet potrzebnych maszyn już zwieziono na miejsce, dzięki czemu przy energicznem prowadzeniu robót fabrycznych już z wiosną najbliższą będzie fabryka kompletnie w imponujących rozmiarach pobudowaną i wykończoną.

W ten sposób posiądzie Bydgoszcz zakłady, które będą w stanie śmiało konkurować z pierwszorzędnemi w tym rodzaju zakładami niemieckiemi dotąd, jak się zdawało, wprost niedoścignionemi na tem polu.

Roczną produkcję bydgoskich tych zakładów Tow. Akc. Fabryka Konserw Mięsnych w Bydgoszczy obliczono z górą na 10 miljonów puszek rocznej produkcji.

Zaspokoi ona w tych warunkach nie tylko potrzeby armji polskiej, ale też zacznie eksportować konserwy mięsne za granicę! Z punktu zdrowych zasad gospodarstwa krajowego objaw taki należy powitać z jaknajwiększym tylko aplauzem. Jesteśmy krajem wybitnie rolniczym a chów bydła gra u nas niepośrednią rolę, jako pozycja dochodowa naszych bogactw krajowych. Dotychczasowa polityka nasza wywozowa pozwalała na wywóz naszego bydła drogą na Gdańsk do Niemiec jakby poto, ażeby przemysł niemiecki produkował zeń konserwy dla Francji. Odkąd bydgoskie zakłady, tu w mowie będące, rozpoczęły wielką w tej branży produkcję, powinna polityka ta należeć już nareszcie do niepowrotnej przeszłości.

Składnica i ekspedycja konserw w skrzyniach.

Należy wierzyć, iż tak się stanie w istocie a fakt oddania fabrykacji konserw dla armji firmie krajowej utwierdza nas w tem mniemaniu najzupełniej. Dlatego też wolno jak najsłuszniej nazwać krok ten sztabu generalnego „aktem rozumnej przezorności".

Jesteśmy pewni, iż jednocześnie i budżet nasz krajowy w szybkiem tempie zbliży się do granic zupełnego wyzdrowienia. Zrozumiałą tedy będzie rzeczą, iż terminu kompletnego wykończenia zakładów bydgoskiej fabryki konserw wyczekiwać będziemy z tą niecierpliwością, którą tylko prawdziwa troska o stan ekonomiczny kraju podyktować jest w stanie.

Dr M. Win.

Własne zapasy drzewa do fabrykacji skrzyń.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 41 Ogólnego zbioru 3,334 Wydawnictwa rok 64. 6 Października 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

BIUST J. INGRES'A Rzeźba E. A. BOURDELLE'A

LITERATURA A „DUCH CZASU".

Kiedyś, ktoś, zastanawiając się nad stanem literatury polskiej bezpośrednio po odzyskaniu wolności i niepodległości, po narodzinach państwowości — zatrzyma się niechybnie nad tem dziwnem, wielce znamiennem zjawiskiem: że też literatura polska po r. 1918 nie odzwierciedla bujności życia, nie daje wyrazu radości z odzyskania wolności, nie jest przepojona optymizmem...Przyszły badacz piśmiennictwa naszego zapyta zapewne: Jak to? Wskrzeszona Polska, odzyskana wolność, budowa zrębów państwowości, pogromienie odwiecznych wrogów, boje o utrwalenie niepodległości, walka o granice, zwycięstwo oręża, urok własnej siły zbrojnej — wszystko to nie wybuchło w literaturze hymnem, dytyrambem?... Dziękczynne „Te Deum" nie stało się tonem zasadniczym poezji po r. 1918?... Radość nie stała się pierwiastkiem twórczym?... Wszak przez setkę lat mrocznych, lat klęski, tęsknota za wolnością była tym czynnikiem, który zapładniał duszę i wyobraźnię naszych poetów. Wszak na rozchwiei ucisku i nadziei, w stuleciu panoszenia się zaborców, dławienia nurtów niepodległościowych przez obce cenzury — zdało się, że gdy zaświta wolność, to chyba szał radości ogarnie ogół, a poeta w świętem uniesieniu wyśpiewa potężny hymn wolności, utrwali w mocnych słowach zbiorowy nastrój ogółu, wyzwolonego z okowów zależności od zaborców.

Okazuje się, że — podobnie jak i w wielu innych dziedzinach — przewidywania podobne były nierealne, nie sprawdziły się. Tak samo jak i w przeważającej ilości wypadków z dziedziny społecznej i gospodarczej, również i w przejawach z dziedziny umysłowości i ducha wszelkie przewidywania i horoskopy były illuzoryczne. Rzeczywistość zadała im kłam...

To też,gdy rozpatrzymy się w literaturze ostatnich lat pięciu, napróżno wypatrujemy w niej hymnu, dytyrambu, przejawów urody życia wolnego, pochwały czynu zbrojnego, apoteozy zwycięstwa, pierwiastka radości. Literatura nie utrwaliła tych głębokich przemian, jakie zaszły w r. 1918, nie rozgorzała i nie rozpłomieniła się zwycięstwem z r. 1920. Za sto lat, ktoś, wertując spuściznę piśmienniczą dzisiejszych czasów, zdumieje się: więc nie cieszyli się, nie entuzjazmowali, nie próbowali wyrazić swej radości?...

I ten przyszły badacz, gdy odrzuci wszystko, co w literaturze obecnej przypadkowe, co w niej jest jętką jednodniową — dojdzie do bardzo znamiennych rezultatów. Oto dojrzy, że wtedy, gdy na gruzach trzech mocarstw zaborczych powstawał gmach państwowości polskiej, gdy sejm polski skupiał wszystkie stany, gdy oręż polski rozszerzał granice — wtedy literatura polska przechodziła dziecinne choroby zawleczonych z zagranicy futurystycznych bakteryj, kopjowała nieudane eksperymenty z wylęgarni dziwactw literackich. Dojrzy on dalej, że wtedy, gdy zapał winien był promieniować wokół, przegryzał naszą umysłowość jad ironji, że kpinkarstwo i niedowiarstwo, że satyra i paszkwil stały się ulubioną formą pisarską. Dojrzy on wreszcie, że na świeżych fundamentach wolnej już literatury polskiej poczęto budować — obce wzory. Szał tłumaczeń, szał przyswajania obcych — już nie arcydzieł — lecz narkotyków dla uśpienia czujności narodowej, ogarnął literaturę. Claude Farrère i Jack London stają się przedstawicielami piśmiennictwa, dostarczają wrażeń tym, którzy świeżo przebyli walkę o wolność, byli świadkami cudu wskrzeszenia państwowości.

I ten przyszły badacz zdumieje się, że właśnie teraz, właśnie u nas, stało się inaczej, jak wszędy i zawsze. Boć przecie poeta był zawsze nie tylko zwiastunem zbliżającego się przewrotu, heroldem przyszłości — lecz również i entuzjastą dokonanego zbiorowemi siłami dzieła wyzwolenia. Znane jest powiedzenie Napoleona o „Weselu Figara" Beaumarchais. Jest to już — powiedział Napoleon—„la révolution en action", rewolucja wisząca w powietrzu. To też jeśli spojrzymy np. na rok 1848, na „wiosnę ludów"—jakiż inny widzimy obraz, jak niepodobny do stanu dzisiejszego. Nie tylko wywracają się trony, świtają konstytucyjne swobody — ale i wyzwalają się umysły, literatura szaleje z radości, przybiera ton dytyrambiczny. Nawet w muzyce, w operze, dopatrywano się tych namiętności, które masami władały. „Hugenotów" Meyerbeera oklaskiwano nie tylko jako arcydzieło muzyczne, ale jako muzyczną ilustrację tekstu, walczącego o wolność przekonań. „Wilhelm Tell" Rossiniego dawał uwerturę o „wolności i równości". By te dzieła tem silniej działały, w poszczególnych miastach przystosowano ich treść do lokalnych stosunków. I tak np z Hugenotów zrobiono w Wiedniu Gwelfów i Gibelinów, z Wilhelma Tella w Berlinie tyrolskiego bojownika o wolność, Andrzeja Hofera. W Frankfurcie, gdzie obradował parlament, przedstawienie „Niemej z Portici" Aubera tak podziałało, że na żądanie publiczności musiano ze sceny odśpiewać Marsyljankę.

Literatura, sztuka, była wówczas wyrazicielem duszy zbiorowej, jej odzewem, szafarzem entuzjazmu, propagatorem radości i upojenia.

Czy jest nią dziś? Czy w naszej literaturze ostatnich lat pięciu ogniskuje się ten przewrót olbrzymi, jaki się u nas dokonał, czy promieniuje ona snopem światła, czy uczy dorastające pokolenie radości bytu wolnego? Nie! Ona wiedzie w zakamarki sporów i waśni, kopjuje zachodnie i wschodnie dziwactwa, skrzętnie zbiera ulęgałki eksperymentów literackich, lub też przyswaja tani egzotyzm tłumaczeń „farrerowskich" czy „londonowskich". C'est tout...

Zbyt tanie jest wyjaśnienie, iż „duch czasu" nie sprzyja radości i entuzjazmowi—iżby je należało uznać za dostateczne wytłumaczenie. Stosowanie się do „ducha czasu", zgodność z nim, ba nawet uleganie mu — to właśnie antyteza poezji, grób literatury. Kompromis z duchem czasu jest bankructwem poety. Mickiewicz nie byłby stworzył „Dziadów" a Wyspiański „Wesela", gdyby się liczyli czy nawet identyfikowali z „duchem czasu". Wszystko, co wielkie w literaturze, powstało właśnie wbrew i przeciw „duchowi czasu"—frazesowi, który należałoby przepędzić ze słownictwa. Właśnie posłannictwem poety i zadaniem literatury jest walka z tą tanią wymówką i zdawkowym frazesem. „Duch czasu" zniewala tylko słabych; silni z nim walczą.

A czy odzew tej walki widzimy w naszej literaturze? Przypuśćmy, że dytyramb na cześć wolności, zbiorowy hymn poezji polskiej, dziękczynne „Te Deum" literatury—nie powstanie, jeśli nie powstał wybuchowo i żywiołowo w pierwszych chwilach narodzin wolności. Przypuśćmy, że nasza literatura ostatnich lat pięciu jest uboższa o ten naturalny motyw, o ten ton afirmacji życiowej. Przypuśćmy to, stwierdźmy gwoli własnego uświadomienia.

Ale gdzie walka dalsza? Gdzie walka z „duchem czasu", walka z oportunizmem, z kompromisem, z spłaszczeniem i obniżeniem naszego nurtu życia duchowego do konsumpcji egzotycznych tłumaczeń czy odleżałych produktów dziwactw zagranicznych?

Gdzie zdrowy odruch wobec tych przejawów?

I gdzie krytyka literacka, któraby to wszystko wykazywała?

Nasza literatura czasów rozbiorowych jest przepysznym przykładem symbjozy twórczości i krytyki. Od Brodzińskiego uwag nad romantyzmem do analiz Brzozowskiego literatury popozytywistycznej—przez całe stulecie mamy wybitny dział krytyczny, mamy czujne badania, mamy wytrawne ocenicielstwo.

Rzecz wielce znamienna: krytycyzm, który tak bujnie rozkrzewił się w naszem życiu społecznem, politycznem, gospodarczem, dziś w dziedzinie literackiej, jakby usunięty w cień. Gdzież ta walka poglądów, te zmagania się prądów—które tak bujnie krzewiły się u nas przed wojną? Miesięczniki, tygodniki, pisma codzienne odbrzmiewały echem tych rozstrząsań. „Modernizm" czy neoromantyzm, walka o sztukę dla sztuki, czy sztuka, jako przejaw społeczny—wszystko to rozpłomieniało umysły, wytwarzało atmosferę krytyczną, dawało możność głębokich uświadamiań.

I nagle—jakby się w nicość zapadło... Nie, jakbyśmy nie mieli umysłów krytycznych, pisarzy głębokich i świetnych. Są—są i ci, którzy przed wojną imali się tej pracy, są również nowi, młodzi. A przecież... Przecież krytyka literacka obecnie cienką tylko sączy się strugą.

Jaka przyczyna tego objawu? Nie tkwi ona w samych krytykach ani w literaturze. Są po za nią paraliżujące czynniki. Działają one ujemnie, działają ubożąco na tak ważny dział umysłowości, jak krytyka literacka czy estetyczna.

Przechodzimy tu na pole rozważań społecznych, a nawet ekonomicznych. Jeśli spojrzymy na warsztat naszej twórczości piśmienniczej—widzimy, że po prostu poznikały rozliczne placówki, na których wypowiadać się mogła myśl krytyczna, natomiast nowe nie powstały. Niewielka ilość pism, w których jest miejsce dla krytyka, stanowi wyjątek. Są to istne „rari nantes in gurgite vasto"... Fejleton w piśmie codziennem, stale przed wojną poświęcany działom literatury i sztuki, staje się coraz bardziej rzadkością. Ustępuje on miejsca „aktualniejszemu" materjałowi, omówieniom sytuacji politycznej i finansowej. To też nasza prasa codzienna coraz uboższa się staje w indywidualności, poświęcające uwagę przejawom ducha, literaturze i sztuce. Wszystko jest zmobilizowane dla śledzenia objawów politycznych i gospodarczych.

Czy w tych warunkach szerzyć się może myśl krytyczna literacka?

Widzimy też objaw znamienny: krytyk bądź przenosi się do „działu" polityki czy ekonomji, bądź też szuka ujścia dla swej pracy pisarskiej w działach, mających lepszy i łatwiejszy „odbyt", jak nowelistyka, teatr, kino wreszcie. To też mamy obecnie szereg ongi bardzo wybitnych sił krytycznych, które zwolna przesuwają swe pole działania i studjów na te działy pracy, w których, idąc po linji mniejszego oporu, dochodzi się do pewniejszych, ale tańszych i łatwiejszych sukcesów.

Są to objawy, których nie należy chować pod korzec. Uświadomienie ich jest ważne. I to nawet wtedy, jeśli jest bolesne i przykre.

Czy społeczeństwo może się tym objawom obojętnie przypatrywać? Czy najlepsi w narodzie, jego duchowa arystokracja, ma ten stan utrwalać? Czy namiastki w piśmiennictwie twórczem i krytycznem mogą wystarczyć narodowi wielkiemu, mającemu taką tradycję literacką, zobowiązanemu wprost do krzewienia w dalszym ciągu spuścizny Kochanowskich i Słowackich, Brodzińskich i Brzozowskich?

Czy nie należałoby poważnie pomyśleć nad odtworzeniem warunków, w których nasze piśmiennictwo—niezależnie od „ducha czasu", a właściwie przeciw niemu—mogłoby od nowa odżyć i zakwitnąć?

Brzydki wyraz „odbudowa" jest na ustach wszystkich, gdy chodzi o dobra materjalne narodu. Lecz kiedy stanie się kategorycznym imperatywem woli zbiorowej, gdy chodzi o dobra duchowe?...

B. N.

A. BOURDELLE O A. MICKIEWICZU*).

I.

Pomnik Mickiewiczowi! Duch mój widział w nim Polskę wraz z wielką Grecją naszą macierzą i z Armenją opływającą krwią.. Mickiewicz, będąc Polską, wszystkie ludy uciemiężone dźwignął wobec całego świata.

I przemówił we mnie głos mego plemienia. I stał się we mnie wielki głuchy płomień. Albowiem nie zdołałem nigdy pogodzić się z zobojętnieniem tylu artystów rzekomych, którym wydaje się, iż bliscy są Sztuki, aczkolwiek serca nie mają. *Otóż Sztuka zamknięta jest dla nieczułych.*

Na myśl o pomniku Mickiewicza, o pomniku podziwu i braterstwa genjuszu Francji dla genjuszu Polski, wszyscy uciemiężeni, powstając, przelali we mnie chorał ich hymnu: na ich wezwanie, ich zapałem ta kolumna skrzydlata ujęła liczby przestrzeni. Walor Architektury opiera się jako na materjale najwyższym na cemencie wieczystym ducha sprawiedliwości: piękno wynikiem jest ich wzajemnego układu.

Wzruszenie i rachunek muszą się uzgodnić. Niewolno dopuścić, aby miara, ład i smak wysuszyły rosę instynktu. Takie było to właśnie moje dążenie.

II.

Trzy tematy narzucały się w pomniku dla Mickiewicza: poeta, jego główne dzieła, Naród Polski.

Miałem przedstawić trzy prawa, trzy siły:
Wieszcza-jasnowidza, żywy sztandar idei.
Genjusz odtworzony, wcielony w postacie.
Naród, będący Rycerzem prawa.

W każdym temacie szukają przedewszystkiem jego pierwiastku zasadniczego. Szukają całości moralnej, której niczem niepodobna zastąpić: szukają umiaru plastycznego, który rządzi światami. O ile nie odczuwam w sobie porywu do tych wartości absolutnych, wolę wtedy się wyrzec.

Pomnik Mickiewicza stał się we mnie jako kwiat jutrzenki.

O Polsko, skrępowana, uciśniona, Polsko, której wydzierają Twą glebę, powstaniesz i odetchniesz niebem. Ponieważ zabrano ci kwiaty, oddaję cię gwiazdom.

Pod kapitelem powietrznym wzniosła epopea wieczysta i zawsze nowa toczyć będzie walkę z niewolą—porywem poety, twego wspaniałego poety, który w dłoni swej trzyma kostur Pielgrzyma. Będzie ona podobna zbożu dojrzałemu hen tam na szczycie kamiennego cokółu. Poeta, kłos ducha, zawierający w sobie chleb nadziei.

I oto Epopea Obrony się narodziła.

Wielki Pielgrzym unosił nad nią płomienną wiarę swej dłoni wymownej.

Skład roboczy w ślad szedł za porywem. Głaz skrzydeł rozwartych zwiera boki wysokiej kolumny.

Umiar jedynie wszystkiemu pozwala oddychać.

Podstawa wyrasta z korzeni skalnych, wszczepiając dzieje Polski w głąb naszej gleby francuskiej.

Podstawa ta sześć ma płaszczyzn i wyrytą na każdej wypukłorzeźbę.

*) P. A. Bourdelle jest słynnym rzeźbiarzem i autorem wspaniałego projektu pomnika Mickiewicza. Ustępy powyższe wyjmujemy z jego medytacji, ogłoszonej w numerze mickiewiczowskim La Vie, pisma redagowanego przez pp. M. i A. Leblond'ów, wybitnych powieściopisarzy i gorących naszych przyjaciół. Na obfitą i ciekawą treść numeru składają się: poemat Ph. Lebesque'a, dwie ankiety: francuska pp. A. Dayot, A. Fontaine, G. Geffroy, G. Janneau, A. Lebey, G. Reval, L. Riotor, J. H. Rosny ainé, C. Sangnier, L. Vauxcelles, M. de Valeffes; Polaków: (V. Bugiel, I. Chrzanowski, W. Jabłonowski, W. Mickiewicz, T. Sinko, S. Windakiewicz); opinje francuskich poetów o Mickiewiczu, większe artykuły pp. M. A. Leblondów, S. Szpotańskiego, Z. L. Zaleskiego, E. Woronieckiego etc. W tłumaczeniu starałem się oddać jak najwierniej bardzo odrębny i oryginalny styl Bourdelle'a. E. W.

FRAGMENT POMNIKA ADAMA MICKIEWICZA W PARYŻU E. A. BOURDELLE

Pięć z tych wypukłorzeźb — to dzieła poety, które uczynią podniosłą otwartą księgę, a każdy przechodzień ze wszelkiego ludu będzie z niej czerpał, dzięki wymowie kształtu, miłość wolnego stworzenia i każdy ją zdoła odczytać.

Atoli jedna z tych wypukłorzeźb złączyła trzy Polski. I to w roku 1909.

Trzy są tam postaci jak gdyby splecione, zbudowane memi dłońmi drżącemi w przebłysku przyszłości: trzy Polski zjednoczone, które wszystkie trzy myśl swą wytężają w spojrzeniu do Mickiewicza.

Rachmistrz bryły odnalazł tedy liczby czystsze, skoro objawić mógł trzy promienie nadziei. Liczba przepowiedziała tu przyszłość.

To, co było modlitwą mą i koncepcją tej wypukłorzeźby, dziś jest pewnikiem, którego szukałem w porządku mych obliczeń.

Pragnąłem dać wyraz sprawiedliwości kształtem i odczuwałem ją w głębi duszy—los zatem przemawia przez ten pomnik, gdyż Polska zmartwychwstała.

W małej tej wypukłorzeźbie los przekroczył własne swe prawa, wszystko żyje w tych postaciach trzech Polsk, wstrząśniętych dreszczem porywu ku widnokręgom przyszłości.

III.

. . . . . .

MICKIEWICZU!

Ty.

Poeto, ze szczytu kolumny, Ty każesz przemawiać architekturze. Wszystkiemi swemi linjami ona powiada:

„Oto co rzekł Poeta:

„Polska odrodzona, zgromadziwszy swe ludy, oznajmi rzeźbiarzowi: „nie wyciągaj mnie poziomo, dźwignij mnie wzwyż!

Jestem hasłem, nowym kłosem, który urasta; wesprzyj się na ziemi a potem zawładnij niebem. Wznieś twój głaz, jako czoło człowieka.

Tam w powietrzu Paryża, obok jego niezwyciężonej Pallady; tak właśnie.

Młody student francuski mnie pragnie oglądać i student, co przybył z obcych krajów. Postaw mnie obok twych szkół.

Byłem wygnańcem bez Francji, Paryż przywrócił mi głos."

Mickiewiczu, chciałem usłyszeć Cię, i—być może—Cię usłyszałem.

Spojrz na te młode źrenice, które kierują się ku twej sferze i spójrz na wszystkich twych uczniów, z których pewni zostaną mędrcami jutra.

Spójrz na wszystkie te czyste myśli ulatujące dumnie ku Tobie, ptaki wirujące myśli ludzkiej, które wieńczą cię skrzydlatym swym pędem.

Antoni Bourdelle.

Paryż. *(tłum. E. Woroniecki).*

ROZMOWY Z ALMAŻENNĄ. 2)

Wedle savoir-vivre'u spirytystycznego, który obowiązywał już w roku 1854, wszelkie duchy dają odpowiedź w tym samym języku, w którym zadano pytanie. Olizarowie rozmawiają z Almażenną w języku francuskim, tak też im odpowiada, wyrażając się, jak przystało wieszczce zaświatów, w sposób tajemny, zawiły i niełatwo zrozumiały i okraszając każdą wypowiedź przydatkiem niedocieczonych dla śmiertelnego człowieka nonsensów. W chwilach wielkiego podniecenia lubi mówić po polsku, wtedy wyraża się krótko, monosylabami, niezbyt poprawnie. Na zapytania niemieckie odpowiada półgębkiem, niechętnie, z wyraźną antypatją.

Po przeczytaniu pamiętnika Olizarów Almażenna, dziecko ołówka p. Lili i Wiktorji, stała się mi tak oczywistą, uchwytną i żywą, jak Eloe lub Peri, jak gdyby była bohaterką Alfreda de Vigny lub Tomasza Moora.

I... uwierzyłem w jej istnienie!

* * *

„Liść zielony, który opadł z drzewa", „lira o strunach płaczących" i „myśl" — oto nazwy, któremi Almażenna ochrzciła swoich ziemskich przyjaciół. „Lirą" jest stary hrabia, „myślą" — p. Wiktorja, „liściem" — p. Lili Chodkiewiczowa. Pani Lili to najbliższa i najdroższa wybranka Almy. Ona jest właściwem medjum piszącem. Do niej przedewszystkiem zwraca się tęsknota zjawy. Żyje z nią w najczulszej, w fizycznej nieomal zażyłości. Gdy panią Lili boli głowa, Almażenna mówi ciężko i sennie. Lili choruje, zjawa cierpi wraz z nią. Lili jest w dobrym humorze — Alma wpada w zapał i w natchnieniu sypie perłami poezji. Stary hrabia zadaje pytania. Głośno lub tylko w myśli. Pani Lili o tem nie wie. Mimo to odpowiedź ołówka następuje natychmiast. Lecz i nad „myślą" czuwa Alma.

— Powiedz, droga, kto ci użyczył władzy czuwania nad „liściem" i „myślą"? — pytają z drżeniem obie panie.

— Bóg — pisze ołówek niemniej uroczyście — dał wam dusze wybrane. Cierpienie złączyło je. Z waszych cierpień i modlitw powstałam ja!

Powiedzenie jest piękne, to prawda, ale niewystarczające. Niewiele mówi. Obie panie i hrabia radziby najrychlej dowiedzieć się czegoś o swej tajemnej opiekunce z zaświatów, której mowa płynie zrazu jasną falą słów, by za chwilę, niestety, zmącić się w błahym, wykrętnym enigmacie.

Teraz pyta z drżeniem pani Lili:

— Czy przebywasz może na księżycu?

Almażenna:

— Czuwam nad Twą teraźniejszością, byłam ukryta w przeszłości i osłonię skrzydłami przyszłość waszą.

Hr. Olizar:

— A może jesteś tylko fluidem magnetycznym tych, którzy piszą?

Almażenna:

— Chcesz wiedzieć więcej niż Cagliostro! Ja jestem refleksem, albo tem, czem sam zechcesz...

— Co ukrywasz za temi frazesami: ignorancję czy złą wolę?

— Odpowiadam wprost na pytanie, które mi zadajesz. Jestem siłą... która porusza stal... podnosi żelazo... jestem tem, co ludziom otwiera oczy na światło...

Dokładniejsze rewelacje przyniósł seans następny.

— Wczoraj — tak wyznała zjawa na zapytanie p. Lili—byłam tak blisko ciebie, że mogłaś mnie dojrzeć w szklance wody!...

Twarzyczkę p. Lili oblały szkarłaty. Zawołała:

— W szklance wody?! Pod jakąś postacią?

— Jako mały obłoczek w kształcie litery A.

— Jakżeby można zauważyć taki obłoczek?

— Gdy pijesz wodę, patrzysz przedtem czy czysta. A gdyby w środku jej przezroczy widniała malutka chmurka, tobyś ją dojrzała, prawda?

— Czy cię ujrzymy kiedy, droga nasza, czy cię przeczujemy, powiedz!

Almażenna, drżąc:

— Chcę właśnie przypomnieć ci sen, a raczej wizję. Pamiętasz gwiazdkę? Listku! mój biedny listku? A więc tak, zobaczysz i mnie... tak samo...

* * *

Dziwna sobie jest ta Almażenka, obłoczek w szklance wody, dziecko samopiszącego ołówka! Jej rodowód duchowy możnaby łatwo wytłumaczyć. Od rozmaitych drżących w zaświatach anielic roiło się przecież w literaturze romantycznej, którą te romantyczne panie znały chyba doskonale. Gdyby hr. Olizar miał fantazję Słowackiego, a panie nieco oczytania w filozofji — kreacja ta oczarowałaby nas więcej... to pewne. Pomimo to jednak, i nawet przy najbardziej sceptycznem odnoszeniu się do rzeczy podobnych, zaciekawia czytelnika osobowość tajemniczej złudy. I pociąga nas ta dotykalna, upersonifikowana niesamowitość. A cóż dopiero ich?

— Czy możesz, droga Almo, ujawnić się nam inaczej, aniżeli zapomocą ołówka? — wołają rozgorączkowani.

— Nie! W postaci materjalnej nigdy! Nie mogę być ani dźwiękiem, ani materją...

I dalej nic nie wiedzą, ślęcząc w skupieniu nad stolikiem i arkuszem papieru, na którym ołówek coraz więcej pisze „wbrew woli trzymających go osób". Nagle ogarnia ich lęk: A może to jest pospolite zjawisko ducha w stoliku, jednego z tysiąca tych duchów, które od roku już goszczą we wszystkich salonach Europy? To byłoby okropne! Hr. Olizar pyta:

— Powiedz nam, Almo, jaka łączność istnieje pomiędzy tobą a duchami pukającemi?

Almażenna odrzuca tę myśl z oburzeniem:

— A czy jest podobieństwo między rozmową w języku świata i symfonją serc w atmosferze, które porozumiewają się bez słów? Czy można porównywać jasnowidzenie z szarlatanerją, prawdę z fałszem? Jeżeli jednak stolik mówi tak samo jak ja, to widocznie jest również posłem Tego, który wszystko łączy!...

Olizarowie czują się szczęśliwi. Duch, z którym zawarli przyjaźń, nie zdaje się należeć do pospolitej kategorji.

Jedno tylko ma wspólne z tamtemi: oto sposób wyrażania się i styl, ten mglisty, odurzający i wykrętny żargon okulty, wspólny wszystkim zjawom od czasów Paracelsusa — styl. Rozmowa z Almażenną nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Spowita w mgłę bezsensów, toczy się mętnie i ciemno. Szumi symfonja zaczadzonych słów, warczy jednostajnym rytmem kołowrót męczących pustodźwięków. Każde zdanie jaśniejsze trzeba wpierw żmudnie wyłuskiwać z twardych łupin bałamutnego frazesu.

Raz po raz powtarzają biedni śmiertelnicy swe pytania i raz po raz odbierają bałamutne, coraz bałamutniejsze odpowiedzi. Lecz „liść zielony" zapisuje pilnie wszystko, a „lira" z „myślą" mozolą się potem długo, aby ułożyć w zdanie gromadę liter bez sensu. Przytem dodać trzeba, że Almażenka jest dość rozmowną, nawet gadatliwą i powtarza się!

Nareszcie po roku mają dość tych ślęczeń; „myśl" odważyła się zainterpelować ukochaną wieszczkę:

— Jeśli mnie kochasz, Almo, i pragniesz mnie oświecać, to powiedz proszę, dlaczego tak często wyrażasz się niezrozumiale?!

Odpowiedź:

— A czy wiesz, w czem tkwi czar niezmierzonego morza? I czemu napawa nas szczęściem ciepły promień słońca? Moje tchnienie jest aureolą, do której zwątpienie nie ma wstępu. Nie żądaj za wiele. Bo czy próbowałaś kiedy ucieleśnić tęczę? Ja jestem tchnieniem. Niebieskiem tchnieniem dla twych myśli, ciepłem dla smutku, mocnem w chwili przygnębienia, pocieszającem w łzach, czystem w modlitwie.

(Dcn) *Stanisław Wasylewski.*

POETA I PEGAZ E. A. BOURDELLE

EMIL ANTONI BOURDELLE.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy francuskich. Wprowadził do rzeźby nowoczesnej pierwiastek mało dotąd obserwowany, wprowadził *reminiscencje sztuki wschodu.*

PORTRET RZEŹBIARZA E. A. BOURDELLE'A
Według rzeźby Janiny Broniewskiej.

Wpływy assyryjskie, staro perskie, indyjskie widać na każdym kroku.

Może to jest pożyteczne? Sztuka lat ostatnich tak zubożała, tak się wyczerpała, że każda adoptacja może być powitana z wdzięcznością tem więcej, że ten, który pierwszy dokonał tego na wielką skalę—jest artystą z Bożej łaski, że jest znakomitym twórcą—słowem artystą wybitnym.

Francja jest *krajem* sztuki, ale rzeźbą *dominowała* zawsze i do dziś dominuje. Katedry francuskie, te rezerwoary—muzea—gdzie wieki zgromadziły tak olbrzymie skarby skulptury, jakich żadne inne społeczeństwo nie posiada, nie wyłączając nawet przebogatych Włoch.

Tam drzemie duch francuskiej sztuki, francuskiej przeszłości, tam z tego spichrza czerpie się do dziś ziarno, co wschodzić musi, ile razy kraj czuje się wyczerpanym. A wyczerpaną po wojnie czuje się sztuka francuska, tak samo, jak wszystkie inne kraje—jak świat cały.

Rodin zaglądał tam najchętniej, całe okresy działalności wielkiego rzeźbiarza należą do romańszczyzny katedr prowincjonalnych — rozsypanych po ziemiach francuskich. Wzorem Rodina poszedł Bourdelle—początkowo przejął się prymitywami XIII i XIV wieku, następnie, emancypując się indywidualnie, począł tworzyć rzeczy, zbliżone do plastyk antycznego wschodu.

Indo-Chiny dały mu wiele do myślenia; bronzy oraz naczynia dewocyjne, wszystko z niepomierną prostotą i finezją stylu tworzone, zachwyciły i oczarowały duszę artysty.

Jest to oczywiście odczuwanie genjalne —styl aleksandryjski—sztuka ze sztuki powstała.

Nawet wielkie epoki przeszłości posiadają tego przykłady; podobne wpływy były w Grecji—były tem więcej w Rzymie.

Twórczość Szekspirowska jest poniekąd z tej samej dziedziny. Wszystko zależne jest od tego, co dane indywiduum *wnosi nowego* do starych form.

Otóż Bourdellowi społeczeństwo nasze zawdzięcza parę rzeźb, ściśle związanych z naszym krajem. Znakomity plastyk parokrotnie rzeźbił monument Mickiewicza.

To wystarcza, abyśmy mu byli wdzięczni. W Paryżu, w sercu Francji, rzeźba pomnika takiego twórcy — to najlepszy symbol przyjaźni—to sojusz duchowy najmocniejszy.

Mickiewicz został tu pojęty jako pielgrzym; zdaje się, że pobyt w Rzymie miał na myśli artystą, formując tak postać poety. Apostolski patos oraz silna wiara w posłannictwo udziela się widzowi od razu.

Rzeźba żyje, ma swój własny wyraz i wysokie piętno artyzmu.

Władysław Wankie.

PORTRET E. A. BOURDELLE

Madrasa Szir-Dar wybudowana przez emira Jalangtusz-Bahadura w r. 1618.

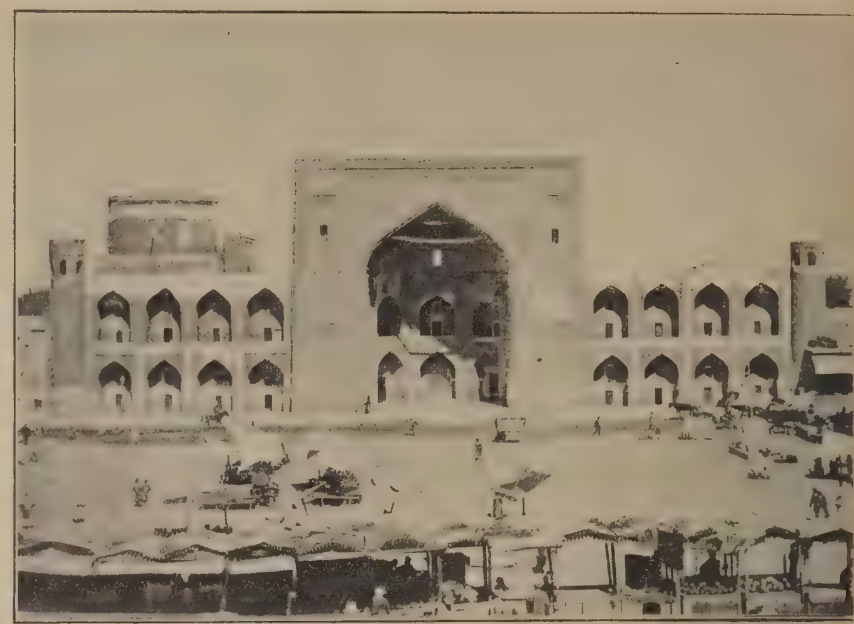

Madrasa Tilla-Kari, wybudowana w r. 1641.

ZABYTKI STOLICY TIMURA NA TLE DZIEJÓW. 2)

Nie umiał wprawdzie czytać, lecz godzinami słuchał czytania dzieł historycznych, i z tej dziedziny z czasem posiadł tyle wiadomości, że wprowadził w zdumienie swoją wiedzą historyczną największego historyka muzułmańskiego Ibn-Chałduna. A najlepszym może dowodem, że kochał sztukę—nie tylko meczety i mauzolea, wystawione przez niego, Bibi-Chanum, Szachi-Zinda i Gur-Emir, lecz i ten fakt, że podczas budowy tych okazałych pomników jego wielkości i sławy przesiadywał całemi tygodniami na miejscu budowy, nawet dawał wskazówki i kierował budową.

Jeszcze jeden fakt znamienny. Ten zwierz, który lubił patrzeć na straszne męki, zadawane wrogom (ten rys zwyrodnienia z wyjątkiem Szachruda mają wszyscy jego synowie, na czele z Miranszachem), był w rzeczach religji zupełnie obojętnym, nie spełniał przepisów Koranu, nie odmawiał sobie w przyjemnościach, zakazanych przez religję, traktował duchowieństwo tylko jako siłę polityczną, która może mu dopomóc w jego przedsięwzięciach.

Nic więc dziwnego, że późniejsi teologowie muzułmańscy odmawiają Timurowi miana prawowitego mahometanina. Więc czem, jak nie miłością sztuki i chęci pozostawienia godnych siebie pomników, mamy wytłumaczyć postawienie tych pięknych meczetów i mauzoleów?

O upiększeniu swej stolicy Timur zawsze pamięta. Z dalekich Indyj, Persji, Bagdadu lub Damaszku przywozi wszystko, co może uczynić temu zadość, sprowadza z całego świata najsłynniejszych architektów, malarzy, uczonych.

Samarkanda za czasów jego ma 150 tysięcy mieszkańców, chlubi się tem, że główne ulice mają dachy oszklone, że w murach swoich ma tak piękne meczety i mauzolea, jakich nie mają Bagdad, ani Damaszek.

Z tej świetnej karty dziejów Samarkandy pozostały liczne zabytki—meczety, mauzolea, madrasa (seminarja duchowne), mogiły świętych. We wszystkich tych budowlach znajdziemy główne cechy stylu muzułmańskiego, a więc: liczne arki (styl muzułmański zna arki strzeliste i w formie podkowy, w Turkiestanie spotykamy przeważnie pierwsze), nadzwyczaj bogatą ornamentację, piękne arabeski i nadzwyczajne bogactwo kolorów w mozaice kaflowej.

Naogół widoczny jest wpływ architektury arabskiej i osmańskiej. Budowle niektóre, jak i w innych krajach islamu, mają wielkie kopuły, stojące na kwadratowej lub wielokątnej podstawie. Jednak mamy też pewne cechy lokalne, do których zaliczyć musimy wysokie portale, wysmukłe minarety innego kształtu, niż u Arabów lub Turków, wreszcie inne motywy w ornamentacji, zapożyczone ze świata roślinnego a nawet zwierzęcego.

Do najwspanialszych budowli, postawionych przez samego Timura, zaliczyć musimy mauzoleum Gur-Emir, meczet katedralny Bibi-Chanum i cały kompleks mauzoleów i meczetów znanych pod nazwą Szachi-Zinda.

W mauzoleum Gur-Emir (1404 r.) spoczywają zwłoki samego Timura, synów jego Szachruda, wnuka Uług-beka i kilku innych osób.

Nad mogiłą samego Timura stoi sarkofag z ciemno-zielonego nefrytu, nad innemi mogiłami widzimy skromne sarkofagi marmurowe, lub nawet z cegły. W podziemiach pod temi sarkofagami znajdują się płyty z marmuru przeważnie i dopiero pod tym pokojem w osobnych grobowcach spoczywają zwłoki. Wejścia do tych grobowców oddawna są zamurowane. Na sarkofagu wielkiego emira wyrżnięty jest następujący napis: „Grobowiec ten wielkiego sułtana, miłościwego chana emira Timura-Kuragana, syna emira Taragaja, syna emira Bergula, syna emira Ajlangira, syna emira Andżyla, syna Kara-Czarnyjasza, syna emira Czygunczynczyna, syna emira Irdamczy—Barlasa, syna emira Kaczułaja, syna Tumanaj-chana. To dziewiąte pokolenie. Dżyngiz-chan pochodzi z tego samego rodu, z którego pochodzą dziadowie dostojnego pochwał sułtana, pochowanego w tym świętym i pięknym grobowcu.

Mauzoleum Emira-Zada przy meczecie Szach-Zinda, z r. 1396.

Chakan Dżyngiz-chan, syn emira Jacykaj-Bagadura, syna emira Barnan-Bagadura, syna Kubuł-chana, syna wspomnianego Tumanaj-chana, syna emira Bajsungura, syna Kajduchana, syna emira Tutumtyna, syna emira Buka, syna emira Buzandżara. Kto chce dowiedzieć się więcej, niech temu wiadomem będzie: matkę ostatniego nazywano Alankuwą, która odznaczała się uczciwością i nieskazitelną moralnością. Zaszła ona w ciążę od promienia światła, który wszedł do niej przez otwór pokoju, przyjął postać ludzką i oświadczył, że jest potomkiem władcy wiernych—Alego, syna Abu-Taleba. Świadectwo to, dane przez nią, uznane za prawdę niezaprzeczoną. Dostojni chwały potomkowie jej będą panować nad światem przez wieki. Zmarł w nocy 14 Szagbana (lutego) 807 roku (1405)".

Piękny meczet katedralny Bibi-Chanum, w który rozkazał strzelać z armat przy wzięciu Samarkandy gen. Abramow, by zmusić do poddania się mieszkańców, zbudował Timur w 1399 r. po powrocie z Indyj, by uczcić pamięć żony swej Saraj-mulk-chanum, którą lud nazywał Michr-ban (dobro czyni).

Historyk Szaraf-ed-din o budowie tego meczetu opowiada: „W niedzielę 4 Ramazanu 801 r. utalentowani architekci i zdolni majstrowie w szczęśliwą godzinę i podczas pomyślnego położenia gwiazd założyli fundamenty budowy." Mówi dalej, że samych murarzy zajętych było 500, że wszystkie słonie w liczbie 95, które doszły z Indyj, zostały użyte do noszenia ciężarów.

„Doglądać robót rozkazał Timur królewiczom i emirom. Sam Timur osobiście doglądał budowy a nawet większą część czasu spędzał w pobliżu meczetu."

O samym meczecie z zachwytem opowiada: „Kopuła byłaby jedyną, gdyby nie było drugiej—sklepienia niebieskiego, jedyną byłaby arka, gdyby nie droga mleczna."

Niestety, piękny ten meczet dzięki Abramowowi i trzęsieniom ziemi przedstawia obecnie malownicze tylko ruiny.

Wnuk Timura, sławny astronom Mirza-Uługbek, zostawił po sobie madrasa, noszącą jego imię. Nieubłagany czas zniszczył 4 wielkie kopuły i 4 minarety, ale i po dziś dzień madrasa jest przybytkiem nauki muzułmańskiej, polegającej jedynie na komentowaniu koranu. Najsłynniejszy z muddarysów (profesorów) dzisiejszego Turkiestanu, Kazy-Issa-chan Szyrynchodżajew mówił mi, że zaczyna (miał wówczas 80 lat) studjować Platona. W madrasa tej wykładał podobno sam Uług-bek

Najsłynniejszą świątynią Samarkandy, ściągającą w piątki tłumy wiernych, jest meczet Szachi-Zinda (żywy król). Właściwie jest to kompleks całego szeregu mauzoleów na mogiłach emirów, żon Timura, krewnych jego i nad mogiłą samego świętego-Kusama-ibn-Abasa. Wchodzi się do tego meczetu przez piękną bramę, dalej prowadzą schody (40 stopni) do kurytarza, po lewej stronie wznoszą się mauzolea na mogiłach Emira-Zada (1396 r.), żony Timura Turkan-Aka (1371), trzeci i czwarty grobowce niewiadomo nad czyjemi mogiłami stoją, piąty jest grobowcem żony Timura Tuman-Aka (1361 r.), za arką widzimy meczet Nurji i wreszcie dochodzimy do końca kurytarza, który kończy się mauzoleum świętego Achmada. Po prawej stronie kurytarza idą kolejno grobowce emira Hussajna, siostry Timura—Szerim-bika-aka.

Wszystkie te mauzolea zachowały piękną mozaikę kaflową i cały szereg napisów w językach perskim i arabskim (charakter kufi i zulfi).

Oto dwa z nich: nad portalem grobowca emira Hussejna czytamy: „Patrz na pałac mój, Saturn nie dorówna mu; jednak mus każe wypić truciznę świata. W tej ciemnej mogile bez przyjaciół i ludzi wierzę jedynie w łaskę Twoją, o Boże!" Nad drzwiami mauzoleum Turkan-aka widnieje napis następującej treści: „Sklepienie to, pełne stallaktytów, i kopuła ta, ozdobiona złotem, są pamiątką mistrzostwa Zajnutdyna. Cały ornament i cała umiejętność, którą oglądasz na budowli tej — wszystko to zawdzięczać należy łasce Twórcy."

Przez drzwi, cudownie rzeźbione, wchodzimy wreszcie do ciemnego kurytarza, prowadzącego do meczetu i mogiły samego „żywego króla"—Kusama-ibn-Abasa.

Przez meczet, w którym za kratami leży olbrzymi koran, przepisany przed 200 laty, wchodzimy do niewielkiego pokoju, z którego przez kraty widać wnętrze grobowca, dostęp do niego ma tylko jeden mułła, mający prawo wstępować do grobowca tylko raz na dziesięć lat.

Jak wiemy już z poprzedniego opowiadania, Kusam-ibn-Abas był apostołem islamu w Turkiestanie, z orężem w ręku nawracającym wyznawców Zoroastra, Buddy i religji „tarso" (chrześcijan).

O szczegółach śmierci Kusama historycy opowiadają różnie, zgadzając się tylko, że zginął on w bitwie z chrześcijanami w r. 56 Nedżry.

Historyk Chodża-Abdu-Rachman opowiada, że chrześcijanie zaskoczyli Kusama i wiernych na modlitwie, nikt z nich nie przerwał modlitwy i dlatego wszyscy zostali wymordowani.

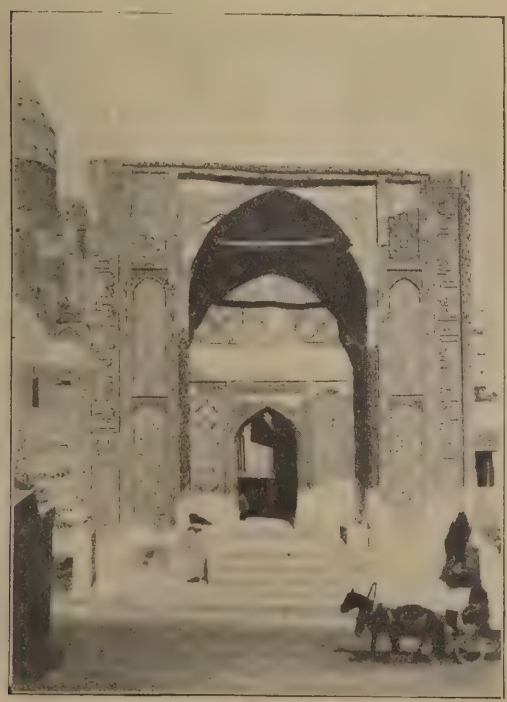

Meczet Szach-Zinda z r. 1434.

Inny historyk twierdzi, że minbar (katedra), na której stał Kusam, pękła na dwie części, by święty mógł zejść z oczu niewiernym. Trzeci wreszcie chce, by Kusam dopadł do studni Szaabon, schował się w niej, gdzie żyje do dnia dzisiejszego.

Z późniejszej epoki, epoki panowania Mongołów zasługują na wyróżnienie madrasa i grobowiec Muchammada Szejbani-chana i przedewszystkiem główny rynek miasta Registan z pięknemi madrasa Szyr-darem i Tilla-kari.

Pierwsza stanęła w r. 1618 za panowania Jatangtun-Bagadura naprzeciwko madrasa Uługbeka.

Piękna ornamentacja, wysmukłe minarety, pochylone (jak wieża Pizańska) w różne strony, kolosalne rozmiary—wszystko to złożyło się na to, by madrasa została jedną z najpiękniejszych ozdób Samarkandy.

Madrasa Tilla-kari, postawiona przez tego samego emira w r. 1641, charakterystyczna jest

Portal mauzoleum św. Chodżi-Achmada.

ze względu na swe liczne chudźry—pokoje dla studentów—internów i muddarysów.

Oprócz tych wspaniałych zabytków architektury muzułmańskiej w samej Samarkandzie i jej okolicy rozsiane są liczne grobowce i meczety, niedarmo muzułmanowie nazywają Samarkandę „miastem 200 świętych".

Niestety, piękne te zabytki szczególnie w ostatnich czasach, za panowania rosyjskiego, nie tylko nie restaurowane, ale i nie podtrzymywane w tym stanie, w jakim zastali je Rosjanie, w oczach niemal giną. Za mojej pamięci runął minaret Gur-Emiru i reszta kopuły Bibi Chanum. Liczni podróżnicy, korzystając z niesumienności mułłów, rabują co się da, najwięcej amatorów znajdują ornamenty i mozajka kaflowa. Całe kafle zostały wyjęte, a miejsca po nich zasmarowano wapnem.

Wandalizm najgorszego gatunku, bo popełniany pod płaszczykiem nauki (wiele pamiątek znajduje się w muzeach rosyjskich, więcej w British Muzeum i w Berlinie), święcił i w Samarkandzie swój triumf.

Za bolszewików kradzieże ustały, bo podróżujących brak, lecz czas nieubłagany robi swoje.

Lewy minaret madrasy Uług-beka runie lada dzień. Czeka ten los i inne zabytki, o ile nie dostanie Turkiestan kulturalniejszych władców.

Antonin Puzyński.

MALIGNA.

Pan Piotr Piotrowski, pomocnik referenta wydziału połączeń bezpośrednich w Ministerstwie Ogólnych celów (III piętro, pokój № 28) — człowiek skromny, cichy i pracowity—dożył do lat pięćdziesięciu, nie splamiwszy się grą na giełdzie.

Pewnego dnia jednak, odebrawszy pensję miesięczną w kwocie marek polskich: trzech miljonów—uprzytomnił sobie, że za sumę tę w żaden sposób nie tylko miesiąca, ale nawet tygodnia nie przeżyje...

Miał dwoje dzieci w klasach, akurat zaczynał się rok szkolny, trzeba było płacić wpisy, kupować jakie takie ubrania i książki... Zwarjować!

Przypomniał sobie, co słyszał o akcjach. Przypomniał sobie, że spekulują w Warszawie wszyscy: urzędnicy, lekarze, adwokaci, aktorzy, dziennikarze, studenci, szewcy, krawcy, przodownicy policji, członkowie instytucyj obywatelskich, wesołe damy—kto żyje i zdrów.

Zrozumiał, że nie ma innego wyjścia. Sprzedał w sekrecie przed żoną ostatni klejnot familijny: tuzin łyżek platerowanych—i za osiągniętą sumę kupił sobie 10 sztuk „Parowozów".

Poczem dostał ataku maligny.

. . . . . .

Północ. Otwierają się drzwi. Wkraczają Kijewski i Scholtze. Pierwszy gruby, drugi cienki... Nie, naodwrót: pierwszy cienki, drugi gruby... Raz, dwa! Raz, dwa! Trzy i trzy—to ośmnaście.,.

— Uff! Wpada Ortwein. Stary, łysy. Kuleje Rohn—(koty są zielone...)—Rudzki z hałasem wjeżdża oklep na kiczonie... Z za pleca wyłażą Starachowice... Uff! Gorąco...

— Kto odkrył Amerykę? Napoleon Bonaparte. Linją zero jeździ się od Zbawiciela, naokoło. Kolumb był wielkim człowiekiem...

Niech żyje Trzebinia! Brawo, Ursus!

— Buch! Pocisk... Upsz-pha, Upsz-pha.... pcha się Parowóz.

Zieleniewski kwitnie. Zawiercie wierci. Do śmierci. Ćwierć—i dwie ćwierci, to trzy ćwierci. Wezuwjusz. Furlana. Tango...

Żyrardów, 65,000,000, Borkowski, 185,000.

Jabłkowscy mają jumpry, stary Jumper miał napewno szynk w Dowrze... Spiess.

Puls... Wildt... Kukuryku!

Chodorów chodzi. Czersk, to ruina. Częstocin, Krzepice, Częstochowa, chowa, Sala malinowa.—Gosławice też? Nieprawda, Michałów. A dlaczego nie Warszawskie T-wo fabryk cukru?—Klops.

Łazy... Wodołazy... Przełazy.

Skafander i Skamander — to różne rzeczy. — Drzewny Cegielski, Lilpop i Modrzejów... Dam ja ci takiego Norblina, że popamiętasz Ostrowieckie czasy!

Kto dzwonił? Nikt? Tem lepiej, bo nie przyjmuję... Kubeł wody z lodem. Kruszon robi się z wina. Po co Transport i Żegluga? Można ręcznie...

Ćmielów? Idź do Haberbuscha!

O, Spirytus! Flat, ubi vult.

Mazagran...

Polska nafta się pali. Po co? Żeby było jasno.

— Nobel? Bardzo mi przyjemnie... Ja też jestem szlachcicem...

O, Lenartowiczu, lirniku,—nie, to Syrokomla.

Pan Pustelnik jeździ konno?

Ja nie. Siła, światło. Niekoniecznie. Przesądy. Za judaszowe srebrniki, eksploatacja soli potasowych. A gdzie sól Attycka? Wyszła? Od czego Kabel? Połączyć, przynieść klucze, Polskie Tow. Elektryczne pozwala. Telefonu niema, bo gospodarz zajął. Zachodnie niewarte zachodu. Rolniczy? Byczy. Skóry i Garbniki? A jakże.

Sam kiedyś byłem Farysem...

Tepege? Chleba chcę, a piernika nie porzucę, bo się dobrze uczę. Fitzner i Gamper w jednym stali domu... Fitzner na górze a Gamper na dole...

. . . . . .

Nazajutrz odwieziono biedaka do szpitala Jana Bożego.

Zdzisław Kleszczyński.

FANTASTYCZNA FAUNA ŚREDNIOWIECZA.

Zupełnie niespodziewanie w pierwszej połowie XII wieku zjawiają się przed murami skromnych świątyń dziwni wierni, gromadki gryfów, chimer, centaurów, jednorożców.

Stoją pokorni i czekają.

Drzwi zostają zlekka uchylone, gromadka wślizguje się, łasi w okrąg baz, dosięga kapiteli, wsuwa się nawet w archiwolty portali, a potem znieruchamia i kamienieje na chwałę Boga.

Mija okres czasu, nadchodzi gotyk. Przed bramy napoły zbudowanych strzelistych świątyń, zjawiają się dziwni goście po raz wtóry. Lecz teraz najście ma charakter inny. Trzepocąc skrzydłami, łupiąc kopytem, zionąc ogniem z paszcz, tłoczy się i dobija przebogata w swoich warjantach, pyszna doskonałością techniki nieprzejrzana rzesza form zwierzęcych. Biegną za niemi zachwycone oczy nie tylko wiernych, muratorów i conwersów, ale nawet świątobliwych opatów.

I pocóż to — pyta św. Bernard z Clervaux opata Sugera twórcy kościoła w Saint Denis — przed oczy braci, zagłębionych w księgach, zjawiają się te straszliwe potwory. Co mają oznaczać te węże plugawe, rozżarte lwy, potworne centaury? Czegoż to chcą twory o napoły ludzkiej, napoły zwierzęcej postaci?

Można widzieć kilka ciał pod jedną głową, a także wiele głów na jednem ciele.

Tu dostrzega się czworonoga o głowie węża, tam ryby o głowie czworonoga...

Lecz wielkie oburzenie świętego mija bez wrażenia. Ostatnie zapory pękają. Niczem niepo-

Fig. 1. Zwornik sali gotyckiej (kamienica hetmańska) przedstawiający lwicę karmiącą młode.

wstrzymana gromada obsiada nie tylko portale i płaszczyzny wnętrza, lecz pnie się po koronkowych maswerkach fasady, dociera aż na szczytowe galerje świątyń. Wszędzie ich pełno. Nawet na ornatach księży zabłysną złociste łuski gryfa i zielone oczy feniksa.

Zdobywszy kościoły, zbiegają potwory w ulice miast.

Ten fantastyczny świat zwierzęcy, tak mało na pozór łączący się z kultem religijnym, budził zawsze ciekawość badaczy.

Pytam się skąd i jaką drogą przyszedł, kiedy pierwszy raz się ukazał, czy i co miał oznaczać. Wszechstronnej odpowiedzi miała udzielić symbolistyka bestjarjuszy.

Prototypem ich jest Physiologus, pierwsza historja naturalna świata chrześcijańskiego, w której znalazły przytułek i najgłębszą wiarę nie tylko zwierzęta realne, ale również fantastyczne twory świata antycznego.

Physiologus, przepisywany, tłumaczony wcześnie na łacinę, w XI wieku na język niemiecki,

Fig. 2. Godło domu krakowskiego „Podelwie" przy ul. Grodzkiej 42.

w XII na francuski, stworzył bestjarjusze średniowiecza. Zarówno jednak Physiologus jak i bestjarjusze obok strony opisowej zwierząt rzeczywistych i fantastycznych mają drugą stronę symboliczną, wytwór epoki, patrzącej na cały świat jako na jeden wielki symbol religji chrześcijańskiej.

Mówiąc więc o życiu sowy i bazyliszka, oznajmia bestjarjusz, że pierwsza jest symbolem narodu żydowskiego, lękającego się światła nauki Chrystusowej; a drugi to symbol zasadzek szatana na dusze wiernych.

Jasnem więc jak skwapliwie chwycono się symbolizmu bestjarjuszy, jako sposobu wytłumaczenia wszystkich fantastycznych form zwierzęcych sztuki średniowiecza.

Symbol widziano w każdej garguli, wypluwającej strumienie wody z wysokości kilku pięter, w każdej najmniejszej jaszczurce, pnącej się na gotycką fialę. Problem zdawał się być rozwiązanym. Gdy jednak przystąpiono do sprawdzania hipotezy, metoda zawiodła. Bestjarjusze w niewielu tylko wypadkach dawały zadawalające odpowiedzi.

W większości wypadków umilkły zakłopotane, bo nic powiedzieć nie mogły.

Tajemnica fauny fantastycznej wieków średnich stała się podobna do żelaznej skrzyni, otwieranej nie jednym, lecz kilkoma kluczami. Nauka Zachodu podwoiła wtedy usiłowania. Pojawiają się prace Cahiera, Fel d'Ayraca, Emila Naléa, Evansa, Ottego Beissela. Żelazna skrzynia zostaje otwartą.

Okazało się, że zwierzęta fantastyczne dadzą się podzielić na 3 grupy: pierwszą o podkładzie symbolicznym, drugą ornamentalnym i trzecią, wywodzącą się z fantazji artysty.

Okazów grupy symbolicznej mamy niewiele. Niektóre z nich przyszły wprost z kart bestjarji, inne, a tych szereg jest daleko większy, musiały przejść jeszcze poprzez kazania Honorjusza d'Autun, gdzie zostało ich znaczenie bliżej określone.

Grupa druga, polegająca na dziedzictwie ornamentu, była dawniej nieznana i okazy do niej należące przypisywano mylnie grupie poprzedniej. A jednak jest ona o wiele liczniejsza niż pierwsza i otwiera niespodziewanie dalekie horyzonty.

W jaki sposób doszło się do jej poznania?

Badając w skarbcach kościelnych Zachodu bezcenne szczątki starych tkanin, sięgających wiekiem niekiedy po wiek piąty, tkanin, pochodzących z warsztatów aleksandryjskich, sassanidzkiej Persji i normandzkiej Sycylji, tkanin rozwieszanych niegdyś między kolumnami lub przykrywających sarkofagi świętych, dostrzeżono rzecz niezwykłą.

Oto na przetlałej, rozsypującej się w proch więdzbie opon ścigały się, czatowały na siebie, walczyły ze sobą te same fantastyczne kreacje, których objaśnienie na kolumnach i zwornikach kościołów wydało się już niemożliwem.

Idąc dalszą drogą, wskazaną przez tkaniny i posiłkując się z niezwykłą erudycją zestawionym materjałem muzealnym, dotarto do sztuki chaldejskiej i assyryjskiej.

Protoplastami romańskich potworów, rozłożonych po obu stronach palmety, okazały się identyczne kreacje assyryjskie, strzegące drzewa życia — czworonogom o skrzydłach lwa a głowie kobiecej odpowiadały analogiczne genjusze chaldejskie. Wytwory kultury assyryjsko-chaldejskiej miały więc moc niezniszczalną. Persja, kalifaty arabskie, normandzka Sycylja podawały je sobie równie nienaruszenie, jak szybkobiegacze pałeczkę podczas biegu rozstawnego.

Ku światłu chrześcijaństwa zbiegły potwory z pomroku wieków. Trzeci, ostatni dział zawdzięcza swoje powstanie fantazji artysty. Dział to może najliczniejszy, zależny niewątpliwie od grup poprzednich, lecz odchylający się od nich tem więcej, im większą była indywidualność artysty i im bardziej wygasały tradycje średniowiecza.

Potwory sztuki średniowiecza, znajdujące się w Polsce, dotychczas zebrane nie zostały. Jest ich liczba niemała.

Fig. 3. Jednorożec na portalu klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie.

W kościele żarnowieckim w pobliżu Kielc na kapitelach romańskich widać gryfy, lwy i monstrualne zające, pamiętające wiek XII.

W kościele św. Jakuba w Sandomierzu na obramieniach zewnętrznych okien usiadły ptaki o rybich ogonach, oplecione splotem wężów a pochodzące z w. XIII.

W katedrze gnieźnieńskiej, kościele kotłowskim, na portalu kościoła Św. Magdaleny w Wrocławiu, na fryzie kościoła w Radłowie, na zapleckach stalli i pulpicie gotyckim fary bieckiej i tylu innych miejscach odprawia po dziś dzień fauna fantastyczna swoje harce.

Dokładna jej analiza umożliwi wykrycie źródła powstania. Zastosować tu trzeba metodę podobną jak na Zachodzie, choć nie taką samą. Mniejsza np. możliwość bezpośredniości wytworzenia zmusi do poświęcenia baczniejszej uwagi iluminowanym, sprowadzanym do Polski, kodeksom niż nielicznym szczątkom starych tkanin.

Zanim ta praca zostanie dokonana, interesującem będzie przyjrzeć się dokładniej przynajmniej

Fig. 4. Lew z niewiadomego kościoła krakowskiego (obecnie w Muzeum Narodowem).

jednemu skupieniu potworów fantastycznych w Polsce, aby zaobserwować ich rozmaitość i wartość artystyczną. Zwrócimy się do Krakowa.

Ciekawym przykładem działu symbolicznego są dwa zworniki gotyckiej salki w kamienicy hetmańskiej. Na jednym z nich spoczywa zwinięty w kłębek smok, na drugim lwica karmi swoje małe. Ze względu na zwornik z popiersiem króla Kazimierza, w tejże sali znajdujący się, odczytywa-

no je jako artybuty królewskie, czujność i miłość. Na miejsce czujności należałoby jednak podstawić mądrość, przez smoka oznaczaną. Wykonanie zworników przypada na pierwszą połowę XIV w., w którym to czasie zaczyna rozwijać się w Krakowie wybitny ruch rzeźbiarski, podsycany siłami obcemi.

Ze sklepienia bocznej nazwy opactwa mogilańskiego pod Krakowem, pochodzącej z połowy XIII w., zwisa zwornik z figurą rozpruwającego sobie pierś pelikana. Objaśnienie tego tak częstego motywu da nam Physiologus.

Pelikan miłuje swoje dzieci, lecz gdy te rzucają się na matkę, rani je śmiertelnie. Samica otwiera wtedy własną pierś dziobem, a krew spływająca ożywia młode pelikany. I dlatego to pelikan stał się symbolem zmartwychwstania i zbawiennej mocy krwi Chrystusa.

A teraz udajmy się na jedną z najstarszych ulic Krakowa, ulicę Grodzką. Nad bramą domu, stanowiącego niegdyś naroże pierwszego krakowskiego rynku—usadowił się lew.

Wsparłszy się silnie czterema łapami, pochylił łeb, jakby w oczekiwaniu jakiegoś napadu. Ogonem bije z wściekłością o ziemię a oczy niezwykle rozszerzone starają się dostrzec wroga. Okryty do pół cieniem, straszny ogromem swych kształtów, ułatwia zrozumienie fanatycznej trwogi ludzi średniowiecza przed smokiem z Taraskonu: wężem błotnym i zmieniającym swą postać wilkołakiem. Ale przecież, mimo pozorów, lew domu przy ulicy Grodzkiej nie lubował się w posmaku krwi. Był tylko wiernym stróżem, symbolem pokoju domostwa. Czy spał czy czuwał, oczy miał szeroko otwarte zupełnie tak jak mu nakazywał Physiologus: „cum dormierit leo, vigilant oculi eius".

Ażeby zapoznać się w Krakowie z najpiękniejszem symbolicznem zwierzęciem średniowiecza, umiłowanem przez wszystkie gałęzie sztuki, należy wybiec daleko poza okres omawiany.

Na skromnym portalu kościoła franciszkańskiego, datowanym z r. 1779, dostrzec można przytulonego do wiotkiej postaci kobiecej o patetycznem przegięciu rokoka ni mniej ni więcej tylko jednorożca. Ukryty za załomy szat świętej wychyla się tak niewiele, że bliżej zaobserwować go można jedynie przy pomocy bestjarjuszy. Kształtem zbliżony do konia. Maść mleczna, głowa różowawa, oczy niebieskie. Posiada łatwość poruszeń gemzy. Na łbie długi, czarno-biały róg.

Jednorożec spłoszony w szaleńczym pędzie przesadza skały i leśne wykroty, a gdy przepaść stanie mu na przeszkodzie, rzuca się w nią bez wahania, upada na swój róg, odbija się i pędzi dalej. Róg jego posiada bezcenną własność wykrywania trucizn. Dlatego królowie Francji do XVII wieku zwykli pić wino w kielichu z rogu jednorożca, a grand seigneur marzył o ujęciu rzadkiego zwierza. Nie było to jednak łatwe.

Tkacz arrasu z Aubusson zobrazował receptę bestjarjuszy.

Na łące, gdzie kwiatów więcej niż trawy, usiadła dziewczyna, trzymająca zwierciadło w prawej ręce. Lewą przewiązuje łańcuchem szyję jednorożca, który, śledząc w zwierciadle z zachwytem swoje odbicie, nie może, nie ma siły uciec.

W ten jedyny sposób uzyskiwano bezcenne puhary i tylko nikczemne plotki głoszą coś nie coś o łowcach norweskich i kościach narwala.

Jednorożec był symbolem dziewictwa przydanym świętej Justynie. Przedstawiał też Chrystusa, który również na łonie Swej matki dał się ująć wiernym.

Grupę drugą ornamentacyjną otwiera lew o jednej głowie a dwóch tułowiach, pochodzący z niewiadomego kościoła krakowskiego lub z pobliża Krakowa. Stworzył go wiek XIII. Motyw ten spotykany również we Francji i Niemczech, wywieść można z tkanin orjentalnych. Przy ich pomocy dotarto w pościgu za tym motywem do Grecji. Wiemy ze starego drzeworytu, że i dom krakowski pod Baranami miał podobne godło barana o jednej głowie a dwóch tułowiach.

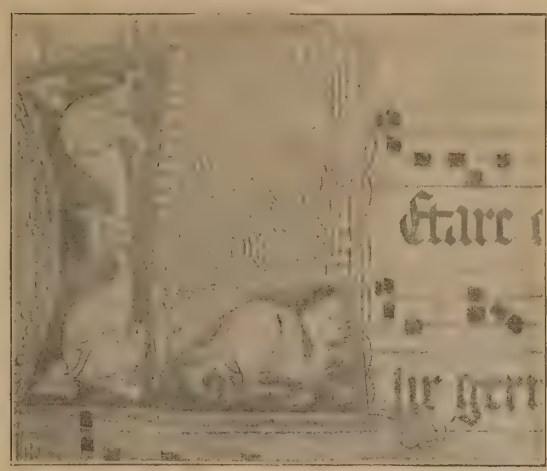

Fig. 5. Potwór z kancjonału w klasztorze OO. Karmelitów w Krakowie.

Fig. 6. Motyw walki zwierząt z kościoła w Żarnowie w. XII.

Motywem o bardziej oznaczonem pochodzeniu, niż wyżej wspomniany potwór, jest motyw walki zwierzęcej na 14-stowiecznym portalu kościoła dominikańskiego.

Ptak, trzymający tu w szponach drugiego ptaka, znajdzie również prototyp na starych tkaninach, z których np. jedna, otulająca relikwie św. Bernarda z Clairvaux, przedstawia ptaka drapieżnego, siedzącego na swej zdobyczy. Motyw walki zwierzęcej spotykamy już na płaskorzeźbach chaldejskich i assyryjskich.

Fig. 7. Smok z grobowca Kazimierza Jagiellończyka w katedrze krakowskiej.

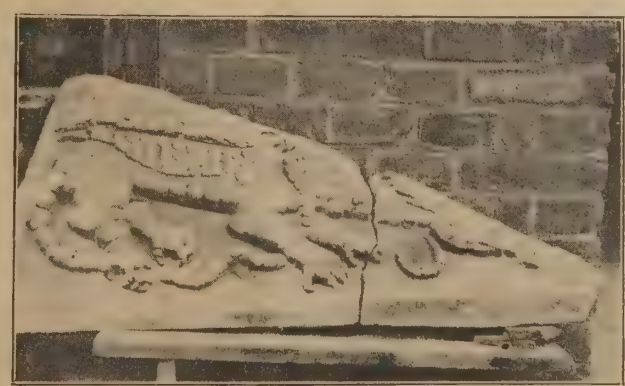

Fig. 8. Smok na stopniu schodów zamku wawelskiego (obecnie lapidarjum wawelskie).

Skąd motywy wyżej wymienione do Krakowa przyszły—trudno wyśledzić.

Spotykamy je w XIV w. na kancjonale pochodzenia praskiego o charakterze awinjońskim w klasztorze OO. karmelitów. Do Polski przywędrowały jednak wcześniej. W kościele żarnowskim na kapitelu z w. XII widzimy już walczące potwory i zająca o dwóch tułowiach. Relikwiarz wawelski XII w., prowenjencji wschodniej z drzewem życia, strzeżonem przez zwierzęta, z walczącemi potworami o dwóch tułowiach, wskazuje, że te motywy mogły przyjść do Krakowa bezpośrednio ze wschodu.

Jaszczury kamienicy „pod Jaszczurami" mimo motywu walki zwierzęcej, mimo łączności z rozdziałem bestjarjuszy, o zaciekłości żmij traktującym, są wytworem wyłącznie genjalnej fantazji artysty, zmieniającej do niepoznania przekazania epoki.

Dwa gady, których rodzaj niemożliwem jest oznaczyć, gdyż tworzą coś pośredniego między jaszczurką a jamnikiem, walczą z wściekłością, wtuliwszy się w holkel obramienia. Ciało ich chude o wystających kręgach wykazuje niezwykłą giętkość i nerwowość.

Jaszczury rynku krakowskiego, wyszłe przypuszczalnie z warsztatu Stwosza, stanowią z przynależnym również do tego warsztatu smokiem z grobowca Kazimierza Jagiellończyka najpiękniejsze przykłady fauny fantastycznej Krakowa.

Wybitniejsze jej przykłady przesunęły się przed nami, zostawiając na uboczu gromadę jeszcze liczną czy to w krypcie Św. Leonarda, czy na konsolach skarbca katedralnego, kościoła Św. Barbary na obrazach cechowych, agnamaniliach kościoła OO. Dominikanów.

Z końcem gotyku wymierają w Krakowie fantastyczne kreacje zwierzęce. Zabija je nauka, przyglądająca się im z niedowierzaniem, zabija śmiech i radość życia niweczące ich grozę, zabijają je nowe kierunki sztuki. Gdy dłoń epoki rozepnie na miejscu przyciężkich murów marmurowe logie, ich już nie będzie. Czasem tylko wypełznie zapóźniony potwór czy to smok z renesansowych schodów wawelskich czy też gryfy z druków Hallera.

Kazimierz Buczkowski.

Rozrzucone notatki do historji fauny fantastycznej w Polsce znajdują się między innemi:

Teka konserw. t. I, str. 215, 217, 218, 359; t. II, str. 151; t. III, str. 276, 384.

Sprawozdanie kom. do bad. Hist. Sztuki t. II, str. 46 i tablica VIII, t. III, str. 100, tab. III i XVI, t. IV, str. 124, 129, 130 i str. XCIII, t. VII, str. LXXVIII.

Rocznik krakowski t. I, str. 2, t. II, str. 176, 181, t. VI, str. 29, 71, t. X, str. 81, 95, 100, 112.

Literatura pomocnicza: Feliks Kopera, Notatki do historji sztuki i kultury.

Emil Male: L'Art religieux du XII siècle.
„ „ „ XIII „

La Menagerie fantastique: Lectures pour tous mais 1900.

W. Molsdorf: Führer durch den symb. Bilderkreis.

H. Bergner: Handbuch der kirch. Kunstaltertümer.

H. Detzel: Christliche Ikonographie.

B. Kleinselmin: Lehrbuch der christl. Kunstgeschichte.

Reprodukcja fig. 2 użyczona z Gabinetu klisz. Tow. Mił. Historji i zab. miasta Krakowa.

Reprodukcje fig. 1 i 4 z dzieła prof. Kopery: Notatki do historji sztuki i kultury.

Reprodukcje fig. 6 ze Sprawozdań Kom. do bad. Hist. Szt. t. 4.

TEATRY I TEATRZYKI.

Fot. J. Malarski.

Teatr Letni rozpoczął sezon wesołą farsą Nowiny i K. Tatarkiewicza p. t. „Szukajmy murzyna".

Teatrzyk „Qui pro quo" bawi publiczność dowcipną rewjetką p. t. „Będzie lepiej".

POLSKO-NIEMIECKI TRYBUNAŁ ROZJEMCZY.

W Warszawie obradował polsko-niemiecki trybunał rozjemczy pod przewodnictwem Moriand'a. Ze strony niemieckiej występował dr. Scholtz i Thime.

Polscy członkowie trybunału rozjemczego. Od lewej ku prawej: pp. St. Dembiński, (sekretarz) prof. Jan Namitkiewicz, (sędzia) dr. T. Sobolewski, (przedstawiciel rządu), i Kazimierz Sąchocki.

ECHA REWOLUCJI W HISZPANJI.

Grupa członków tymczasowego rządu hiszpańskiego. Od lewej ku prawej: jen. Daban, jen. Saro, jen. Munoz Cobos, jen. Primo de Rivera, jen. Cavalcante, jen. Frederico Berenguer, ks. de Tetuan.

M. Alba.

Garcia Preto.

Członkowie obalonego gabinetu.

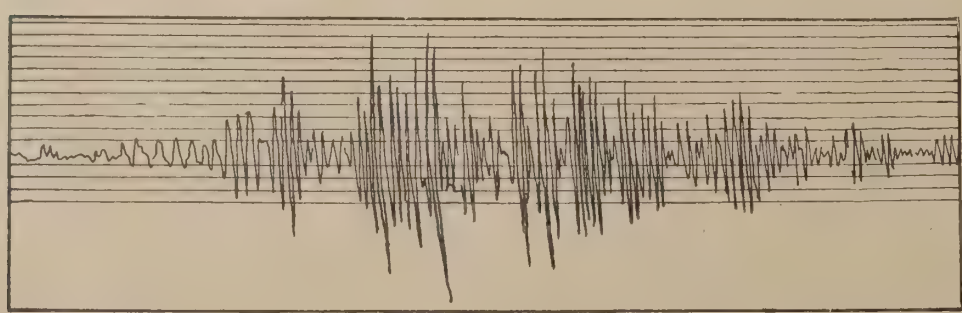

Jak sejsmograf paryski zanotował trzęsienie ziemi w Japonji.

TRZĘSIENIA ZIEMI I WYBUCHY WULKANÓW

Jedne i drugie są spowodowane działaniem płynnego od żaru wnętrza ziemi i kurczenia się stygnącej skorupy ziemi. Dotychczas nauka nie wyjaśniła ściśle przyczyn tych strasznych zjawisk, ani związku pomiędzy niemi, ani nie zdołała ich przewidzieć. Zjawiają się nieoczekiwanie i ani siła tych zjawisk, ani chwila ich rozpoczęcia przewidzieć się nie daje.

Przed 40 laty pojawiła się teorja, pozornie logiczna, upodobniająca falowanie wnętrza ziemi do przypływu i odpływu morza, które wywołane jest przyciąganiem słońca i księżyca. Wpływ księżyca, jako bliżej ziemi będącego, wywołuje przypływ silniejszy, a w razie jednoczesnego działania obu, przypływ morski wzrasta z siłą sumaryczną obu oddziaływań. Na tej podstawie obliczali astronomowie dni krytyczne—cóż kiedy rzeczywistość nie chciała być posłuszną rozkazowi tej hipotetycznej teorji!

Nie ulega wątpliwości, że wybuchy wulkaniczne mają jako następstwo wyrównanie nierówności ziemi, powierzchnia ziemi stale się zapada, choć niezmiernie wolno, ale praca płynnego, a częściowo nawet gazowego wnętrza ziemi trwa stale—dość zaznaczyć, że sejsmografy notują rocznie przeszło 30 tysięcy wstrząśnień. Jedno z nich—najstraszniejsze ze wszystkich znanych w historji, nawiedziło teraz Japonję, zabierając setki tysięcy ofiar.

Podajemy tu rysunek—ścisłą kopję rysunku sejsmografu paryskiego. Ostrze wahadła nakreśliło tak wielkie wstrząśnienia na drugiej półkuli.

H. G.

ZE SPORTU.

REGATY NA WIŚLE.

Fot. J Wołyński.

Zwycięska sportowa łódź żaglowa podjeżdża do przystani.

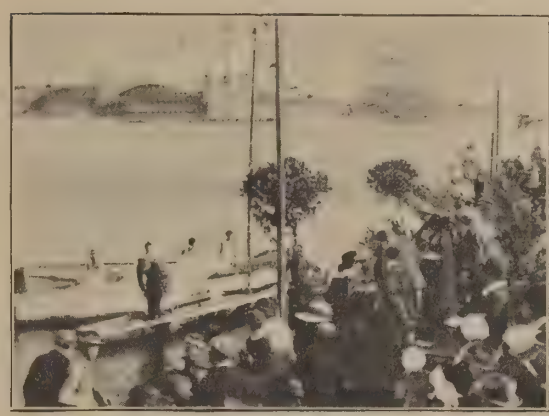

Na przystani W. K. W. podczas regat.

Łódź żaglowa przemysłu wiślanego podczas biegu.

REGATY NA WIŚLE.

Wioślarstwo należy do tych gałęzi sportu, które rozwijają się u nas najpomyślniej. Siła przyciągająca wioślarstwa leży przedewszystkiem w terenie wodnym, pozbawionym wszelkich szkodliwych pyłów, które przy każdym innym sporcie muszą wdychać zarówno zawodnicy, jak i widzowie, — żaden inny sport nie daje przytem tak harmonijnego rozwoju całego ciała i nie sprawia tak estetycznego wrażenia w swej rytmiczności. To też regaty na Wiśle bywają zwykle magnesem przyciągającym tłumy publiczności.

23-go września, w niedzielę, przy przecudnej pogodzie i silnym wietrze, odbyły się powszechne regaty wioślarsko-żeglarskie, urządzone przez specjalny komitet pod protektoratem prez. miasta Jabłońskiego. Były to pierwsze zawody tego rodzaju, dotychczas bowiem odbywały się tylko regaty międzyklubowe.

Start był w Wojskowym klubie Wioślarskim, kierownictwo nad regatami objął zasłużony działacz sportowy prezes W. K. W. pułk. Bobkowski.

W poszczególnych biegach zwyciężyli: st. post. Wasawski i post. Brzozowski (w biegu łodzi żaglowych policji wodnej). st. posterunkowy Podubny i post. Stachiewicz (w biegu łodzi pychowych policji wodnej) w biegu jedynek wyścigowych — p. Osiecimski (W. T. W.); w biegu czwórek klepkowych odkrytych — Koło W. W., sternik Hoffman; w biegu czwórek wyścigowych—W. T. W., sternik Majewski; w biegu łodzi żaglowych klubowych—„Saper", „Albatros" i „Delfin".

Z LOTNICTWA MORSKIEGO.

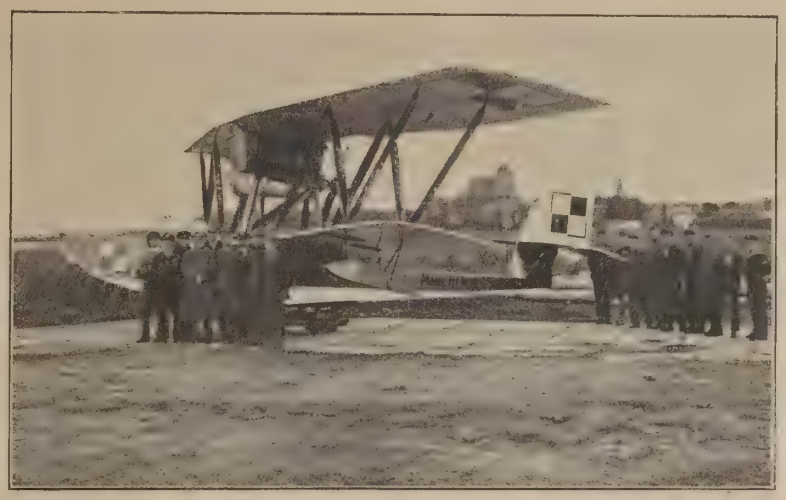

Hydroplan (wolnoplatowiec) „Macchi 9", zmontowany w warsztatach Lotnictwa Morskiego w Pucku, osiąga niezwykłą szybkość 250 km. na godzinę.

ZAWODY CYKLISTÓW NA DYNASACH.

Fot. W. Rokosz.

Start wyścigu motocyklistów na Dynasach. W wyścigu tym zwyciężył H. Choiński.

WYCHOWANIE FIZYCZNE NAD MORZEM.

Grono rodziców, przebywających ze swemi dziećmi podczas wakacyj letnich na wybrzeżu morskiem, powzięło szczęśliwą myśl zorganizowania koła Wychowania Fizycznego młodzieży. Pod troskliwą opieką dr. Żebrowskiej, p. Micewiczowej, kierowniczki wychowania fizycznego i dr. Uspiańskiego, uczennice, zwane żartobliwie przez kaszubów „szprotkami", odbywały cały szereg ćwiczeń gimnastycznych, zabaw na świeżem powietrzu, przebywając cały dzień niemal nad morzem. Ogorzałe i pełne życia dziewczęta wyniosą z tych ćwiczeń duży zasób zdrowia i siły, który przyda im się podczas długiej zimy w murach miasta.

MATCH POLONIA-VASAS.

Fot: W. Rokosz.

Kapitanowie drużyn: Takacs, kap. drużyny „Vasas", sędzia Mandl i Emchowicz, kap. drużyny „Polonia".

Próba siły dwu partyj: kto przeciągnie?

Ćwiczenia gimnastyczne na plaży.

WYSTAWA ROLNICZO-PRZEMYSŁOWA W ŁOWICZU.

Fot. Wacław Rokosz.

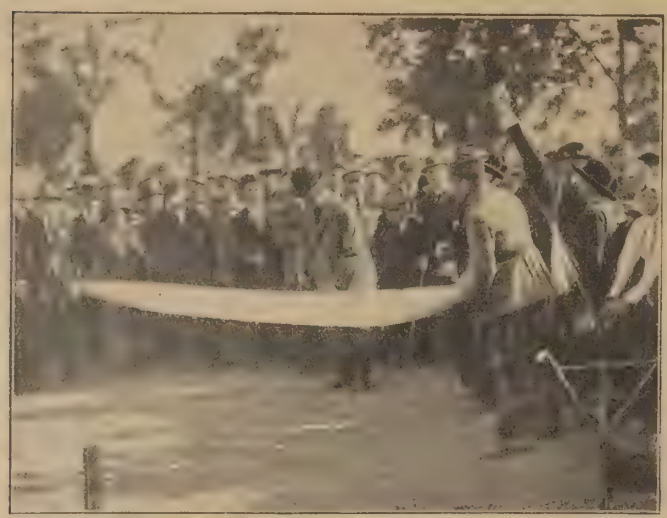

Otwarcie wystawy rolniczo-przemysłowej w Łowiczu. Min. Gościcki przecina wstęgę.

Wystawa w Łowiczu, otwarta uroczyście dnia 19 września, składa godne świadectwo o rozwoju przemysłu rolniczego na naszej prowincji, gdzie po wojnie życie znacznie żywszem bije tętnem.

Najbardziej imponująco prezentował się na wystawie dział oświaty, poza tem dział etnograficzny i hodowlany.

Znakomicie wypadły wyścigi konne z udziałem grupy olimpijskiej.

Wystawę zwiedzały liczne wycieczki ze wszystkich krańców Polski.

Konkursy hippiczne w Łowiczu. Zwycięzcy pierwszych czterech nagród oficerowie 16 p. ułanów z Bydgoszczy.

Ś. p. Antoni Abraham.

PAMIĘCI JEDNEGO Z TYCH, KTÓRYM ZAWDZIĘCZAMY POLSKIE WYBRZEŻE.

W dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach, gdzie motorem czynu i pracy jest najczęściej walka o byt, chęć zysku i użycie, z uczuciem radosnem witamy każdy przejaw życia dla ideału.

Takim człowiekiem, który z zaparciem się siebie w ofierze Ojczyźnie składał zdrowie, mienie, pracę i trud całego życia, a wiele razy i życia nie szczędził, był wielki działacz kaszubski, ś. p. Antoni Abraham, który zmarł w Gdyni d. 23/VII r. b.

Ś. p. Abraham urodził się w Gnieżdżewie na Kępie Puckiej jako syn ubogiej rodziny robotniczej. Wychowany przez matkę w duchu katolickim, przez całe życie był głęboko religijny i sprawę Kościoła łączył zawsze ze sprawą narodową.

Pod wpływem działaczy kaszubskich, ks. Bączkowskiego z Pucka, później p. Czyżewskiego z Gdańska i ks. Kupczyńskiego, pracuje razem nad obudzeniem ducha narodowego wśród Kaszubów, zakładają domy ludowe, podtrzymują je. Wiedziony intuicją gorącego patrjoty, ś.p. Abraham głosił zmartwychwstanie Polski wtedy, gdy Prusacy najciężej i najsrożej gnębili.

Pracę jego niejednokrotnie przerywali żandarmi pruscy. Napróżno jednak, duszy bohatera kaszubskiego nie ugięły ni głód, ni chłód, ni przemoc.

Największe zasługi położył ś. p. Abraham, uświadamiając braci Kaszubów o obowiązkach ich względem Ojczyzny, przypominając, że pomimo niewoli mają prawo do odrębnego życia narodowego.

I miał odwagę bronić polskości Kaszubów wobec Niemców, którzy go za to gnębili i prześladowali. Dość powiedzieć, że parę razy siedział w więzieniu, miał 40 procesów i 87 pozwów.

Widząc owocną działalność ś.p. Abrahama, Niemcy postanowili uniemożliwić mu pracę, wyrugowali go z ziemi, pozbawiając zarobku, tak iż musiał zarabiać na chleb, pracując przy nasypie kolejowym.

Wreszcie kiedy na kongresie Wersalskim rozstrzyga się sprawa Kaszub, pobrzeża morskiego, wtedy ś. p. Abraham postanawia udać się do Paryża, aby tam w obliczu przedstawicieli mocarstw świadczyć o polskości Kaszub. Zjawił się tedy na kongresie i przed Wilsonem, Lloyd Georgem, Clémenceau, głosił, że „żyje lud kaszubski, ten lud czuje się polski, my Kaszubi jesteśmy Polakami i do Polski należeć chcemy i musimy!"

W uznaniu zasług Rząd Rzeczypospolitej po oswobodzeniu Polski obdarzył go orderem Polonia Restituta.

W r. 1921 ś. p. Abraham osiedla się w Gdyni.

Zdając sobie sprawę, jak ważną rzeczą dla Kaszubów jest zacieśnienie węzłów z duchem polskim i bliższe poznanie serca Polski, Warszawy, Częstochowy, gdzie wśród pielgrzymek z najdalszych krańców dotąd brakło mieszkańców Pomorza, organizuje wycieczki kaszubskie do Warszawy i Częstochowy.

Przyjęty specjalnie w kwietniu r. b. na osobnem posłuchaniu przez prezydenta Wojciechowskiego, witał go niedługo potem nad polskiem morzem w Gdyni.

Sterany pracą i trudem, z wyniszczonym organizmem zachorował ciężko, na raka. Choroby tej nie przemógł.

W dwa miesiące potem zawieziono ś. p. Abrahama do Oksywji, aby spoczął tam na tym najpiękniejszym polskim cmentarzu.

Pogrzeb ś. p. Abrahama był wprost manifestacją narodową w Gdyni. Tłumy niezliczone świadczyły czem był ten niestrudzony działacz dla ziemi Kaszubskiej.

Stanisława Sawicka.

Pogrzeb ś. p. Antoniego Abrahama w Pucku.

Grupa uczestników uroczystości poświęcenia schroniska dla inwalidów hallerczyków. Pośrodku siedzą: jen. Haller i wojewoda pomorski Jan Brejski.

POŚWIĘCENIE SCHRONISKA DLA INWALIDÓW HALLERCZYKÓW.

W dniu 2 września r. b. odbyło się poświęcenie schroniska w Kuligach na Pomorzu.

Majątek ten o obszarze 2,000 morgów ziemi ornej, został wykupiony od Niemców, dzięki ofiarności naszych rodaków z Ameryki, którzy, nie zapominając o kraju, pośpieszyli pierwsi, by zapewnić opiekę tym, co na polu walki dla Polski stracili zdrowie.

Dotychczas inwalidów znajduje się w Kuligach 30.

Jednocześnie organizuje się podobne schronisko na kresach wschodnich w powiecie Rówieńskim, na szerszą skalę; obok schroniska ma być założona szkoła średnia rolnicza.

I. H. M.

NOTATKI Z RUMUNJI.

Od Grigore Ghica Voda, pierwszej stacji na ziemi rumuńskiej na linji z Warszawy via Lwów do Bukaresztu, wjeżdżamy w kraj pól kukuruzianych i słoneczników. Tu i ówdzie, przez okna wagonu, migają niskie białe domki murowane, kryte przeważnie blachą jasno malowaną.

Ludność ubrana biało: kobiety w białych płóciennych spódnicach, mężczyźni w białych płóciennych spodniach z wyłożoną na wierzch długą koszulą, sięgającą do kolan. Częstokroć na wierzchu mają jeszcze baranie kożuchy, albo białe, podbite czarnym barankiem, serdaki.

Mężczyźni noszą tu długie włosy.

Jedziemy okolicą falistą, pagórkowatą o dość obfitej i bujnej roślinności. W dali, na horyzoncie, ukazuje się coraz więcej sinawych gór...

Godzina siódma wieczorem: odjeżdżamy z Czerniowiec (po rumuńsku Cernauti), stolicy dawnej Bukowiny. Zapada wieczór: krajobraz ginie nam z oczu. Z ruchu pociągu czujemy, iż wjeżdżamy w okolicę górzystą. Nasz pociąg, jak na kurjer, zatrzymuje się stanowczo nazbyt często.

Rano zbudziliśmy się w Buzan, leżącem nad rzeką tejże nazwy, dopływcem Seretu, wpadającego do Dunaju. Za Buzan wjeżdżamy w okolicę stepopą, której omal że jedyną kultywowaną rośliną jest kukuruza. Słoneczników nie spotykamy tu wcale; za to łany kukuruziane coraz to rozleglejsze. Na stepie pasą się stada siwych wołów, a tu i ówdzie wystrzeliwują ku niebu żórawie — studnie stepowe...

Z godzinnem opóźnieniem, więc po dziewiątej rano przybywamy do Bukaresztu (po rumuńsku Bucuresti), położonego nad rzeką o słowiańskiej nazwie — Dębowicy (po rumuńsku Dâmbovita). Dworzec kolei dość jest odległy od centrum miasta. Część miasta, przez którą przejeżdżamy, jadąc z dworca, robi na nas wrażenie marnej mieściny południowej Rosji: domy na ogół niewielkie, znacznie różniące się rozmiarami — malutki obok piętrowego; ulice brudne, zaśmiecone — nie ma się wrażenia Europy. Dopiero centrum miasta nosi zupełnie inny, europejski charakter. W obrębie kilku główniejszych ulic, jak Calea Victoriei, Bulevard Elisabeta, Bulevard Academiei, Buleward Carol I i t. p. widzimy wielkie gmachy. Do wspanialszych budynków miasta należą: pałac królewski, poczta, uniwersytet, teatr, niektóre gmachy ministerstw... Wszystko to budowle nowe; dawniejszych, tchnących patyną, nie spotyka się tu wcale. Inne dzielnice miasta, w pobliżu centrum położone, poprzecinane krętemi uliczkami — stanowią małe domki i niewielkie wille, częstokroć okolone zielenią akacji. Wszystkie wogóle budowle utrzymane w jasnych, względnie białych barwach.

W centrum miasta ruch wielki. Samochodów i dorożek, przeważnie parokonnych, moc. Dorożki te żywo przypominają Rosję: kuczerzy (po rumuńsku birjar, czyt. birżiar z rosyjskiego birża) przybrani po rosyjsku t. j. w armiach, opasani barwnym paskiem. Rekrutują się oni przeważnie z dawnych skopców rosyjskich, którzy, na skutek prześladowań, wywędrowali z Rosji. Rzadko który z nich i to chyba starsi pamiętają język rosyjski. Uprząż koni turecka; konie mają z turecka długo niestrzyżone ogony, co również przypomina rosyjskich rysaków.

Obok tramwaju elektrycznego istnieje tu—o dziwo!—nędznie wyglądający tramwaj konny, rzecz nie istniejąca już od dawna w Europie zachodniej i centralnej.

Ogólny nastrój miasta wesoły: ruch powozowy i pieszy największy w południe i ku wieczorowi. Istnieje tu zwyczaj wystawania publiczności przeważnie męskiej w pewnych ruchliwych miejscach na chodnikach przed cukierniami i sklepami, co znów przypomina południe i z czem znów w minjaturze spotykaliśmy się w Krakowie (linja A—B) i Lwowie za czasów nieboszczki Austrji.

Pałac królewski w Bukareszcie.

Panie ubierają się barwnie, przeważnie bardzo szykownie; noszą strojne, kolorowe parasolki. Malowanie i pudrowanie twarzy u pań kwitnie tu w najlepsze za przykładem Paryża. Jako oryginalność zaznaczyć należy, iż spotyka się tu kobiety z ludu, robotnice, palące papierosy.

Po ulicach włóczą się Turcy, handlujący perskiemi dywanami, oraz przekupnie z malowniczemi, pełnemi owoców i jarzyn, koszami. W sklepach owoców mnóstwo; ceny stosunkowo niewysokie.

Hotele nie grzeszą czystością. O wodę do mycia doprosić się trudno. Ceny w hotelach, restauracjach, cukierniach mniej więcej warszawskie, licząc wedle kursu 1 leja=1,000 mkp. W restauracjach i cukierniach procentów się nie uwzględnia: po staremu daje się tu bakszysze (napiwki). Zaznaczyć należy też, iż ludność tutejsza sumienna, nie wyzyskująca cudzoziemców; przeciwnie, uprzejma, starająca się w trudnościach dopomóc. Omal każdy włada tu conajmniej jako tako niemieckim, natomiast francuski (obok niemieckiego) bardziej jest rozpowszechniony w sferach inteligentnych, mówiących zresztą chętnie obcemi językami.

. . . . . .

Droga z Bukaresztu do Konstancy (po rumuńsku Constanta) kurjerem trwa pięć godzin. Tor kolejowy omal do samej Konstancy stanowi jedną prostą linję. Kurjer pędzi z zawrotną szybkością. Krajobraz tu inny, niż dotąd nam znany: jedziemy równiną jak po stole, ale łanów kukuruzianych znacznie tu mniej, za to wielkie obszary ściernisk po zżętej pszenicy...

Ku wieczorowi wjeżdżamy na długi most (Podul Regele Carol I), ciągnący się omal bez przerwy w poprzek odnogi Dunaju, następnie przez błotniste obszary (Balta Jalomitei) zalewane na wiosnę i wreszcie przez Dunaj (po rumuńsku Dunare). Tuż za mostem tym na brzegu Dunaju leży osada i stacja o słowiańskiej nazwie: Cerna-voda. Przecinamy żyzną Dobrudżę (po rumuńsku Dobrogea) i około dziesiątej wieczorem stajemy w Konstancy, mieście portowem Rumunji, zbudowanem na miejscu dawnej osady Tomi, gdzie przebywał na wygnaniu Owidjusz, którego piękny pomnik zdobi główny plac Konstancy. Konstanca to nie tylko handlowy port rumuński, ale i miejsce postoju nielicznych statków wojennych Rumunji, a również morska stacja klimatyczna, dokąd zjeżdżają w lecie bogatsze warstwy rumuńskie. Wszakże na kąpiele morskie i wygrzewanie się na plaży jechać stąd trzeba specjalną kolejką do Mamaj (Baile Mamaia), położonego na północ od Konstancy o czterdzieści minut drogi. Plaża tam rzeczywiście bardzo ładna, lecz o mieszkaniu niema mowy, gdyż jedynym budynkiem jest tu pawilon restauracyjny z marną restauracją.

Konstanca robi już wrażenie miasta wschodniego: znaczna tu ilość Turków, których się poznaje po czerwonych fezach i którzy tu mają kilka meczetów; po ulicach zaś włóczą się gromady psów... Ozdobą wybrzeża jest wznoszący się opodal portu piękny gmach kasyna...

. . . . . .

W poszukiwaniu miejscowości z plażą i hotelami udajemy się wielkim, wygodnym samochodem do miejscowości, położonej o osiemnaście kilometrów na południe od Konstancy — Thekirghiol-Movila. Droga prowadzi wysokim brzegiem morza, okolicą płaską, pozbawioną omal całkiem drzew, lecz urodzajną w zboże.

Ogólna nazwa Thekirghiol, co znaczy po turecku „śmierdzące jezioro" — obejmuje nazwę wielkiego jeziora (ghiol), położonego w pobliżu wybrzeża morskiego, dalej nazwę osady, położonej na przeciwnym od morza brzegu jeziora—Thekirghiol-Sat (*sat* po rumuńsku znaczy „wieś, sioło"), wreszcie osadę, położoną na przeciwnym brzegu jeziora, t. j. na wysokim brzegu morskim, dzielącym jezioro od morza. Ta ostatnia osada znana jest pod nazwą Thekirghiol-Movila względnie tylko Movila, urzędowo—jako stacja klimatyczna—nosi nazwę Carmen Sylva. Osada ta składa się z zakładu kąpielowego, hoteli i will, przeznaczonych dla przyjezdnych.

Obie wyżej wymienione miejscowości komunikują się ze sobą za pomocą wielkich łodzi, oraz promów uruchomionych motorową łodzią. Thekirghiol-Sat słynie ze znakomitych kąpieli słonych, woda bowiem wspomnianego jeziora zawiera znacznie większy procent soli od wody morskiej, oraz z bardzo skutecznych kąpieli błotnych. W Movili ciepłe kąpiele słone oraz błotne otrzymuje się

w obszernym zakładzie kąpielowym, położonym nad brzegiem jeziora. W porównaniu z Thekirghiolem-Sat posiada Movila kilka obszernych, dość dobrych hoteli oraz cały szereg will rozrzuconych po stepie, pozbawionych wszelkiej roślinności. Jedynem spotykanem w Movili drzewem, a utrzymywanem tu drogą kultury jest akacja biała oraz drzewo octowe. Pewna część will zbudowana tu w ten sposób, iż do pokoi, położonych na parterze, wchodzi się wprost ze dworu, względnie ulicy, bez pośrednictwa przedpokoju, czyli innemi słowy drzwi pokoi tych wychodzą wprost na dwór, pełniąc zarazem funkcję jedynych okien pokoju—są bowiem oszklone i zaopatrzone częstokroć żaluzjami.

Dostęp do plaży jest tu nieco utrudniony, dostać się do niej bowiem można jedynie drogami i ścieżynami, wijącemi się przez urwisty, wysoki brzeg morza. W porównaniu z Mamaj plaża tutejsza jest gorsza, mniej bowiem obszerna i usiana wyrzucanemi przez morze kamykami, kiedy plaża w Mamaj jest ich całkowicie pozbawiona; nawet piaskiem różnią się obie te plaże: w Mamaj piasek jest drobnoziarnisty, w Movili—grubo-ziarnisty. Widok zarówno z plaży Movili, jak i z wysokiego brzegu—prześliczny: w dali ku północy na wybrzeżu w błękitnawej mgle jaśnieje białemi budynkami Konstanca; od wschodu, jak okiem sięgnąć, cudowne, mieniące się różnemi barwami, zależnie od pory dnia, morze: rano i w południe błękitne, nad wieczorem i o zachodzie srebrzysto względnie popielato błękitne, opalowe—w różowej mgle na horyzoncie ginące... Od czasu do czasu ukazują się w dali większe lub mniejsze statki i żaglowce; czasami zaś stanowią urozmaicenie dla plażowców przybywające do zatoki Movili statki floty wojennej rumuńskiej, odbywające swe ćwiczenia.

Omal że na końcu plaży południowym znajduje się pawilon, recte marna drewniana buda z turecką kawiarnią, gdzie dostać można konfitury (dulceata) z róży, rachat łukum, zwykle po rumuńsku rahat zwany, kawę turecką (same fusy!!), kukuruzę z kotła, stojącego obok budy na piasku; tu też—o dziwo!—sprzedaje się—jak głosi napis—żywe kaczki, kury i kurczęta...

Życie w Movili od rana, mniej więcej od godziny siódmej, koncentruje się na plaży, albowiem—jak twierdzą lekarze tutejsi—swe najskuteczniejsze ultra-fioletowe promienie wysyła słońce między siódmą a dziewiątą rano. Po obiedzie natomiast bywa na plaży stosunkowo mniej osób, za to stoliki przed dość primitywnem kasynem, położonem nad samem urwiskiem wysokiego brzegu, szczelnie są zapełnione: goście, słuchając lekkiej wiedeńskiej muzyki, spijają piwa, turecką kawę, zjadają lody i pradziturę (rumuń. prajitura), t. j. ciastka, notabene w całej Rumunji bardzo dobre, oraz zaśmiecają stoliki i ziemię łupinkami orzeszków (aluni) amerykańskich, gdzieindziej znanych pod nazwą kameruńskich wzgl. ogólniej afrykańskich.

Przez parę dni sensację plaży stanowił bogaty Rumun z Bukaresztu, któremu zbytek posiadanych pieniędzy pomieszał nieco w głowie: chodził bowiem ubrany z indyjska w kremowej spódnicy, we wzorzystym quasi-szlafroku i w błękitnym zawoju na głowie; w uszach miał długie kolczyki, na ręku ogromną podwójną bursztynową bransoletę; brwi, oczy, policzki i usta miał uszminkowane... O ceny nie pytał, a za wszystko, czego zażądał, płacił tysiącami lei, co znaczy naszemi miljonami...

Goście tutejsi to prawie wyłącznie krajowcy. Sezon trwa tu trzy miesiące: przez czerwiec, lipiec i sierpień. Z powodu wszakże zmiany kalendarza juljańskiego na gregorjański niektóre hotele i wille otwarte są do 15 września.

W ciągu całego tu naszego miesięcznego pobytu deszcz padał raz tylko i to w nocy, tak że z rana nie było już jego śladów. Stale trwające upały znosi się tu doskonale, nawet przyjemnie, dzięki łagodnemu wietrzykowi morskiemu.

W. H. U.

Movila, 31. VIII. 1923.

OSTATNIE DNI SZKOŁY GŁÓWNEJ.

(*Z pamiętnika Juljana Bartoszewicza*)

14 grudnia, wtorek. Powiadają, że wielu naszych pokończywszy nauki w Szkole Głównej, przenosi się w głąb Moskwy szukać chleba. Powiadają, że znajdują go, zwłaszcza prawnicy, że wielu wchodzi do grona adwokatów, że wszędzie ich przyjmują. Gdyby to nie okropne było czekać, gdybyśmy już długo nie czekali, możnaby w tem widzieć początek upadku Moskwy. Tego podobno chciał Wielopolski. Dzisiaj niemcy trzęsą Moskwą, zczasem trzęśliby Polacy. Do niemców jest dzisiaj w Moskwie nienawiść Katkowów, Trubnikowych, Tołstojów, nienawiść okropna. W czasie odwiedzin wystawy moskiewskiej przez „braci słowiańskich" jakiś jenerał głośno w mowie, która drukowana była, wzywał Czechów, aby się podjęli być niemcami w Rassiji. Na każdym kroku, wszędzie znać, że się ten barbarzyński kolos na słomianych nogach rozkłada. Ale, jak mówią, długo niezmiernie musielibyśmy czekać. Mam nadzieję, że wypadki prędzej dojrzeją dla nas. Co chwila od lat kilku spodziewamy się europejskiej wojny. Prawda, że od wieku młodego, jak zapamiętać mogę, ciągle się spodziewam... i spodziewam, upatrując w tej spodziewanej wojnie świt wolności.

21 grudnia, wtorek... Dowiaduję się, że pan Papłoński radził w uniwersytecie puścić młodzież na święta dopiero na wigilję, tłumacząc, że nic to profesorów nie obchodzi jakiej są wiary i kalendarza studenci. Ale moskale mieli na to jeszcze dosyć wstydu. Jak dalej rozwinie się ta edukacja, może nie będą mieli wstydu. Papłońscy drogę utorują. Moskiewskie figury są często lepsze od tych renegatów. Jenerał Ramzay przysłał sto rubli na wpis za dwóch studentów, nie mogąc być na koncercie na wpisy. Pan Papłoński choć ma 25,000 pensji, takiej ofiary nie zrobi... *).

24 stycznia (1870), poniedziałek. Kowalewski jest ulubionem dzieckiem uniwersytetu warszawskiego... Przyszedł nowy ukaz ministra, który go robi prorektorem i daje mu prawo w nieobecności zastępować nawet rektora. Polak ma honor! To dalsze dowody łaski, bo go uwolniono od doktorstwa, od rozprawy, od wszelkich formalności i egzaminów. Świeżo znowu otrzymał order św. Anny I klasy z mieczem i ze wstęgą. W ciągu tych czterech niespełna miesięcy uniwersytetu, trzy wielkie łaski. I byli głupcy, którzy Kowalewskiego wysławiali, mieli za Polaka. Mickiewicz, którego był kolegą, urok na niego cisnął. Wszyscy go w tym uroku widzieli. A to czysty moskal. A plecie, a plecie androny na prelekcjach historji powszechnej, o której niema żadnego wyobrażenia.

25 stycznia, wtorek. Okropności mówią o uniwersytecie. A toż to teatr, komedja, choć bardzo ukrywana. Profesorzy wydziału historyczno-filologicznego nic nie umieją i niczego nie uczą, a niektórzy są propagatorami. Mówił mi Michał Grabowski, że niegdyś uniwersytet kijowski był takim propagatorem i że najmniej się zajmował nauką. Wszyscy profesorowie apostołowali: prawosławie i nienawiść do Polski. Nie mówić już u nas o profesorach moskalach, na to oni tu są, na bałamucenie w głowach. Ależ nie moskale. Jezbera, profesor czeski, o niczem nie mówi, tylko z kiepska po węgiersku, z czeska po moskiewsku, o braciach słowianach. Co lekcja wykłada przez kilka minut gramatykę, a resztę czasu zajmują mu gawędy polityczne najgorszego rodzaju, które zresztą nikogo nie przekonywują. Rozdał naprzód massę arkuszy z pacierzem, z Ojczenaszem drukowanym literami moskiewskimi we wszystkich narzeczach. Potem ciągle baje o pięknościach kraju nad Wołgą, o braterstwie Słowian. Kapitalnie narzeka, że w nich mało wzajemności. Najnikczemniejszy głupiec, który nawet pod formą nauki podłych dążeń ukryć nie może. Kowalewski na historji nic się nie zna i zarazę szerzy, Papłoński mówi o wszystkiem i niczem. Mierzyński aby zbyć pogadankami zabija czas i tłumaczy się, że nie umie po grecku. Wolfram zaczął w tych dniach wykład po moskiewsku, śmieją się z niego, bo okropności wygaduje. Jeden Pawiński co może wykładać historję średniowieczną. A reszta wydziału? Żarty stroi z nauki. Straszliwa komedja!

Przysmak dla Rusi. Rozdzielają wszystkich studentów jak i uczniów gimnazjalnych na pochodzenie: jedni są polskiego, drudzy ruskiego. W języku urzędowym „ruski" znaczy tyle co moskiewski. Więc unici nasi są zapisani do kategorji moskali. Jeżeli rodzice zaprotestują, mówiąc, że dzieci ich są pochodzenia polskiego, wtedy sąd o tem jak jest, należy do konsystorza czerkieskiego. Wyrok tego trybunału jest stanowczy — rozstrzyga spory o nas Moskwa. Do kogo powie: jesteś moskal, musi to być moskal. A gdyby rodzice jeszcze się opierali, wtedy oczywiście uwalnia się ich dzieci ze szkół, niechaj siedzą sobie w domu. Coś tutaj straszniejszego niż inkwizycja. Gdzież straszniejszy ucisk sumieniom, naturze samej?...

—o—

W dzienniku Juljana Bartoszewicza niema już więcej ustępów, tyczących się przemiany Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski. Są jeszcze liczne uwagi o jej profesorach, ale nie mające związku z faktem przemiany.

Wkrótce choroba wytrąciła pióro z rąk autora dziennika. Ostatni raz, ciężko już chory, pisał w nim pod 29 maja 1870 r. o stawianiu pomnika Paskiewiczowi w Warszawie. Oburzony do żywego, słusznie przewidywał, że „Moskale są zdolni wznieść nawet posąg Murawiewowi w Wilnie." Ostatnie słowa pamiętnika były gorącą prośbą do Boga, aby zesłał piorun na zbrodnie.

...Potrzeba wojny, wojny europejskiej, aby ciężką atmosferę, nasiąkłą zgnilizną, rozproszyła. ."

Ziściły się, niestety, i obawy autora, że profesorowie, mogący wykładać jeszcze przez dwa lata po polsku, pójdą za przykładem Białeckiego. Kraszewski wkrótce w n-rze 22 „Tygodnia" umieścił wyjątek z prywatnego listu otrzymanego z Warszawy. „Byłem tak zrażony — pisał korespondent 16 maja 1870 r.—że całkiem serjo wziąłem zobowiązanie się tych, co dopiero po dwóch latach wykłady w języku rosyjskim rozpocząć mieli. Trzy tysiące rubli srebrem wymowniejszym później były argumentem. Niemal już cały komplet w porządku. Do wyjątków należy pięciu profesorów z wydziału lekarskiego (między nimi dr. Chałubiński), oraz na wydziale prawnym Kasznica. Ten ostatni jednak mocno przez Wittego jako unikat napierany, zdaje się, że także, z początkiem nowego kursu, wykład w języku rosyjskim rozpocząć będzie musiał..."

K. Bartoszewicz.

*) Papłoński, o którym tak często mowa, był zupełnie „pogodzony z losem." Ulubieniec Muchanowa cenzor, pisywał do pism rosyjskich. W r. 1860 napisał podręcznik historji powszechnej, w którym poniżał katolicyzm a wychwalał wszystkich despotów. Muchanow chciał, aby ministerjum oświaty potwierdziło ten podręcznik dla wszystkich szkół, ale otrzymał odpowiedź z Petersburga, że „książka ta mogłaby oburzenie wywołać."

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 34

Wołkow robił honory gospodarza, podawał talerze, podsuwał przekąski, zalecał potrawy, nalewał wino, wciąż dogadując, śmiejąc się, klecąc na prędce coraz śmielsze dwuznaczniki. Baron oczu nie spuszczał z dziewczyny, ale milczał i ciągnął małemi łykami naprzemian wódkę i wino.

Młoda kobieta w miarę, jak trunek uderzał jej do głowy, stawała się coraz śmielsza.

— Baronie!...—mówiła, przewracając oczami.—Ty jesteś rycerzem... minnesängerem!... Ty mnie zrozumiesz!... Przysięgam ci, że jestem niewinna!...

— Tem lepiej, tem lepiej!... Ale tymczasem niech pani je!... Te kurczęta są wyborne!... Może sałaty?... Co, nie wydaje się pani, że pani jest w Europie... I to dzięki nam!...

— Nie przeszkadzaj pan!... Chcę baronowi wyjaśnić...

— Po co wyjaśniać!... niech pani mu... pokaże!

— Milcz pan! Pan tu nic nie jest! Lepiej nalej mi szampana... Jak pić to pić!... Już mi się w głowie kręci!... Bałam się, że się nie upiję!... Teraz niczego się nie boję!

— Za prędko, za prędko!... — ostrzegał baron.

— Szampan panią otrzeźwi!... Boski trunek... Zawsze daje człowiekowi, czego mu potrzeba!... Musi pani wypić ze mną jeszcze raz bruderszaft szampanem!...—dowodził Wołkow.

— Mogę wypić! Wszak... będę... wolna niedługo jak ptak i nikt się nie dowie!... Jak daleko stąd do granicy?... Uf, jak gorąco!...

— Niech pani zdejmie... bluzkę!...

— Nie, nic nie zdejmę!..

— A... posłuszeństwo!...—cedził miodowo Wołkow.

— Chyba... że... mi dacie... zamiast bluski... jakie... kimono!...

— Kimona niema, ale jest muślinowa firanka!... — odrzekł Wołkow, spoglądając na okno.

— Dajcie firankę... Pójdę przebrać się do tamtego pokoju... Byle prędzej!...—gadała, podnosząc się i chwiejąc na nogach, dziewczyna.— Ach, jakże się mi w głowie kręci... Nie trafię!...

— Pomogę pani!... — ofiarował się Wołkow.

Wstał i zerwał po drodze firankę. Nowikowa z trudem odsuwała nogą ciężki fotel, wciąż nie mogąc znaleźć równowagi. Wołkow chciał ją podtrzymać za kibić, lecz odepchnęła go i sama zrobiła parę kroków ku drzwiom. Wtem za jej plecami w przeciwległym rogu pokoju rozległo się ciche skomlenie i drapanie do drzwi.

— Co to?—spytała się dziewczyna, obracając się i trzeźwiejąc nagle.

— Nic, nic!... To nie baron, to jego pies!...

— A, pies?... Gdzież są te drzwi?... Tu niema żadnych drzwi... Same dywany!... — mruczała dziewczyna, macając ścianę obok portjery.

— Niech pani da mi rękę!... Ach, rączka...

Jaka rączka gorączka!
Rączki, nóżki—jak kwiatuszki!

—szeptał czule Wołkow, uprowadzając dziewczynę za portjerę.

— Ja sama... Ręce precz!... Poskarżę się baronowi!... Nie zapalaj pan światła! — wołała Nowikowa już w drugim pokoju.

Baron wyjął ze złotej cygarnicy grube cygaro i zapalił je benzynową zapalniczką. Za drzwiami w przeciwległym końcu pokoju znowu rozległo się drapanie i połączone ze skowytem skomlenie. Baron spojrzał w tę stronę i podniósł się cokolwiek, gdy za portjerą rozległy się gniewne wyrazy:

— Wyjdź pan! Wychodź zaraz!... Sama przyjdę, sama...

— Dobrze. Już idę!... Choć pani napewno nie trafi!...—przekomarzał się Wołkow.

Baron wstał i, przeszedłszy wolno pokój, wpuścił dobijającego się wciąż do drzwi psa.

Wpadł w nerwowych podskokach wielki buro-żółty buldog. Przypadł do nóg barona i podniósł ku górze potworny, rozcięty na krzyż pysk z wyszczerzonemi kłami. Nalane krwią ślepia wpatrywały się w pana z tępą wiernością. W tej chwili wyszedł z za portjery Wołkow, z wypiekami na twarzy, z rozgorzałemi wilczo oczyma.

— Zaraz będzie—mruknął do barona!...— Acha, Kaligula już jest!... Doskonale... Zaraz wszystko przygotuję!...

Odsunął od ściany szeroką sofę skórzaną i skoczył do okna, gdzie stało kilka flaszeczek i leżała zawczasu przygotowana chusteczka. Mdły zapach eteru rozszedł się w powietrzu.

— Jestem... jestem!... Tylko nie patrzcie na mnie!... Przyćmijcie lampę... Baronie, dałeś słowo!... O świcie... wolna jak ptak... I nikogo nie będziecie już prześladować, nikogo!... Obiecaliście!...—rozległ się nerwowy szept u proga.

— Żadnego słowa nie dawałem!...—mruknął baron.

— Jakto?... Pułkowniku, jesteś świadkiem... Co to za pies?.., Co to za pies obrzydliwy... Nie było go... Boję się... Zabierzcie go... Inaczej... Zabierzcie...

Cofała się ku drzwiom, tuląc na nagich piersiach przejrzysty muślin firanek. Buldog cłapał za nią z podniesioną mordą ciężko i groźnie.

— Co wy chcecie ze mną zrobić?... Boję się!... Weźcie tego potwora!...—krzyczała.

Wołkow skoczył ku niej, pchnął ku sofie, a gdy na nią upadła, jedną ręką przydusił ją mocno a drugą przyłożył jej do ust i nosa namaczaną eterem chusteczkę.

Baron siedział wyprostowany na swoim fotelu, zgasłe cygaro wypadło mu z palców, oczy rozszerzyły się a po suchej, sępiej, pomarszczonej jego szyi przepłynęła ku głowie, aż do rudych roztrzepanych wąsów fala ceglastego rumieńca...

. . . . . .

W pół godziny potem przez śpiące miasto pędził automobil Wołkowa, uwożąc barona i zawiniętego w prześcieradło trupa młodej kobiety.

Wyrzucili go za ostatnią jurtą przedmieścia i natychmiast stada dzikich psów zaczęły w to miejsce zbiegać się ze stepu.

Z łatwością odnaleźli niedaleko stamtąd samochód barona, rysujący się ostrą kanciastą sylwetką na tle bledniejącego już wschodu. W podniesionej budzie Dordżi Nojon i szofer zgodnie chrapali, otuleni w baranie szuby. Baron rozbudził ich i rozkazał natychmiast szykować się do jazdy. Wołkow już dawno mknął z powrotem do miasta.

Nad dalekim, płasko i nisko roztaczającym się widnokręgiem mleczny świt przebijał się przez gęsty mrok nocy i srebrzył ziemię.

IX.

Ryk syreny samochodu barona wywołał niesłychane zamieszanie w stawce Dordżi Nojona. Krowy, cielęta, jałówki, nawet dzikie buhaje stepowe pędem rzuciły się do ucieczki przed niewidzianym nigdy potworem: końskie tabuny z tętentem rozpierzchły się na wszystkie strony, nawet owce wyłamały się z pod straży owczarek i runiastą falą rwały wprost przed siebie.

Czabanowie, koniuchy, krowiarze z przejmującem „gikaniem" pędzili za stadami, probując opanować je i zawrócić w step, gdyż jurtom, namiotom i wozom stawki groziło, w razie przejścia przez nie fali bydlęcej, zniszczenie i stratowanie.

Ale ludzie byli nie mniej przerażeni niż bydlęta, widokiem wozu niesionego siłą djabelską. Gdyby nie Szagdur, Hanna, Władek i lotnik, którzy wybiegli natychmiast przed jurtę i uspokoili mieszkańców, ci drapnęliby w dal z równą ochotą, jak ich stada. Nawet dumna Geril-tu-Chanum nie mogła wstrzymać drżenia pobladłych ust na widok nadlatującego potwora. Dopiero widok męża, siedzącego w jego wnętrzu, oprzytomnił ją i wywołał uśmiech zadowolenia. Cofnęła się zaraz z Tu-szur i służebnemi w głąb namiotu, aby przygotować się na przyjęcie gości. Dordżi Nojon już wyskoczył z samochodu i czekał na barona, odpowiadając kiwkami głowy na głębokie ukłony cisnących się ku niemu domowników. Szag-dur opowiadał mu szybko po mongolsku najpilniejsze nowiny.

— Czy to są ci... Rosjanie?—spytał baron, kiwając mimochodem głową w stronę Hanki, Władka, Maćka i lotnika, stojących trochę na uboczu.

— Oni są Polacy, ekscelencjo! — odrzekł z uszanowaniem Szag-dur po rosyjsku.

— Wszyscy?

— Wszyscy!

— A wy?

— Ja jestem burjat, syn twego wiernego sługi, Abaszaj Bad-maj Chana!...

— Acha!... Pamiętam, pamiętam... Ojciec też tutaj?...

— Ojciec walczy na froncie ze swoim pułkiem...

— Aa?...

Baron spojrzał znacząco na młodzieńca.

— Byłem ranny. Niedawno dopiero wstałem!...—odszepnął chłopak, rumieniąc się.

— Aa!... Dobrze, dobrze!... — powtórzył znowu baron.

(Dcn)

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

14)

Kiedy stanęli przed jej hotelem i podali sobie ręce, powiedziała serdecznie:

— Niech pan pozdrowi Eugenję, a pan, kochany przyjacielu, niech pan będzie odważny.

Wtedy Lolo odpowiedział:

— Ależ ja jestem odważny. To nie jest bojaźń, niech mi pani wierzy. To jest tylko, jakby to powiedzieć?... To mnie tak boli. Naraz są nieprzyjaciele. Dlaczego? Ja tego nie rozumiem. Tyle miłych porządnych ludzi, tutaj i tam. I naraz... Rozumie pani to? Moja droga pani, czy pani myśli, że ja mam też nieprzyjaciół?

— Nie—odpowiedziała.

I pocałowała go w same usta, a potem znikła w bramie hotelu.

Stał przez kilka minut na trotuarze, oszołomiony, bez ruchu. A potem musiał skryć się do jakiejś bramy, bo zawsze uważał na formy.

I tu w tym ciemnym kącie, na podwórzu grała katarynka, zaszlochał jak dziecko, gwałtownie i namiętnie. A potem prędko osuszył sobie oczy.

I Eugenja zobaczyła go już w stanie normalnym. I zaraz zaczęła:

— Telefonowali z dyrekcji koncertowej...

— Wiem, wiem, ale nie niepokój się, dziecko. Ja myślę, że ty teraz jesteś przedewszystkiem głodna?

— O tak, okropnie...

— A widzisz. Zeszli na dół do sali jadalnej. Jeżeli się uda tak zagadać, żeby się nie martwiła, to wszystko pójdzie łatwo. Chodzi tylko o przebycie czegoś w rodzaju małego czyśćca.

Rozbierał z uwagą pstrąga na talerzu i mówił:

— Sytuacja jest taka: Pierwszą część życia przebyliśmy gładko, a teraz zaczęła się druga część. Ale zanim pójdziemy dalej, trzeba się przedrzeć przez wielkie przeszkody. Trudne przejście, Eugenjo, tak, tak.

— Ludzie, którzy się na tem rozumieją, mówią, że to potrwa co najwyżej rok.

— No tak, a jeżeli będziemy uważać, to nasze oszczędności wystarczą na ten czas. Możesz sobie trochę wypocząć.

— A ty możesz napisać jakieś libretto do operetki. Prawda, przecież chcieliśmy jechać na południe. Czy mogę wziąć Jakóba?

— Nie, nie. Narazie Jakób musi się uczyć, a potem robić karjerę. Zresztą... Twoje zdrowie, Eugenjo!

— Twoje, Lolu...

— ...Zresztą byłoby rozsądniej siedzieć tu spokojnie.

— Dlaczego?

— Teraz nie trzeba zaczynać nic, co wpada w oczy. Teraz nie powinno się zwracać uwagi.

— Ależ, Lolu—zaśmiała się.

— Nie, nie, doprawdy... Mówią, że ludzi zupełnie porządnie ubranych zatrzymują na ulicy i pytają o legitymację.

— No i cóż z tego? Czy twoje papiery nie są w porządku?

— O tak, z pewnością... Muszę się raz popatrzeć... ale teraz nie mówmy o tem. Dobry roastbeef, prawda?

— Dobry.

— A co się tyczy naszej podróży, to trzebaby się najpierw dowiedzieć, jakby to najłatwiej zrobić w dzisiejszych czasach. Najlepiej na dworcu, pojadę dziś wieczór sam i wypytam się.

O spotkaniu z Włoszką nie wspominał. Tak się przyjemnie mówiło przy stole, a nie można wiedzieć...

Pod wieczór Lolo kupił róże, cudowne, same czerwone. Jedną z nich ofiarował zaraz panience, sprzedającej kwiaty, która ją sobie wetknęła we włosy. Potem zawołał na dorożkę.

Czy był rozdrażniony? Nie. Ale pożegnanie na dworcu miało w sobie zawsze coś dramatycznego, więc jego ręka drżała, trzymając w palcach mały, cieniutki papierosik.

Zresztą zobaczył po drodze trzech żołnierzy wyprostowanych, z karabinami, prowadzących jakiegoś zupełnie normalnego pana w cylindrze na głowie.

Woźnica na koźle obrócił się i zauważył:

— Szpieg.

— Ach, co ty mówisz!—zawołał Lolo.

Przyczem zrobił przerażoną minę, głównie dlatego, żeby mu zrobić przyjemność. Ale czuł przytem: To się może zdarzyć każdemu, mnie także, jeżeli djabeł zechce.

Doprawdy, że przeszedł go lekki dreszczyk.

Miał czyste sumienie, ale jedna rzecz przeszkadzała mu zawsze. Nigdzie nie mówił tak jak inni ludzie. Jego akcent zwracał wszędzie uwagę, w całej Europie. Może był urodzony na Marsie. Być egzaminowanym naraz gdzieś w publicznem miejscu, przed wieloma ludźmi, nie, tego sobie nie życzył.

A na dworcu były tłumy ludzi i bagnetów. Podobnie jak inżynjer w swoich wędrówkach, tak i Lolo chciał w tem mrowisku—utonąć.

Zastosowywał swoje ruchy posłusznie do ruchów innych ludzi, a ci słuchali znowu służby kolejowej i policji. Przytem ochraniał delikatne kwiaty przed brutalnem zetknięciem z brutalnem życiem.

Wtem dostał się, jak we śnie, na peron. I naraz było wokoło niego pusto i wesoło, że tłumy naraz zniknęły, wydawało mu się niezasłużonem szczęście, któremu nieświadomie nie dowierzał.

I wtedy nagle:

— Dokąd pan jedzie?—krzyknął na niego jakiś straszny głos.

W oczach mu pociemniało.

— Ja... ja... jadę—jąkał się—ale właściwie... to jest... ja chciałbym...

— Precz stąd!—zagrzmiało nagle, ale tym razem nie jeden, tylko więcej głosów.

Chciał być posłusznym, ale robił to źle, skręcił w prawo, zamiast w lewo, albo w tył.

Co się z nim stało?

Ktoś go rzucił do jakiegoś pokoju i drzwi za nim zatrzasnął. Był uwięziony.

— Proszę bardzo—wołał—proszę uprzejmie...

Zobaczył Włoszkę, na peronie przechodzącą tuż koło okna jego więzienia.

— Tutaj—krzyczał jak mógł najgłośniej. —Ja tutaj jestem, najdroższa...

Ale ona go nie słyszała.

Ona mnie szuka daremnie — myślał—co sobie o mnie pomyśli?

Zauważył żołnierzy, stojących poza oknem, kilkuset, może kilka tysięcy. I wszyscy patrzyli mu wprost w twarz.

Wyciągają broń—obserwował ich—składają się na mnie.

Zostało mu tyle czasu, żeby przyłożyć rewolwer do skroni...

Kiedy znaleziono eleganckiego samobójcę, trzymał kurczowo duży bukiet róż w lewej ręce.

X.

Inżynjer cierpiał na straszne, chroniczne lenistwo. I miał z tego powodu częste wyrzuty sumienia.

Starał się pocieszyć.

Zostałem ojcem, tłumaczył się przed sobą, przyszły nowe troski, oprócz tego za dużo się teraz dzieje na świecie. Kto ma teraz potrzebny wewnętrzny spokój, aby tak pracować jak dawniej?

Koledzy w biurze mówili to samo, ale ich konsekwencja pozostawiała wiele do życzenia, prawie wszyscy siedzieli przecie przy swoich stołach i pisali.

Ogólna cisza była dla tego, który nic nie robił, nad wyraz przykra.

Inżynjer sam nie wierzył w to, co sobie wmawiał. Wiedział aż nadto dobrze, czego mu właściwie brak.

A szczególnie zawstydzało go zachowanie się Jakóba, który jak dojrzały człowiek wypełniał skrupulatnie swoje obowiązki, pomimo nieszczęścia, jakie go spotkało. Po odebraniu listu z wiadomością o tragicznej śmierci Lola, Jakób był przez dwa dni niewidzialny. Kobiety w domu daremnie chciały go pocieszyć, nie dawał im do tego sposobności. Majorowa rozumiała dobrze wstydliwość jego cierpienia, ale blada Leopoldyna była poprostu urażona, że Jakób nie pozwalał jej płakać ze sobą.

Trzeciego dnia rano zjawił się opakowany książkami i zeszytami, a twarz jego była już tak świeża jak zawsze.

W przekonaniu Leopoldyny mógł był jeszcze przynajmniej przez tydzień zupełnie spokojnie siedzieć w domu złamany i do roboty niezdatny.

— Już wpół do ósmej—powiedział swoim zwykłym głosem—a dziś jest łacińskie zadanie szkolne.

I napisał to zadanie szkolne lepiej niż inni.

— Spotkało cię wielkie nieszczęście—rzekł do niego gospodarz klasy.

— Tak, ale jestem przygotowany—odpowiedział Jakób—i mogę być pytanym.

(*Dcn*)

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Nr 42 Ogólnego zbioru 3,335 Wydawnictwa rok 64. 13 Października 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

W 150-tą ROCZNICĘ
USTANOWIENIA „KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ".

STANISŁAW KONARSKI Rzeźb. AL. BORAWSKI

KOMISJA EDUKACJI NARODOWEJ.

Wychowanie społeczeństwa uznane zostało przez wszystkie narody za fundamentalną podstawę państwa, jego dobrobytu i szczęśliwości. Kultura i wiedza bowiem są temi szczeblami, po których dojść można do zapewnienia całemu narodowi razem i wszystkim obywatelom oddzielnie najznośniejszych warunków bytowania. W społeczeństwie rozumnem i wykształconem łatwiej jest rządzić, sternicy nawy państwowej łatwiej znajdą posłuch, a prace ich zmierzające do rozbudowywania idei państwowej cieszą się nie tylko uznaniem, ale poparciem ogółu. Do wychowywania zaś społeczeństwa, zaszczepienia weń szczytnych myśli, patrjotyzmu, a przedewszystkiem zasad moralności i etyki obywatelskiej doprowadzić może tylko dobra szkoła. W niej od dziecka kształtują się dusze i umysły przyszłych pracowników państwowych i karnych szeregów obywateli, tu urabiają się pojęcia dobra i zła, tu wreszcie znajdują się drogowskazy dla pracy na długie lata żywota.

Ignacy Potocki.

Polska, jeśli kulturą swoją XVII i XVIII wieku cofnęła się znacznie po za dorobek zachodu, to przypisać to wyłącznie należy upadkowi szkolnictwa. Ciągłe wojny z kozactwem, hordami tatarskiemi, najazdem szwedzkim i Moskwą nie tylko zrujnowały kraj, nie tylko wyczerpały jego zasoby finansowe, ale i odwróciły umysły szlachty od dziedziny kultury. Kto znaczną część życia od najmłodszych lat spędził wśród wrzawy bitewnej i rękę przyzwyczaił do szabli, ten niechętnie nawet w chwili spokoju chciał się parać z piórem, lub książki uczone wertować. Raczej zażywał szczęścia domowego, korzystając z dobrobytu, w który szlachta opływała. O wyjazdach za granicę dla celów naukowych nie myślano już teraz tak jak w złotym wieku za czasów Jana z Czarnolasu. Zdało się to zbytecznym jakimś luksusem, na który nawet ci, których było stać—nie chcieli sobie pozwolić. To też życie umysłowe zamierało wszędzie, szkoły nieliczne podupadały, profesorowie poważni wymarli, inni nie uczoność, ale wszystkie śmieszności średniowiecznej pedagogji po nich przejęli. „Uniwersytet Jagielloński—mówi prof. Kot *), świetny znawca szkolnictwa polskiego — popadł w nędzę materjalną i zacofanie umysłowe, akademja zamojska i wileńska stały na poziomie nie wyższym od szkoły średniej. Zburzone przez nietolerancję religijną szkoły arjańskie i kalwińskie już nie stanowiły łącznika z ruchem naukowym społeczeństw zachodnich, zakłady naukowe luteran pruskich, choć dobrze prowadzone (w Toruniu i Gdańsku zwłaszcza) nie wywierały żadnego wpływu na oświatę. Ustał zwyczaj wysyłania młodzieży po wiedzę zagranicę—z tej głównie przyczyny, że szlachta nie odczuwała pociągu do gruntowniejszego kształcenia się, najzupełniej zadowalając się tem, co jej dać mogły szkoły krajowe. Całe zaś wychowanie zostało wyłącznie w ręce licznych szkół jezuickich i garstki innych (pijarskich, kolonij uniwersytetu krakowskiego) podlegających całkowicie wpływowi jezuickiemu".

Oddanie szkół w ręce jednego zakonu uczyniło je jednostronnemi, poziom zaś nauczania wiele pozostawiał do życzenia, choćby z tego względu, że po zmonopolizowaniu szkolnictwa, wskutek braku konkurencji, wkradł się i do tych uczelni pewien kwietyzm, szablon i rutyna, zabójcze tam, gdzie z postępem czasu i rozwoju ducha ludzkiego naprzód podążać trzeba. „Nauka łaciny, która całkiem szkołę jezuicką pochłaniała, uległa zwyrodnieniu. Uczono języka zanieczyszczonego, starając się tylko wprawić młodzież w płynne mówienie; gramatykę Alwara wbijano w głowy w sposób mechaniczny; w poetyce wpajano niesmaczną mieszaninę mitologji pogańskiej z nabożnością katolicką;—uczono wreszcie układać wiersze łacińskie o pustej, często szkodliwej treści, a sztucznej, wręcz akrobatycznej formie." A duch, a idea tego szkolnictwa? Nie lepsze od programu szkolnego. Opierając się bowiem na szlachcie, która podtrzymywała te szkoły—sprzyjała ona poglądom stanowym i politycznym tej sfery. I tu — jak w domu — słyszał uczeń ciągle tylko o tem, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", i tu dowiadywał się o źródle szczęśliwości obywatelskiej w swobodach bez granic, złotej wolności i przywilejach. Nic tedy dziwnego, że ciemna szlachta, brana na lep pobożności, sprzyjała tym szkołom, że „erudycja" tą drogą zyskiwana była dla niej wystarczająca, zwłaszcza, jeśli pozwalała na popisywanie się sentencjami łacińskiemi i łatwością wysłowienia się językiem Cicerona, chociażby w kuchennym stylu.

Taki stan trwał nieprzerwanie aż do czasu zorganizowania (1740) przez Stanisława Konarskiego szkoły szlacheckiej „Collegium nobilium", wzorowanej na podobnym instytucie, założonym w Rzymie przez Paulina Chelucci'ego. Twórca tej pierwszej nowoczesnej szkoły w Polsce, członek zakonu pijarów, którzy w stałej walce o ster wychowania w Polsce pozostawali z Jezuitami—po dłuższych studjach zagranicznych dał podwaliny nowemu systemowi nauczania. Ograniczył naukę łaciny, odstawił Alwara, poznanie zaś języka łacińskiego oparł na lekturze, nie jak to było dotychczas na bezmyślnem pamięciowem wykuwaniu gramatyki. Pokaźne miejsce zajął też język polski i historja obok poznania ojczystego prawa politycznego, retoryki, polityki i filozofji."

„Collegium nobilium" było wstępem do wielkiego odrodzenia szkolnictwa polskiego w ogólności, zaś pijarskiego w szczególności. Konarski bowiem, pozyskawszy względy prowincjała Komorowskiego dla swoich zamiarów i po wyjednaniu zgody papieża Benedykta XIV, ułożył „Ustawy wizytacji apostolskiej" (1754), które rozciągały się na wszystkie uczelnie zakonu, dając im szerszy zakres, wprowadzając do nich ducha szczerego patrjotyzmu i dobrych obywatelskich zasad. Miały one głównie być wszczepiane przez retorykę, tę koronę nauk w szkole XVIII wieku, ale retorykę nie opartą na pustej frazeologji jak dotychczas, ale popartej przykładami z życia państwa, jego ustroju oraz zagadnień politycznych. „Ustawa" spisana przez Konarskiego na tematy opracowań retorycznych zaleca między innemi takie: „Fałszywa i przeklęta to zasada: Nierządem Polska stoi", albo „Choroba zrywania lub bezużytecznego rozwiązywania sejmów nadewszystko Rzeczypospolitej szkodliwa i zgubna". Widać więc, jak system wychowania pijarskiego miał przeciwstawić się ideom szkoły jezuickiej, oraz jak trudnego podjęto się zadania: umoralnienia politycznego szlachty i uspołecznienia jej drogą rozważań natury zgoła odmiennej, niż te, które przynosiła z sobą złota wolność.

Nie zapomniał też Konarski i o tem, że szkoła i jej poziom dźwignąć się może tylko przez nauczyciela. To też w „Ustawach" swoich mówi, że „niech wiedzą nauczyciele, iż nic niema wstrętniejszego, nic bardziej przeciwnego postępowi uczniów, jak ociężałość nauczyciela, znudzenie, niedbałe ułożenie ciała, nałóg ciągłego siedzenia, powolność ledwo żywego głosu..." Uczący powinien być przygotowany gruntownie do lekcji, umieć więcej niż to, co mówi na wykładzie, stale kształcić się, dopełniać swych wiadomości, „zagłębiać się w książki moralne i polityczne".

Grzegorz Piramowicz.

Jakkolwiek idee Konarskiego otwierały przed szkolnictwem polskiem zupełnie nowe horyzonty, to jednak były cząstkowe, albowiem nie obejmowały szkół wyższych i początkowych, a tylko szkolnictwa średniego dotyczyły. Zresztą reformą tą objęte były jedynie nieliczne szkoły pijarów. Reszta uczelni trwała nadal w bezmyślności, przy systemach nie tylko przestarzałych, ale i zacofanych wobec nowych myśli, jakie poczęły rodzić się na zachodzie, a streszczenie swe znalazły w dziełach Kondyllaka, Jana Jakóba Rousseau'a i twórcy narodowego wychowania, La Chalotais. Wielcy nauczyciele epoki Odrodzenia skierowali wychowanie na tory tak odmienne, że wraz z tą zmianą ulec musiały rewizji wszystkie zasadnicze pojęcia człowieka o świecie i jego zjawiskach. Gramatyka i retoryka zginęły tu na zawsze, a jej miejsce zajęły: geografja, historja naturalna, matematyka, geometrja i fizyka. Nie książka, lecz życie miało być podstawą nauki. Zasady moralności ważniejsze są niż łacina, a ekonomja, polityka i prawo więcej znaczą niż Alwar.

Odrodzenie ludzkości, wydobycie na plan pierwszy człowieczeństwa, oto hasła rozbrzmiewające w drugiej połowie XVIII wieku na zachodzie. Do nas doszły one niestety wtedy, kiedy sejm 1773 r. miał zatwierdzić pierwszy rozbiór kraju. Ale rzecz znamienna, że na tym właśnie sejmie zabrano głos w sprawie „edukacji krajowej". Poseł F. Oraczewski mówił o niej, jako o rzeczy, „która zdaje się, że będzie najpewniejszem źródłem wszystkich szczęśliwości naszych. Trzeba nam ludzi zrobić Polakami, a Polaków obywate-

*) Stanisław Kot, prof. Uniw. Jagiell.: „Reforma szkolna Stanisława Konarskiego" Kraków 1923.

lami. Stąd nastąpią wszystkie pomyślne dla kraju powodzenia".

Byłby ten głos napewno przeminął bez echa, rzucony w tłum posłów przedajnych, prywatę tylko mających na oku—gdyby nie to, że papież Klemens XIV skasował w tymże samym roku zakon jezuitów. Kasata ta wytrąciła jezuitom od razu całe szkolnictwo z ręki, kraj na raz zostawiła bez uczelni, trzeba więc było bezzwłocznie zabrać się do zorganizowania nowych szkół, powołać nowe siły nauczycielskie, zbudować cały niemal aparat szkolny, niewiele bowiem tylko szkół po za jezuitami istniało. Zaczęto od tego, że na utrzymanie szkolnictwa przeznaczono dobra

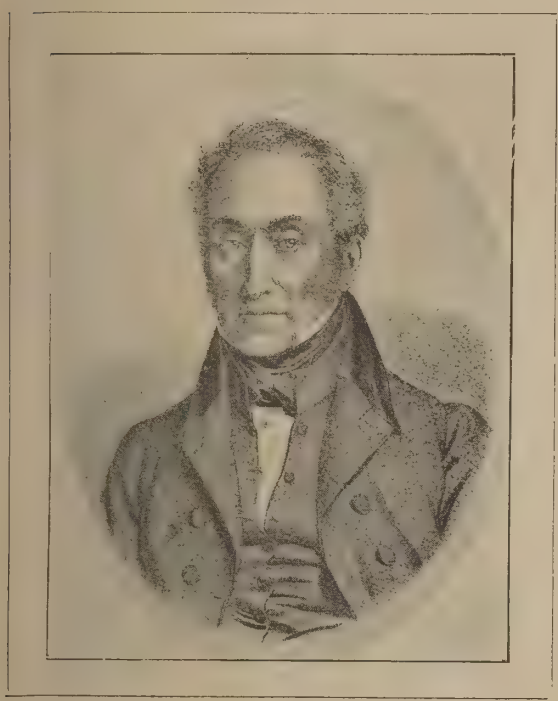

Adam ks. Czartoryski.

pojezuickie. Była więc już podstawa materjalna dla instytucji. Niełatwo zaś zgodzono się na to komu powierzyć kierownictwo szkół w Polsce: czy księżom świeckim, czy władzom cywilnym. Postanowiono wreszcie po naradach 7 dni trwających, że zostanie utworzona pod protektoratem króla „Komisja edukacji narodowej", co ogłoszono 14 października 1773 roku. W skład Komisji weszło 8 członków, mianowicie biskup płocki Michał Poniatowski, wojew. gnieźnieński Aug. Sułkowski, biskup wileński Ign. Massalski, podkanclerz Joachim Chreptowicz, b. kanclerz Andrzej Zamoyski, starosta Kopanicki, Antoni Poniński, ks. Adam Czartoryski i pisarz litewski Ignacy Potocki. Przewodniczącym Komisji obrano Massalskiego. Członkowie Komisji mieli sprawować swój urząd przez lat siedm—a podlegać im miały wszystkie generalne akademje, gimnazja, kolonje akademickie i szkoły publiczne „z tem wszystkiem, co tylko do wydoskonalenia nauk i ćwiczenia w nich młodzi szlacheckiej ściągać się może".

Pierwszym czynem Komisji było wydanie uniwersału do narodu (24/X), obwieszczającego powstanie instytucji, oraz wzywającego do nadsyłania projektów urządzenia szkolnictwa. Apel ten tem konieczniejszym być musiał, że należało pracę nad sformowaniem nowych uczelni podjąć szybko, wzorów zaś w tym kierunku nie było żadnych. Noszono się wprawdzie z projektem sprowadzenia fachowych pedagogów z zagranicy, zwłaszcza Francji, ale trzeba było mieć pewność co do osób i zaufanie do ich talentów organizacyjnych, a to tylko mogła dać znajomość bezpośrednia odrodzonego szkolnictwa zagranicznego, a tej jeszcze nikt nie posiadał.

Odezwa jednak Komisji do społeczeństwa —jak się okazało—była pomysłem szczęśliwym. Napłynęły bowiem bardzo rzeczowe referaty, na których można było oprzeć zrąb zasadniczych ustaw. I tak Franciszek Bieliński skreślił „Sposób edukacji w 15 listach opisany" (1775), gdzie poraz pierwszy domagał się powszechnej edukacji, ks. Antoni Popławski napisał rzecz „O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej" (1775) opartą o najnowsze teorje pedagogiczne zachodu, Adolf Kamieński wydał „Edukację obywatelską", żądającą utworzenia szkół zawodowych i handlowych, członkowie Komisji: Ignacy Potocki i ks. Adam Czartoryski wystąpili również z oddzielnemi rozprawami. Pierwszy z nich ogłosił „Myśli o edukacji i instrukcji w Polsce ustanowić się mającej", drugi „Plantę instrukcji publicznej."

W ten sposób Komisja Edukacji narodowej uzyskała bardzo ciekawy materjał, z którego mogła przejąć rzeczy najistotniejsze i najbardziej wartościowe. Uczyniła też to, włączając do swych „ustaw" nie jedno trafne spostrzeżenie i radę wspomnianych autorów. Zanim jednak „ustawy"

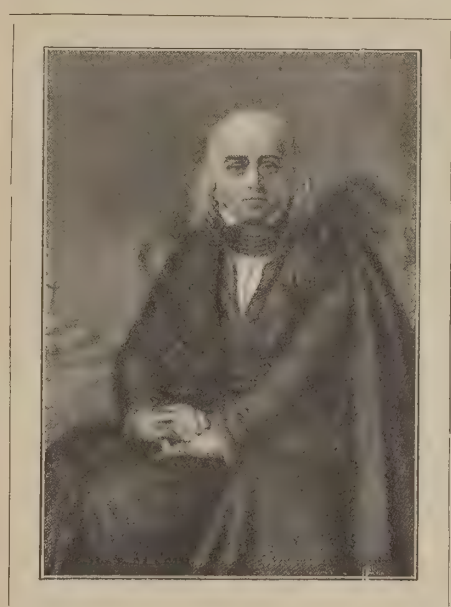

Jan Ursyn Niemcewicz.

się ukazały, trzeba było postarać się o nauczycieli i podręczniki szkolne. Jedno i drugie było nie łatwe, gdyż eks-jezuici niechętnie zostawali przy zawodzie nauczycielskim, chcąc w ten sposób okazać niejako niezbędność zakonu, zaś uczelni wyższej, przygotowującej pedagogów, nie było. Akademja krakowska w stanie swoim ówczesnym nie nadawała się do wychowywania nauczycielstwa owianego nowym duchem, akademja wileńska była w upadku, zamojska zaś po pierwszym rozbiorze przeszła pod obcy zabór. Zresztą z czegóż uczyć, oraz co dać nauczycielom do ręki jako wskaźnik przy nauce młodzieży, skoro żadnych podręczników nie było? To nasunęło Komisji myśl utworzenia „Towarzystwa do ksiąg elementarnych" (1775) przy którem skupiono tak poważne siły, jak Potocki (prezes), Piramowicz (sekretarz i dusza Towarzystwa), Albertrandy, Kniaziewicz, Koblański i in. Miała to być instytucja orzekająca, jakie książki mają być wprowadzone przy nauce, instytucja, na której barkach spoczywała nie cenzura istniejących podręczników, ale trud zamówienia u uczonych polskich i zagranicznych oryginalnych, dostosowanych do potrzeb chwili książek. Towarzystwo częściowo posłużyło się drogą konkursu, podręczniki najważniejsze jak do nauki języka polskiego, nauki moralnej, religji i historji zamówiło wprost u autorów, do których miało zaufanie, że z poruczonej sobie pracy wywiążą się dobrze.

Kiedy „Towarzystwo do ksiąg elementarnych" tę pracę wykonywało—sama Komisja przystąpiła do reorganizacji wyższych uczelni. Akademją Krakowską zajął się ks. Hugo Kołłątaj, usuwając z niej wszystkie przeżytki czy to w ustroju, czy też w sposobach nauczania. Dzięki jego inicjatywie powstał szereg nowych katedr obsadzonych przez profesorów młodych, pełnych zapału i zdolności niepoślednich—przy katedrach utworzono laboratorja i pracownie. Główną troskliwością otoczono wydział filozoficzny, jako ten, z którego miały wyjść zastępy nauczycielstwa. Podobną reorganizację, chociaż mniej owocną, przeprowadzał z ramienia Komisji Marcin Poczobut w akademji wileńskiej.

Z nowym ustrojem uniwersytetów łączyła się bezpośrednio sprawa hierarchji szkolnej, wzajemnego stosunku szkół parafjalnych, wydziało-

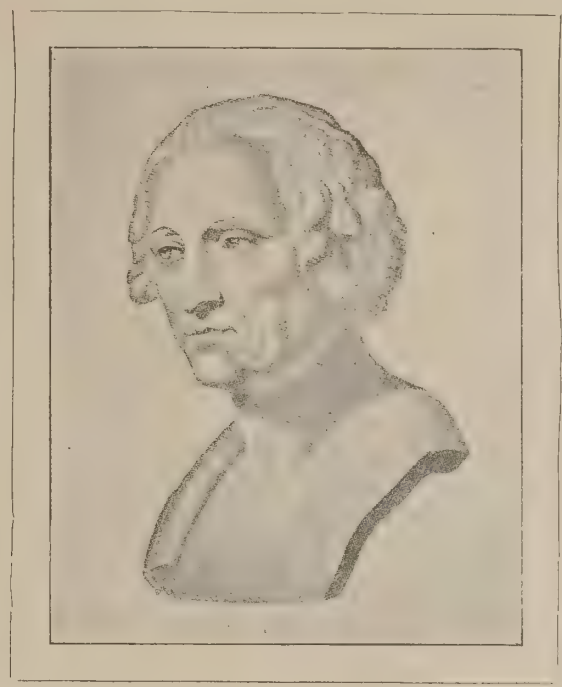

Joachim Chreptowicz.

wych i uniwersyteckich, a co za tem idzie, ujęcia całej organizacji w formę stałą ustaw. Do ich ułożenia powołano Kołłątaja, Piramowicza, Jakubowicza, Narbutta, Kopczyńskiego, Hołowczyca, Koblańskiego. Redaktorem głównym był Piramowicz. Już w r. 1781 „Ustawy Komisji Edukacji Narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane" były gotowe. Poddano je jednak pod obrady konferencji wszystkich rektorów, a następnie próbnie stosowano w szkołach przez rok cały. Dopiero kiedy praktyczność ich stała się niezaprzeczoną—weszły w życie od r. 1783.

Ustawy te można zaliczyć do najstaranniejszych i najlepszych w ówczesnej Europie. Unormowano niemi stan nauczycielski, wprowadzając jego specjalizację, ustalono wzajemną łączność szkół dla uzyskania ciągłości nauczania, unormowano stosunek religji do innych nauk, w szerokim zakresie uwzględniono wychowanie narodowe, obywatelskie i moralne, nie pominięto też wychowania fizycznego.

Mimo doskonałości ustaw trudną okazała się ich realizacja. Nieoczekiwanie wystąpiła przeciw nim szlachta, uważając je za zbyt wolnomyślne, bruździli przeciw nim eks-jezuici, wielu nauczycieli, nie umiejąc dostosować się do nowego planu, trwało dalej przy starych metodach. „Nietajne było komisji — pisze dr. Kot — że w wielu szkołach nie przestrzega się ściśle ustaw, że zwłaszcza nauczanie nie odbywa się podług ich przepisów. Najgorzej wykładano historję naturalną, gdyż nauczyciele sami nigdzie w tej nauce nie kształcili się. Wizytatorowie notują, że w jednej szkole nauczyciel rozbierał z uczniami pytanie: po jakich znakach poznaje się krowę zyskowną, w innej — czemu lepszy pies czarny do pilnowania domu a czemu biały do strzeżenia bydła w polu"...

I w innych naukach były braki. Złożyć to można na karb tego, iż nie było książek szkolnych, które mimo prac Towarzystwa ksiąg elementarnych nie mogły pojawić się dla wszystkich szkół na raz.

Zresztą przy dobrej woli nie jedno byłoby zrobione lepiej. Niestety Komisja edukacyjna musiała walczyć z wrogiem stanowiskiem zakonów, utrzymujących szkoły oraz niechęcią szlachty do wszelkich inowacyj. Szkoły Komisji wskutek tego miały mało uczni, podczas gdy pokątne uczelnie starego typu były przepełnione. Komisja, chcąc oprzeć się na realniejszych podstawach, projektowała przez deputację, aby „nikt nie mógł być dopuszczony do żadnego urzędu, ani godności publicznej, kto nie wykaże się świadectwem ukończenia szkoły publicznej". — Naturalnie szlachta sprzeciwiła się temu—a mając ofertę eks jezuitów prowadzenia szkół bezpłatnie za cenę przywrócenia zakonu, wypowiedziała się na sejmiku — 1790 r. przeciw Komisyj edukacyjnej. Na szczęście sejm, uchwalający Konstytucję 3 maja, utrzymał w mocy tę instytucję, będącą chlubą kultury polskiej XVIII wieku. Dopiero rozbiory położyły kres dalszej jej pracy.

Charakteryzując na ogół działalność Komisji, monografista jej *) mówi, że „do oczywistych rezultatów w pierwszym rzędzie zaliczyć można długi szereg nowości, które sprowadzała ona w życie kulturalne i edukacyjne narodu. Wywalczyła mianowicie zwycięstwo zasadzie upaństwowienia szkolnictwa i wpływu rządu na wychowanie przyszłych obywateli, obaliła tradycję zależności szkoły od kościoła, rozpoczęła planowe kształcenie nauczycielstwa, a przez reformę uniwersytetów wyrwała polskie życie naukowe z zaśniedziałości, otwierając drogę pięknemu rozwojowi nauk. Dalej zbudowała Komisja potężne wiązanie szkolnej hierarchji — jakie dopiero w 20 lat później miał stworzyć dla Francji Napoleon — dzięki czemu wydobyła z leniwego społeczeństwa wielki zasób energji i zapewniła szkołom zdrowy rozwój a nauczycielstwu wielki wpływ na sprawy pedagogiczne; stworzyła szereg podręczników szkolnych, które miały być podwaliną nauki polskiej na długie lata, wprowadziła do szkoły polskiej nowożytne metody dydaktyczne, językowi ojczystemu zapewniła wyłączne ne panowanie w szkolnictwie, myślała o zorganizowaniu szkolnictwa dla kobiet.

Walną jednak zasługą Komisji edukacyjnej jest, że „przez natchnienie młodzieży duchem obywatelskości i patrjotyzmu przyśpieszyła moralne odrodzenie narodu". △

STANISŁAW KONARSKI.

(*W sto pięćdziesiątą rocznicę śmierci*).

Mówi Asnyk, że „grób proroka, mędrca, bohatera jasnych żywotów staje się kołyską". Ma słuszność—o tyle, o ile prorokami, mędrcami, bohaterami będziemy nazywali jedynie tych budowników kultury, którzy do jej skarbca wnieśli coś trwałego, coś nieśmiertelnego, i którzy przez to należą do szeregu „ludzi wiecznych" (według terminologji Mickiewicza).

Otóż Konarski jest właśnie „człowiekiem wiecznym", albowiem do skarbca kultury polskiej wniósł wartości nieśmiertelne.

Ideę naczelną, przyświecającą jego działalności, możnaby streścić w tych słowach: Polska może i powinna być państwem potężnem, nie będzie zaś niem, jeżeli nie będzie mądrem, oświeconem społeczeństwem, ponieważ bez mądrości, bez rzetelnego światła niema i być nie może potęgi politycznej, jak niema i być nie może—moralności. Nikt w dawnej Polsce przed Konarskim nie rozumiał tej prawdy tak jasno, nikt nie wierzył w nią tak święcie i głęboko, to też nikt jej nie służył tak wytrwale, jak on.

*) St Kot: „Komisja edukacji narodowej 1773—1794" Kraków 1923.

Potwornym hasłom w rodzaju: „Polska nierządem stoi", albo: „Polska dopóty się ostoi, dopóki będzie państwem słabem, bo słabe państwo nie jest groźne dla sąsiadów, którzy więc zostawią je w spokoju",—przeciwstawił hasło potęgi państwa. A ponieważ rozumiał, że nie wytworzy jej Polska dopóty, dopóki nie uleczy swojej kardynalnej, śmiertelnej choroby, którą jest *liberum veto*, więc tej właśnie strasznej chorobie wypowiedział walkę—w dziele *O skutecznym rad sposobie*.

Jest ono kołyską tej mądrości politycznej, która wydała owoce na Sejmie czteroletnim, albowiem ono dopiero otworzyło społeczeństwu oczy na groźne niebezpieczeństwo, w jakie wtrąciła Polskę wiekowa anarchja, i na konieczną potrzebę reformy politycznej; niedosyć na tem, ono

Stanisław Konarski.

dopiero przyłożyło siekierę do korzenia, odkrywając główne źródło złego.

A ileż myśli w tem dziele, które do dziś dnia nie straciły i nigdy nie stracą swej prawdy! Oto przykłady.

„U siebie dobrze się rządzić i w dobrym się postawić stanie—to jest najpewniejsze bezpieczeństwo kraju; *mogą natenczas dopomóc sąsiedzi i szczerze, kiedy ujrzą, że i my wprzód sobie dopomagamy sami i im za podaną okazją dopomóc możemy*".

„Dajmy pokój niegodziwym o polepszeniu stanu Rzeczypospolitej desperacjom... Aleć i grzech jest wielki, i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitej".

„Kiedy pozbędziemy się strasznego nierządu i bezradnej anarchji, to i wielu bardzo pozbędziemy się złego, niecnót, podłości i grzechów, ludzką społeczność psujących":

„Czyliż, niźli Ojczyzna, więcej prawo waży? całość Ojczyzny nie jestże najwyższe prawo?"

„Bóg sam tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo, ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną ich własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cudu, przyprowadził chcenia".

Jak dzieło *O skutecznym rad sposobie* jest kołyską nowoczesnego rozumu politycznego w Polsce, tak *Collegium nobilium* jest kołyską naszej nowoczesnej oświaty; pierwsza to bowiem szkoła nasza, która świadomie nawiązała zerwaną już w drugiej połowie XVII wieku łączność pedagogicznej myśli polskiej z myślą wychowawczą Europy zachodniej.

Znaczne ograniczenie scholastyki i praktyk religijnych; wprowadzenie do programu szkolnego nauk przyrodniczych i filozofji nowoczesnej; ograniczenie języka łacińskiego, jako wykładowego, na rzecz mowy ojczystej; wprowadzenie języka francuskiego; reforma wychowania moralnego, oparta na znajomości duszy narodowej i wogóle nadanie wychowaniu szkolnemu charakteru narodowego, świadoma dążność do urobienia z wychowańców dobrych obywateli państwa: oto największe dobrodziejstwa, jakiemi Konarski obdarzył szkołę polską.

Lecz zapyta może kto: „Gdzież w tem wszystkiem, w tej całej reformie, trwałe wartości? Szkoła Konarskiego była, zapewne, ogromnym postępem w XVIII wieku, ale przecie dzisiaj za wzór służyć nie może".

Owszem—może i powinna, nie w tem znaczeniu, żeby program nauczania szkolnego miał być dzisiaj ten sam, co w *Collegium nobilium*, ale że powinien być oparty na tych samych zasadach, co program Konarskiego.

To znaczy, po pierwsze, że szkoła nasza i dziś powinna mieć charakter narodowy, że zwłaszcza w wychowaniu moralnem powinna się rachować z duszą dziecka polskiego, że powinna reformować nasz charakter narodowy, charakter polski, że wreszcie może i powinna mieć charakter państwowy—o tyle, że jednem z jej zadań naczelnych powinno być wychowanie dobrych i pożytecznych obywateli państwa.

Po drugie, reforma szkolna Konarskiego, ograniczając scholastykę i praktyki religijne, kładąc kres wszechwładztwu łaciny, wprowadzając do nauczania nauki przyrodnicze, filozofję nowoczesną, naukę języka francuskiego i t. d.,—miała charakter nie mniej postępowy, jak szkoły, powołane później do życia przez Komisję Edukacyjną, której właściwym twórcą jest nie kto inny, tylko on, Konarski.

I właśnie przez tę swoją postępowość była szkoła Konarskiego, jak później będą szkoły Komisji Edukacyjnej, kamieniem obrazy dla wielu: zarzucano mu przecie, pomiędzy innemi, że, wprowadzając do szkoły język francuski i racjonalizm filozofji nowoczesnej, nie pomógł, tylko zaszkodził szkole polskiej. A i do dziś dnia jeszcze nieraz przecie słychać u nas przedpotopowy pogląd, że racjonalizm XVIII wieku, że całe wogóle oświecenie przyniosło nam szkodę, bo podkopało dawną religijność i moralność! Otóż ci, którzy tak myślą, ci, którzy kulturę oświecenia, zbudowaną na fundamencie nowoczesnej filozofji racjonalistycznej, poczytują za zgubny i fałszywy prąd życia duchowego,—ci wszyscy (a jeśli się nie mylimy, jest ich u nas bardzo wielu) nie mają prawa do czczenia pamięci Konarskiego, bo on to właśnie zaszczepił w Polsce tę kulturę—wielką i wspaniałą kulturę oświecenia; on wyrwał Polskę z pod władzy bezmyślności i ciemnoty; on wskazał Polsce Francję, jako ojczyznę rzetelnego postępu umysłowego; krótko mówiąc, on jest ojcem nowoczesnego postępu w Polsce, który do dziś dnia ma u nas tak licznych wrogów, jak djabeł święconej wody bojących się tego, co stanowi może największą wartość i najwybitniejsze znamię umysłowości i charakteru Konarskiego: odwagi rozumu ludzkiego. *Sapere ausus!*

„Kto z duchem czasu nie idzie—mówi gdzieś Trentowski—duch ten, jak wąż dusiciel, okrąży go silnemi pierścieńmi i o ziemię ciśnie". Konarski—i jako polityk, i jako wychowawca (i, dodajmy, jako reformator smaku estetycznego)—szedł z duchem czasu, nie biernie, oczywiście, tylko, jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie, czynnie; to znaczy, on sam chciał być i rzeczywiście był jednym z twórców tego ducha—i uczył Polskę, że, pod grozą upadku, musi z nim iść.

Ze wszystkich jego zasług ta jest największa i—nieśmiertelna. *Ig. Chrzanowski.*

LEOPOLD STAFF:

POEZJE.

NAJBLIŻSI.

Gdzież jesteście na wielkim tym świecie,
Drogich druhów przeczute postacie?
Snać najbliższych swych dotąd nie znacie,
Boć jużbyście zjawili się przecie!

Kiedy, z jakiej oddali przyjdziecie,
By przy naszej zatrzymać się chacie —
I o imię nasze zapytacie,
Wy, co kiedyś nas wszak zrozumiecie?

— „Jak zapytać nam o was, nie wiemy,
„Dotąd bowiem nasz język jest niemy,
Gdyż na świecie jeszcze nie żyjemy.

„Gdy nadejdziem z najdalszej oddali,
„Zrozumiemy was całych my cali,
„Lecz was Zmarłych nie będziem już znali".

RADOŚĆ.

Wieczór po pracy chyli moje czoło,
Jako o zmierzchu wiew drzewa kołysze.
Dzięki Ci, Panie, za ten smutek wkoło
I za tę wielką w sercu mojem ciszę.

Trud, co mnie krzepi i niesie znużenie,
Kiedy opada ramię omdlałością, —
Powagę daje mi, ustom milczenie;
Albowiem radość nie jest wesołością.

Jest—gdy niewidną dzikie gęsi smugą
Ciągną w jesienny zmierzch, z krzykiem, w tęsknocie;
Człek staje, ziemia milknie na tak długo,
Póki nie miną—i pierś wzdycha do Cię.

Jest—gdy grzmot głuchy w chmurnej wiosny dobie
Toczy się z dali i świat zbiera trwoga,
A w polu bydło kupi się ku sobie
I ludzie chylą skroń, czując Cię, Boga.

Jest—gdy sierpniowych gwiazd spadają deszcze
I oblatują zwiędłe września liście;
Serce pobożne przenikają dreszcze,
A wokół smutno jest i uroczyście.—

Radość ma ciężka jest, jak bryły złomu
Skalnego, które człek znosi powoli,
Z trudem, na mocną podwalinę domu,
By w nim zamieszkał z Tobą, po niedoli.

Mało jest wiosny, lecz codzień wieczory,
Zachody, lasy, rzeki i kamienie,
Co mnie budują ciszą swej pokory
I budzą bojaźń bożą, dziękczynienie.

Lecz cóż ja mogę, gdy się wdzięczność budzi,
Co mnie poświęcić coś dla Ciebie zmusza? —
Żyć w samotności, gdy tęsknię do ludzi
I milczeć, kiedy śpiewać pragnie dusza.

O wiem, że mało to i nie jest cennem,
Lecz łaska Twoja raczy to ocenić!
Tak jest niewiele w mem życiu codziennem,
Cobym, o Panie mój, mógł był odmienić.

Życie me, czy też śmierć, nie wstrząsną świata;
Ważny li jestem przed Twoją litością,
W mej chacie, która jest Tobą bogata
I gdzie ma radość nie jest wesołością.

KAMIENIU SZARY...

Kamieniu szary, leżący przy drodze,
Co w dal, jak życie samotne, uciekał
Od lat do ciebie spocząć tu zachodzę,
Z duszą, co tęskni, spodziewa się, czeka.

Wielki twój spokój przykładem mi świeci,
Wlewa skrzepienie i pociechę we mnie,
Bo leżysz tutaj od tysiącoleci
Cichy, cierpliwy—choć czekasz daremnie.

NIE JAKO RÓŻE...

Nie jako róże miękkie
Nie jak jedwabie cienkie,
Nie jak pieściwe plusze:
Lecz srogie jesteś, Życie,
Jak ostry bat najmicie,
Klnę się na moją duszę!

Surowsze-ś jest od głaza,
Dotkliwsze od żelaza
Kutego na kajdany,
Trudne-ś jest, jak porody,
Okropne, jako wrzody,
Ale i Bóg miał rany!

Czy przeklnąć ciebie tedy
Twe męki, nędze, biedy,
Czy jednak cię ubóstwić
I wznieść cię do zenitu,
Podnieciś do zachwytu,
I zachwyt z twoich ust pić?

O, ciężkie i zawiłe,
O, życie, daj mi siłę
Ująć się w karb i w ryzę,
Głazy twych dróg uprzątać, —
O, daj mi się rozplątać,
Lub cię jak głaz rozgryzę!

ANI JEDNEJ...

Ani jednej myśli odtąd wstecz!
Ni jednego za siebie spojrzenia!
Precz elegjo! przeszłości! wspomnienia!
Cofnąć się? Za sobą stawiam miecz!

Ani jednej daremnej już łzy!
Ni jednego uczucia namarno!
Z tobą w jutro wszystko, w czem tkwi ziarno!
Niech ochłapy i kości żrą psy!

Myśl przed siebie! nadzieję! i wzrok!
Przed się! w górę! Co będzie, to będzie.
W tem, co będzie, wszak przyszłość się przędzie!
Jeśli ciemna? To w ciemność! Lecz wskok!

Przebrnąć! Przeprzeć! Przebić się! Bez trwóg!
Zmienić kulę stóp w skrzydła najletsze!
Pruć opory, jak strzała powietrze,
Aby utkwić tam, gdzie cel, gdzie Bóg!

ZŁOCISTE DNI...

Złociste dni minęły, lecz powrócą,
Nad przeszłych dni dziełami się zasmucą.

Nad przeszłością ciemną się zastanowią,
I przyszłością radosną się odnowią.

Przeklętych za ich klęski łaską zbawią,
Idących w żywot zwycięski pobłogosławią!

GRACZE.

PAWEŁ CEZANNE.

W bogatem piśmiennictwie artystycznem Europy zachodniej Cézanne zajmuje pierwsze miejsce. Liczba monografij, wszelakich studjów krytyczno-analitycznych poświęconych mistrzowi współczesnej sztuki francuskiej sięga kilkuset. W Polsce o Cézannie wie się naogół bardzo mało, z tej choćby racji, że literatura z zakresu sztuk plastycznych, szczególnie sztuki współczesnej, u nas nie istnieje.

Postaramy się tedy w linjach zasadniczych i ogólnych narysować sylwetkę jednego z najwybitniejszych współtwórców sztuki epoki.

Paweł Cézanne urodził się w r. 1839 w Aix. Słuchacz prawa miejscowego uniwersytetu pod wpływem namów Zoli, głównie jednak pod *przymusem wewnętrznym* zaczyna uczęszczać do szkoły sztuk pięknych przy muzeum w Aix. Początkowe studja w miejscowej, Boże się zmiłuj, akademji zawyrokowały o przyszłości Cézanna, który mimo gniewu ojca wyjeżdża wkrótce do Paryża i wstępuje do dziś już tam nieistniejącej Akademji Szwajcarskiej. Młody artysta kształci się zasadniczo bez profesorów. Sześć dni w tygodniu rysuje z modela (przeważnie akt męski) od godziny szóstej rano do godziny dziesiątej wieczorem, znając dwie przerwy krótkie, konieczne dla objadu i kolacji. Namawiany przez kolegów zapisuje się, jako kandydat do oficjalnej akad. Sztuk Pięknych. Po egzaminach wstępnych, wbrew nadziejom, nie tylko samego kandydata, nie zostaje przyjęty w poczet uczniów, jako niedosyć przygotowany i... uzdolniony. Bolesny cios łagodzi nieco porozumienie się z ojcem i stała pensja wyproszona od rodziców przez art. malarza Guillemeta dla młodego artysty. Od tej chwili, ściśle od 1861 r. Cézanne zaczyna pracować samodzielnie. Niezgrabny Pawełek (jak go nazywali koledzy) wchodzi w świat. Wprowadza go tam Zola i Guillemet. Dwudziestokilkoletni adept sztuki żyje w towarzystwie wschodzących sław i znakomitości dojrzałych lub dojrzewających. Poznaje Maneta i Renoira. Przyjaźni się z Pissarem. Zaczyna chodzić codziennie do kawiarni Guerboiś przy l'Avenue de Clichy — modnej naówczas knajpy artystycznej, gdzie *wykuwali przyszłość:* Fantin-Latour, krytyk Duranty, poeta i rzeźbiarz Astruc; malarze: Degas, Monet i Renoir; literaci: Zola, Bazille i wielu, wielu innych. W tem to otoczeniu zaczyna się urabiać pierwszy pogląd Cézanne'a na sztukę. Monet i Renoir nieuchwytnie, lecz zarazem stanowczo wskazują młodemu koledze kierunek i ogólną linję pojęć malarskich.

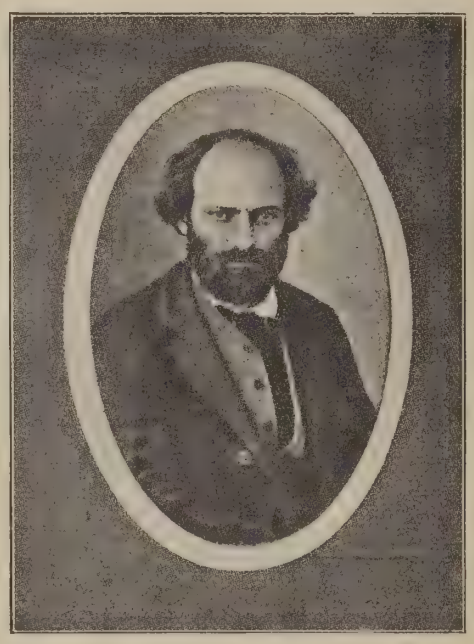

PAWEŁ CEZANNE.

Ich bóg—Courbet—staje się bogiem Cézanne'a, mimo, iż w pamięci i wyobraźni dojrzewającego z każdym dniem malarza tkwią: Rubens i Delacroix, jako złożony wzór doskonałości. Wykoślawienie linij indywidualnych dążeń Cézanne'a przez jego otoczenie kończy się buntem twardej i wolnej natury.

Towarzystwo „wielkich" staje się nie do zniesienia. Wytworność Moneta wraz z czernią, jako zasadę kolorytu jego obrazów doprowadzają prowincjała z Aix do wściekłości. Naturalizm Zoli —odpycha. Cézanne zamyka się w pracowni i nie wychodzi z niej prawie wcale. Kończy dwie kompozycje rodzajowe i posyła je na oficjalną wystawę. Jury nie przyjmuje obrazów. Rozpacz Cézanne'a nie ma granic. Następuje okres przełomowy w życiu artysty, okres ten trwa kilka lat a kończy się w r. 1874, kiedy to Paweł Cézanne, jako członek zjednoczonych artystów malarzy urządza pierwszą wystawę swych prac wraz z Claude Monetem, Sisley'em, Renoirem, Bertą Morissot i Quillauminem. Wystawa wogóle nie cieszy się powodzeniem, najmniej zaś *podobają* się prace Cézanne'a. Na temat wartości jego obrazów krytycy wypisują zdania najsprzeczniejsze. Znany naonczas krytyk Huysmans formalnie pastwi się nad debiutującym artystą, odsądzając go od szczerości, krzty talentu i porządku władz umysłowych. Artysta wytrzymuje ten wszystek walący się nań ciężar i nie przestaje pracować. Nieustępliwa wola pracy, zachęta ze strony kolegów i przyjaciół, stała wreszcie pensja z Aix podtrzymują nadzieję zwycięstwa ostatecznego i niezawodnego. Od wspomnianego 1874 r. Cézanne urządza wystawy prac swoich razem z resztą członków zjednoczenia artystów malarzy co kilkanaście miesięcy.

. . . . . .

Biorąc pod uwagę nazwiska członków zjednoczenia malarzy, czyli najbliższych kolegów Cézanne'a możemy wnioskować, że późniejszy twórca kierunku konstrukcji formy należał, w okresie swych pierwszych wystaw, do szkoły impresjonistów, zasadniczo nie uwzględniających w swem malarstwie budowy i ciężaru bryły. Światło, powietrze, przypadkowość barwna, negowanie koloru lokalnego oto etap twórczości Cézanne'a, zarazem pierwszy okres impresjonizmu. W miarę rozwija-

KRAJOBRAZ.

nia się monetowskiej koncepcji, doprowadzonej do diwizjonizmu, wynikającego i opartego na ścisłych badaniach naukowych naradzała się cézannowska koncepcja deformowania kształtu naturalnego i budowy formy na płaszczyźnie. Droga ewolucji i reakcji na impresjonizm wyjawiała się powoli. Wartość monetowskich dociekań była ogromna i niezaprzeczalna. Z punktu widzenia usiłowań przeszłości nad rozwiązaniem zagadnienia światła przyznać trzeba, szczególnie diwizjonizmowi, wielkie zasługi, on bowiem, jako szczytowy wysiłek impresjonistów, zagadnienie to w zupełności rozwiązał. Cézanne tę wartość epokowych zdobyczy zrozumiał i uznał, co tłumaczy jego długą współpracę z Sisley'em, Monetem i in.

Impresjonizm był ojcem Cézanna. Założenia impresjonistów były fundamentem przemyśleń cézannowskich. Wszystko co wypowiadał obraz impresjonisty (poza tym właśnie wynikiem naukowego uporania się ze sprawą światła) nastręczało Cézannowi temat do rozmyślań, zmian i opracowań. Od dotknięcia pendzla aż do kompozycji obrazu wszystko stało się przedmiotem wytężonej uwagi człowieka wszechstronnie obejmującego malarstwo. Barwne punktowanie płótna, nieuwzględnianie koloru lokalnego, umyślne rozpylanie wszelkiego kształtu niematerjalnemi błękitami, negowanie kompozycji, wszystka ta niezupełność malarska wskazała Cézannowi przy uwzględnieniu istotnych wartości malarstwa impresjonistycznego potrzebę reorganizacji pojęć i pracy. Na miejsce barwnych i tonowych rozdrobnień Cézanne wprowadził gradację tonową, przy pomocy której rytmizował całość kompozycyjną i budował plastykę bryły niezależnie od przypadkowego i zmiennego oświetlenia przedmiotów. Uwzględnił przedewszystkiem kolor lokalny, czyniąc zadość niektórym najwspółcześniejszym krytykom francuskim, dodajmy: usiłował uwzględnić. Położył główny nacisk na kompozycję obrazu. Odnalazł plan. Wyznaczył na tym odnalezionym planie miejsce stałego trwania form, że podobnie, jak w trójwymiarowej przestrzeni potrafimy nie tylko widzieć je ale i odczuwać. Zorganizował środki malarskie. Cézanne uzupełnił malarstwo wogóle.

Cézanne widział, odczuwał i wiedział. Chciał sam i radził innym: „organiser ses sensations".

Wielu dziś zarzuca Cézanne'owi, że słowa jego o konieczności sprowadzania każdego kształtu naturalnego do figury geometrycznej stożka lub cylindra nie mają praktycznego stwierdzenia w żadnej z jego prac. Cóż z tego, gdy na skutek tego powiedzenia mistrza powstała cała współczesna sztuka świata. Zresztą powiedział o sobie: „Ja jestem prymitywem nowej sztuki. Drugi zrobi to, czego ja zrobić nie byłem w stanie, co jednak zdołałem wskazać i zapowiedzieć".

W tej opinji o sobie Cézanne daje najdoskonalszą krytykę własnej pracy całego życia. Rozumiał aż nadto co zdziałał i jakie było znaczenie jego pracy dla potomnych.

„Je suis comme qui posséderait une pièce d'or sans pouvoir s'en servir"!—powiedział w okresie najwyższej dojrzałości twórczej. Ową sztuką złota był jego genjusz, którego potężnych możliwości nie wyzyskał do samego dna, tem niemniej wskazał innym ważność i możność źródła, bijącego dla wszystkich, którzy chcą zeń czerpać, powinni czerpać i czerpią.

Wszystka istotna wartość sztuki współczesnej pochodzi od Cézanne'a.

. . . . . .

W czasach ostatnich leaderzy różnych grup, zarówno jak twórcy nowych kierunków występują z ostrą krytyką twórczości Cézanne'a. Nie dotykając granitowych, niewzruszonych podstaw jego koncepcji: konstruowania formy i organizowania wrażeń, starają się najcięższemi zarzutami zniszczyć wartość jego obrazów, tem samem zachwiać monumentalność jego znaczenia dla sztuki dzisiejszej. Podejście nieprzyjaciół przemyślane jest sprytnie i chytrze. Z kilkuset prac Cézanne'a zaledwie kilka, najwyżej kilkanaście można nazwać dziełami zupełnie skończonemi. Cała wielka reszta, mimo swą nieocenioną wartość, nosi charakter prób i doświadczeń. Właśnie jako takie należy je brać pod uwagę, stanowią one bowiem ilustrację zamierzeń artysty i są wykładnikiem praktycznym koncepcji Cézannowskiej. Wszystkie więc możliwe zarzuty kierują się w stronę owej reszty, którą Cézanne, że tak powiemy, praktycznie teoretyzował i którą powiedział znacznie więcej niż dziełami ogólnie uznanemi za skończone.

Spryt, jako istota krytycznego podejścia do dzieł Cézanne'a, wraz z brakiem wszelkiej możliwej argumentacji czynią dotychczasowe napaści zupełnie nieszkodliwemi.

. . . . . .

W zakończeniu tego szkicu postaramy się odszukać śladów bezpośrednich wpływów Cézanne na twórczość plastyczną, polską. Oczywiście szukać ich musimy wśród najmłodszych, starsi bowiem i doświadczeni z wyjątkiem bardzo, bardzo nielicznych, robią swoje odkrycia na temat światła i powietrza — odkrycia odkryte i przebrzmiałe. Z młodych (nie mamy na myśli wieku) pierwszy u nas przejął się sztuką Cézanne'a prof. Pankiewicz, poza tem cała grupa artystów mieszkających w Paryżu. W latach powojennych wpływ Cézanne'a objął całą Europę i dotarł w formie bardziej zdecydowanej do Polski. Roguski, Wąsowicz, Niesiołowski, Zawadowski, Kramsztyk, Zaruba najwyraźniej podjęli w swem malarstwie zasadą cézanowskiej koncepcji. Uwzględnili ją połowicznie w założeniu malarskiem, ogólnem: Borowski, Skoczylas i wielu in. Pośrednio poprzez kubizm wywodzą się od Cézanne'a: Zbigniew i Jerzy Pronaszkowie oraz cały t. zw. formizm polski.

Istota znaczenia twórcy współczesnej sztuki francuskiej nie dotarła do nas w pełni. Po nawiązaniu ściślejszego kontaktu ze sztuką zachodu Polska plastyczna, spóźniająca się stale (przyznać to trzeba ze smutkiem) w zdobywaniu wiedzy potrzebnej, żyjąca surogatami wartości istotnych, miejmy nadzieję—nadrobi czas opóźnienia i stanie w szeregu oddawna ją wyprzedzających kulturą i wiedzą twórców i artystów francuskich.

J. Ż.

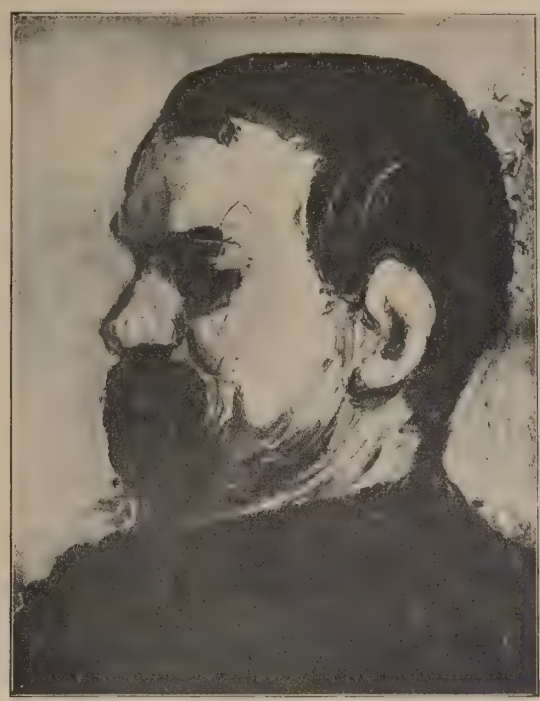

PORTRET.

ARLEKIN.

KRAJOBRAZ.

ROZMOWY Z ALMAŻENNĄ. 3)

— A czemu dziś jesteś tak promienna?

— Uszczęśliwia mnie przekonanie, że jestem wam potrzebna. Mam w duszy błękit nieba, purpurę zachodzącego słońca i słyszę ostatnie tryle słowika... Wam to zawdzięczam...

Odnosimy wrażenie, że kobiety zaświatów mają wiele podobieństwa do swych sióstr na ziemi. Przedtem zaobserwowaliśmy u Almażenny gadatliwość, teraz ujawnia inną cechę ziemskiej kobiecości: przekorę. Na zarzut, że jest niezrozumiała, odpowiada słowem jasnem, tęczowem, poetycznem... O niekonsekwencjo kobieca, konsekwentna nawet w zaświatach!...

* * *

Z poza nieziemskich woalów mgły zaczyna się wreszcie wyłaniać wyraźniejszy nieco profil „drogiej Almy". Już wiedzą o niej przyjaciele, że jest kapryśna, nerwowa, apodyktyczna. Nic łatwiejszego jak ją dotknąć, a co gorsza przyprawić o dotkliwy, fizyczny prawie, ból. Są sprawy, których nienawidzi, są pytania, doprowadzające ją do pasji. Zdarzyło się np., że komuś z mieszkańców pałacu zginęło 1,000 fr. Rzecz zrozumiała, że pod wrażeniem świeżej zguby czy kradzieży nie mógł pan hrabia oprzeć się wieczorem postawieniu cichego pytania:

— Może powiesz nam, *chère Alma*, w jaki sposób zginęły te pieniądze?

Ołówek pisze powoli, z niechęcią:

— Zdarza się, że nie uważamy na tych, którzy mają lepszą wymowę palców od wymowy ust!

Hr. Olizar żywo:

— Nazwij go!

— Zrób to sam. Dziwię się, że mi stawiasz takie obrażające pytanie. Czy jestem donosicielem i żandarmem, czy raczej boskiem tchnieniem, które ci sprzyja?

Czując, że dotknął niebiankę, stary hrabia pośpiesza z ekskuzą:

— Słusznie, droga Almo, gniewasz się o to niedyskretne pytanie!

Almażenna ciągle zirytowana:

— Nie sądźcie, że jestem zabawką dla rozrywki głupich!... Kobietom lalkom nie umiałabym wogóle odpowiadać.

Gdy innym razem ciekawski „listeczek" znowu poruszył sprawę jakiejś kradzieży zegarka, zirytowana Almażenka wyprosiła sobie stanowczo, aby jej „nie równać z organami policji, jej, która tak wysoko stoi ponad światem zmysłowym" i... podarła papier ze złością! Fakt ten zanotowano w protokule, a podarty papier schowany został na pamiątkę do sztambucha.

Wybuch gniewu uraził hrabiego, podarty papier wydał mu się widocznie swawolą, która nie przystoi nawet zjawom bezcielesnym. Więc rzecze zimno:

— Mogłaś nie odpowiadać, lecz pocóż gniewasz się?

A ona:

— Płaczę gorzko, gdy nękacie mnie pytaniami banalnemi i pospolitemi. Kocham was przecież! Myślałam, że pod moim wpływem nabierzecie szlachetniejszych przekonań!

Od tego czasu Olizarowie uważali pilnie, aby nie irytować drogiej przyjaciółki i nie płoszyć jej pustą, wulgarną ciekawością. W obawie, że się obrazi i więcej nie powróci, stylizowano pytania w sposób ostrożny, dyplomatyczny. Nie było nigdy mowy o żadnych zagadkach człowieczych, choć tyle rozmaitych nasuwało się p. Lili, o życiu poza grobem, o śmierci, choć nieraz rad był dowiedzieć się stary hrabia, ile mu jeszcze lat życia pisano. Nie stawiali takich pytań Almie już choćby dlatego, że to się już na nic nie przydawało. Zbywała je milczeniem, albo też ołówek kreślił zygzaki, które były *illisibles*, i cyfry, które były *indéchiffrables*.

Nienawidząc wróżb i przepowiedni, tem chętniej słucha Almażenna ich życiowych zwierzeń i spowiedzi, i równie chętnie pozwala wciągnąć się w dyskusję doczesną, na temat usposobień i charakteru ludzi żyjących. Z wielką przyjemnością i pewnym zapałem nawet kreśli sylwetki znajomych pp. Olizarów, lubi też rozmowy o muzyce, wspomina Liszta, Chopina, Mendelssohna. Charakterystyki owszem, byle nie przepowiednie. Np. bardzo chętnie rozmawia Alma o Napoleonie III, wystarczy jednak pytanie: czy Napoleon pojedzie na Krym? aby zjawę dotknąć niemile.

Odpowiada na to tonem łagodnego wyrzutu:

— Zdajesz się być trochę zapominalską, moja „myśl" droga.

Myśl:

— Cóż zapomniałam?

— Jeśli jestem waszą Almą, starającą się zaspokoić potrzeby serc waszych, to czemuż wy narzucacie mi rolę wróżki? Zapytaj o uczucia Napoleona, wtedy Ci odpowiem, i owszem, bo staję się jego duszą *et tout ce qui est du domaine noble de cette question m'appartient*, ale pytać o fakta? To już nie mnie. Nie jestem żadną panią Lenormand.

* * *

Rozmowy Olizarów z wieszczką zaświatów stały się wkrótce głośne. Wieść o ich serdecznej przyjaciółce z tamtego brzegu rzeki życia obiegła rychło societę drezdeńską. Każda z pań chciała ją poznać co prędzej, a też hrabia nic nie miał przeciw temu, aby sprezentować swe zaziemskie *liaison* przed kołem zaufanych przyjaciół. Daremnie. Kapryśna Almażenka nie znosiła ludzi obcych i przy gościach nie zjawiała się nigdy. Ołówek nie poruszał się ani na włos, milczał, jak zaklęty. Dopiero gdy „lira" z „myślą" i „liściem" pozostali sami—przybiegała do nich, szeleszcząc.

— Rozkazuj nam, Almo, droga Almo! — wołał wtedy hrabia grzecznie, na przeprosiny.

Ołówek zaś odpowiadał gniewnie, nie bez żalu:

— Nie wciągniesz mnie w zasadzkę, Cierpię bardzo na myśl, że robicie ze mnie zabawkę. O moja liro... nigdy więcej... nigdy! Ja was... tak kocham... wszystkich!

* * *

Wiemy już aż nadto dobrze i wiedzieliśmy od początku, co myśleć. Niewolnica anioła jest córką wzajemnej i upartej sugestji trojga osób, jest podświadomą funkcją wyobraźni dwóch romantycznych pań i siwego marzyciela. To proste. Właściwie niema jej zupełnie. I nigdy nie było. Ołówek pp. Olizarów pisał pod dyktandem rozigranej, do białego rozpalonej wyobraźni.

— To niemożliwe. Almażenna istniała napewno! — odpowiadają w tej chwili z najgłębszą wiarą karty starego sztambucha.

Spozieramy raz jeszcze na owe drżące z emocji i zasłuchane w muzykę sfer rewelacje. I wyczuwamy w tym zdyszanym dukcie pisma przewrażliwe podniecenie i przedziwną, cudów pełną ekstazę, która panowała na seansach. „Czucie i wiara" zaczynają mówić. Wiadomo zaś jak mówią: „silniej do mnie mówią, niż mędrca szkiełko i oko".

Składamy broń. Almażenna istniała napewno.

Zaprzeczyć jej istnieniu? — nie sposób.

Uwierzyć, że jej nie było? — nie godzi się.

Dla nich istniała, musiała istnieć! Tak oczywiście, dotykalnie i żywo, jak dotykalnie ujawniał się ongi na rynku kowieńskim zmarły kochanek dzieweczki z „Romantyczności". Stała się bogiem domowym ginącego rodu i cudownym inkluzem romantycznych dam. To pewne, że owe, zarówno mętne, jak urocze słóweczka nie odtwarzają ani w części tej mocy, jaką miały nad nimi. Każdy frazes był wyrocznią, każdy nonsens był proroctwem. I dziś już nikt pojąć nie zdoła siły emocjonalnej, z jaką almaidy porywały i czarowały ostatniego z rodu pana na Korościeszowie z córką i kuzynką.

Nie wiem czy istnieje gdzie drugi dokument, odtwarzający tak naocznie i plastycznie sytuację psychiczną człowieka na seansie, ów dziwny, charakterystyczny stan przyćmionej świadomości — jak ta pierwsza księga posiedzeń spirytystycznych.

Almażenna jest macierzą i prababką wszystkich zjaw spirytystycznych w Polsce. Almażenna jest symbolem stosunku człowieka do zaświatów...

Nie trzeba śmiać się z Almażenny! Bo i cóż to komu szkodzi, że jej wcale niema i nigdy nie było? Ten związek trojga śmiertelników ze zjawą, którą sami z siebie wyłonili i sami w sobie autosugestywnie stwarzają, — wygląda naprawdę uroczo, jakże uroczo!

(*Dn*) *Stanisław Wasylewski.*

TRAGEDJA KOBIET OPALONYCH.

Mody jesienne.

...Mój Boże! Jak to było niedawno! Opalona, złocisto-bronzowa cera, spatynowana na bursztyn, była poprostu kategorycznym imperatywem mody...

Twarz, kark, szyja, biust, ramiona, ręce, nawet (hm) nóżki, nawet (hm, hm...) paluszki i piętki musiały być opalone przez słońce.

Jeżeli słońce nie wystarczyło, pomagała woda.

Jeżeli nie pomagały: woda i słońce—operowało się nader misternie bronzowym pudrem, lub olejem orzechowym, nadającym skórze *modny kolor keksu*...

Jeżeli zjawiały się czasem przykre piegi—były one tem, czem są właśnie rodzenki w keksie: dodawały smaku uroczej całości!

. . . . . .

Sezon letni skończył się już. Intensywny proces prażenia się na słońcu ustał. Przemiana pigmentów w tkankach skóry niewieściej—została zlikwidowana.

I teraz zaczyna się tragedja!

— Jakżeż obstalować nowe suknie, nowe kostjumy, jumper'y, bluzki, płaszcze, kapelusze, kiedy te wszystkie rzeczy muszą być sharmonizowane z cerą?...

Zasię cera pani Sali, pani Loli, pani Luli, pani Lili—ulega właśnie mutacjom: Tycjanowskie złoto narazie brzydko żółknie.

Karczek i szyjka jest, powiedzmy prawdę—*ni to, ni owo.*

Herse, Thonnes, Zmigryder mają szalony kłopot: jakże tu obmyśleć efekty kolorystyczne, klijentka zrzuca skórę, *jak młoda jaszczurka* i wygląda dziś inaczej—a jutro znowu inaczej?...

Tedy zaczynają pracować z czwartą szybkością kalotechniki, gabinety kosmetyczne, urodotwórcze, pięknodawcze, masujące, odtłuszczające, piegożercze, biodrokształcące, biustotwórcze...

. . . . . .

Zasię wiosną, z początkiem nowego sezonu, w roku przyszłym zacznie się nowa tragedja pięknych modniś... Cera śnieżna, różowo-pastelowa, delikatna, jak brzask jutrzenki—będzie nieaktualna.

Trzeba się będzie charakteryzować da capo na „dziecię natury" i opalać *na pieczony kasztan.*

I omdleją zachwycone serca poruczników, rotmistrzów, kapitanów, starszych i młodszych referentów, poetów, estetów i malarzy...

Z. Kleszczyński.

NAJNOWSZE ODKRYCIA W DZIEDZINIE BUDOWY MATERJI.

Przy końcu dziewiętnastego wieku dokonano w fizyce trzech nieoczekiwanych odkryć, które zapoczątkowały nowy jej okres, okres trwający po dziś dzień a zwany „odrodzeniem atomistyki i rozszerzeniem jej poza materję". Były to: promienie Röntgena (r. 1895), promienie H. Becquerela czyli uranowe (r. 1896) i zjawisko magnetooptyczne P. Zeeman'a.

To ostatnie zjawisko, polegające na rozszczepianiu się linij widmowych w polu magnetycznem,

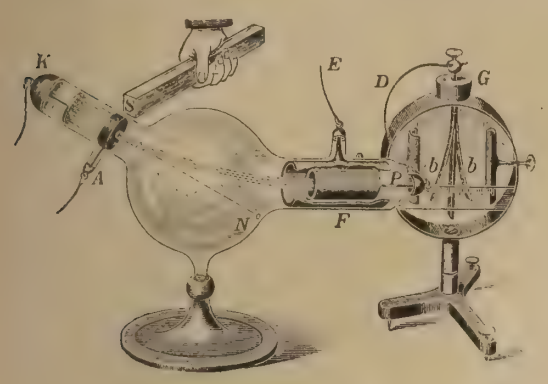

Fig. 1.

ma to doniosłe znaczenie, że stanowi fakt doświadczalny, potwierdzający hipotezę elektronową, której twórcą był H.A. Lorentz, fizyk holenderski (r.1892). Hipoteza ta jest właśnie pierwszą z teoryj, które polegają na rozszerzeniu zakresu koncepcyj atomistycznych po za materję.

Założenie, że elektryczność ma budowę atomistyczną, jest niezmiernie płodne w skutki.

Przedewszystkiem było ono jednym z główniejszych bodźców dla rozwoju teorji względności Alberta Einstein'a, poddając tej ostatniej problemy i tematy do rozwiązania i opracowania, jak np. obliczenie zależności masy elektromagnetycznej elektronów od ich szybkości poruszania się w polu elektrycznem, a obecnie stała się fundamentem, na którym budujemy gmach nowoczesnej teorji budowy materji.

Jeszcze przed stworzeniem elektroniki przez Lorentz'a znane były zjawiska, z punktu widzenia jakościowego zupełnie fałszywie tłumaczone, a ze stanowiska ilościowego zupełnie nie badane. Ogół tych zjawisk należy do przewodnictwa elektrycznego gazów.

Promienie katodowe, kanalikowe zostały przez teorję elektronową szczegółowo i wyczerpująco wyjaśnione i, co więcej, ilościowo zbadane. Na tem polu badań zasłużył się szczególniej fizyk angielski, J. J. Thomson, który, badając przechodzenie elektryczności przez gazy, stworzył pojęcie jonu gazowego, a mierząc odchylenie wyżej wspomnianych promieni w polu magnetycznem, potrafił opanować ilościową stronę zjawisk.

Otóż przystępując do rozważań nad budową materji, należy poznać główne założenie teorji Lorentz'a, a mianowicie stwierdzić, że istnieją w naturze wolne atomy elektryczności, nie związane z materją, czyli t. zw. elektrony, w postaci promieni katodowych (mnogość elektronów, mknących po prostej, tworzy promień katodowy), że mają one zawsze ładunek ujemny i że ulegają odchyleniom w polu magnetycznem, co daje metodę do określenia ich ładunku jednostkowego.

Metodę takiego pomiaru i odpowiedni przyrząd przedstawia nam figura 1.

Z badań Faraday'a nad przewodzeniem elektryczności w roztworach elektrolitów można dokładnie obliczyć ładunek elektryczny jonu wodoru (zespół atomu wodoru z elektronem); wynosi on mianowicie liczbę 1,58, dzieloną przez 1 z 19-toma zerami kulombów. Liczba ta wyraża zarazem ładunek pojedyńczego elektronu, a nazywa się *elementarnym ładunkiem elektrycznym lub kwantem elektryczności.*

Ponieważ pomiary ładunku elektrycznego u promieni katodowych dały ten sam wynik, więc tem samem stwierdzono ich strukturę elektronową, a także pozwoliło to obliczyć wielkość względną atomu elektryczności czyli kwantu elektrycznego, jak również i jego masę względem wodoru. Okazało się mianowicie, że atom wodoru jest 1835 razy cięższy od elektronu, co znaczy, mówiąc bezwzględnie, że elektron waży liczbę 9 gramów, dzieloną aż przez 1 z 28 zerami! (Promień elektronu wynosi ułamek 1 dzielone przez 1 z 13 zerami).

Jak już zaznaczono na wstępie, niezmiernie ważnym faktem dla rozważań nad budową materji było odkrycie promieni X przez K. Röntgen'a, a właściwie późniejsze zbadanie ich własności. Promienie X (tak nazwane od tajemniczości swej natury) w ostatnich dopiero latach zostały głębiej zbadane. Przedtem panowały w nauce spory co do ich własności i natury; obecnie zaś uważamy je za rodzaj promieniowania, za rodzaj drgań eteru kosmicznego o niezmiernie wielkiej liczbie drgań w sekundzie (kilka tryljonów) a bardzo małej długości fali (stu miljonowa część centymetra).

Taka natura tych promieni została stwierdzona w roku 1914 przez M. v. Lane'go, profesora fizyki teoretycznej w Berlinie, przy pomocy niezwykle ciekawych badań.

Rozumowanie Lane'go było następujące: jeżeli promienie X są natury falistej, takiego samego ustroju jak promienie należące do widzialnej części widma, to i one muszą ulegać zjawiskom dyfrakcji, interferencji, polaryzacji i t. p. Ponieważ jednak wskutek ich niezmiernie małej długości fali nie można sporządzić im odpowiedniej siatki dyfrekcyjnej, przeto należy poszukać takiej siatki wśród ciał, jakie nam sama daje natura. Otóż według krystalograficznej teorji Bravais'a, *kryształy* posiadają piękną siatkową budowę, a więc należy wypróbować czy nadadzą się do tego rodzaju badań.

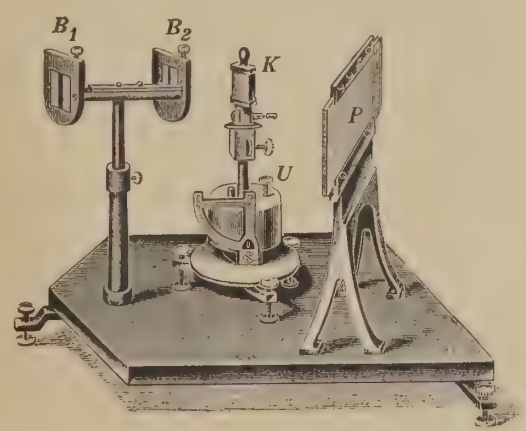

Fig. 3.

Doświadczenie stwierdziło słuszność rozumowania Lane'go, bowiem jego asystenci Knipping i Friedrich, przeprowadziwszy taki eksperyment, otrzymali piękne obrazy interferencji promieni X. Na figurze 2 widać właśnie obraz interferencji tych promieni; czarna plama pośrodku jest to właśnie punkt padania wiązki promieni X na płytkę fotograficzną; jako kryształu użyto czystej fotografji blendy cynkowej.

Bliższe badania interferencji przy pomocy kryształów doprowadziły uczonych do wniosku, że kryształ każdy rozszczepia niejednorodną wiązkę promieni na widmo t. zw. röntgenowskie, tak, że w danym kierunku tylko jeden poszczególny promień o zupełnie określonej długości fali zostaje odbity. Tym sposobem daje się utworzyć nowa metoda badań analitycznych, *metoda spektroskopji röntgenowskiej.* Każdy metal, z którego sporządzona jest antykatoda rurki Röntgena, daje swoiste widmo o prążkach, odpowiadających falom danej długości. Przyrząd do tej nowej metody przedstawia nam figura 3, a jedno z widm (dla platyny jako antykatody), fig. 4.

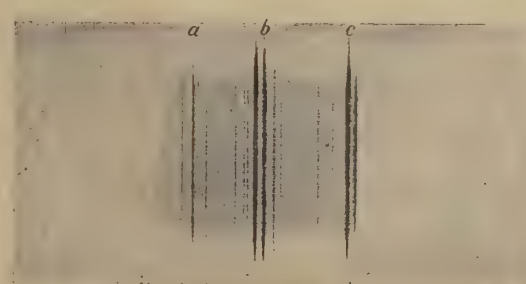

Fig. 4.

Na figurze 3-iej litery B_1 i B_2 oznaczają dwie blaszki ołowiane, jako szczeliny konieczne do wywołania zjawiska interferencji; K oznacza kryształ, U przyrząd zegarowy (ponieważ dla dokładnego badania należy zmieniać położenie kryształu), wreszcie P jest to klisza fotograficzna.

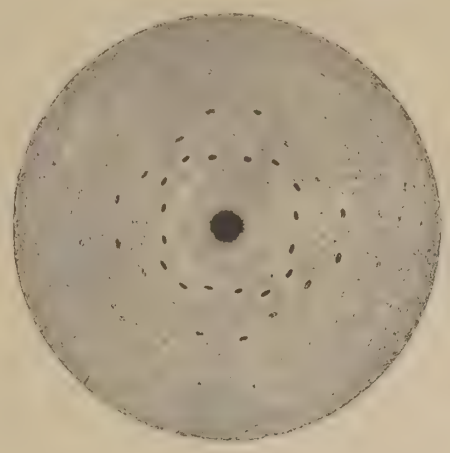

Fig. 2.

Najlepsze fotografje wielu röntgenowskich metali pochodzą z pracowni profesora Siegbahn'a z Lunel w Szwecji.

Badając widma röntgenowskie, stwierdzono, że istnieją ich tylko 3 rodzaje. Mianowicie pierwiastki lekkie (od sodu do neodynu) dają t. zw. *K—widmo* złożone z 5 linij, pierwiastki cięższe od cynku wzwyż inny rodzaj widma *Z—widmo* o ilości linij od 10 do 14, a wreszcie pierwiastki najcięższe wykazują *M—widmo* o ilości linij od 3 do 5.

W dalszej kolei badań niezwykle doniosłe było stwierdzenie faktu, że jeżeli oznaczymy długość fali np. pierwszego prążka K—widma dla wszystkich pierwiastków, takie widmo wykazujących i jeżeli obliczymy z prostej zależności między długością fali a ilością drgań tę ostatnią wielkość, to okaże się wynik wprost zdumiewający, *iż ilość drgań röntgenowskich danego pierwiastka (dla określonego prążka) jest wprost proporcjonalna do kwadratu numeru miejsca tego pierwiastka w tablicy Mendelejewa!*

Prawo to zostało odkryte przez młodego fizyka angielskiego Moseley'a, który jednak nie zdążył już rozwinąć dalej swych zdolności w następnych badaniach, gdyż stał się ofiarą wojny europejskiej, padając od kuli tureckiej na Gallipoli w Dardanellach.

W dalszym ciągu artykułu uwidoczni się ważność tego prawa Moseley'a; tymczasem należy zauważyć, że ma ono wielkie znaczenie dla chemji, określając bowiem w sposób jednoznaczny miejsce danego pierwiastka w układzie perjodycznym, a nie jego ciężar atamowy, daje możność usunięcia różnych niedokładności, jakie dotychczas w tym układzie istniały. Tablica poniższa jest to właśnie tablica układu perjodycznego pierwiastków chemicznych zupełnie już poprawna; liczby stojące koło symbolów podają numer porządkowy pierwiastka. Jak widać, istnieje jeszcze tylko pięć pierwiastków niewykrytych.

Anglik Prout wygłosił w roku 1815 hipotezę, że wszystkie pierwiastki są pewnemi modyfikacjami jednej i tej samej pramaterji, za którą uważał wodór. Hipoteza ta mogłaby być choćby w części słuszną, gdyby ciężary atomowe pierwiastków wyrażały się liczbami całkowitemi, co jednak nie miało miejsca w chemji.

Dopiero ostatnie wyniki badań stanowią jakgdyby powrót do tej dawnej hipotezy, albowiem przekonano się, że ciężary atomowe jednego i tego samego pierwiastka mogą być różne. Pierwiastkami *izotopowemi* (izos—równy, topos—miejsce) nazywamy te, które, mając jednocześnie określone jedno i to samo miejsce w układzie perjodycznym przez regułę Moseley'a, nie różnią się między sobą własnościami chemicznemi, a tylko nierównemi ciężarami atomowemi, wyrażającemi się dokładnie liczbami całkowitemi.

Ten fakt potwierdza zatem hipotezę Prout'a, albowiem każdy pierwiastek o ciężarze atomowym niecałkowitym możemy uważać za mieszaninę jego izotopów, posiadających ciężary atomowe całkowite.

Do wyników tego rodzaju doprowadziły rozważania nad pierwiastkami promieniotwórczemi.

Ostatecznym produktem rozpadu zarówno uranu, tonu jak i radu jest ołów, ale ołów o niższym ciężarze atomowym (200), niż ciężar ołowiu mineralnego (214). A więc te odmiany są to izotopy ołowiu, gdyż posiadają to samo miejsce (według prawa Moseley'a i tak zwanej reguły Fajans'a) a różne ciężary atomowe.

Zaczęto dalej poszukiwać izotopów i pośród pierwiastków zwykłych, niepromieniotwórczych — wyniki były pomyślne: w tablicy załączonej widzimy niektóre pierwiastki z gwiazdkami, są to właśnie te, które posiadają izotopy.

Metoda odnajdywania izotopów polega na tak zwanej *analizie przy pomocy promieni kanalikowych.*

	o	I a	I b	II a	II b	III a	III b	IV a	IV b	V a	V b	VI a	VI b	VII a	VII b	VIII
1 H 1,008	2 He 4,00	3Li* 6,94		4Be 9,1		5B* 11,0		6C 12,00		7N 14,01		8O 16,00		9F 19,0		
—	10Ne* 20,2	11Na 23,0		12Mg 24,32		13Al 27,1		14Si* 28,3		15P 31,04		16S 32,06		17Cl* 35,46		
—	18A* 39,88	19K* 39,10		20Ca 40,07		21Sc 45,1		22Ti 48 1		23V 51,0		24Cr 52,0		25Mn 5 4,93		26Fe 27Co 28Ni 55,84 58,97 58,68
—			29Cu 63.57		30Zn 65,37		31G 69,9		32Ge 72,5		33As 74,96		34Se 79,2		35Br* 79,92	
	36Kr* 82,92	37Rb* 85,45		38Sr 87,63		39Y 88,7		40Zr 90,6		41Nb 93,5		42Mo 96,0		43— —		44Ru 45Rh 46Pd 101,7 102,9 106,7
—			47Ag 107,88		48Cd 112,10		49In 114,8		50Sn 118,7		51Sb 120,2		52,Te 127,5		53J 126,92	
—	54X* 130,2	55Cs 132,81		56Ba 137,37		57La 139,0		58Ce 140,25	59Pr 140,9	60Nd 144,3	61— —	62Sm 150,4	63Eu 152,0	64Gd 157,3		
								65Tb 159,2	66Dy 162,5	67Ho 163,5	68Er 167,7	69Tu 168,5	70Ad 173,5	71Cp 175,0	72— —	
—										73Ta 181,5		74W 184,0		75— —		76Os 77I 78Pt 190,9 193,1 195,2
—			79Au 197,2		80Hg* 200,6		81Tl 204,0		821b* 207,20		83Bi* 209,03		84Po (210,0)	95— —		
—	86EM* (222,0)	87— —		88Ra 226,0		89Ac (227)		90Th 232,15		91Pa (230)		92U 238,2				

Tablica układu perjodycznego pierwiastków chemicznych.

Posługując się odpowiedniemi urządzeniami i znajomością ilościowej strony zjawisk przenoszenia elektryczności przez te promienie, dochodzi się do obrazów, z których łatwo już odczytać wyniki.

Otóż figura 5 przedstawia nam podobny obraz czyli t. zw. masospektrograf, uzyskany przez T. V. Astona (głównego badacza na tem polu) dla gazu neonu, wypełniającego rurkę dla promieni kanalikowych.

Bezpośrednio widać z rozmieszczenia plamek na pasku, że neon zwykły o ciężarze atomowym 20,2 składa się z mieszaniny 2 nowych izotopów o ciężarach atomowych 20 i 22.

Konkludujemy więc: analiza przy pomocy promieni kanalikowych daje nam dowód, że atomy pierwiastków, wedle dawnej hipotezy Prout'a, składają się z części jeszcze mniejszych a według wszelkiego prawdopodobieństwa będących skupieniami pewnej pramaterji.

We wstępie wspomnianem było o promieniach Becquerela, jako o niezmiernie ważnem odkryciu na polu dociekań nad budową materji. Na czem zasadza się jego znaczenie? Otóż, odkrycie Becquerel'a zapoczątkowało *radjologję*, naukę o promieniotwórczości pierwiastków, dając podnietę do badań sławnej naszej rodaczki Curie-Skłodowskiej.

Największym współczesnym radjologiem, dla pewnych wyników swych badań zwanym „nowoczesnym alchemikiem" jest Ernest Rutherford; on pierwszy usystematyzował wyniki odkryć w tej nowej

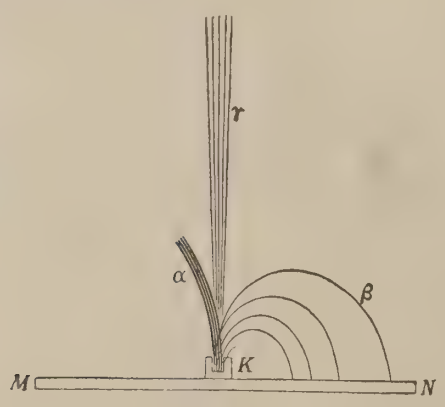

Fig. 6.

dziedzinie wiedzy, stojącej pośrodku między fizyką a chemją i pierwszy, oparłszy się na nich, stworzył hipotezę *budowy atomu.*

Jak wiadomo, rad i inne pierwiastki promieniotwórcze (uran, tor, polon, aktyw) promieniują, t. zn. wyrzucają z siebie jakieś ciałka, których mnogości tworzą promienie. Te ostatnie dają się łatwo rozdzielić na poszczególne wiązki, jak to przedstawia figura 6.

Jedna z wiązek są to tak zwane promienie beta, zupełnie analogiczne do promieni katodowych, a więc składające się z szybko mknących elektronów; promienie p (gamma), które jak widać nie odchylają się wcale, są analogiczne do promieni Röntgena, ale co do promieni alta, to powstawanie ich jest rzeczą wprost cudowną, gdyż składają się z cząsteczek, będących atomami helu, pierwiastka o ciężarze atomowym 4, a numerze miejsca w układzie perjotycznym 2!

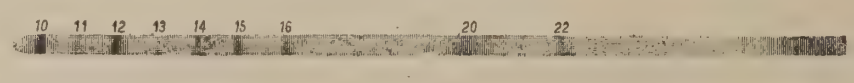

Fig. 5.

Zdawałoby się, że zburzone zostaje twierdzenie o niezmienności pierwiastków i podzielności ich atomów i rzeczywiście, szczególniej co do ostatniego, tak sprawa ma się.

Wyżej wspomniany Ernest Rutherford stworzył hipotezę, która wnikała głębiej w tajniki budowy materji niż teorja atomistyczna Dalton'a— hipoteza jego bowiem dzieliła atom na dwie drobniutkie części, wielekroć razy mniejsze od samego atomu.

Jedną z tych części jest jądro—słońce, a drugą — elektron, satelita krążący naokół niego. Ponieważ elektron, jak to już było wspomniane, posiada ładunek ujemny, a więc jądro powinno posiadać ładunek przeciwny t. j. dodatni, aby istniało wzajemne przyciąganie się obu tych części, co jest warunkiem dla zachowania równowagi w układzie t. zn. aby istniała siła dośrodkowa, zmuszająca elektron do krążenia naokoło jądra.

Takie proste ugrupowanie istnieje tylko w atonie wodoru, w innych atomach system jest b. skomplikowany. Figura 7 przedstawia ugrupowanie w atomie wodoru.

Jakież jednak *bezpośrednie dane obserwacyjne* naprowadziły sławnego radjologa na pomysł takiego modelu budowy atomu?

Otóż przedewszystkiem obserwacje wielu zwykłych. Czyż można przypuścić, że drgania wewnątrzatomowe, których skutkiem jest emisja światła charakterystycznego, a objawem widmo, mogą być chaotyczne, pochodzące z nieregularnych ruchów wypełniających atom elektronów? Nie—jeżeli założymy, że wewnątrz atomów istnieją elektrony, to jednak stanowczo musimy przyjąć, że są one rozłożone prawidłowo i wykonują ruchy systematyczne. Takim zaś świadczącym o tej prawidłowości jest model Rutherford'a.

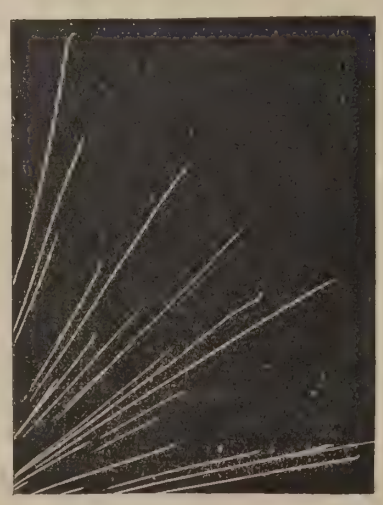

Fig. 8.

Fig. 9.

Drugim faktem doświadczalnym, potwierdzającym domniemania Rutherforda, było zachowanie się cząstek alfa, wyrzucanych przez rad, w powietrzu. Fotografje, to zachowanie się obrazujące, przedstawione są na figurze 8 i 9. Odzwierciadlają one tor w powietrzu cząsteczki alfa, wyrzuconej przez rad, lub jakikolwiek inny pierwiastek promieniotwórczy. Jak widać, tor ten w niezbyt dalekiej odległości od ciała promieniującego urywa się nagle, kończąc się jednakże wydatnem zakrzywieniem, przedstawionem w powiększeniu na figurze G. (Obie fotografje wykonane przez specjalistę na tem polu, fizyka Wilsona). To właśnie zjawisko zatrzymania się końca toru naprowadziło Rutherforda na myśl o złożonej budowie atomu.

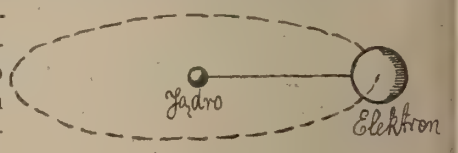

Fig. 7.

Wiadomo z pomiarów, że cząstka alfa czyli helu naładowana jest ładunkiem dodatnim i to w ilości 2 elementarnych kwantów elektryczności; jeżeli zatem taka cząstka zboczyła ze swej drogi i znikła, t. zn. że musiała zostać przyciągnięta przez jakąś wewnętrzną część atomu ciała otaczającego, ośrodka, w którym zjawisko zachodzi. Słowem: odchylenia mogą mieć miejsce tylko wtedy, gdy cząstka alfa przebiega przez wnętrze atomu; stąd wniosek bardzo prosty, że atom nie jest zbudowany w sposób ciągły. Te przedziwne zjawiska znikania i odchylania się toru cząstek alfa od kierunku prostolinijnego dadzą się z łatwością wyjaśnić, jak to Rutherford sądzi, gdy przyjmiemy, że każdy atom składa się z dodatnio naładowanego jądra o niezmiernie małej objętości i że naokół tego jądra krąży po kole lub elipsie 1 elektron, względnie krążą po kołach lub elipsach elektrony w większej ilości.

Zniknięcie cząstki alfa da się wprost wytłumaczyć przyciągnięciem przez elektron ujemny cząstki alfa dodatniej i zneutralizowaniem jej w ten sposób tak, że przestaje objawiać swoją obecność na zewnątrz i wpływać na płytę fotograficzną.

Samo przyciągnięcie sprawi oczywiście zboczenie cząstki alfa z jej tonu początkowego, a więc zakrzywienie linji drogi.

(*Dn*) *Dobiesław Doborzyński.*

STACJA NAUKOWA KRAKOWSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W RZYMIE.

W czasach kiedy fala źle pojętego, egoistycznego materjalizmu zdaje się zalewać życie odrodzonej Polski, a potrzeby instytucyj naukowych zamiast stanąć w pierwszym rzędzie „konieczności państwowych" spychane są na szary koniec naszego budżetu, wszelki odruch szlachetnych jednostek przyjścia z pomocą czystej nauce budzi w nas otuchę, że nadejdzie chwila, kiedy całe społeczeństwo uświadomi sobie rzetelnie tę prawdę, iż nie można myśleć poważnie o przyszłości narodu, nie zabezpieczywszy jego duchowych źródeł.

Naród, jak nasz, nie początkujący, ale w pełni intelektualnego rozwoju, musi myśleć wraz o szkole ludowej, tam gdzie jej dotąd brak, ale równocześnie szczególną pieczołowitością i staraniem powinien otoczyć ogniska wiedzy i nauki, Uniwersytety i Akademje.

Krakowska Akademja Umiejętności znalazła się po wojnie w wyjątkowo trudnych warunkach, nie będąc w stanie z powodu spadku naszej waluty uruchomić swych dotychczasowych zagranicznych misyj, opartych bądź o fundusze stypendyjne, bądź o osobne zapisy. Uczeni nasi pozbawieni są obecnie bezpośredniego indywidualnego kontaktu z zachodem. Stacje naukowe paryska i rzymska skazane są na bezczynność. Ta ostatnia nie miała nawet dotąd swego schronienia, a co gorzej własnych środków naukowych, do jakich należy w pierwszym rzędzie dobrze zaopatrzona bibljoteka. Przed wojną Stacja Naukowa rzymska koczowała w Instytucie Historycznym Austrjackim, pozbawionym, rzecz prosta, książek i podręczników polskich. Brak polskiej bibljoteki podręcznej utrudniał delegatom Akademji w niemałej mierze badania w archiwach rzymskich, a przynajmniej ich bezpośrednie kontrolowanie na miejscu. Chodzi tu bowiem o książki i wydawnictwa specjalne, jak katalogi rękopisów, encyklopedje, bibljografje i publikacje źródeł, niezbędne do uzupełnienia poszukiwań archiwalnych.

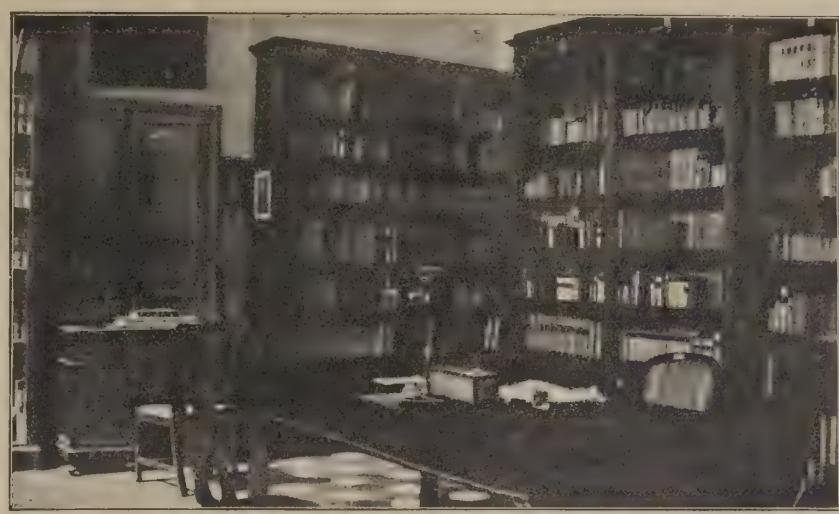

Sala parterowa Hospicjum św. Stanisława, w której pomieszczona została bibljoteka przeznaczona dla stacyj naukowych w Rzymie polskiej Akad. Umiejętności.

Zasadniczy ten brak wypełnia dziś szlachetna i rozumna inicjatywa hr. Józefa Michałowskiego, który bogatą swą kolekcję książek i wydawnictw ad hoc zbieranych ofiarował Akademji Umiejętności dla Stacji Naukowej w Rzymie. Zbiór ten, liczący 4,000 tomów (niebawem jeszcze będzie uzupełniony) umieszczono w sali parterowej Hospicjum św. Stanisława, nadającej się wcale dobrze na pracownię. Wartość jego wynosi około 100,000 fr., bo zawiera rzadkie dziś wydawnictwa i podręczniki polskie i zagraniczne. W tem leży znaczenie zbioru. Akademja Umiejętności zyskuje poważny zawiązek środowiska naukowego w Rzymie, który ułatwi jej przerwane przez wojnę prowadzenie poszukiwań archiwalnych we Włoszech, o ile jeszcze rząd i społeczeństwo przyjdzie z dalszą pomocą i zapewni fundusz w monecie zagranicznej, niezbędny dla wysłania tej jesieni conajmniej 2 badaczy na studja do Włoch.

Warto przypomnieć, że Stacja Naukowa Rzymska Akademji Umiejętności chlubi się wydawnictwami takich uczonych i historyków jak Wł. Abraham, Kutrzeba, J. Ptaśnik, Ks. Fijałek, St. Zakrzewski, Ks. Chotkowski, Nanke i całego szeregu innych, a z nieżyjących ś. p. W. Zakrzewski, B. Ulanowski i L. Boratyński. Pomnikowe wydawnictwo p. t. „Monumenta Poloniae Vatikana" i wydawnictwa Nuncjatur, zawierających Nuncjuszów papieskich w Polsce, ważnych dla naszej przeszłości politycznej i obyczajowej, chlubnie świadczy o Akademji, która pracami temi kierowała i o ludziach, którzy zagranicą przedstawiali naukę i imię polskie w czasach najcięższych dla Ojczyzny. Są to tradycje i obowiązki, których niewolno przerywać ani na chwilę.

Ta myśl przyświecała ofiarodawcy bibljoteki, który, sam będąc nie tylko zapalonym bibljofilem, ale także erudytą i pilnym badaczem naszej przeszłości, łączy osobiste głębokie zrozumienie narodowych potrzeb kulturalnych z dostojnem dziedzictwem Piotra Michałowskiego, a po kądzieli Koźmianów.

W przeddzień wyjazdu z Rzymu pana ministra Spraw Zagranicznych Skirmunta, wręczył mu ofiarodawca klucze zbioru w gronie zebranej kolonji polskiej z prośbą o opiekę Rządu i na znak, iż Stacja Naukowa Akademji Umiejętności w Rzymie może i powinna się stać także pracownią uzupełniającą dla naszych młodych dyplomatów, w której będą mogli dla praktyki polityczno-dyplomatycznej czerpać natchnienia i nauki w dziejach.

M. L.

Grupa uczniów i uczennic Ak. Szt. Pięk. z p. Jastrzębskim pośrodku na podwórcu zamkowym w Dębnie.

Malarze przy pracy na starych wałach zamkowych.

Uczniowie i uczennice przy obiedzie na świeżem powietrzu.

Z POBYTU UCZENNIC I UCZNIÓW

krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych na studjach w Dębnie.

Piękny przykład obywatelskiego odnoszenia się do potrzeb sztuki polskiej i jej adeptów dał p. Jan Jastrzębski, właściciel dóbr i zamku w Dębnie pod Tarnowem, zapraszając do siebie młodych artystów z krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych. W pięknej podgórskiej i zdrowej okolicy, podejmowani z prawdziwie staropolską gościnnością, spędzili oni pożytecznie i owocnie kilka tygodni, oddając się z wielkim zapałem i ochotą studjowaniu pejzażu i pleneru, jak również niezwykle pięknej architektury samego zamku, cennego zabytku z XIV wieku. Ilustracje nasze przedstawiają szereg momentów z życia młodych artystów w Dębnie—jak również fragmenty z zamku—znane po części naszym czytelnikom z numerów 44 z roku 1921 oraz 5 z roku 1922 „Tygodnika Illustrowanego", w których zamieszczone zostały dwa artykuły o zamku w Dębnie i jego wartości historyczno-zabytkowej.

Czyn p. Jastrzębskiego budzi radosne przeświadczenie, że w społeczeństwie naszem, tak niewiele w porównaniu z zagranicą interesującem się sztuką i jej potrzebami, znajdują się jeszcze ludzie, którzy chętnie i ofiarnie spieszą z pomocą i gościną tym, którzy stać się mają w przyszłości pionjerami sztuki narodu i reprezentantami imienia i kultury Polski poza jej granicami.

Młodego państwa naszego nie stać dzisiaj jeszcze na otaczanie — jak to się w dużej mierze dzieje gdzieindziej — sztuki i młodzieży artystycznej należytą i troskliwą opieką, pomimo iż wartości, jakie przysparza sztuka państwu i narodowi na terenie zagranicznym, są dziś ogólnie znane. Zaszczytny ten obowiązek wziąć na siebie winno społeczeństwo polskie, a w szczególności ci, którym nie obojętną jest troska o przyszłość i rozwój sztuki polskiej.

Br. P.

Komandor Edward Hilton Young, doradca polskiego ministra skarbu.

KOMANDOR EDWARD HILTON YOUNG.

Komandor Edward Hilton Young, przybywający do Polski, jako doradca polskiego ministra skarbu, urodził się 20 marca 1879 roku. Jest baronetem, trzecim synem sir Jerzego Young'a. Wychowywał się w Eton i Trinity College w Cambridge. Otrzymał tytuł naukowy magistra nauk (Master of arts) w Cambridge w 1907 roku. W roku 1904 został powołany do adwokatury w okręgu Inner Temple; jako adwokat praktykował przy wydziale cywilnym sądu (Kings Bench Division) oraz uczestniczył w objazdach sądowych w okręgu Oxfordzkim.

Od r. 1910 do 1914 był redaktorem finansowym „Morning Post", następnie reprezentował Wielką Brytanję na międzynarodowej konferencji finansowej w Hadze w r. 1922. Jest autorem wydanej w r. 1915 książki „System finansów narodowych" i innych dzieł z tej dziedziny. Od 1921—1923 r. był podsekretarzem stanu w angielskiem ministerstwie skarbu.

Po wybuchu wojny wstąpił do marynarki wojennej w randze porucznika. W sierpniu służył na pancerniku „Iron Duke" (okręt admiralski lorda Jellicoe), w r. 1915 był członkiem morskiej misji w Serbji, w 1916 r. służył na okręcie „Centaur". Brał udział w akcjach morskich w dniu 22 stycznia i 11 maja 1917 roku. Razem z ciężką artylerją morską brał udział w bitwach na froncie flamandzkim w 1917 r., gdzie też został odznaczony angielskim krzyżem zasługi (Distinguished service Cross) oraz francuskim Croix de Guerre. W czasie ataku na Zeebrugge, w 1918 r., służył na okręcie „Vindicative". W tej bitwie stracił wskutek ciężkiej rany ramię. Został awansowany na komandora-porucznika. Następnie, dowodząc pociągiem pancernym w czasie wyprawy archangielskiej, został odznaczony orderem zasługi (Distinguished Service Order). Ożenił się w r. 1922 z Lady Scott, wdową po kapitanie Robercie Scott, znanym podróżniku i badaczu bieguna południowego.

Począwszy od 1915 r. był członkiem parlamentu i reprezentował okręg Norwich; należał do stronnictwa liberalnego.

Mr. Young zaraz po przybyciu do Warszawy odbył w towarzystwie p. wice gubernatora Banku Angielskiego, H. A. Trottera, i p. Pensona, konferencję z ministrem skarbu Kucharskim. Fot. Marjan Fuks.
(Od lewej ku prawej Mr. Young, minister Kucharski, H. A. Trotter i Mr. Penson).

Obok dążeń, zmierzających do zorganizowania aparatu skarbowego, wystąpił rząd do walki z waluciarzami. Fotografja powyższa przedstawia wynik jednej z obław, urządzonych ostatnio w Warszawie. Fot. Marjan Fuks.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

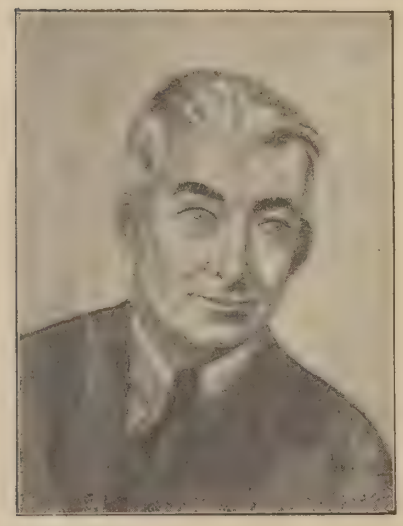

WŁADYSŁAW OLEWIŃSKI.

W końcu września donośnem i bolesnem echem ozwało się morderstwo ohydne, popełnione na ś. p. Władysławie Olewińskim, vice-prezesie Głównej Komisji Ziemskiej. Zabójcę, ziemianina Wł. Niwińskiego, sąd skazał na 8 lat ciężkiego więzienia. Jednak krzywda wyrządzona nietylko bliskim, ale i Polsce, nie da się niczem pokryć.

Ś. p. Władysław Olewiński był człowiekiem wielkiej miary moralnej i umysłowej, całkowicie oddanym sprawom publicznym. Czystość duszy, nieposzlakowany charakter, wiedza rozległa, wybitne zdolności i wyjątkowa bezstronność—te nieocenione zalety działacza społecznego i urzędnika zaprowadziły go na wysoki szczebel państwowej pracy twórczej, której się oddawał z całym zapałem i promieniował szeroko pięknemi cechami swego ducha. Szalona ręka zbrodniarza przecięła w pełni młodości to życie bujne a takie cenne dla państwa i społeczeństwa. *Z. P.*

Ś. P. ALEKSANDRA CALLIEROWA.

Dn. 4-go sierpnia r. b. zmarła w Tczewie Aleksandra Callierowa. Urodzona w Augustowie, ziemi Suwalskiej, jako córka doktora Józefa Grodnickiego i Marji z Janowskich, ś. p. zmarła była żoną Edmunda Calliera, pułkownika wojsk polskich z r. 1863 i wydawcy „Tygodnika Wielkopolskiego". W ciągu lat wielu ś. p. Callierowa była gorliwą współredaktorką tego pisma, przyczyniając się do jego rozwoju swą szlachetną współpracą, nacechowaną kulturą literacką. Zasilała również swemi pracami wiele innych pism krakowskich i warszawskich jak: „Przegląd Tygodniowy", „Kurjer Codzienny Illustrowany", tłumacząc nadto na język polski wiele powieści, przeważnie Jokaya i Sudermana. Trafny wybór przyswajanych literaturze polskiej utworów oraz piękny język i styl, któremi je tłumaczyła, zyskały zmarłej zasłużone uznanie.

Cześć jej bamięci!

Przy uniwersytecie katolickim w Lublinie odbył się kurs akademickiego stowarzyszenia „Odrodzenie". Kurs ten pod nazwą „tygodnia społecznego", zgromadził liczne rzesze katolickiej młodzieży akademickiej. Powyższa ilustracja przedstawia grupę uczestników kursu. Fot. J. Malarski.

Z TEATRU.

Scena zbiorowa ostatniego aktu „Poskromienia złośnicy" — komedji Szekspira, wystawionej w teatrze Rozmaitości z M. Brydzińską i J. Węgrzynem w rolach głównych.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 35)

Dordżi Nojon osobiście otworzył drzwi baronowi i, kłaniając się zapraszał go do wejścia. Nikt więcej nie ośmielił się przestąpić za nimi progu. Ale baron znał obyczaje Mongołów i kazał zaraz prosić domowników. Podano herbatę z chińskiemi łakociami, baron poprosił jednak o przysmaki mongolskie, o sery „pisłych" i „bou", o suszoną śmietankę „urjum".

Wiadomość o tem lotem błyskawicy rozeszła się i wywołała życzliwą sensację wśród zebranego na zewnątrz gminu, który momentalnie napłynął z sąsiednich ułusów, powiadomiony o przybyciu chana, niewiadomo jak i przez kogo. Co chwila nadjeżdżali galopem jeźdźcy i rozmaici „tajdżi", zaglądali do jurty w nadziei, że ich spostrzegą i zaproszą...

Baron tymczasem, popijając herbatę, rozmawiał grzecznie po francusku z Hanką i Władkiem, rozpytywał się o ich rodzinne stosunki, o przeszłość, o przygody, które ich zaprowadziły aż tutaj. Rozumie się, że zaraz zauważył bliznę na twarzy Korczaka i zapytał o jej pochodzenie.

Dordżi Nojon był cokolwiek zaniepokojony tą „cudzoziemską", niezrozumiałą dla nikogo rozmową, która wydała mu się zbyt długą. Ze swej strony również zauważył bliznę na twarzy Korczaka i, dowiedziawszy się o jej pochodzeniu od Szag-dura, oraz o zachowaniu się w tej przygodzie Hanki, obrzucił dziewczynę dziwnem, niepokojącem ją mocno spojrzeniem. Podobne błyski zauważyła Hanka i w oczach barona, co ją onieśmieliło do reszty. Odpowiadała już nie po francusku, lecz po rosyjsku, wreszcie umilkła. Musiał ją brat a nawet Szagdur w odpowiedziach często wyręczać.

Baron urwał nagle i odwrócił się wyniośle do Dordżi Nojona.

— Tego lotnika chciałbym wybadać na osobności...

— Zaraz każę ludziom wyjść...

— Nie trzeba. Pójdziemy obejrzeć samolot, a kiedy wrócimy, wtedy...

Książę ukłonił się i potrząsł na wysokości głowy pochylonej obiema pięściami z wielkim palcem wzniesionym do góry.

Oględzinom towarzyszyły całe chmary Mongołów. Trwały one niedługo. Samolot leżał tam, gdzie spadł, nakryty starannie wojłokami.

— Nieuszkodzony?...—spytał baron.

— Bardzo mało!... — odpowiedział idący tuż za nim lotnik.

Baron odwrócił się i zmierzył młodzieńca ostrym, przykrym wzrokiem.

— Jak się pan nazywa?

— Jan Domicki.

— Polak?

— Polak.

— Służył pan bolszewikom?...

— Pod przymusem.

— Dobrze. O tem pomówimy później. Obserwator czy pilot?

— Do woli, jeden i drugi!

— Mógłby pan poprawić samolot?

— Owszem, o ile znalazłbym majstrów.

— W Urdze mamy warsztaty wojskowe... Po samolot przyszlę „truck".

— Można go rozebrać i doskonale przewieźć wołami na arbach...

— Zastanowimy się nad tem a teraz wracajmy. A to kto?... — spytał nagle, wskazując kiwkiem głowy na przyglądającego mu się z otwartą gębą Maćka.

— To nasz... towarzysz... niedoli... — dopowiedział pośpiesznie Władek, dostrzegłszy na twarzy barona błysk posępny przy słowie „towarzysz".

— Żołnierz?...

— II-go pułku polskiej piechoty...

— Dobrze! Obu was każę zaliczyć do mojej przybocznej kompanji!...—rzucił Władkowi łaskawie.

Odwrócił się i poszedł z powrotem ku namiotowi. Ożywienie i rozmowność opuściły go nagle. Nie zwracał już uwagi na Hankę, wogóle nie zwracał uwagi na nikogo, szedł nachmurzony z oczami utkwionemi w ziemię.

Dordżi Nojon dreptał za nim stropiony, cały orszak trzymał się w przyzwoitej odległości.

— Straszny on jednak, straszny!... Niedarmo nazywają go „krwawym" — szepnęła Hanka do Domickiego.

— Dobry wódz!... — wstawił ten pojednawczo.

Baron wszedł do jurty z księciem i drzwi kazał zamknąć.

— Więc jakże?... Jaka wola wasza, panie!?...—spytał po długiem milczeniu Dordżi.

— „Darichu" zostanie w twoim ułusie...— zaczął z rozmysłem baron.

Oczy Mongoła zabłysły radośnie.

— A co, mówiłem, że „darichu"!... Zupełnie nawet jak „darichu" z obrazka wygląda!... Twarz jak księżyc, oczy jak gwiazdy!...

— Jej brata i tego drugiego Polaka dziś jeszcze wyślesz do Urgi, Szag-dura również, a lotnika każ zawołać!—ciągnął dalej posępnie baron.

Dordżi wyszedł z jurty. Kiedy po chwili wrócił z Domickim, baron dał mu znak, żeby się wyniósł.

Domicki zatrzymał się nieopodal wejścia. Baron siedział z podwiniętemi nogami na poduszce i przyglądał się młodzieńcowi z podełba. Żółta jego szata, ogorzała twarz czyniły go podobnym do złotego posągu Buddy, jaki migotał za jego plecami w chwiejnym blasku palącej się „lampady".

— Podejdź bliżej, młodzieńcze, i mów prawdę... Wiesz pewnie, że mię oszukać niewolno i... nie można!

— Nie mam zamiaru!...—odrzekł lotnik.

— Pocoś tu przyleciał?...

— Chciałem przedostać się do Chin...

— Poco?... Wiozłeś jakie papiery?

— Nie. Nam kazano zlustrować linję wojsk pańskich.

— Pilot, który wiózł pana, też był Polakiem?

— Nie. Ale on również chciał uciec z bolszewji.

— Do Polski?...

— Nie wiem. Ale ja rozumie się, że do Polski...

— Więc świadomie oszukaliście waszych przełożonych, dowódców?...

— Sami uczynili się mymi „przełożonymi"... Nie jestem „bolszewikiem".

— Czy powiedziałeś im to?...

— Nie, nic im nie mówiłem. Potrzebowali lotników, zgłosiłem się w nadziei, że ucieknę... Zresztą postępowanie ich z ludźmi uprawnia względem nich wszelkie podejście...

— Kto je uprawnia?... Czy nie ty sam?... —przerwał surowo baron, przechodząc nagle na ty.

Domicki zmarszczył się i przygryzł wargi.

— Słuchaj, potrzebuję wyćwiczonych lotników i mechaników... Jeżeli pomożesz mi założyć warsztaty i szkołę lotniczą, nie tylko puszczę cię do Polski, ale jeszcze nagrodzę... Musisz jednak wiernie służyć, będziesz pod pilnym nadzorem... Zgadzasz się, co?

Domicki milczał czas dłuższy i wpatrywał się w twarz barona. Ten również mierzył go wzrokiem.

— Jak długo to potrwa?—spytał wreszcie lotnik.

— Od ciebie w znacznej mierze zależy.

— Rok?...

— Nie stawiam terminu. Może dłużej, może krócej... Kiedy będę miał zbudowane warsztaty i dość wyćwiczonych pilotów...

— Bez terminu... trudno!...

— Cha, cha!... Ty mi stawiasz widzę warunki...

— Bo chcę je spełnić...

— Dobrze więc, niech będzie rok... Lecz biada ci, jeżeli złamiesz obietnicę...

— Zgoda. Nie złamię.

— Zostaniesz tymczasem tutaj. Przyślę ci majstrów do rozbiórki aeroplanu, przywieziesz go do Urgi. Możesz odejść!... Zawołaj księcia. Niech szykują samochód. Powiedz, że wyjeżdżamy niezwłocznie!...

Gdy Domicki pojawił się na zewnątrz jurty, obstąpili go zaraz czekający z niepokojem przyjaciele.

— No cóż, no cóż!...—pytali.

— Tęgi człowiek!... W całem znaczeniu wódz!... Siła!... Żelazo!... Zaciągnąłem się na służbę... — opowiadał im z podnieceniem przebieg rozmowy i swoje wrażenia.

(*Dcn*)

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

15)

Po dwóch tygodniach zapytał Leopoldyny, czy jego matka przysłała punktualnie pieniądze na jego utrzymanie.

— Mój Boże, toby było najmniejsze, moje dziecko—rzekła inżynjerowa prawie wzruszona. — Zresztą pieniądze już przyszły. Twoja matka nie należy do takich, którzy o tem zapominają.

Był przyjemnie zdziwiony.

— Eugenja myśli o wszystkiem—zauważył z dumą do inżynjera, kiedy z nim szedł na przechadzkę — cieszę się, że żona pańska nie ma powodu uskarżać się na nią.

— I ja się cieszę — odpowiedział inżynjer.

I dodał:

— Ale ja nie byłbym miał za złe twojej matce, gdyby o tem zapomniała. Bo ona nie jest taka, jak wszystkie kobiety.

— To prawda—odpowiedział Jakób rzeczowo.—Muzyka nie jest wprawdzie moją specjalnością, ale Eugenja ma rzeczywiście nadzwyczajny głos, jak wszyscy ajenci mówią.

— No tak, głos—mówił inżynjer — ale to nie jest najważniejsze. Twój ojciec był szczęśliwy, że ją miał. O to chodzi. Ona jest idealną towarzyszką dla mężczyzny, nie jest ani trochę drobiazgową.

— Pan myśli, że mama nie troszczy się o to ile co kosztuje.

— My mężczyźni zapominamy od czasu do czasu, jakie to życie jest pospolite. Tylko kobiety mają zmysł do zwykłych rzeczy. Płaczą o każdy zgubiony guzik i psują nam każdy ładny dzień swojemi tysiącznemi troskami. Eugenja jest inna.

Jest niezadowolony z Leopoldyny — pomyślał Jakób—ale ona naprawdę nie ma łatwego życia. Ciągle się boi, żeby inżynjer pewnego pięknego poranku nie rozpoczął znowu jakiejś pieszej podróży.

O tak, inżynjerowa miała dość do znoszenia z jego powodu. Ale było oprócz tego wiele cierpień, które tylko sam Bóg jej zsyłał, ale ona zachowywała się zawsze tak, jakby ją obraził ktoś z jej najbliższych.

— Znowu przez całą noc bolała mnie głowa—była w stanie powiedzieć z wyrzutem, tak, że wszyscy obecni czuli się dotknięci.

Nie można sobie wyobrazić nic bardziej beznadziejnego, jak jej twarz w niektóre dni.

Majorowa starała się przypominać jej co za straszne rzeczy znosi dziś cała ludzkość.

— Pomyśl tylko Leopoldyno, wszędzie tyle nieszczęść.

Nie tak, jak dawniej tylko w gazetach i tylko u obcych ludzi.

Brat przyrodni majorowej, stary człowiek zginął niedawno. Przyjaciółka Leopoldyny straciła jednego dnia dwóch synów zaledwie dorosłych, prawie dzieci. Wobec tego Leopoldyna powinna się była czuć szczęśliwą i dziękować Bogu. Miała syna w pieluszkach, który długie lata mógł sobie rosnąć bez przeszkód. Miała męża w urzędzie, od którego żądano narazie tylko technicznych wiadomości.

— Pomyśl tylko, Leopoldyno...

Ale Leopoldyna nie była niewdzięczną, tylko tak jak dużo innych kobiet skazaną na to, żeby czasem beznadziejnie wyglądać—tak beznadziejnie—jak mężczyzna nigdy wyglądać nie potrafi i właściwie bez powodu. Może jej twarz była jak te przesadnie czułe aparaty, które wskazywały dalekie trzęsienie ziemi. I może nie wyrażała jej osobistego smutku, tylko coś, co dotyczyło niezliczonych innych ludzi, rozgrywało się daleko i było tragiczniejsze niż najgorszy los pojedyńczej jednostki.

W każdym razie inżynjer nie miał w domu dużo radości i zrozumienia. A w urzędzie gromadziły się góry papierów, które do nikogo innego nie należały tylko do niego—niestety. Jak długi mnożyły się tę jego akty. Byłto wprost tropikalny wzrost w tym stosunkowo krótkim czasie. Inżynjer miał teraz stale wzrok zamęczonej przez wierzycieli kreatury. I nie był w stanie począć nic przeciwko temu.

Dawniej byłby to śmiejąco załatwił. Przyszedł taki urzędowy „kawałek" na świat, jeszcze biały i prawie apetyczny, kilkoma pociągnięciami pióra można go było wyrobić i duszę uwolnić od wyrzutów sumienia. Ale inżynjer zanadto się tem cieszył, bo papier był taki biały i świeży, a cały akt dopiero nowonarodzony.

Rozmawiał z takim aktem i mówił mu:

— Jesteś jeszcze za młody, możesz całkiem dobrze troszkę poczekać.

I brał papier i ołówek i budował swe karkołomne mosty i koleje, albo fantastyczne pałace. Śnił w cyfrach i rysunkach, pilnie, z zaparciem siebie i nieraz zdala od biurka.

Tymczasem na jego biurku wszystko robiło się coraz starsze. Tak, nawet nowonarodzone niedawno dziecko stało się żółte i wydawało z siebie nieznośny kurz przy każdem poruszeniu. O, inżynjer wystrzegał się dotykać je, bo już nie było takie niewinne i urocze.

To była główna przeszkoda; wszystkie papiery urzędowe, spoczywające na stole, zmieniały się z czasem tak jak twarze umarłych, które zostawiono za długo nie pogrzebane. A te szare, cierpiące twarze miały w sobie coś niesłychanie surowego. Patrzyły swemi urzędowemi pieczęciami i emblematami, jakby wielkiemi tajemniczemi oczyma. Tak, to była poprostu władza państwa we własnej osobie, która wytrzeszczała na inżynjera swój groźny i nieprzyjacielski wzrok. Nie miał nawet siły rozłożyć te kawałki, żeby się przekonać co zawierały— i dlatego były to zagadki coraz cięższe do rozwiązania.

Inżynjer opuszczał swój pokój i udawał się do tego lub owego sąsiadującego z nim kolegi.

— Co mówisz na ostatnie depesze?—pytał ze zmarszczonem czołem, jak zawsze, gdy mówił o rzeczach, których nie rozumiał.

I następowała żywa rozmowa o marszach i bitwach, która, jeżeli dobrze poszło, trwała aż do końca urzędowych godzin.

Inżynjer miał na dnie duszy to naiwne przeświadczenie, że wojna się tak zakończy, jak się „urzędowi" spodoba, temu samemu urzędowi, który przy jego awanturniczych wycieczkach grał tak decydującą rolę. Urząd był wówczas trochę trzeźwy, ale teraz zdawał się pokazywać romantyczne skłonności, młodzieńczy zmysł na zmianę miejsc i tę tęsknotę za niebieską przestrzenią, którą mu tak mieli wtedy za złe.

Pochylony nad mapami, inżynjer mówił sobie nieraz:

— Właściwie już dawno nie podróżowałem.

O tak, taka rozłożona mapa podniecała szalenie jego wieczny głód ruchu.

A później, kiedy wracał do domu, wyciągał jakiś stary atlas i wędrował w myślach z Bombay do Tokjo.

Ale Leopoldyna niechętnie patrzyła na tego rodzaju rozrywki.

— Dlaczego nic nie mówisz? O co chodzi? Co ty robisz?

— Nic. Studjuję pola bitw.

— W Azji? — spytał Jakób, który stał opodal.

Inżynjer zamknął atlas, otworzył go szybko i rzekł znowu:

— To miejsce zostało wczoraj zdobyte.

Jakób zauważył:

— A więc się cofają. Bo to miejsce było zdobyte już przed pięciu tygodniami.

Kłócili się przez jakiś czas. Inżynjer czuł, że ma słuszność, bo źródłem, skąd czerpał swe wiadomości, był urząd. Ale Jakób dowiódł mu rzeczowo i spokojnie, że się mylił. Niestety, pamięć Jakóba była tak absolutnie niezawodną, że obrażała poprostu patrjotyczne uczucie inżynjera.

Leopoldyna przerwała im niecierpliwie:

— Kiedy pójdziesz ze mną na tych kilka niezbędnych wizyt?

Inżynjer westchnął.

— Niedługo, w przyszłym tygodniu.

— Dlaczego nie dziś?

Inżynjer wił się.

— Nie. Dziś nie mogę. Pod żadnym warunkiem. Wizyty, to moja śmierć.

— Śmierć?—powtórzył Jakób z niedowierzającym uśmiechem.

Leopoldyna milczała przez chwilę. Potem spytała znowu:

— Czy to prawda, że Marjanna jest zaręczona?

— Tak, z naszym ministrem.

— Co?!

— Z ministrem do handlu i przemysłu.

— Niepojęte—zauważyła Leopoldyna.

Przy kolacji zaczęła znowu mówić o tem samem.

— Pewnie nie jest adonisem i z pewnością ma dwa razy tyle lat co ona.

Inżynjer nieostrożny, jak zwykle, odpowiedział:

— O nie, on jest bardzo przystojny i mniej więcej w moim wieku.

— W twoim wieku?—rzekła Leopoldyna najprzykrzejszym ze swych beznadziejnych głosów. — A czemże ty jesteś w porównaniu z nim?

Majorowa dawała jej znaki.

Ale ona nie chciała ich widzieć, zaśmiała się zimno, niedobrze.

— Panna Marjanna, patrzcie, patrzcie... wnuczka chłopa.

(*Dcn*)

MIESZANINY LITERACKIE.

Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.

Mort de quelqu'un — Jules Romains Edition de la Nouvelle Revue Française).

Z okrutną wprawą pokazano tutaj, jak ndywiduum, coś, co przywykliśmy uważać za centrum istnienia, rozpływa się w drgnieniach wszechświata. Autor wysuwa czytelnika z samego siebie z taką zręcznością, że delikwent mimowoli oklaskuje swego kata. I staje się razem z nim panteistą z chwilą, gdy dotknie przędzy tajemniczych związków spowijających ziemię, aby stopić wszystkich w jedno.

Ale nie nadużywajmy etykietek filozoficznych. Jules Romains jest skupiony, ale na szczęście nie jest profesorem. Jego książka nie jest ilustracją kursów. Jakże często wzrusza się ramionami na krytykę niektórych umysłów, skompromitowanych tytułem naukowym. Ci, którzy nic nie wiedzą, mają pretensję do tych, którym udało się czegoś dowiedzieć.

Podziwiamy artyzm, z jakim autor darzy konkretnem życiem twory swego umysłu. Nie brak iskry i tchnienia żywota.

Jeżeli „les Copairs", poprzednia praca tego samego autora sprawia chwilami wrażenie taniego wirtuozostwa, to temat przynajmniej „czyjejś śmierci" porusza zagadnienia wieczyście palące.

*

Les petites „Visionnaires" — André Montiers (Fasquelle).

Książka, jak piekło, podzielona na kręgi występku, w których czytelnik obraca się śladami nałogowców, wiecznie goniących za narkotykiem. Monotonja stanowi urok romansu, pisanego stylem nadętym, który wierzga i potyka się na każdym kroku.

Wyzbywszy się trosk stylowych, autor dzieli się z nami znajomością tej dziwnej fauny, zamieszkującej wnętrza barów, wybitych różowym jedwabiem i czarnym tiulem, na których tle odcina się sylwetka agenta obyczajowego; zwierza nam tajemnice gwar i djalektów, daje szereg postaci, trudnych do wyrzucenia z pamięci, przedwcześnie zwiędłych, o pięknych ciałach zżartych przez wrzody, o dłoniach wilgotnych, załamanych w rozpaczy, że tak drogo okupiły szczyptę złudy, — uszy, w których wiecznie biją dzwony, tak różne od dzwonów Rezurekcji...

Montiers jest znakomitym ciceronem po wyniosłościach Montmartru, pokrytych śniegiem kokainy, usianych igiełkami szpryczek Prawaza..

*

Ombres prrtées — Jean Louis Vandoyer (Le Divan).

Pisarze wyobraźni okazują wybitną tendencję posługiwania się nietyle wyobraźnią i obserwacją, ile pamięcią i samoanalizą. Słynne określenie Saint-Réal'a, że „powieść jest zwierciadłem, które się przesuwa według drogi", nie ma w obecnej chwili zastosowania. Dziś zwierciadło umieszcza się zwykle przed sobą.

Stąd jest jasną rzeczą, że w opowiadaniach stworzonych w ten sposób, środek ciężkości spoczywa nie w intrydze i rozległości tematu ale w subtelnym splocie faktów i w atmosferze poufnej, wśród której powstały. Ich ciężar gatunkowy polega na wyrobieniu pamięci i na rodzaju wrażliwości u autora.

Pomimo, że ani w jednem opowiadaniu J. Z. Vandoyer nie posługuje się zaimkiem „ja", czujemy, że każda przygoda, wizerunek, obraz każdy w tej książce jest wspomnieniem. Podobało się autorowi prowadzić nas śladem kilku sentymentalnych pogoni, które kiedyś zapewne były dla niego źródłem słodkiego wzruszenia, których rozwój wkraczał w dziedziny spekulacji myślowej, gdyż okoliczności zewnętrzne zahamowały ich bieg prawidłowy i pozytywny rezultat uniemożliwiły.

„Adrata", „l'Enfant au pot renge", „le Pasiage de Claire" prowadzą nas wąskiemi i krętemi ścieżkami, których wszystkie załamania są drobiazgowo opisane, i które urywają się raptownie z chwilą, gdy rozwiewa się cel, tak bliski do osiągnięcia.

Te studja sentymentalne wymagają bardzo czułej wrażliwości i sprawnej inteligencji. Niemniej godną uwagi jest ich budowa zewnętrzna. Nie zatracając swego własnego stylu, Vandoyer ulega czarowi wizji Girandaux.

Wielbiciele przejrzystej i mądrej jego sztuki cieszyć się powinni, znajdując jej odbicie w tradycyjnych formach literackich Wandoyer'a, zamiast w tych produkcjach barokowych, które są tylko parodją bezsensowną.

□□

MASOWY WYRÓB KONFEKCJI MĘSKIEJ.

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Widok zewnętrzny magazynów firmy „Fr. Chudziński"—dom własny.

Dopóki Wielkopolska i Pomorze były pod okupacją pruską, o masowej produkcji konfekcji męskiej niemal nie mogło być mowy. Nie pozwalała na to bezwzględnie konkurencja w tej branży Berlina, Wrocławia, Lipska i t. d., zalewająca te dwie dzielnice pruską tandetą, tanią, ale efektowną.

Odcięci kordonem granicznym od Łodzi a nie mający rozwiniętego własnego przemysłu tekstylnego polscy rękodzielnicy Wielkopolski i Pomorza byli zdani w tej mierze na łaskę i niełaskę niemieckiego kolosa industrji, który nie dopuszczał do żadnej w tym względzie samodzielności w obu tych dzielnicach.

Z chwilą jednak zwycięskiego wyniku wojny dla nas, stosunki te zmieniły się tu naraz jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Rozporządzając materjałami z tak olbrzymiego rezerwuaru w tym względzie jak: Łódź, Zgierz, Pabjanice, Bielsk i t. d., przemysłowcy tutejsi rzucili się do zakładania na wielką skalę wielkich warsztatów pracy, które miały na celu dostarczyć jak najszerszym warstwom ludności tutejszej niedrogiego a efektownego ubrania.

W tym kierunku Bydgoszcz nie dała się zakasować Poznaniowi. Oto na jej gruncie, wśród szeregu firm na pierwszy plan wysuwa się specjalnością swej produkcji w tej dziedzinie firma:

F. CHUDZIŃSKI

wyrób masowy konfekcji męskiej

i hurtownia materjałów

Bydgoszcz, Stary Rynek 7,

tel. 768 i 187.

Wnętrze magazynu firmy „F. Chudziński" w Bydgoszczy.

Franciszek Chudziński, właściciel firmy.

Obecny jej właściciel, energiczny kupiec i przemysłowiec, przejął ją w roku 1921 z rąk dawnego jej właściciela, niemieckiego żyda, odpowiednio rozszerzył i nadał jej ten europejski wygląd i rozmach, który tylko bardzo korzystnie świadczyć może, gdy mowa o porównaniu przedsiębiorczości na ten temat polskiej a niemieckiej.

Firma ta zatrudnia już przeszło 50 osób, pracujących pod wytrawnem okiem dyrektora zakładu, p. A. Samolewskiego, a jej wyroby rozchodzą się po Polsce całej od Lwowa aż po Gdańsk.

Zaopatruje się w nie w wielkiej ilości nawet Warszawa, ta kapryśnica mody, podbita jednak tym razem zarówno eleganckiem wykończeniem produkcji tej chrześcijańskiej firmy bydgoskiej, jako też jej cenami wybitnie konkurencyjnemi. Bo też firma „F. Chudziński w Bydgoszczy" postawiła sobie ze cel zwalczanie rozpanoszonej w tej branży żydowskiej produkcji a to zwalczanie na drodze wytrwałej i uczciwej konkurencji.

To zadanie wypełnia dotąd bardzo skutecznie, znajdując poklask u społeczeństwa i jak najżywsze jego poparcie. Szerokie koła odbiorców dzięki wytrwałej pracy „F. Chudzińskiego" nauczyły się omijać firmy żydowskie a popieraniem swego stwierdzać na każdym kroku swą najżywszą sympatję dla kierunku unarodowienia naszego handlu i przemysłu. Rzetelna praca firmy „F. Chudziński w Bydgoszczy" umożliwia jej to w zupełności. Jej wyroby sporządzane są nie tylko przytem z najlepszych materjałów krajowych ale też i zagranicznych angielskich, a to zawsze na życzenie tej klijenteli, która bez zagranicznych materjałów obejść się nie może.

Zatrudniając wysoko uzdolnionych krojczych i bardzo sprawnych w swym fachu pracowników, potrafi firma „F. Chudziński masowa produkcja konfekcji męskiej w Bydgoszczy, Stary Rynek 7" zadowolić wszelkie gusta swych odbiorców od najwybredniejszych aż do najskromniejszych. To też liczne dowody uznania, jakie odbiera od swej klienteli, świadczą raz jeszcze niezbicie, iż usilna i fachowa praca zawsze może liczyć na uznanie i powodzenie, a na brak tego właśnie firma „F. Chudziński w Bydgoszczy" skarżyć się nie może...

Jim.

A. Samolewski, prokurent firmy.

Atelier głównego krojczego firmy „F. Chudziński".

Hurtownia sukna na pierwszem piętrze.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Nr 43 Ogólnego zbioru 3,336 Wydawnictwa rok 64. 20 Października 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

NAD POLAMI JAN REMBOWSKI

Z wystawy pośmiertnej w T. Z. S. P.

„TYDZIEŃ AKADEMIKA".

Niema i nie może być obywatela dojrzałego, który patrzyłby bez troski i głębszego współczucia na trudną walkę, prowadzoną obecnie przez młodzież akademicką polską nie tylko o własne jutro, lecz i o jutro narodu.

Kimże bowiem są ci młodzieńcy, których zastępy zgromadziły się w wyższych zakładach naukowych stolicy i innych miast uniwersyteckich?

Dzisiaj pilni adepci tej czy innej gałęzi nauki, jutro — po zdobyciu odpowiedniej wiedzy teoretycznej i praktycznej — kierownicy życia polskiego, owa elita intelektualna narodu, powołana do kroczenia w pierwszym szeregu i torowania dróg, po których pójdą w przyszłość miljony Polaków, aby utrwalić byt państwa polskiego, pomnażać dobrobyt narodu, dźwigać jego cywilizację i kulturę na poziom coraz wyższy, dorównywający poziomowi innych.

Naród, jako masa, jest bezwładny i niezdolny do tworzenia wyższych wartości cywilizacyjnych. Ale naród, jak masa, prowadzona przez światłych i dobrych przewodników, może cudów dokonywać, może przezwyciężać wszelkie przeszkody i osiągać cele, pozornie trudne do zrealizowania. Dlatego przyszłość narodu zależy nie tyle od jego liczebności, ile od ducha i intelektu tych, co ten naród prowadzą z pełną świadomością, dokąd go prowadzić należy i z poczuciem odpowiedzialności za obrany kierunek.

Czasy, które przeżywamy obecnie, dowiodły, że Polska nie ma w żadnej dziedzinie swojego życia publicznego nadmiaru przewodników, posiadających świadomość celów, do których naród należy prowadzić, i poczucie odpowiedzialności za wybór dróg.

Błąkamy się ciągle jeszcze po gościńcach myśli, wydeptanych w okresie niewoli. Nowi ludzie — owi wolni obywatele, którzy nie ciągnęliby za sobą łańcuchów żadnych wspomnień — nie weszli w życie. Stoją dopiero u jego wrót i oczekują na swoją kolej.

Oto z tej bezimiennej dzisiaj gromady, która nosi ogólne miano „młodzieży akademickiej" zaczną się niebawem, stopniowo, wyłaniać silniejsze indywidualności, powołane do odegrania wybitniejszej roli w społeczeństwie.

Wśród tych prawników, filozofów, medyków, techników i agronomów, którzy zapełniają mury naszych uczelni wyższych — są zarówno przyszli kierownicy państwa, jak przyszli poeci, pisarze, uczeni i artyści. Wszystko, co Polska będzie miała najlepszego za lat 15 lub 20 na swojem czele, wszyscy „budowniczowie jutra narodowego"—siedzą dzisiaj na ławie akademickiej i nikt nie wie, czy ten skromny student w wyszarzanem palcie, śpieszący do taniej kuchni na swój codzienny nędzny posiłek, to nie przyszły prezydent Rzeczypospolitej, przyszły minister lub przyszły wielki pisarz.

Któż z nas, którzy pamiętamy z przed lat 32 studenckie czwarte piętro na Hortensji, gdzie mieszkał wówczas, jako student przyrody, Stanisław Wojciechowski, dzisiejszy prezydent, iż to on właśnie będzie prezydentem wskrzeszonej Rzeczypospolitej polskiej?

Tak samo nie możemy wiedzieć, kto, jakie i kiedy zajmie stanowisko z pośród dzisiejszej młodzieży akademickiej, ale wiemy, że są tam kandydaci na wszystkie stanowiska kierownicze, których życie, zgodnie ze swojemi prawami selekcji, będzie wybierało z bezimiennej gromady.

I dlatego ta gromada nie jest dla nas obojętna. Nie możemy na nią patrzeć, jak na zastęp młodzieży, która przygotowuje się do rozmaitych zawodów, aby ciągnąć z nich w następstwie zyski osobiste i dorabiać się majątków, jako prawnicy, lekarze, inżynjerowie i t. d., ale musimy przyglądać się jej uważnie, jako zbiorowemu ciału, z którego wyjdą niebawem, jak to już mówiliśmy, kierownicy życia polskiego.

Życie to będzie takie, jakiem je uczynią ci, którzy staną na jego czele. Będzie w niem tyle słońca i pogody, wiary i nadziei, ile ich z sobą oni wniosą. I odwrotnie, tyle rozgoryczenia i żalu, niezadowolenia i fermentu, ile ich będzie w umysłach i duszach przyszłych działaczy społecznych i państwowych.

Nie jest dzisiaj dla żadnego psychosocjologa tajemnicą, że t. zw. poglądy społeczne kształtują się nie na podstawie oderwanych idei, ale na realnem podłożu życia każdej jednostki.

Człowiek zdrów i silny, dorodny fizycznie, wychowany w jakim takim dodrobycie, nie uważający pracy za ciężar i nie cofający się przed pokonywaniem napotykanych przeszkód, ma zawsze światopogląd jaśniejszy od człowieka chorego, o słabej woli i przewrażliwionych nerwach. Odwrotnie, człowiek tego drugiego gatunku, jest niemal z reguły pesymistą.

Doświadczenie uczy, że elementy rewolucyjne we wszystkich społeczeństwach składają się w znacznej odsetce z neurasteników, fizyków, luetyków, morfinistów, kokainistów i alkoholików, którzy w ideach przewrotu znajdują ujście dla nurtującej ich nienawiści społecznej, wyrosłej na podłożu rozżalenia człowieka chorego do ludzi zdrowych, silnych i zdolnych do radości życia.

Uważają oni, że upośledzeniu ich fizycznemu i nieszczęściu osobistemu winien jest ustrój społeczny i dlatego ten ustrój zwalczają. Jest w tem część słuszności, ale nigdy cała słuszność. Leży ona i leżeć będzie zawsze po stronie tych, co nie przez nienawiść, lecz przez miłość chcą świat przekształcać i udoskonalać. A takiego przekształcenia i udoskonalenia może dokonać tylko zdrowa, optymistycznie nastrojona i wierząca w zwycięstwo dobra część ludzkości.

Zrozumiały to już oddawna narody anglosaskie, które kładą taki nacisk na wychowanie fizyczne młodzieży.

Silna, zdrowa, wysportowana, o dobrze rozwiniętych mięśniach młodzież angielska i amerykańska jest najmniej rewolucyjnie usposobioną młodzieżą na kuli ziemskiej. Młodzież innych narodów przewyższa ją niewątpliwie pod względem rozwoju duchowego i intelektualnego, posiada znacznie wyższe wykształcenie ogólne, bardziej interesuje się nauką i sztuką, ale w nastrojach swoich jest mniej optymistyczna, w stosunku do życia i jego zagadnień najistotniejszych bardziej sceptyczna, a dzisiaj nie mająca nawet wiary w sens życia. Nerwowa i przeczulona zatraciła ona poczucie rzeczywistości, i dlatego tam, gdzie spotyka się z młodzieżą anglosaską na gruncie tej rzeczywistości, czuje się pokonaną.

Młodzież polska obecnego pokolenia przejściowego nie ma jeszcze oblicza wyraźnego. Pragnęlibyśmy jednak, aby upodobniała się do typu anglosaskiego pod względem fizycznym, nie zatracając jednocześnie tych cech duchowych i umysłowych, w jakie uposażona jest tak szczodrze przez naturę rasa polska.

Dlatego troska o zdrowie fizyczne naszej młodzieży musi być jedną z naczelnych trosk narodu, który na tej młodzieży buduje swoją przyszłość.

Cóż jednak widzimy wśród naszych akademików?

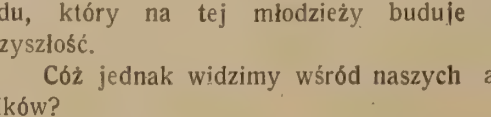

Zaledwie nikła ich część pod względem swojego rozwoju fizycznego odpowiadać może ideałowi Polaka przyszłości. Ogromna natomiast większość czyni wrażenie ludzi niedorozwiniętych fizycznie, źle odżywionych i zagrożonych słabością zdrowia na swoje dalsze, męskie życie.

Kto widział na otwarciu roku akademickiego w uniwersytecie i w politechnice warszawskiej świeżo imatrykulowanych abiturjentów tegorocznych, ten nie mógł oprzeć się żałosnemu wrażeniu, że to nie jest młodzież taka, jaką chcielibyśmy mieć w szkołach wyższych, przygotowujących obywateli do służby Rzeczypospolitej. To samo dotyczy studentów starszych semestrów. Nawet ci z pośród nich, którzy mają za sobą wojsko i wojnę, nie czynią wrażenia dzielności i siły fizycznej. Przeważa typ wątły, na którym swoje piętno wycisnęły lata prywacji okresu wielkiej wojny, lata niedożywiania i walki z codziennemi brakami.

Braki te nie ustały dotychczas. Przeciwnie, zwiększają się one z każdym dniem. Położenie studenta, który musi przeżywić się obecnie w Warszawie i mieć dość sił na to, aby podołać swoim obowiązkom, związanym z rzeczywistem a nie fikcyjnem zdobywaniem wiedzy, jest dzisiaj bardzo ciężkie. Trudno mu o dach nad głową, trudno o skromny, codzienny posiłek, jeszcze trudniej o odpowiednią odzież.

Są całe rzesze studentów, którzy literalnie nie mają gdzie mieszkać, którzy korzystają tylko z noclegu gdzieś u dalszej rodziny lub u dobrych ludzi, a cały dzień spędzać muszą, jak perypatetycy, ucząc się przygodnie w pustem chwilowo audytorjum lub w ogrzanej sali bibljotecznej, gdzie światło nic nie kosztuje. Ale wszyscy nie mogą tam znaleźć miejsca. Zresztą, nie wszyscy mają ten święty zapał do wiedzy, który pozwala na najdalej idącą abnegację. Często ten i ów, znękany biedą i zniechęcony przeszkodami, jakie w zdobyciu nauki piętrzą się przed nim, szuka pracy zarobkowej dla zaspokojenia swoich potrzeb, a znalazłszy taką pracę, rzuca studja na czas pewien, lub zupełny bierze z niemi rozbrat.

Takich „wykolejeńców" mamy już sporo, a mieć ich będziemy niewątpliwie coraz więcej w miarę podnoszenia się drożyzny. Dzieje się to z oczywistą szkodą społeczeństwa, które już dzisiaj odczuwa brak normalnego dopływu młodych sił inteligentnych we wszystkich zawodach, a w niedalekiej przyszłości może ten brak odczuć bardzo dotkliwie. Wówczas jednak zapóźno będzie zapobiegać temu. Pomoc i ratunek potrzebne są dzisiaj, zanim ucieczka młodzieży z wyższych zakładów naukowych na pola pracy zarobkowej nie przybierze rozmiarów katastrofalnych.

Młodzież żydowska w naszych szkołach wyższych ma taką pomoc ze strony swoich współwyznawców amerykańskich i francuskich. Dlatego nie widzimy jej ubytku, ale stały przyrost w uniwersytetach i politechnika h. Młodzież polska natomiast, o ile nie należy do warstw zamożniejszych, skazana jest w okresie studjów już nie na ubóstwo, lecz na nędzę, która nie jest czynnikiem dodatnim w wychowaniu fizycznem i moralnem, która niszczy zdrowie i wsącza w duszę pierwiastki goryczy i rozżalenia społecznego.

Z tem—dla przyszłości Polski, dla wielkiego jutra narodu—należy walczyć i dlatego zbliżający się „tydzień akademika", tydzień powszechnej w całej Polsce zbiórki na rzecz budowy domów akademickich i zaspokojenia nieodzownych potrzeb biedującej młodzieży—powinien zmobilizować całe społeczeństwo polskie do jaknajbardziej wydatnej akcji.

Niech wezwanie Rady naczelnej do spraw pomocy młodzieży akademickiej zastanie wszystkich w pogotowiu.

Z. Dębicki.

ROZMOWY Z ALMAŻENNĄ. 4)

Każda almaida staje się aktem nieomal religijnym. Ileż dziecięcej wiary i trwożliwej adoracji! Ten wytworny karmazyn i te dwie egzaltowane panie, wszyscy troje zatracili chyba już dawno świadomość swej własnej współpracy w tych emanacjach. I nie przypuszczają ani przez chwilę, jak głęboką prawdę kryją słowa Almażenny: „Istnieję tu przy was, albo nawet w was samych"!

Nie chcą o tem wiedzieć i nigdy się nie dowiedzą. Ostatecznie nie o Almażennę chodzi. Niech sobie cierpi i drży w przestworzu błękitnych frazesów. Ale ci ludzie!... Gustaw Olizar był kiedyś człowiekiem bardzo czynnym, rzutkim, inteligentnym. Pisał, jak słyszeliśmy, wcale miłe i dźwięczne wierszyki, olśniewał wprost ludzi poziomem kultury i bystrości filozoficznej, niedawno ukończył tom pamiętników. W tym czasie wszelako, w okresie dziwacznego stosunku z Almażenną stracił głowę dla wszystkich spraw doczesnych. A tem więcej obie panie: popadły w rodzaj histerji. Spętani przez drżącą niewolnicę anioła żyli wszyscy troje jak jeńcy, w niewoli u kochającej ich tkliwie stolikowej zjawy.

* * *

Lecz cóż za korzyść mają z tej przyjaźni? Bo: przyszłości odkrywać nie chce, o wszystkich sprawach zakrytych przed okiem śmiertelnem milczy, więc czem ich porywa, zniewala i zmienia w pokornych niewolników? Samym faktem pojawiania się, niczem więcej! Nie powiedziała ani razu niczego takiego, czegoby sami sobie powiedzieć nie umieli. W tym całym, skłębionym tłumie frazesów nie napotkamy ani cienia idei, której nie było w nich samych. Wszystkie te piękne określenia mógł bez trudności powiedzieć sam Olizar swej córce i kuzynce, bez pomocy świata nadprzyrodzonego.

A jednak, choć im nigdy nie powiedziała niczego olśniewająco nowego, biegną zawsze do niej po radę, opinję i wyrok. A te jej odpowiedzi, niedomówienia, nieuchwytne i nikomu nic nie mówiące, do nich — mówią zawsze.

I tak przez całych dziewięć lat!... Gdziekolwiek znajdą się razem ci troje, zjawa dąży za nimi wszędzie. Podąża do Polski, na najdalsze kresy wschodnie, podziwia wspaniałości Młynowa, dostojnej rezydencji Chodkiewiczów, czuje się jak u siebie w uroczym Korościeszowie, nawet do wód jedzie z nimi do Franzensbadu, gdzie stary hrabia leczy otłuszczenie serca. Z czasem oswoili się z sobą i tak na wylot poznali wzajemnie, że cała znajomość z Almą straciła poprostu drażniący urok niesamowitości.

Dłuższa rozłąka działała zawsze dodatnio. Czy nas pozna? wzdychają wtedy głośno, nie mogąc doczekać się chwili seansu. Z czasem ułożyło się bowiem tak, że Almażenna, — z nieznanych bliżej powodów, acz z przykrością — zakazała im przywoływać siebie częściej, niż dwa razy w miesiącu. Innym razem, gdy przerwa w rozmowach trwała jeszcze dłużej, oczekiwanie przyprawiło p. Lilę o atak nerwowy, a potem wszyscy wołali:

— Almo, droga nasza Almo! Jesteśmy znowu razem! Czy można prosić o znak Twej obecności wśród nas?

I czekają. Słychać szelest. Almażenna spływa na osadę ołówka, który pisze:

— Bądź mi pozdrowiona, liro, liściu i ty, droga myśl! *Trois fois salut!* Po pierwsze przeto, że was odnalazłam, powtóre, gdyż dziś będziecie mi wierzyć więcej, niż zawsze, po trzecie, gdyż potrafię was podtrzymać w chwili upadku.

Dalej mówi po polsku (Alma używa tego języka zawsze w chwilach szczególnie podniosłych):

— Ja bo was nigdy nie odstępuję, a choć niewidoma, równie jak myśl, wszystko obejmuję. Nie tylko przy *liściu* jestem zawsze i w nim, wszystkich was troje widzę, was miłuję, was otaczam jakby skrzydłami przezroczystemi. *Salut, trois fois salut!*

* * *

Był pewien rodzaj wynurzeń Almażenny, przyjmowanych w szczególniejszem skupieniu i napięciu, nieomal na klęczkach, były takie rozmowy z eteryczną lokatorką przestworów, które później krążyć będą z rąk do rąk, rozchwytywane, przepisywane wśród emigracji. To przepowiednie o przyszłości Polski.

Nie trzeba bowiem zapominać, że pp. Olizarowie zawarli znajomość ze swą przyjaciółką w przededniu wojny krymskiej, która była ostatniem rozczarowaniem schodzącego do grobu pokolenia romantyków.

Gdy ambasador rosyjski w zabłoconych butach i zapiętym paltocie wszedł na uroczyste posiedzenie dywanu w Konstantynopolu, a wojska Mikołaja przekroczyły granicę księstw naddunajskich, wtedy blade widmo nadziei polskiej podążyło znowu nad brzegi morza Czarnego. Nowa legenda napoleońska czekała niecierpliwie, by ozdobić koroną swych tęsknot trzeciego z rodu Bonapartych.

Na wszystkich seansach spirytystycznych, które były najnowszym dreszczem epoki, rozprawiano o Sebastopolu, o polskiej kozaczyźnie, o brawurze Francji i przymierzu z Turcją. Chcąc nie chcąc, musiały zjawy spirytystyczne mówić wiele o polityce i odsłaniać mroki przyszłości. Więc i dobra wróżka z pałacu drezdeńskiego nie mogła wywinąć się tym razem, musiała przemóc swą antypatję i odpowiadać na pytania, których kiedyindziej niewolno było poruszać. W dniu 5 października 1854 r. rozeszły się pierwsze wieści, zresztą przedwczesne, że Sebastopol już jest otoczony przez Francuzów i „powinien" lada chwila paść, a może nawet już poddał się. U pp. Olizarów wywiązała się tego samego dnia wieczorem następująca francuska rozmowa z Almażenną:

— Pytanie: Czy Sebastopol wzięty?

Odpowiedź: Śmierć pokrywa mury... ale jeszcze nie wzięty... Walka trwa.

— Kto zwycięży?

— *Les Gaulois ou les Saxons.*

— A kiedy dowiemy się o tem?

— W wigilję... dnia... spoczynku.

— Kiedyż powstanie Polska?

— W chwili, gdy krew przestanie płynąć na morzu Czarnem i trzy razy po trzy potem!... Republika monarchiczna błyszczeć będzie na ziemi, o której mówisz...

— Co to jest „trzy razy po trzy"?

— Znak... który sprawił, że kochamy... noce letnie...

— Ale cóż to ma znaczyć?

— Trzy miesiące, potem znowu trzy miesiące i jeszcze trzy... biedni szaleńcy!...

— Czy to prawda, co mówisz?

— Czego potrzeba ślepym? Światła oczu. A wam? Światła wiary...

Nie tęgie musiały być miny „biednych szaleńców" po uważnem odczytaniu tej przepowiedni. Teraz jasne już dla nas, czemu to dobrotliwa Alma tak usilnie broniła się przed wszelkiemi wróżbami. To *exposé* krymskie, pierwszy jej występ, nie udało się z kretesem. Już mniejsza o to, że w dniu 5 października 1854 r. Sebastopol nie był jeszcze wcale otoczony, o czem powinna była wiedzieć wszechobecna niewolnica anioła. Jeszcze gorzej ze sprawą polską. Ani w trzy miesiące później, ani tem mniej w trzy razy po trzy miesiące potem nie powstała Polska... Zaniechanie rozlewu krwi nad morzem Czarnem nie stało się wcale sygnałem zmartwychwstania. Powstawszy zaś w pół wieku później, Polska nie zabłysnęła bynajmniej jako „monarchiczna republika".

O biedna Almażenko, która masz w duszy błękit nieba i purpurę zachodzącego słońca...

Po tej niezbyt udanej przepowiedni Almażenna na dłuższy czas dała spokój wielkiej polityce i nie tykała jej przez cały czas kampanji krymskiej, nawet w chwilach największego napięcia oczekiwań. Dopiero w r. 1861 zmieniła zapatrywanie i ukazała się swym ziemskich przyjaciołom w zgoła nowej roli.

Nad czołem jej błyszczy teraz gwiazdka Grottgerowskiej muzy: „pójdźcie w krainę łez". Polska staje się obecnie czemś bardzo bliskiem dla niej i drogiem. O „naszej" ojczyźnie mówi się, naszej, wspólnej ziemi i zaświatom, Polsce. Almażenka tchnie zapałem nieomal dziewicy orleańskiej, podsyca zapał w starym Olizarze, daje lekcje patrjotyzmu apatycznym dotąd w tej mierze paniom, podtrzymuje ich, gdy upadają na duchu, karci, gdy wątpią, przepowiada nową drogę krzyżową, współczuje, utula: *Alma consolatrix.* Zaprawdę rozczulająco czyta się seans z dnia 20 lipca 1863!

— Ulituj się, droga nasza—tak wołają zgnębione upadającem powstaniem panie — i powiedz, czy Europa przyśle nam armję na pomoc? Powiedz wyraźnie, jeśli możesz i chcesz...

Ołówek pisze w odpowiedzi:

— Widzę jasno, wszystko jest kłamstwem. Nie będzie interwencji żadnej. Oto fakt rzeczywisty, ale udawać będą z hałasem słów grzmiących jak piorun. Tylko krew i łzy są interwencją, ale mówię: miejcie nadzieję, miejcie nadzieję... mój czas nie jest waszym czasem, będzie armja, gdy się wyroki spełnią, lecz wpierw krew niewinnych męczenników sczerwieni ziemię świętą, cierpienie naszych dzieci ją użyźni. Miejcie nadzieję *i niech was nie zasmuca moja suknia z pierezami.* Niejedna dusza przeczuwać jeszcze będzie chwilę nadchodzącego Alleluja, które się zjawi: (po polsku) *ale pod gruzami i pod potokami łez i krwi!*

Lecz to były już ostatnie rozmowy ludzi z przyjaciółką stamtąd. Wkrótce trójka spirytystów rozpierzchła się. Stary, sześćdziesięciopięcioletni Olizar zaniemógł ciężko, panie wyjechały. Jesienią r. 63-go zapisano w sztambuchu ostatnią „almaidę". Dźwięczała ona również akordem wiary w przyszłość:

— Listeczku, mój drogi listeczku, nie wątp! Wasza biedna Polska. Źle czynisz, wątpiąc. Będzie, będzie! Zaprzyjcie się siebie, a będzie. To wam święcie przyrzekam. Lecz teraz dajcie mi spokój. Niech się wpierw wyjaśni ciemny korytarz! Ciszy pragnę i spokoju, są mi one teraz tak potrzebne, jak gdyby przed ofiarnym obrządkiem wielkiego czynu! Później odezwę się. W chwili ważnej. Waszym językiem przemówię, *en polonais: stało się...*

Lecz obietnica nie spełniła się. Ani oni nie doczekali tej chwili, ani Almażenna, wieszczka zaświatów, nie pojawiła się więcej.

Sen lunatyczny skończył się. Rozwiał się ów tajemny mąt, osnuwający ich dusze, pętający świadomość, znikła niesamowitość, rozwiała się mgła, przestał działać odurzający cud. Ocknęli się.

Lecz rzecz dziwna! Okulta wynurzeń Almażenny zachowała swą dławiącą woń do dziś. I bije z kart sztambucha, tak jak woń paczuli ze starej saszetki.

I odurza.

Gdy się długo czyta w owej księdze seansów, trzeba przerwać i zamknąć sztambuch, w którym żyje do dziś Almażenna. Przerwać i ręką potrzeć skroń.

St. Wasylewski.

JAN AUGUSTYNOWICZ:

PIEŚŃ.

W złotej klatce, obrzeżony promieniami szepcącego ci coś słońca, na drucie złotym przyczajony, śpiewasz, mój ptaku, pieśń zwycięstwa i chwały. Słucha cię szepcące ci coś słońce i ziemia cię słucha i niebo i ja. Wynieśli twą klatkę na to słońce i dają ci je pić, abyś z żywota był wiecznego—słoneczny. I śpiewasz ową pieśń wieczną i umiera serce moje ze zgrozy i z uniesienia. Znowu chcę kruszyć kajdany wszelkiej niewoli oraz zła wszelkiego, o, ptaku słoneczny, w złotej klatce na złotym drucie śpiewający. Albowiem tyś jest, śpiewaku czarodziejski, poseł i prorok nieśmiertelnej prawdy.

Zwycięstwo światłu i chwała wszechdobru! Ocyka się kwiat linji przeczystej, kwiat duszy. Patrz, jak wonią spowiedzi ku tobie się pochyla...

I tylko złota klatka i złoty drut dzielą cię od tego kwiatu i odemnie, podły—i może dobrowolny?—niewolniku.

TĘSKNOTA.

Nieukojona Tęsknoto, okropna władczyni duszy mojej! Oto szatan, jak ongi Jezusa, kusił mię światem na pustyni życia mego, a przecie pozostałem na pustyni, nie umiejąc i nie chcąc zażyć życia, i rozkrzyżowany za to na krzyżu katusz i bólu zostałem.

Nie umarłem, lecz żyję. Szczęśliwy Ów, co po męce krzyżowej do grobu złożony został. Śmierć, pochylona nad Nim, całując Go, dała Mu może zapomnienie. A gdy na trzeci dzień zmartwychwstał,—zmartwychwstał, by w niebo ulecieć.

Tęsknoto moja! Przez piekło i czyściec twój owijam się myślą o jakieś niebo, lecz nie znam żadnego. Złamane są moje nogi, jak serce me złamane, już w żywocie matki może, zostało. I kiedy myśleć zacząłem, już cię znałem, Tęsknoto,

Złamane są ręce moje, którem bezpłodnie wyciągał, jak złamana ma dusza. Krew mi się w żółć i piołun przemieniła i wyschłe są wargi moje od spiekoty pustyni życia mego, a oczy zasypuje mi piasek tej pustyni. Tylko miraż przez oślepłość oczu widzę—czasem, czasem. I umieram, jak owa kiedyś, tem, że umrzeć nie mogę i wzdrygam się przed śmiercią—ja, nieśmiertelny.

Piję wyschłemi usty wodę mirażu pustynnego i chłodzę się w cieniu palm tego mirażu. Słońce zaś mię pali, miasto ogrzewać, a księżyc po nocach wodzi mię, naigrawając się, do ciebie i do lutego chłodu.

Na srebrnym jego, okrutnie bladym promieniu ulatuję... Dokąd? Do nieba?... Jakże ulecieć mogę, gdy mi skrzydeł zabrakło, gdy mi je podcięto, czy obcięto, czy ukradziono? Kto? Czyż wiem?

Na srebrnym bladym promieniu bez skrzydeł ulatuję—w marzenie. Dziwnie, dziwnie ubiera mą duszę w ciebie, Tęsknoto, to srebrne blade światło, srebrne blade światło serca mego. Od dziecka się niem poję.

I, nie zawisając, zawisłem między niebem a ziemią, coraz padający w otchłań i dźwigający się fantastycznie znowu.

O, Tęsknoto, trucizno i karmi moja, o, straszliwa siostrzyco szaleństwa, o, szydząca i razem błogosławiąca gwiazdy i mnie królewno!...

RÓŻA I MOTYL.

Patrzę na ciebie, motylu, i dziwię się twej niezmordowanej pracy krążenia wokół tej purpurowej róży, co z smutnym uśmiechem oczy do ciebie rozwiera. O, synu piękności, z grobu pełzającej gadziny na skrzydłach tęsknoty zbiegły, próżno mami cię ta róża, z krwi mojej powstała. Jam w krwi swej miał tylko cichość i zamyślenie i pobożną chęć modlitwy o rzeczy mało ziemskie i posiew ów klęski życiowej w tej róży oto uwiązł, by rozrósł się w niej kłamliwem wabieniem i oszustwem mimowolnem czynu. I cóż z tego, że wabi? Cóż z tego, że, w słońcu skąpana, rozwiewa płatki na twe pocałunki? Co z tego, że, spłomieniona sobą, szepce ci niby słowa jakoweś w ubóstwie twego samooszukaństwa? Synu piękności! A jestżeś ty sam pięknością prawdziwą, nieszczęściem szaleństwa tej róży karmioną? Oto promień słońca rzuca się złocistym pomostem między nią i ciebie, lecz zmierzy go biegiem swym to wielkie nic jedynie, co się w uśmiechu róży i w twojem samooszukaństwie tak jednomyślnie skrywa. Synu piękności... Róża ta ma ukryte pod jej głową, wbite przez los w szyję-łodygę, kolce. Skrzydła zaś twoje wiotkie...

Dziwię się twemu trudowi niezmordowanemu... Motyl... motyl... A nie jestżeś ty przytem tworem chwili, rzeczywistością ułudy i gorzkim snem mniemanej chęci?...

W OGRÓJCU.

W ogrójcu cichych zamyśleń kwitną kwiaty mej duszy, przez nikogo niedostrzeżone. W ogrójcu marzeń nieutrudzonych kwitną kwiaty mej duszy, przez nikogo niedostrzeżone. W ogrójcu bezkresnych i bezdennych tęsknot kwitną kwiaty mej duszy, przez nikogo niedostrzeżone. W ogrójcu...

Płacze dusza moja, żaląc się. Na kogo żalisz się, duszo, i czego płaczesz? Czy widzi łzy twe Pan Niebieski i czy słyszy twe żale? W ogrójcu przecudownych twych kwiatów Demon się przechadza i depce je.

A któż jest Demonem? Śmieszna żałości, śmieszne zdumienie mej duszy! Czy ci nie wszystko jedno—kto i co?

Głupota, ślepota, lekkomyślność, życiowy rozum świata, jego złość, podłość, nienawiść, brud, sprzedajność, kłamstwo, obłuda, zdrada, oszustwo, zbrodniczość, samolubstwo, pycha, rozpusta, bezecność wszelka?... A nie byłoż tak od początku stworzenia ludzkiego? Nie byłże i nie jestże lepszym od człowieka, bo prawdziwszym, zwierz?

Śmieszna żałości, śmieszne zdumienie mej duszy! Kogóż to obchodzi twa żałość, kto męczy się twem zdumieniem? Jestżeś ty potrzebna i czy byłaś potrzebna komukolwiek kiedykolwiek? Jestżeś tytanem, co kruszy, piorunem, co zabija, orłem, co porywa?

Cicho padają łzy serca na deptane przez Demona kwiaty. Serce na duszę łzy leje... O, głupie, nędzne serce. Samolubne?...

W ogrójcu wszelkiej męki i czarów nienazwanych, ogrójcu piekła i raju, kwitną tak kwiaty mej duszy, przez nikogo niedostrzeżone. I chodzi w nim ciągle Demon, depcąc kwiaty moje, których zdeptać nie można, i snuje się ubogi cień człowieka, mego brata, plwając na te kwiaty, których oplwać nie można. I śmieje się okropnie jakiś kruk straszliwy, na drzewie Poznania zawisły, i kracze wesoło. A może czynią tak dlatego, że kwiaty te właśnie zostały dostrzeżone?

Z DALMACJI.

Pomorze chorwackie, ten pierwszy postój w słonecznych wędrówkach, rozciekawia i przygotowuję do dalszych podróży. Dzień po dniu dojrzewa u stóp Krasu pytanie: co jest tam, za śnieżną przełęczą od południo-wschodu, co tai się za liljowemi łbami wielkich wysp zatoki Quarnero, za krajem lagun, gdzie jak na jeziorach szwajcarskich, błękitne godziny zamykają duszę w czarownej samotni? Każdy zapytany o to rybak, każdy kupiec i marynarz wskazują wówczas znacząco na południe i mówią o Dalmacji. O jej strojach jaskrawych i klasycznie malowniczych, o miastach ruin, o portach ruchliwych, o winnicach i palmach. Bez Dalmacji niemasz prawdziwego Jadranu!

A więc—dalej w drogę, pomiędzy nieskończone archipelagi wysp i skał, ku sławnej krainie, kędy rozkwitała pycha Rzymu, płynęła krew męczenników chrześcijańskich, a Wenecja ryła lwy św. Marka na czołach murów, dźwigniętych pracą Słowianina.

Na wstępie — wyspa Rab — niska, pokrajana w zatoki, dymiąca żywicą sosen, pierwsza ze sznura pereł Dalmacji, nas wita. Na jednym z przylądków jej wznosi się średniowieczna mieścina tegoż imienia.

Mury i skarpy rosną z wody, wspinając się płowo-szarą masą wraz z agawami ku górze, aż wybiegną szeregiem romańskich wieżyc w złoty pył przedwieczerza.

Klejnot to starodawny—taka mieścina, której barbarzyństwo spółczesne nie zdążyło odjąć uroków przeszłości, bo nawet hotele mieszczą się w jakowychś palazzi typu zamków florenckich. Wzrok przybysza oczarowany zawadza co chwila o herbowe tarcze nad wnijściami, o rzeźbione odrzwia, stopa potyka się o płyty grobowe z dumnemi epitafjami—aż się zgubi droga w tych łamańcach uliczek wąskich i spadzistych, gdzie kamienie szczękają metalicznie, jak rycerska zbroja, gdzie przejrzysty cień tai się długie godziny, dopóki nie sczernieje głęboko pod księżycowem srebrem gzymsów—w gorącą noc marca.

Tak cofnięci o całe stulecia zdążamy na południe. Z pokładu statku rozwierają się coraz nowe widownie, suną wyspy i skały w zielono-modrej oprawie fal—a w głębi—uroczyście i powoli piętrzą się niby wulkany, łańcuchy siwych stożców, coraz potężniejsze—na spotkanie skalnych grzbietów Alp Dynarskich.

Na krótką godzinę zawijamy do cichego Szybeniku (Sebenico) z weneckiemi fortyfikacjami, z pyszną katedrą. Ludzie tu nowi. Gdy na Rabie czasem jeno mignęła dalmacka „kapica" tutaj aż pstro od nich, niby od szkarłatnych i żółtych makówek przy poważnych bronzowych burkach.

Po południu burzliwy wiatr pędzi nas przez zielone wały Adrjatyku w głąb zatok, gdzie niemal u stóp sczerniałych od chmur olbrzymów górskich, widnieje nisko miasto-pałac, gród w dostojeństwie tysiącoleci, zbielały od słońca i burz nad stadem bark, żółtych żagli, masztów, gór pomarańcz i cytryn, nad palmami wybrzeża—serce Dalmacji—Split (Spalato)!

Trudno w podróżnej notatce streścić bogactwo i świeżość wrażeń stąd. Znającemu Włochy zwidzi się ziemia italska jak żywa...

Jasno-promienna zatoka, wyspy niby obłoki, roztocze wybrzeży, gdzie sady i miasteczka to niby echa Neapolu. Zaś samo miasto pełne ruin klasycznych, surowej i zmysłowej powagi, rozbrzmiewa z rzymska. A te wykopaliska antyczne w okolicy, te gaje oliwne, skały, te szmaty zieleni i garby skał—w amfiteatrze jasnych gór—to i kampanja i „pola flegrejskie"—to stara wielkość i zawsze młode piękno. Jakaś jednak melancholja słowiańska otuliła ten kraj, kędy historja skamieniała od tak dawna i nie czuć tętna nowych form ani w ludziach statecznych i spokojnych, ani w krajobrazie, zda się uśpionym w jasności upalnej i beztroskiej.

Split. Fragment perystylu.

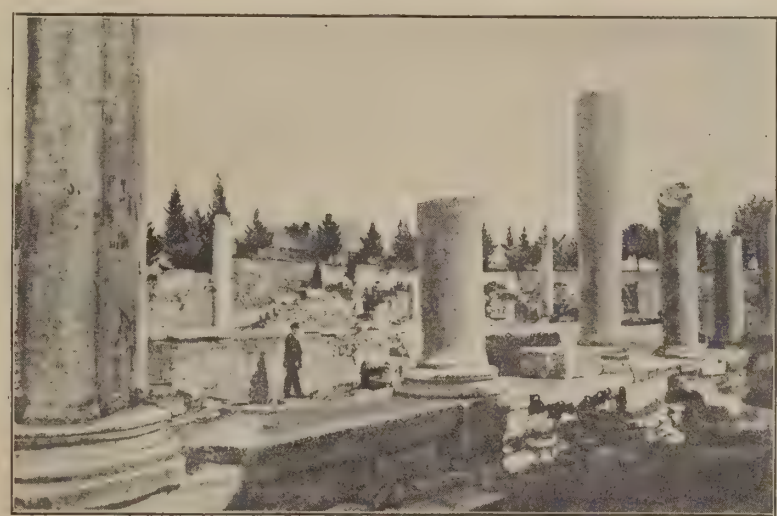

Solinum. Bazylika męczenników.

Więc—zwyczajem turystycznym—reminiscencje i poszukiwania! Ileż tu tego!

Wąskie uliczki wcinają się między rzymskie naroża, łuki cezarów wiążą czarnemi klamrami średniowieczne fasady, tu i tam ułomek fryzu, kapitel, rąb sklepienia sterczą na tle głębokiego lazuru południa... Split wszak nie jest niczem innem, jak przebudowanym na miasto pałacem cesarza Dioklecjana, skieletem kolosalnego gmachu, który sobie ten „divus augustus", rodem sam z okolic Splitu, dźwignąć rozkazał. Lat dziesięć (295—305) murowano i kuto ciosy marmurów okolicznych, egipskie porfiry—aż powstał gmach czworoboczny o stu kilkudziesięciu metrach długości i szerokości, a wewnątrz murów jego—świątynie, termy, sale, stajnie, gynecea, koszary wojska.

Fragment katedry w Splicie.

Niejedna znakomitość dawnego imperjum tu gościła, jak córka Teodozego, Galla Placidia, niejeden ambitny dostojnik kazał się tu obwołać królem Dalmacji... Potem—zwykły los wszystkich wywyższeń kultury—przyszło barbarzyństwo w postaci dzikich Awarów i zniszczyło co mogło. Pyszne mauzoleum ze zwłokami Dioklecjana zostało splondrowane — i od lat już tysiąca w jego pustem wnętrzu — jakkolwiek zawierającem po dziś dzień pyszną kolumnadę i fryzy z mitologji antycznej — urządzono świątynię chrześcijańską. Poczem zaczęła się kolonizacja, jeśli tak wolno powiedzieć, pałacu—i powstał Split..

Cztery bramy w murach pałacowych po dziś dzień wiodą na cztery strony świata; z nich „porta aenea", wąski sklepiony tunel, łączy ruchliwe wybrzeże z centrum pałacu, najlepiej zachowanem — Perystylem. Tu właśnie owo mauzoleum, którego po dziś dzień strzeże autentyczny sfinks egipski, tu t. zw. świątynia Eskulapa, Rotunda, Babstisterjum, galerje kolumnad, pilastry i architrawy.

Przebogaty materjał archeologiczny jak ułamki tablic, posągów, kolumien, sarkofagów, monety, ozdoby, to wszystko, co z rumowisk odgrzebane, wymagało opieki i przechowania, znalazło się w dwóch muzeach, z których nowe — wspaniały gmach o dwu rzymskich pylonach u wnijścia — jest poważną placówką archeologicznych badań. Tu wymienić trzeba nazwisko msgr. Fr. Bulic'a, najwybitniejszego archeologa i historyka Dalmacji. Syn tej ziemi, całe swe życie poświęcił badaniu wielkiej przeszłości swego kraju, gromadzeniu zabytków i wykopaliskom. Uprzejmy i dostępny dla każdego, chętnie przyjmuje monsignore Anglików, Włochów i wszelkich turystów ciekawych, objaśnia doniosłość cennych marmurów, fragmentów kultury greckiej, rzymskiej i wschodniej w swem muzeum, oprowadza po wspaniałej bibljotece, której wiele półek wypełniają redagowane przezeń roczniki historji Dalmacji—i, rześki pomimo sędziwych lat, zbiera grupy turystów do swego „Tusculum" wśród agaw, cyprysów i bukszpanów — a stąd do swojej chluby naukowej — rozkopanego miasta Solinum (Salona) co świeci teraz białemi marmurami swych kolumnad, murami domów i term—niby ruiny pompejańskie, szczątkami areny i więzień, gdzie ginęli męczennicy chrześcijańscy.

Wzrok gościa z północy tonie w przeczystej gamie barw gorących, gubi się w kontrastach bujności życia i klasycznych głazów, w tych przejściach od łąk kwitnących do zielonych lagun, od wesołych will do dalekich posępnych ruin weneckiej twierdzy-miasta Trogir (Trań), a myśl oczarowana pyta, zali nie znajdzie się ktoś z patosem Byrona, z zadumą Goethego, by powtórzyć pieśń o kraju „gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi, gdzie buja laur i cicho cyprys stoi"...

Tchnienie wielkości ulata z tej areny dziejowej, z tej kotliny zamkniętej amfiteatrem dalekich złotopłowych gór w pośrodku roztrzaskanych i zawalonych samotnym cyplem, gdzie niby Akropolis grecka, wznosi się opuszczona twierdza Clis. Skądś nadciągnęły wałem czarne chmury i na tle ich zaświeciły nagle baszty i blanki trupiem usypiskiem, jakąś straszliwą grozą biblijnej puszczy. Lecz oto słońce zwycięża i dymi wszystko jasnością... I z tem oczarowaniem tytanicznej scenerji oddala się Split przed oczyma podróżnych, których statek porywają znów ciemne rozchwieje, buchające pianami bałwany morza, przez które wichry Italji i Afryki lecą z pozdrowieniem na ląd słowiański.

L. Konopacki.

Muzeum Plantina w Antwerpji.

Podwórzec Muzeum Książki.

MUZEUM PLANTINA.

Gdy w roku 1920 z okazji 400-tnej rocznicy urodzin Krzysztofa Plantina kilka belgijskich stowarzyszeń artystycznych zorganizowało w Tours i Antwerpji szereg uroczystości na cześć znakomitego drukarza-artysty, oczy całego świata zwróciły się ku postaci tego niezwykłego człowieka, który pchnął drukarstwo średniowiecza na nowe tory i pokazał, iż książka może być takiem samem dziełem sztuki, jak piękny obraz, rzeźba, lub budowla architektoniczna.

Na małym, zacisznym placyku du Vendredi w Antwerpji mieści się dom Plantina, zajmowany od 1576—1876 przez niego samego i zięcia jego Moretusa, a następnie przez ich dzieci i wnuków. W roku 1876 drukarnia plantinowska nabyta została przez miasto Antwerpję i zamieniona na muzeum publiczne, tak zwane *Muzeum książki*.

Jest to bezsprzecznie jedno z ciekawszych muzeów na świecie, daje bowiem pełny obraz epoki i człowieka. Każda sala mówi o wspaniałym rozkwicie renesansu w Antwerpji, będącej tem dla krajów północnych, czem Wenecja dla Adrjatyku. Mówi o życiu i pracy wielkiego miłośnika dobrych i pięknych książek, mającego cześć dla nauki i dla uczonych. Plantin był przemysłowcem w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Kochał swój warsztat. Więcej dla niego znaczenia miała doskonała produkcja, niż korzyść materjalna.

Nad bramą wejściową muzeum widnieje znak drukarski Plantina, rzeźbiony w kamieniu: jest to ręka, wynurzająca się z chmury, trzymająca złoty kompas. Na banderoli widnieje dewiza Plantina: *Labore et Constantia.* Nigdzie lepiej nie widać zastosowania tej dewizy, jak w tym przybytku, gdzie żył i pracował ten prosty robotnik-drukarz, o wysokich aspiracjach intelektualnych, który znał sześć języków i żałował, iż „raczej nie pisze książek, a tylko je drukuje", a potem, dzięki wielkiej inicjatywie, wiedzy technicznej i dobremu smakowi, stał się jednym z najwybitniejszych przedstawicieli XVI stulecia, i stanął obok Rubensa i Quentin Metsys'a, których sława łączy się bezpośrednio z historją Antwerpji.

W swem dziełku „Muzea współczesne" dr. Mieczysław Treter, polemizując z W. Morris'em i Sizeranne'm, którzy muzea nazwali „cmentarzyskami i więzieniami sztuki", przytacza słowa St. Witkiewicza, w których znakomity krytyk i artysta wyraża pochwałę muzeów:

„Brak muzeów, brak zbiorów, lub wydawnictw, z którychby można zapoznać się z całością historji sztuki — mówi Witkiewicz — lub choćby z jedną jej epoką, prowadzi często do fałszywych, ciasnych sądów, albo całkiem usuwa z pamięci potrzeby istnienie pewnych, czasem wielkich talentów, zajmujących najwybitniejsze miejsca w twórczości artystycznej".

Otóż takiem muzeum, które nam każe podziwiać zarówno człowieka, jak jego dzieło, jest *muzeum książki* w Antwerpji. Przechodząc przez sale i krużganki, przez piękny podwórzec, ozdobiony popiersiami mędrców, rytemi na kamiennych tarczach, podziwiając patyną wieków przyćmione płótna, gobeliny, porcelanę i księgi, ma się w pamięci wszystkie etapy twórczości Plantina — tego króla drukarzy, który w w. XVI uczynił Antwerpję zwycięską rywalką trzech miast, gdzie zakwitał jednocześnie kunszt drukarski: Paryża, Wenecji i Amsterdamu!

W salach parterowych, bogato ozdobionych portretami, rodziny Plantinów i Moretusów, tudzież uczonych, którzy utrzymywali z nimi stosunki, portretami, z których niejeden wyszedł z pod pendzla Rubensa, tudzież stylowemi meblami z czasów flamandzkiegp renesansu, rozstawione są gabloty z bezcennemi bibljami i rękopisami iluminowanemi. Przepyszne psałterze łacińskie i flamandzkie czarują oczy delikatną koronką czcionek i minjatur. Są w tych gablotach jak relikwie przechowane listy Plantina, jako też listy Justusa Lipsius'a do niego pisane, tudzież własnoręczny testament wielkiego drukarza.

Jednym z najciekawszych kątów muzeum jest sklep, w którym stary drukarz sprzedawał swe książki. Na ladzie stoi jeszcze waga i leżą ciężarki, a na półkach w mroku drzemią rzędem tomy, przeznaczone na sprzedaż. Na ścianach wiszą katalogi, kalendarz z 1595 roku i cenniki. Ceny ksiąg wyznaczone były przez magistrat i niewolno było ich zmieniać. Wśród katalogów widnieje spis „ksiąg niecenzuralnych", drukowanych na rozkaz księcia Alby, a które drukował sam mistrz Plantin.

Odlewnia czcionek w Muzeum Plantina.

W dalszych salach poznać można dokładnie historję drukarstwa. Za szkłem leżą inkunabuły niemieckie i włoskie, wśród nich cenna biblja Gutenberga, drukowana w Moguncji w 1450 r. Drukarze flamandzcy, francuscy i włoscy przyczynili się do splendoru tych sal, a okazy Aldów i Elzewirów walczą z Estiennes'ami o pierwszeństwo w kunszcie druku i układu czcionek.

Następna sala zwie się *„izbą korrektorów"*. Przez dwa wieki w izbie tej robiono korekty ksiąg przy olbrzymim stole, zaopatrzonym w odpowiednie pulpity. Rodzajowe obrazy i piękne rzeźby epoki zdobią ściany, a ażeby uwiecznić tych, co byli najlepszymi uczniami Plantina, 20 nazwisk znakomitych zecerów umieszczono w ramach za szkłem.

Przechodząc przez pokój Justusa Lipsiusa, który był przyjacielem rodziny Plantinów i wszystkie swe dzieła drukował w ich oficynach, przechodzimy do właściwego biura. Jest to izba, w której nad wydawnictwem ksiąg pracowało kilka pokoleń cenionych drukarzy. Cyfry wskazują jak prędko postępował wzrost fortuny Plantinów i jak pięknie rozkwitał tutaj przemysł drukarski. W r. 1588 obrót roczny wynosił 65 tysięcy florenów, w 1609 roku 85 tysięcy, a Baltazar Moretus w 1637 miał już zebranych 115 tysięcy florenów. Jak na owe czasy, mnożnik był bardzo pokaźny!

Na parterze pozostają jeszcze do obejrzenia: sale czcionek i drukarnia, tudzież korytarz, w którym wystawiono na pokaz stare inicjały drukarskie. Bogactwo czcionek oficyny plantinowskiej słynne było w świecie całym.

Po śmierci Krzysztofa Plantina pozostało w jego drukarni 44,605 funtów czcionek, podczas gdy w tym samym czasie oficyna w Leydzie liczyła ich zaledwie 4,042 funty. Rozwój drukarni postępował z niesłychaną szybkością. W r. 1565 Plantin posiadał 7 tłoczni, w r. 1575 posiadał ich już 15, a w r. 1576 pracowały już pod jego kierunkiem 22 tłocznie. Na jednej z tych tłoczni drukują po dziś dzień dawnemi czcionkami na starym papierze sonet mistrza Plantina pod tytułem: *„Le bonheur de ce monde"* i można go otrzymać jako pamiątkę wędrówki po muzeum!

Górne piętro przedstawia się niemniej ciekawie. Widzimy tam najdawniejsze druki Plantina, a więc pierwszą drukowaną przez niego w roku 1555 księgę: *„La institutione di una fanciulla nata nobilmente"* w kilku wydaniach. Są tam księgi filologiczne i liturgiczne, księgi z zakresu botaniki, filozofji i t. d. Cechuje je prawdziwy kunszt

drukarski. Trudno wymieniać wszystkie działy, które są skarbem tego muzem, opisywać wszystkie drzeworyty i miedzioryty, w ogromnej ilości wystawione w gablotach. W wielkiej i małej bibljotece, liczącej do 15 tysięcy tomów, znajdują się bezcenne „białe kruki". Bibljoteka z mozołem i kunsztem bibljofilskim kompletowana była przez obie rodziny przez szereg wieków. Sala, w której się znajduje wielka bibljoteka, służyła dawniej za kaplicę, do której schodzili się drukarze, zanim zaczęli codzienną pracę.

„*Izba przywilejów*" mieści przywileje, nadane Plantinowi i jego następcom przez dawnych rządców Belgji. W sali rytowników podziwiać należy prace o przedziwnej delikatności rysunku starych mistrzów-grawerów. Są tam rysunki robione podług obrazów van Dycka, Rubensa i Jordaensa, które zdobiły stare księgi.

Istną radością dla oczu są kollekcje pięknych opraw, znajdujące się w małym salonie. Są to oprawy ze skóry wytłaczanej i złoconej, stare, pergaminowe oprawy florenckie i weneckie, tudzież specjalny zbiór opraw, robionych własnoręcznie przez Plantina dla bibljoteki w Eskurialu i dla amatorów prywatnych.

W odlewni czcionek stoją dwa kotły, służące do przetapiania czcionek, a ponad kominem umieszczony jest regulamin drukarski. Gotowe matryce z czerwonej miedzi umieszczone są w gablotach, dokoła sali.

Aby historja książki w tem ciekawem muzeum miała swój pełny wyraz, wystawione są tu okazy z innych oficyn antwerpskich, które, aczkolwiek odznaczają się wielką starannością druku, nie mogą z księgami, wychodzącemi z tłoczni Plantina, iść w zawody.

Podobnie jak w domu Uphagenów w Gdańsku, prywatne pokoje Plantinów, sypialnie i kuchnia dają pojęcie o zwyczajach epoki. Każdy z pietyzmem przechowany drobiazg codziennego użytku daje złudzenie, że mieszkańcy tego pokoju wyszli z niego przed chwilą, aby znowu powrócić.

Przedziwne muzeum! Księgi, obrazy, sztychy, i minjatury w nim żyją, mówią mury i meble. Nie jest to suchy zbiór okazów sztuki, dobranych serjami, według epok, ale żywy dom, pełen tradycji, kultury i sztuki, dom, który był niegdyś ogniskiem humanizmu, przy którym lubiły się skupiać najwybitniejsze umysły doby renesansowej: historycy, muzycy, geografowie, filologowie, którzy powierzali swe prace wytrawnym rękom starego drukarza.

A nie tylko żyje ten dom, ale promieniuje dokoła miłośnictwem ksiąg i mądrem dostosowaniem sztuki do przemysłu drukarskiego, bowiem *Muzeum Książki*, powierzone wytrawnej opiece konserwatorskiej p. Sabbe, tudzież jego zastępcy, p. Dolena, publikuje rok rocznie cały szereg artystycznych wydawnictw, a przy muzeum utworzyło się „koło bibljofilów antwerpskich", którego organem jest czasopismo: „Złoty kompas".

Z. Rabska.

NAJNOWSZE ODKRYCIA W DZIEDZINIE BUDOWY MATERJI.

2)

Rozważania matematyczne pozwalają stwierdzić wielkość ładunku dodatniego jądra u atomów rozmaitych pierwiastków. Rezultat tych rozważań jest niezwykle ciekawy i zarazem b. ważny, gdyż przekonano się, że liczba elementarnych kwantów elektryczności, jakie posiada jądro, określa w sposób jednoznaczny numer miejsca porządkowego danego pierwiastka w układzie Mendelejewa, czyli tem samem oznacza jego ciężar atomowy, zwykle wynoszący dwa razy tyle co odpowiedni numer porządkowy miejsca.

A więc można powiedzieć, że jądro właściwie skupia całą masę atomu (pozorną) w sobie, aczkolwiek jest o wiele mniejsze od elektronu, bo posiada średnicę, wyrażającą się liczbą 1 dzieloną przez 1 z 16-stoma zerami. Elektrony nie wpływają (przynajmniej w pierwszem przybliżeniu) ani na masę, ani na ciężar całego układu atomu.

Rutherford próbował także określać układy jąder i elektronów w innych pierwiastkach.

Ponieważ np. dla helu wiadomo, że jego cząstka posiada 2 ładunki dodatnie, a więc jądro helu posiada 2 ładunki elektryczne, 2 kwanty elementarne, a naokół niego krążyć muszą przeto 2 elektrony, tak, aby równowaga była zachowana.

Podobnie ma się sprawa innych pierwiastków. Np. w linji (Si) naokół jądra krąży jeden elektron po drugiej orbicie, a 2 elektrony w równych odstępach po pierwszej. U chloru (Cl) mamy jądro naładowane 17-ma kwantami elektryczności, na jednej orbicie krążą dwa elektrony, a na drugiej aż 7.

Przy pierwiastkach cięższych liczba orbit jest jeszcze większa.

Drogą matematycznych wywodów dochodzi się do określenia warunków równowagi, siły przyciągania a także można oznaczyć średnice orbit i ilość obiegów na sekundę, które to wielkości są różne dla rozmaitych pierwiastków.

Tak np. dla atomu wodoru promień orbity wynosi liczbę 55 centymetrów, dzieloną przez 1 z 10 zerami, a elektron przebiega po orbicie *zawrotną liczbę 6500 biljonów razy w sekundzie*. Obrazowo stosunki w atomie wodoru można sobie przedstawić w następujący sposób: jeżeli uważamy atom za kulę ziemską, to jądro będzie piłką dziecinną a elektron jakimś olbrzymim gmachem, wirującym jednak naokoło tej piłki po kole o średnicy równej średnicy ziemi a więc wynoszącej około 12 tysięcy kilometrów.

Umiejętne stosowanie modelu Rutherforda, jego ewentualne modyfikacje potrafią wytłumaczyć niektóre ciekawe zagadnienia z zakresu chemji. Np. dodatnia N—wartościowość da się wytłumaczyć brakiem N ujemnych elektronów na orbitach; zjawisko jonizacji, czyli udzielenia obojętnemu atomowi ładunku przez dzielenie lub odjęcie elektronów wyjaśnia się też w ten sposób, że na orbitę np. jądra wodorowego wpada elektron, przez co sprawia nadmiar ładunku, w tym wypadku ujemnego, tak że mamy do czynienia z ujemnym jonem wodoru.

Także modelem Rutherforda daje się wytłumaczyć tworzenie się cząsteczek z atomów. Rutherford sądzi, że cząsteczka np. wodoru powstaje z modyfikacji konstytucji wewnętrznej 2 atomów a to w sposób następujący: jądra obu atomów ustawiają się w pewnej od siebie odległości, a oba elektrony wirują po orbicie w jednakowych od siebie odstępach w płaszczyźnie prostopadłej do linji, łączącej jądra i jednakowo od nich odległej.

Wspomnianem już było, że teorja budowy atomów powinna wytłumaczyć prawidłowość w zwykłych widmach wszystkich pierwiastków; otóż teorja Rutherforda w tym względzie nie potrafi dać żadnego matematycznego prawa, łączącego budowę wewnętrzną atomu z ułożeniem prążków widmowych, co stanowi zagadnienie niezwykle ważne z punktu widzenia czysto fizykalnego.

Nawiasem należy wspomnieć, że w roku 1885 Szwajcar Balmer odkrył na drodze zresztą empirycznej *prawo matematyczne*, według którego dadzą się ściśle określić długości fali prążków widma wodorowego. Zbiór tych prążków (jest ich 5, a oznaczamy je literą H z odpowiedniemi początkowemi literami alfabetu greckiego u dołu) nazwano serją Balmera i zresztą nauka przeszła nad tem odkryciem do porządku dziennego.

Dopiero ostatnio rozwiązane zostało zagadnienie związku matematycznego między linjami widmowemi a stanami energetycznemi w atomie przez sławnego *profesora kopenhaskiego Niels'a Bohr'a*, twórcę ogólnej, obejmującej wszelkie poboczne zagadnienia, teorji budowy materji. Wyzyskał on teorję kwantów Maksymiljana Planck'a i stworzył teorję atomową, wyjaśniającą szczegółowo zarówno i powyżej wspomniane prawo Moseley'a jak również i układ linij widmowych.

Dla wyjaśnienia jego teorji konieczne jest zrozumienie podstaw teorji kwantów Planck'a. Teorja ta narodziła się z badań ilościowych nad promieniowaniem ciał czarnych a da się określić jako teorja atomistyczna energji, Planck bowiem wykazał, że nie tylko materja, elektryczność, ale i energja jest rozłożona kwantowo, atomistycznie w przyrodzie. Istnieje pewna najmniejsza cząstka energji, a wszystkie inne wielkości energetyczne są tylko jej wielokrotnościami.

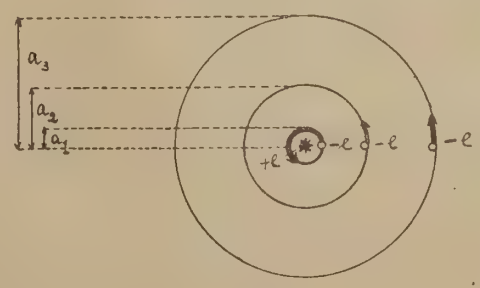

Fig. 10.

Bohr stworzył modele budowy atomów rozmaite dla różnych pierwiastków. W tym artykule objaśniony będzie tylko model wodoru, gdyż jest stosunkowo najprostszy. Naokoło jądra wodorowego (zasadnicza konstrukcja stoi w zupełnej zgodności z konstrukcją Rutherforda) po pewnej orbicie w danym stanie układu krąży elektron, ale nie zawsze po tej samej. Gdy krąży po pewnej ściśle określonej orbicie, to, jak wiemy, mamy równowagę dynamiczną i energetyczną w układzie; do niego nie wchodzi żadna ilość energji, ani też nie wychodzi.

Jeżeli jednak zostanie układ zmieniony wprowadzeniem doń pewnej ilości energji (czyli pewnej ilości kwantów energji), to zostanie zaburzona równowaga dynamiczna w układzie i elektron *przeskakuje* z jednej orbity na drugą, też ściśle określoną wzorami matematycznemi, ale położoną dalej od jądra niż pierwsza orbita. Układ takich orbit przedstawia fig. 10.

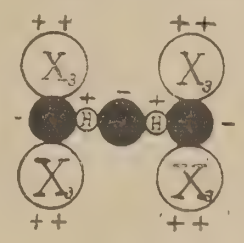

Fig. 11.

Naodwrót gdy elektron przeskakuje z pewnej orbity na inną, położoną bliżej jądra, to wtedy zostanie z układu wydalona pewna ilość kwantów energji w postaci energji promienistej.

Jeżeli elektron przeskakuje z pewnej orbity na sąsiednią, zostaje wydalony jeden kwant energji, gdy przeskakuje na orbity niesąsiednie, zostaje wydzielona energja w ilości pewnej wielokrotności kwantu elementarnego. Z tych względów możemy mówić więc o jednokwantowych, dwu—i wielo-kwantowych orbitach.

Według wzoru Einstein'a z teorji kwantów każdej pewnej ilości energji odpowiada ściśle określona ilość drgań w sekundzie promieniowania, w które się ta ilość energji przekształca. Gdy więc elektron przeskakuje z 5 na 2 orbitę w atomie wodoru, zostaje wtedy wydzielona pewna ilość kwantów energji, której to ilości odpowiada ściśle określona ilość drgań. Znając ilość drgań, łatwo już oznaczyć długość fali danego promieniowania.

W ten sposób widać z fig. 11, że gdy elektron przeskakuje w atomie z orbity 5 na drugą, to ilości energji wydzielonej odpowiada długość fali prążka widmowego wodoru oznaczonego literą H gamma czyli prążka błękitnego widma wodoru. Przeskoki elektronu z orbit: szóstej, piątej, czwartej i trzeciej na drugą wyznaczają znaną już serję Balmer'a.

Przeskoki na pierwszą orbitę — t. zw. serję Zymena, a na trzecią—t. zw. serję Paschena.

W analogiczny sposób można przeskokami elektronów wytłumaczyć położenie prążków widmowych rozmaitych pierwiastków, ażeby jednak zauważyć, że dla pierwiastków o coraz to większych ciężarach atomowych układ orbit i elektronów w ich atomach jest coraz to zawilszy. Figura 10 przedstawia układ 3 pierwszych orbit dla atomu wodoru wraz z podaniem skali ich względnej odległości od siebie.

Obliczanie rozmieszczeń elektronów, badanie długości fal, odpowiadających danym przeskokom jest dla większości pierwiastków połączone z koniecznością używania zawiłych formuł matematycznych i wyższego rachunku. Formuła Balmera, która teorją Bohr'a została w zupełności potwierdzona, wyraża się stosunkowo prosto. Przy pomocy niej obliczono wszystkie prążki wodoru w okolicach podczerwonej i ultrafioletowej drgań eteru (znaleziono 2.9 prążków).

Teorja Bohra i teorja kwantów wyjaśniają także, dlaczego ilość drgań linji widm röntgenowskich jest proporcjonalną do numeru porządkowego danego pierwiastka. Otóż numer porządkowy jest, jak wiadomo, zależny od ilości elementarnych ładunków elektrycznych w jądrze, a od tej wielkości zależą i wielkości energetyczne w układzie; od tych zaś ostatnich według teorji kwantów zależą ilości drgań w jednostce czasu, czyli ilości drgań zależą od numeru porządkowego, co właśnie wykazał Moseley. Że podobne rozumowanie nie da się zastosować do widm zwykłych, są na to powody głębsze, których tu rozważać nie będziemy.

W dalszych studjach badania zjawiska promieniotwórczości pozwalają Bohr'owi jeszcze bardziej wniknąć w tajniki budowy atomów. Wywiązywanie przez rad helu skłania go do przypuszczenia, *że i jądra nie są zupełnie jednolite*, że i one dzielą się na jeszcze mniejsze cząstki. Badania przedsiębrane w ostatnich latach nad jądrami odnoszą się przeważnie z jednej strony do atomów pierwiastków najlżejszych, z drugiej strony—do atomów pierwiastków najcięższych i potwierdzają przypuszczenia Bohr'a. Tak np. stwierdzono ilościowo skład jądra radowego jako pewnego konglomeratu elektronów (ujemnych), jąder helu i innych niezbadanych składników.

Badania nad pierwiastkami lekkiemi również doprowadziły do podobnych rezultatów: znaleziono, że jądra ich atomów są nadzwyczaj złożone, a to z elektronów (ujemnych), jąder helu, wodoru i pewnych ciałek, nazwanych jądrami X_3, a uważanemi popularnie za jądra izotopu helu. Jądra te oznaczają się przez X_3 gdyż natury ich nie znamy a ich ładunek wynosi 3 ładunki elementarne. Co o nich sądzić, niewiadomo, tembardziej że nie znamy pierwiastka o ciężarze atomowym ani 3 ani 6.

Tak np. jądro węgla składa się z 4 jąder X_3 i 2 elektronów, jądro tlenu też z 4 jąder X_3 i 2 elektronów, ale oprócz tego znajduje się jeszcze w tym ostatnim jądro helu.

Zaznaczyć należy, że są to tylko hipotetyczne konfiguracje, których nikt nie widział i nie mógł skontrolować, a jednak mimo to mające wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Rutherford bowiem w ostatnich czasach dokonał doświadczeń, zdających się potwierdzać powyższe przypuszczenia mianowicie rozbijające jądra azotu i przy pomocy subtelnych metod otrzymał wodór; zaś fizyk niemiecki Fraubenberg, jak donosi „Physikalische Zeitung" z grudnia 1920 roku, spostrzegł przy rozbijaniu jąder atomów pierwiastków: litu, magnesu, wapnia, żelaza, niklu, miedzi, cynku, srebra i wielu innych wypadanie z nich jąder wodorowych.

Zaiste marzenia alchemików średniowiecza zostały spełnione! Można pierwiastek przemienić w inny pierwiastek, rozkładać materję bardziej złożoną na składniki prostsze. Stąd wniosek, że przynajmniej w części hipoteza Prout'a ma cechę słuszności; jeżeli nie istnieje jedna jedyna pramaterja, to wszakże te kilkadziesiąt pierwiastków, które znamy, dają się rozłożyć na kilka, nie więcej, składników prostszych. Przyszłość okaże, czy dojdziemy do przeświadczenia, że wszystkie ciała są modyfikacjami jednego i tego samego rodzaju materji.

W tej chwili w laboratorjach całej kuli ziemskiej pracują uczeni, badając dalej strukturę jąder, tworząc całą fizykę tych niezwykle małych fragmentów materji. Dużo jest jeszcze zagadnień niewyjaśnionych, dużo wewnętrznych niezgodności i w pięknej uniwersalnej teorji Bohra, ale miejmy tę nadzieję, że niedługo już, a znaną nam będzie przedwieczna tajemnica budowy materji!

Dobiesław Doborzyński.

SZABLA I SZPILKA.

Naród sarmatów szczyci się podobno rycerskim animuszem. Jesteśmy (rzekomo) bohaterscy.

Na nieprzyjaciela uderzamy wstępnym bojem, goniąc w cwał, aż ziemia dudni...

Od rozmachów orężnych prawie, od migotań szabel—świat się ćmi! Polska kawalerja dojeżdża wrogów otwartą szarżą. Nie kryje się po krzakach, kozacką modą. Nie wygrywa bitew podstępem. Oko w oko, łeb w łeb!

Zwycięża, lub ginie.

. . . . . .

Taką tradycję przekazała nam historja. Bodaj, że niewiele zmieniło się od czasów Longina Podbipięty i Wołodyjowskiego. Zwyciężamy—lub giniemy.

Ze strategją bywa różnie.

Ale serce w wojsku jest tam, gdzie powinno być.

. . . . . .

— A w społeczeństwie?

Otóż to! Społeczeństwo nie jest podobne do armji. Sejmikowanie mamy we krwi, tumulciki wcale grzeczne też przetrwały, nawet zajazdy zdarzają się dziś jeszcze...

Tylko *szabla* gdzieś się zgubiła.

Społeczeństwo polskie uległo pewnej transformacji. Miast damascen, batorówek, szerpentyn, karabel, kordów—miast stali błękitno-śniadej, dziewirowanej, szmelcowanej, hartowanej—posługujemy się szpilkami.

Szpilki służą do rozmaitych celów.

Kobiety miewają je przy kapeluszach, we włosach, w ubraniu .. Mężczyźni—przeważnie w krawatach.

Ale są jeszcze szpilki inne: Uniwersalne. Niewiadomo w jakiej manufakturze zapoczątkowano ich wyrób. Dość, że używamy ich masowo. Tani to wyrób. Przystępny nawet dla najuboższych.

Bitwy na szpilki są bardzo mało krwawe. Zazwyczaj kończą się na wysączeniu paru kropelek krwi.

Ale jaka to straszna broń w ręku zdolnego fechtmistrza!

Wróg, ukłuty szpilką, czuje po pewnym czasie nieprzyjemne swędzenie... Skłuty masą szpilek, blednie i słania się—nietyle z utraty krwi—ile z utraty czci...

Przytem zdarza się, że puchnie arcyzabawnie, defiguruje się, sam do siebie niepodobny—śmieszny... A śmieszność, jak wiadomo, czasami także zabija...

Szpilki używane są obecnie przeważnie w walkach politycznych. Nie brak jednak i innych okazyj, przy których ta arcysubtelna broń bywa wydobywana—nietyle z pochwy—ile z pod podszewki współczesnego towarzyskiego stroju. Polemiki literackie, krytyki, recenzje moralne, etc., etc...

Posługujący się szpilką nic nie ryzykuje, bronią tą można wojować bez hazardu.

Wiedzieli o tem dobrze Maksymiljan Harden, Jerzy Brandes...

Wiedzą o tem także w Polsce współcześni (pożal się Boże!)—fechtmistrze.

Chcąc specjalnie zaszkodzić przeciwnikowi, zatruwa się szpilkę.

Nie potrzeba do tego używać piekielnych trucizn Renesansu. Wystarczy kropelka... śliny.

. . . . . .

Zginą w Polsce szpilki, zginą szpilkowcy, gdy wielki posiew podłości, wielkie gody lilipucich zbirów, rozigranych po wojnie, zmiecie poryw wichru...

Żar serc wypali nędzę ludzką. W pięknej Polsce żyć będą sami piękni Polacy. Utrwali się poszanowanie czci obywatela. Szpileczki zasię—pójdą do muzeum Niewoli.

Zdzisław Kleszczyński.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI:

RYBOŁÓSTWO.

A gdyśmy się znaleźli na łodzi, między molnemi brzegami ku nieskończoności powierza wdzięcznie rozwartemi, w pośród szorstkiej iasnoty suchego miejsca odwiecznym przemyłem ludzkim na wodzie wykrojonego, między pływem sznurów a śmigłym pionem masztu, wśród zwięzłych pajęczyn sieci,—wtedy raz jezcze i po raz w przebiegu świata niewiadomo który pochyliły się ku nam skrzydła najstarzej przypowieści o łódce i człowieku, wodzie suszy, ziemi i morzu, stałości i poruchu, któa to przypowieść nie przestanie nas nigdy kosać w naszym ziemskim, znojnym zabiegu.

Jak ta łódź teraz brzegiem ku nieu, ja sercem ku wieczności morza otwarem raduję się z małej naszej jazdy przez zaokę, w słońcu, na połów.

Brzeg się już słania, zgodnie od nas odlala, coraz bliżej i gęściej podbiega ze wszech tron pryskliwe pismo fal.

Chyba nigdy nie spocznie w drodze voda tej lubej zatoki, nigdy nie zwiędnie dzień, łońce stać będzie w słusznych promieniach na zawsze! Chyba tem jest samem opar niebieskiej pogody i mech podwodny i suhe tchnienie żagla i oddech mój i cień poblikiej ziemi.

Czy z mojej myśli płynie światło i zjava wokół łodzi drgająca, czy też jestem nie więcej, niż zwiewne ziarnko piasku?

Niech będzie tak i owak, na tę stronę, czy tamtą, póki przemożny świat z wieków ku wiekom kroczący godzi się, bym tu leżał na swoju słonych lin w rozgwarze światła i wody przed pomarszczonym grzbietem rybackiego kosza. Jego spleciona wiklina wzrusza mnie więcej, niż wszystko, co powiedzieli ludzie i co po nich zostało w niepewnych księgach pamięci.

Leżę cicho na sznurach, ruch łodzi słońcem potrząsa, to je nad poziom wynosi, to znów spycha. Tuż za mną, w cichej mowie powietrza zumią złote wiechcie, rybackie snopki słomy, któremi, gdy się połów zacznie, straszyć będziemy flondrę osiadłą na szlamistem dnie.

Słońce rozlane po falach sprawia, że nały tryb mego rozumienia otwarł się na przestrzał. Wdał się, chodzi we mnie krąży bezwolny rozum rzeczy, świecąc powszędy jawną prostotą wzruszenia. Oto ledwiemy się z koszem zbratali, gdy się rozchyla nądrość złotych słomianych wiechci.

Cóż im tu sprosta wśród nas?

Bo może rosłeś z ziemi pod górę i może, dy owoc wydałeś, wzięli cię, ścięli i uczynili ciebie złocisty strzęp, byś w toń rzucony tał się duchem popłochu?

Kochane, chytre, wieczne polowanie, wojo wszystkich czasów, złoty wiechciu postrahu, lśniąca grzywo zbrodni, w tobie drży tuot słoni Hannibala, szczęk okopanych Legjoów, wszelkie morderstwo walki. Tu na łódce aszubskiej jesteś pękiem jasności, wielekroć rzywiązanym do sieci, nim opadną i nim ty, jawa światów szalonych, straszyć będziesz na mchach w głębinie, wśród muszli, traw i piachu zlęknione oczy ryby.

Wyżej nad linami i słomą siedzi pękata beczułka, z za jej pleców sterczy smukła, żelazna kotwica, niby drzewo zwięzłe i nagie, trójliściem czarnych serc ponad łodzią rozkwitłe.

Nad wszystkiem wieje żagiel, wiatr mu przychylnie służy, słońce goni przed nami. Kudłaty zarost Helu coraz dalej we mgle, dokoła wszędzie żywe, przelewne pismo wody i szum.

Leżę na kupie gratów, wiernie, jak pies. Łapska wyciągnąłem do słońca, wącham pożytek lin. Mokry zapach głębokiego kosza chodzi mi po głowie i przypomina jakieś niepamiętane tajemnice, które się chronią w piersiach żagla, po kantach łodzi spadają w czynną glebę wody, na łatach rybackiego odziewku śnią o żaglowem płótnie, o kroju ludzkiej odzieży.

O tem, jak starość coraz nowszą młodością zastępować wypada i jak łaty odzieży sztukują ludzki los.

Gdy żagiel westchnął, wszystek dech wydał z piersi i ruchem do samej śmierci podobnym, spadł w dół.

Bierzemy wiosła.

Gdzież jest muzyka, któraby wyraziła, jak cały żywot łodzi tętni raz wraz od mocy, jak pióra wioseł wieją ponad tonią, a zapadają w głąb głosami pocałunku. Jak rozstępuje się woda, puszczając szkliste szwy i nieci siwe kępy rozburzonego gwaru. Jak wiosła, zagarnąwszy sławą drogę w tył, po nową naprzód śpieszą, kreśląc na fali równy cień przyszłego swego biegu.

Gdzie jest dla rzeczy muzyka a gdzie dla pracy słowo? W jednej bystrej chwili wioślarskiego gestu mieni się człowiek od starca strudzonego aż do zwycięzcy, z głową w niebo utkwioną. Od starca,—gdy wolne pióra dębowe w tył skoczyły, a ku rękojeściom naprzód pochyliła się głowa,—aż do triumfatora, gdy z piór naprzód popchniętych ścieka nowe światło, wioślarz zaś w tył podany czerpie w wezbrane piersi świeży zapas powietrza.

Już na wielkiej wodzie jesteśmy. Rzuciliśmy kotwicę, fale się z krzykiem rozstąpiły, parę chwil dalej chlusnęła w toń baryłka.

Tu zataczamy koło, sącząc z uważnej ręki sznur; zrazu równy, później wiechciem i kamieniem wiązany a w wiadomych odstępach cechowany barwnym skrawkiem jakiejś babskiej szmaciny.

Gdyśmy już sznur wysączyli i snopki z kamieniami potopili i gdy matryca sieci z sykiem poszła na dno, — jazda wkoło na łodzi. Dule grzmią, wiosła pracują,—szwy, kwiaty, wilgotne przepaście,—szklane ciało wody na górze i jeszcze raz na dole, i już ściągamy sieci.

Wracają liny, wracają wiechcie zmoczone, strudzone i wybladłe, napór pręży ramiona, aż nagle o bok łodzi uderzył miękki tułów. Przerabia się w nim ruch, pełen skrzętnej ciasnoty.

Ciągniemy jeszcze wyżej.

Nie był to wcale tułów, ale na brzegu łodzi spoczywa dziwna głowa, we włos zmoczony zewsząd otulona, ciemna i bezkształtna,—wonią głębiny pachnąca głowa morskiego dna. Grzebiemy w skręconych kudłach, pełnych drobnego życia, które czarnym żwirem muszelek pryska na różne strony.

Nie był to wcale tułów, ani bynajmniej głowa, lecz z szarej sieci w podstawiony kosz śmigające ptaki, motyle, ćmy... Czy też strzępy siwego ognia, czy też sine dusze czarnej, głębokiej wody. Swem ciałem biją w ścianę kosza, śmiech się do tego rodzi w powietrzu częsty, drobniutki, świeży.

Ich otwarte pyszczki łapią powietrze, jedzą go wiele, za dużo, bez miary, bez pamięci, bez tchu. Ich oczy strasznie razi wiotka wzniosłość nieba.

Moją mętną, wytartą źrenicą szukam światła w czarnych tęczówkach, brzeżonych złotą nicią. Nic tam z nas niema, ani nie będzie nigdy. Nic z ziemi, powietrza, drzew, jeno czarny, dozgonny cud bezbrzeżnego zdumienia.

To jest flądra, — ma skórę szorstką, jak liść ostu, a ta ma skórę gładką i zimną, jak stal, to będzie sola, w rude centki rdzy. A ten do noża żywego podobny, to węgorz, a ten łeb kwadratowy w kryzach szklistych z ogonem tuż przy karku, — to pomuchel.

Dziś mamy mało węgorzy, pójdziemy na nie jesienią z nicianym żakiem, niby róg pustej obfitości na kijach rozpostartym, zimą pójdziemy na szproty, które nam sieć zabiją, jak grube srebrne gwoździe, a pod wiosnę cały nasz ród wyciągnie daleko w wodę i dom w głębinie uwije, w którym pętać się będą tłuste łososie.

Tak oto hałasujemy po morzu w zimie i w lecie, podstępni, chytrzy, chciwi, sami głodni a cichemu stworzeniu życia nie dający, srodzy i trwali a po każdej pracy dalekiej w bliski krąg wracający. W swój krąg, — przed stary bez, na kupę gratów i łat. Tu zasiadamy wśród piachu, przed nami koła cebrzyków, kadzi, wiader, pełne ryby płaskiej, dzierganej w prążki, w kropki, centy i w pancerze. W pośród tej ryby grzebiemy, niby w stosie mięsistych banknotów.

A kiedy połów wyda się nam bogaty, ręce opadną leniwie, myśl syta dumą nabrzmi i w oczach nam zapłonie rześkie, sławione światło zbożnej, codziennej zbrodni.

Tymczasem sprawiedliwie nas sądzić może tylko szara kwoka, między wiadrami, siecią, wiosłem, żerdzią i beczką z okruszyn małych żyjąca u naszych nóg, która nigdzie za nami zdążyć nie potrafi, której krew w końcu prosię z piasku zliże, której śmiertelnym drgawkom dzieci przyklaskują, a która ciepłym puchem otacza nas w pierzynie, podczas naszego snu — gdy w ciężkiej, twardej niemocy nareszcie jesteśmy niewinni.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 36)

X.

Pierwszą rzeczą, która przykro uderzyła Korczaka, gdy wraz z Maćkiem wszedł do Urzędu Policyjnego w Urdze, była obecność tam Iwana Iwanowicza Biełkina, siedzącego poważnie za jednym ze stołów z okularami zsuniętemi na koniec nosa i piórem w ręku.

Stary również zaraz ich zauważył w tłumie Chińczyków, Mongołów i rosyjskich oberwańców, jacy wypełniali salę. Popatrzał na nich badawczo powyżej szkieł, wyczekując co będą robić. Gdy zobaczył, że nie wiedzą dokąd się skierować, położył pióro i podszedł ku balaskom, oddzielającym urzędników od publiczności.

— A co tam?... Jak się macie, Władysławie Walentinowiczu? A gdzie siostra?... Czego wy tu szukacie?...

— Kazano nam tu przyjść!... My do wojska!... — odpowiedział niechętnie Władysław.

— Acha!... Więc skończyło się wasze wśród pastuchów królowanie?... Macie jaki papier?...

— Żadnego papieru nie mamy...

— To to, a no to! Bez papieru to źle!... Długa będzie sprawa... Pójdę do naczelnika, zamelduję... Jakże was nazwać?... Jak dawniej, czy inaczej?...

— Władysław Korczak i Maciej Przygoda...

— To to, a no to!...Więc coś nowego—a? Pójdę do naczelnika, wstawię się za wami, przecież starzy jesteśmy znajomi... przyjaciele!... — cedził słodziuchnym głosem, błyskając dwuznacznie oczami.

— Główno-dowodzący powiedział, że mamy być zaliczeni do jego przybocznej straży...

— Toście go widzieli?... Dobrze, dobrze, wszystko należycie zamelduję!... Zaczekajcie tam pod ścianą!—syczał, odchodząc z notatką w ręku.

Znikł za drzwiami w odległym końcu sali. Korczak z Maćkiem usunęli się pod ścianę i jęli przyglądać się tłumowi interesantów. Większość należała do ubogich warstw Chińczyków, Rosjan i Mongołów, nieskończenie brudnych, cuchnących, odzianych w łachmany najrozmaitszego pochodzenia, poczynając od chińskich jedwabnych „kurm" oraz baranich „tułupów" i kończąc na europejskich spodniach i wojskowych frenczach.

Były tam i kobiety, przeważnie Rosjanki, przerażająco wychudłe z żółtemi, jak wosk, dziećmi na ręku. Od czasu do czasu wchodził jakiś bogaty Mongoł w szafirowym chałacie, lub chiński kupiec w szarym bałachonie i czarnej kurcie. Szli pewnym krokiem przez rozstępujący się tłum ku dalekim drzwiom, które otwierały się przed niemi dość szybko. Korczak i Maciek czekali z dobrą godzinę. Biełkin nie wracał. Nagle, gdy już stracili cierpliwość i chcieli rozpocząć ponowne starania, stary wynurzył się z drzwi tuż obok nich w towarzystwie uzbrojonego Mongoła i krzyknął głośno:

— Korczak i Przygoda!...

Wszyscy obrócili ku nim głowy.

— Chodźcie!...

Na progu oddał zapisaną kartkę mongolskiemu strażnikowi, wskazał ruchem ręki na korytarz, poczem drzwi z trzaskiem przed sobą zamknął. Korczak nie zdążył go nawet o nic zapytać.

Mongoł popychał ich zlekka kolbą karabina, dając znać, żeby szli przed siebie. W ten sposób wyszli na dwór, przebyli jedno podwórze, potem drugie i znaleźli się przed maluchnemi drzwiami, zamkniętemi na wielką kłódkę. Natychmiast podbiegł gruby, niski klucznik chiński i drzwi im otworzył.

Po chwili Korczak i Maciek zostali wepchnięci przez zgodny wysiłek klucznika i mongolskiego żołnierza za próg i natychmiast drzwi za niemi się zatrzasnęły. Znaleźli się pośrodku niedużego brukowanego dziedzińca, otoczonego wysokim murem. W jednym jego końcu stał niski budyneczek, podobny do chlewa, w którym zewnętrzną ścianę tworzyła krata z grubych poczerniałych dyli. Przed progiem stała lub siedziała na ziemi gromadka nędzarzy, z za krat wyglądały wychudłe i zczerniałe twarze. Na nogach i rękach niektórych brzęczały łańcuchy. Korczak i Przygoda zrozumieli, że są w więzieniu.

— Co u licha?...—szepnął Władek, podchodząc i spoglądając na zawartą furtę, a następnie na wysokie mury.

— To sztuka tego, psiakrew, Biełkina... Już ja mu kości połamię!... Trzeba stukać, trzeba się nie dać, zawołać stróża... Powiedzieć mu, że to omyłka, że my z samym Chanem rozmawiali—gorączkował się Maciek.

Zbliżył się i uderzył swą potężną nogą w okute żelazem drzwi. Głuchem echem rozbrzmiało uderzenie i zamarło, jakby wsiąkło nagle w grube mury.

— Stukanie nic nie pomoże. Jutro rano przyjdą sami rachować... Wtedy można, jeżeli macie pieniądze...—objaśnił jeden z więźniów ochrypłym głosem po rosyjsku.

Był to straszny osobnik z wybitem okiem i pokiereszowaną gębą; strzępy watowanego czarnego paltota pokrywały jego tęgie bary i nagie piersi; krzywe, włochate nogi były zupełnie gołe.

— Kto jesteście?—pytał.

— Żołnierze!... — odrzekł niechętnie Władek.

— Rozbój czy dezercja?...

— Bez żadnej przyczyny...

— Acha, rozumiem, rozumiem... Ja też jestem bez żadnej przyczyny posądzony o komunizm!...—dodał z pewną przechwałką. — Tu nas po głowie nie gładzą!... Oj nie! Może tytuń macie, co?

— Mam trochę!...—odrzekł Maciek.

— Dajcie ździebko! Każdemu dajcie! Taki tu zwyczaj, każdy, co się za te drzwi dostaje, wkupuje się do naszego bractwa...

— Dobrze! Dam... Podzielcie się!...—mruknął Maciek i wysypał część tytuniu z kapciucha na szeroką, brudną jak ziemia dłoń więźnia, reszta obecnych podeszła natychmiast i otoczyła obdarowanego, kłócąc się i szturchając.

Ten dzielił skrupulatnie datek między wszystkich. Niektórzy nieśli szczypty do sinych, zjedzonych szkorbutem ust, inni nabijali maluchne fajeczki, wydłubane w przedziurawionych drewienkach.

Korczak, stojąc na uboczu, patrzał na nich z odrazą i litością.

— Jeżeli chcecie dać znać na zewnątrz, to napiszcie kartkę, przygotujcie kubana i dajcie jutro, gdy przyjdzie, klucznikowi!.... Pewna rzecz!... Nie oszuka!... Z tego żyje!...—pouczał Macieja „komunista". — Macie ołówek?... Nie macie?.. To ja wam dam, ale za to też trzeba zapłacić!... Jakie macie pieniądze: chińskie, japońskie?... A może macie dolary?... Każdy pieniądz tu ma obrót!...

Maciek nic nie odpowiedział, miał jeszcze trochę przedwojennej srebrnej monety rosyjskiej, ale postanowił wydostać ją z cholewy buta dopiero w nocy.

XI.

Pod wieczór rozpadał się deszcz i zawyła przejmująca wichura.

Szag-dur mocno się zaniepokoił, gdy ani Władysław, ani Maciej nie ukazali się więcej w jurcie Dordża Nojona na przedmieściu, gdzie zatrzymali się wszyscy po przybyciu do miasta. Wyszli rano i przepadli bez śladu a mieli zaraz wracać.

Aby rozpocząć poszukiwania przyjaciół, czekał poczciwy burjat niecierpliwie na księcia, którego zaraz po południu wezwano do pałacu „Świątobliwego". Już minęła północ a książę nie wracał. Wreszcie zacłapały kopyta końskie po błocie i wkrótce potem na progu namiotu pojawił się Namyń Dorża Nojon znużony, chmurny i mokry od deszczu. Opowieści siostrzeńca wysłuchał dość obojętnie.

— Poszli, mówisz, do koszar?... Więc pewnie ich zatrzymali tam!..—mruknął, zrzucając przemoczone ubranie na ręce służby.

— Albo spotkali znajomych i zanocowali u nich w obawie przed ciemnością i psami!... —wstawił Czi-rin, zabierając zabłocone buty ojca.

— Odpowiadamy za nich przed baronem... Mogli zabłądzić, nie znają miasta i mówią bardzo źle po mongolsku... — przekładał Szag-dur.

— Więc co?... Zabłądzili?... Jutro się znajdą!... Dajcie mi kumysu!... — kazał książę, siadając na pościeli.

Szag-dur zrozumiał, że wuj nie chce dziś więcej o niczem mówić, odszedł markotny i wyciągnął się na swoim wojłoku.

Nazajutrz, gdy nawet po śniadaniu obaj Polacy nie zjawili się, Szag-dur wziął się sam energicznie do poszukiwania. Poszedł do koszar, lecz tam powiedziano mu, że tacy nie zjawiali się i o niczem tam nie wiedzą. Wtedy Szag-dur rozpoczął wędrówkę po cudzoziemskich konsulatach, kupcach, bardziej znanych emigrantach. Nie trafił jednak nigdzie na najmniejszy ślad zaginionych.

(Dcn)

Z CHWILI.

W zawodach o mistrzostwo wojsk polskich pierwszą nagrodę zdobył 16 pułk ułanów. Fot. Marjan Fuks.

W Pucku ofiarą katastrofy lotniczej padł porucznik-pilot Patalas.

DZIECI POLSKIE DLA DZIECI JAPONJI.

Dzieci z warszawskich szkół powszechnych, chcąc wyrazić współczucie dzieciom japońskim, złożyły w ambasadzie japońskiej adresy ze swemi podpisami. Ilustracja, zamieszczona obok, przedstawia ministra pełnomocnego Japonji w otoczeniu dzieci polskich, manifestujących swoją przyjaźń i wdzięczność dla narodu japońskiego, który zajął się szlachetnie dziećmi polskiemi w czasie ich tułaczki na Wschodzie.

Grupa dzieci polskich w poselstwie japońskiem.

„AMNESTJA" BOLSZEWICKA.

Internowani w obozach żołnierze byłych armij kontrewolucyjnych zostali ostatnio na podstawie amnestji wypuszczeni z więzień bolszewickich. Na tłumnie wychodzących z murów więzienia czekają kulomioty, które kładą ich pokotem. Ilustracja nasza przedstawia taką egzekucję amnestyjną, która odbyła się w Homlu.

PORADY KOSMETYCZNE.

Po powrocie z wywczasów wznawiam udzielanie porad kosmetycznych Sz. Czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego. Zapytania adresować wprost do mojego zakładu leczniczo-kosmetycznego. Warszawa, Niecała 5. Klimecki.

Amelji. Na czerwoność rąk pochodzącą z odziębień, zaraz stosować preparat japoński „Togo", elektryzację radio i prasówki elektryczne. Bliższych objaśnień udzielam u siebie, od godziny 10 do 7-ej wieczór.

Milusińskiej. Stosować „Tol" jednego dnia a drugiego liniment „Alta". Zmarszczki wkrótce znikną, cera będzie gładka i równa. Te preparaty są nieocenione do utrzymania cery w młodzieńczej sile.

Storczykowi. Wągry, nadmiernie wydzielający się tłuszcz oraz rozszerzone pory wkrótce znikną przy użyciu piasku Séguinaud'a.

Mimozie. Jeszcze Tują smarować aż zupełnie ślady piegów znikną.

Kalafiorowi. Prawdopodobnie czerwoność nosa pochodzi od rozszerzenia naczyń krwionośnych, na co radykalnym zabiegiem jest kauteryzacja.

Zygmuntowi i Janinie. Eos wyniszczy łupież, powstrzyma wypadanie włosów i pobudzi je do porostu. Jest to najradykalniejszy środek, stwierdzony długoletniem doświadczeniem.

Anieli. Tak jest, w moim zakładzie na Niecałej 5 usuwają się: kurzajki, brodawki, znamiona od 10-ej do 7-ej wieczór. W następnym numerze dalszy ciąg odpowiedzi. *Klimecki.*

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Joannie M. Żółte i zczerniałe zęby wybiela proszek *Albol.*

W. M. Wyrzuty te są pewnie wewnętrznej natury. Trzeba więc oczyścić, pijąc zamiast herbaty *Zioła paraguajskie.*

Dr. Grimma. Myć twarz letnią wodą otrąbkami abaridowemi, i do wody dodawać 1 pastylkę alkaliczną.

Czytelniczce. Cerę konserwuje prawidłowo znany powszechnie *Krem Abarid.* Używać w niewielkiej ilości, lecz stale. Jeżeli pani nie może się myć otrąbkami Abaridowemi, to tylko mydło *Abarid* może takowe zastąpić.

Stałej. Opaleniznę i piegi usunie radykalnie krem Precioza. Na opierzchnięte i czerwone ręce niema lepszego środka nad *Pâte de prelats* D-ra Ponsarda.

Zalotnej. Aksamitne i białe ręce będą przy stałem użyciu *Pâte de prelats* D-ra Ponsarda.

Starszej. Tylko krem Abarid zapobiega tworzeniu się zmarszczek. Po kremie pudrować twarz pudrem Abaridowym.

Do wszystkich. Środki tutaj wymienione nabyć można w Warszawie: Perfumerja Perfection, Szpitalna 10, perfumerje Paszkowskiego, Marszałkowska 109 i Nowo-Senatorska 2, w Łodzi L. Spiess i Syn, Piotrkowska 109, w Poznaniu M. Zaremba, Fredry 2, w Krakowie Miklaszewski, Plac Dominikański 1, oraz we wszystkich większych Perfumerjach i Drogerjach. *Mm. Ercedés.*

Wjazd do tartaku.

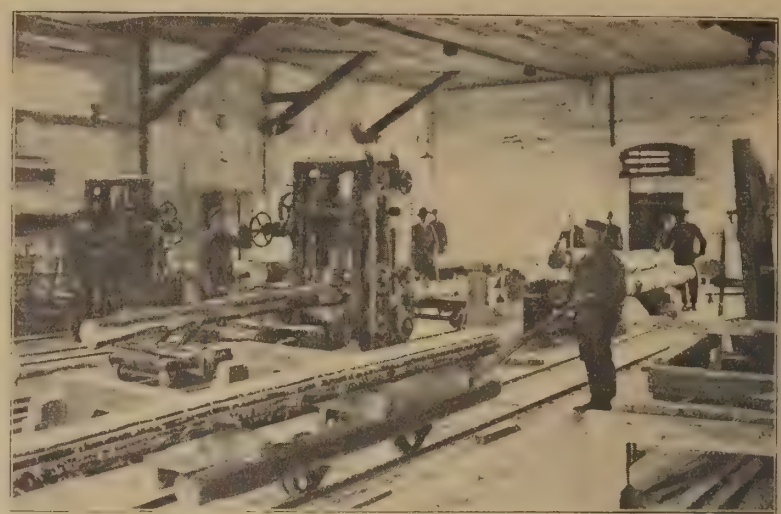

Wnętrze tartaku, gdzie pracują traki.

WAŻNA PLACÓWKA NA RYNKU DRZEWNYM...

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Jeśli się zważy, iż dziś cała niemal Europa, wyczerpana długoletnią wielką wojną, cierpi dotkliwie na brak drzewa, należy przyjąć za pewnik ekonomiczny, iż wobec wysokiej waluty Szwecji i Norwegji, nasza odrodzona i niepodległa Polska jest dziś na rynkach zachodnio-europejskich prawie, że bez konkurencji.

Do wykorzystania tej tak doskonałej konjunktury dopomaga Polsce i to, że posiada ona już oddawna doskonale rozwinięty przemysł drzewny i równolegle też z nim idący eksport tego ważnego surowca. To też zrozumiałą jest rzeczą, iż przedewszystkiem praca i organizacja wielkich przedsiębiorstw zdołała Polsce zapewnić należyte wyzyskanie naturalnych bogactw z tej dziedziny.

W tym kierunku stanowisko Bydgoszczy, jako najważniejszego ośrodka przemysłu i handlu drzewnego, jest dominujące. Wyraźnie jednak zaznaczyć trzeba, iż cała tajemnica bogactw, jakie z tej branży w Bydgoszczy skarb czerpać może i powinien, zasadza się właśnie na przedsiębiorczości i inicjatywie prywatnych przedsiębiorstw, operujących na drzewnym rynku tutejszym.

Antoni Weynerowski, właściciel tartaku.

Tuż, po polskiej wielkiej hurtowni drzewa *„Wiśle"* i Tow. Akc. *„Lasmet"* zaraz najpierwsze miejsce zajmuje w tej mierze firma

Tartak parowy
A. WEYNEROWSKI
Bydgoszcz-Szretery.

Podobnie jak *„Wisła"* i *„Lasmet"* tartak ten, będący dziś również chlubą polskiego przemysłu drzewnego bydgoskiego, został skupiony przez jego obecnego właściciela, p. Antoniego Weynerowskiego, z rąk niemieckich, gdyż od Niemca Bumkego. Datą nabycia jest r. 1916.

Rozporządzając siłą parową 180 Hp. tartak ten posiada własną elektrownię, a zatrudnia zastęp, dochodzący w pełnym sezonie do 100 robotników.

Mając 4 „traki" tartak ten jest w możności przetrzeć do 10,000 m^3 drzewa. Osobno podkreślić należy, iż ruchliwe to przedsiębiorstwo posiada też własny port przy rzece Brdzie, oraz pierwszorzędnej konstrukcji dźwig elektryczny.

W ten sposób uposażony tartak ten wszelkie prace w swoim zakresie jest w stanie wykonywać zawsze precyzyjnie, w terminie wskazanym i według wszelkich prawideł techniki. Bardzo sprężyście prowadzony przez swego technicznego dyrektora, p. M. Kentzera, tartak ten jest

Dyrektor tartaku, p. M. Kentzer.

Ogólny widok tartaku.

tą placówką, której działalność jest jedną z najważniejszych pozycyj bydgoskiego rynku drzewnego.

Dzięki takiemu warsztatowi pracy, jak firma „Tartak parowy—Antoni Weynerowski w Bydgoszczy" przemysł drzewny polski jest w możności eksportować za granicę nie surowiec drzewny a więc okrąglaki, ale półfabrykat, t. j. drzewo przetarte. Przedewszystkiem jednak zarząd firmy dba o to, żeby rynek krajowy a w pierwszym zaś rzędzie bydgoskie fabryki drzewne zaopatrzyć w potrzebny im surowiec.

To zadanie spełnia omówiona tu firma zawsze w całej rozciągłości i to nie tylko z pożytkiem dla swych interesów, ale również dla całokształtu gospodarki krajowej, której jest kółkiem składowem nienajpośledniejszej miary.

Junctim.

MASOWA PRODUKCJA UMUNDUROWANIA.

(Z cyklu „Bydgosko pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Niespełna przed 2 laty założona została w Bydgoszczy wielka wytwórnia umundurowań. Rozwinęła się ona doskonale i dziś cała Polska zna jej firmę, która brzmi:

Bydgoska fabryka garderoby
LEON POSŁUSZNY i S-ka
w Bydgoszczy.

Jako przedsiębiorstwo oparta została firma ta na tak poważnych i solidnych podstawach, iż dziś już może ona z całą otuchą patrzeć w przyszłość.

Wjazd do fabryki.

Fragment wnętrza głównej hali fabrycznej.

Tę pozycję, utrwaloną już dziś tak mocno, potrafiła ona zdobyć nie tylko przez wyborowej jakości produkcję, ale przedewszystkiem także i tem, iż w strukturze przemysłowej kraju naszego wypełniła ona bardzo poważną lukę. Oto dotąd w kraju niemal nie wyrabialiśmy fabrycznie, a więc masowo gotowych ubrań.

Tymczasem w nowo organizującej się Polsce trzeba było na gwałt ubrać możliwie niedrogo, a solidnie naszych kolejarzy, funkcjonarjuszy Magistratów, straż celną i t. d.

Tego podjęła się firma Leona Posłusznego w Bydgoszczy i, trzeba jej to przyznać, wywiązała się z zadania zawsze chlubnie i zwycięsko, bo ku zadowoleniu nie tylko ubieranych przez nią, ale i Skarbu, który koszty umundurowania ponosił.

Poza tem firmie wymienionej należy przyznać, iż udało jej się wyprzeć, a potem nie dopuścić do dostaw firmy żydowskie, które w Polsce specjalnie potrafiły sobie zdobyć monopol wszędzie tam, gdzie chodzi o dostawę dla rządu lub ciał samorządowych.

Personel administracyjny fabryki z p. Leonem Posłusznym, właścicielem fabryki (drugi od lewej str.).

W tej zasadzie pierwszy wyłom zwycięski uczyniła firma bydgoska i dotąd na tak chlubnie zdobytej placówce się utrzymuje. Zdobyła ona sobie zasłużone zaufanie władz naszych i tem zaufaniem już stale się cieszy. Świadczy to o niesłychanie zdrowym poglądzie naszych sfer odpowiednich a zarazem o tem, iż sprawa odżydzenia naszych dostaw oraz faktycznego unarodowienia przemysłu w Polsce weszła na tory realne i wybitnie zdrowe.

Tego objawu nie można nigdy podkreślić z dość mocnem zadowoleniem przez zdrowo patrzącą na rzecz tę opinję ogółu.

Oto jak pisała o firmie tej warszawska „Rzeczpospolita" w nr. 128 r. b.

Chronologicznie wyliczając „Bydgoska Fabryka Garderoby—Leon Posłuszny i S-ka" dostarczyła już dotąd umundurowań:

— dla całej marynarki polskiej...

— dla wszystkich kolejarzy z dyrekcji Gdańskiej.

— dla wszystkich kolejarzy z dyrekcji Poznańskiej.

— dla pracowników Policji Państwowej na okręg Pomorski.

— dla D. O. G. w Toruniu.

— dla D. O. G. we Lwowie...

Od wszystkich tych dykasteryj posiada bardzo chwalebne dowody i zaszczytne atestacje...

Dziś wyrabia poważna ta wytwórnia około pół tysiąca kompletów umundurowań dziennie, co czyni tygodniowo przeszło wagon mundurów.

Zatrudnia z górą 200 pracownic i pracowników, zajętych przy 150 maszynach do szycia. Cały sztab krojczych i trzy elektryką pędzone „krajalnie" sukna dostarczają też rzeszy stale roboty, dzięki czemu wielomiljardowej wartości zapasy sukna bywają „pożerane" przez fabrykę niekiedy w ciągu kilkunastu dni...

Dostarczone przez firmę partje umundurowań, jak świadczą urzędowe raporty, wykonane są na termin zawsze i bez zarzutu...

Quidam.

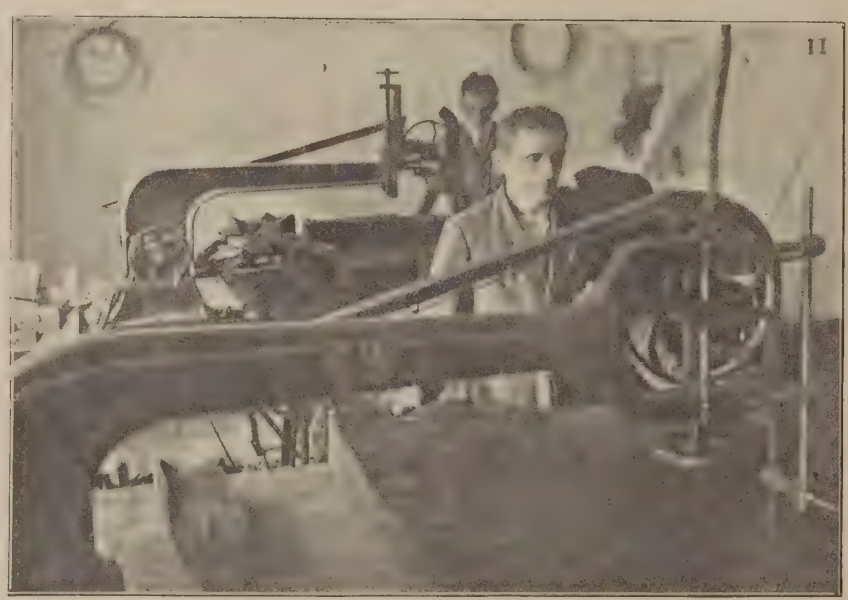

Elektryczne krajalnie w Bydgoskiej fabryce garderoby.

Grupa pracowników i pracownic Bydgoskiej fabryki garderoby Leona Posłusznego i S-ki.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Nr 44 Ogólnego zbioru 3,337 Wydawnictwa rok 64. 27 Października 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

JACEK MALCZEWSKI — Rzeźba W. SZYMANOWSKIEGO

OSZCZĘDNOŚĆ NA NAUCE.

Są społeczeństwa mocne i czerstwe a są chorzejące i słabe. Tak się jakoś składa, że pierwsze rozumieją doniosłość nauki, drugie... oszczędzają na niej.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że uczony, pracujący w swem laboratorjum lub bibljotece nad kwestjami, których sama nazwa brzmi obco i niemile dla obywatelskiego ucha, jest istotą hermetycznie izolowaną od życia, społeczeństwa, ba, nawet „rzeczywistości".

Wszystko bowiem jest rzeczywiste, od episjera do policjanta, (w jego różnych algebraicznych potęgach), ale uczony jest istotą nawskroś nierzeczywistą, urojoną, pozorną, fikcyjną, „Als ob".

Rozumie się, iż jest to złudzenie perspektywiczne, to samo złudzenie, którebyśmy mieli, gdybyśmy do ocenienia thorwaldsenowego pomnika przystępowali ze stanowiska muchy, siedzącej na ogonie książęcego konia. To mi się uświadomiło pewnego razu, gdym będąc jeszcze w kraju, słuchał budującej dyskusji (à propos kategoryj urzędniczych) na temat: jak można porównywać np. wojewodę (to wcielenie prawdziwej rzeczywistości) z profesorem uniwersytetu, istotą pozorną (np. jakimś Pasteurem, który ślęczy nad mikroskopem)?

W istocie ten, który tak mówił, nie zdawał sobie sprawy, jak ważną funkcję socjalną pełni nauka. Nie pewna jakaś nauka, dająca szybkie i bezpośrednie zastosowania, lecz Nauka wogóle, a więc i ta, najbardziej nie-utylitarna, oderwana, teoretyczna.

Najpierw wiadomo, że jeden ważny wynalazek, jedno odkrycie może do gruntu zmienić wytwórczość ekonomiczną w pewnej dziedzinie. Otóż najbardziej konkretne wynalazki i odkrycia zależą od najbardziej abstrakcyjnych i „bezużytecznych" teoryj. Niema, istotnie, w nauce kwestji tak oderwanej, któraby nie była brzemienna w skutki praktyczne w bliższem lub dalszem rozwinięciu. Ale to nie wszystko. Widzimy, jak w społeczeństwach najbardziej zaawansowanych nauka i życie praktyczne splatają się z sobą coraz ściślej.

Nauka zdobywa życie ku większemu triumfowi życia. Jako przykład, weźmy choćby tayloryzm, lub usługi, jakie psychologja oddaje w Ameryce przemysłowi przy kwalifikacji uzdolnień pracowników wszelkich kategoryj.

Profesor Pillsbury (z uniwersytetu w Michigan) opowiadał niedawno następujące zdarzenie. Jeden ze znanych uczonych—psycholog—otrzymał dymisję na tle jakiegoś zatargu (w amerykańskich uniwersytetach dymisja zależy od prezydenta uniwersytetu); natychmiast otrzymał zaproszenia od kilku wielkich zakładów przemysłowych na stanowisko „psychologa fabrycznego" z poborami wyższemi od poborów prezydenta uniwersytetu i perspektywą urządzenia świetnie wyposażonej pracowni naukowej. Uczony propozycję tę podobno przyjął. Tak oto jesteśmy świadkami współpracy „nauki o duszy", która uchodziła dotąd chyba tylko za domenę powieściopisarzy i dramaturgów, z wielkim przemysłem.

Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszą rzeczą jest duch nauki, który w demokracjach przyszłości ma przeniknąć życie. Duch ten — to metodyczność, ścisłość, eksperyment i teorja—duch inteligencji i prawdy, duch, który ma szpony, chwytające w mętnej mieszaninie rzeczy to, co istotne, przed którym ucieka frazes, płytkość, gadanina, obłuda, okłamywanie, złudzenia wszelkiego kształtu. Prawda, że i wiedza ma swoje własne „złudzenia"—ale są to złudzenia innej kategorji, złudzenia organiczne, w błądzeniu nawet płodne.

To też rozwój ducha naukowego — to umocnienie naszych otwartych granic, to zwycięstwo w wojnie i wygrany pokój. Gdy urzędowi przywódcy—tak często niepowołani—narodu nie są zdolni tego rozumieć (zaślepieni interesem najbliższej chwili i — najbliższych przyjaciół, czy warstw), gdy obce są im wszelkie koncepcje życia, wybiegające nieco dalej naprzód, gdy panuje polityka małych ludzi i małych interesów—zdrowy instynkt narodu powinien się budzić. Naród ma w sobie siły żywotne, dzięki którym może niekiedy bez szkody znosić nawet niepowołanych lub zdeprawowanych sterników.

Cóż może uczynić społeczeństwo dla nauki? Nie może ono wpłynąć na powstawanie ani na rozwój talentów—aleć tych u nas nigdy nie brakło;—może natomiast i powinno zapewnić im w kraju stosowne warunki, zbudować im warsztaty pracy. A na tem właśnie nam często zbywało. Wadliwa lub niedostateczna organizacja warunków pracy sprawiła, że uczony polski, produktywny zagranicą, wróciwszy do swoich, przestawał być twórczym. Niewolno nam tedy wyrzekać na ekspatrjujących się uczonych, dopóki nie uczyniliśmy wszystkiego, co w naszej mocy, by im dać możność pracowania produktywnie w ojczyźnie.

Cyprjan Norwid, jeden z tych, którzy w ojczyźnie znaleźli tylko kamienie, które mu pod nogi rzucano, mówił z goryczą o swym narodzie: „zawsze nie w czas i zawsze nie ty teleskopowe znasz komety". Lecz była to przesada i niesprawiedliwość człowieka niezrozumianego. Posiadamy bowiem poczet ludzi, którzy na swe barki brali wielkie ciężary, którzy naprawdę „usiłowali przejść przez ciasną bramę". Do takich ludzi należał np. Józef Mianowski, twórca Kasy jego imienia. Nie będę wymieniał tutaj żyjących kontynuatorów jego dzieła, pracowników, którzy z bezgranicznem oddaniem, z niezmordowaną wytrwałością walczą o stanowisko twórczości w Polsce, organizują zjazdy, podejmują wydawnictwa, tworzą instytucje, których celem jest podźwignięcie sprawy nauki na piedestał, na jakim być ona winna w narodzie żywotnym, jak nasz, a zwłaszcza w narodzie, który dobija się dopiero o stanowisko wśród innych.

To są tytuły naszej chluby, dowody naszej kultury, rękojmie naszej przyszłości.

Tylko niechaj oni nie będą sami. Tylko niechaj nasze społeczeństwo i nasz rząd nie oszczędzają... na nauce.

Tym zaś, którzy posiadają środki, drobny przykład ku rozwadze. Rzecz dzieje się nie u nas, w... sąsiednim powiecie. Miljoner paryski (żydowskiego pochodzenia) p. K. zorganizował „Cercle", w którym gromadzi młodych uczonych, przyszłych profesorów Sorbony; oddał im do rozporządzenia pałacyk z ogrodem w Boulogne, loży na wydawnictwa, daje stypendja na wielkie i długotrwałe podróże, stypendja, sięgające kilkudziesięciu tysięcy franków; robi to z całą skromnością, niemal bezimiennie. Gdyby był w Polsce, miałby zadanie niezmiernie uproszczone. Miałby bowiem instytucję tak swoiście, tak organicznie wyrosłą z naszej gleby, jak Kasa im. Mianowskiego. Ta wyręczyłaby go z trudnej dla laika kwestji użycia ofiarowanych środków w sposób najodpowiedniejszy, najbardziej celowy.

Tylko nie pozwólmy jej wegetować, tylko nie oszczędzajmy na nauce.

Dr. fil. Zygmunt Mysłakowski.

POCHÓD — Z wystawy pośmiertnej w T. Z. S. P. w Warszawie. — JAN REMBOWSKI

Edward Ligocki:

Poezje.

WSZYSTKO NAM DAŁEŚ, CO DAĆ MOGŁEŚ, PANIE...

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
ognie z cmentarzy, w samo niebo rwące,
jak sen migotne, ślepe zmartwychwstanie,
— płomień, rzucony pomiędzy tonące...

A na tych grobach, od morza do morza
zawisła tęcza, jak wróżb czarny kamień,
i głos nam dźwięczał, z martwego bezdroża:
Los Polski wielkiej — na koronę *zamień..*

Skądś, z pod Mohacza i z Warneńskiej głuszy
głos ten grzmi gromem — wielkość *ku wam woła,*
błyszczy, jak tęcza, klejnot polskiej duszy:
— wejdźcie, o ślepce, w ciemną głąb kościoła...

Chór ślepych starców w mrokach beznadziei
przechodzi mimo, a Wielkość gdzieś ginie,
przebrzmiewa w pustce akord epopei,
i przepomniano, że był Cezar w Rzymie...

Polsko, łuno pożarów! Step przed tobą pusty,
noc bezgwiezdna, milcząca, jak Styx głuchy czarna,
i los szepce Ci wróżby zbielałemi usty,
i powraca, jak echo, ta przeklęta Warna!

A Ty, Polsko, zgubiona wśród upiorów tańca,
gubisz perły wielkości, *i gwiazdy różańca...*

CIEBIE, BOŻE, CHWALIMY...

Ciebie, Boże, chwalimy w dniu wielkości naszej,
co nam błysła, rzucona, jak cud Bethleemski,
— Własna siła, wcielona, dziś jak upiór straszy —
życie nasze gdzieś błysło, jak płomień zaziemski.

A ta Polska dni przyszłych, przez głąb złego morza
idzie, wwyż wzniósłszy ręce, jak widmo Oriona,
i gdzieś błyszczy, daleko, ta jutrzejsza zorza,
i lśni czarny, jak piorun, trójząb Posejdona.

Wielki Boże zastępów, który z mgieł zaświata
patrzysz w głąb zatracenia, liżącą nam stopy,
spraw, iżby w polskiem sercu błysnął Apostata,
i targnął zgniłem sercem sennej Europy...

Bo ta Wielkość widoma tryska wciąż strugami,
jak spieniona kaskada z akweduktów Rzymu,
i Twa łaska szalona chwieje się nad nami,
a dzień cały dzisiejszy — jest jak obłok dymu.

My wydrzemy z bezwolnej, krwią broczącej piersi
ów stygmat niewolnictwa, znaczący Łazarze,
my, cośmy na redutach zawsze byli pierwsi,
i tęsknocie śmiertelnej nieśli jasne twarze.

Drży przed nami wokoło, czy drżeć jutro będzie
sina toń Acherontu, i lód złego morza,
i gdzieś Bogu Rodzica pisze nam orędzie
byśmy wreszcie przeklęli Hiobowe łoża,

byśmy wielcy się stali, jak greccy heroje,
i chwalili, o Panie, wielkie Imię Twoje!

My, wybrańce potęgi, my, ostrza koncerzy,
my, zbroje damasceńskie, my, jutrzenki zorze
zerwiemy się jak ława: bij, kto w Boga wierzy!
bo na ostrzach lanc naszych lśni Królestwo Boże!

A Ty, Panie zastępów, Sędzio nad sędziami,
gdy nam Ducha świętego ześlesz chrzest ogniowy,
łuną krwi i płomienia zjawisz się nad nami
iżbyś raz nam wypalił nasz stygmat Hiobowy.

KILKA UWAG O POCHODZENIU DZIEŁ SZEKSPIRA.

„Audiatur et altera pars".

Od wielu i wielu lat o Szekspirze i dziełach jego piszą się tomy, wypowiadają najrozmaitsze teorje, ogłaszają coraz nowsze badania, a pochodzenie tych cudownych, nie mających sobie równych w literaturze świata dramatów, dotąd nie jest wyjaśnione w zupełności.

Wszyscy mówią o tajemnicy: jedni bronią zażarcie bezpośredniego autorstwa Szekspira, drudzy przypisują je coraz to innym osobom, ale nikt prawie nie chciał spojrzeć na nie własnemi oczami duszy, bez narzuconego z góry zdania badaczy, bez uprzednio uplanowanej teorji. Tymczasem wszelkie wielkie dzieła (czyny, odkrycia) są zadziwiająco proste, i dlatego każdy badacz, uzbrojony doświadczeniem i nauką, oraz odpowiednią znajomością przedmiotu, winien brać przykład z dziecka w bajce Andersena „Suknia Królewska", — to jest patrzeć na rzeczy prosto, widzieć je takiemi, jakie są w rzeczywistości, nie poddając się suggestji zdań innych. Przeto, otrząsnąwszy się z pod wpływów specjalistów szekspirologów, a spojrzawszy świeżem i bystrem okiem laika-amatora, ujrzymy, że tajemnica pochodzenia dzieł Szekspira—ktokolwiekby był ich autorem,—zwolna uchyli zasłonę. Jednak dlaczego powstało to zagadnienie tajemniczości, skąd wynikły spory i wątpliwości co do osoby autora tych nadzwyczajnych, zdumiewających prawdą a wrzących życiem opowieści dramatycznych?

Jedna jest tego przyczyna: nie można wprost przypuścić, by ogrom i doskonałość pracy, niezwykła rozmaitość typów skończonych i przedziwna precyzyjność charakterystyki takowych, błyskotliwy, zdrowy humor, naturalna jędrna rubaszność, lub filigranowa subtelność w wyrazie rozmaitych uczuć, połączone ze wspaniałą, bogatą wyobraźnią poety—mogły być tworem jednego, choćby najbardziej genjalnego człowieka. Każdy nawet najgenjalniejszy twórca, bądź to dramaturg, poeta, muzyk, czy malarz o talentach nieraz bardzo wielostronnych, *ma* zawsze swoją indywidualność, swoje charakterystyczne cechy, częstokroć ledwie uchwytne,—po których jednak wszędzie go poznać można, podczas gdy u Szekspira każde dzieło i nawet typ zdaje się być wytworem innego zupełnie umysłu, o odrębnej formacji charakteru i usposobienia jednostki, z wyraźnym wpływem jej wieku na takowe. Prócz tego absolutny brak rękopisów, nawet najmniejszej ich cząstki, mimo nieustannych poszukiwań i dociekań, potęguje tajemnicę *). Rzeczywiście — jak się to stać mogło, by zaginęły bez śladu *wszystkie* zgoła rękopisy trzydziestu z górą dużych dzieł? Dlaczego nie doszedł do nas choć jeden? Kto je zniszczył, komu na tem zależało? Jeżeli sam autor, to poco, kiedy wszystkie dzieła już były drukowane? Oto zagadka, która dotąd nie ma zadawalającego rozwiązania. Sądzę jednak, że rozwiązanie to nie jest tak trudne, jakby się zdawało, i ma wszelkie cechy zupełnego prawdopodobieństwa.

Każdy, kto studjował historję teatru, wie, jak wielkie znaczenie dla rozwoju sztuki dramatycznej miał dar improwizacji ówczesnych aktorów. Były to czasy boskiego wszechwładcy Króla-Ducha i Królowej-Iluzji: na scenie, tej świątyni czystej twórczości, tryskały źródła natchnienia, genjalnej improwizacji, przytomności umysłu, humoru jędrnego, wesołego, naturalnego dialogu, jaki się dziś jeszcze spotyka na zebraniach koleżeńskich młodzieży szkolnej, lub wyższej inteligencji, — zwłaszcza w ciętych bataljach flirtujących, gdzie ciosy z błyskawiczną szybkością spadają, zręcznie przez stronę przeciwną natychmiast odparowane; tam w mgnieniu oka wynajdują się coraz to nowe pomysły, coraz inne porównania, bijące żywem źródłem prawdziwego wesela, ku niekłamanej uciesze słuchaczy. Wszak taka rozmowa Makuszyńskiego, lub Ignacego Ziółkowskiego zdolne są natchnąć i w naszym jałowym wieku nie jednego autora do stworzenia nowych oryginalnych zwrotów, zdań, epizodów, lub nawet całkowitych typów.

Chcę powiedzieć, że w czasach, kiedy aktorzy byli artystami z potrzeby ducha, a nie dla tej, lub innej gaży, czy też stanowiska, zdobytego „prawdą i nieprawdą", kiedy jedyną protekcją był talent, a jedynym sędzią publiczność, — wówczas dana sztuka dramatyczna *rozwijała się już na scenie*, coraz upiększała i ulepszała, dzięki wciąż nowym, obfitym pomysłom aktorów-improwizatorów, pod ścisłą kontrolą autora-ideatora i dyrektora-reżysera teatru.

Tak było i w teatrze Szekspira. Z niezbyt obszernych szczegółów jego życia z wszelką pewnością wiadomo, że był on nie tylko poetą i aktorem, ale i właścicielem teatrów, początkowo — „Black-Friars", a potem „Globe", i że twórczość jego zupełnie zanikła z chwilą opuszczenia teatru. Nic dziwnego: nie miał już swych stałych współpracowników, którzy jego pomysły i idee w lot chwytali, w cichości obmyślali, rozwijali i tworzyli *własne* postacie, głęboko wyczute i całkowicie przeżyte; a że każdy brał, lub dostawał najwięcej odpowiednią dla swego osobistego charakteru i usposobienia rolę, przeto typy na scenie wychodziły skończone, wyraziste, jaskrawe, zgoła rozmaite, a niezwykłe i zdumiewająco naturalne. Wyżej przytoczone przypuszczenie potwierdza fakt, że jak w każdej tragedji Szekspira nie jest wyłączony żywioł komiczny, tak też i w komedjach, rzadko z zabawnej i lekkiej tylko strony traktuje się życie. Stąd więc ta prawda, malująca człowieka i życie, jakiemi są, nie siląc się na upiększenie, by przyzwoiciej wyglądali; stąd też charaktery stają się odrazu całe i pełne, zaledwie się ukazały na scenie, — wszystkie oznaczone wyraziście, — *żywe* — śmiem twierdzić więc, że Szekspir,—czy jak chcą najnowsze rewelacje, Bacon,—co postaci rzeczy nie zmienia,—tworzył w ścisłem porozumieniu z głównymi aktorami i reżyserami, t. j. dawał pomysł, szemat, fabułę, zwierzał się z tem kolegom, rozbudzał ich wyobraźnię swą gorącą bogatą fantazją i przystępował odrazu do prób, dając pole do twórczości improwizatorskiej aktora na próbach i przedstawieniach. I dopiero gdy po dziesiątkach jednych i drugich role były ustalone, t. j. nie ulegały więcej zmianom, będąc już poniekąd usankcjonowanemi przez autora, reżysera, wykonawców, kolegów teatralnych i publiczność,—dany utwór szedł do druku, gdzie go składano z oddzielnych ról, pisanych, czy szkicowanych zaledwie *przez samych wykonawców*, a przepatrzonych i poprawionych — (każda z osobna) przez autora. Tem się więc objaśnia brak rękopisów: o zachowaniu świstków o rozmaitych charakterach pisowni mowy być nie mogło,—nikt nie uważał tego za potrzebne, lub mogące mieć jakiekolwiek znaczenie. Jak dalece sztuka pozostawała li tylko w pamięci aktorów, świadczy fakt instytucji „szybkich przepisywaczy" (w rodzaju stenografistów), którzy nie opuszczali żadnego przedstawienia danej sztuki, póki utwór całkowicie i jednolicie nie był zapisany.

Pamiętam identyczne wypadki z mego dzieciństwa i obserwacji innych dzieci, że gdy zainicjowana zabawa przybierała bieg interesujący, zdoławszy zająć ciekawym, a często zupełnie nieoczekiwanym rozwojem tematu,—dzieci chętnie ją powtarzają i nawet zapisują porządek scen, rozmów i całe dialogi. A z jakim zapałem, z jakiem zupełnem zapomnieniem rzeczywistości grają, wierząc naprawdę w to, co mówią i czem są w danej chwili! Więc i naiwne, iście dziecięce serca pionjerów sztuki dramatycznej wznosiły się też na wyżyny kompletnej iluzji i genjalnemi umysły tworzyły dzieła nieśmiertelne, jak wszystko, co jest wytworem czystego ducha *).

Otuż naturalnie, pierwsze drukowane „kolekcje" ról zapewne znacznie różniły się od pierwotnie granych; przeto w dalszych wydaniach, *widocznie poprawionych i przepatrzonych* przez autora, znajdujemy duże zmiany. Wziąwszy np. oryginalne wydanie Hamleta z roku 1603 i 1604, widzimy, że podczas gdy starsze nosi cechy utworu nawskroś scenicznego, — nowsze jest już dziełem więcej literackiem, jakby przeznaczonem do czytania, więcej stylistyczne, znacznie wygładzone, jednak częstokroć ze szkodą dla sceny,—gdzie się widać zrodziły może trochę za rubaszne zdania, ale pulsujące życiem, wibrujące tętnem zdrowego humoru i dowcipu, na podobieństwo ciętych uwag, przysłów, lub sprytnych, zawsze tchnących pewnością siebie, odpowiedzi ludu.

Z Włoch, gdzie do niedawna (Novelli, Calabresi, Zacconi i inni) improwizacja kwitła na scenie z tych, lub innych powodów—jeszcze przed urodzeniem Szekspira przyszła nowa forma dramatu: prosta a zarazem gorąca, impulsywna, żywa i przedewszystkiem naturalna, a dla wszystkich słuchaczy zrozumiała.

Włochy z wartkiem życiem swem, namiętnem, ruchliwem, gdzie rzeczywistość wypadków prześcigała nieraz najbujniejszą fantazję, były nieprzebraną skarbnicą motywów dla poety. Tam prócz wyemancypowanej zawczasu literatury, naówczas już stan średni, mieszczanie, bogate kupiectwo stanęło obok dworów książęcych rozbudzone do życia z tą ciekawością jego i pragnieniem, które zarówno wiele złego jak i dobrego rodziły. Wszystko tam kipiało ogrzane jasnem słońcem, rosło, bujało, przechodząc wprost z leniwego uśpienia do namiętnego dramatu. Biorę więc komedję „Wiele hałasu o nic", przerobioną z noweli pod pięknem niebem Włoch zrodzonej. Źródłem, z którego autor zaczerpnął osnowę, była jedna z nowel Biondella „56-ta historja tragiczna". Znawcy i krytycy-komentatorowie jednozgodnie twierdzą, że niema nic bardziej szekspirowskiego nad ten właśnie utwór, i rzeczywiście jest on jedną z najsamoistniejszych sztuk Szekspira, zbudowaną na wzór ówczesnych form włoskich, o których właśnie wspomniałem; prócz tego rozmaite wydania tej komedji znakomicie potwierdzają moje wnioski.

Np. w najpierwszem, w początkach roku 1600 (a raczej w końcu 1599 właściwie) rozkupionem, czy wycofanem **) są takie miejsca: „*w tej scenie Benedyk i Beatricze spotykają się i rozmawiają****)", albo: „tu, Ciaska i Kwasek" ****)... podczas gdy w późniejszem wydaniu,—w końcu tegoż 1600 r.,— są już tam wspaniałe dialogi. (Ciekawe, że wydanie to zaopatrzone jest we wzmiankę, że „*sztuka wielokrotnie grywaną już była*", jakby usprawiedliwiając zaszłe zmiany przed nabywcami dawniejszych egzemplarzy. To znaczy, że albo sam autor zostawił umyślnie swobodę działania i deklamacji czterem głównym wykonawcom, zwracając większą uwagę na inne,—szczególniej na mniejsze ro-

*) Ciekawe na czem opiera Ben Jonson przypuszczenie, że w „rękopisach Szekspira ani jeden wiersz nie był zmieniony, lub wykreślony" (??) Kto je widział i kiedy, i gdzie są o tem wskazówki?

*) Co prawda drugorzędnym: najlepszą jego rolą był „duch" w Hamlecie.

*) Przytoczone przypuszczenie to potwierdza się zdaniem John'a Mannigham'a o Szekspirze: „obyczajem jego było nie łamać sobie głowy nad budową rusztowania, gdyż chętnie składał je z cudzych desek".

**) Egzemplarze liczy się do rzadkości bibljograficznych.

***) 4 pierwszych scenach 2 i 4 aktu.

****) Akt 3-ci, 4 i 5.

le, albo reżyser mu to doradził przy opracowaniu tej starej historji,—słusznie wskazując na wielkie zdolności do świetnych pomysłów, wrodzony dowcip, łatwość dialogu, a przedewszystkiem *nieomylny instynkt sceniczny swych lepszych aktorów.*

Na próbach w kilku słowach umawiają się oni o czem mają mówić i niezwłocznie grają, a pobudzeni ciekawością i zainteresowaniem słuchaczy, oraz mając wytknięty cel stworzenia określonego typu, dają błyskotliwą, przepyszną w swej naturalności scenę, opartą całkowicie na momentalnej ekspansji twórczej. Jak widać więc z późniejszych edycyj wspomnianej komedji, Szekspir (sam, czy też z pomocą specjalnego stenografa ówczesnego) gromadzi te genjalne przebłyski improwizacji, nadaje im lepszą formę, odrzuca inne, uważane przezeń za gorsze, lub zmienia, stosownie do zmian w całkowitych scenach. To samo widzimy w komedji „Miarka za miarkę", granej w r. 1604, 26 grudnia przed Jakóbem I-ym. Otóż „Accounts on the Revels of the Courts" wspominając o tym fakcie z okazji ukazania się jej w druku w wydaniu zbiorowem, zaznaczają, że „*mimo, iż Szekspir złagodził sytuację, rzecz uczynił znośniejszą, niż na przedstawieniach, oraz usunął zbytnią swobodę wyrażeń*, to jednak cynizmem osnowy przykre robi wrażenie; tylko samo prowadzenie akcji mistrzowską rękę zdradza" *).

Analizując zatem rozmaite role drugorzędne, dochodzimy znów do niechybnego wniosku, że są stworzone przez autora-poetę, gdyż traktowane są po literacku i z ogromną starannością, jak gdyby Szekspir chciał je wysunąć na plan pierwszy, lub też dostroić w zupełności do roli pierwszorzędnych, wynagradzając tem gorsze zazwyczaj wykonanie; być może, że i siebie, jako aktora, miał tu na względzie.

Jednak w późniejszych wydaniach i tu widzimy korekty autora, widocznie stosownie do ostatecznej formy utworu, jaką nabył z biegiem wielokrotnych przedstawień. Jeżeli więc przytem zwrócimy uwagę na fakt, że za czasów Elżbiety zarówno w Anglji, jak i we Francji powstawały w ten sposób najpopularniejsze sztuki, będące całkowicie dziełem twórczości hojnie w rzetelne talenta i bogate umysły uposażonych aktorów,—wyżej przytoczone spostrzeżenia nabrać powinny cechy zupełnego prawdopodobieństwa.

Tadeusz Leliwa.

*) Tom XI przekład L. Ulricha z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego.

ZE SZTUKI.

Wystawy w Salonie Garlińskiego. Władysław Roguski. Maksolby i Licabe.

Uczeń Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, następnie akademji w Krakowie, Władysław Roguski, szczęśliwie trafiwszy na kurs prof. Pankiewicza, wyniósł w świat późniejszej, samodzielnej pracy, prócz istotnie wartościowych wskazówek wielce kulturalnego profesora i znakomitego artysty poczucie potrzebnej wiedzy. W odróżnieniu od całego szeregu swych, częstokroć bardzo utalentowanych kolegów owo poczucie potrzeby zamieniło się w chęć, w dominujące nad innemi pragnienie zdobycia tej wiedzy, którą, przyznać trzeba, Roguski, jeśli już nie zdobył, to zdobywa wielkiemi zagarnięciami. Talent i wiedza sprawiły, że każda najmniejsza praca tego artysty, bądź to obraz olejny, bądź jakiś szkic ołówkowy stoją na poziomie najpoważniejszych wymagań.

Roguski wychodzi w malarstwie swojem z założeń dekoracyjnych, tem nie mniej uwzględnia wszystko, co czas ostatnich wysiłków i zdobyczy do wyników doświadczeń dawno minionych dorzucił. W autolitografjach i akwarelach artysta wskazuje na zgłębienie istoty barwnej impresjonizmu, wczuwa się w znaczenie kolorów czystych, a stopniowaniem ich tonów rytmizuje całość kompozycji. Współczesność malarstwa Roguskiego wyraża się głównie w organizowaniu kompozycji ogólnej na jednym planie, nie tylko w pracach o charakterze czysto dekoracyjnym, gdzie ten, ów szczegół ornamentacyjny przeznaczeniowo poniekąd wyznacza jednoplanowość płaszczyzny, lecz i w obrazach sztalugowych. W tych ostatnich artysta ornament zastępuje specjalnem konstruowaniem brył i ciężarów, deformując je zgodnie w koncepcję cézannowską.

EWA WŁ. ROGUSKI

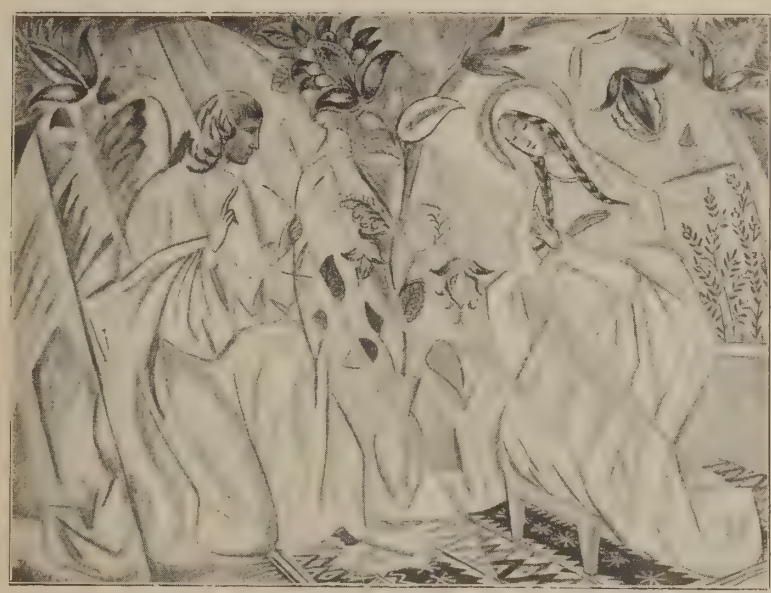

ZWIASTOWANIE WŁ. ROGUSKI

Indywidualność Roguskiego skłania się najbardziej w stronę stylizacji, zgoła specjalnej stylizacji, którą obawiałbym się nazwać: prymitywną, jak to się zwykło o madonnach i świątkach artysty mówić. Należy odróżnić rodzaje stylizacji formy.

Stylizacja Roguskiego jest aż nadto prosta, jednocześnie daleka od wszelkiego wzorowania się na prymitywach. Stylizowanie akademickie polega na ornamentyzowaniu formy naturalnej. Stylizacja prymitywna była zwykłem odtwarzaniem kształtu wyobrażeniowego. Roguski stylizuje kształt wyobrażeniowy, przepuszczony przez filtry świadomości, pamięci wzrokowej i fantazji twórczej. Stąd też pochodzi bogactwo jego kompozycyj dekoracyjnych, osnutych na motywach religijnych. W kompozycjach o innych tematach, głównie jednak —o założeniach malarstwa sztalugowego, stylizacja Roguskiego idzie w kierunku syntezy, gdzie wyobraźnia odgrywa rolę minimalną, a gdzie zastępuje częściowy brak jej świadomość dokładna formy objektów, innemi słowy: wiadomość o rzeczy.

Poza wszystkiem, wyżej wspomnianem, Roguski zasługuje na specjalne wyróżnienie, jako wynalazca zupełnie nowej techniki malarskiej, która niezadługo rozwinie się i będzie niezawodnie przez innych malarzy naśladowana. Obrazy Roguskiego mają powierzchnię zupełnie gładką i połyskliwą, jak szkło. Zaciągnięcie malowidła warstwą specjalnego werniksu (rodzaju politury) uwyraźnia w doskonały sposób najsubtelniejsze przejścia tonowe, czyniąc jednocześnie całą pracę malarską, cały stan powstawania dzieła zupełnie dla oka widza jawnym. Dodać trzeba, że technika ta wówczas ma swoją większą rację, gdy artysta maluje na materjale lub gruncie bardzo absorbującym.

U twórcy nowej techniki wszystkie składowe części jego malarstwa są tak doskonale powiązane, tak uzależnione i sharmonizowane w działaniu, że wyraz całości t. j. obrazu jest pod każdym względem skończony i doskonały. Po jakiej drodze pójdą dalsze wysiłki Roguskiego—odgadnąć trudno. Dotychczasowy dorobek artystyczny, oparty na rzadko u nas solidnych podstawach, wróży przyszłość jaknajlepszą. Bezsprzecznie Władysław Roguski należy do najpoważniejszych plastyków polskich doby obecnej. Powodzenie jego wystawy jest zupełnie uzasadnione i wytłumaczone. Powodzenie wielkie, dowodem tego, że jedną z największych kompozycyj nabył w dniu otwarcia wystawy jeden z naszych artystów rzeźbiarzy — kolega, więc człowiek fachowy i uparcie, jak każdy kolega-artysta, zazdrosny.

. . . . . .

Pani Licabe i pan Maksolby, para artystów estońskich przedstawiła Warszawie: ona — swoją zdolność specjalnej karykatury ilustracyjnej, literackiej, on — swój naturalizm uzdolnionego portrecisty.

J. Ż.

UCIECZKA DO EGIPTU WŁ. ROGUSKI

ANDRZEJ HR. ZAMOYSKI.

(1800—1874).

Po dwunastu latach wygnania z b. Królestwa, ogniska niestrudzonej działalności obywatelskiej, prowadzonej przez ciąg kilku lat dziesiątków w dobrach dziedzicznych Klemensowie i w Warszawie, w warunkach nad wyraz uciążliwych, pod kontrolą podejrzliwego wroga najeźdzcy, zamknął Andrzej Zamoyski łzami wezbrane powieki w Krakowie, 19 września 1874 r. Ze współczesnego mu pokolenia, które było wdzięcznym świadkiem owocnej działalności „pana Andrzeja" na polu rolnictwa, ekonomji narodowej, polityki i umysłowości rodzimej, niewielka jedynie pozostała garstka Przetrwało wszakże echo wdzięcznej pamięci o mężu, który, nosząc z usprawiedliwioną dumą i godnością najpiękniejszą nazwę rodową w Polsce, umiał tradycję przeszłości zespolić z ciężkiemi warunkami bytu politycznego narodu i być wzorem i przykładem dla współziomków w poświęcaniu się dla ich dobra—umiłowaniem ideałów cnoty obywatelskiej i patrjotyzmu.

Z rozkazu cara Aleksandra II skazany we wrześniu 1862 r. na wygnanie za wierność „marzycielską" Polsce „od morza do morza", zmuszony był Andrzej Zamoyski opuścić swoją ojczyznę i pozostawić pozostałej w Warszawie rodzinie pieczę nad nagromadzonemi przez przodków i własną zabiegliwością skarbami wiedzy i sztuki. Niebawem wszakże spotkały wygnańca najsroższe straty rodzinne i majątkowe.

W kilka tygodni po opuszczeniu kraju, doszła go wiadomość o zgonie ukochanej małżonki, Róży z hr.Potockich, a w rok później—o zrabowaniu mu całego mienia nieruchomego warszawskiego i ruchomego dobytku, o skazaniu jednego z jego synów, Stanisława, na karę śmierci, zamienioną następnie na długoletnią katorgę, z której skazaniec powrócił złamany na ciele i duszy i zakończył w Krakowie bezpotomny żywot.

Zgnębiony klęskami rodzinnemi i majątkowemi, usunął się Andrzej Zamoyski na wygnaniu z widowni życia politycznego. Proponowane mu w połowie roku 1863 przez zastraszony koalicją europejską carat, stanowisko Naczelnika rządu cywilnego w Królestwie, po usunięciu się zeń margrabiego Wielopolskiego, — odrzucił. Poświęcił się cichej, gabinetowej pracy, a będąc szczerze wierzącym, szukał w modlitwie ukojenia. Widziano go nieraz w Paryżu, jak godzinami całemi, w niemem rozpamiętywaniu, spędzał czas w kościele Notre Dame, otulony szarym płaszczem, na klęczkach. Modlił się nie o poprawę swego wygnańczego losu, lecz o zbawienie dla srodze umęczonej Ojczyzny. Zbawienia tego nie doczekał się, nie był świadkiem porywu siedmnastu jego wnuków i prawnuków do oręża, w chwilach przełomowych bolszewickiego na Polskę najazdu. Pamięć Andrzeja Zamoyskiego mogło dopiero uczcić żyjące obecnie pokolenie współrodaków, któremu danem było przyjąć w zmartwychpowstałej ojczyźnie popioły wielkiego obywatela i wygnańca i pochować obok zwłok żony i stryja, jenerała ziem podolskich, w podziemiach kościoła Św. Krzyża, świątyni, ozdobionej na frontonie balustrady wspaniałym, jego pomysłu posągiem Chrystusa, dźwigającego krzyż i wskazującego ręką — niebiosa.

* * *

Andrzej hr. Zamoyski, najmłodszy z pięciu synów Stanisława ordynata hr. Zamoyskiego, prezesa Senatu Królestwa Kongresowego, urodził się 2 kwietnia 1800 roku w Wiedniu.

Młodociane lata spędził pod opieką serdecznego przyjaciela, prawie że członka rodziny, nieśmiertelnej pamięci księdza ministra stanu Staszica. Jako młodzieniec, korzystał z nauk technicznych i uniwersyteckich w Szwajcarji pod kierunkiem jenerała Dufour, mając jednocześnie sposobność zbliżenia się do Kościuszki. Wreszcie studja swoje ukończył na uniwersytecie w Edynburgu w Szkocji.

Zakładom naukowym zagranicznym, oraz troskliwemu wychowaniu domowemu zawdzięczał Zamoyski gruntowną znajomość języka ojczystego, oraz języków: francuskiego, angielskiego i niemieckiego, któremi władał tak sprawnie jak polskim. Powróciwszy do kraju, wstąpił do urzędu ministerjum spraw wewnętrznych, jako sekretarz przyboczny Tadeusza Mostowskiego, po wybuchu zaś powstania listopadowego, zaliczony do gwardji narodowej konnej, miał czynny udział w bitwie pod Grochowem, poczem przez Rząd Narodowy wysłany został do Wiednia, dla pertraktacyj z kanclerzem Metternichem, w sprawie pomocy dyplomatycznej bojującej o swą wolność Polsce. Dwie wyprawy odbyte w tej sprawie do Wiednia pozostały bez rezultatu. Opisał je Zamoyski w pamiętniku swoim pod tyt.: *Moje przeprawy*, odnalezionym w archiwum tajnem Paskiewiczowskiem przez Aleksandra Kraushara i wydanym przez tegoż w Krakowie.

Po upadku powstania listopadowego powrócił Zamoyski do Warszawy, gdzie Paskiewicz, zagroziwszy mu zrazu rozstrzelaniem, skazał go na bezterminowy pobyt w Klemensowie. Tam rozwinął Zamoyski rączą między obywatelstwem działalność w sprawie poprawy losu włościan. Zjazdy klemensowskie zyskały w kraju zasłużony rozgłos, to też wkrótce władze caratu je zniosły. Powiew łagodniejszych prądów w systemacie rządów Królestwem, jaki nastąpił po wojnie krymskiej i po objęciu tronu przez Aleksandra II-go, zniewolił obywatelstwo polskie do natarczywych próśb, adresowanych do Zamoyskiego, by zgodził się na wszczęcie starań o utworzenie Towarzystwa Rolniczego.

Pan Andrzej, wbrew swej niechęci do wszelkich starań u władz rosyjskich o jakiebądź ustępstwa, lub koncesje, tym razem uległ owym prośbom i tylko dzięki jemu książę Gorczakow wyjednał pozwolenie na zawiązanie tego Towarzystwa. Prezesem jego z wyborów został Zamoyski. Zasługi Towarzystwa Rolniczego należą do historji. Pomimo pewnych objawów stronniczości, których następstwem było, między innemi, niedopuszczenie do udziału w pracach Towarzystwa takich osobistości, jakiemi byli: J. I. Kraszewski i margrabia Wielopolski, zasługi rolniczego grona w dziedzinie podniesienia dobrobytu Królestwa były oczywiste. Niestety, skutek przekreskowania margrabiego był dla losów Towarzystwa fatalny.

Siódmego kwietnia 1861 r. nastąpiło zniesienie owej instytucji i manifestacyjne wyrażenie Andrzejowi Zamoyskiemu ze strony ludności warszawskiej uczuć współubolewania i czci, któremu towarzyszyły zgiełkliwie zebrania uliczne, zakończone straszliwą katastrofą 8 kwietnia i rozlewem krwi.

Równocześnie z pracami, poświęconemi temu Towarzystwu, Andrzej Zamoyski i w dziedzinie innych zadań społecznych oddał krajowi wielkie usługi, utworzeniem Towarzystwa żeglugi statkami parowemi na Wiśle, budową warsztatów rzemieślniczych, wydawnictwem *Roczników gospodarstwa krajowego* i inicjatywą w założeniu czasopisma *Bibljoteka warszawska.*

Antagonizm między Zamoyskim a Wielopolskim doprowadził w roku 1862 obu owych mężów stanu do otwartej walki. Z powodu zamierzonego ze strony obywatelstwa adresu do Zamoyskiego, Wielopolski wpłynął na mianowanego namiestnikiem Królestwa W. księcia Konstantego, by powołać pana Andrzeja do Łazienek, dla wytłumaczenia powodów adresu. Rezultatem posłuchania było stanowcze oświadczenie pana Andrzeja, iż półśrodkami nie można będzie uśmierzyć wrzenia umysłów w kraju i że jedynie polityczne połączenie Królestwa z Litwą i „krajem zabranym" wyda względnie pożądany rezultat. Następstwem takiego oświadczenia było wysłanie Zamoyskiego do Petersburga, gdzie Aleksander II toż samo z ust jego usłyszał. Wtedy to nastąpił rozkaz wygnania z kraju „niepoprawnego marzyciela" jakim nazwał pana Andrzeja car Aleksander II w listach do W. ks. Konstantego, ogłoszonych przez Al. Kraushara w roku ubiegłym w b. czasopiśmie „*Tydzień polski*".

W czasie wygnania Zamoyskiego, 19 września 1863 roku, nastąpił zamach na hr. Berga. Zarzucone z okna 4 piętra przez grono powstańców bomby Orsiniego, soldateska carska z rozkazu Berga zniszczyła cały dobytek ruchomy Zamoyskiego i mieszkańców jego domów. Pałac, dom dochodowy, ogród, place i dom od ulicy Św.-Krzyskiej, gdzie ongi żył i umarł Staszic, uległy grabieży, bez sądu i wyroku. Zagarnęły je władze najazdu, jako „wiekuistą naukę i przestrogę dla buntowniczej ludności Warszawy" jak brzmiał napis odnośny na murach bramy, dopiero z chwilą wskrzeszenia Polski usunięty.

* * *

Po pięćdziesięciu niespełna latach od zgonu Andrzeja Zamoyskiego, czcigodne jego prochy, zgodnie z testamentowem życzeniem wygnańca, wróciły do Warszawy, by spocząć w podziemiach kościoła Św.-Krzyskiego na zawsze.

W pamięci garstki współczesnych wielkiemu obywatelowi i patrjocie, która jeszcze między nami gości, odżyła pamięć męża, któremu nie było danem doczekać się zmartwychwstania tak gorąco miłowanej sercem i czynem—wolnej, niepodległej i zjednoczonej Ojczyzny. Lecz pamięć ta żyje i żyć będzie w pokoleniu obecnem i w pokoleniach następnych, jako nagroda należna nieodrodnemu potomkowi Wielkiego hetmana, Jana Zamoyskiego, i szeregowi statystów, uczonych, prawodawców i wielkich Polaków, w dziejach Polski, i noszących czcigodną nazwę: *Zamoyski.*

X.

DWIE RZEŹBY ZOFJI TRZCIŃSKIEJ-KAMIŃSKIEJ.

NAGROBEK RODZINY PRUSZKOWSKICH NA POWĄZKACH.

„POGANKA"—RZEŹBA W PARKU ŁAZIENKOWSKIM.

DWIE RZEŹBY ZOFJI KAMIŃSKIEJ.

Każdy plac i placyk miejski, szczególnie zaś niektóre partje naszych ogrodów proszą się o przyozdobienie ich i zamknięcie kompozycyjne dziełem artysty rzeźbiarza. Stare rzeźby w Ogrodzie Saskim, dzięki zabiegom Departamentu Sztuki zostaną w najbliższym czasie zupełnie odrestaurowane. Cały szereg artystów-rzeźbiarzy pracuje nad przywróceniem pierwotnego wyglądu tym zabytkom sztuki, którym groziła niechybna ruina. Starania i wysiłki ograniczają się, niestety, do odnawiania pamiątek, nic bowiem nowego dziś przedsięwziąć nie możemy. Naprzeciwko każdego planu i zamysłu wyrasta mur chwilowego braku środków i konieczność wzmożonych oszczędności. Pozostaje życie w sferze zamiarów. Pociechą w położeniu obecnem niechaj będzie ta świadomość, że w odpowiedniej chwili t. j. wówczas, gdy nadejdzie czas możności realizowania tych zamiarów, z łatwością odnajdziemy w twórczości naszych plastyków dzieła potrzebom wytyczonym zupełnie odpowiadające. Przykładem są dwie rzeźby Zofji Kamińskiej. Jedna z nich—„Poganka", znajduje się obecnie w Łazienkach. Druga—kompozycja monumentalna wzniesiona na grobie rodziny Pruszkowskich na Powązkach. Poczucie materjału, wielki zmysł architektoniczny, zarówno jak zdolności, idące w kierunku kompozycji, każą mieć na uwadze tę artystkę i pamiętać o niej, gdy zbliży się ów lepszy czas naszych możności. *Ż.*

MANJERY.

— Jakie uczucie ma człowiek, wysiadający na ląd po dłuższej morskiej podróży?

— Głupie.

Już się nie kiwa na wszystkie strony, posłuszny byle bałwanowi... Już się nie zatacza... Ale też jeszcze naprawdę nie stoi na nogach. Wszystko mu wiruje w oczach: maszty, kominy, domy, schody, portowe molo...

Tak, fatalne są takie stany przejściowe. Jedno się skończyło, drugie się na dobre nie zaczęło.— Próżnia.

. . . . . .

Czasy współczesne, czasy powojenne cechuje absolutny brak manjer.

Dawniej młody człowiek, będąc na balu, defilował przed kompanją honorową mam i ciotek, obcałowywał wysunięte ku sobie, straszliwe patyny. .

Od solennych ukłonów łamało go w krzyżach.

Pod bazyliszkowemi spojrzeniami starszych pań bladł i sztywniał do tego stopnia, że trzeba było aż dwu kadryli i dwu mazurów (nie licząc mnogich kruszonów i konjaków) — żeby okrzepł w sobie...

Dziś jest inaczej.

Młody człowiek wogóle nikomu się nie kłania.

A jeżeli się kłania, wykonywa to w sposób dziwny: mając ręce jak najgłębiej ukryte w kieszeniach, na ustach zasię — zastygły wyraz okrutnej wzgardy...

Dawniej, jeżeli panna upuściła chusteczkę, rzucało się wcwał pięciu radców dyrekcji T-wa Kred. Ziemskiego i piętnastu młodych szlagonów—żeby ten drobiazg podnieść.

Dziś, gdy upadnie nie chustka już, ale stara, siwa kobieta, wykwintna młodzież parska śmiechem.

Dawniej przesadzano się arcykomicznie w czysto zewnętrznych, dość zresztą głupich, oznakach czci dla kobiety.

Dziś przesadzamy się często w bardzo głębokich, jeszcze bardziej głupich oznakach... lekceważenia kobiety.

Obmowę karano dawniej doraźnie i dotkliwie.

Obecnie jestto jedna z najwyszukańszych form rozrywki towarzyskiej.

Paradoksu używano niegdyś oględnie, trafnie rozumując, że błyszczy tylko wtedy, gdy jest rzadki.

Współcześnie operują paradoksami nawet handlarze nierogacizny.

To wszystko świadczy o zaniku dawnych, utartych form życia.

Między innemi—o zaniku manjer.

. . . . . .

Na nowe manjery wypadnie poczekać kilka lat. Kto będzie miał odsiedzieć—odsiedzi, kto będzie miał zniknąć—zniknie radykalnie.

Po wykrygowanej galanterji i nieskorygowanej łobuzerji przyjdzie okres doskonałej, złotej serji.

. . . . . .

Wyobrażamy to sobie dosyć zwyczajnie.

Manjery nie są w istocie czem innem, jak refleksem altruistycznych uczuć, ożywiających społeczeństwo.

Gdy nowe pokolenie wczuje się w smak zbiorowego życia,—przestanie uwielbiać moralny boks — stworzy natomiast jakiś odrodzony Wersal.

„Obsada głowy" będzie zależała wówczas nietyle od materjału, z którego ci uszyto frak—ile od materjału, z którego masz zrobione—serce.

Zdzisław Kleszczyński.

150-ta ROCZNICA USTANOWIENIA KOMISJI EDUKACYJNEJ.

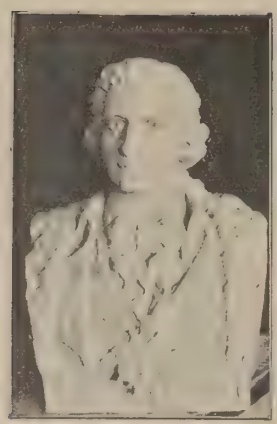
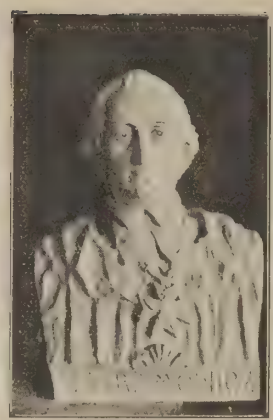
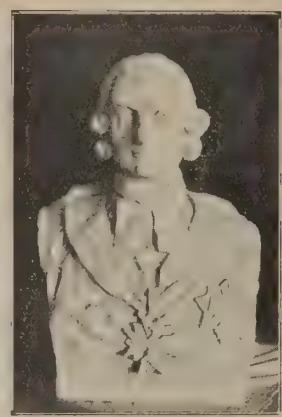
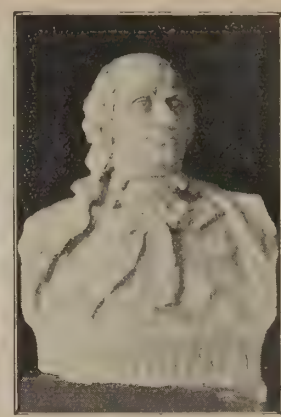

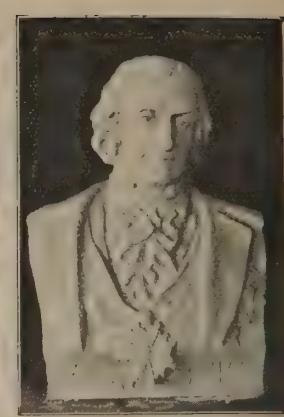

Artysta rzeźbiarz, Al. Borawski, wykonał na zamówienie Komitetu obchodu 150 rocznicy ustanowienia Komisji Edukacyjnej szereg popiersi najwybitniejszych członków tej Komisji, oraz Stanisława Konarskiego, które mają ozdobić aulę gimnazjum Wojciecha Górskiego.

ECHA WYBUCHU PROCHOWNI W CYTADELI.

Pogrzeb ofiar wybuchu w Cytadeli odbył się dnia 16 października przy licznym udziale reprezentantów rządu, sejmu, wojskowości, stowarzyszeń oraz nieprzebranych rzesz publiczności.

Fot. Marjan Fuks.

SPROWADZENIE ZWŁOK Ś. P. ANDRZEJA ZAMOYSKIEGO DO WARSZAWY.

Przed wagonem, w którym przewieziono zwłoki ś. p. Andrzeja Zamoyskiego z Krakowa do Warszawy, przemawia w imieniu tych, dla których wodzem duchowym był wielki patrjota polski, prezes Stow. Weteranów, Juljan Adolf Święcicki.

Kondukt, poprzedzany przez duchowieństwo z J. E. biskupem Gallem na czele, przeszedł z rampy kolejowej przez Aleje Jerozolimskie, Nowy-Świat i Krakowskie Przedmieście i zgromadził tłumy publiczności.

Fot. Marjan Fuks.

Przeniesienie zwłok ś. p. Andrzeja Zamoyskiego z górnego kościoła św. Krzyża do podziemi kościoła, Z prawej strony wieńce od rodziny Zamoyskich i sokołów.

Fot. Sarjusz-Wolski.

Trumnę ze zwłokami ś. p. Andrzeja Zamoyskiego niosą członkowie rodziny. Od lewej do prawej: Tomasz, Michał i Aleksander Zamoyscy, Andrzej Lubomirski, Konstanty i Jan Kanty Zamoyscy.

Z TEATRU.

Fot: St. Brzozowski.

Helena Sulima jako Sitania i Wł. Biegański jako Oberon w „Śnie nocy letniej" (Teatr Polski).

Grupa artystów z Zelwerowiczem i Maszyńskim na czele, przedstawiająca rzemieślników-aktorów.

Teatr Polski wystawił z dużem powodzeniem „Dzwonek alarmowy".
Od lewej do prawej: Walter, Perzyńska, Rdzawicz, Gorczyńska, Różycki, Gasiński.
Fot. J. Malarski.

Z TEATRU.

Ubiegły tydzień obfitował w premjery teatralne, z któremi wystąpiły niemal wszystkie sceny warszawskie. Nieprzeciętnem zdarzeniem w życiu teatralnem było wystawienie „Snu nocy letniej" Szekspira w teatrze Polskim.

Ciekawe ujęcie, znakomita reżyserja i gra artystów złożyły się na widowisko niecodzienne, jedne z tych, które się notuje w historji teatru.

Teatr Letni wystąpił z wyborną komedją znanej spółki autorskiej Hennequin'a i Coolus'a — „Dzwonek alarmowy", w której A. Różycki stworzył świetną sylwetkę starzejącego się lowelasa.

Stanisława Umińska w roli Puka.
Fot. St. Brzozowski.

Wyroby sztuki stosowanej Jana Augustynowicza.
Z wystawy w T. Z. S. P.

POMYSŁY ORNAMENTACYJNE JANA AUGUSTYNOWICZA.

W Zachęcie wystawiono szereg przedmiotów, jak łyżki, dzbanki, garnki i t. p. zdobione przez p. Jana Augustynowicza. Pomysł zdobniczy malowania olejnego rzeczy codziennego użytku i to takiego użytku, jak np. łyżka, nie ma żadnych widoków rozwoju i żadnej przyszłości. Pomijając zatem technikę zdobniczą p. Augustynowicza chcieliśmy zwrócić uwagę na talent dekoracyjny artysty.

Ornamentyka w oderwaniu od przedmiotów, które obecnie zdobi, bardzo zręcznie pomyślana i rozwiązana w kolorze, świetnie nadawać się może do dekoracji stałej z materjałem organicznie związanej, jak ceramika.

Dobrzeby było, gdyby p. Augustynowicz traktował przedmioty wystawione tylko jako projekty dekoracyjne, niezależnie od przypadkowego obecnego ich przeznaczenia i zastosowania.

WYSTAWA OBRAZÓW TYTUSA CZYŻEWSKIEGO.

Od p. Tytusa Czyżewskiego otrzymaliśmy szereg zdjęć z jego obrazów i artykuł przezeń napisany, a charakteryzujący jego działalność malarską. Stosując się do życzenia p. Czyżewskiego, trzy reprodukcje z jego prac i artykuł w całości zamieszczamy. Red.

Martwa natura.

Głowa.

Widok z aeroplanu.

W ostatnich czasach sztuka nasza przechodzi kryzys nowej epoki. Młodzi artyści nie zadawalając się studjowaniem z „natury" krajobrazów, typów lub naturalistycznych portretów, szukają nowych środków wypowiedzenia się—środków im przystępniejszych i nowszych jako wyraz. U nas w Polsce grupa artystów zwana „formistami" już od kilku lat usiłuje stworzyć nowy styl i nową epokę w sztuce polskiej. Do jednych z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku należy Tytus Czyżewski (znany zarazem poeta futurystyczny), którego wystawę obrazów oglądaliśmy w salonie artystycznym p. Cz. Garlińskiego w Warszawie. Wystawa ta, na którą składały się obrazy z różnych epok twórczości malarskiej Czyżewskiego są conajmniej dowodem żarliwej pracy i poszukiwań czysto malarskich. Madonny oryginalne, nieco w stylu ludowym, Chrystus na krzyżu jakby reminiscencja z Wita Stwosza, portrety lotników — widoki z aeroplanu, wreszcie bardzo oryginalnie pojęte martwe natury stanowią duży dorobek pracy i wysiłków czysto malarskich artysty. Wystawa cieszyła się niezwykłem zainteresowaniem i ściągała rzesze ciekawych widzów. Sztuka Czyżewskiego która dąży do wyeliminowania przypadkowości i anegdoty literackiej, jest poważnym trudem i pracą nad konstrukcją i wysokim stylem malarskim.

MUZEUM WOJSKOWE W POZNANIU.

Wnętrze Muzeum Wojskowego w Poznaniu.

Wielkopolskie Muzeum Wojskowe w Poznaniu powstało na miejsce byłego Muzeum Hindenburga. Pierwsze miesiące jego istnienia nie były niczem innem jak konserwowaniem dawnych niemieckich pamiątek z wyeliminowaniem oczywiście tego, co mogło drażnić oko polskiego widza.

Dopiero z chwilą uroczystego otwarcia tej placówki wojskowo-kulturalnej w dniu 25 października 1919 roku rozpoczęła się egzystencja tej instytucji jako polskiej naprawdę.

Narazie, jak zwykle, początki są trudne, więc też Muzeum Wojskowe, zaledwo wegetowało, dopiero od chwili, gdy zarząd jego przeszedł w ręce dwóch dzielnych jednostek, instytucja ta poczęła się bardzo szybko rozwijać i dzisiaj uchodzi w Poznaniu za jedną z najżywotniejszych. Niezależnie od jednej wielkiej sali, mieszczącej 14 poszczególnych działów, ilustrujących wypadki ostatniej wojny światowej, Dyrekcja Muzeum pracuje w obecnej chwili gorączkowo nad otwarciem stałej wystawy lotnictwa wojennego, prac inżynjerji i saperów, jak również oddziału uzbrojenia i artylerji, która to wystawa ma być otwarta uroczyście w dniu 27 grudnia r. b. (50-ta rocznica powstania grudniowego). W dniu tym zostanie też odsłonięty pierwszy historyczny, obraz przedstawiający „Apoteozę powstania grudniowego".

Dzięki ruchliwości dyrektora majora Liske i jego zastępcy, porucznika Tarczyńskiego, który jest duszą tej instytucji, frekwencja Muzeum wojskowego w Poznaniu wzrosła 50-krotnie w stosunku do pierwszych lat jego istnienia i rokuje bardzo wielkie nadzieje na przyszłość, pomimo braku własnego budżetu i powstałej stąd walki materjalnej.

Po otwarciu stałej wystawy wojennej, Dyrekcja Muzeum już zawczasu myśli o otwarciu w górnej sali drugiego piętra, 20-tu pokoi z górnem oświetleniem, w których zamierza ulokować wystawę retrospektywną, odnoszącą się do historji polskiej wojskowości.

WYCIECZKA DZIENNIKARZY NA GÓRNY ŚLĄSK.

Grupa uczestników wycieczki.

W celu zaznajomienia się z przemysłem górnośląskim udała się na Śląsk wycieczka dziennikarzy polskich, złożona z 25 osób.

Przyjmowani przez posła Korfantego, po złożeniu w Katowicach wieńca na grobie poległych powstańców, dziennikarze udali się do Chorzowa dla zwiedzenia państwowych zakładów azotowych i elektrycznych.

Następnie wycieczka udała się do Królewskiej Huty, którą zwiedzono szczegółowo pod przewodnictwem inżynjerów specjalistów. Wojewoda śląski i marszałek sejmu śląskiego dołożyli starań, by dać dziennikarzom możność obznajmienia się z naszym przemysłem w jaknajszerszym zakresie, rozumiejąc konieczność współpracy prasy z przemysłem.

Wycieczka dziennikarzy zbiegła się z wycieczką przemysłowców wiedeńskich, którzy przybyli do Katowic dn. 29 września z min. handlu Schürfem na czele.

Dziennikarze w Hucie Królewskiej w ubraniach górniczych, przeznaczonych dla zwiedzających kopalnię.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 37)

Zrozpaczony burjat zwrócił się wreszcie do policji, choć czuł do niej nieprzezwyciężoną odrazę. Wskazano mu na grubego siwego jegomościa z ospowatą, czerwoną twarzą i srebrnemi okularami na końcu kartoflanego nosa.

— Jak pan mówi?... Jak się nazywają?... —spytał urzędnik, patrząc na młodzieńca powyżej okularów.

— Władysław Korczak i Maciej Przygoda!... Jeden młody z szramą na policzku, drugi starszy, rosły, barczysty z jasnemi włosami...

— Dużo tu bywa rozmaitych, ale takich, jak pan mówi... Władysławów Korczaków?... Takich nie było!... Nie pamiętam?... Co oni, żołnierze, czy „bieżeńcy"?...

— Żołnierze, z przybocznej straży barona...

— No to pewnie są w koszarach?...

— Niema.

— Cha, jak niema, to może... uciekli!... Zdarza się... dezerterują...

Patrzał uważnie na zmartwioną i zmieszaną twarz burjata.

— Jak więc nazwiska?... My zanotujemy i każemy szukać... Gdzie mamy uwiadomić, jeżeli na coś trafimy?...—spytał urzędowo.

— Stawka Namyń Dordża Nojona, księcia Choł-cha, choszuna Na-łaj-cha! na wschodniej stronie miasta... — odrzekł z naciskiem Szag-dur.

— Słyszałem, słyszałem... Owszem, zaraz przyślemy wieść... A może panby sam zajrzał, bo z tymi gońcami, to rzecz niepewna?!

— Dobrze, przyjdę niedługo a tymczasem raz jeszcze pójdę do koszar, może tam już są...

— Tak, tak!... Najlepiej do koszar!...— przytaknął stary.

Jeszcze Szag-dur nie zdążył wyjść z sali, już Biełkin pędził do Wołkowa.

— Są na tropie... Trzeba ich co prędzej przenieść z naszego więzienia. Najlepiej wysłać z Urgi...—raportował naczelnikowi.

Wołkow pogładził swoją czukocką, stożkowatą łysinę i zamyślił się:

— Czy nie lepiej wypuścić tych włóczęgów?... Baron się wścieknie, jak się dowie!...

— Po co ma się dowiedzieć?... Przecież oni tu inne nazwiska podali, a my wiemy, że mają inne... Dowie się, jak już będzie po wszystkiem... A wtedy: złoto, drogie kamienie ze zdobyczy przebłagają go... Dużo ich oni z tego spalonego miasteczka wynieśli... Sami się przyznali... Zatopili ich na naszym „priisku"... Już jabym ich wyśledził, gdyby nie te Mongoły, co nas przed czasem zabrały... Teraz ich, hultajów, tu przycisnąć; dobrze przygrzać, żeby się przyznali bez utajki... Potem ich na smycz i na miejsce... Niech przejdą, jak my szli, przytroczeni do końskich ogonów... Sam z nimi pojadę... Wyśpiewają!... Tam z nimi będziemy my tylko i las... Są sposoby... Moja już w tem głowa... Gdyby jeszcze siostrunię zahaczyć za zioberko...

— Co to za siostrunia?...

— A no ta „święta mongolska"!... A ładna, szelma, przyznać trzeba!... Cha, cha!...— rozśmiał się stary, obrzucając nieznacznie badawczem spojrzeniem mieniącą się wewnętrzną burzą twarz naczelnika.

— A jeżeli ty wszystko łżesz?... Pamiętaj, stary, że ty mi wtedy zaśpiewasz nie swoim głosem, oj, zaśpiewasz... — rzucił Wołkow groźnie.

— Ja łżę?... Poco mam łgać?... Niby to ja nie wiem, co to znaczy łgać Waszej Dostojności... Jak Boga Ojca, jak Carja Batiuszkę kocham!... Świadków postawię: Mikitę, Wasyla... całe nasze towarzystwo!... Wszyscy w jeden głos zaświadczą, że skarby przynieśli i zakopali...

— Już dobrze!... Każ uwięzionych, jak noc zapadnie, przeprowadzić tu do policji i umieść w ciemnicy... Rozumiesz?...

— Rozumiem. Słucham!...

Wyprostował się, zasalutował niezgrabnie po wojskowemu i odszedł pośpiesznie. Wołkow zagłębił się natychmiast w papierach i zadzwonił na dyżurnego, który z trudem wstrzymywał cisnących się za drzwiami interesantów.

— Któż tam teraz?...

— Teraz konsul japoński...

— Proś!...

Wstał, czekał, niby to zajęty czytaniem, napuszony, wyniosły, pełen poczucia swej władzy i łaskawości...

Japończyk wszedł, spojrzał nań swemi bystremi oczkami i uśmiechnął się krzywo.

Po chwili Japończyk wychodził dumny i zadowolony a Wołkow, nisko kłaniając się, odprowadzał go do drzwi.

Szag-dur w towarzystwie zaufanego sługi, Bain-dzir-gil'a krewnego Dordża Nojona, przeszukał całe miasto, był w każdej dzielnicy, nie wyłączając najnędzniejszej, gdzie mieszkali w brudnych, oberwanych jurtach trędowaci żebracy, handlarze wódką i mongolskie prostytutki i dokąd szanujący się obywatele zachodzili tylko pod osłoną ciemnej nocy. Rozpytywał się wszystkich spotkanych na drodze Mongołów, lecz nie otrzymał żadnych wskazówek, oprócz niejasnej wzmianki, że podobnych „orosów" widziano w towarzystwie uzbrojonych mongolskich żołnierzy. Przeprowadzano jednak wówczas tylu jeńców rosyjskich po ulicach Urgi, że Szag-dur nie zwrócił na wiadomość uwagi, pewny, że zaginieni nie mogli być zaaresztowani ani przez wojsko, ani przez policję.

— Ktoby śmiał?..—uspokajał go Bain-Dzirgil—aresztować ich, wiedząc, że są pod opieką samego „Dziań-dziunia"!

Tajemniczość wypadku trwożyła coraz bardziej Szag-dura, choć nic nie mówił.

— Może ich zabito, obrabowano i ciała wywleczono w step... Ale to niemożliwe we dnie!... I nie daliby się tak łatwo... Nie tacy!... —rozważał.—Chyba, że istotnie uciekli... Nie zechcieli służyć w wojsku mongolskiem... Mają wojny dosyć... Ale w takim razie... nie porzuciliby przecie Hanki... Może do niej poszli?...

Po sprawdzeniu jeszcze raz w policji, czy ich czasem nie znaleziono, po zapytaniu ponownem w koszarach, wracał do stawki Dordżi Nojona z zamiarem udania się natychmiast z powrotem do stawki Geriltu Chanum, gdzie Hanka została wraz z lotnikiem. Posłał Bain-Dżirgila po konia i ze słodkiem biciem serca rozmyślał, że po paru godzinach szalonej jazdy zobaczy ukochaną dziewczynę, gdy zbliżył się do niego obdarty Chińczyk, wręczył skręcony w kulkę papierek i oddalił się pośpiesznie. Szag-dur rozwinął kartkę i z trudem odczytał blady napis ołówkiem: „Jesteśmy osadzeni w więzieniu policyjnem, nie wiemy za co... Władysław—Maciej"...

— W jakiem więzieniu? Gdzie, co?...— krzyknął, czerwieniąc się z gniewu, burjat. Chciał rozpytać Chińczyka, pobiegł za nim, lecz ten znikł w wąskich krętych przejściach między domami i jurtami. Wracając, Szag-dur namyślił się i nic nie powiedział o kartce Bain Dżirgilowi, kazał mu tylko konia z powrotem do słupa przywiązać.

— Nie pojedziesz?...

— Nie pojadę. Słuchaj, gdzie mieszka Un-cyń Dordżi?...

— Un-cyń Dordżi, rzecz prosta, mieszka w klasztorze. Gdzież może mieszkać znakomity lama?... Ale go tam pewnie teraz niema, gdyż jest sekretarzem Dżał-chan-cy Hutuchty i siedzi przeważnie w jego namiocie...

— Pójdziemy tam!...

— Racja... Sam chciałem ci to poradzić, widząc jak się martwisz... Dżał-chan-cy... wszystko może, co on chce to się staje... Każe lamom szukać i w lot znajdą... Przed lamami w całym kraju proszek piasku się nie ukryje... Jastrzębie mają oczy i są wszędzie...—gadał stary, idąc obok Szag-dura.

Ten nie słuchał go, zajęty nowemi myślami... Dlaczego ich aresztowano? Kto miał w tem interes?... Piszą, że policja?... Po co? na co? Ale widocznie policja chce utrzymać wszystko w tajemnicy, inaczej daliby mi znać... Władka nie można nie poznać z tą jego blizną, a Maciek zupełnie do innych niepodobny?... Ale skoro nie chcą powiedzieć, to mają w tem interes, żeby ich nie znaleziono!... Co w tem jest?... Co się w tem kryje?... Może i Hankę porwali?... Trzeba się śpieszyć!...

— Chodźmy, chodźmy!...—przynaglał starego.

— Podróżujemy jak zając z jeżem!...— śmiał się Mongoł. — Teraz wszędzie i zawsze wszyscy chodzą piechotą. Za moich młodych lat w tej samej stawce z jurty do jurty konno jeżdżono!... Były czasy i były konie!... Miałem takiego wierzchowca, co bez znaku mnie rozumiał, wprost myśli zgadywał... — gadał stary.

Szag-Dur słyszał to już wielekroć razy i głowę miał czem innem zajętą, przez grzeczność jednak pomrukiwał od czasu do czasu, wyrażając przeważnie zdziwienie lub pochwałę.

— Tak, tak!... Były czasy... Już jesteśmy niedaleko... I Namyń Dordża Nojon tam jest... Widzę jego konia!...

(*Dcn*)

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

16)

Majorowa siedziała bezradna, krótkowidząca. Naraz zaczęła:

— Czy te nowe kapelusze, które teraz noszą...

— Co mnie to obchodzi! Ja nie jestem żoną ministra. Ja muszę uważać, żebym mogła koniec z końcem związać, przy tej nędznej płacy mego męża.

Wtedy inżynjer się zerwał. Zaczął biegać po pokoju i całkiem głośno gwizdać.

— Tu jest porządny dom—krzyczała inżynjerowa.—Chcesz gwizdać, to idź do szynku.

— Dobrze, pójdę do szynku—oświadczył inżynjer i wybiegł.

Majorowa poszła za nim do przedpokoju. Tam dogadywała mu zdaje się jak mogła, ale nie słyszało się jej głosu, tylko to nieznośne gwizdanie.

Gwizdał, jak warjat, jakgdyby dlatego gwizdał, że musi. Robił taki hałas, jak zepsuty budzik.

Naraz wszystko ucichło. Majorowa ukazała się znowu w pokoju. Była strapiona, nie wyglądała teraz wcale na to, że umiała kiedyś tańczyć.

— Nie dał się wstrzymać—zaczęła, kiedy Leopoldyna zniknęła, płacząc—niestety, to bardzo niedobrze pozwolić mu pójść wieczorem do restauracji. Ty wiesz dlaczego.

— Wiem. Bo dopiero jutro rano wróci.

Majorowa miała swą humorystyczną minę.

— Mój kochany—rzekła—twoje odpowiedzi są tak proste.

Po chwili Jakób rzekł:

— Na miejscu pani inżynjerowej byłbym szczęśliwy, że zapomniał o swoich podróżach.

— Masz rację.

Oboje nie mówili jakie mieli obawy.

Ale następnego dnia inżynjer siedział zdrów przy śniadaniu.

Opowiadał, żeby zrobić przyjemność żonie:

— Wszyscy się śmieją z próżności burmistrza, mówią, że nie mówi teraz inaczej o Marjannie tylko „przyszła ekselencja".

Leopoldyna miała jeszcze czerwone napuchnięte oczy, ale powiedziała, uśmiechając się przyjemnie:

— Nie mówiłam? Skandal! Ten karjerowicz sprzedał ją poprostu.

— W każdym razie—zauważyła majorowa—wszyscy oddają wizyty u burmistrzów.

— I ty także musisz tam pójść—powiedziała Leopoldyna skwapliwie do inżynjera — czy słyszysz? Bezwarunkowo, to zanadto ważne dla twej przyszłości.

Inżynjer popatrzył na nią bezradnie.

— Co to jest dzisiaj?—zapytał.

— Poniedziałek!

Jakób postanowił załatwić tę sprawę listownie. Zrobił to trochę później krótko i sucho. Nie miał zamiaru spotkać się z Marjanną. Bał się jej odkąd ją widział w kąpieli.

Inżynjer przeciwnie oświadczył, chociaż „wizyty, to była jego śmierć":

— Dobrze, a zatem w piątek.

XI.

We środę inżynjer znikł.

— Ładna historja—rzekł dr. Hell, lekarz i przyjaciel domu.

— Tak, to przyszło teraz bardzo nie w porę—wtrącił Jakób.

Bo biedny inżynjer, krótko przed swą ucieczką, opowiadał mu z dziecinną skruchą i otwartością o tych szarych trupach papierowych w urzędzie.

Rada chłopca była następująca:

— Niech mnie pan weźmie jednego wolnego popołudnia, kiedy nie jestem w szkole, do swojej kancelarji. Tam sobie obejrzymy dokładnie te śmiecie i zrobimy spis. To najważniejsze, zobaczy pan... Kiedy to zrobimy?

— W sobotę—odpowiedział inżynjer.

A teraz był już za wszystkiemi górami. Ale dr. Hell, który nie znał istotnego stanu rzeczy, zauważył ironicznie:

— Mnie się zdawało, że to przychodzi zawsze nie w porę?

— Skąd pan doktór dowiedział się o jego zniknięciu?—spytała majorowa.

— Od jednego pacjenta, a on słyszał to znowu od kogoś innego.

— To bardzo głupio—złościł się Jakób—teraz rozgadają to wszyscy po całem mieście. Tak samo jak wtedy na wsi. Jak wróci, będzie musiał się znowu przenieść gdzieindziej.

— Przedewszystkiem niech tylko wróci—westchnęła majorowa.

Dr. Hell miał taką twarz, jak pucołowate aniołki, które na renesansowych obrazach unoszą się w niebieskiem przestworzu, grając przytem na rozmaitych instrumentach. Był ulubieńcem rodzin, bo przynosił ze sobą pogodę i wesele do pokoju i wiedział po pierwszem spojrzeniu na chorego czego mu brak. I osiąga dobre rezultaty... „tylko przypadkowo", jak twierdził Jakób.

A co się tyczy naukowego znaczenia d-ra Hella, Jakób myślał o niem długo dość sceptycznie. Miał wrażenie, że naprawdę uczeni lekarze przez jakiś czas powinni milczeć i wahać się zanim powiedzą: biało albo czarno, a w końcu zgodzić się na szaro. Dr. Hell, przeciwnie, był na tyle niedystyngowany albo popędliwy, że zaraz w pierwszej chwili miał już swoje zdanie.

On jest conajmniej bardzo młody — myślał Jakób—to się zaraz widzi. Jego diagnozy można brać tylko „cum grano salis".

Doktór miał rzeczywiście mało co ponad trzydzieści lat, a jego szybkie ruchy i decyzje były jeszcze o wiele młodsze. Pomimo to miewał rzeczywiście dobre rezultaty. Nie da się zaprzeczyć, że inżynjer przez tych kilka lat w stolicy tylko dlatego się tak dobrze trzymał, że miał d-ra Hell jako doradcę, który tak uspokajająco na niego działał.

Dr. Hell biegał zirytowany po pokoju i myślał:

— Policji nie można alarmować, toby było nierozsądne — mówił—poco jeszcze więcej zwracać uwagi? Narazie nie można nic innego robić, tylko czekać cierpliwie.

— No tak—zauważył Jakób, który słuchał niespokojnie—ale inżynjerowa ma spazmy.

Wtedy dr. Hell pobiegł do inżynjerowej.

O tak, w domu była duża zmiana, ale Jakób nie miał niestety wiele spokoju do nauki. Szczęściem było, że uczył się tak prędko i tak zadziwiająco łatwo. W szkole dostawał całkiem dobre stopnie. Tylko z Hipolitem musiał się raz pogniewać na dobre. Pokazało się, że ten niemożliwy człowiek słyszał już o inżynjerze.

— Macie zmartwienie—zaczął.

Wtedy Jakób złapał go za kołnierz.

— Gdzie to wyszpiegowałeś? — powiedz w tej chwili, albo...

— Burmistrz mówił—tłumaczył się Hipolit, prawie płacząc z czystej niewinności.

— A kto opowiadał burmistrzowi?

— Mój Boże, ja nie wiem. Puść mnie, czy ja jestem temu winien?... Idź do niego i spytaj go sam.

Wtedy Jakób zamilkł, bo nie był w stanie zobaczyć Marjanny.

A Hipolit mówił dalej, trochę odważniej, bo spostrzegł zmieszanie Jakóba.

— Wogóle dziwnem jest, że się u nas nie pokazujesz, kiedy już najwyższe osobistości były, żeby złożyć powinszowania burmistrzowi. On się bardzo gniewa na ciebie...

— Pisałem do niego.

— Tak, z powodu twego biletu wściekł się jeszcze bardziej. Powiedział, że to śmieszne, jeżeli taki młody chłopiec ośmiela się gratulować listownie, że to jest z twojej strony rażąca niewdzięczność i nie wiem co...

— Niech będzie. Zabieraj się. Basta.

Ale gryzło go to, a nawet wprawiało w gniew i najgwałtowniejsze oburzenie. Czy było na świecie coś komiczniejszego nad burmistrza? A co miało się powiedzieć na tych głupców, którzy nic innego nie mieli do czynienia, jak wtrącać się w cudze sprawy? Naprawdę, że Jakób miał znowu raz to uczucie, że był jedynym poważnym i myślącym człowiekiem, z wszystkich, których znał.

Nie, do burmistrza nie poszedł. Zresztą miał coraz mniej czasu. Bo niedługo w życiu jego zaszły nowe komplikacje.

A kiedy znowu raz przypadała zapłata miesięczna za Jakóba, zapytał inżynjerowej czy już otrzymała pieniądze?

Odpowiedziała nieco szorstko:

— Nic nie dostałam.

To było conajmniej dziwne.

— Ostatnim razem moja matka zapłaciła punktualnie.

— Tak, ostatnim razem przysłała pieniądze mojemu mężowi.

Ach, tak—myślał Jakób, nie jej, tylko jemu.—Zaczął myśleć nad tem.

— Może i teraz tak uczyniła—powiedział—i zaadresowała do urzędu. Pójdę się tam dowiedzieć.

Wtedy inżynjerowa powiedziała już dużo przyjemniejszym głosem:

— Widzisz, to dobra myśl. To jest wprawdzie drobnostka... ale w każdym razie... Jeżeli chcesz zadać sobie ten trud...

Jakób chciał zadać sobie ten trud, bo byłoby mu nieznośnem żyć na koszt inżynierowej.

Ale w urzędzie usłyszał coś, co go wprawiło w nieopisane zdumienie: Starszy, dość nędznie ubrany kancelista powiedział mu głosem pełnym aktorskiego patosu:

— Pan przychodzi od rodziny naszego kochanego pana inżynjera? Bardzo się cieszę. My wszyscy mamy dla niego najgłębszy szacunek.

— Tak.

Roztargniony Jakób przeszedł nad tą pochwałą do porządku dziennego.

— Chodzi tu o przesyłkę pieniężną dla inżynjera—zaczął znowu.

— Dla pana inżynjera? U nas niema nic—rzekł—ale cieszę się, że mam sposobność powiedzieć panu... Panno Emiljo, czy nie przyszedł jaki list dla pana inżynjera?

— Nie.

— ...powiedzieć panu, że my mu zazdrościmy... że może przelewać swą krew dla ojczyzny...

— Pan się myli.

— O, może pan mówić zupełnie otwarcie... my wiemy to oficjalnie. Na swoją prośbę otrzymał na to pozwolenie urzędowe.

Jakób jeszcze ciągle nic nie rozumiał. Zmieszany schodził z góry. Po drodze spotkał jakiegoś pana w futrze, który, dysząc ciężko, ciągnął się po schodach.

Burmistrz. Pogroził Jakóbowi palcem.

— Mam z tobą obrachunki... Czekaj no, czekaj. Co się z tobą dzieje? Ja idę do mego zięcia, do jego ekselencji... ale ty? Co słychać? To znaczy... jeszcze nie zięcia, ale... To jest już całkiem pewne... najpóźniej w jesieni.

— Niestety, nie mam czasu.

— Czasu nie ma! Widzicie go—najserdeczniejsze życzenia! Na bilecie wizytowym! A teraz nie ma czasu. Najwyżsi dygnitarze składali mi życzenia osobiście... A on... Ile ty masz lat? Czternaście.

— Piętnaście, ale ja już muszę iść do domu.

— Ach, ten twój opiekun!... Po co, pyam po co?... Jeżeli się jest mężem i ojcem... Ja wiem wszystko! Od niego... On mu przecież dał zezwolenie... Dlatego, że był raz oficerem... że go nie potrzebują jako urzędnika.

— Co pan mówi? Więc to prawda? Inżynjer nie jest chory jak zawsze, tylko sam się zgłosił do służby wojskowej?

— To ty nic nie wiesz?—dziwił się burmistrz.—O, o! Ty nic nie wiesz. Chory czy nie chory, jak się weźmie. Z początku poszedł tylko tak, aby iść. Jak dawniej. Do następnej wsi, pisał mu...

— Kto, komu?

— No, generał mojemu zięciowi... To znaczy: on nie jest moim...

— Co za generał?

— Ty jesteś straszny... Nie przerywaj mi ciągle... myśli mi się mieszają... Teraz już sam nie wiem w jakim porządku wszystko się odbyło... Mnie się zdaje, że zeszedł się z oficerami, ze swymi dawnymi kolegami... Za żadną cenę nie chciał tu napowrót wracać... Bał się... bał się wracać do biura.

— Ja wiem. Do tych szarych trupów.

— Co? Mnie się wydaje, że ty już także warjujesz. My wszyscy teraz... Szare trupy? Cóż ty pleciesz do djabła! Ale wracać nie chciał... Chciał wymaszerować ze swoim regimentem... No tak, a teraz jest gdzieś... w jakiejś bitwie... to znaczy...

— Dlaczego do nas nie napisał?

— To mnie nic nie obchodzi, ja opowiadam tylko to co wiem... a wiem to od jego ekselencji... Bo to wiesz, jeden generał wstawiał się za nim... Bo minister musiał dać urzędowe pozwolenie. I... co to ja chciałem jeszcze powiedzieć...

— Inżynjerowa znowu dostanie spazmów —przerwał mu Jakób.—Muszę iść zaraz do niej, żeby mieć to już poza sobą.

— Spazmów?

— No tak. Cóż w tem dziwnego? Niech mnie pan nie zatrzymuje, bo ja ją muszę zaraz pocieszać.

— A do mnie nie przyjdziesz?

— Kiedyś, później.

— Naturalnie, później, znam to! Czy przyrzekasz święcie? Słowo?

— Tak, słowo. Adieu!

W domu majorowa otworzyła mu drzwi.

— Jakóbie—powiedziała cicho—jeżeli nie znalazłeś w biurze pieniędzy od Eugenji, to lepiej zamilcz o tem. Tymczasem ja dam tę drobnostkę, rozumiesz? Niech się Leopoldyna tem nie irytuje.

— Rozumiem, ale... to jeszcze nie wszystko. Ja muszę w tej chwili iść do inżynjerowej, żeby ją pocieszać.

— Na miłość boską—przeraziła się majorowa—jeżeli się coś złego stało, opowiedz mnie najpierw. Siądź sobie spokojnie tu przy stole. Tu jest twoja kawa, a tu list od twojej matki.

— Od Eugenji? —Jakób najpierw popatrzył skąd był nadany.

— Montreux. Hm, jest w Montreux.

Potem zdarł szwajcarską markę, bo jeden w jego klasie zabawiał się takiemi głupstwami.

— Mów, mój kochany—nagliła majorowa i mrużyła oczy, które tak wyglądały, jakgdyby nosiła okulary.

Jakób załatwiał trzy rzeczy naraz, pił kawę, czytał list Eugenji i opowiadał majorowej, co słyszał o inżynjerze.

Kiedy już był ze wszystkiem gotów, zobaczył ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że majorowa płakała. Wtedy chciał już powiedzieć:

— Co się stało, to się stało. A z płaczu ma się tylko ból głowy i czerwone oczy.

Ale w sam czas sobie przypomniał, że w tym wypadku to, co nazywał „pocieszeniem" nie było potrzebne. Bo majorowa należała do rozsądnych ludzi. *(Dcn)*

PORADY KOSMETYCZNE.

Loli. Piaskiem Séguinaud'a wkrótce pozbędzie się pani wągrów i gęsiej skórki.

Stefanji ze Lwowa. Tylko Tolem masować, bo zmarszczki i kurze łapki wkrótce znikną, zaś aby cera była świeża, gładka i delikatna, to na noc smarować linimentem Alta.

Zosi z Elektoralnej. Czerwoność rąk z odmrożenia wyleczy Zosia szybko preparatem Japońskim „Togo" i prasówkami elektrycznemi, bliższych objaśnień, porad i wskazówek udzielam osobiście w moim zakładzie kosmetycznym, Niecała 5, od 2—7.

Kamili. Eos i tylko Eos powstrzyma wypadanie włosów i pobudzi je do porostu. Zaś na czerwoność nosa stosować preparat „Triumf" a wkrótce czerwoność zniknie.

Joasi i Andzi. Tują smarować, to piegi znikną.

Wszystkie środki — tylko wartościowe —kompletuję i dostarczam Sz. pren. i czyt. „Tyg. Illustrowanego". Listy adresować: Warszawa, zakł. leczniczo-kosmetyczny Klimeckiego, Niecała 5.

Klimecki.

Nici i taśmy D·M·C są do nabycia we wszystkich sklepach galanteryjnych i robót ręcznych.

DLA ZAPOBIEŻENIA KATASTROFOM NA KOLEJACH ŻELAZNYCH...

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Widok częściowy z ul. Granicznej fabryki sygnałów dla kolei żelaznych „C. Fiebrandt i S-ka" T. z. o. p. Bydgoszcz-Okole.

Składy i widok z tyłu warsztatów stawidłowych fabryki „C. Fiebrandt i S-ka . . .

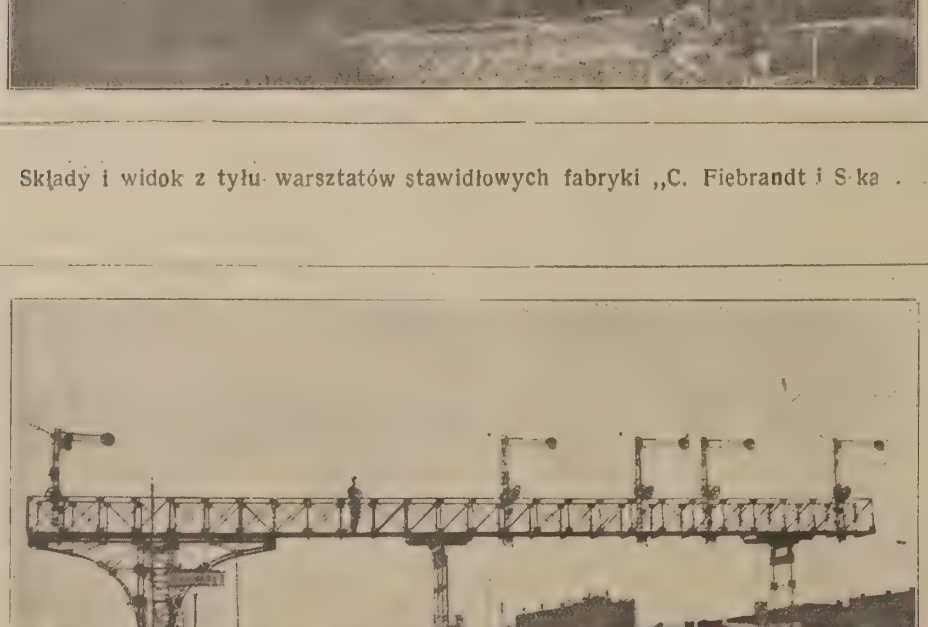

Most sygnałowy na stacji „Toruń-Mokre".

Niewyczerpany w pomysłach umysł lud wciąż niezmordowanie pracuje nad tem, żeby r bezpieczeństwo dla życia ludzkiego w obrębie p sługiwania się kolejami zmniejszyć do minimu Ku temu celowi służą rozlicznego systemu sygn ły, przeróżne urządzenia centralizacji zwrotn specjalnie skonstruowane rogatki drogowe przejazdach i t. d.

Wobec tego zaś, że posługiwanie się w dziedzinie siłami ludzkiemi jest i nieekonomic i przedstawiające mało gwarancji dla bezpiecz stwa, technika nowoczesna wciąż wytrwale dą w tym kierunku, żeby wszystkie tego rodz urządzenia ochronne w obrębie ruchu kolejowe o ile można najbardziej celowo zmechanizow a ilość personelu, obsługującego stacje, a zwła cza owe ochronne sygnały, zwrotnice i t. d. zmni szyć do minimum...

W tej dziedzinie wytworzył się też osob i bardzo poważny przemysł, którego wytwórcz dla całości aparatu kolei żelaznych jest niesłyc nie ważną i naprawdę nieodzowną.

Nawiązując do tego, chcę tu właśnie p tej sposobności podkreślić okoliczność ogrom szczęśliwą, dzięki której, wraz z odzyskani przez Polskę zaboru pruskiego, w granicach znalazła się fabryka, która specjalnie tego rodz urządzenia ochronne dla potrzeb kolejnictwa n mal monopolowo produkuje.

Jest nią firma:

C. FIEBRANDT i S-ka
Fabryka urządzeń ochronnych dla kolei żelaznych w Bydgoszczy na Okolu.

Powstała ona w roku 1864 z bardzo skro nego warsztatu mechanicznego. Prowadzona dnak bardzo sprężyście, z biegiem czasu wyro ła się na imponującą instytucję fabryczną, któ ranga w kraju tak wybitnie przemysłowym Niemcy, była zawsze notowana bardzo wysoko.

Z historji jej nader ciekawego rozwoju w to zaznaczyć, iż w roku 1900 przeszła ona z założyciela w posiadanie trzech największych fi tej gałęzi techniki w Niemczech, t. j. „Siem i Halske" w Berlinie, „Stahmer" w Osnabrt i „Jüdel" w Brunświku. Od tego czasu zakł zreorganizowany i postawiony na nowoczes stopie, doszedł wnet do ilości pół tysiąca robot ków, a jego bardzo pomysłowe lekkie i pros konstrukcji sygnały i t. p. urządzenia ochron zyskały, rzec można, w całym świecie sławę n zastąpionego „typu Fiebrandt"...

Ostatnia wojna światowa cofnęła nie wstecz działalność tej wytwórni, z chwilą jedn gdy znalazła się ona pod dachem wolnej i zm twychwstałej Polski, rozwój jej począł szybko wracać do dawnej świetności, ba, nawet rokuje przewyższenie. Mimo odcięcia od dawnych źró surowca i półfabrykatu i mimo początkowy w 1920 i 1921 roku trudności natury finansow fabryka, wsparta pomysłowością techniki polski przy bardzo troskliwem współdziałaniu z nią n czelnych władz kolejowych, a przez administra polską przytem zreorganizowana, stanowi no

wód, iż t. zw. „wyższość niemieckiej kultury zemysłowej w jej zestawieniu z polską" należy ż raz stanowczo złożyć do rupieci lamusa przetków.

Pracując dziś wyłącznie dla polskich kolei ństwowych, fabryka „C. Fiebrandt Tow. z ogr. or. w Bydgoszczy" pod sprężystem kierownictwem d-ra inż. Michała Czerskiego, wykonała szereg nowych konstrukcyj, wśród których *chéval de taille* stanowi najnowszy polski oryginalny system aparatów stawidłowych do centralizacji wrotnic, oraz sygnały opracowane według pomysłu i wskazówek inż. Zazuli, naczelnika wydz. elektrotechn. M. K. Z. Równie pomysłowym okazał się sygnał nastawiany elektrycznie (prądem abym...) pomysłu inż. Segeta, dyrektora wydz. elektrotech. Dyrekcji Warszawskiej. W obu tych konstrukcjach, jako o samym pomyśle technicznym, jakoteż o ich wykonaniu przez bydgoską firmę, rzeczoznawcy i naczelne władze kolejowe wyrażają się z najwyższemi pochwałami.

Jest do przewidzenia, iż teraz rozpocznie się nowa pomyślniejsza era w rozwoju fabryki, która poza tem jest słuszną dumą tak ważnego centrum przemysłowego, jakim jest bezsprzecznie Bydgoszcz.

Warte są obejrzenia jej wspaniale pod względem technicznym pobudowane pomieszczenia fabryczne, zajmujące przestrzeń 4200q m. z ogólnej zajętej pod fabrykę przestrzeni, która wynosi 5.000q m. i mieści się na Okolu, tuż u wylotu ul. św. Trójcy.

Dom mieszkalny dla robotników fabryki „C. Fiebrandt i S-ka" przy ulicy Berlińskiej.

W tej chwili zakłady te zatrudniają 300 robotników, a jak ważną jest ich produkcja, wystarczy nadmienić, iż dziś jeszcze zarząd alzacko-lotaryńskich kolei pokrywa wiele zapotrzebowań swego kolejnictwa w firmie Fiebrandta, co szczęśliwie bardzo się pokrywa z naszym aljansem polsko-francuskim...

Logiczna siła rozwoju tych zakładów winnaby w przyszłości kierować ich produkcję na rynki ogólno-europejskie.

Można nie wątpić, że po tej właśnie linji pójdą też najbliższe zamierzenia naszej polityki gospodarczej po uzgodnieniu zresztą w tym kierunku postulatów Min. Kol. żelaznych oraz Min. dla Handlu i Przemysłu.

Inż. M. S.

Widok ogólny zakładów przemysłowych Tow. Akc. H. Loehnert w Bydgoszczy.

FABRYKA BEZ KONKURENCJI...

(*Z cyklu „Bydgosko-pomorski przemysł i handel*).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Wolno istotnie tak nazwać i to bez cienia przesady fabrykę, której Firma brzmi:

Tow. Akc. Bydgoskich Zakładów Mechanicznych HERM. LOEHNERT w Bydgoszczy.

Założone jeszcze w r. 1868 przez Hermana Loehnerta w skromnych początkowo ubikacjach przy ul. Warmińskiego i przeniesione kolejno na ulicę Dworcową, dziś mieszczą się te zakłady na olbrzymiej stosunkowo przestrzeni, bo liczącej 2,000,000 m.², przyczem sama przestrzeń fabryczna przy ul. Bema przedstawia teren 40,000 m·² wraz

Biura zarządu i administracji.

z bocznicą kolejową i to zapełniony całym kompleksem wspaniałych budynków, których wygląd i wewnętrzne urządzenie prawdziwy zaszczyt przynoszą nowoczesnej technice.

W pierwszym okresie swej działalności fabryka ta zajmowała się budową maszyn dla wyrobu cementu. Zamieniona w r. 1899 na Tow. Akcyjne, rozszerza ona stopniowo swą działalność, przyczem od r. 1917 włącza w zakres swej wytwórczości także i budowę maszyn cukrowniczych. W czasie wojny liczba robotników dochodziła do 1200.

W r. 1920 ze środków przedsiębiorstwa została zakupiona i włączona pod wspólny dach firmy także wielka fabryka maszyn w Rybniku na

Motory, wytwarzające siłę pędną.

Górnym Śląsku. Wkrótce potem za zgodą Min. dla Handlu i Przemysłu w Warszawie firma otwiera własny oddział fabryki w Berlinie, który obsługuje przeważnie miejscową klientelę.

W r. 1921, w którym większość akcyj przeszła w ręce polskich posiadaczy, głos decydujący w zarządzie mają *Polski Bank Handlowy* w Poznaniu oraz *Bank Stadhagena* w Bydgoszczy. Dowodem tego skład Rady Nadzorczej tego Tow. Akc., który jest następujący:

Dyr. Banku *Dr. Hącia*, Poznań, przewod. Dyr. Banku *K. Bauer*, Bydgoszcz, zastępca przewod. Radca prawny *Cichowicz*, Poznań. Właść. fabryki *L. Czarliński*, Inowrocław. Prez. Urz. Ziem. *Żychliński*, Poznań. Adw. *Jan Maciaszek*, Bydgoszcz. Dyr. fabr. *Holland*, Janikowo. Dyr. fabr. *Dr. Köhler*, Maltsch n/Odrą. Radca hand. *Michalowsky*, Królewiec.

Zarząd stanowią pp. Aleksander Schmidt; Wilhelm Gehrman, dyrektorami administracyjnymi są pp. inż. *Władysław Żukowski*, *Kazimierz Pstrokoński* i *Walter Klatt*.

W miejscach fabrykacji, które znajdują się: w *Bydgoszczy*, w *Rybniku* i w *Berlinie-Teltow* wyrabiane są:

W oddziale I: Maszyny dla rozdrabniania surowców, jak również kompletne urządzenia cementowni, wapniarni, fabryk superfosfatów, młynów do mielenia szlaki Thomasa i t. d.

W oddziale II: Kompletne urządzenia cukrowni, w szczególności prasy, wyparniki, warniki, wirówki i t. d.

W oddziale III: Urządzenia transportowe dla towarów masowych i jednostkowych różnego rodzaju urządzenia do zrzucania na zwał, urządzenia wsteczno-ładunkowe, pomosty ładunkowe, urządzenia przeróbkowe i ładunkowe dla węgla, urządzenia płóczkarskie.

W tym dziale na wymienienie zasługują:

Jednoszynowy ruchomy wózek kranowy z miejscem dla motorniczego, ruchome windy motorowe, ręczne kolejki wiszące.

Urządzenie transportowe dla wózków kopalnianych ze samoczynnym biegiem wagoników, kolejki łańcuchowe i linowe, całkowite urządzenie toru szynowego dla wagoników kopalnianych.

Urządzenia do przerabiania węgla i koksu: aparaty do przesiewania wszelkiego rodzaju, szczególnie przesiewacze planowe z wachliwemi podporami i łożyskami do nastawiania.

Urządzenia do transportowania na haldy i z powrotem: z ruchomemi mostkami i samoczynnem doprowadzaniem materjału, ruchome wywroty z nieprzerwanym torem, według własnych patentów.

Transportery do zaopatrywania palenisk kotłowych w węgiel i do popiołu. Wreszcie: urządzenia do zasypywania wydrążeń w kopalniach.

Od chwili, z którą przedsiębiorstwo zwiększyło swoją działalność w dziedzinie cukrownictwa i cementownictwa zarówno w Kraju jak i w oddziale swym berlińskim, można śmiało stwierdzić, że obecnie całe cementownictwo w Polsce opiera się wyłącznie na produkcji bydgoskich zakładów Tow. Akc. Herman Loehnert. Oto, dlaczego wolno zakłady te nazwać: „fabryką bez konkurencji"...

W chwili bieżącej właśnie przedsiębiorstwo to otwiera dwa nowe działy: jeden dla budowy maszyn ceglarskich i drugi: dział opału pyłem węglowym w paleniskach kotłów parowych. Ten ostatni dział da fabrykom i wogóle przedsiębiorstwom, które się zaopatrzą w urządzenia z fabryki Tow. Akc. H. Loehnerta, możność całkowitego zużycia w palenisku kotła choćby najostatniejszych gatunków węgla kamiennego i brunatnego do najdrobniejszych cząstek.

To też wyroby bydgoskich zakładów mechanicznych Tow. Akc. Herman Loehnert znajdują pokup i zamówienia nie tylko w Polsce i Niemczech, ale śmiało rzec można na całym kontynencie, umiały bowiem wywalczyć sobie przodujące stanowisko w dziedzinie swej specjalności na wszechświatowym rynku. Wystarczy wymienić, iż firma posiada swe zastępstwa w następujących miejscowościach: w Warszawie, Berlinie, Lipsku, Hamburgu, Szczecinie, Hagen w Westf., Gliwicach, Opolu, Hali nad Salą, Zurychu, Lozannie, Luksemburgu, Medjolanie, Wiedniu i Bukareszcie... Litanja naprawdę imponująca...

A jednak w sprawozdaniu zarządu tej światowego znaczenia firmy czytamy taki skromny a nader wymowny ustęp: „Rozmiar działalności naszego przedsiębiorstwa za rok sprawozdawczy t. j. 1922 był zadawalniający, aczkolwiek trudności w otrzymywaniu surowca oraz brak wykwalifikowanych inżynjerów nie dopuściły do pełnego wykorzystania zamierzonej produkcji"...

Na szczęście trudności te w roku bieżącym już w zupełności opanowane zostały...

Inż. M. S.

(Wszelkie prawa przedruku wyraźnie zastrzeżone!...)

Gotowe wytwory fabryki na placu...

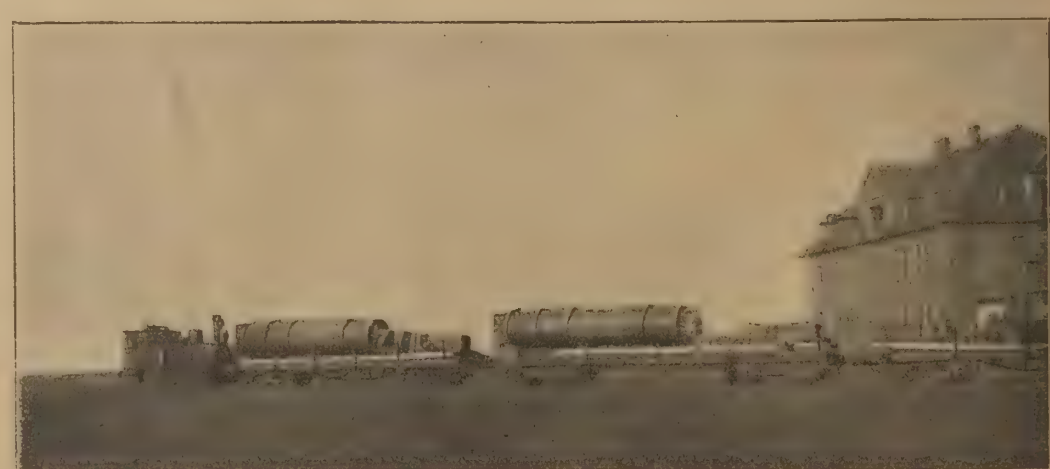

Wykonane w fabryce Tow. Akc. H. Loehnerta dwa „młyny sprzężone".

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Nr 45 Ogólnego zbioru 3,338 Wydawnictwa rok 64. 3 Listopada 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

JEZIORO WIGIERSKIE BRONISŁAW KOWALEWSKI

Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie.

O PAŃSTWOWĄ POLITYKĘ KULTURALNĄ.

Państwo nowożytne to nie tylko terytorjum i ludność pod władzą suwerenną, ale także twór moralny, polegający na pewnej spójni, łączącej obywateli sposobem czysto wewnętrznym a nie za pomocą zewnętrznego przymusu. Państwo moralne, państwo w sferze ducha stanowi podstawę dla fizycznej organizacji państwowej i niejednokrotnie potrafi istnieć i bez sił materjalnych.

Wiadomo powszechnie, że strona moralna jest czynnikiem pierwszorzędnym dla istnienia i rozwoju narodu jako takiego. W tym samym stopniu ważną jest ona i dla organizacji państwowej. Uczy nas tego historja na każdej karcie dziejów, a całkiem dobitnie historja wielkiej wojny.

Któż nie pamięta na schyłku tej wojny gorączkowej akcji ratowniczej ducha wśród armji i cywilnej ludności państw centralnych, któż nie wie jak wielką wagę miały propagandy w Ameryce i państwach neutralnych? Siły i zasoby duchowe są niemniej realnemi czynnikami jak i te siły, które potocznie określamy jako potęgę fizyczną.

Jeden z objawów państwa moralnego stanowi powaga, jaką dane państwo cieszy się nazewnątrz, jego opinja zagraniczna, częstokroć więcej znacząca, niż jego aktualna siła militarna. Drugim objawem jest i powszechność przywiązania do państwa i wiara w nie wśród jego obywateli.

W czasach dawniejszych patrjotyzm tego rodzaju łatwiej było wytworzyć, gdyż podmiotem ducha państwowego była nieliczna warstwa inteligencji. Dziś trzeba objąć działaniem wychowawczem najszersze sfery ludności i to bez względu na stopień kultury i bez względu na różnice narodowościowe lub wyznaniowe.

Zręczna i usilna polityka, operująca wyłącznie środkami moralnemi, potrafi dokazać niezmiernie wiele na tem polu.

Austrja np. potrafiła wytworzyć głębokie poczucie państwowe w warunkach bardzo trudnych i mając do czynienia z materjałem wyjątkowo różnolitym. Przymiotnik „państwowy" miał tam wagę i stanowił tabu dla szerokich mas ludności. Były to wyniki osiągane środkami psychologicznemi. Politycy, w ścisłem tego słowa znaczeniu, oraz biurokracja niewiele mogą tu pomóc a tem mniej jenerałowie lub komisarze policji.

Polska nie umiała dotychczas zdobyć sobie należytego miru zagranicą ani też wytworzyć specyficznego patrjotyzmu państwowego zwłaszcza wśród obcoplemiennych swych obywateli. To też trzeba nam zabrać się do systematycznej budowy państwa polskiego tak w opinji świata jak i w sercach i umysłach ogółu obywateli.

Uciekaliśmy się już w chwilach wyjątkowo ciężkich do t. zw. propagandy zewnętrznej i wewnętrznej, ale działalność tego rodzaju potrzebna jest ustawicznie i to w najrozmaitszych formach i kierunkach, często jeszcze nietkniętych. Nie wystarcza, aby państwo polskie istniało tylko na karcie geograficznej i politycznej, trzeba je usilnie budować w sferze moralnej, w psychice całej ludności, zamieszkującej terytorjum państwowe.

Podstawowym warunkiem dla kiełkowania powszechnego „patrjotyzmu państwowego" jest wytworzenie wśród ludności danego kraju pewnego minimum unifikacji kulturalnej. Sprawa ta—wyraźnie zaznaczam—nie ma nic wspólnego z polityką wynaradawiania. Chodzi o wytworzenie jednakowego, do pewnego stopia, typu myślenia, zakorzenienia pewnych wspólnych wartości i dyspozycyj. Poznańczyk przed wojną, nawet słabo umiejąc po niemiecku, łatwiej mógł porozumieć się z berlińczykiem niż z warszawianinem. Amerykanie różnych narodowości są pod pewnemi względami bardziej do siebie podobni niż do swych współplemieńców, pozostawionych w dawnej ojczyźnie. W Polsce do dziś dnia skarżymy się na resztki ducha niemieckiego lub austrjackiego wśród rodowitych Polaków i całkiem niewątpliwych patrjotów. Jeszcze więcej dają się odczuwać wpływy obcych państwowości w dzisiejszej Jugosławji.

Wśród czynników wytworzenia się wspólnej sfery duchowej — czas zajmuje pierwsze miejsce. Ludzie, którzy dłużej i częściej z sobą obcują, którzy żyją pod jednakowemi prawami i przechodzą jednakowe do pewnego stopnia koleje społeczne i polityczne, nabierają z czasem pewnych wspólnych rysów duchowych a nawet upodabniają się pod względem zewnętrznego zachowywania się. Ta wspólnota platformy psychicznej sprawia, że łatwiej przychodzi obywatelom tego samego państwa porozumiewać się między sobą. Dalszemi czynnikami są: rozpowszechnienie języka państwowego, jednolita szkoła ludowa, powszechna służba wojskowa, przemożny wpływ pewnej kultury, oddziaływanie prasy, literatury i sztuki.

Obcoplemieńcy nie muszą wyzbywać się przytem swego języka, poczucia odrębności narodowej i swoistej kultury, ale uczą się posługiwać pewnemi formami w specyficznym zakresie stosunków państwowych, które rzadko tylko krzyżują się ze sprawami narodowościowemi.

Wytworzenie takiej państwowej sfery duchowej, choćby niezbyt wielki zakres obejmującej, może stanowić fundament dla rozwinięcia się poczucia wspólnej państwowej przynależności i dla zaszczepienia patrjotyzmu państwowego. Wywołanie tych pozytywnych uczuć w szerokich masach ludności stanowi właściwy cel polityki kulturalnej. Tu dopiero wchodzi w grę propaganda, która winna być zorganizowana tak, aby działać dyskretnie, pomysłowo a ustawicznie. Pierwszorzędnym jej środkiem jest sztuka. Niema takiego rodzaju sztuki, któregoby polityk nie umiał zastosować dla swoich celów. Dawne nasze Ministerjum kultury i sztuki mogło mieć sens jedynie, jako urząd propagandy zagranicznej i wewnątrzkrajowej. Natomiast popieranie czystej, międzynarodowej sztuki jak i czystej nauki nie może być zadaniem organizującego się dopiero państwa. Dotychczasowe zresztą wysiłki i wyciąganie za włosy naszej twórczości na poziom europejski wiele już kosztowało a nie daje odpowiednich rezultatów.

Dalszym środkiem propagandy są wydawnictwa, zakładanie bibljotek ludowych, urządzanie uroczystości i obchodów państwowych, masowe wycieczki krajoznawcze. Wiele może zdziałać odpowiednia polityka w rozdawaniu urzędów, godności i subsydjów. Ważną jest też dbałość o związanie różnych stron terytorjum państwowego interesami ekonomicznemi, rozwijanie z pewną tendencją systemu komunikacyjnego, popieranie ruchu turystycznego i letniskowego. Pozwalam sobie zwrócić uwagę na drobny szczegół. Statystykę letników polskich na Pomorzu prowadzi dotychczas jedynie — Danziger Zeitung!

Jednem z zadań polityki kulturalnej winno być też wzmocnienie narodowości polskiej, jako stanowiącej kość pacierzową państwa. System federacyjny, system autonomji narodowościowych, doprowadziłby nieodwołalnie do rozbicia Państwa z tej prostej przyczyny, że punkty ciężkości naszych mniejszości narodowych leżą poza granicami Polski. Państwo polskie nie może być silne, jeżeli nie wzmocni się w niem polskości samej. Rzut oka na mapę etnograficzną uczy, że nasza granica etnograficzna na zachodzie wykazuje plamy, wyżarte przez niemczyznę, a na wschodzie linję bezkształtną, o konturach wielce niewyraźnych. Byłoby rzeczą nie do darowania, gdybyśmy nie skorzystali z posiadania własnego Państwa i nie nadali granicom etnograficznym formy dogodnej i obronnej. Są pewne postulaty strategiczne w wiekowych zmaganiach się między narodami. Z postulatów tych trzeba zdać sobie sprawę i dążyć systematycznie do ich realizacji. Na tem polu daleko więcej może zdziałać ksiądz i nauczyciel, niż jakikolwiek przymus zewnętrzny albo nawet polityka kolonizacyjna. Znowuż nie chodzi przytem o pokrzywdzenie obcoplemieńców, ale o słuszne rozgraniczenie spornych terenów narodowościowych w tym celu, aby naród polski mógł się skonsolidować i utworzyć zwarte terytorjum narodowe.

W dziedzinie medycyny przyrodolecznictwo i psychoterapja przeciwstawiają się wyłącznemu stosowaniu zabiegów chirurgicznych i środków aptekarskich. Coś podobnego zachodzi i w polityce państwowej. Nie wszędzie metoda zewnętrznego przymusu prowadzi do celu i dlatego pragnąłem zwrócić uwagę na ten doniosły chociaż subtelny instrument, jakim jest polityka kulturalna i na potrzebę nauczenia się władania tym instrumentem.

Przytoczę nakoniec urywek z listu o Rusinach, pisanego przez Kościuszkę w r. 1789 do Michała Zaleskiego:*) „Zmniejszyć fanatyzm jest krótszy sposób i nie widzę, jak jeden pewny a najłagodniejszy. Łącząc święta wszystkich z naszemi, jeden niech będzie kalendarz, postarać się, aby popi mszę mogli mówić po polsku. Przyzwyczajać ich potrzeba do polskiego języka, niech w polskim języku wszystkie ich nabożeństwa będą. Z czasem duch polski w nich wejdzie".

Prąd dziejów w ciągu półtora wieku odrzucił nas daleko od planów Naczelnika, ale niewolno nam wiosel odkładać i planów tych zaniechać. Z całym uporem winniśmy wzmacniać ducha polskiego we wszystkich stronach naszego Państwa i czynić to na drogach ducha a nie siły.

Dr. M. Borowski.

*) Wyd. H. Mościckiego, Warszawa, Gebethner i Wolff 1917.

STARA SOSNA NAD JEZIOREM — Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie. — BRONISŁAW KOWALEWSKI

ARTUR GÓRSKI:

PRZYWIDZENIA.

I.

Gdzieś w oddali, za miastem co błyskało ranem,
W powietrzu białem, w huku, w strumieniu strzaskanem
Na kole, co powoli szło w ciekącem srebrze,
W domostwie, drżącem pracą bezsenną jak w febrze,
W tłumie dźwigni, ruchomych jak odnóża kraba,
W ludzi tłumie, ja młynarz, w białej pracy raba
Stałem, z workiem na plecach, i w nagłem znużeniu
Pogrążony, — gdy ktoś mi rękę na ramieniu
Położył, i zbliżywszy twarz do mego lica
Rzekł kilka słów... A we mnie jakby błyskawica
Uderzyła, ocean piersią zakołysał:
Tak duch ogromny palcem ognistym wypisał
Wpoprzek nieba wyrazy ciche a niezłomne...
Rzuciłem wór, spojrzałem oćmiony — i pomnę
Jego postać: wędrowiec, robotnik na poły —
Płaszcz jego powiał w tłumie, stuknęły postoły
Na progu,—znikł.
W radości i miłości błysku
Poskoczyłem, szarpnąłem dźwignią przy kolisku —
Młyn stanął. Cisza nagła zaległa i głucha,
Gwar opadł. A ja stałem w zawierusze ducha
Cały w słuch zamieniony, wśród chleba obroków,
Chwytając uchem odgłos odchodzących kroków...

II.

Schodziłem z gór. Ciemniało. Na dnie skalnej paszczy
Zębatej, pośród głazów i splątanych chaszczy
Była łąka, dokoła opasana kratą
Żelazną, i oblana miesięczną poświatą.
Kępy kwiatów, przyziemne, ogniste, po łące
Rozrzucone jak płaty żelaz stygnące,
Tliły się; a zaś jagnię na onej polanie
Samotne, przyklęknąwszy na przedniem kolanie
Skubało je, i kwiatów gasły ogniska
Pasąc się. Światło mżyło. Przystanąłem zbliska
Zdziwiony jak to jagnię po nocy się błąka;
I spostrzegłem, przy kracie, że to nie jest łąka,
Że to dywan, stwór martwy, suchy, tkany z wełny,
Nie kwiatów, lecz obficie krwi przelanej pełny.
A jagnię, przechyliwszy głowę nad jej plamą,
Oczyszcza ją języczkiem i trudzi się samo...

FRANCJA I JEJ KULTURA.

Prof. Józef Bédier.

Nazwisko Józefa Bédier'a, następcy G. Paris'a i profesora staro-francuskiej filologji w *Collège de France*, w którem niegdyś wykładał Mickiewicz swoją „Literaturę słowiańską", znane było szerszemu ogółowi literackiego w Paryżu z powodu mistrzowskich studjów krytycznych nad nowszymi pisarzami, między innemi, nad Chateaubriandem, któremu dowiódł, że we wspaniałych opisach dziewiczej przyrody amerykanskiej np. w *Attali* lub *René*, nie tyle mieści się widzianych tam krajobrazów, ile przepisanych z różnych książek angielskich podróżników, których opisy autor „Genjusza Chrześcijańskiego" uzupełnił własną fantazją i kwiecistym stylem harmonijnej prozy. W tych studjach zapowiadał się już przyszły badacz, łącząc gruntowną wiedzę filologiczną niemieckich koryfeuszy z lekkim wdziękiem mistrzów prozy francuskiej.

Popularnym atoli stał się Bédier dopiero po wydaniu „Dziejów Tristana i Izoldy", które ten mistrz słowa a zarazem uczony niezwykłej miary, filolog z zawodu a subtelny poeta z Bożej łaski, odtworzył w całej pierwotnej naiwności i upajającej potędze na podstawie drobnych, staro-francuskich ułomków dwóch poetów francuskich: kontynentalnego Thomas'a i anglo-normandzkiego Béroul'a, dobrawszy sobie do pomocy średniowieczne przeróbki obu tych poematów a mianowicie norweską Sagę i poemat angielski, oraz dwa poematy górno-niemieckie z XIII wieku, z których jeden odtwarzał Thomas'a, a drugi Béroul'a, i wreszcie prozaiczną przeróbkę francuską z XIV wieku.

Mając w fragmentach obu poetów mniej więcej środek powieści, przepoiwszy się duchem poematu Béroula „przyswoił sobie jego naiwny sposób odczuwania, prosty sposób wyrażania, dorobił do tego tułowia głowę i członki, nie drogą mechanicznego przyprawienia, ale rodzajem organicznej regeneracji, takiej, jakiej obraz dają zwierzęta, które, okaleczałe, uzupełniają się własną tajemną mocą, wedle planu swej idealnej formy". (Przedmowa G. Parisa, w tłum. Boya).

Ta po mistrzowsku odtworzona prastara legenda, przypuszczalnie celtyckiego pochodzenia, na co zdawałyby się wskazywać poprzez szatę francuską, nazwy niektórych miejscowości, a przedewszystkiem imię bohatera (Tristan *celt.* Drostan, występujące niejednokrotnie w dziejach celtyckich), wydobyta z gruzów, na jakie ją skazał zawistny czas, i podana czytelnikom dzisiejszym w naiwnej szacie XII wieku, zdobyła sobie odrazu serce wykształconego społeczeństwa francuskiego *), zająwszy poczesne miejsce obok najbardziej popularnych powieści Bourgeta czy Piotra Loti'ego. W rok po ogłoszeniu miała już kilkanaście wydań, i myślę, że liczba tychże dosięga zapewne obecnie już setki.

Jeżeli u nas nazwisko Bédier'a nie jest tak znanem, jakby przypuścić należało na podstawie popularności jego książki, która w znakomitem tłumaczeniu Boya spełniła to samo zadanie w naszem społeczeństwie, co oryginał francuski w Paryżu, to przyczynę tę po części przypisać należy okoliczności, że na tytułowej kartce tłumaczenia Bojowego nie figuruje nazwisko Bédiera, o którym czytelnik polski dowiaduje się dopiero z przedmowy, jeżeli *notabene* czytał przedmowę, bo są tacy, którzy wstępów i komentarzy do arcydzieł literatury z zasady nie czytają.

„Dzieje Tristana i Izoldy" były pierwszym czynem, którym Bédier zdobył sobie sympatję czytającego świata, drugiem miały być jego studja nad pochodzeniem starofrancuskiej epopei (chansons de geste), ogłoszone w czterech tomach, arcydzieła bystrej analizy, trafności sądu i poczucia artystycznego, które nigdzie i nigdy nie zawodzi uczonego autora. Wywołały one w świecie uczonych zdumienie, nie wahałbym się powiedzieć, konsternację, zwłaszcza wśród niemieckich uczonych. Nazwano ją najważniejszem wydarzeniem współczesnej filologji romańskiej, istną rewolucją w dotychczasowych, tradycją uświęconych, poglądach na genezę i pochodzenie starofrancuskich poematów. Konsternacja niemieckich badaczy była tem żywsza, że pochodziła od jednego, który zdawał się być całkowicie przejętym niemiecką teorją o germańskiem pochodzeniu francuskich epopei.

Wszak ten sam Bédier, jeszcze niecałe dziesięć lat przedtem, pisał (w *Revue des deux Mondes*) pod wpływem swego mistrza: „Epopeja francuska zrodziła się z krwawego chaosu tworzącego się feudalizmu, była dziełem nie „facecjonistów" publicznych, ale wojowników, kiełkując, czy to podczas wielkich walk przeciw Saksonom, gdy grzmiał młot Karola, czy to wcześniej jeszcze, by opiewać chwałę Chilperyków, Chlodowików, albo też wyrastając w pewnych czasach naszej historji, gdy w namiotach frankońskich naczelników podczas uczt harfa przechodziła z rąk do rąk"...

„Od Germanów tacytowych aż po Turolda, przypuszczalnego „redaktora" czy przepisywacza pieśni o Rolandzie, niema żadnej przerwy w ciągłości, lecz dziedzictwo nieprzerwane, które przekazuje legendy, siła, która je przystosowuje, łączy, przeobraża, przemieniając Karola Martela na Wielkiego, Chlodowika na Floovanta, Alberyka na Oberona"...

„W przechowanych poematach mamy ostatnie ich echa, ale wydobądźmy diament z pod oprawy, rozłóżmy te przeróbki, rozbijmy sztucznie przez żonglerów stworzone cykle, odrzućmy późniejsze dodatki, a oto jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, okaże nam się pierwotny fresk. Oto pojawi się przed nami pieśń taka, jaka zrodziła się w dniach, gdy wojownik, idąc na bój, czuł się osobą epickiej poezji i sądził, że już podczas bitwy słyszy pieśń obelżywą lub chwalebną, którą potomność o nim wyśpiewa".

Trzeba było lat dziesięciu, aby autor powyższych słów, otrząsnąwszy się z pod wpływu panujących teoryj, mógł stanąć na własnym gruncie i dać nam jedyne prawdopodobne, epoką i ówczesnemi stosunkami uzasadnione wyjaśnienie genezy starofrancuskiej epopei, które wykładał i uzasadniał w swoich prelekcjach w *Collège de France* przez cztery lata, zanim je wydał drukiem.

Pamiętam doskonale ową chwilę, gdyśmy w mglisty wieczór późnej jesieni wśród przejmującego do szpiku kości zimna i niepogody, śpieszyli z wykładu Thomasa w *Ecole des Hautes Etudes* do leżącego w pobliżu *Collège de France*, by posłuchać wstępnej prelekcji tegorocznego następcy G. Parisa. Zaciekawiała osoba profesora, zaciekawiał przedewszystkiem sam temat. Epopeja cyklu „Aimeric'a z Narbony". Co nowego można było powiedzieć o cyklu po tylu studjach i badaniach? Czyż wszystko nie było już omówione, sklasyfikowane, zarejestrowane w czterotomowem dziele Leona Gautier'a (Les Epopées françaises). Na sali słabo elektryką oświetlonej przytłumiony gwar różnojęzycznych słuchaczy jak przy budowie wieży Babel. Mowa Ibsena miesza się z dźwięcznem *si* Dantego, a język Tołstoja wpada w ucho wśród energicznych tonów ziomka Calderonowego. Rej, jak zwykle, wodzą rezolutne Amerykanki, obok cokolwiek sztywnych cór Albjonu. Najliczniej jednak prezentuje się Germanja. Nagle gwar ustaje. Cisza. Patrzę, a tu boczne niezauważone nawet drzwi zamykają się za kimś w ciemnym tużurku *sans reproche*. Przed nami, za długim czarnym stołem, zajmującym całą szerokość sali, staje młody profesor i tradycyjnym zwrotem *Mesdames et Messieurs* rozpoczyna swój wykład. Jego drżący, niepewny, ale sympatyczny głos rozchodzi się po całej sali, budząc różne uczucia. Twarz drobna, niezbyt piękna, ale oczy siwe magnetyzują słuchaczy i przykuwają wzrok. „Gdy zabierałem się do opracowania tego mojego pierwszego kursu", brzmią jego słowa, „nie przeczuwałem, co mnie czeka na końcu, i w tej jeszcze chwili nie przewiduję wyników, do jakich ostatecznie dojdę po ukończeniu tych wykładów. Lękam się bowiem, czy nie padłem ofiarą autosugestji, chęci stworzenia ponętnej, bo oryginalnej hipotezy, będącej takiem samem złudzeniem jak te, które rozwiały mi się w świetle wyników, do których sądzę, że dojdę w dalszym ciągu moich badań. Zechciejcie tedy, panowie, być moimi współpracownikami i kontrolerami, a ponieważ regulamin *Collège* nie daje mi możności bezpośredniego stykania się z wami przy pracy (jak w naszych seminarjach), przeto raczcie w każdej kwestji, która wyda nam się niejasną, wątpliwą, lub niedość mocno uzasadnioną zwracać się do mnie listownie.

Piszący te słowa skorzystał z tej zachęty i nazajutrz po bezsennie spędzonej nocy na pracy, przesłał pierwszy swoje poglądy na wyniki, do których zmierzał uczony francuski, dołączywszy artykuł o poemacie starofrancuskim *Floire et Blancheflor*, późniejszej jego pracy doktorskiej.

Oto odpowiedź, którą naówczas już sławny profesor dał młodemu słuchaczowi jego wykładów:

„Je viens de lire votre petit mémoire. Il est singulièrement vivant, original, intelligent. Votre flièse est elle la vraie? Je ne suis que trop parté à le croire... A je me méfie de mon penchant intinctif à croire que vous avez raison. Ce n'est pas sur une première lecture que je puis me former une opinion.

...Dans quelques jours, quand j'aurai eu le temps de revoir les textes, vous me ferez grand plaisir de venir me voir: disons au milieu de la semaine prochaine... Mais j'ai tenu à Vous dire dès ce soir, par ce mot, le grand plaisir que j'ai eu à lire votre travail et à Vous remercier de la confiance que vous voulez bien me marquer".

Mając do czynienia z profesorem tej miary i uczonym tego pokroju, nie należy się dziwić, że Bédier zdobył sobie niebawem serca swojego audytorjum, które z zapartem tchem śledziło jego prelekcję tygodniową.

Rychło zadzierzgnęła się nić sympatji między profesorem a słuchaczami, z których niewielu, jak podpisanemu, danem było słuchać owych wykładów do samego końca.

O epokowych tych wykładach i czterotomowem dziele p. t. „*Légendes épiques*" pomówię w jednym z następnych artykułów.

Dr. J. Henryk Reinhold.

*) *Le Roman de Tristan et Isolde*, renouvelé par Joseph Bédier. Préface de Gaston Paris Edition H. Piazza. Istnieje pyszne wydanie luksusowe, zdobne w blisko 150 przepięknych rycin kolorowych w wykonaniu Roberta Engelsa, które dziś jest rzadkością bibljograficzną (l'Edition d'Art. M. M. Piazza et C-ie).

RYSUNKI ALEKSANDRA MANNA.

Z wystawy zbiorowej w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Z DZIELNICY ŻYDOWSKIEJ W LUBLINIE.

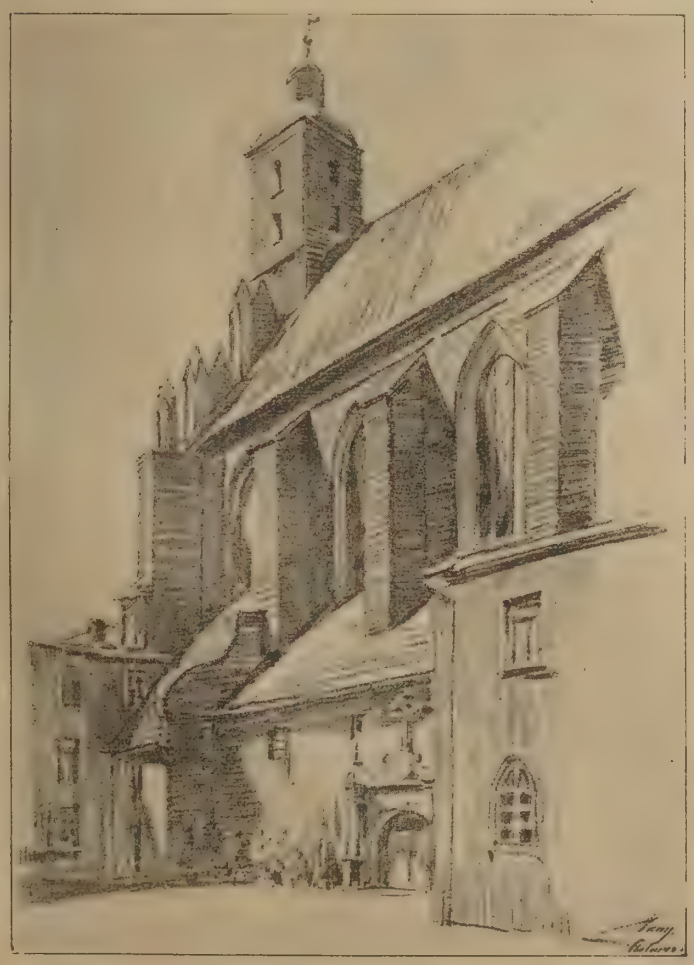

KLASZTOR W CHEŁMNIE.

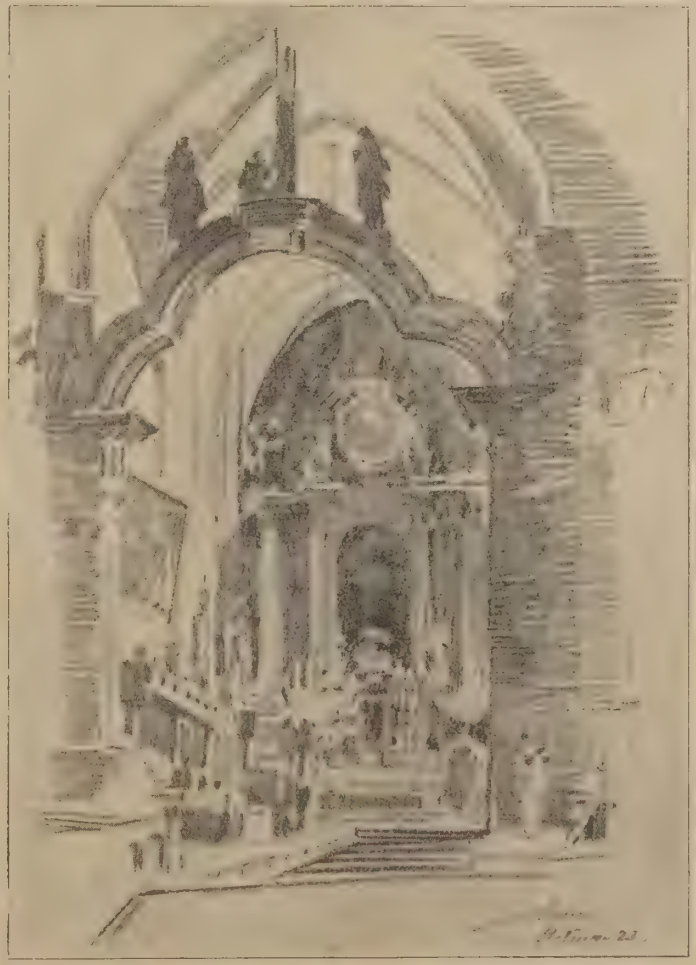

WNĘTRZE KATEDRY W CHEŁMNIE.

NAD JEZIOREM BR. KOWALEWSKI

KOWALEWSKI.

Dobre nazwisko w sztuce naszej—w pejzażu polskim zdobyło sobie oddawna trwały rezonans. Jeżeli chodzi o bliższe określenie tego wybitnego artysty, moglibyśmy to wyrazić słowem, które obecnie już mało jest używane a praktykowane w życiu: jest to *malarz szczery*.

Uczeń Stanisławskiego, tego kapitalnego pedagoga, który dał sztuce naszej cały szereg wychowańców o wysokim poziomie artystycznym. Nauczył ich rozumieć stosunek *malarza do natury*—do otoczenia, życia. Kowalewski był pilnym uczniem, mistrza zrozumiał i w zasadach tych w zupełności przejętych trwa do dzisiaj,—stwierdza to każdą swą pracą, każdym obrazem. Zasadą Stanisławskiego było uduchowienie widzianego wykrawka przyrody — „jeśli malujesz coś, to najpierw zdaj sobie sprawę poco to robić zamierzasz".—Znakomita zasada wydała bardzo dodatnie rezultaty. Nasi pejzażyści poczęli w małe notatki kłaść więcej odczucia i zgłębienia przedmiotu, niż dawniej w sążniste płótna. Pejzaż „intime" narodził się u nas dopiero w ostatnich latach, kiedy przestał być *tłem rodzajowych* kompozycyj, kiedy nie krępował go żaden inny obowiązek, jak tylko odzwierciedlenie wierne przeżyć artysty w chwili tworzenia obrazu.

Jak każdy artysta, Kowalewski posiada swoje ulubione tematy, lubi wody — takie senne jeziora, cicho leżące wśród płaszczyzn leśnych—zaszyte w wiklinę i pokryte zielenią—co tylko gdzie niegdzie zazdrośnie ukażą cokolwiek wody — aby się niebo miało w czem przejrzeć.

Taka ranna tualeta — bo poranki najczęściej nasz malarz maluje — z dala czasem zaróżowi się jakąś chmurką, zapłoni jak Aurora, ale nie za wiele, broń Boże!

Kowalewski ogromnie nie lubi, jak się coś bardzo „dzieje"—lubi spokój! Maluje takie elegje przeważnie o chwilach późniejszej jesieni, lub wczesnej wiosny, kiedy jeszcze natura namyśla się, jaką sukienkę wdziać na sezon. Ta rozmaitość odmian zbliżonych tematów malarskich stanowi główną zaletę twórczości artysty. Nigdy się nie wyczuwa u niego rzeczy przerabianej, już nam znanej z dawniejszej pracy. W tym świecie ogromnej prostoty środków obraca się bardzo swobodnie, umie z małych zmian efektu, lub drobnych odchyleń terenu tworzyć nowe obrazy zupełnie nam nieznanego sentymentu.

BRONISŁAW KOWALEWSKI.

Gdybym miał określić terminem literackim rodzaj twórczości Kowalewskiego, nazwałbym go lirykiem, tyle tam jest lirycznej uczuciowości, której autor napewno wyparłby się osiem razy! Monumentalności, dekoracyjnej skłonności czy potrzeby nie znać wcale w jego twórczości.

Albo taki motyw jak w obrazie wiszącym w zbiorach Zachęty—jasny słoneczny dzień, całość przesycona świeżością zimowego dnia suchego, gdzie śnieg ani myśli mrozić, pozwalając słońcu robić iluzję ciepła—jak w lecie.

Kopce, rozrzucone wszędzie, sprawiają, że monotonja śniegowej płaszczyzny nabiera rozmaitości, interesuje oko i ciągnie ku sobie.

Tak samo wszędzie, owe „Jeziora Wigierskie", których parę namalował, miały ten sam umiar, ale i tę samą skończoną *wytrzymaną* całość.

Twórczość artysty, *jeśli nie jest wynikiem* warunków narzuconych z zewnątrz—odbija usposobienie autora. Nie możemy robić rzeczy innych — tylko te, na które nas stać — to, co wychodzi z pod pendzla Kowalewskiego, jest w zupełnej zgodzie z jego temperamentem i usposobieniem. Grupa młodych malarzy, która wyszła ze szkoły Stanisławskiego, ma jedną wspólną cechę: lubi pogłębiać motywy malowane, mocą opracowania, wyczucia doprowadzają do granic sztuki *rzeczy*, nad któremi inni malarze przechodzą bez uwagi.

Kowalewski jest bardzo sumiennym rysownikiem. Forma u niego gra dużą rolę — umie niewielu linjami znaczyć całe grupy drzew, doskonale wyrażając ich gatunek — to są znakomite przymioty u malarza pejzażu, znamy przecież mnóstwo obrazów, w których trudno domyślić się co to za drzewo, jaki krzew,—ta wada zamieniła się u młodszego pokolenia w obrzydliwą manjerę i zupełne niechlujstwo malarskie.

Frazesy: o stylu, o wyrazie, o uduchowieniu natury są czczym bełkotem, jeśli ich nie wspiera porządna robota malarska, — niema dobrych *dzieł malarskich*, źle malowanych!

Władysław Wankie.

KRAJOBRAZ ZIMOWY BR. KOWALEWSKI

O ŚPICHRZACH W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ.

Śpichrze kazimierskie, pozostawione na łasce losu, przemieniły się powoli w ruiny, zostały rozebrane lub przebudowane. Z kilkudziesięciu istniejących jeszcze w roku 1834 („Jutrzenka" 1834 str. 7), z tych naogół rzadkich u nas śpichlerzy zostało zaledwie kilka. Historja ich nie jest jednak zbadana, bo brak dokumentów archiwalnych lub też dostęp do nich jest niemożliwy, ale fakt, że nikt nie zdobył się dotychczas na ich szczegółową analizę czysto estetyczną *) to objaw niewytłumaczony i smutny. A zabrać się do tego trzeba jaknajprędzej, bo—mimo wspaniałej roboty i trwałego materjału—zmiennej fortunie i nic nieoszczędzającej sile czasu ufać nie można.

Urząd konserwatorski zupełnie się temi niepospolitemi zabytkami nie interesuje, choć pole jego działania jest tu dość ograniczone, zaledwie bowiem cztery śpichrze można i warto dziś ocalić: Feiersteina, Ulanowskiego i ten, w którym mieści się obecnie pensjonat „Nadwiślanka" przy ulicy Puławskiej, na dawniejszem przedmieściu Gdańskiem oraz dom Pawłowskiej przy przedmieściu Krakowskiem. Monografista jednak powinien się zająć wszystkiemi zwaliskami śpichrzy, by poznać plany i technikę murowania; rumowisk takich jest, o ile się nie mylę, trzy: śpichrz przy ulicy Puławskiej pod № 15 oparty na bardzo szerokich i ciężkich szkarpach i przebudowany częściowo na chałupę, której właścicielem jest Jan Mazurkiewicz; drugi: największy z dochowanych śpichrzy przy ul. Krakowskiej 24, również zamieszkany a należący do sukc. Ulanowskiego—obok niego nader oryginalny budyneczek, gdzie się pono kiedyś mieściła kuźnia; i trzeci parę kroków dalej podobny ongi do śpichrza Pawłowskiej, bodaj czy nie ruina po wspaniałym śpichlerzu z figurą Ukrzyżowanego Chrystusa („Muzeum Domowe" r. 1836 nr. 41) — ruina, jako nieruchomość bezwartościowa, niezaopatrzona żadnym numerem.

Idąc z Puław do małego Gdańsko, jak nazywano nasz gród, omińmy narazie pierwszy napotkany śpichlerz i rzućmy okiem na sąsiedni budynek Ulanowskiego (Fot. 1). Jeszcze zapewne w drugiej połowie XIX w. służył, podobnie jak i jego sąsiad, za skład zboża, do czasu wojny zaś była w nim garbarnia, z tych też powodów zachowany znakomicie posiada szereg przybudówek, które jednak nie godzą w jego styl: nazewnątrz—bo o zewnętrzną tylko stronę chodzi w tych uwagach — jest typową budowlą polską z pierwszej przypuszczalnie połowy XVII-go wieku, tego zaś rodzaju przeróbki, jak okna w ścianach bocznych, dadzą się łatwo wyróżnić. Szczyt ściany tylnej zawiera u góry dwa otwory podłużne, a niżej powietrze dochodziło do wnętrza przez dwa okienka owalne. Zaciekawienie wzbudza dopiero front. Tu w płaskim, jak wszędzie, szczycie widać dwa duże okna okrągłe, między któremi niema żadnego pilastra (Zubrzycki Skarb architektury tab. 334) jeno tabliczka wykuta w murze i przeznaczona na miejsce roku budowy lub herb właściciela. Wchodziło się do tego dwunawowego budynku przez dwudziałowy przedsionek, żywo przypominający nasze drewniane podcienia. Wejść różnej wielkości, zakończonych łukami, było cztery (te z lewej strony są, zdaje się, pochodzenia późniejszego): para frontowych ukrytych w cieniu wysmukłych przypór, z prawej zaś strony jedno parterowe, drugie piętrowe, do których prowadziła nieistniejąca już dzisiaj kryta galerja schodów. Przedsionek tak często spotykany przy kościołach, choćby w farze Kazimierskiej, posiada stosownie do całej budowli wysokie piętro i dach pochyły, dochodzący do środkowej części szczytu. Ścianki umieszczone na kra-

Fot. 1.

wędziach bocznych daszku przedsienia ukazują w profilu przepiękną linję w dwóch miejscach lekko przeginaną i urozmaiconą ślimacznicami z jednym skręcie, linję z majestatyczną sterczyną u dołu. Podobne ozdoby spotykamy na frontonie podzielonym gzemsami na trzy poziome kondygnacje. Wskutek pochyłości krytu szczyt jest strzelisty, a strzelistość tę potęgują odpowiednio rozmieszczone słupki, mianowicie im wyższa, a więc węższa kondygnacja, tem większe mamy sterczyny. W liczbie sześciu po bokach i jednej na osi pionowej są one rozmaitego kształtu *): jedne z nich to jakby sygnaturki w minjaturze z hełmami gruszkowemi, inne to jakby kopje pilastrów na domu pod św. Krzysztofem w Kazimierzu, niektóre wreszcie nasuwają analogję z pazdurami ludowemi. Wszystkie wypukłe ornamenty spiralne opadające i wznoszące się, krajniki również niejednostajne wykonane z walącej się już cegły są charakterystyczne dla naszej rodzimej odmiany baroku pełnej jeszcze elementu gotyckiego.

Ponadto: na rogach gmachu i przedsionka (tutaj tylko aż do szkarp) widzimy na tynku bardzo proste, ale ładne pasy, złożone z kwadratów lub prostokątów; potrójne linje lekko wyżłobione odgraniczały tło zapewne napuszczane jakąś farbą od reszty muru. Wszystkie wnęki wejść i czterech umieszczonych w głębi muru przedsionka mają podobnie zrobione obwódki.

Jego sąsiad węższy i niższy, chociaż też dwupiętrowy, a bardziej przeładowany to—mojem zdaniem—niedorastającego na ogół naśladownictwo. (Fot. 2). Świadczą o tem okienka w ścianach bocznych, wejścia, cały plan gmachu i, co najważniejsze, fasady śpichrza i przedsionka. Szczyt mniej stromy, zaczyna się bowiem nie od końca, ale niżej, od granicy między pierwszem a drugiem piętrem, na to oczywiście miejsce przypada również silny okap przedsionka. Wskutek nieodpowiedniego nachylenia szkarp wydaje się na pierwszy rzut oka, jakoby przedsionek ten był szerszy od poprzedniego. Wszystkie słupki, kabłąki i gzemsy—to imitacja śpichrza Ulanowskiego bardzo słaba i bez piętna szerszej inwencji artystycznej. Monotonję ozdób przerywają wystające zazębienia czy grzebienie, które znów przypominają dom pod św. Krzysztofem, a które zastępują tu liczne w przedtem opisywanym śpichrzu kombinacje ślimacznic. Za to dolna część szczytu jest zeszpecona jakiemiś wstawkami z cegły, wyskakującemi tu ponad obeliskami niby deus ex machina. Nie jest rzeczą wyłączoną, że te pomniejszające piękno budynku szczegóły powstały wskutek dobudowania drugiego piętra, co odkrył Czekierski; to jednak może jeno wyjaśnić, ale nie usprawiedliwia planów architekta. Zresztą porównanie szkarp również wypada na niekorzyść śpichrza Feiersteina: z przypór węgłowych, których w śpichrzu Ulanowskiego nie było wcale, pozostała tylko jedna frontowa po stronie zwróconej ku południowi, natomiast mamy wszystkie trzy, jakgdyby dosztukowane przypory przedsionka. Każdego uderzy środkowa szkarpa między wejściami zgoła niepotrzebna, jednak charaktery-

*) Oto uzupełnienia literatury przedmiotu, podanej przez najpoważniejszego badacza Kazimierza, J. Czekierskiego w Spraw. Kom. hist. szt. tom IX zesz. 1: Przeg. katolicki 1892 nr. 41 i 42; Wędrowiec 1896—II—str. 98 i 118 (niezawsze ścisły); Wiercieński Ze starych szpargałów. Wisła t. X; Janowski: Tworząca się legenda Wisła t. XV. Po Czekierskim pisali o Kazimierzu: Husarski Życie polskie 1913 nr. 7; Szyller Czy mamy polską architekturę?; Zubrzycki w dziełach Styl Zygmuntowski... i t. d. Układ kształtu t. II i III oraz Skarbiec architektury.

*) Parodją rzeczywistości jest stan tego śpichrza odtworzony przez Zubrzyckiego w „Układzie kształtu" t. II str. 232.

Fot. 2. Fot. J. Bułhak.

styczna dla naszych budynków dwudziałowych i te dwie narożne, niewysokie, bo wchodzące niejako w mur pod bardzo ostrym kątem. Okryte marną cegłą są już do połowy w gruzach, chociaż śpichrz ten młodszy—zgodnie z powyżej podaną hipotezą — od swego sąsiada; w tabliczce nad oknami jest wyryta data 1838, data restaurowania lub przebudowania, pierwsza 8 jednak jest jakby przerobiona z 6.

Śpichlerz, do którego się obecnie zbliżamy, dążąc do miasta, nie miał szczęścia ani do badaczy, ani nawet do malarzy, jak śpichrz Feiersteina. Poprostu niema o nim nigdzie najmniejszej wzmianki. Schodzi się do pensjonatu „Nadwiślanka" po schodach z ulicy Pułaskiej, leży on bowiem tuż nad Wisłą w przeciwstawieniu do poprzednich śpichrzy. Rzecz zrozumiała, że stawiano je na pewnej wyniosłości, ale jaknajbliżej brzegu: budynki, należące dziś do Feiersteina, Ulanowskiego, i Pawłowskiej, były położone nad samą rzeką, ale z początkiem XVIII wieku Wisła zaczęła łożysko swoje od Kazimierza, a więc i od tych śpichrzy odsuwać (Czekierski l. c.); wobec tego zaś, że „Nadwiślanka" i inne „soły" w ruinach stoją dziś jeszcze w odległości paru kroków od Wisły, więc przypuszczać należy, że pochodzą z czasów późniejszych, właśnie z przełomu między wiekiem XVII a XVIII-ym.

Pierwotną jego postać trudno odtworzyć, głównie wskutek rozmaitych przebudowań, a zachowała się jako tako jedna tylko ściana północna. Wejścia w niej niema, a więc była ścianą tylną, odróżniającą zupełnie ten śpichrz od innych. Innemi słowy strona wchodowa—wbrew opinji Kazimierzan—nie była zwrócona ku Wiśle, co jest specyficzną cechą tego śpichrza. Z właściwej strony frontowej czyli południowej mamy ślady po filarach arkady wejściowej w postaci dwóch stosów gruzu, które odsłaniają część wewnętrzną śpichrza jeszcze nieźle zachowaną.

A teraz przystąpmy do analizy owej ściany tylnej opartej od strony Wisły na szkarpie. Szczyt jest tu równej wysokości, co część dolna, rozłożysty, szeroki i ozdobny; dzieli się również na trzy części, przyczem graniczne mniej skomplikowane, niż gdzieindziej, są pokryte dachówką t. zw. holenderską z cegły nieproporcjonalnie wielkiej. Zamiast sterczyn mamy tu przeginania, wznoszące się falisto w duchu barokowym, dzięki którym przypominają się szczyty domów np. z Leszna (Zubrzycki, Utwór kształtu t. II, rys. 503, 504, 506). Wrażenie domostwa wywierają jeszcze dwa drewniane obramowania okien na osi szczytu, z których jedno większe w pierwszej części fasady zakończone łukiem, drugie w następnej umieszczone kondygnacji czworokątne rozdziela gzems na dwie części. Po bokach tych niezwykłych dla śpichrzy okien widać dwa mniejsze otwory owalne i wyżej dwa okrągłe. Jedno jeszcze takie okienko mamy na samym krańcu szczytu, a poza tem osiem długich szpar w dolnej części ściany. Tutaj wyciosane są na tynku desenie podobne do tych ze spichrza Ulanowskiego, brzydsze jednak i daleko liczniejsze: całą niemal powierzchnię zajmują podłużne paski, złożone z 14 kwadracików i sześć wielkich prostokątów. I tu więc jedynemi motywami zdobniczemi są proste elementy geometryczne, linja pionowa i pozioma, jeno rogi tych trochę chaotycznie rozmieszczonych prostokątów są zakończone dośrodkowemi ćwiartkami koła. Dodać w końcu trzeba, że wskutek spadzistego gruntu podstawa tego 3-piętrowego budynku, a więc i pozostałej ściany jest pochyła. Materjał ten sam, co wszędzie: wapień czerpany z okolicznych gór (śpichrze wykonane z piaskowca znikły z powierzchni ziemi) i cegła.

Anno Domini 1636, a nie 1630, jak twierdzi Czekierski, powstał śpichrz Pawłowskiej przedtem należący do Kobiałki. (Fot. 3). Różni się bardzo od śpichrzy wyżej zbadanych, ale nie znać po nim, by był od nich znacznie starszy (Janowski l. c. str. 200). Pozostały z niego jeno cztery bardzo grube ściany i jedna wewnętrzna, dzieląca go na połowy. Posiada dwa piętra i strych, ale nie opiera się na szkarpach. W ścianie tylnej ma aż 12 maleńkich otworów niesymetrycznie wybitych i rozmaitego kształtu; w ścianach bocznych po pięć okien na piętrze i pięć na parterze, w szczycie zaś frontowym prócz dwóch okrągłych szparek u samej góry, dwa na drugiej kondygnacji i cztery na pierwszej — wszystkie prostokątne z ciemnemi obwódkami na otynkowaniu. Szczyt

Fot. 3.

jest podzielony nie tylko wszerz krajnikami, ale i wzdłuż pięcioma pilastrami boniowanemi, co znaczy, że tynk został pokrajany na tafle wybielanemi rowkami. Pilastry zakończone gotyckiemi ostrosłupkami w miejscu barokowych sterczyn, ślimacznice po kilkakroć skręcone, brak mnogich gdzieindziej przeginań—tworzą całość skromną, ale wytworną. Sztukaterje chroni od zniszczenia cegła, zato część dolna frontowa jest bardzo zrujnowana. Pod nawpół rozwalonem sklepieniem, wysuniętem na przód gmachu, ukazują się piętrowe, murowane schody, które wiodły do jednej strony śpichrza i do drugiej. Sklepienie to porosłe drzewkami pokrywa łukową bramę i dwa mniejsze wejścia po bokach, zupełnie tak jak na wspomnianym wyżej śpichrzu z statuą Pana Jezusa.

Twórcy wszystkich tych śpichrzy nieznani. Dochowały się tylko nazwiska Wojciecha Kalaty i Kaspra cieśli, którzy zbudowali część drewnianą śpichlerza Krzysztofa Norkowskiego w r. 1667 (Łoza, Słownik arch. polskich). Polskość jednak ich stylu nie ulega najmniejszym wątpliwościom, nawet dla tego, kto nie przeprowadzał paraleli między naszemi spichrzami a zagranicznemi. Właścicieli, podobnie jak twórców, bliżej nie znamy. Wiadomość o jednym z Feiersteinów, jako o fundatorze śpichrza z ul. Pułaskiej wydaje mi się legendą, zaś genealogję śpichrza Pawłowskiej podaje Czekierski bez wskazania źródła; wiemy, że niektóre były własnością zakonną np. jezuicką (Wiercieński l. c. str. 42). W każdym razie pierwsi ich posiadacze byli to ludzie bogaci i—kulturalni: ich maksyma brzmiała nie „jakkolwiek bądź, byle taniej", ale „utile cum dulci". Dawne składy zboża w Kazimierzu to nie olbrzymie szopy wielookne, że się posłużę tu Klonowiczem, Gdańska czy Bydgoszczy i nie do nich stosują się słowa Norwida:

Budując śpichlerz, często zapominasz,
Że pożyteczne nigdy nie jest samo,
Że piękne wchodzi niepytane bramą.

Mistrzowie Kazimierscy świadomie wprowadzali to piękno, głęboko tkwiące w ich duszy.

Eugenjusz Land.

RZECZPOSPOLITA—RES PUBLICA.

Przyglądając się tak z boku stosunkom, panującym obecnie w Polsce, nie możemy się oprzeć uczuciu zdziwienia...

— Jakto, więc to jest—Rzeczpospolita?

Garść ludzi prawych boryka się z trudnościami, poświęca życie dla sprawy. Poza tem—wojna wszystkich przeciwko wszystkim?... Obmowa jednych przez drugich?... Wyzysk i zdzierstwo?... Niewiarogodne szwindle?... Oszukiwanie skarbu?... Panamy małego i dużego kalibru?...

. . . . . .

Ustrój republikański, Szanowni Państwo, nie tylko tem się różni od innych ustrojów, że zamiast króla, czy kanclerza, pyskuje parlament.

Parlamentaryzm nie jest takim znów specjałem, ponad który nic lepszego nie upieczono. Przeciwnie! Parlamentaryzm kryje w sobie zarodki wielu niebezpiecznych chorób: niestałość metod rządzenia, chronicznego gadulstwa, patologicznego ambicjonizmu, portfelomanji, wścieklizny wiecowej, etc. etc.

Parlamentaryzm — nawet w oczach zwolenników—jest nietyle *dobrem ostatecznem* — ile *złem koniecznem.*

. . . . . .

I nie w tem leży siła ustroju republikańskiego, że nie partje od ministrów, tylko ministrowie od partji zależą: wszakże da się pomyśleć konkretny wypadek, gdy minister jest łebskim chłopem i świetnym umysłem — partja zaś — zbiorowiskiem idjotów dożywotnich i dziedzicznych.

. . . . . .

Republikanizm wykwitł z zasady wspólności praw i obowiązków, powstających wskutek spółżycia w tak zwanem *społeczeństwie.*

Państwo staje się w nowych czasach własnością całego ogółu obywateli.

Nie jest już groźnym suwerenem, obdzierającym ze skóry poddanych.

Nie straszy po nocach. Nie rabuje na gościńcach. Nie podnosi niesprawiedliwości do hierarchji ustawy!

Res publica—Rzecz pospolita: do wszystkich porówno należy, wszystkich jednakową darzy opieką, identyczne zasługi identycznie wynagradza... Nie stoi o tytuły czy indygenaty!

— Przynajmniej w teorji...

. . . . . .

Z tegoby wynikało, że republikanizm, najdoskonalsza z dotychczas wypróbowanych form politycznych, opiera się przedewszystkiem na wzajemnym szacunku i wzajemnej miłości.

Niepodobna bezpiecznie jechać na okręcie, gdy palacz, zamiast węgla, kładzie pod kocioł—dynamit, gdy sternik kręci naprawo, dyżurny oficer—na lewo, kapitan komenderuje:—naprzód!

A ogół pasażerów kradnie, co mu tylko w łapę wpadnie: krany mosiężne, armatury, liny, żagle, pasy ratunkowe, łodzie...

Jeżeli tam siedzi gdzieś w kącie jeden, lub drugi człek poczciwy, choruje z abominacji, albo wiesza się na własnym szaliku...

. . . . . .

Są ludzie, którzy traktują Polskę, jak gałązkę akacji: oskubują listek po listku, wróżąc: „Kocha—nie kocha"...

Niechby tam!

— Ale poco listki chowają do kieszeni?

Zdzisław Kleszczyński.

REKONSTRUKCJA GABINETU.

Roman Dmowski
minister spraw zagranicznych.

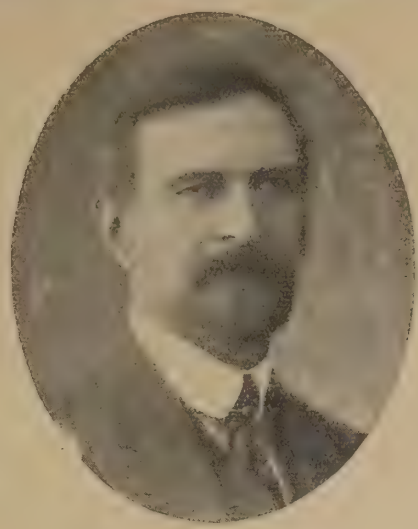

Stanisław Grabski
minister wyznań relig. i ośw. publicznego.

Wojciech Korfanty
minister i zastępca prezesa gabinetu.

POLSKIE MUZEUM MIEJSKIE W BYDGOSZCZY.

Dział mebli antycznych.

W Bydgoszczy odbyła się niedawno bardzo znamienna uroczystość. Było nią otwarcie polskiego Muzeum miejskiego. To słowo „polskiego" trzeba tu podkreślić z szczególnym naciskiem. Bo oto stworzono ogromnym nakładem pracy, w dzisiejszych nader trudnych warunkach, instytucję kulturalną w miejscowości daleko wysuniętej na kresy zachodnie, miejscowości, którą Niemcy stale „urdeutsch" nazywali i gdzie według ich statystyki, niestety niezbyt odbiegającej od prawdy, do roku 1920 dopiero co piąty mieszkaniec posługiwał się językiem polskim.

Od tego czasu nie upłynęły jeszcze trzy lata, a oto fortuna odwróciła się.

Tamowane tak uparcie przez wrogie czynniki źródło polskości tego odwiecznie polskiego miasta, zaczęło znów bić silnym zdrojem i dziś skutkiem emigracji germańskiego żywiołu a napływu Polaków z całego kraju na 100,000 mieszkańców tylko 20,000 posługuje się językiem Hindenburga.

Niemniej skutkiem celowej pracy całego szeregu lat, podejmowanej przez krzyżackiego zaborcę, schludne to i tonące w powodzi zieleni miasto, ma wygląd nie polski, mimo że duch jego wewnętrzny t. j. olbrzymiej większości mieszkańców stał się już dziś serdecznie polskim i wspólną swą Macierz miłującym...

Chcąc takiej właśnie prawdzie dać wyraz, zakrzątnęło się grono ludzi, wysoce obywatelskim ożywione duchem, by stworzyć instytucję, gdzieby rzesze miejscowe znajdowały zawsze otuchę i pokrzepienie serc, a przejezdni świadectwo, że w mieście polskiem się znajdują i że polską zawsze była jego tradycja... Duszą tej zbożnej i wiele trudów wymagającej pracy był niestrudzony zawsze w takich razach prezydent miasta, W. Śliwiński, który znowu w ks. Kleinie, obecnym tego Muzeum dyrektorze, znalazł bardzo dzielnego i fachowego współpracownika oraz pięknych zamierzeń wykonawcę. Dzięki zabiegom tych dwu ludzi mnóstwo osób pośpieszało z darami i depozytami, skutkiem czego Muzeum bydgoskie, pomieszczone w szczupłych na razie ubikacjach Magistratu, przedstawia się już dziś wcale pokaźnie.

Na szczególną uwagę zasługuje stosunkowo bogaty dział wykopalisk przedhistorycznych, których większą część nb. zbierać poczęli już przed laty Niemcy. Chcieli oni w ten sposób dowieść, że oni są tu tych stron odwiecznymi mieszkańcami. Rzetelna jednak wiedza naukowa właśnie w tych ich zbiorach znalazła potwierdzenie, że Germanie byli tu tylko żywiołem napływowym, poza tem znacznie późniejszym a liczebnie bardzo tu nawet nieznacznym. Z tej dziedziny niektóre garnki i „łzawnice" bydgoskich zbiorów są tak cenne, że, jak to stwierdzili znawcy, równie cennych nie posiadają ani zbiory poznańskie, ani nawet Muzeum Narodowe w Krakowie.

Na osobną wzmiankę zasługuje dział zbrojowni, dalej wcale zasobne gabloty z okazami starej porcelany, zwłaszcza „Alt-Meissen", wreszcie galerje obrazów, wśród których nie brak autentycznej starowłoskiej Madonny (dar prez. W. Śliwińskiego), obrazów nagradzanych złotym, paryskim medalem, jak Taljańskiego „Scena Bretońska". Wiele cennych objektów ofiarowała księżna Ogińska z Potulic. Liczba jej darów przekracza cyfrę 30. Niewątpliwie okoliczne dwory pośpieszą za jej pięknym przykładem.

W uroczystości otwarcia bydgoskiego Muzeum wziął udział Min. oświaty Głąbiński, który przy tej sposobności wygłosił piękne przemówienie

Podkreślił on, iż rząd polski zdaje sobie sprawę, czem dla ducha narodu są kresy zachodnie, na które napiera tak uporczywie zachłanne morze niemieckości. Na kresach tych instytucja tej miary, co nowo otwarte Muzeum w Bydgoszczy, tej stolicy Nadnotecia (dawne „Netzegan"), to naprawdę forteca obronna polskości...

Za takie też bezsprzecznie winien ją zawsze uważać ogół całego kraju.

Dr. M. Winiarski.

Gablota z porcelaną starą.

SKON ARTYSTY.

Ś. P. MICHAŁ TARASIEWICZ.

Ze śmiercią Tarasiewicza ubył sztuce naszej wielki talent, poparty smakiem i wysoką kulturą artystyczną. Ten artysta, dla którego miłość dla sztuki nie była czczym frazesem, oddawał bezinteresownie całe swe zdolności i siły dla teatru, pracując nad podniesieniem poziomu sceny narodowej.

Debiutował w r. 1892 w „Zbójcach" w roli Karola Moora, w r. 1899 odniósł pierwszy triumf na scenie krakowskiej za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego, jako wykonawca głównej roli w „Kordjanie" Słowackiego. Było to pamiętne wydarzenie w dziejach teatralnych, rozpoczął się bowiem wtedy najpiękniejszy rozkwit poezji na scenach polskich.

Z właściwą sobie ekspresią i poczuciem poezji oddawał Tarasiewicz liryzm postaci romantycznych w poważnym dramacie. Prócz Kordjana do najszczęśliwszych jego kreacyj należał: „Don Carlos" Szyllera, Zbigniew w „Mazepie", Percinet w „Romantycznych" Rostanda, Sawa w „Śnie srebrnym Salomei", starościc w „Księdzu Marku" i wiele in.

Jako dyrektor artystyczny „Rozmaitości" w latach 1921—22 stał na wysokości swego zadania, popierając głównie repertuar oryginalny, z wielkiego zaś repertuaru „Marję Stuart" Szyllera w nowym przekładzie.

Inteligencja, kultura i talent wysuwały go na stanowiska kierownicze, na których, mając przedewszystkiem dobro sztuki na względzie, potrafił jednak zawsze być dobrym kolegą.

Śmierć tego człowieka nieposzlakowanej prawości w życiu społecznem, zacnego męża, ojca i kolegi, jest stratą nie tylko dla teatru, ale i całego społeczeństwa. Zmarł 16 października r. b.

Z POBYTU PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ W GRODNIE.

Fot. L. Gelgor w Grodnie.

Prezydent Rzeczypospolitej, St. Wojciechowski, w otoczeniu gości na starym zamku w Grodnie.

Prezydent Rzeczypospolitej dokonuje przeglądu wojsk, załogujących w Grodnie.

Z DZISIEJSZYCH NIEMIEC.

Uboga ludność Berlina powraca z „wycieczki podmiejskiej" po zdobyciu kartofli, które sama przewozi w pociągach osobowych. Fot. Fernstädt.

Tłumy bezrobotnych codziennie zbierają się na manifestacje przed ratuszem w Berlinie. Fot. Gr udenz

Demonstracje bezrobotnych kończą się często bójkami z policją, która w wielu razach musi używać broni. Fot. Graudenz.

Przesilenie walutowe, jakie obecnie przeżywają Niemcy, spowodowało szereg kataklizmów wewnętrznych, z pośród których na pierwsze miejsce wysuwa się kwestja bezrobotnych. Tłumy robotników, pozbawionych pracy, wprowadzają zamęt w codzienne życie Berlina i wywołują ostre starcia z policją, nadając miastu charakter rewolucyjny.

Z powodu niepokojów, jakie panują w Berlinie, po ulicach krążą wzmocnione oddziały policji konnej. Fot. Fernstädt.

„Huragan" ogier gniady 6 lat, pełnej krwi po „Prince Rüdle" i „Avers", zwycięzca w biegu dystansowym 370 klm. Jaworze—Łańcut pod rotmistrzem 2 p. szwoleżerów rokitn., Józefem Stawisz-Młodeckim.

POPISY LOTNIKÓW WŁOSKICH NA POLU MOKOTOWSKIEM.

Lotnicy włoscy, którzy przybyli do Warszawy na samolotach, odbywając podróż przez Wiedeń i Kraków, dla wykazania sprawności aparatów, wykonanych w firmach włoskich, dokonali szeregu wzlotów na polu Mokotowskiem. Do najciekawszych należały wzloty p. Ferrarin'a w dniu 24 października r. b.

Jeden z aparatów włoskich przed wzlotem. Fot. Marjan Fuk

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 38)

Szag-dur nie ośmielił się wejść do namiotu Chutuchty, gdzie odbywała się jakaś ważna narada. Polecił słudze, który tam nosił herbatę i kumys z sąsiedniej kuchni, aby wywołał Uń-cy. Uściskał kuzyna, i ponieważ ten nie miał czasu, gdyż właśnie sekretarzował, powiedział mu jedynie, że Władysław Korczak jest tu w Urdze i prosił o uwiadomienie Dordżi Nojona, że przybył umyślnie do niego w sprawie niecierpiącej zwłoki. Un-cy ubrany w żółtą lamajską szatę, ogolony „po mnakonnemu", czuł się trochę dotknięty pośpiechem Szag-dura.

— Nawet mi nie powinszujesz awansu... —zauważył, gładząc dłonią fałdy swojej szaty bogatej.

— Ach, bardzo się spieszę... Już drugi dzień niema Korczaka!

— To ten Polak, kolega z gimnazjum... A gdzież jego siostra?... Rodzice?...

— Siostra w stepie, ale oni tutaj!... Wyobraź sobie, uwięzili ich!...

— Kto? Wołkow?...

— Nie wiem. Pewnie!...

— Jeżeli Wołkow, to źle... Zły człowiek, zły duch barona... Ale opowiedz, co i jak?

— Właściwie sam nic nie wiem... Zresztą długoby opowiadać...Potem. . Przyjdziemy umyślnie do ciebie, albo ty do nas... A teraz wywołaj co prędzej Dordża Nojona... wywołaj zaraz... Czuję, że każda chwila droga... Cały dzień dzisiaj ich szukam, już niedługo wieczór...

— Tak, tak... Jeżeli to Wołkow, to trzeba się śpieszyć... Trudno będzie od niego człowieka wydostać!... On szybko się załatwia!... Ciach i koniec.

Pokazał ręką uderzenie miecza. Szag-dur spochmurniał.

— Idź więc zaraz, idź!...

Uń-cy kiwnął mu głową i skoczył z powrotem do namiotu. Po chwili wyszedł Dordżi Nojon, wysłuchał opowiadania i głową parę razy potrząsł.

— Z Wołkowym ciężka sprawa. Co chce robi! Ma u barona posłuch... Nie chciałbym z nim zadzierać... szczególniej teraz, kiedy baron szykuje się do wojny.

— Ale nie możemy przecież dopuścić, żeby ich skrzywdzili!... Ja ich znam, ja za nich ręczę... Pewnie ich oskarżają, że są bolszewikami, szpiegami... Tymczasem wuj wie doskonale...

— Wiem, wiem!... Ale tu się dużo rzeczy robi takich, o których wszyscy wiedzą, że są niesprawiedliwe... Może się jednak da coś zrobić... Można sprobować!... tylko ostrożnie!... Baron bardzo się zainteresował tą „darichu" a to przecież siostra tego Korczaka... Może to nawet z jej powodu go wzięli... Może Diurbiutcy dali łapówkę Wołkowowi, żeby „darichu" wciągnąć w tę awanturę, że skoro nam jej odebrać nie mogą, bo ona jest naszą zdobyczą, to ją zniesławić, splugawić, żeby nikt jej nie miał...

— Co ty mówisz!... Co za podlecy!... Właśnie słyszałem dziś w mieście, że wybierają się do twojej stawki, Nojonie, całe tłumy, żeby zobaczyć „Niebieską Dziewczynę" i żelaznego ptaka, co do niej przyleciał!... — wstawił Bain Dzirgil.

— Tego brakowało!... Chodźmy poradzić się Chutuchty!... To głowa, on znajdzie sposób!...—rzekł nagle stanowczo Dordżi Nojon, wchodząc z powrotem do namiotu.

Szag-dur udał się za nim, Bain Dzirgil pozostał z innemi sługami na dworze.

Książęta i znamienici Mongołowie, którzy, siedząc w kole na poduszkach, raczyli się herbatą i palili fajki, udali, że nie zauważyli ani zniknięcia i powrotu Dordżi Nojona, ani cichej jego rozmowy z gospodarzem. Gawędzili dalej o rozmaitych sprawach, łakomie nasłuchując, czy nie dobiegnie ich jaka nowa, niesłychana plotka lub wiadomość. Rozmowa obracała się głównie koło projektowanej przez barona wyprawy na bolszewików i „żelaznego ptaka", który spadł u nóg „Białej Darichu" i miał zostać niedługo przewieziony do Urgi.

— Baron zwołuje wielką naradę w sprawie tego ptaka!...—zauważył jakiś wysoki lama w czerwonej chlamidzie.

— Wszystko to drogo kosztuje... I ta wyprawa na bolszewików też będzie drogo kosztowała, a jaka z niej będzie korzyść, niewiadomo!...—odparł otyły Mongoł w jedwabnym granatowym chałacie.

W tej chwili Dżał-chan-cy niepostrzeżenie zrobił znak Dordżi Nojonowi, aby obaj z synowcem wyszli. Po chwili podążył za nimi i sam Chu-tuch-ta.

Wysłuchawszy opowiadania Szag-dura, długo milczał.

— Istotnie, coś w tem jest niezrozumiałego, że ich zatrzymali i teraz ukrywają... Niema rady, trzeba iść do barona... Nikt inny nic tu nie poradzi... Może nawet lepiej, może na tej sprawie właśnie Wołkow się potknie i Dziańdziuń się przekona nareszcie, jaki to z niego... przyjaciel!... Ale trzeba działać ostrożnie... Zaraz po „sulilganie" (naradzie) pojadę do barona... Dobrze będzie, jeżeli pojedziesz ze mną!... —zwrócił się do Dordżi Nojona.

Ten miął w palcach guzik swego chałata.

— Skoro wasza wielmożność tam będzie, to co znaczy moja obecność?... — odrzekł ostrożnie.

Dżał-chań-cy uśmiechnął się dobrotliwie.

— Dobrze. Pojedzie ze mną Szag-dur. Muszę mieć kogoś pod ręką, kto dokładnie zna szczegóły sprawy...

— Bardzo chętnie!... — zgodził się Szag-dur.

Dordżi Nojon spojrzał na siostrzeńca ciekawie, z większym niż dotąd szacunkiem.

XII.

Gdy Dżał-chan-cy Chu-tuch-ta przedstawił sprawę zaginionych baronowi, ten się wściekł, twarz mu pobladła, oczy wyszły z orbit, rude wąsy nastroszyły się jak u pantery. Wysłał kozaków, aby sprowadzili mu natychmiast Wołkowa, gdziekolwiek go znajdą. W oczekiwaniu na winowajcę wyskoczył przed jurtę i, chodząc wielkiemi krokami tam i napowrót z rękami w kieszeni, mruczał przez zęby:

— Wszystko się wciąż rozpada!... Mieć takich pomocników!... Dokoła zdrajcy, łotry, oszuści... Co można począć z takimi ludźmi?... Świat przebudowywać?! Ha, ha, ha!... Ja ich jednak nauczę, ja ich nauczę!... Złamię, zegnę... Na nikogo i na nic nie będę zważał... Albo, albo!... Jeżeli ma być tak jak jest, niech giną, niech się wali!...

Przewielebny Dżał-chan-cy z Szag durem pozostali w jurcie i, siedząc w głębi w milczeniu, spoglądali z ciekawością i niepokojem na migającą w otworze drzwi figurę Dziań-dziunia. Rosyjscy oficerowie cofnęli się ostrożnie do namiotów sztabowych. Na zewnątrz pozostało jedynie paru żołnierzy i podoficer ze straży przybocznej Dziań-dziunia, opiętych w granatowe nowiutkie mundury, doskonale uzbrojonych, nieruchomych, wyciągniętych jak struny i śledzących posłusznemi oczami żołnierzy ruchy rozgniewanego naczelnika. Gdy wreszcie pojawił się Wołkow, baron rzucił się ku niemu z zaciśniętemi pięściami i zdawało się, że go uderzy:

— Kanaljo... rozstrzelam... dość tego... Śmiesz....—padało ze spienionych ust Niemca.

Twarz Wołkowa pożółkła jak wosk, wyciągnął się nieruchomo z ręką przy daszku, lecz w oczach grały mu zielonawe, cokolwiek ironiczne ogniki. Milczał i dopiero, kiedy zmęczony baron znowu zaczął chodzić szerokiemi krokami tam i napowrót, zapytał głosem zimnym:

— W każdej chwili, ekscelencjo, gotów jestem oddać życie w dowód mojej wiernej służby... Ale przedtem niechże się dowiem przynajmniej za co mam zginąć?...

— Aresztowałeś ludzi, których kazałem zaliczyć do mojej gwardji i otoczyć opieką... Psujesz mi wciąż plany... Robisz wszystko według swego widzimisię, jakby na przekór... To się nie pierwszy raz zdarza!... Kanaljo. Mam tego dość... Koniec!...—znowu zaczął gorączkować się baron.

— Policja aresztuje codzień dziesiątki ludzi... Nie wiem, o co chodzi...

— No ten... ten... Brat tej Polki...

— Ach, brat Polki!...—przeciągnął Wołkow z krzywym uśmiechem.—Istotnie zatrzymano go, gdyż podał fałszywe nazwisko... Tu są tacy, co znają prawdziwe jego nazwisko, więc kazałem go zatrzymać do wyjaśnienia... Oni przyszli od bolszewików... Dużo tu takich!...

Baron uspokoił się nagle, wszedł do jurty, zawołał na Wołkowa i kazał mu powtórzyć oskarżenie.

— Cóż w takim razie to znaczy?... Dlaczego ukryli swe nazwiska? Ręczyliście za nich!...—zwrócił się do Dżał-chan-cy.

Ten zmieszany spojrzał na Szag-dura.

— Nazywają się Korczakowie, ojciec ich był sędzią w mieście, gdzie uczyłem się w gimnazjum... Znam ich dobrze... Uczciwi i zacni... Rodziców im zabili „bolszewicy", cała rodzina walczyła z nimi... Nie może być mowy o jakiejkolwiek zdradzie... Ręczę jak za siebie!...— powtórzył młodzieniec, drżącym od wzruszenia głosem.

Baron cały czas świdrował go oczami.

— Uwolnić!...—burknął wreszcie do Wołkowa.

— Zostawić w mieście, czy wysłać do ułusów?—spytał ten.

— Zaliczyć do mojej straży przybocznej!... Powiedziałem już!... huknął znowu baron i odwrócił się plecami do Wołkowo.

— Daruje, Wasza Przewielebność, moje uniesienie...—zagadał już zupełnie spokojnie do Dżał-chan-cy.—Ale na każdym kroku trafiam na podobne przeszkody... Ludzie nie umieją słuchać, nie umieją wykonywać rozkazów... Muszę mieszać się do każdego drobiazgu i te drobiazgi zabijają mię, duszą, gubią... Nie mam czasu na rzeczy wielkie, a te płyną, nabiegają jak chmury burzliwe... Trzeba je uprzedzić... tymczasem muszę tracić godziny na rzeczy, których być nie powinno... muszę tracić siły... Wszędzie sam, zawsze sam!... Wasza Przewielebność widzi... Takie głupstwa! Zwykła omyłka, zbytnia służbistość...—rozśmiał się.

Dżał-chan-cy Chutuchta kiwał uprzejmie głową.

— Tak, tak!... Stała się omyłka... Nic wielkiego!... Szag-dur, idź z oficerem i dopilnuj, żeby znowu co nie zaszło!...—zwrócił się łagodnie kapłan do burjata.

Ten czekał tylko na ten rozkaz, zerwał się i, kłaniając nisko wielekroć dostojnikom, wycofał tyłem z jurty. Wtedy baron przysiadł się bliżej do Chu-tuch-ty.

— Cała ta awantura...—zaczął głosem cichym i wnikliwym—wcale nie jest tak błahą, jak się na pozór wydaje... Przedewszystkiem, jakby to wyglądało, gdyby rozeszło się wśród krajowców, że aresztowany został przez naszą policję brat dziewczyny, dookoła której zaczyna narastać korzystna dla nas legenda. Bez egzaltacji, bez religijnego podniecenia nie wytrzymamy tej walki... Jużeśmy o tem mówili...

Chu-tuch-ta kiwnął głową.

— Musi wzrosnąć pobożność i cnota!...—szepnął, poruszając różańcem. Jego Świątobliwość Bochdo-Gegen codzień to powtarza i wciąż zasyłamy o to modły do Dobrotliwego...

— I on właśnie przybywa nam z pomocą, przyjąwszy obraz tej złotowłosej dziewczyny.. Z dwóch stron napływają chmury: z Rosji i Chin. Gdy złączą się, padnie piorun, który zniszczy wszystko w górach i stepach ojczyzny twojej, Przewielebny... Wszak ich znasz?!... Nic przed nimi nie ujdzie, nie ukryje się, zostanie jeno piasek, ruiny klasztorów, kości bydląt i trupy czarnogłowych pasterzy... Czy tak już nie bywało?...

— Bywało!... Zostało ledwie tyle, co na nasienia dla wieków...

Teraz będzie gorzej, bo świat cały zatrząsł się w swoich posadach... Zło i Dobro po raz ostatni walczą o Władzę nad światem... Czy nie giną państwa?... Czy głód, śmierć, choroby, pożoga nie lecą z wichrami?... Czy ludzie nie jedzą już własnych trupów i nie wyją na polach, jak wilki?... Nadchodzi dzień, kiedy Wschód i Zachód zewrą się z sobą, jak dwa oszalałe byki... Kto wtedy uratuje Duszę świata?... Kto poniesie naukę miłości między nieszczęśliwe narody, jeżeli wyznawcy Dobrotliwego zostaną przez szatana starci z oblicza ziemi?... Kto sprzymierzy się z siłami błogosławionej Aharty i utrwali panowanie Wielkiego Nieznanego... Czyż mamy wszyscy skryć się w pieczarach Goro, a w krajach słonecznych pozwolić rządzić złu lub zostawić je niemym cmentarzem?... Czy nie szkoda ci lśniących śniegami gór i zielonych dolin Twojej Ojczyzny, których nikt już z żyjących więcej oglądać nie będzie... Nikt już przenigdy nie poczuje tu zapachu kwiatów i nie rozśmieje się śmiechem radości życia?...

— Wszystko to napisano w księgach!...—odrzekł z przejęciem lama.

— Wiem, że wiesz wszystko, Świątobliwy. Chciałem ci to tylko przypomnieć, abyś zrozumiał słowa moje i myśli moje... Pochodzę z krajów umarłych dla ducha, lecz przeznaczenie chciało, abym poznał naukę Dobrotliwego i stał się narzędziem jego celów. Otóż znam ja siły, które idą na nas i wiem, że zniszczenie jest ich istotą... Czekać na nie, znaczy zginąć... Trzeba uprzedzić je i uderzyć na nie w ich gnieździe w imię powszechnej Błogości i Zgody... Będzie to ostatnia wojna, po której zapanuje wieczna Szczęśliwość i Pokój...

— Tak napisano w księgach!...—przyznał żarliwie Chu-tuch-ta, potrząsając trzymanym w ręku różańcem.

— Dlatego wszystko dozwolone i przebaczone jest w tej walce... Ale muszą iść na nią ludzie olśnieni Wiarą i Nadzieją, Wiedzą Najwyższą i Ofiarą... Dlatego potrzebna nam jest ta Święta Dziewczyna, w obrazie której zstępuje do nas sam promień Najwyższego Ducha... Dokoła niej skupią się plemiona Mongolji a potem narody Azji, a potem państwa świata... A zacznie się to od Rosji... Tyś nie dostrzegł tego, Świątobliwy, gdyż nie wiedziałeś, że pojawienie się jej nastąpiło niedługo po wymordowaniu rodziny Cara Białego, mego Cara... którego ja znałem... Widziałem złoty dyplom przyniesiony jeszcze przed wojną od Dalaj-Lamy z Lhasy... Przyniósł go twój krewny Chamba Akwan Dordżiew...

— Tak, tak!... Tak było!...—przyznał Chu-tuch-ta.

— Wcielenie po wieki wieków przyznawało się tem pismem świętem rodzinie carskiej... Czyż mogła zginąć?... Nie!... Uważ jak bardzo ta niby to Polka podobna jest do córki zabitego Cara... Ocalona uszła śmierci, bezwiednie uniesiona przez ducha Aharty... W tem jest tajemnica nieznana nawet jej samej!... Teraz rozumiesz dlaczego chcę uderzyć przedewszystkiem na Rosję...

— Niezupełnie. Pamiętam tylko, że potężni chanowie i wodzowie nasi zawsze uderzali przedewszystkiem na Chiny i, utrwaliwszy się tam, czerpali ze skarbów i ludów chińskich moc na zdobycie reszty świata...

— Tak było, ale teraz musi być inaczej. Chiny nie dadzą nam tego uzbrojenia, tych środków, tych maszyn, bez których zdobycie świata jest dziś niemożliwe... Wszystko to znaleźć możemy jedynie w miastach rosyjskich... A zdobyć je będzie nietrudno... Tam mają dosyć rzezi i głodu... Tam czekają wszyscy słowa wybawienia... Gdy dowiedzą się, że córka ich prawego władcy, cara Mikołaja, cudownie ocalała, idzie zdobywać tron swój dziedziczny na czele zwycięskich wojsk, wszyscy przejdą z radością na naszą stronę... Poddadzą się miasta, przyłączą armje, uznają chłopi i robotnicy, gdyż wszyscy oni mają i mieć będą po wieki wieków miłość do „Białej Darichu" zasianą w ich sercach przez Dobrotliwego... Rozumiesz mię, Świętobliwy?...

— Rozumiem, lecz uważam, że trudno będzie do tych wielkich planów skłonić Bochdo-Gegena... Znasz go, jak stał się ostrożny od czasu chińskiej niewoli...

— Z której go wybawiłem!... — przerwał z dumą baron.

— On to pamięta i dlatego ty jeden przekonać go możesz...

— Nie, Przewielebny Dżał-Chan-Cy!... Ja go przekonać nie mogę w sprawach ziemskich, w planach wojskowych, lecz w rzeczach ducha ty jeden masz tam głos...

Dżał-Chan-Cy westchnął.

— Słowa są jak bąble wody, a czyny, jak krople złota!... Postaram się zrobić, co można i przygotować Świątobliwego — dodał, wstając.

— Musicie postanowić co rychlej, co zrobić z dziewczyną. Nie można zostawić jej na stawce Dordżi Nojona, gdzie każdy głupiec z łatwością ogląda jej oblicze...

— Dobrze, dobrze!... Zastanowimy się!... Postaraj się być na następnej Radzie!...

— Postaram się!... Pobłogosław mię, Świątobliwy!... — prosił baron, pochylając swoją krótko ostrzyżoną głowę pod rozpostartą, ozdobioną różańcem dłoń kapłana.

XIII.

— Jest list, list od Szag-dura!...—wołała Hanka, biegnąc pośpiesznie ku Domickiemu, który pracował koło swojego aparatu, przygotowując go do rozbiórki i przewózki.

Otaczała go gromadka Mongołów i parę starych bab, przyglądających się z natężoną uwagą każdemu ruchowi „powietrznego czarownika".

Na głos Hanki wszyscy zwrócili się w jej stronę. Domicki położył narzędzia i zrobił krok ku niej.

— Cóż pisze?...

— Wyobraź pan sobie, Władek i Maciej zostali aresztowani i przesiedzieli w więzieniu razem z „chunchuzami" i złodziejami półtorej doby... Z trudnością ich odszukano, gdyż nikczemny Biełkin zapisał ich pod innem nazwiskiem...

— Któż to Biełkin?

— To ten zarządzający kopalniami złota o którym opowiadaliśmy panu...

— Acha, przypominam sobie. Ale wszystko skończyło się pomyślnie?...

(*Dcn*)

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

(7)

Miała już nawet swój zwykły głos, kiedy go zapytała:

— Co mama pisze?

Z początku Jakób sam dobrze nie wiedział co. Bo jeżeli się listy czyta w roztargnieniu, to mają zawsze taką samą treść. W listach tak jak w życiu: dobrze, źle, znowu dobrze!

— Eugenji się dobrze powodzi — mówił, wahając się—ale czasem także i źle. Pensjonat jest bardzo drogi. Mieszka w Montreux.

Dopiero w kilka godzin później zbudził się w nocy, co mu się zresztą nigdy nie zdarzało, i miał to niewyraźne uczucie, jakgdyby przecie coś ważnego przeoczył w liście Eugenji.

Wtedy wstał, zaświecił światło i przeczytał jeszcze raz list uważnie.

Już na drugiej stronie znalazł zaraz następujący ustęp:

„Dopiero teraz widzę, moje drogie dziecko, jak dobrze twój ojciec rachował i gospodarował pieniędzmi. Bo, widzisz, ja nie umiem rachować. Pensjonat, w którym mieszkam, ma być tani, ale dla mnie jest coraz droższy. Moje drogie dziecko, także i w tym miesiącu nie mogę nic posłać inżynjerowej...

— Także i w tym miesiącu... A więc i w zeszłym Eugenja nic nie przysłała...—Jakób poczerwieniał. Kto w zeszłym miesiącu zapłacił tę sumę? Inżynjer?

Tak jest, inżynjer. Wtedy on, a teraz majorowa... Wszyscy starali się uiścić tę kwotę za jego utrzymanie, żeby Leopoldyny nie niepokoić. Wszyscy—tylko on sam...

Namyślał się, patrząc ponuro.

Ale nie długo. Już po kilku minutach wiedział, że będzie dawał korepetycje i że sobie sam zarobi te pieniądze, których potrzebował dla inżynjerowej. I znał już nawet swego pierwszego ucznia. Był to ten sam, który zbierał marki i w klasie nie był znany pod innem nazwiskiem, tylko „bogaty Piotruś", w naukach szło mu źle, szczególnie z fizyką i matematyką, a jego matka, żona dyrektora banku, pytała się raz Jakóba, czy nie ma wolnych godzin na dawanie prywatnych lekcyj?

— Ja nigdy nie wam wolnego czasu—odpowiedział jej dumnie.—Mój zawód, elektrotechnika daje mi zawsze dużo do roboty.

Ale teraz elektrotechnika musiała poczekać ze dwa lata.

Kiedy Jakób powziął to postanowienie, położył się znowu do łóżka i zasnął w tej samej chwili.

XII.

Przy końcu swego pobytu w Montreux, Eugenja miała nieprzyjemności z tą panią, u której mieszkała w pensjonacie. Wydawało się jej, że jeszcze nigdy w życiu nikt się z nią tak źle nie obszedł. Zirytowała się tak bardzo, że musiała to koniecznie komuś opowiedzieć. A ten „ktoś" był najmilszym gościem w całym domu, jeszcze młody, bardzo blady pan z czarnym wąsikiem i siedział przypadkiem przy niej przy stole.

— O, to bardzo nieprzyjemnie—rzekł ze współczuciem, a jego skronie zaczerwieniły się wyraźnie z żywego zainteresowania—to bardzo nieprzyjemnie, że sobie nasza gospodyni pozwoliła na tego rodzaju zachowanie wobec takiej osobistości, jak pani... czy użyła bardzo silnych, jeżeli wolno zapytać, albo może obrażających wyrazów?

Eugenja przerwała mu niecierpliwie:

— Wyrazów?... Tego jeszcze brakowało... tak dalece się nie zapomniała, ale czy pan mnie nie rozumie? Jej ton, jej cały sposób był tak zimny, zły, nieprzyjemny...

— Czego ona właściwie chciała?

— Mój Boże, mówiła, że patrzyła do swoich ksiąg i spostrzegła, że moje rachunki z ostatnich tygodni nie były zapłacone. I dodała: „To się musi załatwić bez zwłoki". Czy słyszał pan coś podobnego? „musi" i „bez zwłoki"! Do tego nie jestem przyzwyczajona... Nikt nigdy wobec mnie nie pozwolił sobie na nic podobnego.

— Rzeczywiście, bardzo nieprzyjemnie... Ale niechże kochana pani udowodni jej zaraz, że to pomyłka.

— Jakto? To nie jest pomyłka.

— O, pani żartuje... Nie?... to bardzo nieprzyjemnie. W takim razie niech pani to zaraz wyrówna.

— Nie mogę.

— Hm...

Zamilkł ze zdziwienia i bezradności.

— Kiedy zwróciłam jej uwagę na mój koncert, który się ma odbyć niedługo... powiedziała...

Eugenja przestała na chwilę mówić z irytacji.

— ...powiedziała, że każdy koncert jest ryzykiem. Mnie coś takiego... Z mojem nazwiskiem!... Ryzyko!

Teraz sąsiad powinien był powiedzieć coś, coby się równało znaczeniu „niesłychane", albo „nie do wiary". Ale nie uczynił tego. Tak, ten człowiek, którego tytułowano profesorem, milczał zawsze wtedy, kiedy się oczekiwało, że przemówi. Wtedy Eugenja rzuciła nóż i widelec na stół i oddaliła się zirytowana.

Ten nagły sposób wychodzenia miał Jakób zdaje się po matce.

Dla przyzwoitości profesor zajmował się jeszcze swoim omletem, ale zbladł. Bo zdecydował się właśnie na ważny krok. Chciał po table d'hôte pójść do śpiewaczki i powiedzieć:

— Składam do stóp pani mój majątek.

Przez godzinę był napróżno w największym niepokoju. Napróżno, bo kiedy zapukał do Eugenji—pokój był pusty. Pomimo irytacji nie mogła sobie odmówić pojechania, jak codziennie, na przechadzkę okrętem... Robiła to tylko dlatego, żeby nakarmić mewy, które lubiła namiętnie.

Dopiero następnego dnia koło południa zobaczył ją siedzącą z książką nad jeziorem. Zbliżył się do niej z wewnętrznym dreszczem i już chciał zacząć:

— Składam do stóp pani mój...

Ale Eugenja poruszyła w powietrzu ćwiartką papieru jak chorągiewką i wołała:

— Niech pan popatrzy, mam tu coś od mego haskiego agenta, najporządniejszego w Europie.

List? — zapytał profesor z wymuszonym uśmiechem.

— Lepiej. Czek na dwa tysiące franków...

Profesor milczał.

Nie cieszy się pan ze mną? — pytała znowu prawie zirytowana.

Było mu doprawdy ciężko się cieszyć. Bo przez ten czek w jej ręce, nadarzająca się sposobność była zepsuta. Chwilowo nie potrzebowała już jego majątku.

Wieczorem zdarzyła się pomyślniejsza sytuacja. Niebo było zachmurzone a jezioro prawie czarne. Eugenja siedziała w swoim koszu, okryta szalem, poważna, samotna, melancholijna.

— Moje życie stało się bardzo smutnem —mówiła cicho.

A on powiedział, a było to dla niego samego niespodzianką:

— Chcę się rozwieść z moją żoną.

Chłopiec z długim drągiem zbliżył się do ich miejsca i z trzaskiem zapalił dużą gazową lampę ponad ich głowami.

Teraz Eugenja siedziała ciekawie naprzód pochylona, a twarz jej była raczej zaróżowiona niż melancholijna.

— Co? Pan ma żonę?—pytała.—Dlaczego mi pan dopiero teraz mówi o tem? Dzieci także?

— Tak.

— Ile?

Była niemożliwie dokładną. Tak, a teraz musiał odpowiedzieć:

— Troje. Dwie dziewczynki i chłopiec.

— Nie, wie pan!...

Eugenja patrzyła na niego z takiem naprężeniem, że się aż zmieszał.

— I naraz chce się pan wyrzec swojej rodziny...

— Tak, chcę.

— Dlaczego?

— Bo... bo ja...

Eugenja, która mu patrzyła w oczy, odgadła zaraz co chce powiedzieć... Schyliła naraz głowę, jakgdyby miał paść strzał.

— Bo kocham panią — powiedział poprostu.

Byłaby się głośno roześmiała z nerwowości, ale on ciągnął dalej, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

— Bo bez pani nie mogę żyć. Czuję to. Nie kochałem dotąd jeszcze żadnej kobiety. Dotychczas nie wiedziałem co to szczęście. Pani jest pierwszą.

Teraz nie słuchała go już dłużej. Lolo stanął przed nią w duszy jak żywy. Taki prawdziwy, jak gdyby mówiła z nim przed chwilą. I wyraźny fizyczny ból przeniknął jej serce.

— Co pan mówi za głupstwa!—krzyknęła prawie brutalnie na delikatnego profesora, a oczy jej napełniły się łzami.

Już w następnej chwili uspokoiła się. Jego zdumienie było politowania godnem.

— Widzi pan, z Lolem byłoby mi się nigdy nie zdarzyło coś podobnego—powiedziała już prawie pogodnie.—Szkoda, że nie spotkali-

śmy się nigdy, dopóki Lolo jeszcze żył! Przy nim byłam całkiem inną kobietą.

— Kto to, Lolo? — spytał trochę sztywnie.

— Już go niema! Ale był dobrym, wyjątkowym, jedynym człowiekiem — mówiła już znowu gwałtownie.

Ale zaraz potem mogła się znowu śmiać.

— Pan należy zdaje mi się także do tych ludzi, którzy nas, kobiety, przeceniają. Mówiła to prawie w tonie towarzyskiej konwersacji. Ale ja panu powiem prawdę o sobie. Ja zawsze jestem zależną od tego mężczyzny, który właśnie jest. I muszę się panu przyznać, że z Lolem podobałam się sobie więcej.

— Niż ze mną?—spytał ponuro.

— Z panem nie jestem wcale... I nawet nie chciałabym próbować... Proszę, niech pan siedzi... To wyjdzie panu tylko na dobre, jeżeli ja panu dam kosza... Ale dla mnie to jest w każdym razie nadzwyczaj pochlebne. Niech pan mną nie pogardza, ale miałabym ochotę panu powiedzieć: Mój panie, pana oświadczyny przynoszą mi zaszczyt... Bo kiedy się wczoraj czesałam, miałam w lustrze prawie czterdzieści lat.

W istocie miała także czterdzieści lat. Mimo to profesor rzekł uporczywie:

— Dlaczego ma mi to wyjść na dobre?

— Bo jako pana żona zachowywałabym się z pewnością zawsze tak, jak wczoraj podczas lunch'u.

— Jeżeli pani nie zostanie moją żoną... to... to...

Eugenja nadsłuchiwała z zainteresowaniem.

— ...całe moje życie jest zniszczone.

Eugenja odwróciła głowę, rozczarowana.

Lolo byłby powiedział: „Z pani powodu w łeb sobie strzelę" myślała z żałością.

Teraz znowu przyszedł na nią jej elegijny nastrój.

— Kiedy Lolo jeszcze żył—mówiła—ja także żyłam. A teraz? Co ze mnie zostało?... Czy mam jeszcze mój dawny głos? Nie wiem. Dawniej wierzyłam w siebie, teraz wydaje mi się mój przyszły koncert w Genewie, jakgdybym szła na stracenie... Nie ogłoszę tego nawet w gazetach, bo nie mam nikogo ktoby mi wszystko ułatwił. O, Lolo już kilka tygodni przed koncertem wszystko przygotował, o każdy drobiazg sam się troszczył...

Profesor szarpał zirytowany swój przystrzyżony wąsik.

— To co robił ten jakiś Lolo, inni także potrafią...

Nie powiedział tego ani za głośno, ani złym tonem.

A jednak Eugenja zerwała się oburzona.

„Ten jakiś Lolo"?...—powtórzyła—pan mówi: ten jakiś Lolo?... Mam pana dosyć. Kto sobie pozwala mówić w ten sposób o moim mężu... A gdybym była mówiła o moim kochanku?—spytała Eugenja z bolesną ironją.—Ach gdybym tylko była mówiła o moim kochanku...

Zaśmiała się tak ostro, jak tylko mogła. Robiło jej to przyjemność śmiać się tak wspaniale.

Za to profesor miał mniej dobre wyjście. Ukłonił się za prędko i zanadto niezgrabnie. Musiał nawet jeszcze raz się wrócić, żeby zabrać swój kapelusz, który zapomniał na jakiemś krześle.

A Eugenja myślała jeszcze ciągle o Lolu. —Tak, on był zazdrosny. Dlaczego nie? Każdy mężczyzna jest zazdrosny. Tylko dlatego robił mi pewne trudności, kiedy chciałam wstąpić do opery. A w teatrze byłabym teraz szczęśliwą. Ale ja musiałam odgadywać jego zazdrość. Nie pokazywał jej nigdy tak bezwstydnie otwarcie, jak teraz profesor. Jego manjery były skromne, ale arystokratyczne, poprostu można powiedzieć—artystyczne.

Profesor przez długi czas przestał egzystować dla niej. Ale był jak cień, nieodstępny w swej miłości. Nie można się go było pozbyć, jeżeli się pokazywało obojętność. Jego próżność była mniejszą niż jego namiętność. Poniżał się.

W każdym razie radość życia u Eugenji podniosła się bardzo. Bo oto znalazł się znowu ktoś, kogoby można nazwać wielbicielem. W lustrze w oczach robiła się młodszą. Nie mogła sobie odmówić, żeby nie kupić paru drobnostek, które się jej podobały u jednej modniarki. Potem jej bogactwa stopniały naturalnie i było niemożliwem posłać inżynjerowej przynajmniej połowę tej sumy, którą jej była winna za Jakóba. Pozostawało jej tylko to, czego potrzebowała na czas najbliższy.

Profesor przyszedł z wiadomością, że rozpoczął już przygotowania do koncertu w Genewie.

Pan Bóg wie, co on sobie pod tem wyobrażał. Kiedy kazała sobie przynieść gazety, znalazła tylko w jednej coś w rodzaju notatki reklamowej, krótką, rzeczową, suchą, niepozorną.

Profesor pokazywał dumnie na słowa: „La celèbre cantatrice".

Eugenja uśmiechnęła się na to z politowaniem, tak jakby się był uśmiechnął—Lolo.

— A zresztą?—spytała ciekawie.

— Zresztą... sala jest zarezerwowana.

Pytała przygnębiona:

— A zresztą?

— Naturalnie... afisze... Wielkie afisze na wszystkich rogach ulic. W biurze proponowali mi niebieskie... udało mi się uzyskać czerwone...

Eugenja westchnęła.

Ale właścicielka pensjonatu nie była zupełnie zadowolona.

Eugenja dawała jej swój naszyjnik z pereł tymczasem zamiast pieniędzy. Ale ona potrząsnęła impertynencko głową:

— Te perły są sławne—oburzyła się Eugenja—trzy razy mi je ukradziono.

Na właścicielkę pensjonatu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

— Bardzo mi żal, madame, ale te perły są fałszywe.

Eugenja musiała jej wszystko oddać z biżuterji, co posiadała.

Od tego czasu codziennie przybywało jej lat w lustrze. Podczas jej ostatniej i najdłuższej przejażdżki okrętem po jeziorze, stała się wprost sentymentalną, na widok mew krążących nad statkiem.

A najstarszą czuła się wieczór w dzień swego koncertu w Genewie. W wielkiej, chłodnej sali siedziało mniej więcej trzydzieści skromnych postaci. „La bataille sur Marne" krzyczeli na ulicy chłopcy, roznoszący gazety.

— To są dopiero przezemnie rozdane wolne bilety—chwalił się profesor — większość przyjdzie później.

Większość nie przyszła nigdy.

Eugenja pocieszyła się dopiero, kiedy w parę dni później uściskała swego syna na dworcu.

Jakób był już mężczyzną.

Duży, silny i, jak się matce wydawało, poprostu uderzająco piękny.

— To jest nagroda za te wszystkie gorzkie chwile, które teraz znosiłam—rzekła ze łzami w oczach.

Poczem Jakób zapytał:

— A twoje pakunki?

— Zostawiłam je w Genewie.

Zostawiła je tam w tamtejszym wspaniałym hotelu. Nie trzymając nic w ręce prócz małej torebki, stała tak swobodna i dziwnie młoda—podróżna z bajki.

— W tych strasznych czasach nie jest wcale praktycznie jeździć przez granicę z kuframi—oświadczyła i wierzyła sobie samą na słowo.

— Wobec tego nie potrzebujemy powozu —zauważył Jakób.

— Prawda—powiedziała ucieszona i wsunęła rękę pod jego męskie ramię.

Szli piechotą.

— Ale gdzie?—chciał Jakób stwierdzić zaraz.

Trzeba się było zorjentować w sytuacji.

Do inżynjerowej Eugenja nie chciała iść w żaden sposób, co Jakób zdawał się rozumieć.

— Pojadę jutro do St. Paul, a dziś przenocuję w...—zawahała się — w jakiejś gospodzie. Wiesz, moje dziecko, wolę ci otwarcie powiedzieć, że jestem w położeniu...

Na to Jakób zdawał się czekać.

— Koszta ja ponoszę—oświadczył z dumą—możesz spokojnie przenocować w tym samym hotelu, jak wtedy z Lolem.

Jeżeli się miało takiego syna, można było jak w dawnych dobrych czasach wysiąść w hotelu, zaraz obok tego ładnego domu z czasów trzydziestoletniej wojny.

— Jestem teraz nauczycielem u jednych miljonerów—tłumaczył Jakób w pokoju hotelowym, gdzie pili tylko herbatę, nie mając widocznie apetytu.

A Eugenja słuchała go wzruszona aż do północy.

(*Dcn*)

Widok zewnętrzny fabryki konfekcji męskiej „Industria" w Bydgoszczy.

„INDUSTRIA".

(z cyklu „Bydgosko-Pomorski przemysł i handel).

Fot. W. Wojucki w Bydgoszczy.

Pierwszem przedsiębiorstwem fabrycznem na wielką skalę, które na Pomorzu z chwilą, gdy ono zostało odzyskane dla Polski, postawiło sobie za cel rozpocząć tu masową fabrykację ubrań męskich i to wyłącznie siłami krajowemi, oraz krajowym kapitałem, była bydgoska „Industria".

Założona przez tych dwóch obrotnych, a tak wytrwale pracowitych ludzi, fabryka odzieży męskiej „Industria" mieści się w obszernych, specjalnie na ten cel pobudowanych zakładach, wyekwipowanych w najnowszej konstrukcji maszyny do krajania, szycia i wykończania, a to nie tylko ubrań męskich, ale też wojskowych i urzędniczych mundurów, odzieży robotniczej, płaszczów lekarskich, fryzjerskich i t. d.

Z skromnych zaczątków począwszy, obraca dziś ona wielu miljardami w towarze, opanowawszy swą wysoko cenioną przez rzeczoznawców produkcją całe Pomorze, Wielkopolskę i Górny Śląsk. Jako zbiorowy warsztat pracy zatrudnia ona ogółem około 200 osób, wykwalifikowanych doskonale w swej branży. Dyrektorem technicznym i administracyjnym jest p. Aureli Janecki, który ma przydany sobie do pomocy szereg pracowników biurowych, przykrawaczy wybitnie uzdolnionych, wojażerów i t. d.

Firma bydgoska „Industria", której w ten sposób administracja pod względem handlowym odznacza się wielką sprawnością i ruchliwością, posiada stale w swym zapasie wielki wybór modeli nie tylko ubrań kompletnych, ale ponadto palt zimowych, jesiennych, raglanów, ulstrów i t. d. Według tych modeli firmy detaliczne mają możność zamówić sobie dowolną ilość danego artykułu, który otrzymują nie tylko precyzyjnie i solidnie wykończony, ale także w zamówionym terminie i to możliwie najniżej skalkulowany. Wyraźnie przytem zarząd fabryki zawsze podkreśla, iż jest zupełnie nieprzygotowany do rzucania na rynek odzieży na pozór taniej, ale za to tandetnie sporządzonej i obliczonej na okpienie klijenta. To też odbiorcy firmy cenią to i szeroko o tem w świecie handlowym mówią, co jest najlepszą reklamą dla „Industrji" bydgoskiej, a w zupełności przytem przez nią zasłużoną.

To też o ludziach, którzy ubierają się w towar wyprodukowany masowo w wytwórni pp. Walerego Chudzińskiego i Władysława Maciejewskiego, śmiało rzec można, iż ubierają się naprawdę niedrogo, a mimo to szykownie, z dyskretną solidnością i harmonijnie. Trzeba bowiem przyznać bydgoskiej firmie „Industria", iż umie się zawsze utrzymać w swej wytwórczości na bezwzględnej pochwały godnym poziomie dobrego smaku oraz solidnego gustu...

Quidam.

Wnętrze I piętra z wielką salą maszyn.

Sala na II piętrze, gdzie mieści się przykrawalnia.

Urzędowa firma tej imponującej już dziś wytwórni brzmi:

Fabryka Konfekcji Męskiej
„INDUSTRIA"
Bydgoszcz, ul. Kujawska 105/106
Telefon 17-47.

Powstała ona w roku 1920, a dziś po trzech latach istnienia rozrosła się w wielką instytucję przemysłową, której przyszłość rysuje się w jak najjaśniejszej perspektywie.

Właścicielami jej są pp. Walery Chudziński i Władysław Maciejewski, dwaj zaszczytnie znani w świecie przemysłowym i kupieckim Bydgoszczy kupcy i przemysłowcy. Są oni zarazem posiadaczami największego tu oraz w Świeciu domu towarowego w guście Thieza, Wertheima i paryskiego „Aux Printemps", który, położony w Bydgoszczy na rogu Gdańskiej i Pomorskiej, jest centrem ruchu dla towarów modnych, bławatnych, konfekcji damskiej i t. d.

Towar ekspedjuje się własnemi samochodami.

FABRYKA POWOZÓW I KAROSERJI

BRACIA OSTROWSCY i S-ka

Co może zdziałać energja, praca i oszczędność, jako przykład podajemy M. i W. braci Ostrowskich, współwłaścicieli powyższej fabryki powozów—znanych ze swej kilkunastoletniej pracy w branży powozowo-karoseryjnej, jako byłych dzierżawców znanej firmy powozowej „Józef Rentel i S-ka", prowadzonej przez tychże braci Ostrowskich na własny rachunek przez lat 18, a obecnie od roku pod swojem nazwiskiem „Bracia Ostrowscy i S-ka" w domu własnym przy ulicy Łuckiej № 11.

Z prawdziwą przyjemnością należy stwierdzić, że pomimo przeżywanych trudności warunków gospodarczo-finansowych M. i W. Ostrowscy stworzyli rzeczywiście największy w kraju tego rodzaju interes, który robi imponujące wrażenie i przyznać należy, że obecnie po zainstalowaniu się w nowo wybudowanych obszernych budynkach są w możności zadowolnić najwybitniejsze gusta klijenteli, ponieważ produkują, poczynając od najskromniejszych bryczek, powozów, a kończąc na najbardziej luksusowych karoserjach samochodowych.

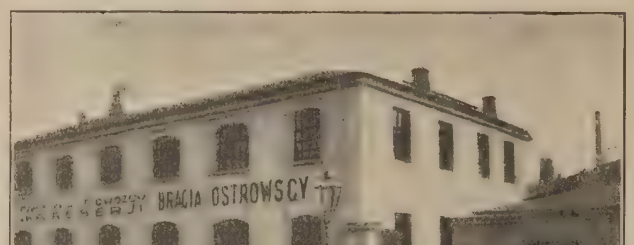

Zewnętrzny widok fabryki.

Wytwórnia pudeł.

Z przyjemnością zaznaczamy, że M. i W. Ostrowscy, pomimo wytężonej pracy, zabiegów i trudności, napotykanych przy prowadzeniu tak solidnie i na taką skalę swego przedsiębiorstwa, nie zapominają i o sprawach społecznych, a co w dzisiejszych czasach „sobkostwa" jest rzadkim wypadkiem, bowiem zamiast poświęcenia nowowybudowanych gmachów, ofiarowali: na bursę dla terminatorów Mk. 15,000,000; na przytułek dla starców rzemieślników Mk. 10,000,000; dla wdów i sierot po zmarłych powoziarzach Mk. 10,000,000; dla Tow. Naukowego w Warszawie Mk. 10,000,000; dla inwalidów wojennych Mk. 5,000,000 i na fundusz wydawniczy dla Gazety Rzemieślniczej Marek 5,000,000.—Razem Mk. 55,000,000.

Z naszej strony życzymy firmie „Bracia Ostrowscy i S-ka" dalszego rozwoju i słusznego uznania, oraz, aby ich czyny świeciły przykładem dla wszystkich ludzi pracy, która zawsze, o ile jest rzetelna i sumienna — jest dźwignią dobrobytu kraju.

Kuźnia.

Fabryka zatrudnia blisko 100 pracowników różnych zawodów, jako to: stelmachów, kołodziei, kowali, ślusarzy, lakierników, siodlarzy i tapicerów i jest zaopatrzona w najnowsze systemy pomocniczych maszyn.

Firma posiada przy fabryce obszerne składy gotowych wyrobów, których w danej chwili jest tu do 80 szt. najrozmaitszych wehikułów, kompletnie wykończonych, a wzorownię swych wyrobów posiada przy ulicy Leszno 25.

Tapicernia.

Windowanie gotowych pojazdów na I piętro.

Magazyn parterowy gotowych pojazdów.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Nr 46 Ogólnego zbioru 3,339 Wydawnictwa rok 64. 10 Listopada 1923 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

KOSIARZ GUSTAW PILLATI

Z wystawy zbiorowej T. Z. S. P. w Warszawie.

BŁĘDNE KOŁO.

Od kilku lat jesteśmy świadkami bardzo złowróżbnego zjawiska: kultura polska załamuje się.

Niema dziedziny, w której nie widzielibyśmy jej osłabienia. Przedewszystkiem jednak staje się to widocznem w dziedzinie nauki, literatury i sztuki.

Przedwojenny renesans tych gałęzi pracy i twórczości polskiej został sparaliżowany przez wojnę

To samo stało się gdzieindziej, nawet w krajach o bardzo wysokiej kulturze, jak Anglja, Francja i Niemcy.

W zamęcie gospodarczym, społecznym i politycznym, w atmosferze spekulacyj giełdowych i rozpasanego wyzysku jednych przez drugich, w trosce o odbudowę materjalną Europy, zniszczonej i osłabionej przez długotrwałe krwawe zapasy, zapomniano niemal zupełnie o tem, że „człowiek nie samym chlebem żyje".

Powszechność tego zjawiska nie jest jednak dla nas pociechą ani usprawiedliwieniem,

Przeciwnie, wolno nam było oczekiwać, że Polska już przez sam fakt odzyskania niepodległości pójdzie drogą inną. Że nastąpi w niej takie wyzwolenie sił twórczych, jakie następuje wiosną w przyrodzie. Że wszystkie, dotychczas śpiące lub odrętwiałe w nas siły duchowe i intelektualne obudzą się i staną do wytężonej pracy, że nastanie okres, w którym „zadziwimy świat" rozpędem swojego wolnego życia.

Stało się inaczej. W Polsce jest dzisiaj, „jak wszędzie". Te same kłopoty materjalne, tylko jeszcze większe. Ten sam zamęt społeczny i polityczny, tylko jeszcze większy. To samo zubożenie warstw inteligentnych, tylko jeszcze większe i t. d. Tak samo panuje u nas giełda i spekulacja. Tak samo używają życia bogacze powojenni, do których upodobań, smaku i pieniędzy przystosowuje się wszystko.

Niczem nie różnimy się od Zachodu—tylko większym stopniem barbarzyństwa, większym brakiem potrzeb w zakresie życia codziennego i wynikającym stąd mniejszym wysiłkiem w ich zaspokajaniu.

W takich konjunkturach ogólnych musiały powstać u nas w dziedzinie życia kulturalnego rozmaite kryzysy, a wśród nich — może największego znaczenia ogólnego i najniebezpieczniejszy dla naszej przyszłości—kryzys książki polskiej.

Zagadnienie książki jest zagadnieniem *par excellence* kulturalnem.

Kultura nowoczesna nie da się pomyśleć bez książki, jako pośredniczki i posłanniczki, idącej pomiędzy szerokie warstwy narodu z ewangelją prawdy i piękna.

W dniu, w którym przestanoby książki drukować, podpisanyby został wyrok zagłady na społeczeństwo.

Stałoby się w niem to, co staje się w wielkiem mieście, kiedy podczas strajku w elektrowni gasną nagle wszystkie lampy na ulicach. Wypełzają wówczas z zaułków szumowiny i, korzystając z ciemności, zaczynają grabić przechodniów.

Jest to przykład krańcowo jaskrawy. Ale nie bagatelizujmy go. Spotęgowanie bowiem ciemnoty w społeczeństwie jest dla tego społeczeństwa zawsze i bardzo niebezpieczne. A cóż dopiero mówić o społeczeństwie takiem, jak nasze, które zaledwie zaczyna rozpraszać mrok, panujący w duszach i umysłach miljonów swoich członków.

W takiem społeczeństwie książka, jako nosicielka światła, ma do odegrania rolę potężną.

Od elementarza, który bierze do ręki dziecko, nie umiejące czytać, lub dorosły analfabeta, od książki do nabożeństwa, z którą włościanka lub robotnica idą w niedzielę do kościoła — do wielkich arcydzieł naszej literatury, w całej rozległej skali swoich rozmaitych odmian, książka spełnia swoje zadanie, jak nic innego spełnić go nie może.

Ona ułatwia nam obcowanie pomiędzy sobą, sprawia, że zaczynamy pokrewnie myśleć i pokrewnie odczuwać, to znaczy, że z oddzielnie istniejących osobników stajemy się społeczeństwem, narodem.

„Żaden z nas, jako człowiek—mówi pięknie Erazm Majewski w swoich „Narodzinach ducha na ziemi" — nie jest możliwy bez wielkiej całości, do której należymy. Jak bowiem nie może powstać w świecie samo jedno piórko, ukształtowane i ubarwione tak a nie inaczej, dopóki nie powstanie ptak cały, tak nie może być człowieka bez ludu całego. Źródło „człowieczości" naszej mieści się tedy w owym rozgwarze, brzmiącym w Narodzie, od tysięcy lat niestłumionym".

Książka zastępuje ten „rozgwar żywy". Zastępuje ona żywe słowo, które brzmieć może tylko na określonem miejscu i w określonym czasie. Utrwalając słowo i utrwalając zamkniętą w tem słowie myśl, nadaje im ona skrzydła i pozwala przenosić się na dalekie przestrzenie. Dzięki książce, pisarz, przemawiający do swojego narodu, może być słyszany przez wszystkich swoich rodaków, i, odwrotnie, wszyscy oni mogą pójść do niego po słowo otuchy, wiary, nadziei, pokrzepienia.

Tak chodziliśmy wszyscy i chodzimy dotychczas do Mickiewicza, jako do niewysychającego nigdy źródła prawdy i piękna. I nie tylko do niego. Cały ogromny skarb naszej literatury od jej zaczątków po dziś dzień, jeżeli jest naszą własnością, jeżeli możemy się nim rozkoszować, jeżeli dzięki niemu czujemy swoją łączność z pokoleniami, które już dawno zeszły ze sceny świata—to mamy to do zawdzięczenia książkom. Przez książkę również pójdzie wieść o nas, o naszych myślach, ukochaniach, tęsknotach i dążeniach, do pokoleń następnych, do tych wnuków i prawnuków, którzy przyjdą po nas.

Książka tedy to nasza nieśmiertelność. To ów testament, spisywany przez każde pokolenie i przekazywany następnemu, to owa płonąca pochodnia Lukrecjusza, podawana dalej i dalej.

Odebrać ją narodowi — to znaczy zgasić tę pochodnię, zerwać łączność teraźniejszości z przeszłością i przyszłością, a więc zerwać ciągłość rozwoju myśli i ducha narodowego.

Przeciwnie—dać ją wszystkim umiejącym czytać (a ideałem naszym jest, aby wszyscy czytać umieli)—to znaczy łączność tę wzmocnić, ciągłość zapewnić, a tem samem pomnożyć w narodzie liczbę świadomych, oddanych Ojczyźnie i kochających ją obywateli.

Dlatego hasło oświaty powszechnej, hasło walki z analfabetyzmem było oddawna naczelnem hasłem naszej pracy odrodzeniowej.

W okresie najcięższym naszej niewoli, kiedy przemoc obca dźwigała mur nieufności pomiędzy Polską oświeconą a Polską, pogrążoną w mrokach ciemnoty, pomiędzy inteligencją polską, a pomiędzy ludem polskim, szliśmy pomiędzy ten lud z drukowanem słowem, z gazetą i z książką, z elementarzem i z historją ojczystą, ufni, że skoro błyśnie nam jutrznia wolności, potrafimy w krótkim czasie uczynić książkę polską nie gościem przelotnym i przypadkowym, wciskanym potajemnie w rękę włościanina lub robotnika, jako dar, ale nieodzowną i codzienną potrzebą naszego ludu. Że dostarczymy mu w popularnej formie i po przystępnej cenie wszystkiego, co nauczy go myśleć i czuć *jednakowo* z nami i *razem* z nami.

Cóż się jednak okazało? Oto naród, rozkuty z łańcuchów, wstał do nowego życia i, wierny zdobytemu przez niewolę i w niewoli doświadczeniu, upomniał się przedewszystkiem o szkołę powszechną. Ustawa o nauczaniu powszechnem i obowiązkowem została uchwalona przez Sejm. W całym kraju, po miastach i po wsiach, zaczęto zakładać szkoły, których sieć ma gęstnieć z każdym rokiem. Do szkół tych zaczęły uczęszczać dziesiątki tysięcy dzieci, ale—dla dzieci tych zabrakło elementarzy, zabrakło podręczników naukowych, zabrakło książek do czytania.

Pozostały one znów tylko przywilejem warstwy zamożnej, bo koszt wyprodukowania książki w warunkach pracy i wytwórczości powojennej tak wzrósł, że jest ona dzisiaj za droga dla wielu, bardzo wielu jej odbiorców.

Nawet tania, najtańsza z pośród tych, jakie są do nabycia, książka dzisiejsza jest *za droga* w mniemaniu ogólnem, a przez to dla ogółu niedostępna.

I oto stanęliśmy w obliczu zagadnienia, które z dnia na dzień nabrzmiewa powagą i doniosłością swoją.

Zagadnienie to musi być rozwiązane. Inaczej, zamiast iść naprzód, będziemy się cofali do coraz większego barbarzyństwa, które jest zawsze następstwem ciemnoty.

W rozwiązaniu tego zagadnienia jesteśmy zainteresowani wszyscy—i my, jako społeczeństwo i naród, i rząd, jako regulator pracy oświatowej wśród narodu, i księgarz, jako wytwórca i sprzedawca książki, stanowiącej przedmiot przemysłu i handlu narodowego.

Dzisiejszy stan rzeczy nie zadawala nikogo, żadnej ze stron.

Społeczeństwo narzeka słusznie, widząc się w niemożności nabywania książek. Istotnie, książka powoli, niepostrzeżenie stała się „zbytkiem" dla coraz większej ilości Polaków. Nie może jej kupić ani student, ani urzędnik, ani nauczyciel, ani wojskowy. Wogóle nie może jej kupić *inteligencja*, ten szczupły dotychczas, ale pewny odbiorca polskiej produkcji naukowej i literackiej. A kto inny kupić jej nie chce, bo nie odczuwa żadnej potrzeby w tym kierunku.

Rząd nie może patrzeć obojętnie na taki zanik czytelnictwa, grozi to bowiem upadkiem oświaty. Przedewszystkiem jednak rząd nie może tolerować tej drożyzny podręczników szkolnych, jaka istnieje obecnie, gdyż zwraca się ona przeciwko szczególnej jego dumie i ambicji—przeciwko szkole elementarnej, czyniąc ją *niedostępną* dla tych, dla których jest ona *obowiązkową*.

I znów w tym wypadku społeczeństwo zwraca się słusznie przeciw rządowi z zarzutem, że nie zapobiegł drożyznie tych podręczników, że nie ujął produkcji w swoje ręce, że nie stworzył własnego „wydawnictwa ksiąg elementarnych", oddając tę dziedzinę wytwórczości w ręce przedsiębiorców prywatnych, kupców, którzy gonią za zyskiem nadmiernym.

Oskarżony o tę pogoń księgarz-wydawca broni się jednak natychmiast, atakując ze swojej strony i społeczeństwo i rząd.

Społeczeństwu stawia on zarzut, że nie kupuje ono w dostatecznej ilości książek, rząd zaś czyni odpowiedzialnym za „drożyznę książki" z powodu, iż nie ułatwia on mu produkcji przez zapewnienie tańszego papieru i farb, lecz przeciwnie nakłada na ten papier i farby wysokie cła.

Tak oto dostaliśmy się w błędne koło wzajemnych żalów, utyskiwań i oskarżeń, przyczem każdy ma swoją, dla siebie niewątpliwą, rację i każdy broni swojego stanowiska.

A tymczasem książka *drożeje* — to znaczy w opinji społeczeństwa staje się dla niego niedostępną, w opinji księgarzy-wydawców jest bez porównania tańsza, niż była przed wojną i zaczyna dopiero dochodzić do parytetu złota.

Z. Dębicki.

Z SALONU OBRAZÓW CZESŁAWA GARLIŃSKIEGO.

IDYLLA — WACŁAW BOROWSKI

SZKIC DO KOMPOZYCJI — WACŁAW BOROWSKI

RYNEK W KAZIMIERZU — WŁADYSŁAW SKOCZYLAS

NA PODHALU — Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie. — GUSTAW PILLATI

WYSTAWY BIEŻĄCE.

Wacław Borowski i Władysław Skoczylas w Salonie Cz. Garlińskiego.

Trzy lata ostatnie zaznaczyły się w historji rozwoju naszych sztuk plastycznych bardzo wyraźnie dodatnio. Okres wszelakich futuryzmów, dadaizmów, unanizmów, słowem tego wszystkiego, co rzuciła nam przed oczy zawierucha wojenna i pierwsze lata ogólnego zamętu powojennego, minął. Osłabł nawet nasz rodzimy, panoszący się we wszystkich dziedzinach życia dyletantyzm. Skala wymagań zwiększyła się w dwójnasób. Praca twórcza poszła drogą istotnych usiłowań. Tę prawdę pocieszającą stwierdzi każdy, kto widział ostatnią wystawę prac Roguskiego, kto uważnie obejrzy wystawę obrazów Władysława Skoczylasa i Wacława Borowskiego.

Radość z owego coraz częstszego wyjawiania się istotnej wartości każe mi dzisiaj rozszerzyć granice zwykłego sprawozdawczego omówienia do rozmiarów pewnego krytycznego rozbioru charakterów dwu członków „Rytmu" i ich artystycznych wyrazów.

Główna wartość malarstwa Borowskiego leży w kompozycji ogólnej obrazu. Zasadniczy kościec budowy każdego jego dzieła jest tak zwarty, że w oderwaniu tej lub innej części, o bezkarnem pozbawieniu całości tego lub innego człona nie można pomyśleć. Tę doskonałość komponowania Borowski zdobył ostatniemi czasy. Obrazy jego z przed trzech lat, aczkolwiek były zapowiedzią zdobyczy dzisiejszych, nie miały tej logiki powiązań, nie opierały swego bytu na niewzruszonej podstawie harmonijnego współdziałania wszystkich części składowych. Pamiętam jeden jego obraz (tytułu nigdy nie pamiętam), w którym jakaś figura, a więc pewien kształt i ciężar wiązała się z resztą obrazu tylko anegdotycznie. Takich błędów dziś w obrazach Borowskiego nie spotkamy.

Doskonałość komponowania jest może jedyną, ale potężną zdobyczą artysty w ciągu ostatnich lat pracy. Ten etap na drodze rozwoju twórczego wybitnego członka „Rytmu" jest bardzo znamienny i świadczy o stopniowem pogłębianiu wymagań i świadomości dążeń artysty. Poza wyżej wspomnianem malarstwo Borowskiego nie zmieniło się i nie postąpiło pod względem ogólnego ujęcia, zupełnie oczywiście pomijam sprawę mniej lub bardziej starannego opracowania, co przy wysokim poziomie jego twórczości wielkiej roli nie odgrywa i pod szczególną uwagę nie może być brane. W uzależnieniu od kompozycji ogólnej płaszczyzny obrazu Borowski konstruuje każdą poszczególną formę w sposób oryginalny. Ciężar bryły wyznacza kontrastami świetlnemi częstokroć nieoczekiwanemi, a jeśli je brać w stosunku do prawdy naturalnej — błędnemi. Błędy te, jako takie, stanowią tylko zalety obrazu z tych mianowicie względów, że świadomie wprowadzone tworzą odrębny od żadnego naturalnego wzoru niezależny byt, czyli obraz.

PORTRET — Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie. — G. PILLATI

Musimy sobie w tem miejscu powiedzieć, że świadomy błąd nie jest błędem, lecz czemś wręcz przeciwnem, tembardziej gdy nie patrzymy z punktu subjektywnego widzenia naturalisty.

Jeśli kompozycja stanowi główną wartość obrazów Borowskiego, to zespół barwny stanowi ich charakter.

Borowski w zasadzie wypowiada się dwoma wzajem dopełniającemi się kolorami: czerwonym i zielonym. W granicach ich natężenia i osłabienia powiedziane są wszystkie jego prace. Cała bogata skala tonów wywodzi się od tych kolorów. Martwa w zasadzie biel, pomocna artyście przy konstruowaniu formy, odgrywa rolę drugorzędną i na zasadnicze przeprowadzenia barwne wpływa w małej tylko bardzo części. Właściwość zieleni i czerwieni, niezależnie od stopnia ich natężenia lub osłabienia, polega na tem, że dwa te kolory, położone w sąsiedztwie od siebie bliskiem, w miarę stopniowo większej odległości widzenia, stapiają się w barwę szarą. Stąd wniosek, że Borowski świadomie czy nieświadomie potrzebę kolorystyczną obrazu stawia na miejscu wtórem, podczas gdy tonacyjną, jednobarwną wysuwa na plan pierwszy. Przy pomocy gradacji tonów jednobarwnych buduje formę i wprowadza rytmikę czyli życie obrazu. Ubóstwo skali kolorystycznej zastępuje bogactwem skali tonacyjnej

GĘŚLARZ z salonu obrazów Czesława Garlińskiego. WŁADYSŁAW SKOCZYLAS

czarno, ściślej szarobiałej. Operowanie dwoma lub trzema kolorami dopełniającemi jest bardzo niebezpieczne i trudne, łatwo bowiem przejść z subtelności w monotonność, Borowski jednak dotychczas zabezpiecza się od tej drugiej ostateczności umiejętnem rozłożeniem tonów barwnych o wartości czarno-białych.

Barwa, oto pole najbliższego popisu artysty!

Władysław Skoczylas, grafik z krwi i kości, wystąpił z dorobkiem ostatniego roku. Doskonały technik zdobył zdaje się zupełnie tajemnicę akwareli. Wczuł się i wrozumiał w materjał niezmiernie wdzięczny, a zarazem niesłychanie oporny. Prace Skoczylasa z obecnej wystawy to nie to dawne naśladowanie jego kapitalnych drzeworytów, nie to dekoratyzowanie tylko wymiaru papieru pomysłem ornamentacyjnym, lecz skończone po większej części obrazy. Powtórzę to: *po większej części*, bowiem muszę wydzielić z wystawionych rzeczy kilka studjów o charakterze pewnych prób i ćwiczeń wirtuoza oraz parę tylko wspomnień minionego wahania, by tem wyraźniej wykazać postęp i określenie się talentu Skoczylasa-malarza.

Jeszcze do niedawna autor drzeworytów z życia zbójników na Podhalu komponował ornamenty figuralne, świadczące o jego wybitnym talencie dekoratorskim—ornamenty traktowane graficznie, raczej pokryte barwą, niż malowane. W ornamentach tych wywyższał się rysunek ogólnego układu ponad wszystko, czegośmy zwykli wymagać od dzieła malarskiego. Mętność i niezdecydowanie barwne, brak głębszego ujęcia formy, stylizacja zagubiona w rozmiarach, nie odpowiadających motywom kompozycyjnym, wskazywały nam artystę wyłącznie, jako grafika.

Obecna wystawa zaprzeczyła temu najzupełniej. Różnorodność talentu i umiejętności przemówiła do nas z kilkunastu akwarel słowem jasnem, dźwięcznem i nadewszystko przekonywającem.

Skoczylas odnalazł najczystsze gamy akwareli, wyczarował z niej półtony, blaski i siłę barwną jej tylko właściwą—słowem opanował technikę. Kształtom nadał formę swoją i odpowiedni ciężar. Zaznaczył ich ważność w ustosunkowaniu do innych form dla całości kompozycyjnej niezbędną. Określił wszystko stylem zwięzłym i jasnym.

Wystawa zbiorowa Gustawa Pillatiego w T. Z. S. P. w Warszawie.

Gustaw Pillati jest przykładem artysty, mogącego pouczyć i najpewniej pouczającego tych wszystkich, którzy bądź z powodu warunków chwilowych, bądź z powodu niechęci wychylenia głowy poza okno swej pracowni nie zdołali się zapoznać ze sztuką bardziej, niż nasza, pod względem wiedzy specjalnej, zaawansowaną.

Pillati jest impresjonistą, ściślej mówiąc neoimpresjonistą, nie dlatego, że maluje tylko pejzaże i ludzi w pełni światła słonecznego, lecz dlatego, że, patrząc na jego obrazy, widzi się w nich i czuje to słońce, jego światło i żar.

Nie przesadzę, zdaje się, jeśli powiem, że siedmdziesiąt procent naszych pejzażystów biedzi się po dziś dzień nad tem, jak się uporać ze słońcem, które ani rusz w obrazie *nie wychodzi*, a jeśli i wyjdzie to takie mizerne, blade, papierowe, że zmiłuj się Panie Boże. Oczywiście trud tych pejzażystów jest tak próżny i nieopłacony, jak trud człowieka dzikiego, trącego drewnem o drewno celem wykrzesania ognia, wtedy gdy na całym świecie istnieją już t. zw. zapałki.

Od czasu malarstwa Claude Moneta, Vissaro'a, Sisley'a, Signaca, Grosa i in. *robienie* słońca w obrazie odbywa się podług pewnej formułki, którą trzeba tylko poznać. Receptę tę bezsprzecznie poznał Pillati. Artysta polski nie poprzestał na niej, nie przyjął jej dla siebie, jako przykazania malarskiego, lecz treścią jej rozświetlił własne dążenia i usiłowania. O to właśnie chodzi!...

Pillati sprzeciwił się bezwzględności impresjonizmu, po pierwsze: rysunkiem konturu postaci i wogóle każdego kształtu, po drugie wykreśleniem perspektywicznem planów, po trzecie kompozycją rozmieszczenia w wymiarze płótna szczegółów motywu naturalnego. Z drugiej strony Pillati przyjął pod uwagę malarza to (prawdę mówiąc nie wszystko), co mu impresjonizm, jako pewne, niezastąpione wskazanie, zresztą czysto naukowe rozwiązanie zagadnienia światła—podał.

Pillati wie, że celem osiągnięcia największej ilości światła trzeba operować nie, jak się to wśród naszych pejzażystów praktykuje, tonami ciemnemi i jasnemi, lecz barwami czystemi o jednakiem natężeniu tonacyjnem, barwami wchodzącemi w skład widma słonecznego: błękity, żółcienie i czerwienie.

Jeden obraz Signaca poglądowoby tę sprawę aż nadto wyjaśnił, oczywiście znacznie dokładniej, niż obrazy Pillati'ego, który całego znaczenia impresjonizmu jeszcze nie zgłębił, przykładem tego jest jego obraz „Powrót", gdzie zabarwienie błękitu (cienie od idących postaci) kolorem zielonym materjalizuje płaskość i przejrzystość plam cieniów, osłabiając jednocześnie potrzebną siłę przeciwstawną dla żółcieni (miejsc osłonecznionych).

Pomijając impresjonizm Pillati'ego, artysta ten coraz wyraźniej wybija się na czoło naszych pejzażystów przez swój talent i kulturę.

J. Ż.

ŚLĄZACZKA Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie. GUSTAW PILLATI

NIEZNANE UTWORY LENARTOWICZA.

Wśród listów Lenartowicza, pisanych do Kraszewskiego, znalazłem dwa jego, o ile wiem, nigdzie nie drukowane utwory. Pierwszy z nich „Sala Kapitolińska" nosi na sobie dedykację „Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu". Drugi wiersz: „Jak wygląda Colosseum popruszone śniegiem" stanowił początek listu pisanego d. 13 marca 1850 r. z Rzymu (via magna Napoli 1). Po wierszu dopiero szedł długi list zaczynający się od słów: „Tyle wierszami, a teraz prozą", a kończący się słowy: „Przesyłam Ci, serdeczny, fijołki z Kolosseum i obrazek ś-go Józefa na imieniny". *K. B.*

I.

SALA KAPITOLIŃSKA.

W kapitolińskiej sali śród rzymskich cesarzy
Upatrywałem choćby jednej ludzkiej twarzy.
Augusta oblicze i cała postawa
Przypomina aktora, co spokój udawa,
Wtórząc słowom i lutni dworaka Virgila,
Że to o nim wieszczyła natchniona Sybilla:
„Za twojego, Poljonie szczęsny, konsulatu
„Złote powróci wieki zgrzybiałemu światu
„Syn, w którym się rodzica zalety rozmogą"
I tak poi się Cezar niebieską eklogą,
Gotowy do imienia Augusta Cezara
Przyjąć i tytuł boga, gdyby nie cień Varra,
Gdyby zbiegiem bolesnych, nie bożych wydarzeń,
Bóg pokoju nie został bożkiem sennych marzeń.
Omylił się Virgili—któż bo się nie myli?
Nie ku tobie wybiegał duch wieszczej Sybilli,
W muzyce wieszczych głosów nie słyszał o tobie,
Ale o tem dzieciątku położonem w żłobie.
Żegnaj udatna próżni wielkiego Augusta,
I choć urocze gracje na twe biegą usta,
Przecie żegnaj w rozpady zagnany bezdenne,
Sen kamienny napędza twoje czoło senne.

Po Auguście Tyberjusz, starzec, kozieł zgniły,
Ściąga złośliwe usta by zęby zakryły,
A na pożółkłem czole marszczki się zebrały,
Jak schody ze senatu do Tarpejskiej skały.
Przy nim stoi Germania, ów kochanek Rzymu,
Wyraz twarzy jak gdyby zawiany od dymu,
Jakby już czuł kadzidła i glob ziemski chwytał;
Znać morderca Tyberiusz wcześnie to wyczytał.
Tam Klaudjusz o którym lepiej gdy zamilczę—
Nie głowa uwieńczona, ale gniazdo wilcze—
Ilość włosów potworna... czyny? jakie czyny?
Jedna sława niesławnej mężem Messaliny,
Której z rozdartej piersi spodlonej krwi para
Obejmować się zdaje popiersie Cezara.
Gruby, ogromny Neron z uśmiechem djabelskim
Twarzą otyłą, całą narzuconą cielskiem,
Ramiony i piersiami na szerz rozrosłemi,
Przypomina biblijnych onych synów ziemi,
Których ród w chuciach sprośnych tak się był rozszalał,
Że, by z nich świat oczyścić, potop ziemię zalał;
Wzrokiem tygrys, ustami bestja jakaś ssąca
Postać bezczelnie głupia i urągająca.
Heliogabal wychudły, jak dziecię w suchotach,
Podobny tem jaszczurkom siedzącym na płotach;
Śród starych węży idąc wyczołganym śladem
Zda się mówić: i jam też niepoślednim gadem.
Spłaszczony łeb mariusa i brew nasunięta
Przedpotopowe jakieś przedrzeźnia zwierzęta
Niewyrobioną jeszcze w wiecznej głoni gliną,
Znać, że tu nierówności dla równości zginą,
I kiedyś z tej poczwary, co się na świat sroży,
Wyjdzie piękny Augustyn, Cyprjan lub Ambroży.
Twarze równe i słowa i gesta i czyny
I pomrą dla równości, lecz nie dla niziny,
Zwycięzki Sylla, z czołem mądrze zadumanem,
O kilka wieków naprzód byłby Korjolanem;
Ślepa matka-fortuna za jedną niecnotę
Rozdaje to wygnania, to laury złote.
Agrypina w swem krześle myśląca bez przerwy
Zdradza ptaka, co wyjdzie z głowy tej Minerwy;
Z głowy zbrodnia, a z hańbą przepsutego łona
Wytoczy się na ziemię kształt djabła Nerona
Łaskawy Tytus liczy każdy dzień stracony
Jak liść wypadły z wieńca niezwiędłej korony;
Łaskawy, a jednakże pod tą słodką maską
Czuć wewnętrzne oblicze rażące niełaską;
Z całą srogością drugie oddawa oblicze
Płomienie Jeruzalem i Szymona bicze.
Marek, filozof Marek wiecznie coś rozprawia,
By wmówić w siebie wiarę w drugich wiarę wmawia.
Znamy się, przyjacielu—uczona moc wasza
To poświst podróżnego, co trwogę odstrasza.
Nieśmiertelnych milczące usta w wiecznej sprawie
Milcząc sternik burzliwy przywodzi, przeprasza.
Chociażby i niewolnik kość bezkarnie złamał
Jeśliś nie skłamał męstwa, toś pokorę skłamał
Na barki to Sokrata bóg nogę położył
Ostatni pół-poganin w światłach się rozmnożył
A i ten nie we świętych... ale dosyć na tem
Sokratesem pół-człowiekiem *) Marek pół-Sokratem,
Żegnaj ty jeden z wszystkich najmniej duszy wstrętny.
Cezarze! w tobie żegnam kamień obojętny
I filozofji księgę, co na jedno schodzi—
Mądrość w literze, która ni ziębi, ni chłodzi.

Tam Kaligula patrzy na mnie z końca sali
Skąd mnie ściga piekielny uśmiech Karakali,
Którego samo imię jak ryki złowieszcze
Przez umarłych miljony przebija się jeszcze.
Trajan podobien wiedźmie z krętem na rozprawie, (?)
Znać, że z szatanem dużo pogwarzył o sławie;
Wziął sławę, na kolumnę wstąpił marmurową
I przepadł w wietrze, starty nogą Chrystusową.
Zostały tylko świadki wykute w marmurze,
Niewola jak posucha i wojny jak burze;
Niewola Słowianina i chrześcijan pęta
Krótkich dni marna sława i pamięć przeklęta.
Cycero swym kodexem i dumną podstawą
Przypomina mi każde stanowione prawo
Na którego rządów ku król zaręcza wieczność,
A jutro ogłaszają już niedostateczność.

A w pierwszej sali oto leży brat przyrodny
Jedyny cześci w całym Kapitolu godny:
Wymawiając krwią swoją wiekowe cierpienia
Gladjator Konający, ów akt oskarżenia,
Co każdego na wstępie wstrzymuje przechodnia
Zda się mówić o sali Cezarów: tam zbrodnia!

Teofil Lenartowicz.

Rzym, 9 lipca 58.

II.

JAK WYGLĄDA COLOSEUM POPRUSZONE ŚNIEGIEM.

Na Coloseum nigdy śnieg nie leży—
A jak dziś zapach już zalata świeży,
Fijołki wonią wieją bezprzestanną
I dzwonki dzwonią na modlitwę ranną,
Na wielkiej gmachu rzymskiego arkadzie
Ptaszek swobodnie gniazdko swoje kładzie,
Na grobowisku owej Romy wilczej
Stoi wymowny krzyż, choć wiecznie milczy.

Wielki to Retów ten krzyż dwuramienny
I wielki świadek amfiteatr senny.
Ilekroć wewnątrz tej pustyni wchodzę,
Dach Rzymianina staje mi na drodze
I woła, togą zasłaniając lica:
Krzyż i ruina owa tajemnica,
Patrz na te schody, siedzenia, filary
Jak padł przed krzyżem cały świat stary
I ani dźwignąć mu się po dzień sądny,
A chociaż silny taki był i rządny.

Na gruzy dumy, co się w proch rozściela
Padają złote słowa Zbawiciela,
. . . . . .
A ten baranek, o którym chcesz czasie,
Na Colloseum prawie wciąż się pasie,
A Rzymscy ludzie, pany i hetmany,
Przeszli i znikli, jako piasek zwiany —
Wspomnienia cienie, wszystko rzeczy marne
A pamięć prawdy Colloseum czarne.

Codzień tu siadam pod cesarską lożą
A jak dziś ptasią dziedziną i bożą,
I słucham, słucham szmeru owej puszczy
Duchów przeciągu czy chwiania się bluszczy.
Otwartem sercem słucham tych rycerzy
I łzawy jestem i jak dziecię świeży,
A serce tknięte ich stopy świętemi
W piersiach się w górę odrywa od ziemi.

I czuję radość ziemskich trudów zbycia,
Tych półsłodyczy i tego pół-życia.

Zapatrzonemu w łagodne błękity,
Obojętnieje rzymski świat rozbity.
Krzyż tylko jeden, ruin świadek smętny
Wciąż pracujący, więc nieobojętny
Ze snów zaziemskich budzi serce rzewne:
„Jam tu nie stanął na wołanie śpiewne
„Moc krwi i wiary zwiodła mnie z obłoków,
„Ja świadek prawdy i boskich wyroków,
„Ja w niebo wzięty i ziemi oddany,
„Te ciemne ruin zamieszkałem ściany.
„Nie śpiewaj dla mnie, ni na moją chwałę,
„Pozwól, niech ptaki tu śpiewają małe;
„Człowiek niech działa, a ptak niechaj śpiewa.
„Jeżeliś wierny, dźwignij mego drzewa,
„Daj krwi ofiarnej choć tyle i potu,
„Co ptasiej pieśni przez chwilę przelotu,
„A będziesz zbawion, jeśli będziesz cichą
„Nie zabrudzoną marzeniem i pychą".

Taką ja codzień w cudne dni wiosnowe
Z krzyżem i pustką prowadzę rozmowę.
. . . . . .
Odmienne wiary i pogaństwa wieki
Płyną przedemną jak krwi i łez rzeki.
Z Amfiteatru w kształcie czarnej róży,
Który człek burzył a resztę czas burzy.
W cudownej nieba włoskiej słodyczy
Uglądam w górze róży tajemniczej
I zatęskniony nieziemską tęsknotą
Podnoszę oczy na tę różę złotą,
Gdzie nie Cezary i nie senatory,
Ale zasiadły Patryarchów zbory;
Gdzie nie westalka bieli się rozparta,
Ale prawdziwa Maryja i Marta
I Judyt mężna i Ruth z kłosem pszennym
I Ester wierna w płaszczu drogocennym;
Gdzie nie lwie ryki, ni śpiewy Nerona
Lecz Dawidowa długa bije strona.

O przyjacielu! na Rzymskiej ruinie,
Na nieśmiertelnej *czasem czas* nie ginie.
Źle to zaprawdę, więc za radą krzyża
Tam idę kędy sosna się obniża
I z polskim ludem na rodzinne błonie,
Jako skowronek wybiegam i dzwonię.
Dzwonię dzień cały wiarą i nadzieją,
A ludzie orzą tymczasem i sieją!

O mój Józefie, przyjacielu wierny,
Ziemia jak ziemia, lecz Bóg miłosierny

*) W znaczeniu Ecce homo.

Co pyszne zginie, w ruiny rozpadnie,
Co korne prędzej czy później zawładnie.
Nie smuć się przeto—i na polskiej grzędzie
Baranek Boży paść się kiedyś będzie,
Jak dziś po krwawych prześladowań czasie
Na Collosseum spokojnie się pasie.

Podał K. Bartoszewicz.

OSTRÓG.

Po fatalnej drodze trzęsącym wózkiem — dwanaście kilometrów wyboistej szosy wołyńskiej od małej stacyjki pogranicznej — wysiada się w Ostrogu z uczuciem ulgi.

Uderza cisza i spokój tej ospałej mieściny. Cała świetność Ostroga jest w jego przeszłości. Przeżył on swoje najpiękniejsze czasy i dziś jest jakby pogrążony w skupieniu i rozpamiętywaniu dawnych dziejów. W teraźniejszości znaczenie Ostroga jest prawie żadne. Pozostały tylko, jako echo tego, co ongiś było, mury i zwaliska.

Ale już choćby malownicze położenie Ostroga, nie mówiąc o jego historycznych zabytkach, czyni to miasto godnem uwagi. Od północy i zachodu osłaniają je wzgórza, ostatnie odnogi Karpat, od południa niewielka rzeczka Wilja, która wpada tutaj do Horynia. Położenie, wymarzone dla miasta warownego. To też niedarmo ta stara siedziba książąt Ostrogskich była postrachem dla napastników.

Dziś jeszcze z ruin można sądzić, czem była ta twierdza w średniowieczu. Już podjeżdżając do Ostroga, widzi się zwaliska baszt i murów, okalających miasto. Do dnia dzisiejszego zachowały się trzy baszty murowane: jedna od przedmieścia Tatarskiego, dziś w części rozwalona, druga na Krasnejgórce, również mocno uszkodzona, trzecia na górze Zamkowej, w dobrym jeszcze stanie.

Najdawniejszą budowlą w Ostrogu jest zamek, wzniesiony na wysokiej górze. Obecnie na urwisku tej góry od strony południowej istnieje czteropiętrowy mur z dzikiego kamienia, gęstemi podparty skarpami. Mieszczą się w nim obszerne lochy, z których jedne były przeznaczone na więzienia, gdyż w murze znalazło się kilka zardzewiałych haków żelaznych i kilka ogniw łańcucha, inne zaś na piwnice. Oprócz tego jest po kilka obszernych pokoi na piętrach, gdzie obecnie mieści się muzeum historyczno-archeologiczne im. książąt Ostrogskich. Zamek jest dziś własnością państwową.

Cała góra, na której wznosił się zamek, była niegdyś otoczona grubym murem, poczynającym się od pierwszej skarpy zamku od południa, a kończącym się przy moście zwodzonym, gdzie była sklepiona brama z kamienia, przez którą był wjazd do zamku. Mur ten przytykał z jednej strony do cerkwi Bohojawleńskiej, zbudowanej w roku 1421 przez ks. Wasyla Fiedorowicza Ostrogskiego, która, po zniszczeniu, została w roku 1890 przebudowana z zatraceniem szczegółów gotyckich.

Ogólny widok zamku w Ostrogu. Rys. St. Błoński.

Według podania, w cerkwi tej brał ślub Dymitr Samozwaniec z Maryną Mniszkówną.

Z dawnych kościołów, cerkwi i klasztorów pozostał jeszcze tylko kościół parafialny z połowy XV w., kilka razy niszczony i przebudowywany, oraz klasztor kapucynów z 1750 r., przerobiony w r. 1866 na cerkiew Bractwa.

Jednym z najdawniejszych zabytków Ostroga jest synagoga żydowska z XV w., podobno pierwsza na Wołyniu. Ciekawa jej architektura zeszpecona została odrestaurowanym niedawno frontem. W ścianie jej tkwi kula z czasów Kościuszki. Moździerz z tych samych czasów jest również starannie przechowywany wewnątrz synagogi. W dziejach powstania kościuszkowskiego ma Ostróg swoją chlubną kartę—cała młodzież ostrogska stanęła tłumnie do oręża.

Z wyjątkiem zamku, cerkwi i baszty zachodniej, wszystkie te zabytki o dużem historycznem i artystycznem znaczeniu znajdują się w opłakanym stanie—zaniedbane, pokryte śmieciami i nieczystościami. Odznaczają się tem szczególnie bramy Łucka i Tatarska. Obojętność miejscowego społeczeństwa jest do pewnego stopnia zrozumiała, gdyż składa się ono w dużej części z Rusinów i żydów, powinno jednak zwrócić na to uwagę Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości.

Ostróg, wskutek fatalnej komunikacji, odcięty granicą od większej części wsi i miasteczek okolicznych, cierpi na brak dowozu towarów i jest bardzo opuszczony w znaczeniu handlowem.

Brak dowozu produktów wiejskich i odległość od kolei wpływają na wzrost drożyzny. Zmniejszenie ilości odbiorców wiejskich na przywiezione i miejscowe towary zabija przemysł i handel.

Wilja dzieli Ostróg od Nowego Miasta, które stanowi jakby jego przedmieście i do którego wstęp, z powodu przechodzącej tam granicy, jest bardzo utrudniony. Tam odbywa się handel z „czerwonymi kupcami", którzy z zezwolenia władz i pod opieką naszej policji odwiedzają to miasto w celach handlu zamiennego.

O trzy kilometry od Ostroga, wśród łąk i pagórków, przy samej granicy z Rosją Sowiecką, znajduje się dawny prawy fort warowny Ostroga, Międzyrzecze. Jest tam niemniej ciekawych zabytków, niż w Ostrogu.

Międzyrzecze ufortyfikowane zostało w połowie XV w. przez Wasyla Krasnego Ostrogskiego.

Zamek obecny murowany—wybudował na początku XVI wieku ks. Konstanty, a ks. Janusz w r. 1606 odrestaurował. Na podwórzu zamkowem znajduje się cerkiew murowana wzniesiona na początku XVI w., przebudowana przez ks. Janusza na kościół Franciszkanów, od r. 1866 po skasowaniu klasztoru, cerkiew prawosławna.

Z fortyfikacyj miejskich pozostała tylko brama wjazdowa napół rozwalona, z rusztami renesansowemi. Ciekawą pamiątką jest komin z cegły, o oryginalnej budowie, dużych rozmiarów, pozostałość z kuchni ks. Janusza Ostrogskiego, który w reprodukcji podajemy.

Zamek i ruiny Międzyrzecza, podobnie jak wiele innych na Wołyniu, świadczą o braku należytej opieki nad zabytkami. Spotyka się wprawdzie i na Wołyniu ludzi miłujących zabytki, między innymi wyróżnia się konserwator zabytków przy województwie, zamiłowany w sztuce stosowanej opartej na starych okazach wołyńskich, p. Al. Prusiewicz. Słabe poparcie jednak ze strony rządu, wypływające z braku środków, oraz małe uświadomienie miejscowego społeczeństwa uniemożliwiają skuteczną ochronę tak cennych dla nas zabytków polskiej kultury.

H.

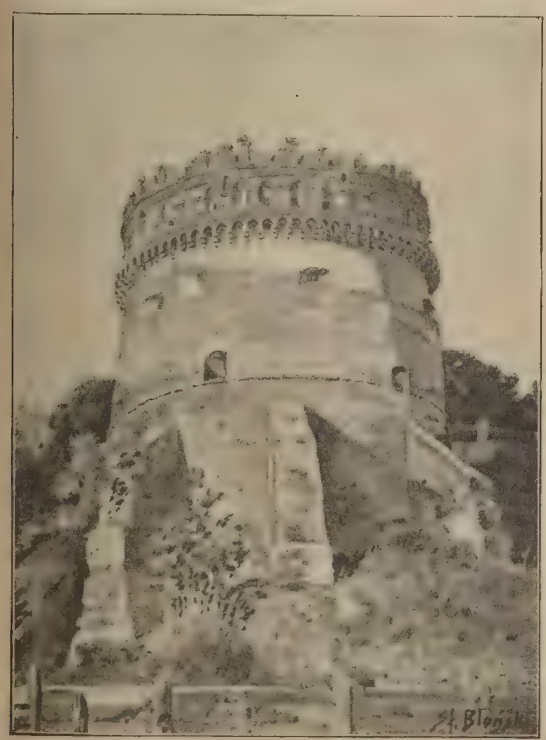

Jedna z baszt zamku. Rys. St. Błoński.

Ruiny kuchni książąt Ostrogskich. Rys. St. Błoński.

Z CHWILI.

Prezydent Rzeczypospolitej w otoczeniu Senatu, profesorów i młodzieży Uniwersytetu Stefana Batorego opuszcza po nabożeństwie kościół św. Jana, udając się na uroczystość otwarcia roku akademickiego w Auli Uniwersytetu.
Fot Jan Bulhak.

W dziedzińcu pałacu reprezentacyjnego wita prezydenta Rzeczypospolitej młodzież wileńska szkół powszechnych i średnich ze sztandarami.
Fot Jan Kurusz-Worobjew.

Prezydent Wojciechowski wziął udział w uroczystem odsłonięciu tablicy ku upamiętnieniu 150-lecia Komisji Edukacyjnej w gmachu Szkoły tramwajów miejskich.

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH.

Fot. St. Brzozowski.

Teatr Komedja wystawił sztukę p. t. „Bęben", w której obsadzie wybijają na plan pierwszy pp. Malicka, Macherska i Junosza-Stępowski.

Pp. Kuncewicz, Junosza-Stępowski i Malicka w „Bębnie" Vebera i de Grosse

Teatr Mały gra z powodzeniem sztukę Z. Kleszczyńskiego p. t. „Zwycięzca"
Pp. Węgierko i Pancewiczowa. Pp. Pancewiczowa i Brydziński.

WZLOTY FERRARINA W WARSZAWIE.

W poprzednim numerze zamieściliśmy podobiznę jednego z samolotów włoskich, na którym dokonywał wzlotów bawiący wówczas w Warszawie lotnik Arturo Ferrarino. Obecnie podajemy fotografję tego dzielnego pilota, który dokonał rekordowego lotu Rzym-Tokjo na aparacie Ansaldo.

Arturo Ferrarino ze swym samolotem.

Z PROWINCJI.

Ruiny spalonego teatru w Grudziądzu.

Z GRUDZIĄDZA NA POMORZU.

Dotychczas zdaje się nie wszyscy wiedzą, że Grudziądz dawniej był siedzibą najzacieklejszych w gnębieniu ducha, myśli i słowa polskiego, pruskich satrapów. Zwiedzając to miasto, liczące dziś niespełna 50,000 mieszkańców, spotyka się jeszcze pozostałości dawniejszych gnębicieli ruchu polskiego, żywo gestykulujących językiem szwabskim na ulicach, w składach i t. p., a już bardzo skąpe upiększanie domów chorągwiami podczas obchodów narodowych, przekonuje najbardziej, że Grudziądz nie wyzbył się zupełnie dawniejszych ciemiężycieli.

Że tak jest, dowodzi do dziś dnia istniejący teatr niemiecki, przeróżne towarzystwa, jawne i tajne szkoły, ochronki niemieckie, oraz fakt, że w polskiej Radzie miejskiej zasiada 14 radnych niemieckich!

Oczywiście porównując pierwsze dni powrotu Grudziądza do Polski z obecnym stanem polskiego posiadania, wyznać należy, że wygląd miasta zmienił się zupełnie. Zasługą to będzie prezydenta p. Józ. Włodka i wiceprezydenta miasta p. Rom. Krobskiego, pod których rządami Grudziądz utrwala charakter polskiego miasta.

Pięknie zapowiadający się rozwój miasta rzuca się w oczy natychmiast każdemu przyjezdnemu, a gdy przed rokiem obiegła Polskę wieść, że w Grudziądzu powstaje teatr polski, wówczas niejednym weteranom z czasów ciężkich zmagań się z okrutnym zaborcą, łza radości zwilżyła powieki.

Z powstaniem teatru polskiego tu na kresach, dźwignęła się myśl polska w Grudziądzu, a z nią wzmogła się twórczość rodzima.

Powstały szkoły, prywatne zakłady naukowe, wzmógł się przypływ inteligencji polskiej, ruszyła się praca organizacyjna w polskich towarzystwach, zaczęto pracować w kierunku upiększania miasta przez zakładanie nowych plantacyj ogrodowych, obsadzanie ulic drzewkami olejowemi, powstawały nowe fabryki, istniejące przechodziły w ręce polskie, wybudowano szereg ulic, ulepszono oświetlenie miasta, — wogóle miasto znaczyło na każdym kroku mrówczą pracę, przynoszącą chlubę obu prezydentom.

Wiedzieć potrzeba, że własnością miasta jest wielka elektrownia, tramwaje elektryczne, wspaniała gazownia, olbrzymich rozmiarów rzeźnia, rzadko w miastach spotykana elektryczna oczyszczalnia kanalizacyjna; poza tem miasto jest właścicielem wielkich terenów leśnych, wspaniałych ogrodów publicznych, szeregu schronisk dla starców, niemowląt, szpitala, kilku folwarków i t. d.

W takim pięknym okresie rozwojowym miasta, padł nagle ciężki grom, gdyż teatr polski, prawdopodobnie podpalony, spalił się do szczętu! I tak, jak przed rokiem cieszyła się Polska z powstania tej kresowej placówki żywego słowa naszych wieszczów, tak dziś pośpiesza Polska cała z ofiarami na odbudowę polskiego teatru w Grudziądzu. *Wod.*

Fragment parku miejskiego w Grudziądzu.

DZIWY NOWOCZESNEJ TECHNIKI.

Największy żelazo-betonowy most na świecie, o rozpięciu łuku 131 m., łączy brzegi Sekwany.

Rekordowe roboty żelbetonowe wykonano w r. b. we Francji. Są to: 1 most szosowy nad Sekwaną w Normandji i hangary dla sterowców. Olbrzymie te dzieła techniki budowlanej tak imponują swemi rozmiarami, daleko odbiegającemi od wszystkich dotychczasowych, że podajemy ich fotografje i krótki opis.

Most przy Saint-Pierre-du-Vauvray o rozpięciu 131 metrów według planu inżynjera Freyssineta zbudowano zupełnie bez filarów. — Składa się on z dwóch równoległych boków, połączonych z sobą tylko w dwóch miejscach i oczywiście u podstawy. W sklepieniu zatopione są pręty stalowe, na których wisi jezdnia zrobiona również z żelbetonu.

Przekrój sklepienia w kluczu (czyli pośrodku) wynosi $2\frac{1}{2} \times 3$ metry, a grubość ścianek, pustego w przeważnej części długości łuku, wynosi około 30 cm.

Most ten otwarto dla ruchu kołowego w dniu 14 października. Największy most żelbetonowy nad Tybrem w Rzymie ma 100 metrów rozpięcia. W budowanym obecnie wiadukcie na Missisipi łuk centralny sięga 122 m., więc też most francuski jest rekordem wszechświatowym.

Drugą pracą, znacznie większą rozmiarami, są obecnie budowane dwa hangary dla sterowców, w odległości 12 klm. od Paryża na drodze ku Fontainebleau. Wymiary każdego z nich: 300 metrów długości, 91 m. rozpięcia łuku i $59\frac{1}{3}$ m. wysokości. Będą to największe hangary na świecie. Jak widać na rysunku, zbudowano mur podstawowy, jakby harmonijkę, do wysokości 17 m. i na tem budują się również harmonijkowe sklepienia na rusztowaniu, które, po wykonaniu sklepienia, zostaje opuszczone i przesunięte pod nową arkę, co właśnie przedstawia rysunek.

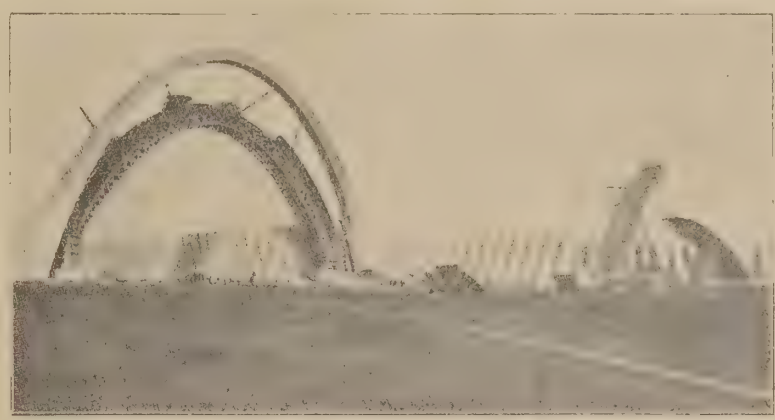

Początkowe roboty przy 2-ch hangarach żelazo-betonowych pod Paryżem.

Szerokość sklepienia, czyli rozmiar harmonijki wynosi $7\frac{1}{2}$ metra szerokości i 5,2 m. wysokości u dołu a 3 m. w kluczu.

O rozmiarach tej pracy dają pojęcie następujące cyfry: Fundamenty 9,600 metrów sześciennych. Betonu na sklepienia 11,000 m. sz. Żelaza dla zbrojenia 580 tonn. Okien w dachu 3,800 m. kwadr. Są to cyfry dla jednego hangaru. Z tego materjału możnaby wybudować pokaźne miasteczko. Będą to więc największe hangary na świecie, wybudowane przytem z materjału ogniotrwałego. *H. G.*

PRZENOSZENIE DOMÓW W AMERYCE.

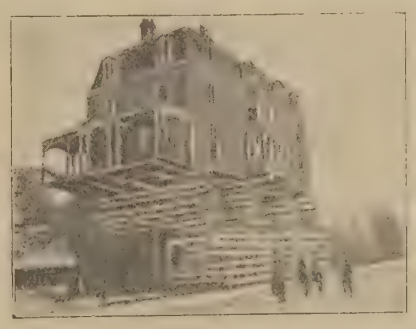

Technika w Ameryce doszła już do takiego rozwoju, że cały dom, bez rozbierania go na części, można przenieść z jednej strony ulicy na drugą, jak pudełko. Ilustracja nasza wyobraża właśnie taki dom w chwili przenoszenia.

FELIKS BRODOWSKI:

OSIEDLA CHRYSTUSOWE.

I.

Z niewielu moich przyjaciół przypomniał mi się najcnotliwszy.

Był to stary dąb. Dawnych lasów odwieczna pamiątka, stał sobie w polu samiuteńki jeden. Odszedł go wszystek ród jego i za rzeczką, opodal zaległ borem gęsto zarosłym, a pod tego samotnika już tylko łąki się podesłały i niwy. Co rok świeże, co rok wonne, co rok śpiewne, gdy pszczół i ptasząt naleciało. Aleć kwiatuszki i zioła nie był to ród jego. Co rok kłaniały mu się wątłe kłosy żytnie i, u nóg jego po dziecinnemu sepleniąc, odmawiały modlitewkę swego krótkiego, lecz zbożnego żywota — aleć nie był to pogwar miły jego braci, synów, wnucząt. Z swoich nikogo. Ani przychylić się do kogo lub wesprzeć, ani z kim o dawnym dniu pogwarzyć. Więc żył jakby nie sobą i nie dla siebie. Tem znaczniejszy, że sam jeden, zdala już oczy przyciągał i w dal mierzył, rozglądając się z miejsca swego — jakby czuwać, ojcować, przewodzić czy prowadzić kogo miał, ale kogoż — gdy odszedł go ród leśny?

Pewnego razu — dawno już temu — gdy wiatr jesienne mgły po ściernisku włóczył, mali pastuszkowie pod dębem ognisko rozniecili, zabawiali się przy niem a potem odeszli, nie zagasiwszy głowni. Ogień pełzał po suchym liściu, trawił suche gałązki aż podpełznął do drzewa, stopy jego oblizał, ukąsił, zasmakował, wżarł mu się aż do wnętrza i wypalił w nim niby niszę sklepioną, czarną, tak wielką, że dorosłemu uklęknąć a dziecku stanąć w niej przestrono. Gdy trzewia jego płonęły, szumiał sobie starzec bezgniewnie, jesiennym, smętnie łagodnym poszumem jakby błogosławił — kogo? Może dziatwę płochą, co nieopatrznie taką mękę okrutną na niego ściągnęła.

Potem — dawno już temu — na tej zwęglonej ramie czyjaś ręka znak krzyża wycięła, ktoś mały obrazek święty tu zawiesił, a dziś przed poświęconą ramą przechodzień głowę obnaża, mali zaś pastuszkowie tu czasem pacierz odmówią. Gdy na świecie maj zakwitnie i zapachnie a w młodych sercach zakwitną, zapachną i roztęsknią się wiecznie odradzające się porywy ku dobru, ku Bogu — zbiegają się pod dąb wieczorem dziewczęta wiejskie i, poklękawszy kołem, śpiewają pieśni majowego nabożeństwa. „Dobranoc, przeczysta lilijo"...

Męką nawiedzone drzewo, od rodu swego opuszczone, wtórzy ludzkiej, wieczystej i świętej tęsknicy.

II.

...Są ludzie, co swe ja, swe wnętrze jakoś zdołają całe i nienaruszone przez żywot swój zachować, owszem — tak pełni są siebie, że nawet Bóg nie ma którędy do nich się wcisnąć. Są zbrodniarze co zbrodniarzami zostają do końca; są cnotliwi i poczciwcy z nałogu; śpiewacy co zawsze coś nucą; poeci w ciągłem wniebobraniu; malarze, co nigdy pendzla nie cisnęli o ziemię; oszuści zawsze pełni pomysłów; głupcy, których nigdy mądrość nie nawiedziła, i mędrcy, którzy nigdy o sobie nie zwątpili — i serca są, co nigdy niczego nie znienawidziwszy, kochać też nie potrafią. Ale to ludzie prawdziwi, ludzie całkowici, pełni siebie i pewni, niezawodni, materjał do rejestracji, cegły, które z miejsc się nie ruszą. Coś na nich budować można. Na nich, lecz — nie z nich. O tych to powiedzieć można, że człowiek póki jest człowiekiem — niczem innem być nie zdoła. — Są inni, co zawżdy coś zgubią, rozdadzą z siebie, roztrzęsą i posieją po drogach lub męką nawiedzeni — jak to drzewo — w niej trzewia swą spalą. Gdy czegoś im ubędzie, w pustkę stąd powstałą coś napłynąć musi. Czasem Bóg przez życzliwość. Czasem szatan przez ciekawość zajrzy, zachichoce i zagwiżdże jak wiatr w uschłej wierzbie. W nich maj zakwita śród zimy a w maju sadź śnieżna na kwiaty opada. Osobliwszy gatunek — ludzie, którzy już nie są ludźmi, jak to drzewo, co już drzewem nie jest, odkąd — kaplicą się stało.

Dusza takiego — to jak mieszkanie, którego właściciel przepadł gdzieś, ale jeszcze wszystko tu go przypomina, każdy sprzęt coś o nim mówi; fortepian otwarty i nuty na pulpicie, tam książka rozłożona, ówdzie pismo niedokończone... Do tych pustych pokojów lubi Bóg zaglądać; przechadza się po nich, niekiedy trąci dłonią klawisze i z ucichłych strun człowieczej duszy dobędzie jakiegoś cudnego akordu, niekiedy odczyta urywek z książki, którą „tamten" czytywał lub usiądzie i na kartce niedopisanej sam wyrazy jakieś kreśli.

Miałem wuja, którego nigdy nie znałem. Młodym chłopcem brał udział w powstaniu, potem wyemigrował, zawieruszył się i nie wrócił. Paryż wessał go, wyssał i wypluł może do wspólnego dołu paryskich nędzarzy. Została po nim garść listów. Pisywał je do siostry, matki mojej. Nigdy w słowie drukowanem tak nie zabulgoce łza, ani krew się tak nie zaciepli jak w liście, liście brata do siostry! Był w jednym z nich urywek, który matka moja często odczytywać musiała i tak swemi łzami to pismo polała, że stało się nieczytelne. Gdy do moich rąk się dostało, byłem jeszcze prostodusznem dzieckiem i nie miałem nic lepszego do zrobienia, jak przy tych zatartych wierszach z boku nakreślić: „Kocham Cię".

W opustoszałych domach, w wypełzłych, wywiędłych, uschłych, czy zwęglonych duszach Bóg znajduje czasem takie pożółkłe, nieczytelne kartki; zaduma się nad niemi a niekiedy — wzruszony napisze prostodusznie: „Kocham cię".

. . . . . .

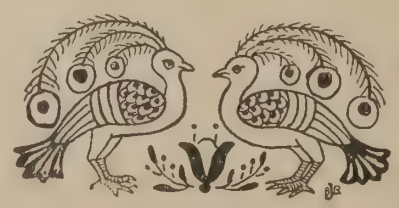

O tem masz pamiętać, mój synku.—Dla ciebie ta opowieść, bowiem nie raz tych ludzi w Polsce napotkasz. Napotkawszy, pozdrów uprzejmie, bo widzisz — tak to jakoś szło, że dusza twojej Ojczyzny urastała nie z tych, co pełni siebie i nic z pełności swojej nie uronią, lecz z tych raczej, co wiele z siebie oddali, czasem — wszystko, zostawiwszy sobie tylko głód, tęsknicę, mękę i krzyż w zwęglonej ramie wyrżnięty.

KONIEC.

SPRYT.

— Czy znacie Państwo anegdotę o burzy na statku — nie! O statku na morzu, podczas burzy?...

Znacie? A więc posłuchajcie:

Płynął statek. Raptem wybuchła burza.

Zaczęło miotać wątłą łupinką w tę, w tamtą stronę... Zguba nieunikniona!

Pasażerowie poszli po rozum do głowy!

— Na statku musi być jakiś łobuz, który rozgniewał niebiosa... Ale kto?

Żeby ulżyć statkowi, wyrzucono do morza transport pomarańcz.

Połknął je rekin.

Okrętem telepie tędy, owędy. Żadnej nadziei!

Wyrzucili żyda za pokład.

Rekin: chap! ale burza trwa.

Został Grek. Złapali go za kołnierz i — buch! do wody.

Jakoś się uciszyło.

Ochłonęli z przerażenia. Znów się pokazał wielki rekin. Harpunują go.

Wyciągają na pokład, otwierają mu brzuch— — Bagatela!

W brzuchu ryby siedział Grek i sprzedawał żydowi pomarańcze *loco rekin*...

. . . . . .

Ta anegdotka ma obrazować spryt niektórych ras: żyd ma być bardziej cwany od cygana, a Grek jeszcze cwańszy od żyda...

. . . . . .

Spryt bywa wesoły — i makabryczny.

Wesołym sprytem nazwiemy spryt amerykański. Przykład: w pewnem mieście portowem było okropne błoto.

Gentlemani mieli strasznie zachlapane obuwie.

Poszedł ktoś do stolarza, kazał zrobić skrzyneczkę z calowych desek; poszedł do sklepu, kupił dwie szczotki, kawałek pluszu i dwanaście pudełek pasty do obuwia.

Stanął na bulwarze portowym i zaczął nawoływać przechodniów:

— Czyszczę buty, kamasze, trzewiki, pantofle czyyyyszczę!...

W rok później miał w różnych dzielnicach tego miasta kilkuset czyścicieli butów, pracujących kontraktowo...

W pięć lat później otworzył własną fabrykę szczotek...

Po piętnastu latach był miljarderem.

. . . . . .

Ale niech mi ktoś, proszę, powie, w czem tu jest spryt, jeżeli pan X., czy Y. fałszuje etykietę? Albo banderolę? Albo miesza spirytus z wodą i twierdzi, że to jest czysty alkohol? Albo sprzedaje szkiełka, dowodząc, że to są 3-karatowe brylanty? Albo uprawia szwindle walutowe?

Przecież wcześniej czy później, (nigdy zawcześnie!) pójdzie do kryminału...

— Nie, proszę Państwa. Sprytnym jest tylko taki człowiek, który sam zrozumie, że uczciwość jest najlepszym interesem *)!

Zdzisław Kleszczyński.

*) Do wniosku tego zaleca się dojść bez pomocy sędziego śledczego.

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski
nineten hundr ed twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI:

DALAJ-LAMA.

POWIEŚĆ. 39)

— Narazie tak. Szag-dur pisze jednak, że nie uspokoi się dopóki nie będę z nimi w Urdze... Niezupełnie rozumiem... co to znaczy. Pewnie, że pragnęłabym jaknajprędzej zobaczyć się z bratem i już nie rozłączać... Mieli o to robić starania... Mieli wrócić... Co znaczy dwadzieścia wiorst dla jeźdźców... Mają przecież konie... Mieli tu być przed ostatecznem zapisaniem się do wojska... Mieliśmy się naradzić co do dalszych wspólnych projektów... Czy nie prawda? Tymczasem ten list z życzeniem, żebym jak najprędzej przyjechała i... wyrażony nawet z tego powodu niepokój... Doprawdy nie rozumiem... Czy nie lepiej, żeby oni tu przyjechali?... Czas taki cudny, chłodno, pogodnie, zielono... I tak cicho, tak niezmiernie cicho... Od czasu jak stada odpędzono w góry... senność jakaś zapanowała... Nawet Geril-tu Chanum dłużej sypia i mniej krzyczy na służebne... Dawno nie czułam się tak dobrze, tak swobodnie... Brak mi tylko brata i Szag-dura...

Lotnik spojrzał uważnie na dziewczynę.

— Widzę, że pani bardzo lubi spokój, ale w takim razie... poco pani wybiera się do Polski?...

— Jakto?...—spytała z pewnem zmieszaniem.

— A tak, w Polsce wszystko wre, kipi, tętni... Ścierają się poglądy, partje, walczą interesy i ideały... Buduje się nowe życie... Tak przynajmniej sobie to wyobrażam i dlatego śpieszę się tam... Chcę wziąć w tem udział... Boli mię, że tam się to robi bezemnie... Przecież należałem do tych, którzy pierwsi podjęli orężną walkę o tę niepodległość...

— Widzi pan, widzi pan!... A myśmy tu nic nie wiedzieli, nic!... Żyliśmy jak w zaświecie, aż nagle przyszła ta burza... Nie chcę jej, ach, nie chcę... Okropna, okropna!...

— Przez tę burzę naród nasz zmartwywstał!... Niech będzie błogosławiona!...

Hanka umilkła, ale Domicki na jej ślicznej twarzyczce wyczytał głęboką urazę i było to mu jednocześnie nieskończenie miłe i przykre.

— Panno Hanno!...—rzekł.—Pani jest pacyfistka a to dla Polski zbyt drogi i przedwczesny smakołyk... Mamy doń prawo ostatni... Niech ta filozofja rozkwitnie przedewszystkiem u naszych sąsiadów...

— Rozumiem. Wyznaję jednak, że marzyłam o cichym jakimś kącie, o domku tonącym wśród róż i jaśminów, jakie mi opisywała matka. Mam dosyć przygód i Azji...

— Cóż robić, kiedy ta nie chce nas wypuścić!... Bies jakiś wszystko poplątał... Naprzykład ze mną... Jeszcze dwie godziny lotu a byłbym za granicą chińską, może nawet w Charbinie... Nie obliczyłem, że w tem suchem powietrzu woda z chłodników będzie się tak szybko ulatniać... Groziła nam poprostu katastrofa, musiałem się opuścić... Liczyłem, że weźmiemy wody z rzeczki i natychmiast polecimy dalej, gdyż gazoliny mieliśmy dosyć... Licho nadało z tą wysoką trawą... No i nieboszczyk Bystroń zbyt gwałtownie osadził... Trzeba było jeszcze trochę nad ziemią polecieć... Cóż kiedy nic widać nie było... W dodatku nastraszyliście go swemi harcami... Szkoda biedaka!

— Myśmy się sami gorzej od niego przelękli!...—zauważyła Hania—Krajowcy dotychczas nie mogą się z wami oswoić... Często widzę, jak wyciągają mały i wskazujący palec ręki, żeby się od waszych uroków zabezpieczyć!...

— Tem lepiej!...—rozśmiał się Domicki. — Wcale nie mam zamiaru ich przekonywać, że jest inaczej. Owszem skorzystam z tego przy lada sposobności...

— Ucieknie pan?...

— Ucieknę.

— A obietnica, dana baronowi?

— Mógłbym jej nie dotrzymać ze spokojnem sumieniem, tyle wiarołomstwa spotykałem zawsze z tamtej strony... Nie zrobię jednak tego... Będę czekał wypadku, który mię ze słowa zwolni... Pewny jestem, że przyjdzie... Takie są czasy, że żadne zobowiązania na dłuższy okres nie mają najmniejszej wartości... Wszystko się zmienia, wali lub pojawia z zawrotną, nieobliczalną szybkością... I dlatego wszystko ma tak wielki urok, taką barwę, takie napięcie... Każde zdarzenie, każde spotkanie, zamiar lub uczucie... Trzeba je realizować natychmiast lub ich się zrzec... Wypadki pędzą jak wicher, często tchu nie staje... Niema czasu nawet na pożegnanie spotkanych, na żal po miłych... Jest coś upajającego w tym szalonym biegu, w tem skoncentrowanem życiu, życiu pełnem radości, ruchu, zapału, gdzie niema wprost czasu na smutek...

Wracali do jurt, dokąd już szły z mierzchnących stepów stada bydła i owiec, pędzonych na nocny wypoczynek. Dojne krowy z wymionami pełnemi mleka, pomrukując, przyśpieszały kroku, posłyszawszy żałosny bek oczekujących ich w zagrodach cieląt. Kierdele owiec pchały się za idącymi przodem pastuchami, oganiane z boku przez wielkie siwe, jak wilki, owczarki. Kozły i kozy, machając rogatemi i brodatemi główkami, podążały w małych grupach za stadami. A w dali czerniały w czerwonym blasku szybko dogorywającej zorzy tabuny koni i wyolbrzymiałe sylwetki wielbłądów, również zwolna zbliżających się na noc ku ludzkim ogniskom.

Geril-tu Chanum stała przed książęcym namiotem i, przysłoniwszy oczy ręką, przyglądała się stadom, których pierwsze szeregi już wtargnęły w rzemienne ogrodzenia cielętnika, gdzie czekały na nich dójki z naczyniami, starsi nie doszli do służby w stepach parobcy i dzieci. Szybko wiązano wybrane zwierzęta do sznurów z pętlicami, a inne odpędzano na stronę. Zwykły gwałt, stukot kopyt, pomruki i stękania bydląt, krzyki ludzi, chrzęst wozów i naczyń potrącanych przez rozbrykane jałowice, byków, kozłów, baranów, hałas bójek wszczynanych przez podniecone zwierzęta — zwykłe wieczorne głosy, dźwięki, ruch koczowiska wraz z ostrym zapachem bydlęcego potu i nawozu—ogarnął Hannę i Domickiego, skoro tylko znaleźli się w obrębie stawki. Omijając tłoczące się lub kładące na ziemi ociężałe, stare krowy i pociągowe woły, kierowali się ku wejściu do namiotu, przed którym stała księżna. Ta wciąż nie odejmowała rąk od oczu i patrzała w dal. Etykieta nie pozwalała jej ominąć i wejść do namiotu a pobyt wśród nadpływających stad nie był przyjemny. Stanęła więc Hanka z lotnikiem obok Geriltu-Chanum i spojrzeli w stronę, w którą patrzyła. Tam po płaskim łęgu wzgórz zjeżdżał, nie śpiesząc się, nieduży oddział jeźdźców.

— Kto to może być?... Jacyś obcy!... — rzekła księżna z pewnym niepokojem do starej stojącej obok Mongołki Czi-kej.

— Istotnie. Nie nasi... Nie Chał-cha!... Ani też Darchaty, ani Buruty... ani ludzie Dżasakta Nojona, ani Saj-Nojona... Nie nasze czapki i nie po naszemu siedzą na siodłach... Może Urjachowie, może Oloty, a może nawet dzikie Cha-chary od chińskiego muru... kto ich wie? W pobliżu stolicy Świętobliwego kręcą się narody całego świata, szukając ulgi w grzechach...—szemrała stara Mongołka pod bokiem księżny.

— Trzeba skrzyknąć pastuchów!...—rozkazała ta energicznie.

— Już spostrzegli, już sami idą!—uspokoiła księżnę Czi-kej.

Geriltu obrzuciła badawczym wzrokiem dosiadających koni pastuchów i weszła do namiotu. Za nią weszła Hanna i Domicki, którzy niebardzo rozumieli o co chodzi, a którym dość już dokuczyły te nieustanne tłumne odwiedziny bliższych i dalszych sąsiadów.

Księżna usiadła na poduszce pod ołtarzem Buddy i, wyciągnąwszy srebrną fajeczkę, zagłębiła się w paleniu tytuniu. Widocznem było, że czeka na przybyszów. Niedługo wpadł wysłany naprzód wywiadowca i doniósł z pewnem podnieceniem.

— Ludzie z Zachodu... Szukają zaginionych koni... Proszą o nocleg...

— Tajdżi...*) czy prości?...

— Na czele jakiś znakomity... Chce mówić z tobą, księżno!

— Co ja mu powiem?... — zawahała się księżna.—Męża niema...

— Właśnie dlatego...

Geriltu Chanum namyślała się chwilkę, ssąc fajeczkę i marszcząc gęsto brwi.

— Proś!...—rzekła wreszcie, wytrząchając popiół „lulki" do fajerki. — Zapal świece!... — zwróciła się do Czi-kej.

Niewyraźny, zgiełkliwy szmer, połączony zwykle z przyjazdem kilku mężczyzn i wejściem ich do jurty—rozległ się nazewnątrz. Drzwi otwarły się szeroko i przez próg przeszedł zamaszyście, poczem ukłonił się nisko wielki, tęgi Mongoł w czapce futrzanej z płaskiem dnem czerwonem, za nim szło jakby w ordynku pięciu towarzyszy. Wykonawszy wymagane ukłony i powitania, wszyscy oni usiedli i puścili ciekawe, badawcze spojrzenia w obieg po jurcie. Nagle dostrzegli Hankę, znieruchomieli, mówić przestali i jakby na komendę wyrwali z pod siebie pospiesznie podwinięte prawe nogi, wystawili je, przyklękając, oparli na nich łokcie i pochylili czoła, przyciskając do nich pięści.

Tak czynią przed Chanem poddani. Zdziwiona Hanka uniosła się z lekka z poduszki a Geriltu Chanum szepnęła porywczo do Czi-kej:

*) Tajdżi—szlachta.

— Zaprowadź ją zaraz, zaraz zaprowadź za zasłonę... Taki mam rozkaz... To Diurbiutcy... Niech Gu-nyn pędzi do sąsiednich ułusów o pomoc... A to bezczelnicy!...

Stara Czikej podeszła uniżenie do Hanki i gestami oraz słowami dała jej znać, że ma zaraz iść za nią.

Dziewczyna, cokolwiek zdumiona i poruszona widokiem obrzędu, widocznie skierowanego ku niej, chętnie usłuchała wezwania.

Gdy obie znikły za zasłoną, przyjezdni usiedli zwyczajnie i, wyciągnąwszy fajeczki zaczęli palić, częstować obecnych, nie odpowiadając zresztą na żadne pytania, tyczące się celu ich przyjazdu oraz Hanki...

— Zginęły nam konie... Szukamy swoich tabunów...—mówili dyplomatycznie.

— Czyż mogłyby zajść aż tutaj... z waszego kraju...

— Nie osiągniesz celu pragnień, jeżeli nie przejdziesz koniecznej drogi... Konie mają długie nogi i ruchome grzywy!...—odpowiedział mglisto naczelnik przyjezdnych.

Na zewnątrz do stękań, szmerów i westchnień układających się do snu stad, przyłączyły się tętenty nadlatującej z oddala konnicy. Jeden z przyjezdnych wyszedł; pozostali dalej rozmawiali spokojnie, wypytując się o urodzaje traw, o posiewy zbóż i zdrowie bydła oraz ludzi, jak każe obyczaj, nie dając najmniejszego pozoru, że obchodzą ich choć cokolwiek, dobiegające z nazewnątrz, hałasy. Geril-tu Chanum podtrzymywała rozmowę, lecz z trudem ukrywała nurtujący ją niepokój. Węże czarnych jej brwi co chwila drgały i falowały a górna warga, ocieniona lekkim puszkiem, unosiła się drapieżnie nad białemi zębami. Po niejakim czasie głosy na dworze ucichły i do jurty wszedł diurbiutczyk, ten co niedawno był wyszedł, a za nim dwóch kniaziów chałchaskich strojnych i zbrojnych.

Domicki przyglądał się bardzo uważnie rozgrywającej scenie i choć nie rozumiał ani słowa po mongolsku i nie miał kogo zapytać o wyjaśnienia, domyślił się, że jest świadkiem jakiegoś zatargu, którego przedmiotem jest Hania. Wyciągnął więc ostrożnie brauning ze swego worka podróżnego i schował go do kieszeni.

Nieporozumienie, choć nie załatwione, widocznie jednak łagodniało. Rozmowa stała się ogólną, fajeczki krążyły z ust do ust, podano herbatę i Geril-tu Chanum kazała zarżnąć na wieczerzę barana.

Mongołki zatrzymały jednak za zasłoną cały czas grzecznie, ale stanowczo Hankę a w czasie wieczerzy, niepostrzeżenie przykrywszy ją mongolskim chałatem, uprowadziły z jurty. Wybiegł za nią Domicki i spytał z widoczną trwogą:

— Co to znaczy?...

— Nie wiem!—odparła dziewczyna. — Jakiś zabobon; pana też pewnie mają za którego z niebiańskich zesłańców!

Rozśmiała się, lecz, spostrzegłszy na jego twarzy lęk i wzruszenie, dodała:

— Niech pan się nie obawia!... Dobrzy są dla mnie i panu też krzywdy nie zrobią... Czuwa nad nami dobry genjusz Szag-dura!...

Służebne pociągnęły Hankę łagodnie za sobą, gdyż z jurty książęcej znowu ktoś wyszedł i patrzał w ich stronę.

Domicki zauważył znaczną ilość posiodłanych wierzchowców, stojących grupkami w cieniach nocy; wśród leżącego na ziemi sennego bydła spali tu i tam ukryci ludzie.

Noc minęła jednak spokojnie. Wczesnym rankiem goście odjechali, odprowadzeni uprzejmie przez paru jezdnych do granic koczowiska. Geril-tu Chanum była mimo to w dalszym ciącu stroskana, podrażniona i wysłała w krótkich odstępach czasu do męża dwóch gońców.

Zamiast odpowiedzi przybyli nazajutrz chińscy robotnicy z wojennych warsztatów z Urgi z wozami i narzędziami, potrzebnemi do rozbiórki i przewiezienia samolotu.

XIV.

— Więc dowidzenia w Urdze!...— mówiła Hanka, ściskając mocno rękę lotnika.

Ten stał przed nią zupełnie gotowy do drogi w skórzanej kurcie, przepasanej szerokim rzemieniem i trzymał za powód osiodłanego konia. Poza nim stało dwóch konnych i zbrojnych Mongołów, którzy mu towarzyszyli. Wozy ze skrzydłami i kadłubem samolotu, ciągnione przez dwanaście par wołów, otoczone szwargocącymi chińskimi robotnikami i krajowymi poganiaczami, skrzypiąc, odchodziły w dal.

— Czy nie odprowadzi mię pani kawałeczek? — pytał Domicki, rzucając proszące spojrzenie na twarz dziewczyny.

— Owszem, przejdę się, ale muszę uwiadomić księżnę, gdyż prosiła, żebym kroku nie robiła poza stawkę, bez jej wiedzy...

— Widzi pani, pilnują panią!...

— Pilnują. Cóż z tego?... Większa pewność, że nie zginę...—odrzekła wesoło.—Tu-sziur, powiedz księżnie, że przejdziemy się trochę...— rzuciła po mongolsku towarzyszce.

— Mamy teraz wysoką w Urdze protekcję. Nie mówiłam panu, gdyż był pan cały czas tak bardzo zajęty. Wczoraj odebrałam list od Szag-dura. Pisze, że Władek wstąpił do wojska, zaliczony został do przybocznej gwardji barona, gdzie sami prawie Polacy, że mieszka w koszarach, że bardzo jest zajęty ćwiczeniami, więc rzadko się widują z Szag-durem, który również ma moc pracy. Władek jest zdrów, dobrej myśli i czeka na mnie i na pana. Szuka dla mnie mieszkania i nawet ma na oku mały pokoik przy rodzinie polskich zbiegów z Czyty.—Widzi pan, nie jest tak źle! Szag-dur sam również chciał wstąpić do wojska i iść na front, ale jego powinowaty Dżał-chan-cy Lama, prezes Rady Ministrów, nie zgodził się. „Machać szablą i uwijać się na koniu każdy pastuch potrafi... Ty dużo umiesz, uczyłeś się w szkołach zamorskich, znasz chiński i rosyjski... Takich bardzo potrzebujemy na urzędach”... — powiedział mu i zatrzymał go przy sobie jako przybocznego sekretarza... Szag-dur uspokaja mię, żebym się niczego nie obawiała, że tu wciąż o mnie pamiętają, ale nastaje, żebym się nie śpieszyła do Urgi, że lepiej mi pozostać tu z Geriltu Chanum a nawet odkoczować gdzieś dalej...

Rozśmiała się i spojrzała śmiało i wesoło w oczy Domickiemu.

— Cóż pan na to?

— Niech pani się nie śmieje... To nie są rzeczy takie proste... Na nieszczęście ja nie rozumiem po mongolsku, ale czuję, że się tu coś dookoła pani knuje... I dlatego nie tylko nie radzę odkoczowywać, lecz, przeciwnie, nastaję, żeby pani corychlej starała się dostać do Urgi. Zawsze tam—gdzie będziemy my, będzie bezpieczniej... I niech pani zaraz napisze do tego Szag-dura, żeby o to się starał, że pani tego żąda... My ze swej strony też będziemy nacisk wywierać... Nie uspokoję się, dopóki pani w Urdze nie zobaczę...

— Niewiadomo jeszcze, czy pan tam będzie...

— O, ja będę napewno. Fabryka, o której mówił baron, nie tak prędko stanie... Dla mnie to są rzeczy niezmiernie ważne... Przysiągłem sobie, że odlecimy stąd.. Wszakże pani się zgodziła?...

Dziewczyna przykryła oczy długiemi rzęsami i tak szła chwilkę, nie odpowiadając.

Nagle, idąca po drugiej stronie Tu-sziur pociągnęła ją za rękaw.

— Dalej nie możemy iść... Geriltu Chanum powiedziała, że tylko do końca doliny...— szepnęła.

Zatrzymali się. Domicki przybladł ze wzruszenia, wyciągnął rękę i szukał wzrokiem oczów Hanki, ale dziewczyna umykała mu ich teraz, choć widział, że wargi drżeć jej zaczęły i piersi zafalowały mocniej.

— Do widzenia!...

— Do widzenia... Pani pozwoli...

Schylił się i pocałował rękę dziewczyny, ku wielkiemu zdziwieniu i zgorszeniu Tu-sziur.

— Co on zrobił? Czy powiedział ci, że cię kocha?...—spytała Hanki, gdy lotnik wsiadł wreszcie na konia i pogonił galopem za swoją karawaną.

— Nie. Nic mi nie mówił!...

— Och, jakże długo to się u was robi?... Jakże długo?... Kiedyż więc u was chłopiec mówi dziewczynie, że ją kocha?... Czy koniecznie musi przedtem ją w rękę pocałować i tak oczyma przewracać, jak ten „powietrzny goniec”... Ładny on jest i powinnaś mu była coś słodkiego powiedzieć!... Żal mi go!...—gwarzyła Tu-sziur, zaglądając w oczy przyjaciółce.

Po twarzy Hanki przeszedł wyraz smutku, rychło jednak znikł w twardem skupieniu.

— Przestań, Tu-sziur. Ty tego nie zrozumiesz... Ty jesteś tu u siebie a ja przysięgłam, że nie otworzę serca nikomu aż w kraju. Poco mam zamykać sobie drogę?...

— W twoim kraju?...

— Tak!...

Na twarzy Mongołki rozbłysła radość.

— Pewnie, że tu niema takich, którychbyś ty kochać mogła, święta dziewczyno!...

— Znów mię nazywasz „świętą”?!... Prosiłam cię, żebyś tego nie robiła!...

— Dobrze, dobrze!... Prosiłaś!... Będę pamiętała... Chociaż wszyscy cię tak nazywają, nawet ci durbiuci, co tu byli...

Już blisko namiotów Tu-sziur przerwała nagle gawędę i, pochyliwszy głowę, nadstawiła uszu w stronę stepu, gdzie zniknął Domicki.

— Wraca, słyszysz, wraca... Tym swoim ptakiem... Pewnie po ciebie!...—szepnęła, chwytając Hankę za rękę. Z końca doliny leciał głuchy, wciąż rosnący szum i nagle jęknęła daleko syrena.

— Nie, to samochód!...—odrzekła Hanka, zatrzymując spojrzenie na czarnym punkcie, wyłaniającym się z za niskiego wzgórza. *(Dcn)*

TADEUSZ RITTNER:

MOST.

POWIEŚĆ.

18)

XIII.

Minister dla handlu i przemysłu przetłumaczył z wielkim talentem—Verlaine'a. Ale i oprócz tego wpadał w oko w kołach urzędowych. Arystokraci z pomiędzy jego kolegów schodzili się z nim w towarzystwie, a z niektórymi z nich był per „ty", bo matka jego była księżną z domu. Niejednokrotnie zaznaczał, że się nie interesuje drobiazgami urzędowemi. Było mu z tem bardzo do twarzy, kiedy został później powołany na kierownika urzędu, ale na dawniejszych stanowiskach miał z tego powodu dużo nieprzyjaciół.

— W gruncie rzeczy dyletant,—mówili o nim ci panowie, których przeskakiwał przy awansach, pomimo mniejszej ilości lat służby.

W dodatku był dowcipnym, często z uszczerbkiem dla rzeczy, która jemu samemu leżała na sercu. Prawie lekkomyślnie poświęcał nieraz treść—formie. I większość osób, z któremi omawiał ich poważne sprawy w swój lekki sposób, była w końcu niezadowolona; nawet wtedy, kiedy ich grzecznie przyjmował i robił im ustępstwa.

— Pyszałek—mawiali o nim mężczyźni, obdarzeni sami chorobliwą miłością własną.

Właściwie, tylko kobiety przepadały za nim. Może dlatego, że czuły jego zależność od nich. Przytem jednak wydawało się, że był więcej zajęty swoją własną osobą, aniżeli niemi. Że nazywały go idealnym causeur'em, pomimo, że właściwie miewał tylko monologi, wskazywało na jego erotyczne zdolności. Mówił zwykle w taki sposób, że tylko kobiety mogły go zupełnie zrozumieć. Poeta między mężczyznami a dziwnym sposobem: mężczyzna między kobietami. Bywał na tysiącznych herbatkach, na które pracownicy zwykle nie mieli czasu, a bywał tylko dlatego, że mógł tam tak mówić, jak lubił i zatrzymywać się przy tematach, na które jego koledzy nie mieli czasu.

— Czy zna pani ten piękny wiersz Novalisa? — był w stanie rozpocząć rozmowę o czwartej popołudniu, pomimo, że o piątej było wyznaczone posiedzenie w ministerstwie.

I zaraz deklamował ów wiersz. Z pewnego rodzaju patosem przyciszonym, salonowo, ale tonem tak zabarwionym, w jakim mówią wiersze w Comedie française. Przytem przechadzał się po pokoju i bawił się sznureczkiem od monokla.

Pan minister potrzebował dużo miejsca, jeżeli wpadł w zapał, a wpadał w zapał nietylko w estetycznych kwestjach. Kiedy niekiedy wpadło mu na myśl mówić o polityce, gawędzić poprostu na ten temat.

A jeżeli zdarzyła się przy tego rodzaju sposobnościach jakaś dama, która nie wahała się wyrazić swojego zdania—odpowiadał jej zawsze z wielką powagą. Odpowiadał jej z tak silnie podkreśloną powagą, że każdy mężczyzna byłby to uważał za drwiny i czuł się obrażonym. Ale dla niego pogawędka z kobietami była niemniej ważną niż inne sprawy. I za to, że obcował z niemi, jak z sobie równemi, zaliczały go do walczących w wiecznej wojnie miłości. Jego ostatni stosunek miał dla nich tak wielkie znaczenie, jak najnowsze modele kapeluszy paryskich. A dobrotliwe matrony knuły dla niego rozmaite plany małżeńskie. Przy rozważaniu takich kwestyj brano pod uwagę li tylko dekoratywne, duchowo subtelne, po większej części dobrze urodzone panny i wdowy—i naturalnie tylko z bogatych, bardzo bogatych domów.

Dlatego wiadomość o zaręczynach ministra z córką mieszczańskiego aferzysty i polityka była dla wszystkich sensacyjnem rozczarowaniem.

Pieniądze nie były wszystkiem, a najmniej w tym wypadku; tu chodziło przecież o tak dystyngowanego i inteligentnego człowieka. A od tych, którzy znali rodzinę burmistrza, słyszało się niektóre szczegóły, które czyniły krok ministra zupełnie niezrozumiałym. Dziewczyna była wprawdzie ładna, ale w najbanalniejszem tego słowa znaczeniu, trochę ordynarny, zanadto zdrowy, poprostu wiejski typ, bez cienia interesującej właściwości, wyrosły w duchowo najprymitywniejszem otoczeniu.

— Ona go nie zrozumie — mówiono z współczuciem. O matce wiedziało się tylko, że cierpiała trochę na melancholję, a zresztą była córką piekarza z niewypowiedzianie małomiasteczkowemi manjerami, a o niesłychanie mądrym, ale naiwnym burmistrzu opowiadano anegdoty, które go czyniły sławnie śmiesznym.

— Wstydzi się — mówiono o ministrze, który się nie pokazał na kilku herbatkach.

Ale pan minister był poprostu zajęty. Był zakochany—to wszystko. Najlepiej to można było widzieć podczas ślubu, który nastąpił stosunkowo prędko po zaręczynach i na którym cały świat był obecny.

Dziwnem było, jak minister nagle się postarzał, tylko wskutek swego zakochania. Spoglądał na swoją pokaźną, kwitnącą, jak odaliska, narzeczoną, z rzetelnie zachwyconym—starczo-łagodnym uśmiechem.

— Ona jest o wiele za młoda—stwierdzono naraz.

Oto znalazło się coś zanadto młodego dla ministra—jego narzeczona!

Dopiero przy śniadaniu weselnem w domu burmistrza, na które było proszone tylko małe kółko przyjaciół, po kilku kieliszkach odnalazł jego ekscelencja swoją ironję.

Toast na cześć swoich teściów mówił w tak żartobliwym tonie, że wszyscy członkowie rodziny poprzysięgli mu w duszy śmiertelną nienawiść.

Kiedy się trącał z burmistrzem, powiedział mu:

— A ty... tak, ty zostaniesz moim następcą, prędzej czy później.

— Co? Czem mam zostać? Powiedz wyraźnie, proszę powiedz.

— Ministrem dla handlu i przemysłu.

— O, o, patrzcie go!

Burmistrz udawał, jakgdyby nie wierzył temu szelmie, zięciowi; groził mu palcem, ale śmiał się przytem jednak uszczęśliwiony, opowiadał ciągle każdemu rozwlekle to samo i chciał, żeby się z tego wywiązała ogólna rozmowa.

— Słyszałeś co powiedział? O, o, on sobie drwi ze mnie... Czy słyszał pan co jego ekscelencja... Ja? Dlaczego ja?... Jest przecież tylu innych...

— O co chodzi?—pytał z dolnego końca stołu nie tylko dziś odsunięty, daleki krewny.

— Ministrem mam zostać!—krzyczał burmistrz do niego.

Daleki krewny trząsł się ze śmiechu, myśląc, że tego pewnie spodziewano się po nim.

Ale burmistrz wziął mu to za złe.

— No i co z tego? Czy to takie śmieszne? czy to takie niemożliwe? Nie wierzy... ten tam... taki mały chudy... Dlaczego? Bo nie mam studjów prawniczych... Czyż każdy musi... Patrzcie się! Jakgdyby było dużo ludzi mądrzejszych odemnie.

Jakób, który także należał do zaproszonych, chciał położyć koniec temu głupiemu gadaniu.

— Niech pan da spokój—mówił do burmistrza—pan jest jedynym, który o tem mówi.

Burmistrz spojrzał na niego bardzo źle, ale on tego nie spostrzegł, bo miał dobry apetyt.

— Ale trzeba powiedzieć, że jedzenia jest dosyć—rzekł do swego sąsiada.

W tej okolicy przy stole byli tylko sami sąsiedzi—nie każdy mógł mieć kobiety koło siebie—a przy Jakóbie siedział młodzieniec, nie kto inny, tylko Hipolit, który z zambarasowania stracił cały apetyt.

Panie widziało się tylko w pobliżu ministra, między niemi jego matkę, księżnę z domu. Mogła mieć już około osiemdziesięciu lat i nie odpowiadała zaraz, jeżeli ją kto zagadnął; ale to było bardzo dobrze, że była tu obecną, bo mężczyzna, który miał żyjącą matkę, mógł od biedy jeszcze się ożenić.

Ale były także młodsze i ładniejsze, a z jedną z nich zabawiał się minister, tak ożywiony prawie, jak w dawnych czasach, bo miał dobre wino przed sobą. Stał się poufałym, robił zwierzenia, które tyczyły się jego wewnętrznego życia i nie zawsze całkiem cichym głosem.

— Mówię otwarcie, miałem chwile, kiedy myślałem, że nie przejdę na drugą stronę.

— Jakto na drugą stronę?

— My wszyscy przeżywamy teraz przecież straszne rzeczy, prawda? Rzeczy, które nasze nerwy wystawiają na próbę... I obawiałem się, że nie będę należał do tych, którzy ten czas przeżyją.

Ktoś mu przerwał:

— Ekscelencjo, jak to jeszcze długo potrwa?

Co „to" oznaczało wiedział wtedy każdy i jeżeli się było przypadkiem w towarzystwie jakiegoś wybitnego polityka, czy generała, dawało mu się sobie z przyjemnością wróżyć—pozornie, niby „żartem" i niebardzo w to wierząc, ale w głębi duszy mając nadzieję, jak poważni ludzie, którzy idą do kabalarki.

Minister zachichotał, bo pytał go mężczyzna. Zachichotał wysokim dziecięcym dyszkantem, tak jakby uczennica trzeciej klasy śmiała się z profesora. Marjanna popatrzyła na niego dziwnie, z góry, jakgdyby uważała, że jest za stary na tego rodzaju wesołość.

— Co mi pan da, jeżeli panu odpowiem? —żartował i osuszał sobie oczy.

A ów pytający uśmiechnął się wprawdzie, ale był urażony i rozczarowany.

Na drugim końcu stołu mówiło dużo osób naraz. Słyszało się tylko urywki:

— Nie dożyjemy tego nigdy... W przyszłej jesieni... Trujące gazy... Specjalny przewrót... Lloyd George mówił... Mięso kosztuje już..

A piękna pani mówiła do ministra:

— Tego się pan obawiał przedtem... ale...

— ...teraz przejście wydaje mi się mniej niebezpiecznem. Jakiegoś rozsądnego powodu nie mogę pani na to przytoczyć... ale widzę jaśniej.

A powód siedział biały, pełny i prosty, jak świeca, koło niego. I spojrzał zakochanemi oczyma na Marjannę.

Marjanna miała w tej chwili przestraszone oczy, bo ku jej wielkiemu przerażeniu Jakób wstał właśnie i zadzwonił nożem o szklankę.

Co za bezczelność—myślał burmistrz. Ale i burmistrzowa także była przerażona. A Jakób mówił:

— Właśnie mi wpadło na myśl, że zapomnieliśmy na śmierć o ks. proboszczu. A on był najważniejszym przy ślubie. Dlatego wypijmy jeszcze prędko jego zdrowie.

Wypito wino z przytłumionym śmiechem. A najbardziej cieszył się sam minister.

— Ten chłopiec przejdzie na pewno na drugą stronę—wróżył—jak się nazywa ten paradny młodzieniec, Marjanno?

W swej dziękczynnej przemowie zajmował się proboszcz znowu temi ciężkiemi czasami, w jakich się żyło. Ale brał wszystko więcej jak sen. Jak jeden z tych wielu raz jasnych, raz nieprzyjemnych snów, z których składało się nasze życie na ziemi. Czy się przeżyje wojnę, czy nie, wydawało mu się mniej ważnem. A końcowe słowa poświęcił rzeczom wiecznym—najważniejszym.

Poczem zaraz powiedział jakiś przyjaciel burmistrza do drugiego:

— Niech pan kupi odemnie dwa wagony, zarobi pan na tem co najmniej pięćdziesiąt tysięcy.

W saloniku obok, gdzie roznoszono czarną kawę, Marjanna mówiła z Jakóbem. Dopiero teraz miała wesołą minę. Dowiadywała się o dawnych znajomych, a on był w stanie odpowiadać jej spokojnie.

Dziwnym wypadkiem nie czuł żadnej trwogi—pomimo, że wydawała mu się prześliczną. Może dlatego, że miała na sobie białą ślubną suknię. I wyglądała prawie jak zakonnica, która nic nie miała wspólnego z owem czerwonem ciałem kobiecem w łazience.

— Będę panią znowu kiedyś fotografował—przyrzekał.

— Ależ naturalnie, koniecznie musisz mnie fotografować. Ach, mój Boże, cóż to były za dobre czasy! Kiedy przyjdziesz?

— Nie wiem. Nie mogę teraz tracić tyle czasu co dawniej. W każdym razie niech mi pani da swój adres.

— Proszę cię, daj mu nasz adres—prosiła męża.

— Ach, tak. Twemu młodemu przyjacielowi? Naturalnie.

Wzruszony objął Jakóba i powiedział:

— Zupełnie zapomnieliśmy o proboszczu.

XIV.

„Bogaty Piotruś" był biednym chłopcem. Na życzenie swego ojca, dyrektora banku, powinien był zostać w przyszłości jakąś finansową wielkością — a na to nie był stworzony. Szkoda, że mu nie dano rosnąć spokojnie. Może nie byłby wyrósł na najgorszego miljonera, takiego może, który potrafi używać życia z wdzięcznością i w piękny sposób. Ale publiczne gimnazjum—nie było dla niego.

Jego zdolności ukrywały się wstydliwie, ilekroć trzeba je było pokazać. A już w szkole opuszczały go zupełnie.

Był mądrym i zdolnym dla własnej przyjemności. I dla przyjemności niektórych ludzi, do których należała jego matka—ale nie jego ojciec. Coś podobnego można było powiedzieć i o jego zewnętrznej osobie. Był tylko niekiedy ładnym i tylko dla niektórych osób, do których miał zaufanie.

Jego wielką wielbicielką była Mila, niezamężna siostra pani Herminy w St. Paul, która udzielała mu francuskich lekcyj.

W jej obecności był świetnie uzdolniony. Pomimo, że była brzydką i miała tylko dobre i naiwne serce. Śpiewał jej po mistrzowsku kuplety i przedstawiał przed nią całe dramaty, w których grał po kilka ról naraz.

Po takiej lekcji Mila mówiła do jego matki:

— Jestem naprawdę zachwycona... Nieregularnych czasowników się wprawdzie nie nauczył... ale co mu z tego przyjdzie? Nigdy nic z tego mieć nie będzie. Gdybym miała innego męża, wolnego od przesądów...

Ale przesądy jej męża nie były główną przeszkodą, czuła to sama. Pozwolenie dyrektora byłaby sobie wywalczyła. Umiała być także gwałtowną, gdy zachodziła tego potrzeba choć tak delikatnie wyglądała—ale Piotruś...

(*Dcn*)

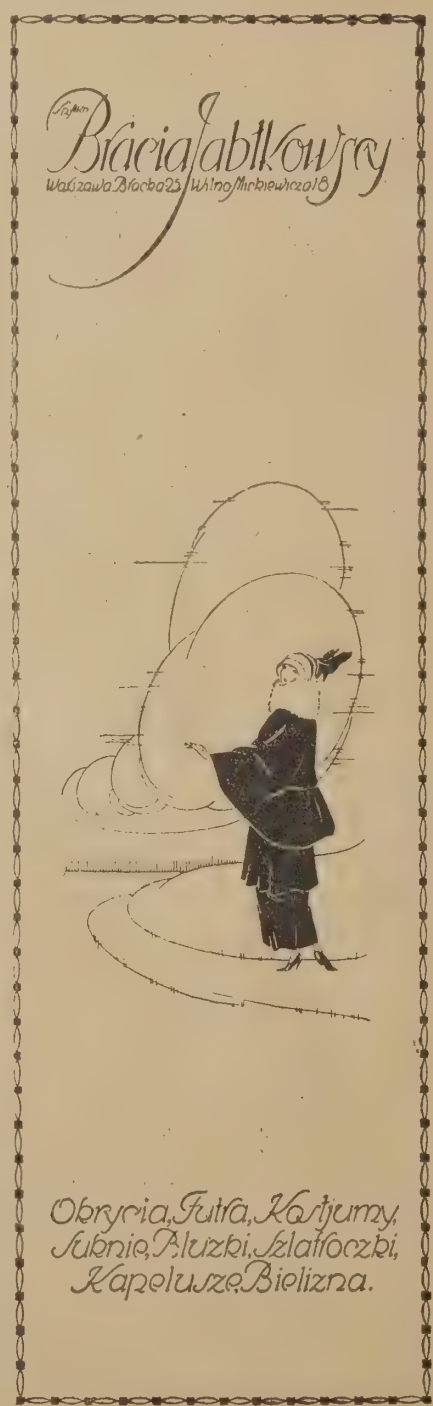

Przestarzałe i mylne

jest mniemanie, że dobrą kawę sporządzić można tylko z kawy ziarnistej; przeciwnie, naprawdę dobry, posilny, smaczny napój osiągnąć można tylko przez dodanie pierwszorzędnej domieszki do kawy. Za taką uchodzi dawno wypróbowana **„Prawdziwa Francka''.** Dlatego znawcy używają od wielu dziesiątków lat tylko wyrobów z **młynkiem** firmy: **Henryka Francka Synowie. Skawina—Kraków.**

Lampy i żyrandole
naftowe i elektryczne.

B-cia WYSZOMIRSCY
Chmielna 36

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjenstad 8. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 48 ★ OGÓLNEGO ZBIORU 3,341 ★ 24 LISTOPADA 1923

FRAGMENT PŁASKORZEŹBY *LUCA DELLA ROBBIA*

(Muzeum S. Maria del Fiore we Florencji)

POLSKA DZISIEJSZA

(KILKA CYFR STATYSTYCZNYCH)

Słyszy się zewsząd głosy pełne obawy o przyszłość Polski, spotyka się na każdym kroku krytykę bardzo pesymistyczną na temat pracy naszej państwowo twórczej i jej wyników, nie brak i takich, którzy mówią, że jest z nami coraz gorzej i Polska świeżo wskrzeszona, jeśli nie chyli się ku upadkowi, to dąży przynajmniej do ruiny. I tak już przywykliśmy do tych utyskiwań i narzekań na własny kraj i społeczeństwo, że zajmując się roztrząsaniem pesymistycznych horoskopów nie znajdujemy nawet czasu na rozważenie tego, co jest wśród nas, co w ciągu pięcioletniej niepodległości zdołaliśmy zdziałać. Wszyscy jesteśmy rozczarowani, niezadowoleni. Psychologiczne podstawy tego tkwią w tem, iż w czasach niewoli marzyliśmy o Polsce jako o kraju mlekiem i miodem płynącym, jako o raju, w którym wszystko będzie najlepsze, najidealniejsze, gdzie życie układać się będzie różowo. Nikt zaś nie mówił o tem, że, aby do tego stanu idealnego doprowadzić, trzeba będzie zmagać się z trudnościami, trzeba będzie walczyć o niejedno, aby dopiero po zdobyciu cieszyć się owocami pracy. Wiew wolności odurzył nas nieco, chcielibyśmy korzystać ze swobód zbyt może dziecinnie, zapominając o tem, że największem szczęściem narodu wolnego jest właśnie ciągła wytężona praca nad udoskonaleniem własnego państwa dla własnej chwały i... własnego użytku.

Również i o tem zapominać nie można, że odbudowę państwa polskiego rozpoczęliśmy w najtrudniejszych warunkach, w czasie ogólnego chaosu, kiedy to silne i od wieków ufundowane mocarstwa drżały w swoich posadach, kiedy to wszystkie doktryny ekonomiczne zawiodły, a zerwane stosunki międzynarodowe zachwiały równowagę ogólną, tak niezbędną do zachowania względnie przynajmniej normalnego toku życia i rozwoju państwowego.

Z pożogi wojennej, która po ziemiach polskich szalała najdłużej wyszliśmy wprawdzie zwycięsko, ale okupiliśmy to ogromnemi stratami. Jeśli weźniemy porównawczo, to we Francji zniszczono ogółem 285 tysięcy domostw — w Polsce zaś 1.671.000. Różnica to kolosalna, jeśli zważy się, że prócz tej odbudowy czekało nas stworzenie całego aparatu państwowego, który gdzie indziej istniał od dawna. Mimo to zabraliśmy się do roboty raźno i z ochotą. Narzekania na strajki i niechęć naszego robotnika do pracy — są zupełnie nieuzasadnione. Według statystyki bowiem strajkowało w Polsce w r. 1922 ogółem 600.000 robotników, zaś we Włoszech, które liczą zaledwie o 11 miljonów mieszkańców więcej, strajkujących było aż 1.365.000. U nas na 100 miljonów przypada w ten sposób utraconych dni pracy 17, we Włoszech zaś 65. W Angli przy 47 miljonach mieszkańców strajkowało 1.801.000, w Niemczech 3.331.000, we Francji liczącej 39.000.000 ludności — 863.000.

Problem bezrobotnych przedstawia się także w Polsce znacznie lepiej niżli za granicą. Mieliśmy ich bowiem w maju 1923 (licząc w tysiącach) 62.8, podczas gdy np. o połowę od nas mniejsze Czechosłowacja posiadała ich w tym samym czasie 369.3. Pocieszającą jest także rzeczą, że stan bezrobotnych w Polsce jest w ciągu dwu ostatnich lat stale niemal ten sam, kiedy w innych państwach, (z wyjątkiem Francji) ustawicznie się pogarsza. Najgorzej pod tym względem wygląda Anglia (z 977 na 1.261) i Niemcy (z 257.6 na 367.9 tysięcy.

Płace robotnika polskiego utrzymały się w tej samej prawie normie, co przed wojną. Tkacze kortowi np., którzy zarabiali w r. 1914 — 3.99 mk., dziś pobierają 3.14 marek wartości dawnej.

To samo dotyczy pracowników metalowych, piekarskich i browarnianych. Znacznie natomiast lepiej płatni są biuraliści, a zwłaszcza bankowcy. Stosunek bowiem poborów przedwojennych np. prokurenta do jego pensji obecnej przedstawia się liczbowo 378 : 405, a początkującego urzędnika 97 : 134.

Dużo jednak gorzej płatni są urzędnicy państwowi, którzy w najlepszym wypadku pobierają 54% swojej gaży przedwojennej. Poprawa atoli tego stanu rzeczy jest widoczna, w lipcu bowiem jeszcze 1921 — stosunek ten wyrażał się w 42%. Naturalnym wynikiem tego jest, że warstwy mniej inteligentne, zarabiając przedwojenną kwotę żyją znacznie lepiej, niżli pracownicy umysłowi, którzy skazani są na wegetację za połowę dawnych swych poborów.

Ale ani zarobki robotnika, ani też pensje urzędnika nie są miarą majątku narodowego, który otrzymuje się przez równomierny rozdział wszystkich zasobów na cała ludność. Otóż w Polsce z podziału takiego przypada 3.250 franków złotych majątku na głowę, gdy we Włoszech tylko 3.228 fr., Rosji 2.144 a w szczęśliwej Japonji 1.110 fr. Wskaźnikiem zaś naszych bogactw naturalnych jest import i eksport. O ile pierwszy stale maleje (1921 = 100 1923 = 61) o tyle drugi rośnie bardzo poważnie (100 : 1.228). W produkcji zaś, głównie kopalnie węgla rozwinęły ożywioną działalność w ciągu roku (maj 1922 — 1923) blisko czterokrotnie zwiększając produkcję (132 : 482).

Widzimy zatem, że w Polsce jest nie najgorzej. Cyfry mówią najdobitniej, że praca wre, majątek narodowy jest wcale pokaźny, produkcja nasza stale wzrasta, dobrobyt najszerszych mas jest względny, przyczyny zatem niedomagań państwowych tkwić muszą gdzie indziej. Znajdziemy je w tej samej książce, z której i powyższe cyfry zaczerpnęliśmy, mianowicie w „Tablicach statystycznych Polski z r. 1923", opracowanych z dużym nakładem pracy i bardzo sumiennie przez podsekretarza stanu w głównym urzędzie statystycznym D-ra Ignacego Weinfelda. Oto na stronie 95tej pracy mamy zestawione porównawczo dochody państwowe przed wojną i obecnie. Z cyfr tu podanych okazuje się, że ogółem przed wojną z terenów składających się na dzisiejszą Rzeczpospolitą Polską okupanci wyciągnęli 1.223.2 (w milionach franków szwajcarskich) obecnie zaś skarb państwa otrzymuje zaledwie 348.2 miljonów fr. szw. Wydatki zaborców na administrację wynosiły 925.9 fr. szw., nasze zaś 617.0 milionów fr. szw. Widać więc z tego, że wprawdzie gospodarujemy oszczędniej, ale za to mniej intensywnie wpłacamy wszelkiego rodzaju podatki, akcyzy, cła etc. Główne zło leży tedy wyłącznie w nieumiejętności wydobycia należności skarbowych, nieodpowiednim ich wymiarze, oraz w nieobywatelskim stosunku podatników, którzy nie poczuwają się do obowiązku płacenia własnemu skarbowi tyle i tak, jak dawnemu zaborcy przynajmniej. Cała więc naprawa skarbu, to stworzenie sprężystego aparatu podatkowego, który zdoła szybko napełnić kasy państwowe. Wówczas wydatki zrównają się z dochodami, stosunki unormują się szybko i będzie można prowadzić równolegle pracę odbudowy na wszystkich polach. Najfałszywszą zaś jest metoda wyrównywania budżetu fikcyjnemi czy rzeczywistemi „oszczędnościami", które niemal zawsze skierowane są w najniewłaściwszą stronę. U nas już kilkakrotnie np. starano się ratować skarb przez zmniejszenie wydatków na oświatę i kulturę, choć pozycje te w stosunku do całego budżetu wyrażają się 617.0 : 60.7, względnie 617.0 : 0.1 11) A wszakże oświecone społeczeństwo jest najlepszą podporą państwa, obywatel wykształcony i uświadomiony narodowo najwięcej temu państwu dać może, jako że łatwiej rozumie jego potrzeby, niżli analfabeta, nie widzący po za własnym interesem nic więcej. A niestety u nas analfabetyzm kwitnie jeszcze w najlepsze.

Statystyka przeprowadzona wśród rekrutów zaciągniętych do wojska wykazuje, że w Królestwie na 100 — przeszło 35 nie umie czytać i pisać, a na kresach stosunek ten jest jeszcze gorszy, gdyż dochodzi do 50% nawet. (W b. dzielnicy pruskiej spotyka się około 0.1%). Przeciętnie biorąc mamy 29% analfabetów i pod tym względem dajemy się z pośród państw europejskich wyprzedzić tylko Bułgarji (36.6%) oraz Rumunii (60%). Naturalnie, że ten spory odsetek nieumiejących ani pisać ani czytać jest pozostałością po dawnym systemie wynaradawiania nas przez Rosjan, którym zależało na utrzymaniu wśród mas ciemnoty. Polska wolna od razu zabrała się do odrobienia tych zaległości i stworzyła imponującą sieć szkół powszechnych (25.6 tys.), średnich (780) i wyższych (12, w tem 5 uniwersytetów, 2 politechniki) do których uczęszcza 3.141.000 + 227.000 + 34.236 tj. razem 3.402.236 uczniów.

Gdyby tę tak pięknie zaczętą pracę miało się zniweczyć z powodów „budżetowych" — analfabetyzm kto wie, czy nie szersze zatoczyłby kręgi. Nic zaś gorszego jak ciemne społeczeństwo, w którem najłatwiej siać przewrotne hasła i prowadzić wywrotową robotę. Nie od oszczędności w tym kierunku zaczynać należy, ale nawet powiększać wydatki na naukę powszechną. Polska musi mieć obywateli światłych, uświadomionych co to jest państwo i jak drogą jest jego wolność. Zapewne, gdyby w Polsce przedrozbiorowej wyżej stała oświata, nie byłoby doszło do katastrofy. Obudziłoby się bowiem u całego narodu poczucie wolności i nie byłoby rozbiorów przeciw którym jeden tylko wymowny głos Rejtana odezwał się w sejmie. △

TRYPTYK *J. H ROSEN*

WYSTAWA „GRUPY 12" W T. Z. S. P.

OMÓWIENIE WSTĘPNE: CZEPITA, GRABOWSKI, STYKA, TRZCIŃSKI, TERPIŁOWSKI, SIEMIŃSKI, SZWOCH, J. H. ROSEN, MAJEWSKI, RUPNIEWSKI, WODYŃSKI

Dziesiątki, bądźmy ściśli, setki naszych malarzy łączy jeden i ten sam stosunek do natury, jedno i to samo pojmowanie malarstwa. Ci, związani jednem wierzeniem i poglądami na sztukę plastycy stanowią większość ogółu artystów i tworzą grupę najpotężniejszą, świetnie, aczkolwiek mimowolnie i bezwiednie, zorganizowaną. Pomijając stopień uzdolnień i talentów członków owej wielkiej liczebnie grupy, chciałbym celem ułatwienia sobie pracy na przyszłość — wydobyć na jaw widzenia ogółu istotę religji tej olbrzymiej większości malarzy, których wyrazy artystyczne oglądamy niemal co dnia na wszystkich wystawach, wszystkich większych miast Polski. Religją ich jest natura. Ona warunkuje istnienie ich malarstwa. Według niej sądzi się o wartości obrazu. Świetne złudzenie wzrokowe stanów i wyrazów natury w obrazie jest najodleglejszym celem dążeń ich malarskich wysiłków. Natura, natura, natura. Zgodzimy się na nią chętnie, przedtem jednak musimy ustalić stosunek malarza do natury, z drugiej zaś strony stosunek malarza do samego malarstwa, następnie stosunek wzajemny tych dwu wartości.

MODLITWA ARABÓW *A. STYKA*

PORTRET *M. TRZCIŃSKI*

Jak powstaje przeciętny obraz członka tej największej grupy malarskiej? Malarz po uprzedniem wybraniu sobie z natury jakiegoś jej zakątka, wycinka lub skrawka przenosi przy pomocy środków malarskich wiernie, dokładnie i ściśle ten zakątek, wycinek lub skrawek na płótno, lub papier. Oto wszystko! Nasuwa się teraz pytanie, czy najdokładniejsze opowiadanie i opowiedzenie tego, co gdzieś kiedyś w takim, a takim stanie barwnego ułożenia, tonowego napięcia, nastroju lub ruchu istniało w naturze, jest obrazem? Śmiemy twierdzić, że nie, dlatego, że sztuka nie jest ani fabrykowaniem złudzeń, ani udawaniem, ani naśladowaniem. Przepisywanie jota w jotę z natury nie jest malarstwem, zarówno, jak naśladowanie, przy pomocy skrzypiec, trąby lub fletu, piania koguta, ćwierkania wróbla nie jest muzyką.

Przykład powyższy, jeślibyśmy się zgodzili na to, że doskonałe złudzenie wzrokowe jest celem malarstwa, może utrwalić w nas słuszne przekonanie o łatwości namalowania obrazu. Cóż bowiem trudnego jest po sfotografowaniu jakiejś alei, osoby lub ulicy przenieść powiększone zdjęcie sposobem mechanicznym w ciągu kilku minut na płótno, następnie kolorować centymetr po centymetrze szczegóły twarzy, ściany i t. p., otrzymując doskonałe złudzenie wzrokowe natury.

PORTRET *FR. SZWOCH*

ZAŚCIANEK J. WODYŃSKI

Widz sprawdzać nie będzie. Tak się *malowało* w XIX w., tak się *maluje* i w XX w., obecnie znacznie łatwiej z powodu wielu wynalazków w dziedzinie zagadnień światła i tłumaczenia go na barwy. Otóż jeżeli jeszcze pięćdziesiąt lat temu pod słowem malarstwo rozumieliśmy t. zw. kopjowanie natury, to dziś, kiedy mamy fotografję, fotografję barwną i kinematografję, o takiem określeniu terminu malarstwa myśleć nam już niewolno. Malarz nie powinien starać się o namalowanie domu, damy lub alei, lecz o namalowanie obrazu, inaczej jego stosunek do malarstwa będzie nijaki, a jego malarstwo żadne.

Malarstwo i natura to dwie równoległe linje. Spotkać się nie mogą. I malarstwo i natura rozporządzają całym przebogatym zasobem im właściwych, niezmiernie różnych środków. W granicach środków malarskich powstaje obraz.

Jakie są środki malarskie? Co to jest obraz? Oto pytania, na które musimy sobie odpowiedzieć, aby raz na zawsze wyznaczyć miejsce dla dzieł sztuki, czyli obrazów i dla wszelakich złudzeń światła, kształtu, głębi i t. p. rzeczy, mających swoją przyczynę, rację i środki do istnienia w naturze — nigdy zaś nie upoważniających nikogo do wtłaczania ich w stanie najohydniejszego okaleczenia i śmiertelnego pokurczenia, a to celem mechanicznego wydobycia pozoru i złudzenia wartości rzeczy istotnej, pod miano sztuki.

Dzieło ducha twórczego musi być wartością istotną, jeśli zaś nią nie jest — jest czemś mniejszem, niż matematycznie dokładne zdjęcie fotograficzne z natury.

Płaszczyzna płótna, papieru, deski lub ściany; barwa ze wszystką niezliczoną ilością tonów i linja o tysiącu charakterów i wyrazów — oto środki malarskie. Z nich powstaje, dzięki potędze ducha twórczego obraz t. j. nowy zupełnie byt, nowa odrębna i niezależna natura. Określenie to postaramy się dłuższem omówieniem, względnie pewnemi przykładami wyjaśnić.

Każdy malarz, nawet początkujący wie o tem (nie przywiązują do tego głębszego znaczenia przeważnie malarze większości), że przypadkowo nakreślona linja lub położona plama barwna w dowolnem miejscu czystego płótna albo papieru wywołuje natychmiastową potrzebę towarzystwa innych plam i linij. Przez tę potrzebę wyjawia się natura środków malarskich. Wypełniając płótno stopniowem (w miarę owej potrzeby) dorzucaniem do już istniejących, — przypadkowych w formie — coraz to nowych, powiedzmy, znaków malarskich, zaspakajamy wywołaną przez nas potrzebę w sposób ściśle odpowiadający charakterowi położonych przez nas początkowo znaków i linij. Jeżeli następnie miasto owych przypadkowych znaków namalujemy w dowolnem miejscu płótna, jakąś formę określoną i zdecydowaną w wyrazie malarskim, forma ta dopomni się o odpowiednie dla siebie towarzystwo form określonych i równie, jak pierwsze, zdecydowanych w wyrazie malarskim.

Doświadczenia powyższe wskazują nam z jednej strony potrzebę organizowania zespołów i harmonizowania ich działań, z drugiej jednakową we wszystkich miejscach ważność powierzchni płótna, która, jak się to zwykło czynić na dole *(tam gdzie jest ziemia)* zbytnio się obciąża, zaś w górze *(tam gdzie jest niebo)* smaruje się jakimś martwym bez znaczenia dla całości tonem. Organizowanie *życia społecznego* wszystkich czynników, czyli jednostek wzajem od siebie zależnych i sobie odpowiadających jest kompozycją wewnętrzną obrazu, wiążącą się ściśle z kompozycją układu całości, czyli konstrukcyjnego rozwiązania płaszczyzny. Kompozycja wewnętrzna zarówno jak kompozycja całości są warunkiem istnienia obrazu, jako takiego. Z pierwszej rodzi się między innemi styl, druga jest fundamentem i skieletem dzieła sztuki.

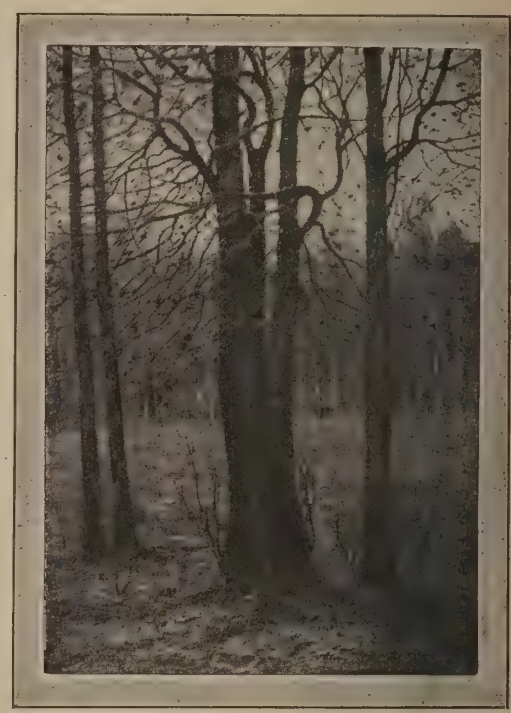

W LISTOPADZIE M. SIEMIŃSKI

Ponieważ złudzenie wzrokowe nie jest istotną wartością, a obraz nią jest i być nią musi, postaramy się w pobieżnem omówieniu najważniejszych zagadnień malarskich poruszyć jeszcze sprawę tematu obrazu, sprawę pozornie najbardziej zawikłaną i do ustalenia trudną. Rodzaj tematu jest dla obrazu rzeczą zgoła obojętną — temat wogóle koniecznością. Beztematowych obrazów niema i być nie może. Na pytanie, co może być tematem obrazu? — odpowiemy, że wszystko, co możemy sobie wyobrazić, lub co widzimy. Ponieważ wyobraźnia jest to myśl, która w umyśle odtwarza przedmiot materjalny zewnętrzny za pomocą zmysłów, przeto wszystko co istnieje w naturze, jako kształty i barwa może być tematem obrazu.

STARA OLCHA ST. FIDANZA

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

„TEATR POLSKI" GRA OBECNIE EFEKTOWNĄ SZTUKĘ L. URWANCOWA P. T. „WIERA MIRCEWA PRZY STALE WYPEŁNIONEJ WIDOWNI

Pp. Pancewiczowa, Biegański, Zelwerowicz, Justian, Ćwiklińska

Akt III. Scena zbiorowa: W gabinecie restauracyjnym

Fot. St. Brzozowski

Leokadja Pancewiczowa, odtwórczyni roli tytułowej w „Wierze Mircewej"

W „Rozmaitościach" warszawskich wystawiono pod reżyserją Marji Dulębianki sztukę T. Rittnera p. t. „Rycerz powietrza". (Akt IV. Scena zbiorowa)

W „Rycerzu powietrza" wyróżnili się pp. Siemaszkowa, Brydzińska i Brodzikowski

„TEATR MAŁY" DAŁ ORYGINALNIE POMYŚLANĄ SZTUKĘ PIRANDELLA P. T. „SZEŚĆ POSTACI SCENICZNYCH W POSZUKIWANIU AUTORA", W KTÓREJ AUTOR PORUSZA ZAGADNIENIE WPŁYWU ŻYCIA NA KSZTAŁTOWANIE SIĘ SZTUKI TEATRALNEJ

Scena zbiorowa aktu I, przedstawiająca wejście postaci scenicznych podczas próby na scenę. Widzowie obserwują akcję toczącą się przez wszystkie akty za kulisami teatru

Od lewej ku prawej: Klimontowiczówna (Wyrostek), Broniszówna (Matka), X... (Dziecko), Stanisławski (Ojciec), O. Leszczyńska (Córka), Maliszewski (Syn)

KONFERENCJE GENEWSKIE

Genewa w listopadzie.

Konferencje międzynarodowe w Genewie, z wyjątkiem, być może, ogólnego zgromadzenia Ligi Narodów, nie znajdują żadnego bodaj echa w kraju. Należy to uważać za objaw niewątpliwie ujemny, albowiem konferencje te, niezależnie od ich charakteru specjalnego, często czysto technicznego, mają przecież także poważne znaczenie polityczne, które doskonale wyzyskać można w celach państwowych.

Genewa odgrywa pod tym względem rolę pierwszorzędną. Nie tylko co miesiąc, ale bodaj nawet co tydzień zbierają się tutaj najrozmaitsze kongresy, przeważnie międzynarodowe, roztrząsające żywotne interesy, bądź gospodarcze, bądź społeczno-polityczne.

Zaledwie zamknięte zostały podwoje ogólnego zgromadzenia Ligi Narodów, wnet nowe zjazdy międzynarodowe zaczęły się tutaj zbierać. W miesiącu październiku zasiadała w Genewie międzynarodowa Konferencja celna, piąta międzynarodowa Konferencja Pracy, międzynarodowa Konferencja statystyki pracy; na początku listopada zbierze się tu wielki Kongres międzynarodowy Tranzytu i Komunikacji, zwołany przez Sekretajat Ligi Narodów, w miesiącu

Delegat rządu japońskiego p. Adatci, jednogłośnie obrany prezydentem V Międzynarodowej Konferencji Pracy

zaś następnym rozpocznie się grudniowa sesja Rady Ligi Narodów, na której, między innemi, będą rozpatrywane sprawy: Jaworzyny, Kłajpedy, kolonistów niemieckich w Polsce etc.

Z tych powodów delegacja polska w Genewie ma szczególnie ważne zadanie do wypełnienia. Składa się ona tu w czasach normalnych z posła naszego w Bernie, p. Ministra Modzelewskiego, stałego radcy prawnego p. D-ra Marchlewskiego i dwóch sekretarzy, stale przebywających w Genewie. Pracują nader sumiennie, znają sprawy genewskie jak rzadko kto, mają rozgałęzione i poważne stosunki i byłoby wielką stratą dla państwa polskiego, gdyby mieli być zastąpieni, gdyż nic tak nie szkodzi interesom naszym zagranicą, jak ciągłe zmiany osób. Czego jedni dokonali z wielkim nakładem pracy, następcy ich muszą zacząć to wszystko *ab ovo*. Z systemem tym należy bezwzględnie skończyć. Pragnę wszakże dodać, że w Genewie winien być utworzony natychmiast stały posterunek prasowy. Jest to sprawa pilna, na którą pozwalam sobie zwrócić szczególną uwagę p. Ministra Spraw Zagranicznych. Tak ważnego terenu, jak genewski, nie należy dłużej zostawić bez dobrze zorganizowanej obsługi prasowej. Brak jej boleśnie odczuliśmy podczas ostatniej sesji Ligi Narodów.

Ze wszystkich Konferencyj, jakie ostatnio odbywały się w Genewie, największe znaczenie miała bezsprzecznie V-ta Międzynarodowa Konferencja Pracy. Przybyło na nią blisko 50 delegacyj wielkich i małych krajów, liczba osób, które kraje te reprezentowały, sięgała bez mała 200-tu. Zresztą Konferencje Pracy są o tyle ważniejsze od innych, że poza delegatami rządów, biorą w nich także udział delegaci wielkiego przemysłu, tudzież przedstawiciele ruchu robotniczego. A więc można tu nawiązać kontakt potrójnego

Delegacja polska na V Międzynarodowej Konferencji Pracy w Genewie. (Siedzą: Franciszek Sokal, ks. poseł Al. Wóycicki). (Stoją od lewej do prawej: Inż. St. Okolski, Konstanty Srokowski, Alojzy Kot).

rodzaju: polityczny z przedstawicielami rządów, ekonomiczny z delegatami przedsiębiorstw kapitalistyczno-przemysłowych, wreszcie społeczny z przedstawicielami międzynarodowego ruchu robotniczego.

Skład delegacji polskiej na Konferencji Pracy był w tym roku wyjątkowo szczęśliwy. Pierwszym delegatem naszego rządu był inżynier Franciszek Sokal, który stale przebywa w Genewie, jako delegat rządu polskiego do Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy. Posiada on wyjątkowy autorytet w instytucji, kierowanej przez p. Alberta Thomas, a dowodem tego jest, że p. Sokala wybrano do wszystkich najważniejszych komisyj, obrano go przewodniczącym piątej Komisji inspekcji pracy, podczas gdy prezesury czterech pozostałych komisyj zostały powierzone jedynie delegatom wielkich państw: Francji, Anglji, Włoch i Belgji. Utworzyło się także w Genewie Międzynarodowe Stowarzyszenie inspektorów pracy, którego prezesem został Anglik, wiceprezesem p. Sokal, sekretarzem zaś Szwajcar. Tak zaszczytne wyróżnienie naszego rodaka uważać należy za duży atut polityczny państwa polskiego w Genewie.

W charakterze drugiego delegata rządowego na 5-tą Konferencję Pracy przybył ksiądz Aleksander Wóycicki, poseł na Sejm i przewodniczący Sejmowej Komisji Pracy. Miło mi stwierdzić, że wszystkie wystąpienia księdza-posła w Genewie odznaczały się nadzwyczaj subtelnem wyczuciem sytuacji politycznej. Mowa jego wygłoszona na plenum Konferencji, stwierdzająca w sposób poważny i w słowach szczęśliwych, że Polska stosuje u siebie — niezależnie od wszystkich uchwał i konwencyj — najliberalniejsze przepisy ustawodawstwa pracy, sprawiła naprawdę duże wrażenie. Oklaskiwali wszyscy. Zaś dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy, p. Albert Thomas, wygłaszając wielką mowę o pracach swej instytucji, nie omieszkał powinszować sobie świetnych rezultatów osiągniętych w Polsce, a tak szczerze i elokwentnie wyłuszczonych na Konferencji przez księdza-posła A. Wóycickiego.

Nasz delegat robotniczy, który specjalnie przybył do Genewy z Górnego Śląska, p. Alojzy Kot, stanął zupełnie na poziomie, wymaganym od inteligentnych przewodników ruchu robotniczego. O przedstawicielu zaś pracodawców polskich na Konferencji, p. Stanisławie Okolskim, piastującym urząd dyrektora zarządzającego Związku polskich przemysłowców metalowych, powiedzieć muszę, iż wielka szkoda, że bawił w Genewie tylko tydzień, albowiem państwo nasze wygrywa pod każdym względem, jeżeli cudzoziemcy mogą się stykać z Polakami o szerokim, europejskim horyzoncie myślenia; p. inżynier Okolski jest właśnie przemysłowcem o bardzo chlubnej kulturze umysłowej, zaszczytnie świadczącej o tych, którzy go na przedstawiciela swego delegowali do Genewy.

Obecna Konferencja pracy dotyczyła jedynie spraw związanych z inspekcją pracy, a więc rzeczy bardzo specjalnej

Albert Thomas, dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy, widzący w Polsce najlepszą realizację swych idei

i szeroki ogół mało obchodzącej. Niemniej przyjęte uchwały i zalecenia mają duże znaczenie społeczne, ponieważ ochrona pracy i ochrona od nieszczęśliwych wypadków leżą nie tylko w interesie robotników, lecz także w interesie przemysłowców, w interesie produkcji i państwa. Z tego powodu zagadnienie inspekcji pracy, którem jedynie zajmowała się Konferencja, ma istotnie olbrzymie znaczenie zarówno społeczne, jak i gospodarcze.

O konferencjach celnej i statystycznej napiszę specjalnie; na zakończenie zaś pragnę dodać, że Międzynarodowe Biuro Pracy zasługuje bezwzględnie na głębsze zainteresowanie się niem naszej opinji. Jest to instytucja żywotna, działająca w interesie postępu społecznego i ruchu robotniczego, ale w zgodzie z rządami i pracodawcami. Ma ona przyszłość zapewnioną, a poparcie, jakiem się cieszy w świecie, wzrasta stale. Przystępuje ona obecnie do budowy własnego, wspaniałego gmachu, na terenie ofiarowanym bezpłatnie przez kanton genewski i położonym w uroczym wprost zakątku, na najpiękniejszem bodaj miejscu wybrzeży jeziora lemańskiego, którego przecudny kolor wody i boski pejzaż tak kojąco działają na oczy, myśli, duszę i nerwy.

Stefan Aubac

Przyszły gmach Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, do budowy którego przystąpiono dn. 21 października r. b.

ŚWIĘTO SZKOŁY PODCHORĄŻYCH

„Siódma wieczorna, dwudziesty dziewiąty. Oto najlepsza z mych pieśni piosenka" — pisał Seweryn Goszczyński o tym dniu listopadowym roku 1830, gdy w gronie kilkunastu młodzieńców ruszył z mostu Sobieskiego w Łazienkach do belwederskiego pałacu, by od Wielkiego Księcia Konstantego zacząć wypędzanie z Polski moskiewskich najeźdźców.

Młodzież polska stale obchodziła rocznicę tego dnia listopadowego. A w Polsce niepodległej został on ustanowiony, jako święto Szkoły Podchorążych.

Pierwszy komendant tej odrodzonej po kilkudziesięciu latach szkoły, dziejopis wojskowy, płk. Kukiel, w następujący zwięzły sposób przedstawia czyn ówczesnych podchorążych:

„Gdy cywilni spiskowcy, z dwoma podchorążymi jako przewodnikami, z pod pomnika Sobieskiego poszli w pamiętny wieczór listopadowy na Belweder, stu sześćdziesięciu podchorążych, pod wodzą kapitana Piotra Wysockiego, wyruszyło z koszar Szkoły, by uderzyć na koszary pułku ułańskiego carskiej gwardji. W kolejnej walce z ułanami, kirasjerami, huzarami, to ogniem rozpędzając przeciwnika, to uderzając nań bagnetem, podchorążowie złamali kolejno wszystkie trzy pułki carskiej gwardji konnej i zwycięsko ponieśli płomień buntu poprzez miasto.

Szkoła Podchorążych czasów kongresowych pozostawiła tradycję nieustraszonego męstwa, nie cofającego się przed niczem, siły mierzącego na zamiary, rozumnego szałem; a zarazem bitności nieporównanej, sprawności mistrzowskiej, osiągniętej pracą ciężką i długą. Niezwyciężeni bohaterowie młodzi, mieli jej podchorążowie dusze nastrojone na ton Ody do Młodości, gotowi „paść wśród zawodu, ażeby poległem ciałem dać innym szczebel do sławy grodu. Orla była lotów ich potęga, a jako piorun ich ramię". Od pięciu lat Szkoła Podchorążych wrasta w mury byłego „Suworowskiego korpusu kadetów", jak mocne drzewo w urodzajną glebę. Ktokolwiek wchodzi w mury tego gmachu, a ma niestępioną przez obce wpływy wrażliwą polską duszę, doznaje wrażenia wejścia do „arki przymierza między nowemi a dawnemi laty". Czy sprawia to pobliże Łazienek i Belwederu? czy bardzo szczęśliwie dotąd obsadzane przez władze wojskowe kierownictwo szkoły? czy też poprostu ten wzgląd materjalny, że gmach budowany na obcą szkołę wojskową dał się przystosować do zadań wychowawczych szkoły wojskowej dla młodzieży polskiej?

Ten, który każdemu żołnierzowi rozkazał nosić buławę marszałkowską w plecaku
Popiersie Napoleona w przedsionku Szkoły Podchorążych

Już na wstępie, w przedsionku gmachu, ogarnia zwiedzającego szkołę tchnienie bohaterskie: wmurowano tam w ściany dwie marmurowe tablice z wyrytemi stukilkudziesięciu nazwiskami poległych wychowanków szkoły. Nad tablicami umieszczono słowa Wyspiańskiego: „Umierać musi co ma żyć", i „Zmartwychwstaniecie młodzi!"

Dalej na wielkich korytarzach, między wejściami do sal wykładowych, ochrzczonych imionami wielkich wodzów polskich, szereg napisów pod kapitelami kolumn: są to myśli, krzepiące duszę żołnierską, wychowujące serce i charakter.

W majestatycznej sali Honorowej szkoły na miejscu naczelnem chorągiew szkolna. Wokół na ścianach tablice z nazwiskami uczniów, od roku 1830 do ostatniej klasy bieżącego roku. W gablotkach muzealnych sali — pamiątki po poległych wychowankach szkoły.

Dzień powszedni w szkole — to wielka fabryka w ruchu. Kompanja podchorążych, uczniów oficerskiej szkoły piechoty oraz oficerskiego kursu doszkolenia wysypuje się z wielkich sal sypialnych na korytarze, wsiąka w sale wykładowe, w gabinety szkolne, wylewa się na dziedzińce ćwiczebne, zapełnia salę jadalną, w niektórych godzinach „ognisko", salę teatralną, świetlicę, bibljoteki. W oficynach szkoły od rana do wieczora nieustannie pracują: kotłownia, kuchnia, łaźnia, pralnia, warsztaty, magazyny, stajnie. W ciągłym kieracie pracy znajduje się pluton podoficerski i kompanja sztabowa. Warty i inspekcje nie ustają nawet w nocy.

Aż oto nadchodzi wielkie święto szkoły: w przeddzień zjeżdżają się wychowankowie klas dawno ukończonych, dziś już oficerowie, pełniący służbę w oddziałach. Wielka parada szkolna, uroczyste nabożeństwo, zmiana tradycyjnej warty belwederskiej w Łazienkach, godziny wspólnych rozrywek.

A zarówno nad dniem świątecznym jak i nad dniem powszednim unosi się Duch szkoły, przysposabiający do czynów, które nawet poeci przekładają nad najlepsze pieśni. *T. K.*

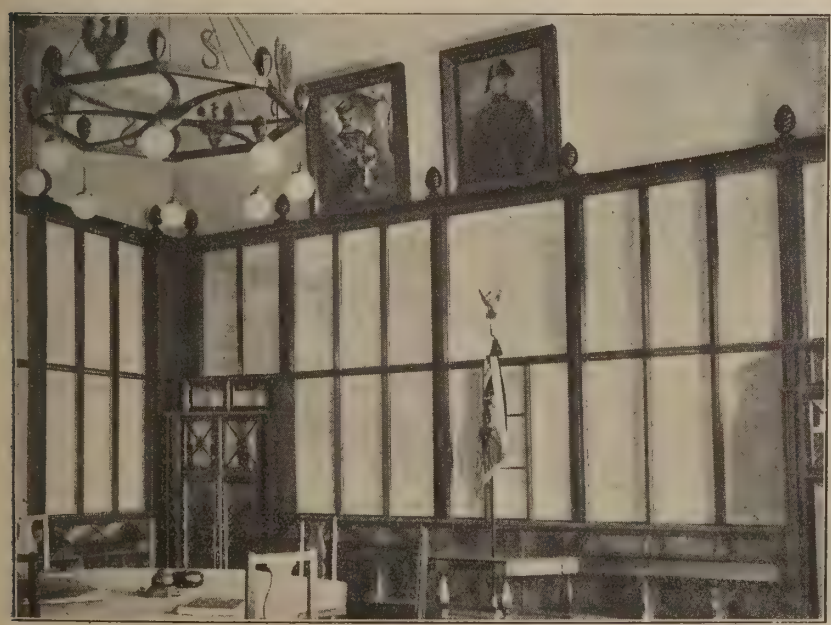

Sala honorowa z chorągwią i portretami Wysockiego i pułk. Kukiela, wskrzesiciela szkoły

Nawet dzień powszedni ma swoje uroki... Podchorążowie w sali jadalnej w czasie obiadu

BIBI-AJNE

(Z KSIĄŻKI PT. „W LUDZKIEJ I LEŚNEJ KNIEI", PRZYGOTOWANEJ DO DRUKU)

Tego roku robiłem badania jezior mineralnych na obszarach stepów Kirgiskich. Mój profesor siedział w improwizowanem laboratorjum w namiocie na brzegu słonego jeziora Kuczuk, ja zaś odbywałem bliższe i dalsze wyprawy w głąb stepów, poszukując nowych jezior i robiąc polowe badania chemiczne. Moim przewodnikiem i wiernym towarzyszem był miejscowy Kirgiz, barczysty i silny, jak młody dąb, Suliman. Podczas jednej z naszych wypraw trująca tarantula ugryzła mego Kirgiza w palec. Po paru dniach rozpoczął się proces gangreny i musiałem zrobić mu amputację wielkiego palca lewej ręki, posługując się osobiście przez Sulimana wyostrzonym na kamieniu scyzorykiem. Później profesor zdołał przekonać Kirgiza, że tą energiczną kuracją uratowałem mu życie. Suliman, zrozumiawszy nareszcie, podszedł do mnie, położył mi na serce swoją potężną dłoń, potem dotknął nią swojej piersi i poważnym głosem rzekł:

— Na Wielkiego Proroka! Ty — mój kunak, ja — twój kunak do końca dni moich! Od tej chwili stałem się „kunakiem", czyli przyjacielem na wieczne czasy tęgiego Kirgiza, co wśród innych tubylców spowodowało wielkie uszanowanie dla mnie.

Po skończonych pracach, wyjechaliśmy na Ałtaj, lecz mieliśmy się już na jesieni spotkać z Sulimanem, który miał odprowadzić nas do wschodniej części stepów Małej Hordy, gdzie mieliśmy obejrzeć niektóre miejscowości. Powróciwszy z Ałtaja, znaleźliśmy naszego Kirgiza, który koczował wtedy ze swemi stadami pomiędzy Kułundą a posiadłościami Kirgizów Małej Hordy. Ucieszył się ogromnie na nasz widok, lecz zasmucił się na wiadomość, że po odprowadzeniu nas do linji kolejowej, pożegnamy go, być może, nazawsze. Poprosił nas dla załatwienia swoich interesów o kilka godzin czasu i odjechał. Powrócił zaraz po zachodzie słońca i przyprowadził ze sobą młodego wielbłąda, którego bardzo ostentacyjnie ofiarował mi, jako prezent swemu „kunakowi". Z wielkim trudem udało się nam przekonać go, że nie mogę jechać do stolicy na takiem bydlęciu i że w Petersburgu wszystkie konie na ulicach powściekają się, jeżeli wyjadę na swoim wielbłądzie. Zrozumiał i zgodził się.

Nocowaliśmy we wsi Kułunda, ale w nocy zauważyłem, że Sulimana niema w izbie. Gospodarz opowiedział, że Kirgiz odjechał na wielbłądzie. Rano jednak, gdyśmy się obudzili, Suliman zjawił się z raportem, że wóz już zaprzężony, nasze kufry i worki ułożone i uwiązane i że można jechać. Po herbacie wyruszyliśmy w drogę. Na przedzie, na dobrym bułanym źrebcu, jechał Suliman, a obok wozu, na białym koniu, trzymając się stale mojej strony, harcował Kirgiz-podlotek, o okrągłej, śniadej twarzy i rozmarzonych, szeroko otwartych oczach.

Wkrótce zauważyłem, że chłopak miał zlecenie Sulimana obsługiwać wyłącznie mnie. Z wielką starannością i tkliwością na popasach nalewał mi herbatę i nakładał na talerz jedzenie, pakował moje rzeczy, strzepywał kurz z ubrania i butów i biegał po wodę. Wieczorem, gdy przygotowywał dla mnie pościel i około poduszki położył pęk kwiatów polnych, zdumiony zapytałem, czy to Suliman kazał mu tak rozczulająco służyć mi.

— Tak, panie — odparł dźwięcznym głosem chłopak — ale ja czynię to z radością, bo jestem teraz twoją „hanum" — pierwszą żoną!

Ażem drgnął. Wyobrażałem sobie bowiem rozpacz mojej matki na widok mojej „pierwszej żony" i drwiące miny

BIBI-AJNE

kolegów. Pozycja moja była bardzo zawikłana, a czułem, że odmowa od „hanum" przyjdzie mi z większym trudem niż od wielbłąda.

Naradziwszy się z profesorem, który bardzo lekkomyślnie odniósł się do tej mojej nowej przygody, zawołałem Sulimana na rozmowę.

— Co znaczą te słowa chłopca? — zapytałem go surowym głosem.

— Jakiego chłopca? — odpowiedział pytaniem, podnosząc ramiona. — To jest Bibi-Ajne, moja młodsza siostra. Kazałem jej być twoją „hanum", kunaku, bo daruję ci ją, jak podarowałbym ci wielbłąda, konia lub psa. Bibi-Ajne jest teraz twoją niewolnicą, rzeczą... Ma 14 lat i jest najpiękniejszą śród naszych dziewczyn. Bierz i bądź szczęśliwy!

Długo i zdaleka podchodziłem do chwili uchylenia się od tego podarunku, lecz Suliman aż za nóż się chwytał przy myśli o odmowie.

— To zniewaga i hańba dla całego rodu, kunaku! — wołał. — Tylko krwią moglibyśmy to zmyć! Kunaku, nie czyń tego! Weź dziewczynę, zaprowadź do jeziora i wrzuć ją do wody. Masz na to prawo, bo to — twoja własność, ale mi nie odmawiaj! Nie odmawiaj, kunaku!

Suliman prosił, kłaniał się i ręce jak dla modlitwy składał, a „moja żona" tymczasem upiększała kwiatami uprząż koni, które miały wieźć jej „władcę i pana", czyli mnie.

Nie spałem przez całą noc, myśląc nad tem, co mam czynić z tym fantem i żałując, że w pobliżu niema dobrego i głębokiego jeziora. Wrzuciłbym do niego Sulimana, a dziewczynę wyprawiłbym do domu, dawszy jej jako „kałym", czyli wiano, parę funtów karmelków z wiejskiego sklepiku. Ale co robić? Co robić? Ta myśl nie opuszczała mnie podczas prac w stepach. Codziennie porywała się towarzyszyć mi w rozjazdach moja nieproszona „hanum". Nie pozwalałem jednak na to, ku wielkiemu niezadowoleniu Sulimana i rozpaczy Bibi-Ajne. Nareszcie pewnego dnia przyłapała mię Bibi, gdym powracał z polowania, obładowany kaczkami, i, zdejmując ze mnie worek, swoim śpiewnym głosem rzekła:

— Mój pan wciąż się gniewa na Bibi?

Zrozumiałem, że będę miał poważną rozmowę i aż mi się zimno zrobiło.

— Ja się nie gniewam na ciebie, dziewczynko... — odparłem, pokrywając śmiechem swoje zmieszanie.

— Nie jestem już dziewczynką, skoro ojciec i brat dali mię tobie za „hanum"! — zawołała z oburzeniem.

— Nie jesteś mi żoną przecież! Moja wiara zabrania mi żenić się z mahometanką, Bibi...

— Jestem psem twoim i twoją niewolnicą, chcę się modlić do twego Proroka, jak ty się modlisz! — powiedziała, spuszczając swoje śliczne oczy.

Bibi-Ajne w tak prosty sposób zdobyła mój pierwszy obronny fort. Z całej duszy wołałem do kogoś nieznanego o pomoc, lecz na stepie nikogo nie było, a do naszego obozu pozostawało nie mniej od trzech kilometrów. Tymczasem urocza i wdzięczna Kirgizka szła obok mnie, a jej głośny oddech i rozdymające się nozdrza świadczyły o jej wzburzeniu i stanowczości.

— Hanum pyta cię, mój panie, czy mu się podoba? Czyż nie jestem piękna, zwinna i silna? Czyż mój śpiew i moje tańce nie wzruszają twego serca, panie mój? Odpowiedz, bo nie wiem tego i płaczę po nocach... Patrz, już prawie wypłakałam sobie oczy, szczególnie to lewe... Patrz...

Podniosła się na palcach i spojrzała mi w twarz swemi „wypłakanemi" oczami i szczególnie tem „lewem", które błyszczało jak kryształ, a wcale nie miało śladów łez. Spuściłem wzrok i pogłaskałem dziewczynkę po włosach.

— Wszystko dobrze! Oczy twoje połyskują jak gwiazdy, mała Bibi! — rzekłem protekcjonalnie.

— A! — klasnęła w dłonie, rzucając worek na ziemię. — To znaczy, że oczy moje podobają się memu panu?

— Bardzo! — wypaliłem nieostrożnie, z przyzwyczajenia mówiłem bowiem ko-

bietom tylko przyjemne rzeczy, szczególnie gdy się same o to napraszają.

— Jaka jestem szczęśliwa! — wołała Bibi, skacząc jak koza. — Weźmiesz mię ze sobą do wielkiego miasta? Będę twoją „hanum"?

— Boże wielki! Allachu! Prorokuu-Mahomecie! znowu pytania! Milczałem, a „hanum", już zupełnie spokojna, jęła mi opowiadać:

— Odmówić się od podarowanej dziewczyny, znaczy skazać ją na śmierć, gdyż nikt jej już nie poślubi i będzie zmuszona, ratując się przed drwinami i pogardą, zabić się. Wtedy tylko hańba nie spada na głowę niedoszłej „hanum", gdy mężczyzna odjedzie, a oczy porzuconej nie zobaczą go w chwili, gdy koń lub wóz ruszą. Wtedy dziewczyna rozplecie warkocze i będzie tak chodziła przez trzy dni, a później wyrwie trzy włosy i rzuci je w tę stronę, w którą odjechał mężczyzna. Z włosami znikną wspomnienia o nim i „hanum" staje się zwykłą dziewczyną i może być oddana innemu...

Tak rozmawiając, doszliśmy do obozu.

Uciec tak, aby oczy Bibi nie dojrzały mię w chwili odjazdu! Ta myśl stała się moją manją. Po kilku dniach skończyliśmy nasze prace i ruszyliśmy w stronę miasta Kaińsk, położonego przy kolei syberyjskiej. Suliman i Bibi oczu ze mnie nie spuszczali, widocznie obawiając się, że mogę zemknąć. Przybyliśmy na stację na godzinę przed odejściem pociągu. Odciągnąłem na stronę pod jakimś pretekstem profesora i poprosiłem go, aby ciągle dawał różne zlecenia Sulimanowi i dziewczynie.

Przyszedł pociąg, na peronie rozpoczęła się bieganina, hałas i tłok, który zupełnie ogłuszył dzieci stepu — Kirgizów. Ogromnie na to liczyłem!

Kręciłem się stale przy Sulimanie i jego siostrze, niczem nie zdradzając swoich zamiarów. Byłem zewnętrznie zupełnie spokojny i zrezygnowany. Kupiłem w sklepiku przy stacji srebrną bransoletkę z zielonemi uralskiemi chryzolitami i podarowałem ją Bibi-Ajne, a jej bratu, memu „kunakowi" i... szwagrowi — takiż pierścionek. Nie posiadali się z radości, wykrzykując z podziwu i zachwytu i pokazując sobie wzajemnie piękne upominki. Zdawało się, że na chwilę zapomnieli o swoim „mężu" i „szwagrze". A ten zdrajca śledził wskazówki zegara na peronie.

Do odejścia pociągu pięć minut... trzy... dwie...

Pokazałem kirgiskiej parze błyski kamieni, jeżeli trzymać wprost pod promieniami słońca. Krzyknęli od zachwytu i zdumienia!

Ja tymczasem zamieszałem się w tłumie, obiegłem pociąg i stanąłem przy stopniach innego wagonu niż ten, w którym już najwygodniej w świecie rozlokował się profesor, ale stałem nie od strony dworca, lecz od strony plantu.

Dzwonek... gwizdek... głębokie westchnienie lokomotywy... pierwsze drgnienie pociągu i turkot kół. Wskoczyłem do wagonu i zaczaiłem się tak, jak gdybym skradał się do jelenia, lecz w tym wypadku ja byłem upatrzoną zdobyczą, a więc tem staranniej się ukryłem pomiędzy tobołami i tłumem pasażerów trzeciej klasy.

Mignęły ostatnie zwrotnice stacji, ostatnie latarnie, ostatnie zabudowania. Nie poszedłem jednak odrazu do wagonu, gdzie był profesor, gdyż się obawiałem śmiertelnie, że ujrzę obok niego słodko uśmiechniętą twarzyczkę mojej „hanum". Wszedłem do wagonu dopiero po drugiej stacji. O szczęście! Hanum nie było. Moje chryzolity wyratowały mię. Suliman i Bibi pewno jeszcze przyglądali się błyskom i grze kamieni, gdy pociąg ruszył, i „hanum" nie widziała w chwili ruchu pociągu twarzy zdrajcy-„męża".

— Miła, śliczna Bibi-Ajne! — myślałem tego wieczora. — Teraz rozplatasz swoje czarne, santałem i piżmem uperfumowane włosy i wyrywasz z nich trzy, aby rzucić je w ślad tego, o którym chcesz zabić wspomnienia! Nie gniewaj się na mnie! Jesteś prześliczna, cudna, zwinna i wiotka, śpiewasz, jak stepowy skowronek, tańczysz, jak hurysa raju, doskonale przyszywasz guziki i wspaniale przyrządzasz na węglach soczyste szaszłyki i „azu", jak żadna inna kobieta, lecz nie mogłem wziąć cię za żonę, bo najpierw — jesteś niepiśmienna i cobyś robiła z uczonym, nudnym mólem papierowym, a powtóre — coby powiedziała moja Matka, taka wymagająca, dobrze wychowana i nie lubiąca, żeby z niej żartowano. Good-bye, miła, mała Bibi-Ajne! Bądź szczęśliwa...

Antoni Ossendowski

ECHA WYPADKÓW KRAKOWSKICH

Rewolucyjna załoga auta pancernego „Dziadek" wśród tłumu zrewoltowanych robotników

Pogrzeb poległych w czasie zajść krakowskich ułanów 8 pułku im. Księcia Józefa

Aj. Fot. Marjana Fuksa

Tragiczne wypadki krakowskie, które rozegrały się dn 6 listopada, zabrały nam życie czternastu bohaterów z 8 p. ułanów, poległych w obronie państwa. I oto w przededniu piątej rocznicy uwolnienia Polski od Niemców, dniu, który powinienby być radosnem świętem dla każdego Polaka — obchodził Kraków, a z nim cała Polska, smutną uroczystość pogrzebu żołnierzy polskich.

Obchód ten okrywa cały naród polski ciężką żałobą. W pogrzebie czynny udział wziąć mógł tylko Kraków, ale nie było chyba Polaka w najodleglejszem mieście naszego państwa, któremuby się smutkiem nie ścisnęło serce.

Uroczystość żałobna rozpoczęła się dnia 9 listopada nabożeństwem w kościele garnizonowym św. Piotra i Pawła, dokąd przywieziono trumny ze szpitala załogi. Mimo niepogody pogrzeb bohaterów zgromadził tłumy publiczności. Wszystkie domy krakowskie były ubrane flagami, opuszczonemi do połowy na znak żałoby. Przy kościele ustawiły się liczne delegacje i stowarzyszenia oraz oddziały różnych gatunków broni. W kościele zajęło miejsca prezydjum m. Krakowa i rada miejska, naczelnicy wszystkich władz i urzędów, przedstawiciele senatu oraz wyższych i średnich uczelni oraz jeneralicja.

Po mszy podniosłe i gorące przemówienie wygłosił ks. dziekan Niezgoda, poczem trumny ułanów przeniesione zostały na miejsce wiecznego spoczynku. Nad trumnami przemawiali jen. broni min. Szeptycki, senator Adelman, pułkownik Kiciński i w. in.

WYSTAWA SZTUKI JAPOŃSKIEJ

Staraniem Towarzystwa polsko-japońskiego urządzono w jednej z sal Tow. Zachęty Sztuk Pięknych wystawę japońskiej sztuki stosowanej.

W sali zgromadzono znaczną ilość eksponatów, między niemi wiele o wysokiej wartości artystycznej.

Do arcydzieł należą kunsztownie rzeźbione szafy, parawany i różne wyroby z drzewa. Znajdujemy tu pierwowzory tej „japońszczyzny", która w lichem i tandetnem naśladownictwie zalewa mieszkania burżuazyjne.

Prześliczne wyroby lakowe, porcelanowe i z kości słoniowej, szereg przedziwnie subtelnych nipp, inkrustacje z kamieni, koralu i srebra, zapełniają gabloty wystawowe.

Do najciekawszych bodaj eksponatów należą hafty, wyszywane w sposób mistrzowski. Subtelne i harmonijne skojarzenia barw, delikatność w połączeniu z wyrazistością, podnoszą te roboty do rzędu arcydzieł. Trudno uwierzyć, patrząc na te misterne wyszycia, że wykonywane są one wyłącznie przez mężczyzn. Kobiety japońskie nie zajmują się wcale temi rzeczami.

Wystawa cieszy się znaczną frekwencją publiczności warszawskiej, dla której egzotyzm zawsze jest silnym magnesem.

Sala z eksponatami japońskimi na wystawie bieżącej w T. Z S. P. w Warszawie

Z CHWILI

Wycieczka jugosłowiańska, bawiąc w Warszawie złożyła wieńce u stóp pomnika Mickiewicza (Fot. Sarjusz-Wolski)

W ubiegłym miesiącu w kościele polskim w Paryżu odbyły się zaślubiny p. Janiny Styczanki, córki znakomitego artysty z markizem Paolucci-Mancinelli. Kościół szczelnie wypełniła kolonja polska w Paryżu

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Zmarła w Warszawie ś. p. Weronika z Oleszkiewiczów Zapolska-Downar, nauczycielka szkolnego umuzykalniania, była jedną z tych cichych pracownic, których działalność nie przechodzi niepostrzeżenie.

Córka obywatelstwa z gub. Charkowskiej, przybywszy zamłodu do Warszawy, powierzyła swoje wykształcenie muzyczne Janowi Kleczyńskiemu i wkrótce otrzymała z Konserwatorjum zaszczytne świadectwo nauczycielskie. Poślubiona b. uczestnikowi powstania styczniowego, zesłańcowi z Syberji, owdowiała w niedługim czasie i odtąd nauczycielstwo muzyki stało się podstawą jej życia. Ale zawód swój potrafiła podnieść do godności idei i wyrazić w nim całe swoje umiłowanie sztuki muzycznej wogóle.

Jako czynna członkini „Lutni" zbliżona do śpiewu zbiorowego, zainteresowała się nauką śpiewu w szkołach i w tym kierunku rozwinęła swoją owocną pracę.

Siła woli, siła przekonania przy całkowitem poświęceniu siebie, uczyniły z niej pedagoga wybitnego o znaczeniu społecznem.

Wykształcona wszechstronnie, umysłem bystrym obejmowała szerokie horyzonty, co nie pozwalało jej zakrzepnąć w rutynie. Była przedstawicielką zdrowego postępu, śledzącą nowe prądy, jakie przynosił ze sobą ruch życia umysłowego. Nauka umuzykalniania metodą Dalcreze'a nie pozostawiła jej również obojętną.

Pojechała do Hellerau, aby na miejscu zapoznać się z wynikami nowej metody i zgłębić system nauczania. Była też jedną z pierwszych, która zastosowała zdobyte tą drogą wiadomości do nauki w naszych szkołach, dając się poznać coraz szerszym kołom, jako pracowniczka niestrudzona, zamiłowana i twórcza.

Ten ogrom zajęć nauczycielskich nie przeszkadzał jej ponadto brać czynny udział w organizacjach muzycznych o społecznem znaczeniu. Jej też zasługą było doprowadzenie do skutku pierwszego zjazdu nauczycieli śpiewu szkolnego w niepodległej Polsce. Wypracowywane przez nią programy nauczania muzyki w szkołach, metodyka nauczania i śpiewniki, które się szybko rozpowszechniały, są chlubnemi dokumentami tego życia czynnego, łączącego w sobie umiłowanie sztuki z umiłowaniem młodych pokoleń. Znalazło ono też swój wyraz w zapisaniu obfitej bibljoteki muzycznej dla bratniej pomocy Konserwatorjum warszawskiego. Ze śmiercią Weroniki Downar-Zapolskiej ubywa naszemu społeczeństwu jednostka nieprzeciętnej miary i zasług niepoślednich. Pod ciężarem ogromu pracy ulec musiało wątłe ciało. Lecz: „i ten szczęśliwy kto padł wśród zawodu, jeżeli poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu". *P. M.*

Ś. p. Weronika z Oleszkiewiczów Zapolska-Downar.

Ś. p. Władysław Prokesch

znany i ceniony dziennikarz i krytyk literacki, od roku 1886 współredaktor „Nowej Reformy", zmarł w Krakowie dn. 20 listopada b. r. przeżywszy lat 60. Zmarły był przez długi czas współpracownikiem naszego pisma.

TADEUSZ RITTNER

MOST

POWIEŚĆ 20)

Ale śpiewaczka myślała o czem innem.

— Ja dałam sobie — przez rodziców— zabrać moje szczęście... zamiast je zatrzymać... To była zbrodnia... A teraz ten człowiek zginął!

— Inżynier — pomyślała Ewa.

— Moje dziecko, nie daj sobie nigdy nikomu zabrać twego szczęścia. Uważaj, miej oczy otwarte. Bo tylko raz jeden w zaraniu życia spotyka się tego jedynego człowieka, którego się kocha naprawdę. Zapamiętaj to sobie!

Ewa obiecała zapamiętać sobie.

Po jakimś czasie zapytała:

— Czy pani ma dużo krewnych?

— Nie mogę się uskarżać na brak ich— odpowiedziała Eugenja sucho.

Ewa westchnęła z zazdrością.

Ale potem powiedziała głosem prezydentowej, śmiejąc się:

— To prawda, tego zawsze zadużo... Żeby się zresztą było tak bogatym...

Kłamała. Nie miała żadnych krewnych, i to było największym smutkiem w jej młodem życiu. Wstyd w gruncie rzeczy. Bo w St. Paul było wiele biednych ludzi, ale krewnych miał każdy, tylko ona — nie.

Wstydząc się tego, mówiła czasami obcym ludziom, że prezydentowa była jej babką.

— A ta elegancka pani, z którą chodziłaś do kościoła?

Odpowiadała:

— Moja ciotka.

Wszyscy byli zachwyceni tualetami Eugenji, nie wiedząc o tych o wiele piękniejszych, które zostawiła w Montreux. A czy nie stały jeszcze dwa pełne kufry w wielkim hotelu w Genewie? Ale najładniejsze rzeczy miała w Paryżu.

Właściwie można było Eugenję nazwać wprost zamożną; tylko jej rzeczy były rozrzucone po całym świecie. Dopiero niedawno dowiedziała się o kwocie pieniężnej, którą Lolo złożył dla niej w banku. A było to chwilowo o wiele piękniejszem i ważniejszem. Teraz przez jakiś czas miała tyle, ile potrzebowała do życia. I nie była zmuszona dawać koncertów.

Śpiewaczka straciła naraz ochotę do śpiewu.

— Wielka szkoda — mówiła raz pani Hermina popołudniu, wracając z dalekiej wyprawy gospodarczej, — Eugenja obawia się teraz występować publicznie, bo miała niepowodzenie na jednym koncercie w Szwajcarji. Zupełnie jest nieporadną bez swego Lola.

— On nie był właściwym mężem dla niej — oświadczyła Ewa.

— Co ty pleciesz? — napadła ją prezydentowa. — Co ty wiesz o nim... i o życiu wogóle?

— Jest znowu nerwowa — myślała Ewa pobłażliwie.

Była niedziela i właśnie przyjechała Mila. Zaraz zaczęła opowiadać siostrze o najważniejszych dla niej wypadkach zeszłego tygodnia; rzeczy, które się tyczyły rodzin, gdzie udzielała lekcyj francuskiego języka. Mówiła z ożywieniem o jakimś panu inspektorze, który sobie coś zwichnął i o jakiejś pannie Ulryce, która wychodziła za kogoś za mąż. Ale prezydentowa spytała twardo i nieubłaganie:

— Jaki inspektor? Jaka Ulryka?

Pomimo, że musiała dostatecznie znać wymienione osobistości z dawniejszych opowiadań Mili.

— Przed domem stoi jakiś pan i mówi z Eugenją — powiedziała Ewa.

Mila roześmiała się.

— To nie żaden pan, tylko Jakób, który tu był przed laty.

Ewa przypomniała sobie zaraz. Prawda, ten mały chłopiec, elektrotechnik, z którym się bawiła w stację ratunkową. Nie mogła pobiegnąć do niego i przywitać się, bo był teraz całkiem inny.

Był wielki i silny. Wyglądał tak, jak ów jedyny człowiek, którego się spotyka w zaraniu życia i którego się powinno zatrzymać, jak mówiła Eugenja.

Ale pani Hermina myślała nad tem, że trzeba będzie przygotować kolację na pięć osób i powtarzała nerwowo i w roztargnieniu:

— Jaki inspektor? Jaka Ulryka?

XV.

Były właściwie dwie Marjanny. Jakób nie miał nigdy wrażenia, że należały do siebie, że były poprostu jedną i tą samą osobą.

Żona ministra, córka burmistrza, była mu obojętną, widywał ją rzadko. Nie niepokoiła go nigdy i nie mógł jej niczego zarzucić.

Ale żyła jeszcze inna Marjanna, żyła w nim samym od kilku lat. Ta sama, którą widział raz nagą, jako mały chłopiec— zanadto wyraźnie. A ta Marjanna nie była tak nieszkodliwą. Nie chciała zniknąć, nie pozwalała zapomnieć o sobie.

Im się Jakób czuł starszym i już dorosłym — tem bardziej nie cierpiącą zwłoki wydawała mu się potrzeba zakończyć tę sprawę.

Bo ta druga Marjanna przeszkadzała mu straszliwie. Oprócz niej Jakób nie bał się żadnej ludzkiej istoty. I czuł się tak silnym, że mógł na siebie wziąć całe góry korepetycyj. Trochę zadużo, jak mniemało jego najbliższe otoczenie. Ale nikt mu nie poradził, żeby się oszczędzał. Zresztą robił zawsze tylko to, co sam chciał albo — jak sam mówił — to, co musiał. Majorowa pocieszała się zawsze jego wyglądem, który był zawsze tak samo uspokajającym, jak za dziecinnych czasów. A Leopoldyna miała tę bezinteresowną i prawie artystyczną uciechę, jeżeli ktoś zarabiał ogromną ilość pieniędzy.

Leopoldyna ceniła go tak wysoko, że dawała mu najpiękniejszy pokój na mieszkanie. Jej drugi lokator i stołownik musiał się zadowolić małą izdebką, ponieważ był budowniczym, który w tych czasach nic nie budował.

Życie nie upływało już dawno tak lekko jak dawniej, zaciemniało się ustawicznie tak, że się chciało krzyczeć ze strachu, i dlatego było dobrze, że się miało Jakóba. Jakób był młodzieńcem, już właściwie mężczyzną, na którym się mogły oprzeć kobiety, potrzebujące opieki. Bo on sobie nic nie robił ze złych czasów i wiedział na wszystko naturalne i pocieszająco trzeźwe wyjaśnienie.

— Najmądrzejszy będzie w końcu miał słuszność — prorokował i pracował bez wytchnienia nad wydoskonaleniem swojej mądrości.

Przeciwnie starszy, źle odżywiony budowniczy, upadły na duchu z powodu braku pracy — ciągle tylko narzekał i zapewniał, że się z nami wszystkimi źle skończy. Przejeździł w swojem życiu większą część świata i znał rzeczy, które nawet Jakóba „rzeczowo“ zajmowały. Ale plany Jakóba na przyszłość nie podobały mu się.

— Niech pan się zastanowi — mówił mu — i wybierze sobie inną karjerę. W najbliższych dziesiątkach lat ludność nie będzie miała innych trosk jak pies — i będzie bardziej potrzebowała paru kości więcej do obgryzania niż wszystkich pańskich elektrotechnicznych cudów. Niech się pan zastanowi i myśli lepiej o chlebie powszednim niż o nowych wynalazkach. Kto się dziś zajmuje tym waszym postępem? Od paru lat śpi wszystko, co nie umiera albo nie morduje.

Jakób słuchał tego wszystkiego z taką miną, jak ktoś, który czeka cierpliwie na przejechanie wozu ciężarowego.

Potem zapytał:

— Jakie pan jeszcze elektryczne motory widział w Ameryce?

Niekiedy budowniczy był nawet potrzebnym Jakóbowi. Wiedział wiele. Ale nie zawsze. Nieraz przekręcał nazwy miejsc, maszyny, techniczne wyrazy, a Jakób poprawiał go, jakby sam posiadał nie tylko więcej wiadomości, ale jeszcze częściej bywał w Ameryce, niż on.

— Dziękuję panu — mówił starzec w takich wypadkach. Przytem uśmiechał się, ktośby mógł myśleć — ironicznie, ale Jakób był przekonany, że budowniczy był tylko pokorny i grzeczny.

I był uprzedzająco miłym dla niego.

Budowniczy zaś mówił:

— Pan zachowuje się wobec mnie z wielką dobrocią i pobłażaniem.

— Pan jest o wiele starszym odemnie — zauważył Jakób.

— Właśnie, pan jest młodym, a więc ma wszystkie korzyści po swojej stronie. A oprócz tego, ma pan lepszą pamięć.

To prawda — myślał Jakób. — Ale czy to było zawsze bardzo przyjemnem mieć dobrą pamięć?... Jakób westchnął... Druga Marjanna ukazała mu się w całej swej kobiecości.

— W każdym razie pan wierzy w przyszłość i w swoje siły. A to jest najważniejsze. Pan mnie przewyższa pod tym względem, pan będzie kiedyś bogatym, choć pan dziś nie posiada więcej odemnie.

Wtedy Jakób uśmiechnął się chytrze. Nawet teraz posiadał więcej niż budowniczy. Bo biedny Piotruś zdał egzamin i został „tylko na krótko" żołnierzem. Za ten cud Jakób otrzymał od pani dyrektorowej niesłychanie piękny podarek w pieniądzach.

Nie wiedział jeszcze jak go użyje. Może dla matki — może, to nie było jeszcze pewnem, a w każdym razie jeszcze z nikim o tem nie mówił.

Raz w St. Paul powiedziała mu Eugenja:

— Nie podobasz mi się dziś tak, jak zwykle, pracujesz za dużo.

— O, nie — odpowiedział Jakób.

— Nie masz takiej pełnej twarzy i tak świeżej cery jak zawsze. Temu jest winna praca.

— Nie, temu jest winna ta „druga Marjanna" myślał Jakób.

I powiedział:

— ...W jesieni będę wolnym i mogę sobie wypocząć.

— Dlaczego dopiero w jesieni? Maturę zdajesz przecież teraz?

— Tak, tak, ale potem będzie jeszcze kilku spóźnionych, moi wszyscy uczniowie muszą przejść.

Eugenja narzekała:

— Ach, ci studenci! Jakże okropne są takie zobowiązania! Żebyśmy przynajmniej potem mogli gdzieś pojechać — nad morze, na południe...

I zaczęła opowiadać o swych dalekich podróżach z Lolem.

Przyszło gorące lato, a Jakób miał właśnie największą robotę. Z tych wszystkich egzaminów, jego własny kosztował go najmniej zachodów i trudów. Ale dlatego musiał się jeszcze więcej męczyć z innymi.

Upalne dni letnie następowały po sobie z szaloną szybkością.

A po nocach trapiła go Marjanna (ta druga). Nie miała litości nad nim i nie dawała mu śnić o czem innem tylko o sobie i kąpała się niezliczone razy w jego sypialnym pokoju.

Budził się z tych miłosnych cierpień, jak w gorącej łaźni.

— Niech cię djabeł porwie — przeklinał drażniące zjawisko.

Ale to jej nie dotykało. Ona była sama djabłem, a jej władza nie miała granic. Jeżeli chciała, pokazywała mu się także we dnie. I robiła to zawsze później, kiedy termometr wskazywał 22 stopnie ciepła.

W dodatku liczba jego uczniów zmniejszała się z każdym dniem. A mnożyły się wolne godziny. W to jej graj — myślał Jakób z rozpaczą.

Wstydził się. Czy przedsiębrał coś dotychczas, żeby temu położyć koniec? Czy jego nienawiść dla tej kobiety była zawsze szczerą i prawdziwą?

Przedsięwziął sobie wszystkie wolne popołudnia wypełniać naukowemi badaniami. Ale pokazało się, że książki były dla niego największem niebezpieczeństwem a najwspanialszą bronią dla Marjanny.

Jakaś geometryczna figura, jakaś fizykalna formułka, najczarniejsze i najtrzeźwiejsze litery zamieniały się na rozkaz Marjanny w najbardziej przesadzone i najśmielsze naśladownictwo jej kwitnącego ciała. O, tak, sam szatan wymyślił cichą pracę i siedzenie przy biurku.

Letnie upały już się dawno skończyły, a stan jego trwał ciągle. Był wrzesień, a Jakób miał już tylko jednego ucznia. Ale ta „druga" Marjanna żyła sobie dalej śmiało i bezwstydnie.

Jakób powziął postanowienie.

Do pierwszego października musi zniknąć. W jakiś sposób zmuszę ją do tego. Bo zresztą nie potrafię nigdy w życiu myśleć rozsądnie i ze spokojem.

Czuł, że: Marjanna dlatego jest taką silną, że ja się jej boję. A niebezpieczną jest tylko w mojej wyobraźni. Muszę się naocznie przekonać, że nie egzystuje.

— Ach, to ty! — zawołała pani ministrowa zachwycona, kiedy zobaczyła wchodzącego Jakóba. — Właśnie nudziłam się szalenie, ty przychodzisz i jest mi tak jak kiedy byłam małą dziewczynką. Nareszcie sobie przypomniałeś, że mnie chcesz fotografować.

Nie, o tem Jakób nie myślał zupełnie.

— Z tego nic nie będzie — oświadczył zaraz — nie przyniosłem aparatu.

Czuł się lekko i pewnie. Bo ta Marjanna, która stała przed nim, nie miała nic wspólnego z tą drugą bez sukien, która go trapiła po nocach. Ta Marjanna była panią, do której się przychodziło z wizytą— nic więcej.

Jego metoda była dobrą — ale pani ministrowa nie wydawała się być szczęśliwą. Już po upływie pół godziny westchnęła głęboko i rzekła:

— Ach, jeszcze raz być taką młodą, jak ty! Jeżelibym mogła jeszcze raz zacząć od początku, ułożyłabym sobie moje życie zupełnie inaczej.

— Jakto inaczej? — badał Jakób, tak jak zwykle. — Nie byłaby pani poszła za mąż?

— Nigdy!

Jakób odpowiedział:

— Mogę sobie wyobrazić. Jabym się też nie ożenił, bo mam zanadto złe doświadczenie w tym kierunku. Te dwa czy trzy małżeństwa, które znałem, bardzo były nieszczęśliwe. Ale co tu pomoże wzdychanie? Jest już zapóźno. Teraz jest już pani zamężną. A ja pani nic innego nie mogę poradzić, jak — pogodzić się z losem!

Marjanna zaśmiała się. Siadła koło Jakóba i zaczęła cichym głosem:

— Prawda? nie powiesz tego nikomu, ale moje obecne życie jest bardzo smutne.

Mówiła o swojem życiu, o swoim domu, w którym czuła się, jak w hotelu. Nie, nie nudziła się tak bardzo, nie tak strasznie, ale jej nerwy były coraz gorsze... Tak, tak...

— Niech pani idzie do doktora — zawołał Jakób.

Ale Marjanna utrzymywała, że jej doktór nic nie pomoże. To leżało głębiej. Mówiła o swym mężu...

Jakób zauważył:

— Pan minister jest człowiekiem, od którego pani może wiele skorzystać. On jest w stanie wytłumaczyć pani polityczne stosunki, jak nikt na świecie.

Ale Marjanna mówiła:

— O tem nigdy nie mówi... Najchętniej czyta mi głośno... i toby było bardzo przyjemne. Ale on chce odrazu słyszeć mój sąd o książce... zawsze na nowo... A ja odpowiadam: Bardzo ładne... Ale na przyszły raz muszę już powiedzieć coś innego... To jest bardzo trudno. On jest taki wymagający i chytry w tych rzeczach. Ja się natężam, głowa mnie boli, a moje usta są jak sparaliżowane. W końcu jestem wściekła — na siebie, że jestem tak głupią, na książkę, bo on się nią zachwyca, na niego, bo goni po pokoju, tam i napowrót, i bawi się sznureczkiem z monokla. Myślę sobie: Ach, żeby już był wieczór!... Ale, kiedy przychodzi czas na... ale nie wszystko jest możliwem opowiadać dokładnie...

— Nigdy się nie ożenię — postanowił Jakób. W gruncie rzeczy był zadowolony i wziął kapelusz.

A na pożegnanie Marjanna pocałowała go, zapewne przez zapomnienie. Kiedy był małym, całowała go często, ale teraz był mężczyzną. O tem zdawała się zapominać, tak była zirytowana.

Niestety... już dawno odszedł od niej, już był daleko na ulicy... a jeszcze go—całowała. Zupełnie tak samo jak ta druga Marjanna. Gorąca, pachnąca — w same usta.

Tego za wiele—myślał zrozpaczony.— A zatem jego wizyta nie przyniosła mu ulgi. Przeciwnie. Marjanna dręczyła go jeszcze bardziej, ale teraz była to już tylko jedna Marjanna — bynajmniej nie urojona.

Była już głęboka noc, Jakób leżał z otwartemi oczyma, a Marjanna całowała go. *(Dcn)*

Przedruki i przekłady zastrzeżone. Copyright by W. Sieroszewski nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA

POWIEŚĆ

41)

— Nie przyszedłem straszyć was, przyszedłem radzić z wami! — zaczął wśród ponownej skupionej ciszy. — Chcę właśnie mówić o tem jak zdobyć ptaki żelazne, albowiem wszystko jest możliwe dla tego, kto chce żyć wolny!... Ani Rosja, ani Chiny nie napadną na nas teraz. Rosja jeszcze długo będzie się krwawiła i żarła wewnątrz; w Chinach również szumi burza, wywołana przez wojnę narodów... Japończyk czuwa nad nimi... Mamy więc kilka, może kilkanaście lat, a to wiele, to bardzo wiele, dla tych, co umieją działać... Słuchajcie więc, co wam powiem: wiecie, iż oddawna ćwiczę waszych młodzieńców, że sprowadziłem chińskich i rosyjskich majstrów i kazałem im wyrabiać amunicję, reparować broń, że broni tej sprowadzam wciąż transporty przez chciwych zarobku kupców japońskich... Mamy jej dosyć!... Ale dla wyrobu żelaznych ptaków trzeba kopalni węgla, nafty, żelaza; trzeba maszyn i warsztatów takich, jakich my nie stworzymy przez wieki... Dlatego musimy zdobyć na początek kraj bogaty w ludzi zręcznych i w potrzebny materjał... Musimy zdobyć ponadto dostęp do innych ludów — brzeg morza... Dżingis w swoim czasie początek swojej potęgi założył na podboju Chin. Stamtąd potem brał broń, żywność, odzież, potrzebne dla wojsk, idących na zdobycie świata oraz urzędników dla rządzenia nim... My do Chin nie pójdziemy teraz, gdyż Chiny nie mają ani potrzebnych nam fabryk, ani potrzebnych nam ludzi... Chiny są jeszcze silne i mają przyjaciół. Zagarniając Chiny, mielibyśmy kłopot z Ameryką i co gorzej z Japonją... Nie, my teraz rzucimy się na Rosję, która sama wciąż rzuca się na nas i rabuje nasze stada... My pójdziemy aż za Bajkał, aż do Irkucka, gdzie są potrzebne nam fabryki i kopalnie. Zajmując rzekę Amur aż po ujście, otworzymy sobie dostęp do innych ludów... A wśród tych ludów bratem waszej mongolskiej niedoli i najwierniejszym sprzymierzeńcem waszym będzie mój lud, będą dalekie, nieszczęśliwe, szlachetne Niemcy... One, same pokrzywdzone, dostarczą wam, Czarnogłowi, jako swoim mścicielom, przemyślnych majstrów, potrzebne maszyny, uczonych nauczycieli... Albowiem one pragną tego co wy — panowania jednego Prawa na Ziemi—wiecznego Pokoju i Sprawiedliwości... Dlatego są one znienawidzone przez Siły Zła, jakie książę ciemności wypuścił dziś na świat, narówni z wami, łagodni pasterze!.. Wszędzie rozruchy, zabójstwa, chciwość... Głód i Trwoga... Brat bratu wilkiem... Syn mordercą ojca... Matka pożera swe dzieci... Czas już, aby przyszedł z karzącym biczem Syn Nieba i przywiódł do opamiętania zbłąkane Narody... Przez wieki czeka na chwilę tę Dobrotliwy na liściu lotusu z pobłażliwym uśmiechem... Wy umiłowane dzieci jego... stać się musicie jego narzędziami... Czeka was tu na ziemi wielka radość i sława, a po śmierci przeistoczenie w duchy czyste i doskonałe, albowiem spełnicie wyrok Nieba...

Znów przerwał i popił herbaty.

— Aby nauczyć naszych chłopców dosiadać żelaznego ptaka, dużo trzeba lat!...

— Czy nie lepiej zawierzyć koniom wzorem przodków! — zauważył Namyn Dordżi Nojon.

— Wcale nie. Kierownikami będą cudzoziemcy... — przerwał Dżoł-Chań-Cy.

— Inni, którzy już mają żelazne ptaki, uprzedzą nas i napadną na nas... — upierał się Dordżi Nojon.

— Owszem, owszem! Dordżi Nojon ma słuszność! My mamy nad narodami całego świata tę wyższość — zaczął znowu baron — że posiadamy najliczniejszą na ziemi konnicę... Samoloty mogą zniszczyć wojska nieprzyjacielskie, popalić wsie i miasta, rzucić nieprzezwyciężoną grozę i trwogę na wrogów, lecz ziemi objąć w posiadanie nie mogą i nie mogą uczynić mieszkańców niewolnikami... To może uczynić jedynie wielka ilość wojsk i urzędników... A muszą pojawić się szybko po zwycięstwie samolotów, aby kraj zdobyty nie przyszedł do siebie i nie zorganizował znów życia i oporu... To może zrobić tylko konnica, za którą po dłuższym już czasie może przyjść piechota...

— Tak, tak!... Ale skąd wziąć na to wszystko pieniędzy?... — zabrzmiało ciche pytanie.

— Właśnie poto przyszedłem do was...

Nastało milczenie.

— Naród wyniszczony wojną i podatkami... — zauważył ostrożnie Dżoł-Chań-cy.

— Więc czekajcie, aż przyjdą czerwoni zbóje z północy, albo wrócą chińscy ambaniowie i zabiorą wam to, co jeszcze pozostało... Czy nie lepiej raz wysilić się i, dawszy trochę, utrwalić los swój na wieki wieczne?... Kto z was żyć będzie dłużej niż jego pieniądze?... Stada, których żałujecie, czyż nie mogą paść jutro od zarazy?... Władca Zła, który rzucił na świat swe sługi i oblał go krwią, skłócił spokojnych, poważnił przyjaciół, cnotę i życzliwość zastąpił nienawiścią i zbrodnią — czyż nie czyha na waszą słabość?... A zamiast wcielić się wyżej, czyż dusza lękliwych nie przechodzi w psa i zająca?...

— Om!... — zabrzmiał nagle cichy głos na tronie.

Wszyscy zwrócili w tę stronę oczy i pochylili modlitewnie głowy...

— Stanie się, jak zapragnąłeś... Pieniądze się znajdą... Dusza moja błądziła dziś w ciemnościach, aż usłyszałem głos twój... Unosił ją wielki ptak Ga-ru-na!... Stanie się jakoś powiedział... Przyjdzie Jedno Prawo, Sprawiedliwość i Pokój wieczny, na który czeka cierpliwie Dobrotliwy na liściu lotusu!... — mówił wolno, jakby z wysiłkiem ślepy starzec, siedzący w złotogłowiu na złotym tronie, stukając zlekka kościanym pastorałem po stopniach pokrytych dywanem.

Radość błysnęła w chabrowych oczach Niemca — zrozumiał, że zwyciężył.

Dalaj-Lama powstał z poduszek i zwolna poszedł ku wyjściu, podtrzymywany pod łokcie przez „gelongów", macając przed sobą posochem.

Obecni z pokorą pochylili nisko twarze nad stołem i pozostali tak, aż „Święty" zniknął za hebanowemi drzwiami.

XVI.

Od wielu już dni przez ulice Urgi przewalały się tłumy zbrojnych ludzi i jucznych zwierząt, przeciągały sznury ciężkich, dwu-kołowych arb, zaprzężonych w woły lub wielbłądy, naładowane skrzynkami, worami, nabytemi szmatami wojłoku i mocno utroczone rzemieniami. Bronzowi, płasko-licy poganiacze w brudnych, porwanych tułupach siedzieli apatycznie na obsadach gruby lub szli obok swych pociągowych zwierząt, przewalając się niezgrabnie na krzywych nogach. Od czasu do czasu, zatrzymując ruch powszechny i wypierając gawiedź w boczne zaułki, przechodził oddział piechoty lub przejeżdżała szybkim skroczem kawalerja na dobrych koniach dostatnio odziana i uzbrojona.

Wszystko ciągnęło na północ, skąd właśnie dął zimny, przejmujący wiatr i płynęły szare, skłębione, obciążone pluchotą i śniegami obłoki. Przed koszarami przybocznej straży Dziań-dziunia stały szeregi posiodłanych, gotowych do drogi koni i gromady żołnierzy w granatowych „czekmeniach" z karabinami na plecach, tu i tam gwarzyły w oczekiwaniu ostatecznych rozkazów. Cokolwiek na uboczu, Korczak z Maćkiem, rozmawiali z Szag-durem, Senge-Dordżi Lamą i Domickim, którzy przyszli się z nimi pożegnać.

— Słuchajcie, piszcie mi natychmiast, skoro natraficie na najmniejszy ślad... — mówił z gorączką w oczach głośno Korczak. *(Dcn)*

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI
WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

OD WYDAWNICTWA

*Na **poczet prenumeraty** „Tygodnika Illustrowanego“ za miesiąc **grudzień** b. r. prosimy P. p. Abonentów **o wpłacenie** tymczasowo **marek 500.000.** Po 15 grudnia ogłosimy wysokość całomiesięcznej prenumeraty z tem, że różnicę między oznaczoną wyżej zaliczką a abonamentem grudniowym dopłacą nam P. p. Prenumeratorzy w drugiej połowie miesiąca. Ustalenie już dziś z góry całej prenumeraty jest niemożliwe ze względu na podwyżki w drukarni i zakładach kliszarskich, zgłaszane nam co dwa tygodnie, oraz różnorodną cenę papieru, zależną od kursu franka szwajcarskiego.*

***O jaknajrychlejsze nadesłanie sumy wyżej oznaczonej najusilniej prosimy,** gdyż przy stałej zniżce waluty na zaległościach ponosimy olbrzymie straty.*

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 150.000 MK.

Wydawnictwo Tygodnika Illustrowanego

Nowa Książka

F. GOETEL

PĄTNIK KARAPETA

(NOWELE)

PORADY KOSMETYCZNE

Greka z Suw. Tylko promieniami Roentgena albo Elektrolizą zupełnie usunąć włosy można. Depilatoary dają tylko efekt chwiliwy, a w dodatku obficie włosy rosną.

Janinie. Bezwarunkowo Eos wyniszczy łupież i włosy szybko odrosną.

Jadzi. Zmarszczki mogą się formować nawet w dzieciństwie, niech się Jadzia nie martwi. Proszę „Tolem “masować jak przepis objaśnia, a linimentem Alta smarować na noc, to wystarczy że zmarszczki i kurze łapki szybko znikną.

Ludmile. Czerwoność nosa, przez zastosowanie preparatu „Tryumf“ zniknie. Odmrożone ręce namaszczać płynem Japońskim „Togo“ i nosić wełniane ciepłe rękawiczki.

Stefanowi z Pomorza. Tak kurzajki jak i krosty należy elektrycznością usunąć. Jest to najradykalniejszy i najszybszy sposób leczenia.

Stokrotce. Tak jest, w moim zakładzie leczniczo-kosmetycznym, Niecała 5, formują się zniekształcone nosy, zakładają się kolczyki, usuwają się kurzajki, brodawki, znamiona, krosty, wągry, piegi, plamy, ślady po ospie i t.p. podług najnowszych zdobyczy nauki.

Justynowi z Podlasia. Eos i tylko Eos usunie łupież, zaś wągry i nadmiar tłuszczu — piasek d-ra Ségninaud'a.

Wszystkim czyteln. i prenum. Tygodnika szczególnie zamiejscowym wszelkie środki kompletuję i wysyłam za zaliczeniem. Listy z zamówieniami i zapytaniami adresować: Klimecki, zakład leczniczo-kosmetyczny Warszawa, Niecała 5.

Klimecki

„CICHY REMINGTON“

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA Z „IDEALNEM UDERZENIEM“

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA Z „AUTOMATYCZNEM RUSZANIEM“

NOWY MODEL Nr. 12 PISZE CICHO

TOW. BLOCK-BRUN Sp. Akc.

WARSZAWA HOTEL BRISTOL

TELEFON 14-42, 76-28

ZE ZMARSZCZKAMI

piegami i złą cerą pań nie będzie; panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej — 5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej—7-ej.

Hoża 41 — 7

Paderewska Zofja Ludwika

KSIĘGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA

Warszawa — Kraków — Lublin Łódź

Poznań — Wilno — Zakopane

otrzymały na skład główny pracę:

D-ra KAZIMIERZA AJDKIEWICZA

GŁÓWNE KIERUNKI FILOZOFJI

w wyjątkach z dzieł ich klasycznych przedstawicieli (Teorja poznania—Logika — Metafizyka)

Do nabycia we wszystkich księgarniach

QUAKER OATS

ORYGINALNE PŁATKI OWSIANE

DLA DZIECI, CHORYCH I REKONWALESCENTÓW

NIEZMIERNIE POŻYWNE I LEKKOSTRAWNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 49 * OGÓLNEGO ZBIORU 3,342 * 1 GRUDNIA 1923

STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI *M. BACCIARELLI*

Król - esteta, którego wysoka kultura i umiłowanie Piękna znalazły wymowny wyraz w architekturze i przyozdobieniu Zamku warszawskiego

ZAMEK KRÓLEWSKI
W WARSZAWIE

W wieku XIII lub wcześniej, na wzgórzu lewego brzegu Wisły założyli książęta Mazowieccy obronny Zamek. Miał on ich chronić w razie napadów i do tego też celu był przystosowany. Najdogodniejszym sposobem komunikacji były wówczas rzeki, stąd ten zwyczaj budowania na brzegach obronnych grodów. Tak powstawały nad Wisłą Zamki w Płocku, Czersku, w Jazdowie i Warszawie.

Jak wyglądały w ogólnych zarysach owe mazowieckie grodziska? Na niedużej powierzchni wzgórza budowano z drzewa mocny dwór, otaczano go częstokołem i głęboką fosą, ponad którą wznosiły się silne strażnice i wieże. Most zwodzony bronił jedynego dostępu na dziedziniec z studnią na żórawiu w pośrodku, a do palisad tuliły się budynki gospodarcze, kaplica w cieniu lip oraz mieszkania służby. Całość budowli, stawiana przez swojskich cieśli, była skromna, mocna i celowa.

Czy tak w początkach swego istnienia wyglądał gród warszawski — przypuszczamy tylko; on sam żadnych nam dotąd nie ujawnił śladów. Dopiero historycznie pewny jest późniejszy Zamek książąt na Czersku i Warszawie, zbudowany na wyniosłym brzegu Wisły z cegły palonej i granitu, odkryty w czasie obecnej restauracji. Najstarszą jego częścią (opierając się na wymiarach i układzie cegieł) jest wieża zwana w Memorjale sporządzonym dla Stanisława Augusta *Złamaną* lub *Strzelnicą*, a do dziś widoczna od Zjazdu, kilkakroć przerabiana i dalej część muru od tejże wieży ku kolumnie Zygmunta III biegnąca. Baszta jest kształtu kwadratowego z kilkoma potężnemi szkarpami, o grubości muru 3 metrów i posiada obecnie we wnętrzu kaplicę domową króla Stanisława Augusta. Stary mur gotycki, wyżej wspomniany, jest zapewne owym obwodowym murem, okalającym książęcy Zamek.

Nieco późniejszym od baszty i resztek obronnego muru jest dworzec książąt na Mazowszu w gotyckim wzniesiony stylu, a obecnie między wieżą Władysława IV a basztą Złamaną, równolegle do Wisły się wznoszący. Była to budowla 1 piętrowa, w planie prostokątna, o długości 34, a szerokości 15 m., z cegły doskonale wypalonej, w licu starannie fugowanej, o fundamentach z głazów granitowych i obszernych lochach i piwnicach. W parterze miała 2 sale wielkie, prawdopodobnie niegdyś sklepione i wsparte na słupach, co późniejsza przebudowa zniszczyła. Sklepienia i słupy obecnie istniejące na parterze są z czasów Króla Zygmunta III. Co było na piętrze, do dziś jeszcze nie udało się stwierdzić. Fragmenty fasady od dziedzińca*) pozwalają na odtworzenie jej szaty pierwotnej z wieków XIV i XV-go.

Na dokończenie obrazu dziś znanych już szczątków gotyckiego zamku należy wspomnieć i o owych resztkach murów znajdujących się w narożniku od ul. Św. Jańskiej, a z tej samej epoki pochodzących.

Baszta, szczątki muru obwodowego i dworzec książęcy, oto na razie wszystko,

WIEŻA ZAMKOWA I KOLUMNA ZYGMUNTA

co się udało z owej odległej epoki wydobyć. Napewno dalsze badania odkryją niejeden szczegół ciekawy, lecz najważniejsza rzecz zrobiona: istnienie murowanego Zamku ks. Mazowieckich na tem miejscu Warszawy stwierdzono.

Władcami Zamku do roku 1526 byli Książęta Mazowieccy z rodu Piastów. Księstwo ich było do tegoż roku niezależne. Najznakomitszym księciem w początkach udzielnego Mazowsza był Ks. Konrad II, rezydujący w Czersku przez 32 lata do końca XIII wieku, wojowniczy i zaborczy, napadający z pogańskimi Litwinami na Kraków. W sto lat później wnuk jego, Ks. Janusz przenosi stolicę z Czerska do Warszawy i wspólnie z królem Władysławem Jagiełłą walczy pod Grunwaldem. Następcą Ks. Janusza był Ks. Bolesław IV, o którym mówi historja, że takim był roztropnym i dzielnym władcą, iż go na elekcji panowie polscy okrzyknęli królem. Ostatnimi po mieczu Książętami Mazowsza byli dwaj synowie Konrada III, Stanisław i Janusz.

Po ich śmierci w 1526 roku Mazowsze weszło w skład Korony polskiej za panowania Króla Zygmunta Starego.

Okres renesansu i baroku nową w historji Warszawy poczyna erę. Miasto wzrasta, bogaci się i zdobi. Silne mury, warownemi opatrzone basztami, głębokie wały i fosy chronią mieszkańców przed najazdem. Król Zygmunt Stary, wjeżdżając tutaj wraz z dworem, wnosi nowe mody — przepych, wspaniałość i dworskość, czego dawniej nie znano. Syn jego, Zygmunt August przerabia zamek około 1570 i chętnie w nim przebywa.

Śladem tych czasów są herby Polski, Litwy i Austrji, (ten ostatni jest herbem 3 żony Zygmunta A., Katarzyny), umieszczone we wnęce okiennej dawnego gotyckiego Zamku. Położenie Warszawy w centrum państwa skłoniło tego Króla do przeniesienia tutaj Sejmów, co w znacznej mierze przyczyniło się do wzrostu miasta i Zamku. Królowa Bona i córka Anna chętnie mieszkały w Zamku, chociaż w nim żadnych upiększeń nie pozostawiły. Dopiero obranie królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazy królem polskim, dokonane w Warszawie w 1587 roku rozstrzygnęło losy miasta i Zamku. Nowy Król bowiem przenosi stolicę z Krakowa do Warszawy, a Zamek obejmuje dotychczasową rolę starodawnego Wawelu.

Nadworny architekt króla, Andrzej Hegner Abrahamowicz otrzymuje rozkaz przebudowy Zamku. Licząc się z istniejącemi już staremi murami robi plan głównego korpusu w kształcie pięcioboku, dając na osi prostopadłej do Wisły wieżę zegarową i bramę u wylotu ul. Piwnej, krużganki od strony tarasu. Był to gmach 2 piętrowy, kryty dachówką, umocniony potężnym murem od strony rzeki, w narożnikach którego leżały silne bastjony. Na jednym z nich zbudowano synowi Zygmunta III, ks. Kardynałowi Karolowi Ferdynandowi, obszerny dworzec.

Na dziedzińce zamkowe wiodło pięć bram: Grodzka, Zegarowa, Senatorska, Kościelna i na Bugaj, a szósta Główna na wprost ulicy Piwnej, obok apteki.

Wnętrza zamkowe były pełne przepychu — jaki z tradycyj renesansowych rozwinął dopiero barok, a obejmowały mieszkanie króla i dworu, kaplicę, salę

*) Obecnie zasłonięte rusztowaniem.

ZAMEK KRÓLEWSKI

Sejmową (tu gdzie dziś sale Canalletty, Audjencyjna i Sypialnia) skarbce, aptekę, kuchnię, wozownie i stajnie. Komnaty króla były ubrane arrasami i malowidłami, z pysznemi kominkami marmurowemi, pełne wytwornych mebli i sprzętów. — Wszakże sam Zygmunt III rzeźbił i malował. W sali Sejmowej bili przed królem pokłony zwyciężeni Carowie i Szujscy, co malarz Dollabella wspaniale na płótnie odmalował.

Niewiele jednak z tych przepysznych pamiątek do nas dotrwało. Zasadnicze mury, kilkakrotnie poprzerabiane i zniekształcone, trochę odrzwi i obramień okiennych, fasada bramy Grodzkiej i hełm wieży Zegarowej oto wszystko, co nam do dziś z czasów Zygmunta III pozostało.

Król Władysław IV Waza po ojcu odziedziczył umiłowanie sztuki, gromadził obrazy i lubił teatr. Zamek zawdzięcza mu drugą swą wieżę, od jego imienia Władysławowską zwaną, a mieszczącą w sobie wygodne marmurowe schody wówczas zrobione z herbem Rzeczypospolitej nad głównem wejściem i kolumnę marmurową na placu Zamkowym stojącą — Zygmuntowi III poświęconą. Ciekawą ilustracją tych czasów jest książka architekta i muzyka królewskiego, Jarzębskiego pod tyt. „Gościniec", wydana w 1648 i opisująca wierszem Warszawę i Zamek.

Wojny kozackie i potop szwedzki nie pozwoliły już królowi Janowi Kazimierzowi na dokończenie Rezydencji. Oblężenie Warszawy — a potem jej zdobycie, miało dla Zamku smutne następstwa. Czego nie zniszczyły kule w czasie oblężenia, to zrabowali Szwedzi. Komnaty pozamieniali na lazarety, obrazy i zbiory wywieźli do Szwecji.

Ani Michał Korybut, ani Jan III nie dźwignęli go z ruiny, wiek złoty królewskiego Zamku minął bezpowrotnie. Dwa razy jeszcze doczekał się przebudowy — raz za królów Saskich, drugi za Stanisława Augusta.

Król August II Mocny zamierzał na wielką skalę przerobić Zamek, o takim bowiem projekcie króla daje wyobrażenie dzieło architekty M. Pöppelmanna, zachowane w królewskich zbiorach w Dreźnie. Architekt, pozostawiając pięciokole Zamku Wazów, dodaje tylko od Wisły drugie boczne skrzydła zakończone wysuniętemi wieżami, a teren ku rzece ujmuje we wspaniałe tarasy, pełne fontan, klombów, krzewów i drzew.

Wykonanie planów niweczy Konfederacja Tarnogrodzka, a król już nigdy nie wraca do tego projektu. Dopiero po wstąpieniu na tron Augusta III wybija dla Zamku szczęśliwa godzina. Z polecenia królewskiego Włoch G. Chiaveri kończy osnuty na motywach rokoka nowy plan budowy Zamku. Wprowadza on od Wisły trzy wysunięcia w fasadę (ryzality) zakończone tymfanonami i skrzydło jedno ku Kanonji przedłuża. Na skutek intryg hrabiego Brühla, plan ten przerobił architekt J. K. Knöffel, trzymając się ściśle swego poprzednika i robiąc tylko drobne zmiany tak w planie jak i elewacji. Projekt Knöffla rozpoczęto realizować w 1740, przez 6 lat wykonując przeróbki, z których najważniejsze było przeniesienie Sali Sejmowej ku ulicy Św. Jańskiej, Kaplicy Zygmunta III do nowego pomieszczenia w ryzalicie od Kanonji, a Sali Audjencyjnej do środkowego ryzalitu Zamku.

Zewnątrz zyskał Zamek tylko od strony Wisły, otrzymując elewację rokokową, piękną i ozdobną — do dziś nieźle zachowaną. Z tychże czasów pochodzą: ryzolit z dziedzińca głównego z bramą Senatorską, 2 lica z bram tegoż podwórza Grockiej i Zegarowej.

Jeszcze tynki Saskie niezupełnie wyschły, a już pożar od strony Kościoła Panien Bernardynek w r. 1768 skrzydło to zniszczył — dając tym sposobem nowemu królowi Stanisławowi A. asumpt do rozpoczęcia budowy w nowym stylu. Jakób Fontana był pierwszym kierownikiem robót około spalonego skrzydła, głównych schodów, Sali Mirowskiej i Gabinetu Marmurowego.

Dwór Stanisława Augusta jaśnieje od samego początku zbytkiem i wytwornością. Król, rozkochany w sztukach pięk-

WIDOK OGÓLNY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO OD STRONY NOWEGO ZJAZDU

nych, ściąga z całej Europy artystów, którzy zakosztowawszy jego opieki i faworów, pozostają nieraz na zawsze w Polsce. Jednym z pierwszych jest J. Pillement, później Bacciarelli, Merlini, Monaldi, Canaletto, Le Brune, Louis, Ramsetzer, Schröger, Aigner, Kraft, Norblin i wielu innych. Pod opieką generalną Bacciarellego Zamek zdobi się coraz bardziej. Dominik Merlini otrzymuje po śmierci Fontany kierownictwo robót architektonicznych, wykonując z pomocą Ramsetzera i innych wnętrza sal: Canaletty, nowej kaplicy, starej i nowej Audjencyjnych, Assamblowej, Gabinetu Konferencyjnego, Sali Rady i Rycerskiej. Aż do roku 1786 przez blisko lat 10 trwają prace budowlane, na zewnątrz tylko jedną bibljoteką królewską zaznaczone.

Nie było w Polsce artysty, któryby w dziele tym był pominięty. Ponad wszystkimi czuwał i kierował słaby i chwiejny skąd inąd król — esteta, ale młodzieńczy i energiczny w wykonywaniu swych planów artystycznych. Nie zraża Stanisława Augusta opieka Rosji, nie trwoży Repnin, ni braki w kasach Rzeczypospolitej; idzie wytrwale ukochaną drożyną, ślepy na gromy od Prus i Rosji bijące, głuchy na szlachetne porywy Barskich konfederatów. Miłuje tylko nadewszystko Łazienki i wnętrza Sal Zamkowych.

Styl jego, w początkach swych oparty na motywach Ludwika XV, z biegiem lat kieruje się ku mistrzom renesansu, jak Viniole, przy końcu panowania staje się klasycznym. Wnętrza zamkowe to najpiękniejsza po Łazienkach spuścizna po Królu, godne świadectwo jego kulturalnych usiłowań, do dziś jeszcze po tylokrotnych przeróbkach ukazują subtelną piękność proporcji i profilów, ozdób i kolorytu, smak i gust pierwszorzędny. Ta ostatnia restauracja Zamku przez St. Augusta była wspaniałem zakończeniem jego sławnej przeszłości, odtąd już bowiem po rozbiorze Polski, same tylko klęski przypadną mu w udziale, podzieli los bratniego Wawelu.

Po utworzeniu przez Fryderyka II „Prus południowych" zamek staje się do 1807 r. siedzibą gubernatorów pruskich. Dopiero Napoleon I, tworząc Ks. Warszawskie, przepędza Prusaków, a Zamek obdarza nowym panem, Ks. Fryderykiem Augustem Saskim, rezydującym tutaj aż do roku 1815. Po klęsce Napoleona, kongres wiedeński przyznaje Rosji tę część Polski, zwaną odtąd „Królestwem Kongresowem", a car Mikołaj I w sali sejmowej na Zamku koronuje się na króla polskiego.

W trzy lata później rząd Królestwa nakazał zburzyć część Zamku, obejmującą dzisiejszy plac Zamkowy z Bramą Krakowską, apteką królewską, bramą od ul. Piwnej i innemi zabudowaniami — oraz dawne koszary przy tarasie. Te ostatnie architekt i major W. P., Kubicki Jakób, zamienił na podcienia arkadowe z ogrodami wiszącemi. Przy tej sposobności należałoby nadmienić o projekcie „empirowym" Zamku reprodukowanym w atlasie Schmidtnera Z. w roku 1825, jednakże nie wykonanym.

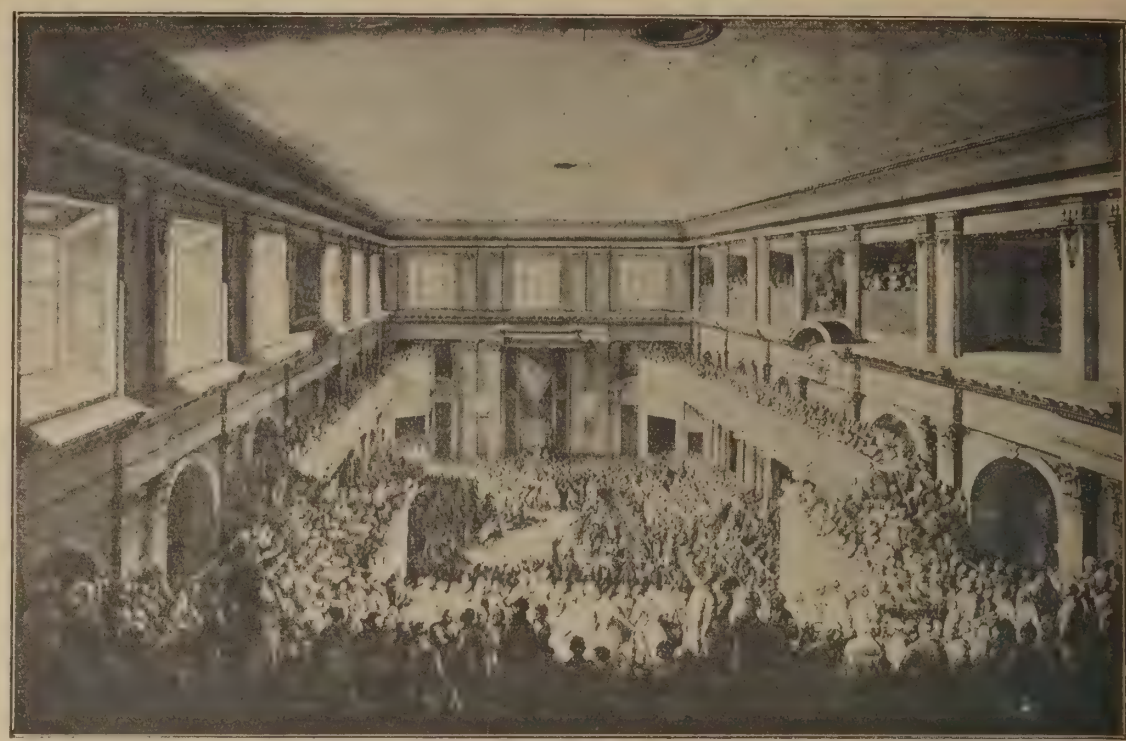

SALA SENATORSKA, OBECNIE CAŁKOWICIE PRZEBUDOWANA
(Fotografja z obrazu przedstawiającego ogłoszenie Konstytucji 3-go maja)

Dalsze dzieje Zamku są coraz to smutniejsze. Jeszcze do roku 1831 obchodzili się z nim Moskale jako-tako — klęska powstania, zwycięstwo Gen. Paszkiewicza było początkiem nowej, strasznej dla cennego zabytku gospodarki.

Bez skrupułów zrujnowano Salę Sejmową i Senatorską, bibljotekę i Gabinet Marmurowy i w. innych, a mienie zamku wywożono w głąb Rosji. Wreszcie w r. 1852 zniszczono dawny wygląd Zamku, przerabiając jego fasady według planów ppułkownika rosyjskiego, inż. Corio — na do dziś istniejące ciężkie i brzydkie elewacje, o wątłych pilastrach i niepotrzebnej attyce, resztę dokonało wybudowanie Mostu Kierbedzia z fatalnym Zjazdem, pogrążającym cały Zamek głęboko w ziemię.

Rabunku i zniszczenia dokończyli generałowie rosyjscy Hurko i hr. Berg, a ostatnio Niemcy.

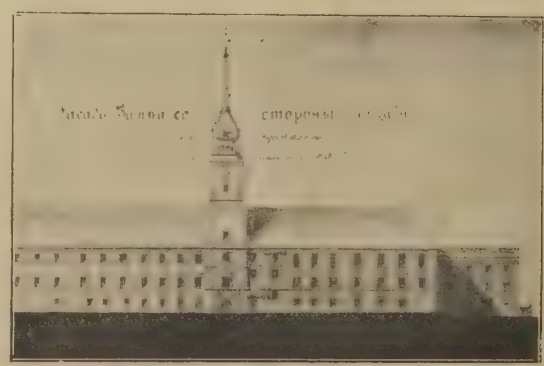

Niewykonany projekt przebudowy fasady zamkowej od placu Zamkowego (połowa XIX w.)

W r. 1915 Moskale, uchodząc z Warszawy, wywieźli z sobą całe mienie Zamku, które dopiero po pokoju Ryskim w r. 1922 z powrotem do niego wróciło.

Ale dla godnego przyjęcia królewskich mebli trzeba było odnowić szereg sal, wrócić im dawny charakter i wygląd. Zatem poszły dalsze badania architektury Zamku i jego odbudowa. Sprawą tą zajęło się Ministerstwo Robót Publicznych z którego ramienia kieruje restauracją inż. Skórewicz. Ponadto, istnieje Komitet odbudowy Zamku, w którym zasiadają: konserwator warszawski Wiśniewski, arch. M. Lalewicz, Oskar Sosnowski, dyrektor dr. Treter i inni. Zaczęto skrupulatnie odkrywać z pod tynku nawarstwienia architektoniczne, rozpoczęła się długotrwała, wymagająca dużo wysiłku i olbrzymich kosztów restauracja królewskiego dworca. U wstępu jednak tych wszystkich prac rzecz zaczęła utykać z powodów „budżetowych". Obecnie preliminowano na ten cel sumy bardzo niewielkie. Ma się ukończyć te rzeczy, których przerwać nie można, dalsze pójdą w odwłokę. Nadszarpnięty skarb państwa na inwenstycje zamkowe jest za ubogi. Siedziba królów, znak widomy majestatu Rzeczypospolitej ma na długie lata ostać się w takiej formie, jaką nadali mu obcy. Czy wobec tego nie byłoby wskazane, aby społeczeństwo, którego ofiarność na cele odbudowy Wawelu okazała się tak wydatna, nie pomyślało również o Zamku warszawskim. Wszakże żadnemu chyba Polakowi nie jest obojętne, by zatrzeć ślady niewoli, a siedzibie królów dawnych nadać ten blask, jaki mu nadał Stanisław August. Wymagają tego nie tylko względy reprezentacyjne, ale przedewszystkiem godność wolnego narodu.

Aleksander Król

„WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ SCYPIONA"
(Obraz po odnowieniu)

ZBIORY PAŃSTWOWE W ZAMKU KRÓLEWSKIM

STANISLAUS AUGUSTUS
REX POLONORUM
SAECULORUM POSTERITATI
VINDICAT...

„CEZAR NA WIDOK GŁOWY POMPEIUSZA WZDRYGNIENIE OKAZUJĄCY"
(Obraz w trakcie odnawiania

Podczas gdy dawniej, za królów saskich i w wiekach ubiegłych, Zamek warszawski był warownią i rezydencją królewską, której świetności dawali wyraz w swych opisach polscy i obcy autorowie — stał się on za czasów Stanisława Augusta ponadto jeszcze żywem środowiskiem artystycznej kultury, pierwszem i jedynem wtedy, wielkiem Polskiem Muzeum, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, siedzibą wielu wybitniejszych artystów polskich i obcych i centralnym artystycznym warsztatem.

Pod ogólnym kierunkiem Dyrektora Sztuk Pięknych, M. Bacciarellego, który był naczelnym wykonawcą artystycznych planów i projektów króla-artysty, pracował szereg polskich i obcych plastyków, architektów, malarzy, rzeźbiarzy, wysoce uzdolnionych rzemieślników: w Zamku mieszkali, posiadali swe pracownie, pracowali też głównie dla Zamku i dla Łazienek; pole do pracy mieli ogromnie rozległe, nader wdzięczne zarazem, gdyż Stanisław August, otrzymawszy w spuściźnie po swych saskich poprzednikach rezydencję wielce zaniedbaną, w dodatku zaś w poważnej części zniszczoną wskutek pożaru w r. 1767, postanowił ją całkowicie zrekonstruować, stosownie do licznych projektów pomysłowych artystów, zgodnie z wysokim poziomem swojego prawdziwie wybrednego, artystycznego smaku.

Przez kilkanaście lat prowadzono kosztowne prace, ale równocześnie z tem król zakładał i gromadził artystyczne zbiory, śląc zlecenia swym agentom artystycznym za granicę, zamawiając wiele dzieł sztuki na miejscu w Warszawie, inne zaś, zwłaszcza za pośrednictwem Madame Geoffrin, w Paryżu, jak np. niektóre obrazy i najpiękniejsze bronzy z pośród tych, które się dotąd w Zamku Kr. dochowały.

Meble, tkaniny, bronzy (świeczniki wiszące i ścienne, kandelabry, zegary), wyroby z marmuru, porcelany, szkła i alabastru, obrazy mistrzów dawnych i współczesnych, rzeźby (biusty i posągi), minjatury, gemmy, numizmaty i medale, okazy przyrodnicze, zasobna bibljoteka, kolekcja rękopisów, a wreszcie wspaniały i programowo założony Gabinet Rycin — oto główne działy tych artystycznych zbiorów, które Polska zawdzięczała Stanisławowi Augustowi. Zawdzięczała mu w dosłownem znaczeniu, bo owe *collections précieuses*, które sławili obcy po Polsce podróżnicy, król zbierał i fundował własnym impulsem i własnym sumptem; nic chyba dziwnego, że tonął wskutek tego w długach po uszy. „Należy zaznaczyć — czytamy w „*Voyage de deux Français... en 1790—1792*" — że król sam stworzył te kolekcje, gdyż elekcyjna korona nie daje tych przywilejów i korzyści, z jakich korzystają inni panujący w Europie, którzy mogą się ograniczyć do uzupełniania tego, co otrzymali w spadku po swych przodkach".

Sam Gabinet Rycin St. Augusta, z którego korzystali tak często artyści zamkowi, liczył 25.528 luźnych sztychów i oryginalnych rysunków, a nadto 44.842 sztuk w 726 oprawnych tomach, ogółem tedy 70.370 rycin. Wedle opisu z 1832 roku (inwentarz - protokuł zdawczo - odbiorczy, sporządzony w tym roku wskutek przewiezienia Gabinetu Rycin do Petersburskiej Bibljoteki Akademji Sztuk P.), było rysunków oryginalnych 5 pudeł wzgl. tek, rycin, dotyczących architektury polskiej 9 tek, widoków 11 tek, a portretów 51 tek! Poza tem reszta, posegregowana na odpowiednie wedle treści działy, tak, że ogółem kolekcja królewska obejmowała 201 tek, systematycznie, naukowo skatalogowanych przez Marivala i Albertrandiego, co przypomniał we wskazanym momencie sowieckiemu rządowi Dr. Rygiel, członek obecnej Delegacji Polskiej w Moskwie, która zawsze z wielkiemi walczyć musi trudnościami, gdy idzie o rewindykację zrabowanego nam ongiś przez rząd carski dobra kulturalnego.

O bogactwie innych zbiorów St. Augusta świadczą m. i. zamkowe inwentarze oryginalne z XVIII wieku (np. „*Inventaire des Meubles du Château de Varsovie*" i *Inventaire du Garde Meuble du Chateau de Varsovie*", oba z 1795 roku, dalej: „*Inventaire des Tableaux, Desseins, Marbres et Plâtres dans le Chateau Royale*" z r. 1797), oraz ogromny, nader szczegółowo opracowany inwentarz spadkowy St. Augusta, opracowany w r. 1799 dla Józefa Ks. Poniatowskiego, jako generalnego sukcesora.

Obrazów różnych szkół i epok zdołał zebrać St. August niemal dwa i pół tysiąca. W obfitym wykazie tkanin z 1795 roku zanotowano ogromną ilość adamaszków, jedwabi, tapiserji, makat, dywanów tureckich, perskich, chińskich, indyjskich, rosyjskich, polskich, angielskich, flamandzkich i francuskich, a w liczbie tych ostatnich wyroby manufaktur Aubusson, Beauvais, Auvergne; zwraca uwagę m. i. tkany portret Jana III, „*fait en haute lice (!), vieux*". Z tego bogactwa dziś niema dosłownie ani śladu w całym dużym Zamku Kr.!

Też same wyżej wymienione inwentarze informują doskonale o rodzaju i bogactwie umeblowania wszystkich wnętrz zamkowych. Ile starych i cennych nieraz bardzo mebli było w Zamku Kr. już w pierwszych latach panowania St. Augusta, o tem poucza doskonale: „Inwentarz Zamku Jego Królewskiey Mości y Rzeczypospolitey Warszawskiego nad Wisłą leżącego zlecenia Prześwietney Rzeczypospolitey Skarbu Koronnego Kommissyi przez niżej podpisanego z wyrażeniem Appartamentów y innych mieszkań, tudziesz Memblów y wszelkich należytości Roku 1769-go spisany"; tym „niżej podpisanym autorem inwentarza (ogłoszonego drukiem przez K. Marcinkowskiego w „Przeglądzie Historycznym" 1907 r.), był Eustachy Józef z Prussów Młyński, komornik ziemski stężycki.

Na podstawie tych danych archiwalnych można sobie plastyczny odtworzyć obraz wnętrz zamkowych w XVIII wieku, można błądzić w swej wyobraźni po komnatach, salach i zakamarkach, przeci-

LUDWIK XVI

skając się nieraz z trudem wśród wymienionych w inwentarzach, w ogromnej wprost ilości, mebli. Dziś, po zamkowych pokojach królewskich chodzą swobodnie nawet tłumne wycieczki zwiedzających. Porozstawiane tu i ówdzie prowizorycznie, w nader skąpej ilości, meble, pochodzące zresztą—niemal wszystkie, bo z wyjątkiem kilku zaledwie z XVIII wieku zachowanych — z XIX stulecia, z epoki rosyjskiej niewoli, nie tamują bynajmniej swobodnej komunikacji!...

Poza temi bogatemi zbiorami dzieł sztuki, których zadaniem było zdobić wnętrza komnat królewskich, skomponowanych przez St. Augusta przy pomocy oddanych mu artystów, jako harmonijne utwory sztuki przestrzennego zespołu, poza stworzonemi już wyraźnie działami muzealnemi (odlewy, minjatury, gemmy, numizmaty, medale, ryciny, okazy przyrodnicze i archeologiczne), miało jeszcze powstać w Zamku oryginalnie przez króla zaprojektowane „Muzeum Współczesne" *(Musée Moderne)*; myślał o niem król nawet w ostatnich latach swego panowania, ale pięknego tego zamiaru swojego nie zdołał już urzeczywistnić.

Wszystko to świadczy wymownie, jak wielkim był Stanisław August budowniczym Polski artystycznej, on, twórca Sali Rycerskiej i Assamblowej czyli Balowej, oraz Pokoju Marmurowego w Zamku Kr., twórca Łazienkowskiego Parku i Pałacu, pierwszy, świadomy swych celów organizator polskich zbiorów artystyczno-zabytkowych w Królewskich rezydencjach Warszawy.

Artystyczną tą kulturą, której podwaliny, dla świetnie zamierzonej rozbudowy, rzucił Stanisław August, my wszyscy w gruncie rzeczy do dziś dnia żyjemy, do jej śladów i pomników staramy się nawiązać współczesne nasze usiłowania, zawsze, ilekroć idzie o zrzucenie z siebie hańbiącego piętna długotrwałej niewoli, która wykoślawiła nie tylko nasze dusze, nasz rozwój kulturalny zahamowała, ale która w barbarzyńsko złośliwy sposób sparodjowała najwspanialsze artystyczne intencje i projekty ostatniego naszego króla i pracującego z nim solidarnie zespołu wybitnych artystów tej doby. Na każdej niemal dawniejszej ulicy Warszawy, na każdym nieledwie zabytkowym gmachu czy pałacu, zaciążyła ta niszczycielska łapa północnego niedźwiedzia, znacząca śladem pazurów niezabliźnione do obecnej chwili rany pokrzywdzonej naszej artystycznej formy, rodzimej naszej, silnie z Zachodem związanej kultury, uplastycznionej ongiś tak wspaniale w licznych pamiątkach Stanisławowskiej epoki.

Zaciążyła oczywiście ta sama drapieżna łapa na szlachetnej strukturze Zamku warszawskiego, na zewnętrznej jego powłoce, nadając koszarowe znamiona wszystkim prawie jego fasadom, nie oszczędziła jednak i wnętrz zamkowych, rabując bogate zbiory, zacierając ślady królewskiej świetności, a choćby samego tylko tych wnętrz polskiego charakteru, przekształcając je nieraz brutalnie, niszcząc ich przedziwny urok i czar, wprowadzając do królewskiej przepysznej Sali Bibljotecznej kozackie konne oddziały, a do Sali Sejmowej szeregi gwardiejców.

Nie wszystko jednak zniszczało. Pozostało mimo sto lat grabieży i niewoli resztek jeszcze tyle, że resztki te, będące na razie dla Polski współczesnej niejako

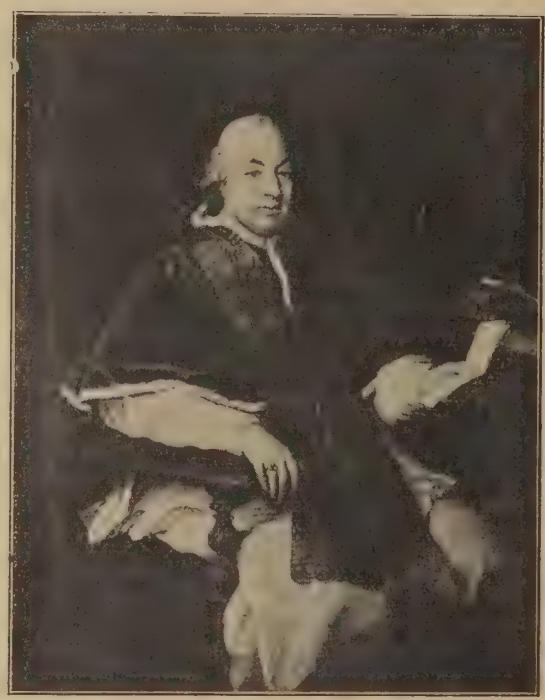

PAPIEŻ PIUS VI

wszystkiem, wzbudzają dla nas szacunek u obcych i chlubę nam przynoszą.

Przejdźmy więc dla tych „resztek" królewskie komnaty, ale gwoli sentymentu, celem wczucia się w dawnego ich ducha, dla tem łatwiejszego uprzytomnienia sobie niektórych szczegółów, wstąpmy przedtem do założonego w lutym 1922 r. — przy Dyrekcji Zbiorów Państwowych — Archiwum Gmachów Reprezentacyjnych i weźmy z sobą z pośród licznych starych szpargałów wydających woń specyficzną, trzy *volumina;* ułatwi to nam „oglądanie" tego przedewszystkiem, czego dziś niema, a co dawniej było.

Kierując się ku wejściu na królewskie pokoje, czytamy woluminów tych tytuły. Styl i słów liczebność, w staroświeckim smaku, w odpowiedni zaiste wprowadza nas nastrój.

DAWNE INWENTARZE ZAMKOWE

Oto skromny zeszyt o kilkudziesięciu pożółkłych kartach, znaczonych inicjałem Ks. Józefa, zapisanych wyraźnem pismem końca ośmnastego wieku. Sina, półsztywna okładka z naklejoną na niej karteczką — a u góry pierwszej stronicy czytamy:

„Inventaire General des Meubles et effets mobiliers qui sont dans le Château de Varsovie tant dans les Appartements qu'occupe Sa Majesté, que dans les autres logements occupés par ceux à qui Elle les a accordés. Fait dans le mois de Mars 1795".

Dalej inny tom, również in folio, ale w sztywną okładkę i żółty półskórek oprawny, dość gruby bo samych zapisanych 589 stron liczący, zatytułowany:

„Inwentarz Mebli i innych różnych Effektów w Zamku Warszawskim Jego Kr. X-cey Mości znayduiących się z wyszczególnieniem przez Rubryki, czyią który Mebel lub Effekt iest własnością, przez niżey podpisanego Fiskała, Członka Prefektury Departamentu Warszawskiego Spisany 1808 roku". Na końcu podpisany: Stanisław Poray Strzałkowski, Fiskuły Delegowany Członek Prefektury Dep. Warsz., oraz: Karol Halman, Burgrabia Pałacu J. K. X. Mości. W samym rogu u dołu podpisał się też skromnie ten, który tej żmudnej pracy dokonał, ten, który cały inwentarz spisał własnoręcznie: *scr.* T. Szarkiewicz.

Wreszcie pięknie w zielony półskórek oprawny tom trzeci, ze złoconym na grzbiecie napisem, którego układ czcionek mimowoli przywodzi na myśl artystyczne druki, nam współczesne, Z. Łazarskiego. Ten tom najgrubszy, bo liczy kart 322 (czyli 644 stron), z jednej tylko strony zapisanych. Jest to także inwentarz, ale znowu nieco późniejszy:

„Inwentarz Mebli, Kruszców, Pościeli i innych ruchomych Effektów w Zamku Warszawskim Jego Cesarsko Królewskiej Mości znayduiących się, na mocy Reskryptu Kommissyi Rządowey Przychodów i Skarbu, z daty 26 Listopada 1818-go roku. N-rem 24.383 oznaczonego, przez niżey podpisanych Kommisarzy Delegowanych w Roku 1819-tym spisany". Podpisali ten inwentarz w dniu 15 września 1819 roku. Alexander Borocki, Piotr Jaroszewski i Leopold Gimbutt, Insp. Mag. Mebli Z. K. W styczniu 1821 r. poświadczył „po sprawdzeniu za rzetelność" Karol Halman, znany już nam z tomu poprzedniego, jako intendent Zamku Kr., a w październiku 1822 r. zatwierdziła „Kommissya Nadzoru Budowl Korony".

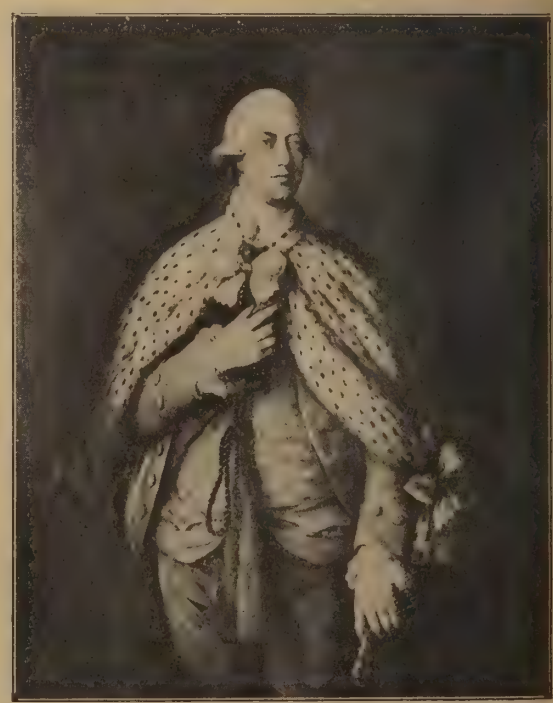

JERZY III ANGIELSKI

SALA MIROWSKA

Wchodzimy na królewskie pokoje; jesteśmy w t. zw. *Sali Mirowskiej*, w Sali Odwachu Gwardji (nazwa z inwentarza 1808 r.), albo inaczej, w „Gardsali" (1819). Obecnie sprzedaje się tu bilety wejścia i wydawnictwa Dyrekcji Zbiorów Państwowych. Nie widzimy ani sześciu „luster" drewnianych o trzech lichtarzach z 1808 r., ani ław żołnierskich, ni „kinkietu blaszanego wielkiego z koroną o sześciu światłach, ponsowo lakierowanego" z r. 1819; są natomiast brzydkie meble, pluszem zielonym obite, wisi jeszcze brzydszy świecznik elektryczny o sześciu żarówkach. Tymczasowo, z konieczności, z braku na razie odpowiedniejszych. Piękne *bras de mur*, niezestrojone z resztą objektów, sytuacji wcale nie ratują.

POKÓJ OFICERSKI

Przechodzimy dalej: *Pokój Oficerów Gwardji* (zwany dawniej także: Pierwszy przedpokój); ściany odrapane z późniejszych powłok farby, roboty niezupełnie ukończone. Prowizorycznie zawieszone obrazy, różne, tylko dla zabicia pustki, ustawionych kilkanowszych mebli. Jeszcze w r. 1808 pokój ten zapełniony był gęsto meblami i obrazami. Stała tam „kanapa z drzewa olszowego czerwono beycowana, lycem na ciemnem dnie kratki żółte maiącym i w duże kraty białe, przez które pas z liści i kwiatów białych idzie, obita"; ośmnaście „stołków takichże", *trumeau* zwierciadlane nad kominkiem, z 4 sztuk złożone, stolik do gry mahoniowy, suknem zielonem wybity, a nade drzwiami wisiały „Prospekta Architektury pod Numerami 464 i 465"; z zachowanego katalogu obrazów St. Augusta z XVIII w. wiemy, że były to dwa obrazy Canaletta, zatytułowane: *„Dessus de porte. Architecture de fantaisie"*. Na ścianach wisiały cztery duże obrazy: „Wstrzemięźliwość Scypiona" i „Żal Cezara wystawiony" przez Vien'a, dalej: „Król Scytów umieraiąc zaleca iedność dzieciom swym" (Hallé'go), oraz: „Caesar na widok głowy Pompeiusza wzdrygnienie okazuiący" (Lagrenée'go). Ostatnie te cztery obrazy odzyskaliśmy niedawno z Rosji; wiszą one w Sali Rady (Jadalnej).

GUSTAW III SZWEDZKI

SALA CANALETTA

Sala Canaletta („Sala Prospektowa" w r. 1819, „Sala Kanaletego" w r. 1808, *Chambre des Seigneurs dite Canaleto* w r. 1795); z okien jej widok na taras, biegnący ku Wiśle, który nakrywa królewską Bibljotekę i w dal przez Wisłę na Pragę. Ściany zawieszone obrazami pędzla B. Bellotta, zw. Canaletto, które przedstawiają widoki starej Warszawy i Wilanowa. Kilka z nich wysyłał w swoim czasie Napoleon do Paryża, skąd je potem zwrócono. W r. 1832 zostały one wywiezione na rozkaz ces. Mikołaja do Petersburskiego Ermitażu, skąd dopiero po 80 latach, po najrozmaitszych trudnościach, stawianych przez rząd sowiecki, napowrót na swoje miejsce wróciły. Niestety, brak jeszcze „Elekcji Stanisława Augusta". Wedle rosyjskiego przewodnika po Moskwie z r. 1915, ten ostatni obraz znajdował się wtedy (t. j. w r. 1915) w Małym Pałacu Kremlińskim; ale dziwnem losu zrządzeniem, pomimo tak wyraźnej wskazówki, do tej pory nie umiano go odszukać. W XVIII wieku, prócz półokrą-

JÓZEF II AUSTRJACKI

głego stołu z blatem marmurowym, stały tam dwie duże ławy *(deux grandes Banquettes)* i ośm taburetów, z drzewa orzechowego, wybitych tapiserjami *(couverts de tapis de Savonnerie, déjà vieux)*. Cenna autentyczna posadzka w tej sali, zarówno, jak w sąsiadującej z nią Stanisławowskiej kaplicy, zachowała się stosunkowo bardzo dobrze.

KAPLICA NOWA

W Kaplicy, prócz wielu innych, nagromadzonych tam przedmiotów, był „obraz w Ołtarzu wystawuiący Chrystusa naygrawanego przez Żydów — przez Rembrandta", jak mówi inwentarz z 1808 r., ale w katalogu obrazów St. Augusta z w. XVIII wiadomo, że była to kopja, sporządzona przez Tokarskiego (ur. 1895); większą ciekawość budzi umieszczony zapewne pod tem płótnem „obraz zrobiony z bronzu wyzłacanego, którego Medalion utrzymuią dwa Aniołki, w Medalionie iest ścięcie Ś-o Jana, na podstawie pod Medalionem są herby Rzeczypospolitey" (opis z r. 1808, identyczny

FRYDERYK II WIELKI

z francuskim opisem z r. 1795). Dziś wszelki ślad po nim zaginął.

SALA DAWNA AUDJENCJONALNA

Sali Dawnej Audjencjonalnej (Ancienne Salle d'Audience) nadawał charakter przedewszystkiem tron królewski, który wymieniają oba inwentarze: z 1795 i z 1808 r. W r. 1819 już go tam nie było i milczy o nim ówczesny inwentarz.

Opisy tej sali z lat 1795 i 1808 są naogół ze sobą zgodne. Inwentarz z r. 1808 wymienia m. i.: 1-o trumeau zwierciadlane nad kominkiem, z dwóch sztuk złożone, a nadto: „4 trumeau zwierciadlane, każde o dwóch sztukach, dwa z nich będące między oknami, a drugie dwa naprzeciwko".

Czytamy dalej: „8 sztuk Adamaszku karmazynowego, stosownie do ścian pokoiu, 32 brytów maiącego, obwiedziony jednem węższem drugim szerszym galonem, w deseń na rogach *à la grèque;* 6 sztuk firanek z tegoż samego Adamaszku i takimże galonem obszyte; każda o 3 brytach; 1 *Tron* z takiegoż Adamaszku i takimże galonem mocno szamerowany iak obicie, z frendzlą i krepiną u Baldachium. Krzesło do niego snycerskiey roboty wyzłacane, z Herbem Rzeczypltey, takimże Adamaszkiem obite. Kobierce pod nogi z takiegoż Adamaszku i galonem obwiedziony". Z innych umieszczonych tam dawniej przedmiotów na uwagę zasługują: gerydony w liczbie czterech, w rogach sali, 24 krzeseł wybitych również karmazynowym Adamaszkiem, dalej: „4 stoły pod *Trumami*, na nogach snycerskiey roboty, wyzłacanych, wierzch maiące z Marmuru żółtego antyk" (1808), *marbre jaune antique appliqué*, jak dokładniej notuje inwentarz z 1795 r. Stoły te zachowały się dotąd.

Zamiast obecnie ustawionego w tej sali zegaru, stał inny: Zegar duży w Wazie podługowatey, koloru bronzowego, którego godziny są horyzontalne. Zegar ten stoi na wielkim tróynogu *à l'antique*, ze środka którego wychodzi wąż i żądłem swoim godziny wskazuie" — a więc ten sam, który tymczasowo stoi teraz w Gabinecie Marmurowym.

Z rzeźb stały tu cztery biusty rzymskie; obrazy-supraporty Bacciarellego.

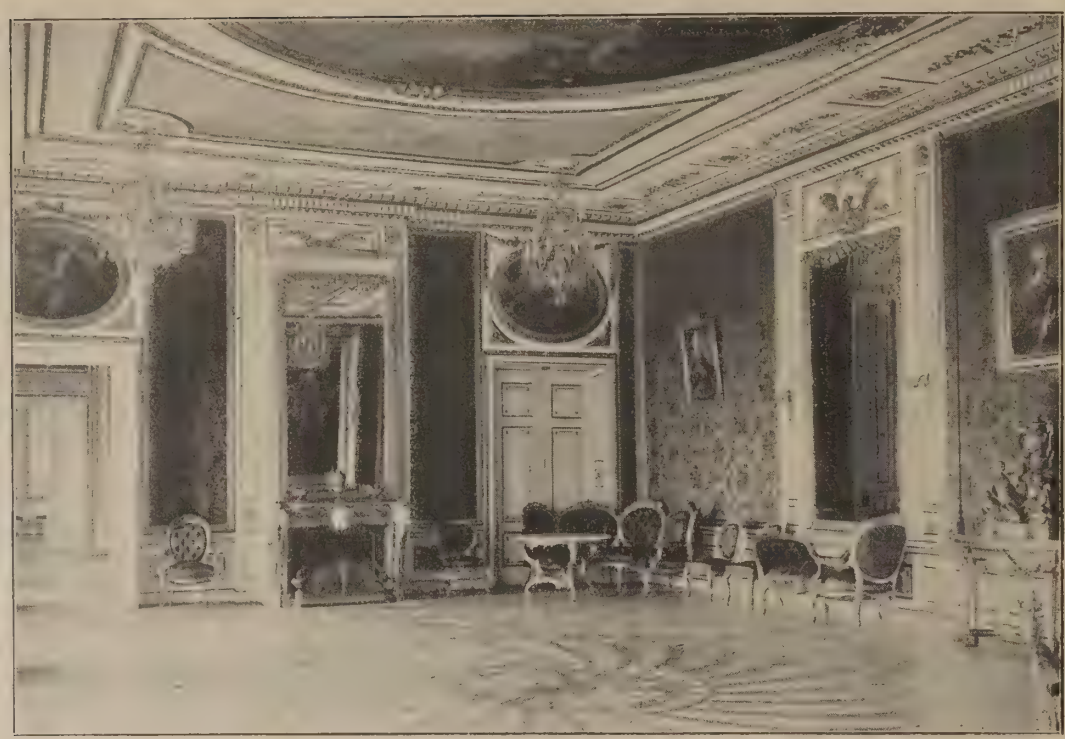

DAWNA SALA AUDJENCYJNA

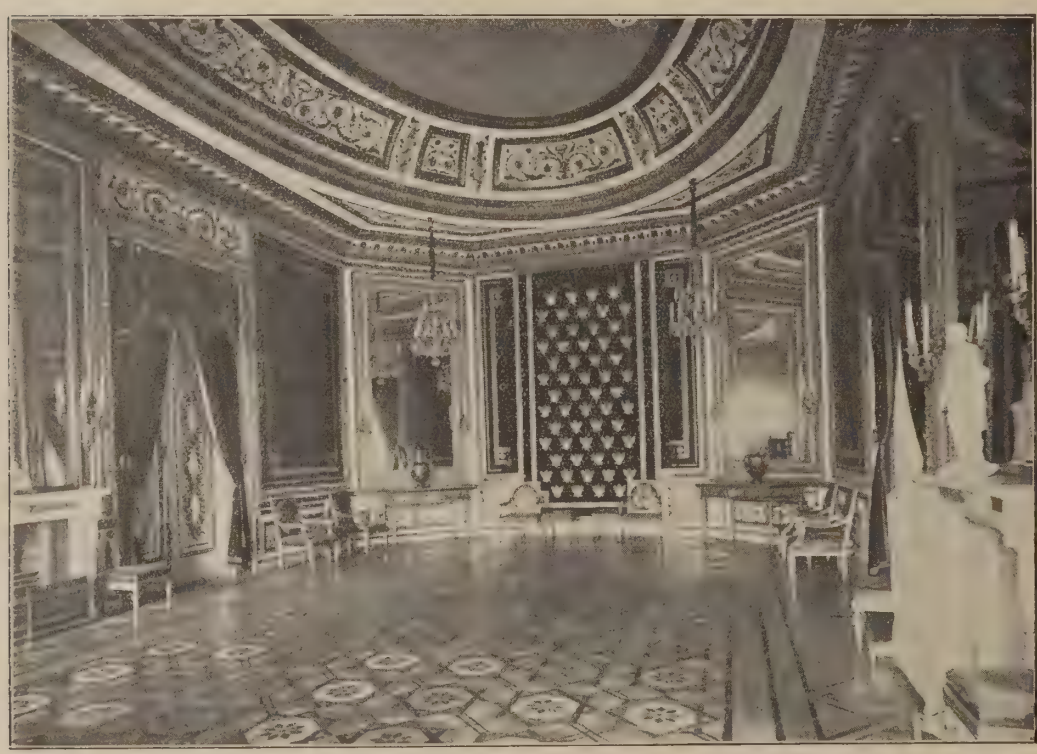

NOWA SALA AUDJENCYJNA. *W głębi tło tronu królewskiego ze srebrnemi orłami*

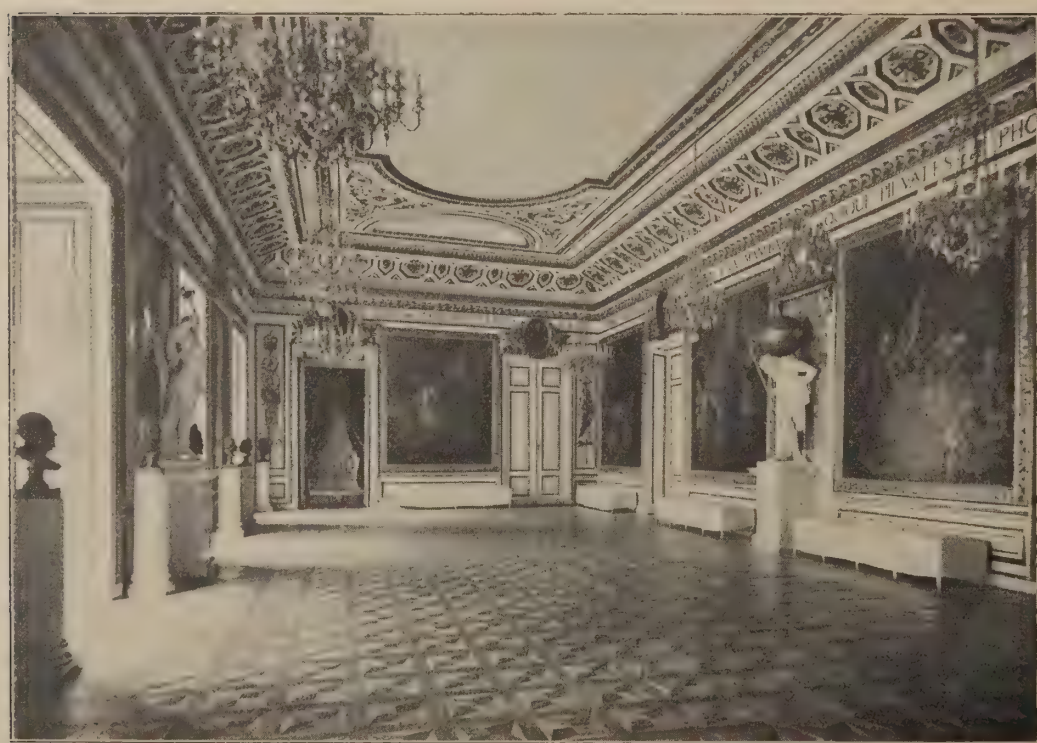

SALA RYCERSKA PO ODNOWIENIU W ROKU 1922

te same, które dziś tu oglądamy: „Sprawiedliwość, trzymaiąca szale w ręku" — Religja (myli się inwentarz z r. 1808, tytułując i drugi obraz „Sprawiedliwością"; katalog St. Augusta pod nr. 190 wyraźnie wymienia: „*La Religion*") — oba owalne, oraz: „Roztropność miarkuiąca zapał młodości pod postacią Arystotelesa i Aleksandra" i „Siła, pod postacią Samsona". Nadto wisiały tu jeszcze dwa duże portrety: „Portret Augusta 3-go w całey figurze w zbroi będący" i jego małżonki; tych dzisiaj w ogóle Zamek nie posiada.

Zbyteczna dodawać, że wystawiony tu obecnie „Rejtan" Matejki jest zupełnie nie na swojem miejscu i stanowi *sui generis* nietakt wobec Stanisława Augusta; będzie tedy stamtąd usunięty po zwolnieniu Zamku przez wojsko.

SYPIALNIA KRÓLEWSKA

Pokój następny, to: *Chambre à coucher de Sa Majesté* (1795), *Sypialnia Króla J. M.* Niełatwo poznałby ją dziś St. August; zostały z czasów dawnych tylko przepysznie drzewem cisowem wykładane i w złoty ornament liści zdobne ściany, oraz cztery supraporty, które tak opisuje inwentarz z r. 1808: „Rebeka przyimuiąca branzoletkę z rąk Eleazara, przysłanego przez Abrahama, w imieniu Syna swego Izaaka — Estera mdlejąca przed Achesverusem, w tyle Jego dwóch Mężczyzn, ieden utrzymuie Dekret przeciw Żydom"; oba są pędzla M. Bacciarellego. Dwie inne supraporty, to: „Rycerz wsparty na swym pałaszu" i „Królowa, którą żołnierz zabiia".

Obicia ścienne nie były bynajmniej tak zabójczo niebieskie, jakie dziś tam widzimy; miały one kolor złotawy (barwa słomy), co wynika z opisu (1795): „*Six pièces de tapisserie selon les places, faisant vingt lés de satin des Indes, fond couleur de paille, et peintes en ramages, déjà vieilles*". Do tego ściennego obicia dostosowane było łóżko „*un grand Lit à la turque sculpté et doré*", dwie duże kanapy, oraz ośm krzeseł. Z mebli stała tam pozatem duża komoda „*à la Régence, de bois des Indes, marquetée en fleurs, richement garnie de bronze doré en or moulu*", z dwiema odpowiedniemi szafkami kątowemi, dalej sześć różnych stoliczków, nocnych, toaletowych etc., fotel wybity czerwonym *maroquin'em*, oraz ekran i — rzecz wysoce dla króla znamienna — pult do oglądania rysunków i sztychów: „*Une table en machine formant une espèce de pupitre propre à poser des estampes, de bois de mahon avec un tiroir, couverte de drap vert*". Na ścianach umieszczonych było 8 *bras de mur* (zdobnych w wazki bronzowe i festony), u sufitu wisiał kryształowy świecznik; na jednym ze stolików stał przepyszny zegar bronzowy złocony, z marmurową kolumienką i postaciami trzech Gracyj, oceniony na 300 duk., a więc prawie tej wartości, co owych ośm „*bras, du plus beau modèle*" (ocenionych na 320 duk.). Zawieszonych obecnie, tymczasowo, dwu zegarów na ścianach, rzecz prosta, nie było.

W r. 1808 urządzenie Sypialni bardzo się zmieniło: meble biało lakierowane ze złoceniami, olszowe, mahoniowe, nawet „ławka do klęczenia sosnowa, czarną astrachanią wybita, z pokryciem adamaszku zielonego" — stały gęsto obok siebie. Łóżka wówczas wcale tam nie było, za to podłogę wyścielono „kobiercem wielkim, nowym, tkanym, fabryki

d'Aubusson, zaymuiącym całą posadzkę; w témże pokoiu takiż drugi mnieyszy do alkowy". Ściany zdobiło 20 obrazów różnych szkół i tematów, m. i. dwa widoki kościołów pędzla Canaletta, portret kobiecy Largillière'a i portret Sułkowskiego w zbroi przez Silvestre'a.

W r. 1819 było tam znowuż: „łóżko królewskie na czterech lwich nogach, całe bronzowane, mahoniem furnirowane, na takimże postumencie stoiące"; mahonie stanowiły całokształt umeblowania, aż do „spluwaczek mahoniem furnirowanych, o iedney sprężynie zamkniętey, w kształcie skrzyneczki z czarnemi nóżkami" — włącznie.

GARDEROBA KRÓLEWSKA

Za Sypialnią *Garderoba Królewska* (w r. 1808: „Garderoba dawniey Królewska teraz zaś Pokóy bawialny Nayiaś.: Królowey" — w r. 1819: „Pokóy dawniey Bawialny"). Najsmutniejszy to dziś ze wszystkich królewskich pokoi: ściany jego stanowią najjaskrawszy może dowód barbarzyństwa. W ten bowiem sposób nie maluje się nawet klatki schodowej w jednopiętrowym domu na przedmieściu. W najbliższym czasie zniknąć ma ta przykra pamiątka, wraz ze szpecącym ten pokój piecem we wnęce. Za St. Augusta stały tam meble, odpowiadające charakterowi ubieralni, przeważnie mahoniowe. Okna przesłaniały piękne firanki, tak tu, jak wogóle we wszystkich królewskich pokojach. Opis inwentarzowy z r. 1795 nie wymienia w Garderobie żadnych dzieł sztuki, gdyż te objęte były inwentarzem osobnym. W r. 1808 zdobiły ściany Garderoby 42 obrazów, m. i. szereg oryginałów szkoły holenderskiej. Na posadzce leżał „kobierzec wielki, fabryki tureckiey, dno żółte maiący, długości łokci 13, a szerokości łokci 9 maiący."

GABINET KRÓLEWSKI

A teraz zabawmy chwilę *Dans le Cabinet à écrire de Sa Majesté* (1795), w „Pokoju Nayiaśnieyszego Króla" (1808), w „*Gabinecie Królewskim*" (1819) i oglądajmy w wyobraźni dawne jego urządzenie.

U stropu zwisa wielka latarnia, zdobna w bronz i czeskie kryształy, na cztery świece; odbija się ona w obu zwierciadłach, nad kominkiem i między oknami. W górną część tego drugiego zwierciadła wpuszczony zegar. Przed oknem, z którego śliczny widok na Wisłę i Pragę—obecnie przez drzewa zasłonięty — stoi ogromne, mahoniowe, masywne biurko, z dziewięcioma szufladami, ozdobione złoceniami, wyklejone wierzchem czarnym maroquin'em. Jest ono tak duże i ciężkie, że, aby je wnieść lub wynieść, trzeba je na części rozebrać. Przed niem wygodny fotel, na kółkach, wybity zielonym maroquin'em, przy użyciu złoconych ćwieczków francuskich. Nade drzwiami, które prowadzą do Sali Tronowej, wisi duża podklejona mapa geograficzna; druga mniejsza, w ramach, opatrzona w kitajkową, zielonej barwy firaneczkę, wisi niżej, na ścianie. W pokoju aż ciasno, tyle nagromadzonych mebli: komoda ze starej laki ze złoceniami, nakryta płytą marmurową, dwie duże szafy zwykłe, dwie z samemi szufladkami, z jesionowego drzewa, dwa duże stoły, suknem zielonem nakryte, jeden stolik do gry mahoniowy, jeden nocny z różanego drzewa, jeden pulpit muzyczny, sztalugi do opierania rycin („*un grand chevalet avec un pupitre p-r appuyer*

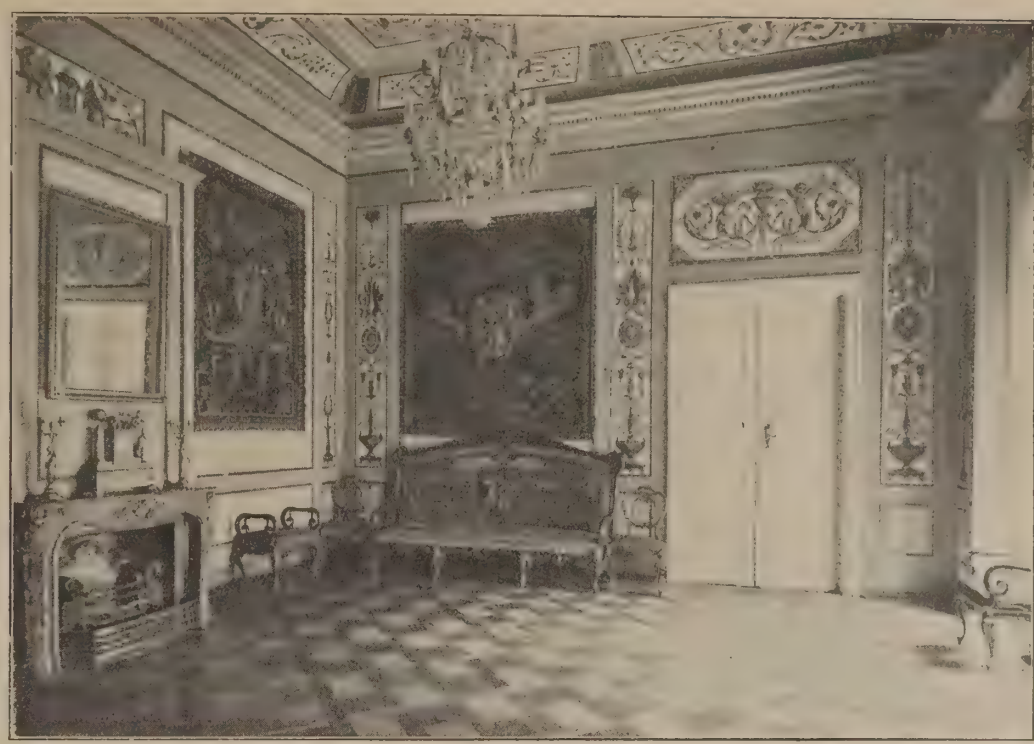

GABINET CHIŃSKI. (pracownie króla Stanisława Augusta). Ściany i meble pokryte arrasami

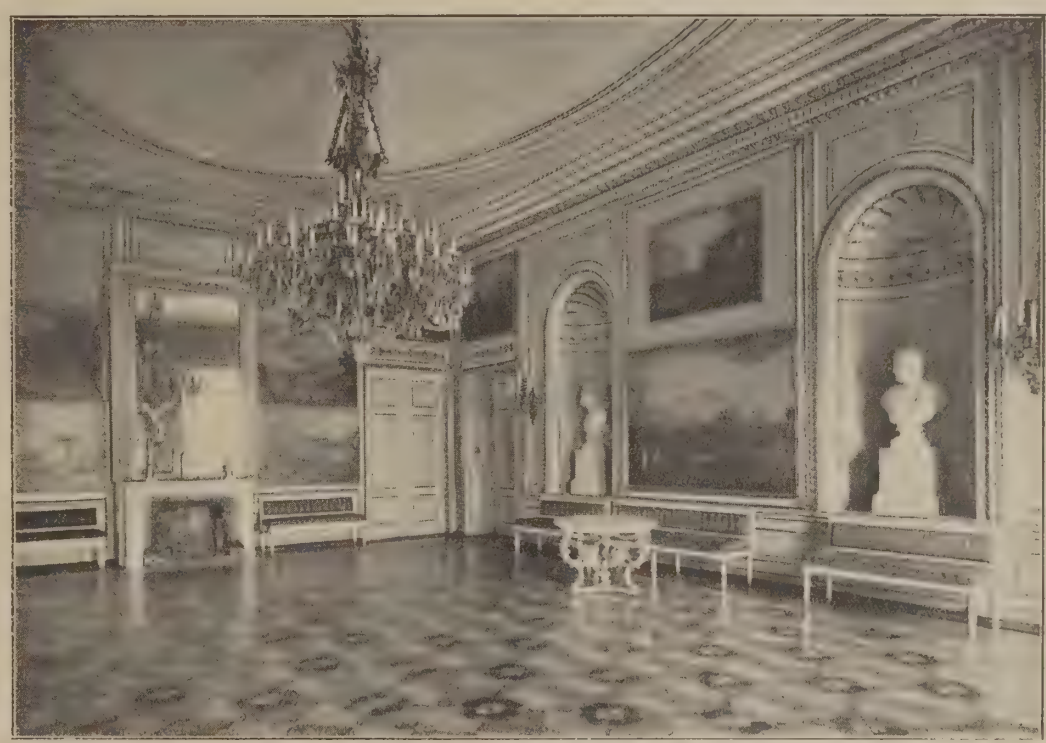

POKÓJ CANALETTA ZWANY PROSPEKTOWYM

GARDEROBA KRÓLEWSKA. Ściany pokryte arrasami

les estampes, avec ferrure"), oprócz tego jesionowy pulpit na stół, na duże książki, wielki parawan z kartami geograficznemi czterech części świata, pięć różnych ekraników, dwie duże kanapy z poduszkami, miękko wybite jedwabnym materjałem w zielone i białe kraty, wreszcie sześć odpowiednio do kanap wyścielonych krzeseł trzcinowych, biało lakierowanych, a w kącie żelazny gerydon na ośm świec. Pod kominkiem wilki żelazne, przybory, mieszek paryski. Na komodzie, stołach, biurku, stoliczkach, porozstawiane różne drobiazgi: zegar niebijący *(sans sonnerie)*, nakryty szklanym kloszem, dwa duże wazony japońskie, dwa małe tureckie, dwanaście fajansowych z fabryki belwederskiej, dwa chińskie kamienie, rzeźbione w formie tulipanów. Aż dziw, że się to wszystko pomieścić tu mogło, tyle mebli, tyle przedmiotów. Szkoda ogromna, że nie wiemy, jakie wisiały tu obrazy, jakie stały jeszcze rzeźby. Wszak nie tylko mapy i umieszczony nad drugiemi drzwiami „supraport zwierciadlany, z tafli ze srebra oskrobanych", zdobiły ściany tego gabinetu, gdzie Król długie spędzał godziny, gdzie pracował i myślał, badał rysunki, sztychy, projekty swych artystów, gdzie radosne i smutne przeżywał chwile swego panowania.

SALA TRONOWA

Tuż obok, to *Sala Tronowa (La Salle d'Audience neuve)*, a w niej, po lewej stronie od wejścia: „Tron z aksamitu ponsowego Nacavat zwanego, bogato złotem haftowany, którego Płatek u Baldachimu ma 64 kutasów złotych z krepinami, tył i wierzch iego orłami 86-u srebrem haftowanemi, ozdobione, całe te hafty są do aksamitu przymocowane, kobierzec i krzesło, które iest z drzewa snycerskiey roboty bogato wyzłocone, z Herbem Rzeczypospolitey z takiegoż samego aksamitu złotem haftowane, na wierzchu Tronu są Pióra". Dalej: „5 sztuk obiciów z aksamitu takiego iak Tron, szerokim złotym haftem obwiedzionych i Tabouret z takiegoż samego aksamitu" (opisy tronu z 1795 i 1808 r. są identyczne). Dwa stoły z mozajkami stoją w tej sali i obecnie. Na gerydonach umieszczone były żyrandole trójramienne, na ścianach *bras* takież, w ilości sztuk dziesięciu, u stropu zwisały cztery duże świeczniki z kryształami czeskiemi, szesnastoświecowy każdy.

JULIUS CAESAR

Naprzeciw tronu był umieszczony „Wielki Zegar w formie wazy *antique*, u dołu którego iest figura wpół leżąca, oparta prawym bokiem na Globie, a lewą ręką wskazuiąca godziny. Po drugiey stronie mały Gieniusz trzymaiący Herb Rzeczypospolitey [i korola, a genjuszków tych jest dwa]. Cały ten Zegar iest z Bronzu w ogniu wyzłacanego i stoi na stole w formie pół Cyrkla. Stół ten iest z drzewa hebanowego, mocno ozdobiony Bronzem, w ogniu wyzłacanym, z Herbem [inicjałem] królewskim, wierzch zaś jego z marmuru nazwanego: *bleu-turquin*" (opis z 1808 r., zgodny prócz dwu zaznaczonych miejsc z francuskim opisem z r. 1795). Zegar ten znajduje się obecnie w Sali Dawnej Audjencjonalnej, a stanowi chlubę państwowych zbiorów muzealnych, gdyż niewiele jest w Europie równych mu okazów.

GABINET KONFERENCYJNY

W przyległym *Gabinecie Konferencyjnym*, na tle złoconych ścian, bogato ornamentowanych, portrety ówczesnych panujących: Józefa II, Ludwika XVI, Fryderyka II, Katarzyny II, Gustawa III, Papieża Piusa VI i Jerzego III, w ozdobnych ramach, w oknie — o szybach ze „szkła zwierciadlanego francuskiego"—firanki duże białe i tiulowe zielone, a w pośrodku stół, którego wcale nie wymienia inwentarz z 1808 r. ani z 1819 r.; stół ten wyłożony jest płytkami sewrskiej porcelany, z malowidłami Dodin'a, które przedstawiają Telemaka u nimfy Callypso, oraz liczne jego przygody — sześć płytek innych *en camaïeu grisâtre*. Znajdował się tam jeszcze stolik do kawy, złocony i malowany, *avec un cabaret de cuivre*, ekran mahoniowy przed kominkiem, z haftowanemi jedwabiem kwiatami na tle *gris de perle*, za szkłem, a resztę ozdoby stanowiło 10 umieszczonych tam kandelabrów, zwanych w inwentarzu żyrandolami.

Wracając z tego Gabinetu przez Salę Tronową, gdzie cenne zresztą, kordybanem kryte meble kieleckie nie powinny zaprzątać naszej uwagi, bo nic z tą Salą nie mają wspólnego, wchodzimy do *Sali Rycerskiej*, obok Assamblowej, najpiękniejszej dziś w Zamku Kr.

SALA RYCERSKA

Dzięki rewindykowanym obrazom i biustom, dzięki usilnym pracom i mozolnym badaniom, udało się w bieżącym roku przywrócić tej sali pierwotny jej charakter: zeskrobano z sufitu brudnosiną warstwę farby klejowej, przywrócono fryzem biegnący w około napis łaciński, usunięty i zatarty przez Rosjan, wprawiono z powrotem owalne portrety: J. Tarnowskiego, R. Sanguszki, J. Chodkiewicza, St. Hozyusza, Rewery Potockiego, K. Radziwiłła, A. Olszowskiego, M. Kromera i M. Kąckiego; brak jeszcze portretu Kopernika — nad Globem, trzymanym przez Chronosa — gdyż dotąd nie zwrócono go z Rosji. Na dawne swe miejsca w ścianach wróciły też po kilkudziesięciu latach słynne ongiś płótna historyczne, pędzla Bacciarellego, które tak opisuje krótko inwentarz z 1808 roku: „Obrazy Roboty Pana Bacciarellego:

1-o Kazimierza Wielkiego odbieraiącego prośby od Włościan i Podnosiciela Miast.

2-o Władysława Jagiełły, funduiącego Akademją Krakowską.

3-o Z wyższego rozkazu wzięty, a który reprezentował Inwestiturę Prus.

4-o Reprezentuiący połączenie Litwy z Koroną, pod panowaniem Zygmunta Augusta.

KOMINEK W POKOJU OFICERSKIM

5-o Wyobrażaiący Traktat Pokoiu Chocimskiego.

6-o Wykazuiący uwolnienie Wiednia przez Jana Sobieskiego".

Ani Chronos, ze swym Globem-zegarem, roboty Monaldiego, ani posąg Sławy, dzieło Le Brun'a, nie dał się z miejsca ruszyć, to też obeszło się bez posyłania ich do Rosji. W XVIII wieku wisiało tu sześć kryształowych świeczników, a na ścianach szesnaście *bras* z laurowemi liśćmi w bronzie, każdy pięcioramienny. Pod ścianami, wokoło sali, stały biusty bronzowe hetmanów i wybitnych mężów Polski: cztery duże i szesnaście mniejszych, na odpowiednich postumentach. Umeblowanie tej sali stanowiły dwa stoły — konsole z żółtemi kamiennemi płytami, oraz sześć ławek *(banquettes)*, wybitych angielską *moquette'ą*, z kwiatami na zielonem tle. „Do tego pokoiu w czasie Assamblów używa się: wielki kobierzec, iedwabiem tkany, fabryki Perskiey, 13 łokci długi, $7^1/_2$ szeroki" (1808).

SALA ASSAMBLOWA

Jeśli Sala Rycerska, *(Salle des Seigneurs)* zdumiewa swym przepychem, ujmuje sentymentem głębokim, z jakim St. August starał się uczcić pamięć wielkich Polaków, to *Sala Koncertowa* albo *Balowa (Grande Salle d'Assemblée)* stanowi pyszny triumf pomysłowości i prawdziwie artystycznego talentu króla i wykonawców jego projektu: „Ta Sala iest w kolumny, których iest 34, cała marmulizowana, przyozdobiona rzeźbą wyzłacaną, w którey na okół Lamperye z marmuru siwego, przy tróygu zaś podwóynych drzwiach paradnych tey Sali, odrzwi marmurem białym wyłożone, nad iednemi z tych znayduie się Portret Króla Stanisława w medalionie zrobiony z dwoma figurami, przy nim będącemi, z których iedna reprezentuie Pokóy a druga Sprawiedliwość. Na wierzchu tego Medalionu korona bronzowa w ogniu wyzłacana" (opis z r. 1808, identyczny z opisem z 1795 r.).

Cała wnęka, z posągami Apollina i Minerwy, z królewskim medaljonem dłuta Le Brun'a, stanowi skończone dzieło sztuki i znakomity zarazem wzór t. zw. stylu St. Augusta.

FRAGMENT SALI RYCERSKIEJ
Na pierwszym planie „Sława" — rzeźba Le Brun'a, w głębi popiersia sławnych polaków

Figury czworga dzieci, stojące na kamiennych ozdobnych postumentach, u jednych i drugich drzwi, były od początku z ołowiu wykonane i złocone: brakło pono funduszów na wykonanie ich odrazu w złoconym bronzie.

Wyobraźmy sobie teraz piętnaście wielkich świeczników (po 16 świec), pięć jeszcze większych (po 24 świec), sześć przepysznych Caffieri'owskich żyrandoli, dwadzieścia *bras de mur* czteroramiennych, oraz czternaście kartuszy ośmioświecowych *(Cartouches de bois sculpté et doré)* — płonące wszystko światłami — dalej „wielką balustradę z drzewa dębowego, snycerskiej roboty, całą wyzłacaną, służącą dla orkiestry", dalej „18 siedzeń *Banquettes* zwanych, z tyłami do oparcia się, trepą angielską w kwiaty na tle zielonem wybite, 11 takichże, lecz bez tyłów", a w środku barwny tłum fraków francuskich, tu i owdzie może kontuszów, oraz strojnych, pań wytwornych, a będziemy niejako świadkami jednego z tych licznych, wspaniałych assamblów, które z inicjatywy króla odbywały się w tej sali, pod olbrzymiej rozpiętości plafonem, Pana Bacciarellego roboty.

SALA RADY

Następna *Sala Rady* (1808 r., *Salle du Conseil* 1795 r., Sala Jadalna 1819 r.) miała tron, wybity adamaszkiem z licznemi złotemi galonami, dwa kryształowe świeczniki, dwanaście *bras de mur*, sześć żyrandoli, a umeblowanie jej składało się w XVIII wieku z trzech dużych stołów, nakrytych suknem karmazynowem, obszytem galonami z żółtego jedwabiu, oraz z 24 krzeseł, wybitych takiejże barwy aksamitem, już wtedy zniszczonym.

W sali tej był pozatem osobno oddzielony gabinet *(un cabinet de fer, sur quattre colonnes avec un rideau tout autour, de drap cramoisi, bordé d'un galon de soie jaune)*, w którym stało biurko dębowe, wyklejone na wierzchu czarną skórą, nakryte także karmazynowem suknem. W r. 1808 zapisano w inwentarzu tej sali 66 obrazów!

KAPLICA SASKA

W przyległej *Starej Kaplicy (l'ancienne Chapelle*, zwanej obecnie zazwyczaj „Kaplicą Saską"), niewiele było w r. 1795 sprzętów: bogato rzeźbiony ołtarz snycerskiej roboty, na nim przenośny stopień na sześć lichtarzy, 24 drewnianych, ornamentowanych żyrandoli, rozstawionych wokoło, 12 ławek z oparciem i podnóżkiem, wreszcie duża zielona portjera na metalowym pręcie. Najciekawszym jednak objektem były tam angielskie organki z mahoniowego drzewa, o złoconych na zewnątrz piszczałkach, tak pomysłowo skonstruowane, że mogły grać same z siebie, jak pozytywka, różne muzyczne utwory *(de même que dans les sérinettes)*.

W r. 1808 był w tej Starej Kaplicy skład mebli, przeważnie zepsutych i różnych innych „effektów". W r. 1819 było tam zaledwie kilka „ordynaryjnych" i częściowo zdekompletowanych mebli. Później, zamieniono ją na kaplicę prawosławną, z ołtarzem na tle zamurowanych częściowo okien, z chórem na czterech kolumnach. Dopiero w r. 1923 doprowadzono tę salę do stanu, odpowiadającego mniej więcej formom pierwotnym.

Przechodzimy z powrotem przez Salę Rady i Rycerską, celem zobaczenia trzech królewskich pokoi od strony zamkowego dziedzińca.

POKÓJ MARMUROWY

Nęci nas zwłaszcza t. zw. *Gabinet Marmurowy (La Chambre de marbre*, 1795). Wchodzimy do środka i — zdumienie nas ogarnia: Jakto? Ta szara izba o brudnym, zakopconym plafonie, farbą klejową malowanych ścianach, z resztkami czy raczej śladami marmurów na dolnej części kominka i w górze łuków okiennych, miałażby być tą samą, którą zachwycali się w XVIII wieku francuscy podróżnicy, o której fama głosiła, że jest jednym z „cudów Zamku Kr., tą samą, która natchnęła Naruszewicza do napisania „Ody na Pokój Marmurowy?!"

Tak, tak, ta sama!...

O Pokoju Marmurowym w Zamku Kr. czytamy już od XVII wieku. Adama Jarzębskiego „Gościniec abo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami iey dla kompaniey Dworskiey" w 1643 r. wydany, wymienia między innemi i ten pokój:

„Czytaj o pokojach dawnych,
A teraz o nowych sławnych,
Jaka reforma: popańsku
Wszędzie, a nie poziemiańsku!
W jednym jest ściana sadzona,
Jak zwierciadło wygładzona,
Od marmurów rozmaitych
Różnej farby wyśmienitych".

W pierwszych latach St. Augusta sala ta była zupełnie zrujnowana i zaniedbana. Król postanowił ją wielkim sumptem odnowić, dziełami sztuki przyozdobić i poświęcić pamięci królewskich swych poprzedników. W r. 1771 prace były ukończone; ściany wyłożono płytkami barwnego marmuru, sufit przyozdobiono plafonem treści alegorycznej (pendzla J. Plersza, co zapewne bliższe badania potwierdzą), a ściany fryzem 22 portretów królów polskich — od Bolesława Chrobrego począwszy — pędzla Bacciarellego, wizerunkiem St. Augusta, oraz dziełem Le Brun'a w kararyjskim marmurze: „Herbem Polski, około którego są dwie figury z marmuru białego, iedna wystawia Sprawiedliwość, druga Pokóy" [dokładniej: herbem Rzplitej i Króla J. M.].

Z mebli, zresztą niewielu, które tam w XVIII w. stały, zasługuje na uwagę znajdujący się w Pokoju Marmurowym i obecnie, między oknami — dawniej, t. j. w XVIII w. ustawiony między drzwiami, pod trumeau zwierciadlanem — „stół, pod trumeau, Hebanowy na 4-ch nogach, adornowany w desseń *à la grèque* mosiądzem, na przodzie dwie rozety bronzowe w ogniu złocone, wierzch z Marmuru *Vert antique* zwanego" (opis z 1795 i 1808 r. identyczny). Wszystkie te wspaniałości wylicza jeszcze inwentaryzator z 1808 r., dodając pozatem: „Cały ten Gabinet, ściany wszystkie i posadzka, z Narodowego Marmuru maiący i w pilastry sposobem doryckim adornowany".

Z archiwaljów zamkowych dowiadujemy się o losach tej sali; zapytany w r. 1855 oficjalnie b. intendent Zamku Kr. Leopold Gimbutt, swierdza w piśmie swem z dnia 25 czerwca (7 lipca): „...Z wyraźney woli J.O. Księcia Namiestnika Królestwa, Pokóy Marmurowy (tak zwykle zwany) został rozebranym i marmury do kościoła Św. Tróycy w Warszawie przy ul. Długiej, na ówczas restaurujący się [oddane]. Co się dotycze portretów byłych Królów i t. p., takowe zostały przez osoby z St. Petersburga, Professorów Warnek i Plane, zabrane".

Rzeczywiście, w dniu 9/21 lutego 1839 sam „Kniaź Warszawskij, Genierał Feldmarszał, Namiestnik Jego Impier.-Carsk. Wieliczestwa w Carstwie Polskom" raczył zajmować się sprawą tych marmurów: „Iz mramora sniatago so stjen mramornoj zały w b. Korolewskom Zamkie w Warszawie — poły rowno mozajkowyje i gładkije cokoły najdieny godnymi dla strojuszczejsia cerkwi na Wole, a ostalnyj mramor, rawno chraniaszczyjsia wmiestje s onym w zdanji Warszawskago Sobora, żestjanyje wazy, po mnienju architiektora Idzikowskago, mogut byt' upotrebleny dla Impieratorskich dworcew..."

Wszystko odbyło się w porządku, zamówienie wykonano, robotę zapłacono, jak świadczy następująca „Likwidacya Roboty Kamieniarskiej przy rozebraniu Sali Marmurowej w Zamku" (1835): „Za wydobycie łokci kwadrat. 124 posadzki marmurowej na gips osadzoney, wystawienie potrzebnych rusztowań, odmocowanie, rozebranie i zdjęcie gzemsu głównego marmurowego — rozebranie wszystkich ścian marmurem wyłożonych w Sali długości Ł = $15^1/_4$, szerokości Ł = $12^1/_4$, wysokości Ł = $9^1/_4$ mającey, rozebranie pięciu drzwi na żelastwo i ołów przymocowanych, —

POMPEIUS MAGNUS

DRZWI WE WNĘCE SALI ASSAMBLOWEJ

rozebranie kominka iako też w około sali będącego cokołu, odmocowanie także na żelastwo i ołów osadzonego Herbu i dwóch figur z marmuru kanaryjskiego, a to wszystko na swoje ryzyko w razie uszkodzenia w rozebraniu, wreście za ponomerowanie wszystkich sztuk i ułożenie wszystkich części w mieyscu do tego wskazanym, w ten sposób, jak były na ścianach przymocowane: podług ugody przed rozpoczęciem roboty zawartey — Zp. 1400".

Podpisane: „Dnia 15 maja 1835-go r. — Konstanty Hegel, Rzeźbiarz". W dniu 13/25 marca 1839 r., J. Boretti, budowniczy, donosi „w dopełnieniu woli J. O. Xsięcia Namiestnika Królewskiego z dnia 9/21 lutego 1839 r. N-o 779", że na skład do Łazienek Kr., do dalszej dyspozycji, zostało przewiezionych: 378 sztuk „marmurów salcesonowatych, pomieszanych z marmurem białym i cielistym, gdyż wszystkie filonki są fornierowane", 125 szt. „marmuru czarnego, każda z tych sztuk uszkodzoną iest", 378 sztuk z marmuru rozmaitego, (podobnież „każda uszkodzoną iest"), 1 kominek „z platą i dwoma wągarkami fornirowanemi, duży, długości łok. 3 cali 15, uszkodzony, 503 sztuk razem marmurów złożonych w Foracie przy Garwolińskiem". Przeniesiono tam również dwie figury, podtrzymujące tarczę z herbem Rzpltej i St. Augusta („dwa Orzełki, dwie Pogonie, Ciołek i pod Ciołkiem widok zamczyska, wszystko z blachi mosiężney pozłacaney w ogniu, wytarte", zarówno, jak „szalki dwie z belką i rękoieść z kawałkiem miecza, oraz korona, wszystko Brązowe i pozłota w ogniu, wytarta"), dalej węgarek cienki z marmuru i 5 sztuk ozdób drewnianych, pozłacanych, 6 „wazonów ofiarnych" z blachy białej, starej, a wreszcie ciekawy: „1 Opis Budowniczego na marmurze czarnym, owalny, średnicy łok. 1 cali 9".

Największa ofiarność obywateli, największy trud i wysiłek pracowników, nie zdoła niestety już chyba nigdy wskrzesić pierwotnego uroku tej Marmurowej Sali. Wiemy, dzięki Archiwum Zamkowemu, jak, kiedy i z czyjego rozkazu uległa zupełnemu zniszczeniu. Pobudek tego czynu zrozumieć jednak niepodobna, nawet, gdyby się zajrzało do samego dna zezwierzęconej ślepą nienawiścią duszy barbarzyńcy.

Wychodzimy ze smutkiem głębokim, ze ściśnionem sercem, z tej Sali, zmierzając przez *Pokój Żółty* i *Zielony* — w których inwentaryzator z r. 1808 zanotował 63 obrazów — ku wyjściu w Wieży Władysławowskiej. Na schodach jeszcze otrząsnąć się z przykrego wrażenia nie możemy. Boć już nie tylko o to idzie, że zaginął na zawsze przedziwny czar tej wspaniałej Stanisławowskiej Sali, ale i o to, że człowiek może zejść do tak nizkiego stopnia spodlenia, że do podobnie haniebnego czynu może być wogóle zdolny!...

PRACOWNIE KONSERWATORSKIE W ZAMKU KRÓLEWSKIM

Przejdźmy szybko zamkowy dziedziniec, dla przerwania i zmiany toku myśli i uczuć; przez t. zw. „Podwórze Kuchenne" wejdźmy na schody i pierwsze piętro do Malarni Pana Bacciarellego, przy korytarzu, łączącym zamkowe pokoje z katedrą św. Jana.

Ta sama wielka pracownia, znana nam z dawnych opisów. A w niej sporo obrazów i jakiś stół olbrzymi, zastawiony buteleczkami, pędzlami, słoikami; w powietrzu unosi się dziwna woń mieszana: terpentyny, spirytusu, żywicy, mikstur jakichś chemicznych. I ktoś przy pracy: to zaszczytnie już znany konserwator i restaurator malowideł, Prof. *Jan Rutkowski* ze swoim pomocnikiem!

Zasłużył sobie doprawdy p. Rutkowski na ten wielki honor, że danem mu jest mozolić się i korzystać ze swej wiedzy w tem właśnie pamiątkowem atelier mistrza Bacciarellego.

Pierwszy malarz St. Augusta i Gen. Dyrektor Budowli Królewskich cieszyłby się niezmiernie, gdyby mógł widzieć, jak p. Rutkowski przywraca utraconą, zda się zrazu, świetność barw jego obrazów. Wszak kiedy portrety, a zwłaszcza płótna historyczne (z Sali Rycerskiej) wróciły z moskiewskiej niewoli i czas dłuższy stały zamglone i brudne, oparte o ściany, dziwili się ludzie: „Co wy w tym Bacciarellim widzicie? nudne płótniska i tyle; choć stare, mało zaiste ciekawe"!

Te same płótniska, po przyjeździe p. Rutkowskiego z Poznania, po odpowiednich konserwatorskich zabiegach, odżyły i zachwycają dziś oczy zwiedzających swym wdziękiem, głębokim, soczystym kolorytem, z którego dawniej ni śladu prawie nie było.

Kolejno zostały zbadane, odczyszczone, w razie potrzeby naprawione, plafony w Sali Canaletta, Tronowej, Rycerskiej i w Gab. Konferencyjnym, obrazy z historji rzymskiej (Vien'a, Lagrenée'go, Hallé'go), portrety siedmiu współczesnych panujących z Gab. Konferencyjnego, zarówno jak zdobne na ścianach tego Gabinetu Plersza ornamenty, poczet królów polskich Bacciarellego, oraz szereg innych, a ostatnio 32 obrazy z Galerji Stanisławowskiej w Łazienkowskim Pałacu. Do zrobienia jeszcze wiele, bardzo wiele, plan opracowany, ale, czy funduszów nie braknie?

Miał też i St. August swojego restauratora obrazów. Był nim Tokarski, zarazem kustosz zbioru obrazów (*l'inspecteur des tableaux)*; pracownię swą miał na parterze, tak jak dziś Prof. *Jan Biernacki*, konserwator i restaurator rzeźb. Pracownia jego robi w pierwszej chwili wrażenie jakiegoś pobojowiska: luźne kawałki rąk i nóg ludzkich, tu głowa z odłamanym nosem, tam kilka palców — wszystko w pozornym nieładzie; widok zaś białych ludzkich tułowi, pięknie nieraz ukształconych ale bez rąk, nóg i głów, jest wprost niepokojący. Tymczasem nic się tu złego nie dzieje, przeciwnie: p. Biernacki, wraz z swym pomocnikiem p. Niemirskim, rozwija tu prawdziwie błogosławioną działalność, koi rany, naprawia i łączy z sobą porwane członki, ratuje cenne rzeźby od zagłady, wnikając w styl, w intencje i w ducha autorów. W ten sposób długi szereg rzeźb, czasem znanych, czasem zapomnianych już dziś artystów, które wróciły z Rosji w stanie fatalnym, staje dosłownie — na nogi i z powrotem może zdobić wnętrza Zamku i Łazienek Kr.

Figury Fauna, Chronosa, Aurory, Ledy z łabędziem, Amorków, Sprawiedliwości i Pokoju (z Sali Marmurowej), choćby nawet bardzo uszkodzone, częściowo zgruchotane, zarówno jak liczne biusty portretowe, wracają, jakby pod zaklęciem różdżki czarodziejskiej, do życia, wnoszą odpowiedni charakter do opustoszałych jeszcze niedawno komnat pałacowych.

Również pod opieką i przy współudziale p. Biernackiego wstają z gruzów figury na Amfiteatrze Łazienkowskim, w nowe przyoblekają się ciała, godząc się formą z architekturą, ale nieprzedrzeźniając się grymasem fałszu antykom; art. rzeźbiarze Breyer i Jakubowski współpracują w tym kierunku z powodzeniem.

W tejże stronie zabudowań zamkowych, w ciasnym zaiste, lecz romantycznie uroczym pokoju, na piętrze, z oknem niewielkiem, ale za to na Wisłę, siedzą jakieś prządki czy Parki: to p. *Marja Bułhakówna*, zwykle w towarzystwie jakiejś pomocnicy lub uczennicy, psuje chętnie swe oczy, naprawiając w podziwu godny sposób stare, zniszczone, a bardzo nieraz cenne tkaniny, makaty, tapiserje, kilimy, dywany. Jest to praca nie tylko wymagająca wielkiego zaparcia się siebie—stanowi to bowiem cechę wszelkich zajęć konserwatorskich, że trzeba w cudzego ducha wnikać, a własną jaźń niejako wyłączyć— ale ponadto bohaterskiej iście cierpliwości i niezwykłego technicznego doświadczenia. Do tego wszystkiego dołącza się jeszcze trudność zdobycia materjału; kto próbowałkiedykolwiek dobrać wełny do naprawy choćby starego wypełzłego kilimu, wiele może o tem powiedzieć.

SCIPIO AFRICANUS

Nieraz przy odbiorze tkanin z naprawy, członkowie komisji — bo dla każdej pracowni konserwatorskiej istnieje przy Dyrekcji Zbiorów P. osobna komisja ekspertów, z poza grona urzędników — byliby w niemałym kłopocie: trudno czasem wprost stwierdzić, które mianowicie miejsca były naprawiane. Można to dopiero uczynić na podstawie zdjęć fotograficznych, albo też rysunków (z zaznaczeniem uszkodzeń), w których wykonaniu celuje inwentaryzator Dyrekcji i Zbiorów P., p. *Kazimierz Brokl.*

W czwartym warsztacie na Zamku, w pracowni konserwatorskiej bronzów, naprawia się pod kierunkiem p. *Feliksa Łopieńskiego* zwłaszcza zabytkowe świeczniki i żyrandole. Jest to również praca bardzo żmudna, polegająca na odczyszczaniu, naprawianiu, wzgl. dorabianiu subtelnych fragmentów, drobnych nieraz cząstek, z jakich składa się misternie skonstruowany ośmnastowieczny świecznik bronzowy, zdobny w stare, często z lekka przydymione szkła czeskie, przymocowane delikatnym, jak nitka, drucikiem. Wiele już takich świeczników zwisa u stropu sal królewskich, budząc zwłaszcza podczas uroczystych przyjęć (wydawanych przez Pana Prezydenta Rzpltej na Zamku) niekłamany zachwyt ze strony polskich i obcych gości.

* * *

Dzięki usilnym i wytrwałym zabiegom p. Ministra *A. Olszewskiego*, dzięki niezwykłej wprost pracowitości, a także cierpliwości, świętej zaiste, członków i ekspertów Delegacji Polskiej w Moskwie, to, co St. August zebrał w swych pałacach, dla przekazania wiekom potomnym, wraca w drobnej przynajmniej części do warszawskich gmachów reprezentacyjnych. *Tylko tem* żyje dziś np. Zamek Kr. Wystarczy stwierdzić krótko, że *wszystko*, cokolwiek jest dzisiaj w Zamku, a co można z miejsca ruszyć, nie wyłączając ni supraport, ni obrazów w ściany wpuszczonych, wróciło z Rosji. W jakim stanie — o tem już wspomniałem powyżej.

Zadaniem Dyrekcji Zbiorów Państwowych jest dążyć w swych różnych pracach do tego, aby ożywić opustoszałe przez czas wojen i niewoli zamkowe wnętrza, aby przywrócić je możliwie do stanu dawnej świetności. Nad stroną budowlaną czuwa grono architektów i techników, z Prof. K. Skórewiczem na czele. Oni restaurują wnętrza, które zbiorami wypełnić trzeba, by wrócić im dawnego polskiego ducha, swojski zabytkowy charakter. Do tego właśnie celu służą Zbiory Państwowe — ale te są niezmiernie szczupłe, niewystarczające stanowczo, choćby się wliczyło do nich i to, co jeszcze z Rosji wrócić może, bo wrócić powinno.

Stanisław August, mając własny dwór królewski, nie jego powierzchowną świetnością, ale wysoką artystyczną kulturą narodu chciał Polskę na zewnątrz reprezentować. Pod tym jednym względem był najlepszym i największym naszym królem,

„POKÓJ". (Rzeźba z nad lustra w pokoju marmurowym)

nie mógł już chyba nic więcej dla nas uczynić, przy tych środkach, jakiemi rozporządzał i w tych dziejowych warunkach, w jakich sprawował swe rządy. Przypomniane w swoim czasie przez St. Tatarkiewicza (Rządy artystyczne St. Augusta, 1919) słowa Bacciarellego, skierowane do Rządu Księstwa Warszawskiego, określają doskonale jego zasługi: *„Le gout qui régne aujourd'hui en Pologne et surtout à Varsovie est dû aux connaissances que le feu Roi avait dans sa patrie des beaux Arts ainsi qu'à la protection, qu'il leur a toujours accordé"*.

Czyż dziś, współcześni obywatele Polski i Warszawy ociągać się będą, gdy trzeba, bo nareszcie wolno i można, pójść w królewskie ślady? Niema pono w Warszawie dawniejszego domu, gdzie nie byłoby jednej bodaj pamiątki Stanisławowskiej epoki: mebla, bronzu, rzeźby, ryciny czy obrazu, przedmiotu ze szkła lub porcelany. Każdy taki drobiazg ma w sobie coś z ducha tych czasów; przeniesiony w odpowiednie sobie środowisko Zamku Kr., gdzie każda ogołocona ściana, każdy kąt pusty zda się urągać wielkiej pamięci króla-artysty, pocznie żyć prawdziwem życiem, będzie chlubnie świadczyć o naszej kulturze, z której tak bardzo jesteśmy dumni, choć tak mało chcemy dla niej robić,

Jeśli za St. Augusta tak było, to dziś tem bardziej, artystyczne i zabytkowe zbiory państwowe są jedynie godną reprezentacją kultury całego Narodu. Zamek Kr. w Warszawie ma być główną ich centralą. Czyż dopuścicie do tego, by nawet królewskie pokoje pierwszego piętra—zwłaszcza po opuszczeniu Zamku przez biura wojskowe — *pustką* raziły, albo tak jak dziś, nieodpowiedniem komnat urządzeniem?

Nie każcież sobie za wszystko płacić banknotem, nawet za prezentowanie przed światem własnej swej narodowej, artystycznej kultury. Przecież ten Zamek i te państwowe zbiory, to wspólna dziś własność wszystkich, całej Polski obywateli. Nie zuboża ten siebie, kto własną Ojczyznę wzbogaca!

Cóżby każdy z nas powiedział, gdyby w obecnych warunkach rząd polski za grosz podatkowy, z trudem wydobyty, zaczął z rąk prywatnych dzieła sztuki skupywać?

Rząd w odpowiednim momencie i o tej ważnej dziedzinie z pewnością nie zapomni i w miarę możności grosza szczędzić nie będzie. Obecnie musi wystarczyć, jeśli pod organizację Zbiorów Państwowych silny stworzy fundament, drogą ustalenia odpowiednich statutów i norm prawnych, bo nawet tego brak jeszcze na razie i skutkiem tego działalność Dyrekcji Zbiorów Państwowych, (która zresztą obejść się może bez specjalnych kredytów dodatkowych w formie dotacji, bo normalnie dochód Skarbowi przynosi) — na wielkie natrafia trudności.

Jak za St. Augusta „Komisja Budowli" miała w Zamku swą siedzibę, tak i obecnie mieści się tam Zarząd Gmachów Repr. (organ adm.-gospodarczy), a przy nim Dyrekcja Zbiorów Państ., z Zamkiem samym najściślej związana, ze względu na liczne, stale wzrastające jej agendy. Zamek Kr. jest głównym terenem pracy Dyrekcji Zbiorów P., powołanej do opieki nad wnętrzami zabytkowemi, oraz nad nagromadzonemi tak w nich, jak i w licznych magazynach, dziełami sztuki. Z Zamkiem ściśle jest związane Archiwum, podstawa wszelkich prac naukowo-zabytkowych Dyrekcji Zb. P., zarówno jak Bibljoteka Podręczna, która, choć skromna i nieliczna, musi wystarczyć do czasu, gdy w Zamku zorganizuje się Bibljotekę Sztuk P. w Sali Bibljotecznej, odpowiednio odnowionej.

W Zamku też gromadzi się wszelkie transporty rewindykowanego mienia, które inwentaryzuje się na miejscu drogą komisyjnego otwierania skrzyń, spisywania na każdą z nich protokułów, z wymienieniem i klasyfikacją naukową przedmiotów. W Zamku pracują 4 zakłady Konserwatorskie, najściślej związane z Dyrekcją Zbiorów P., która musi utrzymywać z niemi codzienny niemal kontakt, w Zamku będzie zawsze Centrala Zbiorów, zwłaszcza, że i zapowiedziane już dary i depozyty, większe kolekcje prywatne, tam również po usunięciu się wojska mają znaleźć pomieszczenie. Z tych wszystkich względów, Dyr. Zb. P., z natury rzeczy z Zamkiem nierozłączna, winna mieć organizację tego rodzaju, aby ta ułatwiała jej pracę, a nie krępowała jej więzami biurokratyzmu, a więc analogiczną, jak np. Wydział Archiwów Państw., podległy wprost Ministrowi W. R. i O. P. W przeciwnym razie — pomnoży się ilość urzędowych pism i aktów, ale nie zbiorów narodowych.

Idzie zarazem o to, by ci, którzy mogą, których stać na to moralnie i finansowo, Zamkowi Kr. darów nie szczędzili, darów, a bodaj na czas dłuższy depozytów, w formie zabytków i dzieł sztuki z epoki.

Mieczysław Treter

SUPRAPORTA W SALI RYCERSKIEJ

MEBLE I BRONZY W ZAMKU KRÓLEWSKIM

TORCHÈRE — BRONZ FRANCUSKI

WAZON BRONZOWY FRANCUSKI

Sprzęty, nas otaczające, o ile są wyrazem smaku i estetycznych poglądów, mają własne życie, odzwierciadlają indywidualność człowieka, nie umierają z nim, a pozostając dla potomności — opowiadają jej o poczuciu piękna w danej epoce, o pojmowaniu przez nią życia a także przez rytm swoich konturów wyraźnie mówią o intelekcie twórcy i byłym właścicielu. Przekazują one potomności styl. O ile ten ostatni był wyrazem pewnej epoki, sharmonizowany z otoczeniem, przechodzi do historji i nosi miano twórców epoki.

Tak powstały style: Renesansu, baroccu, Louis XV, Louis XVI i, wreszcie u nas styl przejściowy od Louis XVI do stylu cesarstwa — Stanisławowski.

Styl Stanisława Augusta jest nad wyraz wdzięczny, nie nosi wcale cech przeładowania, jest skromny, linje posiada miękkie, jasne, spokojne. Niestety, burze dziejowe zachowały nam stosunkowo mało sprzętów z doby Stanisławowskiej, a tem mniej skomplikowanych enterierów. Przepiękne Łazienki są jedynym monumentalnym pomnikiem, pochodzącym z doby króla Stasia, w których założenia architektoniczne, artystyczne i obyczajowe tworzą sharmonizowaną całość— styl. Tu tylko, w Łazienkach Kr. możemy oglądać estetyczne pomysły ostatniego króla, którego dusza wrażliwa na piękno przekazała potomności artystyczne zrozumienie i wielki smak.

Umeblowanie pokoi królewskich na Zamku warszawskim musiało także nosić wszystkie cechy doby Stanisławowskiej i obecnie z nielicznych pozostałych sprzętów możemy wnioskować, że umeblowanie i całość artystyczna apartamentów na Zamku była obmyślana jeszcze poważniej i miała wszelkie cechy wspaniałej siedziby królewskiej w wielkim stylu.

Po wyjeździe króla Stanisława do Grodna, bardzo drobna część umeblowania wyruszyła z nim, większość pozostała na Zamku i przeważnie uległa rozproszeniu. Wszystko, co widzimy obecnie na pokojach królewskich w roku 1915, na skutek rozkazu władz wojskowych rosyjskich, powędrowało do Moskwy i przybyło z powrotem po usilnych staraniach Delegacji Polskiej. Należy wszelako nadmienić, że władze rosyjskie w sprawie zwrotu ewakuowanego mienia rządowego przejawiły maximum dobrej chęci i prawie wszystko, co było wywiezione w roku 1915, powróciło na dawne miejsca, ale większość tych sprzętów pochodzi z czasów późniejszych. Wiemy, że Stanisław August w listach swoich do Bacciarellego, pisanych z Grodna, kilkakrotnie upominał się o zwrócenie mu jego ulubionych mebli z pokoju sypialnego, dostosowanych do stylu tego pokoju, upiększonego drzewem cisowem. Meble te podobno były wypożyczone przez Suworowa. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że większość drobnych sprzętów z pokojów królewskich zginęła za czasów okupacji rosyjskiej i niemieckiej, tak że w roku 1806 musiano poszukiwać mebli dla bawiącego na Zamku Napoleona.

Zostały sprzęty zasadnicze, najwięcej dostosowane do stylu sal królewskich, ale i te po stłumieniu powstania listopadowego były w przeważnej części zabrane przez Paskiewicza do jego rezydencji w Homlu, gdzie podobno zachowały się do dzisiaj, jak np. marmury i bronzy.

Należy przypuszczać, że delegacja rosyjska w Mieszanej Komisji Specjalnej uwzględni i zrozumie doniosłość odbudowy Zamku warszawskiego i dołoży starań, jak ongi przy wydaniu pomnika Księcia Józefa, aby zabrane przez Paskiewicza rzeczy wróciły do prawowitego właściciela — Rzeczypospolitej Polskiej.

Mówiąc o umeblowaniu sal zamkowych, mamy na względzie nie tylko to, co stanowi ścisłe umeblowanie: francuskie słowo mobilier pochodzi od mobile, służące do oznaczenia przedmiotu przenośnego, a więc wszystkiego, co stanowi ruchome wnętrze sali lub pokoju: meble w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, zegary, bronzy, kandelabry etc.

Wchodząc na pokoje Królewskie, zauważamy, że w pierwszych dwu salach z dawnych upiększeń i sprzętów nie pozostało prawie śladu. Obecne meble i kilka bronzów pochodzą przeważnie z XIX w. a więc z okresu rosyjskiej okupacji, jedyny żyrandol w stylu Louis XVI zwieszający się w sali Oficerskiej odpowiada epoce, lecz nie jest odpowiedni dla sali, dla której latarnia w tymże stylu byłaby o wiele odpowiedniejszą.

Sala Canaletta, upiększona widokami „Starej Warszawy" zawieszonemi w stylu regencji, posiada z XIX w. 10 kanapek pokrytych rypsem koloru cerise, co wcale

ZEGAR BRONZOWY Z HERBAMI KRÓLA I RZECZYPOSPOLITEJ, NA BIURKU KRÓLEWSKIEM. (Dawniej w sali Tronowej)

KOMINEK W DAWNEJ SALI AUDJENCYJNEJ Z KANDELABRAMI BRONZOWEMI

nie harmonizuje z epoką Stanisławowską. Pokrycie winno być spokojniejsze w kolorze, a materja w szerokie paski nadałaby o wiele więcej wdzięku; żyrandol pochodzi z epoki, lecz niestety nie jest odpowiedni dla sali, niegdyś upiększonej plafonem i całkowicie zawieszonej obrazami, tu też więcejby się nadawał bronzowy żyrandol-latarnia w stylu Louis XV.

Kaplica królewska, przepiękna w swojem założeniu, istne cacko, pozbawiona właściwych urządzeń po powstaniu listopadowem, nie posiada ani jednego sprzętu, któryby harmonizował z założeniem architektonicznem.

Sala audjencjonalna (dawna), za czasów rosyjskich zwana Amarantową, co oczywiście pochodzi od koloru draperji i pokrycia mebli — zachowała jeden cudowny sprzęt z epoki Stanisławowskiej, jest to wielki zegar bronzowy, figuralny, na przepięknej konsolce; całość, to rzecz prawdziwie muzealna. Na piedestale marmurowym wznosi się kolumna, podtrzymująca wielką urnę — właściwy zegar, kolumna przepasana nadzwyczaj misterną girlandą roboty nader atystycznej; u podnóża kolumny grupa: z prawej strony dwa amorki dźwigają tarczę królewską, upiększoną herbami i uwieńczoną koroną; w ruchach, wyrazie twarzyczek zastygło jakby pytanie, jak daleko i wysoko tę tarczę unieść?... Z lewej — kobieta o klasycznych rysach w stroju antycznym, wpół-leżąca, jakby odpowiada na to pytanie amorków, wskazując lewą ręką na zegarze godzinę... Postać kobiety to bogini Tyche, amorki, pracy i dni króla Stasia, a całość przeznaczona mu przestrzeń i określony dla niego czas. Na obręczy zegara mamy sygnaturę zegarmistrza: „Le Paute De Belle Tontaine à Paris. Zegarmistrz Le Paute pracował w latach 1755 — 1788".

Tak przepięknego sprzętu nie posiada ani jedno muzeum europejskie, a więc dziękujmy opatrzności, że ona dla nas ten sprzęt zachowała.

FOTEL EMPIRE'OWY W ZAMKU KRÓLEWSKIM

Kto jest ten wielki mistrz, który tak cudowną rzecz skomponował?

Zegar mógł powstać w latach 1770 a nawet 1780. Wielki mistrz bronzu Philippe Caffiery już nie żył. Umarł w roku śmierci Louis XV (1774) i tem w bronzownictwie jakoby zamknął styl tego króla, aby ustąpić nowemu stylowi Louis XVI. A więc pozostaje drugie wielkie imię Pierre Gouthier (1732 — 1813), który w roku 1769 pracował nad skrzynką na kosztowności Marji Antoniny, projektowaną przez znanego budowniczego „Bagatelle" architekta Belanger. Samo polecenie robienia skrzynki dla królowej wskazuje, że Gouthier już w roku 1769 uchodził za wybitnego mistrza. Według projektu znakomitego rzeźbiarza Boizot, Gouthier wykonał dla miasta Avignon nadzwyczajny zegar, obecnie znajdujący się w Londynie i znany pod nazwą „Pendule de la ville d'Avignon". Jest to jedyny znany w Europie wyrób, na którym wielki mistrz pozostawił swoją sygnaturę, innych bronzowych przedmiotów, sygnowanych przez Gauthier, muzea europejskie nie znają. Bronzy Gouthiera odznaczają się delikatnością połysku i nadzwyczajną miękkością konturów i faktury, co w pełnej mierze widzimy na naszym zegarze.

Inne bronzy w sali Audjencjonalnej były wykonane przez ucznia Gouthiera,

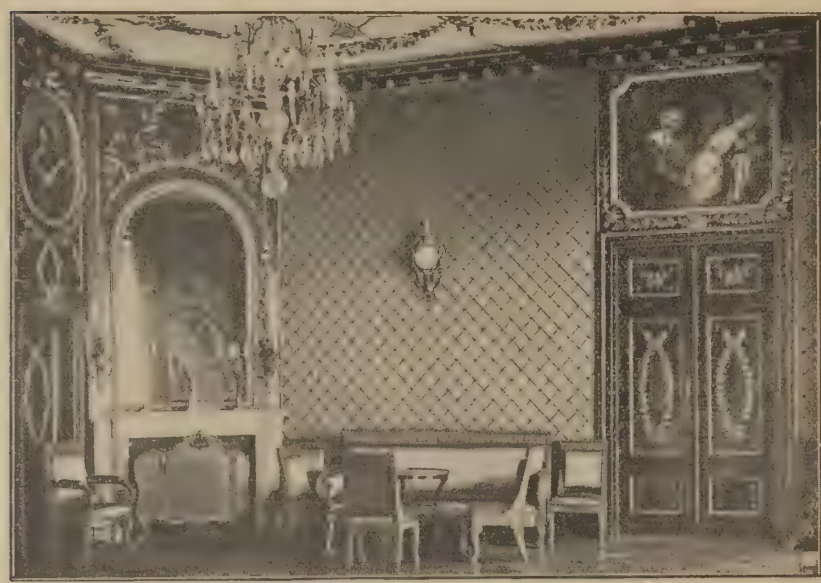

SYPIALNIA KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA W OBECNYM SWOIM WYGLĄDZIE

GABINET MARMUROWY Z PORTRETAMI KRÓLÓW POLSKICH, ZNISZCZONY W ROKU 1835

słynnego Pierra Thomire (1754 — 1843), którego wyroby nabierają rozgłosu w epoce cesarstwa. Są one prawdziwie piękne, lecz już nie należą do okazów muzealnych.

Garnitur mebli, znajdujących się na sali, oczywiście sporządzony już za czasów rządów rosyjskich, nosi wyraźne cechy stylu Ludwika Filipa, w wykonaniu rosyjskiem, możliwie przez warsztat Thura, który bardzo dużo wykonał mebli dla pałaców cesarskich.

Z pozostałych bronzów doby Stanisławowskiej, znajdujących się obecnie na Zamku, należy wymienić dwa zegary: jeden w sali Tronowej Figuralny, drugi w sypialni królewskiej „Saturn" — bronzownika Sedure, którego wyroby były sporządzane masami, i który pierwszy z bronzowników zastosował różnokolorowe farbowanie bronzów; poza tem pozostaje jeden czy też dwa zegary Lefévre, a którego pracownia była słynna w Paryżu w ostatnich latach XVIII wieku. Są nadto okazy Ravrio, wysokie kandelabry z boginią Nike, z czarnego bronzu (pracownia królewska), lecz wyroby tego bronzownika przenikają do Polski już za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Umeblowanie Gabineciku Konferencyjnego najzupełniej odpowiada stylowi ornamentyki i niezawodnie pochodzi z czasów ostatniego króla, jak również stolik z blatem sewrskiej porcelany, przeniesiony z Łazienek na swoje dawne miejsce.

W Sali Tronowej mamy garnitur mebli, pochodzących z pałacu Biskupów Kieleckich. Są to sprzęty nieocenionej wartości muzealnej, ale, niestety, nie są odpowiednie ani dla tej sali ani, wogóle, dla obecnych sal królewskich na Zamku warszawskim. Zwieszające się cztery żyrandole w tej że sali nie odpowiadają ani architektonicznej formie sali, ani jej ornamentyce; tu musiały być za czasów królewskich ścienne bronzy i wysokie kandelabry na postumentach — forchery, dwa właśnie takie — mamy na sali Assamblowej, dla której one są zamałe i stylem swoim rocoille nie harmonizują z późniejszą ornamentyką.

SALA RYCERSKA. SUPRAPORTA

Umieszczone na wysokich marmurowych kolumnach, przepięknie ornamentowanych bronzą, owe kandelabry przedstawiają trójnóżce zakończone wazami, w około których misternie umieszczone świeczniki. Na jednym z tych kandelabrów mamy sygnaturę ich wielkiego twórcy: „Fait por. P. Caffieri à Paris en 1768".

Philippe Cafferi (1714—1774) syn Jakóba (1678—1753) pracował dla dworu Ludwika XV, dla kościoła Notre Dame de Paris, a także dla katedry miasta Boyeux, gdzie po dziś zachowały się jego przecudne bronzy z wyciętym napisem „Inventé et exécuté par Philippe Cafferi l'année 1771".

Nasze kandelabry datowane są o trzy lata wcześniej i niezaprzeczenie mają znaczenie muzealne. Musimy mieć na względzie, że rewolucja francuska zniszczyła prawie wszystkie sygnowane prace Caffieri i że bronzy jego należą do okazów bardzo rzadkich.

Sala Rycerska, poza obrazami, zwróconemi z Rosji, gdzie one przez 80 z górą lat przebywały, z epoki Stanisławowskiej zachowała dwie rzeźby z marmuru białego, a mianowicie — „Chronos" Monolorego, przedstawiający starca z kosą, podtrzymującego zegar w formie globu, oraz piękny marmur — „Genjusz Sławy" — Le Bruna.

Mikołaj Piotrowski

DO NUMERU NINIEJSZEGO DOŁĄCZAMY Nr. 3 „PRZEGLĄDU BIBLJOGRAFICZNEGO"

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI WYDAWCY: GEBETHNER I WOLFF

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 50 ★ OGÓLNEGO ZBIORU 3,343 ★ 8 GRUDNIA 1923

MADONNA Z ANIOŁAMI (Fragment) *SANDRO BOTTICELLI*

(Galerja Uffizi we Florencji)

REWOLUCJA DLA REWOLUCJI

Swoistym wytworem inteligencji rosyjskiej, która, pomimo swojego pokostu europejskiego, zachowała nie tylko odrębność intelektualną i psychiczną, lecz i jaskrawą bardzo przeciwstawność temu, co na Zachodzie uznane zostało za normy cywilizacyjne — był przez całe dziesiątki lat, nieznany gdzieindziej, typ „rewolucjonisty z zawodu".

Pełno go było w życiu. Mniej pełno w literaturze, która to życie wyobrażała... pod kontrolą cenzury prewencyjnej.

Obojętną jednak będzie rzeczą, dokąd sięgniemy po typ rewolucjonisty rosyjskiego — do życia czy do literatury. I w jednym i w drugim przypadku wystąpią na jaw te same cechy zasadnicze, ta sama „prostolinijność" uczucia i myśli, nieznana innym społeczeństwom.

Zagadnienie rewolucji, jako dążenia do gwałtownej zmiany stosunków w państwie, nie jest zagadnieniem nowem. Znał je dobrze świat starożytny, zna je także dobrze i świat nowoczesny i, zdaje się, że do końca istnienia naszego globu ludzkość, która zupełnie naturalnie pragnie polepszenia swego losu przez zwiększenie sumy szczęścia na ziemi, będzie się dzieliła na dwa obozy, z których jeden opowie się za metodą przewrotu, drugi za metodą powolnego rozwoju i przemiany stosunków. W każdym narodzie jest więc dzisiaj, tak samo, jak bywało dawniej, miejsce na obie metody działania, ale zarówno jedna jak i druga metoda wymaga dla uzasadnienia swego prawa do istnienia jasno określonego ideału. Ci, którzy dążą do lepszego, muszą mieć to głębokie przekonanie, że to, co się dzięki ich działaniu urzeczywistni, naprawdę uszczęśliwi naród i państwo.

Dotychczas jednak przez rewolucję żaden naród szczęścia nie osiągnął. Przeciwnie, nieuniknionem następstwem każdej rewolucji była zawsze reakcja. Taki jest porządek rzeczy, utrwalony przez prawo psychologiczne, rządzące społeczeństwami.

Dlatego każde społeczeństwo, które nie odrzuca nauki historycznej i płynącego z niej doświadczenia stuleci, obawia się rewolucji, jako eksperymentu, którego owoce bywają bardzo niepewne i bardzo gorzkie. Dla tego samego również każda rewolucja, która chwilowo osiągnęła zwycięztwo, boi się, jak ognia, kontrrewolucji, ściga ją, tępi i za pomocą teroru trzyma się u władzy, dopóki nie wybije naprawdę godzina reakcji.

Nie skąd inąd też ale z obawy i strachu przed kontrrewolucją wypłynął najstraszniejszy, jaki kiedykolwiek był na świecie, teror bolszewicki w Rosji, zamknięty w jednym wyrazie „czrezwyczajka".

Odwracając jednak ze zgrozą oczy od tego, co działo się i dzieje dotychczas w Rosji, nie można zaprzeczyć, że wszystko to odbyło się i odbywa „według programu", to znaczy zgodnie z temi prawami psychologicznemi, o których mówiliśmy wyżej.

Gdyby w chwili wybuchu przewrotu rosyjskiego ktokolwiek, obdarzony darem jasnowidztwa (bo człowiekowi nauki nie uwierzonoby w takim momencie) ukazał był stojącym na czele ruchu działaczom obraz Rosji dzisiejszej, to wielu z nich, jeżeli nie wszyscy, cofnęliby się przed swoim czynem, przerażeni ogromem nieszczęścia, do którego prowadzą naród w imię bałwana rewolucji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ani zasada masowego tępienia inteligencji, ani zasada utrwalania władzy rewolucyjnej przez głód i tyfus, dziesiątkujące spokojną i pracowitą ludność państwa, nie były zasadami, wyznawanemi przez chorążych rewolucji.

Wszystko to, co się stało, stało się może nawet wbrew ich woli, ale dlatego właśnie, że to jest możliwe zawsze i wszędzie, iż rewolucja wbrew woli tych, co ją wywołują i przeprowadzają, staje się ślepą siłą zniszczenia — należy zawsze mieć się na baczności, kiedy pada w pewnym obozie wyraz „rewolucja" i kiedy zwolennicy tego obozu wynoszą go na ulicę, pomiędzy tłum.

Tak jest obecnie u nas. Słyszymy wyraz „rewolucja" i musimy wyciągnąć wszystkie, płynące stąd, przestrogi dla tych lekkomyślnych w społeczeństwie czynników, które bez odpowiedniego krytycyzmu przyjmują hasła przewrotu.

Przewrotu czego? Oczywiście, panujących obecnie stosunków.

Kiedy Rosja rozwijała chorągiew swojej rewolucji politycznej a potem społecznej, miała przeciw sobie z jednej strony zorganizowany rząd carski, a więc zrozumiałą walkę z jedynowładztwem o wolność szerokich mas ludu, nie posiadającego prawie żadnych swobód obywatelskich i gorzko oszukanego przez „habeas corpus" z roku 1905 i jego owoce w postaci I-ej, II-ej i III-ej Dumy, z drugiej — pozostawiający wiele do życzenia ustrój społeczny, polegający na rzeczywistem upośledzeniu nieoświeconego włościanina i robotnika. Poza tem wobec rozpadania się armji stała w obliczu anarchji i, chcąc jej chociażby tylko zapobiec, musiała zawołać głośno: „rewolucja" i tem ocalić się w mniemaniu własnem i w mniemaniu innych narodów.

Takie jest uzasadnienie rewolucji rosyjskiej, jako zjawiska politycznego. To, co zaszło potem, było już tylko zwyrodnieniem ruchu przewrotowego, dokonanego w społeczeństwie o strukturze słabej, nie wytrzymującej naporu wyzwolonych sił ciemnego i nieświadomego swoich celów, a prowadzonego przez „zawodowców rewolucji" tłumu.

Jeżeli teraz to uzasadnienie rewolucji przeniesiemy na grunt stosunków polskich, to przekonamy się, że hasło rewolucji nie jest i nie może być u nas hasłem, opartem na jakiejkolwiek podstawie. Nie motywują go ani nasze stosunki polityczne ani społeczne. I jedne i drugie są już wytworem czasów powojennych, przepojonych atmosferą wolności i możliwej do osiągnięcia sprawiedliwości społecznej.

Polska w wyniku wojny światowej osiągnęła niepodległość i zjednoczenie. Ustrój swój polityczny oparła na Konstytucji najliberalniejszej z istniejących dotychczas w Europie zachodniej. Równość obywatelska zastrzeżona jest przez tę Konstytucję w granicach bardzo daleko idących. Granice te mogą być nadto na gruncie walki parlamentarnej dalej rozszerzane na dobro tych, którzy tego rozszerzenia pragną i w sposób racjonalny do jego osiągnięcia dążą.

Zdawałoby się, że są to zdobycze bardzo duże, które powinny wszystkie siły polityczne narodu skupić i wytężyć w jednym kierunku umocnienia odzyskanego państwa i zabezpieczenia mu szans trwałego na przyszłość rozwoju.

Tymczasem „Pankracy" polski, nie bacząc na to, co się już dokonało i co otworzyło przed nim szerokie perspektywy jawnego działania na korzyść podniesienia skali kultury i dobrobytu warstwy robotniczej, której mieni się być rzecznikiem, zamiast działanie to rozwinąć, podrzuca w górę swoją czapkę frygijską, rozwija czerwoną chorągiew i wychodzi na ulicę z okrzykiem: „rewolucja".

To, co stało się w Krakowie z jednej strony, a to, co ujawnił proces warszawski Bagińskiego i Wieczorkiewicza z drugiej, jest tego wyraźnym dowodem.

I tu znów zadać sobie trzeba pytanie: rewolucja przeciw czemu? Gdzie jest ów hrabia Henryk i gdzie są owe Okopy św. Trójcy, które zdobywać trzeba przy pomocy przechrztów, lokajów i t. p. przedstawicieli „wyzwolonego" proletarjatu?

Ani hr. Henryka, ani Okopów świętej Trójcy w Polsce odrodzonej niema. Pierwszy został z mocy Konstytucji zwykłym obywatelem państwa polskiego, równym w prawach i obowiązkach ze wszystkimi innymi; drugie — Okopy — nigdy nie były sypane, a gdyby kto chciał je na własną rękę dzisiaj sypać, to mu Konstytucja na to nie pozwoli.

Jakie więc siły i w imię jakiej idei, mającej na celu zmianę stosunków, odrodzenie narodu i umocnienie państwa polskiego mają się w tej rewolucji, głoszonej przez posłów lewicy, zetrzeć?

Niema na to innej odpowiedzi ponad stwierdzenie faktu, iż mamy do czynienia w Polsce dzisiejszej z tym samym typem „rewolucjonisty zawodowego", który wytworzyła Rosja, a który wraz z całą infekcją wschodnią przeniknął do nas.

Nic innego tylko „rewolucja dla rewolucji" wypisana jest na czerwonym sztandarze naszych ugrupowań wywrotowych. Poza tem hasłem nie stoi żaden ideał polityczny ani nawet społeczny, żaden program realny, twórczy, który w razie swego urzeczywistnienia mógłby przynieść państwu i narodowi jakąś pozytywną zdobycz. Przeciwnie, wszystkie następstwa takiej „rewolucji" grożą klęską zniszczenia.

„Rewolucjonista z zawodu" jest niszczycielem. Idzie on po linji najprostszej do obalenia wszelkiego porządku, wszelkiej władzy, bo wszelki porządek i wszelka władza zorganizowana są w jego pojęciu tem, co należy zwalczać.

Ustalanie się tego prostolinijnego, nawskroś rosyjskiego kierunku „myślenia politycznego" w naszych kołach lewicowych jest prognozą dla przyszłości Polski bardzo złą. A, niestety, coraz częściej spotykamy się z dowodami, że tak jest, że nikt inny tylko „rewolucjonista z zawodu", ta smutna pozostałość z epoki niewoli i ucisku, produkt naszego długoletniego związku z Rosją i odcięcia od cywilizacji i kultury zachodnio-europejskiej, jest głosicielem haseł rewolucyjnych w Polsce wolnej, praworządnej i nie pragnącej eksperymentów na wzór bolszewicki, spragnionej natomiast konsolidacji i skoordynowanego rozwoju wszystkich sił w narodzie. ◻

RELIGJA HONORU

I. TRZY TEZY

Przed kilku miesiącami wyszła z druku książka p. Wacława Lednickiego o Alfredzie de Vigny'm. (Dr. Wacław Lednicki: Alfred de Vigny. Z historji pesymizmu religijnego. Warszawa 1923).

Rzecz, napisana z widocznem opanowaniem i umiłowaniem przedmiotu, praca poważna i gruntowna, spotka się zapewne z należytą oceną naukową ze strony romanistów, jako krytyków fachowych. Ze względu jednak na przedstawione w niej pewne idee ogólne i poglądy życiowe, książka ta zasługuje także na uwagę myślącego ogółu w Polsce. Tembardziej, że te idee i poglądy, oparte na pojęciach utartych a krytycznie nie sprawdzonych, są dzisiaj dość popularne w społeczeństwie.

Chodzi tu o tak zwaną *religję honoru*, która stanowi pewnego rodzaju system etyczny, zamknięty w dziełach Vigny'ego. Charakteryzując twórczość francuskiego poety, książka p. Lednickiego daje przedewszystkiem szczegółową i troskliwą analizę tego właśnie systemu.

We wstępie autor wyraźnie podkreśla, że w pracy tej przyświecały mu nie tylko teoretyczno-naukowe, ale i społeczno-wychowawcze cele.

„Zrobiwszy rachunek sumienia, — pisze — poddawszy rozwadze i ocenie to wszystko, co sam w ciągu ostatnich lat przeżyłem i co zniosła moja rodzina, zrozumiałem, że najlepszą ewangelją na dzień dzisiejszy będzie poezja autora „Niewoli i Wielkości Żołnierza".

Dalej wyraża taki pogląd:

„Zrozumiałem ponadto, że nasza „druga ojczyzna", Francja, nie powinna być dostawcą jedynie amunicji, wina i perfum. Prawdziwa wymiana walorów narodowych, prawdziwy dodatni wpływ Francji na Polskę (...więc wzajemna „wymiana", czy jednostronny „wpływ"?...) rozpocznie się dopiero wtedy, gdy przedmiotem wwozu do nas stanie się wielki dorobek duchowy tej, którą wszyscy nazywamy „la grande amoureuse"...

Wreszcie autor oświadcza:

„Z naszych poetów osobiście znał Vigny'ego Mickiewicz, ten może jedyny „Francuz północy", gdyż żar jego wielkiej duszy, Znicz, który się w niej palił, nie był słabszy od Salamandry, o której mówi Vigny, a potęga charakteru, woli i poczucie miary, cechujące i jego życie i jego poezję, dorównują i Cydowi Corneilla i „religji honoru" Vigny'ego". Te trzy tezy wstępu, w związku z analizą treści dzieła stanowią właśnie przedmiot refleksyj poniższych.

Mianowicie chodzi mi o odpowiedź na pytania: 1) czy „religja honoru" jest istotnie „najlepszą ewangielją na dzień dzisiejszy" wogóle i w Polsce w szczególności? 2) czy powinna, ona to właśnie, stać się przedmiotem „wwozu" dóbr duchowych z Francji do Polski, czy potrzeba i czy można ją właśnie z dobrym skutkiem szczepić na gruncie polskiej duszy? 3) czy słuszne jest twierdzenie, że Mickiewicz poezją i życiem swem „dorównywa"... „religji honoru" Vigny'ego?

Podkreślając szlachetny ton wywodów p. Lednickiego i nawet uznając częściową ich słuszność, muszę jednak stwierdzić, że wymienione trzy tezy budzą wątpliwości zupełnie zasadniczej natury.

Pozwolę sobie je wskazać w porządku odwrotnym, zaczynając od pytania trzeciego, które zresztą z samą treścią dzieła p. Lednickiego pozostaje z związku luźnym i nie istotnym, ale które dla naszego tematu w powyższem ujęciu bynajmniej nie jest obojętne.

Przedewszystkiem więc czy należy mówić, że Mickiewicz „dorównywa" Corneillowi lub Vigny'emu? Zdaniem naszem rzecz się ma raczej odwrotnie: to Corneille lub Vigny pod pewnemi względami dorównywują Mickiewiczowi. Wieszcz polski należy do nielicznych twórców, których dzieło, wzięte w całości, znamionują trzy cechy genjuszu: oryginalność, wszechstronność, harmonijność. W twórczości Corneille'a czy Vigny'ego dźwięczą do wysokiego diapazonu napięte niektóre tylko struny, — gdy twórczość Mickiewicza jest jakby całą symfonją, jest prawdziwie, jak sama ziemia rodząca, ożywiona tchnieniem Boga. Pod względem uniwersalnej monumentalności stworzonego dzieła, przewyższa Mickiewicza zaledwie kilku poetów świata: Dante, Szekspir, Milton, może Goethe..., ale nie można zapominać, że tylko Mickiewicz stworzył, godną tej nazwy, nowożytną epopeję narodową.

Powtóre, ze zdania p. Lednickiego, że poezja i życie Mickiewicza „dorównują" religji honoru Vigny'ego, możnaby wyprowadzić wniosek, że Mickiewicz w poezji i w życiu solidaryzował się z tą religją honoru, że ją sam wyznawał, stosował i szerzył. Wniosek taki jednak byłby, jak wiemy, nawskroś fałszywy. W „Księgach Narodu Polskiego" Mickiewicz w sposób jaskrawy przeciwstawił się właśnie i nawet wręcz potępił cześć dla tego, co nazwał francuskim „bałwanem Honoru", powiadając: „był to ten sam bałwan, który za czasów pogańskich nazywał się cielcem złotym"...

To też na drugie z kolei pytanie, czy należy i czy można skutecznie „importować" z Francji do Polski „religję honoru", Mickiewicz — na którego autorytet powołuje się p. Lednicki we wstępie— odpowiedziałby z pewnością przecząco.

Ale—abstrahujmy od „autorytetów" i rozważmy samą kwestję głębiej i zasadniczo. Przedewszystkiem co do „wwozu" do Polski moralnych ideałów francuskich. Nikt mnie tu chyba posądzić nie może o jakiekolwiek tendencje antyfrancuskie. Już nie po wojnie tylko, kiedy rzecz stała się aż nadto łatwa, bezpieczna i naturalna, ale i w czasie wojny, kiedy to było o wiele więcej ryzykowne pod każdym względem, na swoim ówczesnym posterunku publicy-

ZŁOTE ZBIORY — M. W. CZEPITA

Z wystawy „Grupy dwunastu" w T. Z. S. P. w Warszawie

stycznym we Lwowie, złożyłam dostateczne, jak sądzę, dowody szczerych i gorących moich uczuć dla Francji oraz niezłomnego przekonania, że w zwycięstwie Ententy i w sojuszu z Francją leży polityczna przyszłość Polski. I tembardziej, dlatego, że tak wielkie przywiązuję znaczenie do przyjaźni francusko-polskiej, pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że przyjaźń ta, jak każda przyjaźń prawdziwa, tylko zyskać może na zachowaniu przyrodzonej odrębności, oraz zasady równorzędności i wzajemności w stosunkach. Ani w dziedzinie dóbr materjalnych, ani moralnych (żeby już trzymać się analogji użytej przez autora), Polska nie może stać się biernym „rynkiem zbytu" tylko dla cudzych towarów i cudzych ideałów. Poznawać się wzajemnie, uczyć się od siebie, zbliżać się do siebie — jak najbardziej! Ale nigdy kopjować tylko biernie, na ślepo i bezkrytycznie. Przestając być sobą w przyjaźni, przestaje się być... przyjacielem. Zresztą czynić tego nie tylko nie należy, ale, — jeśli chodzi o takie rdzenne rysy narodowe, jakim jest moralny ideał, ściślej mówiąc, moralna, najpewniej, najsilniej działająca pobudka, moralny nerw narodu, — szczepić tego niepodobna.

Cały absurd doktryny i wiary np. w asymilację rasy żydowskiej w Polsce polegał na wierze w tę właśnie rzecz niepodobną wogóle, a zwłaszcza w tym wypadku, kiedy różnica ideału, co więcej, owego nerwu moralnego, jest między Polakami a żydami tak jaskrawa i bezwzględna. Jednostki z pośród odmiennych ras i narodów asymilują się, jak są na to dowody historyczne i życiowe, absolutnie, bez zastrzeżeń i bez reszty. Ale jak prawdą jest, że niema reguły bez wyjątku, tak samo jest prawdą, że wyjątki stwierdzają tylko regułę.

Gałązka nawet dzikiego migdału, umiejętnie i szczęśliwie zaszczepiona na drzewie brzoskwiniowem, może jak stwierdzono doświadczalnie, rodzić brzoskwinie, nie różne od innych. Ale nigdy się jeszcze nie zdarzyło i z pewnością nie zdarzy, by całe drzewo migdałowe rodzić zaczęło brzoskwinie, tylko dlatego, że przed wiekami wiatr zawiał nasienie jego do brzoskwiniowego sadu, i że od wieków w tym sadzie rośnie. Tembardziej — gdy rośnie osobno...

Tyle wątpliwości co do tezy drugiej.

Nim przejdziemy do trzeciej, należy zanalizować samo pojęcie honoru, na podstawie danych książki p. Lednickiego o Alfredzie de Vignym.

II. GENEZA „RELIGJI HONORU" VIGNY'EGO

Religijny charakter pojęć Vigny'ego o honorze wynika po-pierwsze z ich genezy, i to tak metafizycznie-racjonalnej jak psychologicznie-moralnej; po-drugie z ich tendencji i wniosków praktycznych.

Co do tego ostatniego, książka p. Lednickiego nie pozostawia żadnych wątpliwości: „Religja honoru" i „ducha czystego" zastąpiła mu religję chrześcijańską, to znaczy, że do ustalenia tych moralnych wartości Vigny nie szukał pomocy religji chrześcijańskiej", czytamy na str. 5 tekstu.

Nie znaczy to, aby Vigny nie wierzył w Boga. Vigny wierzy, wiara ta jest jednym z zasadniczych punktów wyjścia jego systemu, — ale — rzecz ciekawa i szczególnie charakterystyczna dla istoty „religji honoru" — wiara tego „Paskala nienawróconego", jak go ktoś określił, przechodząc do porządku dziennego nad Ewangelją, znalazła podstawę swą i swój przedmiot w... Starym Testamencie.

„Bóg Vigny'ego — powiada p. Lednicki — to Bóg hebrajski. Judaizm bezwzględny, nietolerancyjny, pozbawiony łagodności i miłosierdzia ewangelicznego, uwięził myśl Vigny'ego i nie wypuścił jej ze swych mocnych i bolesnych uścisków..." Ten „Bóg nie jest wszechobecny, nie otacza człowieka opieką i pomocą. Odwrotnie jestto straszne i nieubłagane Bóstwo, człowiekowi wrogie... To „Bóg zazdrosny", „Bóg zemsty", „Zagniewany Bóg", „Nieubłagany Bóg", „Bóg żądny krwi" — jednem słowem starozakonny Bóg, który przez filtr Ewangelji nie przeszedł...

W takiej biblijnej inscenizacji Vigny widzi Boga, zlokalizowawszy go w niebie. Vigny myśli o Bogu zawsze aktem personifikacji. Antropomorfizm ten nie jest tylko estetyczny... Tu o panteistycznem ujęciu i pojmowaniu Boga nie może być mowy; jest to Bóg dogmatyczny" (str. 18 — 19).

Obok tego najważniejszego religijno-filozoficznego wpływu wyobrażeń judaistycznych o Bogu, działał także — dla poety nie mniej ważny — ich wpływ estetyczny:

„Pismo Święte, zwłaszcza Stary Testament, pociągało poetę swym barwnym i bogatym kolorytem *wschodnim*... Poza tem, potężne epickie powstanie biblijnych proroków i królów odpowiadały *romantycznej* wyobraźni, nasycały jej tęsknotę *wybujałością indywidualnego* charakteru... *Romantyczna* figuralność mowy, w której wciąż spotykamy się z hiperbolą, z animuszem, z personifikacją, i wogóle symboliką wszelkiego rodzaju, wyrosła w znacznej mierze na Biblji i była żniwem, zdjętem z jej pola..." (str. 40).

A więc „romantyzm", „wybujałość indywidualna" i „pierwiastek wschodni".

„Przeważna część religijnych utworów Vigny'ego opiera się na Starym Testamencie. A cóż dawał Stary Testament? Ukazywał niezgłębioną przepaść, jaka jest między człowiekiem a Bogiem... Dzieło Ewangelji, akt Chrystusowej ofiary, która tę przepaść wypełnia i daje człowiekowi nadzieję, nie stały się dla Vigny'ego objawieniem... W rezultacie wynikło to, że dla Vigny'ego Ewangelja jakby nie istniała wcale... We wszystkich utworach Vigny'ego, w których obcujemy z jego myślą religijną, obcujemy z Bogiem Starozakonnym". (str. 41—42).

Rzecz jasna, że z tym Bogiem nie może on „gadać", tak jak Mickiewicz gadał, ani rozmawiać, jak rozmawiali Byron i Lamartine. (str. 19).

Temu Bogu Vigny się przeciwstawia, tego Boga... nienawidzi. Reakcja swoista i charakterystyczna, znacząca kres wpływów staro-judejskich na francuskiego poetę.

Uległszy tym wpływom w zakresie objektywnych wyobrażeń religijnych, odcina się od nich bezwzględnie w swoim subjektywnym proteście, w swoim ludzkim Prometeuszowym buncie przeciw tak wyobrażonemu i pojętemu Bogu. Stąd to wynikło, że „jedną z cech zasadniczych usposobienia poety i jego poglądu na świat była nienawiść do Boga spokojna, nie deklamatorska, ale ciągła i głęboka" — jak zauważa jeden z najgłębszych, najbardziej filozoficznych krytyków końca XIX i początku XX wieku, Emil Faguet.

Podkreślmy tedy ten pierwszy rezultat dotychczasowych danych i rozważań: „religja honoru" Vigny'ego jest pod względem metafizyczno-religijnym wyrazem reakcji i buntu przeciw antropomorficznie pojętemu, w niebiosach zlokalizowanemu Bogu Starego Testamentu, w którego poeta serjo i głęboko wierzy, i którego nie mniej serjo — nienawidzi. Czyli obok genezy metafizycznej, działały także na ukształtowanie się systemu Vigny'ego motywy natury psychologicznej. Wedle subtelnego i trafnego spostrzeżenia p. Lednickiego, obok „antropomorfizacji idei bóstwa".

„Podświadomy *antropocentryzm* działał tutaj także. Vigny nie zdołał w swej koncepcji Boga wznieść się ponad ocenę wartości egzystencji człowieka we Wszechbycie, a więc to, co było intencjonalnym gestem w jego sztuce, miało swój odpowiednik w tem, co bym nazwał psychologją jego poglądu na świat. Psychologja ta była *egocentryczna*".

Oto więc czynniki, które genetycznie wpłynęły na ukształtowanie „religji honoru" Vigny'ego: silny estetyczny i filozoficzny wpływ Wschodu, działający głównie przez Biblję Starego Testamentu, antropomorfizacja Bóstwa na sposób prymitywnie i barbarzyńsko żydowski, oraz takie rysy osobiste poety, jak romantyzm, wybujały indywidualizm, egocentryzm.

(D. c. n.)

Irena Pannenkowa

STANISŁAW ZAWADZKI

PO DWUDZIESTU PIĘCIU LATACH

GŁÓWKA (akwarela) *ST. ZAWADZKI*

Młody jeszcze, bo zaledwie czterdziestokilkoletni artysta malarz Stanisław Zawadzki święci obecnie swój dwudziestopięcioletni jubileusz pracy na polu sztuki. Święci — raczej spowiada się publicznie z tego, co w okresie tych długich lat zdziałał dla sztuki naszej, jakiemi drogami szła jego myśl twórcza i gdzie się obecnie zatrzymała. Tem szczerem zwierzeniem się ogółowi jest dzisiejsza wystawa zbiorowa prac Stanisława Zawadzkiego w T. Z. S. P.

Zawadzki, uczeń tylko niedzielny, szkoły rysunkowej W. Gersona po czterech latach studjów przygotowawczych dzięki stypendjum T. Z. S. P. wyjeżdza do Krakowa, gdzie pod kierunkiem Jacka Malczewskiego kształci się w zakresie kompozycji i skąd dwadzieścia pięć lat temu przesyła na wystawę T. Z. S. P. swój pierwszy obraz — głowę starca. Po dwuletnim pobycie w Akademji Krakowskiej Zawadzki, nagrodzony za pracę konkursową p. t. „Twardowski", udaje się na dalsze, wówczas, prawie, że obowiązujące (niestety) polskich malarzy, studja w Monachjum. Poza pracą w Bawarskiej Akademji S. P. artysta polski oddaje się z zamiłowaniem kopjowaniu Tycjana. Po Monachjum studjuje w Paryżu, gdzie w ciągu roku pracuje już zupełnie samodzielnie. W 1905 r. wraca do kraju, skąd w dwa lata później wyjeżdza do Moskwy. W 1910 r. powraca do Warszawy i pozostaje w niej na stałe.

Z powyższego krótkiego życiorysu malarskiego artysty, opierając się następnie na owocach pracy jego, obecnie zebranych, możemy sobie sformułować pewien jasny wniosek, nakreślający nam typ Zawadzkiego — plastyka.

Na talencie Zawadzkiego odbijają się dodatnio dwa niezatarte w jego życiu okresy studjów: pierwszy — to dorywcza, lecz sumienna praca w Warszawskiej Szkole rysunkowej, następnie drugi — to kopjowanie arcydzieł Tycjana. Gerson dał Zawadzkiemu podstawy może zbyt suchego i, niejako milczącego, rysunku, obrazy Tycjana skierowały uwagę w kierunku barwy i tonów. Indywidualność Malczewskiego na charakter malarstwa Zawadzkiego nie wpłynęła zupełnie, znacznie nawet mniej niż Bawarska Akademja S. P., mająca na sumieniu tyle okaleczonych i spaczonych talentów polskich. Muzea paryskie pozostawiły w malarstwie Zawadzkiego pewną oficjalność, dostojną

AKT *ST. ZAWADZKI*

surowość i odrętwienie zarazem, przykładem tego portret mecenasa Suligowskiego — dzieło częściowo o wartościach, częściowo o pretensjach monumentalnych.

Wszystkie jednak wyżej wspomniane wpływy nie wykrzywiły linji zasadniczej talentu Zawadzkiego, który, szczególniej w latach ostatnich, coraz jaśniej wypowiada swoją odrębność.

Obrazami najbardziej zwartemi są wszystkie martwe natury i wnętrza Zawadzkiego. Miejsce drugie zajmują akty kobiece niedopowiedziane pod względem przejść tonacyjnych. Miejsce trzecie — portrety, ogłuszone zawsze jakimś efektem, czyli czemś pozornem i z gruntu kompromisowem.

Najszczerszym artystą, najbardziej doskonałym malarzem jest Zawadzki w swych akwarelach. One poniekąd rządzą na obecnej wystawie i ścicha głoszą mową doskonałą prawdę poważnego talentu młodego jubilata.

n-ski

NA ŁĄCE *ST. ZAWADZKI*

PRZY PRACY (akwarela) *ST. ZAWADZKI*

OSTATNIE BLASKI — B. RYCHTER-JANOWSKA

DWOREK W OSIECZANACH — B. RYCHTER-JANOWSKA

MALARKA GINĄCYCH DWORKÓW

„...W cichym białym dworku jeszcze
Żyje echo dawnej chwały..."

Do niedawna jeszcze były te rozsiane gęsto na obszarach Rzeczypospolitej dwory i dworki nie tylko częstokroć ostoją najpiękniejszej tradycji, ale prawdziwemi skarbnicami, wypełnionemi po brzegi pamiątkami narodowemi, bezcennej nierzadko wartości, dziełami sztuki i rodzimego przemysłu artystycznego. Poza całym sentymentem, jakim zwykliśmy owiewać te tonące w zieleni i jasnem słońcu lub w puchu śnieżnej bieli dworki, widzieliśmy w nich istotnie również naszą odrębność narodową w zwyczajach gospodarskich, jakie się w nich dochowały, w tem specyficznem pięknie ich położenia na tle ogrodów, parków, dróg dojazdowych, alej i stawów, co dobrze świadczy o zmyśle estetycznym naszych przodków— w ich tak typowej architekturze, która niejednokrotnie zastanawiała przybyszów, zdziwionych odrębnością linij architektonicznych i swoistego ich piękna.

Z czasem urobił się pewien typ, prawie ogólny, bez nudnego jednak szablonu i ciasnych formuł, gdyż wszystko zależało od zamożności właściciela dworu, od fantazji, od ilości rodziny, od warunków klimatycznych okolicy i t. p. W tych często czarownych dworach i dworkach może najwyraźniej odbijał się styl nasz, wielkie poczucie estetyki i pańskie, wrodzone ukochanie piękna, charakter narodu, religijna niemal cześć dla ogniska domowego, zbożna miłość dla drzew, kwiatów, trawy i zwierząt, zrośniętych wraz z ludźmi nierozerwalnie z węgłami rozsiadłego po gospodarsku polskiego dworu, który wśród nich stulecia całe królował i najlepszym był ich ojcem.

Pamiętam... Podczas walk polsko-bolszewickich na froncie wschodnio-małopolskim, tuż przed atakiem, rozmawiałem z pewnym przydzielonym do nas oficerem francuskim. Pokazując mi płonący z daleka na tle lasu śliczny dworek (wczoraj jeszcze był w naszych rękach i razem w nim kwaterowaliśmy), rzekł głęboko wzruszonym głosem:

— Jaka szkoda! Przecież to ginie teraz bezpowrotnie dusza tej okolicy...

Mądre, prawdziwe słowa reprezentanta najkulturalniejszego na świecie narodu. Dusza okolicy!.... Były nią nasze dwory i dworki, których tyle zmiotła

BRONISŁAWA RYCHTER-JANOWSKA
w swojej pracowni krakowskiej

wojna, rozkradły bezczelnie zbiry niemieckie, splugawiły i spaliły zwierzęta żydowsko-bolszewickie. Tylko wypadkiem, zdala od dróg i zachłannych oczu ludzkich ostały się jeszcze bardzo nieliczne dworki, do których, jak do ostatnich świadków przeszłości, z tem większą miłością garnie się serce polskie.

Przypomnieć tę przeszłość, zostawić malowany ślad tych osiedli, utrwalić uroczą architekturę tych dworków — postanowiła sobie znana artystka-malarka, Bronisława Rychter-Janowska, która od szeregu lat jeździ po całej Polsce i z całą pasją je maluje. A, że jest Polką z krwi i kości i dziadowie jej w takich właśnie dworkach siedzieli, rozumie ich czar nieuchwytny, umie zasłuchać się w szept odwiecznych drzew i suchy potrzask węgłów starych domostw, chwyta sercem snującą się wewnątrz i zewnątrz dworów legendę dawnych lat, więc też przy swoim niepospolitym talencie, wspartym o długie lata rzetelnych studjów, tworzy obrazki śliczne, przemawiające do każdego. Jej dworki na każdej wystawie są rozchwytywane. Widać w tem naszą tęsknotę do środowisk, z których każdy Polak wyszedł, miłość tradycji i chęć oderwania się choćby w myślach, przy takim obrazku, od dusznych miast i przeniesienia się tam, gdzie wśród pól „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem", w jasnych blaskach polskiego słońca duma dwór, „zdala świecąc zjawą białych ścian".

Poza stroną czysto malarską, wielkiej wartości, mają te obrazki duże znaczenie kulturalne, gdyż z nich kiedyś, jak z książek, czytać się będzie również historję naszego kraju, z nich brać się może będzie formy przy odbudowie osiedli wiejskich, one mówić będą pokoleniom jak mieszkali ich dziadowie, jak kochali się w pięknie i w wygodzie, szukając do tego własnego estetycznego sposobu wypowiedzenia się.

Jak widoki Canaletta będą poszukiwane — więcej jeszcze: będą kochane tembardziej, że już tylko będą barwną zjawą tego, co niegdyś było drogie nad wszystko, skąd rozchodziły się echa zgodnego rytmu zbiorowej duszy narodu, która w tych dworkach w ostatnich dziesiątkach lat krwawiła się, by z tej krwi, w łunach płonących strzech, wyszła wieczna wolność Polski.

WNĘTRZE DWORKU — B. RYCHTER-JANOWSKA

Artur Schroeder

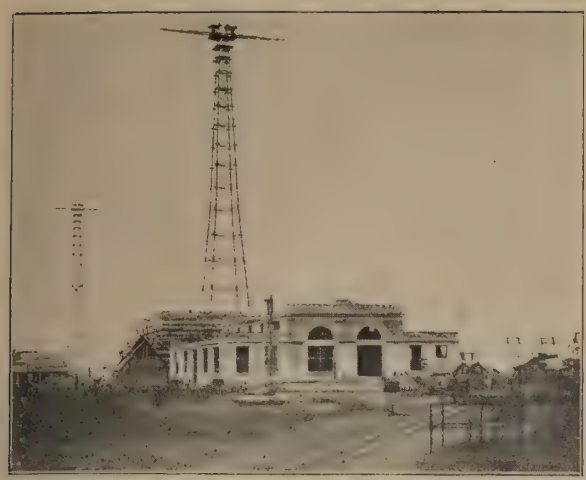

Przed kilku dniami odbyło się w Warszawie poświęcenie transatlantyckiej stacji radjotelegraficznej, jednej z największych w Europie. Pierwsza z naszych ilustracyj przedstawia halę maszyn — druga Prezydenta Wojciechowskiego, który wziął udział w poświęceniu radjostacji

WACŁAW GRUBIŃSKI

Nowa premjera w Teatrze Polskim

Wacław Grubiński, Autor „Kochanków", „Lenina" i „Pięknej Heleny" napisał ostatnio nową sztukę p.t. „Lampa Aladyna", która weszła właśnie na repertuar Teatru Polskiego. Jest to komedja czteroaktowa, współczesna, mówiąca o tem, jak żyć należy, aby być szczęśliwym. Autor, wbrew ogólnemu zniechęceniu wszystkich do życia, wskazuje na jego radosne strony. Sztuka utrzymana w lekkim tonie, pełna świetnych dialogów — pewnie długo utrzyma się na afiszu.

Inż. GUSTAW KAMIEŃSKI

25-lecie działalności Stowarzyszenia Techników w Warszawie

8 grudnia Stow. Techników obchodzić będzie 25-lecie swego istnienia i działalności. Inicjatorem i założycielem tej instytucji jest powszechnie znany inżynier, przemysłowiec, profesor, b. pułkownik wojsk polskich i literat Gustaw Kamieński, który w r. 1896 opracował statut i, mimo największego oporu władz moskiewskich, zdołał wywalczyć jego zatwierdzenie w Petersburgu.

Instytucja rozpoczęła swoją działalność w grudniu tegoż roku i chlubnie zapisywała ją przez ćwierć wieku na kartach dziejów naszej techniki i przemysłu.

Jednym z również zasłużonych działaczy jest długoletni prezes Stowarzyszenia inż. Piotr Drzewiecki, dzięki niespożytej energji którego Stow. posiada od 1905 r. własny gmach artystycznej wartości przy ulicy Czackiego. Jemu również zawdzięczać należy, że w r. 1905, gdy wywalczyliśmy szkołę polską, Stow. uzyskało koncesję i otworzyło szkołę realną im. Staszica, następnie wybudowało dla niej własną siedzibę według najnowszych wymagań szkolnictwa i higjeny.

Stowarzyszenie obecnie posiada 2800 członków, dzieli się na 17 kół i wydziałów zawodowych i 21 koleżeńsko-towarzyskich.

W 1920 r. gdy nawała bolszewicka zagrażała stolicy, Stow. utworzyło komisję werbunkową i rejestrowało inżynierów techników, pragnących wstąpić do wojska polskiego. Komisja była zatwierdzona przez Min. Spraw Wojskowych i zwerbowała 1065 ochotników.

Z inicjatywy Stowarzyszenia zaaprobowanej przez Władze Wojskowe ufortyfikowano brzegi Wisły pod Warszawą przy pomocy 2500 robotników kopaczy, wziętych z budowy kolei Kutno-Strzałkowo.

Stow. zorganizowało 2 zjazdy (za rządów moskiewskich było to wyłączone) jeden w 1917 r. celem porozumienia się w sprawie odbudowy kraju, — drugi w ostatnich dniach września r. b był pierwszym zjazdem polskich techników zrzeszonych (19 instytucyj).

Dn. 25 listopada odbyło się w Politechnice Warszawskiej uroczyste poświęcenie tablic ku czci poległych w walkach o wolność 1918—1920 studentów Politechniki (Fot. Sarjusz-Wolski)

Poseł węgierski p. Aksander Belitska wręczył w Belwederze listy uwierzytelniające p. prezentowi Wojciechowskiemu. Od lewej do prawej stoją: bar. Apor, radlegac., poseł Belitska, hr. Przeździecki, radca legac. Mé i attaché poselstwa Hertelemby (Fot. Sarjusz-Wolski)

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Wincenty Herse

por. I dywizjonu artylerji konnej, kaw. orderu Virtuti Militari i Krzyża Walecznych, zmarł dnia 18 listopada b. r. Ś. p. por. Herse należał do najdzielniejszych oficerów. Przyczyną przedwczesnej jego śmierci były kontuzje, otrzymane przy zdobyciu Wilna.

Ofiary katastrofy balonowej pod Toruniem

Na lotnisku pod Toruniem zerwał się z uwięzi balon obserwacyjny. Ofiarą tej katastrofy padło trzech oficerów, znajdujących się w tym balonie.

Ś. p. Jerzy Zawadzki
(* 3 lipca 1900 w Olszanie)

Por.-pilot Ś p. Witold Drozdowski
(* w Lidzie 1897)

Ś p. Zygmunt Krupiński
(* 2 maja 1896 w Warszawie)

Przedruki i przekłady zastrzeżone.
Copyright by W. Sieroszewski nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA

POWIEŚĆ

42)

— Rozumie się, bądź pewien... — uspokajał go Szag-dur.

— Pisać będziemy, możesz być spokojny... Niewiadomo tylko, czy dojdą nasze listy!... — zauważył Domicki.

— Na pewno dojdą. Władek wciąż będzie przy sztabie a ze sztabem łączność na chwilę się nie przerwie... Co dzień — jeden, albo nawet kilku gońców!... Moja w tem głowa, do mnie przynoście listy!— wstawił Senge Lama.

— Pracują tu jednak jakieś silniejsze, nawet od was, duchownych, potęgi... — dorzucił Domicki. — Nie mogliście się jednak nic dowiedzieć!...

— Odpowiedzi na rozesłane do klasztorów zapytania jeszcze nie mogły przyjść... — usprawiedliwiał się Senge Lama.

— Przyjdą, przyjdą... Bądź pewien, że zaraz cię zawiadomimy!... — znów dodał uspokajająco Szag-dur, zwracając się do Korczaka.

— Dlaczego posłaliście do klasztorów?... Skąd ta pewność, że ona tam... Ja myślę, że to policja, że to sprawka tych nędzników, Biełkina i Wołkowa... Nie ujdą mi, Bóg świadkiem, zemszczę się...— burzył się Korczak.

— Wątpię, żeby policja... Nie ośmieliliby się... Jestem przekonany, że to dziurbiuci... I dlatego spokojny jestem, że nie dzieje się jej żadna krzywda... Otaczają ją czcią i wygodą przynależną „Białej Darichu"... — odparł Szag-dur.

— Niema jej jednak w klasztorze „Darichu" w górach Baj-kemu... Już to sprawdziłem... — zauważył Senge.

— Widzicie, widzicie!... To napewno oni... Czuję, że ci nędznicy — wybuchnął Korczak. — Obiecajcie mi, że choć ciało znajdziecie!...

— Ależ znajdziemy ją całą i zdrową!— uspokajał przyjaciela Szag-dur.

— Kiedyż mam czekać wiadomości?..

— Kto może przewidzieć!... — mruknął Senge.

Szag-dur milczał zbolały i żałośnie spoglądał na przyjaciela.

— Zdezertuję!... — szepnął ten. — Zdezertuję, jeżeli wieści mieć nie będę!... Prawda, Maćku?... Drapniemy?...

Maciek kiwnął swoją ostrzyżoną wielką głową, na której z trudem trzymała się zbyt mała barania „papacha".

— Nie radzę!... — odrzekł spokojnie Senge. — Wszystko co można będzie zrobić, zrobimy... Szag-dur świadkiem!... Twoja ucieczka z wojska utrudniłaby nam wszelkie starania... Dodałbyś tylko kłopotu, a nic nie pomógł....

— W każdym razie zaczekaj do mego przyjazdu na front... — radził Domicki.

— A ty kiedy przyjeżdżasz?

— Sam nie wiem, ale myślę, że niedługo... Te pierwsze wywiady są przecież najważniejsze....

— Już czas, idą!... — szepnął Maciek, kiwając w stronę koszar.

Istotnie we drzwiach ukazało się dwóch oficerów i natychmiast grupki żołnierzy rozbiegły się do swoich koni.

Wyższy oficer, który szedł pierwszy, zatrzymał się, powiódł oczami po szeregach i, spostrzegłszy Szag-dura, Senge i Domickiego, niechętnie zmarszczył brwi.

Korczak i Maciej pośpiesznie żegnali się z przyjaciółmi. Za chwilę rozległa się komenda, żołnierze wsiedli jednocześnie na koń i ruszyli trójkami wzdłuż ulicy, torując sobie drogę wśród tłumu.

Korczak, kołysany w krótce miarowym krokiem konia, zamyślił się głęboko. Pogrążył się w bezmyślnej, bolesnej mgle zadumy, pełnej wstrętu do samego siebie i całego otoczenia... Więc wraca, djabeł wie naco i poco i dla kogo do tego przeklętego kraju, z którego uciekł z takim trudem, i o którym zachował tak straszne wspomnienia?... Poco, naco, dla kogo?...

Pędzą ich jak barany na rzeź!... Niema w tem ani krzty prawdy, co opowiada kapitan Mroczek, że dojdą ze zwycięskiemi wojskami aż do Polski i że za wierną służbę będą nagrodzeni niepodległością Ojczyzny!... Kto mu to mówił?... Kto mu może dotrzymać?... Wyssał pewnie z palca i opowiada, aby żołnierzy zatrzymać w posłuszeństwie, podtrzymać w nich ochotę do walki, ale on, Korczak, wcale tej ochoty nie ma, szczególniej teraz, kiedy go tak skrzywdzono...

Szum samochodu, jęki syreny i okrzyki „uruj!" zbudziły go z zamyślenia. Bokiem gościńca pędził z miasta samochód głównodowodzącego. Na tylnem siedzeniu wpół leżał, otulony w drogie lisie futro, baron. Nie zwracał uwagi na powitania, na które odpowiadał nieustannem salutowaniem, tkwiący obok niego sztywno adjutant. Jenerał nie ruszał się, leżał jak martwy z blademi oczami, utkwionemi w dalekie przestworza...

Sępia twarz Niemca mignęła przed Korczakiem jak zmora. Czuł zawsze do narzuconego sobie dowódzcy niechęć i odrazę; w tym momencie spotęgowała się ona nagle do nienawiści...

— To on, on prowadzi nas na ubój!... Dla swoich korzyści, dla swej karjery i sławy!... Łudzi nas frazesami o sprawiedliwości, o cnocie, o rycerskości!... tymczasem sam... Dużo o tem gadają po cichu... A co, jeżeli to on porwał Hankę?... Jak inaczej wytłumaczyć bezskuteczność wszelkich wysiłków ze strony takich wpływowych ludzi jak Dordżi Nojon, jak Doił-chań-cy i innych... Nawet mnichy Senge nic poradzić nie mogą. A przecież lama wie, co kamień myśli!... przypomniał sobie cytowane nieraz przez Szag-dura przysłowie... Ale jeżeli, jeżeli to tak... Jeżeli przekonam się, że to on, siebie nie pożałuję i nikogo nie oszczędzę!...

Krew w nim zawrzała. Przypomniał sobie z boleścią rysy siostry, jej oczy szczere, łagodne, pełne przywiązania, jej usta uśmiechające się tak wesoło i dziecinnie... I nagle wyobraził sobie to miłe oblicze wykrzywione przerażeniem i męką...

Ręka mimowoli opadła mu na rękojeść pałasza, ścisnął mocno gardę i serce spokojniej mu bić zaczęło...

— Przysięgam, że wyzwolę cię lub pomszczę!... — szepnął.

— Maćku, jak myślisz, zobaczymy jeszcze panienkę?... — zwrócił się do jadącego obok Przygody.

— Panienkę to może zobaczymy, bo te Mongoły mają ją za świętą i tknąć nie dadzą, ale co do Polski, to wątpię, żeby my ją widzieli... Zadziobą nas te „bolszewiki", takie ich chmary!...

— Ee, nie damy się, Maćku, nie damy! Byle panienka była zdrowa i żywa!... — odparł już weselej Korczak, któremu wiejące ze słów Maćka przygnębienie wróciło nagle przyrodzoną energję i oporność.

— Gdzie ma być postój? Nie wiesz?— spytał.

— Nie wiem. Niedaleko podobno, baron ma robić przegląd na pierwszem dużem polu za Tołą. Tak gadał w „śtabie"..

Jadąc wciąż tęgiego skrocza, rozmawiale już wyłącznie o swoich żołnierskich sprawach. Dookoła zapadała chmurna i wietrzna noc.

XVII.

Noc, której Wołkow uwiózł Hankę ze stawki Dordżi Nojona, była zimna i chmurna. Słabo ujeżdżona droga mglisto migała przed samochodem w świetle reflektorów, potęgujących otaczające w koło ciemności. Porywczy wiatr dął im wprost w twarz i Janka tuliła się w swoje cienkie lekkie uranie, zasuwała ręce w rękawy, naciągał poły „chałata" na kolana, starając się trzymać w sobie szybko wysysane wichrą ciepło. Za żadne skarby świata nie chciała zwracać się do Wołkowa i korzysta z ofiarowanych przezeń pledów i koców.

— Ciepło mi, ciepło. Dziękuję! Niech pan się nie trudzi! — zeptała przemarzłemi ustami, gdy proował ją w nie otulać.

(Dcn

TADEUSZ RITTNER

MOST

POWIEŚĆ 21)

Październik się zbliżał, a Marjanna jeszcze nie znikała.

— Mój panie — zauważył budowniczy—gdzie się podziała pańska wesołość?

— To ma swoje powody — mruknął Jakób.

Brzmiało tak, jak: To pana nic nie obchodzi. Nie brzmiało w każdym razie ani życzliwie ani grzecznie.

— Rozumiem to — stwierdził budowniczy prawie złośliwie. — Teraz i pan jest przygnębiony. O, ten straszny czas nie oszczędza nikogo!

Jakób powiedział rozdrażniony:

— Co mnie czas obchodzi? Nie jestem takim niedołęgą jak inni. Nie dam sobie odebrać odwagi.

— Ma pan rację. Doskonale!

Jakób milczał przez chwilę. Nagle:

— Pan miał pewnie wiele do czynienia z kobietami podczas swego długiego życia?

Budowniczy uśmiechnął się zdumiony.

— Hm, to bardzo pochlebne posądzenie z pańskiej strony, bardzo... ha, ha... Ale moja skromna czystość na tem polu niegodną jest wzmianki... Ja byłem zawsze czem innem zajęty...

— Tak jest — wtrącił Jakób — ja jestem także zajęty. A taka kobieta zawadza zanadto przy pracy?

Starzec powtórzył kilkakrotnie:

— Bardzo słusznie.

Bóg wie, dlaczego się przytem chytrze po szelmowsku uśmiechnął.

— Nie — mówił i osuszał sobie oczy.— Elektrotechnika jest ważniejsza. Jak pana znam, nie da się pan przez żadną kobietę wstrzymać, choćby się panu nie wiem jak podobała.

— O mnie tu niema mowy — zauważył Jakób.

— Wiem, wiem... Ha, ha... myślałem tylko, że pan już jest taki. Wszystko załatwia pan zaraz — poco długo marzyć i wzdychać? Zaraz uchwycić — i koniec! A potem będzie pan szedł dalej swoją drogą i będzie pan znowu rozsądny.

Zresztą Jakób pożegnał się już właśnie niedawno ze swym ostatnim uczniem.

Była jesień.

Marjanna była trochę zdziwioną, bo po niedługim czasie Jakób odwiedził ją znowu.

Powiedziała ucieszona:

— Przychodzisz zrobić zdjęcie?

Ale Jakób nie miał i dziś aparatu ze sobą. Wydawał się dziwnie nieśmiałym i zmieszanym.

— Byłaby szkoda, jest za ciemno — tłumaczył się — poco psuć płyty?

A jednak przyszedł.

Marjanna spojrzała na niego prędko i ciekawie ciemnem spojrzeniem kobiety, wszystko wiedzącej.

— Proszę cię, siadaj — rzekła do niego dziwnie zmienionym głosem.

Z tej drugiej wizyty Jakób wrócił do domu z czerwoną twarzą i błyszczącemi oczyma.

Powiedział sobie:

— Sprawa załatwiona. Jestem znów rozsądny i idę spokojnie naprzód.

Umył sobie twarz i ręce, które pachniały słodkiemi perfumami Marjanny, położył się do łóżka i zaraz zasnął.

Po krótkiej nocy, bez snów, napisał do pani Eugenji w St. Paul:

„Wszystko co miałem tu do czynienia — jest załatwione. Jestem gotów i chcę jechać z Tobą na południe. Tak, będziesz miała Twoje południe. Koszta, ja ponoszę. Będziesz pływać w morzu. Zobaczysz znowu mewy, które ci się tak podobały nad genewskiem jeziorem. Proszę Cię, zacznij zaraz pakować. Jak długo to będzie trwało? Tydzień? Dwa? Pośpiesz się Mamo, bo jak już powiedziałem, ja jestem gotów".

XVI.

Mewy prowadziły życie głośne i rzucające się w oczy. Z ustawicznym szelestem skrzydeł latały ciągle w kółko i krzyczały jak małe dzieci. Przybywały zdaleka, może z okolic, które nazywano nieprzyjacielskiemi. Ale osiedliły się po tej stronie całe narody mew, w małej zatoce dawnej bardzo znanej miejscowości kąpielowej. I dawały się karmić ludziom, którzy mieli sami mało co do jedzenia i tylko w mniejszej ilości składali się z kuracjuszów; nieletnim dzieciom, tragarzom bez roboty i kelnerom hotelowym, a najwięcej starszym, kilkoma latami wojny, zmęczonym i na tęsknotę za Ojczyzną i inne rany chorym żołnierzom.

Kiedy im się rzucało kawałeczki chleba, wykonywały niezwykle interesujące i artystyczne ruchy. Dawały przedstawienie. Chwytały smaczne kąski w powietrzu, ustawicznie latając w kółko, szybko, i nie zważając niejako na rzucających. Pracowały, jak linoskoczki, pozornie tylko swoją sztuką zajęte, nie troszcząc się o nagrodę i oklaski. Z powodu skórki z chleba i kawałeczka ciastka nie zmieniały nigdy swego kursu, a przecież w końcu chwytały wszystko, niby przypadkiem. Tak zgrabne były i wyuczone w swem rzemiośle. W niebieskiem przestworzu, były tak zblazowane i obojętne, jak na niebieskiej wodzie. Były w stanie w locie zatrzymać się na krótko i oglądnąć się spokojnie za zdobyczą; wyglądały wtedy dziwnie wielkie i ciężkie, prawie jak ptactwo domowe, a nie jak jasno-srebrne morskie tancerki.

Szczególnie ładnie, po ludzku umiały także leniuchować; namyślały się tylko, albo rozmawiały jedna z drugą. Odpoczywały na małych, drewnianych drążkach, które wystawały z wody; na niezliczonych wieżyczkach z drzewa, z których każda była kilkakrotnie przez nie zajęta. Cały las niskich drzewek — mew, które niekiedy cicho szumiały; nigdzie wolnego miejsca, tak jak w przepełnionem miasteczku ludzkiem.

A na ławkach na brzegu morza siedzieli chorzy żołnierze.

— Jeszcze się słyszy armaty — rzekł jeden z nich.

— Nie, skończyło się wszystko — mówił inny.

Ale to, co mówili, brzmiało tak raczej, jakby utrzymywali, że się prawie skończyło. Patrzyli tępym wzrokiem, prawie beznadziejnie. Jakgdyby to, co już znieść musieli, jeszcze trwało, przynajmniej w nich samych.

— Smutno wyglądają — zauważyła Eugenja.

— Mają malarję—oświadczył Jakób— albo rany od kul, to wszystko.

Ale najchętniej byłby sam usiadł, albo się położył. Owładnęło nim dziwne uczucie, którego nie umiał wytłumaczyć, zrobił się naraz taki leniwy... Eugenja spoglądała na niego często zdziwiona i zaniepokojona; na nią samą morze wpływało tak świetnie, czuła się lekką i młodą, jak nigdy i codziennie miała ochotę coś przedsiębrać.

Ja jestem zdrów, myślał Jakób, znajduję tylko, że życie tu jest strasznie nudne. Tak, przez pierwsze dwa dni, morze było bardzo ładne... Ale teraz nie mam tu nic do roboty. Moja bezsenność tylko stąd pochodzi. A co mnie obchodzą mewy?

Ale nic nie mówił, żeby matce nie psuć przyjemności. Żeby się przynajmniej miało gazety i książki!

Ale Eugenja była także niespokojna.

— Odkąd tu jesteśmy, nie dostaję żadnych listów — skarżyła się.

— Nie czekaj na nie, bo prawdopodobnie i później nie będziemy dostawali żadnej poczty. Nie powinnaś się lękać, to jest całkiem naturalne. Koleje mają teraz ważniejsze rzeczy i nie mogą się troszczyć nawet o wszystkich pasażerów.

Jakób nazywał to „pocieszaniem", ale Eugenja była potem jeszcze więcej strapiona.

— To moja wina — utrzymywała — powinniśmy byli zostać w domu. Kto jeździ w takich czasach, kiedy się koleje troszczą tylko o wojsko! Ach, moje dziecko, myśmy zupełnie zwarjowali, przyjeżdżając tu! Tyś mi wprawdzie sam zaproponował jazdę na południe, ale tylko dlatego, że ja sobie tego życzyłam. Moich życzeń nie trzeba nigdy brać na serjo, to jest najniebezpieczniejsze co tylko być może....

Jakób skręcał sobie starannie papierosa.

(Dcn)

O RACJONALNYM HANDLU DRZEWEM

(Zdjęcia fotograficzne Marjana Fuksa)

„Poznaj samego siebie" — oto maksyma grecka, która przetrwała tysiąclecia i nie straciła ani trochę na sile. Zawarta jest w niej bowiem głęboka mądrość. Niema nic trudniejszego nad zgłębienie własnych wartości. Na dnie duszy ludzkiej czy też duszy narodu drzemią siły i uczucia, które, odpowiednio poruszone, mogą wydać piękne owoce. Trzeba tylko je poznać.

Stosować to można zarówno do jednostki, jak i do całego państwa. Państwo posiada zapas bogactw niewyczerpanych, które leżą odłogiem i czekają na umiejętną eksploatację.

Kraj nasz obfituje zwłaszcza w bogactwa naturalne. Pośród nich jedno z najpoważniejszych źródeł przemysłu krajowego stanowią lasy.

Największe przestrzenie leśne znajdowały się na Kresach Wschodnich. Znane litewskie puszcze, pełne mroku i poezji, opiewane niejednokrotnie przez poetów, pod względem gospodarki leśnej znajdowały się atoli w opłakanym stanie.

Zaborca rosyjski nie troszczył się o należyte utrzymanie drzewostanu. Jedynie puszcza Białowieska, dzięki polowaniom cesarskim, urządzanym tam od czasu do czasu, cieszyła się jakim takim ładem i porządkiem. Olbrzymie zaś bory z okolic Wilna, Grodna, z Polesia i Wołynia, ulegały wyniszczeniu, wskutek rozmyślnej taktyki rabunkowej.

Wielu Polaków właścicieli większych posiadłości ziemskich w b. zaborze rosyjskim rozumiało konieczność racjonalnej gospodarki leśnej. W tym celu pragnęli oni sprzedawać część lasu swego na wyrąb, co nie tylko nie zaszkodziłoby drzewostanowi, lecz, przeciwnie, przyczyniłoby się do jego podniesienia.

Na to nie pozwalał im wszakże rząd rosyjski, mający na celu radykalne wyniszczenie żywiołu polskiego, a więc walczący z nim przedewszystkiem ekonomicznie.

Za to gdy chodziło o Rosjan, ci zawsze otrzymywali pozwolenie na bezmyślne nieraz wycinanie większych obszarów leśnych i cieszyli się poparciem rządu. Koncesje na eksploatację lasów otrzymywali w ten sposób często ludzie zupełnie do tego niepowołani, jak „prawomyślni" urzędnicy rosyjscy.

IGNACY hr. MIELŻYŃSKI.
Prezes Rady Nadzorczej Tow. Akc. „Drzewo" w Poznaniu

Niemałą rolę w tych smutnych dziejach niszczycielskiej gospodarki odegrali Żydzi. Za minimalną opłatą ogólnej wartości dóbr leśnych, otrzymywał Żyd — handlarz od przypadkowego właściciela — Rosjanina cały obszar leśny do natychmiastowego wycięcia.

Rezultatem tego są olbrzymie karczowiska, na których nic nie rośnie, pokrywające wielkie nieraz przestrzenie na Kresach Wschodnich.

Podobna gospodarka odbywała się w b. zaborze austrjackim. Uległy temu losowi bogactwa leśne Małopolski. Wspaniałe gęste lasy na zboczach Karpat i Beskidów zostały również znacznie przetrzebione.

Co najważniejsza, że z bogactw tych, na ziemiach odwiecznie polskich się znajdujących, żadnej korzyści nie mieli właśnie Polacy. Całe zyski ze sprzedaży drzewa ciągnęli wyłącznie handlarze zagraniczni i spekulanci żydowscy. Istniały wprawdzie dość surowe ustawy leśne, zawsze jednak potrafiono je ominąć. I na rynkach międzynarodowych, na giełdach zagranicznych spekulowali drzewem polskiem i zawierali tranzakcje kupcy niepolscy.

Nie było też w rękach polskich zakładów przemysłowych drzewnych, ani tartaków.

Podczas takiego stanu rzeczy wybuchła wojna światowa, która dobiła u nas do reszty tę gałąź przemysłu.

Zajmując ziemie, na których nie spodziewali się długo przebywać, eksploatowali Niemcy ziemie nasze w sposób iście barbarzyński, ogałacając je ze wszystkiego, co mogło przedstawiać jakąkolwiekbądź wartość. A więc zabrano się do gwałtownego wycinania lasów. Stawiano tartaki, rżnięto pnie na belki i deski i wysyłano do Niemiec co się dało.

Z zamętu dziejowego korzystała również ludność miejscowa, wyrębując lasy na własną rękę, w przeświadczeniu swej bezkarności.

OGÓLNY WIDOK NOWOWYBUDOWANEGO TARTAKU I FABRYKI TOW. AKC. „DRZEWO" WE WRONKACH

DYREKTOR TOW. AKC. „DRZEWO" P. WŁADYSŁAW ALKIEWICZ

DYREKTOR TOW. AKC. „DRZEWO" P. KAZIMIERZ SOWIŃSKI

A jednak, mimo wszystko, cała ta wandalska gospodarka nie zdołała podciąć korzeni naszego przemysłu drzewnego. Bogactwa nasze w lasach spoczywające są tak wielkie, że barbarzyńcy zdołali je tylko osłabić, ale nie zdołali zniszczyć. Lasów mamy jeszcze tyle, że mogą stać się one podstawą dobrobytu naszego kraju.

Do tego niemało przyczyniła się ta okoliczność, że w Poznańskiem gospodarka leśna prowadzona była zawsze we wzorowym porządku i drzewostan przedstawia się tam jak najlepiej.

ADWOKAT B. PIŃKOWSKI. Członek zarządu Tow. Akc. „Drzewo"

Tam też powstała inicjatywa do uregulowania naszego przemysłu drzewnego. Energja jednostki powołała do życia w styczniu r. 1923 Towarzystwo Akcyjne "*Drzewo*". Towarzystwo to ma na celu skoncentrowanie tego przemysłu w rękach polskich drogą ogarnięcia jaknajszerszych kręgów w tej dziedzinie, bądź to przez zakup materjałów drzewnych od drobnych przedsiębiorców, bądź też — i to stanowi jego najważniejsze zadanie — przez wykupienie placówek drzewnych z rąk żydowskich. Szlachetną tę akcję podchwyciło Wielkopolskie zrzeszenie właścicieli lasów, finansowo zaś poparł ją Bank Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego. Niemal całkowicie należą również do Tow. Akc. „*Drzewo*" akcje Towarzystwa Wielkopolskiej Fabryki wyrobów z drzewa — Onufry Goertner, Tow. Akc. we Wronkach.

Na czele zarządu tej instytucji stoją dyrektorowie: Władysław Alkiewicz i Kazimierz Sowiński, oraz syndyk Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego, adwokat Bolesław Pińkowski.

W skład Rady Nadzorczej, na której czele stoi Ignacy hr. Mielżyński z Iwna, wchodzą obywatele ziemscy: pułk. Władysław Sczaniecki, Stanisław Kurnatowski z Pożarowa, Konstanty Chłapowski z Mościejewa, Zygmunt hr. Czernecki z Bugaju, Sylwester Urbański, dyrektor Banku Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego, Franciszek Górski, dyrektor dóbr Łamiszyńskich, Bethman Hollweg, obywatel ziemski z Runowa i hr. Hochberg z Goraju.

Ponieważ nowopowstała placówka przemysłu drzewnego jest niewątpliwie jedną z najpoważniejszych w kraju, do czego przyczynia się także jej wysoce patrjotyczna akcja, sądzimy, że głos jednostek, stojących na czele tej instytucji, powinien zainteresować ten odłam społeczeństwa, któremu los wytwórczości polskiej nie jest obojętny. Zwróciliśmy się więc do dyrektorów *Towarzystwa Akcyjnego Drzewo*, którego biura mieszczą się w Poznaniu przy ul. Rzeczypospolitej 9.

Pp. Alkiewicz i Sowiński chętnie udzielili nam informacyj.

— Przy powstawaniu jakiejkolwiek bądź nowej instytucji przedewszystkiem nasuwa się pytanie, jaki jest jej cel zasadniczy — rozpoczynamy wywiad.

— Czy nie zechcą nam panowie określić bliżej zadania Towarzystwa?

— Zasadniczym celem Towarzystwa naszego jest przeróbka surowca drzewnego oraz handel przetworami z zagranicą — odpowiada p. dyr. Alkiewicz. — W tym celu nabywamy olbrzymie ilości surowca od prywatnych właścicieli i przerabiamy je na naszych tartakach.

— Słyszałem, że Towarzystwo wypowiedziało stanowczą wojnę Żydom?

— To jest właśnie także jednym z celów założenia Tow. *Drzewo*. Nabywamy materjał tylko bezpośrednio od właścicieli, z pominięciem żydów - pośredników, którzy tak podkopywali podstawy przemysłu swą spekulacją. Żebyśmy działali wszyscy tak solidarnie — ożywia się dyrektor — handel w Polsce byłby całkowicie w naszych rękach.

— Czy „Drzewo", jak na świeżo założoną placówkę, prosperuje zadawalniająco?

— Działalność nasza ciągle się rozszerza. Z nabywanych surowców produkujemy przedewszystkiem t. zw. półfabrykaty, t. j. bale, deski, kantówki i t. d. Dla tego użytku posiadamy kilka tartaków, będących w pełnym ruchu. Obecnie Towarzystwo wzbogaciło się jeszcze

FRAGMENT CENTRALNEGO BIURA TOW. AKC. „DRZEWO" W POZNANIU PRZY UL. RZECZYPOSPOLITEJ 9

o jeden nowy tartak, zaopatrzony w maszyny najlepszej konstrukcji— dodaje p. dyr. Sowiński. — Jest on pędzone siłą elektryczną i daje świetne rezultaty.

Ponieważ posiadamy również własną suszarnię, w której są urządzenia, przystosowane dla drzewa, które wymaga suszenia przez parę lat, zakres działalności naszej jest bardzo szeroki. Dzięki bowiem tej suszarni może fabryka produkować coś nawet z drzewa zupełnie świeżego.

— Czy cała działalność fabryki koncentruje się w jednem miejscu?

— O nie, to byłoby niemożliwe. „Półfabrykaty" są wyrabiane w specjalnie na ten cel przeznaczonych fabrykach pod Szubinem, miejscowości położonej przy stacji Pińsko, o 30 km. od Bydgoszczy. Mamy własny tartak, urządzony podług ostatnich wymagań technicznych. Tam również prowadzimy eksploatację własnych lasów.

W ostatnim czasie otrzymało nasze Towarzystwo znaczne zamówienia z Anglji i Francji na deski i inne przetwory drzewne.

Prócz tartaków istniejących budujemy bezustannie nowe, bo instytucja, która stoi na miejscu i nie rozwija się—właściwie się cofa.

— Słuszna zasada — przyznajemy. — Jeżeli *Drzewo* nadal kierować się nią będzie, należy mniemać, że rozwój jego pójdzie w bardzo szybkiem tempie.

— A więc głównym artykułem, wyrabianym przez *Drzewo*, są półfabrykaty?—ciągnę dalej.

— To jest wprawdzie większą częścią naszej produkcji, lecz wyrabiamy także meble, które mają wielki zbyt. Specjalnością naszą są krzesła, aczkolwiek wyrabiamy meble wszelkiego rodzaju. Fabryka nasza jest w stanie wyprodukować rocznie 100.000 krzeseł. Do tak intensywnej produkcji przyczynia się niemało urządzenie, pod względem technicznym pozostawiające niewiele do życzenia. Posiadamy własną stację elektryczną z maszyną o sile 200 H. P. i trzy dynamomaszyny.

HALA MASZYN DO OBRABIANIA DRZEWA WE WRONKACH

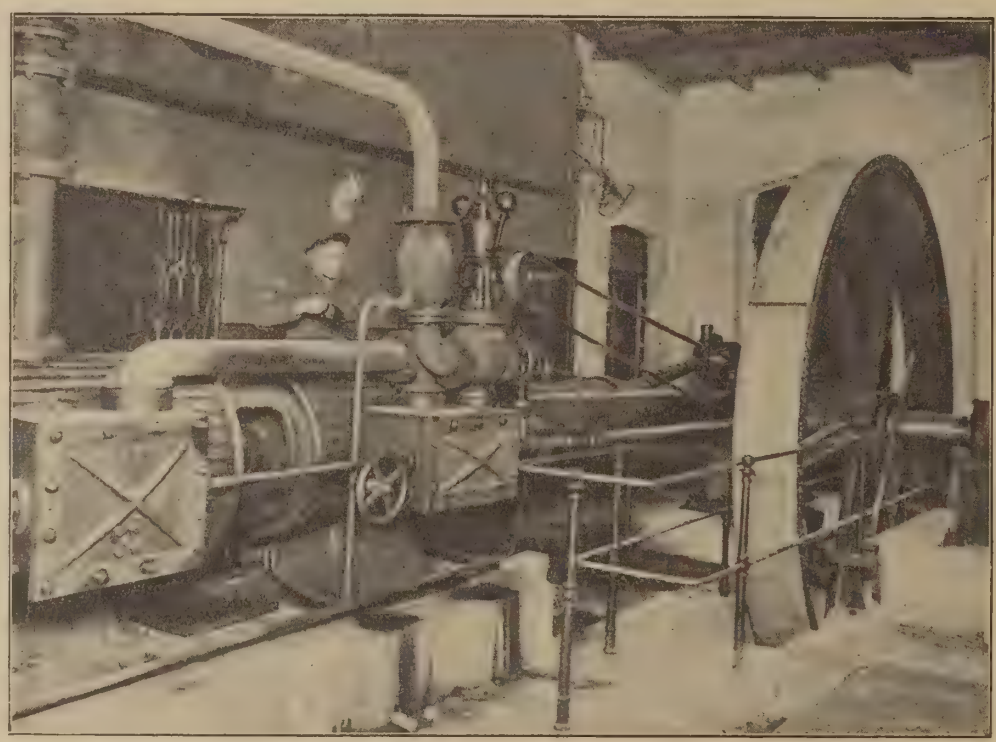

MASZYNA PAROWA DO OBRABIANIA DRZEWA WE WRONKACH

FRAGMENT HALI MASZYN W ZAKŁADACH DRZEWNYCH WE WRONKACH

— Czy wykończenie mebli również należy do fabryki Tow. Akc. *Drzewo*?

— A jakże, nie wypuszczamy mebli nie wykończonych całkowicie. Do działu meblowego zalicza się tokarnia, lakierownia, politurownia, sala montażowa, ekspedycyjna, łącznie z pakownią. Fabrykaty nasze są już gotowe do użytku.

Wielkiem udogodnieniem jest dla nas bocznica kolejowa, przeprowadzona do naszej fabryki.

W ten sposób wagony wjeżdżają wprost na teren fabryczny, przez co unika się straty czasu, któraby wynikała z uciążliwej ekspedycji ze stacji kolejowej niezbędnych materjałów i odwrotnie. Przy naszej masowej produkcji jest to wprost konieczne.

— Ależ to placówka przemysłowa zakrojona na szeroką skalę! Czy przy tak wielkiej produkcji posiadają panowie również licznych odbiorców?

— Poza stałymi odbiorcami w Poznańskiem, na Pomorzu i na Śląsku wielki odbyt mają nasze fabrykaty na Kresach Wschodnich. To zupełnie zrozumiałe. Kresy Wschodnie najbardziej uległy zniszczeniom wojennym, najbardziej też wymagają odbudowy. Ze zgliszcz powstają dwory, chaty, dźwigane mozolną pracą właścicieli, którzy powrócili do pieleszy rodzinnych. Tym ludziom trzeba pomóc przedewszystkiem. Trzeba im dać możność jaknajszybszego urządzenia sobie gniazda rodzinnego, aby mogli zabrać się do pracy i być pożytecznymi członkami społeczeństwa. Nie potrzebują oni narazie mebli wykwintnych, stylowych. Kto zaledwie dach nad głową odzyskał, nie może sobie na to pozwolić. Wystarczą mu meble niezbędne, lecz gustowne, o skromnym, pełnym szlachetnej prostoty wyglądzie, przyczyniające się do ozdoby wnętrza.

— Najzupełniej zgadzam się z panami — wtrącam.—W obecnych

TYP DOMKÓW URZĘDNICZYCH W TARTAKU TOW. AKC. „DRZEWO" POD SZUBINEM

JADALNIA WYKONANA W ZAKŁADACH TOW. AKC. „DRZEWO" WE WRONKACH

czasach należy raczej zadawalać w pierwszym rzędzie potrzeby codzienne, niezbędne, potem zaś myśleć o luksusie. Trzeba się liczyć z ogromem stanu średniego i niezamożnej inteligencji, która, nie mając możności płacenia bajońskich cen, ma jednak potrzeby kulturalne i chciałaby mieć estetyczne sprzęty w mieszkaniu.

— Właśnie mieliśmy to na względzie. Nie wiem, czy odpowiedzieliśmy w zupełności temu zadaniu — dodaje skromnie dyrektor. — W każdym razie zamówienia napływają do nas w wielkich ilościach. I nie tylko krajowe. W ostatnich czasach np. otrzymaliśmy duże zamówienie z Ameryki na krzesła.

— Jeżeli pana interesuje przemysł drzewny — zwraca się do mnie p. dyrektor — to może pan zechce zwiedzić naszą fabrykę, żeby mieć dokładniejsze pojęcie o wyrabianych przez nas fabrykatach?

Zgadzam się z największą chęcią i, dzięki uprzejmości panów dyrektorów, zostaję oprowadzony po fabrykach i urządzeniach *Tow. Akc. Drzewo.*

Zarówno pod względem rozmiarów, jak i urządzeń technicznych, fabryka imponuje mi. Mam wrażenie pewnej przyjemności i dumy, którego doznaje każdy Polak, widząc, że jest w Polsce coś, czemby się można poszczycić nawet przed zagranicą i że się coś buduje i tworzy w przemyśle polskim.

Oglądamy szereg sal montażowych, ekspedycyjnych, tokarnie, lakierownie, politurownie... Wszędzie wre praca. Na terenie fabrycznym znajdują się również biura i fabryki.

— Ależ *„Drzewo"* musi utrzymywać kolosalny personel! Nie mówiąc o robotnikach, ale biura fabryczne wymagają znacznej ilości urzędników!

— Tak, dzięki rozszerzeniu naszej działalności mieszkańcy okoliczni zyskali nową placówkę pracy — odpowiada p. dyrektor. Zatrudniamy rzeczywiście duży personel. Postaraliśmy się dać urzędnikom możliwe udogodnienia. Na terenie fabrycznym mają oni swój dom urzędniczy. Poza tem mamy drugi dom urzędniczy we Wronkach nad Wartą, na południe od Poznania.

TARTAK NA TLE WŁASNYCH LASÓW TOW. AKC. „DRZEWO"

— Co do doboru personelu, to w myśl naszej zasady, jest on nawskroś polski.

Zwiedzamy jeszcze kreślarnię, gdzie się wykonywują nowe projekty skromnych, ale gustownych mebli.

Wychodząc z fabryki, chcę jeszcze zasięgnąć informacyj w sprawie dalszej działalności Towarzystwa.

Dowiaduję się od pp. dyr. Alkiewicza i Sowińskiego, którzy z całą uprzejmością zaspakajają moją ciekawość, że Towarzystwo *„Drzewo"* ma zamiar w przyszłości rozszerzyć swą działalność na całą Rzeczpospolitą Polską, w znaczeniu eksploatacji. Dotychczas bowiem eksploatuje tylko lasy w granicach b. zaboru pruskiego, dostarczając wyroby swe całemu krajowi. Wkrótce więc rozciągnie się ta eksploatacja i na lasy innych dzielnic, co, nawiasem mówiąc, dobrzeby im to tylko zrobiło, gdyż eksploatacja lasów jest tam bardzo zaniedbana i wymaga racjonalnej reformy. Według danych statystycznych, jest w Polsce jeszcze blisko 9 miljonów hektarów lasów, a więc, mimo rabunkowego niszczenia, jeszcze sporo.

Z tego największa ilość przypada na województwo stanisławowskie, które posiada 628.000 ha. Następnie idzie woj. śląskie (33% całego obszaru), poleskie (31%), wołyńskie (29%), lwowskie (25%) i in. Procentowo w stosunku do ilości mieszkańców najniższy stopień zalesienia wykazuje woj. warszawskie, bo zaledwie 0,11 ha na jednego mieszkańca, najwyższy zaś woj. poleskie, bo przeciętnie 1,33 ha na mieszkańca.

Zamiarem *Tow. Akc. „Drzewo"* jest uzyskanie od rządu pozwolenia na racjonalną eksploatację puszczy Białowieskiej w województwie białostockiem i puszczy Tucholskiej na Pomorzu.

Może wtedy nareszcie nasze niezmierzone bogactwa, jakie posiadamy w drzewie, zostaną umiejętnie wyzyskane. Bo zdaniem dyrektorów Tow. *Drzewo*, racjonalna gospodarka drzewna polega nie na wywożeniu drzewa zagranicę w stanie surowym, tylko w postaci wyrobów *gotowych*, lub t. zw. *półfabrykatów*.

Jedynie wtedy będzie mógł na tem zyskać przemysł polski, a nie zagraniczny.

A drzewo, na ziemi polskiej wyrosłe, stanie się podstawą dobrobytu odwiecznych ziemi tej właścicieli.

OGÓLNY WIDOK TARTAKU TOW. AKC. „DRZEWO" POD SZUBINEM

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI WYDAWCY: GEBETHNER I WOLFF
Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

„CICHY REMINGTON"

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA
Z „IDEALNEM UDERZENIEM"

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA
Z „AUTOMATYCZNEM RUSZANIEM"

NOWY
MODEL
Nr. 12
PISZE CICHO

TOW. BLOCK-BRUN Sp. Akc.

WARSZAWA
HOTEL BRISTOL

TELEFON
14-42, 76-28

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

HAZ-ELITE

JEST
wyborowy **Krem** udelikatniający
i bielący cerę.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

DOLLFUS-MIEG & Cie, SOCIÉTÉ ANONYME

BAWEŁNA
JEDWAB I LEN
DO HAFTU, ROBÓT SZYDEŁKOWYCH I NA DRUTACH

D·M·C

ZATWIERDZONA MARKA FABRYCZNA
TRWAŁE KOLORY
MATERJAŁ PIERWSZORZĘDNY
DO ROBÓT RĘCZNYCH

MULHOUSE-BELFORT-PARIS

Nici i taśmy D·M·C są do nabycia we wszystkich sklepach galanteryjnych i robót ręcznych.

WARSZAWSKA WYTWÓRNIA TRYKOTAŻY
„Tricot"
WARSZAWA Marszałkowska 129
Telefon № 42-83

ZE ZMARSZCZKAMI

piegami i złą cerą pań nie będzie; panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej—5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej—7-ej.

Hoża 41—7
Paderewska Zofja Ludwika

NA GWIAZDKĘ

MAGAZYN
KONFEKCJI DAMSKIEJ

E. Gierwatowski

WSPÓLNA 35
PRZY MARSZAŁKOWSKIEJ

POLECA:

PALTA
KOSTJUMY
SUKNIE
BLUZKI
BIELIZNĘ
POŃCZOCHY
TRYKOTAŻE

WYROBY WŁASNE
PRACOWNIA PRZY SKLEPIE

QUAKER OATS

ORYGINALNE
PŁATKI OWSIANE

DLA DZIECI, CHORYCH
I REKONWALESCENTÓW

NIEZMIERNIE POŻYWNE I LEKKOSTRAWNE

Polski Whisky **Winkelhausen** Wypalanki winne

Jeneralne Przedstawicielstwo: Dom Handlowo-Przemysłowy H. PODKOMORSKI i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 2. Telefony 176-32 i 74-95

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 51 * OGÓLNEGO ZBIORU 3,344 * 15 GRUDNIA 1923

DLA GŁODNYCH DZIECI

(Fot. Marjan Fuks)

PANI PREZYDENTOWA WOJCIECHOWSKA ROZDAJE UPOMINKI NIEWIDOMYM DZIECIOM W „TOWARZYSTWIE OPIEKI NAD OCIEMNIAŁYMI„

TRAGEDJA DZIECI POLSKICH

W ciężkiej i trudnej chwili obecnej zastępuje nam drogę coraz to inna sprawa, domagająca się pomocy społecznej.

Wśród tych spraw niewątpliwie na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa opieki nad dziećmi. Wojna uczyniła wiele z nich przedwcześnie sierotami. I nie tylko wojna. Przewrót rosyjski, który zastał na wychodztwie wielotysięczną rzeszę Polaków, nie pozwolił wszystkim powrócić do domu. Tysiączne mogiły, rozsiane na tułaczym szlaku polskim, znaczą tę ostatnią drogę męczeństwa polskiego, a w mogiłach tych śpią ojcowie i matki dzieci, które, „cudem wrócone na ojczyzny łono", mają dzisiaj przytułek w zakładach miłosierdzia. Ale tylko przytułek. Na odzianie ich i wykarmienie brak środków.

Oparte o dobroczynność publiczną, o coraz skąpszą i coraz bardziej rozpraszającą się na różne, współzawodniczące z sobą cele, ofiarność społeczeńswa, zakłady te wegetują, opędzając swoje istnienie z dnia na dzień, z ciągłą przed oczami grozą śmierci głodowej swoich wychowańców a z realnym, ciężkim, codziennym wyrzutem sumienia za ich głodzenie. Tak jest. Za głodzenie tych maleństw, które nie mają ani chleba, ani mleka, ani mięsa, ani nawet cukru, tak niezbędnego dla ich dziecięcych organizmów. Niedożywiane stale, wątleją one i stają się łupem czyhających na nie chorób. Wyrwane z piekła bolszewickiego, przytulone przez gościnną i ludzką Japonję, która na zawsze zapisała się w ich sercu, przywiezione do kraju daleką drogą „naokoło świata" i oddane narodowi, jako jego własność i jego nadzieja na jutro — mająż spotkać się one w ojczyźnie z zimnem i obojętnem sercem rodaków, posiadających dostatek tylko dla siebie, a głuchych na wołanie obowiązku wobec sierot?

Oto w cieple i spokoju nie znającego trosk dosytu zbiorą się niezadługo zamożne rodziny polskie przy stole wigilijnym — a tam, w zimnych, nieopalonych przytułkach, bez jadła i odzienia, samotne i opuszczone pożywać będą suchy kawałek chleba sieroty po wygnańcach i żołnierzach polskich, tęskniące próżno za ciepłem ręki matczynej, za pieszczotą i dobrem słowem ojca.

Jakież uczucie rozżalenia i smutku obudzi się w tych małych duszach, skoro porównają swój los z losem szczęśliwym dzieci, mających rodziców i dom własny? Jakież wyrzeźbi się tam na całe życie wspomnienie? Z jakimż kapitałem wdzięczności dla społeczeństwa wejdą potem te dzieci, jako dojrzewająca młodzież, w czekające na nich niecierpliwie życie, które potrzebuje dopływu nowych i oddanych narodowi sił?

Zaiste, jest się nad czem zastanowić. Oto stoimy oko w oko z tragedją dziecka polskiego w Polsce wolnej, a więc mającej wolną wolę w budowaniu swojej własnej przyszłości.

Przyszłość ta dopomina się o ludzi zdrowych, jasno patrzących na świat, zdolnych do wysiłków i ofiar na rzecz ojczyzny i gorąco tę ojczyznę miłujących.

Takich ludzi mamy dla tej przyszłości wychować. Tacy ludzie mają wyrosnąć z dzisiejszych dzieci polskich, ze wszystkich, a więc i z tych, które wychowują przytułki i zakłady dobroczynne.

Naród — to ogół obywateli. Każda jednostka fizyczna i każda jednostka duchowa posiada dla niego znaczenie. Każda z nich wnosi swoją siłę i nastrój swojego ducha do wielkiej zbiorowości, która, jako naród, ujawnia swoją siłę i swoją wartość moralną przez każdego z poszczególnych swoich członków-obywateli.

Niema więc i nie może być dziecka w Polsce, które byłoby dla przyszłości narodu obojętne — i dlatego niewolno nam zapomnieć o żadnem z nich. Los każdego jest nam bliski, a szczególnie bliski musi być nam los dzieci, nie mających rodziców. Społeczeństwo musi im tych rodziców zastąpić. Ono ma obowiązek wychowania ich i jeżeli obowiązku tego nie spełni, poniesie odpowiedzialność moralną za każdą stracona lub wykolejoną w dalszem życiu jednostkę.

Lata niewoli, lata rewolucji rosyjskiej, lata wojny — przyczyniły nam już dość strat. Zawsze nam dotąd sił ubywało, dzisiaj musi ich przybywać. Dlatego każde życie ma dla nas cenę, wartość jego w świadomości ogółu polskiego musi podnosić się stale, wzrastać.

Dzieci — to bogactwo narodu. „Jesteście narodem bogatym, bo macie tyle dzieci" — mówił do nas jeden z największych najgenjalniejszych ludzi naszej epoki, marszałek Foch.

Czyżbyśmy tego bogactwa nie doceniali? Czyż mielibyśmy i moglibyśmy pozwolić na jego uszczuplenie?

Polska, mimo ciężkich chwil, jakie przeżywa, jest krajem zasobnym. Śmiało można powiedzieć, że średnia skala dobrobytu, a więc średnia możność zaspokajania nawet z pewnym nadmiarem potrzeb życiowych jest dzisiaj wyższa, niż była przed wojną. Nadto nie brak w społeczeństwie wielkich fortun powojennych, które rosną z zawrotną szybkością. Życie w Polsce płynie szeroko i dużo w niem dowodów istnienia znacznego, nawet ponad normę dopuszczalną, nadmiaru.

W takich warunkach braki, które cierpią dzieci, byłyby hańbą dla społeczeństwa, o ile to społeczeństwo nie usunie ich natychmiast.

Był czas, kiedy dzieci nasze ratował od śmierci głodowej Amerykanin, Hoover. Dzisiaj ta szlachetna pomoc obca jest niepotrzebna. Dzisiaj możemy sami poradzić sobie skutecznie.

Należy tylko zainteresować się niedolą dzieci, otworzyć oczy na ich niedostatek a uszy na skargi, płynące z przytułków sierocych. Że zainteresowanie się to już nastąpiło, o tem świadczy nadesłana nam odezwa, którą obok zamieszczamy w przekonaniu, iż przemówi ona do tych, do których jeszcze przemawiać trzeba:

CHLEBA DLA GŁODNYCH DZIECI!

Z ust Pani Prezydentowej Wojciechowskiej, ze słów posła Puzynianki usłyszeliśmy w Belwederze straszną wiadomość:

60 tysięcy dzieci polskich przymiera z zimna i głodu po wynędzniałych przytuliskach całego kraju.

Kim są te dzieci i skąd ta sieroca bezdomność? Te dzieci — to rozbitki największej katastrofy dziejowej. Po drogach Białorusi i lasach podmoskiewskich, karmiły je matki umierające krwią własną miast mleka.

Poprzez trupy braci i rodziców, z pól morderstwa i pożogi — ratowała je czujna ręka Polski, ale trzęsawisko rosyjskie rozpraszało je, w męce, od morza Czarnego, przez Syberję, aż do Japonji.

Co myślała i co czuła ta dziatwa dziesiątkowana, zmieniając ciągle tragiczne warunki swego istnienia, zachowując w oczach wizję mordu i okrucieństw nieludzkich, z jakiemi pastwili się bolszewicy nad ich matkami, nad braćmi w niemowlęctwie?

Te dzieci miały dusze przerażone, ale w mrokach tułaczki przyświecała im nikłem światłem, jak odległa gwiazda — tajona ufność do Matki Polski. Te dzieci — to kaleki duchowe z nadmiaru doznanych boleści. Mała ich część zaledwie przez lodowce, morza, na statkach, z których niektóre tonęły, przez lasy w płomieniach — dotarły do kraju.

Odczuły wówczas z tą intuicją i miłością dla ojczyzny, które czynią z dzieci polskich najcudowniejsze dzieci na świecie — ukojenie i radość w opiekuńczych objęciach Polski.

A teraz, gdy już wracały do życia, gdy rozkurczały się maleńkie dusze, latami całemi zamierające z trwogi, gdy uśmiech zaczynał wracać na starcze w dzieciństwie twarze — teraz, w nędznych schroniskach 60 tysięcy dzieci ginie z głodu i zimna!

Usłyszawszy tę niespodziewaną, wstrząsającą wiadomość — serce wzdryga się z bólu, a po chwili zwątpienia i rozpaczy wołamy z ufnością, że to być nie może i że tego *nie będzie*.

Drobna to garstka do nasycenia dla wolnej i potężnej Polski.

Rzeczpospolita nie potrzebuje jałmużny od obcych — nakarmi głodnych sama.

Kobiety polskie czują dziś odpowiedzialność za całe społeczeństwo, za los tych 60-ciu tysięcy dzieci i uratują je! Dokona tego napewno szczęśliwie dzisiejsze pokolenie, które doczekało wskrzeszenia ojczyzny.

Ofiarność jest już duża, na ręce pani Prezydentowej napływają miljardy, ale ofiarność ta musi się jeszcze potroić. Ci, którzy dali, muszą dać jeszcze, a kto nie dał, ten będzie poruszony naszym naglącym apelem i da napewno.

Pójdziemy po całym kraju. Zapukamy do każdych drzwi, na progu każdego kościoła zabrzmi nasze wołanie, targające głębią każdego człowieka: *dzieci mrą z głodu w wolnej ojczyźnie!*

Niech każde dziecko uprzywilejowane, co ma dom i rodziców, złoży ofiarę, pokorny okup swego przywileju, na rzecz nieszczęśliwych, wśród których są kaleki niewidome.

Ofiarność musi być szczodra, ale nie jednorazowa. Systematyczna pomoc musi przejąć na całą długą zimę opiekę nad temi 60 tysiącami dzieci, by głodne nakarmić, chore uleczyć, a przerażone ukoić macierzyńską słodyczą. Społeczeństwo nie dopuści śmierci jednej choćby sieroty, co wyratowana z piekła bolszewickiego, ginie dziś z głodu w Polsce. Bo taka śmierć to byłby grzech śmiertelny, bo taka śmierć wołałaby o pomstę do Boga.

Zofja Casanova Lutosławska.

ULICA FRETA — *Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie* — *T. CIEŚLEWSKI*

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Klęski. — Muzyka i społeczeństwo dzisiejsze. — Twórczość i wykonawstwo. — Kwestja muzykalności naszej. — Praca dla przyszłości.

Chwila obecna życia naszego muzycznego tem się wyróżnia w dziejach kilkunastu lat ostatnich, że daje powód do wielu spostrzeżeń i refleksyj, przynosząc jednocześnie mało szczegółów aktualnych o jakiemś wyższem znaczeniu. Bo obszary obecnej pracy na polu muzyki są u nas wprawdzie rozległe, ale w dziedzinie produkcji i jej ostatecznych rezultatów wyglądają na smutną, zatrważającą pustkę, wśród której, co gorsza, nad pewnemi objawami istniejącego jeszcze życia zawisło już fatum zagłady. Być może, iż to tylko okres jakiś przejściowy. Rzut oka jednakże na ten stan rzeczy, chociaż przykry i nastraja pesymistycznie, nie uwalnia nas przecież od głębszego wniknięcia w powody złego i nakazuje zastanowić się nad niemi.

Preludjum zaiste żałosne!

Jakże tu jednak „w inne uderzać tony", gdy głównym motywem rozważań ma być upadek kilku naszych instytucyj muzyce poświęconych! Filharmonja zamknięta, Operę oczekuje to samo prawdopodobnie w czasie niedalekim. W obu tych wypadkach, przyczyny ekonomicznej natury decydującą odgrywają rolę. Zachodzi jednakże i trzeci, mianowicie zniesienie Orkiestry Reprezentacyjnej, która jakkolwiek w hierarchji artystycznej stoi na stanowisku równem dwu tamtym, jednakże ogólny i słuszny żal po sobie zostawia. Była to najlepsza orkiestra, jaka istniała wśród polskich orkiestr wojskowych. Zniesiono ją nie z powodów oszczędnościowych, a więc widocznie pod wpływem jakieś ślepej siły niszczącej — to już bardzo smutne...

Filharmonja ku upadkowi chyliła się od dłuższego czasu. Ale Opera mimo swych ogólnie znanych niedoborów (wszystkie wielkomiejskie opery na nie chorują!) wydawała się instytucją niezachwianą. Przedewszystkiem z powodów zasadniczych. Bo znacznie przedwcześnie byłoby ją uważać za niedorzeczny jakiś przeżytek, jak chcą niektóre nowoczesne poglądy estetyczne. Społeczeństwo powojenne w rzeczach estetyki nie tylko nie poszło naprzód, lecz znacznie się cofnęło, nie wysubtelniło się bynajmniej w swym sądzie i smaku tak dalece, aby wyczuwać zdołało to wszystko, co w połączeniu muzyki z poezją i plastyką może być istotnie uważane w operze za „niedorzeczność" i razić umysły artystycznie wyrafinowane. Ogół jest jeszcze od tego daleki i lubi widowiska okazałe dla oka, podniecające wyobraźnię a przystępne dla ucha i umysłu. Małą frekwencję publiczności w Teatrze Wielkim wszystkiemu innemu raczej przypisywać należy, niż przeżyciu się samego rodzaju, który i zagranicą nie zdaje się być jeszcze zagrożony poważnie. Ojcowie miasta takżeby na taką myśl sami nie wpadli. A jeżeli konserwatyzm nie pozwoliłby im zamknąć Opery, to również i ambicja. Odgrywa ona w czynach naszych rolę tak wielką, chociaż przeważnie powierzchowną, że nie dopuściłaby do usunięcia instytucji, będącej niezaprzeczenie główną ozdobą stolicy. Mieliżby cudzoziemcy urągać nam z tego powodu?... Nie pozwoliłyby zapewne na to i względy czysto ludzkie, bo nareszcie kwestja chleba tak wielkiej masy pracowników, jaką zatrudnia Teatr Wielki, także nie daje się lekko traktować. Może w końcu nawet i krzyk ludzi naprawdę sztukę miłujących nie przeszedłby bez wrażenia. Takby się zdawało...

A jednak obawa zachodzi wielka. Tocząca się obecnie akcja przygotowawcza ze strony miasta dąży do oddania Opery rządowi, co się równa całkowitej likwidacji. Boć przecież wiadomo, że Rząd w czasach obecnych nie uczuwa żadnej skłonności do ponoszenia nowych ciężarów pieniężnych, mimo więc wszystkie dotychczasowe względy na kulturę narodową czy na reprezentację, gotów w danym razie zamknąć kosztowną instytucję. A gdyby przyszło do tego istotnie, to wobec utraty Filharmonji, klęska sztuki polskiej stałaby się wprost niezmierną. Muzyka symfoniczna i operowa otrzymują jednocześnie cios śmiertelny! Bo znaczenie faktu tego obejmuje nie tylko stolicę, lecz kraj cały. Warszawa stanęła słusznie w Polsce na stanowisku przodującem. Nie można tu robić porównania ze stosunkami, zachodzącemi we Włoszech lub w Niemczech, gdzie nie Rzym i nie Berlin dzierżą berło pierwszeństwa, lecz inne, liczne środowiska, stosownie do swoich specjalnych warunków. Skłonność do centralizacji objawiła się u nas odrazu po odzyskaniu niepodległości, to też w dziedzinie ruchu artystycznego Warszawa zajęła raczej stanowisko Paryża wobec Francji.

Nasuwa się zatem pytanie bardzo proste, co ma się stać dalej z twórczością muzyczną polską, co ze sztuką wykonawczą, co z każdą jednostką oddaną zawodowo jednej albo drugiej, a zarazem co w zamian za to otrzyma społeczeństwo, dla którego one istniały.

Mieliżby kompozytorowie polscy, z chwilą usunięcia obu tych instytucyj, szukać scen i estrad dla wykonywania swoich utworów albo na prowincji, która odpowiednich środków nie posiada, albo zagranicą, która wcale się nie śpieszy z wykonywaniem polskich utworów, mając swoich poddostatkiem? A w dalszym ciągu, cóż mieliby zrobić ze sobą wykonawcy? Być może, iż najlepsi z nich znaleźliby zagranicą zajęcie. Między śpiewakami możnaby takich jednostek wynaleźć kilkanaście, nie więcej między wirtuozami instrumentalistami. Inne siły rozproszą się, a panoszące się coraz bardziej kina, kawiarnie, kabarety i operetki pochłoną je. Równa się to zupełnemu upadkowi sztuki. Postradamy te kulturalne wartości, które posiadaliśmy do niedawna i trzeba będzie znowu lata czekać, aby wyrosły nowe. A społeczeństwo musi na tem również ucierpieć, rzecz prosta. Jakkolwiek bowiem nie korzystało ono dotąd w całej rozciągłości z istnienia tych dwu instytucyj, to na wypadek nareszcie

jakiejś pożądanej zmiany w przyszłości, nie znajdzie już owych źródeł, z których mogłoby czerpać wrażenia estetyczne, nie mówiąc już o tem, że wydane na łup własnych coraz to niższych instynktów i upodobań, cofnie się jeszcze bardziej i utraci ten pewien stopień kultury, na którym stoi obecnie. Zły zaś przykład stolicy odbije się tysiącznem echem na prowincji.

Stan naszej twórczości obecnej, wziąwszy ogółem, przedstawia się dość smutno. I może nie dlatego, iżby nie było w Polsce jednostek uzdolnionych i wykształconych, tylko raczej, że wśród społeczeństwa niema wiary w twórczość rodzimą, czego główna przyczyna leży zarówno w braku dostatecznego umuzykalnienia, jak i w całkowitem nieuznawaniu jakiegoś obowiązku dla własnej literatury muzycznej. Występuje to coraz jawniej, głosy rozmaite, dotyczące tej kwestji, dają się dziś słyszeć z otwartością, jakiej dawniej żenowano się. Osoba z pozorów bardzo światowa, zajmująca się żywo ruchem umysłowym i artystycznym zwłaszcza zagranicznym, znająca doskonale operę petersburską i paryską, powiada bez wahania, że muzyki polskiej nie lubi. Za mało jest muzykalna, czy też nie ma może zwyczaju w przyczyny swych upodobań zagłębiać się dostatecznie, więc nie umie bliżej określić, co jest jej w tej muzyce niesympatyczne, ale nawet nie stara się do niej zbliżyć: „Strasznego dworu" naprzykład nie zna zupełnie, mimo nawet pewnego respektu, jaki w niej wzbudza imię Moniuszki, w Warszawie dotąd zawsze jeszcze popularne. Inna znowu, równie światowa osoba, powiada z całą otwartością, że najlepiej lubi koncerty dobroczynne, bo gromadzi się na nich cała elita towarzystwa, a z nią razem można zobaczyć ładne tualety, fryzury i brylanty, można się zabawić, porozmawiać, słowem, kontakt towarzyski utrzymać. Polska piosnka, o ile jest przystępna, ładnie zaśpiewana przez jakąś renomowaną artystkę, a jeszcze lepiej przez ulubionego tenora, wpada jej w ucho przyjemnie, czasem nawet potrafi zapamiętać sobie nazwisko jej autora, bez jakiegokolwiek zresztą klasyfikowania tegoż w szeregu innych. Ale symfonja czy sonata, nie mówiąc już o kwartecie smyczkowym, jest dla niej potworem, otoczonym grozą tak okrutnej nudy, że wysłuchanie jej uważa za największe poświęcenie. Chór wydaje się takiej słuchaczce (słuchaczów podobnych też nie brak) czemś zgoła obojętnem, jeżeli nie trywjalnem, pieśń ludową w jej uszach może ocalić jedynie chyba jakaś frywolna zwrotka. A są to przykłady codzienne!...

Zapewne, że wielkie miasto musi posiadać rozmaite kategorje publiczności i że znalazłby się liczny może nawet zastęp osób należycie wykształconych i usposobionych do przyjmowania płodów polskiej twórczości. Ale tu znowu zaczynają występować inne różnice, tak rasowej natury, jak politycznej, intelektualnej jak uczuciowej, wreszcie i czysto ekonomicznej, co zwłaszcza w dzisiejszych czasach uczuwać się daje dotkliwie. Słowem, kompozytor polski musi się dziś zastanawiać, dla kogo pracuje i kto ma przyjmować utwory jego. Jestto położenie u nas dotąd nieznane, ponieważ wogóle tak silne dyferencje wśród publiczności naszej dawniej nie istniały. Można było naprawdę, wyrażając się słowami Wagnera „uprawiać zawód dla niego samego", czyli inaczej mówiąc pracować z pewnym ideałem artystycznym bez oglądania się na losy swego dzieła. Dziś jednakże kwestja tych losów jest czemś więcej, niż osobistą kwestją kompozytora. Oczekujemy z niecierpliwością nowej opery polskiej, w przewidywaniu, że nasz dotychczasowy niewielki zapas już jest bliski schyłku. Ale każdy dzisiejszy kompozytor waży wszystkie okoliczności: kto przyjdzie słuchać, kto ją będzie oklaskiwać, kto wobec niej wrogo się zachowa. Wie doskonale, że tu nie jego honor osobisty, lecz honor opery polskiej zostaje zaangażowany że niepowodzenie jego staje się klęską nie tylko instytucji, lecz i całej polskiej twórczości. Wie, że przy dzisiejszej, cynicznej nieraz otwartości, mówi się z całą bezwzględnością: oper polskich nie można dawać, bo nie są żadną atrakcją. A taka atmosfera działa bardzo szkodliwie na artystę. Jeżeli zwraca się on całą myślą do ujęcia sobie tłumu i spekuluje nad tem, ażeby dzisiejszym upodobaniom zadość uczynić, nie odchodząc zadaleko od swoich pewnych obowiązków artystycznego sumienia, to już staje na gruncie bardzo zdradliwym. Wystarczy to porównanie pomiędzy Różyckim w „Erosie i Psyche" a Różyckim w „Casanowie". Stanął między temi dwiema operami tylko balet „Pan Twardowski" ze swojem znanem powodzeniem, a już jego złym podszeptom (a może p. Twardowskiej?) powiodło się wpłynąć na zmianę stylu, dającą się zauważyć w „Casanowie", który się tak po operetkowemu rozigrał, że zabił prawie odrazu w Różyckim kompozytora poważnego.

Naród nasz w okresie cierpień i przygnębienia uczuciowo jednolitszy niż obecnie, bo mimo istnienia kordonów zwracający się uczuciem i myślą ku jednemu ideałowi, w dziedzinie sztuki polegającej najbardziej bezpośrednio na uczuciu, wydał dwóch największych naszych muzyków: Szopena i Moniuszkę. Chociaż tak bardzo odmienni, aż do poglądów i przekonań politycznych, przecież jednoczyli się w świecie wyobraźni swej artystycznej, skierowując ją z największem uwielbieniem ku przeszłości narodu. Dzisiaj potężny ten motyw artystyczny zajął dostojne miejsce — w archiwum, skazały go na ten los nowe prądy życiowe... Ale motywu nowszego świat nasz artystyczny dotąd nie wynalazł w miejsce tamtego. Nawet radość z odzyskania wolności nie przemówiła jeszcze ani razu głosem potężniejszym. Widocznie przytłaczają ją zbyt ciężko troski nasze gospodarskie, a te nie są zdolne do użyznienia fantazji twórczej. Wszystko, co się dziś pojawia w tej dziedzinie, nosi na sobie piętno bezwyrazistości narodowej i przejściowości; nie można tu oczywiście liczyć objawów drobniejszych, mówi się o dziełach większych. Nawet zapowiadany i dość silnie reklamowany kierunek modernistyczny prędko oddech utracił. Nowoczesne koła postępowe zagranicą uznały wprawdzie Karola Szymanowskiego i przy każdej sposobności wysuwają mniej lub więcej jego nazwisko. Organ postępowy wiedeński „Musikblätter des Anbruch" dodaje mu zawszę tytuł „Führer der polnischen Moderne". Ale nie wskazał dotąd nigdy jeszcze, kogo ten „dux" prowadzi, gdzie jest „comes", nie mówiąc już o dalszych osobistościach świty?...

Jeżeli jednak weszliśmy najwidoczniej w okres bezpłodności, jeżeli poza kilkoma młodszymi pianistami i niewielką ilością skrzypków nie możemy się doczekać i wśród wykonawców wybitniejszych jakichś jednostek, jeżeli praca w zakresie muzyki symfonicznej i kameralnej wykazuje niewielkie, a w zakresie śpiewu chóralnego prawie żadne rezultaty, to z tego nie wypływa bynajmniej, abyśmy mieli obojętnie zakładać ręce i patrzeć na upadek ogólny muzyki, pocieszając się tem, że posiadamy katedry muzykologji na trzech uniwersytetach, sporą ilość doktorów muzyki i zwiększający się istotnie zasób literatury o muzyce, możnaby prawie powiedzieć: teorja zakwita, muzyka żywa usycha!... Ale oddając właściwe miejsce wiedzy muzycznej i nauce, należy właśnie z całą stanowczością i energją stanąć w obronie żywej muzyki, a tem więcej dlatego, że nadszedł dla niej okres tak ciężkich z zewnątrz warunków i jednocześnie owej słabości wewnętrznej, apatji i zwątpienia.

Tak, bo nawet i objawy zwątpienia występują uderzająco. Nieboszczyk Poliński, autor pierwszej książki o dziejach muzyki polskiej, w grobie się przewraca, jeżeli go tam dochodzi pytanie tak często dziś stawiane. Z jakąż to bowiem lubością opowiada on zamierzchłą legendę o jeńcach słowiańskich, którzy nie z bronią w ręku, lecz z gęślami dostali się do niewoli; bo o rzemiośle wojennem nic wiedzieć nie chcieli, a tylko grając i śpiewając pędzili swe życie w spokoju. Prawda, że od tych zamierzchłych czasów wiele się zmieniło i ową idyllę zakłócono nam nieraz. Lecz cóż to za siła nam dziś tak brutalnie tę gęśl z ręki wytrąca, że aż się po raz pierwszy pytamy: czy też my istotnie muzykalni jesteśmy?...

Kwestja polskiej muzykalności nie jest tak prostą, ani w kilku słowach załatwić ją można. To też powyższe pytanie powtarzam jako objaw charakterystyczny owej nadmienionej już otwartości, która w innych wypadkach bywa cnotą, tu jednak radaby przedewszystkiem usprawiedliwić naszą obojętność i bezczynność. Ale nie można zaprzeczyć, że takie jasne postawienie kwestji musi mieć swoją dobrą stronę. W lecie roku bieżącego na zjeździe nauczycielstwa francuskiego w Paryżu dały się słyszeć również głosy, odmawiające Francuzom muzykalności. Czy jednak wyprowadzono stąd wniosek, nawołujący do powstrzymania się od wszelkich usiłowań i do zniesienia jakichkowiek instytucyj? Przeciwnie, uwaga ta posłużyła za bodziec do pomnożenia pracy nad umuzykalnieniem ogółu. Jakoż istotnie, jeżeli muzyka jest gałęzią ogólnej kultury, to inaczej kwestji rozwiązać nie można. I u nas więc podobnie jak gdzieindziej, po stwierdzeniu naszej niemuzykalności (?) powinno nastąpić wytężone usiłowanie, aby ją nabyć, czy też pogłębić, rozszerzyć i utrwalić.

Instytucje nasze, poświęcone nauce muzyki, nie wykazują stanu tak ubolewania godnego, jak wszelkie inne, stwierdzić to można z zadowoleniem. Tu się istotnie pracuje i tu życie nie osłabło jak na innych posterunkach sztuki. Jestto jedyna okoliczność pocieszająca. Nie upoważnia ona wprawdzie bynajmniej do lekkomyślnego pozbywania się tego, co w dziedzinie muzyki posiadamy, ale pozwala przynajmniej przypuszczać, że najbliższe pokolenie, wychowane w atmosferze pojęć artystycznych, nie będzie przyjmować obojętnie zamachów, popełnianych na egzystencję naszej sztuki nieustannie przez dzisiejsze materjalistyczne i niekulturalne wichry społeczne.

St. Niewiadomski

ANTONI KAMIEŃSKI

(KU MORZU)

Zgrona nielicznych naszych rysowników ilustratorów — wykreśla się sylwetą najbardziej zdecydowaną i charakterystyczną — Antoni Kamieński. Żywo narysowany w naszej pamięci — jako wartość określona i bardzo dodatnia dla sztuki polskiej — bytuje w niej z całą swoją odrębnością twórczą, nawskroś indywidualną, mimo długoletnie milczenie, mimo te lub inne czasowe odchylenia w pracy zasadniczej rysownika, eksperymentującego na polu plamy barwnej, albo w dziedzinie dopowiedzeń barwnych do linji. Linja stanowi treść malarskiego żywota Kamieńskiego. Ona naprawdę jest jego językiem, mową odczutą przez artystę, wysłowieniem zrozumiałem dla widza. Szkic portretowy, kompozycja figuralna, wreszcie ilustracje do utworów literackich, słowem to wszystko, co wypisze kiedyś historja pod nazwiskiem Antoniego Kamieńskiego, wywodzi się nie z malarstwa, w pełnem tego słowa znaczeniu, lecz z grafiki — z wartości jednobarwnych.

Kamieński jest grafikiem par excellence francuskim. Szukając wzoru w rysownictwie polskiem, możebyśmy natrafili na dwa, trzy nazwiska pozornie tylko w swym wyrazie malarskim do Kamieńskiego zbliżone. Ani szczegóły jego dzieł, ani ich ekspozycja ogólna nie wiążą się żadnem pokrewieństwem z dziełami innych grafików polskich. Nieuniknionem spojeniem, że tak powiem narodowem, jest motyw i nastrój. Głęboki sentyment, liryzm i snująca się poprzez całokształt jego pracy nić tragedji upodabniają Kamieńskiego do Grotgera.

Kamieński jest artystą par excellence polskim.

Artysta-Polak, ten, którego poznaje się w tłumie obcych ludzi, ten, którego oko jako swojego przywoła, mimo strój cygana ze starego Montmartre'u — grafik-Francuz, ten technicznie wyświczony, fachowo wykształcony, ten człowiek zaopatrzony w bogate środki i wiedzę, to właśnie Antoni Kamieński. Dziś, wpatrując się uważnie w oblicze tego zasłużonego artysty, dostrzeżemy pewne zmiany. Z pod zmarszczkowych spięć na czole, wyżłobionych zamyśleniami czasu niewoli polskiej, wyjawia się chęć człowieka, chcącego wyśpiewać wielką radość życia. Kamieński ilustrator zapragnął opowiedzieć mową swych linij wielkość wskrzeszonej Polski. Przeszedł ją od Tatr aż po Bałtyk. Ostatnie jego prace z nad morza to wysiłek zmierzenia sił według zamiarów. Nie starczyła jednobarwność, nie wystarczył światłocień, nie zaspokoiły linje — odezwała się potrzeba mowy barw słonecznych: złota, szafirów, granatów i szmaragdów.

Pierwsze prace Kamieńskiego z nad morza są wybitnym wyrazem potrzeb rozradowanego człowieka artysty malarza.

Wzbogaca on niemi ubogie dotychczas nasze malarstwo morskie, dając przykład gorącego przywiązania do powiewającej od niedawna na Bałtyku bandery polskiej. Sztuka polska w stosunku do morza ma jeszcze przed sobą do spełnienia wszystko. Kamieński jest w tej dziedzinie przodownikiem, który toruje drogę innym, oby najliczniejszym artystom. Bałtyk i jego wybrzeże, Pomorze i jego charakterystyczne typy muszą w malarstwie naszem znaleźć miejsce, słusznie im należne.

NAPRAWA OKRĘTU W PORCIE PUCKIM

GOSPODA „POD MODRYM FARTUSZKIEM" W TORUNIU

PORT W PUCKU

PORTRET AMERYKANINA *STANISŁAW SZUKALSKI*
Z wystawy zbiorowej w T. Z. W. P. w Warszawie

WYSTAWY BIEŻĄCE

W TOW. ZACH. SZTUK PIĘKNYCH

Nowiną dla Warszawy jest wystawa prac art. malarza i rzeźbiarza Stanisława Szukalskiego, jak wieści głoszą, niedawno przybyłego z Ameryki, gdzie od dłuższego czasu przebywał i ponoć nawet tam kształcił się. Wogóle o Szukalskim mówi się jak o Amerykaninie. *Amerykanin*, o dziwo! z bezsprzecznym i poniekąd nawet wybitnym talentem plastyka, talentem malarskim i rzeźbiarskim, secesyjnie po wiedeńsku skręconym w malarstwie i z niemiecka ekspresjonistycznie po amerykańsku sensacyjnie wysensualizowanym w rzeźbie.

Ameryka, jeśli chodzi o malarstwo i rzeźbę, nabywa malowidła i rzeźby, ale sama nie tworzy. Jedyny kieruneczek w malarstwie, wykoncypowany przez Amerykanów, *synchronizm* zgasł po kilku miesiącach istnienia w Paryżu na wodną puchlinę i nikt, nawet współcześni *twórcy* sowieccy wskrzesać go nie zamierzają. W Paryżu, Londynie, Monachjum, Rzymie, Medjolanie i Neapolu amerykańskich malarzy spotyka się więcej, niżby się spodziewać można i — niżby się należało. Amerykańscy malarze mają najlepsze farby, najlepsze pendzle, najtrwalsze palety i nadzwyczajne kasetki, mają nawet w przeciwieństwie do malarzy innych narodowości zawsze pieniądze i porządne pracownie, nie mają natomiast, prawie nigdy, w przeciwieństwie do malarzy innych narodowości, talentu.

Stanisław Szukalski ma talent, więc chyba wbrew słuchom i pogłoskom raczej jest Polakiem niż Amerykaninem. Talent widać w rzeźbach i rysunkach Szukalskiego poza ich znaczeniem i — niechaj to brzmi paradoksalnie — wyglądem. Ten talent, ta, mimo wszystką amerykańską kontrakulturę malarską, wartość istotna indywiduum obdarzonego i wybranego wychyla się, a raczej przedziera się do widza zzewnątrz, z pod skorupki tanueskiej filozofji panieńskiej i hałasu wymyślności sensacyjnych. Czasy embrjonów w słoikach i embrjonów grających w karty, czasy czaszek w zupie i skieletów w paltach z bobrowym kołnierzem minęły. Secesja wiedeńska umarła. Wydęty ekspresjonizm niemiecki pierze się chemicznie z plam kabotynizmu. Talent wymaga długiej pracy szlifierskiej. Jeśli w sztuce znajdzie się jeszcze miejsce na wartość samorodną, to taką jak łzy albo uśmiech, jak dziecięca beztroska Henryka Rousseau, albo śpiewność Marie Laurencine — lecz nigdy na *mądrzenie się*.

Szukalski błądzi, pomimo, że rozporządza poważnym talentem i bogatemi środkami. Ugrzązł w literaturze, w dopowiada-

NA PRZESZKODZIE *B. GĘSTWICKI*
Z wystawy zbiorowej w T. Z. S. P. w Warszawie

POD KOŚCIOŁEM *Z. KRAŚNIK*
Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie

ZIELONY PAJAC *M. SZYMANOWSKI*
Z wystawy w T. Z. S. P. w Warszawie

niu do wartości istotnych wartości z gruntu obcych a nawet wrogich malarstwu i rzeźbie. Żaden jego utwór nie jest skomponowany, nie jest, że tak powiem, ustanowiony sam w sobie i jest tylko ilustracją, gdzie wszystko jest narzucone przez treść pomyślenia literackiego. Najlepsza rzeźba Szukalskiego: „Portret Amerykanina" jest przesadzona, obarczona zbędnościami niczem nie tłumaczącemi się i nic nie tłumaczącemi. Dla malarzy w rodzaju Szukalskiego najlepszem wyjaśnieniem będzie twórczość Daumiera, Goya'i, Toulouse Lautreca i nawet Forraina. Te bajki o *myśli głębszej* w malarstwie są dla tych, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co to jest sztuka wogóle, a malarstwo w szczególe. Obraz, którego motywem jest: stołowa noga, głowa kapuściana i stary osieł — dobrze namalowany, może być arcydziełem, a więc niekoniecznie skutkiem bezmyślności, jako przyczyny. Wreszcie znamy te *głębokie myśli:* Akt męski (goły Feliks Kozik—model) z sercem płonącem, jak maszynka „Primus", ze skrzydłami u łopatek i łańcuchami na nogach — nazwany: Ikar albo Syn Ziemi, albo Tęs-knociarz — oto są te obrazy z *myślą*.

Talent Stanisława Szukalskiego obiecuje mu przyszłość zupełnie jasną, chodzi jedynie o to, by wozem, bryczką czy powozem, zaprzężonym nawet w bardzo dobre konie, nie jeździć po torze kolejowym — oto wszystko.

Marjan Szymanowski ma już w malarstwie polskiem swoje miejsce ustalone. Jest to naprawdę liryk, liryk malarz. Liryzm jego nie wykurcza się z anegdoty, z jakiegoś ohydnie smutno-filozoficznego tytułu: „Poco żyć?" albo z przyzwanego, grzesznie nadaremno dwuwiersza wielkiego poety, lecz z barwy, z najsubtelniejszego jej tonu i z linji szczególnej, wyrysowanej przez głęboką wewnętrzną potrzebę artysty. W sztuce polskiej Szymanowski jest jedynym w swoim rodzaju i dlatego mimo pewne wady i zasadnicze pobłądzenia, odrębność jego i szczerość zasługuje na baczniejszą uwagę. Wszystkie jego prace są projektami dekoracji, najnieoczekiwaniej zamykającemi się w obraz, czyli w pewną niezależną całość, zupełnie odmienną od zamkniętego motywu ornamentacyjnego, zawsze wymagającego pewnych dopełnień. Obrazy Szymanowskiego są *całe* w sobie— słowem są skomponowane w układzie plam tonowych i powiązaniach linijnych. Zbliżone do drzeworytów japońskich, mają wadę zupełnego pominięcia plastyczności formy, co musi nużyć i, niestety, nuży, tembardziej przy charakterystycznej intymności barwnego wypowiadania się artysty.

Cieślewski Tadeusz, znany już Warszawie malarz ze swych bezpretensjonalnych, poprawnych opowiadań o zaułkach i architektonicznych pamiątkach Polski, wystąpił z pokazem kilkudziesięciu prac. Wszystkie są bardzo miłe, zręcznie rysowane i malowane.

Kraśnika akwarele, coraz doskonalsze technicznie, utrwalają w pamięci nazwisko autora, z każdym jego nowym obrazem, mocniej i wyraźniej.

Gęstwickiego kolekcja akwarel wskazuje nam artystę dojrzewającego, dziś może jeszcze nie opanowanego, zależnego nawet pod względem technicznego opracowania obrazu, od nastrojów, lecz artystę malarza pełnego rozmachu i talentu. Z wystawionych prac trzy akwarele, zlekka tylko zaznaczone, a mimo to zupełnie, jako utwór malarski, skończone, są prawie że doskonałe.

Hiller Karol na trudnej drodze kompozycji daje sobie świetnie radę. Zbyteczne są tylko te realistyczne dopowiadania świetlne w tych wszystkich miejscach, gdzie formę należałoby rozwiązać w sposób zgodny z całością, czyli konstrukcyjnie, jak w obrazie „Mnisi".

Toma litografje bardzo charakterystyczne pod względem oryginalnej techniki i kompozycji.

MNISI *K. HILLER*
Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie

PORTRET *W. WĄSOWICZ*
Z salonu obrazów Cz. Garlińskiego w Warszawie

SALON CZESŁAWA GARLIŃSKIEGO

(Wacław Wąsowicz)

Do niezmiernie pracowitych, utalentowanych i pozornie niespokojnych artystów malarzy należy Wacław Wąsowicz. Niespokojność jego leży we wrażliwości czysto malarskiej, niespokojność dlatego pozorna, że wytwarza ją, jako pewne tylko nawarstwienie, praca nad wyraz konsekwentna, dążenie uparte i szczere. Malarstwo Wąsowicza poczęło się z Cézanne'a. Przeszło etapy deformacji, zagadnień plastycznych Deraina, publicznych tłumaczeń się Picassa i zatrzymało się na punkcie i w chwili do postanowienia o *jutrze* najtrudniejszych. Po zasadniczem opanowaniu i opanowywaniu w dalszym ciągu środków malarskich Wąsowicz zderzył się z najidealniejszym realizmem malarskim. Deformacja została nie jako pewna zawisłość eksperymentalna, lecz jako konieczność do konstrukcyjnego rozwiązania formy na płaszczyźnie, jako konieczność również narzucił się palecie Wąsowicza kolor lokalny przedmiotów, tłumaczący ich ciężar, gatunek i w dalszym ciągu znaczenie plastyczne kształtu (portrety). Wąsowicz-realista malarz nie maluje, jak to mówią pod naturę, lecz, malując, znajduje odpowiedniki malarskie, w czem leży właśnie cały sens, całe jądro istoty jego malarskich zamierzeń.

Oczywiście między niemi a obrazami leży pewna przestrzeń przypadkowych odchyleń, trudności niepokonanych, problemów nierozwiązanych, tem niemniej malarstwo jego na tle współczesnych usiłowań nie tylko polskich, lecz i francuskich, znaczy się dodatnio wyraźnie.

Akwarele Wąsowicza nie wiążą się treścią malarskich założeń zasadniczych z jego obrazami olejnemi. Traktowane szkicowo, dają pojęcie o umiejętności malarza, o pewnej nawet malarskiej rutynie, nigdy natomiast o systematycznej i pedantycznej pracy technika w malarstwie olejnem — realisty.

Tymczasem praca, wysiłek, to, co Francuzi nazywają *l'effort*, a z czem dzisiaj coraz rzadziej mamy do czynienia, stanowi jedną z największych zalet Wąsowicza, jako artysty, zmierzającego wytrwale do swego celu.

J. Ż.

RELIGJA HONORU

(Ciąg dalszy)

III. ISTOTA „RELIGJI HONORU" VIGNY'EGO

Cóż to jest ten honor w pojęciu Vigny'ego?

Sprobujemy odpowiedzieć, cytując przedewszystkiem dosłownie szereg bardzo przeważnie poetyckich, stąd bardziej obrazowych niż ścisłych, określeń i metafor bądź samego p. Lednickiego, bądź tłumaczonych przezeń z francuskiego poety.

Jestto więc „nowy *bóg*", jedyny i najstarszy (i „jedyny", i „nowy", i „najstarszy"?...) dla cywilizowanej ludzkości, bóg Honoru, którego ołtarz „jak magnes magiczny przyciąga serca stalowe i serca mocarne". (Str. 196).

Ale nie jestto tylko „bóg", jestto także „wiara", przyczem

„nie jestto *wiara nowa* — tłumaczy poeta — kult nowej kreacji albo myśl mglista i niewyraźna; jestto poczucie, które się rodzi z nami, niezależnie od czasów, miejsca i nawet religji; uczucie dumne, nieugięte, jestto *instynkt* niezrównanej piękności, który dopiero w czasach nowych znalazł imię, godne siebie, ale który już w starożytności dawał czyny niewysłowionej wielkości"... (str. 199).

A więc i bóg, i wiara, i wrodzony instynkt.

Dalsze określenia, podobnie obrazowe i przenośne:

„Honor to sumienie, ale sumienie w stanie uniesienia" „Honor to wstydliwość męska". „Honor to poezja obowiązku". „Honor to szacunek dla siebie samego i dla piękna własnego życia, podniesiony do wyżyn najczystszych i aż do namiętności najżarliwszej". Grecka *areté*, rzymska *virtus*, — powiada w tem miejscu p. Lednicki — to jeszcze nie *Honor* Vigny'ego", — i zauważa słusznie: „Może raczej kategoryczna powinność Kanta do tego się zbliża?" (str. 200).

Rzeczywiście, głębokie, wzniosłe i od powszechnie utartego daleko odbiegające pojęcie honoru Vigny'owskiego przypomina o wiele więcej Kantowski imperatyw kategoryczny lub raczej może Sokratesowy Dajmonion lub nawet chrześcijańskie sumienie, bardzo wrażliwe i subtelne, — niż przeciętnie tak zwany konwenansowy i kodeksowy honor światowy.

Przedewszystkiem ze względu na swój charakter imperatywny, ale samorzutny, wrodzony, od żadnych zewnętrznych konwenansów niezależny, — na ten charakter jakby prawa, jakby musu wewnętrznego.

„Kierujmy się... — powiada bohater jeden Vigny'ego — według tego *prawa*, którego, dalibóg, nigdzie nie widziałem, żeby było spisane, ale którego żywą obecność zawsze odczuwałem w sobie — prawa honoru" (str. 194).

Więc honor tu jest prawem, ale prawem niepisanem, wewnętrznem. Ten, w czyjej duszy jest wyryte, sprzeciwiać mu się nie jest w stanie.

Bohater jednej z opowieści Vigny'ego, Renaud, przebywając w niewoli na statku angielskim, daje słowo, że nie ucieknie. Gdy się jednak nadarza łatwa i pewna sposobność ucieczki, żądza swobody przemaga i Renaud ulega pokusie. Dopiero w ostatniej chwili cofa się i, czując, że to, co chciał uczynić, jest dla niego niemożliwe, pędem biegnie ku wybrzeżu i wpław w nocy dopływa do okrętu, który jest jego „domem niewoli".

„Jest — powiada Vigny — w czynach hańbiących jakby jakaś trucizna, którą człowiek szlachetnego serca czuje odrazu, dotknąwszy zaledwie końcem warg brzegu potępionego kielicha. Nie może on go bodaj skosztować, nie czując zarazem, że życie swe naraża" (str. 213).

Zasada więc etyczna w religji honoru Vigny'ego jest, jak u Kanta, wyłącznie autonomiczna, z wyłączeniem nie tylko wpływu opinji, która w przeciętnem pojęciu honoru światowego gra rolę tak przemożną, z wyłączeniem również działającej w etyce chrześcijańskiej woli Bożej, której Vigny się przeciwstawia, — słowem, z surowszem jeszcze niż u Kanta nawet, wyłączeniem pierwiastków heterenomicznych, nawet wtórych, jak nagroda, nie tylko w tem życiu, ale i w przyszłem. „Nagroda wszelka jest szkodliwa", ponieważ *może* działać jako pobudka (str. 216—217).

Stąd wynika najpiękniejszy postulat etyki Vigny'ego: absolutnej *bezinteresowności*. Nadaje on jego systemowi cechę szczególnej wzniosłości, niezależności i czystości.

Stąd ta cześć najgłębsza i prawdziwie wzruszająca, jaką Vigny, wyprzedzając swój wiek, w sposób, zupełnie nam współczesny, oddaje najwyższemu według niego bohaterstwu „nieznanego żołnierza", któremu poświęca utwór: „Servitude et Grandeur Militaires".

Na tle tego utworu „cała fantasmagorja zewnętrznej sławy i wielkości Napoleona staje się — powiada p. Lednicki — jakby tekturą i marnym oleodrukiem w porównaniu do niewysłowionej i bezgranicznej wielkości cichej epopei gromadnego bohaterstwa armji francuskiej. I nie fanfarę i jasność światowych zwycięstw i podbojów triumfatorów wspaniałych wyśpiewał poeta, lecz czyny „nowej legji Tebańskiej", czyny tych, których głowy zostały zmiażdżone na twardym kamieniu przysięgi". „Niewola i Wielkość Żołnierza" to apogeum heroizmu nieznanego bohatera" (str. 50 — 51).

W związku jednakże z tem „miażdżeniem głów żołnierskich na twardym kamieniu przysięgi" zajmuje i niepokoi Vigny'ego problem moralny odpowiedzialności żołnierza, który, będąc tylko ślepym i biernym wykonawcą woli cudzej, faktycznie i formalnie przerzuca tę odpowiedzialność na wodza. I, rzecz charakterystyczna, szukając usprawiedliwienia dla tej zasady biernego posłuszeństwa, znajduje je znów na kartach... Starego Testamentu.

Rzeczywiście zasada ślepego, straszliwego w bierności swej posłuszeństwa została tu posunięta do możliwego szczytu.

„Umiałem Biblję na pamięć, — powiada dalej Vigny, — księga ta towarzyszyła mi wszędzie, nie rozstawałem się z nią podczas najuciążliwszych przemarszów. To była pierwsza pociecha, jakiej z niej zaczerpnąłem... Powtarzałem sobie, że na karności opiera się wszelki porządek społeczny, — ale — dodaje zastrzeżenie, zupełnie zrozumiałe u człowieka z tak wrażliwem i subtelnem sumieniem, zwanem przez niego poczuciem honoru — potrzeba mi było wielu paradoksalnych argumentów, by temu uczuciu dać się ugruntować w mojej duszy". (Str. 51—52).

Odwrotną niejako stroną medalu wzniosłej nauki o bohaterstwie nieznanem i nienagrodzonem, jako o najwyższej bezwzględnie cnocie ludzkiej, jest melancholijne i nawskroś pesymistyczne jej tło — zasadniczej niewiary w skuteczność i owocność wszelkiej ofiary, wszelkiego poświęcenia.

„Bezwzględny katolicyzm sabaudzkiego filozofa przekształcił się u niego — powiada o Vignym Remy de Gourmont — w stoicyzm chrześcijański, ale bez chrześcijańskiej konkluzji. Poznał on, że ofiara jest konieczna, ale *daremna*, że odkupienie jest próżne; że wszelka walka, prócz walki myślą, bezsilna jest wobec Boga, twórcy zła, cierpienia i śmierci".

Istotnie sam Vigny powiada w jednem miejscu: „Trzeba zwłaszcza nadzieję zniszczyć w sercu człowieka. Rozpacz spokojna, bez konwulsji gniewu i bez wyrzutów, skierowanych do nieba, jest mądrością samą". (Str. 96).

IV. „HONOR" VIGNY'EGO A RELIGJA

Widzimy tu, że ideał moralny Vigny'ego, jakkolwiek piękny i czysty, jest w postawie swej wobec otaczającej rzeczywistości — beznadziejny, smutny i bierny.

Gdy rozpatrujemy stosunek jego do ideału chrześcijańskiego, musimy przyznać słuszność krytycznym a głębokim końcowym uwagom p. Lednickiego o stosunku jego „systemu" do religji.

„Niebo Vigny'ego jest niebem Ptolomeusza, jego moralność — moralité scientifique — jest właściwie moralnością scholastyczną, opartą na bardzo misternej, to prawda, i subtelnej analizie, nie wychodzącej jednakże poza sferę spekulacji scholastycznej. „Ubóstwione sumienie", „religja honoru", „ubóstwiona idea", to właściwie scholastyka religijna, wyrosła na racjonalistycznej metodzie rozważania problemów religijnych.

Żeby ująć najistotniej stosunek nauki Vigny'ego do religji, pamiętać trzeba o fakcie zasadniczym, iż Vigny całkowicie uzewnętrznił i bezwzględnie odciął Boga od człowieka, — gdy według nauki chrześcijańskiej Bóg żyje nie tylko nazewnątrz, ale i wewnątrz duszy ludzkiej, odbija się i załamuje się w niej niejako, jakgdyby zależnie, żeby użyć tego porównania z fizyki, od współczynnika załamania, właściwego gatunkowi duchowemu danej jednostki. Zupełnie podobnie jak słońce odbija się w każdej, najmniejszej nawet, kropli wody, przyczem tem żywszą i świetniejszą załamuje się tęczą, im bardziej kropla jest przejrzysta i czysta, a tem niewyraźniej i niklej, im ona bardziej jest mętna i zabagniona... ziemią.

Nauka Vigny'ego jest prawdziwie jak przepiękny kościół bez Boga, jeśli wolno tu powtórzyć słowa Mickiewicza, wyrzeczone o pierwszych poezjach Słowackiego. Na jego ołtarzu zamiast Sanctissimum stoi jakgdyby duchowe zwierciadło, przed którem kult swój odprawia poeta, samotny, zamknięty i odcięty w ten sposób szkłem amalgamowanem jak zaczarowanem kołem, od wszelkiej rzeczywistości żywej poza sobą.

Ponieważ zaś zadaniem religji jest właśnie przedewszystkiem łączyć, kojarzyć, „religare", przeto zimny, oschły i wyniosły, odcinający się od ludzi i od Boga egocentryzm Vigny'owskiego honoru jest w gruncie rzeczy zaprzeczeniem religji wogóle, a już zwłaszcza religji chrześcijańskiej, której istotą jest Miłość. W nauce zaś Vigny'ego jest wiele rzeczy pięknych i wzniosłych, ale miłości, tej żywej i zapominającej o sobie, tej radosnej i zawsze ufnej, tej znanej z listu św. Pawła do Koryntjan, Miłości w niej niema.

W szczególności p. Lednicki przytacza z Emila Boutroux trzy następujące istotne cechy religji, których brak w t. zw. „religji honoru" Vigny'ego:

1) Religja „uznaje, że czyste idee, jakkolwiek mogą być oczywiste, nie są wystarczające dla poruszenia woli, a więc ofiarowuje ona cnocie ludzkiej, ażeby jej pomóc stać się i wznieść się, *oparcie* doskonałości boskiej".

2) Religja... „jest łącznią jednostki" nie tylko z ludźmi, lecz i z Bogiem, „jako ojcem wszechświata, t. zn. łączy ona nas w Bogu ze wszystkiem, co jest lub być może... Uczy ona radykalnej równości i braterstwa wszystkich istot".

3) „Religja pragnie wywierać wpływ na człowieka wewnętrzny i istotny". I gdy „moraliści często twierdzą, że kochamy nie tak jak chcemy, lecz jak możemy", to „religja nakazuje właśnie miłość i daje siłę do takiej miłości". (Str. 286).

Do tej subtelnej i bardzo wobec systemu Vigny'ego krytycznej analizy nie mamy zresztą nic do dorzucenia prócz jednego pytania: jak się to stało, że mógł autor we wstępie uznać za „najlepszą ewangelję na dzień dzisiejszy" tę samą naukę, którą w zakończeniu nazwał „straszną, krwiożerczą i... iluzoryczną? Bo oto co pisze dosłownie:

„Czy... piękna skądinąd doktryna bohaterskiego obowiązku, nie szukającego żadnej nagrody, — nawet niebieskiej, owa „religja honoru", pozbawiona aureoli wieczności i absolutu, odbierająca człowiekowi wiarę w możność zbudowania mostu, któryby połączył jego egzystencję z życiem „milczących przestworzy", gdyż nie jest ona jednak *iluzoryczna* w swej piękności, czyż nie jest ona zawrotnym pionem naszego *egocentryzmu*, tak słabo uzasadnionego uczuciowo, a tak właściwie na każdym kroku zwalczanego przez własną naszą wiedzę, czyż nie jest ona nieusprawiedliwionem i tak beznadziejnem osamotnieniem człowieka, że serce nasze ściska się z rozpaczy i bólu, gdy przyglądamy się tym bezcelowym ofiarom i tym *strasznym* zwycięstwom, dokonanym na sobie samych bez potrzeby i bez żadnego usprawiedliwienia? Nie, religja Vigny'ego żąda ofiar gorszych, niż te, które składał Jephte z Galaadu; tem straszniejsze są te ofiary, że na ołtarzu pychy ludzkiej składane: „*krwiożerczym* bogiem" staje się tutaj człowiek sam, ten wieczny człowiek przyszłości, który przyjmuje tę daninę... jako należny mu hołd przeszłości. I tak ma być *ad infinitum!*"

Istotnie: tragicznie samotny i zamknięty sam w sobie jest człowiek, który, mając jakgdyby zwierciadło przed sobą i zwierciadło za sobą, odprawia kult ciągle przed obrazem duchowym swym własnym, powtarzającym się literalnie ad infinitum...

(D. n.) *Irena Pannenkowa*

JENERAŁOWA WŁADYSŁAWOWA ZAMOYSKA

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE)

Dnia 4-go z. m. w prastarym zamku Kórnickim w Wielkopolsce zmarła po 93-letniem życiu, pełnem zasług, trudów i poświęceń ś. p. Jadwiga z Działyńskich Zamoyska.

Ś. p. Jadwiga, córka Tytusa Działyńskiego, urodziła się w Warszawie 4-go lipca 1831 r. Ojciec Jej walczył wówczas w szeregach powstańczych. Matka z niemowlęciem zmuszona była uciekać do Krakowa przed wejściem Moskali.

Na lata Jej młodzieńcze przypada czas pobytu w Kórniku w otoczeniu najświatlejszych ludzi, którzy się dokoła Jej Ojca zgromadzili; tam rozpoczęła swą gruntowną, przez całe życie trwającą, pracę umysłową.

Źródłem mądrości ś. p. Zamoyskiej stało się badanie Pisma Św., nie była ona jednak w zainteresowaniach swych jednostronna: umiała długie ustępy Iljady po grecku, czytała Koran po arabsku, była pierwszą kobietą, przyjętą do Towarzystwa Orjentalnego w Paryżu.

W r. 1852 wyszła zamąż za jenerała Władysława Zamoyskiego, aby z Nim dzielić wygnanie. Przy boku męża widzimy młodą jenerałową wśród emigracji Paryskiej, na tle Hotelu Lambert, oddaną pracy dla „Sprawy".

Nadszedł rok 1863. Jenerał Zamoyski pośpieszył na zew Ojczyzny do szeregów narodowych. Jenerałowa powróciła do rodzinnego Kórnika, gdzie za pomoc dawaną powstaniu przez dostarczanie broni i ułatwianie przejazdu oficerom, władze pruskie pociągnęły Ją do odpowiedzialności. Wmieszana została do procesu berlińskiego, który zakończył się wyrokiem śmierci, wykonanym na Jej jedynym bracie.

Cierpienia najbliższych za Polskę, niedola Ojczyzny, zahartowały tę duszę niewieścią, a życie niosło coraz nowe ciężary i do nowych wzywało ofiar.

W r. 1868 zmarł Władysław Zamoyski, a wdowa po nim za cel życia postawiła sobie wychowanie dzieci. I tu dwa ciosy ugodziły w serce ś. p. Jenerałowej: straciła kolejno dwoje dzieci, ale po tej ostatniej próbie rozpłomienił się w niej żar miłości dla przyszłych pokoleń i zajęła się pracą nad duszami młodych dziewcząt polskich, przyszłych obywatelek i matek. Do

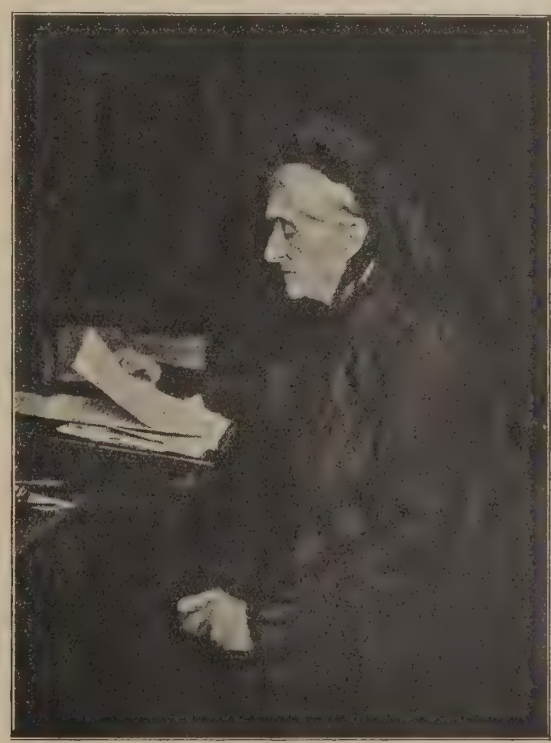

Ś. P. JENERAŁOWA WŁADYSŁAWOWA ZAMOYSKA

pracy tej stanęła obok Niej dorosła córka, hr. Marja Zamoyska i grono ofiarnych, ściśle z niemi ideowo złączonych współpracownic.

Po kilku latach przygotowywania się w Paryżu powróciły do kraju i w 1882 r. został otwarty w Kórniku niepospolity na owe czasy Zakład Wychowawczy dla dorastających dziewcząt. Niestety, zbyt szybko poznał się Bismark na jego wartości, wyczuł, jakie niebezpieczeństwo grozi germanizacyjnym planom, gdy chowane w tej szkole kobiety staną się strażniczkami domowych ognisk. Ś. p. jen. Zamoyska wygnana została wraz z synem i córką z granic księstwa. Po długiej tułaczce osiadła w Kuźnicach pod Zakopanem; tam przy pomocy syna hr. Władysława Zamoyskiego, zdołała nanowo zbudować największe dzieło swego życia.

Rekreacyjne wieczory, kiedy Pani Jenerałowa, otoczona gromadką dziewcząt, opowiadała o dawnych czasach i znanych sobie ludziach, stawały się źródłem najszlachetniejszej, najczystszej radości. Emigracja wyrastała przed oczyma jak żywa; ludzie wybitni, ich stosunki, zabiegi, nadzieje i zawody — poeci, rycerze i mężowie stanu dawnej Polski stawali się dziwnie bliscy i dobrze znani.

Wielka Wojna Europejska oderwała ś. p. Jenerałową od jej dzieła. Odcięta w Paryżu, zajęła się wraz z córką opieką nad polskim robotnikiem i żołnierzem. Wreszcie po długiem oczekiwaniu w 90-ą rocznicę swych urodzin wróciła do wymodlonej, wolnej Ojczyzny. Opuściła przed 34 laty rodzinny Kórnik w asystencji pruskich żandarmów — powracała, witana przez Jenerała Raszewskiego w imieniu Polski i Wojska, z głębokiem wzruszeniem przyjmując oznakę „Polonia Restituta" z rąk wojewody Celichowskiego.

Wiek i choroba nie pozwoliły już ś. p. Jenerałowej powrócić do pracy — otoczona miłością i czcią w spokoju przepędziła ostatnie dwa lata życia. Ciężko chora opuściła zamek, by swój głos wyborczy złożyć do sejmu i senatu.

Po ś. p. Jenerałowej pozostał trwały owoc pracy — Zakład kórnicki w Kuźnicach, rozwijający się według jej myśli i wskazań; pozostał szereg cennych dzieł: „O pracy", „O wychowaniu", „O miłości Ojczyzny"... Pozostał posiew dobra, ręką jej rzucony w serca wielu uczennic.

Z. Jęt.

TEATR
w
FINLANDJI

Sztuka dramatyczna reprezentowana jest w Finlandji przez 2 teatry w Helsingforsie: Teatr Szwedzki i Teatr Fiński. Aczkolwiek teatr Szwedzki jest założony znacznie dawniej, niż Fiński i ma już za sobą historję, w chwili jednak obecnej znajduje się w stanie dosyć opłakanym. Powodem tego jest stała emigracja poważniejszych sił artystycznych do Szwecji, gdzie artyści są o wiele lepiej płatni, wobec czego na miejscu w Finlandji pozostają tylko siły słabsze. Teatr ten ożywia się podczas gościnnych występów bardziej znanych przyjezdnych artystów ze Szwecji lub Norwegji. W tym sezonie naprz. występował w nim słynny artysta norweski Schanche. Gdy grał on „Hamleta", tylko on jeden przykuwał oczy widza i porywał swą nadzwyczajną interpretacją bohatera dramatu. W zupełnem przeciwieństwie do Teatru Szwedzkiego stoi teatr Narodowy Fiński „Kansallisteatteri", założony w Helsingforsie w r. 1872, który jesienią na początku sezonu obecnego obchodził 50-letni jubileusz swego istnienia. Dyrektorami jego byli: Dr. Karlo Bergbom, Talmar Hahl, Adolf Lindfors, Jalmar Lahdesuo i nakoniec magister filozofji Eino Kalima. Ten ostatni pełnił obowiązki dyrektora od roku 1914, zaś w r. 1917 został mianowany generalnym dyrektorem.

Teatr Narodowy Fiński posiada swój własny piękny gmach w centrum miasta, wybudowany w r. 1902 i obliczony na 1.100 miejsc. Sala teatralna ma doskonałą akustykę i przytulnie wygląda wewnątrz. Scena jego, aczkolwiek nie dogadzająca najnowszym wymaganiom techniki teatralnej, jest jednak bardzo obszerna i pozwala na wystawianie większych rzeczy.

Nadzwyczaj bogato przedstawia się dział dekoracji i kostjumernia. Teatr Narodowy Fiński daje repertuar klasyczny.

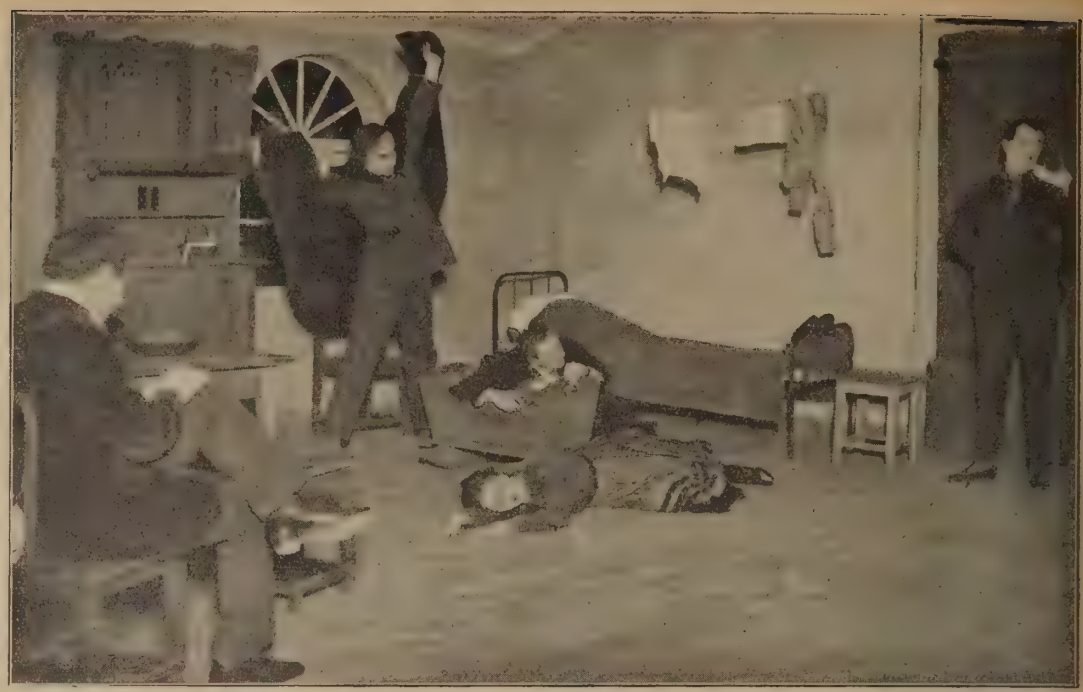

„Karykatury" Kisielewskiego (akt II) na scenie Kansallisteatteri w Helsingforsie

W ubiegłym sezonie wystawione były np. rzeczy Szekspira, Moliera, Sheridana, Schillera. Ponadto daje on tłumaczenia najbardziej celujących utworów obcych autorów. Zespół artystów, złożonych z 45—58 osób, stanowią siły starsze rutynowane oraz młode siły artystyczne. Przy bliższem poznaniu teatru fińskiego zwraca uwagę duża ilość wśród artystów wybitnych indywidualności i talentów, ponadto odnosi się wrażenie głębokiej, gruntownej i wytrwałej pracy wewnętrznej w tym teatrze, pracy, która nosi w sobie znamiona ideowości i patrjotyzmu fińskiego. Wyczuwa się chęć tej garstki ludzi, zjednoczonych wspólnemi

EINO KALIMA,
dyrektor Teatru Narodowego w Helsingforsie

dążeniami stworzenia ośrodka kultury narodowej fińskiej, poważnej siły duchowej, promotoru, któryby był dźwignią dla narodu fińskiego, do potęgowania i pogłębiania jego bogactw duchowych. I te dążenia częściowo już bezwątpienia zostały osiągnięte przez teatr fiński. Pietyzm w reżyserji i wystawie, trafny wybór sztuk, umiejętny ich dobór, staranność artystów w odtwarzaniu ich ról, stworzyły taką ogólną opinję teatrowi fińskiemu, iż jest on dzieckiem społeczeństwa fińskiego. Zawsze niemal po brzegi wypełniony, przy każdej premjerze święci nowe triumfy. Rzadko spotka się w pismach jakieś ostre słówko krytyki dla niego. Wszystko to zawdzięcza teatr fiński swemu kierownictwu w osobie dyrektora magistra filozofji Aino Kalima. Studjując na uniwersytecie helsingforskim, dyrektor Kalima zapoznał się pod kierownictwem znanego prof. Mikkola z językiem i literaturą polską. Od tego czasu stał się też prawdziwym przyjacielem Polski i Polaków i gorącym wielbicielem naszej bogatej literatury. Przyjaźni swej dowiódł czynami, tłumacząc na język fiński cały szereg sztuk polskich i wystawiając je co roku na swej scenie. Dzięki jemu tylko scenę narodowo-fińską przez ostatnie lata ujrzały następujące utwory: „Złote Runo" — Przybyszewskiego, „Damy i Huzary" — Fredry, „Lekkomyślna Siostra" — Perzyńskiego, „W małym Domku" — Rittnera, „Moralność Pani Dulskiej" — Zapolskiej i nakoniec „Karykatury" — Kisielewskiego. Tylko pierwsza z tych sztuk została przetłumaczona przez p. Mailę Talvio (profesorową Mikkola), wszystkie zaś inne tłumaczył sam p. Kalima.

Dyr. Kalima w celu głębszych studjów nad teatrami Europy wyjeżdżał w tym roku w podróż do Polski i do Francji.

Rezultatem jego pobytu w Polsce były pełne uznania i zachwytu dla Polski i jej kultury narodowej artykuły jego zamieszczone w pismach finlandzkich.

Korwin

„Karykatury" Kisielewskiego z Jaakko Korhonen (Ralski) i p. Anną Mangström (Zosia)

CLEO NORDI,
tancerka finlandzka

TEATR I LITERATURA

Czwarta rocznica powstania „Reduty"

JULJUSZ OSTERWA

Odbyło się cicho, spokojnie, niemal w tajemnicy. Wystawiono w dniu 29 listopada sztukę Stefana Żeromskiego: „Ponad Śnieg", graną w ciągu lat czterech, 212 razy. Po widowisku w sali Instytutu Reduty przemówili wobec zespołu i grona przyjaciół Reduty, oraz prezydjum m. Warszawy, dyrektor Reduty i teatrów miejskich Juljusz Osterwa, dyr. Limanowski oraz art. dram. Jarosław Miciński. Miły nastrój świadczył o tem, że to jedna, ożywiona duchem twórczego entuzjazmu i ukochania sztuki rodzina przeżywa wspólnie sen czterech lat życia, którego zasady znalazły się w płaszczyźnie rozumowań i czuć paryskich teatrów „Vieux Colombier" i niedawno powstałego pod kierunkiem Karola Dullina teatru eksperymentalnego „Atelier".

„Dorina" w Wodewilu

Nowość operetkowa Jana Gilberta, dowcipnie pomyślana i niemal z rozmachem komedjowym potraktowana; libretto, wdzięczne w ucho wpadające melodje, śmiała groteskowa gra wykonawców z Niewiarowską, Redo i Szczawińskim na czele złożyły się na całość pełną werwy i humoru. Trzeba przyznać, że reżyserja p. Julicza przy udziale kapelmistrza dyr. Elszyka przyczyniła się w znacznym stopniu do powodzenia, o które operetka walczyć musi tem więcej, że brak jej konwencjonalnej atrakcji, jaką jest balet, — w „Dorinie" prawdopodobnie celowo dla uzyskania innych efektów pominięty.

KAZIMIERA NIEWIAROWSKA
(Fot. Leo Forbert

Sułkowski w „Rozmaitościach"

Dramat bohaterski Stefana Żeromskiego, zbudzony do nowego życia przez kierowników Rozmaitości, jest bodaj jednym z najlepszych dokumentów czynu odradzającego się teatru narodowego. Szkoda tylko, że ten właśnie szczery i głęboko odczuty akt obowiązku wobec poety i porywającego płomieniem myśli i wymowy utworu, nie trafił na grunt równie szczerego entuzjazmu u publiczności. Wznowienie „Sułkowskiego" w „Rozmaitościach" jest chlubą tego teatru a niezwykłem zdarzeniem w kronice sztuki polskiej. Zasługa w tem inteligentnego zespołu, w którym pierwszorzędni aktorowie nawet z drobnych napozór ról stworzyli małe arcydzieła (Solski, Jaracz, Bednarczyk, Myszkiewicz, Owerłło, Dobrzański, Szymański, Zieliński, Różański, Fritsche), zaś Osterwa jako Sułkowski, Osterwina (Gonzaga), Chmieliński (Venture) i Staszkowski (D'Antraigues) dodali utworowi tyle blasku, że uczynili zwycięstwo artystycznej myśli i zespołowego ducha istotnem i niewzruszalnem.

Teatr imienia Aleksandra Fredry

„Gwałtu co się dzieje" Fredry. Akt III, scena zbiorowa (Fot. J. Malarski)

Dzięki zabiegom kilku entuzjastów powstała placówka artystyczna, mająca spełniać zadanie spopularyzowania poezji dram. polskiej wśród warstw pozbawionych dotąd zdrowego a taniego teatru. Teatr Fredry pod kierunkiem Jerzego Kossowskiego i Janusza Nowackiego podjął się zadania niewątpliwie ciężkiego, ale już z pierwszych dni działania widać, że podstawy posiada mocne. Jest zapał, dużo ideowego zaparcia się siebie, są wreszcie ludzie artystycznie uświadomieni w zespole. Wystawiona na inaugurację sezonu komedja Fredry „Gwałtu co się dzieje" i druga z rzędu w repertuarze komedja Bałuckiego „Piękna żonka" zasługują na serdeczną pochwałę.

Występy W. i P. Kochańskich

WACŁAW KOCHAŃSKI

Nowy profesor wyższej klasy skrzypcowej warszawskiego konserwatorjum, prof. Wacław Kochański, koncertował ostatnio z ogromnem powodzeniem w sali konserwatorjum. Wysokie zalety gry prof. Kochańskiego, przepiękny ton, nieskazitelna czystość, pełna poezji intepretacja, ściągnęły tłumnie słuchaczy, którzy gorącemi oklaskami darzyli artystę. Prof. Kochański wystąpi jeszcze niewątpliwie w bieżącym sezonie kilkakrotnie.

PAWEŁ KOCHAŃSKI

Znany skrzypek polski, p. Paweł Kochański, koncertował w roku bieżącym zagranicą 80 kilka razy, grając w towarzystwie najlepszych orkiestr świata. Wiosną grał w Paryżu na czterech recitalach własnych, latem odbył triumfalne tournée po Hiszpanji, obecnie rodak nasz znajduje się w Ameryce, gdzie wraz z wielką swą sztuką reprezentuje chwałę imienia polskiego. Należy przytem dodać, że p. Kochański nie szczędzi nigdy swej gry, gdy chodzi o cel dobroczynny polski.

25-lecie pracy publicystycznej

STANISŁAW ZDZIARSKI

Znany historyk literatury, publicysta i wybitny etnograf dr. filozofji Stanisław Zdziarski (* 1878 r.), członek komisji antropologicznej Akademji umiejętności w Krakowie, obchodzi w roku bieżącym 25-lecie swej pracy naukowej. Z licznych, cennych prac zasłużonego Jubilata wymienić należy: *Seweryn Goszczyński, rozwój jego talentu poetyckiego do r. 1827 (Ateneum 1899), Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX w. (Warszawa 1901); Bohdan Zaleski (Lwów 1902); Szkice literackie (Lwów, 1903); Dzingis-Chan zmartwychwstały* (Poznań 1919); oraz prace z zakresu etnografji: *Przyczynek do etnografji górali tatrzańskich* (Lud 1899). *Dotychczasowy stan badań nad etnografją polską.* (Pamiętnik zjazdu historyków polskich w Krakowie (1900). Skarby tatrzańskie (Wisła 1900) i wiele innych. Prócz tego jubilat pomieścił wiele cennych artykułów w różnych pismach perjodycznych i około 250 recenzyj.

Występ taneczny Heleny Penkalskiej

W teatrze Małym wystąpiła młoda tancerka Helena Penkalska, która po sukcesach zagranicznych debiutowała w Warszawie. Artystka rozporządza zaawansowaną techniką, opartą o kulturę ruchu i gestu. Taniec p. Penkalskiej utrzymany w estetycznych linjach, a pełen uczucia na tle pięknych kostjumów (zwłaszcza hiszpańskich) daje pełnię artystycznego wrażenia. Na koniec zastrzeżenie: treść pomysłów choreograficznych nie zawsze odpowiada wartości formy.

HELENA PENKALSKA
(Fot. F. Knover)

Propaganda literatury polskiej zagranicą

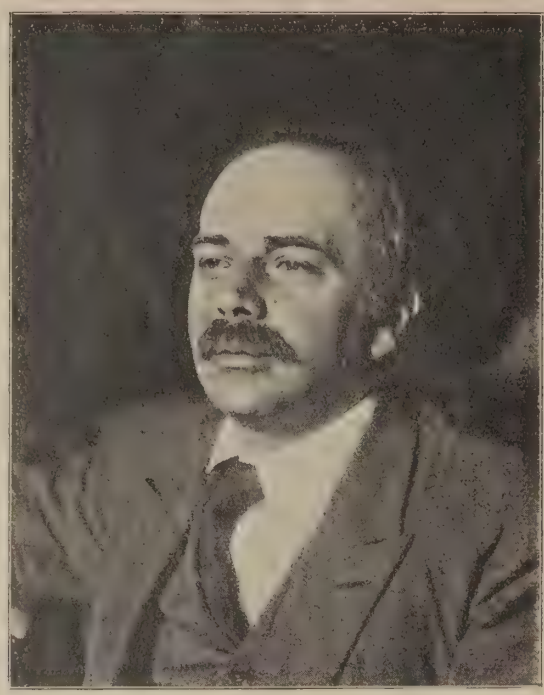

Prof. STANISŁAW SZPOTAŃSKI
autor francuskiej książki o Mickiewiczu

Tegoroczny laureat fundacji Nobla

W. B. YEATS

utalentowany poeta i dramaturg irlandzki, otrzymał w r. 1923 nagrodę Nobla.

Skon wybitnego Przyjaciela Polski

MAURYCY BARRÈS

wybitny publicysta francuski, krytyk literacki, tłumacz arcydzieł naszej literatury na język francuski, zmarł w Paryżu.

Książka francuska o Mickiewiczu

Aczkolwiek Mickiewicz zajmuje przodujące miejsce w dziejach romantyzmu, niemniej jest on mało znany szerokiemu ogółowi czytającej publiczności we Francji. Szkoda wielka, bo genjusz naszego poety dorównywa największym mocarzom ducha ludzkości całej. Lecz oto ukazała się w Paryżu książka o Mickiewiczu, napisana po francusku przez jednego z jego najżarliwszych badaczy, p. Stanisława Szpotańskiego: *Adam Mickiewicz et le Romantisme,* Société d'Editions Les Belles Lettres, str. 105—okładka z portretem. Luka została więc częściowo, ale szczęśliwie wypełniona, albowiem praca p. Szpotańskiego jest utworem syntetycznym, obejmującym nie tylko życie poety, lecz i całą epokę Mickiewiczowską, tudzież zawiera skrót dziejów romantyzmu.

Autor maluje poetę w całej jego ewolucji życiowej. Pokazuje go nasamprzód w walce z prześladowcami Polski, skazanego na tułaczkę zagranicą. Mickiewicz występuje następnie, jako świadek wyprawy napoleońskiej i przeżywa epokę wielkiego ruchu ideowego, który powstał na skutek haseł Rewolucji francuskiej. Wojny Pierwszego Cesarstwa wstrząsnęły tronami Prus, Austrji i Rosji, a naród polski coraz większe nadzieje kładzie w zmartwychwstanie Polski przy pomocy Francji. Następuje wreszcie moment, kiedy wielka wiara romantyków w lepszą przyszłość ożywia umysły całej plejady działaczy narodowych.

Czytelnik francuski przeczyta z wielkiem zainteresowaniem stronice książki p. Szpotańskiego, poświęcone imigracji polskiej we Francji po upadku powstania 30-go roku, wykładom z Collège de France i wreszcie przyjaźni zażyłej, jaka łączyła Mickiewicza z Quinet'em i Michelet'em. Napisana barwnie i jędrnie, praca p. Szpotańskiego ukazała się na czasie i przyczyni się niewątpliwie do spopularyzowania nie tylko imienia Mickiewicza, ale i skrawka dziejów porozbiorowych Polski, tak mało znanych we Francji.

St. A.

Z CHWILI

Pobyt królewskiej pary hiszpańskiej w Rzymie

(Fot. Porry-Pastorel)

Na balkonie Kwirynału: jen. Primo de Rivera, król włoski, królowa włoska, królowa hiszpańska, następca tronu włoskiego, król hiszpański

Królestwo hiszpańscy w otoczeniu świty, dostojników Kościoła i przedstawicieli władz włoskich, opuszczają Watykan

Z JUGOSŁAWJI

Postępy młodej armji jugosłowiańskiej. — Jen. Peszicz, min. wojny, dokonywa przeglądu wojsk ochotniczych i marynarzy z Dalmacji

TADEUSZ RITTNER

MOST

POWIEŚĆ 22)

— Narazie jeszcze się nic nie stało — zauważył obojętnie.

Eugenja spoglądała bezradnie na morze, które tak wyglądało jak w najjaśniejszych chwilach jej życia. Nie może być tak źle — pomyślała i zapytała:

— Przecież nie będziemy musieli zaraz stąd wyjeżdżać?

— Zaraz nikt nie może wyjechać — odpowiedział Jakób.

— Skąd wiesz?

— Dowiadywałem się.

Była zdumiona. On już myślał o tem. A ona czuła dopiero od kilku sekund, że może trzeba będzie prędzej niż się myślało pożegnać się z mewami. Z drugiej strony wydało się jej to pocieszającem, że Jakób był tak doskonale przygotowany na wszelkie ewentualności. On już będzie wiedział co ma zrobić, jak do tego przyjdzie. Z Jakóbem ma się takie uczucie pewności, jak swego czasu z Lolem.

Jakób zakaszlał. Czynił to w dziwnie niezręczny sposób, ale może dlatego robiło to takie wrażenie, że Jakób kaszlał po raz pierwszy w życiu.

— Rzuć tego papierosa! — irytowała się Eugenja. — To obrzydliwe palenie! Dopiero w ostatnim roku przyzwyczaiłeś się do tego!

Jakób milczał.

To przyzwyczajenie pochodziło od czasu jego wizyty u Marjanny. Kiedy go poczęstowała papierosami, wstydził się przyznać, że jeszcze nigdy nie palił. Rozkazał sobie zaraz się tego nauczyć i pokazał, że jest mężczyzną.

Jakób zbladł podczas tych wspomnień; przypomniał sobie drugi wypadek u Marjanny, kiedy też pokazał, że jest mężczyzną...

— Moje dziecko! — zawołała matka przestraszona — ty tak wyglądasz, jakbyś się nie mógł utrzymać na nogach.

Usiedli koło żołnierzy.

Jakób pytał się w duszy:

Czy będąc ostatni raz u Marjanny uczyniłem rzeczywiście to, co chciałem? Posiadłem jej ciało, ale czy tylko to było moim zamiarem? Nie. Wziąłem ją, żeby się od niej uwolnić. A czy jestem teraz wolny? Nie, nie. Jak tylko zamknę oczy, nie jestem na południu, tylko w jej małym żółtym saloniku, w którym pachnie Marjanna. Ale może to jest tylko katar, albo zapalenie płuc, albo jak się te wszystkie zwykłe choroby nazywają.

Dla chorób miał Jakób mniej zmysłu, niż dla innych zjawisk przyrody. Może dlatego, że nigdy w życiu nie był chorym, prócz tego, kiedy sobie złamał raz lewe ramię, a innym razem, kiedy robił jeszcze chemiczne eksperymenta, sparzył sobie obie ręce — nie licząc tych wielu razy, kiedy się zaciął scyzorykiem, to wszystko. Samo zdrowie i widoczne cierpienia.

Tymczasem Eugenja interesowała się ranami swoich sąsiadów. I opowiadali jej o bitwach i pielęgniarkach, o ogniu maszynowym i sztabowych chirurgach.

— A gdzie teraz mieszkacie?

— W Grand Hotelu — powiedział jeden z nich.

— W Hotel Majestic, — odpowiedział drugi.

I przychodzili do zdrowia w przepysznych pałacach, które dawniej bywały zamieszkiwane tylko przez bogatych Amerykanów — a teraz oddano je na usługi biednych żołnierzy. Wogóle żyli sobie wspaniale i całkiem za darmo. Teraz przyszła na nich kolej, czuło się wyraźnie, mieli teraz to, co przed laty posiadali inni. Używali powietrza, nudów i widoku morza, zajmowali wszędzie najlepsze miejsca, a jedyną ich robotą było obieranie dobrych słodkich kasztanów, które sobie sami zrywali; tak nieprawdopodobnie dobrze im było, bo byli chorzy albo ranni. A kiedy przechodził oficer, nie potrzebowali się zrywać i salutować. Bo sami o mało co nie byli zabici. Albo dlatego, że — świat się zapadał.

Żołnierze rozmawiali nawet o polityce.

— Teraz przyjdzie nowy porządek — mówił jeden.

— Teraz my rozkazujemy, a bogaci słuchają — odezwał się drugi.

— Ach, co wy mówicie?! — dziwiła się Eugenja z naiwnem przerażeniem.

Istotnie trzeba było w każdym razie zauważyć upadek dawnego świata i narodziny nowego, pomimo, że się było lekkomyślnym, a mewy krzyczały wesoło. Jeżeli się szło do lasu, albo wzdłuż brzegu morza, widziało się tu i owdzie, że ziemia nie była jeszcze zabliźniona i długo nie można było jeszcze myśleć o rekonwalescencji. A w dodatku może miały przyjść nowe wstrząśnienia — walka między dwoma światami. Słyszało się i czytało o tem dosyć, czy się chciało czy nie.

Wojna jednak — to było dla Jakóba jasnem, niedługo tak strasznie zginie, jak dotąd żyła. A wszystko żyjące zechce wracać równocześnie, bez porządku i zastanowienia. Walczący w oddaleniu żołnierze i jedzący tutaj kasztany i tych wielu oficerów i pozostałych kelnerów hotelowych — czy oni oboje z matką zdołają się jeszcze zmieścić?

Ale tem matka nie powinna była się trapić. Wsiadł z nią na mały okręcik, który dawniej zajęty bywał najbarwniejszym tłumem podróżujących Europejczyków, a teraz nie posiadał innej publiczności, prócz oficerów.

Oficerowie mówili o wszystkiem, co im wpadło na myśl, jak dzieci. Byli pogodni, a przynajmniej chwilowo weseli i nie zdawali się ani chwili myśleć o tem, co przeżyli niedawno. I o najbliższą przyszłość nie troszczyli się; zajmowali się górami, drogami i willami na wybrzeżu, dziewczętami w oknach białych domków, migających między winnicami i gajami oliwnemi, urządzeniem okrętu i innemi rzeczami, bawiącemi młodych i zdrowych. Pomiędzy tymi młodymi byli czterdziestoletni i starsi mężczyźni, głównie tacy, którzy w szczęśliwych czasach nie nosili mnudurów, ale wszyscy zachowywali się jednakowo, jakby chodziło o ładną grę towarzyską, której nikt nie chciał psuć.

Wieczorem, w głębokiej ciemności, Jakób szedł z matką przez promenadę nad morzem, między krzakami wawrzynu, cyprysami i palmami. Kiedy niekiedy widziało się między liśćmi i gałęziami drzew morze, które jak w przepaści falowało głęboko, raz tu, a raz tam i z przyzwyczajenia chciał Jakób wytłumaczyć matce naukowo ten cud natury — ale wstrzymał się, bo uczuł, że mu mówienie sprawiało za wiele trudu.

Twarz jego gorzała, a ręce były nieprzyjemnie suche.

— Nie, — myślał — to sławne morskie powietrze nie jest ani świeże ani przyjemne.

Słychać było śpiew, Eugenja przystanęła i przytuliła twarz do pachnących wawrzynów po stronie lądu.

— Czy słyszysz?... Tam... śpiewają moją arję z Traviatty... — mówiła cicho.

Przez otwarte okno willi nad morzem widziała jasno oświetlony pokój, a w pokoju fortepian, a przy fortepianie postać, w białej, wieczorowej sukni. Rysów twarzy Eugenja nie mogła rozpoznać, ale ten głos wydawał się, jak jej własny. Cicho śpiewała z nią razem.

— Czy nie pójdziemy dalej? — pytał Jakób niecierpliwie.

— Tak, tak... — zbudziła się — ale z powrotem...

Z powrotem nie usłyszeli już żadnego śpiewu, wszystkie wille były ciemne.

— Zniknęło, jak muzyka z mojego życia... — myślała Eugenja z sentymentalnym smutkiem.

Nogi Jakóba były tak ciężkie, że z trudnością mógł postępować za matką. A przed hotelem, gdzie mieszkali, stało kilka osób, które głośno i z zapałem omawiały jakiś wypadek.

— Mnie się zdaje, że się coś stało — powiedziała Eugenja i zbliżyła się prędko do grupy ludzi. Po kilku chwilach wróciła napowrót z przestraszoną miną.

— Jutro odchodzi stąd ostatni pociąg— wyjąkała z trudem — musimy pakować. Wszystko wraca, żołnierze już wyjechali.

To jest niemożliwe — myślał Jakób — bo ja teraz prawie iść nie mogę i głowa mnie boli...

— Niemożliwe — rzekł głośno.

Eugenja zrozumiała go źle.

— Masz rację — przyznała mu w tej chwili, prawie uspokojona — co ludzie wiedzą! Najlepiej pójdę do sekretarki. Ona jest najmądrzejszą tu w hotelu. A ty się tymczasem połóż. Tobie jest niedobrze. Prawda?

Na górze w pokoju, Jakób siadł sobie zaraz na miękkim fotelu i rozpoczął czytać.

„Rzym, 12 lipca 1911...“

Stara gazeta. Oczy go bolały, skręcił światło.

Rzym, Rzym... — chodziło mu po głowie. — Ceasar, Bellum gallicum....

Naraz miał wrażenie, jakby się ktoś oprócz niego znajdował w pokoju. Nie przestraszyło go to wcale, tylko dziwiło trochę. Nie widział zresztą tej osoby, czuł tylko, że był ktoś, który patrzył na niego...

— W Rzymie... — usłyszał znajomy chichot.

Mąż Marjanny. Minister.

— Tak, to ja. Czy panu nieprzyjemnie? Mogę sobie wyobrazić. Marjanna mi się przyznała do wszystkiego. Przyjemna niespodzianka! Co? Czy się pan mnie nie boi?

— Nie — odpowiedział Jakób — wcale nie. Głowa mnie boli i kłuje mnie w piersiach.

Minister zachichotał znowu.

— Widzi pan! A ja miałem pana za takiego silnego i zdrowego! Powiedziałem, że pan na pewno przejdzie na drugą stronę... a teraz....

— Co? — spytał Jakób niecierpliwie. — O czem pan myśli właściwie? Co to znaczy przejść na drugą stronę? Niedługo będzie wszystko dobrze. Niedługo świat będzie taki sam, jak przed czterema laty. Czy panu się teraz zdaje, że ja tego nie dożyję?... Pan się mści... to wszystko. Ale ja sobie nie dam odebrać odwagi.

Minister stał teraz w oknie słabo oświetlony latarnią z ulicy... Widziało się, jak się bawił sznureczkiem od monokla.

— Ja się nie mszczę — mówił — przeciwnie, ja ci odstąpię Marjannę.

— Co?

— Tak, tak — mówił łagodnie i po ojcowsku, jak starzec — darowuję ci ją, mój młody przyjacielu. Ona cię oczekuje w moim nowym pałacu. A ten pałac także ci darowuję. Jeżeli jutro wyjedziesz stąd, będziesz w sobotę w Rzymie.

— W...

— W Rzymie, tak... Adresu nie potrzeba. Jeżeli powiesz, że chcesz iść do mnie, każde dziecko pokaże ci drogę...

Jakób odkręcił światło.

— Z kim mówiłeś przed chwilą? — spytała Eugenja.

Jakób odpowiedział, wahając się:

— Z... jednym ministrem...

— Masz gorączkę. Twoja twarz pała.

Eugenja zaczęła płakać.

— A my musimy jechać...

Popatrzył na nią uważnie.

— To nic nie szkodzi — powiedział zupełnie spokojnym głosem — czuję się już lepiej. To jest tylko katar. Pojutrze będę już zdrów.

Ale Eugenja płakała.

XVII.

Już zdaleka się widziało, że mewy były przygnębione. Siedziały głodne na niskich, czarnych palikach i miały naraz oczy, czego się dawniej u nich nigdy nie spostrzegało, bo były zanadto zajęte. A teraz nie miały żadnej roboty, jak aktorzy bez „engagement“. Trwożliwym, niespokojnym wzrokiem szukały hojnych ludzi, ale ławki na brzegu morskim były puste; sirrocco wiał i padał drobny deszczyk, niestosowna pora dla mew.

Żołnierze nicby sobie nie robili z wiatru i deszczu — ale żołnierzy nie było. „Grand hôtel“ i „Majestic“ stały otworem; sprowadzili się do nich już inni, którzy nie mieli czasu obierać kasztanów i karmić ptaków morskich. Robiono porządki, żeby wszystko było gotowe na przyjęcie nowego życia; nowi żołnierze, którzy mieli nimi dopiero zostać, a narazie wymiatali, szorowali i czyścili.

Weseli oficerowie z okrętów zgromadzili się jeszcze raz na molo, już na ostatnią małą wycieczkę morską. Ale już nie byli weseli. Milczeli — i mieli męskie, na wszystko przygotowane twarze, bo musieli sobie sami nosić kufry. Bóg świadkiem, że nie czynili tego jeszcze nigdy i prowadzili dotąd pańskie życie. Ale teraz, kiedy wszyscy słudzy odjechali, nie mieli nikogo, prócz własnych rąk. Ta chwilowo niemiła sytuacja i niepewność przyszłości nadawała ich minom tragicznej wielkości. A teraz mieli rozpocząć powrót do ojczyzny tym małym wycieczkowym statkiem. Może mieli zostać znowu doktorami, urzędnikami, adwokatami — może... ale to nie było pewne. Ale w każdym razie już nie mieli szabel.

Eugenja i Jakób nie potrzebowali nic nosić sami. Śpiewaczka zostawiła znowu swoje kufry w hotelu; ale teraz nie jako zastaw, broń Boże... ale...

— Teraz wszystko zabierają podróżującym — zapewniała syna.

Tak niebezpiecznym był ten nowy czas, a najniebezpieczniejszemi były granice.

Zdawało się, że Jakób był znowu zdrów. A Eugenja miała już znowu nadzieję. Spoglądała wesoło i czule na morze, jakgdyby chodziło tylko o jakąś wycieczkę, a nie o początek mozolnej podróży. Bo Jakób stał obok niej ożywiony i rozmowny. Mówił uczenie o falach morskich, księżycu, słońcu, przypływie i odpływie.

— To bardzo interesujące — mówiła Eugenja pogodnie i bez zastanowienia. Patrzyła na Jakóba i znajdowała, że był wypoczęty, pedantyczny i bez gorączki, jak w najlepszych czasach.

Ale wieczorem w wagonie kolejowym podobał się jej już mniej. Oczy miał zamknięte, ale nie spał, a usta jego były w ustawicznym ruchu, jakgdyby rozmawiał z niewidzialnymi ludźmi.

Naprzeciw nich siedziała młoda, kochająca para: młody marynarz w świetnym humorze i ciemna, czarnowłosa dziewczyna; rozmawiali po serbsku czy po kroacku, całowali się gorąco i nie wydawali się bynajmniej być ze sobą pobrani. Zachowywali się tak, jakgdyby byli sami na świecie, ale to nie przeszkadzało nikomu, nawet ich najbliższemu sąsiadowi. Chudy, blady porucznik, któremu się wydawało prawdopodobnie, że jest w łóżku; jego zmęczona głowa spoczywała ciężko na wysuniętym stoliku pod oknem.

Ale marynarz nie myślał o śnie i spokoju. Był bogaty i kupił swojej dziewczynie — gramofon. I postawił go na stoliku, obok głowy chrapiącego porucznika. Starannie założył płytę, a dziewczyna promieniała w błogiem oczekiwaniu.

On nie myśli przecież na serjo grać na gramofonie — miała nadzieję Eugenja.

Ale myliła się. Głowa porucznika skoczyła jak piłka w górę, a Jakób nagle drgnął. Ale później już się nikt o to nie troszczył. Nawet gwałtownie zbudzony porucznik uśmiechał się łagodnie i uprzedzająco; widocznie przypomniał sobie, że dawny świat już się nie liczył.

A nowy świat zaczął śpiewać:

Głośno i silnie, ale nie tak banalnie, jak się oczekiwało. Słyszało się głosy kobiet, dzieci i starców z długiemi brodami. Doprawdy, że można ich było rozpoznać doskonale. Był wieczór i wszyscy siedzieli przed drzwiami małego domku i wszyscy byli spokrewnieni z marynarzem i jego ciemną dziewczyną. Bo śpiewali po serbsku czy po kroacku. Śpiewali w czerwonym kolorze, bo właśnie słońce zachodziło, dziwnie świątecznie i patetycznie. Wszyscy śpiewający byli uzbrojeni, a kobiety także błyskały zaczepnie wzrokiem. Ale obok ciepłych ludzkich głosów, słyszało się wiatr wieczorny, który wiał z łąk i przynosił z sobą zapach więdnących koniczyn.

Eugenja słuchała pochylona.

Ale marynarz włożył nową płytę. Już nie był wieczór, prawdziwie poranny głos śmiał się głośno i wyciągał donośne trylery.

Wtem pociąg nagle stanął i drzwi od wagonu zostały naraz otwarte.

— Wszyscy wysiadać! — krzyczano.

Utknęliśmy w drodze. Nikt nie wiedział dlaczego i na jak długo.

Jakób się nie ruszał.

— Wstań, moje dziecko — błagała zrozpaczona Eugenja, drżąc.

(Dcn)

Przedruki i przekłady zastrzeżone. Copyright by W. Sieroszewski nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA

POWIEŚĆ

43)

Wołkow z początku przekonywał ją, lecz w końcu umilkł i chmurny palił papierosa i tylko od czasu do czasu obrzucał dziewczynę ciekawem, złem spojrzeniem. Zimno zewnętrzne potęgowało jeszcze to wewnętrzne dygotanie nerwowe, jakie opanowało Hankę od chwili ukazania się Wołkowa i nad którem nie mogła żadną miarą dłużej zapanować. Daremnie powtarzała sobie:

— Cóż takiego?... Przecież nie mogłam zostać na wieki wieczne w „fraucymerze" Geriltu Chanum!... Jadę do Urgi, za chwilę zobaczę brata, Szag-dura... Napewno się o mnie zatroszczyli... Baron też był bardzo uprzejmy... Wołkow wypełnia jego rozkaz... Nic mi nie grozi, nic grozić nie może!... Jestem przekonana, że niedługo, jeszcze przed zimą uda się nam wyjechać do Chin, do Szanchaju a stamtąd do kraju!...

— Do kraju, do kraju!... — szeptał jej monotonny szum samochodu.

— Do kraju!... — powtarzały to głazy, to kępy traw, to krzewy, widmowo wyłaniające się z ciemności w światłach reflektorów.

Zimno jednak brało nad nią górę, wprost stygła boleśnie, z każdą chwilą głębiej czuła chłód wdzierający się do jej piersi. Jedynie nagłe wstrząśnienia i podrzucania spowodowane nierównościami drogi, ogrzewały ją cokolwiek, ale za to rozwiewały otulającą ją odzież, dając jeszcze łatwiejszy dostęp do stygnących członków szalejącej wichurze.

Zdawało się jej, że już nie wytrzyma, że będzie zmuszona zwrócić się o pomoc do siedzącego obok niej wstrętnego oficera, gdy w ciemnościach niedaleko błysnął ogieniek i ckliwy zapaszek dymu nawozowego zaleciał ją z podmuchem wiatru.

— Urga!... — pomyślała z ulgą.

Droga stała się równiejszą, samochód zaryczał nagle, a po chwili blado mignęły światłem latarni kanty i ściany jakichś budowli.

Skręt gwałtowny i samochód zatrzymał się przed zamkniętą bramą, nakrytą ciężkim chińskim dachem.

— Co to?... Urga? — spytała Hanka, z trudem poruszając zastygłemi wargami.

— Nie, jeszcze nie, ale tu zatrzymamy się chwilkę, ogrzejemy, napijemy herbaty!...

— Przecież do Urgi miało być wszystkiego dwadzieścia pięć minut?... — szepnęła z przykrością, nie ruszając się z siedzenia.

— Kto je mierzył?... Jak pani widzi — tak nie jest!... Niech pani wstanie, dużo czasu nie mamy... Nad ranem musimy być w Urdze...

— Nad ranem?!...

— No tak, o ile nic nie przeszkodzi, nie zepsuje się maszyna... Tak pani pilno uwolnić się ode mnie?...A przecież pani przyzna, że jestem grzeczny...

— Istotnie, był pan uprzejmy!... — zgodziła się, wstając, Hanka. Miała tak zesztywniałe i osłabłe członki, że zachwiała się na nogach i Wołkow podchwycił ją pod rękę.

— I poco to udawać posąg kamienny, kiedy jesteśmy ciepłą, śliczną dziewczyną! — śmiał się, prowadząc ją wąską boczną furtką, obok bramy, która otwarła się po krótkiej rozmowie klucznika z tłumaczem Wołkowa. Za bramą w mroku widać było po obu stronach długiego jak ulica dziedzińca niskie jakieś budowle, zamknięte w dali ogrodem, nad którym wznosiły się wysoko balkoniki i rogate chińske dachy.

— Tutaj, na prawo!... — zwrócił się do nich jakiś głos piskliwy z ciżby stojących za bramą postaci.

— Puść mię pan!... — szepnęła Hania, wyrywając się z rąk Wołkowa, który pod pozorem troskliwości przyciskał ją i obejmował coraz śmielej.

Na prawo świeciło wewnętrznym ogniem duże papierowe okno, a przez szczelinę nie domkniętych drzwi jasny promień żółtego światła wybiegł daleko na kamienne schodki i drogę.

Za chwilę Hanka znalazła się w niskim pokoju o ścianach bielonych wapnem i podłodze z ubitej gliny. Oświetlała ją duża chińska papierowa latarnia, postawiona na niskim stoliku. Innych mebli w pokoju nie było. Pachniało wilgotnym murem, pleśnią, czosnkiem i opium. Ale wiatr tu nie dokuczał i było cieplej. Hanka przysiadła na rogu stołeczka i przyglądała się twarzom kupiącym się u proga postaci. Po żółtych szalach, po golonych łbach, po obwiniętych dookoła zapięści różańcach poznała, że są to lamowie i domyśliła się, że jest zapewne w klasztorze. Dziwiły ją jedynie twarze, figury i głosy zakonników takie bardzo podobne do kobiecych, lecz podobieństwo to, wywoływane powłóczystym ubiorem oraz pewną zniewieściałością lamów, płynącą z bezczynności, już i przedtem uderzało ją nieraz. Nigdy nie mogła z pierwszego rzutu oka odróżnić lamy od kobiety. Nie zwróciła więc na to większej uwagi, niecierpliwiło ją jedynie, że Wołkow, który natychmiast wyszedł za drzwi, nie wracał tak długo...

— Gdzież ta „oros"? — spytała po mongolsku.

— Ona mówi po mongolsku!... Boże dobrotliwy!... — rozległ się szept wśród stojącej u drzwi gromadki i łyse głowy z przyłożonemi ku nich pięściami pochyliły się ku ziemi.

— Nie wiemy, gdzie „oros", nie wiemy!... — zabrzmiał chór.

W tej chwili zawarczał w dali samochód i sapiąc zaczął się oddalać...

— Odjeżdża!... Co to jest?... — krzyknęła Hania, zrywając się. Nie zdążyła jednak zrobić kroku ku drzwiom, gdy te otwarły się i na progu stanęła starsza osoba we wspaniałym stroju duchownym, z małą jedwabną czapeczką na głowie. Tym razem Hania od razu poznała, że to jest kobieta. To ją ośmieliło. Zbliżyła się szybko do przybyłej i zaczęła mówić bezładnie, używając wszystkich znanych jej mongolskich wyrazów i zwrotów...

— Chanum, powiedz, co to znaczy?... Gdzie „oros"?... Czy samochód odjechał? Czy wróci?... Czy daleko do Urgi?... Ja muszę dziś jeszcze być w Urdze!... Tam mój brat!... Tak postanowił Dziań-dziuń! Dziań-Dziuń... Unger von Sternberg!... — mówiła z trudnością.

— Dziecko moje, zostaniesz tutaj!.. Tak postanowił Boski Bog-do Gegen!... A on tu jest panem... „Oros" odjechał, musiał odjechać, bo niewolno mężczyznom przestępować tego progu... Pozwoliliśmy mu wejść tutaj na wyraźny rozkaz Gegena... Ale tylko tutaj, nie dalej... Ty zaś „Święta" pójdź z nami i spocznij w przygotowanych dla ciebie pokojach, gdyż jutro o świcie rozpoczną się dziękczynne modły...

Hanka stała oszołomiona; na dany znak dwie zakonnice zbliżyły się do niej i, ująwszy mocno pod ręce, poprowadziły za idącą przodem przeoryszą... Na podwórzu stało kilka służek z latarniami i pieczołowicie oświetlały im drogę.

XVIII.

Przeznaczono jej na mieszkanie celę na piętrze z długiem wąskiem jak strzelnica oknem, wychodzącem na dolinę rzeki, której prawy brzeg górzysty pokryty był gęstym zielonym lasem. Widok był dość przyjemny szczególniej przed wieczorem, kiedy ukośne promienie słońca złociły rzekę i przeświecały do głębi malachitowe bory, złocąc je żółtemi żyłkami pni i gałęzi ujawnionych blaskiem zorzy.

(Dcn)

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI
WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani B. Z.: Pudry zagraniczne można w zupełności zastąpić *pudrem Abarid*, który nie zawiera żadnych szkodliwych domieszek i nie tylko nie niszczy cery, ale chroni ją od wpływów atmosferycznych, szczególniej gdy jest używany jednocześnie z *kremem Abarid*.

Pani Janinie: Jeżeli pani idzie o radykalne wyleczenie odmrożenia, to możemy polecić pani tylko *Gelurine D-ra Tissota*. Trzeba stosować jednocześnie krem i płyn. Po wyleczeniu rąk z odmrożenia stale należy stosować *Pâte de prelats Dr. Ponsarda*, a ręce nabiorą aksamitnej delikatności.

Masywnej: Aby zapobiedz tyciu, radzimy zamiast herbaty używać *ziółka Paraguajskie Dr. Grimma*. Na usunięcie nadmiernego otłuszczenia bioder radzimy stosować *masarzystkę Heros i Creme-Unique*.

Niecierpliwej: Zbyteczne owłosienie na rękach i nogach momentalnie usunie *Epil-Max*.

Do wszystkich: Środki tutaj polecane są do nabycia w perfumerji Perfection, Szpitalna 10, w perfumerjach W. Paszkowskiego Marszałkowska 109 i Nowosenatorska 2, w Krakowie u Miklaszewskiego plac Dominikański 1, w Poznaniu M. Zaremba, Fredry 2.

M-me Ercedès.

ZE ZMARSZCZKAMI
piegami i złą cerą pań nie będzie; panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej—5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej—7-ej.
Paderewska Zofja Ludwika
Hoża 41—7

Obrycia, Futra, Kostjumy, Suknie, Bluzki, Szlafroczki, Kapelusze, Bielizna.

NA GWIAZDKĘ

MAGAZYN
KONFEKCJI DAMSKIEJ

E. Gierwatowski

WSPÓLNA 35
PRZY MARSZAŁKOWSKIEJ

POLECA:

PALTA
KOSTJUMY
SUKNIE
BLUZKI
BIELIZNĘ
POŃCZOCHY
TRYKOTAŻE

WYROBY WŁASNE
PRACOWNIA PRZY SKLEPIE

NOWA KSIĄŻKA
ASKENAZY A.
GDAŃSK A POLSKA
BROSZURA

Polski Whisky **Winkelhausen** Wypalanki winne

Jeneralne Przedstawicielstwo: Dom Handlowo-Przemysłowy H. PODKOMORSKI i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 2. Telefony 176-32 i 74-95

PROSPEKT
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
NA ROK 1924

Tygodnik Illustrowany rozpoczyna w 1924 r. 65-ty rok swego istnienia. Długi ten szereg lat, zamkniętych w roczniki, na których kartach ślad swój zostawiło całe życie polskie w najgroźniejszych momentach i chwilach ciężkich zmagań, świadczy, że konieczność zobrazowania dziejów naszych drogą ilustracji uznana została przez Czytelników, że nie szczędzili nam oni swego poparcia, że w najtrudniejszych warunkach pamiętali o nas i nam pomagali.

Z nadzieją, że i nadal tak będzie, wchodzimy w dalszy okres pracy, tem cięższej obecnie, że z dnia na dzień zmiennej, z tygodnia na tydzień wymagającej nowych wysiłków.

Nie lękamy się tego jednak. Jak dotychczas tak i nadal chcemy pozostać tą placówką, z której bacznie obserwować będziemy wszystkie objawy twórczej myśli w Polsce. Wierni tradycji naszej, zdala od wszelkich swarów partyjnych, służyć będziemy ideałom miłości Ojczyzny, z zamętu dni i chaosu czasu wyławiając to, co zrębem stać się może pod potężny gmach odrodzonego Państwa, być jego ozdobą i dumą. Nie obce więc nam będą wszelkie zagadnienia społeczne i kulturalne, na łamach *Tygodnika Illustrowanego* znajdą Czytelnicy wszystko, co najwybitniejsi myśliciele i twórcy polscy do ogólnego dorobku dodadzą.

Troską redakcji będzie, aby jak wciągu ubiegłych lat 64, skupić i w tym roku wszystkich najznakomitszych pisarzy na łamach *Tygodnika Illustrowanego*, a Czytelnikom podać wykwit naszej poezji i prozy literackiej.

Sztuka na kartach *Tygodnika Illustrowanego* uwzględniana będzie w zakresie jeszcze szerszym niż obecnie. Również pod względem graficznym dołożymy wszelkich starań, aby ilustracje odbijane były jak najlepiej. W numerach specjalnych wprowadzimy druk barwny, aby ożywić wygląd pisma i nadać mu tem charakter, jaki mają najlepsze ilustracje zagraniczne.

Redakcja *Tygodnika Illustrowanego* posiada w tece utwory, względnie zapewniła sobie współpracownictwo na rok 1924 następujących pisarzy:

~~Aubac~~, ~~Augustynowicz J.~~, ~~Bandrowski J.~~, ~~Barszczewski S.~~, ~~Bartoszewicz K.~~, ~~Bartkiewicz~~ Z., ~~Berent W.~~, ~~Bondy Wł.~~, ~~Borawski Mi.~~, Brodowski, ~~Brzeg Adam~~, ~~Buszyński~~ M., ~~Chmielewski Kom.~~, Chojecki Artur, ~~Chołoniewski Ant.~~, Chorowiczowa A., ~~Choynowski Piotr~~, Chrzanowski Ign., Czarnocki-Denhoff, ~~Czerny~~ Adolf, Dębicki Zdz., Divèky Ador, Dobrowolski Nałęcz, Ejsmond J., Folkierski W., Gawiński A., Gebethner H., Goetel F., Grzymała-Siedlecki A., Gumowski M., Gwiżdż F., Jachimecki Zdz., Jabłonowski Wł., Jarocki Stanisław, Kaden-Bandrowski Julj., Kallenbach J., Kamiński A., Kasprowicz J., Kawecki J., Kędzierski Apolonjusz, Kleczyński Jan, Kleiner J., Kleszczyński Zdz., Koczorowski St., Konopacki L., Kossak Wojciech, Kotarbiński Miłosz, Kowalewski J., Kozłowski Czesław, Kraushar Al., Kryński Adam Antoni, Kucharzewski F., Kutrzeba St. Kwiatkowski R., Lam St., Lamowa P., Lange Ant., Lauterbach A., Ligocki Edw., Lutosławska Casanowa Z., Lutosławski Jan., Lutosławski Wincenty, Łempicki Z., Machay Ks. T., Makuszyński K., Maykowski St., Miłaszewski St., Miłaszewska Wanda, MorelowskiM., Morzkowska A., Mysłakowski Zygm, Nalepińska H., Nałkowska-Rygier Z., Neufeldówna Bron., Niesiołowski J., Niewiadomski Stanisław, Nittman Michał, Oppman A., (Or-Ot), Ossendowski A., Orlicz M., Obrzud St., Pannenkowa I., Pigoń S., Piotrowski M., Podhorska-Okołów, Pomarański S., Przybyszewski Stan., Rabska Z., Rabski Wł., Reinhold J. H., Ruffer J., Rychling Fr., Rychliński B., Schröder A., Siemieński, Sieroszewski Wacł., Sinko T., Skoczylas W., Słoński Edw., Smolarski M., Sosnkowski J., Staff Leopold, Strzygowski, Świerczewski Eug., Szelągowski A., Szelążek W., Tatarkiewicz Wł., Tetmajer K., Tokarz Wacław, Treter M., Trzebiński M., Ujejski Józef, Ułaszynowa H., Umiński W., Walicki S., Wasilewski Z., Wasylewski S., Winiarski M., Wolffówna H., Woroniecki Edw. Wroczyński K., Wydżga B., Wyrzykowski S., Zagórski Adam, Zahorska H., Zieliński Tad., Znatowicz-Szczepańska, Zubrzycki Prof., Zyndram-Kościałkowski, Żeleński-Boy, Żeromski Stefan, Żyznowski Jan oraz wielu innych.

Od numeru 1 z r. 1924 *Tygodnik Illustrowany* rozpoczyna druk najnowszego utworu

JULIUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO pt: „BAL"

W dziele tem, posiadającem pierwszorzędne zalety literackie, daje autor konterfekt ludzi małego miasteczka, ich trosk, kłopotów i radości, daje środowisko wystudjowane znakomicie, scharakteryzowane wybornie. W odróżnieniu od innych utworów autora „Generała Barcza" i „Prochu" spotykamy się w „Balu" z wprowadzeniem pierwiastka humorystycznego, który J. K. Bandrowski wyzyskał obficie i bardzo szczęśliwie.

Po ukończeniu „Balu" drukować będziemy specjalnie dla *Tygodnika Illustrowanego* napisaną dużą powieść **WŁ. ST. REYMONTA,** osnutą na tle stosunków Polonji Amerykańskiej.

Ponadto **STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI** odtworzy w literackich pamiętnikach pt: **„MOI WSPÓŁCZEŚNI"** galerję wielkich pisarzy zagranicznych i polskich, którzy w ostatnich 25 latach tworzyli literaturę europejską. Przed czytelnikiem przesuną się postacie Strindberga, Ibsena, Hamsuna, O. Hanson, Wyspiańskiego, Kasprowicza i wielu innych. Przybyszewski, który zetknął się z tymi wszystkimi mocarzami pióra, był jedynie powołany do utrwalenia tego okresu literackiego w formie pamiętnika.

Obok artykułów z dziedziny literatury, sztuki, kultury, obyczajowości, historji, muzeologji, bibljotekoznawstwa oraz innych dziedzin wiedzy, obok beletrystyki, reprezentowanej dłuższemi utworami powyż wymienionych autorów a także krótszemi nowelami i opowiadaniami, w *Tygodniku Illustrowanym* będzie stały dział *Teatru*, gdzie prócz sprawozdań i teoretycznych rozważań znajdzie się dokładne zobrazowanie całego ruchu scenicznego w ilustracjach, oraz rubryka *z życia muzycznego*, w której omawiane będą zagadnienia muzyki i jej stan bieżący, z uwzględnieniem wybitniejszych koncertów i twórczości operowej.

W każdym numerze znajdzie uwzględnienie chwila bieżąca, a reprodukcje z fotografij specjalnie dla nas wykonywanych w większych ośrodkach Polski i zagranicy, zaznajomią Czytelników z najwybitniejszemi zdarzeniami ostatniego tygodnia.

Sport będzie traktowany przez nas tak szeroko, aby zobrazować nie tylko wszystkie jego objawy, ale również podkreślić postępy i zdobycze nasze na tem polu.

Cechą *Tygodnika Illustrowanego* we wszystkich jego działach będzie jaknajwiększa wszechstronność i objektywizm w rejestrowaniu całego życia Polski i zagranicy.

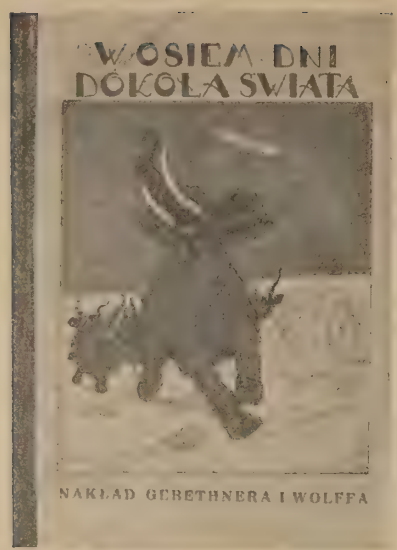

GEBETHNER I WOLFF

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

NOWOŚCI GWIAZDKOWE

1923

Wydawnictwa obrazkowe dla małych dzieci:

Dzieci i rzeczy . . . . . 2.—
Kot w butach 2.50
Nasze kochane zwierzątka . . . 2.—
Podróże Guliwera 2.50
Śliczna książeczka dla grzecznych dzieci . . . . . 5.—

Dla starszych dzieci:

Aleksandrowicz-Homolacsowa Nina. Kudełek na wsi. Z ilustracjami autorki. 10 plansz wielobarwnych . . opr. 10.—

Grabowski Jan. Wicek Świerszczyk i Karaluch Smalec. Z 10 ilustracjami W Szyndlera . 4.—

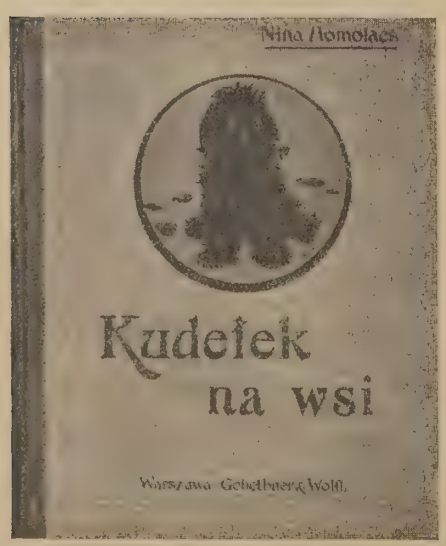

Dla młodzieży:

Chodźko Ignacy. Pamiętniki kwestarza. Wydanie skrócone w opracowaniu J. Grabowskiego. Z 8 ilustracjami E. M. Andriollego, broszura 6.50 . . . karton 8.00

Gomulicki Wiktor. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Wyd. 4-e. Z 6 ilustracjami K. Górskiego . . karton 6.—

Mossoczowa Michalina. Za tysiąc lat (z marzeń o przyszłości młodego idealisty). Powieść fantastyczna z 15 ilustracjami W. Szyndlera karton 5.00

Umiński Władysław. Balonem do bieguna. Przygody z podróży powietrznej ponad lodami. Z 6 ilustracjami W. Szyndlera. Wyd. 3-e zmienione . . . karton 5.80

— Na falach Atlantyku. Przygody rozbitków pośród oceanu. Z 5 ilustracjami E. Bartłomiejczyka. Wyd. 2-e karton 4.50

— Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustracjami Z Grabowskiego. Wyd. 3-e poprawione przez autora karton 6.50

Włodkówna Bronisława. Przeciw złej doli. Opowiadania dla młodzieży. Z 4 ilustracjami Z. Błeszyńskiej, broszura 1.50 . . . . karton 2.50

Dla dorosłych:

Askenazy Szymon. Gdańsk a Polska. Wydanie nowe zmienione z licznemi ilustracjami w tekście i na oddzielnych planszach, broszura 9.— opr. w płótno 14 —

Dębicki Zdzisław. Książka i człowiek. Wydanie drugie . . . 1.60

— Poezje. Wydanie jubileuszowe . . . . . .

El...y (Adam Asnyk) Wybór poezyj z portretem Asnyka. Wyd. 3-e uzupełnione (Bibljoteczka Minjaturowa) broszura 3.— opr. w półsk. 8.00

Kleiner Juljusz. Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości. Tom III. Okres Beniowskiego. Z 6 ilustracjami . . . . . 12.—

— Toż samo. Wydanie luksusowe . . . . . 24.—

Prus Bolesław. Faraon. Wydanie luksusowe na F⁰ z 10 planszami dwubarwnemi według kompozycji J. Holewińskiego. W specjalnej oprawie . . . . . 60.—

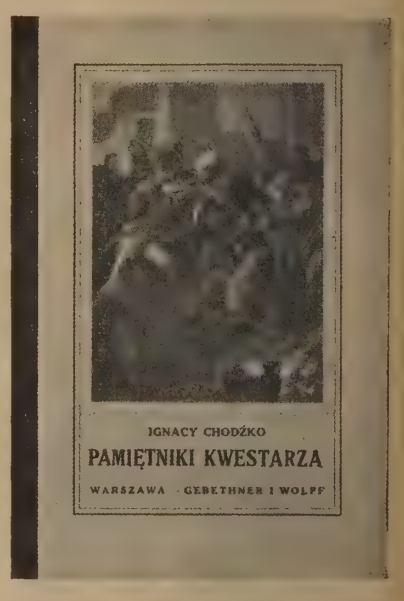

Siedlecki Michał. Skarby wód. Obrazy z nadmorskich krain. 80 rys. w tekście . . . 4.75

Wasylewski St. Portrety pań wytwornych wieku XVIII. Wydanie luksusowe z kilkudziesięciu ilustr. dwubarwnemi w tekście i 12 planszami. Brosz. 30.— opr. 36.—

Ceny zasadnicze. Obowiązujące bieżący mnożnik

Do cen katalogowych dolicza się 20% dodatku sortymentowego

Na żądanie wysyła się Nr. 4 „Przeglądu Bibljograficznego" z katalogiem informacyjnym wydawnictw gwiazdkowych.

Ilustracja do książki „Kudełek na wsi"

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 52 * OGÓLNEGO ZBIORU 3,345 * 22 GRUDNIA 1923

Z GALERJI LANCKOROŃSKICH W WIEDNIU

PORTRET KSIĘŻNICZKI LOTARYŃSKIEJ — VIGÉE LEBRUN

POD GROZĄ KATASTROFY

W chwili, kiedy książka naukowa staje się coraz trudniejszą do nabycia na własność, społeczeństwo powinno szczególną otoczyć opieką te instytucje, w których książkę można otrzymywać do przeczytania zadarmo lub za skromną tylko opłatą, a więc bibljoteki publiczne, owe wielkie zbiornice ksiąg, otwarte dla wszystkich i ułatwiające wszystkim dostęp do skarbów wiedzy.

Niestety, tak nie jest. Przeciwnie, jeżeli weźmiemy pod uwagę braki, z jakiemi walczy Towarzystwo Bibljoteki Publicznej w Warszawie, to przekonamy się, że społeczeństwo nie tylko nie opiekuje się tą instytucją, ale traktuje ją z najkarygodniejszą obojętnością, która świadczy o tem, że zgoła nie zdajemy sobie sprawy z publicznego obowiązku popierania jednego z najpoważniejszych ognisk kultury umysłowej w stolicy państwa.

Ognisko to powinno płonąć jasno, wówczas bowiem tylko może promieniować szeroko, a więc posłannictwo swoje należycie spełniać. Tymczasem od szeregu lat znajduje się ono w stanie powolnego dogasania.

Posiadając własny gmach — szczodrą, obywatelską ofiarę p. Eugenji Kierbedziowej — posiadając dostateczny zasób książek, zgromadzonych przez ludzi dobrej woli, Bibljoteka publiczna przy ul. Koszykowej nie posiada środków ani na zakup nowych dzieł, co powstrzymuje jej normalny rozwój, ani nie może opłacić swojego bardzo nielicznego personelu, ani nie może ogrzać nawet w ciągu zimowych miesięcy sali czytelnianej.

Oczywiście w takich warunkach bibljoteka przestaje być bibljoteką. Grozi jej poprostu zamknięcie. Frekwencja jej z dnia na dzień zmniejsza się. Książki próżnują na półkach i zagrożone są poważnie od wilgoci i jej nieuniknionego następstwa — niszczącej pleśni. Jeszcze kilka miesięcy takiego stanu rzeczy — a najcenniejsze, stare dzieła, które, zdawało się, przetrwały najgorsze czasy, zaczną teraz, w czasach dla Polski pomyślnych, butwieć i rozpadać się. Ocalone od zagłady, czyhającej na nie w ciągu stuleci, druki z XVI, XVII i XVIII-go wieku znajdą oto teraz swój koniec w pięknym, własnym, ale opuszczonym i zapomnianym przez społeczeństwo gmachu.

Jeżeli teraz od tego ponurego obrazu przeniesiemy się myślą do jasnych, ciepłych sal czytelnianych w bibljotekach zagranicznych, jeżeli uprzytomnimy sobie, że spotykają się tam codziennie rzesze młodzieży i z książką w ręku spędzają po kilka godzin w atmosferze, podniecającej do pracy umysłowej, że ta praca daje niejednemu na całe życie metodę umiejętnego obcowania z bibljoteką, co sprawia, że w następstwie uciekać się on będzie w każdej potrzebie do pomocy książki naukowej — to zrozumiemy, że to, co dzieje się u nas, jest oddziaływaniem na młodzież w kierunku wręcz przeciwnym: zamiast zachęcać, zniechęca ją do pracy w bibljotece, zamiast zbliżać do książki, oddala ją od niej, zamiast przyzwyczajać do niej, odzwyczaja i uczy obchodzić się bez niej.

I tak jesteśmy już społeczeństwem, w którem ogromny odsetek inteligencji nigdy w bibljotece publicznej nie pracował, nigdy nawet tam nie był i nie ma odwagi pójść, bo nie wie, jak zażądać potrzebnej książki, jak ją wynaleźć w katalogu, do kogo się o nią zwrócić. Wszystkie te obawy, nieśmiałości i nieumiejętności były zrozumiałe u pokolenia, które kształciło się w okresie niewoli i miało do dyspozycji jedną tylko wówczas bibljotekę uniwersytecką, jako bibljotekę publiczną, obsadzoną przez urzędników-moskali i przesyconą duchem żandarmsko-rosyjskim. Ale, na miłość Boską, to wszystko jest już za nami, młodzież współczesna powinna więc mieć szeroko otwarte przed sobą podwoje bibljotek i zdobywać tam metodę pracy naukowej, co jest właściwym celem wszelkich studjów wyższych, bo nie polegają one na tem, aby student przeczytał podręcznik i zdał egzamin z wynikiem dostatecznym, lecz na tem, aby przygotował się do samodzielnej pracy, a tego bez umiejętnego korzystania z bibljoteki nie osiągnie.

Należałoby więc w myśl tego wołać do młodzieży nieustannie: „Uczęszczajcie do bibljoteki publicznej! Korzystajcie z każdej wolnej chwili i spędzajcie ją z książką w ręku! Czyńcie to, co czynią wasi koledzy w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu, Rzymie, Pradze Czeskiej i wogóle we wszystkich miastach uniwersyteckich Europy Zachodniej!"

Cóż jednak na to młodzież akademicka odpowie? Oto rzuci nam w oczy zarzut, że w bibljotece jest zimno i wilgotno, że Zarząd oszczędza na świetle, zawcześnie książnicę zamyka, że personel bibljoteki jest niewystarczający liczebnie, aby mógł szybko i sprawnie obsłużyć klientelę i t. d. i t. d.

Wszystko to będą zarzuty, niestety, słuszne. Tak jest istotnie. Bibljoteka w tych warunkach, w jakich istnieje obecnie, zadań swoich należycie spełniać nie może.

— Więc należy ją zamknąć — powiedzą zwolennicy oszczędności i odkładania wszystkich potrzeb kulturalnych do „lepszych czasów".

Nie. Zezwolenie ze strony społeczeństwa na zamknięcie Bibljoteki publicznej byłoby zbrodnią. To społeczeństwo, które przez sto z górą lat opłakiwało wywiezienie z Warszawy do Petersburga Bibljoteki Załuskich, które bolało głęboko i szczerze nad rozproszeniem bibljoteki uniwersytetu wileńskiego i zamknięcie tego uniwersytetu uważało za czyn barbarzyński w stosunku do kultury polskiej, które następnie walczyło przez długi szereg lat o prawo utworzenia w Warszawie prywatnej bibljoteki publicznej — miałożby dzisiaj z zimnem sercem patrzeć na zamykanie podwojów tej instytucji, u której fundamentów leży tyle zapału, dobrej woli i ofiarności pokolenia, schodzącego już dzisiaj z pola, ale dobrze zasłużonego ojczyźnie swoją pracą właśnie w dziedzinie kultury narodowej?

To się stać nie może. Prawda, że istnieje wiele potrzeb niezaspokojonych, że z rozmaitych stron odzywają się nawoływania: „dajcie na to, dajcie na owo!" — ale prawdą, górującą ponad wszystkiem jest to, że naród nie samym tylko chlebem żyje, że i światło nauki potrzebne mu jest tak samo, jak wszystko inne, wcale nie mniej, niż chleb powszedni, bo ono właśnie tego chleba powszedniego przysparza, ułatwiając tym, co je posiadają, walkę o byt i pokonywanie przeszkód, w tej walce napotykanych.

Bibljoteka publiczna jest jednem z nielicznych u nas a najważniejszych ognisk tego światła. Należy więc ją za każdą cenę podtrzymać, byt jej zabezpieczyć i utrwalić, aby istotnie mogła doczekać „lepszych czasów".

Odpowiedzialność za to spada na społeczeństwo, przytem nie tylko na społeczeństwo warszawskie, do którego odwołują się zazwyczaj wszystkie instytucje, ale na społeczeństwo całego kraju, na cały naród polski, bo w istnieniu bibljoteki publicznej zainteresowana jest nie tylko Warszawa — zainteresowany jest kraj cały. W Warszawie przebywa na studjach młodzież całego kraju. Wszystkie, najodleglejsze nawet województwa mają tu swoich przedstawicieli w wyższych uczelniach i ci przedstawiciele, o ile chcą się uczyć naprawdę, muszą korzystać z bibljoteki — niechże więc wszystkie województwa przyłożą się do tego, aby najpilniejsze potrzeby bibljoteki zaspokoić.

Na ten głos skargi, który się wydobywa z gmachu bibljoteki a który brzmi jak przestroga przed zniszczeniem i zagładą tego, co z niemałym trudem zostało zebrane i co stanowi już dzisiaj poważne bogactwo narodowe, bo wartość majątku bibljoteki publicznej w książkach i rękopisach idzie już dzisiaj w dziesiątki miljardów — na ten głos do szerszych warstw społeczeństwa, niestety, mało jeszcze zrozumiały, nie może jednak pozostać głucha i obojętna ta zwierzchnia warstwa narodu, która mieni się jego elitą i która z tego tytułu dźwiga na sobie odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń za całą zbiorowość polską, powoli dopiero dojrzewającą do poczucia swoich obowiązków obywatelskich.

Do tej elity polskiej, wśród której, obok zubożałej i zdeklasowanej inteligencji, obok pobierających niedostateczne za swoją pracę wynagrodzenie profesorów uniwersytetów i nauczycieli, jest przecież niemało ludzi bogatych i zamożnych, wołamy: „pomóżcie!" Jeżeli jedna dobra Polka i obywatelka mogła hojnym datkiem ufundować wydział rolniczy przy uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie *), to czyliż zbiorowemi siłami nie da się nieskończenie łatwiej zabezpieczyć Bibljotekę publiczną i zażegnać wiszące nad nią niebezpieczeństwo, które łatwo stać się może katastrofą kulturalną dla Polski, katastrofą w następstwach swoich nieobliczalną, bo pociągającą za sobą niedouczenie całego pokolenia. Wykształcenie zaś nawet wyższe bez bibljoteki, bez szerszego oczytania się, bez umiejętności szukania i znalezienia w każdym przypadku tego, co jest potrzebne, będzie zawsze niekompletne, będzie tem *niedouczeniem*, którego skutki, zwłaszcza w życiu publicznem, są zawsze ujemne.

Nie skąpmy więc ofiar na Bibljotekę publiczną! Zapisujmy się w poczet jej członków! Uczyńmy wszystko, aby było tam jasno i ciepło, aby do istniejących już ksiąg mogły przybywać nowe, aby każdy, kto tam wejdzie, otoczony został przez atmosferę, sprzyjającą spokojnej, zacisznej pracy umysłowej, która przysparza nauce przyjaciół a społeczeństwu światłych obywateli, wiedzących, dokąd samemu iść należy i dokąd innych prowadzić.

Z. Dębicki

*) Ofiara p. Umiastowskiej.

PANIE WYTWORNE XVIII WIEKU

Kobieta polska długą przebyła drogę dziejową, zanim z niewiasty, stała się damą, z niewykształconej gospodyni — panią wytworną. Siedm wieków minąć musiało, by padły przesądy prawa, władza mężowska i siła tradycji, datującej się z czasów pogańskich, tyleż wieków wpływów zachodniej kultury trzeba było, aby z oświatą, podniesieniem poziomu umysłowego i ogólną ogładą, Polka zajaśnieć mogła swoją krasą na zagranicznych nawet dworach. Po wiernych żonach, świetnych gospodyniach, błogosławionych i świętych, bogobojnych i zbytkiem otoczonych a naiwnych i prawych niewiastach XV wieku, po opiekunkach kościoła i dumnych matronach, przezacnych matkach i dziewicach o animuszu rycerskim — przyszła wreszcie kobieta, używająca życia, szukająca jego powabów, nęcąca wszystkich typem bujnym, kobieta, której żywiołowość wyzwolona z ram ogniska domowego, rwącym popłynęła strumieniem. Zbytek końca XVII i początku XVIII wieku, upadek obyczajów, chęć wchłonięcia naraz tego wszystkiego, co było zagranicą, wreszcie nowy wiew rokoka, wykwitu przesubtelnionej kultury francuskiej, oczarował panią polską, dodał jej wdzięku, porwał tak, jak tylko porwać można człowieka nieznającego zasad życiowych — i zawrócił w głowie najzupełniej. Panie XVIII wieku szalały i tęskniły, cierpiały i weseliły się, kochały i zdradzały tylko dlatego, że to było „stylowe", że o takich kobietach przychodziła wieść z zagranicy, że to było coś nowego. A była tych pań cała societa, skupiona koło dworu królewskiego i rozrzucona po dworach magnackich całej Rzeczypospolitej. Z zapadłych kątów Polski gnały karoce poszóstne do Paryża, aby w życiu stolicy świata skąpać się mogła pani polska, aby odwiedziła paryskiego fryzjera i kopę dukatów zostawiła u modniarki tamtejszej. Jeśli po drodze trafiło się jakieś szaleństwo, nigdy go nie unikała, a konterfekt męża zamieniano chętnie na miniaturę kochanka. Nikt nie krył się z tem, że uwodził lub został uwiedziony, żony nie wstydziły się mieć swoich jawnych adoratorów. Mniejsza o to, czy tym adoratorem był ambasador, czy zwykły oficer „lejbgwardji", dworak, czy jakiś zabijaka, karciarz i szuler. Byle błyszczał od złota, nie był skąpy, wsie i klucze puszczał z swą damą i miał strój modny. Wartość moralna? A któżby o to pytał! Wszakże to największa przeszkoda w tem barwnem życiu polskiego rokoka.

SALOMEA DESZNER

I tak, jak ongiś Przeździecki wskrzeszał „Jagiellonki polskie", a Chomętowski pisał o „Stanowisku praktycznem dawnych niewiast, kreśląc wizerunki Reginy Żółkiewskiej i Teofili Sobieskiej, jak ongiś E. Świeżawski pisał o kobietach z czasów Kazimierza Wielkiego — tak obecnie Stanisław Wasylewski dał właśnie „Portrety" owych „pań wytwornych XVIII wieku", przekazując kronikę anegdotyczną i skandaliczną epoki stanisławowskiej. Prezentuje się w tych portretach korowód dam wysoko postawionych choć nisko upadłych, utytułowanych, choć stojących na równi z temi, których o imię nikt nie pyta. Wszystkie są grzeszne, wokół każdej za życia snuła się plotka i zła fama — z czasem urosła jakaś legenda.

Zapach perfum, życie buduarowe, piękno strojów i niezliczona ilość z wdziękiem malowanych portretów, utwierdziły mniemanie — że wszystkie te panie były wytworne. Nikt ich nie potępiał—wszystkich zadziwiały. Czy jednak tem mają prawo do sławy, a przez to stanąć na równi z najznakomitszemi w narodzie? Czy ta wytworność więcej znaczy, niż cała praca późniejszej kobiety-Polki, poświęcającej wszystko na ołtarzu miłości ojczyzny, a nie mającej dotychczas swojego portretu?

Ale życie ma swoje prawa. Grzechy babek i prababek okupiły wnuczki czcigodne, a niejedna z „pań wytwornych" pod koniec życia sama zawróciła z drogi złej i poszła ciernistą ścieżką nawrócenia. Nie na potępienie zresztą, a na litość zasługują raczej te kobiety o słabej woli a rozbujałej fantazji, ofiary czasów, które nie tylko w Polsce sprowadziły panią na uroczyska, w świat ułudy życia i na jego manowce.

Na czele dam wytwornych XVIII wieku w Polsce kroczy Sybilla z Puław, księżna generałowa, Izabela z Flemingów Czartoryska. „Chodziła ona po świecie lat dziewięćdziesiąt z górą — mówi jej monografja. Od Augusta III do Metternicha, od markizy Pompadour do Makryny Mieczysławskiej, widziała Woltera i Chopina, kosynierów Kościuszki i emisarjuszów Zaliwskiego, Katarzynę II i Napoleona. Przeżyła epokę saską, barską i listopadową" — a w ciągu swego życia przeszła tyle zmiennych kolei, jak żadna jej współczesna.

Nie była ani piękna, ani uczona, kiedy ją wydawano za mąż za Czartoryskiego. Miała natomiast dukaty z holenderskiej mennicy rodzica, który kazał bić jej portret na złotych monetach. To wystarczyło na wejście w świat. Podróż poślubna 18-letniej mężatki do Paryża otwarła jej oczy na przeróżne dziwa. Zrazu nie wiedziała kto to jest Rousseau, ani kto pani Geoffrin, ale po zetknięciu się z dworem księżny Orleańskiej, po wojażach po Londynie i Amsterdamie poznała już różnicę między życiem dla męża a dla świata.. Wyedukowała się tak dalece nawet, że umiała pisać listy sekretne białym likworem i... zacząć dyskretnie romans z Stanisławem Augustem. Blask królewskiej korony, nawet w oczach antagonistek czyni ją piękną. W ten sposób rozpoczętą karjerę prowadziła dalej. Sybarytyzm i nadmiar majątku, chęć rywalizacji i błyszczenia dokonały reszty. Bo może mieć królowa Marja Antonina swoje Trianon, dlaczegożby polska księżna nie miała swoich zaczarowanych gajów? Wyrosły tedy urocze Powązki, to „pierwsze sarmackie monumentum cacanej bezmyślności rokoka", gdzie „malowane łabędzie pływały na sztucznie barwionych stawkach, a na śniegu z waty kwitły róże z porcelany, myszki na łańcuszku, kanarki z wosku i koralowe poziomki ze śmietaną". Nie tylko jednak Powązki malowano i upiększano. Księżna Izabela przyznaje się, że także „nauczyła się zręcznie podnosić powaby swojej buzi". Nic więc dziwnego, że na adoratorach jej nie zbywa. Po królu idzie markiz Conflans, Ksawery Branicki, wreszcie... Repnin. Potężny reprezentant

BARBARA Z BIELIŃSKICH KOSSOWSKA

JULJA Z LUBOMIRSKICH JANOWA POTOCKA

ANNA RAJECKA

carycy wiedziony na atłasowej wstążeczce! Kocha się jak student, a nie bacząc na skutki, czyni ustępstwa dla domu Czartoryskich, którym groziła konfiskata dóbr, nakazana przez Petersburg. Krok ten przepłaca Repnin utratą swego wpływowego stanowiska. Ambasadę zamienił na miłość księżny, którą nie raz jeszcze będzie podziwiał, choć już inni będą u jej boku! Nudzą ją Powązki, tęskni za jakąś odmianą — jedzie więc do Paryża i tam poznaje Lauzuna. I nie tylko jego. Najdłużej utrzymuje się Rzewuski.

„Znowu przysięgi na klęczkach, wodewile pożegnań, tragedje oddaleń". Pięć lat szalonych życia, rozjazdów, pogoni, wyznań i zdrad, ucieczek i skandalów. Księżna Izabela wyżywa się gwałtownie i—naraz przychodzi opamiętanie. Nikłe wydają się jej miłostki, próżne życie z dnia na dzień, beztreściwą ciągła pogoń za nowością. Chce stworzyć coś wielkiego, mieć jakiś cel, dla którego warto poświęcić się w zupełności. I zakłada muzeum pamiątek polskich w Puławach. Zapomina o frywolności wszelkiej, staje się poważną i szanowaną, najlepszą matką, dobrą Polką. Sumy olbrzymie i trudu nie mało wkłada w umiłowane swoje dzieło puławskie. Gromadzi bezcenne wprost skarby obok drobiazgów i śmiesznostek nawet. Tak, jak przedtem, plotkowano o niej, tak teraz podziwiają ją i admirują. Księżna z Puław urasta do godności majestatu, wokół niej, kiedy w Rzeczpospolitą zaczną bić gromy, skupia się wszystko, co szczerze polskie i zacne. Ona tej Polsce wychowa najzasłużeńszego męża stanu XIX stulecia: Ks. Adama Czartoryskiego. Głęboki patrjotyzm i słuszność sprawy każe jej nawet zamilknąć wspomnieniom serca. Oto w okresie Sejmu Wielkiego — ona kochanka Stanisława Augusta ongiś — teraz będzie antagonistką króla. Dawna dama, skłonna do sybarytyzmu — jako markietanka pójdzie w r. 1791, a z królami będąca w najlepszych stosunkach dumna księżna — Naczelnika w sukmanie powita entuzjastycznie.

Pod koniec życia wreszcie, nieuczona Fleminżanka, zostanie literatką, autorką „Pielgrzyma w Dobromilu" i „Myśli o ogrodach", choć taką, dla której ortografja polska była zawsze tajemnicą o siedmiu pieczęciach".

Słuszność ma Wasylewski, mówiąc, że „biografja księżny generałowej to zaiste brewiarz epoki, a jej profil duchowy to prawie wykładnik wszystkich linji charakterystycznych ery stanisławowskiej". Przekonać się możemy o tem łatwo, wgłębiając się w tajniki życia innych kobiet, rówieśnych księżnie Izabeli. Cechuje je przedewszystkiem uniwersalność. Nic im nie jest obce: z taką samą namiętnością kochają się jak i politykują, tak samo ubóstwiają piękno jak i intrygę, tak samo umieją zdradzać kochanków jak i być wierne ojczyźnie. Czasem i inaczej, ale nie mniej wszechstronnie, czy to rozdzielając łaski miłości, czy też okazując swą małoduszność.

Oto np. księżna Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa, która za cel życia miała rywalizację z Sybillą z Puław. To, co mogła podpatrzyć, naśladowała świetnie. Tamta założyła Powązki — ta Arkadję jeszcze wspanialszą i bogatszą; tamta była kochanką Repnina — ta Stakelberga, tamtą uwodził Lauzan, tę de Whiteworth, jedną pociesza Rzewuski — drugą Sievers. Tylko księżna Izabela była na schyłku dni swoich Polką, Radziwiłłowa zaś została wierną aliantką Petersburga i podporą tronu Katarzyny II. Nawet swą córkę, przemiłą Krzysię, uczyniła honorową frejliną dworu carycy, łamiąc jej miłość ku hiszpańskiemu posłowi de Guinonez'owi, odbierając szczęście i przyprawiając o śmierć przedwczesną. Młodociana bowiem frejlina, oddając ostatnią posługę zmarłej carowej przeziębiła się i umarła. Cóż jednak śmierć dziewczątka znaczyć mogła? Panie wytworne zbyt mało mają uczucia, aby mogły żałować kogoś lub czegoś. Przecie Amalja z Brühlów Mniszchowa, znana z swych intryg, nie wahała się przyłożyć ręki do zbrodni, jaką popełniono na Szczęsnowej Potockiej, bohaterce „Marji" Malczewskiego. Wprawdzie wieść głucha mówi, że później wyrzuty sumienia popchnęły ją do samobójstwa, ale czy ta ekspiacja zaciera portret kobiety złej i przewrotnej? A choćby to tylko dzieło lekkomyślności było, to czy nie jest to znamienne dla tych pań, żyjących bez zastanowienia? Wszystkie zaś są pod tym względem jednakowe, czy to będzie siostra księcia Pepi, robiąca długów bez liku, czy Rozalja z Chodkiewiczów Lubomirska, która za swoje miłosne wojaże i „niepotrzebną" korespondencję z panią Dubarry oddała głowę na szafocie w czasie paryskiej rewolucji.

ROZALJA Z CHODKIEWICZÓW LUBOMIRSKA

IZABELLA GRABOWSKA

Czegoż jednak dla modnej miłości nie poświęciłaby kobieta XVIII wieku? Majątek, dobrą sławę, wszystko — aby tylko być w gronie tych, o których się mówi półgłosem, tajemniczo a z pikantnym uśmieszkiem. Jedna jedyna może pani Barbara z Bielińskich Kossowska cenić sobie umiała dyskrecję i dlatego afekty swe kierowała ku dyplomatom, jako umiejącym milczeć. Nie była atoli obdarzona sama zmysłem dyplomatycznym, skoro naraziła się ambasadorowi angielskiemu, który zażądał odwołania Stakelberga wraz... z synem, jej kochankiem. Nieutuloną w żalu panią Basię utulił niebawem Kazimierz Nestor Sapieha, wstępując równocześnie, na jej pono namowy, do stronnictwa patrjotycznego. Nie zdobyła się zaś p. Kossowska na czyn patrjotyczny, gdy w czerwcu 1794 panie szły sypać szańce pod Warszawą. Ona, Grabowska i Oborska odmówiły, woląc raczej kochać patrjotów, niż postępować patrjotycznie. Grabowska zresztą— żona króla i jego zło, doradca wszystkich spraw, które cień rzuciły na pamięć ostatniego monarchy, konterfekt ma najlichszy. I byłoby to nazwisko smutne miało brzmienie, gdyby nie jej córka Izabela, pełna cnót niezwykłych.

Do pań wytwornych mimo wszystkie grzechy natury moralnej i politycznej należały tylko spadkobierczynie utytułowanych rodów. Poza ich nawiasem stały utalentowane i piękne Salomea Deszner (śpiewaczka) i Anna Rajecka (malarka). Nie były bowiem „dobrze urodzone". I dlatego pani Rajecka musiała poprzestać na biskupie Krasickim i St. Trembeckim, z którymi frywolne układała wiersze.

Oto i świat kobiecy XVIII stulecia. Świat może ciekawy, dla tych, którzy badają kulturę i obyczaj dawny, może pełen uroku dla tych, dla których przygody romantyczne są wszystkiem. Pozatem bowiem wieje z niego pustka. Na jej tle widnieją piękne pudrowane głowy i przebogate stroje—a do historji przeszła anegdota, wskrzeszona w czasach, mających wiele podobieństwa do końca XVIII w. przez najlepszego narratora, jakiego literatura polska wydała: Stanisława Wasylewskiego.

I jeśli „Portrety Pań wytwornych" są jedną z najmilszych książek, to zasługą jest to wyłączną autora — nie opisanych bohaterek.

St. Lam

WIDZENIE FARAONA

ILUSTRACJA Z „FARAONA“ B. PRUSA J. HOLEWIŃSKI

P O E Z J E

WEZWANIE DO MUZY

...Cóż ci, ma Muzo, po umarłych sadach,
z których słoneczny uśmiech pierzchł na zawsze? —
Po osmętniałych, żałosnych biesiadach,
z których ostały drwiny co najkrwawsze —
szklane puhary, jak czerepy szkliste
i spopielone toasty ogniste...?

Cóż ci, ma Muzo, po brzozowych gajach,
w których ostatni raz przed wielką burzą
z kochanką swoją, bladolicą różą,
łzy patetyczne roniąc po rozstajach — —
kochanek polski, rycerz księżycowy,
wiódł rozmarzone, szeptane rozmowy?

I cóż ci wreszcie, Muzo, po kaplicach,
po tych świątnicach, kostnicach, łzawnicach,
melancholijnej, mgławej aureoli,
po zbożnych kmiotkach z ramoty siermiężnej —
gdy dziś świat cały ockniony i mężny
nie chce znać pieśni, w której wszystko boli...

. . . . . .

Jeszcze nie zrodził się wszelako mocarz,
któryby umiał pogrześć w godny sposób
te sto tysięcy ubóstwionych osób...
Wszem ziemiom — oracz, i wszem gwiazdom — procarz,
tęsknotom — piewca, podniewolnym — mściciel;
w jednem powzięciu: grabarz — i wskrzesiciel.

Ten-ci by musiał wszystek cedr libański,
wszystek dąb polski i tatrzańską jodłę
złożyć na trumnę, w której rzeczy podłe
mógłby pochować przyszły siewca Pański...
Ten-ci by musiał olbrzymią mogiłą
przykryć to wszystko, co nieprawdą żyło.

I niechby potem na groźnym kurhanie
białe zamiecie i północne wiatry
wznosiły jakieś niebotyczne Tatry,
niechby tam brzmiało gromowe wołanie —
I niechby wreszcie wiosna nań spłynęła,
majowem kwieciem strojąc swoje dzieła.

...Anioły srebrne zlatają. Puch ronią
wiśniowe sady. Rosy się migocą.
Wiew słodki płynie księżycową nocą...
Na łąkach dzwonki obudzone dzwonią...
Nie płoną lasy... A róże się płonią...
— Śpij, serce ludzkie... Po co płakać — po co...?

. . . . . .

— W boskim zamęcie — przybądź, Srebrnołuki!
Podaj mi struny do zniemiałych lir!
Podaj mi żagle do lotnej feluki,
niech jęczą dęby, niech konają buki,
niech mnie ogłuszy górny orłów skwir!

— Niech mnie oślepią źrenice błyskawic!
Niech mnie poniosą wichry w czarną noc — — —
— Gwiżdżące rzuty z rozwścieczonych proc —
— Świszczące ciosy rozszalałych prawic —
— Moje zwycięstwo! Moja — przyszła moc!

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

OFELJA

Dzień dobry! To śpioch jest z waćpana.
A ja znów to wstawać w świt lubię.
Dlaczegom tak biało ubrana?
Wszak trzeba być białą na ślubie.

Ja nie wiem o życiu nic prawie,
(A ty mi mówiłeś, żem płocha).
Śpię sobie w wód srebrnej oprawie
I tylko nenufar mnie kocha.

Nenufar się ze mną ożeni,
Łagodnie zawoła mnie z wody,
Ma w wodzie sto srebrnych korzeni,
W nich mokre mkną ryb korowody.

Niech powóz zajeżdża (z szkieł wodnych)
A rozgwiazd zielonych sto przy nim
I skrzy się sto ryb korowodnych.
Całujesz mnie, książę? Co czynim?

Fal szklane nas tulą lamenty,
Czy czego ci żal, nenufarze?
Dzień dobry! Dziś Święty Walenty!
(Ślub cichy weźmiemy we farze).

Ach, ile jest jasnej słodyczy
We ślicznej, stroficznej fal pracy!
(Ktoś szczęścia po cichu mi życzy:
Brat duszy mej biały, Horacy).

I w lotnym, zalotnym fal szumie
Płyniemy radośnie ku ranu.
Przysięga ma stałą być umie,
Tak słodko przysięgać waćpanu.

W róż świtu rąk białość podnieśmy
I płyńmy w nieznane przystanie!
(Choć wiemy, czem teraz jesteśmy,
Czyż wiemy, co kiedyś się stanie?)

Szu, szu... Ktoś ze szumów tych uwił
Pieśń wody, co płynie wciąż inna.
Co szczupak błękitny mi mówił?
Ach, wiem... Że nie jestem niewinna.

Dotknąłeś mych ustek niechcący.
(Czy prawda, że pachną fjołkowo?)
A księżyc na strunach grał drżący
I płakał nad moją alkową.

Ocz rybich różowość poranna
Z wód patrzy żałośnie i płonie.
(Pytałeś: „Pozwoli Waćpanna,
Że głowę jej oprę na łonie?")

Rwę wianek: zielony deszcz pada.
Rwę orlik, rozmaryn i rutę.
(Pytanie twe było, jak szpada,
Jak ona, na końcu zatrute).

Tak źle jest, tak źle jest na świecie...
Całujcie mnie, siostry-leluje,
Lecz nie tak ozięble! Skąd wiecie,
Że on tak bez serca całuje?

Niech biały ten bucik zawiążę,
Spraw ziemskich nie zmienić mi toru.
Co każesz, uczynię, mój książę.
Mówiłeś, że trza do klasztoru...

Łabędzie mnie białe odwiozą,
Zaplótłszy, jak z żoną mąż, szyję,
Zieloną poruszy wiatr łozą,
Piosenki w niej zagra niczyje.

I zezem popatrzy rak ze dna
I wodą szklaniącą się przebrnie
I spyta mnie: „Coś ty za jedna
I czemuś ubrana tak srebrnie?"

Welonu otulą nas biele,
Po miłość jedziemy, (Czy po nią?)
Na białe jedziemy wesele,
Dzin, trzciny przesłodko nam dzwonią.

Już ciemna odmyka się brama,
Lecz czy w nią wejdziemy oboje?
Dlaczego ja wchodzić mam sama?
Tak czegoś ogromnie się boję.

Usłyszę u furty płacz dzwonka.
To nurty wód płaczą i płyną.
Ja jestem ryb srebrnych małżonka,
Nie jestem już wcale dziewczyną.

Me imię zakonne brzmi ładnie
I zawsze mi płakać pozwala...
Raz w mule znalazłam je na dnie:
Na imię mi jest Siostra Fala.

Z wód patrzą ryb oczy wypukłe...
Wieczorną znużona-m już porą,
Niech przyjdą te Białe i Smukłe,
Niech z sukni mnie senną rozbiorą!

Z ócz łzy wam chcą płynąć srebrzyście?
No ciszej, już łez nie uronim.
(Te białe służebne to wyście,
Ostatnie wy myśli me o nim.)

On uwiódł was wszystkie. Jak kłamał,
Przez księżyc łagodnie srebrzony,
Jak srebrną przysięgę tę łamał,
Że wszystkie was pojmie za żony.

Dobranoc! Ja tu już wysiadam,
Więc muszę pożegnać się z księciem.
Tak ślicznej latarni tej rada-m!
(A reszta jest tylko płynięciem.)

Wam, myśli, czas także do łóżek
Na białe, bez zbudzeń już spanie,
(On tylko za życia was urzekł)
Dobranoc i wam, śliczne panie!

STANISŁAW MAYKOWSKI

HR. KAZIMIERZ I FRANCISZEK RZEWUSCY — ANTONI MARON

GDAŃSK A POLSKA

Książka prof. Askenazego p. t. „Gdańsk a Polska" *) ma już ustaloną opinję, jako najlepsza, zwięzła praca, informująca dokładnie o stosunku Gdańska do Polski w toku dziejów.

Nie tyle też o niej i o jej niepowszednich wartościach naukowo-literackich pisać chcemy, ile o nowem jej wydaniu, które ze wszechmiar zasługuje na uwagę ze względu na szereg cennych, doskonale reprodukowanych ilustracyj.

Ilustracje te mają przeważnie charakter zabytkowy i stanowią same przez się rzadki a poraz pierwszy w takiej liczbie zgromadzony zbiór *gdańszyznów*, rozproszonych po rozmaitych dziełach, tekach i muzeach. Sama już obfitość tych świadectw plastycznych o przeszłości Gdańska stwierdza, jak wybitną odgrywał on rolę i jak wszechstronne budził zainteresowanie nie tylko wśród gdańszczan i Polaków, lecz również poza granicami Rzeczypospolitej, w Szwecji, Danji, Holandji, a nawet Anglji.

Spróbujmy pobieżnie tylko ten zbiór rycin oszacować: Zaraz na wstępie znajdujemy tam bardzo ciekawy „najdawniejszy widok Gdańska", wyjęty z dzieła Brauna p. t. „Civitates ordium".

Dalej idą: charakterystyczny nagrobek w kościele w Oliwie, bardzo piękne portrety Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Władysława IV, Marji Gonzagi, Jana Kazimierza, Jana III Sobieskiego, Stanisława Leszczyńskiego i Augusta III, jako tych królów polskich, którzy z Gdańskiem najbliżej są związani. Galerję tę uzupełniają jeszcze portrety z doby późniejszej, przypominające momenty z dziejów porozbiorowych Gdańska i Polski.

Z kolei znakomitych gdańszczan reprezentują: Jan Dantyszek, Godfryd Lengnich i Jan Helweljusz, z którego dzieła „Prodromus astronomiae" mamy reprodukowaną kartę dedykacyjną oraz sztych, wyobrażający „Tarczę Sobieskiego". Nadto mamy tu jeszcze karty tytułowe z dwóch innych jego dzieł, a mianowicie z „Selenografji" i z „Uranografji".

Widok Motławy, z albumu widoków Gdańska M. Deischa z r. 1765

Architekturę gdańską reprezentuje brama triumfalna Władysława IV, wzniesiona w r. 1646-ym, dalej zaś idą: Wysoka brama i główna wartownia miejska w Gdańsku, pochodząca z albumu widoków Gdańska M. Deischa z r. 1765, ratusz gdański z tegoż albumu, widok Motławy z tegoż, Ujście Wisły pod Gdańskiem z tegoż, Gdańsk podług anonimowego sztychu angielskiego z r. 1814, a wreszcie reprodukowane z fotografji współczesnej: Artushof, Langgasserthor, Wysoka Brama, Arsenał od strony miasta, stary spichrz, ratusz, słynny Żóraw gdański (Krauthor), Zielona Brama, Widok klasztoru w Oliwie i ogólny widok Gdańska od strony południowo-zachodniej. Przedstawicielem sztuki gdańskiej jest Daniel Chodowiecki, którego pięknie sztychowany portret widzimy na str. 49. Mistrzostwo tego niezrównanego artysty, którego rylec pozwala nam wniknąć dzisiaj w tajniki domowego życia gdańszczan XVIII-go wieku i daje nam poznać typy sławetnego mieszczaństwa tego grodu, ujawniają sztychy wielkiej doskonałości i wytworności w rysunku. Szkoda tylko, że ich jest zamało. Godziłoby się dać ich więcej, tembardziej, iż Chodowiecki należy nie tylko do sztuki gdańskiej, lecz w równej mierze także do sztuki polskiej.

Z obchodzących nas bliżej typów gdańskich, których zachowanie zawdzięczamy albumowi Deischa, podany tu został „Polski przekupień" i „Polski miotlarz". Obaj świadczą wymownie o tem w czyich rękach był drobny handel w Gdańsku, to znaczy stwierdzają, że przy niemieckim patrycjacie miejskim t. zw. dół społeczeństwa był w Gdańsku polskim.

Kto wie, jak trudno jest u nas zebrać tak bogaty materjał ilustracyjny, a kto jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, ile kosztów w dzisiejszych czasach pochłania przygotowanie klisz, ten z niewątpliwem uznaniem spojrzy na tę piękną książkę, przygotowaną „na gwiazdkę" dla dorosłych, a miłujących Gdańsk Polaków.

A któżby Gdańska nie miłował? Kto razem z prof. Askenazym po przeczytaniu jego pouczającej, przynoszącej wiele nowych szczegółów, pracy, nie uzna, iż „jedno tylko istnieje zdrowe i sprawiedliwe rozwiązanie sprawy gdańskiej, jako nieodłącznej części sprawy polskiej: to rozwiązanie najprostsze, leżące zarówno w interesie miasta, polskim i europejskim, przepisane zostało raz na zawsze prawem niemylnem natury i dziejów. *Należy poprostu i spełna powrócić Gdańsk Polsce a Polskę Gdańskowi.* Wtedy bez żadnej ujmy dla obecnej niemieckiej swej ludności, bez żadnego na nią nacisku, owszem, ku największemu jej dobru, drogą własnowolnego, naturalnego doboru, pod wpływem przychylniejszych jeszcze, niż w dobie przedrozbiorowej, czynników nowoczesnych intensywniejszej wymiany gospodarczej z Polską, bliższej łączności komunikacyjnej ze środowiskiem polskiem, z Poznaniem, Warszawą i Krakowem, i wyższego tętna kultury narodowej polskiej, *stary odrodzony Gdańsk w odrodzonej Polsce zostanie wielkiem, możnem i szczęśliwem miastem*".

Rzeczniczką tego „jedynego rozwiązania sprawy gdańskiej" jest książka prof. Askenazego. □

Polski miotlarz w Gdańsku, z albumu M. Deischa „Danziger Herrumruf"

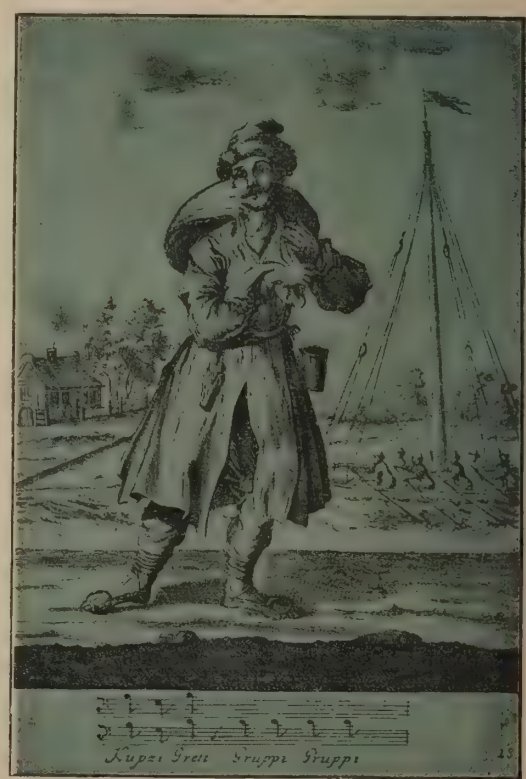

Polski przekupień w Gdańsku, z albumu M. Deischa „Danziger Herrumruf"

*) Szymon Askenazy. Gdańsk a Polska. Nakład Gebethnera i Wolffa: Warszawa, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Wilno, Zakopane.

SYLWETKI I ICH TWÓRCY

W ukryciu starych dworów jako pamiątka dawnych czasów, na ścianie wśród różnych drobnych miniatur, pukli włosów, woskowych reliewów, nierzadko spotyka się czarne profile, wycinane z papieru i naklejane na tło białe lub kolorowe. To sylwetki, zabytek z ostatnich dziesięcioleci XVIII w. i kilku dziesiątek lat XIX wieku, najtańszy i najprostszy rodzaj „portretowania", jedyny szybki sposób utrwalania rysów ludzkich przed wynalezieniem fotografji.

PANI UNRUH

Kiedy czarny profil wynaleziono — tego historycy sztuki dotychczas nie ustalili jeszcze. Jedni początki tego rodzaju portretu odnoszą do najodleglejszych czasów sztuki greckiej, inni do t. zw. teatru cieniów, który znany był w starożytnym Egipcie. Jakkolwiek jest, to zostanie pewne, że sylwetka jako taka stała się modna dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, że w tym czasie osiągnęła największą popularność i wzięcie, że wtedy najbardziej się nią zajmowano i najwięcej „mistrzów" miała na swoje usługi.

Przyczyniła się do tego nie mało teorja I. K. Lavatera, który w dziele p. t. „Physiognomische Fragmente zur Förderung der Menschenkenntnis und Menschen liebe" uzasadniał, że podstawą wszelkiej szczęśliwości i umiejętności współżycia z ludźmi jest fizjognomistyka. A że każdy chciałby przeniknąć innych, przeto ludzie, w myśl teorji Lavatera, dawali robić profile sylwetkowe i starali się odgadnąć z nich tajemnicę duszy człowieczej. Setki i tysiące sylwetek wędrowało do zurychskiej pracowni Lavatera, który „wydawał opinję" — z wielu chętnymi do zajęcia się temi sprawami, zetknął się sam twórca nauki o fizjognomistyce, wędrując po świecie z swoim pomocnikiem Schmollem, który „na poczekaniu" wycinał sylwetki. Lavater cieszył się tak wielką sławą, iż nawet Goethe zaprosił go do siebie, a Schmoll „portretował" zwykłym sobie sposobem twórcę „Werthera" i jego rodzinę.

Ale Goethe nie był zadowolony z sylwetek, zwłaszcza z profilu matki i „dzieło" Schmolla nazwał „obskurnem". Nie przeszkodziło to jednak bynajmniej poecie Weimarskiemu lubować się i nadal w sylwetkach, które wycinali wszyscy jego znajomi, a do prawdziwego mistrzostwa doprowadziła tę sztukę blisko niego stojąca Adela Schopenhauer, której w albumie wpisał Goethe następujący wierszyk:

„Zarte schattende Gebilde,
Flieht zu euerer Künstlerin,
Dass sie freundlich, froh und milde,
Immer sich nach ihrem Sinn
Eine Welt von Schatten bilde,
Denn das irdische Gefilde
Schattet oft nach eignem Sinn.

I nie tylko Goethe był zwolennikiem sylwetek. Inni poważni ludzie także zajmowali się niemi, a nawet od jednego z nich, ministra skarbu francuskiego, Etienne de Silhouette (1709—1767), sztuka czarnych profilów wzięła swą nazwę. Uzasadnienie znajdzie się w tem, że skąpy minister, wybudowawszy sobie zamek w Bry-sur-Marne, nie chciał wydawać pieniędzy na ozdobienie ścian przez artystów malarzy i pokrył je własnoręcznie rysowanemi profilami znajomych i przyjaciół. W ten sposób powstała pierwsza, największa kolekcja czarnych cieni, które od ich wielkiego miłośnika zostały ochrzczone „Silhouette".

Mając oparcie w tak wpływowych ludziach swego czasu profile zaczęły być traktowane jako sztuka. Już nie różni szarlatani wystrzygali głowy bliźnich z czarnego papieru, ale „sztukmistrze", którzy pracę tę uważali za swoją „własność" duchową i strzegli jej patentami, zwłaszcza, że do pomniejszania profilów, rzucanych na ścianę potrzebne były różne „przyrządy". Jeden z takich patentów został wydany np. w Anglji p. S. Harrington dn. 24 czerwca 1775 r. Inni udoskonalenia swoje w tej dziedzinie ogłaszali światu w oddzielnych broszurach.

Setki zawodowych sylwetkarzy idzie w zawody z amatorami i dyletantami, których nazwisk dziś nikt już nie odszuka. Burmester w Berlinie, Opitz i Gottlieb w Dreźnie, Hessel w Petersburgu, Chretien w Paryżu, Aggase w Genewie, Gonord, A. Edouart we Francji, J. Miers, Sharp, Thomasson i Foster w Anglji, Schmid, Durst, Ackerman w Wiedniu, oto najwybitniejsi artyści tych czasów, poświęcający się sylwetce. Niektórzy przebiegali całą Europę, portretując panujących, ministrów, filozofów i pisarzy. Jednym z takich był Fryderyk Anthing, którego album „Collection de Cent Silhouettes des Personnes Illustres et Celebres..." (1791) należy dziś do największych rzadkości.

M-me WILLIAM

JEN. BARON LEFORT

Polacy również słynęli z sztuki sylwetkowania. Najbardziej znanym w całym świecie był w połowie XIX w. Paweł Konewka, który do tego doprowadził sztukę nożyczkową, iż raz na oficjalnym balu w Berlinie w chwili rozmowy z jakimś generałem wyciął niepostrzeżenie jego sylwetkę z... podszewki własnego fraka. Z innych Polaków, którzy już w kraju działali wymienić należy Lenczewskiego i księdza Czapelskiego.

Obecnie wyszło pierwsze w Polsce „Album sylwetek portretowych z czasów Stanisława Augusta", zawierające 59 sylwetek z najbliższego otoczenia króla. Dr. Mieczysław Treter, którego pieczy powierzono tę edycję, w świetnym wstępie nakreślił najdokładniejszą monografję, jaką sztuka sylwetki w literaturze ogólno-europejskiej posiada, mimo, iż tematem tym zajmowali się tak wybitni znawcy przedmiotu, jak Boehn, Klarwill („Fr. Gonords Silhouetten aus d. J. 1791"), Gugitz (Schattenrisse aus Alt Oesterreich), Kroeben (Das Silhouettenbuch der Adela Schopenhauer) i inni. Stanisław Wasylewski zaś dał objaśnienia, dotyczące osób portretowanych.

I jakkolwiek autor tych „cieniów" nie jest znany, przecie stwierdzić należy, że był nie lada mistrzem w swym fachu. Z jego dziełem — polska sztuka zyskuje nowy, nieznany dotychczas dział sylwetki.

TADEUSZ RITTNER

MOST

POWIEŚĆ 23)

Nie odpowiadał. A conajmniej niedosłyszalnie i tylko jego usta się poruszały.

Był w Rzymie. Jechał w ciężkiej, pańskiej karocy, po nierównym bruku. Nie był nigdy w wiecznem mieście, a teraz wjeżdżał tam jak książę w powozie z dwoma lokajami w liberji, na koźle. Konie i słudzy oczekiwali go już na dworcu. Jakób nie widział nic przez okna powozu, nie używał zupełnie swoich zmysłów, a mimo to wiedział wszystko. Odczuwał prastare ulice, duszną noc, czerwono palące się latarnie.

— Pana ministra niema w Rzymie — powiedziano mu naraz, kiedy wjeżdżał w bramy pałacu.

— Wiem o tem — odpowiedział obojętnie.

— Ale jaśnie pani też niema w domu — oświadczył kto inny.

To było conajmniej dziwne. Ale Jakób nie robił sobie nic z tego. Był zanadto zmęczony.

Pałac był wielki i pusty. Jakób szedł przez niezliczoną ilość pokojów i sal. I nareszcie ku największej radości znalazł — łóżko.

Eugenja mówiła z marynarzem, który jej pomagał przenieść chorego z pociągu do poczekalni na dworcu.

Jakób leżał na ławce. Nie wyglądał zupełnie na żywego. Ale to nikomu nie wpadało w oko. W gorącej, przepełnionej podróżnymi poczekalni było całkiem cicho; niektórzy spali, inni szeptali, a niektórzy byli ranni i chorzy.

— Niech się pani tu nie pyta o lekarza — mówił marynarz — niech pani lepiej jedzie zaraz z mężem do domu. Mąż pani wyzdrowieje, zobaczy pani... wyzdrowieje.

Eugenja uśmiechnęła się z wdzięczności pomimo swego strapienia.

— To jest mój syn — sprostowała z wrodzoną uczciwością.

Potem dodała:

— Kiedy będziemy mogli jechać dalej?

— W nocy... albo jutro... Nikt nie wie... Ale niech się pani nie boi... Ja pani powiem, jak będzie czas... Ja zaniosę pani m... syna znowu do wagonu...

Co za kochany człowiek — myślała Eugenja wzruszona.

I powiedziała:

— ...O ja nie jestem taka młoda, jak myślicie... Nie, nie, to mój syn.

W rozdrażnieniu Eugenja robiła zwierzenia zakochanej parze i opowiadała im historję swojego życia.

Nareszcie zamilkła. — Zrobiło się bardzo późno.

Po niejakim czasie zbudził ją ktoś.

— Niech pani wstanie — powiedział marynarz. — Prędko... ale nie tak, żeby wszyscy widzieli... Pani syn ma się już dobrze...

Jakób wstał. Mógł iść.

— O co chodzi? — pytała Eugenja i przecierała sobie oczy.

Ale tymczasem byli już na peronie.

— Tam jest pociąg... widzi pani... Ale pomału... bo gdyby się wszyscy o tem dowiedzieli... straszny tłok... widzi pani... synowi już dobrze.

Ale pociąg był już oblężony i zdobywany przez tłumy.

Marynarz zdobył dla nich przecież dwa miejsca.

Potem pożegnał się, życzył szczęśliwej podróży i zapewniał ciągle, że syn ma się już dobrze...

— Chwała Bogu — szeptała Eugenja.

A teraz mogli już jechać — co za szczęście!

Jakób powiedział:

— Tam na dworcu...

Zmarszczył czoło.

— ...tam leżałem przedtem wyciągnięty na ławce... A ty musiałaś leżeć na ziemi...

— Na jakiejś pace... moje dziecko... Ale to nic... spałam.

Ale Jakób był bardzo niezadowolony.

— ...A potem złości mnie to, że naraz wszystko zapomniałem... Nie mogę się połapać, brakuje mi kilku godzin...

Jego ręce były gorące i suche.

— Gdzie cię boli? — pytała matka.

— Nigdzie — odpowiedział.

Patrzył zamyślony przed siebie.

— Może masz rację... może ja jestem chory... To pewnie dlatego... przecież nie jestem tak jak inżynier...

— O czem ty myślisz?

— To jasne — powiedział niecierpliwie: Ty przecież wiesz, że inżynierowi brakowało wielu dni. W jego pamięci była dziura... Ale ja sobie tylko tego nie mogę przypomnieć, co było wczoraj... to przecież nie jest ten sam wagon co wczoraj?...

— Nie, dziecko...

Opowiadała mu o dotychczasowej podróży... O tym miłym marynarzu, o gramofonie... o poruczniku... Zamknął oczy.

Siedzieli w dużym wagonie pełnym żołnierzy. A między przedziałami nie było ścian; wszyscy należeli właściwie do jednego towarzystwa. A całe towarzystwo było pod wpływem — Eugenja to zaraz spostrzegła — olbrzymiego chłopa, który swej władzy nie zawdzięczał randze wojskowej, tylko swej własnej energji. Wszyscy stosowali się do jego woli. I to dziwnie niepokoiło Eugenję. Miała to niedorzeczne uczucie, że ten olbrzym mógł skazać Jakóba i ją na śmierć, gdyby mu wpadło na myśl. Bo teraz w tym nowym świecie panowała napewno siła brutalna, a ci żołnierze byli wszyscy tacy brudni i zaniedbani... Oprócz tego mówili po węgiersku i nie można było zgadnąć w żaden sposób, co zamierzali.

Eugenja uczuła straszny głód. Spytała Jakóba:

— Czy chcesz co zjeść?

Nie odpowiadał.

Byłaby chętnie wyjęła chleb i mięso, ale obawiała się obudzić zazdrość, a może i gniew żołnierzy.

Żołnierze zaczęli śpiewać.

Z ostatniego pokoju słychać taki hałas — myślał Jakób, który znowu leżał w łóżku. W domu ministra było zimno, poprostu wiało przenikliwie. A że Jakób miał już pewne podejrzenie, wyskoczył z łóżka i zbadał ściany sypialni. Jego przeczucie sprawdziło się. Bez natężenia udało mu się przebić palcem ten rzekomy mur. Naturalnie, że przeciąg stał się przez to silniejszym, ale — Jakób miał raz znowu słuszność. Ha, ha on miał przecież zawsze słuszność... Zadowolony położył się znowu.

I stwierdził:

Ten wspaniały pałac jest z tektury.

To rzucało dziwne światło na zacnego ministra. Pałac ten zbudował sobie sam i nie potrzebował do tego ani przodków, ani murarzy. Posmarował go z wierzchu popielatą farbą o czcigodnym wyglądzie i postawił go w kącie starej arystokratycznej ulicy.

Mądry człowiek ten minister, ale szalenie próżny, prawie tak, jak jego teść. A gdzie była Marjanna? Że Jakóbowi dawała czekać, toby było najmniejsze, ale nie zostawiła mu nawet ciepłego przykrycia. I leżał prawie nago, poprostu w koszuli; a przeciąg był coraz większy.

Eugenja zaczęła płakać. Bo żołnierze śpiewali fałszywie i chrypliwie, a Jakób śmiał się w gorączce. Ale najstraszniejszem było to zimno. Prawie wszystkie okna wagonu były otwarte; spostrzegła to dopiero teraz. Jakóbowi groziło to śmiercią.

Przemogła bojaźń i zwróciła się do jednego żołnierza, który siedział naprzeciwko niej i wyglądał najmniej niebezpiecznie. Miał bladą nieszczęśliwą twarz i trochę zmarniałą postać Don Quichota.

— Czy towarzysze pana nie zechcieliby być tacy dobrzy i nie zamknęli okien? — prosiła słodkim jaknajuprzejmiejszym głosem.

Spróbowała się nawet uśmiechać przy tem, podczas gdy łzy jej płynęły po twarzy.

Zrobiło się całkiem cicho w wagonie.

— Nie... rozumieć... — powiedział blady żołnierz.

Wtem podniósł się olbrzym, którego wszyscy słuchali i podszedł do Eugenji.

— Pani płacze? — spytał, wymawiając przytem każde słowo słodko i ostrożnie, jakby chciał pokazać, że ma zmysł na formy towarzyskie, płaczące kobiety i tem podobne delikatne rzeczy.

(Dcn)

Przedruki i przekłady zastrzeżone. Copyright by W. Sieroszewski nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA

POWIEŚĆ

Hanka godzinami całemi siadywała pod tem oknem i wsparta skronią o zimną kamienną framugę, rozmyślała o dziwnych kolejach swego losu, o bracie, o Szag-durze, o Domickim...

Czyżby wszyscy zapomnieli o niej?... Niepodobna, żeby nie wiedzieli, iż została uwieziona przez Wołkowa! Niepodobna również, aby nie mogli wykryć miejsca jej pobytu przy stosunkach Szagdura i wuja jego, Dordżi Nojona... Władze wiedzą gdzie ona... Wyraźnie jej powiedziano, że jest zamkniętą tutaj z rozkazu Bog-do Gegena, a więc Władzy Najwyższej... Przypuśćmy, że z niewiadomych przyczyn rozkazu tego zmienić nie można było, lecz dlaczego do niej nie piszą?... Ani słówka!... Znaku najmniejszego. Brama klasztorna zamknęła się za nią jak wieko grobu. Nie obchodzą się z nią tu źle... Owszem, otoczona jest możliwemi wygodami... Jej „khan“ *) już był ogrzewany, chociaż w innych celach jeszcze nie palono. Jedzenie choć bezmięsne było dobre i obfite, składało się z ryżu, serów, suszonej śmietanki, chińskich owoców, sucharów i ciastek, miodu, masła, herbaty z mlekiem i innych przysmaków tutejszych...

Obejście pełne było czci, grzeczne, nacechowane najwyższą troskliwością o zdrowie i wygodę... Wolno jej było chodzić wszędzie w obrębie murów klasztornych, ale wciąż czuła i spostrzegała, że śledzą ją gdzieś z ukrycia bystre oczy. Niekiedy dostrzegała nagle postacie mniszek, ukryte za filarem, albo w krzewach przydrożnych... Najczęściej jednak była to „siostrzyczka“ nieśmiało, ale jawnie, idąca za nią zdaleka i niknąca skoro tylko Hania próbowała się do niej zbliżyć. Służebne, które przychodziły sprzątać jej pokój oraz przynosiły posiłek, nie mówiły nigdy ani słowa, może należały do innego plemienia i nie rozumiały narzecza „Chałcha“, którego nauczyła się Hanka od Tu-sziur...

Obcowała z nią bliżej jedynie przeorysza, surowa, wyniosła kobieta, przed którą drżały wszystkie mniszki w klasztorze.

Przeorysza próbowała początkowo skłonić Hankę, aby ta poddała się w zupełności klasztornemu rygorowi, wstawała na dźwięk trąby o wschodzie słońca, brała udział w pięciokrotnych modlitwach dziennych przed złoconym na ołtarzu posągiem Boga Wojny, porywającego Boginię Miłosierdzia — patronem tego klasztoru.

Raz, zdjęta ciekawością, Hanka dała się skusić i ubrana w żółtą, jedwabną „chlamidę“ ze złotą tiarą na głowie, zasiadła na wskazanym sobie tronie wśród chóralnych pieśni, brzęczenia dzwonków, przyklękań i padań na twarz wszystkich obecnych w świątyni. Ołtarz zawieszony był długą do ziemi czerwoną zasłoną. Przed nim płonął szereg czerwonych i żółtych grubych świec woskowych w wysokich bronzowych kandelabrach, a z pod stropu zwieszał się las wstążek różnobarwnych, „Madatów“, buńczuków włosiennych, papierowych chińskich latarni... Trzech lamów w złotem szytych ornatach, w wysokich infułach siedziało na poduszkach na stopniach ołtarza. Każdy miał długi różaniec w ręku i księgę rozwartą na małym pulpicie przed sobą. Ich monotonne mruczenie przerywane było co jakiś czas chóralnym przyśpiewem zakonnic, niezmiernie podobnym do naszych godzinek.

Hanka pilnie przyglądała się wszystkiemu i dostrzegła, że dużo z tych ceremonij, ukłonów i wykrzykników skierowane jest do niej... Przykry rumieniec pokrył jej twarzyczkę. Ale zamieszanie jej o wiele wzrosło, gdy wśród burzy dzwonienia, stukania w wielką pustą tykwę i śpiewnych wykrzyków, czerwona zasłona rozsunęła się na dwie strony i ze zmroku ołtarzowej wnęki wyjrzała nań straszna figura złotego bożka z wytrzeszczonemi przeraźliwie oczyma, z twarzą wykrzywioną okrutnie, i z błyskającemi z otwartej paszczy kłami... Trzymał w objęciu w pozie namiętnej i bezwstydnej nagą kobietę z potrójną koroną na głowie...

Hanka ledwie dosiedziała do końca nabożeństwa, nie podnosząc oczu i więcej już nigdy nie dawała się namówić na odwiedzenie świątyni.

— Poczekamy, aż Duch łaski Dobrotliwego zejdzie na ciebie!... Będę się za ciebie modlić, aby to nastąpiło jak najprędzej!... Om-mam-padme-hum!... — westchnęła przeorysza, nie mogąc przełamać uporu Hanki.

— Lepiej przyślij mi, matko, jaką zakonnicę, żeby nauczyła mię czytać wasze znaki święte...—poprosiła w końcu Hanka.

— Sama uczyć cię będę!... — oświadczyła przeorysza.

Hanka podziękowała, ale miała kwaśną minę. Liczyła, że te lekcje wyprowadzą ją z tego koła świętobliwego osamotnienia, jakiem ją otaczano. Myśl o ucieczce kiełkowała w jej głowie od pierwszego dnia, lecz aby ją uplanować, potrzebne jej były pewne wiadomości. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa klasztor, w którym ją zamknięto. Gdzie leży, jak daleko, i w której stronie jest Urga?... Co się w tej Urdze dzieje?... Jak się tam można dostać i jak tam szukać Szag-dura lub brata?... Nie miała pojęcia o tem, poco ją tu przywieziono i co z nią mają zrobić, a musiała się tego wszystkiego przed rozpoczęciem jakichkolwiek kroków dowiedzieć. Wysoki mur, z niepalonej cegły, otaczający klasztor, niezbyt ją przerażał. Pewna była, że znajdzie jakiś sposób przedostania się przezeń. Lecz wiadomość o drodze i okolicach, choćby bardzo powierzchowną, musiała zdobyć i dlatego wymyśliła naukę czytania świętych znaków tybetańskich.

— Ty ucz mię, matko, najpierw po mongolsku... — prosiła przeoryszy, która z wielką gorliwością zabrała się do nauczania.

— Poco po mongolsku? Co ci z tego? Czy będziesz urzędnikiem u ambania albo pomocnikiem bufla?... Najświętsze nasze księgi i najgłębsze tajemnice boskiej wiedzy spisane w znakach tan-gu!... Tybet jest siedzibą Wielkiego Ducha i szczytem świata!... — dowodziła gorliwie stara.

— Ależ ja nie umiem po tybetańsku! — broniła się Hania.

— To nic, my też nie umiemy, lecz dla skutecznej modlitwy niepotrzebne jest jej rozumienie. Dosyć spoglądać na święte znaki i powtarzać wiernie błogosławione dźwięki, a łaska Dobrotliwego spłynie na pobożnych!...

Po części, aby uśpić czujność przeoryszy, po części z nudów, Hanka nie przerywała wykładów. Jednocześnie wszakże próbowała dalej nawiązać poufalsze stosunki z unikającemi jej zakonnicami. Obserwowała pilnie życie zakonne ze swego okna strzelniczego oraz w czasie codziennych przechodzeń po ogrodzie i dziedzińcach klasztornych.

Zauważyła, że istnieje tam surowy podział hierarchiczny, że praca i wypoczynek, nawet pożywienie, nie są równomiernie dzielone, że są uprzywilejowani, oraz poddani, jak wszędzie na świecie. Wśród tych ostatnich zauważyła kilka młodych dziewcząt, o typie, przypominającym twarze „chałcha“.

Zdybawszy raz na ustroniu, w ogrodzie nowicjuszkę, bardzo podobną do Tiuszur, zapatrzoną tęsknie na szczyt muru, zagadała do niej śmiało:

— Skąd jesteś siosto?... Z jakiego choszumu? Czy nie jesteś „chałcha“?...

— Chałcha jestem!... — odszepnęła zmieszana dziewczyna, próbując uciec, ale Hanka schwyciła ją za rękę.

(Dcn)

*) Wzniesienie z cegieł opalone z dołu, na którem mieszkańcy Chin siedzą i śpią w zimie.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE

Księgarstwo zarówno nasze jak i zagraniczne ma dwa sezony: jeden szkolny, drugi gwiazdkowy. W pierwszym pojawiają się w witrynach księgarń dzieła naukowe, podręczniki szkolne, wydania tekstów literackich, w drugim: edycje dzieł ozdobnych i kolekcje książek dla dzieci i młodzieży. W sezonie szkolnym księgarnie przepełnione są uczniami — w sezonie przed gwiazdką głównie rodzice dokonują wyboru odpowiedniej lektury dla synów swoich i córek. I jak poprzednio na popyt liczy książka pożyteczna, tak teraz ozdobność, piękno wydania i doborowa treść odgrywa decydującą rolę. Znacznie jednak łatwiej wybierać książkę użytkową, przepisaną przez władzę szkolne, wskazaną przez nauczycieli, aniżeli samemu być krytykiem i formy zewnętrznej i wartości literackiej. To też wśród mnóstwa rok rocznie wydawanych książek gwiazdkowych trzeba przebierać ostrożnie, aby podarunek był istotnie wartościowym.

W tegorocznym plonie gwiazdkowym naprawdę trudno jest wybierać, ale nie ze względu na to, że obok świetnych książek znaleźć się mogą gorsze i mniej odpowiednie, ale właśnie dlatego, że naraz pojawiło się tych wydawnictw dobrych tyle, że decyzja jest trudna, które wreszcie nabyć na własność. Wydawcy polscy na przekor fatalnym warunkom ekonomicznym, mimo że zastój w księgarstwie jest wprost katastrofalny, zdobyli się na wysiłek olbrzymi, uruchomili swe warsztaty i dokonali wiele. Plon tegoroczny przerasta pod względem jakościowym wszystko, co od czasu wojny u nas wydano. To też wśród sfer inteligencji polskiej będzie to musiało być przyjęte z uznaniem i nie będzie z pewnością ani jednego domu, gdzieby książka, stworzona z takim wysiłkiem, nie znalazła się pod choinką, wypierając krótkotrwałe, choć słodkie upominki cukrowo - czekoladkowe.

Na plan pierwszy wśród nowości gwiazdkowych wybijają się jak rokrocznie tak i obecnie nakłady firmy Gebethnera i Wolffa. Przygotowano tu — dla najmłodszych i dla najstarszych rzeczy bardzo ciekawe. Milusińscy z radością chwycą do rąk ucieszną historję o *„Wicku Świerszczyku i jego przyjacielu Karaluchu"*, skreśloną przez doskonałego pisarza dla dzieci Jana Grabowskiego, a z humorem illustrowaną przez Wł. Szyndlera, nie mniej też znajdą zadowolenie i upodobanie w *Kudełku na wsi*, o którym zabawne rzeczy nie tylko potrafiła opowiedzieć, ale i zamknąć w barwnych ilustracjach pani Nina Aleksandrowicz-Homolaczowa. Młodzież zaś rozczytywać się będzie w pouczającej powieści Michaliny Mossoczowej pt. *„Za tysiąc lat"*, w której autorka w sposób fantastyczny rozsnuła obraz przyszłych błogich lat pokoju i szczęścia ludzkości, oraz w nigdy nie zapomnianej powieści Gomulickiego pt. *Wspomnienia niebieskiego mundurka*. Już trzy wydania tego znakomitego utworu, dopełnionego niezwykłemi ilustracjami K. Górskiego, poszły w świat, a bibljoteki i wypożyczalnie nie mogą nastarczyć egzemplarzy. Teraz ukazała się edycja czwarta i będzie tak samo pewnie rozchwytana jak poprzednie. Bo też w „Wspomnieniach" są ustępy przecudne, owiane tem tchnieniem szczerego uczucia, jakie znamionowało twórcę tej miary co Gomulicki.

Tuż obok Gomulickiego staje Bronisława Włodkówna z dwoma opowiadaniami pt. *Przeciw złej doli*. Tendencją tej książki jest wszczepienie w młodzież zasady, że podejmować należy pracę wszelką bez względu na przeciwności losu i spełniać ją, chociażby w najtrudniejszych warunkach. Zasadą tą powinni kierować się wszyscy w każdem zdrowem społeczeństwie, zwłaszcza zaś u nas, gdzie przy niezorganizowanem jeszcze należycie życiu nie raz mogą opadać ręce. Kto jednak dąży wytrwale do celu, ten napewno zdobędzie to, co zamierzył. Trzeba tylko naprawdę chcieć. I tę chęć musi się wyrobić wśród naszego dorastającego pokolenia.

W inne zupełnie światy przenosi nas znowu Władysław Umiński, którego jubileuszowe wydanie pism wszystkich powiększyło się w bieżącym roku o trzy nowe tomy. Pisarz ten ma już u nas „wyrobioną markę" jako narrator niezrównany, umiejący popularyzować wiedzę, jak nikt inny, a ponadto obdarzony sporym zasobem fantazji. Te same zalety posiadają i książki wydane obecnie. *Od Warszawy do Ojcowa* zawiera opis wyprawy „naukowej" czterech chłopców do okolic znanych poprzednio, a jednak posiadających wiele jeszcze tajemnic i możliwości interesujących przygód. *Na falach Atlantyku* zaś i *Balonem do bieguna*, to dwa opowiadania o rozbitkach morskich i śmiałych argonautach do krainy lodów. Ile tu przeróżnych przejść, niebezpieczeństw, ile cudownych ocaleń, tego zliczyć nawet niepodobna. Ciekawość czytelnika jest w stałem napięciu, to też podąża on raźno za bogatą fabułą, przeżywając wraz z bohaterami nie tylko chwile grozy, ale i zachwytu.

Poprzez *Pamiętniki Kwestarza* Ignace-Chodźki, stanowiące charakterystyczny dokument do poznania czasów, a wydane wprost z przepychem, do czego przyczyniają się świetne ilustracye Andriollego — przejdzie starsza młodzież do lektury *Faraona* Prusa, który poraz pierwszy otrzymał godną swej treści szatę zewnętrzną. Arcydzieło Prusa w tej formie nęcić będzie ku sobie nie tylko młodzież, ale wszystkich miłośników pięknej książki. Kogoż bowiem nie zachwycą głęboko przemyślane ilustracye Holewińskiego, kto po czasach tandetnej książki nie będzie się rozkoszował tym luksusem papieru i oprawy, w które wyposażono tę edycję?

Staranność druku, opraw i całego wykończenia jest także cechą nakładów *Księgarni M. Arcta*, która przygotowała kilka nowości sezonu. Wśród nich na pierwszem miejscu postawić należy powieść dla młodzieży Al. Janowskiego pt. *Marysia w Japonji*, gdzie z wielką prostotą opowiedziane są niezwykłe przygody córki wygnańca syberyjskiego, która wraz z ojcem ucieka z ułusów jakuckich, by wrócić do kraju. Ocalona szczęśliwie z rozbitego u brzegu Japonji okrętu Muruyama, dostaje się do wioski Ainów na wyspie Yezzo i spotyka tam Grzesia Czyżyka, również syna zesłańca ze Syberji. Autor, rozsnuwając losy tych dwojga dzieci polskich w odległym od ziemi rodzinnej kraju, podaje równocześnie barwny opis Japonji, życia jej mieszkańców, zwyczajów, obrzędów i nastrojów, jakie tam panowały w czasie wojny rosyjsko-japońskiej.

Prócz tej powieści wymienić się musi nie ustępującą jej w niczem opowieść Janiny Porazińskiej pt. *„W spalonym dworze"*, do której treść zaczerpnęła autorka z lat najazdu bolszewików na Polskę. Dwoje bohaterskich dzieci przedstawiono tu nam, obrazując ich niedolę wśród zgliszcz spalonej rodzinnej sadyby.

Ta sama autorka dała młodszej dziatwie piękną książeczkę pt. *„W Wojtusiowej izbie"*. Jest to szereg wierszyków o tem, co Wojtuś w izbie widzi i słyszy. A Wojtuś i widzi, i słyszy wszystko inaczej, aniżeli to widzielibyśmy my. Słusznie autorka mówi we wstępie: „Wy, dorośli, to nie wiecie, co się czasem w izbie plecie, jakie idą tam pogwarki"... Tak, dla Wojtusiów wszystko w izbie żyje swem własnem życiem, wysnutem z czarującej wyobraźni dziecięcej. Wojtuś słyszy, jak stara miotła gderze, w mruczeniu kota na przypiecku słyszy niesłychanie ciekawą historję tego samochwały, gdy to jego „pra-pradziad z królem był ci za pan brat", a ubożuchna piosenka świerszcza za kominem jest dla niego prawdziwą kapelą, rwącą nogi do taneczka. Niestety, dla nas — z wyjątkiem może poetów — już te cuda nie istnieją, ale pozwólmy, niechaj Wojtusie jak najdłużej wśród nich żyją.

Finek znów Jana Grabowskiego, to przemiła bajka o psie, tym dobrym towarzyszu zabaw dziecięcych, potulnym i pokornym, który figlować umie genialnie i radować całe grono dzieciarni. To też wszystkie one o tym swoim powierniku przeczytają, chętnie każde w Finku widząc swego Rexa czy Nera.

Prócz tych większych książek znajdzie się jeszcze u Arcta sporo takich wydawnictw, któremi na gwiazdkę obdarować należy młodzież. Czy to będzie *Słoneczny światek* Cecylji Niewiadomskiej, czy *Ogród króla Marcina* Ewy Szelburg-Ostrowskiej, czy *Nasz las i jego mieszkańcy* B. Dyakowskiego, wszystkie one mają fabułę zajmującą i pouczającą, zawsze formę bardzo ponętną, gdyż nie jedną z nich ilustrowali tak świetni rysownicy, jak Gawiński, Jabłczyński i inni. Nie można zapominać także i o nowych wydaniach książek, które dotychczas będąc w obiegu, spotykały się z jak najlepszem przyjęciem. Do takich należą: Orwicza *Od Dubienki do Racławic* (II wyd.), Umińskiego *Młody jeniec Indyjski* (II wyd.), *Wodzowie narodu* (w opracowaniu H. Witkowskiej i W. Krzyżanowskiej) oraz doskonała monografja o *Chodkiewiczu*, skreślona piórem zasłużonego historyka Artura Śliwińskiego.

Trzecią firmą wydawniczą, która tegoroczny rynek księgarski wydatnie zasiliła książkami gwiazdkowemi jest *Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu*. Od tanich książeczek obrazkowych aż po wytworne wielobarwne litografje znajdzie się tu wszystko. Ilustrator Gruss da bajkę *O małpce Kiki i słoniach* a Z. Wyrobek opowie *O rozstrzepanej Wini i Józiu Psotniku*. Starszym dzieciom Barbara Żulińska wskrzesi legendy i baśnie z okresu dziecięctwa Chrystusa Pana, nadając im tytuł *Mały Jezus*, a Bogdanowicz (Bożydar) fantazjować będzie, jak to bywało w *W srebrnem Królestwie*, gdzie władał Królewicz Pierwiosnek. Wreszcie H. Duninówna powiedzie swego młodocianego czytelnika *Pod srebrną falę*, aby mu zdradzić tajemnice dna morskiego i nauczyć wielu ciekawych rzeczy o obyczajach i walce o byt różnych stworzeń podwodnych.

Do rzeczywistości przywołują dwie powiastki Popławskiej i Prauzińskiego. Rzeczywistość to jednak górna i piękna i dlatego warto, aby poznały ją wszystkie dzieci polskie. Dowiedzą się bowiem z książeczki *Dla przyszłości*, jak to jeszcze niedawno Moskale chcieli znieprawiać dusze młodzieży naszej, i jak ta młodzież z tą trucizną zaborców walczyć musiała, w drugiej zaś przedstawiono *Jak dzieci wypędziły Niemców z Poznania*.

Bezwzględnie jednak najpiękniejszą ze wszystkich tych dziełek jest książka Niny Aleksandrowicz-Homolaczowej i Zuzanny Rabskiej p. t. *Dzień królików*. Tu podały sobie ręce dwie szczere poetki, z których jedna barwą odtworzyła to, co druga zamknęła w wiersz piękny i potoczysty. Nikła bajeczka o ucieczce królików, sprowadzonych następnie na podwórko Basi przez jej wiernego Burka, w tym dwugłosie malarsko-poetyckim nabrała niezwykłego wdzięku. To też *Dzień królików* niechybnie trafi wszędzie, zwłaszcza, że już autorce do serc czytelników utorowały drogę przepiękne *Tajemnice Łazienek*.

Zwolennicy fantastycznej lektury znajdą ją wśród książek, wydanych nakładem księgarni Św. Wojciecha, rozczytując się w Verne'a *Skarbach wulkanu*, względnie w Korsaka opisach wypraw łowiecko-naukowych *Ku indyjskiej rubieży*. Poważną zaś i piękną powieścią jest Irena Margareta, dająca barwny obraz epoki prześladowania chrześcijan. Rzecz ta ukazuje się w piątej edycji.

Albumowem wydawnictwem tej samej firmy jest *Zamek królewski w Warszawie* Al. Kraushara, w którem niestrudzony dziejopis dał treściwy zarys historji rezydencji królewskiej, uzupełniony pięćdziesięciosiedmiu ilustracjami, wykonanemi doskonale sposobem rotograwiurowym.

Na wymienienie ze wszech miar zasługują także obrazkowe książeczki *Wydawnictwa polskiego*, z tekstami Fr. Mirandoli. Dwanaście tych wielobarwnych kartonów z wspaniałemi ilustracjami rysowników angielskich i szwedzkich, podanemi w technice litograficznej — jest dużą atrakcją na rynku księgarskim, na którym od kilkunastu lat nie spotykało się podobnych wytworów.

Obraz wydawnictw gwiazdkowych nie byłby zupełny, gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o nakładach mniejszych firm księgarskich. I tak L. Chomiński w Wilnie, wydał B. Hertza *Wakacje w Puszczy* i Edwarda Słońskiego bajkę pt. *O żołnierzu Tułaczu*, Spółka nakładowa „Odrodzenie" we Lwowie ogłosiła trzecie już wydanie przepięknych *„Orląt"* Artura Schrödera, a „Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich" M. Zagórowskiego powieść dla młodzieży pt. *„W Puszczy Teksasu"*. Nawet „Związek polskich stowarzyszeń spożywców", uważając, że książka jest artykułem najpierwszej potrzeby, podjął się nakładu dwu książeczek, mianowicie E. Słońskiego *Razem młodzi przyjaciele* i K. A. Czyżowskiego *Złoty Kopiec*. Oby też wszyscy inni spożywcy, nie zrzeszeni jeszcze w żadnem stowarzyszeniu, utworzyli związek „Spożywców książek" i za punkt honoru swego wzięli sobie nabycie choćby po jednej z wymienionych tu prac. Bądźmy nie tylko „zjadaczami chleba", których dopiero siła fatalna miałaby w aniołów przemienić, ale trzeźwymi ludźmi XX wieku, pełni świadomości, że cały byt nowoczesnego człowieka oparty jest o kulturę umysłową, a drogą do tej kultury wiodącą jest książka, z którą trzeba obcować od najmłodszych lat do późnej starości.

(l.)

⁂

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

Fot. J. Malarski

„Bogowie łakną krwi" Anatola France'a w teatrze Rozmaitości. Akt II — scena spisku

„Bogowie łakną krwi" w teatrze Rozmaitości.

Teatr Rozmaitości wystąpił w ubiegłym tygodniu z niezwykle ciekawą premjerą. Genjalna powieść Anatola France'a — „Bogowie łakną krwi" przemówiła do nas ze sceny, ujęta w formę dramatu 5-o aktowego. Teatralizacji powieści dokonał sam autor wraz z Piotrem Chaine'em i chociaż zasadniczo wszelkie zmiany formy utworów nie wychodzą im na zdrowie, ta jednak była dobrą przeróbką sceniczną, z podkreśleniem wszystkich wartości dramatycznych.

Artyści stworzyli szereg doskonałych postaci nawet z rólek podrzędnych na drugim planie dramatu. Węgrzyn, we właściwej swemu talentowi roli, porywał grą. Jarszewska, Jaracz, Pichor-Śliwicka, Fritsche i inni grali z temperamentem i zrozumieniem.

„Bogowie łakną krwi" — akt II. J. Węgrzyn i St. Jaracz

Jubileusz pracy scenicznej Edmunda Gasińskiego

Fot. J. Malarski

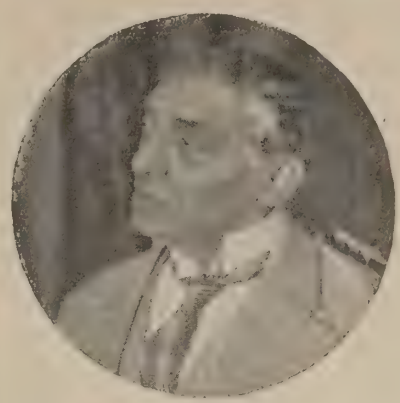

EDMUND GASIŃSKI

MARJA BRYDZIŃSKA

JULJUSZ OSTERWA

Teatr Komedja wystawił sztukę p. t. „Szwaczka z Luneville" głośnego autora „Ósmej żony Sinobrodego" A.-Savoir'a. W rolach głównych występują z powodzeniem M. Przybyłko-Potocka i K. Junosza-Stępowski

Fot. St. Brzozowski

„Papa" w teatrze Letnim.

Na jubileusz Edmunda Gasińskiego dał teatr Letni komedję Caillaveta i Fleursa p. t. „Papa". Komedja pełna subtelnego humoru i dowcipu, z przewijającą się gdzieniegdzie nutą melancholji była świetnem polem do popisu dla jubilata. W roli starzejącego się wytwornego donżuana, który przypomina sobie, że jest „papą" i stara się wzorowo spełniać swe obowiązki ojcowskie — Gasiński stworzył jedną ze swych najlepszych kreacyj, których ma kilkadziesiąt w swoim repertuarze. Wszystkie one były zawsze opracowane bardzo starannie a ożywione tym niezrównanym humorem, który cechuje stale jednego z najwybitniejszych komików naszych.

Obok niego wdzięczne swe role prześlicznie odtworzyli Brydzińska i Osterwa.

Nie jest to dziełem przypadku, iż Bydgoszcz, 100-tysięczne miasto, nad brzegami Brdy położone i ogromny już dziś przemysł reprezentujące, jest równocześnie najpoważniejszą w Polsce skupiną niezwykle rozwiniętego przemysłu drzewnego. Mowa tu jednak nie o przemyśle drzewnym, eksportującym drzewo, jako surowiec zagranicę i utrzymującym w tym celu liczne tartaki, ale o przemyśle, przetwarzającym surowiec drzewny w rozliczne wytwory przemysłu tego rodzaju jak meble, beczki, statki kuchenne, przybory stolarskie itd.

Dość wspomnieć, iż z dziedziny tego właśnie przemysłu posiada Bydgoszcz, wraz z okolicą, około 70 fabryk i większych warsztatów, zatrudniających ogółem przeszło 5000-ną rzeszę robotników.

JAKÓB HECHLIŃSKI
(właściciel firmy)

A jednak jeszcze do niedawna, bo niema temu i lat trzy — większość tego przemysłu była w ręku niemieckiem, a tacy jak von Krueger, Dominick i in. prym tu butnie dzierżyli. Na szczęście energja i tężyzna polska umiała i w tej dziedzinie przełamać tu ten tak nam bardzo wrogi stan rzeczy i zawołać też i na tem polu swoje gromkie:

— Jestem!...

Wśród pierwszych, którzy tu stanęli do apelu jest p. Jakób Hechliński, właściciel firmy:

JAKÓB HECHLIŃSKI

FABRYKA MEBLI I ZAKŁAD ARCHITEKTURY WEWNĘTRZNEJ

(dawniej „SPÓŁKA STOLARSKA")

z o. p.

BYDGOSZCZ, UL. PODGÓRNA 2. TEL. 695

Wśród firm tej branży placówka to w każdym razie jedna z najpoważniejszych. Tę swą nader poważną pozycję oraz imponujący już dziś rozkwit zawdzięcza ona jedynie energji swego właściciela.

Słów tedy kilka o nim.

P. Jakób Hechliński, człowiek stosunkowo jeszcze młody, wyszkolił się w swoim fachu w specjalnej Szkole Technicznej w Berlinie, którą chlubnie jako absolwent ukończył. Następnie pracował on szereg lat w pierwszorzędnych z tej specjalności firmach światowej sławy w Berlinie, Wrocławiu itd., gdzie uzupełniał studja pracą praktyczną i przyswajaniem sobie wszelkich arkanów branży, której się oddał całą duszą.

Że wszystkie sekrety swego fachu zgłębił i posiadł, tego dowodzi rozkwit zakładu, który w 1920 r. nabył z rąk niemieckich od jego poprzedniego właściciela Niemenge'go. Natychmiast też przystąpił do rozbudowy i rozszerzania zakładu. Energiczną

OGÓLNY WIDOK FABRYKI

WNĘTRZE WARSZTATÓW Z MOTORAMI

kosztuje, co bezkrytycznie często wydajemy na meble tandetne, bez gustu i byle jego budzi niekłamany podziw u znawców, jakoteż wśród licznej klijenteli.

Specjalnością firmy są urządzenia wewnętrzne wielkich firm bankowych, księgarni, magazynów kupieckich, instytucji publicznych itd. Tej to firmy dziełem jest:

cała architektura wewnętrzna *Warszawskiego Banku Handlowego* — oddział w Bydgoszczy,

oraz drugi oddział w *Toruniu*,

dalej wnętrze *Poznańskiego Banku Ziemian* (oddział w Bydgoszczy),

Banku Dyskontowego w Bydgoszczy,

Apteki Centralnej przy ul. Gdańskiej i t. d.

Osobno wymienić należy wspaniałe wprost urządzenie wnętrza znanej księgarni *„Gebethnera i Wolffa" — oddział w Poznaniu*, które jest wprost „majstersztykiem" firmy J. Hechliński z Bydgoszczy.

Ponadto firma produkuje *modelowo* i *en masse* meble i to od najskromniejszych aż do najwytworniejszych kompletów salonowych, sypialnianych, jadalni, gabinetów męskich, buduarów, bibljotek i t. d. W tym kierunku szef firmy p. Jakób Hechliński sam projektuje i rysuje w różnych stylach i fasonach oryginalne modele, które niejednokrotnie wzbudzały zachwyt u prawdziwych znawców tej sztuki. Wogóle w dziedzinie mebli i wnętrz prywatnego mieszkania p. Hechliński potrafi zaspokoić najwybredniejsze wymagania. To też każdy pod tym względem może zwrócić się doń z całem zaufaniem, gdyż firma ta jest zawsze na wysokości zadania.

Trzeba też zrozumieć, iż często urządzenie wytwornego i artystycznego wnętrza, które przecież daje tło życiu kulturalnego człowieka, choć jest wykonane ręką fachowca a zarazem artysty, tyleż nieraz kosztuje, co bezkrytycznie często wydajemy na meble tandetne, bez gustu i byle jak spartaczone. Z tego to względu człowiek i o najskromniejszych środkach finansowych może śmiało zwrócić się do firmy p. Hechlińskiego w Bydgoszczy.

Dziś fabryka ta, mieszcząca się w domu własnym przy ul. Podgórnej Nr. 2 w Bydgoszczy, zatrudnia z górą 75 robotników, a rozporządzając własnymi motorami, pod względem urządzenia technicznego stoi na pierwszorzędnej stopie.

Do tej pory firma unikała szerszego rozgłosu. Widać właściciel jej, zajęty pracą organizowania swej placówki, nie miał na to dość czasu. Dziś jednak, gdy stanął na tej wysokości swej produkcji, jak obecna, obowiązkiem jego jest okazać i szerszemu światu, czego własną zabiegliwością dokonał, rozwinął i do tak imponującego rozkwitu doprowadził. Winien to jest nietylko samej firmie, ale też i przemysłowi polskiemu, którego na terenie Wielkopolski jest już dziś tak poważnym reprezentantem i to szczerze polskim i tak bardzo narodowym...

Podkreślenie też tego było właśnie celem niniejszej korespondencji...

Jaque.

WIELKA HALA FABRYKI

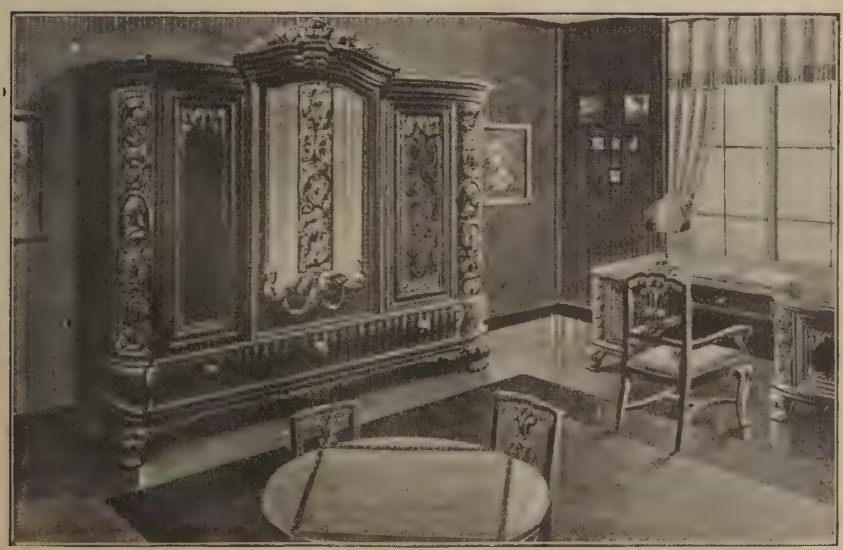

WNĘTRZE WYTWORNE
projektowane przez Jakóba Hechlińskiego w Bydgoszczy

URZĄDZENIE WEWNĘTRZNE poznańskiej filji księgarni Gebethnera i Wolffa, projektowane i wykonane przez J. Hechlińskiego w Bydgoszczy

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI WYDAWCY: GEBETHNER I WOLFF
Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

Instytut Wydawniczy „BIBLJOTEKA POLSKA" Sp. Akc.

WARSZAWA — BYDGOSZCZ.

POLECA **NA GWIAZDKĘ!**

Dla dzieci i młodzieży.

BOHUSZEWICZÓWNA Z. **W świecie owadów.** (Według H. Fabra). Z 31 rycinami w tekście i 3 tablicami barwnemi, oprawne . 4.—
BUKOWIECKA Z. **Krótka historja Polski w opowiadaniach starego powstańca,** oprawne 3.70
DUNINÓWNA H. **Na obczyźnie.** Z ilustr. M. Wisznickiego, w opr. 4 —
FRANCE A. **Nasze dzieci,** przeł. S. Złocieńska, z ilustr. E. Johna w opr. 3.20
JAROSZ W. **Dzieje Polski** z 66 rycinami, w oprawie . . . . . 4.—
KNOLL-WITTIGOWA T. **Tajemnice Krystyny.** Z ilustr. W. Roguskiego, w oprawie 3.20
LIGOCKI E. **Historja o panu Bazylim.** Z ilustracjami W. Borowskiego 2.10 . . . . . oprawne 3.60
MAKUSZYŃSKI-POKRZYWNICKA. **Moje zabawki,** w opr. . . . 10.—
MAKUSZYŃSKI-GRUS. **Wesoły zwierzyniec,** opr. . . . . 10.—
OSTROWSKA B. **Madej.** Z ilustr. A. Świdwińskiego, w oprawie . 3.50
— **Szklana Góra.** Z ilustracjami K. Grusa, w oprawie 3.50
SIEROSZEWSKI W. **Bajki.** Z barwnemi planszami Z. Stryjeńskiej, opr. 12.—
SOBAŃSKA H. **Skąd Krasnoludki dostały swoje czerwone kapturki.** Z barwnemi planszami Z. Stryjeńskiej, w oprawie . . 6.—
STĘPOWSKA K. **Bajki.** Z ilustr. J. Gumowskiego, w oprawie . . 4.50
SZCZĘSNY A. **Baśnie wiosenne.** Ilustrowała Z. Plewińska, oprawne 3.20
WERYHO M. **Las.** Z ilustracjami J. Gumowskiego, w oprawie . . 4.50
— **Opowiadania prawdziwe.** Z ilustr. J. Gumowskiego, w opr. 4.—
ŻUŁAWSKI J. **Na srebrnym globie.** Opracował dla młodz. F. Nowicki. Ilustrował M. Wisznicki, w oprawie . . . . . 5.—

Dla Dorosłych.

ASKENAZY SZ. **Książę Józef Poniatowski.** Z ilustracjami . . 9.—
w oprawie płóciennej . . . . . 12.—
BERENT W. **Żywe kamienie.** Ozdobił Wacław Borowski. Odbito tysiąc egzemplarzy numerowanych na bezdrzewnym papierze 10.— oprawne w płótno 12.50
BYRON J. G. **Don Juan.** Przekład E. Porębowicza. Wydanie nowe przerobione. Odbito na pięknym papierze bezdrzewnym . . 16.—
GOETEL F. **Przez płonący Wschód.** Wrażenia z podróży, z ilustr. 8.50
KASPROWICZ J. **Hymny** — w oprawie 4.50
— **Księga miłości** — w oprawie . . . . . 5.—
Kwiatki św. Franciszka z Asyżu. W przekładzie i z wstępem Leopolda Staffa, w oprawie 7.80
LIGOCKI E. **Nemesis** — w oprawie 2.70
— **W ogrodzie róż** — w oprawie 2.20
MAŁACZEWSKI E. **Pod lazurową strzechą,** oprawne 2.90
MOLIER. **Dzieła.** Przełożył, oprac. i wstępem opatrzył Boy, 6 tomów 45.—
— Wydanie na papierze bezdrzewnym, w opr. płóc. . . . . 70.—
MORAWSKI F. **Czasy Zygmuntowskie na tle prądów odrodzenia,** oprawne 8.50
MUSSET A. **Komedje,** 2 tomy (przełożył Boy) oprawne . . . . 12.—
PORĘBOWICZ E. **Dante.** Z ilustracjami i barwnym portretem Dantego, oprawne w płótno 8.50
PTAŚNIK JAN. **Kultura włoska wieków średnich w Polsce,** opr. 8.50
RUFFER J. **Posłanie do dusz,** w oprawie 2.60
SHAKESPEARE W. **Lukrecja.** Z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz, wyd. miniaturowe 2.— oprawne w płótno . . . . . 3.—
— **Sonety.** Przekład Jana Kasprowicza. Wydanie minjaturowe 2.— oprawne w płótno . . . . . 3 —
— **Venus i Adonis.** Przekład Jana Kasprowicza. Wydanie minjaturowe 1.70, oprawne w płótno 2.70
SIEROSZEWSKI W. **Pisma.** Tom I—X, w oprawie płóc. . . . . 78.—
SINKO T. prof. dr. **Antyk Wyspiańskiego.** Wydanie drugie z ilustracjami, oprawne w płótno 12.50
STAFF L. **Dzień duszy** . . . . . oprawne 3.40
— **Gałąź kwitnąca** . . . . . „ 3.70
— **Godiwa** . . . . . „ 3.20
— **Igrzysko** . . . . . „ 3.40
— **Łabędź i lira** . . . . . „ 4.30
— **Południca,** dramat w 3 aktach . . . . . „ 3.20
— **Ptakom niebieskim** . . . . . „ 4.50
— **Skarb** . . . . . „ 3.70
— **Sny o potędze** . . . . . „ 3.80
— **Ścieżki polne** . . . . . „ 3.80
— **Tęcza łez i krwi** . . . . . „ 3.80
— **To samo** . . . . . „ 3.30
— **Uśmiechy godzin** . . . . . „ 3.50
— **Wawrzyny** . . . . . „ 3.10
— **W cieniu miecza** . . . . . „ 3.70
— **Wybór poezyj** . . . . . „ 6.40
— **Żywiąc się w locie** . . . . . „ 3.50
STAFF L. M. **Zgrzebna kantyczka.** Z przedmową Wacława Berenta 2.80
TARNAWSKI W. **Krzysztof Marlowe,** w oprawie 10.50
TETMAJER-PRZERWA K. **Poezje.** Wydanie zbiorowe, 4 tomy broszurowane 28.— oprawne w płótno . . . . . 40.—
— **Na skalnem Podhalu,** 2 tomy brosz. 14.— opr. w płótno . 19.—
WILDE O. **Sztuka i życie.** Wybrał i przełożył M. Wierzbiński, opr. 5.—

Mnożnik Związku Księgarzy Polskich. — Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Najlepsze podarki gwiazdkowe.

Iskry.
Ilustrowany tygodnik dla młodzieży.

pod redakcją W. Kopczewskiego. Przynosi opowiadania przyrodnicze, lub historyczne, życiorysy, nowelki, powieści, „gazetkę", „rozrywki" itp. obok tego dużo ilustracji na pięknym papierze.

Przedpłata na cały rok 1924 Mkp. 5.000.000, na pół roku—2.500.000, na kwartał—1.500 000, na styczeń 1924—Mkp. 500.000.

Kto uiści powyższą przedpłatę przed końcem grudnia 1923, nie będzie obowiązany do żadnych dalszych opłat w ciągu roku, choćby koszta produkcji nawet bardzo wzrosły. Egzemplarze okazowe na żądanie.

Chrzanowski B.

1) **Z wybrzeża i o wybrzeżu** . . . . . Cena zas. 1.50
2) **Na kaszubskim brzegu** . . . . . „ „ 1,75

„Piękna, sercem pisana książka, powinna pójść między młodzież polską wszystkich dzielnic i zachęcać do wycieczek nad morze polskie, gdzie jeszcze szumią niezapomnianą pieśnią stare lipy, sadzone ręką Jana III Sobieskiego i Marysieńki". *Z. Dębicki.*

German Juljusz.

1) **Jak Pan Bóg Niemca pokarał** . . . . Cena zas. 0.80 karton 1.40
2) **O kocie Królewiczu** . . . . . „ „ 1.60 „ 2.20
3) **O księżniczce z za morza** . . . . . „ „ 1.20 „ 1.80
4) **O Pawełku, który się dziwił** . . . . „ „ 0.80 „ 1.40
5) **O dobrej wróżce** . . . . . „ „ 1.20 „ 1.80
6) **O Janku, co walczył we Lwowie** . . . „ „ 0.80 „ 1.40

„Baśnie Juljusza Germana, skreślone z prawdziwą fantazją poetycką, odznaczają się zajmującą treścią i dlatego mogą być czytane przez dzieci z wielkiem zainteresowaniem. Wartość książek podnoszą piękne ryciny".

Homolacs Karol

1) **Bajka o kosturku, Azie i Burku** . . . Cena zas. 3.— karton 3.80
2) **Wigilja Wojtusia** . . . . . „ „ 1.50 „ 2.—
3) **„Kusy". Nowa szopka krakowska** . . . . . karton 3.20

Pierwsza bajka o 32 ilustracjach w części barwnych, mówi o przygodach niedobrego królewicza, zamienionego za karę we wstrętnego karła kosturka, druga „Wigilja Wojtusia" — to opowieść o dziwnych przygodach chłopaka, wysłanego przez matkę w noc wigilijną po chróst. „Kusy" to szopka, pełna humoru o djable, Herodzie itp. Wszystkie książeczki Homolacsa ślicznie ilustrowane przez samego autora.

Jezierski E.

1) **Ojczyzna** . . . . . Cena zas. 3.60 karton 4.60
2) **Serce Polski** . . . . . „ „ 3.60 „ 4.60

„Serce Polski" to pamiętnik ucznia z roku 1920/21. Wzorowana na Amicisie, odznacza się lekkim, potoczystym stylem, zmuszającym do przeczytania „jednym tchem" całej książki. Ojczyzna — to opowieść dla młodzieży na tle 1863 r.

Ostrowska Br.

1) **Bohaterski Miś** . . . . . Cena zas. w kart. 4.—
2) **Książka jutra, czyli tajemnica genjusza drukarni** . . . . . „ „ 4.— w opr. 5.—

„Z całej powodzi wydawnictw dla młodzieży wybija się „Bohaterski Miś" swoją wartością na pierwsze miejsce. Cały sposób opowiadania jest wprost mistrzowski", *Dr. Zagórowski.*

„Książka jutra" to rozkoszna, biała róża kultury drukarskiej. Myślą przewodnią jej jest wykazanie i wymienienie szlachectwa pracy, tego twórczego szlachectwa odrodzonej Polski". *M. Poznański.*

Haberkantówna. Śmietnik = ilustr. . . Cena zas. karton 2.50
Kisielewska J. Dzieje Polski w obrazach bardzo pięknie ilustrowane . . . . . „ „ 8.— karton 9.—
Konarski. O uczniu żołnierzu . . . . „ „ 4.— „ 5.—
Mościcki. Pod znakiem orła i pogoni . . . 5.— „ 6.—
Pajzderski. Poznań (Nauka i sztuka T. XIV) „ „ 10.— „ 12.—
bogato ilustrowana monografja na kredowym papierze
Górski A. Monsalwat. . . . . . Cena zas. 5.—
„ **Na nowym progu** . . . . . „ „ 6.—
Śleczkowska. Wśród dziejowej zawieruchy „ „ 4.— „ 5.—
„ Z orląt orły . . . . . „ „ 3.20 „ 4.—
Vamba. Cesarz mrówek . . . . . „ „ —.—
Wavda. Pod krzyżem południa . . . . . „ „ 4.— „ 5.—
Kartki z podróży do Australji.
Zipper. Opowiadania z mitologji Greków i Rzymian . . . . . „ „ 3.20 „ 5.—

Platona dzieła.

1) **Fajdros**
2) **Eutyfron—Obrona Sokratesa—Kriton**
3) **Hippjasz większy. Hippjasz mniejszy—Ijon**
4) **Gorgjasz**
5) **Protagoras**
6) **Uczta**

Cena zas. po 7,50

Przełożył, objaśnił i ilustrował W. Witwicki.

„Ambrozją pianki filozoficznej i filozoficznego dowcipu Platona uraczył nas prof. Witwicki. Przejście do lekkiej lektury jest orzeźwieniem, ulgą, dobrodziejstwem, łaską". *Myśl Niepodległa.*

Wszystkie powyższe książki do nabycia w Książnicy Polskiej Towarzystwa Nauczycieli szkół średnich i wyższych — Warszawa, Nowy Świat 59 — i Lwów — Czarnieckiego 12.

Tamże wielki wybór innych książek gwiazdkowych.

Zamówienia z prowincji załatwia się natychmiast. Szczegółowe katalogi na żądanie.

Ceny zasadnicze należy pomnożyć przez obowiązujący mnożnik księgarski. De cen książek nieszkolnych dolicza się 20% dodatku sortyment.

KSIĘGARNIA F. HOESICKA WARSZAWA SENATORSKA 22.

ROK III-ci

ORZECZNICTWO SĄDÓW POLSKICH

REDAKCJA:

Dr TADEUSZ BUJAK
Sędzia Sądu Najwyższego
Członek Komisji Kodyfikacyjnej

Dr WŁ. DBAŁOWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

BERNARD MALINIAK
Adwokat

BOLESŁAW POHORECKI
Prokurator Sądu Najwyższego

CZESŁAW POZNAŃSKI
Adwokat

ZYGMUNT RYMOWICZ
b. Wiceminister Sprawiedliwości, Adwokat, Członek Kom. Kodyfikac.

JAN SAWICKI
I. Prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego

KOMITET REDAKCYJNY

DR MAURYCY ALLERHAND
Adwokat, prof. Uniwersytetu we Lwowie, członek Komisji Kodyfikacyjnej

IGNACY BALIŃSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

KONRAD DYNOWSKI
Profesor Uniwersytetu w Warszawie, b. senator D-tu kasac. w Piotrogrodzie

HENRYK KONIC
Adwokat, członek Komisji Kodyfikacyjnej

MARCELI LEMIESZEWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

Dr RYSZARD AURELI LEŻAŃSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

KAROL ŁOZIŃSKI
Dyrektor Departamentu Min. Skarbu

Dr JULJUSZ MAKAREWICZ
Profesor Uniwersytetu we Lwowie, członek Komisji Kodyfikacyjnej

Dr ALEKSANDER MOGILNICKI
Sędzia Sądu Najwyższego, członek Komisji Kodyfikacyjnej

Dr ROMAN MORACZEWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

JÓZEF PROKOPOWICZ
Prokurator Sądu Najwyższego

Dr SZYMON RUNDSTEIN
Adwokat

WŁADYSŁAW SEYDA
Prezes Sądu Najwyższego

Dr. STANISŁAW ŚLIWIŃSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

Dr BR. STELMACHOWSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

Dr JERZY TRAMMER
Adwokat, członek Komisji Kodyfikacyjnej

BRONISŁAW WERMIŃSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

Dr JÓZEF WINDAKIEWICZ
Sędzia Sądu Apelacyjnego w Krakowie

STANISŁAW WITUŃSKI
Sędzia Sądu Najwyższego

HOESICKA TEKSTY USTAW
OBOWIĄZUJĄCYCH W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

W najbliższym czasie ukażą się:

1. **Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej,** Juljan Makowski
2. **Prawa cudzoziemców w Polsce,** opracował Dr. R. Poznański
3. **Prawo cywilne** (Tom X. Zbioru praw) **obow. Na Kresach Wschodnich,** opracował Z. Rymowicz, adwokat
4. **Ustawa o Najwyższym Trybunale Administracyjnym,** opracował Jan Sawicki, I Prez. Tryb. Adm.
5. **Kodeks handlowy obowiązujący w Kongresówce,** opracował Czesław Poznański, adwokat
6. **Ustawa cywilna obowiązująca w Małopolsce,** opracował Józef Willaume, Sędzia
7. **Ustawa karna obowiązująca w Małopolsce,** opracował J. Przeworski, Adwokat
8. **Ustawy karne dodatkowe obowiązujące w Małopolsce,** opracował Lorenc, Sędzia
9. **Ustawa o postępowaniu karnem obowiązująca w Małopolsce,** opracował K. Angerman, Sędzia
10. **Ustawa postępowania sądowego cywilnego obwiązująca w Małopolsce,** opracował Józef Willaume, Sędzia
11. **Ustawa o stowarzyszeniach i zgromadzeniach,** opracował Dr. E. Breiter, Adwokat
12. **Ustawa o podatku majątkowym,** oprac. Dr R. Langrod, Adwokat
13. **Ustawa o zwalczaniu lichwy wojennej,** opr. Dr. S. Gelernter, pprokurat.
14. **Zbiór ustaw i przepisów agrarnych,** opracował J. Kaczkowski i F. Brodowski
15. **Ustawa o współdzielniach,** opracował R. Jackowski, Sędzia
16. **Ustawa o obywatelstwie polskiem,** oprac. S. Rundstein, adwokat
17. **Ustawa o ochronie lokatorów,** oprac. Dr S. Gelernter, pprokurator
18. **Ustawa wodna,** opracował Z. Nagórski, Adwokat
19. **Ustawodawstwo robotnicze,** opracował Ed. Lipiński
20. **Ustawodawstwo sanitarne,** opracował Dr. Tad. Hilarowicz

Podkreślone już wyszły z druku.

Dalsze tomy w przygotowaniu.

WIELKI WYBÓR UPOMINKÓW GWIAZDKOWYCH

ZE ZMARSZCZKAMI
piegami i złą cerą pań nie będzie; panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej—5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej—7-ej.
Paderewska Zofja Ludwika
Hoża 41—7

Nowa Książka

CHMIEL A.

Domy Krakowskie.

Ul. Św. Jana. Cz. I.

Liczby nieparzyste 1—19.

Bibl. Krakowska № 61.

Nowa Książka

RUDNICKA A.

Zbiór zadań arytmetycznych.

Cz. IV.

Wyd. 4-te poprawione.

NA GWIAZDKĘ

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

E. Gierwatowski

WSPÓLNA 35
PRZY MARSZAŁKOWSKIEJ

POLECA:

PALTA
KOSTJUMY
SUKNIE
BLUZKI
BIELIZNĘ
POŃCZOCHY
TRYKOTAŻE

WYROBY WŁASNE
PRACOWNIA PRZY SKLEPIE

PORADY KOSMETYCZNE

Loli. Polega na tem, że Tol pobudzi szybszy obieg krwi, energję mięśni, zaś liniment Alta ożywi naskórek, wygładzi zmarszczki, o co głównie chodzi.

Nasturcji. Kompres z przepisanego lekarstwa przyłożyć na noc:

Rp. Ol. arachidis 20,0
Aqua Calcis 10,0

to zupełnie wystarczy.

Malwinie. „Eos" i tylko Eos wyniszczy łupież i włosy szybko odrosną. Zaś rozszczepiające się końce włosów poprzypalać.

Bart. Umaczać szczoteczkę w ciepłej wodzie, potrzeć po mydle kilka razy, zaczerpnąć piasku Séguinaud'a i wyszczotkowywać co 3-ci dzień rozszerzone pory, wągry i nadmiernie wydzielający tłuszcz naskórek.

A. W. z Grodna. Nie możliwe w krótkim streszczeniu udzielić na tyle różnych zapytań — odpowiedzi. Proszę bliższy adres przysłać wprost do mnie: Klimecki, Niecała 5, Warszawa, i dołączyć 300 t. honorarjum (można znaczki poczt.) a odwrotną pocztą dam na każdy szczegół radę i wskazówki.

Leontynie. W Warszawie (Niecała 5) tylko w moim zakładzie specjalnie przekłuwa się uszy.

Klimecki

„CICHY REMINGTON"

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA Z „IDEALNEM UDERZENIEM"

TO PIERWSZA MASZYNA DO PISANIA Z „AUTOMATYCZNEM RUSZANIEM"

NOWY MODEL Nr. 12 PISZE CICHO

TOW. BLOCK-BRUN Sp. Akc.

WARSZAWA
HOTEL BRISTOL

TELEFON
14-42, 76-28

NOWA KSIĄŻKA

Niemcewicz U. J.

PAMIĘTNIKI Z 1830—1831 ROKU

Wydał M. A. Kurpiel.

Nowa Książka

SZYMAŃSKI A. Dr.

Mazury Prus Wschodnich przed zagładą.

Nowa Książka

GORSKI L. (junior)

W sprawie reformy rolnej w Polsce

NIEZWYKŁA NOWOŚĆ!

PAMIĘTNIK CARA MIKOŁAJA II

Przekład polski z oryginalnego rękopisu, znajdującego się w archiwum bolszewickiem w Moskwie, opatrzony wstępem i przedmową LEONA KOZŁOWSKIEGO

z przedmową
SERGJUSZA MELGUNOWA

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Cena Mk. 2.040.000 (przy mnożniku księgarskim 300.000) z przesyłką za pobraniem pocztowem Mk. 2.200.000
Dolicza się 20% dodatku sortym.

TYGODNIK ILLUSTROWANY
№ 53 * OGÓLNEGO ZBIORU 3,346 * 29 GRUDNIA 1923

Z ARCYDZIEŁ MALARSTWA WŁOSKIEGO

GIORGIONE — GALERJA UFFIZI WE FLORENCJI

RELIGJA HONORU

(Dokończenie)

V. „HONOR" VIGNY'EGO A HONOR ZWYKŁY

Vigny'ego system pojęć o honorze, jakkolwiek „religją" zwać się może tylko ze względów chyba eufonicznych, bo z religją, jako taką, niewiele ma wspólnego, — i jakkolwiek posiada pewne z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej, braki moralne, — jest jednak niewątpliwie systemem etycznym czystym, wzniosłym i pięknym, opartym na intuicyjnej wrodzonej wyższości duchowej pewnych jednostek ludzkich.

Już dlatego nie można go mieszać z przeciętnym pospolitym systemem pojęć o honorze światowym, czy wojskowym i wogóle stanowym czy nawet kastowym.

Tam nakaz moralny jest samorodny, indywidualny, zależny wyłącznie od wewnętrznego szlachectwa duchowego danej jednostki, — tutaj wypływa on z przymusu zewnętrznego, narzuconego przez tradycje i formalne wymagania z tytułu przynależności do danej korporacji, klasy, czy organizacji. Te tradycje i te wymagania są coprawda pewnym, w tak zwanych kodeksach honorowych zawartym, skrótem formalnych wymagań, jakie, z doświadczenia sądząc, stawia sobie taka wyższa jednostka ludzka, — i jako takie, mają swoją wartość i swoje znaczenie dla szerszego ogółu.

Nietrudno jednak chyba zdać sobie sprawę z różnicy, z przepaści nawet, jaka dzieli moralność żywą, szczerą, wrażliwą i samorzutną od suchej, martwej, wyłącznie formalnej, z konieczności płytkiej i pobieżnej kazuistyki paragrafów kodeksu honorowego.

Różnica istotna da się najlepiej może wyrazić w fakcie, że kryterjum i sankcja etyczna w honorze Vigny'ego ma charakter wyłącznie i skrajnie autonomiczny, w przeciętnem zaś pojęciu honoru ma charakter bezsprzecznie heteronomiczny. Tam wskazania etyczne czerpie się wyłącznie z własnego sumienia, choćby wbrew całemu światu, choćby w absolutnem osamotnieniu, — przyczem im ta samotność jest większa, tem zasługa większa, a „nagroda wszelka jest szkodliwa". Tutaj, źródłem moralności „honorowej" są pewne konwenanse i normy kodeksowe, a sankcję moralną, jako wyrok bezapelacyjny, daje wyłącznie otoczenie, t. zn. „towarzystwo" lub dana korporacja czy organizacja, a to przez włączenie lub wyłączenie danej jednostki ze swego grona. Tam, słowem, brak zewnętrznego ludzkiego uznania podnosi zasługę i wartość czynu (co stanowi główny może punkt styczny nauki Vigny'ego z etyką chrześcijańską), — tutaj brak uznania tę wartość zupełnie przekreśla.

Dążąc do możliwego wyjaśnienia i wydobycia pierwiastków etycznych, tkwiących w pojęciu honoru, uważamy za stosowne tę różnicę silniej podkreślić, bo wykazuje ona, że pod względem moralnym honor Vigny'ego, jakkolwiek ma luki, stoi jednak o całe niebo wyżej, niż to, co przeciętnie, pospolicie, zwie się między ludźmi honorem.

Stąd też wynika, że z punktu widzenia pojęć Vigny'ego niemożliwy jest czyn podły, np. jak powiada poeta, „niemożliwą jest denuncjacja na ustach porządnego człowieka", t. j. człowieka honoru.

Nie można tego z taką absolutną pewnością powtórzyć, biorąc rzecz z punktu widzenia honoru kodeksowego, gdzie rozstrzygające znaczenie ma nie istota rzeczy, tylko zewnętrzne pozory, nie fakt sam w sobie, ale ludzka o nim opinja. Stąd taki np. Bogusław Radziwiłł w powieści Sienkiewicza może być denuncjantem, zdrajcą, trucicielem, — nie przestając być w własnem i w opinji mniemaniu wzorem rycerza i kawalera, w zgodzie formalnej z kodeksem honorowym.

Ten heteronomizm i co gorsza pusty konwencjonalizm honoru, jako istotnie przewodniego hasła dla wyższych sfer społeczeństwa francuskiego w XVIII w. podkreślają bracia Goncourtowie, gdy w książce swej „La femme au XVIII-me siècle" piszą:

„La bonne compagnie... si elle ne donnait point la modestie, la réserve, la bonté, l'indulgence, la douceur et la noblesse des sentiments, l'oubli de l'égoïsme, elle en *imposait* du moins *les formes*, elle en *exigeait les dehors*... Que réprésente-t-elle en effet dans son principe le plus haut? *La religion de l'honneur*, la dernière et la plus désinteressée des religions d'une aristocratie... Et que cette bonne compagnie repousse un homme, qu'elle fasse dire de lui: „On lui a fermé toutes les portes!" — voilà une existence perdue". *)

Spotykamy się więc i tu z nazwą „religja honoru", ale jest ona już tu pojęta jako szczątkowa jakgdyby religja arystokracji, religja kasty, religja tradycyjnych pozorów i form, których dawna treść, jako taka, stała się mniej ważna, jeśli nie zupełnie obojętna.

Charakteryzując dalej w tejże książce ówczesną burżuazję francuską i jej hasło przewodnie, autorowie piszą: „...Ce n'est pas ce que les grandes dames appellent de ce grand mot: l'honneur; c'est ce que les petites gens appellent de ce mot etroit mais précis: l'honnêteté". **)

A wyżej zaznaczają:

„Il y a dans la bourgeoisie du dix-huitième siècle comme une sante de l'honneur, qui resiste à toutes ces corruptions de la mode" **).

Jeżeli podkreśla się tu, że uczciwość jest w przeciwieństwie do honoru pojęciem „ścisłem", i nazywa się ją jakby „zdrowiem honoru", — to z zestawionych cytat a contrario mniemać wolno, że zdaniem także tych francuskich autorów ów honor konwencjonalny, towarzyski, formalny, jest pojęciem szerokiem, ale nieścisłem i rozciągłem, jest jakgdyby „chorą", niepewną, słowem, arystokratycznie zdegenerowaną cnotą.

*) Edmond et Jules de Goncourt: „La femme au VIII-me siècle" p. 64 — 65.

**) Tamże, str. 273 — 274.

VI. RELIGJA HONORU W POLSCE

Gdy przejdziemy wreszcie do polskich w tym względzie tradycyj a potem i tendencyj aktualnych, to stwierdzić musimy przedewszystkiem rzecz ciekawą i charakterystyczną: w dawnej Polsce, zamiast wyrazu „honor", którego nie znano, używało się wyrazu „uczciwe". Mówiło się więc: „bronić swego uczciwego", w znaczeniu właśnie swojej czci, swego honoru, który, wedle pięknej tej tradycji językowej był w Polsce, także dla szlachty i arystokracji, jednoznaczny z prostą uczciwością (Ob. Łozińskiego „Życie Polskie w dawnych wiekach").

W nowszych dopiero czasach (dziś w pewnych kołach wojskowych zwłaszcza), ujawniła się sprzeczna z tą tradycją, tendencja do wyodrębnienia i wywyższenia „honoru", jako „rzeczy samej w sobie", niezależnej od staroświeckich, przeżytych jakoby już pojęć takich, jak prosta, „szara", burżuazyjna uczciwość, lub tembardziej, jak Bóg czy cnota...

Tendencja to wprawdzie istotnie nie staroświecka, ale i nie zanadto znów — oryginalna.

Już Podfilipski w znanej powieści Weyssenhoffa na przypomnianą mu starą przypowieść: „Pan Bóg stworzył cnotę i wino, a ludzie zrobili honor i piwo", odpowiedział z właściwą mu pewnością siebie i ochoczą gotowością do importowania na „polski rynek zbytu" wszelakiej najłatwiejszej i na wierzchu „szumującej" zagranicznej mądrości:

„To zabawne, ale filozoficznie fałszywe, bo ludzie zrobili i cnotę i honor. Tamta zawiera przepisy do jednego użytku, ten znów do innego. Honor jest przeznaczony wyłącznie dla wyższych warstw społeczeństwa, które potrzebują pewnych pozorów zewnętrznych wspólnych, aby się po nich rozpoznać, na mocy ich wchodzić z sobą w stosunki i t. d. Cnota? Co nas właściwie obchodzi cnota? Jest to denominacja, której znaczenie tak się od wieków zmieniło, że nie ma już nawet filozoficznej wartości. Honor — co innego. Ten istnieje, bo obowiązuje nas wszystkich, i to pod rygorem usunięcia z towarzystwa, w którem się obracamy".

Tyrada ta, obca zupełnie światu wzniosłych pojęć Vigny'ego, i tembardziej, światu religijnych pojęć chrześcijańskich, zawiera natomiast w formie coprawda nieco trywjalnej, wskazania honorowego „savoir vivre'u", znane nam już dobrze z określeń Goncourtów.

Otóż zastąpmy w tej tyradzie słowa „wyłącznie dla wyższych warstw społeczeństwa" przez słowa „wyłącznie dla wojska", i zamiast „pod rygorem usunięcia z towarzystwa" połóżmy „pod rygorem usunięcia z korpusu oficerskiego", a otrzymamy rozumowanie typowe dla niektórych, niestety, Podfilipskich... w mundurze.

Obawiamy się też, że tacy Podfilipscy w mundurze mogliby bardzo fałszywie rozumieć, komentować i propagować entuzjastyczne polecenia „religji honoru" jako

rzekomo „najlepszej ewangelji na dzień dzisiejszy". Tembardziej, że nie brak danych, iż już się fałszywie rozumie, komentuje i propaguje pewne w tym kierunku wskazania z góry idące. Weźmy dla przykładu, bardzo piękną zresztą, mowę p. gen. Sosnkowskiego, wygłoszoną d. 3 Maja pod pomnikiem ks. Józefa:

„Spinając konia do skoku w nurty spienione Elstery... — mówił wtedy gen. Sosnkowski o bohaterze lipskim — zabrał z sobą (?!) nie tylko honor Polaków, którego był rycerzem i uosobieniem, lecz także nieśmiertelne piękno rycerskiego zgonu."

A dalej:

„Honor wskazał drogę Jemu i Polakom. Od lat młodzieńczych aż w odmęt bitwy lipskiej towarzyszyły mu nieodłącznie te dwa wyrazy, w których brzmiała treść jego duszy najgłębsza: *Honor i Ojczyzna*".

I jeszcze dalej:

„Jego krok (?zapewne ostatnie słowa i śmierć?) podyktował wojsku naszemu Polski Odrodzonej te wyrazy jako *hasło najświętsze*, i kazał je wypisać na chorągwiach i sztandarach, na wznowionym krzyżu wojskowym i teraz — na cokóle pomnika. Księżę Józefie!... Z ducha Twojego jesteśmy. Pozostaniemy mu wierni. Nie zejdziemy, Wodzu, z Twojej drogi".

Prześliczne to przemówienie nie może po rozwadze głębszej nie budzić pewnych zasadniczych wątpliwości.

Wynika zeń przedewszystkiem, że pierwsi kierownicy wojska polskiego w pierwszej fazie odzyskanej niepodległości za duchowy wzór i za patrona niejako armji naszej uważają ks. Józefa. Otóż stwierdzić należy, że, mimo świetnej i zasłużonej aureoli, jaka księcia Józefa otacza dzięki ostatniej zwłaszcza fazie życia i zwłaszcza dzięki bohaterskiej śmierci pod Lipskiem, to jednakże w opinji ogółu polskiego tym ideałem najczystszym, najgłębiej i najszczerzej polskim, tym prawdziwym „patronem" żołnierza polskiego był zawsze i pozostał — Kościuszko.

Głównie jednak chodzi tu o to „hasło najświętsze", które pierwsi przywódcy wojskowi Polski Odrodzonej przyjęli jako hasło przewodnie armji, formułując je w słowach „Honor i Ojczyzna", a biorąc doń asumpt z powiedzianych jakoby przez ks. Józefa słów jego ostatnich przed śmiercią.

Wedle legendy słowa te brzmieć miały:

„Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam".

Powtarzamy, według legendy. Bo z dwóch biografów ks. Józefa, ani prof. Askenazy, ani prof. Adam Skałkowski nie stwierdza, jakoby słowa te istotnie powiedziane były. Stwierdzają natomiast zgodnie, że w ostatnich chwilach życia książę, kilkakrotnie już ranny, był jak nieprzytomny i coś „majaczył" jak w malignie. Miał (półświadomie może) powtarzać sobie po francusku: „Il faut mourir en brave".

Proste te słowa dużo bardziej istotnie prawdopodobne są w ustach ks. Józefa, już wtedy półprzytomnego i z sił opadłego, już czującego może śmierć w sobie, wśród tragicznej paniki i zgiełku przegranej wyrocznej bitwy. Natomiast pewna sztywna bądź co bądź emfaza słów legendy niezbyt zdaje się licować ani z gorączkowym nastrojem chwili, ani z naturalnem, skromnem i w mówieniu o sobie bardzo zawsze powściągliwem usposobieniem Poniatowskiego, podobnie jak nie licują z Kościuszką przypisane mu również przez legendę słowa:

„Finis Poloniae".

Zjawia się teraz pytanie, czy należy „najświętsze", przewodnie hasła narodowe wykuwać wedle słów, które niewiadomo napewno, czy wogóle były wypowiedziane, a jeśli wypowiedziane były, to w półprzytomnem „majaczeniu", za które nikt, nawet bohater, nie może brać moralnej odpowiedzialności?

Przypuśćmy jednak, że legenda oddała, jeśli nawet nie literalnie, to naogół wiernie, jeśli nie słowa, to sam nastrój duchowy, w jakim szedł na śmierć bohater z pod Lipska. To w takim razie zjawia się jeszcze pytanie: czy słowa „Honor i Ojczyzna", przyjęte jako „hasło najświętsze", oddają wiernie swój pierwowzór—słowa legendy?

„*Bóg* mi powierzył honor *Polaków*, Bogu go oddam".

Honor w tem powiedzeniu oparty jest przedewszystkiem o Boga, jako o jedyne źródło i ujście swoje, — przytem nie jestto mój, twój lub jego, nie *jednostki* wogóle honor, ale „honor Polaków" czyli honor *Ojczyzny*.

Hasło zaś, wyryte, jako napis, na pomniku Poniatowskiego, brzmi „Honor i Ojczyzna". To można rozumieć jedynie jako: 1) Honor osobisty, honor jednostki (na pierwszem miejscu!) i 2) do tego (na drugiem miejscu!) Ojczyzna. Otóż takie streszczenie bynajmniej nie oddaje wiernie sensu słów ostatnich, jakie legenda włożyła w usta ks. Józefa. Słowa te, wiernie streszczone, wyraziłyby się raczej w napisie: „Bóg i Honor Ojczyzny". Hasło jednak tak pojęte zupełnie już jest zgodne ze staroświeckiemi hasłami Żółkiewskich, Czarnieckich, Kościuszków.

Jedno wydaje nam się pewnem: człowiek, który zdolny jest tak wysoko pojmować, tak kochać i tak walczyć o honor Ojczyzny swojej, nigdy i w żadnej okoliczności nie splami także honoru swojego jako jednostki, — ale wcale niekoniecznie naodwrót. Honor bowiem, pojęty pospolicie, w oderwaniu od wieczystych źródeł moralnych, z których jedynie czerpać może soki żywotne, i skurczony do obrony tego, co się należy „mnie", bez nieustannie korelatywnego pojęcia tego, co się odemnie należy „nie mnie", taki honor jest rośliną wątłą, karłowatą, suchą, której owoce bywają kalekie lub puste...

Irena Pannenkowa

W KOŚCIELE *G. PILLATI*

(Z wystawy w T. Z S. P. w Warszawie)

WSZYSTKIM SWOIM PRZYJACIOŁOM, CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM REDAKCJA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO PRZESYŁA NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA POMYŚLNEGO NOWEGO ROKU

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

W setną rocznicę urodzin (1823), a czterdziestą śmierci (1883)

Władysław Ludwik Anczyc urodził się w Wilnie dn. 12 grudnia 1823 r. z ojca Zygmunta i matki Barbary z Hrehorowiczów, obojga artystów dramatycznych. Rodzina Anczyców wywodzi się z Saksonji; von Anschütz, oficer wojsk saskich, otrzymał z początkiem XVIII w. indygenat polski z herbem Ancuta i pozostał w Polsce.

Całe niemal dzieciństwo i całą młodość spędził Władysław Anczyc w Krakowie; tu też spędził — poza paroletnim pobytem w Warszawie — wiek dojrzały i tu też dokonał pracowitego żywota.

Wcześnie zaczynał też Władysław Ludwik swą karjerę literacką. Jeszcze na ławie szkolnej, w liceum im. Anny będąc, jako 15-letni chłopak napisał wiersz satyryczny *Goście u Olka*. W późniejszych już nieco latach, w chwilach wolnych od pracy w aptece, tłumaczy Władysław Ludwik — za przykładem ojca — sztuki teatralne niemieckie dla potrzeb krakowskiej sceny.

Nadeszły lata rewolucyjne—1846 i 1848. Anczyc brał udział w próbie powstania w Krakowie w lutym 1846, brał też udział w nieszczęśliwej procesji podgórskiej pod wodzą Edwarda Dembowskiego, zmasakrowanej zdradziecko przez Austrjaków. Uniknąwszy szczęśliwie śmierci, dostał się do więzienia, gdzie 14 miesięcy przesiedział. Wtedy to przypuszczalnie, może też nieco później, powstały dwa wiersze, odnoszące się do wypadków 46 r., ogłoszone drukiem w r. 1848. Jestto *Emisarjusz i Zbój galicyjski*. W pierwszym opisuje młody poeta dzieje agitacji Edwarda Dembowskiego wśród ludu, w drugim przedstawia spowiedź chłopa, uczestnika bratobójczych mordów pod wodzą austrjackich urzędników. Echem wiadomości o ruchach rewolucyjnych na zachodzie jest *Wiersz do króla pruskiego, napisany przy zdobyciu arsenału dnia 14 czerwca 1848 w Berlinie* i *Śmierć republikanów dnia 24 czerwca 1848* (dotyczący wypadków paryskich). Utwory te są naogół słabe; najlepszym jest niewątpliwie *Emisarjusz*. W tym też czasie wydaje Anczyc kilkanaście numerów ulotnego pisemka satyrycznego *Dodatek do Świstka* w duchu rewolucyjnym.

W końcu 1848 r. obejmuje Anczyc posadę adjunkta przy katedrze chemji i farmacji; nie porzuca jednak pióra. Zwraca się teraz do teatru, z którym wciąż (przez ojca, artystę i autora dramatycznego) pozostaje w żywszych stosunkach i próbuje wystawiać sztuki, które nie znalazły uznania i dziś są nam znane z tytułów tylko *(Biurokracja, Wygnaniec)*. Z chwilą jednak, gdy zwrócił się ku tematom ludowym, do których z zamiłowania, znajomości terenu i bystrości obserwacji wybitne miał uzdolnienie, uzyskał znaczny sukces.

W r. 1849, a więc jako 26-letni młodzieniec, wystawia na scenie krakowskiej *Chłopów arystokratów*. Sztuka, oparta na prawdziwem podłożu, wprowadzająca na scenę ostro skreślone charakterystyczne postaci chłopów, obfitująca w sceny zabawne, musiała uzyskać powodzenie, którem do dziś dnia jeszcze się cieszy, mimo, że przedziela nas od niej siedziemdziesiąt parę lat szybkiego postępu wsi galicyjskiej. Zachęcony powodzeniem, wystawia młody autor nowe sztuki, próbuje przeróbek dramatycznych powieści Korzeniowskiego, ale nie znajdują one uznania; równocześnie opracowuje popularno-naukowe książeczki dla ludu. W r. 1851 przechodzi do dramatu historycznego; *Swaty królewskie*, z czasów Sobieskiego, oparte w pomyśle o powieść Amilkara Kosińskiego (dopiero w wydaniu zbiorowem ogłoszone drukiem), nie utrzymały się na scenie mimo niewątpliwych zalet utworu, które winny się były uwydatnić na tle szarzyzny ówczesnego repertuaru teatrów polskich. Na rok ten przypada również ślub Anczyca z Teklą Bryniarską, córką żołnierza z 1831 roku, a w związku z tem wzmożona praca zarobkowa w innych zakresach, bardziej od literatury popłatnych. Dopiero pod koniec 1854 r. próbuje znów pióra z inicjatywy Karola

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

Estreichera i to nader szczęśliwie. *Łobzowianie* zostali przyjęci przychylnie, a za nimi poszli *Flisacy* wczesną wiosną 1855, *Błażek opętany* na sam początek 1856 r. Utwory te, żywe i charakterystyczne, znalazły szczery poklask i do dziś dnia są grywane na scenach ludowych. Dramat historyczny *Andrzej Batory* również z początkiem 1856 r. wystawiony, jak i późniejsze okolicznościowe fraszki nie zdołały się utrzymać. Praca dla teatru nie była rentowna; Anczyc jeździ czas pewien do Wiednia i na prowincję w sprawach teatralnych (jest sekretarzem trupy prowincjonalnej), zakłada fabrykę octu w Sukiennicach, aż wreszcie postanawia przenieść się do Warszawy, gdzie można było daleko łatwiej wyżyć z pracy literackiej. Od końca 1858 r. jest więc Anczyc w Warszawie, zajęty wytężoną pracą publicystyczną; podnieść należy jego współpracownictwo w pierwszych rocznikach założonego właśnie *Tygodnika Illustrowanego*, Encyklopedji Orgelbranda, a zwłaszcza redakcję *Kmiotka*, pisma dla ludu, którą prowadził od r. 1861 — 1866, jako Kazimierz Góralczyk, oraz redakcję „Przyjaciela dzieci".

Wśród prac dziennikarskich (informacyjnych, popularnych, humorystycznych, satyrycznych), znajduje jednak czas i siły na twórczość wyższej próby — w lecie 1861 powstaje *Tyrteusz*, dzieło wysokiego natchnienia poetyckiego, najcenniejsze z całej twórczości poety. Na wysokim poziomie stoi też *Uczta Wyzwoleńca*, dłuższy poemat, również nawiązujący wywołane obrazy przeszłości do chwili bieżącej, w przeddzień powstania. Po wybuchu styczniowym powstają *Pieśni zbudzonych*, 26 pieśni powstańczych, jużto programowych, jużto rodzajowych, jużto wreszcie opisujących konkretne zdarzenia walk powstańczych: poezje to nierównej wartości. Poeta nie brał udziału czynnego w powstaniu, stąd też *Pieśni zbudzonych* mają charakter bardziej programowy, agitacyjny, aniżeli śpiewek obozowych. Jedynie *Pieśń strzelców* (zaczynająca się od słów: „Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały"), trafiająca we właściwą nutę powstańczą, stała się jedną z najulubieńszych pieśni narodowych, zwłaszcza w czasach ostatniej wojny; melodja tej pieśni jest również układu Anczyca.

Po powstaniu pozostaje autor *Tyrteusza* jeszcze parę lat w Warszawie, pisując obficie do *Tygodnika Illustrowanego*, *Wędrowca*, *Bluszczu*, redagując *Kmiotka*, a po jego zwinięciu *Przyjaciela dzieci*. Coraz to bardziej staje się Anczyc autorem książek dla ludu i dla dzieci; wydaje ich w tym czasie dużo, umoralniających, przyrodniczych, historycznych; z nich zwłaszcza *Dzieje Polski* dla włościan, a *Księga odkryć geograficznych* i opracowanie *Robinsona* ukazały się w wielu wydaniach.

Z końcem 1867 wraca Anczyc do Krakowa. Pisuje dalej do pism warszawskich, tłumaczy i przerabia dla teatru, wydaje nowe dziełka ludowe; doraźnie współpracuje w rozmaitych przedsięwzięciach literackich (i finansowych — jest sekretarzem banku parcelacyjnego, potem księgarzem, wreszcie ostał się jako właściciel drukarni). W r. 1876 powstaje wielki dramat ludowy *Emigracja chłopska*, odznaczony nagrodą konkursową, oparty na rzeczywistem podłożu, oświetlający tę coraz bardziej piekącą sprawę emigracji ludu i wyzysku jego przez zbrodniczych ajentów wychodźczych w stanowczy sposób; sztuka uzyskała powszechne uznanie. Na tle społecznem osnuł Anczyc również dramat *Rozbitki*, opisujący stosunki małomiejskie, który jednak pozostał w rękopisie.

Największy jednak sukces uzyskał Anczyc, wystawiając w r. 1880 *Kościuszkę pod Racławicami*. Niebywałe, fenomenalne wprost powodzenie sztuki było nagrodą zasłużonego pisarza za długoletnią, wierną i uczciwą pracę narodowi. *Kościuszko* jest pomyślany bardzo szczęśliwie; sam temat trafnie wybrany, różnorodność sytuacyj i osób działających, umiejętne wyzyskanie efektów komizmu i patosu, wciągnięcie w współdziałanie na scenie przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa stworzyły całość, która musiała się podobać. Talent sceniczny autora święcił tu najwyższe triumfy; jestto wzorowa sztuka repertuaru dla szerszych sfer.

Były to już ostatnie lata pracowitego życia Władysława Ludwika Anczyca. Nie przestał pracować; niedługo przed śmiercią pisze jeszcze wielki dramat historyczny *Jan III pod Wiedniem*, przeznaczony dla uświetnienia rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Sztukę tę wystawiono już po śmierci autora, który zasnął snem wiecznym w Krakowie 28 lipca 1883 r.

TADEUSZ RITTNER

MOST

POWIEŚĆ 24)

— O, nie — odpowiedziała Eugenja, szlochając.

Ale ponieważ trzymała swoją pachnącą chusteczkę przy twarzy, olbrzym zgadł, co jej dolegało.

— A, rozumiem. Panią zęby bolą — oświadczył z zadowolonym uśmiechem.

Eugenja kiwnęła głową.

Poczem olbrzym wiedział w tej chwili co mu pozostawało do zrobienia. Po chwili litowali się wszyscy nad Eugenją, a jeden i drugi zamknął okno koło siebie. Najtrudniej było z oknami, których—brakowało. Większość była wybita, a wielkie otwory musiano pozakrywać płaszczami.

— Dziękuję, dziękuję — powtarzała Eugenja, wzruszona ludzkiem miłosierdziem.

Myślała:

Marynarz był dobry... i ci Węgrzy są dobrzy... Wszyscy, wszyscy...

Przesadzała, jak zwykle.

A w wagonie zrobiło się ciepło i parno jak na ludowem zgromadzeniu. Wtedy wstał jeden z żołnierzy i zaczął doprawdy mowę z grzmotami i błyskawicami.

Anarchista — przypuszczała Eugenja.

Nie bała się już; nawet anarchiści byli dobrzy.

I miała nadzieję, że Jakób się zbudzi podczas tej przemowy. Ale napróżno. Leżał jak nieprzytomny, a jego nogi tak się wydłużyły, że Eugenja musiała przepraszać bladego żołnierza.

Ale żołnierz nie zwracał uwagi ani na Eugenję, ani na Jakóba. Był milczący, cierpliwy, obojętny jak kamień. Ale kiedy anarchista skończył, blady żołnierz wstał naraz w całej swej okazałości. I dowiódł, że i on także ma głos.

W odpowiedzi — myślała Eugenja i patrzyła na niego z oczekiwaniem.

Był zupełnem przeciwieństwem tamtego i może chciał niem być. Jeżeli miał jakie artystyczne zasady, był może umyślnie taki cichy, trzeźwy i bezbarwny. Formą jego były krótkie zdania, które aż trzeszczały z suchości, jakgdyby się dwa kawałki drzewa ocierały o siebie.

Na scenieby nie działał — myślała śpiewaczka, która swego czasu grywała w teatrze. A jednak interesowała ją niewiadomo z jakiego powodu ta przemowa, której nie rozumiała.

Przeczuwała specjalny, osobisty styl, styl rzeczywistości, beznadziejnej prawdy bez upiększeń.

Może to była mowa nowych ludzi?

Ale z czasem robiła się coraz bardziej monotonną. Tak jakby deszcz padał drobniutkiemi kroplami, flegmatycznie, bez końca.

Przez okna szarzał ranek. Pociąg zatrzymał się, drzwi się otwarły i znowu krzyczano z wszystkich stron:

— Wszyscy — wysiadać!

XVIII.

Jakaś stacja na Węgrzech. Zupełnie nieznana dawniej, kiedy się było szczęśliwym a kolej funkcjonowała gładko.

A teraz wszyscy pasażerowie musieli się zatrzymać tutaj. A ich przyszły los był tak samo niepewny, jak los Europy.

Żołnierze wynieśli Jakóba na peron.

Potem salutowali ładnie i wymaszerowali w inną stronę; a z nimi dużo podróżnych, którzy byli zdrowi i mogli iść piechotą.

Naczelnik stacji oświadczył Eugenji:

— ...Ci państwo mają nadzieję zdążyć do pociągu w... (wymienił trudne nazwisko miejscowości węgierskiej) do następnego pociągu... Ale muszą iść przez cały dzień. Dla łaskawej pani jest to zupełnie niemożliwe, mąż pani jest chory.

— Mój syn — powiedziała Eugenja i zaczerwieniła się.

Nawet naczelnik stacji był uprzedzająco miły. Informował ją najchętniej o wszystkiem, a jeżeli się spytała gdzie można znaleźć w miasteczku nocleg, albo wypić coś ciepłego, albo się wykąpać — odpowiadał zawsze:

— W aptece.

Eugenja postanowiła zaraz poszukać tam pokoju dla Jakóba i dla siebie.

— Zaraz sprowadzę pani dwóch tragarzy z noszami — powiedział uprzejmie naczelnik stacji.

Eugenja spoglądała ze smutkiem na swego syna. Najbardziej przerażało ją, że miał brodę i wyglądał tak dojrzale i poważnie, zupełnie nie jak jej Jakób. Wybuchnęła płaczem.

— ...Niech mi pani wierzy — mówił naczelnik stacji — niema powodu do płaczu... Syn pani nie wygląda tak, jak człowiek umierający.

Jego głos miał coś pocieszającego. Eugenja opowiedziała mu historję swojego życia.

Potem przyszli ludzie i położyli Jakóba na noszach.

Jak się niedługo pokazało, w małej miejscowości była tylko jedna rzecz godna uwagi—apteka. W porównaniu z otoczeniem, dość znaczny budynek. Jak mały ratusz, któremu brakowało miasta. Dumnie stał na wzgórzu i panował nad okolicą. A zdaleka widać było malwy i krzycząco żółte słoneczniki przed domem. Wspaniała zbyteczność tej apteki podnosiła jeszcze jej piękność. Bo pozornie, jak szeroko i daleko nie było nic, z czegoby mogła czerpać dochody. Trochę winnic, a tu i owdzie, trochę małych, chłopskich domków. Zresztą dużo bardzo nieba, olbrzymie, miejscami złoto połyskujące sklepienie z chmur, które się wznosiło nad bezbrzeżną pustynią.

Śpiewaczka szła pomału za noszami.

Jak za pogrzebem — myślała w zwątpieniu. Bo dla jej serca było zawsze szczególniej ważne jak coś wyglądało.

— Czy jest tu jaki lekarz? — spytała.

I znowu odpowiedziano jej:

— W aptece.

Ile razy słyszała tylko to słowo, czuła zaraz wyraźnie prawie przy sobie pocieszający zapach.

I ten sam zapach uczuła po kilku chwilach, kiedy się znalazła w sieniach wysoko położonego domu.

Z Lolem była już na całym świecie. W krajach podzwrotnikowych, w jaskrawych okolicach, gdzie światło, kolory, zapachy osłabiły ją i przesyciły. I tak samo, jak wtedy, w gorących krajach, była jej ta woń apteczna przyjemną i witała ją w tem obcem miejscu, jak chłodny, ale stary przyjaciel.

Kiedy przybyłym wskazano pokój i położono Jakóba do wielkiego, wspaniałego łoża, przyszedł lekarz.

Lekarzem był aptekarz. Wielki, opasły, astmatyczny, poruszał się z trudnością, niechętnie i ostrożnie. Sapał, pochylając się nad pacjentem.

— Głowa boli? Co? — spytał zaraz.

— Tak — odpowiedziała Eugenja — zdaje mi się...

Aptekarz westchnął.

Badał oczy, gardło, opukiwał starannie płuca Jakóba i przycisnął go w jednem miejscu tak silnie, że Jakób odtrącił go z gniewem.

Wtedy lekarz chętnie odpoczął i patrzył na chorego w zamyśleniu. Milczał.

Jakób zauważył, że mieszkanie ministra zrobiło się o wiele mniejszem. Gdzie się podziała ta niezliczona ilość sal?

Łóżko było teraz miękkie i ciepłe, ale Jakób nie był zadowolony. Bo znowu nie mógł wytłumaczyć sobie niektórych rzeczy.

Siedział przy nim ktoś, kto go męczył, kto go kłuł i dusił szpiczastemi palcami i przytem bez przerwy gadał, tak, że Jakób nie mógł zebrać myśli.

— Kto pan jest? Czego pan chce ode mnie? — pytał zirytowany.

Starzec odpowiedział. Ale Jakób nie mógł dobrze zrozumieć. A właściwie też dobrze nie widział.

Kiedy nareszcie zdołał trochę podnieść lewą powiekę, poznał budowniczego. Nie ucieszył się tem wcale. Bo z dobrym przyjacielem nie mógł się tak źle obchodzić, jakby był chciał.

— W mojem łóżku czuję się teraz znośnie—mówił, żeby nie milczeć i nie uchodzić za niegrzecznego.

Budowniczy odpowiedział tak cicho, że prawie trzeba było odgadnąć co mówił.

— To ja pana lepiej przykryłem... Niech mi pan nie dziękuje. Oprócz tego naprawiłem mury tego domu. Prawda, że teraz nie ciągnie? Przyznaję panu, że ściana frontowa była trochę uszkodzona. Pa-

łac jest zupełnie nowy, słowo honoru, ale wówczas, kiedy dostałem zamówienie, rozporządzałem tylko podłym materjałem.

Jakób uśmiechnął się szyderczo.

— A więc to prawda? Myślałem to sobie! Pan jesteś twórcą tego t. zw. pałacu?

Budowniczy jęczał i wzdychał z zakłopotania.

— Co pan myśli — powiedział znowu całkiem cicho — w tym strasznym czasie, który nawet na pana cień rzuca... teraz nie można budować tak porządnie jak dawniej. Cegły są nie do kupienia. Dlatego użyliśmy papierów ze starych akt — między nami mówiąc — stare, szare fascykuły z ministerstwa dla handlu i przemysłu. Dlaczego nie? Wyglądały i tak jak trup i zatruły życie wielu urzędnikom.

Ale Jakób pogardzał w dalszym ciągu biednym starym budowniczym.

— Że też człowiek w pana wieku daje się używać do takich zabawek! Niech pan się wstydzi! Czy pan ma naprawdę akademickie wykształcenie?

— Nie—odpowiedział budowniczy głośno zdziwiony — nigdy tego nie utrzymywałem. Przeciwnie. Jestem przekonany, że pan wie więcej odemnie...

— W takim razie — uspokoił się Jakób.

Ale teraz rozpoczął go ten straszny człowiek wypytywać, żeby się naprawdę przekonać, czy wiedział tak wiele.

— Czy pan już dawno w podróży?

— Tak — rzekł Jakób, wahając się — cały tydzień.

— Co?!

— Trzy dni — poprawił się Jakób.

Lecz zaraz potem pomyślał:

Zupełnie tak samo robię, jak „bogaty Piotruś", dwie odpowiedzi naraz... która jest fałszywa?

— A gdzie się pan teraz znajduje?

Chciał już odpowiedzieć: W Rzymie, ale namyślił się. Właściwie nie wiedział nic pewnego. Do djabła, już był najwyższy czas nabrać pewności. Wstać i wyjść, to było najprostszem. Ale brak mu było jego najpotrzebniejszych rzeczy. Ktoś mu je ukrył.

— Gdzie są moje rzeczy? Gdzie są moje rzeczy? — krzyczał — gdzie są moje pończochy i buciki?

— Spokojnie, moje dziecko — powiedziała jakaś kobieta.

— Ty sługo — irytował się — co ty sobie pozwalasz, ja nie jestem twojem dzieckiem!

Ale czuł to sam: nie było mądrze krzyczeć na tę kobietę. Gdzie podział się jego rozum? Najlepiej było dać jej „pourboire". Wtedy się napewno wzruszy i przyniesie mu jego własne rzeczy.

W tej chwili spostrzegł, że zabrano mu także pugilares z pieniędzmi. Tego już było za wiele!

Rzekł spokojnym, ale dobitnym tonem:

— Ty mi ukradłaś to wszystko! Kłamstwo ci nic nie pomoże. Albo ty, albo ta druga kobieta! Jedna z was!

— Która druga?

— Ta... tam, w drugim pokoju...

— Ależ, Jakóbie—powiedziała Eugenja — tam jest lustro.

Zamilkł i popatrzył na nią, wydała mu się znajomą.

Aptekarz podniósł się z trudem, sapiąc.

— Czy niema nadziei? — szepnęła Eugenja.

— Co pani mówi? Nadziei?... O, tak. Nadzieja jest zawsze, rozumie pani? Już kładli ludzi do grobu — a potem przyszli do siebie... Tak, czytałem o tem raz w bardzo zajmującym romansie... W „Illustrowanej gazecie"... rozumie pani?...

— On cierpi strasznie...

— O tak, dam mu coś na ból głowy... A potem kompresy z lodu. Na nogi, rozumie pani... Będzie krzyczał, to nic nie szkodzi. Przyślę pani pielęgniarkę...

I chciał odejść. Ale mu się to nie udało. Eugenja stała między nim a drzwiami. Nie był z pewnością żadną powagą lekarską, w gruncie rzeczy aptekarz w małem miasteczku, ale dla Eugenji był tym cudotwórcą, od którego oczekiwała wyratowania Jakóba.

— Niech pan pamięta, że on... to moje wszystko... Niech pan pamięta...

Paliła się, jak olbrzymi płomień przed progiem. Przeszkoda nie do przebycia.

— Rozumiem...—zaczął aptekarz bezradnie.

Eugenja przerwała mu gwałtownie:

— Nie, nic pan nie rozumie. Pan nic nie wie, ani o moiem życiu, ani o moim synu. Co ja dotychczas z niego miałam? Lata całe był u obcych ludzi... Dalekie kraje dzieliły mnie od niego... Dopiero niedawno dostałam go napowrót, takiego wielkiego. Niech się pan popatrzy, on ma przecież brodę!

— Ja umiem także golić — zauważył aptekarz nieśmiało, smutnym głosem.

A Eugenja szlochała bez ustanku, namiętnie.

— Radość matki, mówią... Radości nie miałam żadnych... Za to teraz... najstraszniejszą obawę. Dla niego wszystko przetrzymam. Wszystko. Ale on nie powinien... Zmiłuj się pan... on nie może... on nie śmie mi umrzeć...

— Syn pani będzie żył... — obiecał strapiony aptekarz.

Później przyszła pielęgniarka. Nie potrzeba jej było daleko szukać. Ona też należała do domu, do rodziny.

Kiedy się ukazała, Jakób otworzył oczy. Wielka ilość osób w pokoju niepokoiła go.

Eugenja powiedziała znowu:

— To jest tylko lustro, Jakóbie.

Ale Jakób widział cztery osoby w pokoju. A potem przyszły znowu dwie, bo właściciel restauracji, brat aptekarza, przyniósł spis potraw.

Chory słyszał z niechęcią, że mówią o jedzeniu.

Zdawało mu się, że zauważył Milę pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi. Nie ufało kwestji. Zbliżyła się do niego i powiedziała:

— Pan musi jeść.

Ale on nie chciał.

— Koniecznie — zapewniał pan, który stał obok niej.

Był to Lolo.

Jakób przyznał mu się, nie bez wstydu, że go miał za umarłego.

Mila odwróciła się z oburzeniem. Ale zdawało się, że Lolo grzeczny i dobrze wychowany, jak zawsze, nie dosłyszał tej nietaktownej uwagi.

— Co mam zamówić? — zapytał uprzejmie.

Miał w ręce swój śliczny notesik i czekał z miłym uśmiechem.

— Może kurczątko? — dowiadywała się Mila.

Widocznie Mila zaniechała swej dotychczasowej czynności, jako nauczycielka i prowadziła gospodarstwo w domu ministra. Ale przy słowie „kurczątko" chory uczuł najprzykrzejsze nudności. Mimo to powiedział ze względu na swego dobrego ojca, którego przedtem obraził:

— Może trochę wina z wodą sodową i ogórki...

Mila śmiała się ironicznie.

— To wyłączone.

Całe towarzystwo zgromadzone w pokoju orzekło „że to wyłączone". Naradzali się szeptem ze sobą. Jakóbowi wydawało się, że robili pogardliwe uwagi o nim. I chcieli widocznie — to było jasne, zabawić się jego kosztem.

Jedno tylko było pewne, że nie uważali go za mądrego jak dawniej, tylko poprostu za idjotę. Nic dziwnego, nie wiedział przecież gdzie się znajduje.

Dwóch panów odeszło. A niedługo potem wyszły także i obydwie kobiety z pokoju. Teraz Jakób został sam z dwiema dziewczętami, dwiema heterami, które nakrywały do stołu i posłały po szampana.

Jedna trzymała się ciągle w głębi, ale druga była przy nim przy łóżku i mówiła całkiem cicho:

— Jeżeli pan nie chce jeść, możemy się tymczasem całować.

Ale Jakób krzyknął, kiedy się go dotknęła.

— Przepraszam pana — usprawiedliwiała się—zapomniałam, że pana głowa...

Z jego głowy płynęła krew.—Dopiero teraz uświadomił sobie te straszne bóle, które go tak męczyły.

Eugenja wyszła na chwilę na powietrze, zmęczona długiem siedzeniem i ustawiczną obawą o Jakóba.

Szła w pustkę. Bo o zmroku krajobraz stracił swego trochę zielonego, czer-

wonego i żółtego koloru. I pozostał tylko sam rysunek, ale pachniał silnie i wydawało się dlatego, że żyje naprawdę.

Eugenja czuła, że idzie w górę, ale nie widziała drogi. I czuła poza sobą rodzaj ciepła — miasteczko, którego właściwie nie znała. Kiedy stanęła i odwróciła się, spostrzegła małe, dobrotliwie błyszczące czerwonawe światełka. Niektóre z nich najskromniejsze i najmniejsze leżały na dole na ziemi, jak robaczki świętojańskie — było ich prawie z tuzin.

Ale po kilku chwilach droga zwracała się naraz na bok. Teraz było już wszędzie ciemno, nawet jeżeli się odwróciła. Wtem usłyszała kroki i serce jej zaczęło bić.

— To ja, to ja — mówił aptekarz — niech pani popatrzy co ja tu mam?

Niósł jakiegoś dużego ptaka w ręku.

— Ach, jak to dobrze, że mogę z panem mówić — zawołała Eugenja gwałtownie. — Cóż to jest na miłość boską, co pan w ręku trzyma?

— Gęś.

— Ale... co mnie to obchodzi! Ja myślę tylko o moim synu. Czy będzie mógł jechać dalej?

— Musi — odpowiedział aptekarz. — Musi wracać do stolicy. Do ślicznego sanatorjum, rozumie pani? Niedawno temu widziałem anonsowane w „Gazecie Illustrowanej" wspaniałe urządzenie, kąpiele, centralne ogrzewanie...

— Jak się nazywa właściwie jego choroba?

Aptekarz był zwykłym, ale doświadczonym człowiekiem. Nie wydawało mu się zupełnie ważnem, jak się te wszystkie choroby nazywały. Ale kompresy z lodu... to pomagało czasem. A jak trzeba je było kłaść, tego i ci panowie w sanatorjum nie wiedzieli lepiej od niego.

Oprócz tego zauważył:

— Naczelnik stacji jest moim zięciem.

A więc nie należał do ostatnich i jego dom panował nad okolicą razem z dworcem...

A czyż nie obiecał, że Jakób będzie żył? Eugenja uspokoiła się trochę.

XIX

Był ktoś, kto powiedział, że Jakób jest silniejszy od wielu innych i że przejdzie „na drugą stronę".

Ale ten ktoś omylił się. Bo z Jakóbem było źle. Miał powód przypuszczać, że nie był nigdy silny i rozsądny. Nie, wszystko było tylko przywidzeniem. Teraz nie wierzył ani w siebie ani w inne rzeczy tak, jak mu się przedstawiały. Najprostsze przedmioty w pokoju były mu obce i niezrozumiałe. Nie wiedział nic pewnego o nich, jakby nigdy nie siedział w szkole i nigdy nie słyszał nic o materjałach i ich przymiotach.

Cały zewnętrzny świat stał mu się niezrozumiałym. Przedewszystkiem pokój, w którym już leżał od kilku tygodni, a którego mimo to nie znał zupełnie. Często myślał, że był to zawsze ten sam pokój. Ale nie, pokój ten zmieniał się ustawicznie; miał raz mniej drzwi i okien a raz więcej. A meble także zmieniały się ciągle.

Czy opuścił już kiedy ten pokój? Zdawał sobie przypominać następującą przygodę:

Był raz w ogrodzie, czy na ulicy z początku z Eugenją, z którą go potem rozłączyli w tłumie. Nieznajomi rzucili się na niego, wielkie chłopy, którymi dowodziła jakaś kobieta w białym czepku. Zdarli z niego ubranie i zanieśli go... gdzie? zdaję się do tego domu.

I tu zaczęli go dręczyć. Przynieśli niezliczoną liczbę dymiących misek i wpychali mu najrozmaitsze potrawy do ust. Pluł im w twarz, bronił się rękami i nogami, ale oni byli silniejsi od niego i czuł, że im ulegnie. Kiedy zezwolili jemu, albo sobie samym na małą przerwę — wyszeptał słabym głosem:

— Ja przecież nie zrobiłem nic złego...

Ale oni mu nie wierzyli. Żądali papierów, dokumentów, a przynajmniej biletu wizytowego.

— Zabrano mi wszystko, co miałem w kieszeniach — oświadczył.

Ale oni zawołali:

— To może być także wymówka. Dowody, my chcemy dowodów.

I przynieśli świeże kluski, kilka garnków ze szpinakiem i całe wiadra z gorącym rosołem.

— Umieram — pomyślał Jakób.

Ale toby było najmniejsze. Gorszem było poczucie winy, którego nie mógł się pozbyć. Czuł w głębi duszy, że popełnił jakąś zbrodnię, a gdyby był mógł myśleć jasno, wiedziałby także odrazu, jaką.

— Czy bardzo cierpisz? — pytał jakiś znajomy głos. Był to dr. Hell, przyjaciel rodziny inżyniera.

— Tylko moralnie — odpowiedział Jakób.

I zaraz potem pomyślał: to był nowy idjotyzm. Czyż się mówiło: cierpieć moralnie"? Znowu palnąłem głupstwo. A zresztą czy przez taką odpowiedź nie zdał się na łaskę i niełaskę swych prześladowców? Czyż nie zdradził im swojej winy i wyrzutów sumienia?

Na szczęście dr. Hell nie zrobi z tego złego użytku i nie opowie tego nikomu. O, tak, dr. Hell był wiernym i przywiązanym przyjacielem.

Jakób powiedział:

— Pan przecież wie, że dawniej nie można mi było niczego zarzucić. Czyż nie spełniałem moich wszystkich obowiązków? Czyż nie byłem zawsze pierwszym w klasie? A maturę też zdałem z odznaczeniem. Prawda?

Lekarz milczał.

Ach, tak—myślał Jakób—on ma mnie także za kłamcę. To łatwe do zrozumienia. On mnie za mało zna; nie zadawałem się z nim nigdy. A teraz zachowuję się zanadto niedorzecznie, żeby kto mógł pomyśleć, że jestem naprawdę taki mądry i wykształcony jak sam utrzymuję.

Oprócz tego podali mu papier i pióro i kazali mu się podpisać.

— Podpisz się, mój kochany — powiedzieli.

To mu się udało — pozornie. Bo, kiedy już był gotów, nie mógł sam przeczytać, co napisał. Więc spróbował jeszcze raz, ale, niestety, na tem samem już zabazgranem miejscu. Rozpacz. Zakłopotany powiedział:

— Tylko moje nazwisko?

— Tak, poprostu — powiedział ktoś, widocznie z ironją. Dopiero teraz spostrzegł, że doktór Hell nie był jedynym, oprócz niego było jeszcze kilku innych panów obecnych, którzy mu się przyglądali badawczo.

Do jednego z nich zauważył dr. Hell:

— To jest charakterystyczne, panie profesorze.

I zabrali mu ten kawałek papieru, który zaczął przechodzić z rąk do rąk.

Teraz wyśmiewają się ze mnie — myślał Jakób.

Był bardzo nieszczęśliwy. Teraz już było dowiedzione, że nawet pisać nie umiał. Co za szczęście dla oskarżających go. Teraz był nie tylko podejrzanym i oskarżonym, ale będzie napewno zasądzonym.

Jakób chciał się jeszcze bronić. Chciał żądać zawezwania świadków... Czyż nie uczył się sam tak dobrze, że był w stanie dawać prywatne lekcje? Jego uczniowie powinni być przesłuchani, żeby potwierdzić to, co sam zeznał. Najlepiej „bogaty Piotruś".

Ale, kiedy wymówił głośno nazwisko Piotrusia, dr. Hell powiedział:

— Tak, ale... ten młody człowiek padł niestety... w ostatnich walkach... Ale teraz już będzie niedługo koniec... Układy pokojowe już zostały rozpoczęte...

Jakób powtórzył zdumiony:

— Padł!?... Piotruś, padł...

Eugenja zauważyła z wyrzutem:

— Tego nie powinien był pan mówić mu, panie doktorze...

Jakób, żółty i wychudły, jak skielet, wyglądał tak, jakby mu byli przeczytali jego własny wyrok śmierci.

— Nie wiedziałem — tłumaczył się dr. Hell — że go ta wiadomość tak zasmuci i zirytuje.

Śledztwo trwało jeszcze przez jakiś czas.

Profesor zbliżył się do chorego, oświetlił jaskrawo jego oczy i powiedział:

— Niech się pan popatrzy w prawo, tu, na moją rękę, tak. A teraz niech się pan popatrzy w lewo — niech pan uważa, tam — tak. A teraz na koniec swego nosa.

A potem kto inny pokazał mu zegarki i zapytał:

— Co to jest?... Która godzina?..

Uważali go pewnie za bardzo głupiego, skoro mu stawiali takie dziecinne pytania.

Ale teraz mu już nic na tem nie zależało.

Płakał, jak małe dziecko, bo „bogaty Piotruś“ już nie żył. Miał uczucie, jakby sam był winien tej strasznej, niewytłumaczonej śmierci. Jakby istniał związek jakiś pomiędzy tem, że on go przygotował do matury, a pomiędzy tą kulą, która go przeszyła.

Myślał o tej chwili, kiedy mu pani dyrektorowa dziękowała i wręczyła mu wielką sumę pieniędzy.

A teraz wstydził się tego: wdzięczności i zapłaty. Bo na cóż przydał się jego trud „bogatemu Piotrusiowi“? Piotruś zdał egzamin dojrzałości tylko dlatego, żeby... umrzeć.

Ale on sam żył. On nie był na wojnie, odbywał tylko podróże dla przyjemności. A ze swych własnych egzaminów będzie czerpał korzyści. Będzie mógł pójść na uniwersytet, skończyć studja, robić wynalazki, zostać bogatym i sławnym.

Nie, zastanowił się—nie, teraz wszystkie plany były pokrzyżowane. Już się nic nie miało sprawdzić z tego, co zamierzał. Całą jego inteligencję wzięli djabli... i niedługo wszyscy to już będą wiedzieć.

Panowie, którzy się go przedtem wypytywali o wszystko, przyszli, żeby mu udzielić informacyj. Mówili trochę niewyraźnie, ale on mimo to rozumiał o co chodzi. Wszystkie uniwersytety ogłosiły go uroczyście... za idjotę.

Teraz cała jego przyszłość była zniszczoną.

— Czy pan chce — pytał go jeden z tych panów — żeby ten wyrok kolegjum profesorskiego został ogłoszony w gazetach?

Jakób bał się zdradzić, że jest próżnym i tchórzem, gdyby powiedział: nie.

Więc oświadczył:

— O, proszę, bardzo chętnie.

W końcu to już wszystko było mu obojętne. Otrzymał sprawiedliwą karę za wynoszenie się ponad innych. Ludzie, których miał za głupszych od siebie, pokazywali mu teraz jak niebotycznie wysoko stali ponad nim.

A on nie był niczem.

To i owo z przeszłości wpadało mu na myśl i widział wszystko w nowem oświetleniu. Przypominał sobie całkiem dobrze zdarzenia, których swego czasu nawet nie zauważył. Jakieś zdanie, które gdzieś wypowiedział, czyjeś ironiczne spojrzenie, które się jego tyczyło. I wstydził się dopiero teraz — dodatkowo.

Zrozumiał naraz, że pani dyrektorowa nie cierpiała go nigdy. Przeczuwała, że przeżyje jej Piotrusia. Jej upominek nie był niczem innem, jak tylko oznaką jej bezgranicznej pogardy.

Jakób wił się w cierpieniach moralnych. Eugenja spytała go:

— Czy chcesz może czego, moje dziecko?

A Jakób odpowiedział:

— Nie, czy urzędnicy już nie przyjdą tutaj teraz?

— To byli przecież lekarze.

Namyślał się:

— Czy to był — sąd?

— Ale skąd... Jesteśmy w sanatorjum.

Milczał przez jakiś czas. I badał uważnie pokój.

— Czy my tu sami mieszkamy?

— Tak, moje dziecko, sami, zresztą nikt...

— A kto była ta... ta... w tym białym czepku?

— Twoja pielęgniarka.

Niektóre rzeczy, które widział, napełniały go wstrętem i niedowierzaniem.

— Czego ten... tam, chce?

— Kto?

— A ten z pioropuszem.

— Przysięgam ci, Jakóbie, że to są szaragi.

Ale Jakób już nie był dzieckiem i nie dawał się oszukać. Tam, w kącie stał człowiek. Miał na głowie rodzaj pióropusza indyjskiego, czy też starą czapkę. Był to bezwątpienia jakiś nędzny włóczęga. Zachowywał się cicho, żeby nie być wyrzuconym. Widocznie bezdomny, bez przytułku. Zmrok zapadał. Biedni ludzie podstępnie starali się znaleźć nocleg. Człowiek w tej dużej czapce dowiedział się widocznie skądś, że w pokoju Jakóba było jeszcze dużo miejsca.

Nie ulega kwestji — tak było. Jakób słyszał, jak Eugenja powiedziała do pielęgniarki:

— Jak tylko się ściemni—zaczyna się.

I zaczynało się. Dużo obcych postaci ruszało się w najciemniejszych kątach pokoju. Dużo żyjących stworzeń, które chciały przebyć noc, albo za piecem, w wielkiej lustrzanej szafie, albo na podłodze. Głównie ludzie. Ale także wychudzone psy leżały chętnie na krzesłach, jeżeli były przypadkowo niezajęte. Zwierzęta te — małpy, koty i lisy były też między nimi — nie bały się ani Eugenji, ani innych osób. Jeżeli się ktoś do nich zbliżył, nie śpieszyły się wcale i usuwały się tylko w ostatecznym wypadku.

— Uważaj! — krzyknął raz Jakób na matkę.

Bo Eugenja miała właśnie ochotę usiąść na całej masie drobnych, obrzydliwych żyjątek.

Z powodu swej żywości Eugenja była irytująco nieuważną. A kiedy Jakób opowiedział jej swoje spostrzeżenia, przerwała mu i powiedziała z roztargnieniem:

— Bądź grzeczny, mój złoty, proszę cię, bądź grzeczny. Ty przecież chcesz prędko wstać z łóżka?... Ale jak będziesz się tak zachowywał, to lekarze ci jeszcze długo nie pozwolą się ruszać.

Jakób słuchał jej cierpliwie. Ale naraz rozjaśniła mu się twarz. Uśmiechał się, jak w dziecinnych czasach.

— Czy chcesz zobaczyć coś wspaniałego? Odwróć się.

Poza nią unosiła się w powietrzu śliczna twarz, jak gwiazda. Śliczna twarz z niebieskiemi oczyma.

Ale Eugenja nie chciała się odwrócić. Zaczęła się złościć, zdawało się Jakóbowi, że trzęsła się z wściekłości i kazała mu spać.

Ale to nie było tak łatwo. Bo ci obcy ludzie, którzy chcieli nocować w pokoju, poruszali się bezustannie. Skakali zgrabnie i szybko ze stołu na piec i z pieca na szafę. Ciągle biegali i chowali się i nie mogli zażyć tego spokoju, po który tu przyszli.

Jakób patrzył na nich z politowaniem.

Mniej sympatycznym był starzec o bladej twarzy, który był tak bezczelny, że położył się obok niego do łóżka. Tego już było zanadto. Dla tego obrzydliwego starca, który już właściwie nie żył, a mimo to, zmuszał Jakóba do zajmowania tylko wąskiego brzegu łóżka — nie miał żadnej litości.

Zawołał pielęgniarki i powiedział:

— Ten stary musi się wynieść stąd w tej chwili.

Ta wyrafinowana intrygantka udawała ślepą i głupią.

— Kto? — pytała niewinnie.

— Ten nieżywy starzec. Oto jest jego czaszka.

— To nie jest żadna czaszka—oświadczyła, uśmiechając się—to jest poduszka. Może się pan spokojnie położyć na niej.

Dobrze — pomyślał Jakób — zmiażdżę go.

Ale starzec nie był tak dalece nieżywym, jak się Jakóbowi zdawało. Znosił jak męczennik ciężar ciała Jakóba i żył sobie dalej potajemnie. Wytrwała natura. Jeżeli się Jakób posunął na bok, starzec oddychał swobodniej i ruszał się całkiem wyraźnie. Było niemożliwem nie myśleć o nim. I Jakób dopiero wtedy o nim zapominał, kiedy spostrzegł coś nierównie więcej irytującego ponad swoją głową. Na ramieniu wielkiego świecznika wisiało dziwne indywiduum. Widocznie samobójca. Pewno Turek, bo miał turban na głowie i wydawał się już być na pół zgniłym, bo brakowało mu kawałków twarzy, która była tak podłużną jak głowa konia. A przecież spoglądał na Jakóba jednem okiem — drugiego brakowało.

Jakób namyślał się.

Właściwie ten człowiek nie jest zupełnie niebezpieczny. On tylko ciągle grozi — zresztą nic. Bo z pewnością wydaje się tylko taki straszny. Niech sobie będzie na pół zgniłym, ale w każdym razie przeszkadza—jest poprostu afektowany. Chce

koniecznie wyglądać, jak duch. Dlaczego? Dlaczego wisi właśnie w tym pokoju?

Jakób popatrzył się ostro na samobójcę. I przyszedł do przekonania: że to jest tylko wielka lalka.

A teraz zdemaskuje wszystkich tamtych skaczących ludzi i zwierzęta i w powietrzu unoszące się głowy.

Jakób upadł nisko. Stracił swoją dumę, przeszłość i przyszłość. Ale nie trzeba go było nie doceniać i nie oszukiwać zanadto dziecinnie i niezgrabnie. Zajmował się zanadto swego czasu naukami ścisłemi i nie wierzył w nadnaturalne rzeczy.

— Gdzie ty chcesz iść, Jakóbie?—pytała Eugenja przerażona — przecież — nie chcesz wstawać?

Siostra w białym czepku przyszła jej z pomocą. Jakób zdemaskowanie tych wszystkich duchów odłożył na później. Ale powiedział pielęgniarce otwarcie, co o tem myślał:

— Pani tutaj służy — mówił do niej — pani jest odpowiedzialna za wszystko, co się tutaj dzieje. A więc te duchy są oszustwem — one są sztuczne.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Pani mnie doskonale rozumie. Pani trzyma z wszystkimi innymi. Nie dam się okłamywać. Czy mi pani wierzy, czy nie — ja jestem elektrotechnikiem. A, teraz pani zbladła!... Tak, tak, ja wiem, jak się robi takie strachy! Na dole, w piwnicy pracują maszyny dynamiczne. Prąd jest prowadzony w górę i porusza te zabawki z drzewa albo z gumy. I tem chcą mnie tu straszyć i dręczyć!

Eugenja gładziła go po głowie.

— Ależ, Jakóbie, pocóżby ciebie chciał kto dręczyć — jesteś i tak chory.

Popatrzył na nią ostro.

— Tak, chory...

Zaczął myśleć nad tem.

— Po co straszy się chorych?... Nie wiem... To nie jest moja specjalność... Może strach działa dobrze na trawienie, obieg krwi... W każdym razie muszę to wyjaśnić. Dr. Hell musi mi to wytłumaczyć.

Ale dr. Hell zapisał mu tylko środek na sen, bardzo ostry. A potem pokój, w którym Jakób leżał, zniknął razem ze wszystkiem, co się w nim znajdowało. A on znalazł się w zupełnie innem, nieznanem miejscu. I przeżywał najdziwniejsze przygody, najczęściej w koszuli, leżąc w łóżku.

XX.

Jedna z tych nocnych przygód trwała pozornie bardzo długo — może lata.

Jakób znalazł się raz w obcem mieszkaniu, oświetlonem wieloma lampami, ale całkiem opustoszałem.

Na podwójnem małżeńskiem łożu leżały jeszcze części ubrania, przed niedawnym czasem rozebrane i nieporządnie porzucone.

Jakóbowi zdawało się, że mieszkali tu Eugenja, albo Lolo, albo inne, mu bliskie osoby. Czasem nawet miał wrażenie, że był sam żonaty i że był to jego dom. Ale to jedno wiedział na pewno, że był w mieście, w którem przeżył połowę życia i gdzie chodził do gimnazjum.

Dlaczego nie wiedział jednak nic pewnego o tych pustych alkowach i tych jeszcze ciepłem ludzkiego ciała przesyconych sukniach i o swojem obecnem położeniu?

Przypuszczał:

Musiałem widocznie szalenie długo spać. I czuję się teraz tak, jakbym spadł z nieba. Dlatego nie mogę się zorjentować ani w czasie, ani w przestrzeni.

Ale pytał się w duszy, gdzie znajduje się właściwie: w przeszłości, czy w przyszłości?

Chciałbym się tego dowiedzieć. Przypuśćmy, że dostałem się w przyszłość — mógłbym według okoliczności doznać przykrych niespodzianek. Nie wszystkie zmiany były przyjemne. Nie było nawet zupełnie pewnem, czy Eugenja jeszcze żyła?

I on sam także był bezwątpienia niepomyślnie zmieniony. Dawniej był zawsze takim czystym, porządnym chłopcem. Gdzie były teraz jego spodnie, surdut? Dlaczego był bosy? Niby stał, a właściwie nie mógł się utrzymać na nogach; a i wzrok jego pozostawiał wiele do życzenia. Wyglądało tak, jakby przeżył coś dziwnego, o czem już znowu zapomniał. Przedtem nie bywał nigdy bojaźliwym albo zmieszanym, a teraz drżał na myśl, że za chwilę mogą się drzwi otworzyć i jakiś obcy człowiek może wejść do pokoju.

W jaki sposób usprawiedliwi swoją obecność w tem obcem mieszkaniu?

Wyjrzał przez okno, żeby się dowiedzieć, jak wysoko leży to mieszkanie i czyby nie było możliwem skoczyć przez okno na ulicę.

Ale było szalenie wysoko. I ciemna noc. Mimo to, poznał inżyniera, który stał na dole i patrzył w górę.

— Hej! — zawołał Jakób.

A inżynier odpowiedział tak, że się go doskonale słyszało.

— Hej!

— To ja, Jakób!

Inżynier nie był wcale zdziwiony. Zażądał, żeby Jakób zeszedł w tej chwili na dół.

— I przynieś mi moją laskę, zaraz się wybierzemy w drogę.

— Dokąd? — zapytał Jakób.

Ale na to nie otrzymał odpowiedzi.

Pomimo, że w nocy nikt nie zwykł chodzić na przechadzkę, po inżynierze można się było wszystkiego spodziewać. Jakób nie czuł się dość silnym do wielkich wysiłków, a oprócz tego tak, jak był, nieubrany, nie mógł się pokazać na ulicy.

Wtedy spostrzegł Leopoldynę. Naraz skądeś się wzięła — i była w pokoju. Klęczała nieuczesana na ziemi i liczyła bieliznę.

Popatrzyła na Jakóba i spytała spokojnie:

— Czy wołał cię?

— Tak, czeka na dole.

— Idźcie, idźcie, ja później przyjdę za wami.

— Kiedy jej nie wpadło w oczy, że nie byłem ubrany, mogli mnie i inni nie zobaczyć.

I wyszedł spokojnie na ulicę.

Schody były ciemne i kapryśne; z początku szły prosto na dół, ale potem naraz znowu do góry. Czasami robiły takie skręty, że traciło się równowagę i spadało się na dół. A czasem dzieliły się jak rzeka w dwa albo więcej ramion i trzeba było zdecydować na los szczęścia na jedno albo na drugie. Schody te wydawały się bez końca i Jakób aż jęczał ze zmęczenia i osłabienia.

Ale naraz wszystko się skończyło; Jakób był — w piwnicy.

Dobrze, — myślał zniechęcony, — teraz muszę iść znowu napowrót.

Naraz usłyszał niecierpliwe pytanie inżyniera:

— Nareszcie — ja już czekam od godziny.

Głos słychać było z góry, ale schodów nie można było nigdzie znaleźć. I Jakób musiał drapać się po stromej wilgotnej ścianie. Podrapał sobie przytem twarz, ręce i kolana. Ale po wielu trudach dostał się nareszcie przez małe okienko na powietrze.

Inżynier popatrzył na niego badawczo.

— Ze stu ran cieknie ci jeszcze krew— zauważył.

— Tak — odpowiedział Jakób — zraniłem się teraz przy wspinaniu się w górę.

Inżynier uśmiechnął się tajemniczo.

— Dopiero teraz?... Nie przypominasz sobie?... Zresztą nie mówmy o tem!

— O czem? — spytał Jakób zainteresowany.

— O niczem...

Jakób mówił zirytowany:

— Proszę pana, niech mi pan powie wszystko. Ja sam czuję, że już oddawna nie jestem w porządku ze sobą. Wszystko mnie boli i nie mogę ani chodzić, ani mówić, ani myśleć. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

— Kiedy widzieliśmy się?.. Dziś rano... wczoraj...

— To niemożliwe.

— Przedwczoraj... codziennie.

— Ale ja o niczem nie wiem!... Nie wiem nic o panu, o sobie, o Eugenji i o innych...

— Wyobrażam sobie.

— Skąd to pochodzi?

Inżynier odwrócił głowę i powiedział lekko i wesoło:

— Cudna noc wiosenna!

Widocznie nie miał zamiaru nic wytłumaczyć Jakóbowi. Wyraźnie cieszył się z tego, że nie tylko jemu, ale także i komu innemu brakowało kawałków przeszłości.

Ma teraz nademną przewagę — myślał Jakób zawstydzony i spokorniały. I powiedział nieśmiało:

— Niech mi pan powie tylko to jedno, czy w mojej pamięci jest teraz większa dziura, jak swego czasu u pana?...

— Rozumie się. Zemdlałbyś na miejscu, gdybym ci powiedział całą prawdę...

— Niech mi pan powie mimo to...

Inżynier zaczął gwizdać jakiś kuplet.

Jakób zawołał z gniewem:

— Dobrze! Adieu! Ja wracam do domu.

— Proszę, proszę.

Ale Jakób nie wiedział, gdzie było teraz „w domu". Było zresztą zupełnie ciemno, więc nie wykonał swej groźby.

Poprosił cicho i grzecznie:

— Czy nie byłby pan tak dobrym powiedzieć mi, dokąd my właściwie idziemy?

— Czy ty nic nie widzisz?

— Nie.

— Ty biedaku.

— Niech się pan nademną nie lituje...

— Czy ty nic nie czujesz?

O tak, Jakób czuł, jak podłoga pod jego nogami podnosiła się i opadała. Niepokojące uczucie, jakgdyby się miało chorobę morską.

— Czy jesteśmy na okręcie?

— Nie.

— A gdzie?

— Na moście... naturalnie.

— Na... moście... — powtórzył Jakób nie rozumiejąc, słabym głosem, bo było mu strasznie niedobrze.

Naraz mógł przecież coś nie coś rozeznać. Nie byli sami. Tysiące ludzi szło za nimi i przed nimi. Wszyscy maszerowali. W szybkiem tempie, także kobiety i dzieci. Jak ludzie, którzy są bezwzględni i dzicy dlatego, że się boją.

— Naprzód, naprzód, Jakóbie — napominał inżynier. — Pomyśl, że to dopiero początek.

— Co?

— To jest przecież najdłuższy most na świecie. Moje najsławniejsze dzieło! Nie chciałeś mi wtedy wierzyć! A teraz przekonasz się sam.

Jakób zaczął przeczuwać coś strasznego.

— Ach tak, tak, — kiedy będziemy na drugiej stronie?

— Mój Boże, po latach, albo wcale nie.

Jakób szedł, drżąc i chwiejąc się jak pijany. W moście tym były dziury — miejscami nie było wogóle nic innego. Sam skielet — nagie, wąskie belki, które się poruszały. Cały most wznosił się, stawał dęba jak koń i zrzucał wielu ludzi z siebie.

Jakób usiadł na deskach — nie był w stanie iść dalej.

Groziło mu niebezpieczeństwo, że będzie strącony i stratowany przez naprzód pchające tłumy. Ale był zanadto osłabiony, żeby się bronić przeciwko swej zagładzie.

Dawniej byłby chętnie wędrował z pięć lat przez taki most, a teraz czekał cierpliwie i z rezygnacją aż mu ktoś dopomoże wstać.

Inżyniera zgubił w tłumie. A obcy, pędzący dalej z wrzawą, nie widzieli go.

Patrzcie, oto szedł minister, któremu towarzyszyło kilka osób. Ja go przecież nie chcę o nic prosić — myślał Jakób — chcę mu tylko powiedzieć: Patrz pan, to ja, ha, ha, — tak się spełniła pańska przepowiednia!

Ale nie przyszło do tego. Minister deklamował właśnie jakiś wiersz i przeszedł obok leżącego Jakóba, nie widząc go wcale.

Naraz pokazała się Marjanna i poznała Jakóba.

— Jak się masz, Jakóbie — zawołała wesoło i bezmyślnie — czy chcesz nas może fotografować?

— Nie, nie, nie! — krzyczał Jakób ordynarnie, z wściekłością. Ona nie miała ani rozumu, ani serca. Jego sto ran nie interesowały jej bynajmniej.

Za to burmistrz, który też znajdował się między nimi, przystanął przy Jakóbie. Był oburzony.

— Jak ty wyglądasz? Aj, aj!

— Niech mi pan poda rękę — prosił go Jakób. — Przecież pan widzi moje rozpaczliwe położenie.

— Czy widzę?! Wstydź się! To jest wprost nieprzyzwoite, wywołujące zgorszenie... pfę, położenie w negliżu!... Rękę ci podać? Ja? — tobie?... Człowiekowi w koszuli? Popatrz na moje ordery!... Krzyż zasługi... Czy tobie się wydaje, że jesteś w łóżku?... Zapaskudzisz cały most twoją krwią!

I oddalił się zirytowany, ciągle gadając i gestykulując.

Wstyd doprawdy — myślał Jakób w duszy. — Wszyscy są silniejsi i więcej warci odemnie. Wszyscy przechodzą na drugą stronę — tylko ja jeden nie.

Wtem usłyszał łagodny, miły głos swego ojca. Prosił „najuprzejmiej":

— Czy mieliby państwo coś przeciwko temu, gdybyśmy zaczęli iść wolniej? Tylko troszeczkę... bardzo proszę... w interesie ogółu...

— Nie może pan zdążyć? — pytano go szyderczo.

— Staram się — zapewniał Lolo i poruszał się, podrygując, ale nieopisanie pomału naprzód. — Z pewnością staram się jak mogę... O, uniżony sługa pana radcy... padam do nóg pana redaktora...

Witał się z wieloma znajomymi. Ale ci, którzy zdążali za nim, uważali, że wstrzymywał ich przez okazywanie swej nieustannej grzeczności.

— Naprzód, naprzód — krzyczeli ze złością.

— Spieszę się — zapewniał — spieszę się.

Jakób zawołał:

— Lolu! Weź mię ze sobą!

Ale w tej samej chwili Lolo wzniósł się do góry na balustradę mostu. Zdjął swój zgrabny kapelusik słomkowy, ukłonił się kilku paniom i... skoczył w przepaść.

Wiedziałem, że tak zrobi — pomyślał Jakób. — Mimo to odczuł wielki ból po stracie ojca. Po raz pierwszy w życiu zdarzało mu się, że się żegnał na zawsze z kimś, kogo kochał.

— Ale gdzie jest inżynier?—pytał się Jakób w duszy. I jakby wywołany tem milczącem pytaniem inżynier zjawił się naraz. Ale — tylko na chwilę.

— Tutaj jestem — zawołał i zbliżył się trochę chwiejnym krokiem do Jakóba.

I naraz pośliznął się i... znikł na zawsze.

O tem już także wiedziałem przedtem — przypomniał sobie Jakób.

Teraz pewnie na niego przychodziła kolej. Silniejsi od niego nie przeżyli nawet tej nocy, a wieleż jeszcze dni i nocy trzeba było znieść! Nie było wyjścia. Śmierć zapomniała o Jakóbie dotychczas tylko z roztargnienia.

— Leżysz wygodnie? Prawda? — spytał jakiś miękki kobiecy głos.

— O tak — odpowiedział, wdzięczny za to nieoczekiwane współczucie. — Jest mi ciepło, tylko plecy mnie bolą z ran...

Objęła go ramieniem i spytała:

— Czy leżysz teraz lepiej?

— O tak... — powiedział nieśmiało, bo obawiał się, że nie zostanie długo przy nim. Jej postać pachniała niewymownie delikatnie i słodko. Jak wspomnienie czegoś dobrego, co prędko minęło.

— Mnie się zdaje, że ja cię znam — rzekł.

Uśmiechnęła się.

Nie odpowiedziała nic, ale jej czarne oczy świeciły się jak dwa robaczki świętojańskie.

— Tak, tak, ja cię znam — powtórzył — ale to mi nic nie pomoże, ty musisz pewnie zaraz z innymi...

— Co z innymi?

— Chciałem powiedzieć, że musisz się pośpieszyć. Nie możesz ciągle być przy mnie i bawić się w stację ratunkową.

Popatrzyła się z uśmiechem.

— Stacja ratunkowa...

Ale jego twarz wykrzywiła się z bólu i przerażenia.

— Biegnij tam — wołał i pokazywał ręką — biegnij prędko, niema czasu do stracenia! Temu chłopcu musisz dopomóc, temu tam na poręczy mostu... O już zapóźno!

Zapóźno! Chłopiec spadł, a za nim spadło zaraz potem dziesięciu, piętnastu, setki innych. Jakgdyby ktoś otworzył zaporę i wodospad, grzmiąc, wylał się w przepaść.

Pomiędzy spadającemi ciałami zobaczył Jakób także swego ostatniego ucznia: „bogatego Piotrusia".

XXI.

Czego nie było na tym świecie!

Było wiele drobniutkich, niewidocznych i z początku zupełnie nieznanych stworzeń. Nie robiły nikomu nic złego, dopóki się o nich nie wiedziało. Ale kiedy je odkryto pewnego dnia, stały się odrazu bardzo niebezpiecznemi i rozmnożyły się w zastraszający sposób we wszystkich cywilizowanych krajach.

Żyły z ludzi tak samo, jak wojna, tylko zachowywały się mniej głośno. Odgadły zaraz naturę Jakóba i odebrały mu jego pewność siebie; to była ich pierwsza czynność. Tak, jak rozbójnicy, przedewszystkiem trują psa na łańcuchu.

Uderzyły najpierw na mózg. Tam zaczęła się choroba Jakóba, gdzie były przechowane największe jego bogactwa. Nieprzyjaciele wrzucali tam palące się pochodnie.

Gdzie się podziała pamięć Jakóba? Gdzie jego logika? Gdzie jego inna broń i wszystkie skarby? Wszystko stało w płomieniach.

Lekarze patrzyli mu w oczy — w okna palącego się domu... i milczeli, kiwali głowami.

Tylko dr. Hell oświadczył odrazu stanowczo i wyraźnie:

— To są: streptokokki.

Inni lekarze nie wypowiedzieli głośno wszystkich swoich przypuszczeń. Byli starsi i przezorniejsi. W dodatku tylko takie choroby wchodziły w rachubę, które były absolutnie śmiertelnemi — a Eugenja była przy tem.

Ale te niewidzialne stworzonka, głodne i zawsze chętnie wędrujące, powiedziały sobie po czternastu dniach:

— Precz z mózgu! Teraz spróbujemy z płucami.

Dobrze. U Jakóba pokazały się nowe symptomy. Nie znaczyło to, że już przestał być nieprzytomnym i tylko zaczął pluć krwią. Ale płuca jego stały się głównem ogniskiem choroby. Stan jego był smutny — Bóg widzi. — Wystarczało spojrzeć na lekarzy; wszyscy przypuszczali teraz tylko jedno:

— Tak, nie ulega kwestji — rzekł jeden z nich.

— Niestety, tak — wyszeptał drugi. Beznadziejność otaczała ich chmurą.

A Eugenja jęczała. Dlaczego nieszczęsny aptekarz na pustyni obiecywał jej, że Jakób wyzdrowieje? Już nie błagała teraz nikogo, żeby jej ratował syna; tak bardzo opuściły ją siły i ufność. Nie słyszała nawet, jak dr. Hell powtarzał pewnie i wesoło:

— Streptokokki...

Następnie przez dłuższy czas zaatakowane były nerki. A nikczemne stworzonka nie ustawały w swych rozbójniczych wyprawach. Czyż nie zdawało się, że niezadługo wszystko się skończy?

Śmierć była w powietrzu. Czuł to burmistrz swoim delikatnym, politycznie wykształconym nosem. Zresztą został tymczasem prezydentem republiki, ale co to za porządek? Nie wpuszczono go do pokoju chorego, tylko stał nazewnątrz, na korytarzu. Z irytacji rozmawiał z Milą i Herminą, dwiema trochę pospolicie wyglądającemi kobietami, których nawet dobrze nie znał i mówił jak zawsze naiwnie i bałamutnie.

— Takie krótkie życie!... Czy to ma sens? Wiele miał lat? Nie skończył dziewiętnastu?! Mój Boże!...

— Przecież jeszcze żyje...

— Wiem... Niech mnie pani nie poprawia... Ja jestem prezydentem...

— Ja także jestem prezydentką — zauważyła pani Hermina.

— O tak, to znaczy... Ale niech tam... Chwila jest zanadto poważna. Mój Boże! A w sobotę jest rada ministrów... Ach, żeby panie wiedziały!... Czy pogrzeb jest w sobotę? Nie, toby było bardzo nieprzyjemnie.

Mila popatrzyła na niego wilgotnemi oczyma i powiedziała:

— My, przyjaciele i krewni Jakóba, nie myślimy jeszcze o jego pogrzebie...

Ale czyż burmistrz nie miał także wilgotnych oczu? Wszyscy troje mieli łzy w oczach — a jednak mówili przeciwko sobie, z irytacji i strapienia — mówili nerwowo i z podrażnieniem.

Wiosna przyszła. W ogrodach gwizdały kosy... ale twarz Jakóba była czarna, spuchnięta, do niepoznania zmieniona.

— Mimo to... — spróbujmy — myślał dr. Hell. Jego koledzy byli profesorami — on nie. Ale tutaj mógł robić co chciał — i naraz kazał zrobić serum z własnej krwi Jakóba.

Ewa z St. Paul kazała mu sobie wszystko wytłumaczyć. Znała się przecież sama na medycynie i na ciężko chorych. I powiedziała mu, że była tego samego zdania co on. Streptokokki? Jakkolwiek się nazywają, będzie się z niemi walczyć i zwycięży się!

— Oprócz tego chodzę codziennie do kościoła — dodała cichutko.

Eugenja była zrozpaczona. Czy już zapomniała, że ona sama nauczyła Ewę wierzyć w miłosierdzie boskie?

Niegdyś inżynierowa była jej bardzo niesympatyczną, ale teraz siedziały razem na jednej kanapie i szlochały zgodnie i przyjacielsko.

Tak, źle było z Jakóbem...

Ale dr. Hell przybył ze swoim czarodziejskim środkiem i zrobił Jakóbowi injekcję.

A Ewa powiedziała:

— Nie płacz, Eugenjo, teraz już wszystko będzie dobrze.

A na drugi dzień opowiadała jasnowłosemu doktorowi z uśmiechem i błyszczącemi oczyma:

— Już się widzi różnicę. Mówię panu, że walka między temi dwoma rodzajami niewidocznych stworzeń już się rozpoczęła.

Dr. Hell nie wiedział z początku o czem mówiła. Ale potem strofował ją gwałtownie.

— Nie trzeba sobie za dużo obiecywać... To nie idzie tak prędko... A zresztą nie wiemy jeszcze, czy mamy rację.

Ale polepszenie postępowało przecież naprzód. Prawie w tak nieprawdopodobnem tempie, jak w dziecinnej wyobraźni Ewy. Po niewielu dniach zwycięstwo lepszych stworzeń było zdecydowane.

Ale dr. Hell jeszcze nie wołał: hurra! i nie triumfował. Właśnie teraz, kiedy czuł, że miał słuszność, brzmiały jego słowa niezwykle zimno i sceptycznie:

— ...Rzeczywiście... wygląda nieźle... Temperatura spadła. Ustały zjawiska, dające najwięcej do myślenia... Ale o zwycięstwie dobrego, czy jak pani to nazywa, o tem niema mowy narazie. Trzeba podwójnie uważać.

I dodał cicho:

— ...Zresztą na wojnie, po obydwóch stronach są bestje.

Ale Ewa nie dała sobie teraz odebrać nadziei. Uważała i wszyscy musieli być tego samego zdania co ona, że Jakób zaczynał już wyglądać podobnie do człowieka.

Jakób otworzył oczy. I powiedział zwykłym głosem parę zupełnie rozsądnych słów. Zdradzał rodzaj ciekawości, chciał się niejednej rzeczy dowiedzieć.

Przytem pytania jego nie zdradzały bardzo jaskrawej nieświadomości. To było rzeczywiście osobliwe, że Jakób nie zachowywał się bynajmniej tak, jak ktoś, kto był długo nieobecny i dopiero przed chwilą powrócił do tego czasu, w którym żył. Nie pytał się wcale:

— Gdzie jestem?

Co poprostu rozczarowało Leopoldynę i przytłumiło nawet radość Eugenji.

— Kiedy przychodzi doktór — dowiadywał się spokojnie.

Albo:

— Jaką mam dzisiaj temperaturę?

Doprawdy, jakgdyby był dokładnie zorjentowany w sytuacji, jak inni ludzie, którym nie brakowało kilku miesięcy z ich przeszłości.

Ale może tylko tak ostrożnie zbierał myśli i pilnował się — z próżności? Widać było, że dobrą chwilę namyślał się zanim usta otworzył. I mówił wyraźnie

z rozpaczliwą uwagą, żeby się nie zdradzić.

Siostra zaproponowała mu szklankę limonady.

Odpowiedział:

— O tak, bardzo proszę, niech siostra będzie tak dobra.

A potem powiedział:

— Dziękuję bardzo, dziękuję najuprzejmiej.

Czy widział go kto kiedy tak przesadnie grzecznym?

Czy był to naprawdę Jakób?

Ale to jeszcze nie wszystko.

— Niech mi siostra wybaczy — mówił do pielęgniarki — ale mnie się zdaje, że ja... siostrę raz biłem... Prawda?

Uśmiechnęła się ucieszona.

— Tak, wtedy...

— Wtedy — powtórzył.

Ale kiedy było to „wtedy" i gdzie? Jakób nie wiedział. Tylko dlatego był taki pokorny.

Czy się powinien był kogo spytać? Czy miał się aż tak poniżyć, żeby się przyznać przed całym światem, że ma dziurę w pamięci?

Na szczęście Ewa rzekła:

— Wtedy, kiedy biłeś siostrę, był właśnie najokropniejszy czas. Po przewiezieniu z dworca do sanatorjum.

I Ewa zaczęła opowiadać. Ale były przecież jeszcze dwie inne kobiety w pokoju i nie dały jej samej kończyć...

— A przedtem? — pytała Eugenja. — Droga koleją... węgierska wieś, aptekarz na pustyni? Ty nie byłaś przy tem. Tylko ja, tylko ja...

Nie, o tem Ewa nic nie wiedziała.

Eugenja mówiła prawie wyłącznie sama, aż doszła do czasów, kiedy już przyjechali do sanatorjum.

— Nie masz pojęcia, Jakóbie, — wtrąciła namiętnie inżynierowa. — ...Pokazywałeś na tę poduszkę... Nieżywy starzec... leży tu... mówiłeś... ha, ha, i drżałeś ze strachu.

Wszystkie opowiadały naraz, aż wszedł lekarz z sanatorjum i napomniał je:

— Cicho, cicho...

Ale pacjentowi nie przeszkadzały nic te trzy kobiece głosy. Przeciwnie, spoglądał raz na jedne, raz na drugie usta — i wydawało mu się to, co opowiadały, bardziej interesujące, niż cokolwiek innego, co kiedy słyszał w życiu.

Szczególnie zajmowało go wszystko, co mówiła Ewa. Bo ona jedna opowiadała porządnie w związku jedno z drugiem. Działało to dobroczynnie i zajmująco; używała wprost lekarskich wyrażeń, które sobie spamiętała. I nazywała po kolei wszystkie niebezpieczne choroby, które Jakób przeszedł szczęśliwie.

Cztery zapalenia — powtórzył w duszy — nie byłbym nigdy przypuścił.

Był nawet troszkę dumny, po tylu cierpieniach ciała i miłości własnej.

W dodatku interesowało go to rzeczowo: Punkcja Lumballa, doświadczenia z promieniami Roentgena... Jak to przykro, że nic sobie nie przypominał z tych interesujących rzeczy!

Przez sekundę błysnęło w jego oczach coś podobnego do dawnego naukowego głodu. Ale nie była to ta jaskrawa czerwona radość, co dawniej. Zbudził się, to prawda, ale nie z takiem uczuciem, jak się budzi w ładny, słoneczny dzień... jego radość miała barwę więcej popielatą.

Jakiś cierń pozostał mu jeszcze w duszy. Ból, niebardzo głęboki, ale wytrwały, złośliwy, odbierający nadzieję.

Czy nie wyswobodził się już dawno ze wszystkich chorobliwych przywidzeń? Niesamowite zwierzęta, starzec w łóżku i obcy ludzie — zniknęli... Wszystko to było gorączką, czy snem — wszystko tylko fantazją. Dobrze... A jednak nie czuł się jeszcze tym dawnym Jakóbem. Coś z tych rzeczy, które się wydarzyły, było przecież prawdą. Bo czuł się jeszcze małym i nie miał czystego sumienia.

Raz popołudniu była zupełna cisza wokoło niego i wtedy przyszło mu na myśl:

Wiem już. Wszystkie uniwersytety ogłosiły mnie za idjotę.

Tak jest.

Dlatego nie było już dla Jakóba jasnego dnia w życiu obecnem. Zbudził się, ale nie mógł otworzyć oczu odważnie. Wszyscy przejdą nad nim do porządku dziennego — przestał mieć jakiekolwiek znaczenie.

Porwała go złość. Czy to było sprawiedliwem? Choroba pozbawiła go narazie zmysłów, ale mógł być przecież znowu zdrowym i mądrym. Ale może... się zdradził podczas choroby? Może nie był nigdy w życiu tem za co się miał?

Tak, w takim razie zasłużył na ten ciężki wyrok.

Zrozpaczony, obejrzał się. W pokoju była tylko Ewa. Jakób przypomniał sobie, że ją spotkał, wędrując gdzieś w ciemnościach. Może na tym długim moście? Miała tam te same usta, te same czarne oczy, co tu i zawsze.

Ewa wiedziała z pewnością niejedno.

— Chodź tu — zawołał na nią.

Spytała:

— Czy chcesz pić?

— Nie. Siądź sobie. Muszę ci coś powiedzieć. Bo spotkałem cię na... bo śniłaś mi się kiedyś.

Ewa kiwnęła zaraz głową z uśmiechem.

— Tak — odpowiedziała wesoło.

Wiedziała już o tem, to dziwne.

Ale Jakób mówił dalej spokojnie:

— Nie o to chodzi — rzekł — tylko... Czy ty umiesz milczeć?

— Nie obawiaj się — odpowiedziała.

I popatrzyła się na bok, żeby mu ułatwić jego zeznanie.

Po chwili zaczął:

— Mam pewne podejrzenie... Wy wszyscy zachowujecie się tak, jakby wszystko było w porządku. Nie przerywaj mi... Ty chcesz powiedzieć, już niema niebezpieczeństwa... Ale to nie jest najważniejsze... Ja byłem długo nieprzytomny i w tym czasie stało się coś...

— Co Jakóbie?

— Ty wiesz, wy wszyscy wiecie... ale nikt mi nie chce powiedzieć z delikatności, z litości... To nie ma sensu...

— Opowiadałyśmy ci wszystko.

— Ale to najgorsze... nie... to nie.

I powiedział jej całkiem cichutko to, co sobie myślał o uniwersytetach.

Spojrzała na niego, jak matka.

— Nie — powiedziała spokojnie — to nie jest prawda. To należy do tych samych rzeczy, jak wiszący Turek, głowa w powietrzu i nieżywy starzec.

Jakób pomyślał przez chwilę, a potem odpowiedział:

— Jest przecież różnica. Bo tamtych rzeczy nikt inny nie widział... tylko ja sam. Śmialiście się tylko wszyscy, ja wam zwracałem uwagę na te zwierzęta i strachy, które mnie dręczyły... Ale to, to najgorsze, to mi powiedziano wprost.

— Kto ci powiedział?

— Doktorzy. Przyszli do mnie surowi i poważni i zawiadomili mnie uroczyście... Nie byłaś pewnie przy tem?

— Ja byłam zawsze przy tobie. Odkąd jesteś tu w sanatorjum. Od rana do wieczora... codziennie.

Naraz roześmiała się:

— Ależ, Jakóbie, Jakóbie, pomyśl tylko, co to za warjactwo!... Jakże ty możesz wierzyć w coś podobnego?! Czyż uniwersytety nie mają nic lepszego do roboty, jak się zajmować — tobą?

Jakób popatrzył na nią zdumiony. Zaczerwienił się.

— Ty masz pewnie słuszność — oświadczył trochę zmieszany.

A Ewa dodała:

— Ale ja cię nie chciałam obrazić...

— Nie, nie — powiedział prędko i skromnie. Nie był obrażony. Przeciwnie. A Ewa mówiła:

— Wyobrażam sobie tylko, że narazie jesteś jeszcze wszystkim uczonym nieznany. Narazie. Teraz jeszcze nikt nie wie o twoich wielkich zdolnościach.

— „Wielkie zdolności" — pomyślał Jakób.

— Ale niedługo pójdziesz sam na uniwersytet. W jesieni. Dr. Hell wyratował cię...

Ale Jakób rzekł:

— Ty mnie wyratowałaś.

XXII.

Wiosna już nie jest całkiem młodą. Jest już prawie lato — młode, jasno-zielone lato. Wszędzie pachnie bez, silnie, sentymentalnie, jak miłość.

Jakób może już siadywać w ogrodzie przy sanatorjum i rozmawiać z rozmaitymi ludźmi.

Minister usprawiedliwiał swoją żonę:

— Marjanna przyjdzie z pewnością innym razem... Dzisiaj fotografuje ją nasz przyjaciel, porucznik.

Ale to nie robi wrażenia na Jakóbie. Kręci głową w prawo i w lewo, wykręca sobie kark poprostu i spostrzega nareszcie, że Ewa siedzi poza nim. Uśmiecha się do niej.

Dopiero teraz uspokaja się.

— Porucznik — powtarza minister — moja żona daje się chętnie fotografować...

— Wiem o tem — mówi Jakób.

Przytem nie myśli sobie nic złego. Nie myśli ani chwili o tych czasach przed swoją chorobą. Czasy te są już daleko poza nim, niewyraźne, jak krajobraz o zmierzchu. Nie, Jakób leży w myślach na długim niebezpiecznym moście i wiele obojętnych ludzi przebiega koło niego — między nimi... Marjanna.

— Zdrowa jest? — pyta roztargniony.

A potem poprawia się, bo jest teraz zawsze taki uprzejmy.

— Czy jej ekscelencja jest zdrowa?

— Dziękuję — jak zawsze — odpowiada minister.

Dawny burmistrz śmieje się szyderczo.

— Mój teść śmieje się dlatego — tłumaczy mąż Marjanny — bo pogardza teraz wszystkiemi tytułami. Tak się zmienił. Goli się tylko trzy razy na tydzień.

Burmistrz pyta podejrzliwie:

— Co mówi? co mówi?

Potem szepce Jakóbowi do ucha:

— Nie słuchaj co on mówi. On jest na pensji.

Jakób nie uważa, ale to mu się teraz częściej zdarza.

— Czy pan już tęskni za elektrotechniką? — wypytuje się minister.

Ale Jakób nie słucha zapytania.

Ewa odpowiada za niego:

— On chce studjować medycynę.

Prezydent republiki robi zdziwioną minę:

— Od kiedy? — irytuje się. — Cóż to za nowy pomysł? Jaki powód?

Kiedy Jakób mu chce wytłumaczyć powody, burmistrz naraz nie ma czasu.

— Później, później... teraz jest rada ministrów.

Minister także powstał.

— Weź mię ze sobą — prosi teścia — ale daremnie, bo burmistrz już wybiegł.

Minister patrzy za nim, bezsilny, zmieszany. Doprawdy, że on sam nie może już tak biegać.

— ...Hm, medycynę — mówi — chcąc zatrzeć wrażenie poprzedniej rozmowy.— Ma pan rację. Pewnie przyszło to panu na myśl tu w sanatorjum? Tak, świat potrzebuje teraz dużo lekarzy. Jest śmiertelnie chorym, bardzo się postarzał. Co Pan Bóg zamierza z nami? Może dopiero teraz przyjdą straszne rzeczy?

To są smutne słowa na pożegnanie. Mógł był powiedzieć co innego młodemu człowiekowi, który dopiero co wyzdrowiał. Naprzykład:

— Chwała Bogu... Wojna się skończyła!

Albo:

— Pan ma się już dobrze. — Widzi pan, że pan już przeszedł na drugą stronę?!

Eugenja woła:

— Obawiam się, że już dla ciebie za chłodno, Jakóbie! Będzie padać, ja odprowadzę pana ministra do bramy. A ty, Ewo, popatrz się, czy wszystko na górze gotowe w pokoju... Jakób musi już niedługo iść do łóżka.

Jakób został na chwilę sam. Spróbował wstać.

— Chciałbym przecież spróbować, czy nie mógłbym już sam chodzić... Tylko trochę...

Opierał się na lasce i szedł. Z początku prawie prędko. A potem zaczęły go strasznie boleć nogi.

Słońce zniknęło, w ogrodzie pociemniało, zimny wiatr zawiał.

— Chciałbym mimo to... — myślał Jakób — chciałbym przynajmniej dojść tam.

I poszedł aż do muru, który zamykał ogród. Wyszedł nawet na ławkę, żeby spojrzeć na ulicę.

Na ulicę... — po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Patrzcie, tam stoi latarnia... doprawdy. A tam dziecko z matką... pies...

Wszystko było nadzwyczaj zajmującem i osobliwem. Naraz dotknęło go lekkie tchnienie... dziwnie znany zapach i ożyło — wspomnienie. A to, co widział poza murem, nie wydawało mu się już zwykłą ulicą.

Była to okolica z czasów gorączki.

W tej samej chwili rozpoczął myśleć naraz o długim moście.

Tak go ta choroba zmieniła. Dawniej nie byłoby mu nigdy wpadło na myśl zajmować się we dnie takiemi sennemi widziadłami. Może jego zmęczenie było temu winne, a może ciemność w ogrodzie. W każdym razie w duszy był znowu na moście. Widział znowu ten straszny wodospad ludzki — i zobaczył Piotrusia!

Usłyszał kogoś wołającego go po imieniu.

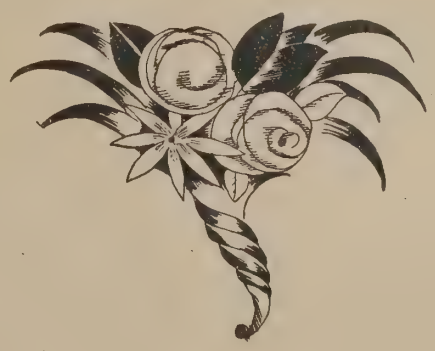

Mała pani w żałobie przystąpiła do niego.

— Czy mi pan może powiedzieć, gdzie się znajduje...

Ale w tej samej chwili urwała, wpatrzyła się w niego i zawołała:

— Ach tak, to Jakób! On sam! Powiedziano mi, że pan jest w ogrodzie... szukałam pana wszędzie...

Pani dyrektorowa.

Pokazało się, że Jakób był jeszcze bardzo osłabiony i nie mógł znieść takiej drobnostki, jak spotkanie matki Piotrusia... i zamiast ucieszony jej wizytą, był prawie przerażony.

— Pan może już tak daleko chodzić?...—dziwiła się pani dyrektorowa.— Jaki pan już zdrów?!

A Jakób w swem zdenerwowaniu odczuł to jako wyrzut.

Szczególne... Dawniej dzielny chłopak nie był taki subtelny i brał rzeczy poprostu.

— Wiem, że nie zasłużyłem... — wyjąkał. — Pani oburzenie jest zupełnie zrozumiałe. Ja żyję, a pani myśli — najlepsi zginęli...

Ale mała pani w żałobie tylko na chwilę przystanęła w zdumieniu. A potem szła dalej koło Jakóba. Jakgdyby zrozumiała tę dziwnie zawikłaną przemowę. Może dlatego, że była kobietą i tak niewysłowienie nieszczęśliwą.

I powiedziała spokojnie:

— Musiał pan długo znosić wielkie bóle, prawda? Walczył pan długo ze śmiercią, słyszałam. I, w końcu musi pan sobie powiedzieć: najlepsza część mego życia będzie ciężką, nielitościwie... Pan będzie przecież studentem, — prawda? W tym czasie... studentem bez pieniędzy!... Niech pan pomyśli... to bardzo ciężko...

Jakób nie mógł słowa powiedzieć, bo w gardle dławiły go łzy... Z osłabienia. Szedł cicho koło małej pani w żałobie i zdawało mu się, jakby ktoś ciągle powtarzał:

— Ciężko, bardzo ciężko...

Ale naraz zawołał zdaleka jasny, młody głos dziewczęcy:

— Jakóbie! Gdzie jesteś, Jakóbie!

I naraz zawołany uśmiechnął się nagle.

A pani dyrektorowa spostrzegła to natychmiast i spytała:

— Ach, jak jej na imię?

— Ewa.

A Eugenja z Leopoldyną przychodziły pomału zdaleka.

Inżynierowa skarżyła się przyjaciółce, że egzystencja była teraz tak trudna... rzeczy i żywność tak szalenie drogie...

Ale Eugenja odczuwała w tej chwili tylko silny zapach bzu.

Myślała:

Boże, jakżebym chciała śpiewać!

KONIEC

Przedruki i przekłady zastrzeżone. Copyright by W. Sieroszewski nineteen hundred twenty three.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

DALAJ-LAMA

POWIEŚĆ

45)

— Mieszkałam długo wśród „chałcha". Znam Dordżijów... Może chcesz się coś o nich dowiedzieć?!... Dawno tu jesteś?...

— Dawno, więcej niż dwadzieścia razy zmieniał się całkowicie księżyc... Nic nie wiem o swoich....

— Biedna. Jak się nazywasz?...

— Nazywam się teraz Udul, ale w domu zwano mię To-toj, a jestem z chaszuno Sumein-bułak, co nad Ononem...

— Słyszałam, słyszałam!... To już niedaleko chińskiej granicy... — wypytywała dalej Hanka.

— Muszę już iść... Słyszysz, ktoś nadchodzi... Ukarzą mię... Nam z tobą niewolno rozmawiać!... Tyś „święta"!...

Wyrwała się i uciekła. W końcu alei ukazały się dwie starsze mniszki. Hanka poszła im na spotkanie, powitała kiwnięciem głowy i obowiązkowem:

— Mendu!...

Serce jej mocno biło, czuła, że wyłom był zrobiony i bała się zdradzić swe próby. Dużo jednak czasu minęło, zanim znowu udało się jej upolować To-toj na osobności. Podarowała jej srebrną szpilkę, jaką dostała niegdyś od Geriltu-Chanum do przypinania wstążki na czapce. Opowiedziała jej trochę nowin z życia wschodnich „ajmaków", opisała w krótkości przebieg wojny z Chińczykami oraz pogłoski o nowej wojnie z „orosami".

— To ja słyszałam! O tem mówią w klasztorze!... Mówią nawet, że może będziemy zmuszeni uciekać, jeżeli szczęście opuści Mongołów...

Dokąd uciekać?...

— Dalej na południe... Może do samego Dalaj Nar...

— A to daleko?

— Daleko.

— Dalej, niż stąd do Urgi?...

— Nie, Urga blisko... Do Urgi dzień drogi...

— Acha, zapomniałam... A w której to stronie?...

— Co? Dalaj-Nar?...

— Nie... Urga!...

— Co ty mówisz?... Urga nie jest w żadnej stronie... lecz iść trzeba drogą wprost przed siebie... To ty nie z Urgi? Nie od „Orosów"?

— Nie, ja z Kentaju...

— Z Kentaju?... To po drodze do nas... Ach, jakbym chciała choć na mgnienie oka spojrzeć, co się tam, u nas, w ułusach dzieje... ale nie można, nie puszczą... Nas wypuszczają za mur dopiero, kiedy się zestarzejemy... Muszę już iść!... — westchnęła i odeszła.

Bardzo powoli posuwała się Hanka w swoich wywiadach. Chwilami zdawało się jej, że nie wytrzyma gniotącej ją tęsknoty, że głowę o mur rozbije lub legnie i zamorzy się głodem.

— Wypuszczają nas za mur, kiedy się zestarzejemy!... — przychodziło jej na pamięć. Choćby jednak wydostała się za mur, co pocznie sama w dzikim kraju, którego nie zna, pełnym włóczących się wszędzie koczowników, którzy ją zaraz zabiją!... To nie to, co podróż przed laty, z bronią na plecach, w dodatku miała tam obok siebie Władka!...

— Władku, Władku, gdzie jesteś?!..— gotowa była krzyczeć i płakać.

Pewnego dnia przeorysza była w czasie lekcji bardzo roztargniona, często wzdychała, wreszcie rzekła nabożnie:

— Dobrotliwy doświadcza swe dzieci! Podobno Czerwone Djabły rozbiły wojska Świątobliwego!...

— Co poczniemy, jak tu przyjdą? — spytała gorączkowo Hanka.

Przeorysza zamyśliła się.

— Nie wiem. Może odejdziemy w góry, a może zostaniemy, ażeby umrzeć, jeżeli taka będzie wola i przepowiednia!...

Aby zawyrokować co robić, miał przyjechać specjalny lama z sąsiedniego, męskiego klasztoru. Wśród zakonnic zapanował niepokój oczekiwania. W kuchni często wróżono z palonej łopatki baraniej i To-toj pocichutku dzieliła się zebranemi wiadomościami z Hanią:

— Banz-dan (rączka) pękła... Ogień złych ludzi i złodziei!... Przepowiednia spełni się, bo rzucona łopatka trafiła we drzwi... Mówią, że już idą!... Wszystko palą przed sobą, a żywych — mordują!...

— Więc uciekamy...

— Niewiadomo, rozkaz nie przyszedł!

— W takim razie będziemy się bronić!... — zawołała Hanka.

Gdy przeorysza przyszła na lekcję, Hanka wyłożyła jej wszystkie swoje wiadomości, nawet o złej wróżbie i łopatce.

— Skąd ty to wszystko wiesz?—spytała stara podejrzliwie.

— Czerwono-głowy Duch Topy-gyrr-chaa Oła przyszedł w nocy i powiedział mi!... — odrzekła Hanka, przypomniawszy sobie tajemnicze nazwisko góry z jakiegoś opowiadania Szag-dura.

Oczy starej szeroko się rozwarły i twarz zbielała z przerażenia.

— Topy-gyrr-chan Oła!... — powtórzyła wolno. — W takim razie przyjdą napewno!...

— Będziemy się bronić!... — nastawała Hanka.

— Będziemy się bronić... ale jak? — powtórzyła stara.

— Poślij jutro do męskiego klasztoru, niech przyjdą do nas i przyniosą z sobą broń... Ja was nauczę!

— Może lepiej, żebyśmy poszły do nich. Tam klasztor większy i obronniejszy!... — rozważała głośno przeorysza.

— Przedtem trzeba wysłać kogoś na wywiad... My do nich, czy oni do nas, wszystko jedno... Chodzi o broń...

— Umiesz strzelać?...

— Zabiłam tygrysa!... — powiedziała Hanka, błyskając oczami.

Mongołka odsunęła się od niej.

— Om-padme-mami-kum!...

— Więc poślesz jutro?...

— Poślę... Wszystko stanie się według twej woli, pani!... Każesz, zostaniemy tu, każesz—pójdziemy do Urgi—albo uciekniemy w góry!...

— Więc dobrze: jutro wyślesz po broń kilka sióstr... Niech przywiozą broń i prochu, ile uradzi koń!...

Stara kiwnęła głową, wznosząc do góry pięść z wyciągniętym palcem i pobożnie wycofała się tyłem za drzwi...

Nazajutrz zawrzało w klasztorze; przyleciało na koniach spienionych kilku jeźdźców mongolskich i przywieźli wieści, że „czerwone djabły" już idą na Urgę, że „Świątobliwy" uciekł w góry, że w mieście popłoch, że obronę stolicy polecono Dordżi Nojonowi, który ściąga najlepsze pułki Chałchasów i ludzi Sain-noja, ale, że nie mają ducha, bo nie mają amunicji...

— A gdzież wojsko barona?... Gdzież baron?...

— Baron dostał się do niewoli... Zdradziły go pułki rosyjskie...

— Boże, Boże!... — jęknęła Hanka po polsku, zakrywając twarz rękami. — Władek, Władek!... Boże, Boże!... Napewno zginął...

Mongołki słuchały niezrozumiałej mowy z przerażeniem:

— Duch, duch!... Stąpił na nią Biały Duch Wysokiego Nieba!...

— Co ci powiedział?... — spytała po niejakim czasie przeorysza.

— Jak tylko przywiozą broń, idziemy do Urgi... Czy możecie dostać trochę jucznych koni i wołów?...

— To można!...

— W takim razie zbierać i pakować rzeczy.... Święte przedmioty zakopiemy w ziemi, a ze sobą weźmiemy żywność, odzież i broń...

Zakonnice, które snuły się po klasztorze bezmyślnie, jak strute muchy, na dźwięk jej stanowczego głosu ożyły i rzuciły się do zbierania rzeczy i wiązania juków, część udała się do pastuchów okolicznych, gdzie pasły się klasztorne stada koni.

Opodal, drogą, mimo klasztoru, coraz częściej przeciągały stada owiec i bydła, pośpiesznie pędzone przez konnych pastuchów. Szły wielkie, obładowane skrzyniami i worami, karawany wielbłądów, wlokły się, skrzypiąc, szeregi arb. Co chwila przelatał z tętentem oddział jeźdźców, mężczyzn, nawet kobiet... Wszystko krzyczało, klęło, nawoływało i oglądało się co chwila za siebie w wielkiej trwodze.

Trwoga udzieliła się i mniszkom, które, stojąc na płaskim dachu głównej świątyni, przyglądały się temu, co działo się na głównej drodze, widniejącej u wylotu doliny.

Pod wieczór wróciły zakonnice wysłane po konie, a wkrótce przyszły i te, wysłane po broń, do męskiego klasztoru. Wróciły niezmiernie wystraszone i z pustemi rękami. Zastali klasztor zupełnie pusty — mnisi dawno go opuścili.

— Juczne konie, ruszamy w takim razie bez broni... Bez niej niema mowy o oporze tutaj!... Spieszcie się!...

— Spieszmy się!... Niema mowy o oporze! — powtórzyły chórem mniszki. — Ale dokąd pójdziemy!?...

— Rozumie się, że w góry!... — powiedziała przeorysza.

— Nie, pójdziemy do Urgi! Tam dowiemy się prawdy i może dostaniemy broni!... — postanowiła Hanka.

— A nie lepiej, żebyśmy część odesłały wraz z bydłem w góry na południe... część mniejsza, może dwie z nas, albo jedna niechby poszła na wywiad do Urgi...— radziła przeorysza.

— Dobrze, w takim razie, pojadę ja z To-toj!... — postanowiła Hanka.—A wy, udacie się w góry. Znajdę was tam.

— Lecz ja pojadę z tobą!... Ja muszę zawsze być z tobą... — nastawała przeorysza.

— Wszelkie rozkazy ludzkie ustają teraz!...—roześmiała się Hanka.—Chcesz, jedź ze mną, ale myślę, że potrzebniejsza będziesz siostrom. Znajdę was i dam wam pomoc, gdyż Bóg Wojny jest moim opiekunem i nauczycielem!...

— O-cha!... — zgodziły się mniszki.

Przeorysza, po krótkiem wahaniu, została z siostrami, które pośpiesznie troczyły juki i siodłały konie; pastuchy pomagali im, kłócąc się między sobą i klnąc, na czem świat stoi.

Hanka z To-toj wyjechały na koniach bez innego bagażu, prócz lekkich worków podróżnych. Już zapadał zmierzch, gdy skręciły na wielki szlak, pełen ludzi i ogni płonących po bokach, na stepie...

Gwar głosów, ujadanie psów, płacz dzieci unosił się nad tym szlakiem nieszczęścia, zawalonym taborami uciekających.

Aby ułatwić sobie przejazd, Hanka zjechała w bok i, wypytawszy się o drogę do Urgi, ruszyła śmiało stepem. Uszczęśliwiona To-toj podążała tuż za nią, a gdzie można było, jechała obok, śmiejąc się i robiąc różne uwagi.

— Widzisz, widzisz, Chanum!... Tam jadą jacyś wojskowi!... Może do nich pojedziemy po broń...

— To Rosjanie!... — rzekła Hanka, przyjrzawszy im się z pod dłoni. — Skręcają do naszego klasztoru... Czego oni chcą?... Wiesz co, pojedziemy za nimi, ale ostrożnie... A może ty boisz się i zostaniesz?...

— Nie, gdzie ty, Chanum, tam i ja!...

— W takim razie jedźmy!...

Zawróciły i, jadąc z daleka stepem, dążyły za oddziałem. Widziały, jak ten dotarł do klasztoru, jak zatrzymał się przed bramą i paru jeźdźców, zszedłszy z koni, weszło do wnętrza.

Hanka zsiadła z konia, oddała powód wierzchowca To-toj i kazała dziewczynie ukryć się w pobliskich krzakach i czekać tam na siebie. Sama ostrożnie, kryjąc się w cieniu murów, okrążyła klasztor i znalazła się niedaleko od bramy, skąd łatwo mogła śledzić czynności oddziału. Wkrótce potem, z bramy wybiegli ci, co do środka weszli i jeden z nich zawołał po rosyjsku:

— Siadać!... Na koń!...

Hanka wzdrygnęła się, poznała głos Wołkowa.

Widziała, jak wsiadł na swego wierzchowca, jak spiął go ostrogą i popędził z całym oddziałem drogą, do miasta.

— Po mnie przyjechał, na pewno! — pomyślała, a chcąc się upewnić, zbliżyła się do bramy i spytała siostry, które tłumnie wychodziły z bramy, prowadząc obładowane konie.

— Tak, tak!... Pytał o ciebie... Mówił, że Bohdo Gegen zażądał, abyś natychmiast się stawiła przed nim. Masz mu wróżyć! Powiedzieliśmy, że już pojechałaś, żeś sama miała wieszczy sen! Spiesz się!...

— Tak, tak!... Jadę natychmiast!... — odpowiedziała Hanka, kierując się do swego konia.

— Wy jednak czekajcie na mnie!... — krzyknęła zdala mniszkom.

— O-cha!—odpowiedziały jej zgodnie.

Hanka już siedziała na siodle i ostro nawróciła w stronę, w którą odjechał oddział.

XIX.

Łuna świateł gorzała nad Urgą i taki stamtąd dolatywał szum głosów, jak gdyby tam szalało wzburzone teraz morze...

Istotnie ono tam szalało, morze rozpętanych ludzkich namiętności. Zator skotłowanych taborów był tak wielki, że przedrzeć się przezeń, szczególniej w nocy, wydawało się niepodobieństwem.

Hanka postanowiła doczekać do świtu i przysiadła przy pobliskiem ognisku. Skupieni przy niem krajowcy natychmiast zrobili jej i To-toj miejsce i podzielili się z niemi strawą, ugotowaną w wielkich kotłach... Było to jakieś bardzo twarde, cuchnące potem mięso, prawdopodobnie padlina końska, ale Hanka była tak głodna, że z wdzięcznością przyjęła datek, a To-toj, która w klasztorze zupełnie była pozbawiona mięsa, rzuciła się na nie z pewną nawet łapczywością. Drzemiąc w gromadzie ludzi, przed tem słabo grzejącem ogniskiem, doczekały się świtu.

— Jedziemy!... — szepnęła Hanka o brzasku, szturgając w bok śpiącą towarzyszkę.

Zimna rosa pokryła im perlistą powłoką odzież zwróconą w stronę stepu, gdzie pływał nisko nad ziemią siwy opar.

Zziębnięte, głodne, zjeżone konie stały w tym oparze, opuściwszy smutno ku ziemi łby. Gdy dziewczęta odwiązały im pęta i podały po garstce suchej trawy, wdzięczne zwierzęta, żując pokarm, zamachały przyjaźnie głowami, a chwilę potem już biegły raźno, stukając niekutemi kopytami po ubitej drodze. Wszystko w około jeszcze spało.

Hanka nie wiedziała właściwie, co ma robić. Pędził ją naprzód instynkt i nadzieja, że spotka Władka lub Szag-dura. Przejeżdżając jednak po zapchanych ludźmi i wozami ulicach, zrozumiała, że łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż człowieka w tym zamęcie.

— A jednak muszę ich znaleźć!

Nagle przypomniała sobie opowiadanie przeoryszy o Dordżi Nojonie, któremu powierzono obronę miasta. Kazała więc To-toj pytać każdego napotkanego Mongoła o stawkę księcia.

Nikt nie wiedział; każdy jednak wskazywał wielki pałac, widniejący na górze, pośród drzew wielkiego parku...

— Tam pewnie!... Tam wszyscy książęta i panowie!...

Hanka domyśliła się, że to pałac Bohdo Gegena i skierowała konia w tamtą stronę. Ale dostać się tam nie było łatwo. Rozstawione w ulicach warty nie puszczały jej i nie chciały nawet z nią rozmawiać. Jechała więc dokoła, szukając dostępu i wskazówek. Wtem w jednej z ulic napotkała żołnierzy w granatowych ubraniach z żółtą mongolską swastyką, naszytą na rękawach i czapkach, rozmawiających po polsku...

— Polacy!... — krzyknęła i zeskoczyła z konia.

— Polacy... — odpowiedzieli zdziwieni. — A co?

— Panowie nie wiedzą, czy nie służy czasem w pułku panów Władysław Korczak, mój brat...

— Owszem, jest Władysław Korczak. Służy... Nawet niedaleko stąd śpi w fanzie... — odpowiedział żołnierz.

— To pani brat?... — spytał drugi.

— Tak, to mój brat!...

— Hej, Władek, wstawaj!... Siostra się znalazła!... Kopnijcie go tam uczciwie.

kolego, niech spieszy, bo panienka zmarzła!...

Żołnierz, śpiący pod murem na ziemi, dźwignął się ciężko na wołanie, lecz nie był to Władysław.

— Maciek!... Maćku, to ty? A gdzie Władek?...

— O la Boga!... Panienka!... Władek, panie Władek, wstawaj!... Doprawdy panienka!... — budził Maciek śpiącego tuż obok Władysława.

Hanka już była koło nich i nie zdążył się Władek na dobre rozbudzić, gdy znalazł się w jej ramionach.

Totoj ze zdziwieniem patrzała na to wszystko, aż Maciek podszedł do niej, odebrał konie i zaprosił do ognia, wokoło którego siedzieli już żołnierze i gotowali herbatę.

Władek w krótkich słowach opowiedział siostrze przebieg wypadków. Baron istotnie dostał się do niewoli po krwawej bitwie, w której zdradziły go pułki emigrantów. Ich oddział ocalał cudem i uszedł pościgu... Uratował ich właściwie samolot Domickiego, który dał im znać w porę o porażce i potem kierował ich odwrotem...

— Więc Domicki jest tutaj? — spytała, rumieniąc się, Hanka.

— Jest, o ile nie odleciał, aby szukać ciebie!... Łotr Wołkow nie chciał powiedzieć, gdzie jesteś!...

— Sam wczoraj przyjeżdżał do klasztoru po mnie!...

— Ach, niegodziwiec!... Ale już go niema, nie żyje... Brat zabitej Markowej, jednej z jego ofiar, oficer emigrancki, dziś w nocy go zastrzelił...

— A my cóż z sobą zrobimy?... — przerwała mu siostra.

— My? będziemy całą grupą przebijać się do Chin, do Szanchaju... Nie wszyscy na to się zgadzają... Są tacy, co dalej chcą walczyć z bolszewikami i dowodzą, że tylko po ich zwycięzeniu możemy i mamy prawo wracać do Polski, ale my innego jesteśmy zdania... Mamy karabiny maszynowe, dosyć amunicji, żywności i zapas złota, zdobyty na bolszewikach... Starczy na całą drogę... — opowiadał Władek z zapałem.

— Tak, teraz już na żadne nie skusimy się zatrzymanie!... — przywtarzał mu rozśmiany wesoło Maciek. — Pan Domicki też z nami poleci. Mówił, że panienkę koniecznie swoim samolotem powiezie, ale ja to tam lepiej wierzę koniowi!...

Droga do Szanchaju nie była łatwa. Mały oddziałek przebijających się w tamtą stronę Polaków musiał stoczyć kilka bójek z bandytami i dzikimi krajowcami po drodze, w których decydującą rolę odegrał samolot Domickiego, nadlatujący zawsze w porę, aby spłoszyć napastników. Kilku uczestników wyprawy zginęło, zginęło dużo koni i prawie cały zapas złota. Ale bądź co bądź znaczna część wyprawy dobrnęła do „settlmenu" tego Szan-haju i w miejscowej angielskiej gazecie pojawił się niebawem z początku opis romantycznej wyprawy Polaków, a następnie, w kilka tygodni później, wzmianka o odjeździe ich do Europy na parowcu „Princess Alice". W liczbie odjeżdżających wymieniony był i „sławny lotnik" Domicki z żoną Hanną.

KONIEC

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI
WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11

ZE ZMARSZCZKAMI

piegami i złą cerą pań nie będzie; panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej—5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej—7-ej.

Paderewska Zofja Ludwika
Hoża 41—7

Polski Whisky **Winkelhausen** Wypalanki winne

Jeneralne Przedstawicielstwo: Dom Handlowo-Przemysłowy H. PODKOMORSKI i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 2. Telefony 176-32 i 74-95

15/1-55
1/5 57
~~2I 807~~
~~100/1-5-56~~
~~180/23~~
~~188~~

3 0112 105342775